

DON
DELILLO

PODZIEMIA

Triumf śmierci

Mówi twoim głosem, amerykańskim, a w oku błyszczy mu niepewna nadzieja.

Jest dzień powszedni, owszem, ale on nie siedzi w szkole. Woli być tu, stać w cieniu tej starej, zardzewiałej landary, no i trudno mieć mu za złe, że wybrał akurat to metropolis - stal, beton, łuszcząca się farba, strzyżona trawa i ogromne paczki chesterfieldów wystające skosem z tablic wyników, a z każdej paczki sterczy kilka papierosów.

Historię tworzą masowe tęsknoty. Ten tutaj, zwykły chłopiec trawiony ściśle konkretnym łaknieniem, jest jednak częścią gromadzącego się tłumu, bezimiennych tysięcy, które wysiadają z autobusów i pociągów, jednym z ludzi, którzy kroczą wąskimi kolumnami po obrotowym moście nad rzeką i nawet jeśli nie są forpocztą migracji ani rewolucji, jakiegoś potężnego wstrząśnienia duszy, to przynoszą ze sobą cielesny żar wielkiego miasta i własne drobne mrzonki i rozpacz, coś niewidzialnego, co wisi nad tym dniem: mężczyźni w pilśniowych kapeluszach i marynarze na przepustce idą obejrzeć mecz, a w głowach kłębią im się myśli puszczane samopas.

Niebo jest dziś niskie i szare, szaromętne jak posuwisty przybój.

Razem z innymi stoi przy krawężniku. Jest najmłodszy, ma raptem czternaście lat i płótno w kieszeni - poznać po tej spiętej, pochylonej pozie, którą obarcza własne ciało. To będzie jego pierwszy raz, nie zna nikogo z pozostałych, zresztą chyba tylko paru z nich zna się między sobą, ale w pojedynkę ani parami nie mają szans, więc porozumieli się za pomocą tych śliskich spojrzeń, które wyszukują w tłumie bratnie dusze, innych ryzy-

kantów, no i stoją razem - czarni chłopcy, biali chłopcy, jedni przyjechali metrem, inni przyszli z pobliskich ulic Harlemu, chude cienie, *bandidos*, w sumie piętnastu, a fama głosi, że na każdego przyłapanego może ze czterech się przedrze.

Czekają, zdenerwowani, aż przejdą przez turnikiety ci z biletami: ostatnia luźna grupka kibiców, opieszale maruderów. Patrzą, jak ze śródmieścia w ostatniej chwili nadjeżdżają taksówki, a wybrylantynowani mężczyźni zwinnym krokiem podchodzą do okienek: bukmacherzy, eleganci z prywatnych klubów i grube ryby z Broadwayu tryskają energią i skubią farfocle z rękawów swoich moherowych swetrów. A tamci stoją przy krawężniku i patrzą, niby to nie patrząc, ze skwaszonymi minami objadanych wystających na rogu. Ucichł cały harmider, zwykła przed meczem gadanina i zamieszanie; przekupnie, którzy przeciskali się w tłumie na chodnikach, wymachując programami i proporczykami, rzucając śpiewnym tonem odwieczne zawołania, cherlawi sprzedawcy pamiątkowych znaczków i czapek -wszyscy oni już się rozeszli, wrócili do swoich klitek na podupadłych ulicach.

A ci stoją przy krawężniku i czekają. Oczy im posępnieją, wysyłają coraz mniej światła. Któryś wyjmuje ręce z kieszeni. Czekają, a potem ruszają nagle, najpierw jeden, Irlandczyk, podrywa się z okrzykiem: „Hura!”

Turnikiety są cztery, tuż za dwiema kasami. Najmłodszy chłopiec jest też najwątleszy, niejaki Cotter Martin, wysoki chudzielec w koszulce polo i w farmerkach, stara się przezwyciężyć poczucie klęski, gdy tak biegnie w ogonie, biegnie i krzyczy razem z resztą. Wszyscy krzyczą, dla kurażu albo na dowód brawury. Swoim twarzom nadali wyraz rozwrzeszczanych masek - oczy jak szparki, usta z gumy - i biegną, gnają co sił w nogach; próbując się wcisnąć przez przesmyki między budkami bileterów, objągają sobie biodra i łokcie, a ich krzyk ani na chwilę nie milknie. Twarze kasjerów zawisły za okienkami jak cebule na sznurkach.

Cotter widzi, że pierwsi skoczkiwowie przesadzają barierki. Dwaj zderzają się w powietrzu i padają jak długi, cali powykręcani. Jednego chwytem za głowę przytrzymuje bileter, któremu czapka spada i zjeżdża po plecach, a on łapie ją, na oślep sięgając za siebie drugą ręką, i jednocześnie - wszystko naraz -

zezuje na resztę skoczków, żeby go nie stratowali. A oni dalej biegają i skaczą. Bezrozumny wyścig, ścisk ciał, skok na bramkę staje się faktem. Skaczą za wcześnie albo za późno, zawadzają o słupki i o poziome pręty, jak postaci z komiksów wspinają się na plecy tym z przodu, ależ muszą głupio wyglądać w oczach ludzi, którzy jedzą hot dogi przy budce za turniketami, muszą wyglądać jak ostatni pojebańcy: cały rząd klientów, prawie samych mężczyzn, zaczyna spoglądać w ich stronę, mozolnie żując przepocone mięso, aż im się na językach mnożą banieczki tłuszczu, a ten najdalszy znieruchomiał i tylko bezwiednie macha ręką, pędzłując hot doga musztardą.

Krzyk wielobarwnej zgrai chłopców odbija się echem w betonowej studni.

Cotter widzi przed sobą wolną drogę do prawego turnikietu. Wymazuje z pamięci wszystko, co nie jest mu niezbędne do skoku. Ci jeszcze skaczą, tamci dopiero się przymierzają, innym przydałby się fryzjer, niektórzy mają dziewczyny w swetrach z puszystej wełny, a reszta całą kupą wylądowała po drugiej stronie i teraz zbiera się z ziemi, żeby czym prędzej się rozpierchnąć. Dwaj gliniarze ze stadionu biegają ciężkim krokiem po rampie. Cotter eliminuje wszystkie te elementy, w miarę jak się pojawiają, odtrąca tysiąc fal informacyjnych, rażących go w skórę. Utkwił spojrzenie w stalowe pręty turnikietu. Rozpędza się i nagle tak jakby zostawił za sobą całą swoją niezdarność, rozlaźną zgrozę hormonów i nieprzynależność, całą tę zajakli-wość, która przypieczętowuje jego status nastolatka. Jest tylko chłopcem w biegu, ledwie widoczną postacią z ulicy, ale bieg zawsze ujawnia coś z samego jestestwa, a biegacz obnaża się przed świadomością, więc i ten ciemnoskóry chłopak zdaje się otwierać przed światem, a po dziesięciu susach ponaglony krwio-bieg czyni go bardziej wyrazistym.

A potem Cotter odrywa stopy od ziemi i frunie, zgrabny i nieskalany we własnym odczuciu, i jakby zaaferowany: właśnie przyleciał samolotem z Kansas City, z teczką pełną pieniędzy podjętych z banku. Głowę wciągnął w ramiona, lewą nogą sięgnął już za turnikiet. I oto w jednej przewlekłej, wyniosłej i nieciąglej chwili widzi dokładnie, gdzie wyląduje i którędy pobiegnie, a chociaż wie, że rzucą się na niego, skoro tylko dotknie stopą chodnika, chociaż na najbliższe kilka godzin pa-

kuje się w niebezpieczną sytuację i będzie musiał mieć się na baczności, mimo wszystko trochę mniej się teraz boi.

Lekko ląduje na ziemi i swobodnym biegiem mija biletera, który wciąż jeszcze próbuje złapać czapkę, i nagle chłopiec czuje, wie w sobie aż do dna, głębiej, niż w ogóle cokolwiek można wiedzieć - czuje, jak w jego sercu biegacza zaczyna łomotać ta wiedza, że nikt nie zdoła go schwytać.

Nadchodzi gliniarz w całym swoim municypalnym ogromie, u pasa dynda mu rewolwer, kajdanki, latarka i pałka, a bloczek z mandatami wypycha kieszeń. Cotter robi zwód, aż o mało nie pada na kolana, a zjadacze hot dogów gną się w pasie, żeby lepiej się przyjrzeć, jak chłopak bierze wiraż i oddala się z łagodnym przyspieszeniem, na pożegnanie kiwając gliniarzowi małym palcem.

Niekiedy sam siebie w ten sposób zaskakuje: jakimś śmiałym, śmigłym czynem, zrodzonym z nieprzewidzianego kaprysu.

Wbiega po zacienionej rampie w płataninę dźwigarów, filarów i strug światła. Słyszy, jak narastają ostatnie akordy hymnu państwowego, widzi ogromną, rozwartą podkowę trybuny i raptem trawnik rozciąga przed nim ten widok, który chłopcu zawsze pozwala odczuć, że wydostał się z ram własnego życia: znów ma przed sobą to wymuskane łnienie, które od granicy wewnętrznej pola wysypanego równo ugrabionym piaskiem ścięło się i gnie aż po wysokie zielone parkany. Przeszywa go dreszcz objawienia. Cotter biegnie truchtem i wyciąga szyję, zapuszcza żurawia między rzędy ławek, szukając dyskretnego zakątka za którymś z filarów. W sektorze trzydziestym piątym skręca w przejście między ławkami i schodzi prosto w żar i zaduch bijący od stłoczonych kibiców, w dym wiszący pod górnym pomostem, słyszy rozmowy, zanurza się w głęboki pomruk tłumu, słyszy, jak piłki rzucane na rozgrzewkę trafiają w rękawicę łapacza, rozbrzmiewając serią detonacji, za którymi pogłos wlecze się niczym ogon komety.

A potem tracisz go z oczu w tłumie.

Radiowcy w swojej kabinie rozmawiają właśnie o tłumie. Chyba jakieś trzydzieści pięć tysięcy, no i co powiecie? Wziąwszy pod uwagę barwne dzieje obu drużyn, wiarę i pasję kibiców oraz to, jak wszystkie te siły oplatają całe miasto, a choćby sam

dzisiejszy mecz, kwestia życia i śmierci, finał po dwóch spotkaniach, a kiedy człowiek wymówi te nazwy, Giants i Dodgers, uwzględni szczerą, wzajemną nienawiść ich zawodników i przypomni sobie, jak potoczył się cały ten rok, jak walka o porządek wprowadziła miasto w zdławioną ekstazę, w agonialne konwulsje, które nazwać można tylko słowem zapożyczonym z niemieckiego, bo żadne inne nie odda trafnie tej mieszaniny rozkoszy, zgrozy i wyczekiwania, a kiedy jeszcze pomyśli się o lojalności plemiennej, tak właśnie mówią w kabinie - o miłości do klubu, która przenika dzielnice i przytulne przedmieścia, sięgając aż w okolice sadów jabłkowych, na nieokrzesaną północ - no to skąd te dwadzieścia tysięcy pustych miejsc?

- Od rana wygląda, że będzie padać - powiada technik. - Ludzie tracą humor. Ni cholery im nie zależy.

Producent wieszka koc w poprzek kabiny, żeby odgradzić swoją ekipę od tych z KMOX-u, którzy właśnie przyjechali z St. Louis. Nie ma gdzie ich ulokować, więc trzeba się dzielić miejscem.

- Pamiętaj, że nie było przedsprzedaży - mówi do technika.

A na to technik:

- W dodatku Giantsi wysoko wczoraj przegrali, a to poważna sprawa, bo druzgocąca porażka potrafi zdołować kilka dzielnic. Wierz mi. Tam gdzie mieszkam, nieraz coś takiego widziałem. Ludzie tracą zapał. Całkiem jakby umierali, dziesiątkami tysięcy.

Russ Hodges, który prowadzi transmisję z meczów dla WMCA, jest głosem Giantsów; ma przemęczoną krtani i początki ciężkiego przeziębienia, więc nie powinien teraz zapalać papierosa, ale co mu tam!

- Niby racja - mówi - tylko że wcale nie jestem pewien, czy jest tu jakieś logiczne wytłumaczenie. Kiedy ma się do czynienia z tłumem, niczego nie da się przewidzieć.

Russowi twarz zaczyna już się wypełniać, ale w oczach, w uśmiechu, we włosach obciętych jak pod garnek, w bezkształtnym garniturze, który mógłby być prawie czyjkolwiek, zachował jeszcze to i owo z prostodusznego chłopca. Bo czy można komentować mecze, zagranie po zagranu, niemal dzień w dzień, przez całą pełnię lata, i nie uwięznąć w jakiejś wersji przeszłości?

Patrzy na boisko, na ciasne narożniki, szerokie alejki między

zapolami i środek pola. Na wielki, kwadratowy zegar Longine-sa, wystający nad pawilon. Wszędzie smugi barw, fresk z czapek i twarzy, zielona trybuna, brązowe ścieżki wokół baz. Russ czuje, że widać ma fart, skoro tu jest. Że akurat w tym nadzwyczajnym dniu prowadzi transmisję, i to właśnie na Polo Grounds - uwielbia samą tę nazwę, drogocenne echo dawnych spraw, dawnych czasów, zanim całe stulecie poszło na wojnę. Uważa, że wszyscy na stadionie powinni czuć się jak szczęściarze, bo zanosi się na coś wielkiego, coś narasta. No, może to po prostu samemu Russowi skacze gorączka. Tak czy owak, przypomina mu się ten dzień, kiedy ojciec zabrał go do Toledo i razem obejrzeli walkę Dempseya z Willardem, to dopiero był numer, zdrowa porcja nabożnego lęku, Czwarty Lipca, upał ponad czterdzieści stopni, tłum mężczyzn w koszulach z krótkim rękawem i w słomkowych kapeluszach, wielu pod kapelusze podłożyło chusteczki do nosa spadające aż na ramiona, wyglądali jak przebrani za Arabów, i jakie monumentalne manto zebrał duży Jess na ringu rozgrzanym do białości; ależ mu z twarzy parował krwawy pot przy każdym ciosie Dempseya.

Oglądając takie zdarzenie, scenę, która trafia potem do kronik filmowych, człowiek czuje, że nosi w sobie jakiś dostoyny okrucz historii.

W drugiej zmianie Thomson trafia ślizgacza i posyła piłkę wzdłuż linii trzeciej bazy.

Lockman pędzi po łuku do drugiej, patrząc na lewe pole.

Pafko podchodzi do ściany, żeby zgarnąć piłkę z bandy.

Na obu poziomach trybuny po lewej ludzie wstają z miejsc, ci z pierwszych rzędów aż się wychylają, niektórzy rzucają przez barierę papierki, podarte programy, strzępy książeczek z zapalnikami, lecą zgniecione kubki, impregnowane serwetki od hot dogów, jednorazowe chusteczki sprzed wielu dni, sfilcowane na dnie głębokich kieszeni i pełne zarazków, a wszystko to spada na ziemię wokół Pafki.

Thomson sady wielkimi susami, aż się pochyła, zgrabnie okrążając pierwszą.

Pafko sprytnie rzuca do Coksa.

Thomson głową naprzód daje nura w stronę drugiej, wchodzi ślizgiem i nagle widzi, że Lockman stoi na poduszce i patrzy na niego jak zauroczony, z lekko pytającą miną.

Całe dni pod żelaznym niebem i tyle czasu przy mikrofonie przez zeszyły tydzień, ból gardła, kaszel, Russ gorączkuje, wygląda niechlujnie - podróże pociągami, nerwy, brak snu, a teraz opowiada mecz tym swojskim, poczciwym tonem gawędziarza, tym szorstkim głosem, dziś trochę zachrypniętym.

Cox łypie spod daszka czapki i posyła płaską piłkę do Robinsona.

Tymczasem widzimy, jak Mays podchodzi spacerkiem do bazy domowej, wlokąc kij grubszym końcem po ziemi.

Robinson przyjmuje podanie i obraca się na pięcie w stronę Thomsona, który stoi niecałe dwa metry od drugiej, jakby onieśmielony.

Ludzie z radością patrzą, jak papier ląduje przy butach Pafki, zsuwa mu się po ramieniu albo przywiera do czapki. Ściana ma ponad osiem metrów wysokości i nikt, choćby się nie wiem jak daleko wychylił, nie da rady dotknąć zawodnika, więc musi im wystarczyć, że sprawili mu papierową kąpiel.

Na stopniach przy boksie drużyny widzimy Durochera - to menażer Giantsów, twardy Leo, knajpiany rozrabiaka, twarz prosto z wojen galijskich. Mówi z pięścią przy ustach:

- A niech to grom z jasnego nieba jebnie!

Niedaleko budki rezerwowych drużyny Giantsów czterej mężczyźni patrzą z prywatnej łoży Durochera, najlepszej z najlepszych, jak Robinson robi Thomsonowi skuchę. Trzej z nich pracują w rozrywce - Frank Sinatra, Jackie Gleason i Toots Shor, z dawien dawna kumple od kieliszka, a towarzyszy im dobrze ubrany mężczyzna z mordą buldoga, niejaki J. Edgar Hoover. Co robi narodowy tajniak numer jeden wśród tych ob-szczymurów? No cóż, siedzi przy samym przejściu i wygląda na to, że całkiem mu tam dobrze, uśmiecha się, słuchając gru-biańskich przytyków, którymi bez przerwy częstują się ci trzej: refrenista, błazen i knajpiarz. Wolałby wprawdzie być teraz na wyścigach, ale ten rodzaj towarzystwa zawsze wprawia go w nie najgorszy nastrój, niezależnie od scenerii. Edgar lubi zadawać się z filmowymi sławami i wybitnymi sportowcami, z takimi arcyplotkarzami jak Walter Winchell, który też jest dziś na meczu i siedzi ze starszyzną Dodgersów. Sława i tajność to górny i dolny skraj tej samej fascynacji, elektrostatyczny szum jakiegoś erotyzmu, który przesyca świat, a Edgar żywo reaguje na ludzi

podłączonych do źródła tego rodzaju energii. Pragnie im być szczerze oddanym przyjacielem, pod warunkiem, że zamknie w swoich prywatnych archiwach całą sekretną stronę ich życia, złowi i sklasyfikuje wszystkie pogłoski, nada cieniom faktów uchwytną postać.

- Mówiłem wam, głęby jedne, że Dodgersi będą dzisiaj nie do przejścia. Czuję to w kościach starego brooklyniaka.
- W jakich znowu kościach? - pyta Frank. - Dawno ci wygniły od gorzały.

Thomson cały nagle oklapł, stracił wigor i odporność, a Robinson prosi o czas i z piłką w ręku idzie na górkę tym swoim kosolapym krokiem, jakby zyzakiem.

- Giantsi będą musieli wziąć do składu tego krasnoludka, jak mu tam, jeżeli chcą wygrać, bo ich jedyna nadzieja to jakiś wybryk natury - mówi Gleason. - Trzęsienie ziemi albo krasnolud. A ponieważ nie jesteśmy w Kalifornii, lepiej się pomódl o elfa we flanelowych portkach.
- A tom się uśmieł - odpowiada Frank.

Edgara denerwuje ta rozmowa. Jest drażliwy na punkcie własnego wzrostu, chociaż niewątpliwie trzyma się w okolicach średniej. W ostatnich latach przybyło mu na wadze, a kiedy, ubierając się, przegląda się w lustrze, krępy, z głową Buddy, stoi oko w oko z niskim, korpulentnym mężczyzną. Krzykacze z prasy twierdzą, że istotnie jest niski, jak gdyby człowiek mógł samą siłą zakłęcia dręczące go urojenie podać do druku. A swoją drogą agencji wyżsi niż średnia krajowa rzeczywiście nie mają wielkich szans na przydział w kwaterze głównej. Trudno też nie zauważyć, że krasnoludek wspomniany przez Gleasona, kumpla Edgara, wysoki raptem na metr *sportif*, ten, co jakieś półtora miesiąca temu machnął kijem w drużynie St. Louis Browns w ramach popisu, który był zarazem, jak podejrzewa Edgar, prowokacją polityczną - otóż facet nazywa się Eddie Gaedel, a jeśli Gleason przypomni sobie to nazwisko, natychmiast skojarzy Eddiego z Edgarem i kawały o kurduplach zaczną krążyć niczym przysłowiowe gówno, co trafiło w wentylator. Jackie wystartował w branży, odgrywając obelżywe skecze, i dotąd je odstawia - za friko, dla frajdy - rujnując ludziom życie.

- Gleason, nie bądźz wiecznie matol - mówi Toots Shor. - Na razie jest tylko jeden-zero. Giantsi nie po to wyszli na swoje

z trzynastu i pół meczu, żeby akurat ostatniego dnia schrzanić sprawę. Mamy przecież rok cudów. Na to, co stało się w tym sezonie, ludziom po prostu słów brak.

Twarz jak plaster mięcha, rzeźniczek łapy. W osobie Tootsa widzisz weterana spelun, faceta zwięzłej budowy, z włosami gładko zaczesanymi do tyłu, z oczami jak szparki, które z lada powodu błyskają ostrzegawczo. To były wykidajło - ilekroć sobie popije, wyrzuca niewinnych ludzi ze swojego klubu.

- A dokona tego Mays - oświadcza.

Na to Frank:

- Willie ma dziś swój dzień. Murowane, że przyrąbie. Leo mówił mi przez telefon.

Gleason w miarę wiarygodnie parodiuje brytyjski akcent, mówiąc przez zęby:

- Nie zamierzasz chyba wmawiać mi, że po tym jegomościu, co akurat podchodzi do bramki, należy spodziewać się jakichś niezwykłych czynów.

Edgar nienawidzi Anglików, więc ze śmiechu zgina się w pół, a Jackie bez chwili oddechu wgrzyza się w hot doga i zaczyna krztusić się i kasłać, aż we wszystkie strony lecą kawałki mięsa i bułki, grudki i okruszki, flegmatyczna salwa.

Ale Edgara najbardziej przerażają formy życia niedostrzegalne gołym okiem, więc odwraca się od Gleasona i wstrzymuje oddech. Najchętniej czym prędzej poszedłby do ubikacji, gdzie wśród ocynkowanych ścian leży nietknięty owal mydła, tryska kaskada gorącej wody i wisi nie używany przez nikogo innego ręcznik, miękki jak puch łabędzi. Ale w pobliżu nie ma oczywiście takiej toalety. Nic, tylko fale zarazków, wszechobecne medium czynników chorobotwórczych, mikroby, lotne kolonie krętków, które łączą się, dzielą, wydłużają, zwijają w spirale i wzajemnie pochłaniają, całe wagony materii wykaszanej przez ludzi, prymitywnej i zabójczej.

Tłum, nieustanny zgiełk, oddech i pomruk, basowy łoskot narastający raz po raz i ta samczość, z jaką mężczyźni wspólnie przeżywają mecz, sposób, w jaki ten czy ów podrapie się w nadgarstek albo wymodeluje frazę klątw. I łopot oklasków, szybko zamierających i zawsze zbyt skąpych. Ludzie czekają, kiedy wreszcie poniosą ich skandowane okrzyki i rytmiczne brawa, ustalone formy i refreny: moc, którą trzymają w odwodzie na

stosowną chwilę. Siła sprawcza, która coś spowoduje, zmieni przebieg meczu, poderwie ich z miejsc, aż wzbiją się wszyscy razem swobodnym grzmotem, a stadion zadrży jak szalony.

- Chyba wyraźnie ci mówiłem, Jack, żebyś został w aucie, póki nie zjesz - powiada Sinatra.

Mays bierze porządny zamach, ale trafia trochę spod spodu i piłka banalnym łukiem wzbija się w niskie październikowe niebo. Cotter Martin słyszy stukot jesionowego kija o piłkę, gdy tak siedzi na trybunie z lewej strony boiska, zgarbiony, aż mu sterczą kościste ramiona. Zamiast na piłkę patrzy na Williego, który okrąża pierwszą, jak gdyby lekko wzruszając ramionami, a potem zgarnia z murawy swoją rękawicę i biegnie truchtem na pozycję.

Cotter jest zaskoczony, kiedy zapalają się lampy łukowe; od tej chwili inaczej się czuje, nowy posmak ma dla niego beczelność własnej eskapady, ten beztroski błysk: że się odważył i go nie złapali. Dzień jest odtąd inny, ponury i brzemienny groźbą, nagłący deszczem, a Cotter patrzy na Maysa, który stoi na środkowym polu i w całym tym bezmiarze wygląda jak z wagi koguciej, niewyrośnięty małolat, więc chłopiec się zastanawia, jakim cudem Willie potrafi tak rzucać, bierze rozmach i fru, z taką siłą. Lubi patrzeć na boisko w blasku reflektorów, chociaż akurat dziś trochę się boi, że spadnie deszcz, a w dodatku jest dopiero popołudnie i nie ma pełnego efektu, nie to co wieczorny mecz, kiedy boisko i zawodnicy tworzą osobną, wyodrębnioną spośród ciemności przestrzeń. Raz w życiu był na meczu wieczorem: razem z najstarszym bratem zszedł po pochyłości, prosto w misę pełną kolorowego światła. Wydawało mu się, że z wież z reflektorami bucha w dół jakaś nieznaną energią, że Ziemia w każdy obrót wkłada więcej mocy, oddzielając graczy, murawę i wyznaczone na niej kredą linie od wszystkiego, co kiedykolwiek przedtem widział czy sobie wyobrażał. Że wszystko na boisku emanuje odkrywczą, pierwotną świeżością.

Jak wtedy, kiedy biegacz hamuje z poślizgiem, skręcając przy pierwszej.

Na długo przed światłami zdumiały Cottera pustki na stadionie. Idąc przez trybunę, raz po raz napotykał wolne miejsca, zbyt wiele wolnych miejsc, aby można było sądzić, że ci, co je zajmują, poszli akurat kupić piwo albo się odlać, i w końcu

postanowił usiąść między dwoma facetami w garniturach i już tylko dziękował losowi, że tak łatwo znalazł miejsce, mniejsza o to, czemu jest aż tyle wolnych. Mężczyzna z lewej pyta:

- Ty, masz chęć na fistaszki?

Znowu nadchodzi sprzedawca fistaszków, mniej więcej osiemnastoletni, czarny i smukły, ten, co tak cudownie łapie bilon w powietrzu. Ludzie znają go z minionych meczów, z niegdyśjszych zmian, więc ożywiają się i zaczynają szukać drobnych po kieszeniach. Wołają, że chcą fistaszków: „Hej, tutaj torebkę!”, i puszczają w jego stronę monety pstryknięciem kciuka albo łukiem dyskobola, a on chwytając je, jakby dłońmi wręcz wdychał latający metal. Ma magnetyczną skórę, niczym cyrkowiec łowi w locie miedzianki i rzuca ludziom torebki, mierząc w pierś. Fascynujące widowisko, ale Cotter niejasno wyczuwa grożące niebezpieczeństwo. Sprzedawca zwraca na niego uwagę ludzi, de- maskuje gapowicza w jamie, którą ten sobie wyszukał. Czy to nie dziwne, że wspólny kolor skóry niweluje dzielącą ich przestrzeń? Nikt nie dostrzegł Cottera, póki nie nadszedł sprzedawca o dłoniach siejących czarne promienie. Z jednej strony młody Murzyn, ulubieniec tłumów. Z drugiej - mały cwaniaczek, który wołałby, żeby go nie zauważono.

- Co powiesz? - nie daje za wygraną mężczyzna. Cotter gestem odmowy podnosi rękę.

- Chcesz torebkę? No, co się czaisz?

Cotter przechyla się w prawo, zasłaniając dłońią splot słoneczny na znak, że już jest najedzony, że po fistaszkach zawsze boli go brzuch albo że matka zabroniła mu opychać się byle czym, bo potem nie ma apetytu na kolację.

- No to powiedz chociaż, za kim kibicujesz - nalega sąsiad.

- Za Giantsami.

- Ale mają sezon, co?

- Przy tej pogodzie, *czy ja* wiem, chyba kiepsko jest być na minusie.

Mężczyzna spogląda w niebo. Ma koło czterdziestki, jest gładko wygolony i wybrylantynowany, ale swobodny w obejściu, wyluzowany: Cotterowi wydaje się, że zna ten styl z małych miasteczek, które widywał w filmach.

- Mają tylko jeden bieg do tyłu. Odkują się. Taka passa nie może się skończyć przez jakieś tam chmury. Napijesz się coli?

Mężczyźni kursują do ubikacji i z powrotem, zapinają suwaki w rozporkach, odchodząc od koryta, a inni już się zbliżają do tego długiego naczynia, myśląc, gdzie by tu stanąć, przy kim tak, a przy kim nie, w stężonym, zastarzałym odorze i stęch-liźnie stadionu, wśród wielopokoleniowych fal piwa, gówna, papierosów, fistaszkowych łupin, środków dezynfekujących i szczyń niezliczonych milionów, a myślą przy tym zwyczajnie, ot tak, żeby łatwiej prześliznąć się przez życie, snują myśli bez związku ze zdarzeniami - to tylko ten kurz, którym sami są, tak szumi, więc torują sobie drogę w zatłoczonej ubikacji, mecz trwa, a oni wchodzą, wychodzą, wyjmują chuje i w zadumie szcza.

Mężczyzna z lewej trochę się wierci i nagle pyta Cottera przez ramię, szczwanym szeptem:

- A co ze szkołą? Masz indywidualne wakacje? - I przelotnie się uśmiecha.
- Tak jak i pan - mówi Cotter, a odpowiada mu śmiech jak z armaty.
- Na ten mecz wyrwałbym się choćby i z więzienia. A wiesz, że dla więźniów też transmitują. W całym mieście powstawiali im radia, w każdym bloku.
- Przyszedłem tu wcześniej - ciągnie Cotter. - Mogłem rano pójść do szkoły i dopiero potem zwagarować, ale chciałem zobaczyć wszystko od początku.
- Rasowy kibic. Aż miło posłuchać.
- Chciałem popatrzeć, jak ludzie się schodzą. Jak gracze wchodzą osobnym wejściem.
- A tak w ogóle to się nazywam Bill Waterson. I chętnie bym się urwał z biura, ale nie musiałem. Mam własną małą firmę. Budowlaną.

Cotter myśli, co by tu powiedzieć.

- To właśnie my stawiamy te domy, w których fajnie się mieszka.

Sprzedawca fistaszków idzie pod górę przejściem między ławkami, zmierzając do następnego sektora, kiedy nagle zauważa Cottera i posyła mu znaczący uśmiech. Oho, będą kłopoty -myśli Cotter. Ten gaduła zaraz go sypnie, spali. Sprzedawca

wchodzi po schodach i chłopcy na moment spotykają się wzrokiem. Nie zwalniając kroku, starszy błyskawicznie sięga po torebkę i nonszalancko ciska ją Cotterowi, który chwytając paczkę jedną ręką, ruchem tak szybkim, że kontury dłoni zamazują się, podobnie jak przed sekundą rozmył się w powietrzu zamaszysty gest sprzedawcy. Wszystko to dzieje się w jednej cudownej chwili, a Cotter szerzy zęby, błyskając rekordowym uśmiechem tygodnia, aż fala życzliwości rozlewa się na kilka sąsiednich rzędów.

- Czyli jednak ci wpadła paczka - zauważa Bill Waterson.

Cotter odwijając górny brzeg papierowej torebki i podsuwa ją Billowi. Siedzą sobie, luskają fistaszki, kolistym ruchem kciuków i palców wskazujących ścierają brązową błonkę i zjadają tłuste, słone jądro, a łupiny upuszczają na ziemię, nie odrywając oczu od boiska.

- Jak ci kiedyś ktoś powie, że jest w siódmym niebie, to przypomnij sobie tę chwilę - mówi Bill.

- Żeby tak jeszcze parę biegów!

Znowu podsuwa Billowi torebkę.

- Zaliczą punkt. Tylko patrzeć. Spokojna głowa. Dopilnuje my, żebyś nie żałował tych wagarów.

Widzimy Robinsona, który stoi na skraju zapola, patrzy, jak pałkarz wychodzi na pozycję, i myśli od niechcienia: Jeszcze jeden ćwok, Szwab ze stajni Leo.

- Zgodnie z męskim kodeksem - oświadcza Bill - skoro ty mnie częstujesz fistaszkami, to ja mam psi obowiązek kupić nam po flaszce coli.

- To chyba sprawiedliwy układ.

- Dobra. Umowa stoi. - Bill obraca się w miejscu i podnosi rękę. - Jesteśmy sobie dwaj wyluzowani kibice.

Stanky, ten piącharz, siedzi w boksie drużyny.

Mays z tą swoją bluesową, dziś lekko obrzmiałą twarzą usiłuje się uwolnić od jakiejś rymowanki, chwytliwej melodyjki, która mu chodzi po głowie, bo ostatnio wciąż ją nadaje radio.

Chłopiec od podawania kijów schodzi po schodkach, trochę roztargniony, i wsuwa do stojaka ten czarny, którym gra Dark.

W trakcie środkowych zmian mecz tak jakby zapadł się w siebie. Zawodnicy wyczekują, ogarnięci nieokreślonym niepoko-

jem, który napina im mięśnie barków i sprawia, że co chwila chodzą do pojemnika z chłodzoną wodą, popijają i plują.

Po drugiej stronie boiska na wybiegu dla rezerwowych miotaczy Dodgersów rozgrzewa się Branca, potężnie zbudowany facet o spiczastych uszach elfa i prężnych ramionach: rzuca ze swobodą, ot tak, dla rozluźnienia.

Pchnij-ciąg pstryk-pstryk, zmień żyletkę raz dwa trzy - chcąc nie chcąc, myśli Mays.

A tymczasem na trybunie agent specjalny Rafferty idzie w dół po schodach w stronę łóż za budką rezerwowych drużyny gospodarzy. Ten zwalisty mężczyzna z rudawą czupryną - z burzą rudych włosów, mawiają niektórzy - patrzy prosto przed siebie, jakby nie chciał się rozpraszać. Żwawo, lecz bez pośpiechu zmierza ku łóż Dyrektora.

U stóp Gleasona stoją dwa spienione kubki, a z zaciśniętej pięści sterczą mu dwa końce hot doga, o którym już zdążył zapomnieć. Mówi do sześciu osób naraz, a słuchacze śmieją się i dopytują - ci, co wykupili łóż na cały sezon, stara gwardia kibiców z chudymi żonami. Widzą, że jest zdrowo narąba-ny, i podziwiają klarowność jego dowcipu, ciętą precyzję obelg i drwin. Sami się proszą, żeby ich obrażał, a on chętnie to robi i wznosząc się ponad własne opilstwo, odstawia z detalami parodię pijaka. Opadają mu powieki, gdy bełkocząc gardłowo, wyśmiewa rozwichrzony tupecik na głowie jednego ze słuchaczy i łąty na łokciach tweedowej marynarki drugiego. Kobiety są zachwycone, błagają o jeszcze. Patrzą na Gleasona, spoglądają na Sinatrę, żeby zobaczyć, co on na to, popatrują w stronę boiska, słuchają, jak Jackie wstawia teksty ze swojego programu telewizyjnego, widzą, że musztarda splywa mu po kciuku, ale nie śmiać go ostrzec.

Kiedy Rafferty staje wreszcie przy fotelu pana Hoovera, nie pochyla się nad Dyrektorem, lecz ostentacyjnie kuca w przejściu i dopiero wtedy zaczyna mówić. Od niechcenia zasłania usta dłonią, żeby nikt inny nie usłyszał. Hoover słucha. Mówi coś do swoich towarzyszy, po czym on i Rafferty wchodzą po schodach, znajdują ustronne miejsce w połowie długiej rampy i agent specjalny szczegółowo przekazuje wiadomość.

Otóż wedle wszelkich oznak Związek Radziecki przeprowadził w nie ustalonym miejscu gdzieś na swoim terytorium próbę

atomową. Mówiąc po prostu, bez ogródek, Sowieci zdetonowali bombę. A nasze urządzenia wywiadowcze wskazują całkiem wyraźnie, co to takiego: bomba, broń zaczepna, narzędzie konfliktu; skutkami jej wybuchu są żar, podmuch i wstrząs. Nie żadne tam pokojowe zastosowanie energii atomowej, na przykład do ogrzewania domów. Prawdziwa czerwona bomba, która bucha wielką białą chmurą niby jakieś gromowładne bóstwo starożytnej Eurazji.

Edgar odnotowuje w pamięci datę. Trzeci października 1951 roku. Rejestruje ją. Wstemplowuje.

Wie, że nie stało się to całkiem niespodziewanie. To już ich drugi wybuch atomowy. Ale wiadomość jest mimo wszystko bolesna. Edgar pomału ją sobie przyswaja i zaraz myśli o szpiegach, którzy przekazali tajne dane, i o tym, że komunistyczne wojska w Korei mogą teraz dostać głowice bojowe. Już czuje, jak tamci nadciągają, dopędzają, prześcigają. Świadomość ta wsiąka w niego, wręcz zmienia go fizycznie: napina mu się skóra twarzy, spojrzenie staje się hermetyczne.

Rafferty stoi na rampie nieco niżej od pana Hoovera.

Tak, Edgar odnotowuje w pamięci datę. Myśli o Pearl Harbor, niecałe dziesięć lat wcześniej, wtedy też był w Nowym Jorku, gdy tamta nowina nieomal migotała w powietrzu, wszystko wyglądało jak w blasku flesza, a najpospolitsze przedmioty aż parzyły, naładowane elektrycznością.

Wybucho nad nimi zgłębł tłum, sklepiony grzmot toczy się przez zagłębienia w podbrzuszu stadionu.

A teraz to - myśli Hoover. Słońca własny żar, co połyka miasta.

Gleason w ogóle nie ma prawa tu być. W pewnym śródmiejskim studiu trwa właśnie próba, w której powinien brać udział, próba skeczu pod tytułem *Miodowy miesiąc*, pierwsza emisja dokładnie za dwa dni. Jest to historyjka bliska jego sercu, o kierowcy autobusu, niejakim Ralphie Kramdenie, który wraz z żoną Alice gnieździ się w nędznym mieszkanku w Brooklynie. Gleason nie widzi nic dziwnego w tym, że urwał się z próby i zabawia kibiców na trybunie. Ale Sinatra czuje się nieswojo, kiedy ci ludzie wiszą im nad głowami. Przywykł do zrytualizowanego dystansu. Woli spotkania w zawczasu zaaranżowanych okolicz-

nościach. A dziś nie ma przy sobie tej swojej tajnej gwardii makaroniarzy. I chociaż z jednej strony osłania go Jackie, a z drugiej Toots - dwóch grubasów, dwie żywe zapory - ludzie wciąż napierają, i to z poczuciem misji. Frank widzi, jak jeden po drugim postanawiają koniecznie z nim pogadać. Sztywne uśmiechy podpływają coraz bliżej. W dodatku Sinatra jest punktem odniesienia dla wszystkiego, co się akurat dzieje. Któryś zawodnik ładnie zagrał i zaraz wszyscy patrzą, co Frank na to. Roznosiciel piwa potknął się na schodach, więc upewniają się, czy Frank zauważył. Pochyliła się i mówi:

- Wiesz co, Jack, tu jest naprawdę w dechę, ale może być tak zakrył twarz ręknikiem, żeby państwo mogli zająć się meczem?

A ludzie chcą, żeby Gleason powtarzał znane fragmenty dialogów ze swojego programu. Sami wykrzykują żądane kwestie. Więc Frank pyta:

- A tak w ogóle to gdzie jest Hoover, do cholery? Bo jak nie wkroczy, to te kobity w końcu się dorwą do naszych pięknych ciał.

Kiedy łapacz, który dotąd stał w półprzysiadzie, prostuje nogi, widać brud wżarty w zmarszczki przecinające jego zaczerwieniony kark. Podnosi maskę, żeby splunąć. Cały jest w ochraniaczach i poduszkach, usta ma szorstkie, spękane, spierzchnięte od słońca. Plucie na oczach wszystkich to jego najbardziej wyzwolony gest. Plwocina kurczy się i drży, lądując na ziemi, i zaraz brązowieje, przybiera kolor piasku.

Na czas trwania środkowych zmian Russ Hodges przechodzi na drugą stronę kabiny, do tych z telewizji; mniej teraz mówi, kieruje się tym, co widzi na monitorze. W przerwie między zmianami statystyk częstuje go kawałkiem sandwicza z kurczakiem, który przyniósł sobie na drugie śniadanie.

- Co masz taką smętną minę? - pyta Russa.

- Nie wiedziałem, że w ogóle mam minę. Żadnej miny. Mina to coś ponad moje siły. Mogę najwyżej mieć oczy bez wyrazu.

- Wyraz zadumy - podpowiada statystyk.

No właśnie. Wie, że zgadł, bo Russ rzeczywiście jest smętny, rozkojarzony, cholernie dziwna sprawa, ten nastrój, w którym trwa od rana, taki jakby przechył *do* tyłu, ze starczym

skrzypieniem, i luz, jak u siwowłosego dziadka w fotelu na biegunach.

- Z czym ten kurczak?
- Pewnie z majonezem.
 - Wiesz, głupia sprawa - mówi Russ - ale to chyba przez Charlotte mam taką minę.
- Przez miasto czy przez jakąś panią?
 - Zdecydowanie przez miasto. Tyle lat nic tylko siedziałem w studiu i fingowałem sprawozdania z meczów zawodowców. Gdzieś na drugim planie klekotał klucz telegrafu, a Hodges po swojemu bił pianę, zmyślał dziewięćdziesiąt dziewięć procent akcji. I jeszcze coś ci powiem, jak słowo honoru. Możesz sobie myśleć, że to ostre przegięcie, ale kiedy tak tam siedziałem, marzyło mi się, żeby z kabiny na Polo Grounds w Nowym Jorku transmitować prawdziwy baseball.
- Prawdziwy baseball.
- Coś, co się dzieje w pełnym słońcu.

Ktoś ci podaje kartkę zapisaną literami i cyframi, a ty musisz zrobić z niej mecz. Więc tworzysz pogodę, ucieleśniasz zawodników, każesz im się pocić, sarkać, podciągać spodnie, swoją drogą to niesamowite - myśli Russ - ile przyziemnego rozgardiaszu, gorącego lata i kurzu wyobraźnia potrafi wykrzesać z jednej jedynej litery łaćńskiego alfabetu, ze znaku na papierze.

- Maglie rzuca rasowego rogała - mówi do mikrofonu.

Kiedy jeszcze odstawał te swoje mecze widma, lubił czasem przenieść akcję na trybuny, zmyślić chłopca goniącego za wybitą piłką, z czupryną jak marchewka, z grzywką na oczach (że też mi nie wstyd), opowiedzieć, jak smarkacz w końcu łapie piłkę i triumfalnie podnosi tę stu pięćdziesięciogramową, sztytą zygzakiem kulkę z korka, gumy, sznurka i końskiej skóry, pamiątkową baseballówkę, rzecz poniekąd bezcenną, która zdaje się rekapitulować przebieg meczu, ilekroć ktoś ją rzuci, uderzy lub jej dotknie.

Russ wkłada do ust ostatni kąsek sandwicza, oblizuje kciuk i uprzytamnia sobie, że tym razem wcale nie siedzi w pokoju bez okien, z telegrafistą i wiadomościami przesyłanymi alfabetem Morse'a.

Po stronie radiowców producent pyta:

- Czytałeś w gazecie z zeszłego tygodnia ten kawałek o Einsteinie?
- O jakim Einsteinie?
 - O Albercie, tym długowłosym. Jakiś reporter go poprosił, żeby obliczył szanse w rozgrywkach o porzeczek. No, wiesz: jedna drużyna zwycięża w iluś tam meczach, które jeszcze zostały do rozegrania, druga też w tyłu a tyłu. Ile jest miliardów możliwości? Kto będzie górą?
- A co on się, do diabła, na tym zna?
 - Jak widać, nie bardzo. Na zeszły piątek wytypował, że Dodgersi wyeliminują Giantsów.

Technik mówi coś przez koc do technika z KMOX-u. Koc jest dla nich taką nowością, że zaczynają nawijać grypsa. Kiedy przechodzą na murzyńską gwara, producent każe im przestać, ale oni po chwili znowu swoje, odstawiają dwóch czarnych, co się napalili trawy w zadymionej, rozszepanej piwnicy. Oczywiście po cichu, żeby mikrofon nie przeniósł. Dźwiękowy koloryt lokalny, coś jak przypadkowe szmery z budki rezerwowych - gadanina, tło, dodatek do meczu.

A ci na dole, przy łóżach na skraju boiska, chcą, żeby Gleason powiedział:

- Faj-faj-fajowska z was załoga.
- Russ wraca na stronę radiowców, kiedy Giantsi w swojej połowie szóstej zmiany schodzą, wciąż jeszcze o jeden punkt gorsi. Cieszy się, że nie ma termometru, bo jeszcze by go skorciło, żeby sobie zmierzyć gorączkę, a mógłby się wtedy podłamać. Pogoda dosyć sprzyja, chwała Bogu, chociaż deszcz wisi w powietrzu.
- Daj z siebie wszystko, Russ - mówi producent.
 - Żeby tylko głos mi nie wysiadł! Krtań mam jak w imadle.
 - Radio to radio, stary. Musi ci starczyć głosu. Pomyśl o słuchaczach. Każdy z tranzystorem przy uchu.
 - A toś mnie pocieszył!
 - Siedzą przyklejeni do odbiorników. Jesteś dla nich jak Murrow z Londynu.
 - Dziękuję ci, Al.
 - Oszczędzaj głos.
 - Staram się, jak mogę.
 - Transmisja idzie na cały świat. Wskaźniki Dow Jonesa wy-

stukują stan meczu razem z notowaniami giełdy. Ludzie słuchają we wszystkich barach w tym mieście, ręczę ci. Przemycają tranzytory na narady u dyrektorów. Podobno u Schraffa wyłączają tę kiczowatą muzyczkę, żeby podać wynik.

- Miłym paniom w sweterkach bliźniakach, pałaszującym wytworne sandwicze.
- Oszczędzaj głos - mówi Al.
- Mają tam w karcie herbatę z miodem?
- Jedzą i piją czysty baseball. Zapowiadacz w parku **Belmonta** między gonitwami podaje aktualny wynik. Transmisja leci w taksówkach, u fryzjerów i doktorów.

Wszyscy czekają, co zrobi miotacz, a on stoi ze złowróżbną miną, pochylony, zwisiwszy dłoń w rękawicy na wysokości kolana. Wytrwale próbuje odczytać cynk łapacza. Próbuje odczytać cynk. Pałkarz wierci się na swojej pozycji. Bo ten sukinkot potrafi przyładować.

Łącznik z drugiej bazy przestępuje z nogi na nogę, żeby przerwać trans oczekiwania.

Oto podstawowa zasada konfrontacji, sumiennie przestrzegana, wypisana na twarzach wszystkich tępawych miotaczy, od czasów drużyn o takich nazwach jak „Superpaka” czy „Oblubieńcy”. Kiedy kij trafi w piłkę, zmienia się cały układ. Nic nie jest już takie samo. Robi się ruch, zawodnicy przestają się czaić, wszystko zależy od podskoków piłki, od jej obrotów, wstecznej rotacji i prądów powietrza. W grę wchodzi współczynnik ciągu. Albo zawirowania asekuracyjne. Odgrywają też rolę sprawy niepowtarzalne, pamięć zawarta w mięśniach, tętniąca krew, kropki kurzu - fabuła, która żyje w nieformalnych przerwach między kolejnymi zagraniami.

Tłum także mieści się w owej zagubionej przestrzeni, przemieniony w tej jednej tysięcznej sekundy, kiedy kij spotyka się z piłką. Szelest pomruków i przekleństw, ciche pojękiwania na wydechu, twarze zmieniające wyraz, gdy akcja rozwija się wśród przestworu murawy. A w tłumie stoi John Edgar Hoover. Z szerokiego przejścia u szczytu rampy patrzy na boisko. Powiedział Rafferty'emu, że zostanie na meczu. Gdyby opuścił stadion, nic by to nikomu nie dało. Biały Dom za niecałą godzinę nada komunikat. Edgar nienawidzi Harry'ego Trumana, rad by popatrzył, jak prezydent wije się na parkiecie, powalony bólem

w piersi, ale nie może nie przyznać, że tamten zdążył na czas. Skoro pierwsi podamy rzecz do publicznej wiadomości, nie dopuścimy, żeby Sowietci naświetlili zdarzenie po swojemu. I trochę uspokoiemy ogół obywateli. Zrozumieją, że bomba wprawdzie wymknęła nam się z rąk, ale kontrolujemy przynajmniej wiadomości o niej. A nie jest to bynajmniej błahy problem. Edgar spogląda na twarze wokół siebie, szczerze i pełne nadziei. Pragnie czuć bliskość rodaków, pokrewieństwo z nimi. Wszystkich tych ludzi ukształtowanych przez wspólny język, klimat, popularne piosenki, przez to, co jedzą na śniadanie, przez opowiadane kawały, przez auta, którymi jeżdżą, nic nigdy tak bardzo nie łączyło jak fakt, że siedzą teraz w brudzie zagłady. Edgar usiłuje odnaleźć w sobie poczucie przynależności, otworzyć zakręcony kurek w swojej starej duszy. Cierpi jednak na dokuczliwą przypadłość, której nigdy nie zdołał nazwać, a ilekroć zagraża mu coś z zewnątrz, ze strefy moralnego upadku, którego przejawy widać na każdym kroku, stwierdza, że ta zewnętrzna groźba równoważy jego prywatną słabość, przywraca go do zdrowia. Wrzód żołądka wierzga, rzecz jasna. Lecz pewna strona osobowości Edgara, pewna jego cząstka wręcz karmi się siłą wroga.

Na odkrytej trybunie widzimy mężczyznę, który krąży w przejściach między ławkami, jakiś miejscowy wariat, wymachuje rękami i mamrocze, niski, przysadzisty, z gęstymi, rozczochranymi włosami: może to jeden z Braci Ritz lub zaginiony członek Trzech Frajerów, Czwarty Frajer imieniem Flippo, Dummy, Shaky czy Jakey, ale rozprasza widzów z sąsiednich miejsc, więc krzyczą na niego, siadajpan, idźzewcholere, *meszugene*, a on chodzi w tę i z powrotem i martwi się, kręcąc głową i jęcząc, jakby wiedział, że coś nadciąga, nadciągnęło albo już przeciągnęło, bo wariat wyczuwa subtelności, które umykają uwagi najcwańszych kibiców.

Kiedy Dyrektor wraca do łoży na siódmą zmianę, ma kamienną twarz. Oczywiście nic nie mówi. Gleason woła rozno-siciela, bo chce zamówić parę piw. Ludzie stoją, otrząsają się z napięcia i frustracji. Jakiś człowiek pomału przeciera okulary. Inny patrzy prosto przed siebie. Jeszcze inny przeciąga się, bo zeszytniał.

- Dla mnie brandy z wodą - mówi Toots.
- Nie bądź wiecznie mięczak - upomina go Jackie.

- Miej dla człowieka trochę uprzejmości - wtrąca Frank. - Jak na pijącego Żyda i tak zrobił postępy. Kumpluje się z przywódcami światowymi, o których nawet nie słyszałeś. Wszyscy prędzej czy później wpadają do jego knajpy i obalają z Tootsem brandzię. Może prócz Mahatmy Gandhiego. Ale ten to akurat dostał kulkę.

Gleason stroszy brwi, wytrzeszcza oczy i raptownie podnosi ręce w geście półgłówka, który doznał objawienia.

- Właśnie tego nazwiska za nic nie mogłem sobie przypomniać. To ten kurdupłowaty zmiennik pałkarza.

Ludzie wokół nich słyszą tylko piąte przez dziesiąte, reagują głównie na intonację i gesty, ale widzieli, jak Jackie całym sobą zbudował ten gag, więc zataczają się ze śmiechu, nim jeszcze zdążył dokończyć kwestię.

Edgar też się śmieje, chociaż temat krasnoludka wrócił na tapetę. Podziwia szorstką butę tych mężczyzn. Jakby wylewała się porami skóry. Ich postura, ich wrodzony animusz zdaje się wykpiwać wyniesioną ze szkółki niedzielnej kindersztubę Edgara, choć zarazem wabi go w ich hałaśliwy krąg. Edgar, jeden z tych Amerykanów, którzy wszystko sami sobie zawdzięczają, musi uszanować legendę małego włóczykija, wyrastającego z czasem ponad środowisko czynszówek, ponad zaułki śliskie od niebezpieczeństw. Stąd właśnie biorą się krzepkie egocen-tryzmy, różne apetyty. Jackie i Frank, ci babiarze, w obecności kobiet zachowują się z widowiskową swobodą. A Toots rzeczywiście zna każdego, kogo warto znać, i nawet Gleason prędzej wsiąknie w dywan, niż dorówna mu w picciu. A kiedy Shor przyjazną łapą ściśnie ci ramię, czujesz, że jest opatrnościową siłą, która zjawiała się, aby wywieść cię spośród mroków zadawnionego zgnębienia.

- Ta zmiana będzie nasza - mówi Frank.

A na to Toots:

- Oby! Bo coś mnie ci zasrani Dodgersi denerwują. Jackie podaje piwo wszystkim po kolei, tak jak siedzą w rzędzie.

- Wychodzi na to, że się zadeklarowaliśmy, z kim naprawdę trzymamy. Ujawniliśmy najgłębsze pragnienia. Mamy tu więc dwóch kibiców Giantsów, wiernych od lat. I tego morświna z fryzurą od golibrody z Brooklynu. A za kim jest nasz Główny

Tajniak? Może za Giantsami, bo oni też piszą się przez „G”? Przyznaj się, Jedgar. Kogo dopingujesz?

J. Edgar. Frank mówi czasem na niego „Jedgar”, a Dyrektor lubi to imię, chociaż nigdy nie daje po sobie poznać: średnio-wieczne, książęce, przebiegle mroczne miano.

Na twarz Hoovera wypełza wątlý uśmiech.

- Nikomu specjalnie nie kibicuję. Każdemu, kto zwycięży - półgłosem odpowiada Dyrektor. - Zwycięska drużyna to moja drużyna.

Myślami jest całkiem gdzie indziej. Myśli o tym, co będzie, kiedy wiadomość o sowieckiej bombie dotrze kolejno do wszystkich naszych sprzymierzeńców. Ta myśl napawa go posępną otuchą. W miniochych latach niejednokrotnie zmuszony był wchodzić w spółkę z szefami wywiadów kilku państw i życzy im, żeby sobie teraz troszkę umarli.

Patrzcie ich, tych czterech. Każdy ma w górnej kieszonce marynarki starannie złożoną chusteczkę. Każdy trzyma piwo w dłoni odsuniętej daleko od ciała, pochylając się, żeby ostrożnie spić z rąbka szklanki spiętrzoną pianę. Gleason z kwiatem w kłapie, z wilgotnym astrem zwędzonym z wazonu u Tootsa. A ludzie wciąż nalegają, żeby powtarzał grepsy ze swojego programu.

Chcą, żeby powiedział:

- Zdrowie wie-wie.

Sędzia główny stoi z maską w ręku, w ochraniaczach wygląda jak grubas. Pokazuje na palcach, ile razy miotacz rzucił na rozgrzewkę. Jest skromnym, wytrwałym sumieniem meczu. Nawet kiedy odpoczywa, znać po nim zawikłaną przeszłość, spędzoną na sporach z mężczyznami, którzy tupią, wzniecając kłęby kurzu, i wirują w stromych promieniach słońca. Zdradza to jego twarz, wysunięty podbródek, gniewne spojrzenie spod brwi. Kiedy doliczy do ośmiu, strzyknie sokiem tytoniowym i sięgnie po szczoteczke, żeby nią przeczyścić gumową płytę.

Na trybunie Bill Waterson ściąga marynarkę i dynda nią w powietrzu, trzymając za kołnierz. Jest wygnieciona, zmiętoszona, a on patrzy na nią jak na żywy organizm, któremu miałby ochotę palnąć surowe kazanie. Zwija ją w kłębek i rzuca na ławkę. Cotter już usiadł, ale prawie wszyscy wokół niego stoją. Wydaje się malutki przez kontrast z Billem, postawnym facetem o wy-

gładzie byłego sportowca, chociaż w pasie trochę już otyłym, w koszuli mokrej pod pachami. Szczęśliwa siódemka. Cotterowi pilnie potrzebny jest choćby jeden marny bieg, bo inaczej chłopak wpadnie w rozpacz - najnędnieszy, mozolny, niezasłużony bieg, jaki kiedykolwiek wymęczono w dziejach baseballu. Bez niego Cotter da za wygraną. A sam wiesz, jak to jest, kiedy dasz za wygraną przed końcem meczu, a potem twoja drużyna łapie drugi oddech i dokonuje wielkich czynów, ciebie zaś z wolna zalewa fala mdlącego wstydu, coś jak szlam z dna sadzawki.

Nad głową słyszy głos Billa:

- Jak rozprostowuję kości przed siódmą zmianą, to się nie oszczędzam. Nie tylko wstaję, ale naprawdę się przeciągam.
- Zauważyłem - mówi Cotter.
- Bo to już taki zwyczaj, od pokoleń. Część rytuału. Prywatna tradycja kibica. Człowiek wstaje, przeciąga się. To nawet rodzaj przywileju.

Bill niezłe się bawi, demonstrując różne wymyślne sposoby przeciągania się: jak kulturysta albo jak kot, a potem namawia Cottera, żeby się przeciągnął jak senne dziecko w klasie.

- Mówiłeś mi już, jak masz na imię?
- Cotter.
- Na tym właśnie polega baseball, Cotter. Robisz to, co inni robili przed tobą. W ten sposób się z nimi łączysz. Z pokolenia na pokolenie. Facet zabiera syna na mecz i właśnie o tym meczu rozmawiają trzydzieści lat później, kiedy biedny stary niedojda dogorywa w szpitalu.

Bill zgarnia z ławki marynarkę, siada i kładzie ją sobie na kolanach. Po kilku sekundach zrywa się na równe nogi i wraz z Cotterem patrzy, jak Pafko zalicza dwie bazy. Zrywa się cichy ryk, puszysty i gęsty, a kibice spuszczają pod mur kolejną porcję papierków. Stare spisy sprawunków, skasowane bilety, gazety zgniecione w kulę spadają wokół Pafki w spleśniałym świetle popołudnia. Nieco dalej, na lewym polu, papier z rąk kibiców sypie się na wybieg rezerwy Dodgersów, na Labine'a i Brance, którzy dalej się rozgrzewają, na dwóch zawodników łapiących ich piłki, na mężczyzn, którzy siedzą pod skośnym daszkiem wystającym z muru, żują gumę i nie mają nic do powiedzenia.

Branca z trzynastką na plecach.

- Widzisz, mówiłem ci - powiada Bill. - No, nie mówiłem? Mówiłem. Odrabiamy straty.

- Ciągłe jeszcze nie zaliczyliśmy biegu - stwierdza Cotter.

Siadają na ławce i patrzą, jak pałkarz spogląda wzdłuż linii boiska na Durochera, który ze swojego trenerskiego stanowiska przy trzeciej bazie daje mu nieme znaki. Bill wstaje, podwija rękawy i zaczyna dopingować zawodników, rzucając zwykle w takich razach słowa prosto z serca, pełne żaru.

Cotterowi podoba się niezłomna determinacja tego człowieka, waga, jaką przywiązuje on do wiary i zaufania. Bo tylko dzięki nim można oprzeć się mocy zwątpienia. Chłopiec czuje, że to chyba początki przyjaźni. Sprawia to swobodny ton Billa, jego sportowa, spocona, -zwalista poufałość, no i fakt, że kiedy Cotter mówi, mężczyzna słucha, i w ogóle pozwala mu poczuć się tak, jakby łączyła ich długa i bliska zażyłość - coś, co ludzie nazywają komitywą. Chłopcu chwilami robi się trochę dziwnie, bo jeszcze nie przywykł, że tak sobie rozmawiają we dwóch, ale jest też w tym wszystkim pewna opiekuńczość, otulina, która w razie czego pomoże mu pogodzić się z przegraną.

Lockman staje twarzą do miotacza, żeby uderzyć skróttem z biodra.

Pewien mężczyzna piętro wyżej na trybunie przegląda najnowszy numer „Life'u”. Pewien mężczyzna na dwunastej ulicy w Brooklynie podłączył do radia magnetofon i nagrywa transmisję Russa Hodgesa. Sam nie wie czemu. Ot, impuls, zachcianka, żeby dwukrotnie wysłuchać sprawozdania, przeżyć jednocześnie młodość i starość, będzie to zresztą jedyne znane nagranie słynnej relacji Russa z ostatnich chwil meczu. No właśnie, mecz i różne jego odpryski. Kobieta gotująca kapustę. Mężczyzna, który chciałby przestać pić. Są dalekim echem duszy meczu. Złączeni pulsującym głosem z radia, powiązani z gminną wieścią, która na ulicy z ust do ust powtarza sobie wynik, zjednoczeni z kibicami dzwoniącymi pod specjalny numer i z tłumem na stadionie, który staje się obrazem na ekranie telewizora: ludziki wielkości ziarenek miniaturowego ryżu, mecz jako plotka, domysł, poufna wersja dziejów. W Bronksie pewien szesnastolatek wychodzi z radiem na dach, żeby posłuchać w samotności - kibic Dodgersów oklapnięty pośród zmierzchu - no i słyszy opowieść o kiksie pałkarza i o lobie, dzięki któremu

tamci zremisowali, więc spogląda na dachy, smoliste plaże poprzecinane sznurami do bielizny, na gołębniki, na rozplaszczony prezerwatywy, i przenika go zimny dreszcz. Od meczu wcale nie zależy to, jak śpiesz, myjesz twarz albo ruszasz żuchwą, gdy jesz. Zależy od niego tylko twoje życie.

- Nareszcie chociaż jeden bieg - mówi producent.

Russ jest wymęczony, bracie, sterany, wymiętoszony i nie uczesany. Na początku ósmej zmiany oznajmia słuchaczom, że te dwie drużyny rozegrały już sto pięćdziesiąt cztery mecze ligowe, a do tego dwa spotkania w ramach trójmeczcu i siedem pełnych zmian trzeciego, no i utknęły na remisie, w ślepej uliczce, w martwym punkcie, drodzy państwo, więc zapalcie che-sterfielda i zostańcie przy odbiornikach.

Następne pół zmiany wlecze się chyba z tydzień. Cotter widzi, że Dodgersi zaliczają pierwszą i trzecią. Patrzy, jak Maglie puszcza rogala, który kozłuje w piachu. I patrzy, jak Cox strzela aż za trzecią bazę. W tłumie narasta głuchy krzyk, lament mężczyzn wołających z dalszych rzędów, zwierzęce zawodzenie pełne nabożnego lęku i rozpacz.

Russ widzi z kabiny, że tłum zaczyna tracić spoistość, ludzie siadają to tu, to tam na twardych schodkach, jakiś duchowny idzie pod górę przejściem między ławkami, za nim gęsiego gromadka chłopców, a papierki koziółkują i pomykają, targane wiatrem. Przez koc słychać głos sprawozdawcy z St. Louis: Harry Caray szczebiocze po swojemu, więc Russ przypomina sobie japońskie słowo oznaczające rytualne wypatroszenie i stwierdza w duchu, że powinien zamienić się z Harrym imionami i nazwiskami, najwyższy czas.

Z nieba spływa światło, Dodgersi zaliczają kolejne biegi, w przejściu między ławkami jakiś mężczyzna schodzi w dół tanecznym krokiem, Murzyn z kozią bródką, w koszuli a la Bing Crosby. Wszystko się zmienia, przeistacza.

Cotterowi z trudem udaje się wykrztusić parę słów.

- I co z tego - pyta - że wyrównali, jak zaraz potem robią w tył zwrot i dają się wdeptać w ziemię?
- Patrz, wchodzą do boksu i ręcę ci, że nie zrezygnują -mówi Bill. - Ta drużyna nigdy nie da za wygraną. Więc nie

rób mi tu takiej żalosalnej miny, Cotter. Przyszły na nas złe czasy, ale jesteśmy kumple, musimy trzymać sztamę.

Cotter czuje, że ogarnia go dziwny nastrój, skomplikowany żal nad sobą; z rąk ulatnia mu się cała siła, a w głowie jakiś głos zaczyna go besztać za to, że mu w ogóle zależy. Co gorsza, chłopiec delektuje się tym stanem. Umie znaleźć jakieś pokrętne zadośćuczynienie w porażce, w nieudacznictwie, przeciąga sprawę, rozwleka, znajduje w niej mdlącą słodycz, staje się kimś starannie wybranym do tej roli.

Jest 4:1.

Szkoda, że w trzeciej albo czwartej zmianie nie spadł deszcz. Rzęsista ulewa. Szkoda, że nie nadciągnęła burza z piorunami.

- Ja tam wciąż w nich wierzę - oświadcza Bill. - A ty?

Miotacz zdejmuje czapkę i pociera przedramieniem to miejsce na czole, gdzie zaczynają się włosy. Duży Newk. Potem dmucha w czapkę. Macha nią i wreszcie wkłada z powrotem. Shor spogląda na Gleasona.

- A ty dalej bijesz pianę. Daj raz ludziom spokój. Przyszli obejrzyć mecz.
- Jaki znowu mecz? Manto, i tyle. Chodźmy do domu.
- Nie idziemy do żadnego domu - oznajmia Toots.
 - Zdażylibyśmy, nim zaczną się korki, ty głąbie - odpowiada mu Jackie.
- Zróbmy głosowanie - proponuje Frank.
 - Ty gruzlicza mordo - mówi Toots. - Siadaj i patrz na mecz. Bo nikt się stąd nie ruszy przede mną, a ja się nigdzie nie ruszam.

Jackie machnięciem ręki przywołuje sprzedawcę piwa i stawia wszystkim kolejkę. Kiedy w ósmej zmianie gospodarze są przy piłce, nic się nie dzieje. Ludzie ruszają w stronę ramp wyjściowych. Na wybiegu rezerwy rozgrzewają się Erskine i Branca, a z górnego piętra trybuny spadają na nich co pewien czas pojedyncze papierki. W końcówce dziewiątej zmiany Dodgersi nie zaliczają punktu i właśnie wtedy pojawia się jakieś bezradne rozproszenie, w powietrzu czuć jego smak, słysząc je w wilczych pohukiwaniach z najwyższych rzędów. Co z siebie dałeś, tego już nie odzyskasz, więc sam nie wiesz, czy chcesz zaraz sobie pójść, czy zostać już tak na zawsze, zamieszkać pod kocem dla ochrony przed wiatrem.

- Fajny sezon, chłopcy - **mówi** technik. - Powtórzmy go kiedyś.

Ścisk w kabinie, cała ta stłoczona męskość trochę działa Russowi na nerwy. Hodges zapala kolejnego papierosa i po raz pierwszy od rana nie ma sobie tego za złe. Słyszy czyjeś samotne zawodzenie, słyszy, jak jego statystyk rzekomą francuszczyzną odmawia litanię liczb. Wszystko łączy się w jednym, we wspomnieniu pewnego faktu, który udało się złożyć w kilkoro, zwinąć w harmonijkę i ukryć, w szkolnej ponurości sięgającej korzeniami o całe dziesięciolecia wstecz - aż po ostatni, brzemienisty dzień letnich wakacji, kiedy wybór dostępnych zabaw zwęza się jak czubek śruby. Russ nigdy nie zdołał wyrzucić z pamięci tego dnia, ostatniej niedzieli przed pierwszym szkolnym poniedziałkiem. Niedzieli, która niosła przedziwny, głęboki cień aż na zachodni skraj popołudnia.

Chciałby wrócić do domu i popatrzeć, jak córka jeździ na rowerze ulistnioną ulicą.

Dark bierze zamach i strzela singla akurat między dwóch śródpolowych, a piłka leci, jakby miała oczy, i odbija się od czubka rękawicy zawodnika z pierwszej bazy.

Nad górną krawędzią koca pojawia się czyjaś głowa: technik z KMOX-u zaczyna opowiadać kawał o najszybszym kochanku w całym Meksyku - *in Meyhiko*. O niesamowitym facecie nazwiskiem Speedy Gonzales.

Russ myśli: zaliczona baza, no jasne, ale odruchowo spogląda na tablicę z godłem klubu, wiszącą dokładnie na osi stadionu, bo chce się upewnić, czy pierwsze „E” w słowie CHESTER-FIELD nie zaświeciło się, wskazując *error*, czyli błąd.

Z prawej Robinson wyłapuje piłkę z mniejszego dystansu.

- Jeden facet pojechał w podróż poślubną do Acapulco i na słuchał się różnych historii o tym, jaki nieprawdopodobnie cwa ny jest Speedy Gonzales, więc serio się przejął, bo taki już z niego nerwowy typ, no i w pierwszą noc, tę noc nad nocami, leży z żoną w łóżku i serdecznym palcem zatyka jej pizdę, żeby Speedy nie wykorzystał chwili nieuwagi i się nie zakradł.

Mueller wychodzi na pozycję, pierwszą piłkę przepuszcza, bo leciała za nisko.

W boksie Dodgersów jeden z trenerów podnosi słuchawkę

i po raz osiemnasty dzwoni na wybieg rezerwy, żeby spytać, kto rzuca dobrze, a kto nie bardzo.

Mueller widzi szybką piłkę nadlatującą na wysokości pasa, odbija w prawo i zalicza bazę.

- Ale cholernie chce mu się palić, więc na sekundę sięga po papierosy i zapalki.

Russ opisuje wejście Darka w trzecią bez wślizgu. Widzi Thomsona, który z podniesionymi rękami stoi w boksie i odwróconymi dłońmi trzyma się za brzeg daszku. Opisuje ludzi stojących w przejściach i tych, co schodzą bliżej boiska. Irvin upuszcza specjalnie obciążony kij.

- Szybko przypala i znów skacze do łóżka, palcem naprzód.

Maglie siedzi już w pawilonie, ubrany tylko w bawełniany podkoszulek i szorty, jak to po zawodach: złachany, cuchnący meczem, wygląda, jakby doznał ciężkich obrażeń na duszy, i doi piwo prosto z butelki.

Irvin staje na pozycji.

Russ opowiada, jak Newcombe bierze głęboki oddech i przeciąga się, wysoko podnosząc ręce. I jak czeka na znak łapacza.

- A Speedy Gonzales mówi: Sen-jor-or, pan żeś mi wsadził palec w du-upę.

Russ słyszy prawie całą tę anegdotę, chociaż wolałby nie słyszeć. Sam też pozwala sobie na krótki żart, trochę się przy tym podnosząc z krzesła, żeby połą marynarki osłonić mikrofon, bo ani jedna sprośna sylaba nie ma prawa dotrzeć do uszu słuchaczy. Przy odbiornikach siedzą przecież przyzwoici ludzie.

Szybka piłka leci o wiele za wysoko.

W zgiełku tłumu słychać wahanie. Ludzie nie bardzo wiedzą, czy to drugi oddech, czy po prostu przewlekła końcówka, tylko przedłużająca męczarnię. Nad stadionem wznosi się przenikliwy jazgot, który kojarzy się Russowi z niespokojnym wyczekiwaniem na dworcu kolejowym.

Irvin próbuje wybić na prawo, ale przedobrzą, i Russ słyszy, jak w duszy tłumu odzywa się echem żalony łuk, który kreśli piłka, jękliwa samogłoska bezszelestnie spadająca na ziemię. Zgarnia ją zawodnik z pierwszej bazy.

Przyzwoici ludzie przy odbiornikach. Russ chciałby wierzyć, że wciąż jeszcze tworzą jakąś konkretną zbiorowość, bractwo

zgrupowane przy radiach, sieć dawnych nici, więzi i powinowactw.

Na stanowisko pałkarza wchodzi Lockman, jasny blondas z Karoliny.

Russ wspomina, jak całą rodziną zasiadali przy gramofonie i słuchali wielkich oper, wibrujących „rrrr” ze starej Europy. Myśli te już to blakną, już to powracają. Ale nie rozpraszają go. Czujnie śledzi każdy ruch na boisku.

Dwaj marynarze schodzą z trybuny aż do samej poręczy przy trzeciej bazie.

A płyty były nagrane tylko po jednej stronie i takie kruche, że pękłyby, gdyby na nie spojrzeć zezem. Tak przynajmniej żartowano.

Siedzi zgarbiony nad mikrofonem. Boisko rozpościera się, rozmienia na rzeczowniki i czasowniki. Russ musi tylko mówić, nic więcej.

Na przykład:

- Carl Erskine i Ralph Branca, ten od błyskawicznych piłek, dalej rzucają na wybiegu rezerwy.

Rzut.

Kiks Lockmana, piłka trafia w siatkę.

Rozlegają się rytmiczne oklaski, z początku niepewne, ale stopniowo ogarniają i szczelnie wypełniają cały stadion. W ten sposób tłum włącza się do gry. Raz po raz powtarzane trzy klaśnięcia mają w sobie siłę upadłej wiary, rozpaczliwej woli, która pragnie przywołać magiczne moce przypadku.

Lockman znów staje w pozycji, lekko kołysząc żółtym kijem.

I jak matka kazała mu płukać gardło ciepłą wodą z solą, kiedy się skarżył, że go boli.

Lockman za drugim razem trafia nisko nad trzecią. Russ słyszy, że po drugiej stronie koca Harry Caray krzyczy do mikrofonu. Po chwili obaj krzyczą, a piłka mknie w stronę linii bocznej i ląduje w polu, wzbijając obłoczek kurzu, więc Pafko znowu musi pobiec w sam róg.

Mężczyźni biegną, jeden przebiega sprintem z pierwszej na trzecią, a ten, co zaliczył punkt, biegnie tyłem, śledząc akcję między bazami. Wszyscy Giantsi stoją przed boksem. Tłum zerwał się na równe nogi, ludzie wykręcają sobie szyje, żeby lepiej

widzieć. Mężczyźni biegną, a z góry wali się na nich lawina zgielku.

Miotacz wycelował poza bazę domową, w niespodziewanym kierunku, a Harry zaczął krzyczeć.

To trafienie unicestwiło równomiernie wyklaskiwany rytm. Ludzie ryczą co sił w płucach, wrzask narasta, przybywa mu mocy i pasma. Oto tłum przeistoczony, odrodzony.

Harry zaczął krzyczeć, Pafko pobiegł do rogu, a wtedy Russ też się rozkrzyczał i znowu posypał się papier.

Jeden zdjęty z boiska, jeden bieg zaliczony, dwa do tyłu, zawodnicy na drugiej i trzeciej. Russ ma wrażenie, że każde słowo może być ostatnim. Czuje czerwień w gardle tak zaciśniętym, że szpilki nie wetknie. Mueller dalej leży przy trzeciej, nabawił się kontuzji, robiąc ślizg, a może i bez ślizgu, kiedy zarył się w miejscu i zahaczył kolcami o poduszkę, leży zbolaty, pieką go naderwane ścięgna.

Znowu prószony papier, pogniecione mandaty policyjne, drobno pokruszone pety, biurowe robótki, programy meczu poskładane w samolociki, unoszone wiatrem, przeważnie białe, a Pafko wraca spacerkiem na stanowisko, po drodze zmieniając krok, żeby lekko kopnąć papierową szklankę po coli, i gest ten jest czymś w rodzaju znaku, dyskretnym przejawem harmonii między drużyną a kibicami, bo Pafko trąca białą szklankę wewnętrzną stroną buta, delikatnie, bez urazy - na dowód szacunku dla szczywnych podstępów baseballu, jego nieodgadnionych ścieżek.

Na boisko wychodzi lekarz, a Muellera kładą na noszach i niosą do pawilonu. Ból kontuzjowanego, danina, którą zawodnik składa meczowi - człowiek na noszach wygląda tu zrozumiale.

Dzięki przerwie w grze zgielek tłumowi wznosi się na całkiem nowy poziom. Russ milknie co chwila, chwytając mikrofonem ten pomruk. A ma on wymiar, jakiego Hodges nigdy przedtem nie słyszał. Nie jest to już doping ani klaka, tylko terytorialny ryk, zaborczy zew skoncentrowanego „ja”, odróżniający ten tłum od innych bytów, takich jak wiece polityczne czy bunty więźniów - od wszystkiego, co mieści się poza murami stadionu.

Russ przytyka usta do mikrofonu i stara się uspokoić, chociaż prawie krzyczy, bo inaczej nikt by go nie usłyszał.

Zawodnicy stoją grupką na pagórku, menago daje ręką znak

w stronę wybiegu rezerwy, jeden miotacz wchodzi na boisko, drugi schodzi, a biegacz, który ma zastąpić Muellera, robi przysady przy trzeciej bazie.

Kibice bębnią w dach kabiny.

- Więc nie odchodźcie od odbiorników - mówi Russ. - Za palcie chesterfielda. A my też zostaniemy na miejscach i popa trzymamy, jak się spisze duży Ralph Branca.

Tak. To Branca nadchodzi w wilgotnym blasku reflektorów. Ten właśnie Branca, wysoki i rosły, który mimo to wygląda, jakby taszczył ze sobą wszystkie swoje wzgórza i doliny, jakby dźwigał brzemię. Opadające powieki, ołowiane stopy, gruba fałda na czole. Jego twarz jest tleni dla posepnego, ponuro nawis-łego nosa o szerokim skrzydełku.

Policjanci ochraniający stadion zajmują stanowiska.

Na górnym piętrze trybuny widzimy mężczyznę, który wydziera kartki z „Life'u" i nie gniotąc, puszcza je za poręcz, a one szybują i zygzakiem opadają na głowy ryczących kibiców z dolnych ławek. Przyszła mu taka ochota, bo wszędzie wokół niego prószony papier, to po prostu zaraźliwe - beztroski zawrót głowy, nienazwana zabawa. Mężczyzna przestaje śledzić przebieg meczu, bo woli puszczać kartki przez poręcz. Łączy się w ten sposób z innymi siewcami papieru i z kibicami z niższego piętra, którzy wyciągają ręce i chwytają jego kartki: wspólnie tworzą jakby drugą siłę, równoległą do akcji na boisku.

Nieopodal inny mężczyzna czuje szarpnięcie w piersi, drętwieją mu ręce. Chciałby usiąść, lecz nie wie, czy zdoła wyciągnąć rękę, żeby podeprzeć się i z wolna osunąć na ławkę. Serce, moje serce, mój Boże.

Branca ma dwadzieścia pięć lat, ale wygląda jak wcielenie pradawnego mozołu. Nim dotrze na wzgórek, sanitariusze wniosą Muellera po schodach do pawilonu. Tłum zdążył już zapomnieć o kontuzjowanym. Zapomniałby nawet o martwym. Znowu narasta harmider. Branca bierze piłkę do ręki, a zawodnicy otaczający pagórek rozchodzą się na boki.

Shor spogląda na Gleasona.

- I co, chcesz wracać? - pyta. - Już nie mówisz: ja chcę do domu? Jak teraz wyjdziemy, to zdążymy, nim zaczną się korki. Wy, pacany - dodaje. - Obydwóm wam się należą wszystkie najgorsze nieszczęścia, aż pomysłów mi brak.

Jackie rzeczywiście ma dosyć nieszczęśliwą minę. Rozluźnia krawat i odpina górny guzik koszuli. On jeden z całej czwórki nie stoi, ale wcale nie dlatego źle się czuje, że na boisku przechyliły się szale. To przez to chłanie od rana i tłuste żarcie.

- No, powiedz, że chcesz do domu - ciągnie Shor - to polecę przodem i przytrzymam ci drzwiczki auta, żebyś miał wygodniej.

Wokół nich spada na ziemię papier; wielkie gładkie kartki z ilustrowanego czasopisma w ogólnym zamęcie nie robią wrażenia. Frank chwytą jedną: reklama na całą stronę zachwala tak zwany wyrób serowarski otrzymany z zastosowaniem pasteryzacji, firma Borden, to ta z krową; kolorowa fotografia przedstawia żółtawą, sprasowaną miazgę, która ohydnie się roztopia na hot dogu.

Frank z beznamiętną miną pokazuje Gleasonowi stronicę.

- Patrz - mówi. - Dobrze ci zrobi na trawienie.

Jackie siedzi jak pasażer samolotu w zstępującym prądzie powietrza. Kartki wciąż spadają. Odżywki dla dzieci, kawa błyskawiczna, encyklopedie i samochody, foremki do gofrów, szampony i tanie gatunki whisky. Sielankowe czasy, optymistyczna obfitość, która udziela się rubrykom aktualnych wiadomości: krajowi farmerzy właśnie odnotowują klęskę urodzaju. No i te wspaniałe wyroby, choćby połysk packarda powtórzony echem w artykule o skarbach sztuki zgromadzonych w Prado. Wszystko jest jednym. Rubens i Tycjan, i Playtex, i Motorola. A oto zdjęcie samego Sinatry, gdy siedzi w nocnym klubie w Nevadzie z Avą Gardner, ma kobita czym oddychać, nie? Frank nawet nie wiedział, że trafił do najnowszego numeru „Life'u”, póki ta kartka nie spadła z nieba. Ma przecież ludzi od tego, żeby mu donosili o takich rzeczach. Chowa stronicę do kieszeni, sięga po następną i podtyka ją Gleasonowi. Reklama budweisera, sta-reńki. W kraju, który stara się jak najprędzej przelecieć przyszłość, nazwy produktów napawają otuchą. Johnson & Johnson, Quaker State, RCA Victor, Burlington Mills, Bristol-Myers i General Motors. Czcigodne symbole kwitnącej gospodarki, łatwiej je wyliczyć niż pola bitew albo martwych prezydentów. Nie żeby Jackiemu akurat się chciało przeglądać czasopismo. Pogrążony w głębokiej inercji, pomалу oblewa się cuchnącym potem, a w ustach ma przedsmak jakichś wewnętrznych przemieszczeń na wielką skalę.

Branca na koniec rozgrzewki rzuca po raz ostatni i skręcając rękawicę, wskazuje, że piłka polecą łukiem. Mniejsza o szczegóły zachowania i wyglądu, o to, jak w chwilach spoczynku prezentuje się jego ciało dźwigacza. Na pagórku jest silny i gibki, bierze zamach i płynnym ruchem strzela w stronę głównej płyty: chce mu się piłki.

Z prawego pola obserwuje go Furillo. Profil wykuty w kamieniu.

Ten rozczochny na odkrytej trybunie wciąż chodzi w tę i z powrotem, jęczy, kręci głową - no niech ktoś wezwie facetów w białych uniformach, niech klienta zabiorą. Gada do siebie, głowa mu lata z prawa w lewo jak ulicznemu kaznodziei, który stoi na rogu i z żarem opowiada o jakiejś odległej pladze, zbliża-; jące się krok za krokiem. „Siadajpan, zamknij się” - mówią mu.

Frank podtyka Gleasonowi kolejne kartki.

- Szam, stareńki - zachęca. - Papier czyści podniebienie.

A wtedy na pozycję wychodzi Thomson.

- Wysoki żwawy Szkot. Ustawia się, powtarzając sobie w myślach dobre rady. Nie spuszcza piłki z oka. Czekaj na piłkę.

Russ ściska w dłoni mikrofon. Ciepła woda z solą. „Wypłucz” - mówiła matka.

Thomson nie jest pewien, czy widzi wyraźnie. W oczach mu szumi. Czuje całym ciałem, jakby się zarywał w ziemię, wrastał w pozycję; zgłęb tłum wypełnia niebo, a on ma wrażenie, że stracił kontakt z rzeczywistością. Sam jeden w tym całym rejwachu. Nie spuszcza piłki z oka. Patrz i czekaj. Szczerze mówiąc, Bobby jest trochę skołowany. Jak w tej pierwszej sekundzie, kiedy budzisz się rano i nie wiesz, w czym jesteś domu.

- Bobby Thomson bierze zamach - mówi Russ.

Między boksem a główną bazą w kółku dla rezerwowych pałkarzy Mays przykleknął na jedno kolano, lekko opiera się na kiju, który trzyma w objęciach, i patrząc, jak Branca bierze zamach, pchnij-ciąg pstryk-pstryk, myśli o tym, że właśnie od niego wszystko będzie zależało, jeśli nie powiedzie się Thomsonowi, zmęczonemu ciężkim sezonem, a rymowanka wciąż chodzi mu po głowie, coś jakby radio ogarniało powietrze, układało w nim mozaikę, samo się wyłącza, jak dojrzeje.

Pod trybuną jest punkt pogotowia ratunkowego, więc policjant z ochrony stadionu musi jakoś dostarczyć tam zawałowca i nie

dać się przy tym stratować rozhukanemu, tupiącemu tłumowi. Chory prezentuje się nie najgorzej, zważywszy okoliczności. Siedzi i czeka na sanitariusza z wózkiem inwalidzkim. No, może zresztą wcale tak dobrze nie wygląda. Błady, chory, stroskany, z zawałem. Ale jeszcze potrafi zacisnąć pięść i wystawić język, a policjant i tak niewiele zdziała, póki nie nadjedzie wózek, więc równie dobrze może sobie stanąć w przejściu i obejrzeć końcówkę meczu.

Thomson, pochylony, z podbródkiem przyciśniętym do piersi, czeka.

- Jeszcze jeden rzut, ostatni w dziewiątej zmianie - mówi Russ. - Branca rzuca, Thomson przepuszcza, piłka przelatuje nad wewnętrznym rogami - dodaje, wkładając dobre parę de cybela w słowo „przelatuje”. Przerzywa na moment, żeby tłum zdążył zareagować. Nie wolno mówić przeciw tłumowi. Niech publiczność sama udramatyzuje sytuację.

Wielkie kolorowe stronice szybują z górnego piętra.

Lockman stoi przy trzeciej bazie i usiłuje zaczarować kij Thomsona, żeby idealnie trafił. O, może takie właśnie uderzenie mu się marzyło. Bite na wysokości pasa, trochę do siebie - nieprędko zobaczymy równie dobre.

- Bobby wychodzi na dwieście dziewięćdziesiąt dwa - mówi Russ. - Zaliczył już singla i debła, i to właśnie on wypracował dla Giantsów pierwszy bieg, kiedy puścił w środek tego długie go loba.

Lockman spogląda ponad polem wewnętrznym w stronę bazy domowej. Debel, którego trafił, wciąż jeszcze tkwi mu w piersi, dyszy w niej, cielesna pamięć odtwarza tamtą chwilę. Lockman patrzy w trójkątną lukę między kolanami łapacza. Widzi, jak toporna dłoń z wyciągniętymi palcami macha w górę i w lewo. Dla zmyłki pošłą mu wysoką, szybką piłkę, z której wyjdzie rogal ze skrzętem na zewnątrz. Zgrabny dwufazowy plan. Z tego miejsca wydaje się, że to łatwe i miłe zagranie.

- Brooklyn prowadzi czterema do dwóch - ogłasza Russ. - Dalej na linii biegacz przy trzeciej. Dla pewności.

Thomson myśli, że wszystko dzieje się zbyt prędko. Myśli: refleks w rękach, patrz na piłkę, daj sobie szansę.

- Lockman dopiero przy drugiej, ale pogna jak wiatr, jeżeli Thomson trafi.

W łozy J. Edgar Hoover zdejmuje sobie z ramienia kartkę czasopisma, która mu tam przylgnęła. W pierwszej chwili jest zły, że dotknął go ten obcy przedmiot. Potem jednak spogląda na ilustrację. Jest to barwna reprodukcja obrazu z tłumem średniowiecznych postaci, umierających i już umarłych - wizjonerski pejzaż pełen zamętu i zniszczenia. Edgar nigdy nie widział takiego malowidła. Zajmuje ono całą stronicę i w czasopiśmie też pewnie rzucało się w oczy. Po czerwono-brunatnej ziemi maszerują wojska szkieletów. Ludzie nadziani na włócznie, powieszani na szubienicach, rozpięci na kołach ze szprychami, przytwierdzonych do wierzchołków bezlistnych drzew, ciała rozplatane, wydane wronom na pastwę. Legiony zmarłych stają w szyku, zasłaniając się tarczami z trumiennych wiek. Śmierć we własnej osobie dosiada szkapy o drabiniastych żebrach, głodna krwi, z kosą w pogotowiu zagania nawiedzone roje ludzi ku wejściu do jakiejś piekielnej pułapki, dziwnie nowoczesnej konstrukcji, która mogłaby być tunelem metra albo biurowym korytarzem. W tle widać spopielone niebo i płonące statki. Edgar wie, że to kartka z „Life'u”, i usiłuje wzniecić w sobie gniew, bo niby czemu pismo zwane „Życiem” postanowiło zamieścić reprodukcję obrazu o tak makabrycznej, potwornej wymowie? A jednak nie może się od niej oderwać.

- Branca rzuca - mówi Russ Hodges.

Gleasonowi wrywa się ni to westchnienie, ni to jęk. Coś jakby szelest, szmer przyboju na plaży pod palmami. Edgar przypomina sobie ten wcześniejszy wstrząs, kiedy Gleasona zaczęło nagle dławić. Widzi, że tym razem zanoszą się na poważniejszą aferę. Wychodzi pomiędzy ławek i staje w przejściu o dwa stopnie wyżej, dystansując się wobec rychłego wytrysku substancji zwierzęcej, roślinnej i mineralnej.

Niewygodnie jest odbijać taką piłkę, podkreconego loba. Lecz Thomson bierze zamach i wali jak tomahawkiem, a wszyscy, ale to wszyscy - patrzą. Oprócz Gleasona, który siedzi zgięty wpół, z dłońmi szczepionymi na karku, a z ust dynda mu oślizgłe kremowe pasemko.

- Ta to polecą daleko - mówi Russ.

Głos ma naładowany, brzemienny oczekiwaniem.

- Musi - dodaje.

Wokół niego wszystko zamiera. Pafko pędzi do rogu przy lewym polu.

- Pewniak - mówi Russ.

Pafko pod murem. Zadziera głowę i patrzy. Ludzie myślą: no, gdzie ta piłka? Sekunda zwłoki, opóźnienie - o włos. A Cot-ter stoi w sektorze trzydziestym piątym i widzi, że ona leci prosto w jego stronę. Czuje własne ciało, rzadziejące jak dym. Tracąc z oczu piłkę, która wlatuje nad nawis górnego piętra, chłopiec myśli: ona zaraz wyląduje tam na górze. Nim jednak zdąży się uśmiechnąć, krzyknąć albo klepnąć sąsiada po ramieniu, nim zdąży dać się porwać tej chwili, piłka wraca, widać wirujące szwy, tak bowiem blisko trafia, odbijając się pod kątem od filaru - a wszędzie wokoło zaczynają migotać dłonie.

Russ czuje wokół siebie tłum, dreszcz przebiegający trybuny, a potem nagle krzyczy w mikrofon i zrywa się wielobarwny, ruchliwy przyływ, gdzieś wysoko strzela grzmot i roznosi się po stadionie, dłonie, twarze, koszule, falujące smugi mężczyzn, a Hodges już drze się na całe gardło, ma raptem w głosie moc, którą już dawno spisał na straty: jeszcze chwila, a całe ciemiej urwie mu i wystrzeli jak raketę w kreskówce.

- Giantsi zdobywają porzecz - mówi.

Walnął z bąka. Rąbnął jak tomahawkiem, piłka zawirowała i dała nurka między rzędy dolnego piętra, a Pafko dalej stoi pod murem koło trzystapiętnastki i patrzy w górę, prawą ręką oparty o mur, w papierowej ulewie.

- Giantsi zdobywają porzecz - mówi Russ.

Tak, głos ma mocny aż do przesady, z leciutką nutką hysterii w górnym rejestrze. Głównie jednak słycać stadion: łomot, łubudu. Russ widzi, jak Thomson bryka przy pierwszej bazie. A trener z pierwszej bazy podrzucił do góry czapkę. Bo pałkarz trafił piłkę na wysokości podbródka, nie dał jej szans. Wystartowała pod ostrym kątem, a potem opadła i nie zważając o fasadę górnego piętra, wpadła między rzędy dolnego - wessana, wchłonięta - więc Dodgersi tylko stoją i patrzą, już wyobcowani, bezmyślnie gapią się w cieniistą przestrzeń między piętrami trybuny.

- Giantsi zdobywają porzecz - mówi Russ.

Ekipa wznosi dzikie okrzyki. Kibice dalej bębnią w dach kabiny, a radiowcy i ci z KMOX-u odpowiadają im, grzmocąc

w ściany i w sufit. Ludzie włączają na dachy boksów, tłum podryguje, wstrząsany własnym zgiełkiem. Udręczony Branca przycupnął na pagórku. Rzucił górą szybkiego rogala i przecież tamten miał go przepuścić. Russ krzykiem uwalnia się od bólu gardła, od wszelkiej choroby, dolegliwości i przypadku, od wszystkich cierpień okresu dorastania, od każdego wspomnienia prócz tych najtkliwszych.

- Giantsi zdobywają proporzec - powtarza.

Cztery razy. Branca odwraca się, podnosi woreczek z kalafonią, ciska go na ziemię i rusza w stronę pawilonu; z jednym ramieniem niższym niż drugie rozpoczyna długi, mozolny marsz. A wszędzie prószony papier. Russ wie, że powinien się uspokoić, niechby mikrofon sam wychwycił odgłosy narastającego wokół obłędu. Ale wciąż krzyczy, bo nie może się powstrzymać, nie zostało z niego już nic oprócz krzyku.

- Bobby Thomson trafią w dolną trybunę po lewej! - woła. - Giantsi zdobyli proporzec i teraz wariują - dodaje.

I jeszcze raz:

- Kompletnie wariują.

A potem z jego ust wydobywa się czysty krzyk, bez słów, zawołanie z dawnych czasów - pora skrzypek, góralska muzyka w programie stacji WCKY pół do szóstej rano. Ten okrzyk sam mu się wyrывa, świąteczny zaśpiew, jakieś „hejjj-ho” czy też „oj-jej” wykrzyczane wspaniale, a może zupełnie co innego - trudno ustalić, kiedy nie ma słów. Koledzy z drużyny Thomsona gromadzą się przy głównej bazie, a on sam obiega kolejne bazy w swawolnych podskokach, koźlich harcach: odtąd już na zawsze jest Bobbym, rozbrykanym chłopcem, który wymknął się z ram czasu i tak szybko oddycha, że nie bardzo wie, czy zdoła pomieścić w płucach tyle powietrza. Widzi, że przy bazie głównej mężczyźni czekają w beładnej kolejce, żeby go wy-grzmocić po plecach - chłopaki z drużyny, poczciwi z kośćcami, a jakie mają miny, oszołomieni szczęściem, które zważyło im się na kark, aż spod daszków czapek błyskają rozpromienione oczy.

Rąbnął jak tomahawkim, wałnął piłkę z samego czubka i teraz dzwoni mu w uszach, dłonie i stopy ogarnia mrowiące odrętwienie. A Robinson z rękami na biodrach stoi za drugą bazą

i pilnuje, żeby Thomson dotknął wszystkich baz. Dzielny Jack starzeje się w oczach.

Patrzcie, jak Durocher wiruje. Russ po raz pierwszy milknie, żeby w całej pełni ogarnąć ten hałas, który go zewsząd otacza. Leo wiruje w budce trenera. Obraca się wokół własnej osi, z rozkrzyżowanymi rękami - czyżby ascetyczna ekstaza, jak w meczetach Anatolii?

Ludzie uważnie sprawdzają godzinę.

Edgar stoi z założonymi rękami i nie spuszcza z oka Gleasona, który już całkiem zwinął się w kłębek. Wokół nich lecą na ziemię stronicze czasopisma, musi to być bardzo gruby numer: środki przeczyszczające i przeciw nadkwasocie, chusteczki jednorazowe, plastry na odciski, lekarstwa na łupież. Jackie wydaje z siebie wodnisty szczeł, głośny i prostacki, ochrypły zew cierpiącego ssaka. A potem tryska struga flaneli. Jakby wymiotował czyjąś brązową pizamą. Wydalina, mówiąc żargonem świata reklamy, ma płynnie gładką konsystencję i szczerze spryskuje masywne półbuty Franka, jego fildekosowe skarpetki w najlepszym gatunku i miękką, luźno tkaną wełnę spodni o lekko sportowym kroju.

Zegar nad pawilonem wskazuje trzecią pięćdziesiąt osiem.

Russ znowu z ustami przy mikrofonie.

- W głowie się nie mieści! - krzyczy. - W głowie się nie mieści!

I jeszcze raz:

- To się naprawdę nie mieści w głowie!

Ludzie schodzą na dół i tłoczą się przy barierkach. Schodzą się z najdalszych krańców promienistego ogromu, jakim jest stadion, i suną między ławkami w stronę barierki.

Pafko jest już poza zasięgiem papierowego deszczu, biegnie truchtem do pawilonu. Ale papier wciąż prósz. Jego pierwsze fale były lekko niechętne, szydercze, a w środkowych przejawiał się instynkt stadny kibiców, natomiast ta ostatnia manifestacja ma w sobie pewną łagodność, osobowość. Papier sypie się zewsząd: kwity z pralni, koperty zwędzone z biur, zgniecione pudełka po papierosach, lepkie torebki od lodów, kartki z notesów i kalendarzyków kieszonkowych, splowiałe banknoty dolarowe, fotografie podarte na kawałki, marszczone gniazdzka po słodkich babeczkach, listy latami przechowywane w portfe-

lach drze się na strzępy, złogi romansów i studenckich przyjaźni wzlatają radosną chmurą śmieci, ucieleśniając skryte pragnienie kibiców, żeby stopić się w jedno z tym wielkim wydarzeniem, nieodwołalnie, poprzez kieszonkowe rupiecie, osobiste odpady, coś, co może być nośnikiem iluzorycznej tożsamości - rolki papieru toaletowego eksplodujące lirycznymi serpentynami.

Zgromadzili się przy siatce za bazą główną i wczepiają się palcami w oka z napiętego drutu.

Russ dalej krzyczy, jeszcze się nie wykrzyczał, wierzy, że wciąż ma do wykrzyczenia coś, co warto powtórzyć:

- Bobby Thomson posłał piłkę prosto w dolną trybunę po lewej i stadion oszalał!

Nim Cotter się połapał, co robi, zaczął się przemykać w stronę przejścia między ławkami. W tej części trybuny panuje ścisk i poruszenie, więc chłopiec musi łokciami i ramionami przepychać się przez kolejne rzędy. Nikt zbyt na niego nie zwraca uwagi. Piłka tkwi gdzieś w górnych rzędach, pod całą piramidą koszul i kurtek. Mecz toczy się gdzieś daleko za plecami Cottera. Niech go sobie weźmie, kto chce. Bo Cotter szuka piłki i nawet nie ma czasu zastanowić się po co. Jak piłka trafia w trybunę, to się jej szuka, i już. Piłka, którą rozegrano mecz, poobcierana, odrapana, przepocona. Chłopiec zmierza pod górę przejściem między ławkami, wśród tysiąca łomocących serc. Poszturchuje i odpycha. Widzi, jak ludzie rozpaczliwie nurkują w ścisku, przypomina to chwytanie jabłek ustami w balii z wodą, popularną zabawę z Indiany, tylko trochę zbrutalizowaną. A potem z kłębowiska wyskakuje piłka i ktoś za nią pędzi, pierwszy, który zdołał się wyrwać ze stada, młody facet czmycha prawie na czworakach, a inni usiłują go złapać, chwycić za połę kurtki, pełną garścią za spodnie na tyłku. Ma szorstkie, rudawe włosy, ubrany jest w uczelnianą kurtkę - taką sportową, której rękawy wyglądają jak skórzane, reszta jest od nich jaśniejsza i chyba wełniana, a oba kolory odpowiadają barwom reprezentacji uczelni.

Cotter na czuja sunie w bok między ławkami o dwa rzędy niżej niż miejsce, gdzie rozgrywa się ta scena. Na domysł, intuicyjnie, tak jak wtedy, kiedy czujesz, że coś się stanie, i potem niesamowicie się to przecucie potwierdza, wszystko dzieje się

prawie w odmierzonych stadiach, tak że widzisz, jak twoje wyobrażenia zajął się z rzeczywistością.

Nie dał piłce szans, strzeliła w górę, znrkowała i znikła. Thomson skacze po bazie domowej, a kumple z drużyny tłoczą się wokół niego, szurając butami po ziemi, z rękami szeroko rozstawionymi na boki, żeby się nawzajem nie pokłuć kolcami. Reporterzy podkradają się, fotografując rozkraczonych zawodników i pierwszych kibiców, którzy wybiegli na boisko, zapędzili się i teraz jedni stoją spłoszeni, drudzy obracają się, żeby zobaczyć, jak z tej perspektywy wszystko wygląda, zaskoczeni, że zeszli aż na murawę, jeszcze inni biegną prosto w stronę Thomsona, ogłupiali z radości, nie panując nad ruchami, mieszają się z grupą zawodników ustawionych w klin przy głównej bazie.

Frank spuścił głowę i ogląda skutki niedawnego zdarzenia. Stoi z wyciągniętymi dłońmi, zwróconymi wnętrzem do góry, zdumiony i pełen niemego obrzydzenia. Że też spotkało go to akurat tu, publicznie, kiedy tłum jest u szczytu euforii! Oszołomienie i zdziwienie bierze w nim górę nad odrazą. Frank patrzy na lśniąca potylicę Gleasona, na mankiety własnych spodni skropione intymnym beżem, na wierzchy półbutów naznaczone cekaemowym rozpryskiem, na pobliską kałużę brei z kilkoma niemrawymi glutami różowawej masy, które Jackie wypuł z czeluści żołądka.

Kiwa głową i mówi:

- Moje buty.

Shor jest urażony, czuje, jak twarz układa mu się w ten żądający wyraz, jaki pozostawia po sobie pospieszne golenie, owe dawne poranki drapane brzytwą i polewane zimną wodą.

Spogląda na Franka i pyta:

- Widziałeś chociaż homera?
- Trochę widziałem, trochę przeoczyłem. A na to Shor:

- Nawet nie wiem, czy chce mi się pytać, coś widział, a coś przeoczył, żebyśmy mogli kiedyś o tym pogadać przez telefon.

Niektórzy trzymają dłonie we włosach, bo inaczej mózgi by im wyskoczyły.

Frank z uporem patrzy w dół. Przechyla stopę, sprawdzając, czy z boku buta też widać ślady wymiocin. Jego ręcznie szyte

półbuty pochodzą z pewnej wąskiej uliczki o osobliwej nazwie w najstarszej dzielnicy Londynu. A Shor mówi:

- Wygraliśmy w niewiarygodny sposób, ludzie roznoszą stadię na kawalki, sam nie wiem, czy mam się śmiać, zesrać czy oślepnąć.

- Radziłbym to pierwsze albo to trzecie - odpowiada Frank. Russ wciąż przy mikrofonie, ma jeszcze jeden, ostatni komunikat i ledwie go wykrztusza.

- Giantsi wygrali. Pięcioma do czterech. Biorą Bobby'ego Thomsona na ręce. I znoszą z boiska.

Jeśli w jego głosie słycać nutkę niepokoju, to dlatego, że musi teraz pójść do pawilonu i zrobić wywiady z zawodnikami, trenerami i dyrekcją klubów, przedostać się tam zaś może jedynie piechotą przez całe boisko, choć przecież już teraz brak mu tchu, brak mu słów, a tłum przelewa się przez mury. Hodges widzi, jak Thomsona niesie cała falanga mężczyzn - zawodników i kibiców, głównie jednak kibiców, bo zawodnicy już się zmyli, pędzą do pawilonu; widzi, jak Thomson w chwiejnej równowadze jedzie na ramionach facetów, którzy może nawet całkiem go wyniosą poza stadion i urządzają jubel na parę ulic.

Gleason siedzi oklapnięty nad pobjowiskiem, wypompowany i zgarbiony, tak odmóżdżony, że nawet nie bardzo ma siłę się zastanowić, o co ten cały krzyk.

Na boisku roi się od ludzi, łowców czapek, szybkich chłopców, którzy udają przechylone na wirażu samoloty, biegając z szeroko rozstawionymi rękami.

Widzimy Cottera pod ławką.

W całym mieście ludzie wychodzą przed domy. Tak ich podniecił homer Thomsona. Zapragnęli wyjść na ulicę, być razem z innymi ludźmi, opowiadać im, co się wydarzyło - tym nielicznym, którzy jeszcze nie słyszeli - porównując twarze i nastroje.

A Russ siedzi przy gorącym mikrofonie i musi znaleźć kogoś, kto mikrofon przejmie i zacznie do niego mówić, to wtedy Hodges zejdzie na boisko i coś wykombinuje, żeby bez szwanku przedrzeć się przez cały ten młyn.

A Cotter wlażł pod ławkę i wrywa komuś piłkę z ręki. Pro-

buje mocniej ją chwycić. Próbuje namacać dłoń rywala i kolejno odginając mu palce, wyłuskać zdobycz.

Rozgrywa się tam cały teatrzyk stłoczonych dłoni i przedramion, bojowy sprawdzian poddany formalnym regułom chwytów.

Żelazna noga ławki wrzyna się Cotterowi w plecy. Jego rywal zapalczywie dyszy. Obaj usiłują zawładnąć piłką, zając korzystną pozycję.

Rywal atakuje z górnego rzędu, przeszkadza mu oparcie ławki, więc położył się twarzą na ziemi i jedną rękę wsunął pod siedzenie.

Ludzie starają się odczytać godzinę z zegara na chropawej fasadzie pawilonu, wyniosłego szańca: dokładnie zapisują, w której minucie piłka poszła w trybuny.

Jest to lokalny, ścisły konflikt palców i centymetrów, trud całego życia skondensowany w sekundach.

Cotter oburącz chwytą rywala tuż nad przegubem. Szybko działa, szybko myśli - chwila zwłoki, i ludzie podzielią się na dwa obozy.

Jego rywal, jego wróg, to jakiś bladacz: widać białe knykcie i rozciągnięte, nabrzmiałe żyły. Jeśli ludzie podzielią się na dwa obozy, czy Cotter będzie miał jakiegokolwiek szanse?

Dwaj zawałowcy, nie jeden. Ten drugi pada na boisku, dobrze ubrany gość, nie tyle pada, ile się osuwa, na jedno, potem na drugie kolano, wolno, z opanowaniem, podpira się prawą ręką i ciężko przewraca na bok. Nikt ani przez chwilę nie myśli, że to wygłup. Facet nie wygląda na takiego, co gotów byłby wyprawiać w piachu psie figle.

Cotter trzyma przedramię rywala obiema dłońmi i kręci nimi w przeciwne strony, aż tamtego piecze skóra; to się nazywa „zrobić pokrzywkę”, pamiętacie? Jedna ręka skręca w prawo, druga w lewo, z całej siły, jak najszybciej.

Rywal na moment przestaje oddychać. Robi pauzę, żeby wczuć się w ten nagły ból. Wreszcie wydaje jęk zwątpienia, niemal zaśpiew, a Cotter czuje, że ręka tamtego raptownie się cofa i ustępują palce ściskające piłkę.

Thomson szamocze się, próbuje zeskoczyć z ramion niosących go mężczyzn, grzmoci ich z góry pięściami, wrywa się

łapczywym dłoniom, a jednocześnie zauważa, że pozostali zawodnicy z okien pawilonu bacznie śledzą tę scenę.

Cotter jedną ręką trzyma przedramię rywala, a drugą sięga po łup. Widzi, że piłka mija nogę ławki, turlając się lekkim zygzakiem po nierównej nawierzchni. Mierzy w nią wzrokiem, jakby ją w ten sposób nakrywał czapką, i wyciąga rękę, żeby zagarnąć trofeum.

Piłka nieco krętą ścieżką wytacza się na otwartą przestrzeń.

Ruch ręki Cottera jest jego rówieśnikiem. Tak jakby chłopiec raz po raz sięgał nią po ten czy ów przedmiot, odkąd wyrwał się z powijaków. Cała jego wiedza zawarta jest w rozcapierzo-nych palcach tej zgiętej ręki.

Serce, moje serce.

Afera pod ławką trwała raptem parę sekund. Cotter się wycofuje, czym prędzej robi w tył zwrot - zdobył, co chciał, piłka byczy mu w dłoni, że aż parzy.

I to wrażenie, że ludzie z ociąganiem schodzą mu z drogi, ustępują, ale bez pośpiechu: twarze wielkowiejskich przechodniów o martwych spojrzeniach.

Piłka jest wilgotna od ciepła i potu dłoni rywala. Cotter trzyma rękę luźno zwieszoną przy udzie i robi beznamiętną, pustą minę, bardziej przerażony niż podczas skoku przez bramkę, postanawia jednak zachować ten chłodny, obojętny wyraz twarzy i schodzi coraz niżej, przelażąc przez oparcia, przeciskając się między ludźmi i depcząc po ławkach, gdy tak jest wygodniej.

Widzimy, jak bileterzy splatają dłonie, robiąc krzeselko dla zawałowca, i taszczą go do pogotowia pod główną trybuną.

Jeszcze jeden rzut oka wstecz, w górę, Cotter pozwala sobie rzucić jeszcze to jedno spojrzenie i widzi, że rywal dźwiga się z ziemi. Wyróżnia się w tłumie, masywny, w białej koszuli, wcale nie student, jak myślał Cotter, wcale nie ten facet w uczelnianej kurtce, co próbował się dorwać do piłki.

Mężczyzna spotyka się z nim spojrzeniem. Cotter wcale sobie tego nie życzy, psuje mu to szyki. Nie trzeba było oglądać się za siebie. Pozwolił sobie na jeden rzut oka, przelotne zerknięcie, a teraz tamten praży go wzrokiem.

Wypukłe szwy piłki tętnią Cotterowi w dłoni.

Mężczyzna i chłopiec spotykają się wzrokiem w przerwach między rozkołysanymi ciałami, między wyrazistymi twarzami

i szerokimi plecami rozwrzeszczanych kibiców. Wokoło odbywa się wielkie świętowanie. Ale tamten przygwoździł Cottera spojrzeniem i teraz patrzą na siebie ponad głowami tłumu, poprzez tłum, a ten rywal to Bill Waterson, w poplamionej koszuli, z bezliścień zmierzwionymi włosami - pocziwy sąsiad Bill Waterson błyska morderczym uśmiechem.

Umarli przyszli zabrać żywych. Umarli całunami spowici, umarli jeźdźcy w szyku bojowym, szkielet grający na lirze korbowej.

Edgar stoi w przejściu między ławkami i próbuje dopasować sąsiednie stronicze czasopisma, połówki reprodukcji. Ludzie przełazą przez ławki, krzycząc ochryple w stronę boiska. Edgar trzyma kartki tuż przy twarzy. Nawet nie wiedział, że ogląda tylko połowę obrazu, póki z góry nie spłynęła lewa strona, ta z rdzawo-brunatnym polem i dwoma kościoludami ciągnącymi za sznury dzwonów. Musnęła ramię jakiejś kobiety i wirując, trafiła prosto w bogobojną pierś Edgara.

Thomson na środku boiska robi uniki przed kibicami, którzy nadciągają w podskokach i susach. Rzucają się na niego, chcą go przewrócić na ziemię i pokazać mu fotografie najbliższych.

Edgar czyta tekst w ramce na sąsiedniej stronie. Otóż jest to szesnastowieczny obraz flamandzkiego mistrza nazwiskiem Pieter Bruegel, zatytułowany *Triumf śmierci*.

Tytuł z tupetem, rzekłbym. Ale malowidło intryguje Edgara, i owszem - lewa strona jest chyba jeszcze lepsza od prawej.

Edgar uważnie przygląda się jaszczowi pełnemu czaszek. Patrzy na nagiego mężczyznę ściganego przez psy. Patrzy na wynędzniałego psa, który skubie zębami dziecko leżące w ramionach martwej kobiety. Psy na obrazie są smukłe, chude, wygłodniałe: to psy wojny, psy piekielne, psy z księżej obory dręczone plagą pasożytniczych roztoczy, psich tumorów, psich nowotworów.

Nasz miły, sterylny Edgar ma w domu specjalną instalację do filtrowania powietrza, dzięki której drobinki kurzu po prostu się ulatniają, ale fascynują go zgorzeliny, wszelkiego rodzaju zmiany chorobowe i rozkładające się zwłoki, pod warunkiem, że styka się z nimi wyłącznie za pośrednictwem obrazów.

W średnim planie znajduje drugiego trupa kobiety, na którym

siedzi okrakiem szkielet. Ich wzajemne usytuowanie ma charakter niewątpliwie seksualny. Ale czy Edgar jest pewien, że szkielet okracza kobietę? A może jednak mężczyznę? Stoi w przejściu, wokół niego wszyscy wiwatują, a on tkwi nosem w kartkach czasopisma. Bezpośredniość obrazu Bruegla robi na nim wielkie wrażenie. Owszem, umarli dopadają żywych. Ale Edgar stopniowo dostrzega, że ci żywi to grzesznicy. Karciarze, figlujący kochankowie, król w gronostajowym płaszczu przechowuje majątek w beczkach i cebrach. Umarli przybyli, aby opróżnić puchary wina, podać ucztującej szlachcie czaszkę na półmisku. Edgar widzi obzarstwo, żądzę i chciwość.

Jest zachwycony tymi wizjami. Edgar, Jedgar. Przyznaj się -jesteś nimi zachwycony. Z zachwytu jeżą mu się wioski na całym ciecie. Szkielety z cieniutkimi chujkami. Umarli bębnią w kotły. Trup okryty pokutniczym workiem podrzyna pielgrzymowi gardło.

Mięsnokrwawe barwy, stłoczone ciała, pełen rejestr straszliwych sposobów umierania. Edgar patrzy na rozplamienione niebo wypełniające najdalszy plan, aż za wzniesieniami po lewej stronie obrazu - Śmierć nietutejsza, Pożoga wszędobylska, Zgroza powszechna, wrony, kruki bezszelestnie szybujące, kruk przypięty na zadzie siwej szkapy, czerń z bielą raz na zawsze, a Edgar myśli o samotnej wieży na Poligonie Kazachskim, o wieży zbrojnej w bombę, i prawie słyszy wiatr wiejący nad stepami Azji Środkowej, tam gdzie żyją wrogowie odziani w długie chałaty i futrzane czapy, mówiący tym swoim starym, brzemennym językiem, liturgicznym i poważnym. Jakąż spisują sekretną historię? Sekretem jest sama bomba, a istnieją też sekrety powstałe z jej natchnienia, sprawy i sprawki, jakich nie domyśla się nawet Dyrektor - człowiek, którego izolowane serce skrywa w sobie komplet ropiejących sekretów świata zachodniego - bo te spiski dopiero się zawiązują. Tyle akurat wie, że geniusz bomby to nie tylko fizyka, cząsteczki i promienie, lecz i sposobność tworzenia nowych sekretów, jaką stwarza bomba. Na każdy wybuch atmosferyczny, na każde dane nam przelotne mgnienie obnażonej siły przyrody, na każdy błysk tej obranej z powiek, przedziwnej gałki ocznej eksplodującej nad pustynią, otóż na każdy taki fenomen przypada zdaniem Edgara chyba ze sto spisków, które schodzą pod ziemię, żeby się mnożyć i motać.

A co łączy Nas z Nimi, ile splątanych ogniw znajdujemy w labiryncie nerwów? Nie wystarczy nienawidzić wroga. Trzeba też zrozumieć, w jaki sposób obaj wzajemnie umożliwiacie sobie dogłębne spełnienie.

Starzy umarli jebią nowych. Umarli wydobywają trumny z ziemi. Umarli na wzgórzu biją w stare, sterane dzwony, które obdzwaniają grzechy świata.

Edgar na chwilę odrywa wzrok od stronic czasopisma. Odsuwa je od twarzy - z bolesnym trudem - i spogląda na ludzi wypełniających boisko. Na tych, którzy są półprzytomni ze szczęścia. Którzy biegają wokół baz, głośno obwieszczając wynik. Którzy z podniecenia nie zasną tej nocy. Których drużyna przegrała. Którzy, drwią z przegranych. Na ojców, którzy popieszą do domów i opowiedzą synom, co widzieli. Na mężów, którzy sprawią żonom niespodziankę - kwiaty i wiśnie w czekoladzie. Na kibiców, których ciżba na schodkach wiodących do pawilonu śpiewnie wykrzykuje nazwiska zawodników. Na kibiców, którzy jadąc metrem do domu, będą się okładać pięściami. Na krzykaczy i na tych, co wpadli w amok. Na przyjaciół sprzed lat, którzy przypadkiem spotkają się przy drugiej bazie. Na tych, których euforia rozjaśni całe miasto.

Cotter idzie normalnym krokiem, w popołudniowym świetle, jak to po lekcjach. Mija rzędy czynszówek na Ósmej Alei, a każdy jego krok ma w sobie coś z lekkiego, lecz uroczystego podskoku, jakby jakaś dźwignia raz po raz unosiła go i spuszczała, a Bill podąży mniej więcej trzydzieści metrów za nim, nieco z boku.

Chłopiec dostrzega znak „Moc Modlitwy” i niosąc piłkę w prawej dłoni, kilkakrotnie ją pociera, ogląda się i widzi, że za Billem idzie student w dwukolorowej kurtce, ten, co na początku brał udział w szamotaninie o piłkę.

Bill przestał już zawadiacko się uśmiechać. Ledwie daje poznać po sobie, że przyjmuje do wiadomości istnienie Cottera, który chodzi po ziemi w kedach z cholewką nad kostkę. Ciało chłopca chciałoby pognać przed siebie. Ale jeśli już teraz ulegnie tej pokusie, wyjdzie na to, że czarny chłopak biegnie przez głównie biały tłum, a ścigają go dwaj rozsierdzeni biali, wołając „złodziej”, „zbrodzień”, coś w tym stylu.

Idą dalej ulicą, trzej potajemni uczestnicy jakiegoś zorganizowanego zdarzenia.

- Hej, Cotter! - woła Bill. - Nie wygłupiaj się, stary. Przecież razem wygraliśmy ten mecz.

Wielu kibiców już znikło, powsiadali do aut lub zeszli do metra, roją się na kładce dla pieszych przy moście do Bronksu, ale wciąż jest ich tylu, że zakłócają ruch. Policja konna patroluje ulice, wynieśli, wyprostowani jeźdźcy pojawiają się wśród samochodów niczym lewitujące istoty.

- Hej, Cotter, ja pierwszy położyłem łapę na piłce.

Bill mówi to dobrodusznie. Nawet się śmieje, a Cotter znów zaczyna go lubić. Na całej ulicy trąbią klaksony, hejnał radości i wzajemnych pozdrowień.

- Chyba już pora, żebym i ja się włączył - oświadcza student. - Też tu mam swoją działkę. Pierwszy złapałem piłkę. Nawet dużo wcześniej niż wy dwaj. Ktoś mi ją wytrącił. Skoro już mowa o pierwszeństwie.

Cotter patrzy na niego, z ukosa spoglądając za siebie. Widzi, że Bill się zatrzymał, więc sam też przystaje. A Bill przystanął dla efektu, żeby zmierzyć studenta spojrzeniem, obejrzeć go sobie od stóp do głów, szczegół po szczególe. Taksuje wzrokiem dwukolorową kurtkę, gęste rude włosy, całego chłopca, całą formę i strukturę kondycji tego zwierzęcia lądowego z dużym mózgiem. I wreszcie pyta:

- Co? - Tylko tyle. Twarde, ostre „co”. Stoi z rozdziawionymi ustami, oklapnięty w komicznie głupkowatej pozie, w której czai się groźba.

- A kto ty, do diabła, jesteś? - pyta. - Skąd żeś się wziął? Czy ja cię w ogóle znam?

Cotter obserwuje tę scenę, rozweselony miną studenta. Bo studentowi się zdawało, że należy do drużyny, a tymczasem my jesteśmy po jednej stronie, a on po drugiej. I teraz nie wie, gdzie oczy podziać.

- To jest coś do załatwienia między moim kumplem Cotterem a mną. Sprawa osobista, rozumiesz? Wcale cię tu nie potrzebujemy. Psujesz nam zabawę. A jak chcesz, żebym ci wszystko wyłożył łopatą do głowy, to dziś wieczór odbędzie się przyjęcie rodzinne, na którym zabraknie kogoś nam drogiego.

Bill rusza dalej, a Cotter bierze z niego przykład. Ogląda się i widzi, że student idzie w ślad za Billem, robi parę niepewnych kroków, gubi rytm i powoli zostaje w tyle, roztopia się w tłumie.

Bill spogląda na Cottera, uśmiechając się przez zęby. Posyła mu wilcze, bezlitosne spojrzenie. Marynarkę trzyma w zaciśniętej dłoni, zwiniętą, zgniecioną, jakby chciał nią rzucić.

Z zapadającym zmierzchem boisko przybiera ciemniejszy odcień. Trawa świeci, pała własnym ciepłem i blaskiem. Ludzie, którzy biegiem mijają Russa, nieomal płoną, on zaś idzie niepewnym krokiem turysty na perskim rynku, torując sobie dłońmi drogę w tłumie. .

Kilku bileterów podnosi pijaka, który padł na linii pierwszej bazy, ten jednak skręca się w workowatą masę, oswobadza i zaczyna biegać wokół baz, ubrany w za duży płaszcz z wlokącym się z tyłu długim paskiem.

Russ przedziera się przez wewnętrzne pole, a gdy po kilku tanecznych krokach rusza niezadarnym truchtem, czuje się, jakby był naprawdę sędziwy, nietutejszy, i wspomina zawodników z lat swojej młodości, mężczyzn, o których wyczynach czytał codziennie w gazetach, wspomina ich ćwokowate nazwiska - Eppa Rixey, Hod Eller, stary Ivy Wingo - a do twarzy przylepiony ma głupawy uśmiech, bo jest przecież czterdziestojednoletnim facetem z wysoką gorączką i biegnie przez boisko, żeby pokonwersować ze zgrają sportowców w samych majtkach.

Mówi do kogoś, kto biegnie obok:

- Nie do wiary, po prostu nie do wiary.

Z samego środka boiska spostrzega, że okna pawilonu zajmują się raptownym błyskiem żarówek. Słyszy przenikliwy okrzyk triumfu, obraca się i widzi, jak pijak w płaszczu wchodzi ślizgiem w trzecią bazę. A potem uświadamia sobie, że mężczyzna biegnący z nim ramię w ramię to Al Edelstein, jego producent.

- Potrafisz w to uwierzyć?! - woła Al.

- A gdzie tam! - odpowiada Russ. W biegu podają sobie ręce.

- Patrz na tych ludzi! - krzyczy Al, gestykulując, wymachując kubańskim cygarem. - Jubel jak nie wiem co.

- Jak ty nie wiesz, to i ja nie wiem.
- Oszczędzaj głos - radzi Al.
 - Głos umarł i leży w grobie. Poszedł do nieba po promieniu słońca.
 - Jedno ci powiem, stary. Nigdy nie zapomnimy dzisiejszego dnia.
- Fajnie, że tu jesteśmy razem, bracie.

Biegący mężczyźni znowu podają sobie ręce. Wybiegli już daleko na zapole i Russa bolą wszystkie stawy. Okna pawilonu rozbłyskują światłem kolejno zapalanych lamp.

W łoży po drugiej stronie boiska Edgar przykrzywia sobie na głowie kapelusz, ciemnoszarego hamburga, który podkreśla odcień jego skroni, przyprószonych szlachetnym srebrem.

Bruegla złożył w kilkoro i schował do kieszeni. Zabierze go do domu, żeby się dalej w niego wgłębiać.

Tysiące kibiców, jeszcze niedojrzałych do tego, żeby odejść, patrzy z trybun na tych, co wypełniają boisko rozlazłym chaosem zawirowań i poruszeń, z których raz po raz wyrwywają się sprintem pojedyncze sylwetki. Edgar widzi, że po prawej stronie środkowego pola jakiś mężczyzna zwisa na rękach z muru. Ci mężczyźni, którzy skaczą z wysokich murów, lubią tak chwilę powiszieć, nim rozluźnią chwyt. Łądują na ziemi, kucają i się kurczą, a potem wolno wstają. Ale na Edgarze największe wrażenie robi statyczny dramatyzm dyndającego ciała, zgroza spóźnionych wahań.

Gleason już dzwignął się z ławki, skacowany Jack znów jest różowiotki i na chodzie, gotów poprowadzić kumpli pod górę przejściem między ławkami.

- Bez obrazy, stary - pokpiwa z Franka - ale chyba nie zdajesz sobie sprawy, że zasmradzasz cały stadion. Jak skunks. Czuję, jak śmierdzisz, chociaż jest z nami Shor, a przy nim ślepi zawsze nerwowo stukają laskami, żeby się nie potknąć o śmietnik.

Shora to śmieszny. Rozbłyskują mu oczy, twarz marszczy się w uśmiechu. Toots uwielbia te zniewagi, szpile i podpuchy, więc promienieje debilnym zachwytem. To właśnie jest to najwznieślejse, co potrafią sobie okazać mężczyźni pewnego pokroju -wzajemną wzgardę, dowód czułości twardzieli.

A co powie Frank?

- To nie mój smród, tylko twój, stareńki. Przypadkiem się do mnie przyczepił.

Na to Gleason:

- Ty, niech ci się nie zdaje, że przed tobą nie obrzygałem żadnego kumpla. Zdarzało mi się puszczać pawia na lepszych od ciebie. Docień zaszczyt. Tym pochlebstwem obdarzam wyłącz nie ludzi mi najbliższych i najdroższych. - Macha cygarem. - Ale nie myśl, że się z tobą przejadę limuzyną.

Ruszają w stronę rampy wyjściowej, Edgar idzie na końcu. Pod wpływem impulsu spogląda za siebie, w stronę boiska, i widzi, że z muru otaczającego zapole spada kolejne ciało, smuga z kończyn, włosów i turkoczących rękawów. Chwila ta ma w sobie coś upiornego, więc Edgar zmrożony, a zarazem podniecony, odruchowo sięga do kieszeni, żeby dotknąć ukrytych tam mrocznych kart.

Tłum szybko się przerzedza, Cotter gdzieś przy Sto Czterdziestej Ósmej mijają ostatni konny patrol.

- Hej, Cotter, bądźmy szczerzy. Wyrwałeś mi ją z ręki. Kradzież i zrywka, klasyczny przypadek. Ale będę wyrozumiały. Postawmy sprawę jasno. Co powiesz na dziesięć dolarów w nowiutkich banknotach? Przecież to cholernie uczciwa oferta. Dwanaście dolarów. Możesz sobie za to kupić piłkę i rękawicę.
- Tak się panu zdaje.
- No dobra, dam ci tyle, ile trzeba. Znajdźmy tylko jakiś sklep, to ci kupię. Rękawicę obrońcy i piłkę. Macie tu gdzieś niedaleko sklep sportowy? Do diabła, wygraliśmy życiowy mecz. Mamy co świętować.
- Ta piłka nie jest na sprzedaż. Każda, tylko nie ta.
- Coś ci powiem, Cotter - mówi Bill. Przerywa na moment i uśmiecha się. - Wiesz, ty to masz grabę. Moją ręką będzie się musiał zająć lekarz. Ale żeś mi zrobił pokrzywkę.
- Ma pan szczęście, że nie ugryzłem. Mało brakowało.

Bill najwidoczniej jest zachwycony, że Cotter tak się wczuł w nastrój chwili. Boczne uliczki znoszą torturę nie wywiezionych śmieci i potłuczonego szkła, tu i ówdzie wybebeszony samochód bez kół przywarł zderzakiem do ziemi, a w otwartych drzwiach sieni stoją mężczyźni, bez ratunku zatopieni w marzeniach.

Bill rzuca się w stronę Cottera, daje cztery raptowne susy, ciężkie i karykaturalne; ręce ma szeroko rozpostarte, warczy jak czarny charakter z jakiegoś filmu. Cotter wyskakuje na jezdnię, obiega przejeżdżający samochód i dopiero wtedy stwierdza, że to był tylko żart.

Uśmiechają się do siebie przez przerwy między pojazdami.

- Spojrzałem na ciebie, jak tak siedziałeś skulony na ławce, i pomyślałem, że mam kumpla. Rasowy kibic, nie jakiś tam żulik. A ty mnie chyba chcesz rozczarować. Słyszysz, Cotter? Koledzy w takich razach siadają razem i obgadują sprawę.

Latarnie już się świecą. Obaj idą teraz szybkim krokiem, a Cotter nie jest nawet pewien, kto pierwszy przyspieszył. Bolał go plecze tam, gdzie wrzynała się noga ławki.

- No mów, synu, na jakich warunkach byś się rozstał z tą piłką.

Cotterowi nie podoba się ten ton.

- No, dawaj tę cholerną gałą.

Cotter idzie dalej.

- Mówię do ciebie, frajerze. Może ci się zdaje, że to jakaś głupia zabawa. Podpuszczanie gościa.

- Gadaj pan zdrów - odpowiada Cotter. - Piłka jest moja, nie pana. Nie na sprzedaż ani na wymianę.

Z alei ostrym wirażem wyjeżdża auto, a Cotter przystaje, żeby je przepuścić. Zaraz potem wyczuwa wokół siebie jakąś zmianę. Lekkie falowanie na chodniku, a może w powietrzu, drgnienie w twarzy przechodzącej kobiety, która nagle skupia wzrok na czymś, co dzieje się za jego plecami. Chłopiec odwraca się i widzi, że Bill pędzi wielkimi susami, a ręce latają mu jak cepy. Strasznie się spieszy, chociaż to przecież tylko piłka. Na twarz biją mu rumieńce, kolana spodni ma wyświecone. Nadbiega z miną, która byłaby na miejscu u kogoś zupełnie innego, u człowieka w całkiem odmiennej sytuacji, zdesperowanego, w potrzebie.

Cotter dłuższą chwilę stoi w miejscu. Robi bezskuteczny zwód głową i biegnie w opustoszałą przecznicę, a Bill z wyciągniętymi rękami depta mu po piętach. Chłopak ostro skręca, szybkim unikiem osuwa się na kolana i podparty prawą ręką -tą od piłki - wykonuje raptowny obrót: mocno wciskając piłkę w asfalt, obraca się na niej jak na osi. Bill mija go z zawieszonym,

zdyszczanym poszumem, z pomrukiem wyrazistym, wręcz bliskim słów. Cotter widzi, że tamten przystaje i zawraca. Billa aż skręca ze złości, twarz ma obrzmiałą, wykrzywioną. Z marynarki, którą trzyma w garści, zwisa rękaw, lekko muskając ziemię.

Cotter biegnie z powrotem w stronę alei, a z tyłu słyszy szelest oddechu. Tłum kibiców pozostał już za nimi, są teraz w czarnym jak smoła Harlemie - chłopiec musi tylko dobiec do skrzyżowania, do ludzi i świateł. Widzi neony barów i prześcieradła rozwieszane na pustej parceli. Widzi napis „Bite Kuraki Prosto z Farmy”. Czyta go, a raczej chłonie w całości, czując w tych słowach dziwnie spokojne spełnienie, zapowiedź bezpieczeństwa. Dwie kobiety schodzą mu z drogi; omijając go wzrokiem, spoglądają na jego prześladowcę, a Cotter spostrzega, jak czujne stają się nagle ich twarze, jak koncentruje się uwaga. Bill jest tuż-tuż, grzmoci w asfalt solidnymi butami.

W alei Cotter skręca na południe i mija biegiem kilka domów, a potem odwraca się i odstawia numer, cieleśną błazenadę: przez chwilę biegnie tyłem, wysoko unosząc kolana, przekomarzając się, pokazując Billowi piłkę - wkurzony psotnik. Trzyma zdobyczą na wysokości piersi i kula ją w palcach, co niełatwo jest zrobić w biegu: obraca piłkę wokół osi, kręci nią pomału, raz za razem, demonstrując dwieście szesnastie wypukłych szwów czerwoną bawełną.

Nie mów, że nie podoba ci się ten greps.

Wobec takiego manewru Bill zwalnia kroku. Bo co z tego, że Cotter biegnie tyłem, jakby w tanecznym marszu naciskał niewidzialne pedały. Ten manewr chłopca uświadamia Billowi, dokąd zaszedł. I że Cotter wcale się nie boi. Skoro tak wystawia piłkę na pokaz. Bill zatrzymuje się, ale wie, że nie powinien się rozglądać. Lepiej patrzeć prosto przed siebie. Bo nigdy nie wiadomo, czyj wzrok napotkasz. A im dokładniej Bill ogarnia sytuację, tym swobodniej w Cotterze wyzwała się gniew. Chłopiec właściwie nie bardzo potrafi go okazać. Już drugi raz tego dnia komuś urąga, ale tym razem nie czuje takiego czału jak wtedy, kiedy robił unik przed gliniarzem. Miejsce euforii wywołanej skokiem przez bramkę zajął jakiś mętny stan - skołowanemu, wypompowanemu Cotterowi brak ikry. Stoi więc, zaskoczony, i patrzy na Billa, ludzie mijają go, zauważając i ignorując zarazem, a on balansuje piłką po grzbiecie dłoni, a kiedy

piłka odbija się od nadgarstka, łapie ją błyskawicznym skrzętem tej samej ręki, jakby mówił: hak ci w smak, z kim szurasz, zgredzie.

Patrzy na Billa: mężczyzna stoi, czerwony na twarzy i zdyszany, jakby przed chwilą uciekł mu pociąg, planowy odjazd piąta zero dziewięć.

Cotter odwraca się i wolnym krokiem odchodzi. Zaczyna myśleć o zdumiewającym zakończeniu meczu. Stało się akurat to, co nie miało prawa się stać. Chce wrócić do domu, posiedzieć, pomilczeć, przeżyć to jeszcze raz, i niech te ostatnie minuty powtórnie odezwą się w jego ciele, nasączą je swoistym spokojem, stateczną rozkoszą, która budzi się po fackie.

Jakiś mężczyzna woła z okna do drugiego mężczyzny, siedzącego na schodkach przed domem:

- Misiu, przez te swoje babę podobnie nosisz kuśkę na temblaku!

Cotter tu skręci, tam spojrzy, i czuje się coraz bardziej swojsko, u siebie.

Widzi znajomego chłopca, ale nie zatrzymuje się, żeby pokazać mu piłkę albo pochwalić się, że był na meczu.

Boli go tam, gdzie wrzynała się noga ławki.

Widzi krzykacza, który na rogu ulicy wygłasza kazanie, wysokiego mężczyznę w obszarpanym garniturze, ze spodniami spiętymi w kostkach klipsami do jazdy na rowerze.

Czuje rosnący w umyśle załazek przygnębienia.

Widzi czterech kolesiów z miejscowego gangu The Alhambras, więc przechodzi na drugą stronę ulicy, żeby się na nich nie nadziać, a potem wraca.

Na swojej ulicy wchodzi po schodkach, a kiedy w sieni zalewa go kwaśny zaduch, czuje w sobie tę dołującą falę gasnącego światła, którą czuł już z tysiąc razy.

O kurwa. Nie chcę iść jutro do szkoły.

Russ Hodges stoi na skrzyni ze sprzętem i usiłuje opowiedzieć, co dzieje się w pawilonie, ale wie, że bredzi bez sensu i że gracze, którzy włożą do niego na skrzynię, żeby z nim pogadać, też bredzą bez sensu, a wszyscy razem mówią nienaturalnym tonem, łamiącymi się głosami, skrzeczą jak nocne zwierzęta. Inni, przyparci do szafek z ubraniami przez reporterów,

krewnych i członków zarządu klubu, nie mogą się dorwać do piwa i mocniejszych trunków, stojących na stole pośrodku szatni. Russ z mikrofonem nad głową pozwala, żeby cały ten harmider wsączył się na antenę, a potem przystawia mikrofon do ust i znowu mówi coś bez sensu.

Thomson wychodzi na werandę przed pawilonem, bo chce się pokazać kibicom, którzy chórem wykrzykują jego nazwisko, wszędzie ich pełno, na schodach pawilonu policjanci ochraniający stadion powstrzymują ich napór, a całe tysiące gęstym tłumem wypełniają przestrzeń między ścianami odkrytych trybun, do Thomsona wyciąga się gąszcz rąk - ludzie wskazują go palcem, błagają, zwycięsko podnoszą pięści albo po prostu chcą go dotknąć, mężczyźni w garniturach i kapeluszach, na jednych Bobby patrzy z góry, stojąc na schodkach, inni wiszą nad nim, wychyleni przez mur odgradzający odkrytą trybunę, wyciągają ręce, próbują dosięgnąć, ryzykując, że spadną przez krawędź, a niektórym rzeczywiście mało brakuje, żeby go dotknąć.

- Świetną robotę dziś odwaliłeś, stary - mówi do Russa producent Al.
- Już przez sam fakt, że tu byliśmy, dokonaliśmy czegoś wielkiego.
- Co za uczucie!
- Zapaliłbym cygaro, ale jeszcze by mnie szlag trafił.
- Niesamowite uczucie - powtarza Al.
 - Zrobiliśmy czary-mary. Wszyscy razem. Cholera, dopiero teraz do mnie dotarło.
 - Co właściwie takiego ma w sobie mecz, że aż tak się podpalamy?
- Muszę wracać. Zostawiłem płaszcz w kabinie.
- Powinniśmy się przejść, żeby się opanować.
- Potrzebny nam długi spacer.
 - To jedyny płaszcz, jaki w życiu kochałeś - mówi Al.

Wracając, mijają pawilon Dodgersów i kogóż widzą, jeśli nie Brance - to pierwsze, co rzuca się w oczy: Branca leży twarzą w dół na sześciu schodkach, stopami dotykając podłogi. Wciąż jeszcze jest w kostiumie, zdjął tylko czapkę i koszulę. Ma na sobie mokry podkoszulek, głowę położył na najwyższym schodku i nakrył skrzyżowanymi rękami. Al i Russ rozmawiają chwilę z paroma ludźmi, którzy jeszcze sobie nie poszli. Mówią cicho,

starając się nie patrzeć na Brance. Właściwie na niego patrzą, ale udają sami przed sobą, że wcale nie. Obok Branki siedzi trener w pełnym uniformie, tylko bez czapki, i pali papierosa. Ma ksywkę Cookie. Nikt nie chce spojrzeć mu w oczy. Al i Russ rozmawiają półgłosem z jeszcze paroma ludźmi, a wszyscy razem starają się nie patrzeć na Brance.

Na schodach przed pawilonem Dodgersów prawie nikogo nie ma. Thomson wszedł już z powrotem do środka, ale kibice jeszcze się nie rozeszli, dalej machają rękami i wykrzykują jego nazwisko. Obaj mężczyźni ruszają przez zapole, a po drodze Al wskazuje sektor lewej trybuny, w którym znikła piłka.

- Zapamiętaj - mówi. - Trochę jakby miejsce, gdzie Lee poddał się Grantowi czy coś w tym rodzaju.

Russ myśli, że to innego typu wydarzenie historyczne. I że wyniosą stąd coś, co w niecodzienny sposób łączy ich wszystkich, wiąże ich z pewnym wspomnieniem mającym moc ochronną. Ludzie wspinają się na latarnie na Amsterdam Avenue, w Małych Włoszech trąbią klaksony. Czy nie jest do pomyślenia, że ta chwila z połowy stulecia wchodzi w krew trwałej niż rozległe, państwowotwórcze strategie wybitnych przywódców, stalowych generałów w ciemnych okularach - niż ich wytyczone wizje, które przeszywają nasze sny? Russ pragnie wierzyć, że taka więź w jakiś nieokreślony sposób zapewnia nam bezpieczeństwo. Nie przestanie mu to tętnić w mózgu nawet na starość, kiedy już będzie widział podwójnie i zacznie dostawać zawrotów głowy: wrażenie nagłego przyływu, podskok kibiców, którzy już wcześniej wstali z miejsc, eksplozja krzyku i radości, kiedy piłka poszła w trybuny. Jest to prywatna historia ludzi, a jej ciało i oddech nabierają tempa, poddane sile tego naszego starego, bezpiecznego sportu. Dzisiejsi kibice z Polo Grounds będą opowiadali wnukom; jako gadatliwi starcy wychyleni w następnym stulecie, spróbują przekonać każdego, kto zechce słuchać; zionąc aptecznym chuchem, będą twierdzić, że byli tu, kiedy stała się ta wielka rzecz.

Pijany w płaszczu obiega bazy. Widzą, jak przy pierwszej wiosłuje rękami w powietrzu, żeby go nie zniosło na prawe pole. Kiedy podbiega do drugiej, wirują rozwiane poły płaszcza, kończyny, rozwiązane sznurowadła i rozpięty pasek. Widzą, że

wejdzie ślizgiem, więc przystają i patrzą, jak ziemia umyka mu spod stóp.

Jego postać w locie skupia wokół siebie wszystkie okruchy popołudnia. Okrzyki, trzask kijów o piłkę, pełne pęcherze moczowe i zabłąkane ziewnięcia, piaszczystą wielość rzeczy nieprzeliczalnych.

A wszystko to raz na zawsze wtapia się w przeszłość.

Long Tall Sally

WIOSNA- LATO 1992

1

Jechałem lexusem wśród szelestu wiatru. Lexus to samochód montowany bez bezpośredniej ingerencji ludzkiej. Nie kala go ani kropla potu istot śmiertelnych - no, może z wyjątkiem facetów, którzy gotową maszyną wyjeżdżają z fabryki: założmy, że odrobina wilgoci osadza się w miejscu, gdzie dłonie ściskają kierownicę. Taśma produkcyjna sunie nieprzerwanie, zautomatyzowana aż po najbardziej kapłańskie niuanse, a każdy posuwisty ruch poddaje się weryfikacji gwoli uzyskania najwyższej sprawności. Puste karoserie nadciągają nieskończonym szeregiem. Nie ma tu ani jednego pracownika o nerwach starganych kofeiną, z kartoteką w klinice dla melancholików. Wciąż tylko ten niesamowity splot stopów chromu, które jadą wśród blokujących łąków, szybujące ornamenty nadwozia w trakcie dopasowywania i łączenia. Każdą śrubę dokręcają roboty, zaprogramowani wyrobnicy, którym nie śnią się zmarli krewni.

Jest to swoisty szczyt - maszyny produkowane i kształtowane gdzieś, gdzie nie dociera ludzka paplanina. Toteż mój wynajęty wóz był naturalnym dopełnieniem pejzażu, przez który jechałem. Rozedrgany żar nad płaskim pustkowiem. Niebo wykrwawione do białości, wiatr z terkotem przegarniał kurz po przedniej szybie. Gatunku ludzkiego właściwie brak na obrazku - oczywiście prócz mnie, ale ja też ledwo ledwo tam byłem.

Powiedzmy dla uproszczenia, że pustynia to impuls. W mgnieniu oka postanowiłem zmienić rezerwację lotniczą, wynajmując wóz i pojechać bocznymi drogami. Dawne czasy budzą w nas uczucia, które spełniają się w spontaniczności. Im szybsza

decyzja, tym bardziej akuratna spłata długu wobec pamięci. Chciałem znów zobaczyć tę kobietę, coś poczuć, coś powiedzieć, kilka słów, nie za wiele, a potem zawrócić w wietrzną dal. Bo wszystko było tam dalej. Spieczona ziemia, niebo, zarys góry cienki jak opłatek - góry czy chmury przycupniętej nad kotłnią, kotokształtnej: jakież to ludzkie, żeby widząc jedno, dopatrywać się czegoś całkiem innego!

Stara droga skręciła na północ, mniej więcej prosto w słońce, a ja zapragnąłem poczuć na twarzy i rękach jego żar. Wyłączyłem klimatyzację i otworzyłem okna. Sięgnąłem po tubkę kremu przeciwsłonecznego (piętnasty stopień skuteczności), z którą się nie rozstaję, chociaż cerę po ojcu mam oliwkową, śniadą.

Zwolniłem, żeby móc spokojnie puścić kierownicę, i jadąc w żółtym tempie, posmarowałem sobie pół twarzy i jedno przedramię, części wystawione na działanie słońca, bo miałem pięćdziesiąt siedem lat i wciąż jeszcze nabierałem rozumu.

Piżmowa woń kokosowego balsamu, nastoletni aromat upału i plaży, a gdzieś w podszewce pamięci nadciągająca fala morska, piekąca sól w oczach i w nosie. Gniołem tubkę, aż wycisnąłem ją do dna. Cmoknęła, plasnęła, opustoszała. Coś mignęło mi przed oczami, mentalny obraz, jakby iskra przebiegła po nerwach, pustynny błysk - efemeryczna, mętna plama barw, lodziarz brnący zygakiem przez wezbrany piach.

Potem wiatr zamarł, a na niebie zawisła rafa chmur w bladobiałej obwódce. Jechałem drogą bez asfaltu, aż efektownie zbłądziwszy, zatrzymałem wóz, wysiadłem i rozejrzałem się po krajobrazie, czując się jak ostatni głupek, a między kępami juki zamajaczyły mi schrony - stare betonowe bunkry, ślad po jakiejś kopalni albo poligonie wojskowym. Do zmroku zostało czterdzieści pięć minut. Miałem ćwierć baku benzyny, pół puszki mrożonej herbaty, nic do jedzenia, żadnych ciepłych ciuchów, mapę ubogą w szczegóły.

Pomyślałem, że dopiję herbatę i umrę.

A wtedy prysnęło pyłem i z jasnej kreski zachodu wyłonił się mglisty kształt. Zbliżający się obiekt przypomniał mi sto filmów, w których przez falistą równinę nadciąga coś lub ktoś, konno, z karabinem w futerale, albo samotny wielbłądnik spowity muślinem kuli się na grzbiecie tępogłowego wierzchowca. Ale tutaj było inaczej, obiekt wzniecał dwa bliźniacze kłęby

kurzu i zdrowo zasuwiał. Nie był to jednak zwykły, przeciętny pojazd terenowy. Miał lampkę na dachu, lśnił złotym lakierem, nadciągał butnie i w podskokach, z komiksowym polerem. Ta najwesejsza ze zjaw zbliżała się dróżką o wyjeżdżonych koleinach i wyglądała jak dzieło popartu. Niecałe pięćdziesiąt metrów ode mnie. Czyżby, ależ tak, nowojorska taksówka, nie do wiary, a jednak, żółciejsza niż żółtko mknęła w moją stronę.

Jakież lepszy gest mogłem wymyślić niż wyciągnięcie ręki: taxi stop?

Ale to cholerstwo nawet nie zwolniło. Z otwartych okien zionęła muzyka - porywisty rock na sterydach. Ustąpiłem z drogi, wciąż jeszcze z podniesioną ręką, tą do opalania, chemicznie wymuskaną. W taksówce było pełno ludzi, więc zawołałem, kiedy mnie mijali - w pulsujące powietrze rzuciłem nazwisko, hasło:

- Klara Sax!

Odpowiedziały mi okrzyki. Taksówka na moment zwolniła, a ja usłyszałem, jak wiwatuja. Z dwóch czy trzech okien wysunęły się ręce, które pomachały zapraszająco, i złotowłosa głowa, słoneczna, uśmiechnięta twarz młodej blondynki, oczy zwrócone w moją stronę - kobieta za kierownicą, niewzruszenie spokojna w całym tym rejdach, jadąca na złamanie karku - i zaraz taksówka ruszyła jak z kopyta, pomykając między kępami roślin przez pustynię.

Wsiadłem do swojego cichego auta i pojechałem w ślad za nią.

Ochotnikami byli głównie uczniowie szkół plastycznych, ale zdarzały się też inne typy; studenci historii, nauczyciele na urlopach, koczownicy i uciekinierzy co chwila pojawiali się i znikali, wypaleni hakerzy w poszukiwaniu świata bez drutów - wszyscy ci, co usłyszeli zew, szept w ucho, który wygania człowieka za drzwi, w strefę podniosłej zabawy.

Praca rąk. Skrobanie i malowanie. Rozbełtywanie gnuśnej mikstury. Obserwowanie, jak kolejne pociągnięcia pędzla znaczą powierzchnię. Pigment. Tłuszcze zwierzęce i polimery, które zlewają się ze sobą, żeby stworzyć to słowo.

Byli dla mnie mili. Jadali i sypiali w opuszczonych koszarach na skraju ogromnej bazy lotniczej. Ubikacje, prysznic, prycze

i prowizoryczna kantyna. Stanowili radosną ekipę o wszechstronnych umiejętnościach. Majstrowali, śpiewali piosenki, opowiadali śmieszne historyjki. Kiedy zjechało się ich więcej, niż mogły pomieścić koszary, sypiali w dwuosobowych namiotach, w śpiworach albo w swoich zakurzonych autach.

Powiedziałem studentowi z plaketką powitalną, że nie przyjechałem machać pędzlem ani dmuchać piaszczarką, tylko obejrzeć pracę - dzieło, projekt czy jak mu tam - i przywitać się, jeśli to możliwe, z Klarą Sax.

Powiedziałem mu też, że nie chcę zajmować miejsca, więc wskazał mi drogę do motelu, w którym miałem znaleźć nocleg, jakieś czterdzieści kilometrów dalej, i poprosił, żebym spotkał się z nim potem w tak zwanej malarni.

Zmyłem krem z rąk i twarzy i stanąłem w kolejce po jedzenie: sandwicze, kiwi, sok owocowy. Potem usiadłem i wdąłem się w rozmowę z pięcioma czy sześcioma ochotnikami. Wszyscy byli mili. Kiedy spytałem o taksówkę, wyjaśnili, że na urodziny Klary, które wypadły o kilka dni wcześniej, postanowili wyla-kierować i ozdobić czyjś prywatny wóz. Prezentem było nie tyle samo auto, bo zwrócono je potem właścicielce, przeobrażone w taksówkę, ile lakier, gest, powiew Nowego Jorku, rodzinnego od pokoleń miasta artystki.

Spytali, skąd jestem, a ja odpowiedziałem tak, jak już nieraz mi się zdarzało w podobnych sytuacjach.

Żyję sobie spokojnie w niepozornym domku na przedmieściach Phoenix. Pauza. Jak człowiek objęty programem ochrony świadków koronnych.

Zdażyłem już znienawidzić ten tekst, ale dzięki niemu pytania stawały się mniej dociekliwe, a rozmowa przybierała standardowo płytki ton. Przez cały czas rozglądałem się za dziewczyną o włosach w kolorze miodu, która przedtem prowadziła taksówkę.

Parę osób miało na sobie koszulki z nadrukiem LONG TALL SALLY.

Byłem pewny, że potrafię odgadnąć wiek Klary z dokładnością do roku czy dwóch, i kiedy spytałem, które obchodziła urodziny, ktoś powiedział: siedemdziesiąte drugie. To by się zgadzało.

Noc była pogodna, wiry gwiazd płonęły tuż nad ziemią mus-

kaną słodkim wietrzykiem. Jechałem jakieś półtorej minuty -nie idź pieszo, radzili - wzdłuż szeregu świateł odblaskowych, zatkniętych w piachu. Zobaczyłem rozwieszane latarnie, kilka zaparkowanych dżipów i furgonetek, a obok długi betonowy budynek wysokości mniej więcej trzech i pół metra, podzielony w poprzek na dwanaście przedziałów wielkości pokoju, otwartych z przodu i z tyłu.

Mieściło się tam centrum operacyjne, z którego kierowano całą akcją: opracowywano projekty, wyznaczano zadania na każdy dzień, przechowywano większość materiałów.

W jednym z boksów pełno było ludzi, a nad stłoczonymi głowami wisiał wysięgnik mikrofonu. Reflektory, kamera, kobieta z pianszetą - i widzowie spośród ochotników, może ze czterdzieścioro, niektórym dyndały na piersiach ochronne maski, sporo osób miało na sobie koszulki lub kurtki ze znanym mi już nadrukiem. Zaparkowałem w pobliżu, podszedłem i stanąłem na obrzeżu grupy. Chwilę potrwało, nim wypatrzyłem bohaterkę wieczoru. Siedziała na składanym krześle, z laską u boku, z nogą opartą o przewrócone wiadro. Rozmawiała z ludźmi, paląc czarnego papierosa, a ekipa filmowa ustawiała plan.

Gdy tak stałem, oddalony od niej zaledwie o parę słów, o jedno imię, z całą mocą dotarła do mnie dziwaczność tego mojego wypadu. Siedemnaście lat. Tyle właśnie miałem, kiedy widziałem ją ostatni raz. No właśnie, aż tak dawno, i po tych wszystkich latach mogłem jej się przecież wydać jakimś natrętnym stworem, wyłonioną z niespokojnego snu postacią, która przebyła pustynię w poszukiwaniu Klary. Stałem więc i patrzyłem, usiłując wykrzesać z siebie dość woli, żeby podejść i zagadnąć. A może jeszcze bardziej zdumiewające - dziwniejsze niż lata, które upłynęły między tamtym spotkaniem a obecnym - wydawało się to, że potrafiłem spojrzeć na nią retrospektywnie. Umiałem wręcz podnieść z krzesła tę młodszą kobietę, dawną Klarę, oddzielić ją od osoby w ciemnych spodniach w kratę i starym zamszowym blezerze, która rozmawiała, paląc papierosa. Nieraz widywałem fotografie Klary, ale nigdy nie udało mi się wyde-stylować z nich znanej mi niegdyś kobiety, wyprostowanej, bladej, z lekko skrzywionymi ustami, z tym lekkim grymasem, sprawiającym wrażenie, jakby dystansowała się wobec wszystkiego, co mówi. I jeszcze te oczy o wymijającym wyrazie, spój-

rzenie, które zdawało się rozgryzać problem, czego my właściwie nawzajem od siebie chcemy.

Wyglądała jak osoba sławna i niespotykana, sławna nawet we własnych oczach, sławna w samotności, kiedy w kuchni przyrządza sałatkę. Jej owalną twarz okalały siwe włosy o mineralnym połysku, krótko przystrzyżone, z twarzą grzywką. Pod blezerem miała luźną pomarańczową koszulkę z krótkim rękawem, z biżuterii naszyjnik i kilka pierścionków, a na jednej nodze biały trampki i skarpetkę w kolorze soku z ciemnych winogron. Kontuzjowana stopa owinięta była beżowym bandażem elastycznym.

Ktoś przeszedł z tekturowym kubkiem, do którego Klara wrzuciła niedopajek.

W policzki pod oczami wtarła ciemny róż, co nadało jej twarzy wyraz surowy, wręcz tchnący majestatem śmierci. Wciąż jednak widziałem w niej tę dawną, młodszą kobietę. Mocą jakiegoś umysłowego kuglarstwa umiałem podnieść ją z krzesła i zawczasu przygotowaną przestrzeń wypełnić tą Klarą, która miała lekko skośne oczy, papierowe dłonie, ustronny, niedowierzający uśmiech na myśl o nas dwojgu razem, a poruszała się jakby z lekkim przesunięciem w czasie - umysł pierwszy zaskakuje, a ciało za nim podąża.

Obserwowałem ją. W tych pierwszych trzydziestu sekundach skondensowała się wielka energia. Poczulem, że inaczej oddycham.

Ekipa z telewizji francuskiej gotowa była już kręcić. Widzowie znieruchomieli. Kobieta z planszetą przykucnęła tuż poza kadrem, w miejscu, z którego chciała zadawać pytania. Była dobrze po czterdziestce, gibka i smukła, miała włosy z siwymi pasemkami i antyczne levisy, a u jej stóp rozdziawiała się spora dzinsowa torba.

- Chyba możemy już zaczynać. Mam prawo gadać głupstwa, bo moje pytania i tak wycinamy. Taka umowa, okej? A jak mi angielski stanie w gardle, żaden problem - powiedziała.
- Za to ja muszę być inteligentna, zabawna, głęboka i czarująca - domyśliła się Klara.
- Byłoby, owszem, miło. Zaczynamy z kontuzją pani nogi lewej. Może nam pani powiedzieć, co się stało, okej?
- Spadłam z drabiny. Zupełny drobiazg. Gdzieś po drodze

nie trafiłam w szczebel. Musimy korzystać ze sprzętu, jaki akurat wpadnie nam w ręce. Nie mamy dachu nad głową, hangaru ani fabryki. Nie mamy rusztowań ani platform tak jak w halach montażowych, w których przeprowadza się prace konstrukcyjne i remonty.

Podszedłem bliżej i przypadkiem stanąłem o parę kroków za studentem z plakietką powitalną, tym samym młodym człowiekiem, który zaoferował się, że załatwi mi pokój na noc.

- Czyli się pani wdrapuje, pracuje - powiedziała reporterka.
- To tylko zwichnięta kistka. Wystarczy wziąć aspirynę. Tak, czasem gdzieś włąże, kiedy upał nie zanadto daje się we znaki, kiedy jest do wytrzymania, wie pani. Wszystko muszę zobaczyć, pomagać. Mamy tu co prawda wielu wygimnastykowanych ochotników. Ale co jakiś czas muszę sama się przyłożyć.
- Dziś wieczór pierwszy raz poszłam na plac robót i widziałam dużo drabin i jak ludzie łażą po skrzydłach. Noszą maski. A do pleców przytroczone te wielkie pojemniki.
- Mamy samochodowe rozpylacze do gruntowania metalu. I przemysłowe pistolety do nakładania farb olejnych, emalii, żywic epoksydowych i tym podobnych. Używamy przenośnych kompresorów. A nawet pędzli. Malujemy nimi, kiedy chcemy zostawić widoczne ślady pędzla.

Wśród publiczności jedni zaczęli trochę się wiercić, żeby lepiej widzieć Klarę, inni przysuwali się bliżej, bo chcieli wyraźniej słyszeć rozmowę. Głos Klary, lekko ochrypli i odrobinę chwiejny, miał luźną, płynną konsystencję, jakby przelewał się z burty na burtę.

- Starą farbę zeszkrobujemy ręcznie i zdzieramy piaszczarkami - ciągnęła. - Mamy dużo dmuchaw z pistoletami i dwudziestolitrowe kubły dennozsypne, tak się chyba jakoś nazywają. I jeszcze kilka oczyszczarek pneumatycznych, tych wielkich, na kołach. Na większości samolotów jest tylko jedna warstwa farby do usunięcia, bo kiedy je pierwotnie malowano, chodziło przede wszystkim o zminimalizowanie ciężaru. Innymi słowy, zbudowano je, żeby nosiły bomby, a nie śliczny lakier. Oczywiście praca jest niemożliwie ciężka. Pod gołym niebem, w skwarze, kurzu i wietrze. Coś nieprawdopodobnego. Kiedy za bardzo się kurzy, przerywamy. Przy lekkim kurzu malujemy dalej. Nie za-

leży nam na precyzji. Rozpylamy, piach nie piach. Rozpylamy, strzelamy, chlujemy.

Oczywiście z samolotów wymontowano większość elementów, które można było jeszcze wykorzystać albo sprzedać cywilnym nabywcom - dodała. - Ale koła zostały, całe podwozia, bo inaczej samoloty leżałyby płasko na brzuchach, a tego akurat nie chciałam. Więc żeby pomalować kadłuby i te ogromne stateczniki, trzeba wejść dość wysoko. Ludzie wchodzą na drabiny i malują pistoletami z czterometrową dyszą, siedzą na stabilizatorach i spryskują te cholerne ogony.

- Ale mają państwo współpracę.
 - Wojsko współpracuje z nami, do pewnego stopnia. Wolno nam pomalować te maszyny z demobilu. Armia pozwala nam malować i obiecuje utrzymać to miejsce w obecnym stanie, nie przeznaczyć go na żaden inny cel, dzięki czemu nasz projekt pozostanie integralną całością. Żaden inny obiekt, ani jeden trwały obiekt nie ma prawa się pojawić w promieniu półtora kilometra od ukończonej pracy. Finansują nas też rozmaite fundacje, mamy zgodę Kongresu i wszelkie zezwolenia. Co jeszcze? Materiały otrzymaliśmy gratis od producentów, warte dziesiątki tysięcy dolarów. Ale i tak musimy sknerzyć i kraść, żeby zdobyć wiele potrzebnych rzeczy.
 - A suche pustynne powietrze - ono zabezpiecza metal.
 - Owszem, jest sucho i gorąco.
 - Jest bardzo gorąco, okej?
 - Porzucone samoloty. Jak tuż po drugiej wojnie światowej. Z jedną różnicą - a właściwie z dwiema. Po pierwsze, tym razem obeszło się bez wojny. Sytuacja jest pod pewnymi względami powojenna, chociaż wojna nie wybuchła. A po drugie, nie pozwolimy tym wspaniałym maszynom dokonać żywota w szczerym polu ani nie damy ich sprzedać na złom.
 - Pomalujecie je.
 - Właśnie je malujemy. Ratujemy przed hutniczym palnikiem. I jest to bardzo dziwna historia, zapewniam panią, bo kiedy trzydzieści lat temu dałam sobie spokój z malarstwem sztalugowym i wzięłam na warsztat te swoje odrzuty, stałam się przedmiotem ataków. I wprawdzie nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy pojawiło się to określenie, ale ludzie w końcu zaczęli o mnie mówić „Śmieciara”, a ja śmiałam się z tego, bo myśla-

łam, że przestaną najdalej po miesiącu. Ale to przezwisko wlokło się za mną dłuższy czas i już mi było nie do śmiechu.

- A teraz jest pani na pustyni.
 - I wracam do odrzutów. Tym razem to już nie pojemniki po aerozolu, puszki po sardynkach, zakrętki od szamponów ani materace. Kiedyś pomalowałam materac i pościel. Akurat skończyło się małżeństwo numer dwa i z tego wszystkiego pomalowałam swoje łóżko. W każdym razie teraz no tak, wzięłam się za B-52, odrzutowce dalekiego zasięgu. Maluję osiemdziesięcio-metrowe samoloty, o rozpiętości skrzydeł jeszcze większej niż długość, samoloty, które z pełnymi bakami ważyły pewnie ze dwieście pięćdziesiąt ton; nie wiem, ile ważą puste. Maluję samoloty, które dawniej woziły bomby jądrowe, bu-bu-bum, na drugi koniec świata.
 - To już nie jest materac.
 - Powiem pani, co to jest. To działanie artystyczne, a nie agitka na rzecz pokoju. Malarstwo krajobrazowe, w którym posługujemy się samym krajobrazem. W tej pracy główną rolę gra pustynia. Tworzy bezpośrednie otoczenie. Swoistą ramę. Czterostronny horyzont. Właśnie dlatego w rozmowach z dowództwem sił powietrznych uparliśmy się, że teren wokół ukończonego dzieła ma zostać pusty.
 - Owszem, racja, krajobraz.
 - Moment. Nie skończyłam. Chcę powiedzieć, że przechodząc od małych przedmiotów do bardzo dużych, w ciągu lat, które minęły, nim odnalazłam te porzucone maszyny, otóż po tym wszystkim na nowo odkrywam farbę. I wręcz się upijam kolorem. Dostaję rui. Śnią mi się kolory. Jem je i piję. Po prostu oszalałam na punkcie koloru.
- Rzuciła przelotne spojrzenie w stronę swojej publiczności, swoich pracowników, a oni poruszyli się i roześmiali.
- Ale piękno pustyni.
 - Jest takie stare i mocne. Chyba sprawia na nas wrażenie, w nas jako kulturze, w każdej kulturze technologicznej budzi uczucie, że nie możemy dać się przytłoczyć tym pięknem. Ogarnia nas święta zgroza, rozumie pani. Coś, co nie sprzyja -machnęła ręką i roześmiała się - rozwojowi przemysłu, postępowi i całej reszcie. Więc używamy pustyni do testowania broni. To oczywiście jak najbardziej logiczne wyjście. A zarazem do-

wód, że jednak jesteśmy górą. Pustynia nosi widoczne ślady każdej detonacji. Wszystkie te kratery, tablice ostrzegawcze, strefy zamknięte i oznaczenia podziemnych zwałowisk odpadów.

Reporterką zadała kilka pytań na temat młodych konceptualistów, którzy biorą na warsztat odpady biologiczne i nuklearne, a potem poprosiła o krótką przerwę. Wśród publiczności rozległy się dyskretne brawa, po czym jedni widzowie podzielili się na grupki i zaczęli gawędzić, a inni wyszli na dwór, żeby popatrzeć, jak nocne niebo rośnie i gęstnieje.

Pociągnąłem za rękaw faceta z plaketką powitalną.

- Mógłby pan teraz do niej podejść? Proszę *jej* powiedzieć, że przyjechał Nick Shay. Z Nowego Jorku. Proszę spytać, czy znajdzie dla mnie minutę. W Nowym Jorku mieszkaliśmy blisko siebie.

Patrzył na mnie, mrugając.

Jeszcze raz powiedziałem mu, jak się nazywam, a potem patrzyłem, jak idzie w kierunku składanego krzesła. Musiał poczekać, aż Klara będzie wolna, a potem zaczął do niej mówić, gestykulując w moją stronę.

Wpatrywałem się w jej twarz, czekając, aż moje nazwisko wznieci jakieś wspomnienie, światło w oczach. Przez chwilę słuchała, po czym zaczęła się za mną rozglądać. Jej mina wyrażała -co właściwie? Lekkie przejęcie, troskę o mnie, poważną, zakorzenioną w pamięci. Naprawdę tu jesteś? Masz się dobrze? I czy w ogóle żyjesz?

Podszedłem, wziąłem składane krzesło, ustawiłem je obok niej i odczekałem, aż chłopak sobie pójdzie.

- Więc to jest Nick.

- Tak.

- To dopiero niespodzianka!

- Pamiętasz.

- O tak - odparła z tym blaknącym uśmiechem, ze spojrzeniem, które pytało, jakim cudem stało się to wszystko.

- Byłem w Houston.

- Prowadzisz regularny tryb życia.

- Codziennie się golę.

- Płacisz podatki. To dobrze.

- Byłem w Houston służbowo. W czasopiśmie, które wziąłem

na drogę, był artykuł o twoim działaniu. No to pomyślałem, czemu nie.

- Nick pewnie dba o kondycję.
 - Zaraz, niech no pomyślę. Owszem, piję mleko sojowe i codziennie przebiegam jakieś półtora kilometra.

Czekałem, aż się uśmiechnie. Po chwili dodałem:

- Ale w artykule nie było dokładnie powiedziane, gdzie stoją te twoje samoloty. Więc poleciałem do El Paso, wynająłem wóz i pomyślałem, że wrócę nim do Phoenix, a po drodze cię odwiedzę.
- No i nas znalazłeś.
- Z trudem.

Patrzyła na mnie, jawnie oceniając. Zastanawiałem się, co widzi. Czuję, że winien jej jestem parę wyjaśnień w sprawie lat, które tymczasem minęły. Ogarnęła mnie cicha zgroza, jak zwykle, gdy człowiek spotyka kogoś po długiej rozłące i pod taksującym wzrokiem tej osoby budzi się w nim podejrzenie, że chyba nie najlepiej mu się powiodło, skoro w tej fazie życia taki jest zmieniony i zasuszony. I nawet, widzicie, nie zauważył. Widać nie bardzo mu wyszło, skoro dożył tej chwili tak bezbronny wobec własnych matactw, że nie dostrzegł prawdy.

- Układa ci się? Dobrze wyglądasz.

Mówiła, że dobrze wyglądam, ale patrzyła na mnie w ten szczególny sposób, a pewna nuta w jej głosie kazała mi mieć się na baczności. Co chwila nam przerywano, żeby coś Klarze powiedzieć, przekazać wiadomość. Ktoś przyszedł z komunikatem w jakiejś sprawie organizacyjnej i Klara nas sobie przedstawiła.

- Stary przyjaciel z mile wspominatej przeszłości - powie działa. - Może zresztą upiękkszanej przez pamięć. Bo w gruncie rzeczy czasy były ciężkie.

Potem znowu zwróciła się do mnie.

- Żonaty?
- Tak. Dwoje dzieci. W wieku studenckim. Ale nie studują.
 - Ja wyszłam za mąż pod wpływem impulsu, po miłym wieczorze przy dobrym winie. Ale to stare dzieje. Ostatnio już tylko pracuję jak wariatka. Minęło wiele czasu, nim sobie uświadomiłam, że postępuję ostrożnie i logicznie w romansach, bardzo

uważam, z kim, gdzie i kiedy, a za mąż wychodzę zupełnie beztrąsko.

Nie zawsze byłaś ostrożna w romansach, chciałem jej powiedzieć. Ale też nie był to właściwie romans, prawda? Przelotne zdarzenie, epizod w dwóch odcinkach, w sumie raptem kilka godzin, gdyby tak podliczyć z zegarkiem w rękę, a potem koniec. Oczywiście nic nie powiedziałem. Temat mnie przerastał. Różnica wieku wykluczała sarkastyczną pogawędkę o starości, głuchocie i niedołęstwie, więc wpadłem w lekką rozpacz, pomyślałem, że przeciągnęliśmy tę wizytę ponad znośną miarę i że w ogóle nie trzeba było przyjeżdżać, bo temat nie nadawał się do rozmowy - zbyt tajny, nawet między potajemnymi współnikami wciąż jeszcze zbyt tajny po czterdziestu latach.

- Wydawało mi się, że winien nam jestem tę wizytę. Cokolwiek to znaczy - powiedziałem.
- Ja wiem, co to znaczy. Poczujesz się do pewnej lojalności. Przeszłość budzi w nas patriotyczne odruchy, wiesz? Chcemy czuć z nią więź. Jedyną bezwarunkową więź z dawnymi ludźmi i sprawami.
- Ona w dodatku potężnieje.
- Chwilami wydaje mi się, że wszystko, co od tamtej pory zrobiłam, właściwie wszystko, co mnie otacza, nie wiem, czy też masz takie wrażenie, ale wszystko jest jakby trochę... jak by to ująć?... fikcją.

Powiedziała to mimochodem i dopiero przy ostatnim słowie sama się zainteresowała.

- Kawał drogi, Nick. Jesteśmy kawał drogi od domu.
- Od Bronksu.
Roześmialiśmy się.
- Tak. To miejsce, to słowo. Chamskie, nieokrzesane -jak by tu jeszcze je określić?
- Zgrzytliwe.
- Słusznie. Jakby trzy słowa zmiażdżono w jedną całość.
- Jakby mówić przez połamane zęby.

Znowu się roześmialiśmy i poprawił nam się nastrój. Cudownie było śmiać się razem z nią. Chciałem, żeby mnie zobaczyła. Niech wie, że się stamtąd wydostałem, że mimo wszystkich popełnionych błędów w końcu wyszedłem na ludzi.

- Takie mocne i prawdziwe - ciągnęła. - A wszystko, co

później nastąpiło... ale może to tylko efekt uboczny postępującej starości. Nie czytuję filozofów.

- A ja czytam wszystko - oświadczyłem.

Spojrzała na mnie jakby ze świeżym zdumieniem.

- Może powinnam zostawić to na potem, dla tych Francu-zów
- powiedziała. - Ale czy nie mam racji, że życie w pewnym momencie potoczyło się jakimś odrealnionym torem?

- Przecież jesteś sławna, Klaro.

- Nie. Nie jest odrealnione dlatego, że jestem sławna. - Była na mnie zła. - Jest odrealnione, i już.

Wyciągnęła z kieszeni blezera paczkę natów shermanów i zapaliła jednego.

- Nie jestem w ciąży, więc mi wolno.

Kolejna osoba podeszła i zaraz się oddaliła, młoda kobieta z wiadomością o zmianie w rozkładzie zajęć, a twarz Klary przybrała wyraz daleki i napięty, ale nie z powodu tego komunikatu, wcale nie. Zmartwiło ją co innego, coś drgnęło i wtargnęło, a ona przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała.

- Dziwne, że się nagle zjawiasz. Boże, jakie to dziwne i w pewnym sensie okropne. A ja dopiero teraz skojarzyłam. Na miłość boską, co się ze mną dzieje? Czyżbym zapomniała, że umarł? Albert umarł dwa tygodnie temu. Trzy tygodnie. Dzwoniła Teresa, nasza córka.

- Przykro mi.

- On i ja nie kontaktowaliśmy się ze sobą. Trzy tygodnie temu. Zastoinowa niewydolność serca. Jedna z tych chorób, o których mniej więcej wiemy, na czym polegają, nawet jeśli nie wiemy.

- Gdzie mieszkał? Wciąż tam?

- Tak, wciąż tam - odparła. - Gdzież indziej mógłby umrzeć?

Albert był mężem Klary w czasach, kiedy znałem ich oboje.

Wykładał nauki ścisłe w moim liceum. Pan Bronzini. Nie widziałem go od wielu lat i nagle złapałem się na tym, że myślę o nim w nieoczekiwanych momentach, i to całkiem często. Wiecie, jak niektóre miejsca z upływem czasu potężnieją w pamięci. Kiedy wczesnym rankiem wracam do łóżka po półprzytomnym sikaniu i szybko osuwam się w wąski koniuszek nocy, sny zawsze zanoszą mnie z powrotem w te same parę ulic, w tę samą mętłą mgławicę klitek z wejściem ze wspólnego korytarza, i po-

wracają pewne postaci, pograniczne widma. Wśród nich Albert i Klara. On był mężem, a ona żoną - szczególnie, o którym wtedy prawie nie myślałem.

Jakaś para pochyliła się nad Klarą i oboje naraz coś zamruczeli, a ktoś z ekipy filmowej chciał wiedzieć, czy gotowa jest mówić dalej.

- A twój brat? - spytała mnie.
- Mieszka w Bostonie.
- Widujecie się?
- Nie. Rzadko.
- A co z jego szachami?
- Z nikim się nie widuję. Już dawno przestał grać.
- Jaka szkoda!
 - Przecież z jednej małej dzielnicy nie mogło wyjść dwoje geniuszy.
- Oj, nie pieprz! - powiedziała.

Położyłem dłoń na jej przedramieniu i poczułem, że zmiękło. Znow na mnie spojrziała wypukłymi oczami, przekrwionymi przez to, że tyle widziała. Było mi nadzwyczaj przyjemnie siedzieć tak z dłonią na przedramieniu Klary i wspominać skrzywione wargi niegdyś młodszej kobiety, erotyczną skazę, na widok której mężczyzna pragnie się zatracić w psychicznym rozhuśtaniu, bo usta i szczeka leżą nie całkiem na osi. Tu jednak kończyły się możliwości odczuwania refleksyjnej rozkoszy. Niczego więcej nie zdołałem precyzyjnie przez wyżymaczkę. Powiedzieliśmy, co dało się powiedzieć, wymieniliśmy wszystkie rodzaje spojrzeń, powspominaliśmy zmarłych i zaginionych, aż wreszcie przyszła pora, żebym z powrotem przedzierzgnął się w poprawnie funkcjonującego dorosłego.

Znow ktoś coś powiedział, więc wstałem i odszedłem, czując, jak palce Klary suną po moim przedramieniu i dłoni. Tym razem stanąłem dalej, przy wyjściu. Chwilę potrwało, nim widzowie zebrali się i ustawili.

Reportarka przykucnęła i zadała pierwsze pytanie:

- Czy może nam pani powie, czemu to pani chce robić?
 - Proszę nie zapominać, że jest to dzieło w toku, zmienia się z dnia na dzień, z minuty na minutę. Niech no spróbuję, postaram się trochę pokrzążyć opłótkami i może odpowiedź sama się wyłoni, a może nie.

Prawą dłoń trzymała tuż przy twarzy, ze skośnie uniesionym papierosem, na wysokości oka.

- Dawniej często bywałam w Maine nad morzem. Wysłałam za entuzjastę żeglarstwa, to był mój drugi mąż, handlował ryzykownymi polisami i niebawem czekało go bankructwo, ale jeszcze o tym nie wiedział, a miał wtedy śliczny kecz, więc jeździliśmy na północ i pływaliliśmy wzdłuż wybrzeża. Nocą siedywaliśmy na pokładzie, niebo było wspaniale przejrzyste, a czasem widywaliśmy, jak przez gwiazdne pola wędruje coś w rodzaju aureoli, i zgadywaliśmy, co to takiego. Samoloty pasażerskie lecące nad północnym Atlantykiem, a może UFO, bo wie pani, ten temat już w tamtych czasach był popularny. Światlisty krążek wolno przemierzał niebo. Jakby za mgłą, bardzo wysoko. Wydawało mi się, że to za wielka wysokość jak na samolot pasażerski. A wiedziałam, że bombowce strategiczne wznoszą się mniej więcej na osiemnaście tysięcy metrów. I uznałam, że jest to światło odbite od jakiegoś obiektu lecącego tam wysoko, które przybiera taki kolisty kształt. Bo chciałam wierzyć, że to właśnie one. B-52. Wojny się bałam, i to jeszcze jak, ale te światła, muszę pani powiedzieć, że te światła budziły we mnie mieszane odczucia. Te samoloty w ciągłej gotowości, stale obecne, rozumie pani, oblatujące granice Sowietów; pamiętam, jak siedziałam na pokładzie, kiedy zakotwiczony kecz lekko się kołysał w jakiejś odludnej zatoczce, i czułam nabożną zgrozę, jak dziecko tuż przez zaśnięciem obcujące z tajemnicą, niebezpieczeństwem i pięknem. I chyba to właśnie jest potęga. Jeśli ktoś utrzymuje gdzieś w świecie siłę, która wdziera się ludziom w sen, to znaczy, że obdarzony jest istotną potęgą. A ja potęgę bardzo szanuję. Odkąd poszła w rozsypkę, odkąd sowieckie granice już nawet nie istnieją tak jak dawniej, to chyba nareszcie rozumiemy, spoglądamy wstecz, wyraźniej widzimy samych siebie i tamtych też. Trzydzieści, czterdzieści lat temu potęga coś znaczyła. Była stabilna, skoncentrowana, namacalna. Była wielkością, niebezpieczeństwem, terrorem, wszystkimi tymi rzeczami. I jakoś nas scalała, nas i Sowietów. Może w ogóle scalała świat. Wszystko było wymierne. Wymierna nadzieja, wymierna zagłada. Nie żebym chciała wskrzesić tamte czasy. Minęły, no i całe szczęście. Ale fakt faktem.

Chyba zgubiła watek. Urwała, zauważyła, że papieros się

dopalił, reporterka sięgnęła po niedopalek i Klara podała go jej delikatnie, ustnikiem do przodu.

- Wiele spraw, które dawniej zakotwiczone były w równo wadze sił i strachu, teraz tak jakby urwało się z łańcucha, poszło samopas. Nic już nie zna granic. Pieniądze nie znają granic. Już nie rozumiem, co się dzieje z pieniędzmi. Urwały się z łańcucha. Przemoc też urwała się z łańcucha, jest teraz łatwiejsza, wykorzeniona, bez kontroli, nie zna już żadnej miary, żadnych wartości.

Znowu przerwała i zamyśliła się.

- Nie chcę rozbierać świata - rzekła po chwili. - A raczej owszem, chcę go rozbroić, ale ostrożnie, realistycznie i z pełną świadomością, z czego rezygnujemy. My na przykład zrezygnowaliśmy z jachtu. To było nasze pierwsze wyrzeczenie. A od kąd mam tu te uziemione samoloty, obeszłam je całe, pochylona, na czworakach, czołgając się od kokpitu aż do działka na ogonie, zdążyłam je już obejrzeć w każdym świetle i wiele myślałam o broni, którą nimi przewożono, i o mężczyznach, którzy jej towarzyszyli, a był to straszny temat do rozmyślań. Ale bomb w końcu nie zrzuciono. Widzi pani. Rakiety pozostały w uchwytach pod skrzydłami, nie wystrzelone. Mężczyźni wrócili, celów nie zniszczono. Widzi pani. Wszyscy usiłowaliśmy przemysleć kwestię wojny, ale nie jestem pewna, czy potrafiłszy. Poeci pisali poematy pełne świńskich słów i to była chyba jeszcze stosunkowo najbardziej refleksyjna reakcja. Bo twórcy tej broni dali światu coś, za czym nie nadążała wyobraźnia. Dla prototypu bomby nie umiano nawet znaleźć nazwy. Nie wiadano, czy mówić o niej: rzecz, gadżet, czy jeszcze jakoś inaczej. A Oppenheimer powiedział: To jest *merde*. Wolę w tym miejscu przejść na francuski. J. Robert Oppenheimer. To jest *merde*. Chodziło mu o to, że coś, co wymyka się nazewnictwu, auto matycznie degraduje się do rangi gówna. Czegoś takiego nie sposób nazwać. Jest zbyt ogromne, złe, zanadto wykracza poza sferę naszych doświadczeń. Jest gównem również jako śmieć, odpadek. Ale ja tu robię z tego całe wielkie halo. Tak naprawdę to chcę dotrzeć do zwyczajności, do zwykłego życia ukrytego za tą sprawą. Bo właśnie ono jest sercem i duszą tego, czym się tu zajmujemy.

Lekkie zachwiania w jej głosie. I to, że wydobywał się bocz-

kiem, z kącika ust. Brzmiał uwodzicielsko, a zarazem niepokojąco, bo nasuwał obawę, że cały ten wywód może się rozleźć w jakichś niepewnych meandrach. No i te pauzy. Przeczekiwalismy każdą z nich, patrząc, jak drży zapałka, kiedy Klara zapala kolejnego papierosa.

- Otóż widzi pani - podjęła. - Malujemy, nierzadko ręcznie, własnymi słabymi dłońmi przemalowujemy ogromne maszyny bojowe, które wypuszczono z fabryk i montażowni tak identycznie, jak tylko się dało, miliony części spod sztancy, powtarzające się bez końca, a my staramy się tę powtarzalność odczynić, znaleźć w niej element odczutego życia, i może wchodzi tu w grę jakiś rodzaj instynktu przetrwania, instynktu graffiti: wejść na zakazany teren i zdeklarować się, pokazać, kim jesteśmy. Tak jak nosartyści - ci, co ozdabiali kadłuby wizerunkami dziewczyn.

Niektóre samoloty - dodała po chwili - miały na dziobach wymalowane znaki. Emblematy, godła jednostek, czasem figuratywne, na przykład zwierzę maskotka, warczące, ze spienionym pyskiem i faflami. W sumie wspaniałe komiksy. Tak zwany nosart. Tu i ówdzie kobiety. Bo w tym wszystkim chodzi o zaklinanie losu, prawda? Seksowna kobieta namalowana na dziobie samolotu jest amuletem przeciw śmierci. Możemy przypisać całe to zjawisko jakiejś atawistycznej nostalgii, ale przecież mężczyźni, którzy latali tymi maszynami, notabene w pełnej gotowości bojowej, wyposażeni w systemy wczesnego ostrzegania, w absolutnie krańcowej sytuacji, otóż wyobrażam sobie, że żyli w zamkniętym świecie, wśród jemu tylko właściwych omenów i symboli, a w dodatku byli młodzi i niewyżyci. No i pewnego dnia natrafiłam na jeden z najstarszych samolotów, jakie tu mamy, okropnie zniszczony, z ładną próbką nosartu, spłowieła i niekompletną, z obrazkiem młodej kobiety w spódniczce z falbankami i w wąskim staniku: bardzo wysoka, bardzo jasna blondynka o niebywałych nogach, z rękami na biodrach, w pozie panienki z kalendarza, ale widać było, że niezupełnie się nadaje do tej roli. Pod malunkiem widniało jej imię: Long Tali Sally. Od razu mi się spodobała, bo nie miała w sobie nic z amazonki, nic z anioła, nie była do niemożliwości wyidealizowana. Potem jeszcze o niej myślałam, i oto co wymyśliłam. Że nawet jeśli trzeba będzie ją zamalować, co wcale nie było

oczywiste ani pewne, otóż zdecydowałam, że musimy uratować przynajmniej jej imię. Postanowiłam zatytułować naszą pracę imieniem tej młodej kobiety, w hołdzie mężczyznom, którzy umieścili jej wizerunek na samolocie, w hołdzie piosence, która ich do tego natchnęła. Chociaż piosenkę ledwie pamiętam. Ale była przecież taka piosenka i przypuszczam, że gdzieś po drodze musiał istnieć pierwowzór, jakaś prawdziwa Sally. To ona posłużyła za natchnienie tekściarzowi, nosartyście albo załodze samolotu. Może była kelnerką w barze, do którego zachodził jeden z pilotów. Albo dziewczyną z czyjegoś rodzinnego miasteczka. Albo pierwszą miłością. W każdym razie jest to czyjeś prywatne życie. A ja chcę, żeby stało się częścią naszego przedsięwzięcia. To szczęśliwe godło, znak odstrasżający śmierć. Kimkolwiek jest czy była, flądrowatą kelnerką, zna pani ten typ, która targa butelkę keczupu przez całą salę, mniejsza zresztą o bombę, chcę, żeby nasze zamiary pozostały skromne, na ludzką skalę, pomimo ogromu roboty już wykonanej i tej potwornej harówki, którą jeszcze mamy przed sobą, a tymczasem siedzę tu z nogą na wiadrze i gadam bez końca o swojej pracy, chociaż doskonale pamiętam, co powiedział Matisse, że każdy malarz na początek musi obciąć sobie język.

Widziałem ją na ekranach francuskich telewizorów, całą wykropkowaną, w postaci dwukrotnie przetworzonych fal. Słyszałem jej głos, daleki, zagłuszany monotonnym przekładem. Widzowie we wszystkich prowincjach kraju, głowa przy głowie w mroku. Widziałem jej twarz rozplaszczoną na ekranie, w pulsującej obwódce, oczy jak przeżyte księżycy, pół miliona Klar dryfujących pośród nocy.

- Niedawno widziałam starą fotografię - powiedziała - z połowy lat sześćdziesiątych, z kobietą stojącą na skraju kadru. Na zdjęciu jest tłum ludzi, stoją w drzwiach, jakby w wejściu do wielkiej sali balowej, wszyscy czarno-biało ubrani, mężczyźni i kobiety w maskach, i kiedy tak patrzyłam na tę fotkę, zdałam sobie sprawę, że to przecież to słynne przyjęcie, najslawniejszy spęd tamtej epoki, Czarno-Biały Bal Trumana Capote'a w nowojorskim hotelu „Plaża”, w mrocznych czasach Wietnamu, i wpatrując się w tę scenę, musiałam widocznie być na kompletnym odlocie, trochę jakbym wyszła z ciała, bo minęło chyba z pół minuty, nim zrozumiałam, że ta kobieta na skraju kadru to ja.

Niewątpliwie. A obok stoi mężczyzna, Truman Capote albo J. Edgar Hoover, któryś z nich, bo mieli głowy podobnego kształtu, ale maska, kąt ujęcia i cienie utrudniają rozpoznanie, i jestem w długiej czarnej sukni, w takim jakby futerał, nie mieści mi się w głowie, że mogłam coś podobnego włożyć, ale to naprawdę ja, we własnej osobie, w białej maseczce kotki. I pomyślałam: co też takiego jest w tej fotografii, że ledwo sobie siebie przypominam? Nie wiem, kim jest ta kobieta - pomyślałam. Skąd właściwie wzięła się na tym balu? O czym myśli? Jaką ma bieliznę pod tą głupią suknią, bo słowo daję, że nie wiem. Otaczają ją różne sławy, wpływowo osobistości, mężczyźni na stanowiskach rządowych, którzy wtedy prowadzili tę wojnę, a ja mam ochotę zamalować to wszystko, pomalować zdjęcie na pomarańczowo, niebiesko i bordo, pomalować smokingi i suknie, przemalować salę balową hotelu „Plaža”, i może właśnie teraz to robię, sama nie wiem, przecież praca trwa i wszystko co chwila się zmienia. A nie zapominajmy też o przyjemności.

O zmysłach, rozkoszach, cielesnych sokach. Ale podniebny błękit, owszem. I żółć, i zieleń, i czerwień pelargonii. Jak te pelargonie z Maine, którym służy chłodne, wilgotne powietrze. I amarant, jak najbardziej. Pomarańczowy, kobalt i żółć *chartreuse*.

Ktoś w grupie widzów zawołał:

- Lepiej być czerwonym niż martwym!

Wszyscy wybuchliśmy śmiechem. Rzucona uwaga wywołała rezonans, który zdawał się szybować na naszych głosach, odbijając się od przeciwległych ścian wspólnie przez nas zajmowanej przestrzeni. Staliśmy, słuchając własnego śmiechu.

I zgodnie uznaliśmy, że wieczór dobiegł końca.

Szedłem do swojego auta, kiedy zobaczyłem tę nowojorską taksówkę. Ktoś właśnie do niej wsiadał, a gdy zapaliło się światło, stwierdziłem, że to ta sama dziewczyna, która przedtem prowadziła.

- Dziękuję - powiedziałem. - Za to, co wtedy.

- Więc to pan jechał Iexusem.

- Zbłąkany wędrowiec. Całe szczęście, że akurat nadjechałście.

- A myśmy sobie mówili: on pewno myśli, że to Morderca z Teksaskich Szos szykuje się, żeby zaliczyć kolejną ofiarę.

- Wiedziałem, że to nie Teksaski Morderca, bo przecież nie jesteśmy w Teksasie.
- A poza tym on raczej nie jeździ żółtą taksówką.
- To też.
- Przyjechał pan pomóc?
 - Chciałbym, ale muszę wracać do biurowca w wielkiej stolicy.
 - Może to pańska ostatnia szansa, żeby przejść do historii sztuki.
- Czy tego czegoś, co tu tworzycie.
- Racja. Tego czegoś, co tu tworzymy.

Siedziała za kierownicą przy otwartych drzwiach, rozłożysta, już nie ta ulotna sylfida, za którą ją wziąłem wcześniej, wśród koziołkujących kłębow kurzu.

- To pani wóz?
 - Powiedzmy, że sama się z nim zgłosiłam - odparła - no i chyba będę musiała polubić jeżdżenie taksówką, chociaż to trochę niewygodne. Ale warto było, choćby po to, żeby zobaczyć minę Klary.

Rozłożysta i szczerza jak kelnerka zatrudniona na letni sezon, która mówi: „Smacznego”, kiedy stawia przed klientem jedzenie.

- Pani tu od dawna?
 - Będzie siedem tygodni i wytrwam do końca, choćby to miało trwać wieczność, co zresztą może się zdarzyć.
- Nie tęskni pani za domem?
- Czasami. Ale to niepowtarzalna okazja. Był pan tam już?
- Pójdę rano.
- Radzę pójść wcześniej. Upał nie do wytrzymania.
- Dobrze wiem, co to upał. Lubię upał.
- Skąd pan przyjechał?

Nie powiedziałem jej, że żyję sobie spokojnie w niepozornym domku i tak dalej. Poinformowałem ją natomiast, gdzie zamierzam nocować, i nie przerywałem, kiedy zaczęła mi objaśniać, jak tam trafić, chociaż już znałem drogę.

Cierpliwie słuchałem jej opowieści o rodzinnym miasteczku.

Spytałem, co właściwie robi przy samolotach, i usłyszałem, że maluje farbą gruntującą i zdiera starą powłokę, czasem ręcznie, a czasem mechaniczną piaszczarką.

Siedziała wyprostowana, recytując szczegóły, i kiwała głową w sposób karykaturalnie, a zarazem autentycznie dziewczęcy.

Spytałem, czy coś studiuje, a ona na to, że przerwała przed kilkoma laty, ale ma zamiar wrócić na studia, żeby zrobić dyplom z technik sprzedaży detalicznej, i o tym też wysłuchałem dokładnej opowieści.

Porozmawialiśmy o jej bracie, który cierpiał na rzadką chorobę krwi.

Cierpliwie wysłuchałem historyjki o wycieczce do górskich rzek, na którą pojechała pewnego lata po siedemnastych urodzinach.

Mówiła „zdegerowany” zamiast „zdegenerowany”. Jej „okej” brzmiało jak „okaj”.

Siedziała na podkładce z drewnianych kulek. Włosy miała krótko obcięte, przez co twarz wydawała się pełniejsza. Z bliska zobaczyłem, że w detalach i wykończeniu taksówki, a także w robocie lakiernika więcej jest amatorskiego wdzięku niż dokładności. Ale trafnie oddać nowojorskie klimaty to przecież niełatwa sprawa.

- Krąży ostatnio taki kawał - powiedziała. - Tylko że nikt nie daje głowy, czy to rzeczywiście kawał. My te stare samoloty malujemy poniekąd na wiwat, ale skąd ta pewność, że kryzys naprawdę się skończył? Bo czy Związek Radziecki rzeczywiście się rozpada? A może to tylko podstęp, na który Zachód ma się nabrać?

Parsknęła śmiechem z zatok czołowych, nosowym i z ust, szorstkim i wilgotnym: ten dziwaczny dźwięk miał za zadanie ośmieszyć hipotezę, którą przed chwilą sformułowała, a zarazem oddać sprawiedliwość mrocznemu powabowi tej teorii.

- Rozlatują się tak na niby, żebyśmy opuścili gardę, okay?

Wysłuchałem, co ma w tej sprawie do powiedzenia.

Znowu wydała ten dziwny dźwięk. Przeciągle, mokre rżenie na głosce K. Poczulem, że im dłużej mówi, tym większy zaciąga u mnie dług. Ale nie powiedziałem ani słowa. Miałem ochotę się odezwać, zrobić wyrwę w tym jej pochłonięciu sobą, w tej gęstej magmie, na którą składało się rodzinne miasteczko i umierający brat. Chciałem obrócić w perzynę wszystko, o czym mówiła. Był to jednak tylko przelotny nastrój, coś, co tryska z uformowanego rdzenia naszej przeciwniackiej determinacji.

Pozwalałem dziewczynie mówić. A im dłużej słuchałem i im mniej mi się podobała, tym bardziej pragnąłem wleźć jej w majtki, z przyczyn niepojętych dla nikogo pod słońcem.

Ale nie odezwałem się ani słowem. Miałem ochotę ją namówić, żeby spędziła noc w moim pokoju, albo pół nocy, albo godzinę i dziesięć minut. Nie wiedziałem, dlaczego jej pożądam, wiedziałem za to, czemu jej nie pożądam. Sprzeniewierzyłbym się przecież Klarze, naszej wspólnej pamięci, naszym paru godzinom w tamtym pokoiku, dawno temu, wśród wąskich uliczek, które wyznaczały granice świata.

- No, późno się robi - powiedziałem.
- Tak, jutro pracowity dzień.
- Muszę się zbierać.

Jeszcze raz objaśniła mi drogę do motelu i odjechała. Wszystkie inne wozy odjechały już wcześniej. Poszedłem szukać po ciemku swojego auta.

Ciekawie jest pomyśleć o tej niebiańskiej lunie, którą cedzimy, aż zostają tylko kształty zwierząt i przyborów kuchennych.

W motelu oglądałem telewizję.

Żyłem odpowiedzialnie, w rzeczywistości. Nie do przyjęcia było dla mnie życie jako fikcja, czy co tam zresztą miała na myśli Klara Sax, kiedy mówiła, że wszystko się odrealniło. Historia nie sprowadzała się do paru brakujących minut na taśmie. Nie stałem wobec niej bezbronny. Poddawałem się nurtowi zgromadzonej wiedzy, czerpałem otuchę z solidnej i owocnej materii naszego wspólnego doświadczenia. Nawet jeśli wierzymy, że historia jest młyńskim kołem napędzanym ludzką krwią - poczytajcie przemówienia Mussoliniego - to przynajmniej dowiedzieliśmy się o tym wszyscy razem. Z jednej potocznej fabuły, a nie z dziesięciu tysięcy kosmyków dezinformacji.

Jakiś mężczyzna siedział na krześle dopasowanym kształtem do ludzkiego ciała, przed nim stał nieduży stolik, a na ścianie z tyłu rozmieszczono książki czy też obwoluty.

Wierzyłem, że możemy wiedzieć, co nas spotyka. Nie jesteśmy wykluczeni z własnego życia. Przecież to nie moja głowa wyrasta z cudzych ramion na fotografii załączonej jako dowód. Nie uważałem, że narody uprawiają aktorstwo na wielką skalę. Żyłem w rzeczywistości. Wpuszczałem w nią tylko miejscowe

duchy, dymne ślady znajomych osób i burą szarość własnego pośpępnego cienia, duchy wszystkie bez wyjątku nowojorskie, stary hałaśliwy Bronx, życie z dnia na dzień, słowa przez połamane zęby - drwiący okrzyk, prychnięcie obelżywe jak pierd.

Mężczyzna siedzący na krześle powiedział:

- Zespół Downa. Darmowy numer: jeden, osiemset, pięć jeden pięć, dwa siedem sześć osiem. Psychoza Korsakowa. Jeden, osiemset, trzy jeden trzy, siedem pięć osiem jeden. Choroba Alzheimer'a. Darmowy numer. Jeden, osiemset, osiem jeden trzy, trzy pięć dwa siedem. Mięsak Kaposiego. Przez całą dobę. Jeden, osiemset, sześć siedem dwa, dziewięć jeden sześć jeden.

Pojechałem na plac o wschodzie słońca. Zaparkowałem obok szopy ze sprzętem i zacząłem się wspinać na niewielkie wzniesienie, wiedząc, że posłuży mi ono za naturalny punkt obserwacyjny, z którego będę mógł obejrzeć samoloty. Najpierw je usłyszałem, a dopiero potem ujrzałem: porywisty wiatr z niespokojnym zgrzytaniem obracał ruchomymi częściami. Wyszedłem na szczyt półki z piaskowca i zobaczyłem, że stoją w rozległym szyku na wyblakłym dnie świata.

Nie spodziewałem się aż tylu. Zdziwiłem się, że jest ich takie mnóstwo. Tworzyły osiem nierównych rzędów, a parę zbłąkanych samolotów stało skosem na obrzeżach. W blasku wschodzącego słońca policzyłem je wszystkie. Dwieście trzydzieści maszyn o skośnie uniesionych skrzydłach, maszyn upletwionych niczym głębinowe stwory, jedne częściowo już pomalowane, inne prawie do końca, wiele wciąż jeszcze nie tkniętych rozpylaczem: wśród tych ostatnich jedne były szare jak okręty wojenne, inne zachowały resztkę farb maskujących, a niektóre oczyszczono piaszczarkami aż do gołego metalu.

Pomalowane samoloty pulsowały odbitym słońcem. Ławice kolorów, pasma i rozpryski, powietrzne rozlewiska, siła nasyczonego światła - a wszystko to przedziwnie osobiste, jakby wyszło spod ręki jednego malarza, poruszanej tyleż impulsem i refleksją, ile epickim zamysłem. Nie spodziewałem się aż takiej przyjemności i tylu wrażeń. Powietrze całe było natarte barwami, metalowa skóra samolotów pałała miedzią i ochrą, wymieniając się odcieniami z pustynnym passe-partout. Ale barwy te

nie czerpały mocy po prostu z nieba ani z rzeźby krajobrazu. Pchały i szarpały, wzajemnie skonfliktowane. Trzeba je było odbierać emocjonalnie, pigmenty skórne, industrialne szarości, rozbuchaną czerwień, która pojawiała się jak refren - czerwień czegoś uwolnionego, pękniętego worka, gęsta jak przekrwiona ropa, podszyta ciekłą żółcią. Pozostałe samoloty, te o spalonych barwach, martwe dusze z szybami wiatrochronów i silnikami wciąż jeszcze spowitymi w upiorne płachty, czekały, aż ktoś je zagruntuje.

Ilekróć zdarza mi się zobaczyć coś do głębi poruszającego, wiem, że nie powinienem zbyt długo się wpatrywać. Jeden rzut oka, i w drogę. Jeśli zbyt długo zamrudzisz, pierwszy bezsłowny wstrząs rozmienia się na drobne. Zachwyć się nim, zaufaj mu i odejdz.

Chciała ukazać nam jednolitą masę, a nie luźny zbiór. Równo oddzielić przestrzeń naszym zainteresowaniem. Żebyśmy z wolna wodzili wzrokiem po jej dziele. Chciała nam uzmysłwić bezkres krainy, w którą dzieło to było oprawione.

Słuchałem, jak łopatki turbin grzechoczą na wietrze, twarz prażył mi żar sirocco i rzeczywiście bez pośpiechu omiatałem spojrzeniem kolejne rzędy, czując wokół siebie jakąś dzikość, ponury wigor klimatu, pustyni i tych starych maszyn bojowych, tak przemożnie zaadaptowanych, widziałem, jak bardzo na miejscu jest to, co zrobiła Klara, ale kiedy obejrzałem już wszystko, wiedziałem, że nie zostaną ani sekundy dłużej.

Nadjechały trzy auta z pierwszą tego dnia grupą krzepkich robotników. Zszedłem do wozu i otworzyłem tubę emulsji przeciwsłonecznej, którą wieczorem zauważyłem na półce przy recepcji rodzinnego motelu, obok widokówek, indiańskich kulełek *kachina* i torebek z pikantnymi chrupkami, pasemek tej przedziwnej pajęczyny neuronów, która oplata pogrążoną w chromowej samotności Amerykę. Stałem przy aucie i smarowałem sobie ręce i twarz. Przerwałem na chwilę, żeby jeszcze raz przeczytać etykietkę. Czytałem ją zresztą przez całe rano. Stwierdziła, że wskaźnik skuteczności kremu wynosi trzydzieści, a nie piętnaście. Dobrze znałem ten temat. Byłem w nim czytany, nieraz oglądałem wyniki badań, porównywałem rozmaite produkty i śmiało zapewnienia ich wytwórców. I wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że piętnastka to najwyższy wskaźnik

skutecznej ochrony przed słońcem, jaki dopuszcza nauka. A oni mi tu sprzedają trzydziestkę.

Pomyślałem w związku z tym o pewnej dziwnej sprawie. Wsiadłem do auta i ruszyłem w stronę autostrady. Przypomniała mi się historyjka o Tellerze. O doktorze Edwardzie Tellerze i o pierwszym na świecie wybuchu atomowym, dokonany jakiegoś trzysta kilometrów na północny wschód od miejsca, w którym akurat się znajdowałem. Otóż doktor Teller obserwował to zjawisko z odległości trzydziestu paru kilometrów od epicentrum i obawiał się bezpośrednich skutków eksplozji, uznał więc, że może warto posmarować twarz i ręce kremem do opalania.

Te myśli, te świetlne rozbłyski, ten rozbrajająco naiwny gest, japoński samochód - wszystko to mniej lub bardziej harmonizowało z krajobrazem.

Nacisnąłem guzik, żeby otworzyć okna, i zobaczyłem góry piętrzące się nad meksykańską granicą, samoistnie liryczne i pięknie ponazywane, choć nie znałem tych nazw, ale góry nie sposób źle nazwać, i rozglądałem się za drogowskazem, który skierowałby mnie w stronę domu.

2

Mieszkała wtedy z nami moja matka. Namówiliśmy ją w końcu, żeby się wyniosła ze Wschodniego Wybrzeża, i ulokowali w chłodnym pokoju na tyłach domu.

Moja żona miała z nią dobry kontakt. Umiały ze sobą rozmawiać. Znaleźć wspólne tematy. Mówiły o sprawach, o których nie rozmawiałem z Marian, które zbywałem wzruszeniem ramion, ilekroć pytała, może o moich pierwszych dziewczynach albo jak mi się układało z bratem. O różnych podstępnych drobnostkach, o które Marian dawniej mnie wypytywała. Kiedy miałem osiem lat, spadłem z drzewa i złamałem rękę. O takich sprawach rozmawiały.

Z połyskliwej wieży z brązu, w której pracowałem, patrzyłem na wzgórze i granie koloru umbry, wyznaczające północno-wschodnią panoramę. Na ulicy mogło być czterdzieści stopni. Może nawet czterdzieści jeden, czterdzieści dwa. Patrzyłem hen, w dal, ponad heterogenicznymi hektarami przysadziście pudeł-

kowatych budynków, które czasem się odwiedzało, żeby oddać do naprawy aparat słuchowy albo kupić środek dezynfekujący wodę w basenie, patrzyłem w dal ponad tym codziennie przemierzonym, pełnym powtórzeń obszarem, mówiąc sobie, że bardzo lubię dzielnicę biurowców, jej śródmiejską ciszę i wielopiętrowe gmachy oddzielone od siebie otwartą przestrzenią, parki ze ścieżkami dla biegaczy, wzgórze otaczające ją kręgiem elfów, ulice domków jednorodzinnych wysadzone oleandrami i palmami, gdzie drzewom bieli się pnie wapnem dla ochrony przed słońcem.

Sprowadziliśmy ją ze Wschodniego Wybrzeża. Wyrwaliśmy ją z codziennego dramatu przemocy, lamentu, makabr z brukowej prasy i adekwatnego zadośćuczynienia, wiecznego bełkotu, że miasto jest okrutne, miasto jest podłe, miasto jest miłe dla turystki z Missouri, jeśli zdarzy jej się zostawić torebkę w taksówce, i urządziliśmy ją w chłodnym pokoju, w którym odtąd oglądała telewizję.

Marian wypytywała mnie o życie tamtych starych ulic, o uliczne zabawy, uliczne walki, seks w zaułkach, drobne kradzieże. Opowiedziałem jej o aucie, czyli nie takiej znowu drobnostce, ale chciała usłyszeć coś więcej. Chciała usłyszeć o egzekucjach dokonywanych niekiedy na niesfornych członkach zorganizowanej grupy, która wedle jej wyobrażeń miała działać w dzielnicy, i jak pocisk wbija się w potylicę, zmierzając prosto do mózgu. Liczyła na to, że dzięki przybyciu mojej matki wysączy wreszcie ten zasadniczy aromat, którego odmawiał jej małomówny Nick. Ale matka mówiła tylko o moich kiepskich stopniach w szkole i jak w wieku ośmiu lat spadłem z drzewa.

Podobało mi się zresztą, że historia nie wymknęła im się spod kontroli. Segregowały historię widzialną. Zamykały ją w klatkach, lokowały na kontach i ubrażały, hołubiły w muzeach, na placach i skwerach założonych ku pamięci tego czy owego. Reszta była kwestią geografii, samą przestrzenią, światłem, cieniem i niewyobrażalnym, nawisłym upałem.

Piłem mleczko sojowe i codziennie przebiegałem półtora kilometra. Do paska szortów przypinałem urządzenie ważące trochę mniej niż sto gramów, z licznikiem, który podawał przebytą odległość, liczbę spalonych kalorii i długość kroku. Klucze od domu trzymałem w portfeliku przymocowanym do nogi w kost-

ce, zapinanym na rzepy. Nie lubiłem, żeby mi podczas biegu brzęczały w kieszeni. Portfelik umocowany do nogi w kostce zaspokajał pewną potrzebę. Był bezpośrednim rozwiązaniem osobistego problemu. Dzięki niemu czułem, że ktoś spośród ludzi zajmujących się projektowaniem wyrobów, handlem oraz katalogowaniem upominków rozumie specyfikę moich drobnych, lecz utraconych potrzeb.

Rozmawiały też o moim ojcu. O nim też rozmawiały w głębokim poobiednim letargu. Marian łączywie rzucała się na takie tematy, usiłując wypełnić luki, ustalić szczegóły. Siadałem w saloniku i chwilami słuchałem ich rozmowy, zagłuszanej przez natrętną seksualną pulsację maszyny do mycia naczyń. Słuchałem jednym uchem, z nosem w jakimś czasopiśmie, a z pokoju od podwórza dobiegały stłumione głosy, co pewien czas kilka słów wybijających się ponad szum zmywarki i telewizję. Bo telewizor zawsze grał, kiedy matka siedziała u siebie w pokoju.

Ważnym elementem mojej pracy były podróże. Zostawiałem wtedy za sobą lustrzane tafle wieży z brązu, w której ludzie wzorowali się na innych ludziach, zaledwie garstce, to przecież zresztą naturalne, zazwyczaj po prostu ich naśladowali, przykład szedł z góry, a oni powtarzali gesty czy powiedzonka szefa. Wyobraźcie sobie młodego mężczyznę albo kobietę, młodą kobietę, wymawiającą kilka słów z gardłowym charkotem, jak gangster w filmie. Sam dawniej robiłem nieraz coś takiego, ilekroć chciałem kogoś półzartem popędzić z robotą. Miotałem zdyszane rynsztokowe groźby kątem ust, a po kilku dniach, mijając jakiś pokój, słyszałem, jak któryś z moich asystentów mówi dokładnie tym samym tonem.

Wstawiliśmy jej do pokoju telewizor, nawilżacz powietrza i komódkę z lustrem, której używała Marian, kiedy dorastała. Opróżniliśmy i oczyściliśmy mebel, lustro kazaliśmy na nowo posrebrzyć, a szafę hojnie wyposażyliśmy w wieszaki.

Albo w trakcie zebrania sięgałem po słuchawkę i udawałem, że zlecam komuś okaleczenie kolegi z pracy, a reszta obecnych witała ten mój manewr szyderczym śmiechem. Staralem się nie śmiać w pewien konkretny sposób, tak jak Arthur Blessing, nasz dyrektor, z dobitnym ha-ha-ha, podkreślając każdą sylabę powolnym skinieniem głowy. Wyjazdy, odloty wyzwały mnie

spod władzy sygnałów, które z impetem odbijały się od wszystkich wypolerowanych, okazałych powierzchni.

Wyszedł po papierosy i nie wrócił. Nieraz mówiono tak o mężczyznach, którzy znikli. Szczyt tajemnicy rodzinnej. Wszystkie one znajdują kulminację w ostatecznej męce porzucenia. Mój ojciec palił lucky strike'i. Rysunek na opakowaniu można by uznać za rodzaj tarczy strzeleckiej, chociaż może jednak nie - przecież nie ma kółeczka w środku, tam gdzie się trafia w dziesiątkę, w tak zwane bycze oko. Kółko w środku jest duże. Najpierw duże czerwone, z białą obwódką, potem węższa beżowa obwódka i wreszcie wąziutka czarna, więc jeśli nie rozszerzymy definicji byczego oka ani definicji tarczy, to chyba jednak nie da się powiedzieć, że godło lucky strike'ów jest tarczą. Ale dla mnie to i tak tarcza, a definicje czniam.

Marian uważała, że to właśnie jest najważniejsze, kiedy zależy nam, żeby gość poczuł się jak u siebie w domu. Jeśli damy za mało wieszaków, pomyśli, że jej tu nie chcemy.

Moja firma zajmowała się odpadami. Byliśmy dyspozytorami odpadów, handlarzami i kosmologami. Jeździłem na nadmorską nizinę w Teksasie i patrzyłem, jak mężczyźni w księżycowych skafandrach zakopują beczki pełne niebezpiecznych odpadów w podziemnych złożach soli kamiennej sprzed wielu milionów lat, w wyschniętych pozostałościach mezozoicznego oceanu. W naszej branży panowało wręcz religijne przeświadczenie, że te pokłady soli nie przepuszczą promieniowania. Urządzamy pochówek skażonym odpadom, z uszanowaniem i ze zgrozą. Trzeba szanować to, co wyrzucamy.

Na via delia Spiga widziałem mężczyznę, który przyglądał włosy; stojąc przed filarem z lustrami, przeciągał obiema dłońmi po włosach, a ten jego gest, wyraz oczu, lekko dziobata cera, dłonie nadające włosom kierunek - w sumie raptem pół sekundy pewnego dnia w Mediolanie - przypomniały mi naraz tysiąc różnych rzeczy, stare dzieje.

Jezuici nauczyli mnie szukać we wszystkim drugiego dna i głębszych powiązań. Czy myśleli wtedy o odpadach? Byliśmy zarządcami odpadów, potentatami w tej dziedzinie, przetwarzaliśmy odpady całego świata. Odpady mają dziś uroczystą aurę, jakby były tabu. Białe kontenery pełne odpadów plutonowych z żółtymi tabliczkami ostrzegawczymi. Obchodzić się ostrożnie!

Nawet najpospolitsze odpadki z gospodarstwa domowego są pod czujną obserwacją. Ludzie inaczej patrzą teraz na własne śmieci; każdą butelkę i zgnieciony karton widzą w kontekście całej planety.

Mój syn wierzył dawniej, że może spojrzeć na lecący samolot i wywołać w nim eksplozję, jeśli o tym choćby pomyśli. Jako trzynastolatek wierzył, że granica między nim a światem jest cienka i dostatecznie porowata, aby mógł wpływać na bieg wydarzeń. Maszyna w locie stwarzała pokusę zbyt silną, nie do zignorowania. Patrząc, jak samolot po starcie ze Sky Harbor wznosi się coraz wyżej, wyczuwał element katastrofy wpisanej w ten prosty fakt, że obiekt latający pełen jest ludzi. Wrażliwy był na najblahsze bodźce i wydawało mu się, że czuje, jak sama maszyna pragnie rozerwać się na kawałki. Gdyby tylko przywołał wyobraźnię ten ognisty obraz, samolot natychmiast zapłonąłby i wybuchnął. No jazda, wysadź go, podjudzała siostra, pokaz, jak ściągasz z nieba samolot z dwiema setkami pasażerów, a jego przerażały te słowa, ją zresztą też, bo nie była tak znów całkiem pewna, czy nie mógłby naprawdę tego zrobić. Nastolatek ma ten szczególny dar, że potrafi sobie wyobrazić koniec świata jako pochodną własnej irytacji. Ale Jeff z wiekiem tracił zainteresowanie i przekonanie. Stracił ten paradoksalny talent, który pozwalał mu trwać osobno, samotnie, a zarazem podtrzymywać intymną więź, myślową łączność z odległymi sprawami.

W domu sortowaliśmy śmieci: osobno szkło, osobno puszki, osobno papier. Potem oddzielaliśmy szkło bezbarwne od kolorowego. Cynę od aluminium. Plastikowe pojemniki bez przykrywek czy zakrętek wyrzucaliśmy tylko we wtorki. Potem śmieci z podwórka. Jeszcze później gazety wraz z wkładkami na papierze glansowanym, ale uważaliśmy, żeby ich nie łączyć z sznurkiem, chociaż zawsze człowieka korci.

Korporacja rzekomo pomaga nam wyjść z siebie. Projektujemy te zorganizowane organizmy, żeby zaspokoić potrzeby rynku, śmiało stawić czoło światu. Ale cały ten układ i tak poddany jest powolnemu, mętnemu ruchowi ksobnemu. Plotki, pogłoski, awanse, osobowości - przecież to chyba naturalne, wszystkie te ludzkie potknięcia, które wypełniają duszę firmy. A jednak świat nadal trwa, zawsze jakoś się goi. Czujesz wokół siebie punkty styczności, pieszczotę sprzężonych siatek, które dają ci

wrażenie ładu i władzy. Ład i władza mieszkają w rzędach rozszczebiotanych telefonów, w faksach i fotokopiarkach, w oceanicznej logice twojego komputera. Możesz do woli ubolewać nad wszechobecnością techniki. Umacnia ona twoje poczucie godności osobistej i pozwala tobie, zapiętemu w wyprasowany garnitur, nawiązać kontakt ze sprawami, które przeciekają przez świat, poza tym nie zauważane.

Marian prowadziła samochód z ołówkiem w ręku. Chyba nigdy jej nie spytałem, czemu. Chyba już nie rozmawialiśmy tak jak wtedy, kiedy dzieci podraستاły. Cóż za bogactwo tematów, dwoje żywych stworzeń, które zmieniały się na naszych oczach, przechodziły od bezmyślnego ryku, od mlecznej papki do sformułowanych słów, zaczynały naukę w szkole albo po prostu siedziały za stołem i jadły, twarzyczki jak spod kredki, napompowane istnieniem. Ale teraz oboje byli już przecież dorośli, każde ze swoim komputerem, z obrotowymi półkami na domową elektronikę, z dzieckiem w drodze i z nalepką na zderzaku (auta mojego syna), na której napis głosił: „Czym Prędzej Donikąd”. Mażeńskich dni nie wypełniały nam już rozmowy o Lainie i o Jeffie. Wiązaliśmy pewne nadzieje ze spodziewanymi narodzinami wnuka.

Nad kanałem melioracyjnym biegałem z bezprzewodowymi słuchawkami na głowie. W biegu słuchałem suffickich śpiewów. Biegałem alejkami przez szpalery palm, krętymi uliczkami przez szpalery pomarańczy, między ładnymi tynkowanymi domami -uliczkami ze snów zwróconych na zachód: przed półwiekiem mój ojciec mógłby nas zawieźć w jakieś takie miejsce zwrócone ku światłu i zachodowi, miejsce, do którego ludzie przybywają, żeby wymknąć się niepomyślnej przeszłości pełnej szarych ulic, zatłoczonych mieszkań i odoru kapusty w korytarzach.

Lainie była przedsiębiorcza, nieustępliwa, zawzięta w negocjacjach, nasza córka reklamiarą, mówiliśmy o niej. Mieszkała w Tucson z mężem Deksem. Robili biżuterię według wzorów różnych plemion i reklamowali ją w telewizji - bransolety, łańcuszki i tym podobne, udzielali też wywiadów, jeździli na festiwalu i inne imprezy kulturalne. Jej ciąża dodała nam animuszu. Lainie przysyłała zdjęcia swojej zmieniającej się figury, a my często jeździliśmy do niej autem, żeby popatrzeć, jak pęcznieje.

Przestawiałem książki na półkach. Stałem w pokoju, patrząc na książki. Potem przypinałem do nogi w kostce portfelik i biegłem.

Im bardziej grubiała, tym bardziej się cieszyliśmy. Nawet nie wiedzieliśmy, jaka radość jest nam pisana, póki nie zjechaliśmy z szosy numer dziesięć i włączając się w strumień aut na jednej z tych szerokich arterii, którymi leje się maraton mknącego metalu, nie odnaleźliśmy jej zaułka, a ona już stała w drzwiach, demonstrując majestatyczny profil.

Znak lucky strike'ów nazywam tarczą, bo wierzę, że tamci czekali na ojca, kiedy wyszedł po papierosy, zgarnęli go, wsadzili do auta i wywieźli nad zatokę, może nad ujście rzeki, a może nad lagunę drzemiącą w milczeniu i w mroku, w okolicę pełną bagien, dopływów i odległych cypli, no i załatwili go, pocisk utkwiał w potylicy i najkrótszą drogą dotarł do mózgu. A zresztą jeśli to nie jest tarcza, czemu ten akurat gatunek nazwali „Lucky Strike”, Fart-Traf? Zgoda, ta nazwa kojarzy się z gorączką złota. Ale „traf to nie tylko odkrycie żyły kruszcu. To także celny strzał z broni palnej. A czy nie istnieje związek między nazwą papierosów a rysunkiem koncentrycznych kół na opakowaniu? Czyli od początku mieli na myśli tarczę.

3

Siedzieliśmy w Stadium Club i jedliśmy krwiste mięso, popijając je koktajlami z whisky i niby to oglądając mecz. Nieraz przedtem jeździłem służbowo do Los Angeles, ale nigdy się nie wybrałem na stadion Dodgersów. Big Sims musiał mnie wepchnąć do swojego auta, żebym dał się tam zawieźć.

Siedzieliśmy na wysokości miejsc dla prasy, odgradzeni od boiska szybą, i chociaż mieliśmy stolik przy oknie, z trybun dobiegały nas tylko stłumione dźwięki. Wyraźnie słyszeliśmy głos sprawozdawcy radiowego, przekazywany prosto z kabiny, ale tłum trwał w trochę niezemskiej dali, a jego duszne jęki przypominały lament jakiegoś zaginionego batalionu.

- Podobno na Wschodnim Wybrzeżu przestali w końcu spuszczać do oceanu - powiedział Brian Glassic.
- Nie przy jedzeniu! - zaprotestowałem.

- Właśnie że mu powiedz - nalegał Sims. - Szczegółowo opisz. Niech powącha.
 - A tam, gdzie najwięcej spuszcza, podobno najbujniej rozkwitło życie morza.
- Sims spojrzał na Angielkę, która jako jedyna jadła rybę.
- Słyszała pani? - spytał. - Morska fauna i flora świetnie na tym wyszła.
 - Szybko zjedźmy i chodźmy posiedzieć na trybunie jak ludzie - zaproponował Classic.
 - Po co? - zdziwił się Sims.
 - Muszę słyszeć tłum.
 - Wcale nie musisz.
 - Czym jest mecz bez ryku tłumu?
 - Przyjechaliśmy tu zjeść obiad i popatrzeć, jak grają - rzekł Sims. - Specjalnie się starałem o stolik przy oknie. Nie po to się chodzi na stadion, żeby słuchać meczu, tylko żeby go oglądać. No co, dobrze widzisz?

Simeon Biggs, Big Sims, słyszał w firmie ze swojego obwołu w pasie. Miał pięćdziesiąt pięć lat, był gruby i łysy, ale silny, z karkiem i ramionami jak konary klonu cukrowego. Jeśli cię dostatecznie polubił, mógł cię walnąć kułakiem w pierś i pozwolić ci na to samo albo zaprosić, żebyś się z nim pościągał dookoła kwartału ulic. W Los Angeles zajmował się stroną wykonawczą działalności tamtejszego, jak go nazywaliśmy, kampusu naszej firmy i projektował zwałowiska piękniejsze od pastelowych pasażów handlowych.

Classic spojrzał na mnie i powiedział:

- Przydałyby nam się hełmy wideo i elektroniczne rękawice. Bo to nie jest normalna rzeczywistość, tylko wirtualna. A my nie mamy odpowiedniego wyposażenia.
 - Na trybunę nie możemy zabrać ze sobą drinków - odparł Sims.
 - Poważny argument - przyznałem.
- Jeśli w ogóle kiedykolwiek zdarzało mi się jeść niezupełnie to, co powinienem, albo za dużo pić, to tylko w towarzystwie Simsa, który całą swoją osobą urągał idei umiaru.
- O ile dobrze rozumiem - powiedziała Angielka - łapacz daje sygnał miotaczowi. Żeby rzucił tak albo inaczej. Szybka

albo wolną, wysoką albo niską piłkę. Ale co się stanie, jeśli miotacz nie uzna decyzji łapacza?

- Protestuje - wyjaśnił Glassic.

- Aha.

- Macha rękawicą albo kręci głową - dodał Sims. - Może też karcąco spojrzeć na łapacza.

Angielka nazywała się Jane Farish i była producentką z BBC. Chciała zrobić program o kopułach solnych, które testowaliśmy pod egidą Departamentu Energii z myślą o składowaniu odpadów jądrowych. Już od kilku lat łapczywie pochłaniała kulturę amerykańską, zostawiając za sobą, jak sama twierdziła, ziemię spaloną wywiadami: przepytowała królów pornografii, kontemplujących mnichów, bluesowych śpiewaków odsiadujących wyroki. Właśnie skończyła rundę po Kalifornii i wybierała się do Reno na turniej pokera, a potem na pustynię, żeby zrobić wywiad z Klarą Sax.

Dodgersi grali z Giantsami.

Sims spojrział na Farish i powiedział:

- Wie pani, te dwie drużyny istnieją już od bardzo dawna. Aż do późnych lat pięćdziesiątych były to nowojorskie kluby.

- A potem przeniosły się na zachód, tak?

- Owszem, i zabrały ze sobą serce i duszę Nicka.

Farish popatrzyła na mnie.

- Nie było co zabierać. Już wcześniej przestałem kibicować. Wypaliłem się. To mój pierwszy mecz od kilkudziesięciu lat.

- W dodatku niemy - wtrącił Glassic.

Big Sims zamówił jeszcze jedną kolejkę i opowiedział Jane Farish o starych Dodgersach z Brooklynu. Wychował się w Missouri, więc to i owo poprzejnaczał. Tylko nowojoreczyk mógłby dokładnie objaśnić historię Dodgersów. Angielce to nie przeszkadzało. Chłoneła wszystko w sposób czysto chemiczny, chwilami zamykając oczy, żeby zwiększyć moc reakcji.

- Nick wychodził z radiem na dach - rzekł Glassic.

Farish błyskawicznie obróciła się w moją stronę.

- Wszędzie zabierałem ze sobą ten tranzystor. Na plażę, do kina. Nie roztawiałem się z nim. Miałem szesnaście lat. A transmisji z meczów Dodgersów słuchałem na dachu, bo wolałem nie mieć świadków. Dodgersi byli moją drużyną. W całej dzielnicy tylko ja im kibicowałem. Aż umierałem w środku, kiedy

przegrywali. A ważne było, żeby umierać w samotności. Inni ludzie mi przeszkadzali. Musiałem słuchać sam. I z radia dowiadywałem się: umrę czy będę żył.

Nielatwo jest cokolwiek zrozumieć z baseballu, jeśli nie zna się tego sportu od urodzenia, ale Farish zadawała w miarę znośne pytania. Gorzej było z odpowiedziami. Musieliśmy pewnie sprawiać wrażenie trzech matematyków, tak pogrążonych w swojej wysoce abstrakcyjnej pracy, że nawet nie zauważyli, jak osobiłwa i nieprzejrzysta jest terminologia, jaka dwuznaczna. Spieraliśmy się o kwestie lingwistyczne, usiłując rozszyfrować żargon na użytek osoby postronnej.

- Czy ktoś ma ochotę na wino? - spytała Farish. - Chętnie bym spróbowała tutejszego białego.
- Wino jest dla lalusiów - odparł Sims. - Przecież my żyjemy z czyszczenia sedesów.

Classic zauważył, że zmiana będzie zmianą, gdy rozpatrzymy ją z punktu widzenia miotacza, który zaliczył trzy auty, ale jest to zaledwie pół zmiany w szerszej perspektywie dziewięciomianowego meczu, w którego połowie drużyny zmieniają się przy kiju. A ta sama półzmiana stanowi zarazem dwie trzecie zmiany, jeśli miotacz zostanie zmieniony, mając jeszcze jeden aut do zdobycia.

Poprosiłem kelnera, żeby przyniósł kieliszek wina dla naszego gościa. Classic znów zajął się paradoksem zmian, ale Big Sims przerwał mu machnięciem ręki.

- Wróćmy do Dodgersów - zaproponował. - Zostawiliśmy chłopaka z radiem na dachu.
- Lepiej nie wracajmy - zaprotestowałem.
- Musisz opowiedzieć Jane, co zakończyło twoją karierę zagorzałego kibica.
- Nie pamiętam.
- Zabiło cię bezpowrotnie.
- To są lokalne przypadłości. Dystans je leczy.
 - Opowiedz jej - nalegał Sims - o homerze Bobby'ego Thomsona.

Farish miała minę pełną uprzejmej nadziei. Chciała wreszcie usłyszeć coś sensownego. No więc Sims opowiedział jej o Thomsonie i o Brance, i że ludzie jeszcze teraz, z górą czterdzieści lat później, pytają się nawzajem: „Gdzie byłeś, kiedy

Thomson strzelił homera?" I że niektórzy z nas zachowali w sobie wierny kształt tamtej chwili, i jak on sam, Sims, biegł ulicami, czarny chłopak, co nawet nie kibicował Giantsom, ale wysłuchał transmisji ze starego poczciwego KMOX-u i wybiegł przed dom, wołając: „Jestem Bobby Thomson, jestem Bobby Thomson!" Powiedział jej też o tym, jak ludzie twierdzą, że byli wtedy na stadionie, chociaż w rzeczywistości wcale ich tam nie było, a niektórzy szczerze się zaklinają, że jednak byli, ponieważ mecz wszedł im w krwiobieg i nabrali przekonania, że owszem, siedzieli tego dnia na Polo Grounds, bo inaczej skąd by tak wyraźnie czuli to wszystko pod skórą?

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że to tak jak z Kennedym. Gdzie pan był, kiedy go zastrzelono?
- Kiedy zastrzelono JFK - rzekł Glassic - ludzie zaszyli się w domach. W ciemnych pokojach oglądaliśmy telewizję i rozmawialiśmy przez telefon z krewnymi i znajomymi. Każdy był osobno, sam jeden. Ale kiedy Thomson strzelił homera, wszyscy wybiegli na dwór. Chcieli być razem. Może właśnie wtedy po raz ostatni spontanicznie wyszli z domów, żeby coś przeżyć. Zdumienie, zadziwienie. To taka jakby glosa do zakończenia wojny. Zresztą nie wiem.
- Ja też nie wiem - zgodził się Sims. Farish spojrziała na mnie.
- Proszę mi się tak nie przyglądać - powiedziałem.
- Ale pan był przecież na dachu, kiedy padł strzał, prawda?
 - Nie musiałem wybiegać na dwór. Już byłem na dworze. Popędziłem do domu. Zamknąłem drzwi i umarłem.
 - Przewidział pan los Kennedy'ego - stwierdziła Farish, a odpowiedział jej lekki śmieszek.
 - Na drugi dzień, tak, chyba zaraz na drugi dzień zacząłem dostrzegać rozmaite znaki wskazujące liczbę trzynastcie. Na każdym kroku pech. Zostałem początkującym numerologiem. Z kartką i ołówkiem w ręku wypisywałem wszelkie tajemne powiązania, z których tak jakby wynikała trzynastka. Gdybym mógł je sobie przypomnieć. Aha, jedno pamiętam. Datę meczu. Trzeci października, czyli dziesięć i trzy. Podsumujcie miesiąc i dzień, wyjdzie trzynastka.
- I numer Branki - wtrącił Sims.
- Oczywiście. Branca miał na koszulce trzynastkę.

- O homerze Thomsona mówiono potem: Strzał, Który Rozległ Się Na Cały Świat - powiedział Sims do Farish.
- Odrobina amerykańskiej fanfaronady?
- No i co z tego? - odparł Sims.

Classic jakoś dziwnie na mnie patrzył, prawie czule, jak na przyjaciela, któremu głupota nie pozwala dostrzec, że za chwilę zostanie zdemaskowany.
- Opowiedz im o piłce - poprosił.

Sięgnął ręką przez stół i ściągnął coś Simsowi z talerza.

Był niby moim kumplem. Jego i Simsa znałem od dawna i w rozmowie na ogół zwracałem się właśnie do Glassica, piegowatego Briana, swobodnego w obejściu, obdarzonego rozlazłym wdziękiem. Mówiłem też do Simsa, ale może jednak trochę chętniej do Glassica, bo nie narzucał mi próby sił, popisując się swoim obyciem, i nie przygważdżał mnie spojrzeniem zmrużonych oczu.
- Zmieńmy temat - odparłem.
 - Nie. Zależy mi, żebyś opowiedział. Jesteś to winien Simsowi. Wstyd i hańba, że właśnie Sims tego nie wie. Przy tym stoliku on jeden wciąż jeszcze kocha baseball. - Classic zwrócił się do Angielki: - Jeśli w ogóle chodzę na mecze, to tylko po to, żeby być na bieżąco. Bo kto nie jest na bieżąco, ten się kompromituje. Na przykład Nick się skompromitował. Tylko Sims absolutnie, żałośnie nadaża. Dawniej mieliśmy prawdziwych Dodgersów i Giantsów. Dziś zostały nam hologramy.
- O jakiej piłce? - spytała Farish.

Sims patrzył na mnie. Skończył jeść i rozpakowywał smukłe cygaro, jak zwykle otaczając ten prosty zabieg aurą skomplikowanego ceremoniału.

Classic raz jeszcze spojrział na mnie błagalnie i rzekł do Simsa:

 - Nick ma tę sławną piłkę. Tę, którą Bobby Thomson strzelił homera. Tę samą.

Sims bez pośpiechu zapalał cygaro.
- Nikt jej nie ma.
- Ktoś musi ją mieć.
 - Zaginęła bez śladu - stwierdził Sims. - Dziesiątki lat temu poszła do śmieci. W przeciwnym razie wiedzielibyśmy, co się z nią dzieje.

- Simeon, posłuchaj, zanim wydasz werdykt. Najpierw - powiedział Glassic - parę lat temu na Wschodnim Wybrzeżu dotarłem do handlarza, który mnie przekonał, że ma dokładnie tę piłkę, którą Thomson strzelił homera, jak najbardziej autentyczną.
- Nikt nie ma tej piłki - odparł Sims. - Nigdy jej nie odnaleziono. Nigdy nie wypłynęła, obojętne, kto ją kiedyś tam miał. Między innymi z tego rodzaju historii składa się... jak by to nazwać? Mitologia baseballu. Nikt nigdy nie przedstawił niepodważalnego zgłoszenia, że to ta, a nie inna piłka. A może zgłosiło się dziesięciu, każdy ze swoją, czyli na jedno wychodzi.
- Potem ten handlarz opowiedział mi, jak przeszedł wstec losy piłki prawie aż do trzeciego października w pięćdziesiątym pierwszym. A nie był to jeden z tych gości, co na giełdach baseballowych szukają tanich okazji. Facet miał patologiczną obsesję. Bez reszty oddany sprawie. I przekonał mnie na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent, że ta piłka to autentyk. A później przekonał Nicka. A Nick spytał, za ile. No i się dogadali.
- Dałeś się kiwnąć - oświadczył mi Sims.
Patrzyłem, jak łącznik Dodgersów wyłapuje niską piłkę, próbuje rzucić na pierwszą bazę i nie trafia.
- Facet tropił ją latami - ciągnął Glassic. - Pewnie więcej wydał na telefony, znaczki pocztowe i podróże, oczywiście trochę przesadzam, niż Nick mu w końcu za nią zapłacił.
- Sims szczyrzył zęby we wzgardliwym uśmiechu, z każdą sekundą coraz bardziej wrednym.
- Coś tu nie gra - powiedział do mnie. - Skoro to autentyk, jakim cudem było cię na nią stać?
- Jest kilka możliwości - rzekł Glassic. - Po pierwsze, handlarz nie mógł przedstawić stuprocentowo pewnej dokumentacji. Dlatego cena spadła. Po drugie, to było, zanim jeszcze się zaczął wielki ruch na rynku suwenirów, przed aukcjami u Sotheby'ego, zanim ktoś dał czterysta tysięcy dolarów za głupi świstek, kartę ze zdjęciem jakiegoś baseballisty.
- Ja tam nie wiem - upierał się Sims.
- Ja też nie wiem - przyznałem.
- Farish w końcu dostała to swoje wino. Spojrzała na mnie i rzekła:

- Ile pan zapłacił?
 - Już i tak dostatecznie się wstydzę. **Nie** wnিকajmy w szczegóły.
- Czego się pan wstydzi?
 - Kupiłem tę piłkę wcale nie dla chwały i dramatu, które się za nią ciągną. Nie chodziło mi o homer Thomsona, tylko o rzut Branki. Głównym motywem jest tu przegrana.
 - Pech - rzekł Glassic, wbijając widelec w kartofel na moim talerzu.
 - Chodzi tu o misterium pecha, misterium porażki. Sam nie wiem. Wciąż powtarzam, że nie wiem, bo rzeczywiście nie wiem. Ale to jedyny w moim życiu przedmiot, który koniecznie musiałem mieć.
- Wstydlivy sekret? - spytała Farish.
 - Tak. Po pierwsze dlatego, że wydałem poważną sumę na pamiątkową piłkę. Po drugie, że kupiłem ją z tych, a nie innych powodów. Dla upamiętnienia fiaska. Żeby wziąć do ręki tę chwilę, kiedy Branca obrócił się i zobaczył, jak piłka leci w trybuny, od niego prosto do mnie.

Zaśmiali się wszyscy prócz Simsa.

- Nawet to jego nazwisko - rzekł Glassic. - Posępny Ralph Branca. Jak postać ze starego eposu. Posępny Ralph Branca, co człapał przed siebie, aż go zabito wśród tararara zmierzchu.
- Mrocznostrzelnego zmierzchu - odpowiedziała kobieta.
 - Świetnie. Tylko że to oczywiście nie żart. Bo jak czuje się ktoś, kto przez całe życie dźwiga brzemieniednej strasznej chwili?
- Jednej chwili z jednego meczu - dodała.
 - I wiecznie człapie po murawie zapola, w drodze do pawilonu.

Sims był na nas coraz bardziej wściekły.

- Chyba nie rozumiecie, koledzy, o co tu chodzi. - „Koledzy” powiedział jakimś szczególnym tonem. - Jaka porażka? Jakie fiasko? O czym my tu w ogóle mówimy? Czy wszyscy nie rozeszli się w końcu do domów, bardzo zadowoleni? Przecież Branca ma trzynastkę na tablicy rejestracyjnej. Ogłasza wszem wobec, że to właśnie on. Branca i Thomson co chwila pokazują się na jakichś kolacjach w sportowych sferach. Śpiewają piosenki i opowiadają kawały. To najdłuższa kariera w całym show-biznesie. Wymyka wam się sedno sprawy, koledzy. - Mówił

do nas jak do wypucowanych licealistów w marynareczkach.

-Branca jest idolem. Zrobiono wszystko, żeby ocalał po tym meczu, i wszyscy wiemy dlaczego. Przy stole zapadła złowroga cisza.

- Dlatego, że jest biały - podjął Sims. - Dlatego, że cały ten cyrk jest biały. Dlatego, że człowiek ma szansę ocaleć, przetrwać i rozkwiąć, jeśli mu na to pozwolą. Ale zanim mu pozwolą, musi być biały.

Glassic zaczął się wiercić w fotelu.

Sims opowiedział nam o miotaczu nazwiskiem Donnie Moore, który spartolił homer w finale rozgrywek i w końcu postrzelił własną żonę. Był czarny, tak samo jak zawodnik, który wtedy odbił piłkę. A potem Donnie Moore się zastrzelił. Do żony strzelał kilka razy, ale tylko ją ranił, a potem się zastrzelił. Odwalił kite w swojej własnej pralni, powiedział Sims. Co prawda opowiadał to Angielce, lecz dla mnie cała ta sprawa była zupełną nowością, a widziałem, że Glassic też ledwie ją pamięta. Nigdy nie słyszałem, żeby istniał jakiś Donnie Moore, nie zauważyłem homera i nic nie wiedziałem o strzelaninie. Sims twierdził, że doszło do niej w kilka lat po homerze, ale związek przyczynowy był oczywisty. Donniemu Moore'owi nie dano przeżyć fiaska. Kibice dokuczali mu, jak mogli, i nikt nie żartował na kolacjach w gronie baseballistów.

Sims sporo wiedział o tej masakrze. Dość szczegółowo opisał, jak Donnie postrzelił żonę.

Farish zamknęła oczy, żeby lepiej to sobie wyobrazić.

- Rozumiemy, o co ci chodzi - rzekł Glassic - ale nie możesz porównywać tych dwóch przypadków według koloru skóry.
- A niby według czego?
- Ludzie wciąż pamiętają homer Thomsona, bo zdarzył się kilkadziesiąt lat temu, kiedy jeszcze nie było tak jak dziś, że każda rzecz się zużywa, zdziera i ściera przez wielokrotne powtórki już pierwszego dnia, nim wybije północ. Im więcej rys na starym filmie czy taśmie, tym w pewnym sensie wyrazistsza akcja. Bo nie walczy o naszą uwagę z tysiącem innych akcji. Bo jest czymś, co ocalało i zachowało swoją jedyność. A Donnie Moore? Przykro mi, ale jak mamy odróżnić jego historię od wszystkich innych meczów i masakr?
- Nie chodzi o to, co zauważamy czy pamiętamy, tylko co

się przydarzyło bezpośrednim uczestnikom - powiedział Sims.
-Mówimy o różnicy między tym, kto przeżył, a tym, kto zginął.

- Ale nie o przyczynach - odparł Glassic. - Bo jeśli je przeanalizujemy rzetelnie i dokładnie, a nie płytko, pobieżnie i...?
- Ahistorycznie - wtrąciłem.
- To uświadomimy sobie, że facet miał pewnie dziesięć rozmaitych powodów, żeby zacząć strzelać, a większości z nich pewnie nigdy nie poznamy ani nie zrozumiemy.

Sims znowu zwrócił się do nas per „koledzy”. Ja parokrotnie zmieniłem front, zamówiliśmy następną kolejkę i jeszcze przez jakiś czas dyskutowaliśmy. Nie zwracaliśmy się już do Jane Farish. Nie dostrzegaliśmy jej reakcji ani nie staraliśmy się budzić ciekawości. Sims jeszcze wiele razy potraktował nas „kolegami”, póki nie przeszedł na „kolesiów”. Zrobiło się trochę dziwnie. Zamówiliśmy kawę, popatrzyliśmy, co dzieje się na boisku, a Farish siedziała w zasupłanej zadumie, z nogą założoną na nogę, z rękami skrzyżowanymi na piersi, od pasa w górę skrzyżowana w stronę okna, przytłoczona naszą niezgodą.

- Handel piłkami do baseballu. Serce się kraje. I nigdy mi nie mówiłeś - rzekł Sims.
- To już stara sprawa.
- Ja bym ci wyperswadował.
- Żeby ją potem samemu kupić - powiedział Glassic.
- Zajmuję się innymi gatunkami śmieci. Prawdziwą materią świata. Jednorazowe pieluchy gotów jestem brać na tony. Ale nie ten melancholijny, niegdysiejszy chłam.
- Sam nie wiem - powtórzyłem.
- Co z nią właściwie robisz, wyjmujesz z szafy i kontemplujesz? A potem co?
- Rozmyśla nad sensem piłki - rzekł Glassic. - Ona ma swoją historię. Więc Nick myśli o przegrywaniu. Czemu jeden człowiek ma pecha, a drugiemu wszystko idzie jak z płatka. Zresztą to piękna rzecz. Stara piłka do baseballu? To piękna rzecz, Sims. A ta ma niezrównany rodowód.
- Nabrali go, że hej - stwierdził Sims. - Kupił bezwartościowy rupieć.

Zapłaciliśmy i gęsiego poszliśmy do wyjścia. Sims wskazał palcem fotografię nad barem, jedną z kilkudziesięciu sportowych fotek, całkiem nowe zdjęcie dwóch siwowłosych zawodników

na emeryturze, Thomsona i Branki: w ciemnych garniturach, w świetnej formie, stali na trawniku przed Białym Domem, a między nimi stał prezydent Bush, trzymając w ręku aluminiowy kij do baseballu.

Wyszliśmy i na dziesięć minut usiedliśmy w łoży naszej firmy, żeby Glassic posłuchał sobie zgiełku tłumu. Potem zeszedliśmy po rampie i ruszyliśmy w stronę parkingu. Farish zaczęła nas wypytywać o regulę autów z powietrza w polu wewnętrznym. Sims i Glassic zdołali się w tej kwestii dogadać, zanim doszliśmy do auta. BBC odniosło z tego nieoczekiwaną korzyść.

Siedziałem z tyłu i patrząc na miasto przemykające za oknami, wyobraziłem sobie, jak mały Sims biegnie ulicą St. Louis. Ma na sobie ciemne farmerki z grubo podwiniętymi nogawkami, jaśniejszymi od spodu. Wymachuje rękami i woła, że jest Bob-bym Thomsonem.

4

Siedziałem z matką w jej pokoju; rozmawialiśmy, a co pewien czas milkliśmy i oglądaliśmy telewizję. Milkliśmy, żeby powspominać. Któraś z nas mówiła coś, co budziło jakieś wspomnienie, i potem, siedząc razem, cofaliśmy się myślą w przeszłość.

Matka wspominała metodycznie, w sposób dokumentalny. Przywoływała imiona, zdarzenia i pozwalała im zawisnąć w powietrzu, nie mieszając do tego przyjemności ani żalu. Czasem było to jedno słowo. Wymawiała słowo lub zdanie odnoszące się do czegoś, o czym nie myślałem od kilkudziesięciu lat. Polegała na swojej pamięci, wśród minionych zdarzeń poruszała się z pewnością, która była dla niej nieosiągalna, gdy chodziło o obecną chwilę, godzinę lub dzień tygodnia. Sama się z siebie śmiała. Jaki dziś dzień? Idę na mszę dzisiaj czy jutro? Wozilem ją do kościoła i potem po nią wstępowałem. Przez cały tydzień nic innego nie sprawiało mi równie niezawodnej satysfakcji. Nauczyłem się na pamięć harmonogramu mszy, ich rozmaitych rodzajów i jak długo która trwa, i pilnowałem, żeby matce nie zabrakło pieniędzy na tacę. Siedzieliśmy u niej w pokoju i rozmawialiśmy. Wydawała się odporna na sentymenty. Przywoły-

wała z przeszłości jakąś chwilę, która uderzała mnie z ogromną siłą, pierwszą lepszą chwilę, coś zwyczajnego, ale brzemiennego mocą - zwyczajnego tylko dla kogoś, kto tego nie przeżył, nie był przy tym - i wtedy widziałem, jak spokojnie siedzi, jaka jest roztropna w swoim wspomnianiu.

Kiedy dzieci były małe, mówiłem im: „Cuma to taka lina, którą się mocuje statek do kei”. Albo: „Ten garbek w podłodze między pokojami - mówiłem - nazywa się próg”.

Wstawiliśmy matce do pokoju komódkę, klimatyzację i twarde materac, który dobrze jej robił na plecy. Cytowała imiona z dziejów rodzinnej martyrologii, z księgi osobliwego cierpienia, a wtedy milkliśmy i wpadaliśmy w zamyślenie. Jej kasztanowe włosy, które tu i ówdzie zachowały jeszcze naturalny kolor, z biegiem lat zeszywniały i teraz mieniły się rozmaitymi odcieniami, przesiane złotem w ostrym świetle, upięte szpilkami, gdy tak siedzieliśmy przy włączonym telewizorze. Wiedziałem, że nie powie zbyt wiele ani nie zacznie snuć nieostrożnych wspomnień. Panowała nad sytuacją, bezpiecznie przeprowadzała nas przez pauzy w rozmowie.

Po rozruchach w Los Angeles mój syn zaczął nosić luźne szorty, czapkę odwróconą daszkiem do tyłu i trampki z pękatymi językami. Przedtem był nijaki, przesiadywał przy komputerze u siebie w pokoju, cichy chłopak, który dopiero co skończył dwadzieścia lat. Ubrał się zawsze tak samo. Szedł starać się o pracę ubrany jak na spacer z psem, bo nie widział różnicy.

Projektowaliśmy i urządzaliśmy zwałowiska. Byliśmy agentami od śmieci. Organizowaliśmy transporty niebezpiecznych odpadów przez oceany świata. Byliśmy ojcami kościoła śmieci we wszystkich ich przeistoczeniach. Kiedy na pustyni rozmawiałem z Klarą Sax, o mało nie wspomniałem o swojej pracy. A tymczasem działalność samej Klary polegała w pewnych okresach na przetwarzaniu i wykorzystywaniu wszelakiego chłamu wedle własnych metod. Coś jednak kazało mi mieć się na baczności. Niech nie myśli, że sugeruję istnienie między nami jakiegoś braterstwa pracy i światopoglądu.

Sławni ludzie nie lubią, kiedy ktoś twierdzi, że jest do nich pod jakimś względem podobny. Czują się wtedy, jakby im coś wślzło w ubranie.

Mój ojciec nazywał się James Costanza, Jimmy Costanza - policz litery, wyjdzie trzynastka.

W domu wyjmowaliśmy impregnowany papier z pudełek po płatkach śniadaniowych. Mieliśmy specjalną szafę w ścianie na surowce wtórne, a w niej osobne pojemniki na gazety, puszkę i słoiki. Każdą opróżnioną puszkę i butelkę płukaliśmy, a następnie wkładaliśmy do odpowiedniego pojemnika. Osobno cyna, osobno aluminium. W dni zbiórki kładliśmy każdy typ śmieci do osobnego kontenera i wystawialiśmy kontenery - z łacińskiego *contineo*, „trzymać w zamknięciu” - na chodnik przed domem. Papierowe torby umieszczaliśmy w papierowej torbie. Braliśmy dużą papierową torbę, wrzucaliśmy do niej wszystkie mniejsze torebki i zostawialiśmy ją na chodniku obok kontenerów. Wyrwaliśmy impregnowany papier z pudełek po płatkach pszennych. Nie umiałbym stworzyć języka, który z przesadną dobitnością opisałby, jak sumiennie wykonywaliśmy te zadania. Sprzątaliśmy śmieci z podwórka. Gazety układaliśmy na kupkę, ale nie wiązaliśmy sznurkiem.

W przerwach oglądaliśmy czasem telewizję. Przy powtórcie *Miodowego miesiąca* matka śmiała się, kiedy Ralph Kramden wymachiwał rękami i skarżył się, rycząc na całe gardło. Właściwie tylko wtedy mogłem liczyć, że usłyszę jej śmiech. Musiała chyba doznawać czegoś w rodzaju higienicznej ulgi, widząc to smutno urządzone mieszkanie, Alice, czyli żonę bohatera, w fartuchu albo w niechlujnym szlafroku, sąsiada, który nazywał się Norton i na trzęsącej się głowie nosił wymiętoszony kapelusz pilśniowy - bo wszystko to bliskie było temu, co znała z doświadczenia. Oczywiście tylko powierzchownie. Bliskie temu, co znała raczej pozornie niż naprawdę. Bliskość ta była płytka, lecz i tak odrobinę wzruszająca, a może nawet w pewien tajemniczy sposób prawdziwa. Obraz na ekranie, płaski, szary i rozmiogotany ze starości, trochę jak wspomnienia, które zabierała ze sobą do snu. Dziwne musiało jej się wydawać, że nagle sypia w jakimś pokoju w Arizonie. Ale kiedy w telewizorze pojawiał się Jackie Gleason, to nowe miejsce zyskiwało większą wiarygodność - ścigał ją bliżej odczuwalnego centrum.

Cuma to taka lina, którą obwiązuje się pachołek na kei.

Zauważyłem, że ludzie na dyrektorskich stanowiskach bawią się w dyrektorów. Czy sam też to robiłem? Człowiek utrzymuje

zmienny dystans między sobą a swoją posadą. Istnieje przestrzeń sztucznych zachowań, wrażenie formalnej gry, która jest czymś w rodzaju hamowanej paniki i może zresztą czasem się ujawnia poprzez jakiś wymuszony gest lub rytualne odchrząknięcie. W przestrzeni tej świszczę coś, co wywodzi się aż z dzieciństwa, wspomnienie zabaw i niedowarzonych osobowości, ale to nie jest tak, że udajesz kogoś innego. Udajesz dokładnie tego, kim jesteś. Właśnie na tym polega dziwność sytuacji.

Marian chciała poznać mnie takiego, jaki byłem, kiedy miałem siedemnaście lat, zobaczyć mnie siedemnastoletniego, więc wypytywała o rozmaite chytre drobiazgi, rozmawiała z matką o moim ojcu, a ja słuchałem, pogrążony w głębokim letargu po kolacji. Matka mówiła jej różne rzeczy, o których już wiedziałem, ale i tak podsłuchiwałem z saloniku, z nosem utkwionym w czasopiśmie. Był bukmacherem, słynął z niezawodnej pamięci, nigdy nie zapisał numeru na kartce. Tak głosiła uliczna legenda. Miałem jedenaście lat, kiedy wyszedł z domu, i dopiero potem usłyszałem tę historię, że niby wszystko pamiętał, ruszał w obchód po fryzjerach i fabryczkach wyciskalniach siódmych potów, w śródmieściu, w dzielnicy odzieżowej, obchodził rogi ulic, hotelowe halle, wszystko na małą skalę, i ani jednej liczby nie musiał notować na papierze, bo potrafił odtworzyć z pamięci szczegóły każdego zakładu. Taką przynajmniej legendą obrosło jego nazwisko. Była jednym z przejawów nabożnego lęku, jaki pozostawia po sobie gwałtowna śmierć lub nie wyjaśnione zniknięcie.

Stała w drzwiach, zwrócona do nas majestatycznym profilem; zjechaliśmy z autostrady numer dziesięć, włączyliśmy się w zabójczy maraton ruchu na szosie i wreszcie znaleźliśmy jej zaułek, a tam już na nas czekała, imponująco ciężarna.

Moja matka mówiła Marian różne rzeczy, co pewien czas opowiadała jej jakąś historyjkę z tym swoim akcentem z Bronksu, trochę jakby irlandzkim, a ja siedziałem i czasem łowiłem uchem strzępy tych opowieści, zagłuszane zwierzęcą pulsacją zmywarki. Pociągnęliśmy jej pokój świeżą warstwą zielonej farby, dawny pokój Lainie, jasny i spokojny. Wstawiliśmy telewizor, odnowione lustro, dobre, twarde, zdrowe łóżko i skrzynkę aromatyzowanej wody sodowej - zdaje się, że cytrynowo-limonowej.

W swoim gabinecie w wieży z brązu miałem gangsterskie

groźby, zabawnie skuteczne. Konsultantowi, który spóźnił się ze sprawozdaniem, oznajmiałem:

- Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że ja, ja sam, Mario Badalato, urzęną głowę tej twojej pierdolonej rodzinie.

Mówiłem chrapliwym, jakby zdrapanym głosem, zgodnie z regułami gatunku, a reszta obecnych słuchała tego z niecną aprobatą.

W Holandii odwiedziłem VAM, zakład przetwórczy, przez który co roku przechodzą miliony ton odpadów. Siedząc w białym fiacie, mijałem wielopiętrowe stopy śmieci. Mijaliśmy szereg wyniosłych stert i zaraz ruszaliśmy wzdłuż sąsiedniego; ze spiczastych wierzchołków buchały fale pary, a w powietrzu wisiał odór, który wypełniał mi usta i wydawał się dość stężony, żeby osmalić moje ubranie. Czemu czułem się, jakbym się urodził od razu z tym doznaniem w mózgu? Czemu przeżywam to tak osobiście? - zastanawiałem się. Czemu wydaje się nam, że z niemiłych woni dowiadujemy się czegoś o sobie? Dyrektor VAM-u woził mnie między rzędami parujących stosów, a ja myślałem, że każda niemiła woń jakoś nas dotyczy. Idziemy przez świat i wreszcie napotykaamy średniowiecznie nowoczesny krajobraz, strzelającą w niebo metropolię śmieci, piekielny smród wszystkich nietrwałych przedmiotów, jakie kiedykolwiek sklecono, i nagle mamy wrażenie, że ten zaduch wlecze się za nami przez całe życie.

Należał do kategorii ludzi, których rysopis niełatwo byłoby podać, gdyby się ich przyłapało na popełnianiu przestępstwa. Ale po rozruchach włożył czapkę L.A. Raiders i bardzo długą koszulkę z krótkim rękawem, a na brzegu jej kieszonki zawiesił ciemne okulary. Nic poza tym się nie zmieniło. Dalej mieszkał w swoim pokoju, pogrążony w czipach i dyskietkach, ten sam nieśmiały chłopiec, ale fizycznie bardziej teraz wyrazisty, towarzyskie stworzenie chodzące krokiem podpatrzonym w czarnych gettach.

Matka i ja siedzieliśmy w pokoju, oglądając powtórki starych programów. Przed moimi narodzinami ojciec rzucił ją na pewien czas. To dlatego noszę jej nazwisko, a nie jego. Myślała, że nie wróci, więc poszła do adwokata, który coś w tej sprawie namo-tał. Na ogół sądy orzekają, że dziecko musi zachować nazwisko ojca aż do pełnoletności, a wtedy może już samo wybrać. Ale

advokat tak namieszał, że sędzia potraktował nas wyjątkowo, i dlatego według metryki nazywam się Shay. A potem ojciec wrócił i został na długo, nim wyszedł po papierosy, dziesięć lat czy coś koło tego. Był człowiekiem znikąd, powiedziała z lekką rezygnacją, jakby nie miała prawa oczekiwać od losu niczego lepszego - dla siebie, dla mnie i dla mojego brata - choć może źle zrozumiałem jej ton, może chciała powiedzieć, że znikąd przybył i donikąd odszedł, nieuchronnie, posłuszny rymowanemu slangowi życia.

Wracając do domu, lądując na Sky Harbor, zastanawiałem się dawniej, jakim cudem ludzie tak szybko rozjeżdżają się z lotnisk, z każdego lotniska - jak to jest, że siedzimy wtłoczeni w fotele, w rzędach trójkami albo piątkami, a kiedy już wylądujemy i kapitan zgasi napisy o zapinaniu pasów, tłoczmy się w przejściach, zdejmujemy swoje rzeczy z półek nad głowami i stoimy, czekając, aż otworzą się drzwi i tłum noga za nogą ruszy naprzód; potem, przechodząc przez bramkę, spotykamy większe tłumy, wysiadających i witających, i jeszcze liczniejsze tłumy przy odbiorze bagażu i w hali lotniska; w powietrzu krzyżują się echa ludzkich głosów, komunikaty o lotach i ryk rozgrzewanych silników, a przez to wszystko przelewa się tłum ludzi, każdy ze swoim osobnym, niepowtarzalnym bagażem, z całą mikrohistorią przyborów toaletowych i intymnej garderoby, z lekarstwami, aspirynami, tonikami, pudrami i żelami; takie niewiarygodne mnóstwo ludzi zderza się ze sobą w suchy, skwarny dzień na skraju pustyni, niosąc w walizkach zwiniętą w kłębek używaną bieliznę; no więc zastanawiałem się, dokąd zmierzają i po co, i kim w ogóle są, i jakim cudem tak szybko i tajemniczo się rozchodzą, jakim cudem nieprzeliczony tłum w kilka minut rozprasza się i znika, wlokąc walizki po lśniących posadzkach.

Mówiłem dzieciom. Brałem coś do ręki i mówiłem: „Ten falisty paseczek u dołu tubki z pastą do zębów. Nazywa się karbek”.

Gleason martwy, a jednocześnie z nami w pokoju, Irlandczyk, rodak mojej matki, osadzony w zatęchłej celi, wbity w mundur kierowcy autobusu, wymachiwał rękami, młockarny grubas, jedyny człowiek, który potrafił ją rozśmieszyć. Maszerował po pokoju, podkreślając każde słowo machnięciem pięści.

„Nie chodzisz po ziemi, Alice". Matka najbardziej lubiła rzeczy już znajome. Tym głośniej się śmiała, im częściej powtarzał jakąś kwestię. Niektórych wręcz wyczekiwała. Oboje czekaliśmy, a on nigdy nie sprawiał nam zawodu. Czuliśmy się mocniej ze sobą związani, kiedy był z nami w pokoju. Ofiarowywał nam swoją kwestię, niezawodny powód do śmiechu, tak nam potrzebny u schyłku dnia. Gleason pokrzywdzony. Walił pięścią w stół i kuczał, zadzierając ku niebu tę swoją wspaniałą głowę. Gleason, wcielony żart, brzemienny zagubioną historią - kawał o grubasie, głupi kawał, kawał o rabinie i o księdzu, o miesiącu miodowym, kawał oparty na grze dialektów, pointa, która nadal żyje, gdy sam kawał dawno już zapomniano. Czuliśmy się lepiej, kiedy Jackie był z nami w pokoju, przejrzysty w swym bólu, żywy i martwy w Arizonie.

Odwoziłem ją, a potem odbierałem, i zawsze pilnowałem, żeby miała drobne na tacę.

Budowaliśmy piramidy śmieci na ziemi i pod ziemią. Im bardziej niebezpieczne odpady, tym głębiej staraliśmy się je pogrzebać. Słowo „pluton" pochodzi od Plutona, boga umarłych, władcy podziemnego świata. Wywieźli go na bagna i skasowali, jak to się mówi, a może mówiło, póki nie pojawiło się jakieś nowe określenie.

Lubiłem spieszyć się z lotniska do domu i zaraz po powrocie wkładać szorty i koszulkę. Kiedy biegłem wzdłuż kanału melioracyjnego, przez głowę przemykały mi sufickie śpiewy, a czasem widywałem startujące samoloty, sumę światła, wlotu i rachunków, i myślałem o tym, jak mój syn Jeffrey w dzieciństwie był przekonany, że ma ten szczególny dar, dzięki któremu mógłby stracić samolot, panuje nad przestrzenią i materią, ma moc i władzę, w niefortunny sposób zrodzone z kłątwy wyobcowania.

Czasem zostawałem z nią do końca anglojęzycznej mszy i ja-kiem to wszystko było płaskie, bez szeptu czy echa, ale i tak najlepsze, co mnie spotkało przez cały tydzień, a potem brałem ją pod rękę i wyprowadzając z kościoła tę całkiem przecież postawną kobietę, miałem wrażenie, że się kurczy, chwilami wręcz odcieleśnia: w dotyku była jak papier ryżowy.

Golił się z ręcznikiem przerzuconym przez ramię, w podkoszulku, w naciątku, a ja lubiłem dźwięk żyletki, skrobanie jakby

papierem ściernym po gęstym zaroście, i pędzel w kubku, żyletka Gem, ręcznik na ramieniu i gorąca woda z kranu - ukrop, dryg i ostrze.

Dominus vobiscum - mówił ksiądz, a kiedy przeciskaliśmy się wśród wiernych, wychodząc z przedsionka, kilku chłopców śpiewnie recytowało: „Dominik wam iskał”. Bo i jakież byłby pożytek z łaciny, gdyby nie dało się uprościć jej formalnych kodów do rozchełstanego żargonu ulicy?

Coś jak science fiction albo horror, tylko że Jeff był zanadto nieśmiały i wystraszony, by zaeksperymentować w świecie rzeczywistym, chociaż siostra szeptała mu do ucha: „No, dalej, wysadź go wreszcie”.

5

Czasem późną porą dzwonił Brian Glassic. Dzwonił seriami, późnym wieczorem, na przykład cztery telefony w ciągu jednego weekendu, i o czym mówił? Oczywiście o sprawach biurowych - tych, o których nie bardzo dałoby się rozmawiać w naszym wieżowcu, albo o najnowszym skandalu na cały kraj, z uwzględnieniem szczegółów anatomicznych, lub wreszcie o filmie, który jego zdaniem powinienem wypożyczyć, spluwy i prochy: wydawało mu się, że to zacieśnia naszą przyjaźń.

Robił to też po to, żeby mnie sprowokować. Uważał, że jestem bezpiecznie, solidnie okopany, w otulinie domu i rodziny, w pewniejszej niż on sytuacji, starszy, ale w lepszej formie fizycznej, fizycznie sprawny, człowiek z twardszych materiałów, raz po raz tak twierdził - że niby jestem człowiekiem, który nie zdradza się ze swoimi myślami. I okropnie go to zbijało z tropu, podjudzało do zaczepek, chłopiących wypadów, kazało co chwila zawracać mi głowę.

Kiedy telefon dzwonił o pewnej godzinie, Marian i ja wymienialiśmy znaczące spojrzenia: tak, to Brian, nikt inny.

- Nie uwierzysz, gdzie jestem. Natychmiast przyjeżdżaj. Nie-samowite miejsce. Tylko tobie mogę od biedy je zdradzić. Przyjeżdż sam - powiedział któregoś wieczoru.

Chwilę potrwało, nim trafiłem. Jeździłem zygzakami, raz po raz przecinając szosę I-10, tam gdzie mapa zaczyna bieleć, niskie

tynkowane domki z antenami satelitarnymi - części do traktorów i regulacja silników na ropę, piach, skała i samoobrona. W końcu zauważyłem ciąg sklepów, które wyglądały mniej więcej tak, jak opisał je Brian, a w sumie tworzyły mały, schludny dom towarowy, pomalowany na westernowy róż i zieleń, trzy sklepy były jeszcze nieczynne, i zaparkowałem przy pierwszym z lewej, jedynym otwartym o tej porze, z neonem „Kondomologia”.

Studenci, delikatnie zaniedbani. Stali między półkami, gadając i szperając, przeglądając katalogi i wczytując się w szczegóły na opakowaniach, a wśród nich nieco starsi mężczyźni, kobiety też, wolne zawody, w miękkich spodniach ze szlufką na nóż, swobodni w obejściu, wszędzie u siebie, z całym pakietem postaw i wyznawanych wartości, o których ogólnie mówi się: styl życia.

Brian wepchnął mnie do kąta, żebym mógł zlustrować teren. Szerokie przejścia między półkami, na podłodze miękka, jasna wykładzina, a na ścianach malowidła, na każdej z dwóch dłuższych ścian pięć scenek z lodziarni lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Sprzedawca za marmurowym kontuarem przyrządzał lody truskawkowe dla kilku dziewcząt w szkolnych sweterkach i krótkich skarpetkach: tak wyglądał jeden z tych fresków, namalowany płasko, w stylu anachronicznym wobec treści scenki, w sumie interesujący efekt, ani śladu marzycielstwa. Brian próbował wyczytać z mojej żuchwy jakąkolwiek reakcję. Z oddali słyszałem muzykę, jakiś klezmer śpiewał zapomniane piosenki, te ballady, do których czasem zapłaczę się parę linijek po włosku, ale z niechlujnym akcentem, i wszystko to wydało mi się mile stonowane, bezpretensjonalne, nie skażone protekcyjnym humorem.

- Kondony - drapieźnie szepnął Brian, jakbym sam nie zauważył.

Bo też właśnie kondomy tam sprzedawano, sklep był ich pełen, półki zavalone setkami rodzajów ochraniaczy męskich i żeńskich, środków plemnikobójczych, kremów do ciała, gumowych rękawiczek, silikonowych nawilżaczy, a także książek, podręczników, kaset wideo, specjalnych aranżacji przestrzennych, nowinek typu wielki chuj - mały chujek, no i oczywiście koszulek z rysunkami oraz czapek do baseballu ze znakami firmowymi rozmaitych kondomów.

- I to jeszcze uplasowali się w strategicznym punkcie, na pograniczu między starym a nowym - powiedział Brian. - Już widzę, jak z tego jednego sklepu wyrasta całe miasto, tysiąc gmachów, ulice jak szprychy wokół kondoniarni, taką mam wizję. Jak w średniowiecznym mieście z zamkiem w samym centrum.
- Zamki budowano wtedy na peryferiach.
- Hak ci w smak. No, zdziw się chociaż trochę. Mają tu ekstragumki o smaku brzoskwińowym. A szczeniakeria przychodzi w celach towarzyskich, żeby pobyć w kupie i wycząć, co jest grane. Tylko czekam, aż Al Hibbler zaśpiewa *Unchained Melody*.
- Al Hibbler był dobry.
 - Dobry? Gównu wiesz. Nieprawdopodobny. Wydaje ci się, że Ray Charles jest ślepy? Al Hibbler, ten dopiero był ślepy. No, zareaguj jakoś wreszcie.

Poprowadził mnie przejściem między półkami. Zareagowałem w ten sposób, że pomyślałem: „Ojej, ile kondonów! Koleczastych, gładkich, żebrowanych, do jazdy na oklep”. Dawniej mówiło się: nie wjeżdżaj na oklep. Czyli: włóż gumkę, bo jeszcze dziewczynę zapylisz. A tu nagle pojawiły się gumki „do jazdy na oklep”, elektronicznie sprawdzane, czy aby są dość cienkie i nie osłabiają wrażeń.

- Zajmą miejsce butów do biegania - wróżył Brian. - Szczeniak szczeniaka zastrzeli dla paczki drogich kondonów z jag niecej skórki.

Kondomy sprzedawane na sztuki leżały luzem w misach, w słojach od cukierków: proszę się częstować. Jakaś kobieta oglądała specjalnie wyeksponowany model prezerwatywy z poliuretanu, z elastycznymi pierścieniami na obu końcach. Brian znał ją, spotykali się czasem przy bankomacie - cześć, co słyhać, jak się masz, cześć. Były też kondomy do zakładania na palec i kondomy pełnowymiarowe, kondomy oralne o smaku miętowym. Były futerały na kondomy, w sam raz mieszczące / się w kieszeni, był nawet kondom na głowę, zamiast kapelusza.

- Mój brat przez cały okres dojrzewania nosił w portfelu ekstragumkę - powiedział Brian. - Raz mi ją pokazał, miałem pewnie ze dwanaście lat. Nonszalancko otworzył portfel i po kazał mi balonik, zmarszczony, jakby z kutasa uszło powietrze,

i chyba nigdy nie zdołałem się otrząsnąć z wrażenia. Wprowadził mnie w świat, do którego nie byłem gotów wejść. Owszem, rozumiałem, czym jest seks na poziomie zwierzęcym. A tu nagle objawiono mi zupełnie inny obszar. Już sam materiał miał w sobie coś takiego, guma jakby plastikowa, na oko i w dotyku, bo brat kazał mi jej dotknąć, zresztą cała natura i funkcja tego przedmiotu, czy ja wiem, wszystko to wydawało się obce i niepokojące. Już samemu seksowi dostatecznie trudno było stawić czoło. A tu w dodatku ktoś chciał mi owinąć chuja wyższą techniką. Z masowo produkowanego lateksu do malowania okrętów.

- Byłeś wrażliwym chłopcem.
 - Chuderlawym niemową, nie w pełni człowiekiem. Ty za to byłeś ostrym zawodnikiem i dawałeś wycisk takim szczeniakom jak ja.
- U nas nie było takich szczeniaków jak ty - odparłem.
- A nosiłeś przy sobie kondona?
- W specjalnej kieszonce dżinsów.
 - Zanim skończyłem szesnaście lat, ten fason zdążył już minąć.
- Za to teraz wrócił - powiedziałem.
 - Mój brat chyba nigdy nie użył tego z portfela. Potem kupił auto, więc i kondon trzymał w aucie. W schowku obok kierownicy. Pewnie właśnie wtedy udało mu się wreszcie zrobić z gumy użytek.

Z głośników leciała piosenka, a jakiś mężczyzna nucił ją do wtóru. Szedł w naszą stronę niepewnym krokiem, pchając przed sobą butlę tlenową na kółkach: siwy facet, z nosa wystawały mu rurki prowadzące do butli. Butla była rozmiarów jamnika w specjalnie obstalowanym futerale. Mężczyzna śpiewał, nucił chrapliwym głosem - i wszystko się zgadzało, fraza, rytm, leniwe końcówki wersów, każde słowo mdłego tekścidla o liście pożegnialnym, tyle że zniekształcone przez ten jego przeżarty głos, wpasowane w formę życia, odczute w najgłębszych warstwach skóry.

Ustąpiliśmy mu z drogi.

Spoza samego towaru i jego możliwych zastosowań wycierał cały przemysł, sztuka barwnego nazewnictwa. Jedwaderma, astroślizg i pojemny czubek. Kondomy w opakowaniach jak

rzymskie monety, kondomy w zapalczanych książeczkach. Brian czytał na głos anonse wydrukowane na pudełkach. Były tam więc naturalne błonki zwierzęce i był aromat gumy do żucia. Były kondomy świecące w ciemności, specjalne kondomy do gry wstępnej i kondomy z napisami w stylu graffiti, rozciągające się zależnie od wzdrodu, tak że każda litera stawała się słowem, a słowo wydłużało się w zdanie. Brian polecał Churchillem: „Będziemy je nosić na plażach”. Były też kondomy lizaki, były wzorzyste spodenki bokserskie z komiksowymi stworkami, które przypominały kształtem kondomy postawione na sztorc, gotowe ulecieć, z łebkami jak sutki, i mówiły po spermiańsku.

Przy drzwiach stała młoda kobieta z wytatuowanym na płatku ucha znakiem firmowym prezerwatyw Ramzes.

- Moje dziecko też ma taki tatuaż - powiedział Brian. - Tylko że nie Ramzesa, ale Pepsi. Powinienem dziękować losowi?
- Które dziecko?
- Które dziecko. Co za różnica?

Brian miał się na baczności przed swoją rodziną. Przybierał pozę uciśnionego ojca, który sztampowo narzeka na dzieci, rozrzutne i niepomne przestroż, wszyscy mamy przecież do zagrania tę rolę, to już prawie nasz drugi język, łatwy do opanowania lament taty, więc Brian z werwą odstawiał wzgardliwe arie, ale chował też chyba głębszą, smutniejszą urazę - przeświadczenie, że najbliżsi są mu wrodzy, że to siły rozpasane w jego prywatnych czterech ścianach, gotowe pozbawić go poczucia własnej wartości: pasierbica, córka i syn, wszyscy troje w liceum, i żona - która, jak twierdził, ma odrobinę nierówno pod sufitem.

- Zresztą nie tylko w ten sposób się napiętnowała.
- Które dziecko? - powtórzyłem pytanie.
- Brittany.
- Lubię Brittany. Bądź dla niej miły.
 - Bądź dla niej miły, akurat. Słuchaj, ona nosi opaskę na rękawie, nie uwierzysz. Jakiś czas temu mieli w szkole Dzień Symulacji Apartheidu.
- A co to takiego?
 - Przecież mówię. Symulacja społeczeństwa apartheidu. Dla dzieci miała to być pouczająca lekcja. Wszyscy nosili opaski. Ci z klasy uciskanej mieli złote, wojskowi chyba czerwone,

a elita zielone. Brittany na ochotnika zgłosiła się do klasy uciskanej i teraz nie chce zdjąć opaski. Oficjalnie symulacja trwała tylko jeden dzień, ale ona to ciągnie już parę tygodni. Jedna jedyna. Wydziela sobie czas wstępu do stołówki, dziesięć minut dziennie. Jeździ tylko niektórymi autobusami w niektórych porach. Siedzi w ściśle wyznaczonej części klasy.

- A co na to inne dzieci?
- Opluwają ją i omijają z daleka.

Złożył palce w prostokąt, niby to ekran telewizora - kciuki poziomo, wskazujące pionowo - i spojrział na mnie zezem ze środka kadru, mając językiem.

Zrobiliśmy ostatnią rundę po sklepie. Na jednym z fresków chłopak i dziewczyna siedzieli przy stoliku w czymś na kształt łoża, nad koktajlami mlecznymi i oszronionymi szklankami z wodą, trzymając w palcach długie trzonki łyżeczek koktajlowych, i scenka ta w zamyśle twórcy wcale nie miała być czarująca, przeciwnie, namalowana w sposób prawie dokumentalny, cały zaś lokal sprawiał poniekąd wrażenie muzeum, w którym czas uległ kompresji, a w gablotach wystawiono eksponaty ilustrujące przebieg ewolucji człowieka. Kobięcy głos śpiewał balladę o kaplicy w blasku księżyca, skądś jakby mi znaną, więc obróciłem się, żeby sprawdzić, czy mężczyzna z butlą tlenową dalej nuci do wtóru.

Brian w kumpelskim geście porozumienia i zgody kupił paczkę kondomów dla swojego syna Davida. Kiedy po wyjściu na dwór stanęliśmy na pustym placu, otworzył pudełko i wyjął prezerwatywę w foliowej owijce. Spojrział na nią. Czasem przy szczególnych okazjach parskał osobliwym śmiechem, który brzmiał, jakby jakiś półtopielec miał za złe ratownikom, że go wyłowili; i tak właśnie się zaśmiał, patrząc na kondom.

- Wszyscy wtedy mówili o chorobach wenerycznych. Samo słowo „syf” miało w tamtych czasach bardzo konkretny wydźwięk. Syf.
- Franca.
- Tyle nazw, jedna gorsza od drugiej. Ale jakoś nie bardzo rozumiałem, czemu kondon ma mnie uratować. Może dlatego, że kojarzył się z jeszcze innym określeniem.
- Zlewór.
- A ja swoim niedorozwiniętym mózdzkiem dwunastolatka

może już wtedy przeczuwałem, że ta rzecz, ten zlewór, który mój brat nosi w portfelu, skrywa w sobie jakieś utajone życie... jak w ogóle można bezpiecznie używać czegoś, na co ludzie mówią „zlewór“?

- Jesteśmy śmieciarzami na kierowniczych stanowiskach -przypomniałem mu. - Zlewory to nasza specjalność.
- Ale pomyśl, ile pogardy wkładamy w to słowo. Brzydki wyraz. Pełen samoobrzydzenia.
- Mniejsza o słowa. Kupiłeś synowi kondona, bo ważne jest, żeby go używał. Nie cierpię przemawiać głosem rozsądku. Wiem, że być rozsądnym w obliczu czyjejś prymitywnej nieufności to niewdzięczna rola.

- Masz rację. .

- Ale kondonów używać trzeba.

- Masz rację - przytaknął. - To niewdzięczna rola.

Rozwinął folię i wytrząsnął kondom, aż sutkowaty czubek zakolysał się na wietrze. Potem zmiął gumę w zaciśniętej pięści i przytknął do nosa.

- Czym to właściwie pachnie? - powiedział. - Zasłoną od prysznicą? Samochodową tapicerką, a może podszewką abażuru? Przepastną torbą na nigdy nie noszone ubrania?

Wciągał tę woń głęboko w płuca, starając się ją wchłonać, zachować w sobie na zawsze, żeby odcisnęła się piętnem na jego jestestwie. Wąska głowa zapłonęła mu, skoguciała. Kondom pachniał mu trochę jakby tą folią z bąbelkami, którą owinięty jest nowy komputer, kiedy wyjmuje się go z fabrycznego pudła. A może to nie folia, tylko pudło tak zalatuje. Albo sam komputer. Albo plastikowe torebki, które za długo leżały w zamrażalni-ku i nasiąkły freonowymi wyziewami. Potem stwierdził, że tak mógłby pachnieć szpital, laboratorium, ścieki z zakładów chemicznych. Nie potrafił dokładnie określić. Warstwa izolacyjna w ścianach mieszkania. Filtr w urządzeniu do klimatyzacji.

- Wydawało mi się, że są bezwonne. Nowoczesne kondony -powiedziałem. - Oprócz tych specjalnie aromatyzowanych.

- Bezwonne są tylko te najnowsze typu. A ja mu kupiłem kawał starego, taniego lateksu, który boleśnie ściska członek, osłabia wrażenia i cuchnie. Niech szczeniak wie, że rozsądek kosztuje.

Marian siedziała u Jeffa i oglądała film w telewizji. Potrzebowałem chwili, żeby się oswoić z widokiem kogoś innego w pokoju syna. Była to przecież jego zwierzęca nora, cała w sierści i osobniczej woni, więc poczułem, że Marian, siedząc w niej, popełnia jakąś międzygatunkową transgresję.

Miała na sobie zniszczone dzinsy i starą bawełnianą koszulkę bez rękawów, obwisła z przodu: jest jedną z tych kobiet, które chyba dojrzewają do własnej urody, pięknieją z wiekiem, aż pewnego dnia widać nagle całe ich piękno, już gotowe, i zaczyna się lokalny skandal, ogólne zaskoczenie i komentarze.

- Od kiedy znowu palisz?
- Cicho bądź - odparła.

Opowiedziałem jej o „Kondomologii”. Stałem w drzwiach i mówiłem, przekrzykując telewizor. Marian miała delikatną cerę, emanowała pewnością siebie, ale czysto fizjonomiczną: lekko kanciasta twarz, prosty nos, ciemne włosy, typ rozsądny, nieomal klasyczny w amerykańskim stylu, swoista staroświec-kość, nie tak znów odległa od pospolitości, trochę jak ta twarz na starym mydle, może Camay, nie pamiętam, relief wypukły -kobięcy profil z ondulowanymi włosami, tylko że Marian miała proste.

- Gdzie Jeff?
 - Wyszedł. Daj mi oglądać.
- Opowiedziałem jej o Dniu Symulacji Apartheidu, wciąż stojąc w drzwiach.

- Daj mi oglądać - powtórzyła.
- Przynieść ci coś? Chce mi się pić.
- Wystarczy mineralna - odparła.

Poszedłem do kuchni i powyjmowałem z szafek wszystko, co trzeba. Wlałem wodę mineralną do wysokiej szklanki z lodem i wrzuciłem plasterki cytryny. Wyjąłem z lodówki butelkę wódki, przydymioną z zimna, i przypomniałem sobie, co chcę powiedzieć Marian. Uciąłem spiralę skórki cytrynowej i wrzuciłem do kieliszka na portwajn.

Chciałem powiedzieć coś o Brianie.

Przez pewien czas próbowałem pić portwajn, po prostu żeby zobaczyć, jakie to uczucie, jak to brzmi: kieliszek do portwajnu, wysokoprocentowe wino, a teraz do tego samego kieliszka lałem wódkę, z zimna gęstą jak syrop i opalową.

Z drugiego końca domu słyszałem dialogi filmowe.

Skórę miała czystą jak Camay, włosy ciemne i proste, zazwyczaj krótko przycięte, żeby było łatwiej. Głos uformowany, głęboki i melodyjny, jakby zaokrąglony na samogłoskach i erotyczny, zwłaszcza przez telefon lub w mroku sypialni, podszyty lekkim szumem brandy albo najłżejszą z gardłowych nutek nocnego pożądania.

W rodzinnym mieście - nobliwym, jak je nazywała - śpiewała w kościelnym chórze, ale odeszła, bo jej nie doceniono, rzekomo zlekceważono: byłaby wściekła, gdyby usłyszała, że mówię „rzekomo”.

Kiedy podałem jej wodę mineralną, powiedziała coś o Brianie. Pomyślałem, że chce uprzedzić to, co sam mam o nim do powiedzenia. Wprawna w wyławianiu sygnałów z małżeńskiej zmysłofery, zawczasu przeczuła.

- Polecił ci może kolejny film z finałem w kanale burzowym i ogólną strzelaniną?

- On właśnie tak rozładowuje ten stres, że jest Brianem.

Przypomniało mi się, jak raz na przyjęciu zaszyła się w kącie z facetem, którego oboje trochę znaleźmy, uniwersyteckim poetą o długich, rozczochranych włosach i zębach w plamy, i śmiała się - on mówił, ona się śmiała, dosyć niewinna scena, powiecie, a może wcale nie niewinna, ale jak najbardziej dopuszczalna, ostatecznie przyjęcie ma swoje prawa, a nawet gdyby ta ich poufałość trwała o wiele za długo, któż miałby zauważyć, jeśli nie mąż? Więc później jej powiedziałem. Wszystko to działo się dawno temu, kiedy dzieci były małe, a ona prowadziła wóz bez ołówka w rękę. Powiedziałem jej później, nadętym tonem, bo właśnie o to szło, żeby mówić z przesadnym dostojeństwem, zwracając się do najgłębszej otchłani własnej jaźni, a zarazem kpić z siebie, jak to na przyjęciu.

- Cierpię na pewną rzadką przypadłość - oświadczyłem - która nęka mężczyzn znad Morza Śródziemnego. Nazywa się „poczucie własnej godności”.

Stałem w drzwiach, razem z nią oglądając film.

- Myślisz, że Jeff już zawsze będzie z nami mieszkał?

- Niewykluczone.

- Z tej jego pracy w ośrodku odchudzania nic nie wyszło?

- Chyba nic.

- Nie mówił?
- Oglądał film - powiedziała.
- Uporządkowałaś gazety?
 - Uporządkowałam butelki. Jutro jest dzień butelek. Daj mi pooglądać.
- Pooglądam razem z tobą.
- Nie wiesz, o co chodzi. Trwa już godzinę i kwadrans.
- Połapię się.
- Nie chcę tu siedzieć i objaśniać.
- Możesz się nie odzywać ani słowem.
- Ten film niewart jest objaśniania.
- Popatrzę i sam się połapię.
- Ale mi przeszkadzasz.
- Będę oglądał po cichu.
 - Przeszkadzasz mi przez sam fakt, że oglądasz - powiedziała.

To oświadczenie sprawiło jej przyjemność, brzmiało wnikliwie, więc przeciągnęła się i uśmiechnęła z jakby wężowym ziewnięciem: biodra i nogi nieruchome, ciało powyżej pasa wygięte do tyłu. Chyba wiedziałem, co ma na myśli: że w czyjejś obecności szlag trafia ugruntowaną równowagę, harmonię współżycia z telepudlem. Chciała zostać sam na sam z kiepskim filmem, a ja sterczałem nad nią jak krytyk.

- Zapracowujesz się - powiedziałem.
- Lubię swoją pracę. Cicho bądź.
- Odkąd ja przestałem się zapracowywać, ty zaczęłaś.
- Oglądam film.
- Niepotrzebnie tak ciężko pracujesz.
- Jeżeli on spróbuje ją zabić, bardzo się zdenerwuję.
- Może zabije ją poza kadrem.
 - Poza kadrem proszę bardzo. Niech ją potnie piłą elektryczną. Bylebym nie musiała tego oglądać.

Patrzyłem, póki nie opróżniłem kieliszka. Potem wróciłem do kuchni i zgasilem światło. Przeszedłem do salonu i spojrzałem na kanapę w kolorze brzoskwiniowej sjeny - nowy mebel, który trzeba było oglądać i asymilować, póki nie wtopi się w pokój. Kanapa rozgrzeszała pianino. Nikt na nim nie grał, była to jedna z nobliwych pamiątek Marian, przedmiot w rodzaju spre-

parowanej skóry niedźwiedziej, straszący nas wszystkich swoim wcześniejszym żywotem.

Zgasilem światło w salonie, ale przedtem ogarnąłem wzrokiem książki na półkach. Stałem w pokoju, przyglądając się kanapie w kolorze brzoskwińowej sjeny, wiszącemu na ścianie dywanowi z Radzastanu i książkom na półkach. Potem zgasilem światło. Sprawdziłem jeszcze, czy świeci się w hallu na tyłach domu, żeby nie było ciemno, jeśli matka będzie musiała wstać w nocy.

Znowu stanąłem w drzwiach. Marian oglądała telewizję, duszą i ciałem. Zapaliła kolejnego papierosa, a ja poszedłem do sypialni.

Stanąłem i przyjrzałem się książkom na półkach. Potem rozebrałem się i położyłem do łóżka. Przyszła mniej więcej po kwadransie. Poczekalem, aż zacznie się rozbierać.

- Co ja takiego wyczuwam?
- O co ci chodzi? - spytała.
- Między tobą a Brianem.
- O co ci chodzi? - powtórzyła.
- Co ja takiego wyczuwam. Tylko o to.
- On mnie rozśmiesza - odparła w końcu.
 - Swoją żonę też rozśmiesza. Ale między nimi niczego nie wyczuwam.

Zastanawiała się nad odpowiedzią. Moje pytanie zabrzmiało być może zabawnie, wcale nie tak, jak chciałem. Spojrzała na mnie i wyszła z pokoju. Usłyszałem plusk wody z prysznica po drugiej stronie korytarza i zrozumiałem, że pokpiłem sprawę. Trzeba było zapytać, kiedy stałem w drzwiach, a ona oglądała telewizję. Bo wtedy to ja mógłbym wyjść z pokoju.

6

Wstawiliśmy skrzynkę aromatyzowanej wody sodowej, którą tak lubiła, i urządziliśmy matkę w cichym pokoju, dawniej należącym do Lainie, dodając odnowione lustro i telewizor z dużym ekranem.

Jeff wkrótce przestał nosić luźne szorty i czapkę odwróconą daszkiem do tyłu i znów zaczął być podobny do siebie. Jego

komputer osobisty działał w systemie multimedialnym, więc mój syn mógł w nim oglądać słynną taśmę wideo z pewnym kierowcą uchwyconym w chwili, gdy strzela do niego Morderca z Teksaskich Szos. Pochłonięty tą sceną, Jeff obmyślał różne procedury i programy, usiłując odfiltrować fakturę tła. Szukał zagubionych informacji. Wyostrzał obraz i maksymalnie zwalniał tempo przesuwu, usiłując znaleźć w roju danych choćby jeden detal, który nasunąłby jakiś domysł co do tożsamości zabójcy.

Urządzenie ważyło niecałe sto gramów i mierzyło przebyta odległość oraz liczbę spalonych kalorii, a nawet długość każdego kroku, kiedy przypinałem je do paska szortów.

Miałem jedenaście lat, gdy wyszedł po papierosy, w ciepły wieczór, za witryną klubu na parterze mężczyźni grali w bezika, a na całej ulicy rozlegały się głosy z radia, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto je włączy, i wywieźli go w okolice Orchard Beach, tam gdzie jest tyle odludnych zatoczek, i stracili w podwodny świat, aż jego ciało zawisło nad plechami morszczyzny, w miękkim, organicznym półmroku. Nie żebym naprawdę pamiętał pogodę albo karciarzy. Zawsze gra jakieś radio, zawsze ktoś gra w karty.

W domu dbaliśmy, żeby śmieci były czyste, bezpieczne i zdrowe. Płukaliśmy stare butelki i wkładali je do odpowiednich pojemników. Pieczołowicie wyrwaliśmy trzeszczący papier z pudełek po płatkach śniadaniowych. Jakbyśmy szykowali faraona na śmierć i do pogrzebu. Z troską o drobiazgi.

Ani jednej cyfry nie zapisał na papierze. Miał głowę, miał pamięć do liczb.

Daliśmy jej do pokoju nawilżacz powietrza, wieszaki, dobre twarde łóżko i komódkę, której za młodu używała Marian, zgrabny mebel z własną historią.

Z wieży z brązu patrzyłem na wzgórze koloru umbry i ogarniała mnie pewność, poczucie, że jestem dobrze chroniony, bezpieczny w pudełku swojego biura i w krochmalonej białej koszuli, podłączony do spraw, które dodają mi mocy.

W wieży z brązu inny dyrektor odchrząkiwał, a ja słyszałem, jak w tym cichym, ochrypłym pomruku coś się przemyka, przemycyca, potajemny osad dzieciństwa, ukryta w jego życiu gra, którą prowadził. Na ulicy mogło być ze czterdzieści stopni.

Szpiegował sam siebie. Trzecia osoba obserwuje pierwszą. „On” szpieguje „ja”. „On” wie rzeczy, o których „ja” boi się choćby pomyśleć. Mogło być nawet ponad czterdzieści, czterdzieści pięć, a telefony ćwierkały modulowanymi frazami. Trzecia osoba wysła swoje nikt, żeby zabiło ktosia pierwszej osoby.

Mówiłem, kiedy byli mali. Mówiłem im wiele razy. „To jest zmywarka, to opakowanie, a to kran”.

W wieży z brązu posługiwaliśmy się retoryką skrzywdzonych mniejszości, żeby zapobiec wprowadzeniu przepisów, które zaszkodziłyby naszym interesom. Arthur Blessing, nasz naczelny, wierzył, że z dołu, z ulic płynie prawdziwy klimat, jak najbardziej zdalny do tego, żeby korporacje adaptowały go dla własnych celów. Nauczyliśmy się narzekać, przywłaszczając sobie język etatowych ofiar. Arthur co rano włączał radio w aucie i słuchał gangsterskiego rapu. Piosenek o tym, że trzeba wziąć i się wściec, wziąć i ją zerznąć, wziąć i wyrównać rachunki, wziąć i odebrać wszystko, co nam się słusznie należy, przemocą, jeśli zajdzie potrzeba. Wierzył, że tylko ten styl wypowiedzi robi wrażenie na Waszyngtonie. Kiedyś w samolocie naszej firmy zarecytował mi parę tekstów, a potem razem wybuchnęliśmy tym jego świrniętym śmiechem, starannie wymawiając każde ha-ha, wyraźnie, wolno i w równych odstępach, jakbyśmy śmiali się słowami.

Po powrocie do domu lubiłem nasmarować ręce, twarz, nogi i pobiegać cichymi uliczkami wśród oleandrów i palm, wzdłuż kanału melioracyjnego, który płynie między brzegami z czarwonej ziemi. Bieglem w gęstym skwarze i ostrym świetle, myśląc o tym, że wskaźnik ochrony przeciwsłonecznej skoczył ostatnio do sześćdziesięciu, zastanawiało mnie to, chociaż cerę mam oliwkową, smagłą tak jak mój stary - od piętnastu poprzez trzydzieści aż do sześćdziesięciu, a przecież wskaźnik piętnaście zdaniem nauki stanowił niegdyś absolutny pułap skuteczności. W biegu mijałem pnie drzew pobielone wapnem dla ochrony przed nieubłaganym słońcem.

Trzeba go grubo krajać. Tak mówił o tym chlebie w okrągłych bochnach z chropawą skórką, który nazywał chlebem z Campobasso, od nazwy sklepu, a z kolei sklep nosił nazwę górskiego miasteczka przycupniętego na kręgosłupie Włoch. Najlepszy chleb, jeżeli go pokrajesz za cienko - mówił - będzie

na nic. Patrzyłem, jak się goli, patrzyłem, jak kroi chleb, kładąc bochenek na boku i przytrzymując jedną ręką, a kciuk drugiej, tej z nożem, wysuwa poza rękojeść, aż na grzbiet ostrza, żeby z większą precyzją ciąć w dół przez skórę, w sprężysty mięksiz.

Kiedy Lainie urodziła dziecko, dziewczynkę, poczułem, że w piersi zagnieżdża mi się cicha radość. A może było to raczej ukojenie, rozluźnienie jakiegoś odwiecznego skurczu czy zakleszczenia, koniec jakiejś karykatury męskości. I wszystkie te kobiety, począwszy od mojej matki, siedzącej w swoim bladezielonym pokoju, aż po nowo przybyłą, która wierzyła nóżkami w napadzie śmiertelnego rozkapryszania, zebrały się przy kominku. Los był łaskaw, że dziecko okazało się dziewczynką. Ogarnął mnie przestronny spokój, jakiś węzeł w moim ciele zapulsował i się rozsypał. Patrzyłem, jak leży nagusienka w ramionach swojej matki i pływa we wstędze światła.

Tylko we wtorki pakowaliśmy plastik, oprócz zakrętek i pokrywek. Śmieci, interesujące słowo, można prześledzić jego pochodzenie poprzez różne stadia rozwoju języka, napotykając po drodze takie pochodne, jak „śniedz”, „śmierdziec”, „śmierć”.

Mieszkańców Phoenix ludzie nazywają Fenicjanami.

Rozmawiały o rzeczach, o których nie miałem zwyczaju mówić, chociaż owszem, opowiedziałem jej o skradzionym aucie, i potem mówiliśmy sobie, Marian i ja mówiliśmy sobie, że gdyby ktoś kiedyś zobaczył, jak nasz syn popełnia przestępstwo, nie umiałby podać rysopisu, zapamiętałby najwyżej kolor skóry i tę żartobliwą nalepkę na tylnym zderzaku jego hondy, jeśli honda rzeczywiście byłaby zamieszana w sprawę, nalepkę, którą Jeff dostał od kogoś: „Czym Prędzej Donikąd”.

Dla Marian i dla mnie każdy wyrób przybierał postać śmieci, gdy jeszcze błyszczał na półce w sklepie, przed zakupem. Nie zastanawialiśmy się, jaka z niego wyjdzie zapiekanka, tylko jakie z niego wyjdą śmieci. Bezpieczne, czyste, schludne, łatwe do usunięcia? Czy opakowanie nada się na surowiec wtórny i wróci w postaci burej koperty, którą trudno będzie polizać i zakleić? Najpierw widzieliśmy śmieci, a dopiero potem sam towar jako żywność, żarówki albo szampon przeciw łupieżowi. Jak się ta rzecz sprawdzi w roli śmieci? - pytaliśmy. I czy poczucie odpowiedzialności pozwala nam zjeść pewien produkt, jeśli jego opakowanie przetrwa potem milion lat.

Uliczna legenda głosiła, że nigdy żadnej cyfry nie zapisał na kartce.

Co wieczór siedzieliśmy w zwietrzalej poświacie, matka i ja, oglądając powtórkę *Miodowego miesiąca*. Ralph Kramden był, pogrążony w nieutulonym bólu. Matka mogła się chyba utożsamiać z Alice, jego żoną. Fartuch, szlafrok, skąpo umeblowane mieszkanie i kuchenny fetor w korytarzu. Ale mąż Alice był kierowcą autobusu i nie znikał za drzwiami, tylko raz po raz nimi wchodził. Prowadził pojazd ze społecznego mandatu. Ralph i Alice nie mieli dzieci, które by ich dręczyły i zamęczały. Ty za to miałaś dzieci, ale nie męża. Nawet ciało nie wypłynęło z morskoczynu, żeby potem dryfować, aż wczesnym rankiem pewnej niedzieli znajdą je dwaj faceci w wynajętej łódce z pułapką na kraby - obżarte ciało Jimmy'ego Costanzy, lat ileś tam.

Wróciłem na nadmorskie równiny Teksasu i udzieliłem wywiadu BBC, w kasku z lampą górniczą, stojąc w tunelu solnym siedemset metrów pod ziemią. Dziennikarka stała poza kadrem i zadawała pytania, a ja czułem w ustach smak słonego pyłu, który wzbiły podnośniki widłowe, i starałem się tak formułować odpowiedzi, żeby była zadowolona.

Twój mężczyzna miał pracę bez społecznego mandatu. Słyszac nocą kroki w sieniach i zaułkach, na pewno się zastanawiałaś, czy to Jimmy wraca. Z zaświatów, z ciemności, a może po prostu z New Jersey. I to właśnie ty szybko się ubierałaś o pierwszym brzasku, zanim rurami ze świstem napłynęło ciepło, i szłaś na wczesną mszę wśród Włochów w pogrzebowych strojach. Twój chłopcy mieli napięte nerwy, ten mały *wunderkind*, co przesuwał rzeźbione drewnianka, a trudniej go było kochać niż garść fusów z kawy. Sama w zimne poranki chodziłaś na mszę. A starszy syn, daleki, wahający się między przyćmionymi nastrojami a nieprzyćmioną furią, wieczorami, kiedy padał śnieg z deszczem, wymykał się na dach, żeby wypalić papierosa.

Widzę znak firmowy lucky strike'ów i myślę: tarcza.

Patrzyłem, jak mężczyźni w księżycowych skafandrach zakopują beczki odpadów radioaktywnych, i myślałem o żywych skałach tam w dole, o podziemnych procesach, o tym półzyciu, o atomach, które rozkładają się, aż z pierwotnej liczby zostaje połowa. Najpospolitszy izotop uranu poddaje się bombardowaniu neutronami, dzięki czemu powstaje pluton i następuje nie fuzja

ani wizja, tylko fizja, że pozwolę sobie wykrzesać neologizm z energii rozszczepianych atomów. Izotop ten ma liczbę atomową dwieście trzydzieści osiem. Kolejne cyfry w sumie dają trzynastkę.

Ale bomb nie zrzucano. Pamiętam, jak Klara Sax opowiadała o mężczyznach, którzy latali bombowcami strategicznymi, a my wszyscy staliśmy w przegródce długiego, niskiego budynku z betonu i słuchaliśmy. Pociski nie wyleciały z obrotowych wyrzutni. Mężczyźni wrócili, miast nie zniszczono.

7

Marian oparła się o mnie całym ciężarem i roześmiała, patrząc, jak wokół nas rozprzestrzenia się ziemia. Był blady świt, krańce pustyni migotały foliowo. Na wysokości stu metrów złapaliśmy łagodny wiatr z zachodu, który poniósł nas ku słonecznej powiece, plastrowi słońca. Ale nie czuliśmy tego ruchu. Mieliliśmy wrażenie, że to ziemia sunie pod nami, ukazując nam skupisko przyczep mieszkalnych, a na południu furgonetkę ja-, dącą asfaltową szosą. I psy, które obszczekiwały nas: szczekały, podskakiwały i zderzały się ze sobą w biegu, ujadając, gdy przemykaliśmy nad kolonią przyczep, od psa do psa, a na obrzeżach pojawiały się coraz to nowe psy, w pół skoku obracające się wokół osi, psy znikąd, mnożące się naszczekiwania i skowyty, zaraźliwa pobudka dla całego znanego świata.

Potem znaleźliśmy się nad otwartą przestrzenią, brązową jak kość, pogrążoną w głębokim cieniu, i zawiśliśmy w miękkim powietrzu, balansując w jakiejś odcieleśnionej ciszy, a obok nas przelewała się miara stworzenia.

Pilot targnął zaworem dmuchawy, usłyszeliśmy puls i ryk palników, a Marian znów się roześmiała. Mówiła i śmiała się bez przerwy, szczęśliwa i wystraszona. Kosz był niezbyt duży, ledwie mieściliśmy się w nim my troje oraz butle z paliwem, zawory, kable, przyrządy pomiarowe i zwoje lin. Po każdym podmuchu propanu smuga ognia strzelała na wysokość człowieka w rozwartą gardziel nylonowej cebuli, która pęczniała nad nami.

- Grunt, żeby się wiaterek utrzymał - powiedział pilot Jerry. -

Jak się utrzyma, to powinno nam się udać. Ale musielibyśmy mieć cholernego farta.

Rozmieszyło to nas oboje. Byliśmy lżejsi od powietrza, roześmiani, a balon wydawał się nie tyle dziełem nauki, ile improwowaną modlitwą. Jerry rytmicznie odpałał propan i nie spuszczał z oka pirometru, dodając tylko tyle ciepła, żeby zrównoważyć samorzutne stygnięcie powietrza w czaszy balonu. Była to zabawa, podróż nadnaturalnej wielkości zabawką z wikliny, w którą nas wplotło, a na widok świszczących płomieni oczy wychodziły nam z orbit.

Balon był w wąskie paski, a kiedy Jerry wskazał palcem na południe, spostrzeżyliśmy drogę i samochód, ten właśnie wóz, co nas asekurował, furgonetkę w identyczne paski, z odkrytą przyczepką, na której wożono balon i kosz.

Skok płomienia, a w chwilę po nim wzlot i głos Marian:

- Nigdy w życiu nie dostałam lepszego prezentu na urodziny.
- Nic jeszcze nie zdążyłaś zobaczyć - powiedziałem.
 - Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? - spytała. - Zawsze chciałam tak polecieć, chociaż nie zdawałam sobie sprawy. A może zdawałam, ale nie aż tak, żeby cokolwiek zaplanować. Musiałeś chyba podsłuchać moje myśli.

A potem dodała:

- Nawet nie wiedziałam, jak bardzo chcę wyrwać się z miasta i znowu zobaczyć ten pejzaż. Zanadto pogrążyłam się w pracy. Ale nigdy nawet mi się nie śniło, że zobaczę go z tej wysokości. Kiedy powiedziałeś: czwarta rano, pomyślałam: co to za jakieś dziwaczne urodziny!

- Teraz już wiesz - odparłem. - A to dopiero połowa.

Staliśmy przytuleni, obejmowałem ją w talii, przyciskaliśmy się do siebie udami, a wiatr kołysał nas i wprawiał w wir, chociaż nie obracał - wirowaliśmy sami w sobie, w wirze krwi, wzmagającym każde odczucie. Wolną ręką trzymałem się stalowego pręta, który był częścią sztywnej ramownicy łączącej kosz z linami nośnymi, i czułem, jak metal oddycha mi w pięści.

Jakieś dwadzieścia minut później Jerry położył mi dłoń na ramieniu, a kiedy wskazał palcem prosto przed siebie, zobaczyłem pierwszy rozprysk słońca na czubkach skrzydeł. Instalacja zaczynała się wyłaniać z oddali i z mgły, ażurowy czworobok był już ukończony, rzędy samolotów wyglądały jak jedna całość

złożona ze ściśle dopasowanych części, foremny splot malowanej stali w monochromatycznym otoczeniu.

- Teraz to już sobie spokojniutko polecim - rzekł Jerry. - Byle tylko wojo nie odstrzeliło nam tyłków!

Tak też zrobiliśmy, podchodząc na wysokości mniej więcej stu dwudziestu metrów. Czułem, że Marian trwa w drżącym zagapieniu, przewieszona przez miękką poręcz kosza. Był to widok, który wstrząsał sercem, gejzery i serpentyny barw, moc zaryta w ziemi, więc Marian pociągnęła mnie za sweter i spojrzała pytająco.

Jakby pytała, gdzie my w ogóle jesteśmy, na co patrzymy i kto to zrobił.

Kolory podstawowe były mniej agresywne, niż mi się przedtem zdawało. Czerwienie straciły ostrość, stłumione pogodą albo kolejnymi, coraz głębiej wnikającymi warstwami farb, i dzięki temu harmonijnie stopiły się z resztą dzieła. W jednej jego części kadłuby naznaczone były zdyscyplinowanymi cięciami, przepięknie połączonymi wiązkami błękitów, zgaszonych lazurów i niebieskawych szarości. Dzieło przecinała łukiem wspaniała rzeka, szerokie zakole srebrzystej, a może raczej zgniłej zieleni, tu i ówdzie zakłóconej szarymi muśnięciami pędzla, biegnące od południowo-wschodniego narożnika w górę aż do północnej krawędzi i zahaczające po drodze mniej więcej o jedną trzecią zgromadzonych samolotów, z których kilka zupełnie tonęło w tej barwie: płyn krążący w krwiobiegu dzieła, określający jego tempo, scalający powierzchnię.

Jakby pytała: „Rany boskie, Nick, jak to możliwe, że coś takiego tu stoi, a ja nic o tym dotąd nie wiedziałam?”

Napięcie naszych przytulonych ciał wzmagala fizyczność kolorów, malowanego światła, które płynęło ku nam strugą. Słońce płonęło wysoko nad horyzontem. Opadliśmy na poziom sześćdziesięciu paru metrów i Jerry strzelił płomieniem z palnika. Kiedy zawiśliśmy niemal dokładnie nad instalacją, stała się ona bardziej chropawa i rażąca. Zauważyłem nie pomalowane przerwy, paski martwego metalu na skrzydłach kilku samolotów, zbieleiałe jak od perhydrolu, zestrupiałe i poharatane, a na jednym kadłubie ślad regulaminu bezpieczeństwa drukowanego przez szablon. Instalacja wyglądała jak owoc zacieklej walki. Straciła płynność, ujawniła głębokie ziarno faktury, nierówne połączenie

grubo nawarstwionej farby z rozpylaczy. Widziałem cały trud, jaki w nią włożono, dziesiątki ludzi w kredowym żarze, mięśnie i płuca. Zacząłem się rozglądać za blondynką w spódniczce z falbankami, namalowaną na dziobie kadłuba, i z zachwytem w końcu ją odnalazłem, smukłą, wysoką, nie tkniętą retuszem, autentyczny nosart, panienkę z kalendarza, kawałek zwykłego życia, a zarazem amulet ożywiający całą instalację.

Widziałem, że Marian usiłuje ogarnąć tę mnogość. Nie liczyła maszyn, ale chciała wiedzieć, ile ich jest, po prostu po to, żeby oszacować własne zdumienie. A kiedy jej szepnąłem, że w sumie jest ich dwieście trzydzieści, jeszcze bardziej się skoncentrowała, próbując poczuć, jak ma się ta liczba do zwartego szyku samolotów, do zawrotu głowy, który wywoływało ogólne wrażenie. Przelecieliśmy dokładnie nad maszynami. Oczywiście były olbrzymie, przytłaczały swoim ogromem: stratofortece pękate i zwaliste, o masywnych statecznikach, ze skrzydłami osadzonymi w górnej części kadłuba; niektóre wciąż jeszcze miały na miejscu uchwyty pocisków, tu i ówdzie wisiały w powietrzu kółka podskrzydłowe, a pod koła podwozia wstawiono bloczki.

Naprawdę uważałem, że są wspaniałe, że pomalowano je na znak końca pewnej epoki i początku czegoś zupełnie innego, co w adekwatny sposób zwiastować może tylko taka właśnie wizja.

Lecąc w stronę pustej równiny, która otaczała samoloty, zobaczyliśmy, że na obrzeżach instalacja traci werwę, ulega, rozmyślnie zlewa się z pustynią.

- Już nigdy nie spojrzę na żaden obraz tak jak dawniej - powiedziała Marian.
- A ja nigdy nie spojrzę na samolot.
- Albo na samolot - zgodziła się.

I nasunęło mi się pytanie, czy tę instalację widać z kosmosu, niczym dzieło sztuki krajobrazowej jakiegoś zaginionego **ludu** andyjskiego.

Lekki powiew poniósł nas dalej, pilot szarpnął zaworem i ostatni raz wznieśliśmy się pomaleńku nieco wyżej. Ujrzeliśmy masyw chmur wiszących daleko na wschodzie i jastrzębie dryfujące tym swoim niewymuszonym ruchem, jakby wciąż te same dwa ptaki unosiły się w powietrzu od czasów biblijnych. Na polu leżały kamienie, brązowe głązy o rzeźbionych bokach. Czuję, że żona stoi przy mnie. Widzieliśmy pył zwiewany z ciem-

nych wzgórz i dwa auta porzucone, przewrócone na pastwisku, kabriolety z postrzępionymi dachami. Wszystko było znamienne i lśniące, wezbrane pięknem rzeczy zazwyczaj nie dostrzeganych, nawet te samochody stoczone rozkładem i rdzą. Pilot wskazał coś palcem w odległości kilku kilometrów i nagle zrozumieliśmy, że to wóz, który nas asekuje, kropelka pełząca długą drogą ku miejscu na ziemi, gdzie w końcu wylądujemy.

Wieczorem przyszli na kolację znajomi, rozmowa toczyła się wesoło i zabawnie, słowa fruwały nad stołem, aż zrobiło się grubo po północy, a kiedy goście wyszli - chociaż właściwie jeszcze przy nich - poczułem dal i bezruch tego rozwlekłego świtu, jakby budziło się we mnie bezkresne niebo, rozpostarte przeciw śmiechowi.

Po ich wyjściu leżeliśmy w łóżku. Sypialiśmy w pokoju o ścianach wypełnionych książkami na kremowych półkach, z miękkimi dywanami na podłodze i z lampami, które dawały stłumione, ciepłe światło koloru whisky. Marian kartkowała jakieś czasopismo i te szorstkie gesty komuś, kto nie znałby jej zwyczajów, mogłyby wydać się niecierpliwe.

- Długi dzień.
- Długa jazda. O rany - westchnąłem. - Mordega.
- Czy to najdłuższy dzień w moim życiu?
 - Ta jazda to był zupełny obłąd. Nienawidzę takich mikrobusów.
- Jeszcze czuję tę jazdę. Ale w sumie było cudownie.
- Akurat, cudownie. Tobie było cudownie, bo spałaś.
Przewróciła kartkę.
- Zauważyłeś, jak oni nawzajem kończą po sobie zdania?
- Ja prowadziłem, a ty spałaś.
- Ona mówi, plepleple. A on dokańcza, terefere.
 - To jeszcze nie najgorszy los. Przecież nawet obcym ludziom się to zdarza. Każdy to komuś robi.
 - A ja wcale nie spałam. Tylko na dziesięć minut trochę się obsunęłam.
- Zresztą pewnych zdań nie da się inaczej skończyć.
- Zjedli kukurydzianą galaretkę do mięsa.
- Jasne, że zjedli galaretkę. Była fantastyczna. Skoro już

mowa o mapach. Chciałbym kupić jakieś stare mapy. Nie cierpię tych naszych.

- Patrz. Paruzja jest bliska. Dwudziestego ósmego października. Podają dokładną datę.
- Widziałem.
 - Znak bestii. Widziałeś? Włączyli go do powszechnego kodu przemysłowego. Jest na każdym produkcie.
 - Owszem. Na każdej paczce galaretki, która przechodzi przez skaner.
- Mam dziś jedną z tych swoich nocy - powiedziała.
- Co takiego?
- Jedną z tych moich dobranocek,
- Co?
 - Jedną z tych nocy, kiedy wiem, że nie zasnę. Bezsenna bierze się z przekonania o bezsenności. Nie ze zmęczenia. Bo właściwie jestem okropnie zmęczona.
- Niespokojna.
 - Nie, jestem zmęczona, ale nie senna. Trzy szóstki. **Czyli** supermarket to jednak dosyć nawiedzone miejsce.
- Zawsze o tym wiedzieliśmy.

Zgasilem swoją lampkę i z dłońmi za głową spojrzałem w ciemnokremowy sufit.

 - Ma świetne ciało, jak na tyle dzieci. Alison. **He** właściwie? Czworogłowy? - zastanowiłem się.
 - Czyli ja jestem albo o połowę mniej świetna, albo dwa razy świetniejsza, ale za dużo w to nie wnikajmy. Był tu ten, jak mu tam, Terry. Ten zwałisty.
 - Od lat nie patrzyłem na porządną mapę. Człowiek czuje się wtedy jak postać z Roberta Louisa Stevensona. Na naszych mapach są autostrady i motele. Postoje przydrożne i znaczki w kształcie wózków inwalidzkich.
- No, przypomnij mi, jak mu na imię.
- W sprawie kranu?
 - Przedwczoraj albo wczoraj. Dzisiejszy dzień był taki długi, że już sama nie wiem. Nie, sitka od prysznic.
 - A co nawala w sitku? Na naszych mapach są smażalnie naleśników.
- Ten, jak mu tam, co jeździ pomarańczowym kombi.
- Który to prysznic?

- Terry, dobrze mówię?

Przewróciła kartkę. Do czytania w łóżku używała specjalnej poduszki, którą dla niej zamówił z katalogu. Obciągnięta mieniącym się zakardem poduszka w kształcie klina akurat mieści się na kolanach i pod odpowiednim kątem podpira książkę albo czasopismo, ma przyczepione na stałe wstążeczki zakładki, a z tyłu szparę na okulary.

- Lecę we wtorek, mówiłem ci?
 - Dokąd tym razem, do Moskwy? Czy do Bostonu? Za wcześniej na Moskwę. Który to jest ten zwalisty? Zupełnie mi się oni.
 - Przed wyjazdem muszę dać buty do podzelowania. Przypomnij mi jutro.
 - Coś mi się zrobiło na nodze.
 - Nie do Bostonu - powiedziałem.
 - Nie do Bostonu.
 - Do Portland.
 - Aha, do Portland.
 - Co ci się zrobiło? - spytałem.
 - Po wewnętrznej stronie uda.
 - Zadzwoń do Williamsona.
 - Może jakieś podrażnienie.
 - Zadzwoń do Williamsona. Od kiedy to masz?
 - Nie wiem. Chyba pojawia się i znika.
- Przewróciła kartkę.
- U Lainie kładli dziś tapetę.
 - Najwyższy czas.
 - Sama zadzwoniła.
 - Mam nadzieję, że jej nie powiedziałaś.
 - No pewnie, że nie. A co miałam powiedzieć? Kochanie, przejechaliśmy tuż obok waszego domu, ale nie wstąpiliśmy.
 - Gdybyśmy wstąpili, toby.
 - Widzieliśmy się z nimi, zaraz, zaraz. Całkiem niedawno. Chociaż właściwie wcale nie tak niedawno.
 - Wystarczająco niedawno. Trzeba uważać, żeby nie przedawkować.
 - Tapeciarze. Lainie mówi, że była wśród nich kobieta.
 - Jeszcze się nie wygrzebałem z tego pierdolonego przeziębienia. Dlaczego tak mnie się uczepiło? - spytałem.
- Przewróciła kartkę.

- Dlaczego tak mnie się uczepliło? - powtórzyłem.
 - Weź te antyhistaminy co zawsze. Trudno je dostać.
 - Tabletki.
 - Kapsułki.
 - Strasznie jesteś podkręcona. Aż buchasz energią.
 - Wcale nie. Jestem zmęczona. Mój umysł zapędził się w kozi róg. Pożegnaj się z myślą o spaniu, mów mi.
 - Wybrałem mieniący się żakard zamiast kości słoniowej, bo splot pasował do naszych dywanów.
 - Zobaczyłam go w tym pomarańczowym kombi, którym zawsze jeździ. Tego zwalistego. Ostatnio sama założyłam, ale tym razem nic nie chciało pasować.
 - Bo wszechświat się rozszerza. Rozszerza się, kiedy jest ciepło. Przypomnij mi, że trzeba kupić żarówki sześćdziesiątki.
 - Zahamowałam obok, a on powiedział, że może być za godzinę, przyjechał punktualnie, założył sitko w równe dziesięć minut, i po sprawie.
 - Przewróciła kartkę, a potem jeszcze jedną. Czasem mówiła ponurym tonem, który w rzeczywistości był przejawem satysfakcji, spełnienia, kiedy zdołała skończyć jakąś pracę albo opowiedzieć historyjkę z morałem.
 - Powiedziałaś jej, żeby przetarli?
 - Najpierw zrobili dziecinny.
 - Bo Dex sam na to nie wpadnie. Mam nadzieję, że jednak przetarli.
 - Weź te dwunastogodzinne przeciwhistaminy. Po czterogodzinnych robisz się senny.
 - I co z tego, że senny? Przypomnij mi, że potrzebne nam są żarówki do szpiarni.
 - No, przypomnij mi, jak on ma na imię. Ten zwalisty chłopak to ten sam, którego ojciec, tak?
 - I musiało go obezwładnić czterech czy pięciu gliniarzy.
 - Zwalisty.
 - Nie możesz po prostu powiedzieć: tłusty? No, powiedz, że jest tłusty. Straszliwy tłusciuch - odparłem.
 - Ma na sobie zwały tłuszczu. Racja.
 - Może żarówka się oblużowała. Przypomnij mi, żebym dokręcił. Za wcześniej na Moskwę.
- Przewróciła kartkę.

- Czy to jakiś guzek? - spytałem.
- Co? Nie, nie powiedziałabym. Nie, to podrażnienie.
- Może od estrogeneru.
- Nie, nie, nie, nie.
- Zadzwoń do Williamsona - powtórzyłem. Przekręciłem się na bok i usłyszałem kadencję lądującego samolotu, późny przylot, nie wiadomo skąd.
 - Osiem godzin snu bez przerwy. Tego mi trzeba.
 - Rzeczywiście. Masz jedną jedyną parę porządnych butów, a i to w nie najlepszym stanie.
 - O mało nie kupiłem butów we Włoszech. O mało nie kupiłem butów we Włoszech.
- Przewróciła kartkę.
 - Jak się nazywa to lekarstwo, które chciałam doradzić twojej matce?
- Sekundę. Już wiem.
- Mam na końcu języka - powiedziała.
- Sekundę. Już wiem.
- Wiesz, o które lekarstwo mi chodzi.
- Na sen czy na niestrawność?
- Mam na końcu języka.
- Sekundę. Sekundę. Już wiem.

Po mniej więcej trzech godzinach siedziałem w fotelu w kącie sypialni, cały wilgotny i zziębnięty, obłany zimnym potem na plecach, karku i pod pachami. Wynurzyłem się z jakiegoś snu, głęboko oddychając, cały lepki, dysząc szybko i głośno - tak dziwnie, głośno i szybko, że aż mnie to zbudziło, albo coś innego.

W rękę trzymałem piłkę do baseballu. Zazwyczaj leżała na półce, wciśnięta w kąt między książkami stojącymi prosto a tymi, które stały przechylone skosem, schowana w książkowym namiocie, bez żadnej celebry. Ale tym razem trzymałem ją w rękę. Musisz poznać to uczucie, dotyk piłki do baseballu trzymanej w dłoni, podróż wstecz poprzez wiele różnych spraw, zanim zrozumiesz, czemu człowiek siedzi w fotelu o czwartej rano, trzymając, gniotąc w garści taki przedmiot: piłka wpasowuje się w dłoń i dodaje otuchy, korkowe jądro sprawia, że palce czują jej sprężystość, czują też szorstkie miejsca na powierzchni starej piłki, napiętnowane lico, a kciuk lubi od niechcenia skrobać podrapaną skórę końską. Ściskasz piłkę. Wyciskasz z niej sok,

a może mleko. Napotykasz opór gęsto nawarstwionego materiału i masz ochotę ścisnąć mocniej. Powstaje równowaga, miłe zwierzęce napięcie między twardym skórzanym przedmiotem a lekko szponiastą dłonią, na której z wysiłku prężą się żyły. Czujesz wypukłe szwy, biegnące w poprzek opuszek palców, pod knykciami zarys nici jak wyboje na drodze: w tej bawełnianej spirali dostrzegasz zognioną odcisk palca, powiększoną fotografię pokrętnych grani na brzuszku twojego kciuka. Piłka miała kolor ciemnej sepii, napuszczona brudem, wilgocią trawy i wielopokoleniowym potem - stara, sfatygowana, poobijana, zabarwiona sokiem tytoniowym, poplamiona przez rozmaite procesy naturalne i wlokące się za nią życiorysy, zbryzgana niepokodą, pełna rzeźbionego charakteru niczym nadmorski dom. Obok znaku firmowego Spaldinga widać było zieloną smugę, niezatarty zielony siniak w miejscu, którym zgodnie z legendą uderzyła o filar: odrobina farby zluszczona z mimochodem potrąconej kolumny na trybunie przy lewym polu wgrzyła się w powierzchnię piłki.

Trzydzieści cztery tysiące pięćset dolarów.

I to, że dłoń wywabia z piłki wspomnienia, które nie mają nic wspólnego z normalnymi rozgrywkami.

Pech, passa Branki. Od niego do mnie. Chwila, która przesądza o całym życiu.

Marian przyłapała mnie raz, kiedy patrzyłem na tę piłkę. Stałem przy półkach z książkami, z piłką w ręku, a Marian stwierdziła, że wyglądam jak Hamlet wpatrzony w czaszkę Jorika, a może Arystoteles, to nawet jeszcze lepiej - powiedziała. -Arystoteles kontemplujący popiersie Homera. Obojgu nam się spodobał ten pomysł. Homer Rembrandta i Homer Thomsona. Uśmiechnęliśmy się.

Przypomniał mi się ten stary głos z radia, Russ Hodges, nieboszczyk już od dwudziestu lat albo i dłużej, niedowierzenie i podniecenie, siła pojedynczego ludzkiego głosu wydobywającego się ze skrzyńki.

Nie spytała, czy to Portland w stanie Maine czy w Oregonie, kiedy powiedziałem, że nie Boston, tylko Portland, więc czułem, że pytanie wisi w powietrzu, czeka na swoją kolej w naszej wymianie zdań, aż wreszcie wychynie na powierzchnię, ale jedno z nas zasnęło, zanim zdążyła spytać, a tak w ogóle, to który

Portland - powtarzam za nią słowo w słowo, chyba pierwszy zasnąłem, a może zresztą nie, bo światło było już zgaszone, ostatnie światło było zgaszone.

Potem wynurzyłem się z jakiegoś snu; dziwacznie oddychając, po omacku trafiłem na fotel i zapaliłem lampkę.

A spoza jego głosu przebijał zgiełk tłumu, nieustanny napór i napięcie, zawieszistość, zjeżona rojność, zależna od sytuacji na boisku - hałas tak gęsty, że mógłby właściwie mieć określoną temperaturę zapłonu, powyżej której narastający żar zdmuchiwałby radio.

Usłyszałem, jak za ścianą matka wstaje, żeby pójść do toalety. Nasłuchiwałem, kiedy wychodziła z pokoju. Czekałem nasłuchując, niemal bez tchu. Czekałem, aż w korytarzu zasurują papucie, aż usłyszę jej kroki szurające w znajomym rytmie i tempie, a potem nasłuchiwałem szumu spuszczonej wody - skupiony do granic możliwości, zasłuchany w najzajadziej skoncentrowanym bezruchu, póki nie wróciła bezpiecznie do łóżka.

Zważyłem broń w rękach i wycelowałem, a na jego twarzy pojawił się zaciekawiony uśmiech, facet wyszczerzył zęby z podłą, cwana skruchą, jakby jadł zabę.

Może to właśnie mi się śniło - dokładnie nie pamiętałem.

Więc wziąłem piłkę z półki, usiadłem w fotelu i zagapiłem się w sufit koloru whisky z kremem.

Tamtego dnia nie słuchałem stacji Dodgersów, tylko Russa Hodgesa, próbując w ten sposób odczarować los. Nie przyszło mi wtedy do głowy - właściwie w ogóle nie pomyślałem, póki nie usiadłem w fotelu, ściskając piłkę - że Russel Hodges, jeśli policzyć litery, jeśli ktoś jest dostatecznie zdziwaczały, żeby wpaść na taki pomysł, przywołać to imię i nazwisko w pełnym brzmieniu i policzyć znaki, otóż może was to rozśmieszy, ale naprawdę znów wyszła ta sama stara trzynastka.

W końcu się uspokoiłem. Poczułem się lepiej. Z ręką przewieszoną przez poręcz fotela ściskałem piłkę, słuchając sennego oddechu Marian - ściskałem ze wszystkich sił, aż mi się żyły spłaszczyły na grzbiecie dłoni, jakby całkiem wsiąkły.

Może zresztą zasnęliśmy jednocześnie. A później po omacku trafiłem do fotela i włączyłem lampkę. Stałem, oburącz odklejając od spoconej skóry bluzę pizamy. Aż wreszcie podszedłem do półek z książkami i sięgnąłem po piłkę.

Marian siedziała w łóżku. Właściwie nie siedziała, tylko się lekko podparła - zdałem sobie sprawę, że się zbudziła, podpierając się łokciem i patrzy na mnie, pocierając skroń prawą ręką.

- Nick?
- Tutaj.
- Coś ci jest?
- Nie. Zaraz się położę.
- Wracaj do łóżka.
- Nic mi nie jest. Śpij.
- To były cudowne urodziny, prawda?
- Chcesz, żebym zgasił światło?
- Nie. Tylko wróć do łóżka.
- Za chwilę się położę.
- Chcę cię czuć przy sobie - powiedziała.

Stałem na dachu, radio umieszczałem na gzymsie, a czasem kulałem, stawiając je obok siebie, u podstawy gzymsu, trochę jakbym je otaczał murem, czerpiąc z niego nadzieję, odchodząc każdy ślizg i zwrot na boisku, dopingując z samych bebeczów - radio typu Emerson, w kolorze bordo, które wszędzie ze sobą zabierałem. Ale jeśli stałem, to zawsze twarzą na południowy zachód, patrząc ponad szpitalem dla nieuleczalnie chorych i nad biegnącymi wzdłuż Trzeciej Alei torami kolejki nadziemnej, w stronę rzeki przecinającej miasto. Tam właśnie był stadion Polo Grounds, na południowym zachodzie, a ja wyobrażałem sobie boisko i graczy, rzeńskie błękity i elizejskie zielenie w ów wspinały dzień pod posępny niebem - wspinały i straszny dzień, który zdążył tymczasem rozłożyć się na czerń i biel w filmowym ściemnieniu pamięci.

Manx Martin I

A wtedy przypomina sobie o książkach i schodzi z powrotem na dół, bo przecież nie możesz wrócić ze szkoły bez książek, ty głupku. Wpycha piłkę do bocznej kieszeni, schyla się i sięgając ręką w trójkątny półmrok pod schodami, z miejsca, gdzie najniższy stopień spotyka się z podłogą, podnosi trzy książki, które zostawił tam rano, wyciąga je i zgarnia, i jeszcze zeszyt w cętkowanej okładce, zdmuchuje z nich kurz, brud i stęchliznę.

Tylnymi drzwiami z podwórka wchodzi dozorca, ten nowy, co tak okropnie kuleje, że ludzie nie są nawet pewni, czy mu współczują - może raczej zastanawiają się, czemu ktoś taki w ogóle jeszcze chodzi.

- Co jest?
- Coś upuściłem - odpowiada Cotter.
- Muszę pogadać z twoim ojcem.
- Jak go zobaczę.
- Powiedz mu - mówi cieć.

Cotter nie ma pojęcia, skąd dozorca go zna. Poprzedni w pośpiechu odszedł z posady, a ten nowy dopiero co nastał i musi zadbać o cztery kamienice, w dodatku tak kuleje, że żal patrzeć, ale już kojarzy ojców i synów, no i tym razem pewnie trafił w sedno. Bo z ojcem Cottera ciągle ktoś chce gadać. Ojciec codziennie przez kilka godzin robi uniki przed tymi rozmowami.

Chłopiec wdrapuje się na trzecie i wchodzi do mieszkania. Przy stole w kuchni jego siostra Rosie ślęczy nad lekcjami. Skończyła szesnaście lat i wiecznie ryje w książkach, prócz niej Cotter ma dwóch starszych braci, jeden jest w Korei w piechocie, a drugi w spadochroniarzach, stacjonuje w Georgii. Zwanej Brzoskwiniowym Stanem. Ale gdyby Cotter musiał wybrać któryś z tych dwóch przydziałów, to chyba wolałby stanąć oko

w oko z uzbrojonym wrogiem w śniegu i błocie, niż wyjść za próg, prosto w aromatyczne powietrze wieczoru, z przypiętym do pleców kłębkim jedwabiu.

- Co też on ma w kieszeni? Ciekawa sprawa - mówi Rosie.
 - Wygląda, że jabłko. Może wziął sobie wolne i skoczył do czyjegoś sadu.
- Jakie znowu wolne?
 - Pojechał autobusem gdzieś za miasto, żeby narwać jabłek. W domu też oczywiście mamy jabłka. Ale dopiero po lekcjach. Nie ma lekcji, nie ma jabłek. Czy to dlatego sam sobie skołował jabłko?
- Jak nie byłem w szkole, to niby gdzie byłem?
 - Nie wiem, ale kiedy cię zobaczyłam z okna, nie miałeś książek, a potem wszedłeś, no i proszę, są książki.
 - No to już wiesz, że wcale nie jabłko mam w kieszeni.

Wyjmuje zdobycz i robi tę swoją kuglarską sztuczkę: turla piłkę po grzbiecie dłoni i nadgarstku, a potem chwyta ją palcami takim ruchem, jakby zmieniał biegi, szarpiąc łokciem wstecz. Rosie uśmiecha się i z powrotem zagrzebuje w książce, więc Cotter wie, że odniósł drobne zwycięstwo, bo po tej dziewczynie tylko wtedy widać, że nabrała trochę szacunku, kiedy brak jej słów.

U siebie w pokoju wygląda przez okno, w tym samym pokoju, który dawniej dzielił z braćmi, a który teraz jest tak uderzająco jego własny, po czym upuszcza piłkę na leżący na dolnej pryczy koc w kolorze khaki, jedyny wojskowy akcent, mocny, oliwkowobury, i ściąga sweter z oparcia krzesła. Wkłada go przez głowę i znów wygląda oknem, patrząc, jak ludzie przemierzają kręgi światła ulicznych latarni i znikają w półmroku. Za wcześniej się ściemnia. Cotter stoi i patrzy, po prostu sobie patrzy, jest sobie nikim w oknie, kiedy nagle słyszy, że matka przeciska się przez drzwi.

Przytomnieje i zaczyna się zastanawiać, co powie, jeśli wyplynie sprawa wagarów. Ale wie, że Rosie go nie zakapuje. Wydaje mu się, że może na nią liczyć. Mniej więcej. Wydaje mu się, że aż przez ściany czuje lojalność siostry, więc idzie do kuchni: matka wyjmuje sprawunki, a Cotter kładzie dłoń na ramieniu Rosie i staje przy stole, wpatrując się w kolorowe paczki i puszki, które matka umieszcza na półkach.

- Ile razy? - pyta kobieta. -

Co?

- Trzeba ci powtarzać. Nie noś tego swetra. Muszę go uprać.
- Wymocz go w czymś mocnym - podpowiada Rosie.
- Brudny jak święta ziemia.
 - Jakby go zanieść do pralni, toby zwrócili - mówi Rosie. -Nie przyjęliby.

Bo, widzicie, świat pełen jest rzeczy, których Cotterowi nie wolno robić albo nosić. Ale może chłopiec właśnie lubi, żeby się przeciwko niemu sprzysięgały, nie tak jak wtedy, kiedy bracia, owszem, trochę nim pomiatali i trochę się z niego nabijali, lecz bez tego kapryśnego zaciekawienia, tej nieustannej wścib-skiej troski. Siostra wychyla się do przodu, chcąc dokładniej zbadać ten akurat konkretny wykwit jego tępoty. Cotter lubi gładzić palcami krawędź salaterki, nakrapiane szkliwo, kiedy stół zawalony jest książkami Rosie, w salaterce leżą owoce, a matka krząta się przy piecu albo przy szafce, i ten jej ton, matka mówi do niego, nie patrząc, ale zawsze wie, gdzie on jest, i odmierza siłę głosu według jego ukradkowych przemykań, z pokoju do pokoju. Może Cotter właśnie chce, żeby go rozszyfrowały, to wtedy będą mu mogły zdradzić swój sekret.

- Swetr cały w rzepach - stwierdza Rosie. Najwyraźniej po doba jej się to słowo, więc dziewczynka mówi dalej z przekorą nonszalancją: - Ma w nim pełno rzepów, bo widać wstąpił do sadu.

Chłopiec gładzi wewnętrzną krawędź salaterki, czując pod palcami rozprysk toczonego tworzywa, szorstkość miniaturowych baniczek. Matka każe mu umyć ręce. Nie patrzy na niego, ale odczytuje stan jego rąk z położenia słońca i księżyca. Widocznie Cotter jest chodzącym brudem. Chodzącym wcieleniem plugastwa z planety Brud.

Przy kolacji milczą. Bo ojca jeszcze nie ma w domu, ale w każdej chwili może przyjść albo i nie, więc trwają w mimowolnym oczekiwaniu. Dziwne, że matka przeciska się przez drzwi, popycha je ramieniem, niosąc reklamówki ze sprawunkami, paczki i torebkę na długim pasku skośnie przewieszoną przez pierś, i może jeszcze torbę z rączkami wlecze za sobą lub taszczy z korytarza, szturchając ją parę razy nogą sztywną jak proteza, i wydaje przy tym najrozmaitsze dźwięki, nawet jeśli

akurat nic nie dźwiga, przynosi z dworu posmak ulic, coś z metra, z autobusów i z ulic, cały ten zgiełk i mozół, kiedy jeździ się do centrum i z powrotem, taka jest jego matka, za to ojciec zwykle wślizguje się bez zapowiedzi, staje i patrzy ze złością, przyklejony do ściany, jakby zablądził w cudze drzwi i teraz musiał szczegółowo zanalizować swój błąd.

Matka jest wysoka, trochę krzywa, no i silna. Cotter dobrze o tym wie, bo nieraz podnosił to samo co ona, przez trzy piętra dźwigał rzeczy, które ona też często dźwiga z pokerową miną: potrzeba jej pół minuty, żeby z rzadko używanych mięśni twarzy wykrzesać uśmiech.

- Widziałam tego faceta, co na ulicy wygłasza kazania -mówi kobieta. -.Zawsze w tym samym miejscu.
- Ja też go widziałem - odpowiada Cotter.
 - I pomyślałam sobie: ten człowiek też przecież ma jakieś swoje życie, chociaż ono ludzkie pojęcie przechodzi. On też wraca do jakiegoś domu. Ale dokąd? Jak on w ogóle żyje? Próbuję sobie wyobrazić, co robi taki gość, kiedy nie gada na ulicy.
- Widzę takich na każdym kroku - oznajmia Rosie.
 - Ale ten ma swoje miejsce. Wiecznie na tym samym rogu. Chyba mu wszystko jedno, czy ktoś go słucha. Gadałby do przejeżdżających aut.
- A o czym mówił?
 - Że nikt nie zna dnia ani godziny. Podobnież Ruskim udał się wybuch atomówki. Więc nikt nie zna dnia ani godziny. Mówili w wiadomościach.
- Nic mnie to nie przejmuje - oświadcza Rosie.
 - Ja się nawet przejęłam, ale mi przeszło, jak zaczęłam leżeć po schodach z tymi torbami. Myślałam, że mi rękę wyrwie.
- Powrót do normy - mówi Rosie.
 - Ale przystanęłam, żeby go chwilę posłuchać. Prawdę powiedziawszy, pierwszy raz chwilę go posłuchałam.
- Zawsze tam stoi - mówi Cotter.
 - Pierwszy raz posłuchałam. Nikt nie zna dnia ani godziny. To chyba święty Mateusz, rozdział dwudziesty czwarty.
- Nic mnie to nie przejmuje - powtarza Rosie.
 - Ale ten człowiek ma przecież własne życie, a mnie się w głowie nie mieści, jak on w ogóle żyje.

- Ciągłe ktoś gdzieś wygłasza kazanie - mówi Rosie.
- A jak jest ubrany! Szkoda go. I wcale nie wariat, zna Biblię na wyrywki.
- To jeszcze nic nie znaczy - wtrąca Cotter. - Niektórzy znają Biblię na wyrywki, a i tak są szurnięci jak nie wiem co.
- Amen - przytakuje siostra.

Po kolacji chłopiec wraca do swojego pokoju i wygląda przez okno. Powinien siedzieć u siebie w pokoju i odrabiać lekcje, no i owszem, jest u siebie w pokoju, ale nie wie, co zadane. Czyta parę stron na zapas z historii powszechnej. Dawniej to co minuta następowały przełomowe wydarzenia. W każdym zdaniu kolejna wojna albo jakiś straszliwy upadek. Zapamiętać daty. Upadek imperium i wynalezienie detergentów. Jeden chłopak z jego klasy prawie codziennie wyjada kartki z książki do historii. Najpierw kładzie sobie otwartą książkę na kolanach pod ławką i sprytnie zgniata kartkę, pomału wydzierając ją z grzbietu, tak żeby jak najmniej szeleściła. Potem zawsze chwilę odczeka - taką już ma strategię - zanim podniesie pięść do ust, niby to tłumiąc kaszel, a w pięści trzyma zgnieciony papier jak jakiś przysmak. Wpycha sobie do ust kartkę razem z drobnym drukiem i wkuwanymi na pamięć datami, cichaczem ją pochłaniając. Znowu chwilę odczeka. Na razie nic nie robi, tylko trzyma kartkę w ustach. I wreszcie zaczyna żuć, wolno, ostrożnie i nie do końca, nie zahaczając zębem o ząb, a Cotter usiłuje sobie wyobrazić ten smak, kiedy papierowe czubki i krawędzie skąpane w ślinie miękną i wiotczą jak bibuła, aż można gładko je przełknąć. Ale tamten wcale tak gładko nie przetyka. Grdyka mu skacze, jakby lądował samolotem na cudzoziemskim wybrzeżu.

Wojna i traktaty, skosztuj chrupków do herbaty.

Rosie bierze prysznic. Cotter siedzi na swojej pryczy i słysząc przez ścianę głośny plusk wody, myśli o meczu. Przypomina sobie rzeczy, które bezwiednie zobaczył albo usłyszał, ludzi na rampie wiodącej do wyjścia - widzi barwy koszul, słyszy głosy powracające z głębin pamięci. Gliniarz na koniu, połysk buta i zwierzęce ciepło, a jednocześnie słyhać, jak woda wali w ocynkowane ścianki kabiny prysznica, grzechoczącej kabiny o poplamionych ściankach, którą ktoś wstawił przed laty do tej łazienki.

Kiedy wraca ojciec, od razu wiadomo, że wszedł, że to on: drzwi otwierają się pomału, ze śpiewem zawiasów, a przybysz nie wnosi z sieni żadnych dźwięków - nie wytrząsa przemoczonego ubrania ani nie dyszy, zmęczony wspinaczką. Nie żeby w ogóle nie było go słychać. Trzyma się przy drzwiach jako anonimowa obecność, coś słyszalnego, może po prostu napięcie bijące od człowieka, który stoi na podłodze pokrytej warstwą linoleum, albo jakiś ton emanujący z jego ciała, jakieś sprężenie, które oznajmia, że wrócił do domu.

Cotter siedzi na dolnej pryczy i czeka. Ojciec przechodzi przez kuchnię i staje w drzwiach: Manx Martin, robotnik. Najmuje się do przeprowadzek, kiedy uda mu się znaleźć robotę, a jak nie, to chleje whisky. Patrzy na syna i bez sensu kiwa głową. Stoi i kiwa głową, ale to pusty gest, znaczy chyba: „Aha, tak, to ty”, jeśli w ogóle cokolwiek znaczy. A potem ojciec wchodzi do pokoju i siada na wolnym łóżku, na połówce. Obaj słuchają, jak woda wali w ścianki kabiny.

- Jedliście kolację?
- Klops.
- A dla mnie zostało?
- Nie wiem.
 - Jak to nie wiesz? Wcześniej wstałeś od stołu? Miałeś pilne spotkanie na mieście?

Cotter widzi, że ojciec żartuje. Mężczyzna mruży oczy, a na usta wypęła mu ten jego uśmiech jak kreska narysowana ołówkiem. Manx Martin ma wydatne kości policzkowe, a same policzki we wklęsłościach trochę dziobate, szorstkie, do tego wąski wąsik podgolony wysoko nad wargą, pedantycznie zadbane. Rozgląda się po pokoju. Badawczo. Widać uznał, że pora sprawdzić, w jakim otoczeniu wychowali się jego synowie. Jest średniego wzrostu, z dosyć muskularną klatką piersiową, z nieco pałkowatymi nogami, a Cotter nigdy by nie pomyślał, że jego stary da radę taszczyć po piętrach ciężkie meble. Ale nieraz widywał, jak Manx Martin wnosi je i znosi, dorównując znacznie potężniejszym mężczyznom.

- Która to tak się chlapie?
- Rosie.
- Jakby burza się zerwała.
- Tak samo jak odrabia lekcje. Niczego nie przegapi.

- Jak raz coś zaczniesz, to i skończysz.

Cotter napawa to jakimś skrytym niepokojem, że tak siedzi z ojcem i rozmawia z nim o Rosie, kiedy obaj słyszą, jak dziewczyna bierze prysznic. Nagle woda przestaje płynąć.

- No bo muszę się odlać, kapewu?
- Dozorca ma z tobą do pogadania.
- To pies, nie zwracaj nim sobie głowy.
- Jakim cudem nas zna, przecież dopiero co nastał?
 - Może jesteśmy sławni, ty i ja. Widać krążą plotki, że ci dwaj to cholerni twardziele.

Chłopiec trochę się odpręża. Myśli, że może w końcu nie będzie tak źle. Stary jest, jak to mówią, pod wpływem, a zresztą Cotter potrafi wydebić od ojca coś, czego nigdy nie da mu matka.

- Rosie, córeńko! - wola Manx. - Tatuś potrzebuje skorzystać.

Słyszą kilka stłumionych słów, po czym Rosie przechodzi bosą przez korytarz, owinięta ręcznikiem, a Manx wstaje, podciąga spodnie, cmoka i wychodzi z pokoju.

Cotter myśli bezwiednie, bez żadnych wstępów - widzi, jak Bill Waterson stoi na Ósmej Alei ze zwiniętą w kłębek marynarką w ręku. Chłopiec sięga po piłkę, patrzy na nią i z powrotem ją odkłada. Jego ojciec sika isticie po królewsku. Z łazienki przeważnie słychać tylko prysznic i różne bulgoty z rur, ale tym razem ojciec ustanawia rekord wszech czasów w sikaniu. Cotter szybko zaczyna śmieszyć to, że stary sika tak długo i potężnie, więc chłopcu robi się żal, że braci nie ma w domu, bo mogliby wszyscy razem się cudować.

Manx wraca do pokoju i siada. Wciąż ma na sobie kurtkę, sztruksową wiatrówkę po Randallu, skoro już mowa o braciach.

- No. Trochę nam ulżyło.
- Napisałbyś list? - pyta Cotter. - Potrzebne mi usprawiedliwienie.
- Tak? Że niby co?
- Że opuściłem jeden dzień z powodu choroby.
- Szanowny panie taki a taki.
- Zgadza się. Dobry początek.
 - Proszę usprawiedliwić mojego syna. -
Właśnie tak.
- Dlatego, bo był chory.
- Napisz, że miałem gorączkę.

- Do ilu ci skoczył termometr?
 - Trzydzieści osiem powinno starczyć.
 - Nie bądźmy za skromni. Jak już, to na całego.
 - Dobra. Bo miał czterdzieści stopni gorączki.
 - Na moje oko nic ci nie jest.
 - Dziękuję, szybko wracam do zdrowia.
 - Ale co masz na swetrze?
 - A bo ja wiem? Rzepy.
 - Rzepy. Przecież jesteśmy w Harleemie. Co **za rzepy?**
 - Nie wiem. Gdzieś po drodze się przyczepiły.
 - A jaką to drogą szedłeś, żeś nie był w szkole?
 - Poszedłem na mecz.
 - Na mecz. .
 - Na Polo Grounds. Dzisiaj.
 - Byłeś na tym meczu? - dziwi się Manx. - Tym, co narobił w mieście tyle szumu?
 - To jeszcze nic. Mało, że byłem. Mam nawet tę piłkę, co w nią walnął.
 - Niemożliwe. Jaką piłkę?
 - Tę od homera, którym Giantsi wygrali proporzec. - Cotter mówi to półgłosem, z lekkim ociąganiem, bo te słowa brzmią tak zaskakująco i jego samego ogarnia nabożne zdumienie, że oto po raz pierwszy je wypowiedział.
 - Niemożliwe.
 - Dogoniłem ją i złapałem.
 - Kłamiesz w oczy - mówi Manx.
 - Nic nie kłamię. Mam tę piłkę. Tu, w pokoju.
 - Wiesz, ktoś ty za jeden? - pyta Manx. Cotter sięga po piłkę.
 - Ścichapek, ale cicha woda brzegi rwie.
- Cotter patrzy na ojca. Siedzi na dolnej pryczy, plecami do ściany, i przygląda się mężczyźnie siedzącemu na łóżku naprzeciw niego. Po chwili bierze do ręki piłkę, która leży na kocu koloru khaki, w dołku przy udzie. Podnosi ją demonstracyjnie i obraca na czubkach palców. Podnosi ją wysoko czubkami palców prawej dłoni, a drugą ręką obraca. Na luzie. Popisuje się, chwali się piłką. Czuje, jak budzi się w nim gniew i tupet, aż zmienia się na twarzy.
- Mówisz prawdę?

Cotter odstawia mały cyrk, piłka skacze mu w dłoni, niby że z nadzwyczajną magiczną, żeby dało się ją unieruchomić: dostaje przez nią Parkinsona i wytrzeszczu. Bezcelnie świruje, patrząc staremu w oczy.

- Hej! Czy aby mówisz tacie prawdę?
- Niby po co miałbym ściemniać?
- Fakt. Po co miałbyś ściemniać? Widać nie ściemniasz.
- Nie mam po co.
 - Niech będzie. Nie masz po co. Rozumiem. Komu jeszcze powiedziałeś?
- Nikomu.
- Nie powiedziałeś matce?
- Kazałaby mi oddać.

Manx wybucha śmiechem. Kładzie dłonie na kolanach, spogląda na Cottera i aż się zatacza ze śmiechu.

- Jasne jak cholera! Sama by cię odprowadziła na stadion, żebyś oddał.

Cotter nie chce znowu rozwijać tego wątku. Wie, że najgorsza pułapka na świecie to stanąć po stronie ojca przeciw matce. I tak musi być nieustannie ostrożny, ważyć każde słowo i każdy krok, ale podstawowa zasada ostrożności nakazuje trzymać z matką. Bo inaczej będzie po nim.

- Fajnie. No to co robimy? Moglibyśmy pójść rano na stadion i pokazać piłkę. Wzięlibyśmy ze sobą twój przedarty bilet jako dowód, że naprawdę byłeś na meczu i siedziałeś akurat w tym sektorze. Ale o kogo się spytamy? Którymi drzwiami wejdziesz my? Zgłosi się pewnie z siedemnaście osób, każda ze swoją piłką, i wszyscy będą mówić: to moja jest ta prawdziwa, a właściwie moja, moja, moja.

Cotter słucha, co mówi ojciec.

- Kto znajdzie dla nas czas? Zobaczą dwóch czarnuchów, co przyszli znikąd. Uwierzą, że z całego tłumu na stadionie akurat jakiś czarny chłopak dorwał piłkę? - Manx milknie na chwilę; może chce wsłuchać się w pomysł, który rodzi mu się w głowie. - Chyba musimy napisać list. Tak. Napiszemy ci usprawiedliwienie, że nie byłeś w szkole, a potem list w twoim i moim imieniu i wyślemy go do klubu.

Cotter słucha. Patrzy, jak ojciec pograża się w skrytych myślach, w troskach i knowaniach.

- A co napiszemy w tym liście?
 - Wyślemy poleconym. Żeby poważniej wyglądało. Załączmy połówkę twojego biletu.
- A co napiszemy?
 - Że piłka jest na sprzedaż. Niby co innego mielibyśmy napisać?

Cotter najchętniej by wstał i wyjrzał przez okno. Czuje się osaczony, wolałby być sam i nic nie robić, tylko wyglądać przez okno na ulicę.

- Nie chcę jej sprzedać. Chcę ją mieć.

Manx przechyla głowę na bok i badawczo przygląda się chłopcu. Musi się oswoić z tą nową myślą: że piłka ma leżeć w domu, kurzyć" się i nabierać charakteru.

- Mieć? A po co? - pyta cicho. - Sprzedamy ją, kupimy ci wełniany sweter i wyrzucimy tę Włosienicę, którą masz na sobie. Wyglądasz, jakbyś mieszkał na drzewie. Kupimy to i owo twojej matce i siostrze. Tylko wariat pozwoliliby, żeby takie coś ponie wierało się bez pożytku, bez korzyści. - Mówi rozsądnym, prze myślanym tonem, jakby pouczał pojętnego syna: musimy być odpowiedzialni wobec rodziny, nie ulegać próżnej pokusie pa miątek i suwenirów. - Kupimy matce palto na zimę. Zima blisko, matce przyda się ciepłe palto.

Cotter chce się zachować jak mężczyzna, stanąć na wysokości zadania.

- Jaką sumę możemy dostać?
 - Nie wiem. Mówię ci po prostu i zwyczajnie, że nie wiem. Ale oni na pewno chcą mieć tę piłkę. Wystawią ją w jakiejś gablocie. List musimy chyba nadać poleconym. I dołączyć połówkę twojego biletu. Ten, jak mu tam, kupon kontrolny.
- Kiedy ja go nie mam.
 - Ojciec robi zdumioną, zranioną minę, jakby poczuł się do głębi urażony.
- Co ty chcesz mi zrobić?
- Nigdy nie miałem żadnego kuponu.
- Dlaczego?
- Bo nie kupiłem biletu. Przeskoczyłem **przez bramkę**.
- Co ty mi robisz, synu?
- Nie miałem forsy. Więc przeskoczyłem przez bramkę. Jak-

bym miał forszę, tobym kupił. Nie ma forsy, nie ma biletu -dodaje bezradnie.

W oczach ojca pojawia się ten rozbiegany wyraz. Cotter widzi, że mężczyzna wpada w popłoch, czuje się głęboko winny, bo syn wspomniał o pieniądzach, poruszył odwieczny temat płótna w kieszeni. Ojciec się oddala, wędruje spojrzeniem do wewnątrz, uciekając z przestrzeni, którą dopiero co stworzył dla siebie i syna, ucieka ze strefy odpowiedzialności. Jest to straszliwa chwila, jedna z tych, kiedy Cotter zdaje sobie sprawę, że zwyciężył w walce, o której nawet nie wiedział, że ją toczy. Pokonał ojca, zmusił go do uległości, do okropnego odwrotu.

- A zresztą na bilecie i tak nie pisze, który sektor - mówią -chyba że masz zarezerwowane miejsce albo fotel w łozy. Więc bilet nic by tu nie dał. Ludzie zbierają bilety z ulicy.
- Prześpijmy się z tym - radzi ojciec. - Co ty na to? -Z ponurą miną dźwiga się na nogi. - Dzisiaj już i tak nic nie zdziałamy, więc chodźmy trochę pospać.

Cotter nie wspomina o usprawiedliwieniu, które ojciec miał mu napisać. Może do rana wszystko się ułoży. I może ojcu odechce się sprzedawać piłkę. Albo zapomni o całej historii. Cotter wie, że jeśli zdoła odwlec sprawę o dzień czy półtora, ojciec zupełnie o niej zapomni. Jest to jedna z rzeczy, na które liczą wszyscy u nich w domu, chociaż nikt o tym nie mówi: siadają i czekają, aż ojciec zapomni.

Cotter staje w oknie i wygląda na ulicę. W szkole czasem zwracają mu uwagę, żeby przestał patrzeć w okno. Ten czy tamten nauczyciel. Nie tam jest rozwiązanie - mówią. A on zawsze ma ochotę odpowiedzieć, że owszem, właśnie tam. Jedni wyglądają przez okno, inni jedzą książki.

Rozbiera się i kładzie do łóżka. Sypia w majtkach i w koszulce polo. Wchodzi matka i mówi dobranoc. No i fajnie, byle tylko nie spytała, o czym rozmawiał z ojcem. To kolejna pułapka, która zniecka się otwiera. Matka mówi mu, że musi wstać wcześniej niż zwykle i lecieć do roboty, kawał drogi metrem aż na Dwudziestą Pierwszą Ulicę, bo jest szwaczką na hałaśliwym poddaszu, gdzie wirują wentylatory na wysokich stojakach - zeszłego lata Cotter pracował tam co tydzień cztery godziny, zmiatał ścinki z podłogi, wtaczał i wytaczał tekturowe bębny, a kobiety żartowały i przekomarzały się z nim, było ich

ze czterdzieści albo i pięćdziesiąt, czasem zaczepiały go bardzo wprost.

- Rosie cię obudzi.
- Obejdę się bez pomocy - odpowiada Cotter.
 - Jeżeli komuś na świecie potrzebna jest pomoc **przy** wstawaniu, to właśnie tobie.
- Kiedy ona zawsze rzuca we mnie rzeczami.
- To je łap i też w nią rzucaj.
 - Ale wtedy nigdy bym się nie ubrał, bo ona rzuca we mnie moimi ciuchami.

Matka pochyla się, wsuwając głowę pod górną pryczę, i całuje chłopca, po raz pierwszy od dawna, a potem szorstko czochra mu włosy, trochę jakby szturchała go knykciami, i ścisza palcami policzki, że aż boli, łapie pełną garść ciała i skręca, a chłopiec słyszy z korytarza kroki ojca zmierzające do kuchni i ma nadzieję, że stary nie zauważył tego cholernego całowania.

W ciemnościach myśli o meczu. Mecz nadciąga i przelewa się nad nim wielką, ciepłą falą sytego snu. Mecz był przegrany, a potem jednak wygrali. Był nie do wygrania, ale go jednak wygrali i już jest wygrany na zawsze. Czego jak czego, ale tego nikt mu nigdy nie odbierze. Właśnie o tym chłopiec pomyśli z samego rana i jakąś część siebie jest już tam, rano, i chociaż dopiero zasypia, to jakaś jego część już się budzi, żeby myśleć o meczu.

Manx Martin stoi przed lodówką. Patrzy na klops. Zostawiła mu na talerzu kawałek klopsa, który wygląda teraz jak ostatni posiłek Więźnia X. Manx wyjmuje talerz z lodówki, siada przy stole i pomału je. W głowie kłębią mu się najrozmaitsze myśli. Widzi przed sobą jedzenie i co chwila musi sobie przypominać, do czego ono służy.

Wreszcie kończy i wstawia talerz do zlewu, a po namyśle postanawia umyć go i wytrzeć, pedantycznie, sztucznie też. Wie, że powinien naprawić cieknący kran, ale można to zostawić na jakiś dzień, kiedy znajdzie się chwilka czasu. Odstawia talerz do kredensu, bezszelestnie.

Wchodzi Ivie, ale na niego nie patrzy. Nie patrzy na niego tak umiejętnie, że aż powinna się tym zająć nauka. Takiej już nabrała wprawy: omiata wzrokiem całą kuchnię, ale Manxa

w ogóle nie dostrzega - nauka powinna zbadać ten jej talent dla potrzeb wojska.

- Gadałeś z nim - mówi Ivie.
- A co to kogo obchodzi?
- Po co? - pyta kobieta.
- A weź ty się odczep.
- Strasznie długo gadaliście - ciągnie ona.
- To mój syn. Co kogo obchodzi?
 - Zostaw go w spokoju. Mnie akurat obchodzi - mówi Ivie.
 - On tego właśnie chce. Żebyś go zostawił w spokoju, dał mu dorastać bez twoich rad. Tylko że nigdy ci tego nie powie.
- Niech sam od niego usłyszę.
- Słyszysz ode mnie - ona na to.

Krząta się po kuchni.

- Wychodzę wcześniej rano - mówi. - Jest pilne zamówienie, płacą półtora raza tyle.

Manx słyszy, że w ich sypialni cichutko gra radio.

- Więc cię lojalnie uprzedzam. Budzik zadzwoni dobrze przed szóstą.

Manx spogląda na zegarek, który i tak nie chodzi, ale co to zresztą za różnica.

- Przed szóstą - powtarza tonem oderwanym od rzeczywistości.

Ivie jest w szlafroku i w kapciach, chodzi i mówi jak przez sen, nie zaszczycając męża choćby przelotnym spojrzeniem. Ale wcale nie jest oderwana od rzeczywistości. W przeciwieństwie do Manxa. Bo Manx chce się tylko wymknąć temu całemu cholerstwu, porannemu chładowi, pracującej żonie, ostremu dźwiękowi budzika, który już teraz, nim Manx zdążył zasnąć, szykuje się, żeby wtargnąć w jego wąty sen.

Ivie znajduje proszki, których szukała, i wraca korytarzem do sypialni. Manx stoi i czeka. Gasi górne światło i dalej stoi w słabym blasku lampki padającym z kąta kuchni.

Stoi tak kwadrans. Jakby przez całe życie przemyślał nad pewną sprawą, rozplątywał jej mentalne powikłania.

No dobra. Rusza do pokoju Cottera i staje na progu. Zagląda, oswajając się z ciemnością. Chłopak śpi jak zabity. Manx wchodzi i prawie od razu spostrzega piłkę, która leży na wierzchu, na wolnym łóżku. Ilekroć Manx widzi coś takiego, szlag go

trafia. Zdobywają coś cennego, a potem nawet się nie pofatygują, żeby zdobyte schować. Liczą, że wróżki będą strzec ich skarbów. Ile razy im mówił? Pilnuj tego co twoje. Bo świat się zmienia i trzeba stale mieć się na baczności.

Usiłuje sobie przypomnieć, który syn sypiał w którym łóżku, kiedy Cotter był mały i leżał na górnej pryczy. Cholernie szybko przyszli i poszli.

Stoi w ciemnym pokoju. Bije się z myślami, powinien czy nie powinien. Ale w końcu ją bierze. Piłkę. Zanim jeszcze rozstrzygnął dylemat. Bierze ją właśnie po to, żeby go rozstrzygnąć. Bierze piłkę i cicho idzie przez kuchnię do drzwi. Piłka z miłą łatwością mieści się w obszernej kieszeni kurtki, wiatrówki po najstarszym synu. Manx otwiera drzwi, krzywiąc się, żeby mniej skrzypiały. Warto by naoliwić zawiasy, kiedy w głowie się przejaśni i znajdzie się chwilka czasu. Delikatnie zamyka za sobą i schodzi na dół, a potem na schodkach przed domem zastanawia się przez moment, jak to się stało, że synowie nie donaszają po nim kurtek, tylko on po nich.

Spogląda w prawo i w lewo, bo zawsze tak robi, i schodzi na ulicę.

Elegia na lewą rękę solo

POŁOWA LAT OSIEMDZIESIĄTYCH
-WCZESNE DZIEWIĘĆDZIESIĄTE

1

Na ekranie widzisz mężczyznę prowadzącego samochód. Jest to prosty film wideo, nakręcony na użytek rodziny. Widzisz mężczyznę za kierownicą średniego dodge'a.

To tylko dziewczynka przez tylną szybę samochodu rodziców celuje kamerą w przednią szybę auta, które jedzie z tyłu.

Wiesz, jak to jest z rodzinami i z ich kamerami wideo. Wiesz, jak dzieci pochłania kręcenie filmów, jak kamera uzmysławia im, że każdy temat może być naładowany znaczeniem, uwidacznia im milion spraw, których nigdy nie dostrzegają gołym okiem. Zgłębiają sens nieruchomych przedmiotów i bezmyślnych zwierzków, dziurawią warstwę rodzinnej dyskrecji. Uczą się widzieć wszystko dwukrotnie.

Tym razem dyskrecja chroni tożsamość samej dziewczynki. Mała ma dwanaście lat, a jej nazwiska nie podano do wiadomości, chociaż nie jest ofiarą ani sprawczynią, tylko narzędziem zapisu zbrodni.

Widzisz mężczyznę w sportowej koszuli za kierownicą auta. Nic więcej. Auto na chwilę się przybliża, a potem znów odpada.

Wiesz, jak dzieci z kamerami uczą się wykorzystywać te nagie momenty, które definiują rodzinne grono. Taki dzieciak zdradzi każdego, kto mu zaufa, wyszpiguje bezbronną przestrzeń, przyłapie mamę, gdy ta w niezgrabnym szlafroku, w turbanie z ręcznika wychodzi z łazienki, jakby bezkrwista i oskubana. To nie żarty. Pstrykną cię na kłopot, jeśli tylko uda im się ustawić pod dogodnym kątem.

Cechą tego filmu jest roztrzęsiona monotonia, typowa dla

takich domowych wypieków. Oczywiście mężczyzna na ekranie nie należy do rodziny: to nieznajomy kierowca, przypadkowy statysta, który czystym trafem wybrał ten sam pas dla powolnych pojazdów.

Widzisz mężczyznę po czterdziestce, w jasnej koszuli rozpiętej pod szyją; obraz kąpie się w refleksach, w odbłaskach słońca, i często drga.

Nie jest to ot, takie sobie tuzinkowe morderstwo, uchwycone na wideo. Jest to morderstwo sfilmowane ręką dziecka, które sądziło, że robi coś prostego i może nawet trochę sprytnego, filmując tego kierowcę.

Kierowca spostrzega dziewczynkę i pozdrawia ją krótkim machnięciem ręki, ruchem dłoni, której ani na chwilę nie odrywa od kierownicy: ta powściągliwa reakcja zjednuje mu sympatię widza.

Taśma nieubłaganie się przewija. Jest w niej pozbawiona dążeń wytrwałość, upór niezależny od tematu. Amatorski film odsłania przed tobą swoją jaźń. Niewinną, pozbawioną dążeń, upartą, rzeczywistą.

Pasek łysiny biegnie środkiem głowy tego miłego faceta po czterdziestce, którego całe życie zdaje się stać otworem przed ręczną kamerą.

Jest też jednak w tym wszystkim element oczekiwania. Wciąż patrzysz, wcale nie dlatego, że coś ma się stać i ty o tym wiesz -to znaczy owszem, wiesz, że coś się stanie, i właśnie dlatego patrzysz, ale może tak samo byś patrzył, gdybyś oglądał tę sekwencję pierwszy raz, nie znając pointy. Działa tu jakaś prymitywna siła. Wciąż patrzysz, bo wszystko razem przykuwa twoją uwagę: przypadkowość, amatorszczyzna, losowość i to, że najwyraźniej coś wisi w powietrzu. Film ani cię nudzi, ani zajmuje: jest prymitywny, bezpardonowy, nieubłagany. To właśnie ta roztrzęsiona część twojego umysłu, to właśnie ten film, który nieustannie wyświetla ci się w twoim hotelowym mózgu, pod warstwą wszystkich świadomych myśli.

Świat czał się w kamerze, zawczasu skadrowany, aż podejdzie jakiś chłopczyk albo dziewczynka i weźmie ją do ręki, nauczy się obsługi i pstryknie starego dziadka, który przy śniadaniu dostał wylewu i teraz siedzi z rozdziawionymi nozdrzami, po dziecinnemu ściskając w bladej pięści łyżkę do zupki mlecznej.

Na ekranie widać samotnego mężczyznę za kierownicą średniego dodge'a. Film przewija się bez końca.

Ma w sobie coś szczególnego: w ziarnie obrazu, w trzeszczących odcieniach czerni i bieli, w całej jego nagości jest coś takiego, że wydaje ci się bardziej rzeczywisty, bliższy życiu niż wszystko wokół ciebie. To, co cię otacza, wygląda jak inscenizacja, nawarstwiona i wymuskana. A film jest wręcz superrealny, chociaż może raczej należałoby powiedzieć:urrealny. Ukazuje to, co znalazłbyś na dnie rzeczywistości, gdybyś wyskrobał wszystkie warstwy, które do niej dodałeś. I między innymi właśnie dlatego nie przestajesz go oglądać. Ta sekwencja jest porażająco rzeczywista.

Na ekranie mężczyzna pozdrawia dziewczynkę krótkim gestem ręki, sztywnej dłoni, jakby machnął chorągiewką na poboczu toru.

Wiesz, jakie gry aranżuje się w życiu rodzinnym. To po prostu jedna z wielu takich gier, a dziewczynka sama na bieżąco ustala reguły. Podoba jej się ten pomysł: sfilmować mężczyznę jadącego autem. Robi to pewnie pierwszy raz i nie widzi powodu, żeby zmienić format, przerwać ujęcie albo skierować kamerę na inny samochód. Jest to jej własna gra, więc mała uczy się reguł, jednocześnie grając. Trochę sobie przy tym uświadamia własny spryt i pomysłowość, a może i nieco wścibstwa, tę odrobinę tupetu, która każdej zabawie dodaje pikanterii.

A ty wciąż patrzysz. Patrzysz, bo ten film ma to do siebie, że wytycza ścieżkę w czasie, nadając wszystkiemu kształt i określając przeznaczenie.

Oczywiście, gdyby skierowała kamerę na inne auto, na odpowiednie auto w dokładnie utrafionym momencie, uchwyciłaby zabójcę w chwili oddawania strzału.

Przypadkowość tego spotkania. Ofiara, morderca i dziecko z kamerą. Losowe energie zmierzające do wspólnego punktu. Jest w tym coś, co bezpośrednio do ciebie przemawia, oznajmiając straszliwe prawdy o siłach pozostających poza twoją kontrolą, o liniach przecięć, które tną w poprzek historię, logikę i wszelkie rozsądne warstwy ludzkich oczekiwań.

Wplątała się w to. Dziewczynka o czystych oczętach przez pomyłkę wdepnęła w koszmar. Jest to bajka dla dzieci o tym, że lepiej zanadto nie oddalać się od domu. Ale instrumentem,

który służy zaspokojeniu ciekawości dziewczynki, jej docieklivości, wcale nie jest auto rodziców. To kamera wciąga ją w tę opowieść.

Wiesz, jak to bywa ze świętami i uroczystościami rodzinnymi: nagle pojawia się ktoś z kamerą, a wszyscy krewni stoją sobie i prawie nie reagują, z przyzwyczajenia zobojętniali na to, że ich się filmuje, przewija i wyświetla na wideo przy kawie i ciście.

Wkrótce potem dostaje kulę. Jeśli widziałeś tę sekwencję wiele razy, umiesz poznać po tym jego machnięciu ręką, kiedy dokładnie oberwie. Naturalnie czekasz na tę chwilę. Mówisz do żony, jeśli akurat jesteś w domu i ona też tam jest: „O, zaraz oberwie”. Mówisz: „Chodź szybko, Janet, to już zaraz”.

O, właśnie obrywa. Widzisz, jak coś nim targa, jakby poraził go prąd - facet sztywnieje i pada na drzwiczki, a może raczej przechyła się albo osuwa. Widok okropny, a zarazem błahy. Samochód wciąż jedzie tym samym pasem dla powolnych. Lekko się przybliży i znów oddała.

Zwykle nie wołasz żony do telewizora. Każde z was ma swoje ulubione programy. Ale tym razem sprawa nagli. Chcesz, żeby żona obejrzała tę scenę. Film trwa już od Bóg wie kiedy i zaraz stanie się wreszcie to, o co chodzi, więc chcesz, żeby zobaczyła, jak faceta zabiją.

No właśnie. Dostaje kulę prosto w głowę, kamera reaguje, a raczej dziecko reaguje - całym obrazem aż wstrząsa, ale dziewczynka dalej kręci, następuje reakcja współczulna, reakcja układu nerwowego, serce dziewczynki zaczyna szybciej bić, ale mała wciąż celuje kamerą w obiekt, który osuwa się na drzwiczki, a ty, widząc jego śmierć, myślisz jednak o dziewczynce. W pewnym sensie musi być w tym wszystkim obecna, patrzy na to samo co ty, nie przygotowana - ogląda tę scenę beznamiętnie, a ty nie możesz się nie zdumiewać, że dalej naciska spust kamery.

Na ekranie dzieje się coś okropnego, bez ozdobników. Chcesz, żeby żona zobaczyła tę scenę, bo tym razem to autentyk, nie jakaś tam wydumana przemoc z filmów, tylko prawda spod warstw kosmetycznej percepcji. „Pospiesz się, Janet, już się zaczyna. On tak szybko umiera”. Brak jakichkolwiek ozdobników. Żadnych osłonek. Masz ochotę powiedzieć żonie, że to się

dzieje prawdziwiej niż naprawdę, ale ona zaraz spyta, co to znaczy.

Reakcja kamery na strzał - raptowny podryg, który wprowadza w kadr litość i trwożę, szok dziewczynki, jej utożsamienie z ofiarą.

Nie widzisz krwi, która pewnie cieknie mu zza ucha i spływa po karku. On leży z głową opartą o drzwi, z wykręconą szyją, tak że widać tylko półprofil i w dodatku nie ten, co trzeba -nie od tej strony, w którą dostał kulę.

A może jesteś wobec żony trochę agresywny, może właściwie ją zmuszasz do oglądania tej sceny. Czemu? Co chcesz jej przez to powiedzieć? Czy składasz w ten sposób jakąś drobną deklarację? Na przykład: popsuję ci cały dzień, z czystej złośliwości. A może wielką deklarację? Na przykład: oto ryzyko istnienia. Tak czy owak wmuszasz jej ten film i sam nawet nie wiesz dlaczego.

Widać, jak samochód znosi w stronę bariery, a potem obrazem zaczyna trząść, migają dwa inne pasy jezdni i fragment jakiegoś innego auta, na ułamek sekundy wszystko mętnieje i taśma się kończy, bo albo dziewczynka przestała kręcić, albo ktoś z najwyższych władz, policja, prokuratura okręgowa czy stacja telewizyjna uznała, że nie masz tam już nic więcej do oglądania.

To już dziesiąte lub jedenaste zabójstwo Mordercy z Teksaskich Szos. Liczba jest niepewna, bo policja podejrzewa, że jedno mógł popełnić jakiś naśladowca.

Istnieje zresztą pewien związek między taśmą wideo a tym akurat typem seryjnych zbrodni, prawda? Wręcz celem takiego morderstwa jest to, żeby je przypadkiem sfilmowano i natychmiast wyświetlono. A ty siedzisz i zastanawiasz się, czy tego rodzaju zbrodniczych czynów nie zaczęto popełniać z większą łatwością, gdy upowszechniły się przyrządy umożliwiające rejestrację zdarzenia i natychmiastowy pokaz zapisu, bez neutralnej pauzy, bez przestrzeni i czasu, które stanowiłyby swoistą przeciwwagę. Rejestracja i odtworzenie intensyfikuje i kondensuje zarejestrowany czyn. Aż kusi, żeby znów go popełnić. A ty siedzisz i myślisz, że oto seryjne morderstwo znalazło swoje medium, a może na odwrót - że powstała technologia, która podąża jak cień śladem morderstwa, fenomen kondensa-

cji czasu i powtarzalnych obrazów, nieozdobnych, rażących i nijakich.

W sumie bardzo niewiele widać. Morderstwo to stało się sławne, ponieważ uwieczniono je na taśmie, ponieważ morderca popełnił je wielokrotnie, ponieważ zbrodnię zarejestrowało dziecko. Tak więc dziecko uwikłane jest w tę aferę, Mała z Kameralą, jak ją czasem nazywają, no bo jakoś przecież trzeba ją nazwać. Ten film stał się sławny, a wraz z nim i ona. Jest sławna w tym nowoczesnym stylu, którego strategia wymaga, żeby przemilczać nazwisko sławnej osoby. Tacy ludzie są sławni bez nazwisk i twarzy, duchy żyjące niezależnie od swoich ciał, ofiary i świadkowie, nieletni przestępcy, gdzieś tam, hen, na krańcach percepcji.

Widzieć kogoś w chwili śmierci, nagłej i niespodziewanej. Już samo to wystarcza, żeby nie móc się oderwać od ekranu. Ogromnie pouczające jest obserwowanie, jak człowiek w słoneczny dzień jedzie szosą i trafia go zabójcza kula. Widać tu tę elementarną prawdę, że każdy oddech może zakończyć się dwojako. I jeszcze jedno. Pobrzmiewa w tym wszystkim pewien żart, nuta okrutnej burleski, którą chętnie się delektujesz, chociaż z lekkim poczuciem winy. Może ofiara jest oferumą, frajerem z niemego kina, klasycznym pechowcem. W pewnym sensie ma za swoje, skoro dał się przyłapać kamerze. Bo kiedy taśma zacznie się przewijać, możliwe jest już tylko jedno zakończenie. Wymaga tego kontekst.

I niech ci Janet nie pieprzy, że pokazują ten film na okrągło, tysiąc razy dziennie. Pokazują go, bo istnieje, bo muszą go pokazywać, bo na tym właśnie polega ich rola, że mają nas zabawiać.

Im dłużej oglądasz tę sekwencję, tym bardziej jest trupia, zimna i nieubłagana. Wysysa ci powietrze z piersi, ale oglądasz ją przy każdej sposobności.

2

Marian Shay jechała służbowo do Prescott i przez całe dwie godziny pozwoliła sobie na jednego papierosa, a i to dopiero piętnaście kilometrów od celu, kiedy zaczęły się mnożyć przy-

czepy mieszkalne i jaskrawe szyldy barów szybkiej obsługi, więc była z siebie bardzo zadowolona, że jest taka opanowana, zdyscyplinowana i z gruntu porządna.

Na placu przed sądem coś się działo. Zaparkowała o jedną przecznicę dalej i pieszo wróciła na plac. Był to jeden z tych dni wśród wysokich sosen, kiedy słońce i słodki wiatr włąza człowieka w bieliznę. Na ulicy zamkniętej dla ruchu stały auta, cztery rzędy rasowych starych maszyn wzdłuż dwóch kwartałów domów przy brzegu placu, a głośniki na trawniku grały ugrzeczniiony rock and roli.

Miała wolny kwadrans, więc przeszła się wśród samochodów; maski wielu z nich podniesiono, żeby ufetować koneserów. Było jeszcze wcześniej, dochodziła jedenasta, toteż po placu snuło się zaledwie kilkanaście osób. Zobaczyła rudowłosego mężczyznę, który wydał jej się skądś jakby znajomy, więc popatrzyła, jak facet pochyła się, zaglądając pod maskę, a potem cofa, żeby się przyjrzeć niepowtarzalnemu buickowi z czarno lakierowaną karo-serią.

Stał w pretensjonalnej pozie, wzięwszy się pod biodro w taki sposób, że widać było wnętrze dłoni. Po chwili Marian zdała sobie sprawę, że ten człowiek pracuje razem z Nickiem w firmie Waste Containment i nazywa się, ale to przypomniało jej się dopiero po następnych paru sekundach, otóż nazywa się Brian Glassic, do rymu z *classic*, tak jak klasyczne były te stare auta.

Spostrzegł ją i rozpromienił się jak na widok kogoś znajomego. A potem nadszedł z odległości kilkudziesięciu metrów rozkołysanym krokiem, jakby tańczył wolniuteńskiego, przytula-nego fokstrota z lat pięćdziesiątych.

Po mniej więcej dwóch godzinach zasiedli razem do lunchu w jadalni starego hotelu nieco dalej na tej samej ulicy. W sali było duszno i ciepło, więc Marian przytknęła do twarzy szklankę z wodą i lodem.

- Co panią tu sprowadza? - spytał.
- Staram się o pracę. Jest tu małe biuro projektowe, które restauruje stare budynki. Chcą otworzyć filię w Phoenix. Miałabym ich reprezentować.
- Jak poszło? - spytał.
- Chyba nieźle.
- Pracowała już pani kiedyś w tej branży?

- Niezupełnie. Zanim urodziły się dzieci, współzarządzałam małą agencją handlu nieruchomościami. Odkąd mam dzieci, pracuję dorywczo.
- Własne biuro. To moje marzenie. Wejść niedbałym krokiem, tuż przed lunchem. Jak prywatny detektyw. Skacowany, z twarzą całą w szczecinie. Pobieżnie przejrzeć pocztę. Rzucić ją na biurko.
- A rośnie panu szczecina? - spytała.
- Tak, pręcej czy później. Czemu pani pyta?
 - Sama nie wiem. Myślałam, że może im gładza i jaśniejsza cera.
- Tacy jak ja też się gołą - odparł.
 - Moje biuro raczej nie będzie przypominało prywatnej agencji detektywistycznej.
- Chce pani mieć w nim światło i powietrze.
- Wspaniałe, grube oferty w twardej oprawie.
- Makiety z drzewkami.
- Może.
- I nijakimi ludzikami na chodniku.
- Wielorasowo nijakimi.
- Brawo. Napije się pani?
- Czemu nie? - powiedziała.

Brian zamówił drinki u starego jegomościa, który prawdopodobnie pełnił też obowiązki portiera.
- A pana co tu ściągnęło? - zapytała.
 - Stare auta. Wczoraj wieczorem przeczytałem o tej wystawie i skorciło mnie jak szczeniaka.
- Nie chciał pan z tym zwlekać nawet do weekendu.
- Wtedy będzie tłok. I tak należał mi się wolny dzień.
 - Musiał pan specjalnie czekać na ten lunch. Przepraszam. Myślałam, że jest pan tu służbowo.
 - Jeszcze nie skończyłem z autami. Warto przyjrzeć im się drugi raz. A zresztą czy może być większa przyjemność niż siedzieć tu i czekać, aż ktoś przyniesie nam drinki, wyreguluje klimatyzację i zrobi coś z tapicerką tych ławeczek?
- Czy to od niej tak zalatuje? - spytała.

Oczywiście paliła. Gdy tylko zamówiła drinka, zrozumiała, że rozsypie się cała jej fasada. Bardzo niewiele trzeba było, żeby runęła. Marian czuła, że wypali wszystkie papierosy, które

ma przy sobie, i pójdzie po jeszcze. Parę razy ją rozśmieszył, był zabawny nawet wtedy, kiedy się nie wysilał. Pomyślała, że w dzieciństwie miał pewnie oswojonego królika, ale nie bardzo wiedziała, czemu wydaje jej się to logiczne.

- Pani jest wysoka, prawda?
Spytał podejrzliwie, jakby próbowała zataić swój wzrost.
- Nie wyższa od pana.
- Moja żona jest drobna. Zna ją pani?
- Nie jestem pewna.
- Chce, żebym w przyszłym miesiącu zabrał ją do Nowego Jorku. Jadę tam na konsultację z inżynierami od zwałowiska śmieci Fresh Kills. To taki King Kong wśród amerykańskich śmietnisk.
- Czy Nick lubi tę pracę?
- Mnie pani pyta?
- Owszem, pana.
- Chyba bardziej niż ja. Chyba widzi ją w czystszych kategoriach. Przez pryzmat koncepcji i zasad. Taki już jest: pochłonięty techniką, logiką, estetyką. Natomiast ja, z moją ciasną anglosaską umysłowością.
- Wprowadzacie się do nowego biurowca. Może dzięki temu nabierze pan o sobie lepszego mniemania.
- Tak, do wieżowca z brązu. Jak jakaś firma inwestycyjna albo gigant medialny. Oczywiście sam budynek przypomina kształtem zgeometryzowane gówno, ale to nawet pasuje, prawda?

Kelner przyniósł im drinki i potem w prawie pustej sali patrzyli w jadłospis, rozmawiali i patrzyli, właściwie nie patrząc, patrząc i zapominając. Marian poczuła miłe ukąszenie dżinu i nasunęło jej się pytanie, co Brian ma w sobie szczególnego, że tak łatwo z nim się rozmawia. Pomyślała, że on pewnie wiecznie czegoś się boi, ale nie próbuje tego ukrywać przed kobietami, przynajmniej niektórymi, może przed tymi rzadkimi okazami, na które natyka się sto mil od domu, a wtedy aż wyłazi ze skóry, taki chce być szczery i przenikliwie samokrytyczny, chociaż chłopakom tej strony siebie z reguły nie pokazuje.

Więc może po to, żeby mu się odwzajemnić. Bo nie widziała innego wytłumaczenia, czemu opowiedziała mu o psie: widocznie chciała udowodnić, że też potrafi się odsłonić. Wypili jeszcze po jednym i zamówili lunch.

- Pies bez przerwy szczekał i skomlał, nazywał się Dukey, ale dzieci były małe i kochały swojego pieska, a on ujadał, płakał, robił na podłogę, obszczekiwał cudze dzieci, więc sąsiedzi się skarżyli, a ja po kryjomu próbowałam go komuś oddać, ale nikt nie chciał wziąć, no i w końcu, pod wpływem impulsu... to straszne, dlaczego ja panu w ogóle opowiadam tę historię?
- Dlatego, że ona panią prześladowe. I że w moich oczach widzi pani litość.
- Tak, to był rozpaczliwy impuls. Wmówiłam sobie, że pies jest nieszczęśliwy i chory, że cierpi na jakąś nieuleczalną chorobę, więc wyjechałam szosą osiemdziesiąt pięć, tak, chyba tą właśnie, minęłam jakąś tamę i znalazłam się na łysej, kamienistej pustyni, znacznie dalej, niż koniecznie musiałam, ale nie zatrzymałam się, dopiero po dłuższym czasie zahamowałam wreszcie, otworzyłam drzwi i postawiłam Dukeya na ziemi, a potem wróciłam do domu i powiedziałam Lainie: Kochanie, pies uciekł, tak mi przykro. Ale nie poprzestałam na tym. Zupełnie straciłam panowanie nad sobą. Zaczęłam jeździć z nimi po mieście, z obojgiem dzieci, dzień za dniem, wołając przez okna: Dukey, Dukey, i dotąd mnie to prześladowe, jak coś, co tylko mi się przyśniło, i co za ulga, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że w rzeczywistości nie wydarzyło się nic podobnego.
- A potem sobie uświadamia, że owszem, jednak się wydarzyło.

Brian znakomicie się bawił, więc w końcu i Marian zaczęła się bawić tą rozmową, bo w sumie pewnie właśnie o to szło -pomyślała.

- Przez całe długie popołudnia jeździliśmy ulicami, martwy mi, jak to zwykle latem. Do tej pory słyszę ich głosy. Dukey, Dukey. Jedno miało chyba pięć, a drugie trzy lata. Przez okna samochodu wołali swojego pieska.

Była bliska płaczu i śmiechu zarazem, patrząc na gębę Briana, który aż promieniał z uciechy, i czuła całą nędzę i hańbę swojego popisu, kiedy tak paliła przy jedzeniu w pustej sali z nieczynną klimatyzacją.

- Dukey, Dukey - powtórzył Brian.
- Właściwie Duchino. Mały Diuk. Nick wymyślił, żeby go tak nazwać. Wie pan, że on jest w połowie Włochem?
- Nasz Nick? Od kiedy?

- Nie widzi pan tego w jego rysach?
- Słyszę to w tonie, który czasem przybiera.
- W jakim tonie?
- Gangstera miotającego groźby.
- Jakiego gangstera?
 - To tylko taki ton, którym Nick czasem mówi. Fachowo modulowany, stereotypowy, bardzo śmieszny.
 - Skoro już mowa o korzeniach - powiedziała. - Ale nie musi pan odpowiadać, jeśli to zbyt osobiste. Miał pan może kiedyś oswojonego królika?

Świetnie się bawili. Kiedy Brian mówił, łapała się na tym, że przebiera wśród odpowiedzi, szykując jedną po drugiej, a czasem wpadała mu w słowo, bo już nie mogła się powstrzymać, i patrzyła, jak on się rozpromienia. Powiedziała mu, że w szkole grywała w hokeja na trawie i teraz za tym tęskni. Tęskniła za piciem wody z ogrodowego szlauchu. Tęskniła za matką i ojcem, jak nigdy przedtem, bo chociaż matka nie żyła już od dziewięciu, a ojciec od sześciu lat, ich wpływ był teraz silniejszy. Marian tak głęboko czuła obecność rodziców w swoim życiu, że doskonale rozumiała, czemu ludzie widują duchy i rozmawiają ze zmarłymi. Miała w ogrodzie szlauch, ale nie piła z niego i dzieciom też nie pozwalała, na tym właśnie polegała różnica: nie tyle na rzeczach utraconych, ile na wiedzy podszytej podejrzliwością i czujnością. Powiedziała mu, że tęskni za papierosami, chociaż nie udało jej się rzucić.

Kiedy skończyli, weszli po schodach do hallu, ale Marian w wyobraźni poszła dalej na górę, do mrocznego pokoju na końcu długiego, pustego korytarza, i zobaczyła, jak zdejmuje z łóżka narzutę i stojąc nad chłodną pościelą, czeka, aż rozlegnie się pukanie do drzwi. Usłyszeli melancholijne fałsety z głośników na trawniku przed sądem i zeszli na dół, między stare auta, w ciepłe, lecz nie skwarne popołudnie.

Brian wpadł w fizyczną ekstazę na widok chevroleta w kolorze rozwodnionego seledynu, kabrioletu bel air z białą tapi-cerką, rocznik 1957. Rozłożył się na masce i udawał, że liże gorący metal. Marian pomyślała, że mężczyźni w pewnym wieku zamiast fałd tłuszczu na udach dostają właśnie takich napadów. Ale nie mogła nie zachwycić się samochodem: beztroskim, rasowym, wspaniałym na swój sposób; musiała podziwiać jego

chromowy rozmach i tę śmieszoną, rozbrajającą **muzykę, która** obnażała niewinność auta. Brian odkleił się od maski.

- Miał pan kiedyś taki wóz?

- Byłem za młody - odparł. - Ale mój najstarszy brat jeździł przez pewien czas taką maszyną. Bel airem Brendana. Do dziś mówimy o nim w rodzinie z nabożną czcią. Było to szczytowe osiągnięcie mojego brata. Z tym samochodem wiązało się dla niego wszystko, co najważniejsze. Dziewczyny, miłość, osobowość, moc. Bieżąca chwila. O wszystkich tych autach mówiło się, że ich linia wybiega do przodu. Były smukłe jak myśliwce odrzutowe. Ale okazało się, że wybiegać do przodu to nie to samo co wybiegać w przyszłość. Ta ich linia znaczyła: rób teraz, co masz do zrobienia, baw się, ile wlezie, bo nadchodzą lata sześćdziesiąte, lubudu bum bum. Silnik ryczał gardłowo. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że właśnie wtedy zaczął się schyłek świetności Brendana.

Przeszli pod więzami na skraju placu. Samochód Briana stał zaparkowany obok dawnego więzienia miejskiego, w którym mieściła się teraz izba handlowa. Pożegnali się dziwnie uprzejmie. Marian pomyślała, że może z jakiegoś powodu mają nieczyste sumienie i przed podróżą do domu muszą przygotować twarze, wyrzucić z siebie gdzieś po drodze cały zgiełk. Poszła ulicą do swojego auta, czując przy każdym kroku płynną pulsację słońca.

3

Brian jechał prosto na północ, szukając drogowskazu, który wyprowadziłby go na most. W dół rzeki płynął mały tankowiec do przewozu osadów, złowrogi, o niskich burtach. Briana jak zwykle w takich razach ogarnęły złe przeczucia. Nie było rzeczą powszechnie wiadomą, wręcz przeciwnie, tylko wąskie grono wiedziało, że Brian przeżywa katusze, ilekroć przejeżdża przez most - im dłuższy i wyższy, tym silniejsze ogarniało Briana poczucie, że sunie nad zapierającą dech przepaścią. A teraz czekał go przejazd przez jeden z największych mostów, nad szeroką, historyczną wodą. W istocie mosty budziły w nim wraże-

nie, że obraca się jak wstęga Möbiusa, staje się dwuwymiarowy, wymyka mu się własne nazwisko, poczucie przestrzeni, zmysł smaku i weekendy z teściami, aż zawisa, jakby nie narodzony, w abstrakcyjnej otchłani.

I wreszcie ujrzał w oddali tę konstrukcję ze stalowych belek i lin, sięgającą urwisk na przeciwległym brzegu. Jechał dalej, posłuszny drogowskazom, wziął parę zakrętów po ślimakach i ruszył przez most, wybierając górny poziom, bo tak zrobił jadący przed nim długi szary lincoln. Lincolnie i Waszyngtonie, miejcie mnie w swojej opiece. Radio ryczało: słuchacze wydzwanają, zrzęda, biją pianę, z ulicy słychać Armię Zbawienia i rap, aż Brian wyobraził sobie długą kolejkę podziemnych dusz, czekających, kiedy będą mogły wstrzelić się w częstotliwość i nadać swój anonimowy komunikat. Słuchał z uroczystą wdzięcznością. Dobiegający z radia harmider miał taką moc, że zyskiwał wymiar siły życiowej, a niesiony nią chłopak z Ohio mógł przedrzeć się przez swój tłumiony niepokój na drugi brzeg, do New Jersey.

Rozglądał się za Czterdziestą Szóstą Zachodnią. Miał zapisane wskazówki, których tamten udzielił mu przez telefon. Numery szos i nazwy ulic wyrecytował zupełnie automatycznie, więc Brian zrozumiał, że wiele osób musiało widocznie odbyć tę pielgrzymkę na drugą stronę rzeki.

Wszystko miał zanotowane na arkuszu z hotelowej papeterii, który trzymał teraz na sąsiednim siedzeniu, zerkając nań co dziesięć sekund. Przejechawszy półtora kilometra Czterdziestą Szóstą Zachodnią, spostrzegł stację Exxon i przedostał się na Sześćdziesiątą Trzecią Południową, a potem mknął przez sześć kilometrów aż do baru „Point”. Tam wyrwał się z wyjącej rzeki ambitnie rozpędzonych wozów, skręcił w lewo, do dzielnicy domków jednorodzinnych, i nareszcie trochę się odprężył, podjeżdżając do ronda przy Kennedy Drive: jeszcze jeden martwy prezydent.

Przecznicą do starego drewniaka. Drzwi otworzył Marvin Lundy, jegomość zgarbiony, w wystudiowany sposób powłóczyący nogami, dobrze po sześćdziesiątce, ze zgaszonym niedopalkiem cygara w palcach. Brian pomyślał, że gospodarz wygląda jak emerytowany kabarecista, który nie pożyje ani minuty dłużej niż jego ostatni zmonopolizowany dialog. Przeszedł w ślad za

Lundym dwa pokoje pogrążone w akwariowym półmroku. Zeszli do sutereny, przestronnej i starannie wykończonej, w której mieściła się kolekcja baseballowych memorabiliów Marvina Lundy'ego.

- Moja nieboszczka żona podała nam herbatę ze świeżymi racuszkami własnej roboty, a poza tym to bez różnicy.

Pokój wypełniały gustownie rozmieszczone eksponaty. Na ścianach wisiały bawełniane bluzy, czapki z pamiątkowymi znaczkami przypiętymi do daszków, stronicy gazet oprawione w ramki. Brian z uszanowaniem zwiedził to wszystko, uważnie oglądając kije z autografami uszeregowane na ścianach w specjalnie zamówionych stojakach, cały rząd kijów o pięknych słojach, niektóre ze śladami smoły sosnowej na uchwycie. Były tam też ławki z rozmaitych stadionów, opatrzone tabliczkami informacyjnymi niczym rzadkie okazy roślin - Ebbets Field, Shibe Park, Griffith Stadium. O mało nie dotknął starej rękawicy łapacza, która spoczywała na postumencie, cała w żółtych szramach, pokaleczona kolcami, uwędzona na słońcu, patriarchalna, ale zdołał jakoś się powstrzymać. Obejrzał piłki z autografami, przykryte kloszami z pleksiglasu. Pochylił się nad gablotkami, w których leżały kolekcjonerskie karty z paczek po papierosach, połówki biletów, podpisane kontrakty sławnych zawodników, inspirowane baseballiem gry planszowe z dziewiętnastego wieku, papierki od gumy do żucia z różowymi podobiznami graczy z czasów młodości Briana - mężczyzn, których nazwiska unosiły się na falach kolejnych dziesięcioleci niby swoista poezja.

- A te racuszki tobyśmy posmarowali konfiturą z truskawek, taką że daj pan spokój, całe życie od renesansu w górę blednie w porównaniu.

W sumie nic nie budziło większego zdumienia. Wszystko ciekawiło, poniekąd nawet wzruszało, lecz nie było wspaniale ani godne zapamiętania. Jedynym bajkowym akcentem, owocem dziwacznej i niezrównanej zachcianki była duża konstrukcja wzdłuż ściany w głębi pokoju, kopia starej tablicy wyników i fasady pawilonu z Polo Grounds. Wypełniała przestrzeń od podłogi do sufitu, mniej więcej siedem metrów na cztery; był tam znak firmowy i slogan Chesterfielda, zegar Longines, atrapy okien pawilonu z gzymsem i wreszcie ręcznie zmieniana tablica

wyników, a na niej zapis kolejnych zmian ze słynnego finału z tysięcy dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

- Trzeba było jeść je na gorąco. Eleanor pod żadnym pozorem nie pozwalała marudzić, bo na letnio traci się całe przeżycie.

Brian stał przy tablicy wyników, pytając wzrokiem Marviną, czy może dotknąć.

- Nająłem rysownika, stolarza, elektryka i malarza, nie pokojowego, tylko takiego od sztyldów, straszny narwaniec. Pokazałem im zdjęcia, a oni wszystkim sobie wymierzili i naszkicowali, żeby uszanować proporcje i wiernie oddać kolory. Ten znak, że jest trafienie, i „E”, które się zapala przy każdym błędzie. Gdzie pan mieszka?

- W Phoenix.

- Nigdy tam nie byłem.

W suterenie było widniej, więc Brian zauważył, że Marvin Lundy ma zamiast włosów gładko szesaną na czoło kępkę syntetycznego, popielatobrazowego włókna, i natychmiast pomyślał o Las Vegas, o pierścionkach noszonych na małym palcu i o raku prostaty.

- Wychowałem się na Środkowym Zachodzie - powiedział. - Kibicowałem drużynie Cleveland Indians. Wczoraj wieczorem przyleciałem tu służbowo i w samolocie sięgnąłem po czasopismo, w którym był artykuł o panu i pańskiej kolekcji, i nagle poczułem, że koniecznie muszę się z panem spotkać i zobaczyć ten cały zbiór.

Pomacał jedwabną klapę smokingu Babę Rutha.

- Córka namówiła mnie na ten wywiad - rzekł Marvin.

-Uważa, że zamieniam się w tego, jak mu tam.

- Pustelnika.

- Starego pustelnika bez pół żołądka. No i teraz moje zdjęcie siedzi w dwudziestu tysiącach kieszeni za oparciami foteli. Według mojej córki na tym właśnie ma polegać wychodzenie świata naprzeciw i kontakt z ludźmi. Powtykali mnie w fotele razem z torbami na rzygi.

- Pojechałem na wystawę samochodów i niesamowicie ją przeżyłem.

- Co takiego pan tam przeżył?

- Sam nie wiem. To były auta z lat pięćdziesiątych.

- Roztkliwia się pan nad sobą. Wydaje się panu, że coś pan

przegapił, i nawet pan nie wie, co by to miało być. Czuje się pan w swoim życiu samotny. Ma pan posadę, rodzinę i dokładnie sporządzony testament, już teraz, za młodu, bo w sumie chodzi tylko o to, żeby przygotować się na śmierć, umrzeć legalnie, podpisawszy przedtem wszystkie papiery. Zostawić po sobie płynny kapitał, który spadkobiercy natychmiast wymienią na gotówkę. Dawniej miał pan te same wymiary co postrzegalny wszechświat. Dziś jest pan zagubioną drobiną. Patrząc na stare auta, wspomina pan cel, kierunek.

- To groteskowe, prawda? Ale z drugiej strony chyba nieszkodliwe.
- Nic nie jest nieszkodliwe - powiedział Marvin. - Jest pan zatroskany i wystraszony. Widzi pan, że zimna wojna pomału dobiega końca. Przez to aż trudno panu oddychać.

Brian pchnął turnikiet przeniesiony z jakiegoś starego stadionu i przeszedł na drugą stronę. Urządzenie zaskrzypiało jak gdyby z czułością.

- Zimna wojna? - zdziwił się. - Jakoś nie widzę, żeby dobiegała końca. A jeśli jednak, no to świetnie. Cieszyłbym się.
- Pozwoli pan, że wytłumaczę coś, czego może nigdy pan sobie nie uświadomił.

Marvin siedział w fotelu obok starej skrzyni na sprzęt do baseballu, na której widniał napis wykonany przez szablon: „Boston Red Stockings”. Wskazał ręką krzesło po drugiej stronie skrzyni, więc Brian poszedł tam i usiadł.

- Potrzebuje pan, żeby przywódcy obu obozów dalej prowadzili zimną wojnę. To jedyny konstans. Rzetelna sprawa, coś, na czym można polegać. Bo jak się skończy napięcie i rywalizacja, zaczną się pańskie najgorsze koszmary. Z pańskiego osobistego krwiobieg wyścączy się cała państwowa władza i całe to zahukanie przez państwo. Przystanie pan być głównym... co to ja chciałem?
- Nie bardzo wiem.
- Głównym punktem odniesienia. Bo wtargną nowe siły, natarczywe i wyzywające. Zimna wojna to pański przyjaciel. Jest panu potrzebna, żeby pańskie wciąż było na wierzchu.
- Na wierzchu czego?
- Nie wie pan? Nie zdaje pan sobie sprawy, że w tym wszystkim chodzi o pańską dominację nad światem? Widzi pan, co się

dzieje w Anglii. Czterdzieści tysięcy kobiet chodzi dookoła bazy lotniczej, protestując przeciwko bombom i rakietom. Są wśród nich mężczyźni w sukienkach. I buddyści walą w bębny.

Brian nie wiedział, jak na to odpowiedzieć. Chciał rozmawiać o starych zawodnikach, o rozmiarach stadionów, o przydomkach i o trzecioligowych miasteczkach. Po to przecież tu przyjechał, żeby się poddać tęsknocie, żeby słuchać, jak gospodarz recytuje baseballowe anegdoty, przekazywany z pokolenia na pokolenie repertuar historyjek o kretyńskich zagraniach i awanturach na boisku, o pojedynkach między miotaczem a łapaczem, ciągnących się aż do zmierzchu - wszystkie te opowieści, które Marvin kolekcjonował od półwiecza, przesycone głębokim erotyzmem pamięci, wyodrębniającym baseball spośród innych sportów.

Marvin wpatrywał się w tablicę wyników, a nadpalony koniec jego cygara lekko się rozlażył.

- Myślałem, że porozmawiamy o baseballu.
- Przecież nic innego nie robimy. Rozmawiamy o baseballu. Widzi pan ten zegar - powiedział Marvin. - Stał na trzeciej pięćdziesiąt osiem. Dlaczego? Czy dlatego, że właśnie wtedy Thomson strzelił Brancowi homera? Tak właśnie odmieniał: nie „Brance”, tylko „Brancowi”.
- A może dlatego, że Rosjanom udało się wybuchnąć atomówkę, a myśmy akurat tego dnia się o niej dowiedzieli. Powiedzieć panu coś o tamtym meczu?
- Co takiego? - spytał Brian.
- Było dwadzieścia tysięcy wolnych miejsc. Wie pan dlaczego?
- Dlaczego?
- Roześmieje mi się pan w nos.
- Nie, obiecuję.
- Ależ proszę się nie krępować. Jest pan moim gościem. Niech się pan czuje jak u siebie.
- No więc czemu było tyle wolnych miejsc na najważniejszym meczu, jaki rozegrano w tamtym roku?
- Najważniejszym od wielu lat - poprawił Marvin.
- Od wielu lat.
- Otóż pewne zdarzenia budzą nie uświadomiony strach. Jestem głęboko przekonany, że ludzie przeczuwali wiszącą w po-

wietrzu katastrofę. Nie to, kto wygra czy przegra mecz. Przechuwali nadzieję jakiejś straszliwej siły, która unicestwi... brak mi słowa.

- Unicestwi.
 - Unicestwi. Która unicestwi samą instytucję meczu. Musi pan zdać sobie sprawę, że przez całe lata pięćdziesiąte siedziało się w domach. Na dwór wychodziliśmy, tylko żeby wsiąść do auta. W parkach miejskich nie roiło się od ludzi, tak jak w późniejszych latach. Muzeum to były puste sale z rycerzami w zbrojach i jednym sennym strażnikiem na każde siedem stuleci.
- Innymi słowy.
 - Innymi słowy, panowała milcząca zgoda, że lepiej nie wychodzić z domu. Bo w powietrzu wisiała groźba.
 - I mówi pan, że ludzie coś przechuwali w związku z tamtym konkretnym dniem.
 - Tak jakby wiedzieli. Czuli, że z meczem wiąże się jakieś osłupiające wydarzenie, które może nastąpić na drugim końcu świata.
- Z tym akurat meczem.
 - Nie w przeddzień i nie nazajutrz. Bo to był mecz o wszystko między dwoma klubami z tego samego miasta, dwoma nawzajem znenawidzonymi obozami. Ludzie mieli przecucie, że z tym meczem łączy się jakaś dużo większa sprawa. Podświadomie nasuwało im się pytanie: czy chcę wyjść z domu i znaleźć się w wielkim tłumie, czyli - gdyby stało się coś strasznego -w najgorszej możliwej sytuacji, czy raczej zostać z rodziną i nowiutkim telewizorem, na co zdrowy rozsądek odpowiada: ależ tak, owszem, w obudowie z klonowym fornirem.

Brian ku swemu zdziwieniu nie odrzucił tej teorii. Niekoniecznie w nią uwierzył, ale też jej nie przekreślił. Uwierzył w nią tymczasowo, w tym pokoju pod poziomem ulicy, w drewnianym domu, w powszednie popołudnie na Cliffside Park w New Jersey. Była prawdziwa poetycko, gdy prosto z ust Maryjna Lundy'ego trafiała w środkowe ucho Briana, prawdziwa niesprawdzalnie, odlegle, niedopuszczalnie, lecz nie całkiem ahi-storyczna, nie pozbawiona dyskretnego akcentu autentycznej wewnętrznej narracji.

- A cała ta sprawa jest interesująca - ciągnął Marvin - bo

jak robią atomówkę, słuchaj pan, to radioaktywny rdzeń ma dokładnie wymiary piłki do baseballu.

- Zawsze myślałem, że grejpfruta.

- Przepisowej pierwszoligowej piłki, obwód co najmniej dwadzieścia centymetrów, według regulaminu.

Założył nogę na nogę, wsadził palec do ucha i zawiercił nim, bo go widocznie swędziało. A uszy miał ogromne. Brian dopiero teraz uświadomił sobie, że gdzieś w domu gra muzyka. Może zresztą słyszał ją od początku, na granicy przyswajania bodźców, muzykę wtopioną w ogólny ton pokoju, zmieszaną z szumem samolotów przylatujących do Newark, z wątłym zawodzeniem aut pędzących dalekimi autostradami - powściągany smutek, dźwięki fortepianu, które miały konsystencję czegoś starego i zlągodzonego, jak róża w książce, zasuszona i spłowiła.

- Ludzie wyczuwają to, czego nie widać. A kiedy samo pcha się przed oczy, wtedy akurat nic a nic nie zauważają.

- Co ma pan na myśli? - spytał Brian.

- Choćby taki Gorbaczow, chodzi z tym czymś na głowie. To się nazywa znamię, dobrze mówię?

- Tak, chyba znamię.

- Jest duże. Zgodzi się pan?

- Tak, całkiem spore.

- Łatwo zauważalne. Trudno je przeoczyć. Mam rację?

- Tak.

- I zgodzi się pan, że miliony ludzi codziennie oglądają je w gazetach?

- Owszem.

- Zglądają do gazety i widzą męską głowę z **tym** niesamowitym znamieniem na glacy. Nie jest tak?

- Ależ jest, oczywiście.

- I co z tego wynika?

- A niby dlaczego coś miałoby wynikać?

- Nie próbuje pan szukać ukrytego oblicza tej sprawy.

- Przecież to jego oblicze - rzekł Brian. - Jego głowa. Skaza, znamię.

- Ja tam widzę co inne.

- Mianowicie?

- Jak pan ciekaw, to panu powiem.

Otóż Marvin dostrzegł pierwszą zapowiedź totalnego załama-

nia systemu sowieckiego. Znak odcisnięty na głowie tego człowieka. Mapę Łotwy.

Powiedział to całkiem serio: Gorbaczow w zasadzie komunikuje, że Związek Radziecki pograży się w chaosie za sprawą swoich republik.

- Więc myśli pan, że w tym jego znamię...? Chwileczkę.
- Najmocniej przepraszam, ale jeżeli pan obróci mapę Łotwy o dziewięćdziesiąt stopni, wschodnią granicą do góry, otrzyma pan idealny kontur tego znania. Innymi słowy, kiedy Gorbaczow leży wieczorem w łóżku i przychodzi żona, żeby mu podać szklankę wody i aspirynę, kobita widzi na głowie męża właśnie Łotwę.

Brian usiłował sobie przypomnieć kształt tej plamy koloru wina na głowie Gorbaczowa. Chciał dopasować jej zarys do wspomnień klasówek z geografii pisanych w pogodne popołudnia, gdy kończyły lekko go bolały od biologicznych popędów i z tej rozkoszy, że szkoła już się kończy. Powróciła melodia starej kołysanki, Łotwa, Estonia, Litwa. Ale kształty ich map, dokładne kontury przytulnie gniazdujących organizmów wymykały się pamięci.

Marvin znów patrzył na tablicę wyników.

- Ludzie zbierają, zbierają, wiecznie coś zbierają. Niektórzy polują na wszystko, co pochodzi z Niemiec czasu drugiej wojny światowej. Gromadzą hitleriana. Ważni kolekcjonerzy, tropiciele wielkiej historii. Znaczący w tym pokoju są może same błahostki? Co to ja za słowo mam na końcu języka, coś między fraszką a muchą?
- Faramuska.
- No właśnie. Więc co ja tu mam, same faramuszki? Przecież to też jest historia, z ostatnich stron gazet. Z ostatnich na pierwsze. Radosna, tragiczna, rozpaczliwa. - Marvin przestał patrzeć na tablicę wyników. - A w tej skrzyni mam coś, za czym się uganiałem całe moje życie przez ostatnich dwadzieścia dwa lata.

Brianowi to i owo zaczęło świtać.

- Tropiłem, szukałem, aż wreszcie znalazłem i kupiłem, półtora roku temu, i nawet nie wystawiam na widok. Trzymam w skrzyni.

Teraz z kolei Brian spojrzął na tablicę wyników.

- Mówię o piłce, którą Bobby Thomson zaliczył homera -

ponuro rzekł Marvin. - Dotarłem do niej, wychodząc od plotek, które krążyły w branży. Wtedy to nawet jeszcze nie była żadna branża, raptem paru facetów zainteresowanych sprawą, kilka numerów telefonów i imion, ledwo uchwytny trop, ale poszedłem za nimi jak wściekły.

Przerwał, żeby zapalić cygaro. Było stare i zwietrzałe, wyglądało jak sojowa kiełbaska ze szkolnej stołówki. Ale Brian rozumiał, że obyczaje plemienne wymagają zapalenia cygara, chociaż od dymu piekły go oczy.

Przez następne trzy godziny Marvin mówił o tym, jak szukał piłki. Niektóre nazwiska zdążył zapomnieć, niektóre poprzekreślał. Pogubił całe miasta, przenosząc je do innych stref czasowych. Opowiadał, jak podążając za fałszywymi tropami, trafiał w różne odległe miejsca. Wspiął się po schodach do pokoiów na poddaszach z krokwiami pod sufitem, zaglądał do skrzyń, przetrząsając babciną bielizną i fotografie zmarłych.

- Tysiąc razy zadawałem sobie pytania: Na co mi ta piłka? Co dla mnie znaczy? Kto ją ma?

Śluchając tej relacji, całego tego meandrycznego eposu, w jednych miejscach nazbyt okrojonego, w innych zanadto rozwlekłego, Brian nie wątpił, że chociaż gospodarz tak niechlujnie opowiada, to same poszukiwania musiał prowadzić wytrwale, zajądłem, pedantycznie i z poświęceniem.

W pewnym momencie Marvin zatrudnił człowieka, który pracował w laboratorium fotograficznym i miał dostęp do specjalistycznego sprzętu. Zaczęli badać zdjęcia prasowe trybuna po lewej stronie Polo Grounds, zrobione tuż po tym, jak piłka wpadła między widzów. Powiększali, kontrastowali. Odwiedzali agencje fotograficzne i grzebali w archiwach. Marvin wynajmował ludzi, żeby zakradali się do działów nekrologów, do biur telegrafistów i redakcji co ważniejszych czasopism.

- Obejrzałem milion zdjęć, bo zgodnie z kropkową teorią rzeczywistości wszystkiego można się dowiedzieć, jeżeli przeanalizuje się kropki.

W jego głosie pobrzmiwały lekkie trzaski, jak radiowy szum spowodowany zakłóceniami sygnału.

Kupił oryginalny film. Sprowadził wyposażenie ciemni. Do posiłków siadał z lupą zawieszoną na szyi. Dom zawałony był stykówkami, odbitkami na błyszczącym papierze, powiększenia-

mi przypiętymi do sznurów od bielizny rozwieszonych w kilku pokojach. Żona z dzieckiem uciekła do Anglii, w odwiedziny do krewnych, bo tak się jakoś złożyło, że Marvin ożenił się z Angielką.

Wynajął prywatnego detektywa, któremu co chwila leciała krew z nosa. Dali ogłoszenia w rubrykach towarzyskich czasopism sportowych, żeby dotrzeć do ludzi, którzy siedzieli w sektorze trzydziestym piątym, tam gdzie wpadła piłka.

Wielką rolę odgrywała fotograficzna obróbka detali, precyzja obrazu, no i ta, jak jej tam, na mniejsze jednostki.

- Rozdzielczość - odpowiedział Brian.

Potem zaczęła się wielka podróż, lażęga z walizką przez puste stacje kolejowe, i te ciężkie zimowe loty, kiedy lód oblepiał skrzydła; zaczęło się nużące dryndanie, dziś nikt już tak nie mówi, nużący marsz przez cudze domy i życiorysy - fizyczna, nigdy nie sfotografowana dotykaność dłoni upstrzonych plamami pigmentowymi, podbródków z dołeczkami, całe to rozproszone doznawanie wszystkiego, co ci ludzie pamiętali i zapomnieli.

1. Wdowa na Long Island mieszła łyżeczką w filiżance.
2. Śpiewaczka gospelsów, niejaka Prestiżowa Booker, trzymała piłkę do baseballu w urnie z prochami kochanka.
3. Statek w porcie San Francisco - lepiej nie wspominać.
4. Facet w aucie w teksaskim okręgu Deaf Smith - rekordowe zadupie.
5. Całe pokolenie sobowtórów Jezusa. Wszędzie młodzi ludzie z brodami i w sandałach, z brodami i na bosaka - wścib-skie okularki w drucianych oprawkach.
6. Wrażenie Marvina, że zabłądził w Ameryce, wędrując przez miasta bez dzielnicy biurowców.
7. Kobieta z Long Island, jak jej tam, której mąż był na meczu - podawała neskę w filiżankach z muzeum lalek.
8. Rodzina Koptów z Detroit - mniejsza z tym, zanadto skomplikowane, gdzieś w oddali zamieszki i pożary, na ulicach czołgi.
9. Drobiazgowy zamęt w opowieści Marvina, cudze wspomnienia mieszane z jego własnymi, nagięte do formy czasu.
10. Ładujące tornado skakało niecnym zygzakiem po wierzchołkach drzew, całe niebo splugawione posiewem śmieci.

10. Na filmie, który Marvin przeanalizował, widać było, jak jej mąż szamocze się z kimś o piłkę, a ona nie miała nawet w domu prawdziwej kawy, tylko neskę.

11. Wjazd przezroczytą windą po zewnętrznej ścianie gmachu.

12. Statek w porcie - proszę, nie teraz.

13. I spowijająca go zewsząd tajemnica, każdy zaulek zagrożony w promiennym zdumieniu.

Brian słuchał tego wszystkiego, słysząc zarazem, że muzyka milknie i zaraz znów rozbrzmiewa, ten sam utwór fortepianowy, i to nie drugi, ale ósmy czy dziewiąty raz, a on dalej słuchał Marvina i jego kropkowej teorii rzeczywistości; w motywie nieustępliwych poszukiwań fotograficznych wyczuwał jakąś utajoną siłę, obecność prototypu, którego nie potrafił wyraźnie określić.

- Tysiąc razy zadawałem sobie pytania: Jak długo mam zamiar szukać? Po co mi w ogóle ta piłka? Gdzie ona jest?

Dał ogłoszenie, że szuka amatorskich filmów z tego meczu, i dostał parominutową, prymitywną sekwencję nakręconą przez kogoś z odkrytej trybuny: nad murem przy lewym polu pulsowała wielka plama. Marvin sprowadził urządzenie do odbitek projekcyjnych. Przewidywał, że powiększa, przekadrowywał, analizował. Spowalniał akcję, żeby skondensować w jednym zdjęciu kilka sekund filmu. Badał perforację, szukając choćby okruszków danych, kropli brakującego obrazu. Iście talmudycznego wyrafinowania wymagała ta praca, te zbliżenia i ściemnienia, mozolne wyostrowanie twarzy jakiegoś mężczyzny, odczytywanie nazwiska wygrawerowanego na bransoletce, którą jakaś kobieta miała na kostce nogi.

Briana zawstydzały cudze obsesje. Demaskowały jego własną przeciętniacką bierność, wydobywały na jaw ten łagodny, wątpliwy i daleki głos, który radził mu się nie wysilać.

Zona Marvina wróciła z dzieckiem i znowu wyjechała z domu. A był to już wtedy dom wariatów, pełen złowrogich wizji. Czyjś wyodrębniony grymas, włosy sterczące ze znamienia na podbródku starca. W każdym obrazie roily się skryształizowane kropki. Odbitka fotograficzna jest kosmosem kropek. Ziarno, halogenek, srebrne drobinki skupione w emulsji. Wdzierając się do wnętrza kropki, zyskujesz dostęp do ukrytych danych, wślizgujesz się w sam środek najdrobniejszego zdarzenia.

Tego właśnie dokonuje technika. Zdziera warstwę cieni i wskrzesza oszołomioną, belkoczącą przeszłość. Uprawdziwia rzeczywistość.

Marvin Lundy otworzył skrzynię.

Piłkę trzymał zawiniętą w bibułę, w starym firmowym pudełku Spaldinga, czerwono-białym. Obok leżały stosy zdjęć, listów i innych materiałów związanych z poszukiwaniami. Metryki urodzin, paszporty, pisemne oświadczenia pod przysięgą, ręcznie spisane testamenty, szczegółowe wykazy stanu posiadania, pokrwawione części garderoby w hermetycznych torebkach z plastiku.

Wyjął z beżowej koperty kilka odbitek i pokazał je Brianowi.

Była to właśnie sekwencja przedstawiająca polowanie na piłkę, grupki ludzi - komentował Marvin - szamotanina i szarpanina, a na ostatnim zdjęciu mężczyzna w białej koszuli stał całkiem osobno i patrzył z góry na rampę prowadzącą do wyjścia, spojrzenie miał twarde, wściekłe, wymierzone w kogoś, pewnie w człowieka, który zgarnął piłkę, ale Marvin nie znalazł sposobu, pomimo całego mistrzowskiego panowania nad kropkami nie zdołał obrócić głów ludzi idących po rampie i zobaczyć twarzy wzmiankowanego osobnika.

- Ale ustalił pan, kim był ten w białej koszuli.
- Bo zamieszczałem jego zdjęcie na tylnych stronach czasopism, tam gdzie reklamuje się wodne łóżka i daje świńskie ogłoszenia.
- I pojechał pan do jego żony.
- Wiele lat po meczu. I co się okazało, facet nie żyje. A wdowa siedzi w zimnym domu i miesza kawę łyżeczką w tyciej filizanczce. Próbuję z niej wyciągnąć, co jej opowiadał o meczu, o piłce, o czymkolwiek. Jaki znowu mecz, ona mi na to. No więc tłumaczę, jakie sprawa ma repekursje. Ale tymczasem minęło ponad dwadzieścia lat. Jaki mecz, jaka piłka?

Po schodach zeszła kobieta, niosąc na tacy kawę i sernik. Całkiem jakby wyszła z opowieści Marvina, niczym zmaterializowana raptem postać ze wspomnień. Marvin zamknął skrzynię, żeby mogła postawić na niej tacę. Była jego córką, miała na imię Clarice i uparła się dbać o tatusia, choćby nie wiedzieć jak się wzbraniał.

- Nie słyszałem, kiedy weszłaś. Wechodzi jak jakaś Chinka na obwojoczonych stopach.
- Przecież rozmawialiście. Choćby zamiast mnie wtargnęła uzbrojona banda włamywaczy, i tak nic byście nie usłyszeli.

Dobiegała trzydziestki: włosy blond, wysportowane ciało. Powiedziała Brianowi, że samochodem ma z domu do ojca dziesięć minut i jest w sądzie stenografistką. Pomyślał, że z łatwością mógłby pokochać telewizyjny zaśpiew w jej głosie i wirażu ud pod płócienną spódnicą.

- Już prawie kończymy, Clarice.
 - Akurat, za sto godzin mordęgi. Skąd wiesz, może twój gość ma inne sprawy na głowie.
- A co miałyby mieć?
- Niedługo zrobi się ciemno.
- Ciemno, widno. To tylko słowa.

Pudełko z piłką stało na boku wśród fotografii rozrzuconych po podłodze, a sama piłka wyturlała się z niego, wciąż jeszcze owinięta bibułką. Clarice przysunęła sobie krzesło, po czym ona i Marvin opowiedzieli resztę historii, mniej więcej do końca, mówiąc z ustami pełnymi sernika.

- Ile to ja lat, Clarice, szukałem tego jakiegoś Jacksona czy Judsona?
- Do rzeczy - powiedziała.
 - Bo z różnych okrężnych poszlak wynikało, że powinienem nim się zająć. A piłka miała już wtedy za sobą długą historię, w której rozmaite detale dopasowują się do siebie i łączą, a ja ją śledziłem krok po kroku. Ale nie mogłem namierzyć tego człowieka ani nawet... jak to się mówi?
- Ustalić - odpowiedział Brian.
 - Jego nazwiska. W tamtym okresie, mniejsza o filmy, kierowałem się już pogłoskami i snami. Z baseballem wiąże się cała sfera postrzegania pozazmysłowego, podziemna świadomość, którą słyszę przez sen.
- Streszczaj się, tato.
 - A tymczasem pojawia się kobieta. Tropię tego Judsona Jacksona Johnsona, a tu nagle zgłasza się kobieta, która zna moje nazwisko z rynku memorabiliów i zaczyna do mnie wydzwaniać o każdej porze dnia i nocy. Międzymiastowa, wszystko na mój koszt. Mówi, że miała kiedyś obiekt, którego szukam. Ale nie

ma go już od lat, bo w tajemniczy sposób znikł, powiada, że szkatułki zamykanej na kluczyczek.

- Genevieve Rauch.
- Której nazwiska nigdy nie mogę.
 - Genevieve Rauch - powtórzyła córka. -I we dwoje próbują ustalić podstawowe, wie pan.
- Parametry - wtrącił Brian.
 - Z których mogłoby wynikać, że ta jej piłka jest choćby w miarę realną hipotezą.
 - Zadrapania i kancery - rzekł Marvin. - Znak firmowy, jeśli się zgadza. Podpis ówczesnego prezesa ligi. Z pamięcią u niej kiepsko. Ledwo się trochę posunę do przodu, zaraz zaczyna mówić o czym innym. Widać ma dodatkowy chromosom, który każe jej co chwila zmieniać temat. Tysiąc razy mnie korciło, żeby rzucić słuchawkę.
- Aż tu nagle - powiedziała Clarice.
- Facet w samochodzie.
 - Jechał sobie facet samochodem i ktoś go zastrzelił. Wyszło na to, że ten nieboszczyk to od dawna zaginiony mąż Genevieve Rauch. Potem się jeszcze okazało, że nazywał się Juddy Rauch, Judson Rauch. Czyli dwie rzeki się spotkały. Potrzebne było aż morderstwo, żeby się przecięły.

Marvin pochylił głowę nad wiekiem skrzyni i upił łyżeczek kawy, a Brian utkwiał wzrok we włókna jego żalostnej peruki.

- Jak jeszcze miałem żołądek, to się tym sernikiem objadałem do nieprzytomna.

Clarice opowiedziała, jak pojechał do teksaskiego okręgu Deaf Smith, w imieniu Genevieve Rauch wynajął miejscowego prawnika i w końcu odnalazł piłkę - zapieczętowaną w torebce, pokwitowaną, opatrzoną numerem i oddaną do depozytu. Policja skonfiskowała ją wraz ze zwłokami, autem i wszystkimi rzeczami, które w nim były, tak jak i ta piłka wepchnięta do teksturego pudła z rupieciami.

Marvin pyknął cygaro.

- Jeżdżę po ten sernik aż do Bronksu - oświadczył - do koszernej piekarni, której byś pan nie znalazł, choćbym dał panu mapę, przewodnik i tego tam, jak mu, co mówi pięciu językami.
- Tłumacza.

- Tłumacza - powtórzył Marvin.

Dobrze wyrobiony, puszysty sernik miał charakter ciepłego, zamożnego wujaszka, który zna sto świńskich kawałów i umrze od seksualnych nadużyć w ramionach kochanki.

- No i wreszcie - rzekł Brian - kupił pan piłkę.
- Prześledziłem jej losy wstecz, aż do czwartego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku, czyli nazajutrz po meczu.
- A jak pan przez tyle lat finansował tę akcję? Podróże, stronę techniczną, w ogóle wszystko.
- Miałem lokalną sieć pralni chemicznych i sprzedałem ją po śmierci żony, bo już nie potrzebowalem więcej tego, tego ambarasu.
- Marvin, Król Tekstyliów - powiedziała jego córka trochę czule, a trochę z żalem, z lekką ironią, z odrobiną dumy, z nutką melancholijnego humoru i tak dalej.

Przypomniała ojcu o zaplanowanej na rano wizycie u lekarza, a on słuchał jej tak, jak się słucha wiadomości telewizyjnych, obojętnie patrząc na Indie. Wzięła tacę i poszła na górę. Brian wyobraził sobie, że doganiają autem i jadąc obok, porozumiewa się spojrzeniem, a potem głośno dodaje gazu i prowadzi ją do przydrożnego zajazdu, biorą pokój i rozbierają się nawzajem zębami i językami, bez słowa.

Słuchał niosącej się po domu muzyki, kwilenia klawiatury, i nareszcie sobie uzmysłowił, czym jest ten utajony byt w opowieści o poszukiwaniach Marvina, dziwna wtórność całej tej pedantycznej pracy, retuszowania, kontrastowania - niesamowitym echem śledztwa w sprawie zabójstw politycznych z lat sześćdziesiątych. Oto próba rekonstrukcji przełomowej chwili ze strzępów i cieni: Marvin w swojej ciemni zapożycza potężny motyw i posługuje się nim, żeby zlokalizować biały niewinny przedmiocik, koźlujący po stadionie.

- Czyli znamy już późniejsze etapy drogi naszego obiektu - rzekł Brian. - Rauch-Rauch-Lundy. Ale jak się to wszystko zaczęło?
- Jak pan ciekaw, to panu powiem. Od faceta nazwiskiem Charles, jak mu tam, Wainwright. Kierownicze stanowisko w agencji reklamowej. Znam całą linię przekazu aż do Wain-wrighta. Wszystkich kolejnych właścicieli.

- Ale nie aż do samego meczu.
 - Brak mi ostatniego ognia, od piłki Wainwrighta do tej, którą trafił kijem Bobby Thomson. - Marvin spojrzął kwaśno na zegar z tablicy wyników. - Zostało mi jeszcze parę zagadkowych godzin do zbadania. A jak się człowiek zajmuje taką starą sprawą, musi brać poprawkę na współczynnik śmiertelności. Wainwright umarł, jego syn Charles junior ma czterdzieści dwa lata i już zawsze będą go wołać Chuckie, a ja od dawna usiłuję z nim pogadać. Kiedy go ostatnio widziano, był mechanikiem na frachtowcu, który przemierzał - ładne słowo?
 - Przemierzał.
 - Bałtyk - zakończył Marvin. - A skoro już o tym mowa.
 - Tak?
 - Radzę panu nie spuszczać z oka tej plamy na głowie Gorbaczowa, czy aby nie zmienia kształtu.
 - Jak to? Przecież on ją ma od urodzenia.
 - Jest pan pewien?
 - A co? Myśli pan, że dostał jej dopiero niedawno?
 - Jest pan pewien? Zawsze ją miał?
 - Przecież to znamię, rzecz wrodzona - upierał się Brian.
 - Najmocniej przeproszam, tak stwierdza oficjalna biografia. Powiem panu, co o tym myślę. Otóż jakbym pracował na delikatnej posadzie państwowej, tobym fotografował Gorbaczowa z kosmosu co minuta, kiedy tylko chodzi z gołą głową, i sprawdzałbym, czy ta plama nie zmienia kształt. Bo akurat w tej chwili ma kontur Łotwy. Ale rano może to być Syberia, tam gdzie wypuszczają z więzień.
- Spojrzął na cygaro.
- Rzeczywistość nie istnieje, póki nie przeanalizujemy kropek.
- Wstał z niejakim trudem.
- A kiedy zimna wojna wypadnie z obrotu, nie będzie pan mógł spojrzeć się na kobietę z ulicy i tak jak dziś pozwolić sobie na te fantazje, jak im tam...
 - Erotyczne. Ale co to ma wspólnego?
 - Nie wie pan? Nie zdaje pan sobie sprawy, że każdy pański przywilej i każda myśl w pańskiej głowie zależy od tego, jak długo jeszcze dwa supermocarstwa będą trzymać w szachu całą planetę?

- To niesłychane, co pan mówi.
- I nie wie pan, że kiedy to zagrożenie zacznie maleć?
- Co wtedy?
- Pójdzie pan na śmietnik historii.

Wizyta najwyraźniej dobiegła końca. Ale gospodarz zaprowadził jeszcze gościa do wnęki przy schodach. Wypełniały ją półki, na których trzymał kolekcję nagrań z meczów, transmisji radiowych i telewizyjnych, setki kaset w przegródkach, z najwcześniejszymi sprawozdaniami włącznie.

- Jestem jeden z ludzi, którzy przechowują kije i piłki, z ust do ust przekazują sobie stare opowieści i znają przydomki ty sięca zawodników. Siedzimy w naszych suterrenach, z wielką historią na ścianach. I jeszcze coś panu powiem, przekona się pan, że mam rację. Znajdą się kiedyś tacy, co zapłacą za te rzeczy majątek. Zapłacą niewiarygodne kwoty. Bo właśnie takim głosem przemawia rozpacz.

Brian pomyślał: jaka szkoda, że facet nie jest trochę lżejszy w obejściu i miłszy. Bo całe to muzeum wygląda, owszem, imponująco, ale ma też chyba w sobie coś z mauzoleum. Zwartość pieczołowitej konserwacji, dokładnych proporcji i szacownej historyczności, które w sumie tworzą posepny nastrój grobowca.

Weszli po schodach na górę i przez zacienione pokoje trafili do wyjścia. Marvin przystanął, trzymając w palcach zgasłe cygaro.

- Mężczyźni przychodzą oglądać moją kolekcję.
- Tak.
- Przychodzą i nie chcą odejść. Dzwoni telefon, rodzina się pyta: gdzie on jest? Bractwo zaginionych mężczyzn.
- Rozumiem.
- Jak pańskie nazwisko?
- Brian Glassic.
- Miło pana poznać - rzekł Marvin.

Brian spytał, jak wrócić na Manhattan, omijając most Waszyngtona. Na wyspę prowadziły dwa tunele i Marvin objaśnił gościowi oba warianty, a każdy z nich rozwidłał się po drodze na kilka możliwości do wyboru. Brian głupek mrużył oczy i potakująco kiwał głową, chociaż wiedział, że kiedy wsiądzie do auta, zapomni cały ten wykład.

Jechał autostradami i estakadami, a Manhattan na przemian pojawiał się i znikał na tle zachodu słońca w klimacie valium, dymny i złocisty. Wóz kołysał się, miotany hukiem mknących ciężarówek, których kierowcy siedzieli w wysokich szoferkach, z jedzeniem, picciem, narkotykami i pornografią, a zjadły wicher dmący śladem ich rozpędzonych landar zdawał się porywać za sobą małe autko i wlec je szosą. Brian jechał przez rozległe pola zbiorników z ropą, białych przysadzistych walców rozstawionych po mokradłach, widział białe kopuły w mniejszych grupkach i długie szeregi cystern toczących się po szynach. Mijał wieże przesyłowe wysokiego napięcia, które stały, wzięwszy się pod boki patykowatymi rękami. Jechał przez dym wznoszący się nad całymi akrami płonących opon od ciężarówek, samoloty schodziły do lądowania, dźwigi przeładunkowe stały rzędami w porcie morskim, a plansze reklamowe obwieszczały: Hertz, Avis, Chevy Blazer, Marlboro, Continental, Goodyear, i nagle Brian uświadomił sobie, że wszystko, co go otacza - startujące i lądujące samoloty, nieprzerwane sznury aut, ich opony, papierosy, które kierowcy gaszą w popielniczkach - wszystko to widnieje na przydrożnych planszach reklamowych, wzajemnie połączone systemem samoodniesień, neurotycznie zapętloną więzią, nieuchronnością, jak gdyby plansze stwarzały rzeczywistość, no i oczywiście przypomniawszy mu się Marvin.

Tuż za lotniskiem Newark zdał sobie sprawę, że minął wszystkie zjazdy wraz z wybiegającymi z nich rozwidleniami. Zaczął szukać wygodnego zjazdu, rustykalnego, bez ciężarówek, i po jakimś czasie znalazł się na dwupasmowej szosie asfaltowej, która wiała się niepewnym zygzakiem wśród bagien porośniętych pałąką. Poczul w powietrzu cierpkość solanki, a droga skręciła, aby utknąć w żwirze i w chwastach.

Wysiadł z auta i wspiął się na ziemny wał. Od silnego wiatru oczy mu zwilgotniały, zanim jeszcze spojrzął na drugi brzeg wąskiego pasma wody i zobaczył piętrzącą się kolejnymi tarasami wyniosłość. Była czerwonawobrunatna, płaska u góry, monumentalna, w jej wyższych partiach płonął zachód słońca, aż Brian pomyślał, że to halucynacja, urojone urwiska Arizony. Ale ta góra istniała naprawdę, zbudowana ludzką ręką, oblatywana przez wirujące mewy, a Glassic wiedział, że może to być tylko wysypisko Fresh Kills na Staten Island.

Właśnie ono sprowadziło go do Nowego Jorku: nazajutrz rano miał się przy nim spotkać z geodetami i inżynierami. Trzy tysiące akrów spiętrzonych śmieci, wyprofilowanych i wyposażonych w bite drogi, po których jeździły buldożery i wciskały kolejne fale odpadków w boczną ścianę wysypiska. Briana ogarnęło ozywienie, kiedy na to patrzył. Barki przywoziły coraz to nowe porcje ładunku, trałowce szperały w cieśninie, wylawiając resztki, które spadły za burtę. Glassic widział, jak w górnej partii wysypiska, skośnie cofniętej w stosunku do podstawy, ekipa remontowa naprawia rury drenażowe, regulujące odpływ deszczówki. Inne postaci w maskach i kombinezonach z butylenu stały grupą u podnóża piramidy, badając zawartość substancji toksycznych w próbkach pobranego z niej materiału. Było to science fiction skrzyżowane z prehistorią: śmieci dowożone na okrągło przez całą dobę, setki pracowników; walce drogowe ugniatały odpady, świdry czerpakowe drażyły wyloty dla metanu, mewy nurkowały z krzykiem, rząd pojazdów specjalnymi ryjami wysysał rozsypany chłam.

Wyobraził sobie, że obserwuje budowę wielkiej piramidy w Gizie, tylko że ta była dwadzieścia pięć razy większa, a cysterny rozpylały na drogach dojazdowych perfumowaną wodę. Poczul, jak go ten widok uskrzydla. Tyle inwencji i pracy, tyle subtelnego wysiłku, żeby wpasować możliwie najwięcej odpadów w coraz mniejszą przestrzeń. W oddali widać było wieże World Trade Center, a Brian dostrzegał swego rodzaju poetycką równowagę między jedną a drugą ideą, między wieżowcami a stertą złomu. Mosty, tunele, szalandy, holowniki, suche doki, kontenerowce, całe wielkie dzieło transportu, handlu i wszelkiej komunikacji ostatecznie wiodło do tej właśnie wyniosłej budowli. Była ona w dodatku tworem organicznym, nieustannie rosła i przemieszczała się, jej kształt z dnia na dzień i z godziny na godzinę projektowały komputery. Za kilka lat miała to być najwyższa góra na wybrzeżu Atlantyku między Bostonem a Miami. Brian poczuł ukłucie olśnienia. Patrząc na śmieci pnące się ku niebu, nareszcie zrozumiał, co jest najważniejsze w jego własnej pracy. Nie inżynieria, transport ani ograniczenie konsumpcji. Najważniejsze były ludzkie zachowania, nawyki i odruchy, niepohamowane potrzeby i niewinne zachcianki, może i namiętności, a już z pewnością ekscesy i słabotki, lecz także ludzka

dobroć, hojność, a problem polegał na tym, jak nie dopuścić, żeby ten masowy metabolizm zupełnie nas przytłoczył.

Wysypisko nieodparcie unaoczniło mu, gdzie i jak kończy się strumień odpadów, dokąd spływają strużkami wszystkie oskomy i chętki, rozmiękle zniechęcenia, wszystko to, czego pragnie się namiętnie, a po chwili ani trochę. Widział już sto wysypisk, ale to było największe. Owszem, imponujące i niepokojące. Wiedział, że odór musi nieść się z wiatrem do wszystkich jadalni w promieniu wielu kilometrów. Kiedy ludzie w nocy słyszą hałas, czy myślą, że to góra śmieci osuwa się na nich, sunie w stronę ich domów i jak wszystkożerny potwór z filmowego horroru wciska się drzwiami i oknami?

Wiatr niósł ze sobą odór na drugi brzeg cieśniny.

Brian zrobił głęboki wdech, do dna płuc. Pragnął właśnie takiego wyzwania - czegoś, co naruszyłoby przestrzeń jego samozadowolenia i niejasnego wstydu. Zrozumieć to wszystko. Przeniknąć tajemnicę. Góra stała przed nim, w pełni widoczna, ale nikt jej nie dostrzegał ani o niej nie myślał, o jej istnieniu nie wiedział nikt oprócz inżynierów, szoferów i miejscowej ludności: było to jedyne w swoim rodzaju złoże kulturowe, które miało osiągnąć wagę pięćdziesięciu milionów ton, zanim je zamkną - takie rzeźbione i wymodelowane, a jednak nie mówił o nim nikt oprócz ludzi, którzy próbowali zarządzać tą hałdą, i oto Brian po raz pierwszy ujrzał siebie w roli członka jakiegoś ezoterycznego zakonu, grona adeptów i wizjonerów kształtujących przyszłość, urbanistów, administratorów śmieci, technologów kompostu, projektantów krajobrazu, którzy mieli kiedyś zbudować w tym miejscu wiszące ogrody, założyć park na glebie stworzonej z wszelkich możliwych przedmiotów pożądania, zużytych, zgubionych, zżartych rozkładem.

Największymi tajemnicami są te, które stoją przed nami otworem. Mówił to Marvin Lundy, wypełniając Brianowi głowę dźwiękiem suchego, elektrostatycznego głosu, który wydobywał się jakby z chirurgicznego nacięcia w gardle.

Wiatr niósł ze sobą odór góry szmelcu.

Wśród warstw ziemi pojawiały się plamki i rozbłyski, kolorowe ogony szmat, poruszane wiatrem strzępy tkanin z dzielnicy odzieżowej. Czy ten zielonkawy błękit to majtki od bikini, które niegdyś nosiła sekretarka z Queens? Brian poczuł, że potrafi się

w niej na chwilę sztucznie zadurzyć: dziewczyna ma ciemne oczy, czyta brukową prasę, maluje paznokcie i jada lunch ze styropianowych pojemników, on jej daje prezenty, a ona mu przerwy, wszystko to zaś w końcu trafia właśnie tu - gazety, pilniczki do paznokci i seksowną bieliznę urabiają w kształt reliefów wypukłych dudniące buldożery: pomyśleć, jakie mnóstwo jego plemników z dziedzicznie zakodowanym wysokim czołem utknęło w trumiennych worach kondomów i leży teraz w głębokim zaciszu wysypiska, ugniecione walcem drogowym.

Przez chwilę patrzył, jak stadko mew nadlatuje zakosem, a potem zobaczył sto innych mew rozlokowanych na zboczu hałdy: zwrócone dziobami wszystkie w tę samą stronę, nieruchome, czujne, połączone wspólnotą świadomości, pięknej i pustej pta-
szości, czekały na sygnał do lotu.

4

Po wielu godzinach spędzonych w suterenie Marvin mrużył oczy przed światłem. Samochód prowadził w sposób uparty: wybierał pas na szosie i odtąd już go nie zmieniał. Miał na sobie beżową wiatrówkę z kraciastą podszewką, jak zawsze, kiedy liście zaczynały się przebarwiać. Ta sumienna zmiana stroju, przystosowanie do obrotów kosmosu nadawało jego życiu pozór regularności. Nosił tę kurtkę od kilkudziesięciu lat: starą oddawał Armii Zbawienia i zaraz kupował identyczną, w kolorze powszedniego beżu, który z odległości pięćdziesięciu metrów potrafił wypatrzeć na wieszaku w sklepie, w jednym z tych ogromnych obszarów ciszy tuż przed zamknięciem, gdzie garnitury wiszą rzędami jak dyrektorzy w piekle.

Włożył też gumowe rękawiczki, bo zawsze przed wyjazdem do miasta tak się zabezpieczał.

Na Lower East Side zrobił parę okrążeń po ulicach, nim znalazł miejsce, które wydawało się bezpieczne, bez ryzyka, że go odholują albo się włamią, zamknął wóz, cofnął się i przez chwilę oceniał, czy dobrze zaparkował i jak wygląda ulica: stare meble tanio na sprzedaż i plac zastawiony ciężarówkami, których każdy centymetr kwadratowy pomalowany był sprejem

w esy-floresy. Przechodzili ludzie, jacyś drażliwi, nie kochani. Zobaczył, jak dwóch mężczyzn na wózkach inwalidzkich śmiga między auta czekające na czerwonym świetle i wyludza od kierowców trochę drobnych.

Szedł tym swoim posuwistym krokiem, powłócząc nogami, jakby nimi objaśniał, opatrywał komentarzem całą dotychczasową literaturę szurania. Szedł wzdłuż Orchard Street, oglądając ubrania rozwieszane na wystawach i w stoiskach ulicznych, kilometry ciuchów. Przystanął, żeby przeczytać nadruki na tych, jak im tam, tiszertach, prawie na każdej wypisane było jakieś paskudztwo, słowa od wieków niecenzuralne, a tu nagle ubrały się w koszule i sterczą w oknie. Obok stał jakiś młody człowiek, chudy i tatuowany, z wąsikami jakby ledwie napoczętym, i patrzył na niego ze złością. Marvin poczuł to spojrzenie, zwężony promień wzroku skierowany prosto w swoją skroń.

Spojrzał na tamtego.

- A bo co? - spytał. - Patrzę się na wystawę.
- Że ja się patrzę, znaczy się pan też zaraz musi się patrzeć?
- A co, nie wolno? Niby czemu? Przecież to wystawa.
 - Pan widział, że się patrzę. Znaczy się pan też zaraz musi się patrzeć?
- A bo co? Nie mam prawa?
- Ja tu się patrzę.
- To wystawa dla wszystkich.
- Zachciało ci się wystawy, zgredzie? Ja ci zaraz dam.
- Tak ni stąd, ni zowąd?
- Zachciało ci się popatrzeć? To ja ci zaraz pokażę.

Marvin odszedł, bo cóż innego mógł zrobić? Odszedł, gimnastykując palce w gumowych rękawiczkach. Po prostu żyć się nie daje. Człowiek nie może już zwyczajnie przejść ulicą, noga za nogą. No bo co się dzieje? Zabijają go. Wychodzą za drzwi i dźgają go nożem, bo na nich spojrzał. Najnowszy wynalazek z dziedziny śmierci i terroru. Spojrzysz na nich, to cię zabiją. Przelotne spojrzenie w oczy daje im prawo odebrać ci życie.

Przeszedł na drugą stronę Essex Street i znalazł tę piekarnię. Najbardziej podoba mu się to, że całe zaplecze jest zaraz od frontu, piece i stoły, na których mieszają ciasto i na oczach klienta zagniatają cebulaki, facet w białej koszuli i białym fartuchu,

z rękami przyprószonymi mąką - Marvina aż poraziła moc tej krótkiej chwili, prosty dramat rozgrywający się w oknie, biel chleba i pracy. Mógłby tak stać cały dzień i patrzeć, jak piekarz ugniata gęstą masę. Kupił na później, dla córki, płaskie bułki oblepione łuskami cebuli: coś do jedzenia, a zarazem miasto, religia i wojna.

Ruszył ulicą, a papierowa torba od piekarza grzała go w żebra. Minął plac gier, chłopcy w kucki, rozbiegani na boisku do piłki ręcznej, a kilkadziesiąt metrów dalej - same Chiny.

Jak jeszcze miał żołądek, przychodził tu z Eleanor.

Odwieczna tajemnica chińszczyzny, jedzenie w garnkach wpuszczonych w podgrzewane stoły, jarzyny, których nie umiałby nawet nazwać, zagadkowe umysłowości tych ludzi. Stał i patrzył, jak żywe ryby miotają się w zmajstrowanych w domu pojemnikach. Kupił smażony pierożek z nadzieniem i ugryzł kęs, raczej symbolicznie niż dla smaku, bo w znacznej mierze stracił ten zmysł. Zostało wspomnienie jedzenia, widmo imbiru i krojonego szczypiorku.

Powłóczęg nogami, wrócił do samochodu. Zobaczył żebraków z rozczochranymi brodami, tych na wózkach inwalidzkich: ścigali się, który pierwszy do stojącego auta, pochyleni do przodu, oburącz kręcąc kołami i korbkami. W tym wyścigu młynkujących rąk wbijali wzrok w zakurzone szyby, żeby nawiązać choćby najlżejszy kontakt z kimś po drugiej stronie. Ale kierowcy unikali ich spojrzeń. Zamykali okna przed zmywaczami szyb, kwaciarzami, porywaczami aut, przed żywiołem wściekle pragącym rozmowy.

Spojrzysz na nich, to cię zabiją.

Pojechał do domu, z napięciem pochylony nad kierownicą. Młoda Angielka z Somerset, nikt by nie wymyślił. Mniej więcej raz na miesiąc puszczał elegię fortepianową, ulubioną muzykę Eleanor, naciskając guzik repetycji, żeby grało w kółko. Właśnie o tej porze roku słyszał jej głos, przypominający mu, że ma wyjąć z szafy beżową wiatrówkę. „Czas włożyć starego McGre-gora, Marv”. W tym prostym zdanku, powtarzanym słowo w słowo z roku na rok, zawierało się całe, jak mu tam, głębokie wzajemne zaufanie dwojga ludzi, którzy poznali się w czasie wojny, pisywali do siebie listy i wreszcie się pobrali, po jakimś czasie urodziło im się dziecko, trochę trzeba było się do tego

przyłożyć, dwa serca połączone nawykiem kolejnych dni. No i pralnie. Uprał w życiu całe tony McGregorów.

Kiedy wszedł, akurat dzwonił telefon. Poszedł do kuchni, położył na stole torbę od piekarza, zdjął kurtkę, telefon wciąż dzwonił, Marvin otworzył lodówkę, wyjął tonik selerowy i pociągnął haust z butelki, już mu było wolno, nie ma tego złego, co by... Zdjął rękawiczki, takie ciasne, że nie chciały się odkleić, ściągnął je aż do miejsca, gdzie dłoń się rozszerza, a potem każdy uparty palec zrywał z osobna, czując się, jakby sam był częściowo sztuczny. Przeszedł przez pokój do miejsca, gdzie na ścianie wisiał biały telefon, a obok zdjęcie prezydenta Reagana, stał w Owальной Sali między Bobbym Thomsonem a Ralphem Brancą, jedyna w całym domu aluzja do baseballu, jaką można było znaleźć powyżej sutereny, a za nimi sztandar z frędzlami. Bo Eleanor potrafiła naprawdę dać człowiekowi w kość, tak nie cierpiała picia z butelki.

Telefon dzwonił. Marvin spojrział na aparat i podniósł słuchawkę, teraz wszyscy mają komórki.

W końcu postanowił sprzedać dom i przeprowadzić się do kamienicy Clarice - córka i zięć na trzecim, ojciec na drugim, w wygodnym, łatwym do sprzątania mieszkaniu z bananami brązowiejącymi na parapecie. Będzie brał prysznic na siedząco, a piętro wyżej Clarice i Carl będą biegać na tej swojej maszynie do biegania: trenują, żeby żyć wiecznie.

- Dzwonię z Phoenix - powiedział czyjś głos.
- Rozchodzi się o miasto czy o ptaka?
 - Przed paroma miesiącami mój znajomy. Dziesięć czy jedenaście miesięcy temu. Odwiedził pana.
 - Trudno,, żebym pamiętał.
 - Nazywa się Brian Glassic.
 - Choćby mnie pan wziął na tortury, nie zapomnę. Niektórzy przychodzą tu po pięć razy. A potem spotykam ich na ulicy i patrzę jak na worki z pralni w drodze na lotnisko. Żyję we własnym mózgu, nigdzie indziej.
 - W każdym razie niedawno wspomniał mi o tej wizycie. Ciekaw jestem, co by pan miał do powiedzenia na temat tej piłki, która leży w skrzyni.

Zapakują do jego drzwi, żeby sprawdzić, czy wszystko gra.

A on wystawi głowę przez szparę w plastikowej kotarze od prysznica. W porządku, wszystko dobrze, w porządku.

- Jest pan wierny kibic, który się wyniósł na emeryturę do Arizony i ma zastawkę serca wszytą z dakronowymi mankietami, a dawne czasy nabrały dla pana uroku. Zrobił pan karierę na fuzjach i tych, jak im tam, nabytkach. Zarobił pan miliony, ale to pana nie zadowala. Marzy się panu jeszcze jeden ostatni nabytek, który byłby osobisty, z potrzeby serca.
- Brian sugerował, że mniej więcej tak właśnie może być.
- Chce pan pogadać o piłce, to niech się pan pierw w przybliżeniu sprecyzuje. Faktycznie już dojrzałem, żeby ją sprzedać. Ludzie wiedzą. Dzwonią do mnie faceci z głosami jak żużel. Mają dziąsła nafaszerowane polimerami. Mają z boku wywiercone dziurki, żeby odchody mogły się okrężną drogą uzewnętrzniać. Wracają do domu ze szpitala zdoplerowani na echo. Kontaktują się ze mną faceci z poczwórnymi bajpasami, z takim ładunkiem nitrogliceryny we krwi, że można by zrobić dynamit.
- Ja już nie kibicuję. Nie śledzę, co się dzieje z drużynami.
- Sam też wciąż się na coś badam. Czyli mam nawroty raka w tyłu częściach ciała, że lekarz mi liczy podług taryfy grupowej. Spokojna głowa, nie musi się pan śmiać. Właśnie próbuję panu popsuć nastrój.
- A pan kibicuje Dodgersom, tak?
- Zanim się urodziłem, już im kibicowałem.
- Wychował się pan w Brooklynie?
 - Wychowałem się w Brooklynie, kupuję sernik w Bronksie, jeżdżę na Lower East Side po to i owo.
 - Kibic Dodgersów. Ale trzyma pan w suterenie kopię tablicy wyników z Polo Grounds.
 - Żeby pamiętać - odparł Marvin. - Albo żeby być przygotowanym. Sam już nie wiem, jedno czy drugie.
 - Nie jestem na emeryturze. I nie zarobiłem milionów. I właściwie nie bardzo rozumiem, dlaczego chcę kupić tę piłkę.

To było dobre. Marvinowi się podobało. Milo było pogadać z kimś, kto nie dostawał palpacji mózgu z powodu starych Giantsów z Nowego Jorku. W sklepach ze sprzętem chirurgicznym można kupić specjalne stołki do łazienki, żeby brać prysznic na siedząco i myjąc różne dalekie części ciała, nie przewracać się ani nie łamać kości biodrowej; Marvin widział taki stołek

na kanale z protezami biodra, miał wygodnie uformowane siedzenie i nogi zabezpieczone przed ślizganiem. Teraz to na każdą część ciała jest osobny kanał telewizji.

- Dzwoni pan do mnie znikąd - rzekł Marvin. - I chce pan ubić interes. Ale sam pan nie wie dlaczego.
- Zgadza się - odparł głos.

Dobrze. Bo sam Marvin już od dawna był w takiej właśnie sytuacji. Dokładnie w tym samym stanie. Przez wiele lat nie wiedział, czemu tak uparcie tropi wyczerpane przedmioty. Pałał gorączkową namiętnością do piłki baseballowej, aż wreszcie zrozumiał, że tak naprawdę to myśli o Eleanor, że jakaś zgroza, która gdzieś głęboko pod skórą robi swoje, każe mu zbierać rzeczy, gromadzić ruchomości i walory przeciwko mrocznemu widmu jakiejś niepodzwigniętej utraty. Memorabilia. Tym, co pamiętał, tym, co żyło w starej wędzonej skórze rękawicy łapacza, którą trzymał w suterenie, był dotyk jego Eleanor, tak jak oczy żony wyzierały z owalnych fotografii mężczyzn z wąsami w podkowę. Stan utraty, sam jej fakt, faktyczność samotnego długodystansu. Nigdy nie przypuszczał, że będzie kiedyś musiał użyć tego słowa, lecz oto właśnie się nasuwało; przyczajone od lat w jego odludnym mózgu, ujawniało się teraz, żeby przedłużyć stratę.

- Mam guza w kształcie grzyba.
- Aha.
- Mój lekarz mówi o nim „grzybiejąca masa”.
- Nie znam tego określenia.
 - Ja też nie. Nie ma go w słowniku. Wiem, bo sprawdziłem w dwóch. Jak zaczynają sięgać po wyrazy spoza słownika, to znaczy, że mówią nam do widzenia.

Jeździli do Chinatown. Jeździli na drugi brzeg do New Jersey i jedli rybę miecz złowioną harpunem, smaczniejszą niż taka, co udusi się w sieci, jedli ją z oliwą i kaparami, ostatnie znakomite danie rybne na kuli ziemskiej.

- O jednym muszę pana przede wszystkim uprzedzić. Nie mam do końca udokumentowanej tej, jak jej tam.
 - Linii przekazu.
 - Linii przekazu. Nie mam linii przekazu udokumentowanej od samego początku.
- Powiedział mu parę rzeczy o piłce. Obiecał się streszczać.

A potem zaczął się rozwodzić. Zabawiał faceta, bo i czemu nie? A kiedy tak odklepywał różne wypróbowane kawałki i wice, wstawiał wielokrotnie sprawdzone teksty, już widział, co go czeka. Clarice będzie musiała wynająć i przewieźć do mieszkania łóżko szpitalne z wysokimi bokami, żeby się nie sturlał na podłogę. Obcy ludzie przyjdą umyć mu genitalia, imigranci z krajów pokazywanych na kanale podróżniczym, każdy ze swoim własnym życiem, z którego Marvin nie potrafi sobie wyobrazić ani minuty. Zapomni, jak się je, jak się wymawia proste słowa. Jego ciało będzie leżało, usiłując skoordynować wszystkie ruchy potrzebne do tego, żeby zaczerpnąć tchu. W nosie rurka z tlenem, na parapecie banany; Marvin nie cierpi plamistych i miękkich. Clarice mówi coś cichym głosem, przykładając mu do łysej głowy chłodną szmatkę. W porządku, wszystko dobrze, w porządku. Carl w wyprasowanych białych szortach i skarpetkach bez wyrobionej pięty, makler przebrany za chłopczyka.

- Pomówimy o cenie? - spytał głos.

Woda nazywa się woda, ale on nie będzie umiał wymówić tego słowa. Ciało zapomina podstawowe odruchy. Rozmawiał przez telefon z gościem z Phoenix, patrząc na wiszącą na krześle wiatrówkę.

Jeździli na drugi brzeg do New Jersey. Kochali się ze sobą, przyrządzali sałatki. Zanim pojawiły się wyrazy spoza słownika.

Wieczorem zjadł pół melona, któremu w dołek po wydrążonych pestkach włożono kiść winogron. Tak właśnie sprzedawano melony w supermarkecie, zawinięte w przylegającą folię.

5

W szczurzych historiach, które ludzie opowiadają, szczur zawsze jest ogromny. Wlecze brzuchem po ziemi, kawał szczura wielkości kocura, do rymu. Kiedy Nick Shay dorastał, po okolicznych ulicach krążyło sporo szczurzych legend. Nie żeby szczury tak znów często widywano. Słyszało się je w ścianach i na podwórkach, niezatarte półfikcje biegające po dachach w blasku księżyca. Wielgachne szczury o szczurobrunatnym futrze. Siedziały w ściekach, na placach rozbiórki i w wiadrach

z węglem, szeleściły w śmieciach rozrzuconych na wyburzonych parcelach.

Wysiadł z taksówki przed domem matki. Trzydzieści, czterdzieści lat wcześniej jeszcze nie istniała ta wielka brązowa budowla, wysoka i szeroka, której najbardziej rzucającą się w oczy cechą była warowność: parkany i rampy, a tu i ówdzie kamery skośnie zainstalowane na murach.

Dawniej stał w tym miejscu rząd czteropiętrowych czynszówek i właśnie tam Nick zobaczył szczura, mokrego i martwego, na chodniku obok sterty węgla. Miał wtedy dziewięć czy dziesięć lat i gdy teraz taksówka zaczęła pomału odjeżdżać od krawężnika, zdarzenie to przypomniało mu się z całą namacalnością detalu. Po prostu zdechły szczur, ale Nick wyraźnie go widział, czując coś w rodzaju rozdwojenia, foremną przejrzystość, która była skrojona na miarę śmierci i wpasowywała go w tę chwilę. Przypomniła sobie, z jaką uwagą oglądał zwiotczałe ciało, obmierzłe podeksycytowany jego bliskością, i jak widział dyskretną różową kreskę biegnącą spodem ogona, a szczur był bru-natno-szaro-różowo-biały, wszystkie kolory naraz i z osobna, ale jego rozmiary rozczarowały Nicka, więc postanowił powiększyć go w opowiadaniu, dodać mu masy i długości, pianę z pyska i żółte ślepia.

W budce z pleksiglasu siedział mężczyzna. Nick podpisał się w księdze gości, a odzwiertny nacisnął guzik: z bzykiem otworzyły się drzwi do hallu okupowanego przez dzieci, małe i jeszcze mniejsze bawiły się i kłębiły, wrzeszcząc piskliwie wśród gołych ścian. Pojechał windą na jedenaste. Drugiego szczura zobaczył później, jako dwudziestoparolatek, ten drugi też był przeciętnej wielkości, zwykły szczur wędrowny, ale gdy mowa o szczurach, przeciętna wielkość najzupełniej wystarczy.

Drzwi otworzył Matt, jego brat Matty, wciąż jeszcze trochę chłopięcy z wyglądu, niski i krępy, w okularach z grubymi szklami, z grzywką na czole, prosto od fryzjera, na czubku głowy miał odrobinę siwizny, jakby przeszczep. Skończył pewnie czterdzieści pięć lat. Minęło ich już kilka, odkąd się ostatnio widzieli, a i teraz spotkali się jedynie dzięki przypadkowej zbieżności rozkładów jazdy.

Podali sobie ręce i wymienili krzywe uśmiechy przeciwników,

którym tylko nie sprzyjający kontekst nie pozwala nawzajem się zmasakrować.

- Gdzie ona jest? - spytał Nick.

Rozmawiali o swojej matce, o jej lekach i wizytach u lekarzy, temat niby zwykły, ale w pytaniach starszego brata była pewna sztywność, drobiazgowo zainteresowanie i troska - w sumie coś w rodzaju prowokacji.

- Nic jej nie dolega - powiedział w końcu Matt. - Czuje się dobrze, jada i sypia normalnie. Chcesz wiedzieć, jak u niej z wydalaniem, to musisz sam ją zapytać.

- Nocujesz tu?

- Od przedwczoraj. Zdążyłeś całkiem zapomnieć, Nick. Czym jest noc w Bronksie.

Ale Matty już dawno nabrał ciała, zwłaszcza od pasa w górę; jego chłopięcy tors, dawniej jakby ledwie szkic, wypełnił się, a cała postać okrzepla.

- Rano muszę jechać do Jersey, inaczej sam bym ją zawiózł do lekarza - powiedział Nick.

- A co takiego dzieje się w Jersey? Chemiczne odpady zżerają ludziom domy?

- Sprawa osobista.

- Co u Marian?

- W porządku, wszyscy zdrowi.

Pili wodę sodową i raz jeden, raz drugi wyglądał przez panoramiczne okno z widokiem na zachód. El Bronx. Na dachu pobliskiego motelu siedzieli ludzie na leżakach. Nick wyraźnie widział, że to miejscowi, którzy dostali się na ten dach z sąsiedniego domu, taszcząc ze sobą leżaki i gazety. Wiedział, że świadczy to o talencie do szybkiej improwizacji, który pozwala mieszkańcom czerpać przyjemność z niechętnych ulic, ale denerwowało go takie przekroczenie zakazu - kolejny wyłom, kolejny sygnał, że sytuacja w dzielnicy jest coraz bardziej niestabilna i ryzykowna.

- Zabrałem ją do zoo - powiedział Matt. - Ma je zaraz po drugiej stronie ulicy, ale pierwszy raz od dwudziestu lat udało mi się ją tam zaciągnąć. Właściwie siłą wywlokłem ją za drzwi.

- Przyjechałeś tu z misją.

- Mówi, że w telewizji ma więcej zwierząt, niż potrzebuje.

Nie potrafiłem jej wytłumaczyć, po co są człowiekowi żywe, prawdziwe stworzenia.

- Zabieram ją stąd - oświadczył Nick.
- Naprawdę?
 - Do Phoenix. Naprawdę. Nie widzę powodu, żeby tu dalej siedziała.
- Ma tu przyjaciół. Przecież wiesz.
- Wiem? Ilu? Jakich?
- Do Phoenix - rzekł Matt.
- Ilu ma przyjaciół?
 - Ostatnio nie robiliśmy spisu. Ale gdyby chciała, sami chętnie byśmy ją do siebie wzięli.
- Nie macie miejsca.
- Właśnie że mamy - odparł Matt.
 - Słuchaj. Nie macie miejsca. A my mamy. Klimat też u nas lepszy.
- Aha, klimat.
- W jej wieku to ważne.
 - Janet jest pielęgniarką. Chcesz się licytować? Janet jest pielęgniarką.
- Głupia rozmowa.
 - Jasne, że głupia. Właśnie dlatego ją prowadzimy - powiedział Matt.

Nick znowu stał przy oknie.

- Po co w takim miejscu urządzili motel?
- Nie wiem.
 - Centrum seksu i narkotyków. Bo i po co innego by tu był? Albo służy bezdomnym. Schronisko dla bezdomnych. Teraz umieszcza się ich w motelach.
 - Jej się tu podoba, Nick. Przecież to jej życie, do tego przywykła. Ma tu swój kościół, sklepy, wszystko swojskie. I przyjaciół, którzy jeszcze żyją. Spytaj, niech ci pokaże listę.
 - Ty nic nie wiesz. A ja wiem. Ten motel służy temu wszystkiemu, co się w tej dzielnicy dzieje.

Nick poszedł do kuchni i zaczął otwierać szafki. Sprawdził, co jest pod zlewem. Dzieci jeździły po korytarzu rowerkami na trzech kółkach. Znowu nalał sobie wody sodowej i wrócił do salonu. Z korytarza słychać było rowerowe dzwonki.

- Co u Janet? Wszystko w porządku?

- Usunęli jej guz spod pachy.
- Mówiłeś mi w ogóle, że go ma?
- Teraz już w porządku. Jest zdrowa. Dzieci też zdrowe.
 - Guzy na każdym kroku. Każdy sprawdza, czy przypadkiem ich nie ma.
 - Niedawno czytałem gazetę i pomyślałem o tobie - rzekł Matt. - Pamiętasz te maszyny, które dawniej stały w sklepach z butami? W wysokich obudowach, trochę jak stare radia, tyle że ze szparą u dołu.
- O Jezusie, rzeczywiście! Nie przyszło mi do głowy.
 - Sprzedawca wkładał dziecku buty, a dziecko podchodziło do maszyny i wsuwało stopy w szparę.
 - Nie myślałem o tych maszynach, odkąd skończyłem... zaraz, ile to lat? Przestali je produkować.
 - A potem sprzedawca zaglądał w wizjer na górze i widział stopy dziecka, jakby buty były przezroczyste.
- Sprawdzał, czy pasują - wtrącił Nick.
 - Zgadza się. Otóż taka maszyna to był fluoroskop, naświetlał but i stopę promieniami rentgena, to się nazywa transmisja różnicowa i daje cieniasty, zielonkawy obraz. Ledwo pamiętam, jak Jimmy kupował ci kiedyś buty, a potem mnie podniósł, żebym mógł zajrzeć do maszyny i zobaczyć twoje stopy w butach, a w stopach kości.
- Pytanie, gdzie są teraz te buty.
 - Nie, pytanie brzmi, czy zrobiłeś to dość wiele razy, żeby sobie uszkodzić tkankę kostną, bo przecież tak naprawdę to ta maszyna kapała ci stopy w promieniach gamma. Usłyszeli, że klucz obraca się w zamku.
- Mam zdrowe stopy - powiedział Nick.
- Toś mnie uspokoił.
 - Ale tak czy owak dziękuję, że mi napędziłeś strachu. Kiedyś ci się odwdzięczę.

Rosemary Shay weszła do mieszkania, niosąc w obu rękach torby z zakupami, pochylona całym ciałem w stronę cięższej. Zobaczyła, że przyjechał Nick. Stała i spojrzała na niego żywo, badawczo. Zawsze tak mu się przyglądała, szukając w nim jakiegoś znaku, zmiany. Podszedł do niej, żeby odebrać sprawy. Twarz miała prawie całą pomarszczoną, fałdy i zakładki ze zmarszczek, nad ustami pergaminowe pliski. Dłonie stare,

smukłe i spracowane, z mlecznoniebieskimi żyłami oplatającymi pokancerowane knykcie.

Odebrali od niej torby, narzekając, że za mało daje sobie pomagać. Przestrzegali przed nadwężeniem kręgosłupa i wyczerpaniem od upału. Kazała im milczeć i spróbowała odebrać zakupy, kolejne paczki przechodzące z ręki do ręki. Nick objął ją, śmiejąc się, a ona w jego ramionach poczuła, że nic jej nie przekona.

Jedli i rozmawiali, brali dokładki, kukurydzę w kolbach i ogromne pomidory, które sklepikarz trzymał na zapleczu dla ulubionych klientów, hodował je na własnym podwórku na City Island - stary, głęboki smak pomidora, pełen lata, krwiście maślany i lubieżny.

- Powiedz mu o tej posiadzie - rzekła Rosemary.
- Nic go to nie obchodzi.
- Jest twoim bratem. Powiedz mu.
- Znowu zmieniłeś pracę? - spytał Nick.
- Tak. Instytut badawczy.
- Czyli żadna zmiana.
 - Tym razem to co innego. Czysto bezinteresowna działalność. Opracowujemy projekty rozwoju opieki zdrowotnej i bankowości dla krajów Trzeciego Świata.
- Cacy-cacy.
 - No właśnie - z radością przytaknął Matt. - Produkuje papier. Palimy fajki, przynajmniej ci z nas, którzy palą.
- Jajogłowi - powiedziała Rosemary.

Pozwolili temu słowu zawisnąć na chwilę nad sałatką. Matt rok po roku, etat po etacie oddalał się od badań naukowych, które prowadził w latach siedemdziesiątych, a których dokładnego charakteru Nick nie ogarniał: wiedział tylko, że jest to posada państwowa - poufne zadania i dalekie adresy. Nie żeby tak znów bardzo chciał dotrzeć do Matta. Po prostu dziwnie się poczuł, kiedy dla odmiany młodszy brat nabrał wody w usta i ociągał się z odpowiedziami.

- Mój syn uczy się grać. Jeffrey.
- W co? - spytał Matt.
 - W co? A niby o czym miałbym ci opowiadać? W to samo, co ty.

- W to samo co ja.
- Rozgrywa partie z komputerem. Ma w nim szachowy program z opcją cofania ruchu, więc może odwoływać co głupsze ze swoich posunięć.

Matt nic nie odpowiedział.

Koty wyszły z kryjówek. Owijały się wokół nóg krzeseł, przężyły grzbiety, ocierając się ludziom o łydki, falowały w podstolnym labiryncie, wklęśte rozkołysane i rozziwane, z wypiętymi tyłkami.

- Mamy dla ciebie miejsce - powiedział Nick do matki.
- Skąd się nagle wzięło?
 - Zawsze było. Przecież wiesz. Od dawna czekamy, aż powiesz, że jesteś gotowa.
 - Ale nie jestem. Mamy jeszcze deser. Komu kawy? - spytała.
 - Mam bez kofeiny. Wiem, że Matty taką pije.

A potem opowiedziała im, jak Jimmy działał w śródmieściu. Mówiła o tym przy kawie, a oni pograżyli się we wspólnym, namiętym zasluchaniu, w jakie nie zdołałby ich wprawić żaden inny temat. Właśnie ten wątek pozwalał im wciąż jeszcze być rodziną, pomimo wszystkich zamknięć i oddaleń - wątek ojca w jego utraconej chwale, przyjmującego zakłady.

- Zabawne, a raczej dziwne było to, że pierwsi zaczęli u niego obstawiać policjanci. Był pomocnikiem hydraulika w hotelu „New Yorker”. Potem przenieśli go do biura ochrony, parę razy nawet tam zajrzałam, bo spędzaliśmy wtedy ze sobą dużo czasu, to było wielkie, głośnie biuro przy wejściu dla dostawców, a szef ochroniarzy wyznaczył kąć miejscowemu bukmacherowi, żeby mógł co rano przyjść i poprzyjmować zakłady. Kazał sobie za to płacić, ale na pewno bardzo umiarkowanie. Bukmacher szybko dał Jimmy'emu robotę gońca. Jimmy był zachwycony. Wypłacał wygrane tym, co trafili, zbierał pieniądze od przegranych. Co dziennie robił obchód, po całej dzielnicy odzieżowej. Był zwinny, zawsze umiał zrobić unik, kiedy chłopcy pchali wieszaki na kółkach. Zaczął trochę dorabiać na własny rachunek, na boku - mówiło się, że „siada na zakładach”. Uważnie wybierał, stawka tu, stawka tam. A często zarabiał właśnie na policjantach. No więc mamy ochroniarzy, policję i co jeszcze? Raz na miesiąc jeden tajniak, tak zwany torbiarz, szedł do sklepu samochodowego braci Solomonów, brał pieniądze za ochronę i rozdzielał

je po całym komisariacie. Czyli forsa płynie we wszystkie strony i wszyscy są zadowoleni. Cała dzielnica grała w totka u braci Solomonów, Arthura i tego drugiego, nie pamiętam, jak mu było, aha, Arthur i Bernie, obaj nosili szykowne garnitury i mieli łożę na Polo Grounds, znali zawodników i estradowców, a Jimmy w końcu wyrobił sobie własną klientelę, bo ludzie wiedzieli, że nie nawali, a Solomonowie płacili mu osiemdziesiąt dolarów tygodniowo, to było już po twoich narodzinach - zwróciła się do Nicka - i po tym, jak już raz mnie rzucił, plus premia za zyskowny miesiąc.

- Ale kto pilnował, żeby inne szajki od hazardu nie pchały się do koryta? - spytał Matt. - Przecież jacyś tam dwaj samochodziarze by sobie z tym nie poradzili? Pewnie sprowadzili prawdziwych gangsterów.
- Nie musieli. Płacili policji za podwójną ochronę. Po pierwsze za to, żeby pozwoliła im działać. A po drugie, żeby tępiła konkurencję. Jak tylko konkurencja się pokazywała, komenda główna albo dzielnicowa spuszczała jej na łeb karzący miecz.
- Pogromcy gangsterów.
 - Jak prawdziwi pogromcy gangsterów. I właśnie o tym chciałam opowiadać, nim się zaplątałam w drobiazgi. O aresztowaniach. Policja musiała nieraz aresztować nawet tych bukmacherów, którzy ją opłacali. No bo były na nią różne naciski, ludzie składali zażalenia, uczciwi obywatele, rozumiecie, albo przychodziły skargi prosto z ratusza. Więc czasem kogoś aresztowano, jak to się mówiło, na odczepnego. Sierżant przeproszał, wpisywał delikwenta do rejestru zatrzymanych w komisariacie na Trzydziestej, potem zgłaszałeś się na Centre Street, a tam już czekał adwokat Solomonów, i mówiłeś: przyznaję się do winy, Wysoki Sądzie, płaciłeś dwadzieścia pięć dolarów grzywny i jazda z powrotem do roboty. A tego dnia, kiedy się urodziłeś - powiedziała do Matta - waszego ojca aresztowali aż dwa razy. Coś im się w komisariacie poplątało. Aresztowali go rano, a jak wreszcie wyszedł, to przyjechał metrem do Bronksu, bo ja tu leżałam w szpitalu, gotowa rodzić. Dzień był duszny, parny, a ojciec wszedł na salę, otarł mi czoło, powachlował mnie kuponem wyścigów i spytał: Urodziłaś już? - a po chwili powiedział, że musi się zobaczyć z jednym facetem, bardzo ważna sprawa, zaraz wróci, pojechał do śródmieścia i znów

go aresztowali, inny gliniarz, za biurkiem ten sam sierżant, nie wiem, czy sędzia też ten sam, a kiedy wrócił do szpitala, to po tym całym bieganiu i jeżdżeniu metrem w taki upał wyglądał jeszcze gorzej niż ja, ale nie doczekał się ode mnie współczucia, zapewniam was.

- Interesujący dzień - stwierdził Matt.
 - Komedia, że boki zrywać, tylko nie mieliśmy kogo nią bawić, bo przyjmować zakłady jeszcze od biedy uchodziło, ale dać się za to aresztować to już było gorzej widziane, więc aż do dziś nigdy nikomu nie opowiadałam tej historii.

Nick uważnie przyglądał się matce, chłonąc każdy jej gest i wyraz twarzy. Głębię w jej oczach: Rosemary prowokowała synów, żeby odczytali sens tej głębi - zgrzyotę, jątrzący ból utajony w dobrotliwej opowieści. Głos matki, rzeczowo nośny, z samogłoskami przeciągniętymi i nieco spłaszczonymi, głos dawnych ulic, stara plebejska pieśń przeniesiona współcześnie na bliskie przedmieścia, i jeszcze ten z lekka irlandzki zaśpiew, który wywabiał jej melodię z jakiegś otchłani dzieciństwa.

Z ulicy dobiegł hałas, podrasowany głośnik z jakiegoś auta bombardował noc muzyką, auto całe było dźwiękiem, bombą dźwiękową na kołach, więc Nick rzucił ostre spojrzenie bratu, lecz ten wzruszył ramionami i kpiąco się uśmiechnął.

- Chciałby cię posadzić na patio, mamó - powiedział.
 - Rzęsiste światło gwiazd. Sylwetki kaktusów w blasku księżycy.
- Wyobraź sobie mnie i kaktusy.
 - Żadnych hałasów z ulicy. Tam za hałasowanie trafia się do aresztu. Jak masz bałagan na podwórku, to dzieci sąsiadów nie zechcą rozmawiać z twoimi dziećmi.

Nick czekał, aż matka znów się odezwie. Gotów był przyjąć wszystko, co w niej się działo, całą przeszłość, która nieustannie się dzieje, i każdą mijającą minutę, i to, co Rosemary czuje, kiedy się drapie w grzbiet dłoni, naciąga luźną skórę i dopiero się drapie. Starał się usłyszeć szelest jej życia, bzyk muchy w pokoju samotnie mieszkającej kobiety.

O kostkę u nogi otarł mu się jeden z kotów, rudy kocur, którego Rosemary znalazła na ulicy. Nick odtrącił go i nalał wszystkim kawy.

Siedzieli przy stole, rozmawiając półgłosem. Rosemary była w sypialni, a oni rozmawiali, rozdzieleni talerzami, filiżankami i smugą rozlanego mleka.

- Gdzie śpisz?
- Ścieleś sobie na kanapie - odparł Matt. - A ty?
- Na Park Avenue South. W „Doralu”. Przyjechałeś **autem**?
 - Przyleciałem wahadłowcem. Powiedz mi, ale serio. Naprawdę chcesz ją do siebie zabrać?
- Bardziej niż kiedykolwiek.
- Musisz zrozumieć, że ona się nie boi. Żyje tu sobie swobodnie. Ludzie ją znają. Szanują. W dzielniccy wciąż jeszcze toczy się życie.
- Mów ciszej.
- Mam mówić ciszej.
- Widziałeś korytarze? - spytał Nick.
- Korytarze. Te korytarze? Które korytarze?

Matt ustawił kilka talerzy jeden na drugim i zaniósł je do kuchni.

- Słuchaj. Stań przy windzie. Spójrz w lewo. A potem w prawo. Co widzisz?
- Nie wiem. A co mam widzieć?
 - Widzisz najdłuższy, najsmutniejszy, najstraszniejszy, najbardziej przygnębiający... znasz to uczucie?
- Przecież to tylko korytarz - rzekł Matt.
 - Ale to uczucie. Koszmar z jakiegoś stalinowskiego... no dobra, przesadzam.
- To tylko korytarz. I przeważnie roi się w nim od dzieci.
- Mów ciszej.
 - Słuchaj, masz sporą wprawę w wymyślaniu urojonych faktów, które w twoim pojęciu zdarzyły się albo właśnie się zdarzają. To całkiem do ciebie podobne.

Ilekoć Nick patrzył na brata, czuł, że najchętniej dałby mu w zęby. Powód był zawsze ten sam - ojciec, nie matka. Głęboka dysharmonia, odwieczne ścieranie się sprzecznych woli, nieprzejednanie zawarte w samej idei braterstwa.

- Nikt po niego nie przyszedł, Nicky. Nikt go nie wywłócił z domu i nie wywiózł. Odszedł głównie przez nas. Nie chciał być ojcem. Już samo małżeństwo było dla niego fatalnym układem, co za brzemię, rozumiesz, tyle zobowiązań i rozmaitych

sytuacji, z którymi sobie nie radził. Jimmy był samotnikiem, że się tak romantycznie wyrażę, ale wyjątkowo ciężkim przypadkiem, chorobliwie zaprzątniętym sobą, nie przez próżność ani głupotę, tylko z powodu jakiegoś lęku, wrodzonego punktu widzenia, klaustrofobicznej wizji świata, równoważnej lękowi. Właśnie dlatego nie potrafił spojrzeć na ludzi inaczej niż na żywy balast, drobne mgliste kształty zakłócające mu samotność, twardość jego jestestwa. Powinien był wstąpić do francuskiej legii cudzoziemskiej, kiedy miał dwadzieścia lat. Nie żebym chciał się wyrzec własnego istnienia. Ale szczerze i realistycznie biorąc. To właśnie powinien był zrobić.

- Strasznie dużo wiesz. Skąd aż tyle się dowiedziałeś?
 - Ona mówi mi różne rzeczy. Tobie nigdy się z takich nie zwierzała.
- Patrzę na ciebie, kiedy to mówisz.
- Patrzysz na mnie.
- Żebyś wiedział.
- I masz tę swoją minę.
- Owszem, mam.

Matt stał przy zlewie i zmywał naczynia, puszczając z kranu ciekłą strużkę wody, bo inaczej nie słyszeliby się nawzajem, i nie odwrócił się, żeby sprawdzić, jaką minę ma brat.
- Narobił sobie kłopotów. Trafił go jakiś lepszy snajper, który postawił spory szmal na czarnego konia. Jimmy działał już wtedy na własną rękę, niezależnie od Solomonów. Wiem nawet, jak ten koń się nazywał.
- Cholernie dużo wiesz. Ciekawe, dlaczego w ogóle nie robi to na mnie wrażenia.
- I wtedy miarka się przebrała, Jimmy nie wytrzymał presji i musiał odejść.
- Słuchaj. Nie mogę się połapać. Wytłumacz mi. Najpierw odchodzi przez nas. Potem odchodzi, bo ktoś trafił czarnego konia i ojciec nie mógł się wypłacić.
- Terra Firma. Jimmy nie przekazał tego zakładu bukmacherom, którzy poradziliby sobie z taką sumą. Może przyjął zakład w ostatniej chwili i już nie zdążył go przekazać.
- I ty to wiesz, a ja nie?
- Ona cię chroni.

- Słucham cię, kurwa, kompletnie bez wrażenia. Ciekawe dlaczego.
- Nie było tu żadnego dramatu, żadni faceci nie wepchnęli go do auta i nie odjechali z piskiem opon. Był winien forszę i nie miał z czego oddać. Działał na małą skalę. Płacił dziesięć dolarów tygodniowo producentowi guzików za pomoc w rozliczeniach. Obracał drobnymi sumami.
- Słuchaj. Może mi powiesz, że człowiekowi nic nie grozi, kiedy jest winien pieniądze i nie ma z czego zwrócić? A jeszcze w takiej dzielnicy?
- W jakiej znowu dzielnicy? Słyszałeś, co powiedziała. Nie potrzebowali goryli.
- Nie, bo mieli gliniarzy w kieszeni. Ale w takiej sytuacji to za mało.
- Odszedł, zanim zdążyła powstać jakakolwiek sytuacja. Już od lat stał jedną nogą za drzwiami. Słyszałeś, co powiedziała. Już raz ją przedtem rzucił. Szukał pretekstu, żeby ją rzucić raz na zawsze.
- Wiesz to wszystko. A ja nie wiem. I, o dziwo, nie robi to na mnie wrażenia. Pomóż mi. Wy tłumacz.

Matt zakręcił kran i spojrzął na brata, który siedział pochylony nad stołem.

- Popęłnił coś, co dla Włocha jest niewyobrażalną zbrodnią. Porzucił swoją rodzinę. Włosi nie mają nawet określenia na taki czyn.
- Wcale nie porzucił. Przyszli i go zabrali.
- Wierz w to dalej - rzekł Matt.

Odkręcił kran i z gąbką w ręku mył i spłukiwał naczynia. Wróciło auto, grajstwo wielkości auta, wznecając na ulicy burzę sprężen. Nick całym ciężarem oparł się o stół, spojrzenie miał rozleniwione, spuścił głowę i lekko rozchylił usta w drętym uśmiechu. Wyglądał, jakby przed wieloma godzinami zaczął pić, z mocnym postanowieniem, że dojdzie do stadium pełnego wyluzowania.

Milczeli. Matt umył i wytarł talerz, a potem szukał dla niego w szafce właściwego miejsca. Auto odjechało wreszcie. Nick wstał. Zebrał wszystko ze stołu i zaniósł do kąta, w którym wydzielona była kuchnia. Nie tyle szedł, ile sunął. Ruchy miał ociężałe, ospałe i posępne.

- Ma tu swój kościół - powiedział Matt.
- Co?
- Ma tu swój kościół. Swojego księdza.
- Znajdziemy jej nowy.
- To już nie będzie to samo.
 - Wcale nie chcemy, żeby było to samo. Ma być inaczej. Właśnie o to chodzi.

Matt podał mu szklankę do wytarcia. Przez chwilę pracowali w milczeniu: zmywali, wycierali i odstawiali do szafek, odnajdując właściwe miejsce dla każdego przedmiotu.

- Jak idzie interes ze śmieciami?
 - Kwitnie. Śmieciarski interes. Rozwija się z minuty na minutę.
- Nie wątpię.
 - Nie nadążamy z zakładaniem wysypisk, kopaniem gigantycznych jam.
 - Jeździsz w teren? Oglądasz je z bliska?
- Czasem się przejadę i z daleka zrobię inspekcję.
- Wąchasz?
- Zdarza się, owszem.
 - Widujesz szczury? Takie wysypisko to musi chyba być cała szczurza planeta.

Nick znalazł w szafce miejsce na talerzyki od deseru.

- Opowiadałem ci kiedyś o tym szczurze ze śródmieścia?
- Chyba nie - odparł Matt.
 - Myślałem o nim, kiedy tu jechałem. Miałem randkę, poszliśmy z dziewczyną posłuchać jazzu, Charlesa Mingusa. Niech no pomyślę. Mieszkałem wtedy chyba w Pał Alto, redagowałem podręczniki. Przyjechałem na konferencję. Miałem może ze dwadzieścia sześć lat. Dziewczyna była Niemką, studiowała filozofię, tak, i była trochę w typie, teraz dopiero sobie uświadamiam, że sprawiała wrażenie, jakby była materiałem na terro-rystkę, no więc poszliśmy posłuchać Mingusa gdzieś na Hudson Street, a Mingus stał, kołysał kontrabasem i wściekle spoglądał w stronę kasy za każdym razem, kiedy zabręczczała. Był wysoki i barczysty, wyglądał jak trzech facetów w jednym garniturze. Odprowadziłem ją do domu, przeszliśmy kawał drogi piechotą w poprzek Manhattanu, a potem trochę na południe, no i jesteśmy na miejscu, przed drzwiami suterenu w starej kamienicy,

i wchodzimy do środka. Ledwie weszliśmy za próg, dziewczyna zapala światło. A tu nagle szczur. Stoję i myślę... no, coś tam sobie myślę. Między innymi o seksie, trudno zaprzeczyć. A tu nagle szczur. Widzę, lezie pionowo po ścianie. Biegnie po niej, wyjątkowo ogromny, i wydaje ten dźwięk, jeszcze teraz go słyszę, jakby nieboszczyk gwizdał. A moja dziewczyna. Moja dziewczyna mówi coś po niemiecku, łapie coś ze stołu i zaczyna gonić szczura. Stoję jak wryty. Sparaliżowany zamrożoną żądzą. Żądza zamarzyła mi w łędźwiach. A moja dziewczyna leci przez pokój i rzuca się na szczura.

Matt wetknął mokrą filiżankę w ścierkę do naczyń, którą Nick trzymał w ręku. Starszy brat widział, jaką przyjemność sprawia młodszemu to, że zaproszono go do udziału w przygodzie, uraczono detalami niesławnego zdarzenia. Wszystko razem zyskiwało tym więcej wymiarów, stawało się tym rzadszą i słodsza gratką, że narrator pozwalał, aby do jego przytomnej osoby przylgnął pewien element głuptactwa, pech czy też oślizgły wstyd.

- A szczur zbiega po ścianie z drugiej strony i śmiga do łazienki, jak zabawka na sznurku, ale tysiąc razy szybciej. Fenomenalny szczur, wielki i błyskawiczny, a moja dziewczyna leci za nim i wymachuje tym czymś, co wzięła ze stołu, dotąd nie wiem, co to właściwie było. Zapala światło w łazience i wbiega tam. Ja, szczerze mówiąc, czuję się trochę zaniedbany. Ale mniejsza z tym. Stoję, jak stałem. I zadaję sobie pytanie: co się dzieje z moją jazzową randką? Rozlazła się w szwach, zamieniła w polowanie na szczura. A wtedy dziewczyna wystawia głowę z łazienki.

Matt wpatrywał się w twarz brata, wtórując jego opowieści ruchem warg, zawczasu przewidując kolejne słowa, zmieniając minę, ilekroć zmieniał ją Nick.

- Stoję jak najdalej od drzwi łazienki, jeszcze krok, a nie dałoby się powiedzieć, że w ogóle jestem w mieszkaniu. Drzwi wejściowe są otwarte. Dziewczyna walczy w łazience ze szczurem, słyszę ten jego makabryczny gwizd. A ona wygląda z łazienki i woła: To nie do uwierzenia! Już dwa razy zabijam ten pierdolowany szczur! Specjalną trutką z czaszkami! A on znowu tu jest! To powiedziawszy, znika w łazience i dalej z nim wojuje. A ja czuję, że jestem do niczego. Spać z taką? Nie mam

prawa być z nią w jednym mieście. Słyszę, jak szczur biegnie po wannie. Słyszałeś kiedyś ten tupot? Mówię ci, stary, coś okropnego.

Matt dławił się z rozkoszy. Z gardła wydobył mu się jakiś dźwięk, mimowolny dygot. Nick dokończył opowieść: szczur zgrabnie przecisnął się przez otwór wentylacyjny w ścianie, wieczór diabli wzięli. Bracia wypili jeszcze po filiżance kawy, a potem młodszy znalazł książkę telefoniczną i zamówił taksówkę. Nick stał w salonie przy oknie. Patrzył, czy po dachu motelu nie chodzą kurwy w rajstopach ze spandeksu.

Włosi. Siedzieli na schodkach przed domem, z papierowymi wachlarzami i oranżadą. Sami stwarzali własny świat. „I kto jest lepszy ode mnie?” - mówili. Nigdy nie umiała tak powiedzieć. Potrafili siedzieć na schodkach, mówić takie rzeczy i cieszyć się życiem. Wspominając minione dziesięciolecia. Widziała kobietę, która wachlowała się czasopismem, wyglądało jak encyklopedia powiewów, księga wszelkich powiewów, jakie kiedykolwiek gdziekolwiek wionęły. Miasto odurzone skwarem. Konie padające na ulicach. „Kto jest lepszy ode mnie?”

Słyszała, jak w drugim pokoju rozmawiają.

Chce mnie zabrać do zoo, bo tam są prawdziwe zwierzęta. Powiedziała mu, że to tylko zwierzaki z zoologu. Zwierzaki, które żyją w Bronksie. W telewizji mogę oglądać zwierzęta w lesie tropikalnym albo na pustyni. Więc co jest prawdziwe, a co na niby, i to go rozśmieszyło.

Byłoby źzej, gdyby mogła uwierzyć, że zasłużyła. Odszedł, bo była bez serca, głupia, wybuchowa, źle prowadziła dom, była źłą matką, oźiębią kobietą. Nie potrafiła jednak wymyślić wiarygodnej fabuły, w którą dałoby się wpasować chociaż jeden z tych pretekstów.

Ale była między nimi taka słodka bliskość, kiedy szeptem opowiadał jej o hazardzistach i o policji, kiedy leźeli w łóżku we dwoje, mówił o dniach, które spędzał wśród szefów z branży odzieżowej i gońców hotelowych. Rozśmieszał ją, opowiadając te historyjki w nocy, najpierw się kochali, a potem opowiadał jej szeptem, kiedy leźeli przytuleni w łóżku, i choćby był bez

grosza, z płótnem w kieszeni, to i tak zabawiał ją w nocy tymi śmiesznymi, pokręconymi historyjkami.

Z wolna pogrążyła się we śnie, więc zaczęła odmawiać *Zdrowaś, Mario*, jak zwykle przed zaśnięciem. Tylko że teraz nie zawsze była już pewna, czy ostatnie *Zdrowaś Mario* odmówiła wczoraj wieczorem, czy przed dwiema minutami, więc powtórzyła modlitwę w kółko, raz za razem, bo czas jej się płatał, a nie chciała zasnąć w niepewności, czy się rzeczywiście pomodliła.

Materialnie powodziło jej się lepiej niż większości znajomych, bo synowie o nią dbali. Miała ładniejsze meble, mieszkanie w bezpieczniejszym domu, lekarzy na każde zawołanie. Posłali ją do ginekologa, dzwoniła Janet, a potem Marian, kobiety wszystkich krajów, hura. Ale wciąż nie umiała powiedzieć: „Kto jest lepszy ode mnie?”

Trafił jej się Włoch bez rodziny, chłopak zjawił się prosto znikąd, jak cień, który się oderwał od ściany. Z początku jej nie przeszkadzało. Nawet to lubiła. Wcale nie chciała, żeby nachodzili ją krewni z ciastem w białych pudełkach. Podobała jej się jego smukłość, brak przywiązań. Ale kiedy stopniowo zobaczyła, co się za tym kryje. W smągłym ciele mężczyzny został tylko chłopiec otoczony pustką, mały cwaniak, który lada chwila wyczerpie resztkę cierpliwości losu.

Zasnęła wreszcie, a po pewnym czasie zbudziła ją muzyka z auta. Znów usłyszała ich głosy, zamykanie drzwiczek od szafek.

Nie okazywała miłości. To znaczy okazywała, ale za mało. Nie potrafiła. Ale po części sam do tego doprowadził. Im bardziej go kochała, tym bardziej się bał. W jego oczach widać było strach, kiedy nocą opowiadał jej śmieszne historyjki.

Słyszała, jak otwierają i zamykają szafki. Przecież nigdy nie wiedzieli, gdzie co stoi. Więc niby skąd mieliby teraz wiedzieć? Niedorajdy. Podrapała się po grzbiecie dłoni, zawzięcie, i jeszcze raz powtórzyła *Zdrowaś Mario*, bo może jednak ostatnio odmówiła tę modlitwę zesłej nocy.

Tak ją wychowano. Idź na mszę, słuchaj rodziców, wyjdź za chłopaka pracowitego, zwyczajnego jak bułka z masłem. A zakonnice mówiły: jesteś dzieckiem Maryi i nie musisz go całować. Ale on nie był zwyczajny, więc go całowała.

Niezdorna była myśl, że Nick może mieć jednak rację. Przyszli jacyś i go zabrali. Jimmy byłby wtedy niewinny. Nick wierzył w to od małego. Ale kto wie, czy druga ewentualność nie była jeszcze gorsza, czy jeszcze gorsza nie była prawda. Że obyło się bez przemocy.

Zasnęła, a potem się obudziła. Zaczęła nasłuchiwać i po chwili odgadła, że Nick wyszedł, a Matty się położył, posłuchała jeszcze odgłosów ulicy i pomyślała o zwierzętach w klatkach i na wybiegach, o lwach przy Boston Road, które pokaszają nocą.

Znowu pokazywali ten film wideo, ale Nick nie patrzył. Stał w oknie hotelu i spoglądał na auta bezszelestnie sunące ulicą, na rzadki ruch uliczny w sodowym blasku latarni.

Czekał, aż ktoś z obsługi przyniesie mu do pokoju brandy.

Wrócił od matki taksówką, którą szofer przez całą drogę prowadził lewą ręką, facet z Dominikany, w siatkowej koszuli, wyprostowaną prawą rękę trzymał na oparciu siedzenia. Opowiedział Nickowi o zabójstwach taksówkarzy ze świeżej emigracji, ostatnio często się zdarzają, conocny hazard.

Nick nie lubił kotów. Kiedy skłoni ją, żeby się zgodziła, koty trzeba będzie pościć na emeryturę.

Okradną cię i zabiją albo okradną i dadzą żyć, a mogą też kazać gdzieś się zawieźć bardzo szybko i jeśli zechcą, to zapłacą.

Spokojnie sobie żyję w niepozornym domku na przedmieściach Phoenix.

Kiedy skłoni ją, żeby się zgodziła, będą mogli do woli razem wspominać.

Dał mu suty napiwek. Ile daje się napiwku facetowi, który przyjmując zlecenie, naraża własne życie? Nick był pewien, że wynagrodził go hojnie, szczerze, ale nie do śmieszności, nie żeby aż zdradzić się ze swoją nietutejszością.

Spojrzał na ekran telewizora, gdzie bliska była chwila, kiedy kierowca macha ręką, to zwięzłe machnięcie znad kierownicy, i dalej czekał, aż ktoś z obsługi zastuka do drzwi.

6

Kiedy Matty był całkiem mały, jego brat siadał na nocniku i głośno czytał komiksy przed publicznością kajtków, czyli dzieci z sąsiedztwa, cztero- czy pięcioletków zostawionych rzekomo pod opieką kogoś z dorosłych, kto miał być gdzieś niedaleko, a Matty stał w drzwiach, gotów zawołać: „Orient!”, bo taki ustalili okrzyk ostrzegawczy; no więc Nick siedzi na nocniku i czyta im *Kapitana Marvela* albo *Tarczowników*, spodnie ma spuszczone do kolan, obwiśnięte, odstawiał przy tym bardzo żywe dialogi, deklamował i gestykulował, udało mu się nawet wypracować inny tembr głosu do ról złoczyńców, a inny do kobiecych, no i ten dźgający zniecka, nieziemski pisk, z jakim auta gangsterskie brały nocą ostre wiraje, aż dzieci czasem się bały, z taką pasją to wszystko przedstawiał, a potem robił krótką pauzę, żeby puścić balasa, który lądował w wodzie z pluskiem, z chłupotem, z najśmieszniejszym spośród odgłosów natury, a po twarzach słuchaczy przebiegał wyraz uszczęśliwionego zdumienia, bo dźwięk ten sprawiał im najbrzydliwszą rozkosz, lepszą niż wszystko, co Nick mógłby wyczytać z pookienkowa-nych stron.

Matt przeszedł się po dzielnicy, żeby zobaczyć swój dawny dom pod sześćset jedenastym, a po drodze zastanawiał się od niechcenia, kto też zajmuje teraz ich stare mieszkanie na drugim piętrze, jakim mówi językiem, ile kłębi się tam umęczonych żywotów, ale głównie myślał o tym, jak dziewięcioletni Nicky dosiadał stolca chwały. Któż inny czytałby im komiksy, odgrywając tętniące życiem dramaty zatwardziały zbrodniarzy i szybkonogich bohaterów?

Poszedł odwiedzić Bronziniego, swojego dawnego nauczyciela szachów, uroczego człowieka i wcale nie tak znów chętnego mentora. Bronzini mieszkał teraz w smutnym domu, w którego sieni rozmaite okazy miejskiej fauny pozostawiły swój trop: malunki sprejem, szczyny, plwociny, plamy jakiejś ciemnej substancji, pewnie krwi. Winda nie działała, więc Matt wszedł pieszo na czwarte. Dziecięcy sandał na podeście przed drzwiami. Matt zapukał, zaczekał. Wyczuł gałkę oczną po drugiej stronie wizjera i pomyślał o własnej ulicy i domu, o życiu komputerowego suburbium, toczącym się w szczelnych enklawach z dała

od autostrady, tak zlokalizowanych, żeby zniechęcić przybysza, o narożnym sklepie, w którym można dostać jedenaście gatunków rogalików i dwadzieścia siedem rodzajów kawy, ale to nie wiedzieć czemu i tak nigdy nie wystarcza, i o tym, jak żył, zanim tam się przeniósł, o broni, której zagadnienia studiował i pomagał ją doskonalić, o przeżyciach na pustyni, zupełnie oderwanych od rdzennej rzeczywistości w porównaniu z tym, czego doświadcza człowiek po drugiej stronie wizjera - myślał Matt -kiedy patrzy, jak wszędzie wokół na jego rodzinnej planecie postępuje zniszczenie. Bronzini uśmiechał się samymi oczami, musującymi ciepłem, w którym była ochoczość, pragnienie, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. To mu jeszcze zostało: ciekawość. Na oko wydawał się za stary, zbyt szczupły, zamiast twarzy miał tylko kanciasty zarys, jakby szkic dawnego wizerunku -trójwymiarowego Bronziniego z wmalowanymi kolorami. Wokół nie strzyżonych wąsów jeżył się kilkudniowy porost szpakowatej szczeciny, więc Matt pomyślał, że gospodarz łapczywie uczeplił się starości, oddał jej się z czymś w rodzaju brawurowej akceptacji.

- Proszę, tylko nie pan. Mów mi Albert. Dobrze wyglądasz. Zmężniałeś. Jestem zdumiony. Dawniej, pamiętam, byłeś chudy jak zapalka z ognistym łebkiem.

Widocznie zapomniał mniej dawne spotkania. Siedzieli przy stole pod oknem i pili zaparzoną w czajniczku herbatę. Bronzini mieszkał teraz z siostrą, która nigdy nie wyszła za mąż, przesiadywała w swoim pokoju i wygłaszała śpiewne deklamacje, zawierające, jak twierdził jej brat, ograniczony zasób faktów. Skrajna zwięzłość. Lecz gdy nauczył się cierpliwie znosić jej wieczne powtórzenia i ścichnięcia, przekonał się, że obecność siostry wpływa na niego bardzo kojąco. Pozwala mu odpocząć -powiedział - od własnego wewnętrznego słowotoku.

- Czasem jeżdżę metrem do śródmieścia - rzekł. - W Greenwich Village jest taki lokal, klub szachowy, a zarazem kawiarnia, i zawsze rozgrywam tam parę partii. Przegrywam, ale się tego nie wstydzę. Albo gram tu, na boisku, z sąsiadem. Siadamy na jednej ławce. Chłopcy nas nie zaczepiają. Dają nam żyć.

- A ja już nie gram - oświadczył Matt tonem wypranym z emocji.

- Dawniej nieraz się zastanawiałem nad twoim ojcem. Na-

uczył cię podstawowych ruchów, ale czy rzeczywiście był graczem serio, zadawałem sobie pytanie. Za mało go znałem, żeby poruszyć ten temat, czy zresztą jakikolwiek inny. Nie należał do ludzi, których ma się ochotę o coś pytać. Jego oczy musowały jak woda gazowana.

- Sporo mnie nauczył. Ćwiczyliśmy otwarcia i rozegraliśmy sporo partii. Czasem dla zabawy graliśmy, byle szybciej. Mówił na ten rodzaj gry „kolej ekspresowa”.

Kiedy ojciec wyszedł po papierosy, Matty kończył pierwszą klasę. Znalazł książkę z zadaniami szachowymi, którą Jimmy trzymał w sekretarzyku. Było to wielkie odkrycie: chłopiec przerobił cały podręcznik, przesiadując nad szachownicą i przesuwając figury. Jego brat wchodził czasem do pokoju, strącał wszystko z szachownicy i bez słowa wychodził. Matty podnosił figury i z powrotem je ustawiał, dokładnie odtwarzając poprzedni układ. Studiował obronę czarnych. Starszy brat wchodził do pokoju, strącał szachy i wychodził.

- Twoja matka zwróciła się do mnie z prośbą - powiedział Bronzini. - Ale miałem z tobą problemy. Potrzebowałem pomocy, żeby znaleźć do ciebie podejście.
- Trudno było mną pokierować.
- Tak, byłeś zmienny i w każdej chwili gotów odrzucić moją radę. Oczywiście widziałeś rzeczy, których ja nie dostrzegałem. Miałeś niebywałe umiejętności i intuicję. Bardzo mnie to cieszyło, a zarazem upokarzało. Nie umiałem głęboko wczuć się w grę, jak prawdziwy mistrz.
- Jako tandem byliśmy może niezbyt zharmonizowani. Ale i tak wytrzymaliśmy ze sobą kilka lat. Zakosztowaliśmy chwały, Albercie. Zapewniam cię, że wcale nie przepadam za tym chłopczykiem, którym byłem. Nie lubię o nim myśleć.
- Czasem studiuję teorię. Czytam to i owo z historii szachów. Poznają ich osobowość. Mają w sobie straszliwy ładunek wrogości.
- W końcu zniecierpliwiłem język szachów - rzekł Matt. -Przeciwnika się miażdży. Nie wygrywa się ani nie przegrywa, tylko się go miażdży. Unicestwia. Odziera się go z godności, męskości, kobiecości, niszczy, publicznie obnaża się jego zasadniczą niższość. A potem triumfalnie patrzy mu się w oczy.

W końcu zniechędziłem to wszystko, co z początku sprawiało mi taką dziwą radość.

- Bo zacząłeś przegrywać - zauważył Albert.

Oczywiście była to prawda, więc Matt wybuchnął śmiechem.

Cała ta skoncentrowana moc, implozyjne życie szachownicy, czarne i białe, autokratyczne piękno wygranej, pierś pełna dumy, której nie sposób ukryć - pokonywał mężczyzn, chłopców, ludzi starych i mądrych, rześkich i bystrych, kawiarnianych poetów, przyjacielskich i cuchnących, z kręgów cyganerii. Ale kiedy skończył dziesięć czy jedenaście lat, zauważył, że nie jest już taki ostry, a potem zaczął przegrywać, regularnie ponosił porażki, od których robiło mu się mdło i słabo.

- Rywale się zmienili. Znaleźliśmy dla ciebie godniejszych przeciwników.

- A ja przyhamowałem.

- Twój rozwój utknął w miejscu. No, może nie aż tak. Ale przestałeś się rozwijać w tempie wykładowym.

Matt spojrzął na boisko, zdumiony rozmiarem spustoszeń: plac do koszykówki był cały w dziurach, pusty, stała już tylko jedna tablica z koszem. Tuż pod oknem stary kort do włoskich kręgli zarosły chwasty. Wszędzie pustka. Na górnym poziomie, na boisku do małego baseballu też pusto, smolny skwar, ciężka, upalna beczynność, potłuczone szkło błyskające z ciemnej nawierzchni, dwaj czy trzej mężczyźni, teraz widzi, stoją pod parkanem przy lewym polu, w zabójczych pozach, trochę jak postaci z włoskiego westernu, wychudli, bezimienni, nie ogoleni - nie przypuszczał, żeby potrafili rozumować kategoriami „średniej długości życia”.

- Przeszedłem się po okolicy - powiedział. - Skomplikowana sprawa. Łapię się na tym, że staram się nie reagować najbardziej stereotypowo.

- Nie chcesz dać się zaszokować. Wolałbyś nikogo nie obwiniać. Ale poszedłeś w te stare ulice.

- Tak.

- Zobaczyłeś swój dom. I całą nędzę wokół niego. Pustą parcelę ogrodzoną drutem ostrym jak brzytwa.

- Tak.

- I ludzi. Kim są ci, co tak stoją beczynnie? Biedacy. Szokujący widok.

- Tak, to racja - przyznał Matt.
 - A przecież dawniej to były twoje ulice. Dziwny obrzęd przejścia, prawda? Wizyta w rodzinnych stronach. Przede wszystkim zdumiewa cię, że bez słowa skargi żyłeś w takiej ciasnocie. Ulice węższe, domy mniejsze, niż pamiętałeś. Trochę jak powrót do Liliputu. A pomyśl o pokojach. O maleńkiej ła-zieneczce, wspólnej dla całej rodziny, dla dziadków, dla wujka, który jest odrobinę *u'pazz'*. Ale co oprócz tego zauważasz? Ludzi, na których ledwie zerkasz w przelocie. Jakim cudem możesz ich dokładnie zobaczyć? Nie możesz.
 - Nie, nie mogę.
 - I chciałbyś mnie spytać, dlaczego wciąż jeszcze tu siedzę. Spotykam w sklepie twoją matkę i właśnie o tym rozmawiamy. Nic nas nie obchodzi oplakiwanie starych ulic. Dokonałiśmy wyboru. Owszem, narzekamy, ale niczego nie oplakujemy, nie lamentujemy. Zdarzają się tu rzeczy, zdarzają się ludzie, którzy wnoszą się na najwyższy poziom człowieczeństwa, całkiem niepostrzeżenie, bo kto tu przyjdzie i to zobaczy? A ja jestem zanadto zakorzeniony, żeby się stąd wynieść. Mówię tylko we własnym imieniu: zanadto jestem zakorzeniony, zbyt ograniczony. W mojej głowie jest jeszcze miejsce na wszystko, ale w moim życiu już go brak. Nie chcę się dostosowywać. Jestem starym rzymskim stoikiem. Ale właściwie zawsze byłem za stary, za bardzo ograniczony. Klara toczyła ze mną o to boje. No, może nie aż tak. Beształa mnie, koniecznie chciała, żebym inaczej spojrział na świat.
 - Rozmawiasz z nią czasem?
 - Nigdy. Przejdź się na Arthur Avenue, Matty. Popatrz na sklepy, na ludzi, którzy w nich robią zakupy, i na tych, co wazą ryby i kroją mięso. To cię podniesie na duchu. Niedawno zaprowadziłem twoją matkę do sklepu z wieprzowiną, żeby jej pokazać sufit. Setki wiszących salami, taka obfitość i pełnia, natłok zapachów i deseni, sufit zupełnie zasłonięty. Patrz, Rose-mary, powiedziałem. Gotycka katedra z wieprzowiny.
- Stojąc w drzwiach, podali sobie ręce.
- Nośiłeś dawniej okulary, Albercie.
 - Właściwie niepotrzebnie. Tylko trochę mi pomagały. Na-leżały do ryszunka nauczyciela. Akcesoria, i tyle. Zjedź windą.

- Nie działa.

- Aha, nie działa. No to chyba musisz iść piechotą. Tylko nie marudź po drodze - z pałającym spojrzeniem rzekł Bronzi-ni. - W lesie bywa niebezpiecznie.

Matt zrobił zakupy na obiad i zawrócił w stronę domu swojej matki, prosto ku zachodniemu krańcowi ogrodu zoologicznego. Ponad wierzchołkami drzew widział osad pozostawiony przez odrzutowiec, smugę kondensacyjną: stopniowo traciła kształt, zaczynała się rozpełzać i rozkrzewiać, a jemu oczywiście przypomniawszy się pustynia, poligon, podniebne ścieżki samolotów, kondensacja wśród chmur, jedyny ślad ludzkiej działalności, jaki dostrzegł - miejski wycieczkowiec, co przeniósł swoje wewnętrzne zmagania w teren, tam gdzie potężne maszyny zniżyły lot, łopocząc niebem, na którym ich wyziewy odcisnęły lodowy trop.

Znowu pokazywano ten film. W pustym pokoju włączony był telewizor i właśnie pokazywano tę taśmę wideo. Za kierownicą siedział mężczyzna, który wkrótce miał zginąć: przypadkowy facet w średnim dodge'u, w blasku słońca, wskrzeszony -bo oto po raz kolejny wyświetlano ten film.

Wszedł Matt, zdziwił się, że telewizor gra, i usiadł na podnóżku blisko ekranu. Ilekroć puszczano tę sekwencję, nie mógł się oderwać. Kiedy jej nie puszczano, nigdy o niej nie myślał. A potem stawał w kolejce do kasy supermarketu w swoim mieście i prosił, znów ta amatorska kronika idzie w monitorze, który zainstalowano, żeby klienci się nie nudzili, czekając: dziewięć, dziesięć takich monitorów i we wszystkich leci ta sama sekwencja.

Ale tym razem było jakoś inaczej. Obrazowi towarzyszył głos spoza kadru, ledwie dosłyszalny, więc Matt rozejrzał się za pilotem. Parokrotnie nacisnął guzik, aż głos zabrzmiał wyraźniej; miał w sobie coś, co pasowało do obrazu. Był tak samo nagi jak obraz. Męski głos, płaski i obnażony, mówił coś o pogodzie.

U dołu ekranu wyświetliło się kilka słów.

MORDERCA Z TEKSASKICH SZOS TELEFONUJE DO STUDIA, TRANSMISJA NA ŻYWO

Głos pytał, jaka jest w Atlancie pogoda. Nastąpiło cięcie i zamiast taśmy wideo ukazał się obraz ze studia, twarz prezenterki siedzącej za biurkiem, rudowłosej, o zdumiewająco zielonych

oczach. Kobieta właśnie odpowiadała temu, kto dzwonił, że według dyżurnego synoptyka pada deszcz. A potem dodała:

- Oczywiście głos, który słyszymy przez telefon, nie brzmi tak jak w rzeczywistości. Został poddany obróbce, zmieniony.

A na to sam głos:

- Bo włączyłem takie coś, co zniekształca dźwięk. Ma niecałe dziesięć centymetrów na sześć, nakłada się to na słuchawkę, żeby trudniej było rozpoznać, kto konkretnie mówi.

I znów prezenterka:

- Przypomnę tylko, że dzwoni do nas osobnik, który przedstawił się jako Morderca z Teksaskich Szos. Podał nam fakty znane wyłącznie autentycznemu mordercy i władzom, z którymi natychmiast skontaktowaliśmy się, żeby sprawdzić, czy informacje te potwierdzają się i czy zatem nasz rozmówca jest wiarygodny.

Potem spytała go, dlaczego zadzwonił.

Matt patrzył na nią niemal zahipnotyzowany. Oczywiście miała naprawdę niebywałe, w kolorze przybrzeżnej zieleni, jaką widuje się z samolotu.

- Dzwonię, żeby wyjaśnić nieporozumienie - odparł głos. - W mediach wypisują i wygadują takie rzeczy, że nie mam pojęcia, skąd biorą te pomysły. Czuję się, jakby mnie wrzucili do jednego worka z setką innych ludzi z komputera od zbrodni. Ciągłe gadają o niskiej samoocenie. Jakby się uwzięli. Sama się zastanów, Sue Ann. Jakim cudem człowiek, który ma takie oko, że trafia ruchome cele w czasie jazdy, kiedy jedną ręką prowadzi, a drugą strzela, może nie zdawać sobie sprawy, ile umie?

Prezenterka patrzyła w kamerę. Oczywiście nie miała wyboru. Kamera wymierzona była w nią, a nie w telefonicznego rozmówcę. Prezenterka była żywym ciałem, on zaś tylko głosem, a i to niezupełnie. Był tym dziwnym, zneutralizowanym dźwiękiem, z którego odciedzono charakterystykę i modulację. Prze-strojonym elektronicznie, a jednak nie pozbawionym cech ludzkich - stwierdził Matt - bo w głosie tym pobrzmiwał prowincjonalny zaśpiew. I wysiłek, jaki sprawia mówienie, tak że widać nagie wnętrze najprostszej wypowiedzi.

Prezenterka słuchała.

- Stale i wciąż gadają o urazach głowy z dzieciństwa, że niby potem człowiek, pani mnie rozumie, sam nie wie, co robi.

Kolejne cięcie i znowu wideo: mężczyzna za kierownicą średniego dodge'a.

- Coś sobie musimy wyjaśnić. Nikt mnie w dzieciństwie nie uraził w głowę. I w ogóle dzieciństwo miałem w zasadzie jakby zdrowe.

Samochód na moment się zbliża, a potem zostaje w tyle.

- Czemu pan to robi?

- Że co?

- Czemu pan zabija tych ludzi?

- Powiedzmy, że tu, skąd dzwonię, pogoda dopisuje, jak zwykle o tej porze roku, na niebie rzadkie chmury, i sami zgadnijcie, czy to cynk, gdzie mnie szukać, czy tylko gierka.

Na ekranie człowiek za kierownicą robi ten swój dyskretny gest, przyjaźnie macha ręką w stronę kamery, przyszłości i całego zapatrzonego świata, kiwając sztywną dłońią, której nie odrywa od górnej części kółka.

- Chyba wie pan, że jedną z tych zbrodni przypisuje się pańskiemu naśladowcy. Zechce pan to skomentować?

I właśnie teraz dostaje kulę. Oglądając ten film, Matt za każdym razem miał ochotę zawołać Janet. „Pospiesz się, Janet, zaraz oberwie”. A ją szlag trafiał. Była wściekła na ten film i na Matta. Im częściej wyświetlano tę sekwencję, tym śpiew-niejszy ton przybierał Matt. „No poospieesz się, zarrraz obe-rrrwie”. Nerwowy dowcip, żart nie swoim głosem, wcale nie po to, żeby ją rozśmieszyć. Janet klęła męża i mówiła, że dosyć tego. Ale nie było dosyć. Nigdy nie było dosyć.

- Umówmy się, że policja ma swoją robotę, a ja swoją, dobra?

Niesamowitość auta, które wciąż jedzie w stronę kamery, chociaż kierowcę już zastrzelono. Wóz na moment się zbliża, a potem zostaje w tyle.

- A tak w ogóle, snajper to jest mylone określenie. Nikt tu nie strzela z karabinu, mniej czy bardziej z dystansu. Człowiek jest w ruchu, porusza się i chce się znaleźć jak najbliżej akcji, tak blisko, jak się da, ale żeby auta się nie zetknęły, bo jeszcze by się lakier zarysował.

Auto siłą bezwładu znosi w stronę bariery. I to dziwaczne

brzmienie głosu przez telefon, sprasowane, lekko rozedrgane na obrzeżach, jakby wybuchały dziwne, miniaturowe burze elektro-
niczne, jakby ktoś usiłował spreparować z rozczłonkowanych
elementów ludzką wypowiedź.

Cięcie, twarz nad biurkiem. Prezenterka na żywo. Łokcie
oparte o blat, pięści złączone pod brodą. Matt zastanawiał się, co
to znaczy. Każda zmiana pozycji oznaczała zarazem zmianę stanu
wiadomości. Zielone oczy spoglądały z ekranu. Zniekształcony
głos mówił dalej, wciąż tym samym płasko wykreślnym tonem,
teraz już właściwie gawędził, bo zdążył nabrać pewności siebie,
wczuć się w charakter, w format telewizyjnej wypowiedzi, a
prezenterka słuchała, bo nie miała wyboru, i wszyscy patrzyli, jak
słucha. Patrzyli na nią widzowie w Murmańsku, we mgle.

- Mam nadzieję, że ta rozmowa przyczyni się do bardziej
lepszego zrozumienia sytuacji - mówił głos. - Specjalnie się
uparłem, że porozmawiam tylko i wyłącznie z Sue Ann Corco-
ran, w cztery oczy. Oglądałem ten wywiad, w którym mówisz,
że chcesz dalej kontynuować karierę, chociaż rodzinę też masz
nadzieję założyć, no nie, a ja uważam, że w takim układzie
należy się, żeby telewizja zatrzymała dla ciebie etat, bo czło-
wieka nie wolno karać za wybór stylu życia.

Znowu puszczoneo taśmę wideo. Na ekranie mężczyzna za
kierownicą średniego dodge'a.

Kiedy weszła matka, szorował patelnię szczotką z krótkim
trzonkiem. Stała i spójrzała.

- Niepotrzebnie ją zedrzesz - powiedziała.
- W wojsku też myłem gary. Lubilem tę robotę. Była najlep-
sza z całego wojska.
- Od tamtej pory minął kawał czasu. A zresztą patelnia jest już
czysta. Może sobie wyobrażasz, że ją czyścisz, ale czyściej-
sza i tak nie będzie.
- Telewizor był włączony. Jak wszedłem - odparł. - Z reguły
go tak zostawiasz?
- Z reguły nie. Ale skoro mówisz, że był włączony, to wi-
docznie zostawiłam. Wbrew regule.
- Zawsze mi się zdawało, że uważasz na to, co robisz.

- Owszem, dosyć uważam. Ale nie jestem fanatyczką - oświadczyła. - Ścierasz stal. Wytrzesz dziurę na wylot.

Zrobił kolację dla siebie i dla matki. Włączyli wiatrak, bo klimatyzacja działała na pół gwizdka.

- Poszedłem tam dzisiaj. Sporo domów znikło. Nic na ich miejscu nie stało. Parkingi bez samochodów. Bardzo dziwny widok. Nagle odsłonił się horyzont.

- Ja tam nie chodzę - rzekła Rosemary.

- Dobrze. Nie chodź.

- Nie lubię tam chodzić

- Popatrzyłem na sześćsetjedenastkę.

- Nie chcę jej widzieć.

- No pewnie, po co ci to? Jedz szparagi - powiedział.

Usłyszał grzmot od zachodu, obietnicę deszczu w duszne noce, jedno z pierwotnych wspomnień.

- Złapałem Nicka w ostatniej chwili, zanim się wyprowadził z hotelu. Powiedziałem mu, że zdaniem lekarza jesteś w świetnej formie.

- Nie wpadaj od razu w entuzjazm.

- Przyślą mi wydruki wszystkich badań.

- Czy on ci czasem coś mówi?

- Nick?

- Czy ci czasem w ogóle coś mówi?

- Nie.

- Mnie też nie.

- Wymazał to z pamięci.

- No bo co innego miał zrobić?

- No właśnie, co innego?

- Nie wiem - powiedziała.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Z sypialni wyszły dwa koty. Jak płynne futro prześliznęły się między krzesłami.

- Zajrzałem do pana Bronziniego.

- Do Alberta. Jest ostatnią różą lata. Powiedziałam mu, jak go ostatnio spotkałam: Idź do fryzjera. Wychodzi na ulicę w kapiach. Więc mówię mu.

- Stracił na wadze.

- Co to ja mu powiedziałam? Robi się z ciebie stary dziwak.

Kiedy zjedli, Matt poszedł do kuchni i przyniósł owoce, które wcześniej kupił, ogromne rubinowe winogrona, ale nie te selek-

cjonowane, żeby nie miały pestek, i brzoskwinie z liśćmi na ogonkach.

- O której cię obudzić?
 - Nie potrzeba - odparł.
 - O której masz samolot?
 - Jak przyjadę na lotnisko.
 - Z biletem wszystko załatwiłeś?
 - Lecę wahadłowcem.
 - Wahadłowcem.
 - Nie potrzebuję biletu.
 - Co to takiego wahadłowiec?
 - Jadę na lotnisko, wsiadam w samolot i lecimy do Bostonu. Chyba że pomyłę samoloty, to wtedy lecimy do Waszyngtonu.
 - Gdzie ja byłem, kiedy bilety wyszły z użycia?
 - Płacę w samolocie.
 - A jak wszystkie miejsca będą zajęte?
 - To polecę następnym. Na tym polega wahadłowiec. Jeden odlatuje, a drugi już czeka.
 - Gdzie ja byłem, kiedy je wprowadzili? Wahadłowce. Wszyscy o nich wiedzą, tylko nie ja.
- Czekał, aż matka powie chociaż słowo o olbrzymich winogronach, leżących całą kłębą w ceramicznej misie, albo zje któreś z nich, opłukane, lśniące.
- Co będzie z Arizoną?
 - A co ma być? - spytała.
 - Nie wiem. Co ma być?
- Z sypialni wyszedł ostatni kot, ten biały, płochliwy, a Matt zgarnął go na kolana.
- Szorować gary i rondle.
 - To jeszcze było najlepsze zajęcie z całej służby zasadniczej - powiedział. - Bo najbardziej cywilne.
 - Nie wiem, przez ile nocy nie zmrużyłam oka, kiedy cię tam wysłali.
 - Ile razy ci pisałem, że stacjonuję daleko na tyłach?
 - Ale w tym samym kraju. Jak dla mnie byłeś za blisko frontu.
 - Ten kraj wcale nie jest taki znowu mały. Gdyby w Khe Sanh padł strzał, kula nie trafiłaby akurat mnie, bo siedziałem

sobie wygodnie, pod dachem, i odwaląłem swoją monotonną robotę.

- Bardziej ci się poszczęściło niż wielu innym.
- Na pewno nie chcesz wyjechać?
- Zostanę tu - oświadczyła.

Siedzieli przy stole, między nimi stała misa z owocami. Matt słyszał stukot deszczu o szyby - chłodny, świeży dźwięk. Spojrzał na matkę. Nie potrafiła dostrzec dzieła sztuki w brzoskwiniach z liśćmi na ogonkach.

- Z samego rana pójdę na mszę.
 - Pozdrów ode mnie Pana Boga. Jak wrócisz, będę czekał z kawą.
 - Wymazał to z pamięci - rzekła Rosemary. - Bo co innego miał zrobić?

Powiedziała dobranoc i weszła do sypialni. Koty znikły, kiedy ścielił sobie na kanapie. Wszystkie rozmowy przedzej czy później zmierzały do Nicka. Z każdego tematu, dokładnie zmielonego i przesianego przez sito, wylał się mały Nicky albo jakaś wersja dorosłego, dalekiego mężczyzny, a czasem żułowaty nastolatek, patrzący, komu by tu przyłożyć. Takie były warunki pokrewieństwa. Matt leżał w ciemnym pokoju i słuchał deszczu. Czuł się jak mały chłopiec. Malutki i zagubiony. Żonę też miał malutką. I dzieci niewyrośnięte. Żadne z nich nie robiło na świecie nic, co by kiedykolwiek zauważono. Byli niewinni. Matt dźwigał klątwę niewinności. Przeciw bratu, przeciw kalibrowi niebezpieczeństwa i furii mógł powołać się jedynie na swoje prawo młodszego, swoje potulne nieskalanie winą.

Za drzwiami rozległ się jakiś dźwięk. Matt jeszcze przez chwilę trwał w bezruchu. Leżał, nasłuchując. Deszcz na dobre się rozpadał, krople z głośnym grzechotem rozpryskiwały się na szybie. Matt znów usłyszał ten odgłos z korytarza, więc jednak wstał. Włożył okulary i spojrzął w wizjer. Pomału uchylił drzwi. Wyrzwał na korytarz, długi, tonący w więziennym świetle, po lewej i prawej rzędem zamknięte drzwi, wszystkie anonimowe, nieruchome, a on był dorosłym mężczyzną w domu swojej matki i bał się dźwięków z korytarza.

Jak głęboki jest czas? Jak daleko musimy zagłębić się w życie materii, zanim zrozumiemy, czym jest czas?

Stary profesor od nauk ścisłych, Bronzini, szedł po śniegu, brnął, radośnie parł przed siebie ze spuszczoną głową, niosąc pod pachą pudełko po cygarach - nożyczki, grzebienie, elektryczną maszynkę do strzyżenia karku Eddiego.

Zapuszczamy się w przestrzeń, stawiamy jej czoło, czekamy, aż przyjdzie nasza kolej, żeby wystartować, i rwiemy wzwyż, a potem w jednej chwili okrążamy kulę ziemską. Ale czas przykuwa nas do starzejącego się ciała. Nie żeby Bronzini miał coś przeciwko starości. Ale dla potrzeb rozumowania, czysto teoretycznie zastanawiał się, czego byśmy się dowiedzieli, wnikając głębiej w struktury utajone pod standardowym modelem, jeszcze niżej niż kwanty, milion miliardów razy mniejsze od atomu starożytnych Greków.

Śnieg wciąż padał - ogromne płatki spiczaste jak gwiazdki muskały rzęsy pierzastą wilgocią, lgnęły i zaraz znikwały; Bronzini podniósł głowę i zobaczył zaparkowane auta, garbate i ogłupiałe, na ulicach zupełny bezruch, śnieg na grzbiecie dłoni -dotyka skóry i już go nie ma.

Wszedł po schodach, stanął pod drzwiami Eddiego i nacisnął guzik dzwonka. Nie zadźwięczało, nie zabuczało, nie zarzęziło jak piła. Zapukał w blachę chroniącą drzwi i usłyszał człapanie za luźnych butów Mercedes.

Kobieta otworzyła mu i spoglądając za siebie, zawołała do Eddiego:

- Nigdy byś nie zgadł, kto to!

Bronzini wręczył jej pudełko po cygarach „Garcia y Vega”, znakomite cygara od roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego. Zdjął kraciatą czapkę i ją także oddał gospodyni. Wykotał się ze starego paltota z paskiem, tanio kupionego na wyprzedazy w jednym z magazynów, w których zawsze można coś dostać po fabrycznej cenie, garnitury i sukienki z defektem, swetry ukradzione wraz z ciężarówką - przez pomyłkę, zamiast transportu papierosów. Oddał płaszcz kobiecie. Pomachał dłońmi: widzisz, nie mam rękawiczek. Potem schylił się, rozpiął

śniegowce i wyszedł z nich, lekko oszołomiony od stania ze spuszczoną głową.

- Patrz, Eddie, on pod śniegowcami nosi kapcie. Brak słów na tego człowieka.

Uściśkał kobietę i własne palto, po czym wszedł do saloniku, zacierając ręce, jakby kroczył po perskim dywanie w stronę bombki wybornej brandy i kominka, na którym płoną brzoźowe polana. Eddie siedział w fotelu i się uśmiechał, prawdziwy Eddie Robles, wciąż żywy w ciele uzurpatora, w tym znękanym sobowtórce, który miał artretyzm i rozedmę płuc, owrzodzone żyły na nogach i właściwie ze wszystkiego już się wycofał.

- Obudziłem się rano i od razu wiedziałem - rzekł Bronzini.

- Wiedziałaś.

- Że pora ostrzyc Eddiego.

- W taką zamieć. Obudziłeś się, ale nie wyjrzałeś przez okno.

- Trochę sobie tylko prószy. Po staroświecku. Mógłbyś pójść na spacer.

- Na spacer - powtórzył Eddie. - Czy ty w ogóle masz pojęcie, co mówisz? Siadaj, bo mnie denerwujesz.

- Nie dam rady cię ostrzyc na siedząco. Gdzie moje instrumenty?

- To ja powinienem cię ostrzyc. Fryzjer dawno się o ciebie pyta. Zaczynj chodzić ze skrzypcami, Albert.

- Nie chcesz już ze mną grać w szachy. Nie został na świecie nikt, kogo mógłbym pokonać na szachownicy, rozłożyć na łopatki tak jak ciebie. Więc musisz się za to poddać manipulacjom cyrulika. Prószy śliczny śnieżek, jak za dawnych lat. Nawiasem mówiąc, Mercedes. Gdzie ona się podziała? Macie zepsuty dzwonek.

Siedzieli i pili gorącą czekoladę. Tak naprawdę to Albert miał ochotę na łyk czegoś mocniejszego z importowanej butelki. Wyobraził sobie strużkę szkockiej i jej ciepłe, cierpkie uządlenie. Trwały efekt - oto urok tego trunku. Szkocka daje człowiekowi w czapkę i nie puszcza. Czapka też zresztą w szkocką kratę. Szkot, róg żagla. Inaczej skojec, dawna moneta we wschodniej Europie.

- Dzwonek. Tylko dzwonek? - spytała Mercedes.

- Oczywiście winda też. Ale o windzie już wiemy.

- A o tynku wiesz? - spytała. - Zatykam szpary gazetami.

Któregoś dnia zajrzą tu jacyś i się dokładnie wywiedzą, kiedy zaczęły się nasze nieszczęścia, bo wszystko znajdą w moich gazetach.

- Daj mu żyć - wtrącił Eddie. - Mów o czym innym.
- Z moją windą to dopiero jest kłopot - rzekł Bronzini. -Co i rusz się psuje.
- Cztery piętra?
- Cztery i pół.
- Daj mu żyć - powtórzył Eddie.
- Cztery i pół piętra z sercem w takim stanie?
- Mów o czym innym.

Mercedes była otyła i lubiła gestykulować; kołysząc się w fotelu, wymachiwała ręką, ale sprawnie opiekowała się słabowitym Eddie, uzurpatorem o sztywnych stawach, obolałym i zadyśnianym. Dawny Eddie to był tęgi chłop, siedział w budce na stacji metra i sprzedawał żetony, w kinowym półmroku, w niezdrowym powietrzu, wśród zgrzytu zębatek, niewrażliwy na piekielny jazgot ekspresów, a teraz pielęgnowała go z miłosną kompetencją, znajomością rzeczy i wielką umiejętnością, a kiedy się o coś wściekała, Albert najchętniej gdzieś by się schował, bo bał się obnażonych uczuć, zderzeń czołowych, bezpośrednich spotkań.

- Pozakładali drut kołczasty przeciw handlarzom narkotyków. A co z wodą, jak pada deszcz? Leje się prosto do mieszkania. Niech lepiej zima nigdy się nie kończy. Wolę już marznąć. Wolę wtykać gazety w szpary. No bo jak śnieg stopnieje.

- On nie narzeka. Daj mu żyć - powiedział jej mąż.

Przyniosła kuchenne krzesło, żeby posadzić na nim Eddiego. Przyniosła też pudełko po cygarach, położyła je na stole i otworzyła. Odeszła na chwilę, wróciła z ręcznikiem kąpielowym i przykryła nim męża po szyję, a dolny rąbek rozpostarła na kolanach. Dwa górne rogi związała na karku, nie za ciasno, i spojrzała na Alberta, którego tak jak i ją cieszyły wszelkie okoliczności towarzyszące, cała ta wstępna krzątanina, niezbędna, żeby postrzyżyny się udały.

Albert wyjął przybory z pudełka po cygarach. Poukładał je na stole co kilka centymetrów. Krótki czarny grzebień powleczone gumą, zwężony, do rozczesywania baczków. Grzebień szylkretowy, z rączką, z wyrwą po trzech wylamanych zębach,

tak zwany pogrzebacz. Piękne nożyczki włoskiej roboty, przekazywane w rodzinie z pokolenia na pokolenie, jeden z tych przedmiotów, które znajduje się wśród rzeczy pozostałych po zmarłym i nagle widzi się w nich coś całkiem nowego, powszedni skarb: rączki zdobione filigranem, a z jednego uszka sterczy ostroga, zakrzywiona podpórka pod środkowy palec. Wskazujący wsuwa się w uszko, środkowy zaś opiera o tę właśnie poręcznie ukształtowaną wypustkę. Co jeszcze? Pędzel do golenia, niepotrzebny. Nożyczki do nosa, a niech sam sobie wytnie. Elektryczna maszynka do strzyżenia, ciężka i czarna, Elk Grove, Illinois, w ostrzach tkwią resztki kosmyków Eddiego sprzed sześciu tygodni. Co jeszcze? Tubka oliwy, którą smaruje się maszynkę do strzyżenia. Szczotka do omiotania karku, pięć dolarów dziesięć centów, miękkie włosie.

Nie miał pojęcia o strzyżeniu. Nieraz już strzygł Eddiego, ale wciąż jeszcze nie zdołał wypracować metody. Często przerywał, żeby obejrzeć efekty swojej pracy, znów troszkę przycinał, cofał się i spoglądał. Mercedes nie była przy tym, nie patrzyła. Albert pracował powoli, strzygł, przystrzygał. Chodziło o to, żeby włosy z głowy klienta znalazły się na podłodze. Mercedes najwidoczniej uważała, że nie musi się temu przyglądać.

- Znowuż wynaleźli coś nowego, może słyszałeś - rzekł Eddie. - Nazywa się „kosmiczny pogrzeb”.
- Już mi się zaczyna podobać.
- Wysyłają twoje popioły w kosmos.
- Ja się na to piszę - powiedział Bronzini.
 - Są różne orbity do wyboru. Choćby dookoła równika. Przykładowo. Ziemia się kręci, a ty razem z nią. Właściwie nie ty, tylko twoje popioły.
- Jest lista czekających?
 - Owszem, jest. Widziałem w wiadomościach. I zniżkowy start. A swoją drogą to kawał drogi stąd.
- Daleki kosmos.
- Kawał drogi. Sam na sam z gwiazdami.
- Ale przecież nie leci się w pojedynkę.
 - W jednej rakiemie startuje z tobą jakieś siedemset porcji popiołów. Ludzi i ich zwierząt pupili. Zadzwoń do firmy, to cię wpiszą na listę.
- A jak ktoś już nie żyje?

- To dzieci zadzwonią. Albo adwokat. Ważne jest, **ile** ważą twoje popioły. Bo to kosztuje - zgadnij ile.
- Nie zgadnę.
- No, zgadnij - nalegał Eddie.
- Musisz mi powiedzieć.
- Dwadzieścia tysięcy dolarów kilo.
Eddie wygłosił to jak werdykt, z ponurą satysfakcją.
- Kilo. A ile my właściwie ważymy spopieleni, po śmierci?
-zastanowił się Albert. - Osobiście wydaje mi się, że to rozsądna cena.
- Wydaje ci się rozsądna. No to popsuleś mi całą frajdę z opowiadania.
- Kilo popiołów, Eddie. W tym zmieści się cała rodzina. Grobowiec w kosmosie. Wiecznotrwały.
- Popsuleś mi całą frajdę - powtórzył Eddie.
Albert przeczesał pogrzebaczem czubek głowy przyjaciela. Zamaszyście cesał, czekał, aż włosy osiadną, i znów cesał. Uwielbiał tę pracę. Nożyczek na czubku głowy używał oszczędnie, bo znać byłoby potem każdy błąd. Delikatnie sunął grzebieniem przez rzednące włosy Eddiego. Podnosił je i pozwalał im opaść. W kuchni grało radio, Mercedes szykowała kolację, a może lunch. Albert miał ostatnio mętne wyobrażenie o czasie. Bicie serca, puls w nadgarstku, rytmiczne tupanie - te miary czasu jeszcze rozumiał. Podnosił włosy i pozwalał im opaść.
- Tęsknisz za swoją budką, Eddie.
- Lubiłem tę robotę.
- Wiem.
- Tyle lat i ani razu.
- Ani razu cię nie obrabowali.
- Nigdy nawet nie próbowali - rzekł Eddie.
Oto geniusz Nowego Jorku. Eddie Robles o drugiej nad ranem w swojej budce z zetonami ćwiczył posunięcia na miniaturowej szachownicy i nie myślcie, że ludzie nie zaglądali mu w okienko i nie proponowali partyjki, nie myślcie, że nie przyjmował wyzwania, bo owszem, przyjmował, schowany za pięcioma warstwami kuloodpornych szyb, gdy tuż obok pociągi mknęły przez noc.
- Nigdy sobie nie pomyślałem: Aha, właśnie dziś mnie obrabują. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. No i nigdy się nie

zdarzyło. Raz mi kobieta narzygała w okienko. Moja najgorsza przygoda. Nigdy się nie zastanawiałem, co zrobię, jeżeli ktoś mnie spróbuje obrabować. Miałem takie psychologiczne podejście, że jak z góry obmyślasz plan, ot tak, od wypadku, to ci się ten wypadek przytrafia. A tu nagle baba opiera się obiema rękami o parapet, i lu.

- W środku nocy?

- Tylko my dwoje, ona i ja. Jak już musisz rzygać, to czego nie narzygasz na tory? Ona i ja, sami na stacji, a ta podchodzi akurat do mnie, jakby korytko do monet specjalnie czekało na jej rzygowiny.

Albert wsunął wtyczkę do gniazdka i przejechał Eddiemu maszynką po karku. Sięgnął nią pod ręcznik i za kołnierzyk koszuli, żeby ostrzyć włosy wyrastające z ramion. Wygolił kark do czysta, omiół szczotką, poprosił Mercedes o talk, bo go akurat nie przyniósł w pudełku po cygarach, i zanotował sobie w pamięci, że na drugi raz musi dokupić.

Kosmiczny pogrzeb. Pomyślał o smugach kondensacyjnych nad oceanem, w tamten błękitny dzień - przed dwoma laty, jeśli go pamięć nie myli: o tym, jak silniki pomocnicze rozdzieliły się, zawieszając w nieruchomym powietrzu straszliwe „V” z pary odlotowej. Przez pewien czas litera trwała nienaruszona, a astronauta spadł co prawda do morza, lecz zarazem wisieli na niebie, pogrzebani w stężalym dymie, on zaś leżał w bezsenną noc, widział to głębokie, atlantyckie niebo i myślał sobie, że ich śmierć była lotna i czysta, taka wzniosła: przemiana udręczonego ciała w opar i ogień, którą wysoko ponad światem obwieścił monogram „V”, znak zwycięstwa.

Nie był pewien, czy ludzie chcą to widzieć. Czy chcą widzieć zawodność urządzeń i ludzkie cierpienie. Ale piękno, podniosła wiara zawarta w przestrzeni - jakże takie cnoty mogły się łączyć ze śmiercią? Siedem osób, mężczyźni i kobiety. Ich piękno i nasze, objawione w nieudanej misji z wyrazistością, z jaką nie widzieliśmy go w setkach triumfów. Apoteoza. Tak, zyskali rangę boską, w tych ląbędzich pasmach przemienieni w jedyny rodzaj bogów, przed jakimi gotów był się skłonić, poetycznych i ulotnych. Przeżył to głębiej niż pierwszy spacer po Księżycu.

Owszem, wtedy też był poruszony, ale tamta przygoda miała w sobie coś z walkie-talkie, wszystko odrealnione, ruchy jakby skomputeryzowane, więc nigdy nie zdołał uznać za kompletną bzdurę podejrzeń starej, sparanoizowanej elity - posiwiiałych Gurkhów z korpusu, którzy twierdzili, że całą imprezę zainscenizowano na jakimś ranczu pod Las Vegas.

Wiosną wciąż jeszcze trwali, Albert i Laura. Jakim cudem jego siostra nie zapadła na żadną zgubną chorobę? Siedzisz, pozwalasz ciału słabnąć i flaczeć, nie chodzisz, nie widzisz ludzi, nie masz z nimi kontaktu, nie czujesz, jak wścibska dociekliwość pobudza krążenie.

Był jednak wdzięczny za jej obecność. Dawniej zawsze miał przy sobie kobietę, przynajmniej jedną, kobietę albo dziewczynę: wspólna łazienka, kuchnia, dawno temu łóżko. Potrzebował ich towarzystwa. Kobiety i to ich przejęcie czasem, żywe poczucie przyszłości. Ożenił się z Żydówką i kochał ją, ale w przyszłości Klary nie przewidziano dlań miejsca. Opiekował się swoją matką, katoliczką wierną staroświeckim obyczajom, która nosiła szkaplerz, zęgnęła się krzyżem i dotykała ust knykiem kciuka, kochał ją i patrzył, jak umiera. Córkę wychował tak, żeby sama kierowała swoim losem, godnie, wolna od wszelkiej religijnej obrzędowości, i ją także bardzo kochał, a ona teraz mieszka w stanie Vermont. A siostra, wędrując między terażniejszością a przeszłością, zawsze go jednak rozpoznawała jakimś zmysłem nie z tej ziemi, potrafiła zajrzeć prosto w jego nie upiększone serce, on zaś kochał ją z tych wszystkich zająk-liwych powodów, z jakich kocha się siostrę, no i za to, że zawężyła swoje życie do paru zdań, które go wzruszały.

Jego przenośny gramofon, niegdyś rasowy, nowoczesny, wyglądał teraz szaro i niezgrabnie, ale po tylu latach wciąż jeszcze dawało się z niego słuchać muzyki. Albert znalazł płytę, której szukał, przetaił specjalnie impregnowaną szmatką, po czym gestem gospodarza nadział winylowy krążek na trzpień w środku talerza. Saint-Saens, utwory fortepianowe, łagodne i zadumane, miła odmiana po operach Bronzinięgo, tych przepysznych torturach, trotuarowych sensacjach, od których pękają filizanki. Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Laura siedzi w fotelu, bez-

kształtna, z głową opartą o ręcznie dziany pokrowiec, wznosząc twarz ku akordom. Pstryknął pokrętelem, a potem patrzył, jak ramię gramofonu idzie w górę, podczas gdy płyta zygzakowatym trzepotem opada na talerz. Ramię poziomo się przesunęło, czarny krążek zaczął się obracać i cała ta seria mozolnie powiązanych działań wraz ze wszystkimi zgrzytami, pauzami i zachwianiami po drodze, z chwilami kretyńskiego kunktatorstwa, zdawała się cofać Alberta do jakiejś zaginionej epoki w dziejach cywilizacji technicznej, do ery zegarów z wahadłem i automobili na korbę. Igła połykała czasem parę nut, ale był do tego przyzwyczajony. Siedział tuż przy drzwiach, żeby czuć słońce wpadające kuchennym oknem i spoglądać na twarz Laury. Dzięki muzyce zahaczali o siebie samym skrajem. Albert wierzył, że potrafi wnikać w rojenia siostry. Wiedział, nieomal wiedział, co się w niej dzieje, poprzez muzykę czuł jej niewinność, rozpoznawał w niej dziewczynkę, dwunastoletnią starą pannę, która idąc ulicą, pozostawała w tyle za rodzicami, widział ją w posępnej twarzy starszej siostry, dziewczynka prawie w niej była, w workach pod oczami i w obwisłych policzkach, w brodawkach i przydymionych włosach. W jednym z utworów tuż po pasażach wypełnionych dobrotliwym wspomnianiem nastąpił krótki fragment, w który jak gdyby wdarło się coś mrocznego, lewa dłoń solisty narzuciła szybsze tempo, a wtedy Laura podniosła rękę, powoli, gestem lekko zszokowanym, zamyślonym i brzemniennym: spłoszyła ją złowieszcza nuta, którą usłyszała w basie. I to także ich łączyło, melancholia i przejrzyistość czasu, czasu opłakiwanego w muzyce - to, że dzięki dźwiękom, foremnym wibracjom metalowych strun uderzanych młoteczkami oboje porażali się w dziwnym smutku, nie smuciło ich jednak nic konkretnego, lecz sam czas, materialne odczuwanie roku bądź epoki, całe pokłady niezmierzonego czasu, dziś już dla nich utracone, aż wreszcie Laura odwróciła się, patrząc przez palce uniesionej dłoni w tę jakąś przezroczyistość, którą Albert z pewnym wahaniem nazywał jej życiem.

- Musisz mi mówić, Albert, kiedy wychodzisz. Żebym wiedziała.
- Powiedziałem ci.
- Nigdy mi nie mówisz.

- Owszem, mówię.
- Nie wiem, czy zapominasz, czy co.
- Następnym razem ci powiem.
- Jak mi powiesz, to będę wiedzieć.
- Powiem ci. Na pewno ci powiem.
- Ale ja zapominam, prawda?
- Czasami, owszem.
- Mówisz mi, a ja zapominam.
- Czasami. Nieważne.
- Ale musisz mi mówić.
- Powiem ci. Obiecuję.
- No to będę wiedzieć - powiedziała Laura.

Rano pijał czarną kawę z kroplą wódki, z kropelką jak łebek szpilki, a po południu albo wczesnym wieczorem z łyżkiem anyżówki, strzelał sobie odrobinę, ciut-ciut soku z lukrecji i może znowu przed spaniem kapkę wódeczki, ot tak, dla smaku, tym razem już bez kawy, oczywiście wbrew zaleceniom lekarzy, ale przecież to tylko troszenieńkę, starannie odmierzone dziabnięcie, najkrótszy haust w dziejach ukradkowego popijania.

- Musisz mi mówić. Żebym wiedziała.
- Powiem ci. Daję słowo.
- No to będę wiedzieć.
- Będiesz wiedzieć.
- Jak mi powiesz, to będę wiedzieć.
- Masz rację.
- Mam rację, prawda?
- Tak, masz rację.
- Ale musisz mi mówić. Bo inaczej nie będę wiedziała.

Z parapetu w kuchni zmiatał kurz, włosy, musze łebki, okruchy tynku - kamienne grudki.

Kiedy razem przygotowywali kolację, trzepała Alberta po ręce, ilekroć wchodził jej w drogę: autorytarny klaps po grzbiecie dłoni.

Przy swoim talerzu na stole kładł równym rzędkiem trzy pigułki do połknięcia. Na serce, na pierdę i na wątrobę.

Więcej przesiadywał w domu, kiedy po korytarzach snuli się ludzie. Pewnego dnia na podeście pierwszego piętra zobaczył strzykawkę, a teraz w korytarzach byli jacyś ludzie, zajęci, a jednocześnie odrętwiali, ludzie o zaprzątniętych spojrzaniach i zmartwiałych ciałach, ledwie zdolni przegarnąć ręką powietrze. Jak przestanie padać - pomyślał - wyniosą się na boisko albo na puste parcele. A zresztą winda utknęła między piętrami, więc tak czy owak lepiej, żeby nie wychodził z mieszkania, bo wspinaczka po schodach mu nie służy.

Zdejmował jej okulary, przecierał chusteczką i wkładał z powrotem.

A kiedy wyszedł, siedzieli na schodkach przed domem, bełkocząc coś jakby Wall Street, aż w końcu się domyślił, że to gatunek heroiny, handlowa nazwa, Wall Street, Wall Street, i słyszał, jak krążą po korytarzach, intruzi w tym domu, słyszał ich wdechy i wydechy.

Powiedział jej, że dzwoni do swojej córki Teresy: międzymiastowa. Zawczasu obwieszczał każdą rozmowę telefoniczną, żeby Laurę też chociaż odrobinę wciągnąć, uprzedzał ją nawet, kiedy chciał dzwonić do informacji o pogodzie albo do zegarynki, trochę także dlatego, że lubił obwieszczać.

Jego córka prowadziła w pewnym miasteczku ośrodek dla dzieci, miała wydatki, dwoje własnych dzieciaków i męża nieudacznika, który usiłował wystartować w nowym fachu, więc Albert posyłał jej czasem drobną sumę ze swojej nauczycielskiej emerytury.

Każda międzymiastowa była z góry obmyślonym aktem i trwała w jego umyśle znacznie dłużej niż sama rozmowa. Podporządkowywał jej cały wieczór: czekał na niższą taryfę, a potem stawiał fotel przy telefonie i starannie wykręcał numer, z twarzą tuż nad tarczą.

Słyszał, jak dyszą w korytarzach, i wiedział, że jedzenia z łatwością starczy na dwa dni, a kiedy mleko skwaśnieje, zawsze można otworzyć puszkę brzoskwiń i wylać je razem z gęstym sokiem na płatki śniadaniowe. Pestkoczepne: odmiana, której miąższ z trudem odchodzi od pestki, od nasienia, jak to często bywa z brzoskwiniami. Słyszał ich w nocy i wiedział, że do siekanego mięsa może dodać jakiś wypełniacz, zupę pomidorową

zagęścić makaronem, a tamci przecież stale tu nie mieszkają, więc prędzej czy później znajdą sobie inne miejsce.

Kiedy córka podniosła słuchawkę, spojrział przez pokój na Laurę i skinął głową: kontakt nawiązany, stulecie postępu kroczy dalej.

Jabłka i ser, mieli jabłka i ser, cały obiad.

Odnosił książkę do wypożyczalni, nadeszła kolejna wiosna, a może wczesne lato, łagodnie usposobiony dzień, i nagle zobaczył, że znajoma postać przechodzi przez jezdnię i zmierza w stronę klasztoru przyległego do katolickiej szkoły podstawowej. Przedwiecznie znajoma postać z krainy przeszłości. Nie miał pojęcia, że ona wciąż jeszcze żyje, Siostra Edgar, zdumiewające, ta sama twarz jak klinga, te same kościste dłonie, pośpiech, szczupła sylwetka, której kształt nadawał sześszczępy strój. Miała na sobie tradycyjny habit z długim czarnym welonem oraz biały kwef z krochmalonym barbetem zasłaniającym szyję i ramiona, u pasa wisiał jej żelazny krucyfiks - w sumie wyglądała jak detal wyjęty z obrazu szesnastowiecznego mistrza.

Patrzył, jak otwiera drzwi klasztoru i znika za nimi. Słyszeła z tego, że siała trwogę wśród dzieci z piątej i szóstej klasy, biła, obrzucała inwektywami, zostawiała po lekcjach, w najgorszą nawalnicę kazała wychodzić na dwór i trzepać gąbki do wycierania tablicy. Nigdy nie zamienił z nią ani słowa, teraz jednak poczuł coś jakby chęć, żeby zastukać do drzwi klasztoru i chwilę porozmawiać, sprawdzić, kim jest Siostra Edgar po tylu latach. Chłubił się tym, że uczy w szkole publicznej, chociaż brakowało tam dyscypliny. Jego koledzy byli ludzcy, a o tej zakonnicy i jej powszednich okrucieństwach krążyły legendy.

Chodził teraz o lasce, czuł się więc jak *professor emeritus*. Na ścianie pobliskiej wypożyczalni imienia Enrica Fermiego wisiało zdjęcie tego naukowca obok jednego z prototypów pierwszej bomby atomowej. Przed laty Albert bawił się myślą o powinowactwach między sobą a wielkim Fermim. Choroba we wczesnym dzieciństwie, ożenek z Żydówką, oczywiście zawód uczonego, dziedzictwo kulturowe - całkowicie dopuszczalny rumieniec włoskiej dumy, tyle że w tym akurat przypadku mniej podniecającej, skoro tytuł do niej wiązał się z takim bezmiarem

zniszczenia. Na miejscu obecnej wypożyczalni było wtedy kino, które okoliczna dzieciarnia nazywała Zsyphem, bo wiecznie pannał tam kwaśny odór i nigdy nie zamiatano śmieci. Nie zapominajmy, że to i owo idzie jednak ku lepszemu - pomyślał. Teraz w tym samym budynku wypożycza się książki, wśród regałów oznakowanych systemem dziesiętnym stoi cisza.

Poszedł do klubu osiedlowego, w którym grywał w karty, ostatnio rzadziej, a czasem wypijał kieliszek wina. Na ścianie fotografie, stare dzieje, sprzedawcy ryb w fartuchach i czapkach, przed restauracją kelnerzy uczesani z ostrym przedziałkiem, czas przydał im dostojęstwa. Usłyszał dzwon kościelny z Mount Carmel, z odległości kilkudziesięciu metrów, i nalał sobie czerwonego. Siedział sam jeden przy stole z plastikowym blatem i badawczo wpatrywał się w nogi wina, kręte strużki płynu, które spływają po wewnętrznej ścianie kieliszka i dowodzą, ile trunek ma ciała. To wino miało nogi, i owszem. Nogi nad nogami. Jak u zapaśnika sumo.

W kącie stał telewizor, w którym akurat pokazywano tę taśmę wideo. Tylko raz ją dotąd oglądał, właśnie w tym klubie, i wiedział, że będzie szła w kółko, póki nie obejrzą jej wszyscy ludzie na kuli ziemskiej. Ilekroć po przerwie telewizja znów zaczynała ją puszczać, znaczyło to, że morderca znów kogoś zabił, kogoś nowego, a ponieważ nie ma filmu ani wideo z tego najnowszego zabójstwa, trzeba pokazywać stary, jedyny istniejący film, puszczać go raz po raz, aż trafi na krańce świata.

Podszedł Steve Silvera, jeden z braci Silverów, ten, który nosił garnitur i prowadził karawan. Albert zawsze go pytał: kto umarł?

- Ty pijesz to wino?
 - Próbowałem do niego zagadać, ale bez rezultatu - odparł Albert. - Siadaj ze mną i też się napij.
 - Mam pogrzeb.
 - Kto umarł?
 - Ten, jak mu tam, z targu rybnego.
 - Zwyczajny pochówek czy kremacja?
 - Ostatnio nieboszczyków zamurowuje się w ścianie. Taka moda.
 - Zakryptowuje - z satysfakcją rzekł Albert.
- Kiedy znów zabrzmiał dzwon kościelny, Steve spiesznie wy-

szedł. Albert pochylił się lekko i zobaczył, że pozostali kierowcy i grabarze gaszą papierosy i ruszają w górę po schodach. Za chwilę będą musieli wynieść trumnę. Jeszcze jeden handlarz ryb, kolejna fotografia, która po kilkudziesięciu latach wyda się komuś ucieleśnieniem majestatycznej niewinności, dawnego, utraconego, słodkiego czasu. Jakże pamięć spiskuje z dziełami ludzkich rąk, spłaszczając czas, budząc tkliwe wspominki.

Wstąpił potem do opustoszałego kościoła i usiadł w ostatnim rzędzie, żeby побыć chwilę sam na sam z Eddiem Roblesem. Jakiś gołąb przefrunął przez nawę i przycupnął na ramie otwartego okna, pod którym świece stały rzędami. Albertowi bardzo się podobał ten stary kościół. Kolumny korynckie i święci w niszach. Płonące świece w lampkach z różanego szkła. Dzielnica się zmienia, a kościół wciąż taki sam. W ciągu dni, które nastąpiły po pogrzebie Eddiego, Albert po raz kolejny poczuł, że strata przyjaciela, a zresztą wszelka strata, jest pochodną odejścia Klary, echem tamtego druzgocącego wstrząsu.

Gołąb znów poderwał się do lotu i zatrzepotał pod kopułą. Albert mgliście sobie przypominał, że Duch Święty objawia się pod postacią gołębiczy, tak? Pewnie wszystkie duchy są święte -myślał - ale pokażcie mi któregoś palcem, zanim uklęknę. Lubił jednak przesiadywać sam w kościele, pogrążać się w posepnych, żalobnych rozmyślaniach wśród detali architektonicznych, wiary zakłej w kamień i drewno, pigmentów domieszanych do szkła.

Kiedy Klara odeszła, coś w nim urwało się z uwięzi, jakiś chaotyczny monolog, głos bez słów, wzniciający uczucia tak rozmaite, pomieszane i zlane we wspólny krwotok, tak zupełnie nie dające się wyodrębnić i zanalizować, że Albert nie mógł sobie poradzić z tą powodzią. Przeszkadzała mu żyć. Odbierała zaufanie do człowieka, którym rzekomo był - tego, który nigdy nie podnosił głosu, zręcznie się wysławiał, łagodnego myśliciela. A to suka jedna, a z niego jaki niegodziwiec, że takie ma o niej mniemanie! Przed ostateczną rozpacz uratowała go siostra -inny głos, kobieta zagubiona w introwertyzmie, tyle że przedziwnie kochająca.

Poczuł, że musi się przejść, w ruchu rozluźnić mięśnie, więc wyszedł na ulicę. Tak, ludzie rozmawiali, jedli, wierni klienci wciąż tych samych sklepów, przyjeżdżali z odległych dzielnic, a nawet powiatów, parkowali auta prawie na środku jezdni, obok

innych, już zaparkowanych, pośród nadal wyczuwalnej pulsacji wieńcowej pobliskich ulic.

Eddie nie żyje, Mercedes w Puerto Rico. Kto przestaje chodzić, ten umiera.

Wszedł w ulicę na tyłach liceum i zdziwił się, że jest zamknięta dla ruchu: ulica do zabawy, na chodniku kratki do różnych gier, ponumerowane placyki do klas i kapsli, bazy do klepanego. Był zachwycony. A już myślał, że stary zwyczaj zamykania ulic, żeby dzieci mogły się na nich bawić, zanikł dawno, kilkadziesiąt lat temu, i tylko w umyśle zachowało się jego wspomnienie, szczątek życia nie zdominowanego jeszcze przez auta i ciężarówki. Przystanął, trzymając rękę poziomo na wysokości piersi, jakby oburącz wczepiał się w balustradę na stadionie, i popatrzył na dzieci pochłonięte zabawą. Były małe, smukłe i żwawe, w głosach niektórych pobrzmiwała jamajska kadencja, a jedna dziewczynka ze skórą w różnych odcieniach, pewnie z Malezji albo z południowych Indii - zgadywał Albert - grała w klasy z wyważoną zręcznością, robiąc w powietrzu piruet tak oszczędny, że ledwo jej się rozwiewały włosy; cerę miała śniadą, tu ciemniejszą, tam jaśniejszą, pod oczami oliw-kowoburą. Chciał ją zatrzymać w pół skoku, na ułamek sekundy zatrzymać wszystko, zegary atomowe, wewnętrzne zegary żywych organizmów, cały ten mikroświat, w którym fizycy poszukują czasu - a potem wprawić w ruch wsteczny, jak film wyświetlany od końca: niech dziewczynka wróci na miejsce, z którego skoczyła, niech życie przewinie się do punktu wyjścia, żebyśmy wszyscy mieli szansę zawołać: „Gram od nowa!” Albertowi przypomniało się hasło, które znaczyło: „nie liczy się, jeszcze raz”; dzieci wykrzykiwały je, ilekroć zabawę przerwał jeden z rzadko przejeżdżających samochodów albo matka z wózkiem przechodząca przez jezdnię. „Dyngus!” - zawołał ktoś. Dyngus, a może Hindus - Albert nie był pewien. Ta mała Hinduska w pepegach i dzinsach.

„Mistrzu strzela, bo ma cela”. Tak mówiło dziecko, kiedy w drugim podejściu powtarzało ruch, który mu przerwano. Strzelało homera, kopało puszkę, trafiało kulką w cel, wzbijając w rynsztoku kłęby kurzu. „Mistrzu strzela, bo ma cela”.

Zobaczył sprzedawcę trzciny cukrowej. Towar leżał na furgonetcie z podniesionymi bokami: owoce mango w drewnianych

skrzynkach, trzcina powiązana sznurkiem w wysokie snopki. To i owo idzie jednak ku lepszemu - pomyślał Albert. Wypożyczalnia książek, ulica do zabawy, za każdą kolejną przecznicą znajdował powód do optymizmu.

Ale co właściwie znaczy „grać od nowa”? Nie chciał zaprzedać duszy za cenę kompromisów, szans powtórki, które wywracały go jak rękawiczkę na lewą stronę. Zresztą i tak w sumie nie jesteśmy uzależnieni od czasu. Istnieje równowaga, rodzaj remisu między kontinuum czasowym a istotą ludzką, tą naszą wątłą wiązką somy i psyche. Owszem, prędzej czy później ulegamy czasowi, ale on też jest od nas zależny. Nosimy go w mięśniach i genach, przekazujemy następnej zmianie stworzeń świadomych istnienia .czasu, piwnookim córkom i synom o odstających uszach, no bo inaczej jak by się dalej kręcił świat? Nie zawracajmy sobie głowy teoretykami czasu ani tymi urządzeniami z cezem, co odmierzają życie i śmierć najdrobniejszej, srebrzystej, trylionowej cząstki sekundy. Przyszło mu na myśl, że sami jesteśmy jedynymi istotnymi zegarami, że nasze umysły i ciała są rozdzielniami, w których porcuje się czas. Zastanów się nad tym, Einstein, mój imienniku.

Skręcił za róg i podszedł od frontu do liceum; korciło go, żeby wejść na schody portyku i porozmawiać z chłopcami i dziewczętami - ale przecież nie znali go, nic ich nie obchodził. No to po co w ogóle tu przylazł? W tej starej, przysadzistej kupie piaskowca i cegieł kryła się summa jego nauczycielskich dokonań, milion słów wprzędzonych w mdłe powietrze, i nie miał powodu sądzić, że jeszcze kiedyś będzie musiał tu zająć. Jedno spojrzenie dokumentalisty - ot, żeby zamrozić w bezruchu to miejsce. Zrobił koło przez najbliższe przecznice i zawrócił w stronę domu.

W jednej z opustoszałych ulic napotkał dużego bezpańskiego psa o niezdrowym wyglądzie, ze sterczącymi żebrami, z gruzłowatą pianą cieknącą z pyska, więc zszedł mu z drogi. Wśród psów obronnych zawsze trafią się pojedyncze sztuki, które popadną w niełaskę i skończą jako uliczni włóczędzy. Cały greps polega na tym, żeby ominąć takiego, nie okazując strachu. *Festina lente*. Spiesz się powoli.

Zmywał z parapetów wilgotną ścierką skrzydła i inne części much, pokruszone panczerzyki szkliscie zielonych chrząszczy.

Miał swoją nauczycielską emeryturę i niewielką rentę dożywotnią z ulgą podatkową, i jeszcze starą książeczkę oszczędnościową z odsetkami wpisanymi przyjemnym, rozstrzelonym drukiem.

Pory roku zlewały się ze sobą, lata były już tylko oszołomioną mgłą. Jak czas w książkach. Książkowy czas przemierza w jednym zdaniu długie miesiące i lata. Co napiszesz słowo, to przeskakujesz całe dziesięciolecie. Nie tak znów inaczej dzieje się tu i teraz, w wieku Alberta, w świecie bez marginesów.

Położył płytę na talerzu gramofonu, a Laura siedziała w fotelu i wydawało się, że raczej widzi muzykę, niż ją słyszy.

Chleb był niezawodny, chleb do prawie każdego posiłku, świeży chleb z ceglanych pieców. Albert trzymał książki z wypożyczalni ustawione przy pojemniku z pieczywem, żeby na pewno je zwrócić przed terminem.

- Powiedz, Albert, przeprowadzamy się?
- Nie. Nigdzie nie jedziemy.
- Ktoś mi mówił, już nie pamiętam, że się przeprowadzamy.
 - Może znów pojedziemy do Teresy. Autokarem. To piękna trasa. Innych podróży nie planujemy.
- Mówiłeś mi, że wychodzisz?
 - Lubisz tam jeździć. Do Vermontu. Pojedziemy, kiedy liście zaczną żółknąć. Lubisz tę porę roku.
- Albert.
- Co?
- Jak mi mówisz, to ja wtedy już wiem.

Pory roku i lata. Laura czytała piśmidło ze streszczeniami seriali telewizyjnych, żeby śledzić dalsze losy postaci, chociaż telewizor wysiadł już dawno temu, jakby w poprzednim życiu.

Na piecu bulgotała owsianka.

Podszedł i zdjął Laurze okulary, przetarł je chusteczką i znów jej włożył.

Stara zakonnica wstała o świcie, bolało ją we wszystkich stawach. Wstawała o świcie od czasów nowicjatu, kiedy to klękała do modlitwy na podłodze z twardych desek. Najpierw podciągała roletę w oknie. A na dworze - wszelakie stworzenie boże, zielone jabłuszka i choroby zakaźne. Potem klękała, spowita fałdami białej koszuli nocnej, bez końca pranej, miodłonej w spienionych mydlinach, a po wysuszeniu chrząszczącej, sztywnej. Siostra Alma Edgar. Pod koszulą ciało, patykowaty przedmiot, który nosiła po świcie, po większej części kredowo-biały, plamiste dłonie z wydatnymi żyłami, krótko przyszyżone włosy, cienkie i lnianoszare, oczy stalowobłękitne - niejednemu chłopcu czy dziewczynce z dawnych czasów śniły się po nocach te jej patrzalki.

Przeżegnała się, mamrocząc stosowne słowa. Amen, staroświecki wyraz, wywodzący się aż z greki i z hebrajskiego, za prawdę - najbardziej swojska z codziennych modlitw, a mimo to nagradzana trzema latami odpustu, siedmioma, jeśli przed zrobieniem znaku krzyża zanurzy się dłoń w wodzie święconej.

Modlitwa to praktyczna strategia, która pozwala uzyskać chwilową przewagę na stołecznych rynkach Grzechu i Odpuszczenia.

Odmówiła poranne ofiarowanie i wstała. Potem nad umywalką wytrwale szorowała dłonie prostackim brązowym mydłem. Jak mogą ręce być czyste, skoro mydło czyste nie jest? Przez całe życie nie dawało jej to spokoju. Ale jeśli mydło oczyści się bielidłem, to czym wyczyścić butelkę bielidla? Jeśli proszkiem do szorowania, to czym wyczyścić puszkę ajaksu? Każdy zarazek ma swoją osobowość. W rozmaitych przedmiotach czają się podstępne niebezpieczeństwa różnej maści. A pytania wiecznie się zapętłają.

Po godzinie, ubrana w habit i welon, siedziała na miejscu obok kierowcy w czarnej furgonetce i opuszczając okolicę szkoły, jechała na południe, monstrialną magistralą z betonu zmierzała ku straconym ulicom, zmarnowanej dzielnicy wypalonych domów i niczych dusz. Furgonetkę prowadziła Grace Fahey, młoda zakonnica ubrana po świecku. Wszystkie zakonnice w klasztorze nosiły zwykłe bluzki i spódnice, oprócz Siostry

Edgar, która za specjalnym przyzwoleniem zwierzchności zakonnej przywdziewała starocie o tajemniczych nazwach, takich jak barbet, kwef, gzło. Wiedziała, że o jej przeszłości krążyły rozmaite historie, o tym, jak wywijiała grubym różańcem i waliła uczniów żelaznym krucyfiksą po ustach. Wtedy wszystko było prostsze. Ubranie składało się z wielu warstw, w przeciwieństwie do życia. Ale Edgar już przed wieloma laty przestała bić dzieci, zanim jeszcze zestarzała się tak, że nie mogła więcej uczyć: przestała je bić, kiedy dzielnica zmieniła charakter, a uczniom pociemniały twarze. Cały słuszny gniew ulotnił się wtedy z jej duszy. Jak mogła uderzyć dziecko, które nie było do niej podobne?

- Trzeba podregulować tę starą landarę - powiedziała Gracie. - Słyszysz Siostra, jak hałasuje?
- Poproś Ismaela, niech rzuci okiem.
- Ku-ku-ku-ku.
- On się na tym zna.
- Sama potrafię. Potrzebne mi tylko narzędzia.
- Ja tam nic nie słyszę - rzekła Edgar.
- Ku-ku-ku-ku? Nie słyszysz Siostra?
- Może głuchnę.
- Prędzej ja ogłuchnę niż Siostra.
- Patrz, nowy anioł na ścianie.

Obie kobiety spojrzały ponad pejzażem wyburzonych parcel, zapełnionych wieloletnimi warstwami osadów: epoka odpadków kuchennych, epoka śladów pozostałych po budowie i zdemolowanych samochodów, epoka rozkładających się szczątków porzuconych przedmiotów, epoka rozkładających się szczątków porzuconych przedmiotów, epoka rozkładających się szczątków porzuconych przedmiotów. Wśród porzuconych przedmiotów rosły chwasty i drzewa. Wałęsały się stada psów, widywano jastrzębie i sowy. Robotnicy przysłani przez władze miejskie zjawiali się co pewien czas, żeby przekopać teren, i stali z czujnymi minami obok wielkich maszyn do przewalania ziemi, ubłoczonych na kolor dyni koparek podsiębiernych i buldożerów, jak piechota skulona za nacierającymi czołgami. Ale niebawem odchodzili, zawsze odchodzili, zostawiając po sobie napoczęte doły, porzucone części sprzętu, styropianowe kubki, resztki pizzy pepperoni. Zakonnice patrzyły na drugą stronę placu. Po drodze były splecione sieci robactwa, kratery zapchane złomem hydraulicznym i gipsowymi płytami w papierowej oklejce. Pagórki po-

prutych opon przetkane bujnymi pnączami. O zachodzie słońca od niskich murów po zburzonych domach odbijało się śpiewne echo wystrzałów. Zakonnice siedziały w furgonetce i patrzyły. W głębi placu wznosiła się samotna ocalała budowla, rudera z odsłoniętą ścianą, do której niegdyś przylegał sąsiedni budynek. Na tej właśnie ścianie Ismael Muñoz ze swoją załogą malował sprejem anioła, ilekroć w sąsiedztwie umierało dziecko. Anioły ku pamięci, niebieskie i różowe, pokrywały mniej więcej połowę wielopiętrowej płyty. Pod każdym wypisane było imię i wiek zmarłego dziecka, czasem też przyczyna śmierci i parę słów od rodziny, więc gdy zakonnice podjechały bliżej, Edgar ujrzała komunikaty o dzieciach, które zmarły na gruźlicę, na AIDS, od pobicia, od salwy z przejeżdżającego auta, na odrę, na astmę, porzucone tuż po narodzeniu - upchnięte w śmietniku, zapomniane w samochodzie, zostawione w plastikowej torbie podczas nocnej burzy.

Cały ten obszar nazywano Ścianą, trochę od fasady pokrytej malowidłami, a trochę z powodu ogólnego wrażenia izolacji, była to bowiem osobna wysepka, dryfująca gdzieś poza wszelkim łaodem społecznym.

- Mogliby wreszcie przestać z tymi aniołami - powiedziała Gracie. - Totalne bezguscie. Jak komuś chce się aniołów, niech sobie idzie do czternastowiecznego kościoła. Ta ściana rozgłasza wszystko, z czym walczymy. Ismael powinien akcentować pozytywne zjawiska. Domy komunalne, społeczne ogródki, urządzone własnymi siłami mieszkańców. Wystarczy skręcić za róg, żeby zobaczyć zwykłych ludzi, którzy chodzą do pracy, do szkół. Sklepy i kościoły.
- Kościół Baptistów Tytanicznej Mocy.
 - Co za różnica - grunt, że kościół. W tej dzielnicy jest pełno kościołów. I porządnych, pracowitych ludzi. Jak już Ismael koniecznie chce pomalować ścianę, właśnie im powinien ją poświęcić. Akcentować to, co pozytywne.

W czasie Edgar zabrzmiał śmiech. Przecież to właśnie dramat aniołów sprawiał, że czuła się tu na miejscu. Straszliwa śmierć, której znakiem były anioły. Niebezpieczeństwo, na jakie narażali się sprejowcy. Ściana pamięci nie miała schodków przeciwpożarowych ani okien, musieli więc zjeżdżać w kluczu, owinięci linami umocowanymi na dachu, albo wspinać się po chwiej-

nych, prowizorycznych rusztowaniach, kiedy malowali anioła bliżej parteru. Właściwie należałoby wymalować drugą taką ścianę na cześć sprejowców, którzy zginęli przy pracy - mawiał Ismael, błyskając w uśmiechu zniszczonymi zębami.

- W dodatku anioły dziewczynek maluje na różowo, a te od chłopców na niebiesko. I to już naprawdę mnie złości - ciągnęła Gracie.

Zatrzymały się przed męskim klasztorem, żeby wziąć stamtąd żywność do rozdania potrzebującym. Klasztor mieścił się w starym budynku z cegły, wkliniwanym między zabite deskami czynszówki. W przedsionku trzech mnisi w szarych habitach przepasanych sznurami przygotowywali transport na ten dzień. Grace, Edgar i Brat Mike wynieśli do furgonetki plastikowe torby. Mike, były strażak, miał kędzierzawą brodę i cienki kucyk. Od przodu i od tyłu wyglądał jak dwaj różni ludzie. Kiedy zakonnice po raz pierwszy się pojawiły, zaoferował się, że posłuży im za przewodnika, żeby je chronić samą swoją obecnością, ale Edgar stanowczo odmówił. Wierzyła, że habit i welon wystarczająco ją chronią. Gdzie indziej ludzie mogli patrzeć na nią jak na ciekawostkę z minionych epok. Lecz tu, na ulicach południowego Bronksu, w scenerii rumowisk i gruzów ona i mnisi w długich szatach wyglądali całkiem naturalnie. Jakież inny kostium byłby tak bardzo na miejscu wśród szczurów i zarazy?

Lubiła widywać mnichów na ulicy. Odwiedzali obłożnie chorych i kaleki, prowadzili schronisko dla bezdomnych, zbierali żywność dla głodnych. No i byli mężczyznami w okolicy, w której niewielu już mężczyzn pozostało. Grupy kilkunastoletnich chłopców, uzbrojeni handlarze narkotyków - tylko tacy mężczyźni trzymali się pobliskich ulic. Nie wiedziała, gdzie podzieli się inni, dokąd odeszli ojcowie - ci, co zdążyli już założyć drugą albo i trzecią z kolei rodzinę, kryli się w tanich hotelach lub sypiali pod estakadami w pudłach po lodówkach, leżeli na cmentarzu dla ubogich na Hart Island.

- Liczę gatunki roślin - oświadczył Brat Mike. - Chodzę z atlasem po pustych parcelach.
- Lepiej za głęboko się nie zapuszczaj, dobrze? - powiedziała Gracie.
- Znają mnie tam.
- Kto cię zna? Psy? Zdarzają się wściekle, Mike.

- Przecież jestem franciszkaninem. Ptaki siadają mi na palcu wskazującym.
- Za głęboko się nie zapuszczaj - powtórzyła.
- Ciągłe widuję taką jedną dziewczynkę, ma może ze dwa-
naście lat i zawsze ucieka, kiedy próbuję z nią pogadać.
Chyba mieszka w ruinach. Popytajcie o nią.
- Popytamy - obiecała Gracie.

Kiedy załadowały wszystko do furgonetki, wróciły na Ścianę, żeby załatwić interesy z Ismaelem i wziąć paru ludzi z jego załogi do pomocy przy rozdawaniu żywności. Ismael angażował grupy zwiadowców, którzy przepatrywali miasto i donosili mu o porzuconych autach, zwłaszcza z ponurych ulic pod mostami i wiaduktami. Zakonnice składały meldunki z północnego Bronksu. Dostarczały Ismaelowi szczegółowe wykazy miejsc nad rzeką Bronx, gdzie stało mnóstwo samochodów skradzionych, uprowadzonych dla hecy, częściowo zdemontowanych, takich, z których wypompowano benzynę, lub po prostu bezpańskich. Ismael wysyłał swoich ludzi, żeby przywieźli karoserię i wszelkie podzespoły zachowane w dobrym stanie. Używali do tego małej ciężarówki bez burt, ze szwankującą wciągarką i z wymalowanymi sprejem na szoferce, skrzyni i błotnikach motywami potępionych dusz. Kalekie kadłuby maszyn sprowadzano na Ścianę, gdzie Ismael oglądał je i wyceniał, po czym trafiały na złomowisko w najdalszej części Brooklynu. Czasem na pustych parcelach poniewierało się czterdzieści albo i pięćdziesiąt wyopatroszonych samochodów o sporej wartości muzealnej, tworząc istny park śmieciarskich rzeźb: auta z powgniatanymi karoseriami, poprute kulami z broni palnej, bez masek, bez drzwi, zżarte rdzą, wypalone, przewrócone kołami do góry - auta, w których leżały trupy zawinięte w plastikowe zasłony od pryszniców, a szczury chroboły w schowkach obok kierownicy.

Pieniądze, którymi płacił zakonnicom za informacje, trafiały do klasztoru męskiego i kupowano za nie żywność.

Kiedy furgonetka zbliżyła się do celu, Edgar pomacała się po brzuchu i wyciągnęła zza pasa gumowe rękawice.

Gracie zaparkowała furgonetkę, jedyny sprawny pojazd w polu widzenia. Zapięła na kierownicy stalowy uchwyt w osłonce z winylu, a koniec pręta wpasowała w otwór w zamku. Przez ten czas Edgar kilkoma mocnymi szarpnięciami wciągnęła ręk-

kawice i natychmiast poczuła dwuznaczność sytuacji, konflikt. Owszem, była zabezpieczona, naukowo opancerzona przed organiczną groźbą. A zarazem grzesznie uwikłana w jakiś proces ledwie połowicznie dla niej samej zrozumiały, dotknięta obecną w świecie siłą, poddana porządkowi systemów, który religijną wiarę zastępuje paranoją. Właśnie w mlecznoglądkiem dotyku syntetycznych rękawic krył się strach, nieufność i nierozum. W dodatku czuła się zmaskulinizowana, po dziesięciokroć okondomiona - owszem, bezpieczna, ale może też trochę zdezorientowana. Lecz bez gumy nie sposób było się obejść. Chroniła przed nagłym wytryskiem krwi lub ropy i przed czającymi się w nich wirusami, niewidocznymi nawet pod mikroskopem pasożytami w sowiecko-socjalistycznych osłonach protein.

Zakonnice wysiadły z furgonetki i podeszły do budynku.

Kilka pięter zajmowali w nim dzicy lokatorzy. Edgar nie musiała ich oglądać, żeby wiedzieć, kim są. Tworzyli społeczność nędzarzy, radzących sobie bez ogrzewania, światła i wody. Były tam zminimalizowane rodziny z zabawkami i zwierzętami pupilami, narkomani, którzy wałęsali się po nocy w reebokach zdjętych z nóg umarłym. Wiedziała, kim są - czuła to przez skórę, osmotycznie chłonąć rozsiane po ulicach nowiny. Byli szperaczami i zbieraczami, łowcami pustych puszek, ludźmi, którzy z papierowymi szklankami w dłoniach wędrują zygakiem przez wagony metra. Przy łaskawej pogodzie na dachu opalały się ulicznice. Trafiali się też mężczyźni, na których czekały nakazy aresztowania pod zarzutem nieodpowiedzialnego ryzykanctwa i występnego zobojętnienia. I ci, co krzykiem budzili Ducha - wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że na najwyższym piętrze grono charyzmatyków skacze i szlocha, już to wypowiadając słowa, już to bezsłownie wykrzykując, i modlitwą leczą rany od noży.

Kwatera główna Ismaela mieściła się na drugim piętrze, więc zakonnice pospieszyły na górę. Grace miała zwyczaj oglądać się za siebie - niepotrzebnie, bo starsza siostra mimo bólu we wszystkich ruchomych częściach ciała całkiem nieźle dotrzymywała kroku. Szelest jej welonu niósł się po klatce schodowej jak szept.

- Igły na podeście - ostrzegła ją Gracie.

Uwaga na igły, ominąć igły, takie poręczne narzędzia samo-

wzgardy. Gracie nie mogła pojąć, czemu narkoman nie zadba o to, żeby używać czystych igieł. Na myśl o tej nieostrożności aż jej się z gniewu wydymały policzki. Lecz Edgar myślała o pokusie, jaką budzi najwyższe ryzyko, o lekkim ukąszeniu miłosnym tego sztyletu do polowania na ważki. Jeśli wiesz, że jesteś nic niewart, jedynie hazard ze śmiercią zaspokoi twoją próżność.

Gracie zapukała do drzwi.

- Nie podchodź za blisko - powiedziała Edgar.
- Do kogo?
- Do Ismaela.
- Czemu?
- Jest niezdrów.
 - Widziałam go trzy dni temu. Byłam tu. Bez Siostry. Więc Skąd Siostra wie, że jest niezdrów?
- Czuję.
- Nic mu nie jest. Nic mu nie dolega.
- Czuję to już od pewnego czasu.
- Co mianowicie?
- AIDS - rzekła Edgar.

Gracie uważnie przyjrzała się starej zakonnicy. Popatrzyła na gumowe rękawice. Na jej twarz o wyrazistych rysach, oczy bystre jak u ptaka. Spojrzała, pomyślała i nic nie powiedziała.

Jedno z dzieci otworzyło drzwi - zatraski, zasuw, stalowe sztaby.

Ismael w starych drelichach zawiniętych do pół łydki i w wypuszczonej na spodnie koszuli w papuzie wzory stał boso na zakurzonej podłodze z desek, paląc ogromne cygaro, jak bez troski wyspiarz brodzący w wesołych falach przyboju.

- Co dla mnie macie, siostry?

Edgar pomyślała, że mimo patriarchalnego wyglądu jest właściwie dość młody, gdzieś koło trzydziestego piątego roku życia. Miał rzadką bródkę i miły uśmiech, który komplikowały popsute zęby. Załoga siedziała na kanapach wyciągniętych ze śmietnika i na zaimprovizowanych krzesłach, paląc i zaczytując się w komiksach. Za młodzi na papierosy, a znów na komiksy za starzy. Serce jej mówiło, że Ismael ma AIDS.

Gracie dała mu listę samochodów, które zauważyły przez ostatnie dwa dni. Czas i miejsce, typ i stan pojazdu.

- Dobra robota - pochwalił. - Jakby reszta moich ludzi tak się wyrabiała, dawno byśmy rządili światem.

Siostra Edgar oczywiście trzymała się z daleka. Spojrzała na załogę: siedmiu chłopców, cztery dziewczyny. Graffiti, analfabetyzm, drobne kradzieże. Mówili nieoszlifowaną angielszczyzną, miękką, o zaokrąglonych kantach, z niedostatkiem przyrostków. Miała ochotę wbić im do głów prawidła wymowy.

- Dzisiaj wam nie płacę, dobra? Oblatwiam jedną sprawę, potrzebny mi kapitał.

- Jaką sprawę? - spytała Gracie.

Retrowirusy w krwiobiegu, akronimy w powietrzu. Edgar wiedziała, co który zestaw liter oznacza. *AZidoThymidine. Human Immunodeficiency Virus. Acquired Immune Deficiency Syndrome. Komitet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti*. Tak, KGB też było częścią tego mnożącego się roju, rzeczywistości eksplodującej na poziomie komórkowym, którą należy przedestylować i oznaczyć inicjałami, zanim się ją w ogóle spostrzeże.

- Planuję doprowadzić tu ogrzewanie i prąd. I podciągnąć na lewo kablówkę, żeby oglądać mecze.

Na Ścianie sporo osób wierzyło, że to rząd rozsiewa wirusa, nasz własny rząd. Ale Edgar nie była taka głupia. Tę akurat dezinformację rozpowszechniało KGB. Ono też ponosiło odpowiedzialność za samą chorobę, dzieło laboratoriów broni biologicznej: wyhodowało ją, a teraz zarażało nią świat za pośrednictwem sieci płatnych agentów.

Przestała mówić o tych sprawach z Gracie, bo młoda siostra w odpowiedzi tak przewracała oczami, że wyglądała jak science fiction.

Edgar wyjrzała przez okno i zobaczyła, że ktoś przemyka między topolami i bożodrzewami w najbardziej zarośniętej części rumowiska. Dziewczynka w za dużym swetrze i prążkowanych spodniach myszkowała wśród chaszczy - pewnie szukała czegoś z ubrania albo do jedzenia. Edgar obserwowała to chude dziecko, obdarzone jak gdyby zdzicząłą inteligencją, pewnością gestu i kroku: mała wyglądała na niedospaną, ale czujną, i na nie domytą - lecz nie wiedzieć czemu nie była ani trochę brudna, tylko czysta jak ziemia, a przy tym głodna i żwawa. Miała w sobie coś, co hipnotyzowało zakonnicę, jakiś czar, zamię wybrańców i trwania.

Edgar skinęła na Gracie. Właśnie wtedy dziewczynka prześliznęła się przez labirynt zgruchotanych aut i zanim Gracie podeszła do okna, widać było już tylko anonimowe mgnienie niknące w niskich ruinach starej remizy strażackiej.

- Co to za dziewczynka? - spytała Gracie. - Ta, co w gruzach chowa się przed ludźmi?

Ismael spojrzął na załogę. Do odpowiedzi wyrwał się niewyrośnięty chłopiec w dżinsach pomalowanych sprejem, ciemnoskóry, bez koszuli.

- Esmeralda - powiedział. - Nikt nie wie, gdzie jej matka.

- Możecie ją odszukać i powiedzieć Bratu Mike'owi? - poprosiła Gracie.

- Jest szybka w nogach.

Rozległ się przytwardzający pomruk.

- Biega jak wariatka.

Kilka głów pochylonych nad komiksami kiwnęło potakująco.

- Czemu matka od niej odeszła?

- Jej matka to ćpunka. Takim to nigdy nie wiadomo, co kiedy odbije.

Nieodrodne dzieci ulicy. Bez domu, bez szkoły. Edgar chętnie by je zapędziła do klasy z tablicą na ścianie i nabiła im głowy ortografią oraz interpunkcją. Miała ochotę przeciwzyć z nimi Katechizm z Baltimore. Prawda czy fałsz, tak czy nie, wpisz w puste miejsca.

- Może jej matka jeszcze się wróci - rzekł Ismael. - Sumienie zacznie ją gryźć. Ale żeby tak prawdę powiedzieć, to niektórym dzieciom lepiej bez rodziców. Bo rodzice są dla nich niebezpieczni.

- Złapcie ją i przytrzymajcie - powiedziała Gracie, zwracając się do załogi. - Jest za młoda, żeby mogła żyć sama. Brat Mike mówi, że ona ma dwanaście lat.

- Dwanaście to wcale nie taka znowu młoda - odparł Ismael. - Jeden z moich najlepszych pisarzy ma jedenaście czy dwanaście. Pisze dzikim stylem. Juano. Spuszczam go na linie i odstawia najskomplikowańsze litery.

Edgar wiedziała o karierze legendarnego mistrza graffiti, jaką już za młodu zrobił Ismael. On to był osławionym Kosmitą 157 przed blisko dwudziestoma laty; sam opowiedział zakonnicom, że zostawił swój znak na każdym wagonie metra w mieście

i odtąd jego podpis mknął po wszystkich liniach; Edgar przypuszczała, że właśnie wtedy zaczął uprawiać seks z mężczyznami, jako nastolatek, w tunelach. Słyszała to w szczelinach jego głosu.

- Kiedy dostaniemy pieniądze? - spytała Gracie.

Ismael zakasłał, więc Edgar cofnęła się pod przeciwległą ścianę. Wiedziała, że powinna mu okazać więcej współczucia. Ale w sprawach chorób śmiertelnych nie uznawała sentymentów. Umieranie było po prostu przedłużoną wersją środy popielcowej. Zamierzała spotkać własną śmierć, mając zmysły w nienaruszonym stanie, i pojąć ją, poznać nareszcie, otworzyć się wobec tajemnicy, którą inni mylnie biorą za jakąś poczwarną nieprzyzwoitość.

Ludzie ze Ściany często mawiali, że kiedy piekło się zapelni, zmarli wyjdą na ulicę.

Zaczęło się to nieco wcześniej, niż się spodziewali.

- Następnym razem będę miał trochę kasy - obiecał Ismael. - Zarabiam na tych bryczkach praktycznie zero. Minimalnie. Planuję wejść na rynki zagraniczne. Nie zdziwcie się, jak mój złom trafi do Korei Północnej.

Gracie obracała to w żart. Ale Edgar nie umiała takiego oświadczenia potraktować z humorem. Była zakonnica z czasów zimnej wojny, kiedyś wykleiła wszystkie ściany swojego pokoju folią gospodarczą dla ochrony przed opadem radioaktywnym. Ukradkowa infiltracja, głęboka i sprytna. Z drugiej strony jednak rozumiała, że wojna może budzić miły dreszczyk. Jeszcze i teraz często wyobrażała sobie ten wielki błysk, chociaż ZSRR legł już w gruzach, według alfabetu, a jego monumentalne litery runęły niczym cyryliczne posągi.

Zeszli grupą do furgonetki - zakonnice i pięcioro dzieci -i ruszyli w objazd, rozdzielać żywność, zaczynając od najcięższych przypadków objętych programem, tuż za granicą Ściany.

Jeździli windami i chodzili długimi korytarzami. W każdym pokoju za przepierzeniem nieznanego żywoty. Siostra Grace dopatrywała się dowodu boskiej twórczości w tym, że nie sposób nawet w największym przybliżeniu wyobrazić sobie życia najskromniejszego spośród bożych kalek, co już nie wychodzą z domu.

Rozmawiali z dwiema niewidomymi kobietami, które razem mieszkały i miały do spółki jednego psa przewodnika.

Widzieli mężczyznę chorego na padaczkę.

Widzieli dzieci z butlami tlenowymi przy łóżkach.

Widzieli kobietę na wózku inwalidzkim, w koszulce z napisem JEBĄĆ NOWY JORK. Gracie twierdziła, że ta kobieta przehandluje żywność, którą jej dadzą, za heroinę, najpodlejszy gatunek ulicznej hery. Załoga Ismaela patrzyła w milczeniu, zagniewana. Gracie zacisnęła zęby, zmrużyła jasne oczy i oddała kobiecie torbę z żywnością. Rozgorzał spór, Siostra Grace przeciw reszcie. Nawet kobieta na wózku uważała, że jedzenie jej się nie należy.

Rozmawiali z mężczyzną, który był chory na raka i usiłował pocałować ogumione dłonie Siostry Edgar. Czym prędzej cofnęła się pod drzwi.

Widzieli pięcioro małych dzieci pod opieką dziesięciolatka, wszyscy stłoczeni w jednym łóżku, a obok w kołysce dwoje niemowląt.

Szli gęsiego korytarzami, jedna zakonnica otwierała pochód, druga go zamykała, a Edgar myślała o wszystkich dzieciach zawieszonych w otchłani, nie ochrzczonych, o noworodkach w półpieklu, o niedorodkach wyskrobanych podczas aborcji, o kosmicznej chmurze płodów spuszczonej do kanalizacji, które teraz wirują w pierścieniach Saturna, o dzieciach urodzonych bez układu odpornościowego, o dzieciach spod klosza, wychowywanych przez komputer, i wreszcie o tych, co przyszły na świat z wrodzonym nałogiem - widywała je na każdym kroku, półtorakilowe noworodki uzależnione od kokainy, podobne do stworków z wiejskiego folkloru.

Kiedy rozdawali żywność, Edgar rzadko się odzywała. To Gracie zabierała głos. Gracie doradzała. Edgar była samą obecnością, umundurowaną aurą w przepisowej czerni z bielą.

Szli korytarzami: pięcioro dzieci - trzech chłopcy i dwie dziewczynki - tworzyło wraz z zakonicami wspólne ciało, jedną postać o grzbiecie gnącym się w zygzak, z wieloma ruchomymi kończynami, nim zakończyli obchód w suterenie pewnej kamienicy na Ścianie, gdzie ludzie płacili czynsz za klitki ze sklejki, gorsze od więziennych pojedynków.

Widzieli prostytutkę, której z piersi zaczął ciec silikon, pęk-

nięcie się powiększało, aż skóra trzasnęła i bice polimerów smagnęły po oczach leżącego na kobiecie klienta, no i teraz była bezrobotna, mieszkała w pokoju wielkości dziecinnego kojca.

Widzieli mężczyznę, który wyciął sobie gałkę oczną, ponieważ tkwił w niej szatański symbol, pięcioramienna gwiazda, i z nim już jednak Edgar porozmawiała: wycisnął gałkę z oczodołu, a ścięgną łączące ją z wnętrzem czaszki przeciął nożem; Edgar rozmawiała z nim po angielsku, rozumiejąc wszystko, co mówił, chociaż był to język, dialekt, jakiego nikt z obecnych nigdy w życiu nie słyszał; a na koniec facet spuścił oko do wspólnej ubikacji za drzwiami swojej klitki.

Gracie wysadziła załogę przed domem, w którym dzieci mieszkają, i właśnie wtedy podjechał autokar. A cóż to? Dacie wiare? Turystyczny autokar w jarmarcznych kolorach, z tabliczką w okienku nad przednią szybą: POŁUDNIOWY BRONX -CZYSTY SURREALIZM. Gracie zaczęła dyszeć. Mniej więcej trzydzieścioro Europejczyków z aparatami fotograficznymi na szyjach nieśmiało wysiadło i stanęło na chodniku wśród sklepów zabitych deskami i nieczynnych fabryk; spojrzeli na drugą stronę ulicy, gdzie w niewielkiej odległości wznosiła się rudera.

Gracie dostała lekkiego amoku. Wystawiła głowę przez okno furgonetki i zawołała:

- To nie żaden surrealizm! Czysty realizm, najczystszy! To wasz autokar jest surrealistyczny! Sami jesteście surrealistyczni!

Przejechał mnich na rozchwianym rowerze. Turyści patrzyli, jak oddała się, pedałując. Słuchali wrzasków Gracie. Zobaczyli, że nadchodzi sprzedawca wiatraczków na baterię: każdy składał się z kolorowych skrzydełek przypiętych pinezką do kijka, a sprzedawał je podstarzały Murzyn w żółtej myce. Zobaczyli dżunglę bożodrzewów, stertę strzaskanych, umęczonych aut, i spojrzeli na pięciopiętrową ścianę wymalowaną w cherubiny, którym nad anielskimi główkami falowały proporce.

- To Bruksela jest surrealistyczna! - krzyczała Gracie. - Me diolan jest surrealistyczny. A tu mamy czysty realizm. Bronx istnieje naprawdę.

Jedna z turystek kupiła wiatraczek i wsiadła z powrotem do autokaru. Gracie odjechała, mrużąc pod nosem.

- W Europie zakonnice noszą czepce jak domki plażowe na wspornikach. To dopiero jest surrealizm - powiedziała.

Niedaleko Ściany zrobił się korek na jezdni. Obie siostry siedziały i czekały. Patrzyły, jak dzieci wracają ze szkoły, jedząc lody kokosowe. Dwa stoliki na chodniku - z jednego darmowe prezerwatywy, z drugiego darmowe igły.

- Owszem, lubi chłopców. Ale to jeszcze nie znaczy, że ma AIDS.

Siostra Edgar nie odpowiedziała.

- No dobrze, w tej okolicy panuje plaga AIDS. Ale Ismael jest rozsądny, ostrożny, uważny.

Siostra Edgar patrzyła w okno.

Wokół nich wszczął się zgielk, znużone trąbienie klaksonów, wycie syren policyjnych i jaszczurzy ryk wozów strażackich.

- Czasem się zastanawiam, czemu Siostra w ogóle to wszystko znosi - powiedziała Gracie. - Należy się Siostrze trochę ciszy i spokoju. Mogłaby Siostra mieszkać na prowincji i pracować dla przyszłości zakonu. Ja tam bardzo bym chciała się dzieć w ogrodzie różanym z dobrym kryminałem do czytania i żeby stary Pepper leżał zwinięty w kłębek u moich nóg. - Stary Pepper był to kot z przeoratu, położonego na północy stanu. - Mogłaby Siostra zapakować lunch do koszyka i pójść nad staw.

Edgar uśmiechała się w duchu, lecz w uśmiechu tym, zawieszonym gdzieś koło tylnej partii podniebienia, nie było radości. Nie pragnęła żyć na prowincji. Bo przecież tu właśnie było prawdziwe oblicze świata, właśnie tu, ojczyzna jej duszy, i ona sama... Edgar widziała siebie jako lękliwe dziecko, które musi stawić czoło rzeczywistej grozie ulic, żeby wyleczyć się z drzemających we własnym wnętrzu niszczycielskich pokus. Gdzież indziej wykonałaby tę pracę, jeśli nie pod śmiałą i szaloną ścianą Ismaela Muñoza?

Nagle Gracie się poderwała. Odpięła pas, wyskoczyła z furgonetki i pomknęła ulicą. Drzwiczki zostawiła otwarte. Edgar natychmiast zrozumiała. Obejrzała się i zobaczyła, że Esmeralda, ta dziewczynka, pędzi kilkadziesiąt metrów przed Gracie, w stronę Ściany. Gracie biegła w tych swoich buciorach i burej spódnicy, omijając auta. W ślad za dziewczynką skrzyła za róg, przy którym utknął w korku autokar turystyczny z Europy. Turyści patrzyli, jak te dwie biegają. Zgodnym ruchem obrócili głowy, a w oknach wirowały wiatraczki.

Wszystkie dźwięki osadzały się w gasnącym niebie.

Pomyślała, że jednak rozumie turystów. Człowiek podróżuje nie po to, żeby oglądać muzea i zachody słońca, tylko ruiny i zbombardowane tereny, chłonać omszałą pamięć tortur i wojen. O dwie przecznice dalej gromadziły się karetki i wozy strażackie. Widziała, jak ratownicy wśród kłębow bladości dymu podważają kratki nad tunelem metra, i wprawdzie zdawała sobie sprawę, że powinna odmówić szybką modlitwę, akt nadziei, trzy lata odpustu, ale tylko patrzyła i czekała. Potem z tunelu zaczęły się wylaniać głowy i torsy, niewyraźne w oddali, ludzie wychodzili na powietrze, z rozdziawionymi, wykrzywionymi ustami, dysząc rozpaczliwie.

Krótkie śpięcie, pożar w metrze.

Zobaczyła w lusterku, że turyści wysiadają z autokaru i ostrożnie suną ulicą, przymierzając się do fotografowania. Dzieci szkolne przechodziły, niezbyt zaintrygowane, bo przecież co chwila słyszały strzały, nocą przez okna sypialni, a śmierć na ulicy niewiele się różniła od tej z telewizora. Ale co właściwie mogła o tym wszystkim wiedzieć stara kobieta, która wciąż jeszcze jadła rybę w piątek i zaczynała czuć się tu niepotrzebna, o wiele mniej warta od Siostry Grace. Bo Gracie była żołnierzem, szermierzem ludzkiej godności. Edgar w gruncie rzeczy grała rolę agenta FBI niższej rangi, broniąc pewnego systemu praw i zakazów.

Miała kruche serce, małe i niezłomne.

Słyszała jazgot policyjnych wozów, pulsujących w zastoinie ruchu ulicznego, widziała, że setka pasażerów metra wychodzi z tunelu, wspierana przez ratowników w jaskrawych kamizelkach, i patrząc, jak turyści pstrykają zdjęcia, pomyślała o podróży do Rzymu, w którą wyprawiła się przed wieloma laty, gwoli studiów i duchowej odnowy, i aż w głowie jej się kręciło na widok ogromnych kopuł, buszowała w katakumbach i w piwnicach kościołów, a gdy teraz pasażerowie wyszli z metra na ulicę, pomyślała o tym, jak stała w kaplicy w podziemiach kościoła Kapucynów i nie mogąc oderwać wzroku od szkieletów ułożonych warstwami, rozmyślała o mnichach, których ciała zdobiło niegdyś wszystkie te śródstopia, kości udowe i czaszki, wiele czaszek zwalonych na stosy w alkowach i zakamarkach, i jeszcze jej się przypomniało, jak sobie wtedy mściwie pomy-

ślała, że ci oto zmarli wyjdą kiedyś na ziemię, aby smagać żywych i tłuc ich pałkami, karząc za grzechy - że jest to śmierć, no właśnie, zwycięska.

Ale czy naprawdę wciąż jeszcze chce w to wierzyć?

Gracie wróciła wkrótce na swoje miejsce za kierownicą, nie-
szczęśliwa i zarumieniona.

- Już prawie ją miałam. Wbiegłyśmy w najbardziej zarośniętą część rumowiska i nagle się rozkojarzyłam, a właściwie cholernie przestraszyłam nietoperzy, w pierwszej chwili aż nie mogłam uwierzyć, prawdziwe nietoperze... jedyne fruujące ssaki na kuli ziemskiej, prawda? - Z ironią pokazała palcami ruchy skrzydeł. - Wyroiły się z krateru pełnego odpadków w czerwonych torbach. Odpadów szpitalnych, laboratoryjnych.
- Nie chcę o tym słyszeć.
- Leżały tam białe myszy, całe setki, zeszywniałe i spłaszczone. Można by je tasować jak karty z baseballistami.
- Auta ruszają - powiedziała Edgar.
- Zastanawiała się kiedyś Siostra, co się dzieje z amputowanymi kończynami, jak już je lekarz odpiłuje? Lądują na Ścianie. Na którejś pustej parceli albo w piecu do palenia śmieci.
- No, ruszaj wreszcie.
- A Esmeralda żyje gdzieś w tych krzakach, między wrakami samochodów. Głowę dam, że mieszka w jakimś starym aucie -ciągnęła Gracie.
- Poradzi sobie.
- Nie, nie poradzi.
- Umie o siebie zadbać.
- Prędzej czy później - rzekła Gracie.
- Jest szybka. Jest błogosławiona. Nic jej nie będzie.

Gracie spojrzała na starszą zakonnice, ruszyła i znów popatrzyła na nią, słysząc, że silnik stuka, ale nic już nie powiedziała. Nigdy jeszcze nie słyszano, żeby Edgar zajęła w jakiegokolwiek sprawie optymistyczne stanowisko. Może dlatego Gracie trochę się zaniepokoiła.

A nocą, pod pierwszą warstwą wyboistego snu, Edgar znów zobaczyła pasażerów metra, dorosłych mężczyzn, kobiety w wieku rozrodczym, gdy uciekając z zadymionych tuneli, po omacku szli po pomostach dla konserwatorów, a ratownicy pomagali im wspiąć się na drabinki i wyjść na ulicę: ojco-

wie i matki, rodzice zgubieni, a potem odnalezieni i pozbierani, złapani za koszulę i pociągnięci wzwyż, prowadzeni na powierzchnię przez drobne figurki bez twarzy, z psychodelicznymi skrzydłami.

Wiele tygodni później Edgar, wychodząc z refektarza, sięgnęła po numer „Time'u" i zobaczyła wielkie kolorowe zdjęcie siwowłosej kobiety, która siedziała na składanym fotelu pod starym, steranym skrzydłem bombowca. Rozpoznała jej nazwisko - Klara Sax - ponieważ zawsze wszystko rozpoznawała, ponieważ ludzie szeptali jej imiona i nazwiska, ponieważ słyszała, jak informacje szeleszczą w zakurzonych korytarzach klasztoru albo w szkolnym magazynie, pachnącym drewnianymi ołówkami i zeszytami w linie, ponieważ wyczuwała jakąś mroczną wiedzę, która wraz z dymem buchała z kadzielnicy kołyszącej się w rękę księdza, ponieważ w jej pojęciu każdą rzecz określał trzask starych desek podłogi i woń ubrań, wilgotnego męskiego płaszcza z wielbłądziej wełny, ponieważ chłonęła Wiadomości, Pogłoski i Katastrofy nieskazitelnymi porami swojego bawełnianego habitu i welonu.

Wszystkie nici nienaruszone. Rozwiedziona żona mężczyzny z tej okolicy. Jej mąż uczył grać w szachy chłopca z klasy Edgar. Chłopiec miał wiecznie przekrzywiony krawat, Matthew Aloysius Shay, paznokcie obgryzione do żywego mięsa, jeden z jej najbardziej rozgarniętych uczniów, ojciec zaginął.

Wiedziała swoje, no właśnie, szachy, tyle warstw słowiańskiej przebiegłości, te ich podstępny i knowania. Wiedziała, że kiedy w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim Bobby Fischer grał z Borysem Spasskim, usunięto mu wszystkie plomby -doskonale to rozumiała - żeby KGB nie mogło go kontrolować za pomocą komunikatów kierowanych do bryłek amalgamatu w jego trzonowcach.

Schowała ten numer „Time'u" do szafy, obok starych piśmideł filmowych, które przestała czytać już kilkadziesiąt lat wcześniej, kiedy straciła wiarę w gwiazdy ekranu.

Wiarę podejrzliwą i nierzeczywistą. Tę wiarę, co zastępuje Boga radioaktywnością, mocą cząstek alfa i wszechwiedzącymi systemami, które cząstkom tym nadają kształt, nieskończonymi łańcuchami połączonych ogniw.

Wieczorem u siebie pochyliła się nad umywalką i przepłukała środkiem dezynfekującym zmywak z waty stalowej. Potem tym samym zmywakiem przeczyszczyła szczotkę do szorowania, każdy włos z osobna. Ale środka dezynfekującego nie wyjąłowała czymś mocniejszym niż sam ten środek. Nie zrobiła tego, ponieważ regresja ta nie ma końca. A nie ma końca dlatego, że nosi nazwę nieskończonej regresji. Widzicie, jak strach sięga dalej niż nachalne wylewy materii, aż do tych podniosłych przestrzeni, w których słowa bawią się same ze sobą.

Czyszczyła i modliła się.

Pracując, odmawiała krótkie modlitwy, proste pobożne prośby, tak zwane akty strzeliste, nagradzane odpustami, których czas trwania liczyło się raczej na dni aniżeli lata.

Modliła się i rozmyślała.

Położyła się do łóżka i nie zasnęła, tylko myślała o Esmeraldzie. Już parę razy ją widzieli, ale nigdy nie zdołali schwytać, Ani Gracie, ani mnisi, ani zwinni sprejowcy z załogi Ismaela. A Edgar zaczynała tracić pewność, że dziewczynce nic nie grozi.

Była wdzięczna za każde źdźbło wiedzy napotkane na drodze - zwłaszcza jeśli wiedza ta zawierała w sobie coś niepokojącego - lecz tym razem mocno nią wstrząsnęło złe przecucie. Czuli, że gdzieś tam, na Ścianie, coś się czai, że jakieś mętne, pokraczne niebezpieczeństwo czyha na dziewczynkę, gdy ta gibko przemyka wśród wraków samochodów, porzuconych kończyn ludzkich i całych hektarów nie uprzątniętych śmieci.

Matko Miłosierdzia, módl się za nami. Trzysta dni.

9

Nick szukał czasopisma, które dawno temu odłożył sobie na drogę do Houston. Pewne lektury zostawiał na później, do przeczytania w podróżach służbowych: w innych okolicznościach nigdy by się nie zdobył, żeby chociaż rzucić okiem na te pisma, a ich stosy rosły i natarczywie domagały się uwagi, aż w oznaczonym dniu lądowały na chodniku przed domem. Był taki szczególny dźwięk, zaczynało się go słyszeć... pomruk świata, rozlegał się zaś, gdy opuściwszy własny dom o wyścielanych podłogach, jechało się na lotnisko. Nick chciał mieć coś przy-

stępnego do czytania, kiedy spowije go ta monotonna, nieprzerwana mruczanka, która odmierza kolejne kilometry podróży służbowej.

Czasopismem tym był „Time”, mniej więcej sprzed miesiąca. Nick znalazł go wreszcie w łazience: pismo leżało ukryte w koszu, który Marian zapychała głównie lśnjącymi żurnalami - każdy cień wyczesany na anatomiczny połysk, specjalnie wyprofilowany przeciwko rozpadowi i zniszczeniu. Idealny materiał do przeglądania, kiedy siedzi się w kucki z opuszczonymi spodniami. Ten akurat numer „Time'u” zawierał artykuł o Klarze Sax, który Nick chciał przeczytać - co prawda nie pierwszy tekst o niej, jaki widział w ciągu minionych lat, ale może ciekawszy niż większość: o jakimś pustynnym przedsięwzięciu, które właśnie rozpoczęła, ambitnym do bólu.

Na łóżku stała walizka, dość mała, żeby dało się ją upchnąć w schowku nad głową; Nick wsunął czasopismo do zewnętrznej kieszeni, zapiął ją na suwak i dokończył pakowania. Weszła Marian w tych swoich ciemnych okularach o kocim wykroju. Należały do jej profesjonalnego wyposażenia. Od pewnego czasu pracowała w miejskim wydziale sztuki i chciała wyglądać bardziej stylowo.

- Nie musisz się pospieszyć?
- Wóz jeszcze nie przyjechał. A ja mu wierzę - odparł.
- Na wozie można polegać.
- Wóz wie rzeczy, których my nie wiemy.
- Wóz nigdy się nie spóźnia.
- Wóz i samolot są w stałym kontakcie.

Zawsze świetnie wyglądała, kiedy wychodził z domu. Czemu tak jest - zastanawiał się. Nastrój miękkiego ciała, pewien ton, który nieomal domagał się, żeby go zauważono, lecz był zarazem nieśmiałym sekretem i bał się zmacić powietrze między nimi.

Przycisnęła ją do ściany i oparł dłonie na jej udach, całując i lekko gryząc w usta i w szyję. Powiedziała coś, ale nie dosłyszał. Wsunął dłonie między jej dupę a ścianę i przyciągnął Marian do siebie. Spódnica podjechała jej do góry po rozchylonych nogach, tkanina rozciągnęła się, zmarszczyła i rozległ się ten elastyczny, trący szept, dzięki któremu Nick miał nadzieję jakoś przejść przez życie. Trochę się cofnął i spojrzął na nią.

- Czemu tak jest? - spytał.

- O co chodzi?
- I czemu, zanim wrócę, wszystko to mija, przepada i nawet już nie pamiętamy, że tak było?
- O czym ty mówisz?

Zdjął z twarzy Marian ciemne okulary i włożył je w jej dłoń. Kiedy po paru sekundach wyszedł przed dom, służbowe auto już czekało.

Kilka godzin później Marian stała w niewielkim pokoju w jednopiętrowym domu z jasnej cegły blisko podłego baru sieci „Jack in the Box” i warsztatu samochodowego. Pod koślawą wiatą za domem zaparkowano rząd aut, a w jednym z wolnych boksów leżał porzucony męski but. Marian stała nago pod ścianą tuż przy oknie. Podeszła do wysokiego lustra i musnęła je biodrem, czując coś jakby lekki, wężowy chłód w miejscu, gdzie ciało zetknęło się ze szkłem. Wyglądała całkiem, całkiem. Tyle gimnastyki i dieta, dieta, i znowu gimnastyka. Tępe powtarzanie, mozolna nuda, którą cierpliwie znosiła w imię tego, żeby zachować formę. Nie była już tą męczennicą doskonalenia się, co dawniej, ale formy wciąż jeszcze nie straciła. Bo trzeba, kurwa, być w formie. Zwróciła się twarzą do lustra. Nic nie mogła poradzić na to, że ma spiczasty nos, ale poza tym całkiem nieźle. W domu nigdy tak uważnie się sobie nie przyglądała. Łatwiej było wyraźnie się zobaczyć tu, w obcych ścianach. Dotknęła sutkami szkła, a gdy się cofnęła, ujrzała, że zostawiły po sobie wilgoć, odcisnęły podwójny pocałunek jak zimowy oddech.

Kiedy przyszedł Brian, przyjęła go w szlafroku, który znalazła w szafie.

- Nie powinno mnie tu być - powiedział Brian.
- Ani mnie. I właśnie o to chodzi, prawda?
- Usiadł na brzegu łóżka i zaczął zdejmować buty, z miną szkolnego mazgaja, który rozbiera się przed lekcją wuefu.
- Czyje to mieszkanie?
- Kogoś z moich pracowników.
- Serio?
- Czemu nie? Musimy mieć jakieś pewne miejsce - odparła.
- Ale żeby u twojej sekretarki?
- U kogoś z moich pracowników. Lepsze to niż hotel.
- Nie powinno mnie tu być.

Chodził boso po pokoju, rozpinając koszulę. Miał błazeńskie stopy, długie, z grubymi paluchami, i nie rozluźnił krawata, póki nie wyciągnął koszuli ze spodni.

- Jest młoda?
- Skąd wiesz, że to kobieta?
- Serio. Młoda?
- Tak - przyznała.

Chodził po pokoju, dotykając rozmaitych przedmiotów, oglądając fotografie i zapalki w książeczkowych opakowaniach.

- Ładna?
- Chcesz zobaczyć, jaką nosi bieliznę? Patrz, mam na sobie jej szlafrok. Jeb mnie jeb mnie jeb mnie - powiedziała oschle.
- Nie stać jej na nic lepszego?
- Mamy skromny budżet.
- Przecież to kawalerka.
- Mała, lecz namiętna - oświadczyła Marian.

Stała oparta o ścianę, z założonymi rękami. Brian podszedł do niej. Rozplotła ręce i zaczęła rozpinąć mu spodnie. Lubiła seks z Brianem, bo mogła tym mężczyzną kierować, obracać, narzucać mu swoje nastroje, łatwo go podniecać albo skłaniać do mówienia rzeczy jadowitych, szczerych, wstydliwych, gorzko-śmiesznych.

- On chyba wie - rzekła.
- Co?
- Chyba wie.
- Nic nie wie.
- Moim zdaniem wie.

Z uśmiechem wsunęła mu dłonie w spodnie. Do połowy rozebrał ją ze szlafroka, trochę jakby go na niej rozsmarowywał, wcierał w ramię i w pierś, zanim go całkiem z niej zdjął - prawie całkiem, bo tylko wyciągnął jej rękę z rękawa i tak już zostawił.

Osunęli się na łóżko. Próbowwała wyplątać się ze szlafroka, ale Brian jej nie dał. Chciał mieć kobietę półnagą. Odezwał się telefon, więc przerwali i przez chwilę słuchali, jak dzwoni. Ilekroć w jakimś pożyczonym mieszkaniu rozlegał się dzwonek telefonu, przerywali i zaczęli myśleć o tym, co robią, a może gdzieś głębiej także i o życiu osoby, z której mieszkania akurat korzystali. Marian miała wrażenie, że wpędza ich to w poczucie

winy i transgresji, ale niepożądanego rodzaju. Łóżko. Tajemnica cudzego życia, apteczki i łóżka. Właśnie tego w całej tej historii nie lubiła, prócz jeszcze paru innych rzeczy, no i nie potrafiła skupić się na seksie, kiedy dzwonił telefon.

Po omacku poszukała torby, która leżała na krześle obok łóżka. Telefon ucichł. Brian wstał i do reszty się rozebrał.

- Ufasz jej, że nie wygada?
- We wszystkich innych sprawach jest dyskretna.
- Ale to nie jest inna sprawa.

Marian znalazła papierosy i zapaliła jednego, a Brian podał jej popielniczkę.

- Myślałem, że rzuciłaś.
- Ograniczyłam do pięciu dziennie.
- Myślałem, że nosisz plaster.
- Nie noszę - odparła.

Wyciągnął się obok niej, po swojej stronie łóżka. Dzwonek telefonu przedwcześnie wprawił ich w rozleniwienie, które wypełniali lekkimi pieścizotami, niespiesznie krętą rozmową i smugami dymu.

- Ta twoja posada to naprawdę czy na niby? - spytał.
 - Współpracuję ze specami od inżynierii budowlanej i z urbanistami. Bez przerwy się użeram z komitetami mieszkańców. Ale na ogół udaje mi się wszystko załatwić.
 - Niedawno jadłem lunch w sztucznej mgle. W pasażu handlowym.
- Nie robimy pasaży, tylko autostrady.
- A jak właściwie robicie autostradę?
 - Staramy się, żeby była znośna, do wytrzymania. Tu i ówdzie wtrącamy jakąś anegdotę. Na balustradach między pasmami ustawiamy rzeźby. Filary w kształcie zwierząt.
 - Jak ma na imię twoja sekretarka? - spytał.

Strąciła mu słupek popiołu na włosy łonowe.

- Praca po godzinach, bezwarunkowe poświęcenie. Japońska pułapka - powiedział. - Śmierć z przepracowania.
- Pogrzyżyć się w życiu firmy i wreszcie umrzeć. Ale ja nie pracuję, żeby się pogrzyżyć. Chcę, żeby mnie było widać i słyhać. I nie bardzo wiem, czym dla ciebie różni się „naprawdę” od „na niby”.

Wyjął sobie popiół z włosów i zdmuchnął go z czubków palców.

- Większość prac jest na niby - rzekł.

Późno zaczęli i nie udało im się złapać równego rytmu. Już tyle czasu i raptem trzy czy cztery mieszkania, a z każdego korzystali zaledwie parę razy. Nauczyła się ignorować własne rozczarowanie. Na tym między innymi polegała męczeńska doskonałość. Ale to, że Brian najwyraźniej się nie kwapił, doprowadzało ją do autentycznego szału. Musiała załatwiać mieszkania, sama ręczyć za wszystko, precyzyjnie układać harmonogram, a potem czekać w niepewności, czy on w ogóle przyjdzie. Niektóre mają demonicznych kochanków. Jej akurat trafił się demoniczny mąż. Za kochanka miała fajtiapę z piegowatym czołem i włosami jak puch. Ale to ryzyko było jej potrzebne, otwierało przed nią jakiś istotny nurt w niej samej, pewien potencjał, który w przeciwnym razie odczuwała jako lotne piaski, niedosyt, ugór. Te chwile były jej własne, chociaż krótkie i niezbyt częste. A Brian był niesłychanie łatwy w obejściu i coraz bardziej się do niego przywiązywała. Lubiła przekomarzać się z nim i go straszyc, ale nie chciała nawet myśleć o tym, żeby się go wyrzec.

- Dmuchaj w moją stronę - poprosił. - Chcę zaznać wszystkich aromatów. Tytoniu, pościeli, kobiet.

Z Brianem była sobą, cokolwiek to znaczyło. Owszem, wiedziała, co to znaczy: mniej uwikłaną w cudze ornamenty, w kształtowanie życia, będące owocem cudzej kalkulacji.

- I przypomnij mi, że mam o trzeciej spotkanie - powiedział.

- Trochę mnie zniechęca to, że się we mnie, no wiesz, Brian - odparła z lekką prowokacją - że się we mnie nie zakochałeś.

- Jesteś w moim wieku, mojego wzrostu. Zakochuję się w drobnych żwawych kobietkach, które widuję z daleka.

- I muszą być młode.

- Muszą być młode. A my dwoje jesteśmy kumplami. I mam za duże poczucie winy, żeby się w tobie zakochać. Czuję się strasznie nie w porządku. Cholernie winny.

- Więc po co to dalej ciągniesz?

- Bo tak bardzo chcesz - powiedział.

Zgniotła papierosa w popielniczkę.

- A ty idziesz mi na rękę? Bo ja tego **chcę**? Nie **stawiasz** przeszkód?

- Ja też chcę. Ale tobie tak zależy, jakby to była kwestia życia i śmierci.

Nie podobał jej się, kiedy mówił serio. Było to wbrew umowie. Bezwładnie pochylił ku niej głowę.

- To głupota i niepotrzebna brawura, powinniśmy natychmiast przestać. Bo jak on się dowie - szepnął.
- A jak twoja żona się dowie? To ona utnie ci jaja.
- Nick mnie tylko zabije.
- I wcale nie musi się dowiadywać, bo już wie.
- Właśnie że nie wie.
- Myślę, że wie.

- Niech to będzie nasze ostatnie, radosne, pożegnalne jebanie.

Zaczęła coś mówić, ale się rozmyśliła. Padli, zwinęli się ku sobie i Marian przechyliła się do tyłu, wygięta w łuk, podparta rękami, oddając mu prowadzenie. Otworzyła oczy i zobaczyła, że on patrzy, czy daleko już zaszła: był samotny i blade, więc przyciągnęła do siebie jego głowę i zaczęła ssać sól z języka, słysząc, jak klaszczą piersi, klapią torsy i dudni łóżko. A potem wszystko było już tylko kwestią uważnej koncentracji. Wsłuchiwała się we własny krwiobieg, chwyciła Briana za biodra i zakręciła nimi, zelektryzowana, zdesperowana, nareszcie w domu, nareszcie wolna, spojrzała na niego: miał zaciśnięte oczy, usta rozciągnięte, jakby w kącikach oblepiono je taśmą, górna warga zbieiała, rozplaszczona na górnych zębach, i wtedy Marian równo z nim dostała wisielczego orgazmu, wzdrygnęła się całym ciałem, zeszytywniały jej ręce i nogi, a potem przegarnęła dłonią włosy Briana: byłoby jeszcze milej, gdybyśmy częściej to robili.

Poczekala, aż uspokoją im się oddechy, nim z wolna oswo-bodziła się i wzięła z krzesła torbę.

Brian poszedł do kuchni i wypił szklanke wody.

Torba była spora, u góry ściągana sznurem; Marian wyjęła z niej rolkę aluminiowej folii, rozwinęła ją i położyła na łóżku. Brian przyglądał się, stojąc w drzwiach kuchni. Potem wydobyła przezroczystą paczuszkę, podobną do torebki na drugie śniadanie, tylko mniejszą, z etykietką „Śmiertelny Rejs nr 1”.

- Chodź - powiedziała.

Otworzyła paczuszkę i wysypała na aluminiowy arkusz za-wartość, połowę zawartości: coś w rodzaju żywicy, pokruszonej,

podrobionej. Kazała Brianowi usiąść na łóżku, podnieść folię i przytrzymać ją poziomo za brzegi, żeby nie spłynęły z niej smoliste grudki.

- Co to za cholerstwo? I jakim cudem grudki miałyby spłynąć? Marian znów zajrzała do torby i wyjęła zwiniętą rurkę z plastiku, mniej więcej dziesięciocentymetrową.

- Zaraz, zaraz, Marian, co ty tu właściwie kombinujesz? Sięgnęła po zapaliki, zapaliła jedną, podstawiła ją pod aluminiową folię, którą trzymał Brian, i od spodu podgrzała żywicę.

- To heroina - wyjaśniła, patrząc, jak smółka pomału się rozpląwa.

- Heroina - powtórzył. - I co mam niby na to powiedzieć?

Kiedy żywica zaczęła parować i dymić, Marian zgasiła zapalniczkę, wzięła rurkę do ust i nakierowała ją na krętą smużkę dymu, wciągając go i sumiennie wstrzymując oddech.

- No dobra. Skąd ją masz?

Patrząc, jak smółka topnieje, rozpląwa się i ulatnia, wodziła końcem rurki za dymem unoszącym się nad napiętą folią i wciągała go w płuca.

- Od Mary Catherine.

- Kto to taki?

- Moja asystentka.

- Ta, na której łóżku siedzimy? Twoja sekretarka jest zarazem twoją dostawczynią? Kiedy zaczęłaś?

- Nigdy właściwie nie myślałam o Mary.

Łowiła rurką dym, nisko pochylona nad folią, i wsysała go.

- Nigdy właściwie o niej nie myślałam jako o swojej dostawczyni, ale pewnie rzeczywiście jest moją dostawczynią, a ja jestem jej... czy ja zresztą wiem czym?

- To coś nowego?

- Dostawczyni, tak. Masz, weź macha.

- Dziękuję, nie skorzystam.

Powiodła słomką za dymem unoszącym się w powietrzu.

- Wiesz, jestem stuprocentowo rozsądna. Palę bardzo, bardzo rzadko. Wstaję z łóżka i nie mam podpuchniętych oczu, bólów ani mdłości. Weź macha.

Wessała dym przez rurkę.

- Nick o tym wie? Niemożliwe, żeby wiedział.

- Oszalałeś? Zamordowałby mnie. Weź macha.

- Odczep się, do cholery!
- Chcę cię wciągnąć głębiej. Weź macha. Chcę cię wciągnąć tak głęboko, że przestaniesz jeść i spać. Będziesz leżał w łóżku, myśląc o nas. O tym, co robimy w cudzym pokoju. Nie będziesz mógł myśleć o niczym innym. Takie mam wobec ciebie plany, Brian.
- Mary Catherine. Ładne imię. Seksowne.
Siedzieli obok siebie na łóżku, słuchając aut jadących po Thomas Road. Kiedy skończyła, odłożyli sprzęt na bok, otrzepali łóżko, położyli się i dalej rozmawiali.
- On chyba wie - powiedziała Marian.
- Gdzie teraz jest?
 - W drodze do Houston albo już na miejscu. Pojedzie stamtąd autem do tej zbiornicy odpadów radioaktywnych, dokładnie nie pamiętam gdzie.
- Pod solną kopułę.
- Zdany na łaskę Mordercy z Teksaskich Szos.
 - Nic nie wie - rzekł Brian. - Ale należałoby pomyśleć o skończeniu tej sprawy. Dzisiaj powinien być ostatni raz.
 - Jeszcze nie dojrzałam, daleko mi do tego. Więc nie mów tak, bo zaraz się czuję jak jakieś stare czupiradło, co goni resztkami.
- Nie czupiradło, tylko ciupciadło.
- Bądź dla mnie miły - poprosiła.
Dzień zmniejszył tempo i tętnił teraz sennym pulsem gdzieś w okolicy jej oczu. Przeciągnęła się i poczuła, jak zakrzepla w jej włosach łonowych skorupka spermy wykrusza się z cichym trzaskiem.
 - Popierdolmy sobie jeszcze raz na koniec jak cywilizowani ludzie i wyrwijmy z tego układu, pókiśmy żywi - szepnął.Słuchała aut zza okna, zastanawiając się, co by odpowiedziała, gdyby to się działo w filmie.
 - Popierdolmy sobie na pożegnanie i ubierajmy się - dodał takim samym szeptem.Uśmiechnęła się lekko. Powietrze miało aromat sprzyjającego zamysłu. Czując się trochę jak z Los Angeles, przeturlała się na bok i położyła na Brianie, a kiedy znowu zaczęli, czasem coś mówiła, co parę chwil, sama słodycz, tkliwość, słowa jak bańki,

i wyczuwała obecność niewidzialnego planu, dopuszczającego wyłącznie pomysłne rozwiązanie.

Kiedy potem leżeli obok siebie, podparł się łokciem i spojrzał na nią.

- Twoje oczy wyglądają jak roztopione kule buntu.
- Tylko mi nie mów, że mamy kończyć. To nie twoja rola.

Roześmiał się. Ilekroć wybuchał śmiechem, robił się pół-przezroczysty. Widać było, jak krew śmiga mu pod skórą wzbieranym potokiem różu. Wstał i zaczął się ubierać. Sięgnął po jakiś żurnal, otworzył go na posępnej fotografii nonszalancko muskularnego biseksa, może białego, a może innej rasy, i pomachał nim nad łóżkiem, demonstrując, jak bardzo niedzisiejszy jest w swoim ciele, we własnym życiu, skoro nie ma kasety wideo z nagraniem kursem gimnastyki, którą mógłby wsunąć w podłużną szczelinę.

- Majtki. Nagle wszędzie tylko majtki - rzekł. - Powiedz mi, co to znaczy.

Spojrzał na zegarek i wpadł w lekki popłoch. Usiłowała mu pomóc, podając ponad łóżkiem kolejne części garderoby, a on celowo się mylił, włożył skarpetkę na lewą stronę i związał buty sznurowadłami, żeby podreptać do drzwi, a potem nagle się zatoczył. Im później się robiło, tym bardziej błaznował. Brian w najlepszym wydaniu.

- A jeżeli on wie?
- Nie wie - odparła.

Miała demonicznego męża, jeśli demoniczność jest pewnego rodzaju mocą, opiekuńczym duchem dyscypliny i samokontroli, tym odskokiem raptownym jak wyłączenie radia, który opanował do perfekcji. Wiedziała o zniknięciu jego ojca, ale było tu coś jeszcze, jakaś twardość i odrębność. Właśnie ona przede wszystkim przyciągnęła do niego Marian, ta ryzykowna i wysoce erotyczna propozycja.

Brian oglądał zdjęcia wiszące na ścianie przy drzwiach. , -
Która to?

- Zjeżdżaj - powiedziała.

Zaścieliła łóżko, schowała heroinę do torby i odwiesiła szlafrok na miejsce w szafie. Myjąc szklanekę, z której pił Brian, stała nago w kuchni i wszystko w sumie wydawało jej się cał-

kiem rozsądne i naturalne, zasłużone, potrzebne, nagie, a potem wzięła prysznic i się ubrała.

Czuła się świetnie. Mile rozleniwiona - wiecie zresztą. Wiecie, jak to bywa, kiedy coś przez dłuższy czas dokucza i domaga się załatwienia, aż wreszcie nieoczekiwanie samo się układa.

Czuła, że wszystkie dobre rzeczy same ją znajdują, chociaż na ogół nie mają tego zwyczaju. Wiedziała, że je pozna, kiedy je zobaczy tymi swoimi oczami z Los Angeles.

Stała przed lustrem, poprawiając na nosie ciemne okulary. Bo gdyby nie miała tych planów, manewrów i wyczekiwań, tego nie dość, naprawdę nie dość częstego Briana - zresztą o mało co mu się nie przyznała, zanim wyszedł, że bez niego zostałyby samiutka i drżąca, jechałaby autem po udekorowanej autostradzie pod płonącym niebem, trochę może niewyraźna.

Czuła, że się podoba. Podobała jej się ta kobieta, którą dziś była. W głębi duszy rozleniwiona. Wszystko rodem z Los Angeles wydawało jej się dziś w sam raz. Powiedziałyby nawet, że jest bliska euforii, chociaż nie była gotowa całkiem się poddać temu uczuciu.

Przed wyjściem jeszcze raz uważnie obejrzała pokój. W świecie pojawiało się miejsce na tajemne konszachty właśnie dzięki pożyczonemu mieszkaniu, zapamiętanemu numerowi telefonu i szyfrom w kalendarzu. Były to w gruncie rzeczy dziecinne zabawy w szpiegostwo, które bardziej niż sam seks wpędzały ją w poczucie winy, w potulną skruchę. Uklepała poduszkę, żeby wyrównać dołek. Niech wszystko wygląda jak nietknięte, to Mary Catherine chętnie się zgodzi, kiedy Marian znów poprosi o klucz.

10

Rozsmarował majonez. Rozsmarował go na chlebie. Potem przyłożył na to plaster zimnego mięsa. Nigdy nie smarował mięsa majonezem. Smarował nim chleb. Na wierzch przykładął mięso i patrzył, jak majonez wycieka bokami.

Poszedł z kanapką do sąsiedniego pokoju. Tata oglądał telewizję, w zwykłej pozie, zgarbiony w fotelu jak przy peryskopie, zgięty w pół, jakby miał lada chwila sturlać się na dywan. Nękały

go dolegliwości, których jeszcze nie nazwano. Trzeba je było wzajemnie przeciwko sobie wygrywać. Lekarstwo dobre na jedną niechybnie zaostrzało inną. Były też nawroty i skutki uboczne, i cały plan podawania leków, w którym Richard i jego matka usiłowali się połapać, odbywając codzienny slalom wśród połowicznych dawek, przestróg na etykietkach, różnych „zależnie od” i „pamiętać, żeby”.

Richard zjadł mniej więcej pół kanapki, a resztę zostawił na poręczy fotela. Zadzwonił z kuchni do swojego przyjaciela Buda Wallinga, który mieszkał w odległości jakichś sześćdziesięciu kilometrów, na kompletnym odludziu, i właściwie nie był przyjacielem.

Jechał do domu Buda przez stare pola podzielone na działki budowlane, gdzie wąskie szmatki unoszone wiatrem zawisały prostopadle do cienkich słupków, do których je przywiązano. Na tym pustkowiu wiatr był siłą i brał umysł w kleszcze. Pół kilometra za budynkiem liceum człowiek wciąż jeszcze słyszał łopot wielkiej flagi i portowy stukot fału o maszt, widział chmury kurzu przegarniane w poprzek drogi, kiedy tak parł autem pod wiatr i jadąc prosto w białe niebo, czuł się niepotrzebny, głupi.

Dom Buda przypominał stertę drewna, które wichura przyniosła ze wzgórz. Jakby osiadł na ziemi, ciśnięty mocą rozhukanej natury: na podwórku coraz bardziej wypaczone deski, nie domykające się drzwi, nie dokończona weranda na pustakach - jedna z tych niskich, które sprawiają, że dom wygląda, jakby zapadał się w piach. Bud miał kojopsa - mieszańca kojota z bezańskim kundlem, przykutego łańcuchem w byle jak skleconej komórce za domem. Richard podejrzewał, że mieszańiec nie jest aż tak groźny, jak głosi legenda. A Bud po szczeniacku podnieca się tym, że ma na łańcuchu zwierzę, które wedle uznania może karmić albo głodzić i głównie dlatego właśnie je trzyma.

Uprzytomnił sobie, że zapomniał dać tacie dwie szklanki wody do popicia niebiesko-żółtej tabletki, pomimo zalecenia wydrukowanego tłustą czcionką na butelce. Takie drobne potknięcia podkopywały jego wiarę w siebie, nawet gdy wiedział, że to ojciec jest winien, bo przecież mógłby sam pilnować, ile czego zżywa, albo matka, bo nie ma jej, akurat kiedy jest potrzebna. Toczyły się o to nieustanne utarczki: czyja wina, no, już niech

wam będzie, przepraszam, i niechby wreszcie umarł i dał ludziom święty spokój, a wszystko to rozgrywało się u Richarda w głowie.

Pukając do drzwi Buda, zdobył się na głupi dowcip i zawołał:

- Otwierać, policja!

Żadnej reakcji. Wszedł prosto do dużego pokoju i zobaczył, że Bud piłuje grubą wąską deskę opartą na dwóch ławkach nierównej wysokości. Dom wciąż jeszcze składał się głównie ze szkieletu, chociaż Bud pracował nad nim od wielu miesięcy, sumiennie się trudząc, aczkolwiek zdaniem Richarda wysiłek ten miał na celu nie tyle wybebeszenie i przebudowę domu, ile zniszczenie raz na zawsze jakiegoś przerażającego widma, którym mógł być dawny nałóg Buda, wyleczonego narkomana.

- Twój telefon nie działa - powiedział Richard. - Pomyślałem, że podjadę, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.
- Niby dlaczego miałyby być nie w porządku?
- Zadryndałem do biura napraw.
- O telefonie mogę powiedzieć tylko tyle.
- Czasem to centrala sama nareperuje.
- Że więcej z nim kłopotu niż pożytku.

Bud podniósł wreszcie głowę i dostrzegł Richarda jako fenomen wizualny.

- Wpuszcza ci w życie różne osobiste głosy, a ty nie wiesz, jak z nimi gadać.

Richard nie oddalał się zbyt od ścian, gładził dłońmi heblowane parapety, oglądał zszywki, którymi przybito do framug okiennych plastikową folię. Czczę gesty, obliczone na to, żeby odwlec mózół zwykłej rozmowy.

- Będę kładł parkiet - oświadczył Bud. - Może w jodelkę.
- Powinno dobrze wyglądać.
- Mam nadzieję. Ale pewnie się do tego nigdy nie zabiorę.

Dźwięki, jakie wydawał plastik targany wiatrem, działały na nerwy. Richard nie rozumiał, jak wyleczony narkoman może pracować po całych dniach, słuchając tego szurania i łopotu. Folia wydymała się, szamotała i szurała. Mózg ogłupiony syntetyczną kokainą nabiera przekonania, że ćpanie mu służy. Stwierdził, że ma jednak coś do powiedzenia.

- Wiesz co, Bud? W przyszłym tygodniu skończę czterdzieści dwa lata. Od czwartku za tydzień.

- Zdarza się.
- I właściwie ciągle jeszcze czuję się, jakbym był dwa razy bardziej młodszy.
- To dlatego, że jasne dlaczego, skoro żyjesz tak, a nie inaczej.
- Jak to?
- Ze starymi - rzekł Bud.
- Sami sobie nie poradzą.
- A kto sobie radzi? Mam do ciebie pytanie.

Rzucił w kąt połówkę przepiłowanej deski. Drugą zaczął oglądać, jakby przed chwilą ktoś mu ją wetknął do ręki na zatłoczony ulicy.

- No? - powiedział Richard.
- Czy oni aby nie śmierdzą?
- Że co?
- Starzy ludzie. Skisłym mlekiem. Richard słyszał, jak klaszcze folia w oknach.
- Nie żebym zauważył.
- Nie żebyś zauważył. No dobra. Chcesz poczuć, ile naprawdę masz lat. Znajdź sobie żonę. To rozwiąże sprawę. Straszne, ale prawdziwe. Żona to jedyny ratunek dla takich facetów jak my. Tylko że żonaty wcale nie czuje się młodziej.

Richard radośnie się wzdrygnął w swoim kącie. Spodobała mu się myśl, że jego także obejmuje program kobiecego ratownictwa wykolejonych mężczyzn.

- Gdzie ona jest? - spytał.
- Pracuje na drugą zmianę.

Żona Buda pracowała przy taśmie w zakładach Texas Instruments - instalowała mikroczipy na płytkach z obwodami, jak wyjaśnił jej mąż, dla potrzeb informacyjnej autostrady. Richardowi wydawało się, że się w tej kobiecie podkochuje. Uczucie to pojawiało się i znikало, potajemne i poniekąd żalosne, jakby miał serce z bawełnianego włókna. Gdyby Aetna chociaż trochę podejrzewała, jakie wznieca w nim sentymenty, co by sobie pomyślała? Strach, który budziło to pytanie, wywoływał w Richardzie całkiem fizyczne objawy: fale gorąca, rumieniec w górnej partii pleców i ucisk w gardle.

Wymyślił kolejną odzywkę.

- Leworęczni, czytałem niedawno. - Urwał, próbując sobie przypomnieć naukowo sformułowane zdania z wąskiej szpalty. -

Leworęczni, do których zresztą nie należę, generalnie żyją bardziej krótko od praworęcznych. Praworęczni mężczyźni żyją o dziesięć lat bardziej długo niż leworęczni. Wyobrażasz sobie?

- Średnia długość życia, mówisz.

- Leworęczni mężczyźni generalnie umierają w wieku bodajże sześćdziesięciu pięciu lat.

- Bo się branzlują twarzą do bieguna północnego - skomentował Bud, lecz Richard nie znalazł w tych słowach ani odrobiny treści.

Patrząc, jak Bud wyrывa gwoździe ze starych desek podłogi, w końcu zaofiarował się z pomocą i zaczął szukać odpowiedniego młotka.

- No więc, Richard.

- Co?

- Przejechałeś osiemdziesiąt kilometrów, żeby mi powiedzieć, że mój telefon nie działa.

Richard nie wiedział, czy to podpucha, po której nastąpi jadowity docinek w stylu Buda Wallinga, czy też zwykłe podziękowanie.

- Sześćdziesiąt kilometrów, Bud.

- Ulżyło mi. Poczęstowałbym cię piwem, ale.

- Nie ma problemu.

- Może to Aetna jeździ osiemdziesiąt kilometrów. Dokładnie nie pamiętam.

Bud nie był od tego, żeby czasem rzucić jakąś wysoce osobistą uwagę na temat własnej żony, na przykład o jej upodobaniach seksualnych albo trudnościach z trawieniem, a ilekroć wymieniał jej imię, naszemu Richardowi zapierało dech z nadziei i z obawy, bo a nuż za chwilę pozna jakiś intymny szczegół, a chociaż wiedział, że Bud chce go tylko zaszokować i zbrzydzić, chłonął każde słowo i obraz, każdy opis woni, wypatrując w pociągłej, zmiętej twarzy Buda znamion sztyrdystwa.

- Będzie jej żal, że się z tobą minęła - powiedział Bud, podnosząc głowę znad spróchniałego drewna i chmury kurzu.

Nie był leworęczny, ale nauczył się strzelać lewą. Bud nigdy by nie zrozumiał, że Richard musi uzewnętrzniać uczucia, aby przezwyciężyć swoją osobność. Nauczył się tego sposobu strzelania, bo miał taką teorię, że jak się prowadzi wóz prawą ręką, siedząc tuż przy drzwiach, bardziej się opłaca trzymać prawą

dłoń na kierownicy, a za okno wystawić lewą, tę z bronią, żeby nie strzelać na poprzek własnego ciała. Prawdopodobnie mógłby pogadać o tym z Budem i może Bud jednak by zrozumiał. Ale nigdy by nie pojął, czemu Richard musi wszystko uzewnętrzniać, dzielić się wszystkim z innymi ludźmi, stawać się częścią ich historii, bo tylko w ten sposób potrafi się wyzwolić, wygrzebać spod śmierdzących szczegółików własnej osoby.

- Więc gliniarz powiada - mówił tymczasem Bud. - Stopy razem, głowa do tyłu, oczy zamknąć proszę. Na to Aetna w śmiech, kiedy on mówi: proszę. A teraz ręce rozstawić na boki. Zgiąć lewą i dotknąć nosa palcem wskazującym. Ja tu stoję, leje jak z cebra, a ten mną dyryguje z wozu. Dotknąć nosa palcem wskazującym, mówi mi.
- Jak jesteś leworęcznym kierowcą, to masz pięć razy bardziej większe szanse zginąć w kraksie.
- Niż praworęczny.
- Niż praworęczny - przytaknął Richard z religijnym przekonaniem.

Bud wyrwał deskę z podłogi.

- Nie mój problem.
- Mój też nie.
- Ja tam umieram od stresu - rzekł Bud. - Powiem ci, gdzie jest mój próg odporności na stres.

Richard czekał na dalszy ciąg. Dawniej siedział w szklanej budce w supermarkecie, spinał pliki czeków osobistych i kuponów zniżkowych, wydawał też kasjerom rulony bilonu, ale widocznie coś poplątał, bo znów go posadzili przy kasie, żeby przepuszczał towar przez skaner i ręcznie wbijał ceny owoców i warzyw, narażony na zdawkowe obelgi ze strony obcych przechodniów tego świata.

- Musimy się załatwić na dworze, bo ubikacja jeszcze się nadaje do zamieszkania dla ludzi. No więc zbudowałem wygodkę, bo przecież nie ma innej rady, dopóty nie wykombinuję czegoś z ubikacją. A Aetna, wyobrazasz sobie.
- Wraca z roboty.
- Stres narasta, robi się naprawdę drażliwie.
- No bo jechała taki kawał - rzekł Richard.
- No i potrzebuje. A tu nagle sobie przypomina. W domu

brak czynnej ubikacji. Więc patrzy na mnie, jakby chciała zamordować.

Niewiarygodne rzeczy wygadywały te tłuste baby w kolejce do kasy szybkiej obsługi, chociaż miał w domu dwoje chorych rodziców, a raczej jedno chore, drugie narwane, na przykład: na koncentrat pomidorowy jest szesnaście centów zniżki, albo: to nie czerwona gruszka, tylko andziu. Zmuszały go, żeby pytał nad głowami kolejki. Nie widzi pan, że nie jest czerwona? Policzył mi za czerwoną, a to przecież andziu. Musiał mówić nad głowami całej kolejki do kasjera z sąsiedniego stanowiska i wszyscy w obu kolejkach słyszeli każde słowo.

- Osobiście nie mam nic naprzeciwko - ciągnął Bud. - Bo w pewnym sensie to nawet logiczne załatwiać się poza domem. Zważywszy, na czym proces polega.

Mówią o urazach głowy. Zastanawiają się, czy go adoptowano, a może dręczono? Cała trudność, jak to rozegrać w przestrzeni. Skoro strzelasz z okna od strony kierowcy, bo inaczej przecież nie możesz, jak nie chcesz strzelać przez całą szerokość swojego auta, i jeszcze w dodatku przez odstęp między swoim autem a tym drugim, to i tak masz problem, że strzelasz przez odstęp między autami i przez całą szerokość tego drugiego auta, bo tamten kierowca siedzi po zewnętrznej stronie, jeśli liczyć od twojej kierownicy. A pasażera przecież nie zastrzelisz. Bo jakbyś go zastrzelił, kierowca prawdopodobnie się wymknie, zapamięta twój numer rejestracyjny, markę wozu, kolor włosów i tak dalej. No więc będziesz strzelał do samotnych kierowców, z bliższego okna, trzymając broń w lewej ręce. Ale prawda jest taka - stwierdził w końcu - że jak strzelasz prawą ręką, tą wrodzoną, pocisk przemierza tę samą odległość przez z grubsza te same odstępy co wtedy, kiedy broń trzyma ręka specjalnie przyuczona, znaczy się lewa. Wykombinował to gdzieś po piątej, a może szóstej ofierze, dokładnie już nie pamięta, ale i tak postanowił po staremu strzelać z lewej, chociaż prowadzenie auta lewą i strzelanie prawą miało więcej sensu. Bo prawa umie to od urodzenia.

- Właśnie się kapnąłem, co mi tu nie gra.

Usłyszeli szczekanie psa, Richard spojrział przez zakurzoną folię i zobaczył, że zwierzę naciągnęło łańcuch do oporu i stoi na zadnich łapach, wypinając jaja, więc pomyślał z nadzieją:

może Aetna wcześniej wraca z pracy. Upiekła im raz placek ze skórką w kratkę. Zapamiętał to. Kiedy stwierdził, że to pewnie tylko jakieś stworzenie buszujące w lesie tak podnieciło psa, zasmucił się bez miary. Ale wszystko przecież było właśnie takie: bez miary. Wiatr szarpał plastikiem, który drżał i klaskał. Syntetyczna kokaina to podobnie najnałogowszy narkotyk, jak ustalono w toku długotrwałych badań.

- Masz krawat na szyi - rzekł Bud.

Richard czujnie zmilczał; niepewny, jak rozumieć tę uwagę, skrycie wietrzył podstęp, docinek.

- Jeszcze z roboty - wyjaśnił. - Wróciłem do domu i nie przebrałem się.

- To wy tam nosicie krawaty? Przy podliczaniu sprawunków?

- Zarządzenie dyrekcji, na cały stan, tak z grubsza.

Tylko spokój - pomyślał.

- I jeszcze jedno, co powiedziała Aetna, tym razem wyjątkowo miała rację. Że wyglądasz na faceta, który nosi okulary. Tylko nie nosisz. Ale jak to powiedziała, właściwie nie byliśmy pewni. No to w końcu nosi czy nie nosi, zastanawialiśmy się.

- Nigdy nie nosiłem - rzekł Richard.

Kiedy wszedł do domu Buda, a ten ledwie go zauważył, Richard poczuł, że umiera - ot, normalka. Puste, wydrażone uczucie, że nie istnieje. Jakieś sześćdziesiąt kilometrów za kółkiem po to, żeby patrzyli przez człowieka jak przez szybę: rzecz straszna, ale nie nowa. Ale teraz to śledztwo, co nosi i jak wygląda. Wpadł w popłoch. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, co by tu powiedzieć. Może coś o psie. Spojrzał przez folię, usiłując dostrzec mieszkańca. Albo o tym, że nic tak się nie brudzi jak plastikowa folia, bo wchłania na stałe brud.

- No, to może powinieneś. Okulary nadają człowiekowi preżencję. Spraw sobie grubą ciemną oprawkę, dobraną do krawata.

Nie wiedział, czemu Bud tak do niego mówi. Bud siedział po turecku nad wąską szparą w podłodze. Młotek oparł o ramię i patrzył Richardowi prosto w twarz. Richard próbował się uśmiechnąć, obrócić całą sprawę w żart. Czuł, że ma głupią minę, tak jakby grymas ust mógł zmienić świat zewnętrzny.

- Pomyślę nad tym.

- Pomyśl.

- Chyba na mnie już czas.

- Będzie jej szkoda, że się z tobą minęła.
- Przekaż ode mnie.
- Nie omieszka.

Jedyną osobą, z jaką w życiu udało mu się pogadać od serca, była Sue Ann. Rozmawiając z nią przez telefon, czuł, że naprawdę istnieje. Zawdzięczał jej to wrażenie, że przybiera własny kształt, postać od zawsze mu przeznaczoną, i staje się tym, kim rzeczywiście jest. Tak jakby się wypełniał. Czuliście kiedyś, że wszystko wypływa z samego środka człowieka, którym jesteście, i przybiera właściwą dla was postać? Otóż dokładnie coś takiego przeżył Richard dzięki Sue Ann i możecie odnieść się do tego z niewiarą albo z lekceważeniem, ale nigdy nie był naprawdę sobą, dopóty z nią nie porozmawiał.

Kiedy wyszedł za drzwi i ruszył do auta, usłyszał, że Bud wyrывa deskę z podłogi.

Po świetle grasują umysłowi mordercy, a kasjerzy noszą krawaty.

Pomyślał, że Bud mógłby tak powiedzieć.

Do Sue Ann zadzwonił z domu, do którego się włamał. Kiedy włączał telewizor i telefonował do studia w Atlancie, wszystkiego dotykał przez chusteczkę, a słuchawkę nakrył przystawką zmieniającą brzmienie głosu, którą zamówił z ogłoszenia zamieszczonego na jednej z ostatnich stron czasopisma dla najemników. Na ogół nie miał zwyczaju przeglądać takich publikacji. Nie był tajnym agentem ani miłośnikiem broni palnej. Strzelał ze starej trzydziestkiósemki swojego ojca. Nie waliła jak z armaty, nie można było przestrzelić nią na wylot betonowej płyty ani porobić w człekokształtnej tarczy dziur wielkości pięści. Ona tylko zabijała ludzi.

Wyjechał z lesistej okolicy pod rozległe niebo i gdy droga poprowadziła go w dół, na nadrzeczną nizinę, poczuł prawdziwą siłę wiatru.

Zadzwonił do studia i włączył telewizor, a może na odwrót, bez fonii, dwukrotnie owinąwszy dłoń chusteczką, i nigdy przedtem, kiedy rozmawiał z kimś przez telefon albo twarzą w twarz, z mężczyzną czy z kobietą, nie czuł się tak swobodnie jak tamtego dnia w rozmowie z Sue Ann. Obserwował ją z daleka, ale mówił do niej z bliska. Widział, jak w drugim końcu pokoju bezdźwięcznie poruszają się jej usta, podczas gdy ciche, ciepłe

słowa trafiały w zwoje jego skrytego ucha. Rozmawiał z nią przez telefon, podtrzymując kontakt wzrokowy z telewizorem. I wtedy właśnie zaświtało mu, że jest rzeczywisty. Ta kobieta o oczach kosmitki i oszałamiających włosach emanowała czymś, co zdumiało serce Richarda. Mówił z każdą chwilą coraz pewniej. Krzepł w sobie, onieśmielony, lecz bez cienia wstydu, trochę nawet próżny, zarazem szczery i szczwany, w razie potrzeby odpowiadał wymijająco, kiedy tak stał w domu obcych ludzi przy lampie bez abażuru, a Sue Ann słuchała i pytała, patrząc na niego z ekranu, z odległości trzech metrów. I tak przy tym promieniała, że potrafiła tchnąć w niego rzeczywisty byt.

Droga była nie uczęszczana. Można przejechać pięćdziesiąt kilometrów i nie spotkać drugiego auta. Widać, jak druty elektryczne ciągną się aż po horyzont, opadając ku ziemi zgodnie z perspektywą. Kiedy wiatr zamiera, chwila zawieszenia kładzie się ciężarem na całej okolicy i nasuwa myśl o ciszy przed Sądem Ostatecznym.

Potem zrobili cięcie i puścili tę taśmę. Oglądał ją podejrzliwie, bo ukazywała widok odmienny od tego, który znał z doświadczenia, więc wciąż mu się zdawało, że dziewczynka zaraz przesunie kamerę i zmieści go w kadrze. Widział już ten film co najmniej dziesięć razy, siedząc obok swojego obolałego taty, ale za każdym razem zdawało mu się, że za chwilę pojawi się we własnym domu, odłączony od samego siebie, i spojrzy zezem znad kierownicy swojego małego auta.

Potem jeszcze dwukrotnie dzwonił do Sue Ann, ale nie chcieli go połączyć, bo teraz już wiele innych osób próbowało z nią porozmawiać, a facet z centralki zachowywał się obleśnie, szorstko i nieufnie. Richard potrzebował Sue Ann, żeby się nie rozlecieć. Pewnie w końcu powiedziała by jej, jak się nazywa. Po iluś tam dniach, iluś telefonach, patrząc na niego z ekranu, zupełnie by go złamała. Podałby się jej w powodzi światła, Richard Henry Gilkey wleczony korytarzem, wokół niego mężczyźni w szerokoskrzydłych kapeluszach, a u jego boku Sue Ann Corcoran.

Minął maszt z łomoczącym falem. Wiatr łomotał linką o drzewce masztu, a zawarte w tym łoskocie raz po raz powtarzane przesłanie czemuś Richarda pozbawiało sił.

Wszedł do domu i zobaczył, że tata siedzi cały powykęcany

przed telewizorem. W kuchni matka ubijała coś trzepaczką na dnie białej miski.

- Patrzcie, kogo tu przywlokło.
- Byłem u Buda.
- A czy my aby mamy czas, żebyś jeździł do Buda?
- Tatusiowi trzeba dać nitrospan.
- No to mu daj.
- Nie powinniśmy zadzwonić, żeby się dowiedzieć, ile mu teraz dawać?
- Ja nie dzwoniłam. A ty? - spytała.

W szklanej budce było okienko, do którego się mówiło. Ale teraz posadzili go przy kasie i musiał mówić ponad głowami całej kolejki.

- Zadzwonię - rzekła matka - ale i tak go teraz nie zastanę.
- Odezwie się automatyczna sekretarka.
- Odezwie się automatyczna sekretarka i powie mi, że wyszedł.
- Miałem zamiar dzwonić.

- To już ja zadzwonię - powiedziała matka - a ty go nasmaruj.

Po kolacji posmarował ojcu pierś maścią. Ojciec leżał w łóżku na wznak, nie ogolony, i wyglądał jak starzec pomału przemieniający się w wyrzutka, w rozbitka z wysp, cały oprócz oczu, te bowiem były wilgotne, głębokie i błagały o zwłokę. Richard natarł go maścią, zapiął kurtkę od piżamy i pomyślał, że prędzej czy później, może już lada dzień, będzie musiał podcierać mu tyłek.

Do chwili zawiadomienia najbliższych.

Ożywał w nich. Żył w ich dziejach, w zdjęciach z gazety, trwał we wspomnieniach rodziny, żył wraz z ofiarami, żył dalej, stapał się, dwoił, czworzył, i tak dalej, aż do liczb dwucyfrowych.

Stojąc w drzwiach kuchni, patrzył, jak matka miesza jakiś roztwór, który ojciec ma zażyć nazajutrz z samego rana.

- No to dobranoc ci.
- Śpij dobrze - odparła.

Poszedł do swojego pokoju i usiadł w fotelu, żeby zdjąć buty. Cały sens poszczególnego życia zawierał się w tym geście człowieka, który pochyla się, rozwiązuje sznurowadła i odstawia

buty na wyznaczone miejsce, żeby były pod ręką, kiedy przyjdzie pora zacząć kolejny dzień.

Pomyślał o tym drugim.

Póki siedział w budce, miał okienko do mówienia. Ale odkąd go posadzili z powrotem przy kasie, musiał mówić w przestrzeń i wszyscy słyszeli.

Broń trzymał schowaną w aucie i o niej właśnie myślał, z wolna zapadając w sen, i o tym drugim, o kimś nieznanym, kto zastrzelił kierowcę na jednej z autostrad, na których on sam też kiedyś kierowcę zastrzelił, zaraz nazajutrz. Tak zwane zabójstwo zmałpowane. Nie lubił zastanawiać się nad tą sprawą, ale złapał się na tym, że ostatnio coraz częściej natrętnie chodzi mu ona po głowie.

Z reguły wstawał wcześniej. Usłyszał, że deszcz bębni w dach, ubrał się, na stojąco zjadł słodką bułkę, trzymając stuloną dłoń pod brodą, żeby złapać okruszki. Miał jeszcze trzy i pół godziny, nim pora będzie zgłosić się do pracy. Słyszał, jak deszcz ścieka z okapu i uderza w blachę do ciasta, w której zostawiał jedzenie dla bezdomnego kota, kiedy akurat sobie o tym przypominał.

Wiem, kim jestem. A kim jest on?

Zapiął kurtkę na suwak. Na lewą dłoń włożył białą damską rękawiczkę i wyszedł na pustą ulicę, na której pod blaszanym niebem czekał jego wóz.

CZĘŚĆ TRZECIA

Obłok niewiedzy

WIOSNA 1978

1

Zawsze byłem odrębną, jednoosobową krainą. Taki już jestem, że zachowuję dystans, dokładnie odmierzoną osobność, chyba trochę jak mój stary, i czasem starałem się tę skłonność pohamować, albo przynajmniej miałem zamiar się postarać, a znów kiedy indziej mówiłem sobie: czort z tym.

Nieraz mówię żonie. Mówię do żony. Proszę ją, żeby ze mnie jeszcze nie rezygnowała. Mówię jej, że jest takie włoskie słowo, a może łacińskie, które wszystko wyjaśnia. A potem mówię, jak ono brzmi.

„I co to niby wyjaśnia?” - pyta żona. I sama sobie odpowiada: „Nic”.

Słowo, które w tym przypadku nie wyjaśnia niczego, brzmi *lontananza*. Dystans albo oddalenie, owszem. Ale tak jak ja go używam i jak je rozumiem, ostro zarysowane i drobnoziarniste, oznacza starannie wypracowany dystans gangstera, zbira na usługach syndykatu - czyli człowieka wprowadzonego. Jak już raz cię wprowadzą, nie potrzebujesz nieustannego dopływu żywych bodźców z zewnątrz. Jesteś przytomny, tu i teraz. Ustawiony. Potężny jak rzymski mur.

Myślałem o tym, kiedy byłem w Los Angeles. Ludzie mówią, że L.A. jest tylko półprzytomne, niezupełnie tu i teraz, i może właśnie dlatego myślałem o swoim ojcu. I jeszcze dlatego, że mój brat Matt... mój brat Matt wiecznie powtarzał to twierdzenie, tę swoją pieśń nad pieśniami, że nasz stary, czyli Jimmy, żyje gdzieś w południowej Kalifornii - pod przybranym nazwiskiem, jak to się zwykle czyni w takich razach.

Mówiłem mu, że Jimmy od dawna nie żyje - pod własnym nazwiskiem. Że my sami żyjemy pod przybranymi nazwiskami.

Ale ciekawostka, sprzeczność polegała na tym, że stałem pośrodku ogrodzenia w dzielnicy podupadłych bungalowów i zadzierając głowę do góry, patrzyłem na iglice tej wielkiej, przedziwnej bryły architektonicznej, zwanej Wieżami z Watts, która jest idiosynkrazją zrodzoną z czyichś niewinnych anarchistycznych wizji, a im dłużej jej się przyglądałem, tym bardziej nasuwała mi się myśl o Jimmym. Wieże, brodziki dla ptaków, fontanny, ozdobne słupki, świecidełka i kuchenne kolory, zieleń butelek po 7-up, błękit mleczka magnezjowego na żołądek, jaszkrawe kafelki osadzone w cemencie, cały kompleks struktur, bram i płyt, które zbudował, i to w dodatku ręcznie, jeden człowiek, bez niczyjej pomocy, imigrant z okolic Neapolu, prawdopodobnie analfabeta, kiedy rzucił żonę i rodzinę, a może to jego porzucono, nie byłem pewien, mężczyzna, którego osobista historia składa się głównie z białych plam, data urodzin niepewna, aż do momentu, gdy wreszcie ląduje tutaj i przez trzydzieści trzy lata wznosi tę konstrukcję ze stalowych prętów, połtuczonej ceramiki, kamyków, muszli, butelek po coli i drucianej siatki, a wszystko to ręcznie przymurowuje, trzy tysiące worków piasku i cementu, i w ciągu tych lat dłonie i całe ręce obrastają mu skorupą z drobinek szkła, szklany pył dostaje mu się do oczu, kiedy facet tam wysoko wisi na pasku, jakiego używają ci, co myją okna, w podartym kombinezonie i zakurzonym kapeluszu piłśniowym, z twarzą opaloną na brąz, przy świetle lampek zawieszonych na promienistych szprychach, żeby móc pracować w nocy, może ze trzydzieści metrów nad ziemią, a na dole z gramofonu śpiewał Caruso.

Jimmy był poszukiwaczem skrajności, chiromantą, odczytywał przyszłość z własnego pobrużdżonego ciała, ale pewnego dnia, jak twierdzi mój braciszek, spojrzął na swoją dłoń i zobaczył, że jest zupełnie gładka. I czy został, czy w ogóle potrafię sobie wyobrazić, że został zdziwaczałym uciekinierem? W jednej wersji, owszem, kimś, kto się nie myje ani nie przebiera, z wyglądu przypomina kloszarda i gada do siebie na ulicy, a znów w innym wydaniu może istotnie wyobraziłbym go sobie na tych wyżynach - jak wznosi się ponad siebie, żeby stworzyć

chaotyczne dzieło sztuki, którego nie sposób zaszufłakować, z cementu i drucianej siatki.

I to właśnie było wewnątrz sprzeczne. Przyszłość Jimmy'ego zamknęła się tamtego wieczoru, kiedy wyszedł po papierosa. Po co w ogóle próbuję go sobie wyobrazić w innej rzeczywistości: że przyjechał tu, ale nie zupełnie, bo szukał ucieczki w anielskim świetle, w śródziemnomorskiej pogodzie?

Spacerując wśród ażurowych wież - trzy były wysokie, cztery niższe - widziałem wklejoną pod sklepieniem ceramikę holenderską, a także masę perłową i stopione szkło, które powgniatał w niewypalaną glinę. Pomimo śmieciarskiego charakteru tworzywa, pozornej nonszalancji oraz tego, że dominantą była czysta intuicja, twórca niewątpliwie znał się na budownictwie. Jego dzieło stanowiło strukturalną jedność, wyczuwało się w nim motywy przewodnie i zręczność konstrukcji. Tu i ówdzie pojawiały się inicjały autora, SR, Sabato Rodia, jeśli rzeczywiście tak się nazywał - SR wyrzeźbione pod łukowo sklepieniami przejściami, niczym graffiti młodzieżowych gangów z pobliskich ulic.

Próbowałem zrozumieć, czemu tak mocno odczuwam w tym miejscu obecność Jimmy'ego. Widziałem, jak zaniedbany i bełkoczący, a zarazem wyzwolony, nieodpowiedzialny przed niczym i nikim, siedzi w jakiejś klitce i kraje gruszkę scyzorykiem. Jimmy żywy. A potem pomyślałem o czymś, co zdarzyło się, kiedy miałem jakieś osiem lat, i pojąłem, dlaczego mi się nagle skojarzył. Zobaczyłem, jak mój ojciec stoi po drugiej stronie ulicy i przygląda się dwóm młodym murarzom, pełnym żółtodziobom, którzy usiłują postawić dwa słupki do bramy przed czymś skromnym domem. Najpierw tylko się przyglądał, później doradzał - gestami i pieczołowicie łamaną angielszczyzną, żeby młodzi ludzie mieli szansę go zrozumieć - aż wreszcie wkroczył do akcji: dał komuś do potrzymania marynarkę, na nowo naciągnął sznurek, złapał za kielnię i zaczął układać cegły warstwami i rozsmarowywać zaprawę, a wszystko to robił szybko i sprawnie, ja zaś byłem zaskoczony, że zna się na tej robocie, i matka też chyba o tym nie wiedziała. Przeszedłem przez jezdnię i z nieśmiałą dumą stanąłem w grupie mężczyzn w średnim wieku i starszych, tak zwanych inspektorów od świeżego powietrza, którzy przyglądali się, najszcześliwsi w świecie, jak facet w białej koszuli i krawacie fachowo stawia mur.

Kiedy Sabato Rodia ukończył swoje wieże, zrzekł się całego terenu wraz ze stojącym na nim dziełem. Wyjechał z Watts -żeby umrzeć, jak twierdził. Praca, którą po sobie zostawił, jest czymś na kształt wirującego zgiełku wyzwolonej duszy, jazzową katedrą, a dla mnie jej moc, do głębi poruszająca siła płynęła stąd, że w murach tych żył duch mojego ojca.

Kelnerka przyniosła mi chłodzony widelec do życiodajnej sałatki. Big Sims jadł kanapkę z trzema rodzajami cheddara, szczegółowo opisanymi w menu. Wstrząs z poprzedniego dnia pozostawił rysę w ścianie, a Sims tak się śmiał, że widziałem w jego ustach całą siatkę ze lśniących włókienek sera.

Słyszeliśmy przeraźliwe wycie odrzutowców startujących z Edwards do lotów próbnych. Sims powiedział, że mają tam maszyny, które odbijają się od samego kresu przestrzeni i wracają ponownie narodzone.

Byliśmy w Mojave Springs, w ośrodku konferencyjnym pod Los Angeles. Niedługo przedtem zacząłem pracować w Waste Containment, znanej w branży jako Czary-Smary, i czułem się trochę jak student pierwszego roku, który przyszedł na zebranie informacyjne, żeby przejąć język i obyczaje, a moim nieoficjalnym doradcą był Simeon Biggs, inżynier od wysypisk, cztery czy pięć lat w tej samej firmie. Do Mojave Springs zjechali przedstawiciele kilku przedsiębiorstw zajmujących się odpadami; oprócz naszego seminarium w tym samym budynku miała jednocześnie zajęcia mniejsza grupa, bardziej oddana sprawie: czterdzieści par małżeńskich, które spotkały się, żeby zamieniać się partnerami seksualnymi i opowiadać, jak im z tym jest. My byliśmy dyrektorami od śmieci, a oni skakali z łóżka do łóżka, więc w porównaniu z nimi czuliśmy się niezbyt autentycznie.

- Ten statek już prawie dwa lata pływa z portu do portu -oświadczył Sims.
- I co? Nikt nie chce wpuścić ładunku?
- Kolejne kraje odmawiają.
- Jak bardzo toksyczny jest ten ładunek?
- Krążą różne plotki - powiedział. - To oczywiście nie moja działka. Wszystko rozstrzyga się w jakimś mało eksponowanym pokoiku naszego nowojorskiego biura. Wieść gminna niesie, że to statek widmo. Latający Liberyjczyk.

- Zdawało mi się, że te najokropniejsze substancje z reguły wpycha się w KMR-ach.

Skrót KMR, jak się niedawno dowiedziałem, w języku banków i innych światowych organizacji oznacza kraj mniej rozwinięty.

- W tych śniadych kraikach. Tak, to paskudny proceder, na coraz większą skalę. Taki kraj przyjmie za wpuszczenie transportu toksycznych odpadów sumę czterokrotnie wyższą niż jego produkt narodowy brutto. A co dalej? Wolimy nie wiedzieć.

- No dobrze. Ale dlaczego ten akurat ładunek jest nie do przyjęcia? I czemu nie wiemy, z czego właściwie się składa?

- Może staramy się uniknąć zenującej sytuacji - odparł Sims.

Wstrząs nastąpił w porze koktajlu, kiedy stałem w apartamencie gościnnym wraz z grupą kolegów po fachu, którzy zerkali znad krawędzi szklanek, i nagle świat wszedł w powolny przechył. Cała sala zaświstała i stęknęła. Usiłowałem zapanować nad wyrazem twarzy, czekając, aż sytuacja się wyjaśni. Nie było to bynajmniej lekkie drżenie. Między piątką a szóstką, jak się później dowiedzieliśmy, pięć koma cztery, więc czułem, że mam prawo bać się na zapas, kiedy siadając z Biggsem do lunchu, zobaczyłem rysę w ścianie restauracji.

- Myślisz, że co to jest, transport narkotyków, który udaje toksyczne odpady? Bo do mnie też docierają różne pogłoski.

- Opowiedz - poprosił Sims.

Siedział naprzeciw mnie: mięsista twarz i obfite ciało, wydatna dolna warga, dziwne uszka bez płatków, okrągłe, idealnie wyrobione, małe, manieryczne uszka chochliczego dziecka.

- Strasznie jestem ciekaw twojej wersji - rzekł z odrobiną rozkosznej wyższości.

- Wersja pierwsza głosi, że to transport heroiny, czyli zupełnie bez sensu. Druga, że to popiół z tego, co poszło do pieców w okolicach Nowego Jorku. W większości odpady przemysłowe. Dziesięć tysięcy ton. Arsenik, miedź, ołów, rtęć.

- Dioksyny - przyjaźnie stwierdził Sims, wgrzyzając się w sam środek hamburgera upieczonego na ogniu z gałęzi jadaloszynu.

Przy okrągłym stole niedaleko nas usiadły cztery pary, więc Sims i ja zamilkliśmy na stosownie długą chwilę. Staraliśmy się przybrać ubawione, lekko szydercze miny. Byli to oczywiście

ci z klubu skok-w-bok, tak zwani swingersi, ubrani asertywnie, w trzeciej osobie, a kiedy kelner nalewał im wodę, kolejno przechylali się do tyłu.

- Robią sobie przerwę na lunch, moje uszanowanie - powiedział Sims.
- Niejedno już słyszałem o tym statku.
- Raz po raz zmienia nazwę. Słyszałeś?
- Nie, tego akurat nie słyszałem.
 - Od mola na Hudsonie odbił pod jakąś tam nazwą, nie wiem jaką, ale po trzech miesiącach u wybrzeży Afryki Zachodniej już miał inną. Potem znów mu ją zmienili. Gdzieś na Filipinach.
 - Podobno wiezie ogromny transport heroiny. Ale kto by ją woził ze Stanów na Daleki Wschód? Bez sensu.
 - Bez sensu - przytaknął Sims. - Tyle że logicznie się kojarzy z inną plotką. Słyszałeś?
- Chyba nie.
- Własność mafii.

Powiedział to z przyjemnością, starannie wymawiając słowa, z lekko wytrzeszczonymi oczami.
- Co niby jest własnością mafii?
 - Armator, od którego wynajmujemy ten statek. Mafia bardzo się zaangażowała w przewóz odpadów. Więc czemu nie w obrót odpadami, transport morski i w ogóle wszystko, co się z nimi wiąże?
- Jest takie włoskie słowo - wtrąciłem.
 - Może nie tylko armator. Może i nasza firma. My też jesteśmy własnością mafii. Mafia to nasz cichy wspólnik. Jeśli nie jedyny właściciel, po prostu - oświadczył z jeszcze większą przyjemnością. Nie, żeby sam w to wierzył. Nie wierzył ani przez pół sekundy, ale chciał mi wpoić tę wiarę, albo przynajmniej nasunąć myśl, żeby mnie potem wyśmiać. Jego twardy uśmiech z góry wydrwiwał wszelkie tanie sentymenty, jakie miałyby się ochotę hołubić w imię prywatnej teorii spisków.
 - Jest takie włoskie słowo - powtórzyłem. - *Dietrologia*. Nauka o tym, co kryje się pod podszewką. O podejrzanych zdarzeniach. Nauka o tym, co kryje się pod podszewką zdarzeń.
- Może Włosi potrzebują tej nauki. Mnie ona niepotrzebna.
- Mnie też. Tylko ci mówię.
- Jestem Amerykaninem. Chodzę na mecze - powiedział.

- Nauka o mrocznych mocach. Włosi najwidoczniej uważają, że to poważna gałąź, skoro nadali jej odrębną nazwę.
- Ludziom, którym potrzebna jest ta nauka, wiesz, zadałbym sobie trud, żeby powiedzieć tym facetom, że my tu mamy prawdziwe, autentyczne dyscypliny naukowe i obejdziemy się bez jakichś tam urojonych.
- Ja ci tylko mówię, że jest takie słowo. Masz rację, Sims. Ale ten wyraz istnieje.
- Zawsze istnieje jakiś wyraz. Jest też pewnie muzeum. Muzeum Mrocznych Mocy. Dziesięć tysięcy zamazanych fotek. A może mafia wysadziła je w powietrze?

Wybuchnął śmiechem, pokazując mi usta całe oplecione w środku nitkami cheddara.

Spojrzałem w stronę okrągłego stołu. Dwie kobiety paliły. Dwie kobiety miały kowbojskie kamizelki nabijane ćwiekami. Jedna zwyczajem krótkowidzów wtykała nos w jadłospis, a jedna mówiła z akcentem, którego nie potrafiłem geograficznie określić. Wszystkie obwieszane były ozdobami, całe w łańcuszkach, bransoletach i broszkach, w uszach miały kółka z wisiorami z koralików, lubiły biżuterię prosto spod młotka, prosto z kowadła, a jedna pogryzała podłużną ćwiartkę marchewki i opowiadała o swoich dzieciach.

- Znasz wioski? - spytał Sims.
 - Przez jakiś czas uczyłem się łaciny. Najpierw w szkole, potem sam, dość intensywnie.' I trochę dłużyłem we włoskim i niemieckim.
 - Moja żona jest Niemką - rzekł. - Poznałem ją, kiedy tam stacjonowałem.
- Żołnierz szalała.
- Mniej więcej. Tylko że służyłem w lotnictwie.
- Mówi w domu po niemiecku?
- Czasami. Owszem. Nawet często.
- A ty rozumiesz?
- Spróbowałbym nie rozumieć! - odparł.

Mężczyźni mieli na sobie wzorzyste koszule z szerokimi kołnierzykami, rozchełstane. Strasznie włosiaci. Nie były to oczywiście zbuntowane włosy z lat sześćdziesiątych. Kudły na piersi, wąsy, szorstkowate bokobrody, bujne czupryny jak z Hollywoodu - prawdziwe włosy podobne do niegustownych tupetów,

do marzeń ziszczonych w postaci peruk, jak gdyby ufryzowane na szlinę, zbatwanione na potęgę. Big Sims kazał przynieść rachunek.

- Ale lubimy swoją pracę, prawda, Nick? Obojętne, od kogo pożyczamy statki.
- Ja ją lubię.
- Ja też.

Jego sportowa marynarka wisiała na oparciu krzesła, tak szeroka, że jej ramiona zsuwały się z palmet zdobiących górne narożniki. Miał na sobie białą koszulę z krótkim rękawem i ciemny krawat ze spinka w kształcie bułatu.

Spojrzał na mnie przenikliwie, mrużąc oczy.

- Masz ochotę się wybrać na mecz Dodgersów?
- Nie - odparłem.

Opowieści o statku widmie wcale nie brzmiały zaskakująco, chociaż były to ledwie uchwytny pogłoski, bo przecież poprzedniego wieczoru oznajmiono nam, że śmieci są najpilniej strzeżonym sekretem świata. Powiedział to Jesse Detwiler, archeolog od odpadków, gdy mniej więcej godzinę po wstrząsie przemawiał do zgromadzonych uczestników konferencji. Jego przemówienie podane z pieczonymi gołąbkami i miniaturowymi jarzynami po zenistycznemu okazało się niezbyt strawne.

Zrobiliśmy dziewczęco czujne miny, kiedy w porze koktajlu zadrzała wokół nas sala. W ślad za tą czujną miną nadciągnął przypływ samoświadomości, nieśmiałe odczucie naszego własnego, przelotnie doznanego strachu, wrażenie, że daliśmy się przylapać zniecacka, chociaż zaraz potem odzyskaliśmy panowanie nad sobą; ten czujny wyraz twarzy rozprzestrzenił się wśród obecnych, nad szklaneczkami wódki z tonikiem, tworząc ironiczną więź między dyrektorami, w podmuchu wiatru, który wionął przez apartament.

Zobaczyliśmy Detwilerę w hallu, kiedy już zapłaciliśmy rachunek. Sims podszedł i wziął go za łeb, dosłownie złapał zgięciem łokcia za głowę i dla żartu stuknął parę razy pięścią w wygolone ciemię. Sprawiali wrażenie dobrych znajomych, więc umówiliśmy się we trzech, że pojedziemy nad wysypisko, które urządzano według projektu Simsa - ogromny, jeszcze nie ukończony wykop.

Przez hall przeszedł jakiś mężczyzna z kobietą, a ja odpro-

wadziłem ją wzrokiem. Moją uwagę mógł przykuć jej chód: szła z luzem w biodrach, wypinając tyłek, cała na wysoki połysk, i nie przeoczała niczego, co powierzchowne, jak postać z drugorzędnego filmiłka skąpana w alimentach i w dżinie. Podeszedłem do tablicy, która stała na czymś w rodzaju sztalug przy drzwiach obrotowych, i sprawdziłem plan dnia: rejestracja i kawa, przepisy licencyjne, składowanie zużytych paliw, tematy i nazwiska mówców ułożone z ruchomych białych liter, od dziesiątej do dwunastej, od drugiej do piątej i tak dalej do wieczora, aż pomyślałem o bocznoscocnych i o ich rozkładzie jazdy.

Czary-Smary mknęły na skróty w przyszłość. Przyszłość Śmieci. Pod takim właśnie hasłem odbywała się nasza konferencja na pustyni. Zjechali na nią przedstawiciele całej branży, ale to my byliśmy siłą napędową, awangardą, najbardziej rzutcy, gotowi ogarnąć rzeczywiste wymiary zagadnienia.

Miałem niewiele ponad czterdzieści lat, dopiero co odszedłem z mizernej posadki, na której redagowałem przemówienia dyrektorom korporacji i prowadziłem biuro prasowe, gotów więc byłem zająć się czymś nowym, dać się nawrócić.

Korporacje to wspaniałe i przerażające byty. Biorą cię w garść i kształtują, nim się obejrzyysz, urabiają i obracają. I to bez jawnych nacisków, za pomocą uśmiechów i skinień głowy, kolektywnej intonacji. Wchodzisz w korytarz i zanim dojdiesz do końca, okazuje się, że po drodze zdążyłeś przejąć sumnę filozofii swojej nowej firmy, jej *Weltanschauung*. Używam tu tego poważnego, wielowarstwowego słowa, bo gdzieś w jego czeluściach pobrzmiwa szept mistycznej kontemplacji, która wobec śmieci wydaje się jak najbardziej na miejscu.

Sims i ja chodziliśmy razem biegać; biegaliśmy po szlakach turystycznych, napotykając wędrowców z plecakami, w ciężkich buciorach, i wiodącymi między wzgórzami drózkami do konnej jazdy. Biegaliśmy w ciemnych okularach i w czapkach z daszkiem, po kamykach i po czerwonym piasku, Big Sims gadał jak najęty, bez przerwy, biegnąc przez pustynne krzaczki, a ja ledwo dotrzymywałem mu kroku.

- Wiesz, dziwna sprawa, wziąłem tę robotę cztery lata temu i to jest dobra robota, z dobrą pensją i różnymi dodatkami, na-

wet wdowa po mnie dostanie zabezpieczenie, jak umrę z przepracowania, ale łapię się na tym, że... też to zauważyłeś, Nick? Od pierwszego dnia łapię się na tym, że wszędzie widzę tylko śmieci. A przecież studiowałam inżynierię. Wcale nie studiowałam śmieciarstwa. Myślałam, że może pojedę do Tunezji budować drogi. Miałem taką romantyczną wizję, że włożę kurtkę jak na safari i zacznę brukować świat. A tu się okazuje, że owszem, świetnie mi idzie. Robię coś naprawdę, coś ważnego. Bo wypiska są ważne. Sęk w tym, że ta praca wszędzie za mną łązi. Nie daje mi chwili spokoju. W zeszłym tygodniu poszedłem do nowej restauracji, do fajnej nowej knajpy, i nagle stwierdziłem, że wgapiam się w resztki zarcia na cudzych talerzach. Niedojadki. Widzę pety w popielniczkach. A jak już wyszliśmy.

- Wszędzie widzisz śmieci, bo rzeczywiście są wszechobecne.
- Ale przedtem nie widziałem.
- Oświeciło cię. Doceń to - powiedziałem.

Nasze buty miały za cienkie podeszwy do biegania po kamiennych płytach i grubym żwirze. Biegliśmy szlakami zaśmieconymi słomianym gównem wynajętych koni, dysząc i sapiąc, sapiąc podczas rozmowy, a Simsowi spływały po twarzy przeplatające się strużki potu. Dotrzymywałem mu kroku. Koniecznie trzeba było dotrzymywać kroku, wytrwale biec, udowodnić, że potrafisz w biegu rozmawiać, że potrafisz biegać, wytrzymać tempo. Pot lał się z nas strumieniami i przylepiał koszule do pleców.

- Wychodzimy i czekamy, aż facet przyprowadzi nasz wóz. Tymczasem zerkam w boczną uliczkę. I co ja widzę? Ogrodzenie, kraty pod murem. Właściwie klatka. Trzy ściany i dach. Pręty z kutego żelaza i wielka kłódka. - Sims mówi z przerwami, pompuje słowa z piersi. - No i dopiero jak zrobiłem parę kroków w tamtą stronę, zobaczyłem, co to właściwie jest. A za nim jeszcze zobaczyłem, zdążyłem wywęszyć. W klatce pełno worków z odpadkami. Resztki jedzenia w plastikowych workach. Restauracyjne odpadki z całego dnia i całej nocy.

- Biegliśmy, a on patrzył na mnie.
- Po co je zamykają w klatce? - spytałem. Znow na mnie spojrział.
 - Złożą się lumpy z parku i zjadają.

Zawróciliśmy w stronę osiedla domów pokrytych różowym tynkiem, płonących w blasku słońca. Nielatwo było nadażyć za Simsem. Miał niespożyte siły umięśnionego eks-boksera, któremu pozostały głęboko ukryte rezerwy wytrzymałości, zapas benzyny, paliwo kopalne - nadmiar kalorii do spalenia, morze potu do wylania.

- Czemu restauracja nie pozwala im zjadać resztek?
- Bo to jej własność - odparł.

Nisko nad ziemią przeleciało zwartym szykiem pięć myśliwców, ich upiorny ryk rozlał się po całej dolinie, a Sims dźgnął kciukiem w niebo, jakby chciał zwrócić mi uwagę na coś, co przeoczyłem.

Raz po raz przypominałem sobie, jaką miałem minę poprzedniego wieczoru, kiedy piątka wstrząsnęła salą, i ile pracy kosztowało mnie zaprowadzenie zgody wśród ścierających się sił.

Przegalopowaliśmy obok pól golfowych i domków dla gości, mijając przystrzyżony świat ludzi ubranych w miękkie, pastelowe barwy, żywych grupkami, uiadzonymi czwórkami, i poczułem ulgę, że dobijamy do mety.

- Spytaj mnie o statek - powiedział Sims.
- Ma libijską banderę?
 - Miał, kiedy wypływał. Teraz jest podobno zarejestrowany w Panamie.
- To tak można? Zmienić banderę w trakcie rejsu?
 - Nie wiem. Nie moja specjalność - odparł Sims. - Ale ludzie plotkują nie tylko o ładunku. I o armatorze. I porcie docelowym.
- No dobra, o czym jeszcze?
 - Czy to aby zwykły transportowiec? A może jest tu jakaś niejasność?
 - A co to byłby za statek: nie transportowiec, a jednak transportuje ładunek?
 - Przypomnij mi, żebym ci kiedyś zrobił wykład o osadach ściekowych.

Roześmiał się w biegu, trochę błaznując, biegł wyluzowanym krokiem, z rozstawionymi łokciami, pstrykając palcami, i nagle wysforował się naprzód. Raptem zagrała we mnie ambicja, wewnętrzny szantażysta ostrzegł przed hańbą porażki, więc pospieszyłem, żeby odrobić straty.

Ciekawe, że później ta historia o grzebaniu w śmieciach, o starych menelach i małoletnich uciekinierach, którzy zakradają się w zaułek, żeby się dorwać do okruchów chleba i skrawków żyłastej wołowiny - ciekawe, że później, w rozmowie z Detwilerem, znowu wypłynęła ta sprawa, tylko inaczej, trochę w duchu odszczepieńczego teatru z lat sześćdziesiątych.

Pod wieczór pojechaliśmy we trzech nad wysypisko, pół godziny jazdy autem na wschód, chwilami po drogach zastrzeżonych wyłącznie dla wojska. Dzięki układom między Czarami-Smarami a jakąś zakopaną w Pentagonie agencją Sims miał pisemne zezwolenie, na mocy którego wolno mu było jeździć tamtędy w ściśle określonych porach, więc nie musieliśmy się fatygować, jadąc naokoło.

Ekipa urządzająca wysypisko zakończyła już dzień pracy i odjechała. Stanęliśmy nad dziurą w ziemi, nad sztucznym kraterem głębokości stu pięćdziesięciu metrów z okładem, mniej więcej półtorakilometrowej średnicy; na wyprofilowanych tarasach stało mrowie tęponosych maszyn, a pochyłe dno w znacznej części pokrywała ogromna, połyskująca płachta, powłoka z polietylenu, srebrzyście błękitna, która falowała, poruszana wiatrem, i odbijała w sobie sunące po niebie chmury. Byłem zaskoczony. Ten widok, ta olbrzymia misa wydrążona w ziemi, artystycznie wyłożona plastikiem, stała się dla mnie pierwszym namacalnym dowodem, że w całym tym interesie jest jednak pewien drastyczny rozmach, może nawet swoista wielkość: myszolowy przezroczyste w świetle zachodzącego słońca, wiosenne pędy juki, wysokie niczym różdżki czarodziejów, i ta spoista błona, dziwnie piękna, nie mniej niż reszta otoczenia; profilaktyczna folia, instalacja regulująca przepływ gazów, a pod nią krater, który pomieścić ma tysiące ton śmieci dziennie, twoich i moich, na tym pustynnym cementarzysku. Słuchałem, jak Sims wymienia liczby, tyle a tyle metanu z odzysku oświetli tyle a tyle domów, i ogarniało mnie niesamowite uniesienie, oddanie firmie i sprawie.

Sims zwracał się do nas obu, ale głównie do Jessego Detwilera, on to bowiem był wśród nas wizjonerem, teoretykiem śmieci, którego prowokacje narobiły szumu w całej branży. Trzeba przyznać, że Simsowi nie brakowało daru wymowy, kochał swój temat, mówił, gestykulując zamasyżście, ilustrując ruchem dłoni układanie warstw plastiku i ziemi, rozdrabnianie opon, miesza-

nie chemikaliów z pyłem z pieców ceramicznych. Sam niczego podobnego nie zdążyłem jeszcze zobaczyć, ale łatwo było uzmysłwić sobie, co znaczyła dla Simsa ta ziemna orka, która dawała mu poczucie całkowitego spełnienia, bo spotykały się w niej żywy i techniki i staroświeckiej, pożytecznej harówki, pył w ustach i ściana przemożnych fetorów.

Detwiler stał na skraju krateru i spoglądał w dół.

- A trefny towar?

- Zabezczujemy go i posegregujemy. Ale nie zapomnimy. Zostanie zarejestrowany na trójwymiarowych grafikach komputerowych. W razie konieczności zawsze go odzyskamy.

- A co robicie z powybuchami?

- Powybuchy. Właśnie po to zwerbowałem Nicka.

Zauważyłem błysk w oczach Simeona i powiedziałem z kamienną twarzą:

- Mam spore doświadczenie jako rzecznik prasowy.

Detwiler przekrzywił zuchwą, być może lekko ubawiony tą uwagą. Cechowała go przebiegła pewność siebie, typowa dla nonkonformisty wśród kolegów po fachu, outsidera, który raz po raz wtyka kij w mrowisko, kpiąc z wszystkich błogo wyznawanych artykułów wiary. Zewnętrznie był jakby przemodelowany, po adaptacji: ogolona głowa i krzaczasty wąs faceta całkowicie panującego nad sytuacją, z prywatnym trenerem na siłowni i z ładnym kredytem w banku, w czarnym golfie i dzinsach znanego projektanta. Przyszło mi na myśl, że gdyby nie ta oskubana czaszka, mógłby właściwie dołączyć do skoczno-bocznych.

- Zaraz ci powiem, Sims, co tu widzę. Krajobraz przyszłości. Prędzej czy później będzie to jedyny typ krajobrazu, jaki ocaleje. Im bardziej toksyczne odpady, tym więcej trudu i forsy strwoni turysta, żeby je zwiedzić. Tyle że moim zdaniem nie powinniście odcinać dostępu do zwałowisk. Owszem, najgorsze trucizny trzeba izolować. W ten sposób cała sprawa urośnie, stanie się bardziej złowieszcza i magiczna. Ale zwykłe odpadki z gospodarstw domowych należałoby składować w macierzystych miastach. Ujawnić śmieci. Niech je ludzie zobaczą i uszanują. Nie ukrywać infrastruktury śmieciarstwa. Stworzyć całą jego architekturę. Zaprojektować wspaniałe gmachy, przetwarzać w nich surowce wtórne i zachęcać ludzi, żeby zbierali własne śmieci,

przywozili je i sami wrzucali pod prasy i na przenośniki. Niech każdy pozna swój własny chłam. A trefny towar, odpady chemiczne i nuklearne, utworzą daleki, nostalgiczny pejzaż. Będą z tego jeszcze autokary wycieczkowe i widokówki, ręczę. Sims nie był pewien, czy mu się to podoba.

- Jaką nostalgię masz na myśli?

- Nie lekceważ ludzkiej zdolności odczuwania złożonych tęsknot. Mówię o nostalgii, jaką budzą zakazane tworzywa cywilizacji, zwierzęca siła dawnych przemysłów i zastarzałych konfliktów.

Detwiler w latach sześćdziesiątych był postacią marginalną, jednym z miejskich gerylasów, którzy wykradali i analizowali domowe odpadki sławnych ludzi. Ogłaszał manifesty w karykaturalnym stylu pseudokominternu z opisem zawartości tych słynnych śmietników i mnóstwem osobistych dygresji, a prasa podziemna ochoczo je publikowała. Jego działalność osiągnęła smakowite apogeum, kiedy aresztowano go za to, że podwedził śmieci J. Edgara Hoovera z za domu Dyrektora w północno-zachodniej dzielnicy Waszyngtonu, i ten właśnie fakt utkwił ludziom w pamięci, ten właśnie fakt przypominałem sobie, gdy po długiej przerwie usłyszałem nazwisko Jessego Detwilera. Zyskał przelotną, febryczną sławę, trafiając do kronik tamtej epoki jako członek wędrownej trupy tamburynistek, wytwórców bomb, adeptów lewitacji, kwasiarzy, zaginionych dzieci.

Nad kraterem przeleciał jakiś ptak, zięba albo strzyżyk, trzepocząc skrzydłami z nerwowym pośpiechem, nagłony zachodem słońca.

Detwiler powiedział, że miasta wyrosły na śmieciach, centymetr po centymetrze, z upływem dziesięcioleci wznosząc się coraz wyżej, w miarę jak przybywało zakopanych szczątków. Śmieci zawsze czymś przysypywano albo spychano na bok, czy to w izbie, czy na otwartej przestrzeni. Miały jednak własny impet. Pchały się z powrotem. Pakowały się w każdą szczelinę, dyktując wzorce architektoniczne i przekształcając rytuały. Rodziły szczury i paranoję. Ludzie zmuszeni byli reagować w zorganizowany sposób. Musieli wymyślić praktyczne metody składowania odpadów i stworzyć strukturę społeczną, która by temu podołała - wyszkolić robotników, kierowników, przewoźników, szperaczy. Budulcem cywilizacji, napędem historii są...

Mówił tym swoim telewizyjnym tonem, skupionym, wyćwiczonym, z natury poufnym. Po prostu robił w śmieciach, połował na kontrakty z wydawcami i producentami filmów dokumentalnych i chyba nie sprawiało mu różnicy, czy słuchamy go tylko my dwaj, czy pół miliona osób.

- Widzicie, wszystko jest akurat odwrotnie, niż myślimy - powiedział.

Cywilizacja wcale nie dlatego powstała i rozkwitła, że ludzie wykuli na bramach z brązu sceny myśliwskie i szeptali filozoficzne mądrości w blasku gwiazd, podczas gdy śmieci były tylko hałaśliwym produktem ubocznym, który zmiotano na bok, aby zaraz o nim zapomnieć. Nie, najpierw pojawiły się właśnie one, skłaniając ludzi, żeby w odpowiedzi, wręcz w samoobronie stworzyli cywilizację. Musieliśmy nauczyć się usuwać odpadki, wykorzystywać to, czego usunąć nie zdołamy, przerabiać wszystko, czego nie potrafimy wykorzystać. A śmieci pchały się z powrotem. Piętrzyły się i rozprzestrzeniały. Aż zmusiły nas do wypracowania logiki i dyscypliny, z których wynikło systematyczne zgłębianie rzeczywistości, narodziny nauki, sztuk pięknych, muzyki, matematyki.

Słońce zaszło.

- Naprawdę w to wierzysz? - spytałem.

- No chyba. Mam z tego wykłady na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Wożę studentów na wysypiska i uzmysławiam im, czym jest cywilizacja, w której żyją. Konsumuj, bo inaczej zginiesz. Oto główne przykazanie naszej kultury. A wszystko prędzej czy później ląduje na śmietniku. Wytwarzamy niesłychane ilości chłamu, a potem na niego reagujemy, nie tylko w sferze techniki, lecz także sercem i umysłem. Pozwalamy, żeby chłam nas kształtował. Żeby sterował naszym myśleniem. On pierwszy się pojawia, a dopiero potem konstruujemy cały system, żeby sobie z chłamedem poradzić.

Na dolnej krawędzi chmur załśniła chromowa obwódka, a w górnych partiach nieba trwał łatwy, południowy błękit. Ale w wykopie szybko zapadała ciemność, a ogromna plastikowa wykładzina, której łopot na wietrze grał niesamowitą muzyką, tuż spoza zakresu fal przyrody, miała teraz kolor indygo, wciąż jeszcze lekko posmugony niebem, przemywany gradacjami odcieni i poruszeń. Postaliśmy chwilę, patrząc na to wszystko, po

czym wróciliśmy do auta. Detwiler ulokował się pośrodku tylnego siedzenia i zaczął nam dokuczać, że wywalamy śmieci na świętej ziemi Indian. I wykpiwać rzekome pionierstwo Czarów-Smarów. Uważał, że nasze przedsiębiorstwo ma całkiem normalne apetyty, jak pierwsza lepsza tradycyjna firma. Jechaliśmy pustą drogą.

- Śledzisz pogłoski, Sims? O tym waszym statku?
- Nie moja działka.
 - Pływa po oceanach i usuwa się pozbyć jakiejś piekielnej substancji.
- Przemykam czy - odparł Sims.
- Lepiej je otwórz. Podobno zawrócił i płynie do Stanów.
 - Wiesz więcej od nas - rzekł Sims z wyraźną niechęcią. -Bo co my tam wiemy, Nick?
 - Nie wychowaliśmy się w latach sześćdziesiątych, tylko w czterdziestych i pięćdziesiątych.
- Jesteśmy ograniczeni - powiedział Sims.
- Na niczym się nie znamy.
 - Myśmy jeszcze słuchali radia - ciągnął Sims. - Wiemy, kim był Samotny Jeździec, a kim Tonto.
- Stare dzieje - skwitowałem.
- Gromowy tętent kopyt wspaniałego konia imieniem Silver.
- Ognistego rumaka, szybkiego jak błyskawica.
- To cała nasza wiedza, Jesse.
- Chmura pyłu.
- I dziarski okrzyk jeźdźca.

Modulowaliśmy głosy, starając się utrafić w głęboki, dramatyczny baryton dawnych słuchowisk.

- Niech wam się nie zdaje, że to takie śmieszne - rzekł Detwiler. - Zakład, że nie wiecie, jak miał na imię koń Tonta. No, Sims. Wiesz, jak się wabił wierzchowiec białego. A czemu nie pamiętasz, jak było na imię koniowi Indianina?

Nie przepadałem za Detwilerem, ale lubiłem słuchać, jak mówi. Za to Sims słuchał go bez najmniejszej przyjemności. Najchętniej znów wzięłby go za łeb, tym razem już nie tak całkiem po bratersku. Nie, nie wiedział, jak miał na imię koń Tonta, i może czuł się przez to trochę nie w porządku.

Jesse mówił dalej:

- Im groźniejsze odpady, tym większym obrosną heroizmem.

Napromieniowana ziemia. Dziś czczą ją Indianie, a w przyszłym stuleciu to my będziemy traktować te tereny jak świętość. Park Narodowy Plutonu. Ostatnia ostoja białych bogów. Turyści w maskach tlenowych i kombinezonach ochronnych.

- No więc jak miał na imię koń Indianina? - spytałem.
- Wyobraź sobie, że Scout. Jestem zdumiony i wstrząśnięty. To z waszej strony poważne niedociągnięcie kulturowe. Koń Tonta. Trzeba wiedzieć, jak mu było na imię. Pochylił się ku nam i dalej szedł.
- Statek załadowany tysiącami beczek odpadów przemysłowych. A może wiezie heroinę z poręki CIA? Osobiście wierzę, że tak. A wiecie, dlaczego? Bo łatwo w to uwierzyć. Bylibyśmy głupi, gdybyśmy nie wierzyli. Wiedząc to, co wiemy.
- Mianowicie? - spytał Sims.

Helikoptery w zwartym szyku, dziesięć czy dwanaście, nadleciały tuż nad drogą prosto na nas, wielkie transportowce bojowe, pałające światłem jak szaleni aniołowie, i przemknęły nad nami z raketowym podmuchem, który wyssał z auta powietrze, a kiedy minął, siedzieliśmy oklapnięci, skuleni.

- Że wszystko ze wszystkim się zązębia - wyjaśnił Jesse.

Nie żebym tak znów zupełnie nie lubił swojej poprzedniej pracy. Pisywałem przemówienia głównie prezesom korporacji, rumianym i siwym, z pokancerowanymi nochalami - patriarchom rozmaitych gałęzi przemysłu. Zazwyczaj byli to wysportowani panowie, którzy latali służbowymi samolotami do Kanady, nad dalekie jeziora, i łowili ryby w ostatnich nieskażonych wodach kontynentu. Wybrałem się na jedną taką wycieczkę z prezesem o nazwisku McHenry, w gruncie rzeczy uroczym, porządnym człowiekiem, właścicielem kilku przedsiębiorstw opracowujących programy komputerowe na zamówienie rządu. Nad jeziorem byli też jego wnukowie, dwaj jasnobrewi chłopcy w kamizelkach puchowych, gotowi dla sportu przelać krew. Stałem i popatrzyłem na stary dom nad wodą, na cedrowe gonty i wysokie kominy, na werandę umeblowaną potrzaskanymi gratami w stylu leśnej samotni. Patrzyłem na ten dom i budził on we mnie dziwną tęsknotę. Wyglądał jak pamiątka z mojej własnej przeszłości, wsteczna wróżba, dostojnie rustykalny, z wyso-

kimi sufitami, z kulkami naftaliny poutykanymi w nie używanych pomieszczeniach, z pokojami gościnnymi, w których na łóżkach leżały grube szorstkie koce oznaczone godłami uniwersytetów - obietnica rzeczy, jakich nigdy nie miałem, ale w pewien nieokreślony sposób tak jakbym je znał, zbiorowo, samym skrajem pamięci. Chłopcy, John i Todd, władali strzelbami z wrodzoną umiejętnością: widzicie, chociaż oni byli chłopcami, a ja dorosłym mężczyzną, pobrałem chyba jednak od nich porcję nauk - nie żebym tropił z nimi zwierzyń. Przeważnie siedziałem na werandzie i pisałem McHenry'emu przemówienia, ale dzięki chłopcom stopniowo poczułem, co to znaczy od małego wrastać w taki świat, jak bardzo zgadza się to z oczekiwaniami dziecka na temat-tego, co mu się należy: świat stworzony mocą pieniędzy, wyprostowana postawa, wyraźna dykcja, godła uniwersyteckie na kocach, poczucie, że ma się przyrodzone prawa i użyteczną historię. Kiedy w czasie kolacji rozmawialiśmy o tym i owym, o ich szkołach i uprawianych sportach, cieszyła mnie cała ta niewymuszona młodość, w najlepszym sensie nieokrzesa, krzepka, żywiolowa i bez szlif. Sprawiała mi przyjemność - jakby z drugiej ręki: czułem, że chodzę ich rybołów-czym krokiem, czułem, jak to jest, gdy w słoneczny dzień zarzuca się wędkę i nie liczy się nic na świecie prócz chropawego dotyku desek łódki i porannego skwaru na moich przedramionach, a jeśli nawet zdarzało mi się poczuć, że coś ze mnie opornie się wywleka, jakiś kanciasty kształt, podczas rozmówek przy stole potrafiłem zepchnąć go z powrotem i zagubić w pulsującym ogniu, który płonął w wielkim kominku z kamieni polnych.

Robiłem notatki i przedstawiałem się na prawo i lewo, chodząc po kilku zatłoczonych akрах podłogi: wszędzie dźwigi i chwytaki, urządzenia hydrauliczne do ciężkich pras, sprzęt transportowy, śmieciarki, które mimo swoich rozmiarów miały w sobie coś z zabawek, niewinne pod warstwą lśniącej farby, nie przygotowane do tej brudnej roboty.

Stojąc obok modelu niszcarki poufnych papierów, zwanej Watergate, rozmawiałem z przedstawicielem handlowym o jakichś kwestiach technicznych, podszkaląłem się, notowałem na-

prędcie, nie przerywając rozmowy, i właśnie wtedy zobaczyłem wśród ustawionego rzędkiem nowiutkiego sprzętu komputerowego tę kobietę: miała na sobie obciste dżinsy, a na ramieniu torbę z atlasową aplikacją, i nie należała do naszego grona.

Kiedy podniosła głowę i spojrzała w moją stronę, poznałem ją. Widziałem, jak szła z mężem przez hall, poprzedniego dnia, a może przed dwoma dniami, zresztą wszystko jedno kiedy, stąpając prawie na palcach, wyodrębniona okiem kamery spośród płynnego kłębowiska obiboków i boyów hotelowych, a teraz stała i patrzyła prosto na mnie, w sekrecie czymś ubawiona.

Wypiliśmy kawę nad basenem. Była dziesiąta rano, po obrzeżach naszej pogawędki snuł się basenowy i ogrodniczy.

- Wśród maszyn do przerobu śmieci. Dziwny pomysł na spędzenie poranka, Donna.

Znaliśmy się tylko z imienia.

- Dla kontrastu - odparła.

- Z czym?

- Z czym. Z tym, co tu robimy.

Siedziała po zacienionej stronie stolika, jej dłonie migały w cieniu, kiedy sięgała po filiżankę, a ilekroć wiatr unosił rąbek parasola, twarz zyskiwała wyraźny kontur i nabierała ciepła.

- Zaczyna ci brakować swobody ruchów?

Pokrętny uśmiezek.

- Program cię krępuje?

Miała ciemne włosy i skromnie sznurowała usteczka, gdy chciała obłożyć kłatwą jakąś wypowiedź, która nie przypadła jej do gustu.

- Gdzie twój mąż?

- Siedzi gdzieś i pije krwawą mary.

- Skąd wiesz, że nie rżnie czyjejs żony?

- Albo rżnie czyjąs żonę.

- Przecież po to tu przyjechaliście.

- No właśnie - powiedziała.

Patrzyła, jak na jednym z balkonów monter sprawdza zasuwane drzwi.

- Dlaczego nie jesteś przy tym, kiedy oni to robią? On leży z inną w łóżku, a tobie nie wolno popatrzeć? Istnieje chyba jakaś komisja odwoławcza, do której możesz się zwrócić.

- Taki miły dzień. Lepiej bądź cicho.

- Wszystkie dni są miłe.
- Zapomniałam. Jak ci na imię? - spytała płaskim tonem, nasycając to pytanie zdawkowo zawiłą ironią, drwiąc z siebie, ze mnie, z basenu i z palm daktylowych.
- Wiesz, Donna, podobają mi się twoje usta.
- Bo mam przodozgryz.
- Bardzo seksowny.
- Podobno.
- Gdybyśmy się umówili, ty i ja, że... A może musisz się trzymać swoich?
- Barry widział wczoraj, jak mi się przyglądasz. Ja cię nie zauważyłam, a on tak. Przy kolacji pokazał mi ciebie.
- Czy on myśli, że ty i ja...?
- Doszliśmy do wniosku, że wiemy, kim jesteś. Facetem, który używa lodowato błękitnej wody „Aqua Velva”.
- A o sobie co powiesz?
- My jesteśmy dwa kluby swingersów na wyjeździe zapoznawczym.
- Nie, o sobie. O ustach i oczach.
Patrzyła, jak monter przesuwają drzwi w tę i z powrotem.
- Taka już jestem, że jak mnie ktoś wypytuje... Chcesz wie dzieć, jaka jestem? Taka, że jak będziesz zanadto ciekawski, to cię skreślę.
Siedziała ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.
- Taka skryta, a pierdoli się z obcymi.
- Gdzie tu sprzeczność? - powiedziała, uśmiechając się ciepło znad pianki cappuccino, nie patrząc na mnie. - Ty nas właściwie trochę nienawidzisz, co?
- Nieprawda.
- I nawet wiem za co. Za to, że się nie kryjemy.
- Przecież to interes jak każdy inny. Po co się z nim kryć?
-odparłem. - Wszyscy tu przyjechaliśmy w interesach, żeby nawiązać nowe kontakty, rozszerzyć wachlarz możliwości.
- Tak, ty nas rzeczywiście nienawidzisz.
Były to sceny filmowe, lekko nie domówione, kręczone może nieco nonszalancko, trochę rozmyte przez przypadkowe zdarzenia. Najpierw ta chwila bez słów na wystawie maszyn, kiedy dwoje bohaterów wymienia spojrzenia wśród ciężarówek. Później rozmowa nad basenem, przerywana momentami ciszy, uka-

zywana w zbliżeniach, bohaterowie są myślami gdzie indziej, a nad wszystkim unosi się poranne rozleniwienie, wyczuwalne w standardowym śpiewie ptaków, w rytmicznych ruchach mężczyzn strzygących żywo płoty, w drzeniu nieskazitelnego turkusu na dalszym planie.

Długi obiektyw sugeruje zwięzłość, utajony niepokój, który cechuje nie tylko bieżącą chwilę, lecz cały dzień, tydzień, epokę.

A potem scena w pokoju, w moim pokoju, kiedy kobieta zdjęła dzinsy, głównie dlatego, że były zbyt obcisłe, i usiadła na łóżku w samej bluzce i w majtkach, z wyciągniętymi nogami, oparta o wezłowie. Przysunąłem krzesło i usiadłem obok niej w pozie diagonalnej, trzymając ją za kostkę.

W ostrzejszym świetle nie była już taka ładna: oczy miała smutno podkrążone, a na górnej części uda rozpryśnięty siniec, jakby bakłażan spadł z dachu. Ale podobało mi się jej ciekawskie, lekko wyzywające spojrzenie. Budziło we mnie ambicję, żeby odrzec ten epizod z wszelkiej tresury: niech będzie intymny i prawdziwy.

- Wścieka cię, że to takie jawne. Nie możesz ścierpieć, że tu przyjeżdżamy, że mówimy i robimy swoje, z niczym się nie kryjąc. Rozmawialiśmy o tym przy kolacji.
- Ty i Barry.
- Mamy taką swoją zabawę.
- Wy dwoje. Ty i Barr.
 - Przyglądamy się ludziom w restauracji. I wiesz, on jest w tym świetny. Zgadujemy, jakie mają zwyczaje i sekrety, ulubione to czy tamto, aż do majtek.
- Powiesz mi, jakie mam na sobie?
- Właściwie w twoim przypadku.
- Nie zaszłście aż tak daleko.
 - Nie. Bo stwierdziliśmy, że są ważniejsze sprawy. Choćby to, dlaczego nas nienawidzisz.

Patrzyłem i słuchałem, usiłując określić jej głos i sposób bycia, umieścić ją na przykład w jakimś małym mieście przemysłowym, obsadzić w roli dziewczyny z katolickiego domu, wychowanej gdzieś nad rzeką, przy koszmarnym nabrzeżu, w ruderze podobnej do przewracającego się pijaka.

- Wiesz, co mi się w tobie podoba? To, że budzisz we mnie agresję, coś jakby brawurę - powiedziałem. - Od samego sie-

dzenia na tym krześle dostają nawrotu. Jadę wstecz kilometr na minutę.

- Co to ma znaczyć?
 - Że wszystkie ciekawe rzeczy w moim życiu zdarzyły się, kiedy byłem młody.
 - Jeżeli mnie zerzniesz, to tylko z nienawiści. Tego właśnie chcesz? To ma być ta agresja?
 - Nie. A ty czego byś chciała? Leżysz w moim pokoju, do połowy rozebrana.
- Może właśnie tego chce Barry.
- Posłać cię do łóżka z facetem, który cię nienawidzi?
- Przyjechaliśmy tu, żeby przekroczyć granice.
- Czyli robisz to dla niego.
- Może.
- Wykonujesz rozkaz.
- Nie, dzielę się marzeniem, spełniam je.
- A jak Barry ci się odwdzięcza?
 - Nie twój interes, koleś- powiada z wsiowym, karczemnym zaśpiewem.

Nie chciałem zbyt pochopnie jej zrozumieć. Może przyszła do mnie wcale nie dla seksu, tylko po dodatkowe dane, rodzaj suplementu dopełniającego przeżycie. Mamy pogadać o różnięciu, ale się nie zerzniemy, a potem wróci zadowolona do tego swojego wymiennego przydupasa. Spojrzałem na siniak na jej udzie. Ogarnęło mnie przygnębienie na myśl, że może być po prostu wykonawczynią woli męża: przyszła tu, żeby zrobić, co jest do zrobienia, i zdać potem relację staremu Barry'emu, który dawniej pisywał pewnie scenariusze filmowe, a teraz dla zarobku rozmawia przez telefon - sprzedaje emerytom nieruchomości. Kiedy się pochylałem, chcąc ją pocałować, odsunęła się z wprawnym wzruszeniem ramion, ledwie zauważalnym, nieosobistym, i tym drobnym gestem odepchnęła mnie na sam skraj pola percepcji.

- Wiesz, Donna, może jednak niezupełnie co do mnie się mylisz. Może rzeczywiście uważam, że kiedy ludzie ujawniają pewne sprawy, nie obywa się bez szkód.
- Mów, mów. Zawsze interesuje nas konstruktywna krytyka.
- Ale nie sądzę, żebyś chciała tego słuchać. To zbyt osobiste.
- Ależ chcę.

- Pewnie wyjdę na idiotę.
- Och, tak, wyjdź. Bardzo cię proszę.

Zdjęła zegarek i upuściła go obok siebie na łóżko. Nagle zachciało mi się zerznąć ją natychmiast, ryzykując, że do pokoju wkradnie się bakcyl ponurego, kontraktowego seksu, zawleczony z objazdowego cyrku skoczobocznych. Bo nie wiedziałem, jak bardzo głupio zabrzmiałoby to, co zaraz powiem, po uczniacku szczerze, i co właściwie odsłonię, robiąc tę dygresję w obszar własnej przeszłości.

- No mów. Oświeć nas.

Nachyliłem się, żeby ją pocałować, i tym razem nie zrobiła uniku, lecz odwzajemniła mi się letnim liźnięciem, dając do zrozumienia, jaka jeszcze dzieli nas przepaść.

- Dawno, dawno temu, przed wieloma laty, czytałem książkę pod tytułem *Obłok niewiedzy*. Napisał ją jakiś anonimowy mistyk, nie wiem dokładnie, chyba w czternastym wieku, jeśli wtedy właśnie grasowała Czarna Śmierć. W każdym razie pisał ten tekst w czasach Czarnej Śmierci. Dał mi tę książkę pewien ksiądz. Tamte lata w moim życiu upływały wśród księży. Właściwie mi ją wcisnął. Większość z niej zdążyłem zapomnieć. Ale wiem, że nauczyła mnie myśleć o Bogu jako o sile, która trzyma nas na dystans, bo stąd właśnie czerpie swoją moc. Pamiętam jedno zdanie.
- Zgrabny tytuł.
- Prócz tytułu pamiętam jedno zdanie.

Zaczekałem chwilę, aż słowa same znajdą właściwy kształt oraz szyk, i obejmując palcami nogę Donny w kostce, wyczułem w kobiecie pewną chłonność, która była mi potrzebna, żebym mógł przezwyciężyć wrażenie dysonansu. Czort z tym, pomyślałem. Zaryzykuj.

- To zdanie pojawia się blisko początku książki, a ja, czytając je, poczułem, że autor zwraca się wprost do mnie, kimkolwiek był, może poetą albo jednocześnie poetą i księdzem, bo tak właśnie najchętniej go sobie wyobrażam. „Zatrzymaj się na chwilę, nędzny słabeuszu, i porachuj się ze sobą”. Widzisz, to byłem właśnie ja: wyodrębniony ostrym cięciem, zatrzymany w pół kroku i dokonujący obrachunków, dwudziestoletni, głupszy od rówieśników, rozpaczliwie szukałem dla siebie miejsca. No więc przeczytałem tę książkę i zacząłem myśleć o Bogu jako o ta-

jemnym, długim i ciemnym tunelu, który ciągnie się w dal. Była to z mojej strony nędzna próba zrozumienia naszej nijakości w obliczu boskiego ogromu. I za to też Boga szanowałem. Że nie zdradza swojego sekretu. I spróbowałem zbliżyć się do Niego właśnie poprzez ten sekret, poprzez niepoznawalność. Może potrafimy poznać Boga poprzez miłość, modlitwę, wizje albo LSD, ale na pewno nie poznamy go intelektem. O tym poucza nas *Obłok*. I w ten sposób nauczyłem się szanować potęgę sekretów. Zbliżamy się do Boga poprzez jego niestworzonność. To my jesteśmy stworzeni, uczynieni. Bóg jest nie stworzony. Jak możemy poznać taki byt? Nie znamy go. Nie dajemy świadectwa jego istnieniu. Hołubimy natomiast jego negację. Widzisz, tacy z nas nędzni słabeusze. I próbujemy rozwinąć w sobie nagi zamysł, który nas przywiąże do idei Boga. *Obłok* zaleca obrać za podstawę tego zamysłu pojedyncze słowo. A jeszcze lepiej -pojedynczy wyraz jednosylabowy. Bardzo mnie to pociągało. Oddałem się poszukiwaniom tego jednego słowa, jednej sylaby. Był w tym pewien romantyzm. Boska tajemnica była romantyczna. Dzięki temu jednemu słowu miałem uporządkować wewnętrzny chaos i zbliżyć się o krok do niepoznawalnej boskiej jaźni.

- Jakiemu słowu?
 - Szukałem go. Rozmyślałem o nim. Brałem je całkiem serio. Byłem młody.
 - Mogłoby to być słowo „miłość”. Ale dla ciebie nie do przyjęcia. Zanadto kliwne. No i dwusylabowe.
 - Odpowiednim słowem byłby „ratunek”. Ale ma trzy sylaby, a zresztą nawet w uszach takiego słabeusza jak ja brzmiałoby to trochę żałośnie. Uznałem, że problem tkwi w języku, że muszę sięgnąć do zasobów innego języka, znaleźć słowo, które będzie czystym słowem, takim, co nie obrastało przez całe moje życie skojarzeniami i odcieniami. I wtedy pomyślałem, jak jest po włosku „ratunku”, bo tak właśnie wołał mój ojciec, kiedy go złościliśmy, brat i ja, spletał dłonie i kołysał nimi, wznosząc oczy do nieba, i mówił: *Aiuto*. Pewnie tak samo jak jego własny ojciec czy dziadek. Słowo, które przebija ciemność. *Aiuto*.
- Ma za dużo sylab.
 - Ma za dużo sylab i brzmi zanadto komicznie. Bo on głównie chciał nas tym słowem rozśmieszyć, zająć śmiechem. Może

znał ze dwadzieścia włoskich słów, sam nie wiem, bo przecież już tutaj się urodził, a może płynnie mówił po włosku, właściwie nie mam pojęcia. Ale czasem sięgał po to słowo. Wymawiał je w taki sposób, że robił z niego sztukę w trzech aktach, przeciągał, charczał jak otruty książkę. Aj-uuu-too. A my śmialiśmy się, bo w pewnym sensie obśmiewał przy tym stary kraj i tamtejsze zachowania. To było wspaniałe, głębokie słowo, ale nie mogłem go wykorzystać.

O dziwo, pochyliła się, wzięła mnie za rękę i sunąc nią po wewnętrznej stronie swojego uda, położyła ją sobie w kroczu, szczelnie nakryła je miseczką mojej dłoni i umościła się na łóżku, żeby mieć jak najwygodniej, niczym dziecko w porze bajek.

- Gdzie jest teraz twój ojciec?
- Nie żyje.
- A gdzie jest brat?
- Nie wiem. Czekala na dalszy ciąg.
- Ale wiedziałem, że mam rację, odchodząc od angielskiego. I wreszcie natrafiłem na frazę, która aż tętniła żywym, nagim zamysłem. Czymś, co znałem i czułem, bo sam to przeżyłem. Była piękną, spontaniczną modlitwą. Pięciosylabową, i co z tego? Trzy słowa, w sumie pięć sylab, ale wiedziałem, że znalazłem hasło. Podsunął mi je inny mistik, Hiszpan, Jan od Krzyża, i przez całą tamtą zimę było moim nagim ostrzem, którym wcinałem się w ciemność, w boski sekret. I powtarzałem je raz po raz, bez końca. *Todo y nada.*
- *Todo y nada.*
- Tak. A z czym ci się kojarzą te słowa? Do jakiej sfery twojego życia się odnoszą? Co oznaczają?
- Seks - odparła natychmiast. - Seks w najlepszym wydaniu. *Todo y nada.*
- No właśnie.
- I jaki stąd wniosek?
- Nie mówię, że seks jest naszym bóstwem. Nie zrozum mnie źle. Mówię tylko, że seks to nasz jedyny sekret, który zbliża nas do stanu ekstazy, a zarazem daje się przeżywać wspólnie, dwoje ludzi może się nim dzielić, mniej lub bardziej obchodząc się bez słów, odczuwając go mniej lub bardziej po równi,

i właśnie dzięki temu ma on w sobie moc, tajemnicę i wart jest tego, żeby go chronić.

- Nie obnosić się z nim, powiadasz. Ale to dlatego, że pewnie dalej jesteś tak samo romantyczny jak wtedy, kiedy miałeś dwa dzieścia lat. Seks przestał być sekretem. Wszystko się wydało. Wiesz, czym dla ludzi przeważnie jest seks?

Położyła rękę na mojej dłoni i lekko poruszyła miednicą, nadziewając się na mój napiętek.

- Tym, co można mieć. Dla niektórych, dla większości ludzi to najważniejsza rzecz, jaką mogą mieć, chociaż nie urodzili się w bogatym domu, nie są specjalnie inteligentni i nie kradną. Mogą ją dostać od życia, nie gorszą albo i lepszą niż wszystko, co dostają inni, i nie muszą przedtem sześć lat chodzić na uni werek. I seks wprawdzie nie jest żadną religią ani nauką, ale i tak można go badać i czegoś się przez to o sobie dowiedzieć.

Przerwała. Rzeczywiście wydawała się trochę bezbarwna w tym pokoju, z dala od słońca tańczącego po tafli basenu, z twarzą odartą z jego niespokojnych cieni, pozbawioną żywych poblasków miki, które nadawały jej kościom linię i kontur. Tym ciekawiej, pomyślałem. Tym poważniej, doniosłej. Chciałem przeżyć coś prawdziwego, rzetelnie odczytać tę kobietę.

- A zresztą różne są rodzaje publicznego seksu - powiedziała.
- Na przykład niewyżyci pisarze opisują seksowne sceny.
- Sami. Kiedy to piszą, są sami. I ty też jesteś sama, kiedy czytasz.
- Jak poznajemy ludzi o zbliżonych zainteresowaniach?
- Nie wiem. Po cichu, potajemnie.
- Jak przestępcy. Ale my nie jesteśmy przestępcami. My też chcemy mieć swoją konferencję, przystawki i serwetki do ust. W Ameryce jest za dużo samotności. Za dużo sekretów. Trzeba je ujawnić, odsłonić. I nie przyglądaj mi się tak uważnie. Za bardzo się przyglądasz.
- A jak inaczej mam cię poznać?
- Nie znasz mnie. Wcale nie chcesz mnie znać. Jesteśmy na pustyni.
- Przypomniało mi się jeszcze jedno zdanie z *Obłoku*. Ale tylko fragment. O ostrym grocie miłosnej tęsknoty.
- Trochę jak z pornosu.
- Sama jesteś z pornosu, ty i twoi przyjaciele. Macie własne

czasopismo, prawda? Jak w każdej branży. Jak macherzy od żwiru i tłucznia, jak przedsiębiorcy pogrzebowi. Tyle że wy pokazujecie włosy łonowe. I wysyłacie sobie pocztą amatorskie filmy.

Podniesiona głowa, usta zaciśnięte niby to w wyrazie urażonej cnoty.

- Tu nie chodzi o żadne świństwa. Ja się wcale nie zeświniłam, chociaż może trudno ci uwierzyć... - wybuchnęła trochę szalonym śmiechem i dodała łamiącym się głosem: - ...skoro siedzę z ręką obcego faceta na cipie. - Zakręciła biodrami i jęknęła rozkosznie, czując ucisk w kroku, jęknęła z rozkoszy parodiowanej, lecz zarazem szczerzej.
 - Nie jestem ręką obcego faceta.
 - Nie patrz na mnie.
 - A na kogo mam patrzeć?
 - Nie przyjechałam na to cholerne zadupie, żeby mi ktoś robił psychoanalizę.
 - Przy tobie dostaję nawrotu. Nie pierwszego w życiu, ale pierwszego od bardzo dawna. I właśnie dlatego jesteś dla mnie groźna.
 - A ty dla mnie czemu jesteś groźny?
 - Jako odstępstwo od reguły pierdolenia się z byle kim.
 - Myślisz, że nie jesteś byle kto? Niby dlaczego miałbyś być wyjątkiem? Nawet nie pamiętam, jak masz na imię.
- Przypomniałem jej swoje imię i nazwisko, a ona powiedziała, że jedno i drugie brzmi jak zmyślane.
- Więcej. Muszę mieć więcej danych - zażądała. - Na razie wiem, że byłeś nędznym słabeuszem.
 - Tak.
 - I czytałeś książki o Bogu.
 - Tak.
 - Rozmawiałeś z księżmi.
 - Tak.
 - No to na czym polegał twój grzech? Twój sekret? Powód twojej nędznej słabości?

W oczach miała ten sam wyzywający błysk, co na początku, ale już nie taki przemądrzały, bez rozbawionego, lekkiego przechyłu, który oznaczał nie tyle wzdargę, ile niezgodę na zdzi-

wienie. Ten odcień zdążył tymczasem zniknąć, a zastąpiła go ciekawość, mniej ostra i zaczepna.

Cofnąłem dłoń i odsunąłem się, zakładając ręce na piersi, z głową przechyloną na znak rezygnacji, w pozie człowieka korzącego się w obliczu tajemnicy, młodzieńca wykorzenionego, nikczemnego.

- Byłem w zakładzie.
- W zakładzie.
 - Tak się o tym mówiło. W młodzieżowym zakładzie poprawczym. Zamknęli mnie na jakiś czas, a potem trafiłem do małego ośrodka jezuitów w północnej Minnesocie, przeznaczonego dla chłopców po ciężkich przeżyciach i innych nietuzinkowych typów. .
- A ty byłeś w zakładzie, bo?
- Zastrzeliłem kogoś. Zastrzeliłem człowieka.
- Zabieś go?
 - Tak. Miałem siedemnaście lat i do dziś nie jestem pewien, czy był to zamiar rozmyślny, dorozumiany czy jak go tam prawo określa. A może po prostu rozpaczliwy wypadek?
- Dużo się nad tym zastanawiałeś?
 - Próbowalem, co pewien czas. Pamiętam tę chwilę. Usiłowałem ją zanalizować, uważnie się przyjrzeć wszystkim jej składowym. Ale tyle tu jest splątanych motywów i podskórnych możliwości, tyle różnych „no to najwyżej” i „a niech tam”.
- Co to znaczy?
 - Że nie wiadomo, czy w pewnym momencie, kiedy już lekko nacisnąłem spust, w którymś mikrostadium działania umysłu, ruchu palca i samego spustu nie powiedziałem sobie czegoś w rodzaju: „No to najwyżej”. Właściwie nie jestem pewien. Albo: „Niech to się stanie i zobaczymy, co dalej”.
- Kim był ten człowiek?
 - Kim był ten człowiek. Ani wrogiem, ani rywalem. Raczej przyjacielem. Starszy ode mnie, czasem mi pomagał, ale nie wywarł na mnie istotnego wpływu. Nie, nie sądzę. Prócz tego, że miał broń.

W przypływie popędliwego natchnienia, nie myśląc, co robię, powiedziałem tym swoim gangsterskim głosem:

- Znaczy się zdjąłem gościa z kalendarza.

Moja żona nigdy nie słyszała u mnie tego tonu, całej tej

historii też jej, o dziwo, nigdy nie opowiedziałem, więc poczułem się mocno nie w porządku. Ale nie od razu. Poczucie winy pojawi się dopiero później, w Phoenix - odłożmy je na czas, kiedy znajdziemy się w pokojach o ścianach wypełnionych książkami, wśród tureckich dywaników modlitewnych, w łazience z koszem, w którym leżą żurnale.

Donna zaczęła siąkać nosem. O północy poszła popływać i przeziębila się, więc teraz o tym chwilę porozmawialiśmy. O nocy, o chłodnym powietrzu i o jedzeniu, które podawano w restauracji.

Potem zdjęła majtki i mi je podała. Rzuciłem je na łóżko i rozebrałem się.

Wyczułem w pokoju powiew obcości i pomyślałem, że może Donna jest podglądaczką własnych przygód, żyje w pewnym dystansie wobec terażniejszości i odnotowuje ją, trwając w jakimś przyszłościowym stanie ducha. Ale zaraz przyciągnęła mnie do siebie, złapała pełną garścią za włosy i przyciągnęła, aż nasze usta się spotkały, i zaczęła całować, a był w niej żar, zgłodniały puls, raptowny podmuch istnienia. Sklejeni ze sobą, szamotaliśmy się i prężyli, brakowało nam rąk do chwytania, nie starczało ciała, aby przytłoczyć nim to drugie ciało, chcieliśmy jeszcze więcej pojąć i ścisnąć, osiągnąć zbliżenie, które byłoby pełnym odwzorowaniem, żeby ciała wzajemnie dopasowały się w każdym punkcie, aż uniosłem się na rękach i zobaczyłem, jaka jest mała, rozciągnięta nago na łóżku, zupełnie inna niż ta kobieta, która szła przez hotelowy hall, owiana filmową aurą. Była teraz bliższa prawdziwej ziemi - opite seksem, wywleczone z głębi jestestwo - a ja poczułem, że mnie także jest bliska, i pomyślałem: wreszcie ją znam, chociaż w tej samej chwili zamknęła oczy, żeby się ukryć.

Wymówiłem jej imię.

Kiedy było już po wszystkim, zostaliśmy puści jak wydrążona gujawa. Bolały nas wszystkie kończyny, pić mi się chciało po prostu saharyjsko, ranek mieliśmy z głowy. Poszedłem się wysikać i przez chwilę patrzyłem, jak bursztynowy płyn rozpryskuje się w misie obmytej słońcem. Co za błogość wysikać się na bosaka po forsownym, solidnym jebaniu! Kiedy wróciłem do pokoju, znów trochę siąkała nosem, miała chrypkę, metaliczny głos, więc przykryłem ją kocem. Zapadła w symulowany

sen, „daj mi spokój”, ale powoli osunąłem się na koc i przycisnąłem się do niej natrętnie, wdychając łagodne ciepło jej czoła i czując koniuszkiem języka maleńkie paciorki gorączki. Słyszałem, jak w korytarzu rozmawiają pokojówki, i wiedziałem, że żadne z nas nie gości już w życiu tego drugiego, rozeszliśmy się na zawsze. Pozostał jednak jakiś posmak, który kazał nam trwać w bezruchu, leżeć tak jeszcze przez chwilę, Donnie i mnie, spowitym przez wszystko i nic naszej miłości.

Ukrywasz najgłębsze sprawy przed najbliższymi ludźmi, a potem w pokoju z numerem na drzwiach zwierzasz się komuś zupełnie obcemu. Co za sens pytać, czemu tak jest? Skrucha dopiero później, w Phoenix, kiedy będę mógł uniknąć dręczących pytań, wkręcając się w kierat codziennej pracy.

Byłem pracownikiem o najkrótszym stażu, z przyklejonym uśmiechem. Panowała atmosfera wielkodusznej gościnności, wszystko pod hasłem: swój człowiek, ile masz dzieci, zjedzmy razem lunch. Chciałem się związać z firmą. Czułem się uwikłany w jakieś nieokreślone funkcje korporacji. Zostawałem po godzinach i pracowałem w weekendy. Oduczyłem się powłóczenia nogami. Słyszałem własny głos, widziałem swój uśmiech, dosłużyłem się gabinetu na końcu korytarza i siedziałem w nim, ubrany w nowiutki szary garnitur, z każdym dniem nabierając sił.

Był to długi bieg wąskim wąwozem w ostatnim dniu konferencji, więc Sims i ja potrącaliśmy się, walcząc o przestrzeń. Dopiero zaczynaliśmy zapominać ten wstrząs w okolicach piątki i to, jak sala do nas przemówiła; pomyślałem, że właśnie teraz następuje wtórny szok, kiedy ten zasadniczy idzie w zapomnienie.

Pierwszą część biegu wypełnił monolog, który Sims wygłosił ze swadą i kunsztem weterana, milknąc chwilami tylko po to, żeby wziąć parę głębokich oddechów albo otrzeć pot z krawędzi górnej wargi.

- Z surowymi ściekami to jest tak - mówił. - Przerabiasz je troskliwie, miłośnicie. Głęboko pod ziemią przepuszczasz przez przesiewacze. Przepompowujesz do odstojników i komór napowietrzania. Sortujesz, szumujesz i zaprawiasz bakteriami.

Opisał cały proces aż do najsoczystszych szczegółów, głasz-

cząc i przeciągając niektóre słowa: mulisty, bagnisty, półstały, gęsty, gładki, osad.

- Bo to jest materiał, w którym odtąd pracujesz. Smolista substancja o rzygliwym aromacie.

Ileż animuszu potrafił wydobyć z naszego morderczego biegu, mówiąc z wytrzeszczonymi oczami, donośnym głosem, jakby mnie osobiście atakował.

- No i czekasz, aż przyplynie po nią tankowiec. Na północnym wschodzie nazywają taką łajbę kubłem na miód. Tankowiec spuszcza osad do oceanu. Tak jak ty u siebie w domu walisz kupę. Sto sześć mil od wybrzeża New Jersey, zgodnie z prawem. Albo bliżej, niezgodnie.

- Ciekawa historia.

- Ciekawa - przytaknął. - Prawda, że ciekawa?

- Owszem, ciekawa.

- Nigdy o tym nie myślałeś, co?

- Tylko trochę.

- Nigdy. Przyznaj się.

- Może myślałem odrobinę mętnie.

- Może odrobinę mętnie. Rozumiem. Dobrze powiedziane. Nic dodać, nic ująć.

Samolot o skrzydłach w kształcie delty szturchnął słońce i znikł w zawrotnym ozonie, marzycielsko pnąc się wzwyż.

- Ale niby dlaczego to ma być mój materiał? - spytałem.

Biegliśmy wąwozem, po kamieniach.

- Bo właśnie w tym obaj. I wszyscy, jak tu jesteśmy. W gruncie rzeczy robimy. Z wierzchu, od góry. Albo z dołu, spod spodu. To nasze oficjalne obowiązki.

- Czyli twierdzisz, że każdy śmieć.

- Tak właśnie twierdzę.

Każdy śmieć korzy się przed gównem. Każdy śmieć ma ambicję gównu dorównać.

Potrącałiśmy się i przepychali, manewrując, żeby wysforować się naprzód, a Sims zdmuchiwał sobie mgielkę z górnej wargi.

- Jak tam w domu? Układa się?

- W domu świetnie. Wszystko gra. Miło, że pytasz.

- Kochasz żonę? - spytał, - Tak, kocham żonę.

- Lepiej ją kochaj. Bo ona ciebie kocha.

Trochę przyspieszyliśmy, a Sims zdjął czapkę, trzepnął mnie nią i włożył ją z powrotem.

- Ale ta historia o statku - powiedziałem.
- Ta historia o statku to głupia plotka, która żywi się sama sobą.
- Ten statek to żart, który nie ma końca.
- Ciągłe zmienia załogę. Słyszałeś? - spytał. - Załogę zmienia jeszcze częściej niż nazwę.

Roześmiał się i znowu trzepnął mnie czapką.

- Raz po raz kolejny skład odchodzi z roboty i muszą gwałtem werbować nowy.

Wyprzedził mnie, ale go dogoniłem i w promiennym, czystym skwarze minęliśmy pędem pole golfowe.

Wróciliśmy jednym autem i pojechaliśmy prosto na kampus, do naszej siedziby w Los Angeles, która mieściła się w kilku budynkach połączonych mostkami, o lustrzanych fasadach, wysoko nad autostradą, a ja ujrzałem w wyobraźni, jak wszystko to zawała się w zwolnionym tempie.

Jezdnia wykładana kostką powiodła nas wśród sadzawek, jasnych rzeźb i cynamonowych bieżni.

- Widzisz, jak te domy rozpadają się i walą w gruzy?

Spojrzał na mnie.

- Nie sądzisz, że to właśnie powinniśmy widzieć, kiedy na nie patrzymy?

Nie chciał o tym nawet słyszeć.

- Nie sądzisz, że to całkiem nowy sposób widzenia?

Szliśmy przez labirynt korytarzy poprzedzielanych elektronicznymi bramkami, które Sims otwierał, wsuwając w otwór kartę magnetyczną. Był to nowy, inteligentny świat minikomputerów odczytujących zakodowane klucze. Podobał mi się bzyk i pstryk karty wsuwanej w szczelinę. Oznaczał połączenie. Przyjemnie było czuć, że istnieje źródło mocy dostępne tym spośród nas, którzy mają klucz z odpowiednim kodem. W windzie podał urządzeniu zaprogramowanemu na brzmienie głosu swoje nazwisko, Simeon Branson Biggs, stosownie stentorowym tonem, i kabina niezwłocznie wjechała na trzecie.

Usiedliśmy w jego biurze.

- Tutaj nikt nie umiera. O parę pokojów dalej na tym samym piętrze mierzę sobie ciśnienie. Mamy tu siłownię. Personel mie-

rzy mi zawartość tłuszczu w tkankach i wylicza w gramach i w uncjach, co powinienem jeść.

Zapalił cygaro i spojrział na mnie przez sceptyczny dym.

- Ludzie przychodzą do pracy w tenisówkach, z brodami blond. Grają w tenisa i w siatkówkę. Co noc zasypiam czarny, a rano wracam biały.

Miał na nogach buty, na które dawniej mówiło się „glany”, ciężkie, masywne, z kwadratowymi noskami.

- Wierzysz w Boga? - spytał.

- Tak, chyba wierzę.

- Wybierzemy się kiedyś razem na mecz.

Musiał załatwić parę telefonów i przejrzeć pocztę. Posiedziałem trochę z innymi ludźmi, a potem wróciłem taksówką do hotelu - miałem zabawić w mieście jeszcze parę dni. Taksówkarz powiedział coś dziwnego. Jechaliśmy ulicą. Nie wiedziałem, gdzie jesteśmy. Człowiek przybywa do miasta i jedzie, dokąd go wiezie kierowca - na wiarę. No i nagle taksówkarz odezwał się, do mnie albo do siebie. Był to starszy facet o nerwowych gestach i zacinającym się głosem: co pewien czas zatykało go, jakby mu łącze nawaliło.

- Zapal lucky'ego - powiedział. - Pora zakurzyć.

Żaden z nas nie trzymał w palcach papierosa i niczym nie zdradzał, że zamierza po niego sięgnąć. Może taksówkarz po prostu wspomniął ten stary slogan ot tak, mimochodem, i wyrecytował go tylko dlatego, że o nim pomyślał, że słowa same mu się nasunęły, prosto z jakiegoś bezpieczeństwa zakamarka pamięci, ale tak czy owak zabrzmiały dziwnie i bulwersująco. Człowiek przybywa do miasta, słyszy nagle coś takiego i już sam nie wie, co ma myśleć. Spojrzałem na taksówkarza. Przechyliłem się w bok i spojrzałem na jego profil, usiłując odgadnąć, co chciał przez to powiedzieć.

2

Czekał na Chuckiego Wainwrighta. Wokół niego na nabrzeżu trwała pleczysta praca, czuło się bliskość ogromnego tonażu i maszynierii jakby cudem podwieszanej do nieba, TIR-y skręcały w oznaczone przegródki, kontenery pełne towarów stały

warstwami na pokładach gigantycznych statków, nie do wiary, jakich wielkich, a w rzadkiej mgle te, jak im tam, bomy portowych dźwigów z rozmachem przenosiły ładunki. W oddali lotniskowiec z wolna sunął przez zatokę w stronę mostu Golden Gate, odprowadzała go zaś wielorasowa flotylla drobnych jednostek i trzy kutry strażackie, które strzelały potężnymi łukami wody, przypominającymi pożegnalne strugi szampana.

Marvin po raz dziesiąty w ciągu godziny spojrzął na zegarek. Stał obok szopy przeładunkowej, w bezpiecznej odległości od głównego nurtu akcji. Wyglądał jak goj zabłąkany we mgle, w zamazowym kaszkiecie i dwurzędowym trenczu z pagonami, luźnym karczkiem, reglanowymi rękawami - zna te określenia, bo przecież tyle lat prowadził pralnię chemiczną - z ciętymi kieszeniami, szlufkami na pasek, patkami na rękawach i tyłoma guzikami, że czuł się ubrany na resztę życia.

Miał składany parasol w pokrowcu od innego parasola, żółtawa zieleń w niebiańskim błękicie - nie żeby sprawiało to różnicę komukolwiek prócz jego żony.

Eleanor też tam była, pierwszy raz towarzyszyła mu w podróży szlakiem piłki baseballowej. Ale pamiętajcie, że tym razem chodziło o San Francisco, a ona nie chciała umrzeć, nie ujrawszy przedtem tego miasta.

Z tyłu na prawo po drugim moście nad zatoką co minuta śmigały miliony aut, które nigdy nie słyszały o Marvinie Lundym i jego manii na punkcie baseballu.

Znów sprawdził godzinę i spojrzął na drugą stronę zatoki.

Chuckie Wainwright był załogantem na parowym trampie, który płynął wzdłuż wybrzeża z Alaski. Marvin porozumiał się z przedsiębiorstwami żegludowymi, kapitanatami portu i samymi kapitanami co do współrzędnych statku i składu osobowego załogi, telefonicznie i drogą radiową. Wielokrotnie potwierdzono, ustalono ponad wszelką wątpliwość i poświadczono odpowiednimi dokumentami, że Charles Wainwright junior, znany jako Chuckie, płynie na pokładzie parowca „Lucky Argus”, który opuścił port w Anchorage z ładunkiem piasku i miału skalnego.

Chuckie był kluczem do łańcucha kolejnych posiadaczy. Marvin zgromadził tysiące drobnych informacji, łączących piłkę z poprzednimi właścicielami, aż wreszcie, zaraz, zaraz, jak się

to nazywa, co nie jest ostatnie, tylko o numer wcześniejsze -wreszcie weszło do gry nazwisko Wainwrighta.

Odczekał pół godziny i poszedł do budynku na przystani promu, żeby zapytać, co z tym „Lucky Argusem”, ma się niepokoić czy nie musi, i powiedziano mu, że statek przybije do stanowiska siódmego mniej więcej za półtorej godziny.

Kiedy znów wyszedł na dwór, wyczuł w powietrzu jakiś powiew, jakby lekko z kibla, smrodek ledwie wyczuwalny, lecz o dziwnej sile emocji. Zaraz potem fetor się ulotnił, uniesiony bryzą, a Marvin usłyszał wodnisty szmer samochodów mknących po moście i zobaczył, że nadchodzi jego Eleanor, opromieniona truskawkowym uśmiechem, pod niebiańsko błękitną parasolką.

- Tak też myślałam, że cię tu znajdę. Przyszłam rzucić okiem na ten śliczny stary dom.

Marvin obejrzał się, żeby sprawdzić, co takiego ślicznego przeoczył.

- Wiesz, że on przetrwał to największe trzęsienie ziemi, ale zegar stanął i przez cały rok ani drgnął?
- Zawsze gdzieś staje jakiś zegar - ponuro odparł Marvin.
- Jakby po to, żeby przypomnieć wszystkim w zasięgu wzroku.
- Niby o czym?
Pomachała mu przed oczami przewodnikiem.
- Zła wróżba bywa czasem wypisana wielkimi, wyraźnie czytelnymi literami.
- Do czego zmierzasz?
- Zegar stanął siedemnaście po piątej rano. Pięć jeden siedem, kochanie. Podsumuj cyfry, wyjdzie ci trzynastka.

Może to wiatr zmienił kierunek. Marvin znów poczuł tę woń i stwierdził, że dziwnie go ona porusza, jak jedna z tych, które niosą się przez zamierzchłe warstwy pamięci, ta akurat stęchła i ziemna, i nie wiedzieć czemu nagle zapragnął dotrzeć do jej źródła.

- I gdzie twój pan Wainwright?
- Statek się spóźnia - wyjaśnił.
- Nie bądź takim pesymistą.
- Co znaczy pesymistą? Stoję sobie i rozmawiam.
- Cały jesteś zgarbiony i oklapnięty.

- Zawsze jestem zgarbiony i oklapnięty. Taki wyszłem z fabryki.
- A zwłaszcza kiedy mowa jest o tej piłce.

Eleanor miała rację. Bo czy kiedykolwiek zresztą się myliła? Czasem na nią burczał, ale oboje wiedzieli, że racja prawie zawsze jest po jej stronie. Z tym swoim angielskim akcentem, z tymi racuszkami, które piekła takie pyszne, że już w przeddzień zaczynał ich wyczekiwać, ubrana z męczeńską starannością, według niego chyba wręcz chorobliwą, i rzeczywiście parę razy przyłapał ją na tym, że gada do swoich ciuchów w szafie, była jednak nieodmiennie - Marvin lubi to określenie - *comme il faut*, i gustownie zestawiała to i śmo. Miała w sobie jakąś srogą determinację, którą co prawda powściągała, dbając zarazem, żeby do męża dotarło jej zdanie. A odkąd ich córka się usamodzielniała, załatwiła sobie dobrą posadę i mieszkanie na bezpiecznej ulicy, Eleanor czuwała nad obsesjami Marvina i jego upstrzonym żartami ponuractwem.

Szli chodnikiem Embarcadero i nagle Marvin uświadomił sobie, że numery stanowisk rosną - były coraz wyższe, a w dodatku parzyste, czyli oddalali się od siódmego. Ale właśnie w tę stronę zdawał się prowadzić go odór, cuchnąca smużka, która co chwila wplatała się w wiatr.

- A co ma ci właściwie powiedzieć ten jakiś Wainwright?
- Skąd wziął piłkę jego ojciec, dziś już zmarły i pochowany.
- I w ten sposób doprowadzisz do końca - co mianowicie?
- Tę, jak jej tam.
- Linię przekazu.
- Linię przekazu - powtórzył Marvin.

14. Rozwiedziona żona Chuckiego Wainwrighta, Susan jakaś tam, mniejsza o szczegóły.

15. Indianin w jednej ósmej, Marvin nie pamięta, z jakiego plemienia, który doprowadził go do tej eks-żony.

16. Szok wywołany życiem innych ludzi. Prawda cudzego życia, wstrząs, zderzenie.

17. Chuckie w lotnictwie wojskowym, na Grenlandii, w Wietnamie, zrywa się na lewiznę - taki, jak go tam, kolokwializm -a potem gdzieś daleko zapuszcza brodę, płodzi dziecko i daje mu na imię Dakota.

18. I tak się złożyło, że właśnie w Dakocie znalazł Marvin

jego była żoną, w Rapid City, kiedy spacerowała z chorymi po basenie w stu dwudziestu centymetrach wody.

6. Ten wstrząs, potęga codzienności. Coś, czego nie wymyśliłoby się nawet na komputerach spiętrzonych w idealnie odkurzonym pokoju.

- Marvin, wiesz, co ci zaraz powiem.
- Jest trzygodzinna różnica czasu. Chyba się nie doczekam.
 - Podnoś nogi, jak chodzisz. Zdrowy mężczyzna, a udaje chorego.
- Tere-fere, pogaduchy z telewizji familijnej.

Nie czepiała się drobiazgów ani nie zrzędziła, mówiła do niego łagodnie, była lepsza, niż mu się należało, przysyłała pocztówki, ilekroć jechała z wizytą do Anglii - wyobraźcie sobie: dostać pocztówkę od własnej żony.

Raptem stanęła jak wryta, cała zeszywniała w swoim lśniącem deszczowcu.

- Co to za zapach? - spytała.

Marvin nareszcie zaczął rozumieć, czemu ta woń robi na nim aż takie wrażenie. Sam był poniekąd jej źródłem. Przypomniało mu się, jak podróżowali po Europie, sześć lat od zakończenia wojny, on i Eleanor, nowożeńcy, ona ze skromnej rodziny, zafundowali sobie długi miesiąc miodowy, możliwie najtaniej, pociągi osobowe i stare hotele bez jakichkolwiek wygód, ale była to zarazem podróż z misją, bardzo ważną dla rodziny Marvina. Otóż Marvin szukał przyrodniego brata, Awrama Lubarskiego, który służył w Armii Czerwonej, był ranny pod Leningradem, ranny pod Stalingradem, postrzelił się w palec u nogi pod Grodnem, łódką przepłynął Wołgę pod ostrzałem sztukasów, dostał się do niemieckiej niewoli i z niej uciekł, ruszył na południe, owinąwszy bosc stopy gazetami, w Karpatach ożenił się z Cyganką i jadł bielugi z Morza Czarnego, aż wreszcie zniknął gdzieś na Uralu.

Takie sobie rosyjskie sprawy, a dzisiejszy Marvin szuka piłki do baseballu. Ale nie był skłonny bagatelizować swojej pasji. Miała i ona pewien epicki rozmach, własną historię, na którą składały się powroty, lube wspomnienia, pikniki w rodzinnym gronie, chmary owadów w wieczory spędzane na werandzie za domem, przyplawy i odpływy nadziei oraz pieśń o rzeczach utraconych, nie zapisana w annałach.

- Zawróćmy, dobrze? Nie bardzo mam ochotę zbliżać się do tego zapachu.

Wymówiła to słowo z podejrzliwą miną, specjalnie zarezerwowaną dla pewnych woni, zaciskając usta i nos, mrużąc oczy, żeby ustrzec się przed widokiem występnej materii, która leżała u źródła fetoru.

- Pewnie po prostu coś majstrują przy ściekach. Chwilowa sprawa. Przejdźmy się jeszcze kawałek.
- Jestem na wakacjach - odparła.
- To zaraz musisz tak się ze sobą cackać? Ludzie żrą wielbłądzie mięso gołymi rękami, a rano znów są w robocie.
- Umówmy się, że dojdziemy tam, gdzie stoją te maszyny, i zawrócimy.
- Co ci szkodzi trochę smrodku? - spytał.

Ale nie był to już smrodek. Nasilał się, coraz bardziej go nęcąc, przypominając tamte stare hotele z ubikacjami w korytarzu, no i całe szczęście, a potem Marvin pomyślał o publicznych wychodkach na stacjach kolejowych, i jak w sąsiednim boksie obcy facet wyjawiał autobiografię złożoną z cudzoziemskich potraw i osobistych woni, i tak przez całą Anglię, Francję i Włochy, ale Marvina zaczęły w końcu przytłaczać wcale nie cudze smrody, tylko własny.

Jego wypróżnienia tak jakby stopniowo zmieniały charakter, pośpiesznie przechodząc przez kolejne stadia, w miarę jak on i Eleanor zmierzali ku Europie Wschodniej. Zapach stawał się coraz trudniejszy do zniesienia, nabierał swoistej głębi, gęstości, dojrzywał i czerstwiał, aż Marvin zaczął ze zgrozą oczekiwać tej chwili po śniadaniu, kiedy przyjdzie pora zawlec się do ubikacji.

Czuł się - jak to mówią? - haniebnie.

Myśląc o swoich wypróżnieniach, używał słowa „defekacja”, które wymamrotał raz przy nim lekarz wojskowy. Otóż jego defekacje zwracały się przeciw niemu, burzyły się, rzecz by można. Kiedy on i Eleanor przebyli Dolomity, przejechali przez Austrię i zahaczyli o północno-zachodni narożnik Węgier, to paskudztwo wylatywało z niego z hukiem, dziwnie ciemne w kolorze. Głównie jednak przejmował się zapachem. Bał się, czy aby Eleanor nie zauważy. Rozumiał, że we wczesnej fazie małżeństwa jest to zapewne normalne zjawisko - wąchanie róż-

nych woni partnera, żeby się z nimi szybko oswoić i zacząć sobie urządzać życie, mieć dzieci, kupić domek, nie zapominać o niczych urodzinach, przejechać się autostradą wzdłuż gór Blue Ridge, zachorować i umrzeć. Ale w tym akurat przypadku małżonek musiał przedsięwziąć nadzwyczajne środki ostrożności, bo fetor był żenujący, mocny, dogłębnie osobisty i zdawał się obwieszczać jakąś okropną wiadomość o swoim nosicielu.

Jego zapach był sekretem, który należało ukrywać przed żoną.

W Czechosłowacji woda ze spłuczek ciekła tak wątlą strużką, że Marvin musiał ją spuszczać, czekać i spuszczać jeszcze raz, otwierał okna i machał ręcznikami, skruszony, osaczony. Na ulicach wyczuwało się chłód i twardość, napięcie, które włąziło w płuca, wiele aresztowań, procesów. W kawiarni nowożeńcy wdali się w spór z hutnikiem, dumnym z tego, że nad krajobrazem wisi dym i inne świństwa, bo to właśnie był postęp, potęga i impet przemysłu - im ciemniejsze niebo, im więcej posiadaczy siedzi w więzieniach, tym wspanialszą przyszłość ma przed sobą socjalistyczne państwo.

Kim oni są - myślał Marvin - żebym przez nich dostawał szau, bo nie mogę ich przekonać, że się mylą?

Z jego defekacji coraz mocniej buchała para, gdy jechali przez wschodnie tereny Polski. Spierali się z robotnikami w barze, w którym mężczyźni na stojąco pili z kufli poranne piwo. Spierali się z kasjerką obliczającą ceny biletów na liczydłach. Wróciwszy do ubikacji po gazetę, której zapomniał stamtąd zabrać, kiedy w warszawskim dzienniku daremnie szukał wyników rozgrywek baseballu, Marvin zdumiał się, że w tej klitce jest aż tak gorąco, że pozostawił po sobie taką tropikalną aurę, ciężką i wilgotną, powietrzny maszyn upalnego smrodu - tyle promiennej energii z raptem jednej defekacji.

I tak miał szczęście, że Eleanor codziennie szła pierwsza. Młodziutkiej Angielki o włosach prawie blond nie wolno było narażać na taką konfrontację. Pilnował, żeby nigdy nie przeszła obok toalety, z której przed chwilą skorzystał.

- Dalej nie idę - oświadczyła.
- Na razie nie doszliśmy do maszyn.
- Jeszcze krok, i padnę z uduszenia.

Sto metrów przed nimi wstrzymano roboty drogowe. Stały tam pozostawione bez obsługi buldożery i wywrotki, chodnik

cały w góry doły, jak okiem sięgnąć ani żywej duszy, tylko jakaś samotna postać spała w worku pocztowym, jeden z tych wymorusanych jegomości, których Marvin ostatnio wszędzie widuje - gdzież się dotąd chowali?

- Przejdę jeszcze dziesięć, dwadzieścia metrów - obiecał. -Tylko żeby sprawdzić, skąd ten smród, pewnie jakaś rura pękła, z prostej ciekawości.

Musiał przed nią ukrywać to wspomnienie, tak jak niegdyś ukrywał sam odór. Wydalał zaś z coraz większym mozołem, mieli paszporty, mieli wizy, pojechali do Pińska, pojechali do Mińska, a on stękał na sedesie, póki nie wylazły z niego wszystkie żywioły - ziemia, powietrze, ogień i woda.

Im głębiej zapuszczali się w krainę komunizmu, tym pluwawsze stawały się jego defekacje.

Wszędzie towarzyszyli im przewodnicy z Inturistu. Jeden ich opuszczał, a drugi natychmiast witał, ktoś ukradkiem przepatrywał im bagaż, przewodnik pilnował, żeby nie spojrzeli mimochodem na pewne drażliwe gmachy, na rzeki, których koryta o sto sześćdziesiąt kilometrów wyżej przecinały tamy, na drogi wodące do placówek wojskowych odległych o kilometry tysiące. Całkiem jakby człowiek dzielił się każdym oddechem ze swoim osobistym policjantem. Nawet pogoda była tajemnicą, nie ogłaszana w gazetach, wspominaną co najwyżej szeptem.

Miał zanotowane nazwiska i adresy, porozmawiał z kilkunastoma osobami i ruszył tropem, który zaprowadził go do miasta Gorki, gdzie pewien daleki kuzyn - dziesiąta woda po kisielu - kazał mu iść na ulicę nie wykończonych domów, i tam właśnie znaleźli Awrama, on i Marvin nigdy przedtem nie widzieli się na oczy, i oto Awram gnieździ się w tycim mieszkanku z drugą żoną i z drugim, trzecim, czwartym dzieckiem. Uściskali się i rozplakali, może szczerze, a może trochę dla efektu, porozumiewając się rosyjsko-żydysko-angielską sieczką, no i zaraz ostro się pokłócili. Awram, przekonany komunista o krzaczastych brwiach, rzucał wzgardliwe półsłówka pod adresem Stanów: „Cały wasz system jest skorumpowany, zjemy was na obiad, wasza kultura jest spod znaku tej, jak ją tam zwą, Myszki Miki”, a w nocy Marvin musiał udać się z ratunkową wizytą do hotelowej ubikacji i trysnąć kaskadą odpadów chemicznych, zwartą

jak ściana przeciwnościowa. Spowila go woń przesycona tą, jak jej tam, geopolityką, więc przez pięć minut machał ręcznikiem i podpierał okno, które co i rusz się zamykało, „Prawdą” zwiniętą w rulon, bo wciąż jeszcze szukał wyników ligi baseballu, a potem wrócił do pokoju, stanął nad łóżkiem i popatrzył na śpiącą Eleanor - pochodziła z zacisznej wiejskiej okolicy i jego cuch łatwo mógł ją unicestwić.

Podszedł do miejsca, gdzie drogowcy zostawili po sobie rozgardiasz, i stwierdził, że zapach pochodzi skądinąd. Nadal był wyraźny, dokładnie przypominał wrażenia z Sowietów, tylko mniej *farshtinkener* niż jego własne osiągi, nieco złagodzony, i nie buchał z pękniętej rury zbiorczej ani z komunalnej ubikacji bezdomnych.

I wtedy Marvin zobaczył daleko przed sobą statek. Tramp przycumowany do kei między kilkoma pustymi stanowiskami a szerokim basenem wyglądał, jakby go zostawiono na pastwę losu, nikogo na mostku ani na pokładzie, burty całe w plamach rdzy, kominy obsmarowane sprejem, opisane w językach, których Marvin nie potrafił zidentyfikować, nie znanymi mu alfabetami.

Obejrzał się za Eleanor. Ilekroć się niecierpliwiła, przybierała tę szczególną pozę: zgarbiona, z przechyloną głową, oklapnięta, opuszczała szczękę, ni to ziewając, ni to wzdychając.

Nazwy nie sposób było odczytać pod warstwą rdzy i spreju. Jakie to smutne, że statek wozi po oceanach publiczną ohydę wygarniętą z polowych wychodków.

Marvin i Awram spierali się trzy dni. Jadali posiłki w nie ogrzewanym mieszkanku, w którym trzeba było odkręcać kran znad kuchennego zlewu i chodzić z nim przez cały korytarz do łazienki, żeby się wykąpać, bo budowę bloku zakończono w zaplanowanym terminie, nie zważając na to, czy rzeczywiście jest gotowy. Opowiadali sobie rodzinne anegdoty, ale zawsze wy-czuwało się nutę rywalizacji, a czasem padały jawne obelgi, wszystko według podziału My i Oni; Marvina szlag trafiał, że musi wysłuchiwać takich rzeczy od zarozumiałej miernoty, od facecika, który mówiąc, zadziera głowę i cały się pręży, błyska dwoma sztucznymi zębami ze stali nierdzewnej, lśni jak żadne ustrojstwo w tym domu. Mieszkanie oddano do użytku bez okien. Awram sam musiał je zamontować, przyszły z walcowni

szkła, w której pracował, szkło takie cienkie, że zanim się coś powiedziało, trzeba było się od nich odsuwać. Wyraz z nadmiarem spółgłosek mógł zbić szybę.

- Robimy wielkie bomby, o jakich Zachodowi nawet się nie śni - oświadczył Awram. - To dlatego szyby łatwo się tłuką.

Tak, Marvina szlag trafiał na myśl, że człowiek żyje w takich warunkach, lata wte i wewte z kuchennym kranem, że ściany sterczy rurka i dwa kurki, ale tylko z zimnego leci woda, w mieszkaniu ścisk, aż rodzina wchodzi na ściany, a on mimo wszystko tak się puszy i indyczy; właśnie to doprowadzało Marvina do szału, jakim cudem facet radzi sobie bez podstawowych, jak im tam, Eleanor zna słowo, którego mu brak, no - bez tych urządzeń, co zapewniają materialny dobrobyt; ona to tak wyszukiwanie nazywa.

- No chodź już wreszcie! - zawołała.

Kiedy ruszyli z powrotem na zachód Europy, jego organizm też pomału wrócił do normalnych, otrębnych defekacji, zdrowych i umiarkowanych.

Jechali pociągiem przez Szwajcarię, normalny, neutralny kraj, tunelami i brzegami jezior w blasku księżyca, gdy raptem Marvin usłyszał skądś z przodu znajomy głos, radiowe trzaski i na-wijkę spikera, więc przeszedł tropem tych dźwięków do przedniej części wagonu, gdzie dwaj amerykańscy szeregowcy zgarbieni nad małym tranzystorem z karłowatą antenką słuchali, jak Russ Hodges na falach rozgłośni wojskowej prowadzi transmisję, która rwała się, ilekroć pociąg wjeżdżał w tunel, no i kiedy Thomson strzelił homera, Marvin pędził akurat przez środek jakiejś góry w Alpach.

Eleanor dopiero co wyszła spod prysznicza, gdy Marvin wszedł do pokoju i przytłoczył go swoim nastrojem. Stała owinięta ręcznikiem, z zaróżowionymi palcami nóg, patrząc na męża.

- Statek przyplynał. „Lucky Argus”. Stanowisko siódme.

Punktualnie, jak zapowiadali, co do minuty.

- Ale Wainwrighta - powiedziała.
- Brak na pokładzie.
- Stój prosto.
- Urwał się w Vancouver.
- Wiadomo, co potem zrobił?

- Zaciągnął się na inny statek. Płynie gdzieś na północ. Ten cały Chuckie to prawdziwy amator chłodnego klimatu.
- Jeszcze go znajdziesz.
- Nie gra roli.
- Otóż gra. Dawniej myślałam, że jesteś obłąkany. Ale teraz już rozumiem. Tak, jesteś obłąkany, ale za tym obłądem kryje się pewien rozum. Szczypta dziecięcej logiki. To trochę jak z dobranocką. Musisz dokończyć bajkę. Kochany Marvin. Póki nie ustalisz, kto był ostatnim ogniwem, kiedy piłka przechodziła z rąk do rąk, nie dowiemy się, jak bajka się kończy. A co komu po bajce bez zakończenia? Chociaż tu akurat nie zakończenie jest nam potrzebne, tylko początek.

Podobała mu się w tym ręczniku. Poznali się pod koniec wojny, przywitani i pożegnani, ale potem pisywali do siebie, ona służyła w straży przeciwlotniczej jako tak zwana czujka z latarką, on był kwatermistrzem i wydawał żołnierzom prezerwatywy, które w dniu lądowania w Normandii mieli pozakładać na lufy karabinów dla ochrony przed piachem i wodą, i wciąż jeszcze mu się podobała, owinięta ręcznikiem albo w samej koszulce, dwadzieścia siedem lat po ślubie jak na razie.

Usiadł w spodenkach na brzegu łóżka i zaczął ściągać skarpety. Wzorem turystów z reklam telewizyjnych zafundują sobie małżeński seks w miłym hotelu. Mieli pokój z widokiem na widok. Po drugiej stronie dziedzińca widzieli wysokie biurowce i odbicia chmur w panoramicznym oknie hotelowej restauracji.

- Nie masz zamiaru jej zdjąć, Marvin? Pytała o jego peruczkę.
- Potrzebna mi, żebyem wyglądał, jak się widzę.

I po to, żeby mniej raziły jego wielkie uszy i smętny marvinochal. Chciał być przystojny dla Eleanor, choćby ona sama uważała, że to nieistotne. Postanowił włożyć wieczorem najlepszą koszulę, z wywijanymi mankietami, tak bardzo francuskimi, że miał ochotę nucić tę, jak jej tam.

- Jesteś mój ukochany, w peruce czy bez.

Powiedziała to z drzeniem ust - trochę szczerym, a trochę udawanym - a on poczuł się jak pan świata.

Upuściła ręcznik na podłogę i oparła się kolanem o brzeg łóżka. Wciąż jeszcze byli nowożeńcami, nieśmiali, lecz pełni zapału, a Marvin ze swoim brooklyńskim rodowodem i nie-

złomnym sceptycyzmem dopiero zaczynał sobie uświadamiać, jak trudno jest po tylu latach wierzyć w sentymentalny mit różnic między nimi, które sam zmyślił, zwiedziony jej akcentem i cerą. Coraz wyraźniej widział swoją Eleanor, dostrzegając kolejne prawdy: to, że oboje mają równie wielkie apetyty, że w interesach jest jeszcze bardziej zachłanna niż on, a jej główną ambicją, której długo udawało mu się nie zauważać, pozostaje Ameryka - rzeczy, miejsca, barwny poszum towarów na półkach, uśmiech fortuny jak struga słonecznego piasku.

A teraz leżą w obcym łóżku w Kalifornii, jakież pokrętne jest życie, jak nieobliczalnym toczy się zygzakiem, oto Marvin z angielską dziewczyną w ramionach, różową i niewinną, choćby wcale taka nje była, a na jego głowie solidnie umocowana peruka z polimerów.

Miała ochotę na japońską kuchnię - ba, mało tego: uparła się iść do restauracji, o której wyczytała w przewodniku, że siedzi się tam na matach.

Marvin pomyślał, że gdyby przeżył sto lat, nie znając Eleanor, to robiłby wciąż te same trzy albo cztery rzeczy, codziennie w tym samym porządku, a spotkawszy ją wreszcie w wieku lat stu jeden, natychmiast siadłby na podłodze i zaczął jeść wodorosty.

Siedzieli naprzeciw siebie przy niskim stoliku, w skarpetkach.

- Jak się nazywa taka rzecz, co nie jest ostatnia, tylko o numer wcześniejsza?
- Penultima.
- Penultima. No widzisz, Chuckie Wainwright to taka moja penultima.
- Siądź prosto - skarciła go.
- Grenlandia. Zawsze mi się wydawała podejrzana.
- O co ci chodzi?
- Właśnie na Grenlandii stacjonował, kiedy służył w lotnictwie. Rzekomo.
- Niby dlaczego nie miałby stacjonować akurat na Grenlandii?
- A znałaś w życiu kogoś, kto tam był?
- Nie, nie znałam - odparła Eleanor.

- Coś ci powiem. Ja też nikogo takiego nie znałem. Ani ja, ani nikt, z kim zdarzyło mi się ostatnio rozmawiać.
- Musi tam chyba być jakieś największe miasto.
- Tak ci się zdaje. A wiesz, jak się ono nazywa?
- Nie, nie wiem.
- A widziałaś kiedyś mapę ze Grenlandią?
- Chyba tak, niezbyt wiele razy.
 - Zauważyłaś, że na każdej mapie ma inną wielkość? Ma różne rozmiary na poszczególnych mapach. I w różnych latach.
- Jest wielka - powiedziała Eleanor.
 - Bardzo wielka. Ogromna. Ale czasem się trochę kurczy, zależnie, na jaką spojrzysz mapę.
- To chyba największa wyspa świata.
 - Największa wyspa świata - powtórzył Marvin. - Ale nie znasz nikogo, kto na niej był. I stale zmienia wielkość. W dodatku, współrzędne też się zmieniają. Bo jeżeli dokładnie porównasz dwie mapy, to zobaczysz, że Grenlandia tak jakby się przesuwa. Leży w trochę innej części oceanu. I to właśnie jest oś mojego rozumowania.
- A do czego ono zmierza?
 - Pytasz się, no to ci powiem. Do tego, że największe sekrety pchają się nam przed oczy, ale ich nie zauważamy.
- A jaki jest sekret Grenlandii?
 - Po pierwsze, czy ona w ogóle istnieje? Po drugie, dlaczego wciąż zmienia wielkość i współrzędne? Po trzecie, czemu nie możemy znaleźć nikogo, kto osobiście na niej był? Po czwarte, jakieś dziesięć lat temu rozbił się tam przecież B-52, ale sprawę tak zatuszowano, że do tej pory nie jesteśmy pewni, czy aby nie miał na pokładzie broni nuklearnej. Tak właśnie powiedział: nuklearnej.
- Przypisujesz Grenlandii jakąś tajną funkcję i ukryty sens. Ale ty przecież we wszystkim widzisz tajne funkcje i ukryte sensory.
 - Im co większe, tym łatwiej je schować. Czym się jeździ na Grenlandię? Jakim statkiem się tam płynie? Gdzie znajdziesz lotnisko, z którego są loty do tego największego miasta, co się nazywa nikt nie wie jak i nikt w nim nigdy nie był? A to tylko największe miasto. Co powiesz o peryferiach? Cała ta ogromna wyspa to jedno wielkie peryferie. Jaki ma kolor? Może zielona?

Akurat zielona to jest Islandia. Islandię pokazują w telewizji. Widać domy i krajobraz. Skoro Islandia jest zielona, to może Grenlandia biała? Pytam się tylko dlatego, że nikt inny się o to nie pyta. Nie mam tam żaden osobisty interes. Ale na kanale przyrodniczym oglądam plemiona z Nowej Gwinei, od stóp do głów obmazane błotem, i widzę, jak się parzą te zwierzaki, co się nazywają prawie gnój, gdzieś w afrykańskiej dolinie.

- Gnu - odpowiedziała Eleanor.

- A o Grenlandii nigdy ani słówka.

Kelnerka przyniosła dla niej sake, dla niego piwo. Zamiast „picie” mówiła „napoje”, więc Marvin poczuł się jak w samocie. Tyle się napodróżował w związku z baseballlem, zahaczył o tyle porozwiczrzanych życiorysów, tyle słów i zdań.

Pasażer Lundy z listy czekających proszony jest o zgłoszenie się na podium.

19. Matka bliźniąt w mieście, jak mu tam.

20. Mężczyzna, który żył w komunie ludzi wrażliwych na chemię, nosił białe bawełniane koszule i wieszali korespondencję na sznurach do bielizny.

21. Kobieta imieniem Bliss, a on był wtedy młodszy i może mógł, bo miała takie ładne oczy, wykręcić jakiś numerek w In-dianoli w stanie Missouri.

22. Szok wywołany życiem innym niż twoje. Szczęśliwym, zdrowym, samotnym, pogubionym. Indianin w jednej ósmej. Życiorysy szorstkie i nieprzewidywalne, nawet jeśli zwyczajne.

23. Który znał Susan jakąś tam, która opowiadała o piłce baseballowej ze sławną przeszłością. Marvin nie pamięta nazwy plemienia.

24. Żołądek znowu wierzga.

25. Temu wrażliwemu na chemię całe ciało wibrowało, kiedy ktoś o dwa kilometry dalej pstrykał zdjęcie.

26. A Chuckie Wainwright wypłynął na morze i kobieta została sama z dzieckiem, dwoje hipisowatych chrześcijan, bosych, w koralikach, no i Marvin tropi go ze statku na statek.

27. Ten dzieciak w Utah, co miał raka kości, a jego matka twierdziła, że winien jest rząd.

10. Marvin często błędził, kiedyś wyruszył do Melbourne na Florydzie i o mało nie poszedł Na Dno.

28. Kobieta z wyszczerbionym zębem, długo by opowiadać, lepiej się nie pytajcie.

29. Przez te chemikalia pośrodku piłki facet codziennie po śniadaniu biegał w miejscu.

- Powiedz, co będziemy robili po kolacji.
- Mnie się pytasz?
 - Bywałeś już w tym mieście. Ja tu jestem pierwszy raz - odparła.
 - Co nam zostanie do zrobienia, zanim się dźwignę z podłogi? Mam w nodze taki kurcz, że ludożerca by wypluł.
 - Daj spokój. Pokaż mi, co to jest dobra zabawa.
 - Pohulać jej się zachciewa.
 - Oswójmy to miasto, Marv.

Ciekawe, że gromadząc dane o ruchu, którym obiekt w nie-dalekiej przeszłości posuwał się naprzód, jednocześnie śledził trasę jego wędrówek wstecz, w przeszłość odległą. Chwilami prawie widział, jak piłka przelatuje obok niego. Chciał odszukać Chuckiego i ustalić ostatnie ogniwo, pierwsze ogniwo łączące ją z Polo Grounds, ale jeśli w końcu faceta nie znajdzie, pewnie i tak kupi piłkę, domniemany autentyk, jak tylko ją namierzy, a potem aż do śmierci będzie się uganiał za Chuckiem.

- Pokaż mi jego obmierzłą podszewkę - powiedziała Eleanor.

Piłka nie przynosiła szczęścia ani nieszczęścia. Była rzeczą przechodnią. Lecz z jej natchnienia ludzie opowiadali Marvi-nowi o wielu sprawach, powierzali mu rodzinne tajemnice i osobiste historie, o których właściwie nie należałoby wspominać nawet szeptem, serdecznie wypłakiwali się na jego ramieniu. Wiedzieli bowiem, że Marvin jest dla nich, jak by to nazwać, instrumentem odreagowania. Ich opowieści uwznioślały się, wtapiały w większą całość - w długi łuk, po którym wędrowała piłka, i w zezowaty marsz Marvina przez dziesięciolecia.

No dobrze. Marvin nie gustował co prawda w nocnym życiu, ale znał jedno miejsce, w które mógł ją zaprowadzić, właściwie jedną ulicę, tylko tyle, nazywała się Float Dryf, niedaleko starej dzielnicy hipisów: tamtejsze sklepy z dnia na dzień pojawiały się i znikwały, domy nie miały numerów, a w sumie był to rejon,

w którym zaspokajano nader szczególnie pragnienia, zmieniające się zależnie od fazy księżycy.

Wolno dźwignął się z maty, kolejno prostując stawy, zamówili taksówkę i wyszli.

Po dwudziestu minutach szli ulicą, pod parasolami, bo trochę kropiło, tu i ówdzie kręcili się naciągacze, kobieta z irokezem na głowie i z twarzą pomalowaną na białą wepchnęła Marvi-nowi w klamrę paska od płaszcza ulotkę zwiastującą Sąd Ostateczny. POKÓJ JEST BLISKI - BĄDŹ GOTÓW. Większość sklepów była otwarta pomimo, jeśli nie właśnie z powodu późnej pory, a ponieważ prawie wszystkie mieściły się poniżej poziomu ulicy, trzeba było przechylać się przez balustradę, żeby zobaczyć, co sprzedają, Gumowe Akcesoria do Zamiany Ról czy Zagrożone Fasony - kurtki ze skór ginących gatunków zwierząt.

Weszli do sklepiku ciasnego jak dziupła, w środku pełno popękane go tynku, karaluchy za listwą przypodłogową, rzadkie nagrania na sprzedaż. Ale nie żadne stare single jazzowe, tylko podsłuchy z rozmów telefonicznych albo z pluskwy w ścianie - taśmy, na których ludzie z syndykatu zbrodni opowiadają o swoich dziewczynach lub o adwokatach: to chodzący kutas z aktówką. Faceci z wiadomości o jedenastej, ubrani w kaszmirowe płaszcze, tak obszerne, że można by z nich uszyć ubrania dla młodzieżowej drużyny baseballowej z Tajwanu. I taśmy z podsłuchem rozmów zwykłych, anonimowych osób, jeszcze bardziej odstręczające, bo kto wie, czy to nie twój najbliższy sąsiad, a Marvin doskonale rozumiał, czemu z takiej transakcji mogą wyniknąć długie godziny osłupiałego zasłuchania, któremu nabywca podporządkuje całe swoje życie, i nie powstrzyma go, ale wręcz zachęci zionąca z tych nagrań totalna, bezkrwista nuda - rozumiał, że kryje się w nich przynęta, nieodzowny element każdego nałogu: szansa zatracenia się w czasie.

Ulica zwana Float miała swoistą ciętość, północny polar.

Wstępowali na chwilę do sklepów, w których sprzedawano zdjęcia z sekcji zwłok albo śmieci gwiazd filmowych, autentyczny chłam składowany w zamrażalnicach - wybierało się z katalogu i zamawiało porcję.

Eleanor była zachwycona kolorytem i wymawiała to słowo trochę z francuska. Gołe deski podłóg, poplamione ściany. Wzię-

ła Marvinina pod rękę i, idąc ulicą, zobaczyli w parterowym oknie szyld z napisem: Rejs po Hiszpańskich Portach dla Stopolubnych Fetyszystów.

Dryfujące strefy pragnień. Odbywał się tu, jakże mu tam, demontaż pragnień na tysiączne warianty i subwarianty, pochodne i poboczne podszepty wcinające się w jawę. Na zapleczu pewnej spelunki wyświetlano filmy pornograficzne z udziałem ludzi po amputacjach kończyn. Noce gejowskie na zmianę ze zwyczajnymi. Jeśli byłeś gotów wysłuchać nowych propozycji, mogłeś dryfować przez całą tę strefę i widząc, co cię przyciąga, dowiadywać się po drodze, kim jesteś, plasterek po plasterku kosztować ulicznych delikatesów. Twoja fiksacja określała cię.

Przeszedł chłopak w ubraniu tak poszarpanym, że wyglądał jak pochod obsypyany serpentynami.

Znaleźli kawiarnię „Pod Spiskową Teorią”. Półki zapchane książkami, szpulkami filmów, taśmami audio, oficjalnymi raportami rządowymi w niebieskich teczkach. Eleanor chciała napić się kawy i poszperać, ale Marvin machnął ręką: jałowa gimnastyka, i tyle. Wierzył, że źródła są głębsze, trudniej wykrywalne, głębiej, a zarazem płycej zakonspirowanej, popatrz na plansze reklamowe i książeczki z zapawkami, znaki firmowe na produktach, wrodzone znamiona na ludzkiej skórze, patrz, jak zachowują się twoje zwierzęta pupile.

Coś samo pcha ci się przed oczy.

Największy sklep mieścił się nie w suterenie, tylko na parterze. Stało w nim kilkunastu spłoszonych mężczyzn w prochowcach, przeglądając stare numery „National Geographic”. Doszczętnie zacytane, wyszmelcowane, obrosłe ludzkim życiem, miały przyklejone metki z adresami, przybite maszynowo, umazane tuszem, zatłuszczone, na metkach zaś wydrukowano nazwiska i adresy prawdziwych ludzi, którzy mieszkali gdzieś daleko, w Ameryce magazynów ilustrowanych, a mężczyźni w prochowcach stali przy stołach i pojemnikach, czytali metki i kartkowali czasopisma, ani na chwilę nie podnosząc głów.

Jeden z nich kupił któryś numer i szybko wyszedł, chowając zdobycz pod płaszczem.

Marvin nie sądził, żeby tych panów interesowały fotografie wilczych stad w tundrze o zachodzie słońca. Szukali czegoś innego, może zapomnianego ludzkiego szmeru, poczucia, że gdzieś

w sercu kraju jakieś rodziny siedzą sobie w małych domkach, a na dywanie leży spaniel z rozpląszczonymi uszami, szukali zacisznej niewinności, jeszcze nie odkrytego świata gdzieś na zewnątrz, geograficznego bezmiaru. Pornostalgia, a może coś całkiem innego?

I czy w pokoju na zapleczu (bo przecież zawsze jest jakieś zapleczce i ukryty pokój, kolejny odprysk pragnień, nieco bardziej wyrafinowanych i osobistych) nie trzymano czasopism w saszetkach z włókna octanowego, jeśli były to rzadkie edycje albo rzadkie tytuły, a może same saszetki stanowiły fetysz, licowane kurzem, po wielokroć obmacywane, niektóre już ledwie przejrzyste, matowy plastik, lekko woniejący, w dotyku cokolwiek profilaktyczny, jak prezerwatywy na lekturę, a może jest jeszcze inny pokój, w którym trzeba szepnąć hasło, i tam już leżą same saszetki, puste, tysiącrotnie macane; ten sklep wzbudził w Eleanor najgłębszy wstręt, co za dużo, to niezdrowo: mężczyźni w prochowcach, którzy ukradkiem gładzą kciukami metki na numerach „National Geographic”.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyli sklep „Long Tali Sally”, dla wysokich kobiet, ale wcale nie z sukienkami i płaszczami. „Pomoce rozwijające wyobraźnię” - głosił szyld. Książki, filmy, przybory - wyłącznie dla wysokich kobiet.

W deszczową noc człowiek widzi w bocznej uliczce parę dziwactw i zastanawia się, czemu wydają mu się znamienne. Marvin dostrzegał w tym wszystkim coś, co mogłoby zwiastować pierwsze podrygi jakiejś ogromnej, pomału budzącej się mocy, ale nie wiedział, co by to miała być za moc i czy budzi się na dobre czy na złe, nie wiedział, gdzie na świecie ziemia drży i ten wstrząs wszystko może zmienić.

- No dobrze, Marv. Dojrzałam już, żeby położyć się do łóżka.

Jeszcze jeden sklep. Jedyny na całej ulicy, w którym już kiedyś był, prowadzi go znajomy, można powiedzieć, kolega z klubu, Tommy Chan - niewykluczone, że pierwszy w całym kraju baseballowy memorabilista, jeśli tak się to nazywa.

Zeszli po lepkich od brudu schodkach do ciemnej klitki zawałonej programami meczów, starymi śpiewnikami i tysiącami rozmaitych ciekawostek baseballowych, mnóstwem zapisów spotkań i innych dokumentów ułożonych w chwiejne stosy.

Eleanor westchnęła z głębi piersi jak postrzelona kuropatwa.

Tommy siedział na wysokim krześle, krzesło i kasa stały na podwyższeniu, na wysepce ponad wezbraną masą starych, chemicznie brązowiejących papierzysek, a Marvin zaraz pomyślał o kilometrach filmów z meczu, które obejrzał w trakcie swoich poszukiwań, i jak kibice na Polo Grounds zasypali boisko programami i gazetami, gdy szarzał dzień, a nad Dodgersami coraz wyraźniej wisiało widmo klęski. Tyle śmieci rzuconych o zmierzchu. Może część z nich trafiła właśnie tu, ocalona przez zamiataczy, a podziemny ruch pamięci i kolekcjonerstwa wchłonął w końcu ten program, z którego jakieś dziecko zrobiło samolocik, parę wstążek papieru toaletowego, triumfalnie rzuconych z górnego piętra trybuny, może nawet ozdobionych delikatnym autografem jednego z zawodników, i ten pomeczowy śmietnik spoczywał tu po tylu, tylu latach, o cały kontynent dalej.

- To moja żona.

- Rzadko widzimy tu kobiety - rzekł Tommy tonem buddyjskiego mnicha z klasztoru na odludziu, uprzejmie i roztropnie.

- Dziwne, że w ogóle ktoś tu zagląda. Bo, szczerze mówiąc, komu by się chciało? - powiedział Marvin. - Musisz chociaż trochę zadbać o prezentację lokalu.

- Prezentację. - Ładne słowo. - Zastanów się, Marvin. Co ja tu sprzedaję? Przecież nie kuchenny sprzęt w domu towarowym na prowincji.

Był inteligentny i nawet dałby się lubić, gdyby nie to, że twarz miał zupełnie bez wieku, co Marvina zbijało z pantafelku, bo człowiek zawsze woli wiedzieć, ile lat ma rozmówca.

- Co dzisiaj sprzedajesz?

- Przed wami nikt tu jeszcze nie zajrzał.

- Nie bądź taki zadowolony.

- Siedzę od południa. Reszta kupców otwiera dopiero bardzo późno.

- Od południa. I ani razu nikt.

- Jakie to interesujące zobaczyć kobietę - zauważył Tommy.

Eleanor stała bez ruchu, może trochę sparaliżowana przez swój egzotyczny status.

- Czy nie powinien pan jakoś zachęcić nabywców? - spytała. - Nie żeby mnie to szczególnie.

- Zachęcić. - Cóż za nowatorski pomysł! - Wydaje mi się,

że zachęta tkwi w ludzkim wnętrzu. Z estetycznego punktu widzenia te materiały są zupełnie nieciekawe. Zszarzały i się sypią. Kupa starego papieru, i tyle. Moi klienci na ogół przychodzą tu właśnie dlatego, że lubią ten rozgardiasz i bałagan. Czują się dzięki nim uczestnikami pewnego wątku historii.

- Zawsze myślałem, że ci, co przechowują te starocia, base ballowe akcesorie, zawsze myślałem, że mieszkają na Wschodzie - rzekł Marvin do Eleanor. - Myślałem, że to Wschód zajmuje się wspomnianiem. Tommy jest pierwszy kolekcjoner, jakiego spotkałem na zachód od Pittsburgha.

Tommy uśmiechał się tak nieznacznie i przelotnie, że aby utrwalić ten uśmiech na zdjęciu, trzeba by użyć materiałów fotograficznych produkcji NASA. Jego twarzyczka przypominająca bibelot unosiła się w półmroku, a Marvin poczuł dzieciinną chętkę, żeby sięgnąć ręką i dotknąć tej twarzy, po prostu się przekonać, czy jest taka sama w dotyku jak jego własna - szorstka, nudna skorupa, którą codziennie myje i goli.

- Znalazłeś swojego człowieka? - spytał Tommy.

- Znalazłem swój statek. O człowieku lepiej nie wspomnij.

- Daj sobie z tym spokój.

- I kto to mówi?

- Nie uda ci się uchwycić przeszłości, Marvin. Daj sobie z nią spokój. Wyślij ją na emeryturę. Dla własnego dobra.

- Kto to mówi?

- Uwolnij się od niej - poradził Tommy.

- Siedzisz tu i wdychasz kurz jak posąg tego, jak mu tam.

- Ekwity - podpowiedziała Eleanor.

- Jak posąg ekwity w parku.

- Masz rację. Moja sytuacja jest jeszcze mniej rzeczywista od twojej. Ty się przynajmniej ruszasz. A ja tu siedzę wśród rozsypujących się papierzyk. Jest w tym wszystkim swojego rodzaju poetyczna zemsta.

- Jaka znowu zemsta?

Po wargach Tommy'ego wionął uśmiezek lekki niczym ko-liber.

- Zemsta kultury masowej na tych, którzy biorą ją zbyt serio.

Uwaga ta nie przeszła bez echa. Marvin poczuł w piersi coś, jakby Koreańczyk w piżamie udarową powierzchnią dłoni miażdżył cegłę. Ale zaraz pomyślał: „Niby jak mam nie być

serio? Czego nie brać serio? Co mógłbym traktować bardziej serio niż to? I jaki sens budzić się rano, jeżeli człowiek nie próbuje zrównoważyć ogromu znanych sił świata jakąś potęgą z własnego życia?"

Wiedział, że Eleanor chce już wyjść. Wiedział, że Eleanor myśli: „Marvin to przynajmniej trzyma porządek w suterenie”.

Ale przed wyjściem musiał jeszcze coś kupić. Puste pudełeczko z napisem: „Spalding, numer jeden w oficjalnych tabelach ligi krajowej”, ciśnięte w ką. Przed wieloma laty leżała w nim nowa piłka baseballowa. Marvin przechowa je do chwili, gdy wpadnie mu w ręce stara, zużyta, poobijana baseballówka, jeśli ta chwila kiedykolwiek nastąpi.

Wyciągnął rękę do góry, żeby zapłacić. Na ścianie wisiało zdjęcie prezydenta Cartera z córką, jak jej tam: stali w Różanym Ogrodzie z Bobbym Thomsonem i Ralphem Brancą, a wszyscy czworo uśmiechali się z przymusem.

Wyszli na ulicę. Kobieta w łachmanach pchała przed sobą cały swój dobytek w wózku ze sklepu samoobsługowego, dokąś najwidoczniej zmierzając. Czy czeka gdzieś na nią rodzina, czy ta nędzarka zwiastuje pojawienie się nowego gatunku zamieszcowych, regularnie dojeżdżających pracowników, czy ludzie, o których nawet nam się nie śni, żyją gdzieś w zakamarkach tej, jak jej tam, infrastruktury, w tunelach i pod wjazdami na mosty?

- Tommy wygląda szczęśliwy. Jakim cudem, skoro żyje po ciemku?
- Nie powłócz nogami, Marv. Jesteś zdrow, nic ci nie dolega.
- Sam jeden w tym lochu, dzień w dzień.
- Ma żonę i dzieci?
 - Nie wiem. Kto by go spytał? W branży memorabiliów nie pytamy się o takie rzeczy.
 - A jak sądzisz, czy cieszy się powabami naszego zwyczajnego życia?
- Powabami. Wspaniale to powiedziałaś.
 - Czy ma za domem podwóreczko i każdego lata hoduje tam dorodne pomidory?
 - Jak na niego patrzę, to nie bardzo mi się kojarzy z pomidorem.

- Czy zabiera ze sobą narzeczoną, kiedy jeździ gdzieś w interesach?

Eleanor potrafiła wzbudzić w nim przeświadczenie, że mu się poszczęściło. I miała rację, prawie zawsze miała rację, no bo przecież pomidory, pralnia, dom z przestronną suteroną, córka, która oszczędziła im ciężkich strapień, bo nic nie zbroiła skrycie, pozamażeńsko. Pomyśleć, że Tommy o północy je w swoim sklepie kambodżańską potrawę kupioną na wynos! Pomyśleć, że Awram w Gorkim idzie z kranem przez cały korytarz za każdym razem, jak chce wziąć kąpiel!

Znaleźli taksówkę, która stała z włączonym silnikiem przed starym, podłym hotelem.

Ale prawdę rzekłszy, bądźmy szczerzy, to właśnie Marvin powłóczył nogami, to Marvin był prawdziwą ofiarą losu, pechowcem z wyroku własnej wyobraźni - Marvin, kibic Dodgerów, skazany na klęski, których wołał nie nazywać po imieniu.

Karetka policyjna przejechała z wyciem syreny, z wirującym, siorbliwym zgiełkiem, przypominającym zgrzyt ich kuchennego miksera - Eleanor nie mogła się powstrzymać od przyrządzania koktajli owocowych, a potem czuli się moralnie zobowiązani, żeby je pić.

Czas pomyśleć o pójściu do łóżka. Ale przedtem zabrał ją jeszcze na dancing w restauracji na dachu ich hotelu, w przytulnej salce, w której grało combo jazzowe, grubo po północy.

Sunęli po parkiecie, kołysali się, a czasem robili przechyl -właściwie nie tyle go robili, ile akcentowali pauzę, składali formalną deklarację, że w tym akurat momencie mogłoby nastąpić coś takiego jak przechył. Lubili tańczyć, byli zgraną parą, dawniej chadzali na tańce, ale jakoś o tym zapomnieli, z biegiem lat odwykli, jak zapomina się potrawę, którą dawniej człowiek się opychał, na przykład biskopki z bitą śmietaną z czasów, kiedy cieszyły się popularnością.

Przeczesała palcami jego ogniotrwałe włosy.

A Marvin mocno ją przytulał, z odwiecznym niedowierzaniem, że razem ułożyli sobie życie, dwoje tak różnych ludzi, nawet jeśli w rzeczywistości zbytnio się nie różnili, i wiedział, że siła tego niedowierzania jest dokładnie tym samym, gdyby tak ją zmierzyć, co zdumienie miłością.

Ale gdzieś w głębinowych nurtach, w samym marwinowac-

twie jego nienazwanej otchłani, czaiło się coś niejasnego, niepokojącego.

Kiedy w tańcu mijali okno, spojrział na światła, które z bliższego mostu kłuły mgłę, i zobaczył nieszczęsny stary tankowiec w zaciszu portu, cuchnący i omijany, a doliczywszy się stanowiska siódmego, stwierdził, że „Lucky Argusa” już rozładowano i wyprawiono w dalszą podróż, więc odpływ porywa jego ciemny kształt, niesie go ten, jak mu tam, dryf, przez wielką, głęboką, groźną noc.

3

Nie można powiedzieć, żeby w klubie wrzało. Gości było siedmioro, wliczając Simsa i mnie, plus czterech facetów na estradzie - saksofonista z kozią bródką i czujna sekcja.

Nie wiedziałem, gdzie jesteśmy, mogło to być Long Beach, Santa Monica albo jakieś mętne przedmieście. Właśnie zaliczaliśmy trzeci klub i mój wąty zmysł orientacji zdążył już pójść w rozsypkę. Big Sims nie był tego wieczoru rozmowny, z mroczną determinacją mknął przez krajobraz, co chwila zrywał się i pędził dalej, zostawiając nie dopity kieliszek, jak obarczony misją bohater eposu.

- Wiesz co, Sims, wracaj do domu. Przecież nie masz z tej muzyki żadnej przyjemności. Nie chcę, żebyś myślał.
- Muzyka jest w porządku. Muzyka jak muzyka.
- Ale nie myśl, że musisz mnie oprowadzać po tutejszych atrakcjach. Jedź do domu. Ja jeszcze chwilę zostanę, a potem złapię taksówkę.
- Do domu.
- No właśnie. Do domu. Ale przedtem mi powiedz, na kogo się tak wściekasz.
- Wcale się nie wściekam. Do wściekłości jeszcze mi daleko - odparł.

Kieliszki przyniósł nam starszawy kelner z watą w nozdrzu. Miał na sobie koszulkę z napisem „Futbol w Poniedziałek Wieczór w Barze Roya Earleya”. Do poniedziałku było jeszcze trochę czasu, a my nie siedzieliśmy u Roya.

- Co się stało? - spytałem.

- Co się stało. A co się może stać w domu?
- Pokłóciłeś się z Gretą.
- Nie zwracaj sobie głowy - powiedział. - Pij.
- Nieźli są ci faceci.
- Muzyka jak muzyka. Pij - powtórzył.
- Żołądek masz cały skurczony.
- Bo, widzisz, my nigdy się nie kłócimy.
 - Nigdy się nie kłóćcie. Ja z Marian też nigdy się nie kłóć.
 - Więc jak już nam się zdarzy.
- Wszystko odkłada się w ciele.
- Czujesz skurcz, ciężar.
- Nigdy się, psiakrew, nie kłócimy.
 - To tak jak Marian i ja. Wracaj do domu i pogódź się z nią.
 - Zadzwoń po taksówkę. Mogę stąd zamówić przez telefon?
- Trochę siwiejesz - zauważył.
- A ty trochę łysiejesz.
- Strasznie łysieję. Ale ty trochę siwiejesz.

Tenorzysta trafiał kubistyczne nuty, nie dopiliśmy paru kolejnych kieliszków, perkusista strzelał rymozotami czy jak im tam, a ja w całym tym pobliskim hałasie i w ogólniejszym rozregulowaniu nie znanego mi nocnego pejzażu usiłowałem zrozumieć, co Sims do mnie mówi.

- Serio, wracaj do domu. Dam sobie radę. Podobają mi się ci faceci. Ostro wymiatają.
- To czarna muzyka.
- Ostry, nieuczesany jazz.
 - To czarna muzyka. Twoja sprawa i twój wolny wybór, dlaczego ci się podoba. Ja ją lubię z powodów osobistych. Mam w domu jedno zdjęcie, pokażę ci. Świetna fotka, chyba, czy ja wiem, z lat pięćdziesiątych. Charlie Parker w białym garniturze w jakimś klubie. Świetna fotka, rewela.
- W klubie w Nowym Jorku. Rzucił mi płaskie spojrzenie.
- Jesteś pewien?
- Doskonale zdjęcie - powiedziałem.
- Czekaj. Jesteś pewien? Że to klub w Nowym Jorku?
 - Ma na sobie biały garnitur i te buty, nigdy nie pamiętam, jak się nazywają.

Ni stąd, ni zowąd pomyślałem o tym, jak nasze twarze zmie-

nią wyraz, a ja w oczach drugiego mężczyzny wypatruję znaku, po którym poznam, czy mam powód do większego niepokoju, ale zarazem unikam kontaktu wzrokowego, póki trochę nie połapię się w sytuacji, i gdy cała sala aż świszczę i jęczy, panuje najwidoczniej ogólna zgoda, że jeśli wszyscy zrobimy identyczne miny, to nikomu nic się nie stanie.

- Mogę stąd zadzwonić po taksówkę? Jedź do domu. Pogódź się z nią. Nie rozpatruj tego epizodu przez dziesięć godzin jak skończony neurotyk.
- Do domu.
- Jedź do domu. No, jak się nazywają te buty, bo nie mogę sobie przypomnieć? Przeproś ją. Niech się to dłużej nie jątrzy. Staromodne, dwukolorowe półbuty.
- Spojrzał na mnie badawczo.
- Pójdziemy kiedyś razem na mecz. Za parę miesięcy znowu przyjedziesz, prawda? Pójdziemy razem na mecz.
- Nie chcę iść na mecz.
- Pójdziemy na mecz - powtórzył.

Dopiliśmy i wyszli. Po niecałym kwadransie siedzieliśmy w innym klubie, słuchając, jak dęciaki drą ściany, czterej faceci w fezach i kaftanach wydawali fizycznie odczuwalne dźwięki, a perkusista pracował głównie głosem, nieczysto zawodząc i porzyskując.

Zamówiliśmy coś do picia i chwilę posłuchali, a potem Sims pochylał się w moją stronę.

- Dwa razy mi się zdarzyło, odkąd tu mieszkam. Wyciągnęli broń. Moje życie zależy od zgiętego palca jakiegoś gliniarza, bo jestem podobny do kogoś podejrzanego albo tylne światła mi się nie palą. Facet wysiada z wozu. I mnie też wyciąga. Ma pan natychmiast wysiąść z auta - powiada. No to wysiadam. A on mówi: Oprzeć się rękami o dach i rozstawić nogi. Ale ja nic, tylko na niego patrzę. A on na mnie. Patrzymy na siebie i mamy w oczach żądzę mordy, zupełnie niezrozumiałą z pewnego punktu widzenia, a znów z innego całkiem naturalną.

Kiwam głową i czekam. Sims siedzi nad kieliszkiem, bardzo poważny.

- Jak chcesz być moim kumplem, to musisz tego wysłuchać - powiedział.

Ściany ozdobione były starymi okładkami płyt wytwórni Pa-

cifie Jazz. Spojrzeliśmy w stronę estrady i poczuliśmy moc tej muzyki, wyrafinowanego jazzu, gęstego jak spór na śmierć i życie.

- Owszem - przyznałem. - Owszem, trochę siwieję. Ale niby czemu ma to być gorsze niż zupełna łysina. Która, jak sam przyznałeś, cię czeka.
- No właśnie.
- Jakie właśnie? Odrobina siwizny to jeszcze nie jest ta najbardziej złowieszcza rzecz, jaka się może przytrafić mężczyźnie.
- Ruszmy się stąd, co?
- Dlaczego?
- Znam takie jedno miejsce.
- Mnie się tu podoba.
- Pokazuję ci okolicę, jasne? Musisz się z tym pogodzić - powiedział. - To ja tu mieszkam, a nie ty.
- Dobrze. Ale wróć do domu. Przepróż ją.
- Muszę ci coś o nas powiedzieć.
- Co?
- Nigdy się nie kłócimy.
- My też nigdy się nie kłócimy. Tylko nasi znajomi się kłocą.
- Właśnie dlatego cały jestem w środku poskręcany.
- Rozumiem cię.
- No to ruszmy się - rzekł.

Następny lokal był w śródmieściu Los Angeles. Śródmieście Los Angeles - w samym tym określeniu kryło się tajemne życie, którego nie umiałem rozszyfrować. Zespół miał akurat przerwę między setami, a salę zasnuwał dym z ostatnich dziesięciu lat.

- Grałem kiedyś na trąbce. Wiesz?
- Grasz jeszcze?
- Na starej trąbce z lombardu. W końcu ją wyrzuciłem.
- Ale dalej ją masz.
- Wyrzuciłem - powtórzył.
- Nie schowałeś?
- Po co? Fatalnie brzmiała.
- Wspaniale mieć coś takiego. Stara trąbka? Aha, one się nie nazywają golfy. To nie o te buty mi chodzi, kiedy mówię, że były dwukolorowe.
- Brzmiała jak śmierć i pogrzeb muzyki.
- Ty palancie. Nie trzeba było jej wyrzucać.

- Zaraz. Ja jestem palant?
 - Wspaniale mieć coś takiego. Takich rzeczy się nie wyrzuca. Trąbka kupiona z drugiej ręki? Wspaniała rzecz.
- Zaraz.
- Duży błąd, Sims.
- Ja jestem palant?
 - Pierwszy wszedł na estradę pianista, po nim basista. Perkusista miał opaskę na głowie i ciemne okulary.
 - Statek wrócił - powiedział Sims. - Wiedziałeś?
 - Nie.
 - Stoi kawałek na północ, w San Francisco.
 - Kto ci mówi takie rzeczy?
 - Wiesz, jak krążą plotki. Nikt nic ci nie mówi. Po prostu słyszysz.
 - A co słyszałeś o ładunku?
 - To już całkiem inna broszka - rzekł Sims z forsownym przydechem, jak handlarz używanych samochodów, w dodatku prostak z Południa, aż parsknąłem śmiechem. - To dopiero ciekawostka. Najlepszy kawał z tych wszystkich plot.
 - Pojawił się wreszcie trębacz, smukły facet ze złotym łańcuchem i z przerwą między przednimi zębami, ubrany jak na wakacje, w sandałach.
 - Mówiono, że wiezie heroinę. Że CIA przewozi heroinę, bo chce sfinansować jakąś tajną operację. Ale ty i ja nie uwierzyliśmy.
 - Bo jesteśmy odpowiedzialnymi ludźmi.
 - No i mieliśmy rację - ciągnął Sims. - Bo to wcale nie heroina. Nie toksyczne chemikalia, nie popiół przemysłowy i nie heroina.
 - A co?
 - Nieporozumienie wokół jednego słowa. Nic więcej.
 - Którego słowa?
 - Wiesz, jak mówią na heroinę. Mówią na nią hera, mówią na nią plaster, mówią na nią towar, mówią na nią helena, mówią na nią tak i siak. I jak jeszcze, Nick?
 - Mówią na nią gównno.
 - No więc widzisz, to wcale nie transport heroiny, tylko gównna.

Na chwilę zrobiliśmy się czujni i przestaliśmy krążyć oplot-

kami. Był to jeden z rzadkich epizodów wzmoczonej jasności umysłu w ciągu nocy spędzonej na gadaniu i picciu.

- W pewnym momencie, o ile się nie mylę, plotkarze sugerowali, że to nie jest zwykły frachtowiec.
- Tankowiec do przewozu osadów. No i plotki się potwierdziły.
- Wozi przetworzone odchody ludzkie.
- Z portu do portu, już prawie dwa lata - powiedział Sims.
Słuchaliśmy muzyki, z końca baru podzwaniała kasa, a z jakiejś sali gdzieś na zapleczu dobiegało słabe echo głosu z radia - z radia albo z telewizji.
- Przeproś ją. Idź do domu, Sims.
- Może to ona powinna mnie przeprosić.
- Przeproś pierwszy.
 - Może wcale nie ja zawiniłem. Przyszło ci to do głowy? Podżegacz.
- Nieważne, palancie.
- To już drugi raz - rzekł, podnosząc dwa palce.
Wyszliśmy stamtąd i pojechaliśmy gdzie indziej, ściany w paski i małe stoliki, dość pełna sala szumiąca od ciał, ludzie w lotniczych okularach i srebrnych koszulach.
- Ubrany jest w biały garnitur.
- Zgadza się.
- Gra na alcie.
- Tak.
- Zwrócony twarzą **poza** kadr, jakby wychodził z ramy.
 - A na nogach ma biało-brązowe półbuty. Dwukolorowe. Ale nie podpalane.
 - Nie pytałem, jakie ma buty. Nic mnie jego buty nie obchodzi.
- Ja tylko mówię.
- Jego buty mnie nie interesują.
- Próbuję sobie przypomnieć, jak się nazywają.
- Rób to gdzie indziej.
- W nowojorskim klubie - powiedziałem.
 - I ty to wiesz? A ja nie? Chociaż to o mojej fotografii rozmawiamy? Tej, którą mam w domu?
Kelner przyniósł nam po szklaneczce.

- Słuchaj. Wracaj do domu, przepros ją, weź kąpiel i idź do łóżka.

Patrzył na mnie, wydymając dolną wargę.

- Jeszcze jedno.

- Co takiego? - spytałem.

- Jeden sędzia wydał zakaz, zabronił spuszczać te osady, bo są w nich ukryte zwłoki - powiedział Sims, upił łyk i wyciągnął z kieszeni cygaro.

- Czyje?

- Czyje. A czyje byś chciał, żeby były? Właśnie tego kogoś. Jakiegoś gangstera podobno. Dostał kulę w łeb, wyrok.

Trio z wokalistką. Miała rudawe włosy z pasemkami w różnych odcieniach i miedzianą skórę, mikrofon trzymała tuż przy udzie połyskującym lśniąca tkaniną, podczas gdy zespół ciągnął przygrywkę pod następny wers.

- Nigdy się nie kłócimy. Tylko nasi znajomi się kłócą - powiedziałem.

Kiedy set dobiegł końca, ogarnęło nas znużenie, poczuliśmy się nieświeżo. Sims wydmuchiwał dym gdzieś ponad moje ramię. Dźgnąłem palcem kostkę lodu w swojej szklance, szturchnąłem ją, a potem patrzyłem, jak podskakuje.

- Znałem kiedyś jednego gościa. Właściwie nie znałem, spotkałem go tylko raz. Byłem młody - powiedziałem. - Przyszedł do salonu bilardowego.

- Mówisz to w związku z czym?

- W związku z tym *trupem* w tankowcu.

- Czyli jakiś gangster. Co za jeden?

- Byłem młody, w wieku licealnym. Rozmawiałem z nim tylko ten jeden raz. Ale mój ojciec znał go wiele lat wcześniej, sam mi opowiedział. To znaczy Badalato mi opowiedział, nie mój ojciec. Nie przyjaźnili się, ledwie znali. Czasem gdzieś się na siebie natknęli przypadkiem.

- Mario Badalato, powiadasz? Ten sam, którego widziałem w telewizji - rzekł Sims - jak go wsadzali do cywilnego auta, żeby zawieźć do sądu, i tajniak położył mu rękę na ciemieniu, bo jeszcze by bandzior zawadził głową o ramę drzwiczek, a ja siedzę i nie rozumiem, czemu policja aż tak się stara, żeby kryminaliści nie objali sobie głów przy wsiadaniu do policyj-

nych wozów. Ostatnio to jeden z priorytetów policji, ta ręka na głowie.

- Nagle zrobiłeś się rozmowny.
 - Zawsze go fotografują na schodach sądu. Prawdziwy król schodów.
- Masz rację. Chodźmy już stąd - powiedziałem.
- Twój ojciec go znał. I co z tego?
- To, że go znał.
 - Czyli powinienem go szanować. Z uszanowaniem wymawiać jego nazwisko. Faceta, który prowadzi przestępczą firmę od narkotyków, wymuszeń i czego tam jeszcze. Jego branża to morderstwa, próby morderstw i tak dalej.
- Wywóz śmieci - odpowiedziałem.
 - Możliwe. Czemu nie? A ja mam go szanować. Bo był uprzejmy dla twojego ojca.
- Masz rację. Chodźmy już - powtórzyłem.
- Nie mówiłem, że chcę iść. Wcale nie chcę wychodzić.
- Przepróż ją i weź kąpiel - poradziłem.

Po półgodzinie siedzieliśmy w ostatnim już lokalu tej nocy, w bluesowym klubie o rozpaczliwej aurze, z kelnerem podobnym do tego starego, którego widziałem dwa czy trzy kluby wcześniej, podobnym z twarzy, bo chociaż miał na sobie klasyczny kelnerski uniform, wydawało mi się, że wyraźnie przypomina tamtego faceta w koszulce z napisem o futbolu, trzy czy cztery kluby wcześniej, zresztą mniejsza o to, gdzie widziałem tę koszulkę i watę w nozdrzu.

- Ten klub kojarzy mi się. Wiesz, jak ludzie często pytają się nawzajem: Gdzie byłeś, kiedy stało się to czy tamto? Gdzie byłeś, kiedy Kennedy? Pamiętasz, jak zgasły światła. No więc ten klub właśnie mi się kojarzy. Z wielkim mrokiem nad północnym wschodem.
- Mam spytać, gdzie wtedy byłeś? - upewnił się.
- Awaria dotknęła trzydzieści milionów ludzi.
 - Ja byłem w Niemczech. Nigdy się nie dowiedziałem, czemu zgasły. No, czemu?
 - Nikt nie pamięta. Trzydzieści milionów ludzi. I nikt z nas nie pamięta.
- Ale pamiętasz, gdzie wtedy byłeś.
- Spytaj mnie, gdzie byłem. W barze trochę podobnym do

tego klubu - odparłem. - Martwe dusze, smutny jazz. Palmy namalowane na ścianach.

- Tu nie ma palm na ścianach.
- Tym lepiej, tym większe podobieństwo. I nagle zgasły światła.
- Ktoś nakręcił o tym film. A ja byłem w Niemczech - rzekł Sims.
- Może zresztą w tamtym barze nie grali jazzu. Może dawniej grali, ale przestali. Nastawieni byli na jazz, a potem przestawili się na jego brak, co po dokładniejszym zbadaniu w znacznej mierze na jedno wychodzi.

Nie był podobny do starszego faceta, którego widziałem trzy czy cztery kluby wcześniej. Wcale nie był do niego podobny. Przypominał mi taksówkarza, który wiozł mnie w ciągu dnia, a może w przeddzień - tego, co powiedział: „Zapał lucky'ego. Pora zakurzyć”.

Kiedy mnie wsadzali do karetki policyjnej, a może do radiowozu, jeśli tak się to wtedy nazywało, w każdym razie była zielono-biała, a kierowca palił papierosa, chociaż nie powinien, umundurowany gliniarz na służbie nie miał prawa palić, pamiętam, jak się zdziwiłem na widok policjanta, który ukrywał peta w dłoni trzymanej między kolanami, bo przed chwilą zastrzeliłem człowieka i myślałem, że teraz wcisną mnie w system zorganizowany według spójnych i ścisłych reguł; a jeszcze jedno, co pamiętam, że nikt nie kładł mi ręki na głowie i nie przyginał karku, zanim wsiadłem do wozu, widocznie wtedy jeszcze tak nie robili, dopiero później wprowadzili ten zwyczaj, dzięki któremu winowajca już nie nabije sobie guza, kiedy go zgarną.

Zdarzyło się to oczywiście „jeszcze na wschodzie”. Wiele razy słyszałem ten zwrot, odkąd się tu przeniósłem. Ale nigdy nie jest on dla mnie wyznacznikiem geograficznym. Odnosi się do czasu, mówi coś o czasie, o wszelkich możliwych gęstościach bytu i doświadczenia, zawiera w sobie czas zamaskowany, czas, kiedy pora zakurzyć, nieuchwytny, dymny czas, który próbuje uchodzić za obszar stabilizacji. Ludzie posługują się tym zwrotem, gdy mówią, jak było dawniej, zanim się tu przeprowadzili, jaki w ogóle był świat, a nie tylko New Jersey czy południowe dzielnice Filadelfii, albo o jeszcze dawniejszych czasach, zanim

przenieśli się tu ich rodzice czy nawet dziadkowie, mówią o świecie, który nadal istnieje w ramach czyjejs prywatnej teorii względności, w jakimś dymnym, nieuchwytnym wymiarze umysłu, lub zanim przybyli tu inni mężczyźni i kobiety, ci wszyscy, co jechali furgonami z Conestoga; znamy to określenie z podstawówki, jeszcze ze wschodu, bo pochodzi ono z tych samych stron, w których wyrabiano furgony.

Sala była prawie pusta, a zespół grał bluesa.

- Bądź dla niej miły - powiedziałem. - Idź do domu, porozmawiaj z nią, zrób miło. Znasz to wyrażenie? Zrób miło. Powiedz, Sims, mówiło się tak, kiedy byłeś małym Murzynkiem w St. Louis?
- Raz przyszli w sprawie spisu ludności.
- Tak, no i co?
- I matka kazała mi się schować.
- Po co?
 - Po co. W tym sęk. Nie wiedziałem po co. Myślała, nie wiem, co sobie myślała. No to poszedłem i się schowałem. Na progu dwoje ludzi z planszetami. Właż i się nie wychylaj, powiedziała.
- Nie wychylaj się.
 - Kazała mi się nie wychylać. Nie wiem, co sobie wtedy myślałem ani co ona myślała.
- To był tylko spis.
- Nie mów „tylko spis”.
 - Powiadasz, że trochę siwieję. I chcesz, żebym sam zrozumiał, czemu gorzej jest osiwieć niż zupełnie wyłysieć.
 - Bo to część mojej historii, spuścizny - odparł. - Mam wyłysieć, i już. Tego się ode mnie oczekuje. Nie wychylaj się, powiedziała matka.
- Nie wychylaj się.
- Wierzysz wynikom spisu, Nick?

Siedział, zapalając wygasłe cygaro, w rozluźnionym krawacie i pogniecionej marynarce, a tuż nad wypukłością jego dolnej wargi widać było smugę różową jak zachód słońca.
- Co mam ci powiedzieć? Tak, wierzę. Nie, nie wierzę.
- Powiedz, w co wierzysz.
- Bo czuję, że wkraczamy na drażliwy teren.

- W co wierzysz? - spytał Sims.
- Tak, wierzę wynikom spisu. Niby dlaczego miałbym **nie** wierzyć?
Rzucił mi płaskie spojrzenie, z przyjemnym napięciem.
- Czyli wierzysz.
- Dlaczego nie miałbym wierzyć?
 - Wierzysz liczbom. Wierzysz na przykład, że w Ameryce jest tylko dwadzieścia pięć milionów czarnych.
- Dlaczego nie miałbym wierzyć?
- Więc wierzysz.
- Skoro taka jest liczba, to widać taka jest.
- I nie wydaje ci się, że oni mogą zaniżyć **prawdziwą liczbę**.
- Zaraz.
- Nie wydaje ci się.
- Zaraz zaraz zaraz zaraz.
- Zastanów się - rzekł Sims.
Chwycił się palcami za gors koszuli i zrobił coś, co czasem robią potężnie zbudowani mężczyźni: oburącz odciągnął koszulę od ciała i potrząsnął nią nieomal z wdziękiem, żeby tułów odechnął.
- Sims, ty i ja.
- Po prostu się zastanów.
 - Nie jesteście, pamiętasz, nie mamy słowa, ty i ja, którym określilibyśmy naukę o mrocznych mocach. O tym, co kryje się pod podszewką zdarzeń. Nie uznajemy wagi tego słowa ani tej nauki. Pamiętasz tamtą rozmowę?
 - Teraz jest inna rozmowa. I w tej rozmowie mówię ci, zastanów się.
 - Ale ty i ja, Sims. Płyniemy pod prąd. Z prądem jest łatwo, nieodpowiedzialnie. A my jesteśmy odpowiedzialni. Już to ustaliliśmy. Nie wierzymy, że jakieś tajemne moce podkopują nasze życie.
 - Ta twoja lokalna awaria elektryczności dotknęła trzydzieści milionów ludzi. A ci twierdzą, że w całym tym ogromnym kraju jest tylko dwadzieścia pięć milionów czarnych.
- Skoro taka jest liczba, to widać taka jest.
 - Tylko tyle umiesz powiedzieć. Stoimy tu wobec problemu, który serio domaga się rozpatrzenia, że użyję jednego z twoich ulubionych słów.

- No więc go rozpatrz.
- Gotów jesteś uznać tę liczbę.
- Dwadzieścia pięć milionów. Tak, czemu nie?
- Nie wydaje ci się, że jest dużo za niska.
 - Dwadzieścia pięć milionów to wcale nie tak mało. To całe dwadzieścia pięć milionów - powiedziałem.
- Nie wydaje ci się, że jest mocno ocenizowana.
 - Dlaczego twierdzisz, że „rozpatrzeć” to moje **ulubione** słowo?
- Bo go użyłeś.
- I dlatego zaraz ma być moje ulubione?
- Ja go nie użyłem. Tyś go użył.
- Wierzę w tę liczbę. Dla mnie jest wiarygodna.
 - I nie uważasz, że ktoś się boi, że jakby tak ogłosić prawdziwą liczbę, to białym zrobi się miękko w kolanach, a czarni się nadmą i pomyślą: Hej, należy nam się więcej tego, tamtego i owego.
- Ty i ja - rzekłem.
 - Nie uważasz, że ta liczba jest nie dociągnięta może o jakieś czterdzieści procent.
- Nie pozwalamy sobie na tanie i łatwe urojenia, Sims.
- Tanie i łatwe.
 - Mam rację? Tobie i mnie. To, co kryje się pod podszewką zdarzeń, nie wydaje nam się tak zorganizowane i złowrogie, że zaraz musimy z tego robić całą naukę.
 - Nie uważasz, że białych zdołuje, że poczują się, stwierdzam z przykrością, zagrożeni wobec autentycznej liczby. Stwierdził to bez cienia przykrości.
 - Więc twoim zdaniem biuro spisu ludności ukrywa dziesięć milionów ludzi.
- Nie ukrywa ludzi. Ukrywa liczbę. A ją łatwo ukryć.
 - Ale taką wielką. Cóż za niesłychana manipulacja! I to na naszych oczach. Może winne są matki - powiedziałem. - Dziesięć milionów matek każe dzieciom nie wychylać się. No, nie wychylaj się.
- Big Sims błysnął przelotnym, odruchowym uśmiechem, ale bez blasku w oczach.
- Nie próbuj ominąć problemu - rzekł.
- Jakiego problemu?

- Mamy prawo wiedzieć, ilu nas jest.
- Przecież wiecie.
 - Nie wiemy. Bo prawdziwa liczba jest zbyt niebezpieczna. Jak bardzo czujesz się nią zagrożony? Mówię do ciebie. Posłuchaj, co ci serce podpowiada.
- Dobrze, już słucham.
 - I co, może w głębi duszy nie przyznasz, że w tym, co mówię, jest żdźbło prawdy?
 - Jest w tym żdźbło prawdziwej paranoi. Poza nią niczego prawdziwego tu nie widzę.

Wyraźnie go to ucieszyło. Rozparł się na krześle i spojrzał gdzieś w bok, zastanawiając się z ponurą uciechą, co też takiego leży w naturze stosunków między ludźmi, że cudzą reakcję tak gładko udaje się przewidzieć.

Słuchałem, jak trębacz gra bluesa, młody facet w znoszonym garniturze, czarny prawdziwie afrykańską czernią - znanie to nasycone zaczernienie pasma, rodem z jakiegoś miejsca na tamtym kontynencie, ten koczowniczy fason, szlachetnie pustynną postać i grację, ale gestami i postawą, na przykład kiedy w przerwach między riffami zlizywał ślinę z wargi, jego ciało zdradzało plebejski, miejscowy rodowód - ot, jeszcze jeden nieokrzesany trąbkarz z murzyńskiego getta.

- Charlie Parker w białym garniturze, w nowojorskim klubie - powiedziałem.
- Ile już razy mówiłeś mi dzisiaj o Nowym Jorku?
- I wiem, jak się nazywają te jego buty.
- Nic mnie to nie obchodzi.
- Golfy.
- Nic mnie to nie obchodzi.
- Nie podpalane, tylko golfy.
- Wszystko mi jedno, jak się nazywają.
 - Słuchaj. Powiem ci, co masz zrobić - oświadczyłem. -Wracać do domu, przepros żonę, napuść sobie pianki do wanny, weź kąpiel i kładź się do łóżka.

Po dziesięciu minutach staliśmy przed klubem, czekając, aż ktoś sprowadzi nasze auto, i nagle Sims złapał mnie za ramiona i uderzył bykiem.

Nie wiedziałem, jak to potraktować.

Uśmiechnął się przez zęby i walnął mnie w czoło tuż poniżej

linii włosów, a ja nie wiedziałem, czy ma to być impulsywny gest pod koniec długiej nocy, kiedy człowiek przymulony alkoholem, zachrypnięty od gadania i dymu jednym ciosem formalnie zamyka imprezę, czy też jest to coś trochę bardziej zamierzonego.

Strząsnąłem z siebie jego ręce i też go wałnąłem bykiem, chwyciłem za ramiona i zaprawiłem z główki, a on spojrzał na mnie zaciekawiony i jeszcze raz uderzył.

Oczywiście zabolalo, zapulsowało mi w głowie, kiedy poczułem tę monosylabę, cios, wstrząs biegnący od góry w dół, szok tak potężny, że elektryczny ból przeszył mi potylicę, a potem kark i ramiona.

A wszystko to z bliska, oko napięte, plac boju za ciasny na manewry czy finezje, w polu widzenia pewna doza zagranej urazy, zmarszczona brew i wściekle spojrzenie, albo jak u zapanego mordercy, spod nawisłych powiek - tępe.

Byłem wyższy od Simsa, ale mniej masywny i nie tak potężny, no i nigdy przedtem nie posługiwałem się własną głową jako średniowieczną machiną obłączniczą.

Stuknąłem go tuż nad nosem, z góry na dół, i wyraźnie zobaczyłem, że go dźgnęło, że nadałem sygnał, który zadźwięczał mu w czaszce.

Zdrowo mnie palnął. Tak huknął, że na wpół ogłuszony zatoczyłem się w tył, wymykając się z uchwytu dłoni, którymi trzymał mnie za ramiona, i właśnie wtedy szofer przyprowadził wóz, stanął i zaczął się przyglądać.

Elektryczny, zwarty ból pograżył wszystko w swoistym znieczuleniu, a świat w moich oczach skurczył się i zmętniał.

Maksymalnie skupieni, zawężiliśmy pole obserwacji, dopóki nie zostało nic prócz ciosów, wściekłych spojrzeń i bólu.

Kiedy znowu mnie bodnął, ruszyłem głową, cofnąłem ją o jakiś centymetr, żeby trochę złagodzić uderzenie, a on wystawił szczękę i wściekle łypnął.

Ból to też jakiś komunikat.

Stuknęliśmy się głowami jeszcze raz, po jednym razie, a szofer stał z kluczykami w ręku i patrzył.

W swoim pokoju hotelowym spojrzałem w lustro nad umywalką. Oparłem się oburącz o ścianę, nachyliłem się do lustra i zobaczyłem sińce i pręgi, głębokie przebarwienia, zakrzepłe

draśnięcie otoczone winnym rumieńcem. Przemylem skaleczenia zimną wodą i położyłem się do łóżka. Ale zaczęło mi się kręcić w głowie, ledwie dotknąłem nią poduszki, i musiałem godzinę posiedzieć w fotelu, zanim przeszło.

Wciąż przypominała mi się tamta chwila, więc usiłowałem ją przeniknąć, wniknąć w to drzenie, we wspomnienie naszych twarzy obwiedzionych jakby podwójnym konturem nad kostkami lodu w szklankach, twarzy na przemian rozmytych i znów ostrych - nie żebym chciał sprecyzować własne odczucia, tylko zrozumieć ukryte sprężyny tego doznania, drobne zapadliska i wiraże, które w sumie tworzą pewien stan istnienia.

Biegliśmy przez zagłębienia pełne smogu, mijając domy stojące jak na szczudłach nad nagą ziemią wąwozów, zanurzaliśmy się w lasy, które miały w sobie coś z hubki, jakiś suchy, biały, pylisty bezruch, wyczuwalną łatwopalność, chociaż może zresztą nie - może zmyślałem swoje prywatne kroniki filmowe.

- Co ostatnio słyszałeś o tym trupie z tankowca?
 - Nie znajdują żadnego trupa. Trup to tylko jeszcze jeden ozdobnik - odparł Sims. - Głównie chodzi o sam statek.
- Mianowicie?
 - Od dwóch lat pływa po morzach i oceanach, zmieniając nazwy i załogę, ale to też tylko bajeczka. Niedawno odbył rejs ze Wschodniego Wybrzeża na Zachodnie. Przewiół osad do Kalifornii, dla jakiejś wytwórni kompostu. Zwykła dostawa.

Biegliśmy ulicami, starannie zaprojektowanymi alejami emanującymi aurą upadku, ponadczasowością, która zachwycała zawartą w niej jawną nostalgią.

- Słuchaj, Sims, muszę ci coś powiedzieć.
- Biegnijmy.
 - Sam nie wiem. Jestem trochę, i właściwie nie powinienem tego mówić, zdaję sobie sprawę, komuś takiemu jak ty.
- Kochasz swoje dzieci, prawda?
- Tak, oczywiście.
- No to biegnij - powiedział.
 - Chodzi o to, że chwilami czuję się prawie, chociaż tak bardzo ich wszystkich kocham, czuję się trochę, jakbym się podszyczał. Bo nigdy, kurwa, nie zdołałem się z tym oswoić.

Staliśmy w kuchni, wymęczeni kilometrami wzgórz i gorących chodników, i baliśmy się ruszyć, żeby nie prysnąć na coś kroplami potu, obaj w szortach, a Greta dała nam po szklance wody, szatynka o smukłych dłoniach, jak gdyby skrycie wychudła, szczupła i kanciasta w samym swoim jestestwie, w głębi tej jakiejś Grety spod rentgena, która zapewne się ujawniała podczas sporów albo w stresie.

- Podoba ci się tu? - spytałem.

- Czuję się jak na koniec świata. Czterech lat już tu mieszkamy, a ja co rano się budzę i staram się przypomnieć, gdzie ja jestem. Tak daleko od wszystkiego.

- Żyjemy przyparci - rzekł Sims - do ogromnego oceanu.

Ich pięcioletni syn siedział przy stole i za dużą łyżką jadł płatki z mlekiem: Loyal Branson Biggs, chłopiec tak delikatnie ładny, tak mimochodem obdarzony wyrazistą urodą, że nie mogłem przestać na niego patrzeć, patrzyłem, rozmawiając z jego rodzicami, którzy też na niego patrzyli - patrzyli, bo ja patrzyłem, bo przypominałem im, że czas znowu zdumieć się własnym dzieckiem.

- Co ci się stało w twarz? - spytała mnie Greta. Patrzyłem, jak Loyal łyżką przekopuje gruzłową owsiankę.

- No, właściwie całkiem trafne pytanie.

- A odpowiedź? - nalegała.

- Wdałem się w małą szamotaninę w windzie. Bardzo widać? W moim hotelu. Nie wiedziałem, że jeszcze mam ślady. Dwóch pijaków. Biały i czarny.

Czułem, że Sims słucha tego z przyjemnością, stojąc w tych swoich rozgrzanych od biegu reebokach.

- Nick sam zaczął - wyjaśnił Grecie.

- Naprawdę?

Zwracała się do mnie, ale patrzyła na dziecko, które jadło śniadanie. Wszyscy patrzyliśmy na Loyala.

- Powiedzieli mu, że trochę siwieje, a on dostał szału - ciągnął Sims.

Greta musiała odwieźć chłopca do szkoły i pojechać na lekcje w innej szkole, w której przez trzy dni w tygodniu uczyła chemii, mając za plecami ocean.

Sims i ja staliśmy, nie ruszając się z miejsc, i popijaliśmy wodę.

- Jeszcze się gniewacie? - spytałem.
- Ona tak. Mnie już przeszło.
- Muszę zdążyć na samolot - powiedziałem.

Wziął prysznic, ubrał się i zawiózł mnie do hotelu, a wtedy ja z kolei wzięłem szybki prysznic, ubrałem się, złapałem walizkę i wsiadłem z powrotem do wozu, a potem na autostradzie zobaczyliśmy faceta, który siedział na nasypie i kiwał głową w takt muzyki z radia dla kierowców, trzymając na kolanach jakiś przedmiot. Sims twierdził, że to karabin, a ja, że kula inwalidzka, metalowa, z obręczą na przedramię, i minęło parę sekund, nim zrozumiałem, że Sims żartuje, że po prostu mówi żargonem autostrady.

Południowa Kalifornia była jak dla mnie aż zanadto interesująca. Eksperymentalne samoloty, serie uskoków, piekielny ruch samochodowy i smog, kobiety znikąd, a nawet gangi uliczne, które właśnie wtedy nabierały znaczenia i przywdziewały uniwersyteckie barwy. Dalej latałem tam służbowo, ale następne pobyty starałem się skracać i nie rozglądałem się na boki. W Kalifornii panował ten nastrój ogólnej skrajności wszystkiego, który wkrada się w całkiem niewinne uwagi, a w ślad za nim zjawia się poczucie obcości.

Kiedy zastrzeliłem George'a Manzę, zacząłem rozumieć istotę tego uczucia. Najpierw wieźli mnie radiowozem z kierowcą, który palił na służbie, a potem wysłali do pewnej instytucji gdzieś w stanie Nowy Jork, wyposażonej w jedno z dziwniejszych urządzeń, jakie można napotkać w systemie karnym. Było to miniaturowe pole do golfa, dziewięć dołków z tekturowymi wieżyczkami i wiatrakami, bo może doradcy do spraw wychowawczych uznali, że na takich młodocianych przestępców jak my kojąco wpłyną te przedszkolne formy i jaskrawe kolory lub analne motywy piłek i dołków. Nie wiem. Wtedy nie wiedziałem i nie wiem do dziś. Ale moi kumple i ja, sprawcy cięższych i lżejszych wykroczeń, rozbijacze głów, nocni złodzieje, mocno mieszana grupa, jak sobie pewnie wyobrażacie, najrozmaitsze rasy, wyznania, okrzyki w ciemnościach - otóż z jadalni, przechodzącej obok okien, widzieliśmy te wytyczone ścieżki pełne zawijasów i pętli, tunele i jeziorka wielkości kałuż, murawę z blaszanej folii i mówiliśmy na to wszystko: Kalifornia.

Phoenix bardziej mi odpowiadało. Potrzebowałem życia prywatnego. Jak można prowadzić życie prywatne gdzieś, gdzie wszystkie twoje wyobcowane uczucia wychodzą na jaw, gdzie trwające w twoim sercu napięcie, którego umiałeś dotychczas nie wypuszczać z małych, zamkniętych pokoików, wszędzie rażone jest białawym światłem, a tak przy tym rozrośnięte i zakorzenione, że nie potrafisz go oddzielić od krajobrazu i nieba?

Wszedłem do domu, a Marian spytała:

- Co ci się stało w twarzy?

Wchodzę do domu i słyszę wszystko naraz, dzieci w coś grają, radio też gra, wiadomości, ruch uliczny, dzwoni telefon, w kuchni dyszy automat do zmywania.

Uśmiechnąłem się i pocałowałem ją, a ona podniosła słuchawkę. Za domem hałasowały dzieci, nasze i sąsiadów, pochłonięte zabawą, którą wymyśliła Lainie: poznałem to po tonacji wrzasków. Zawsze organizowała dzikie zabawy - pomysłowe, przeraźliwe seanse tortur i upokorzeń.

- Co zrobiłaś z włosami?

- Ściąłam. Ładnie? - spytała, nie przerywając rozmowy przez telefon. - Co ci się stało w twarzy?

Wchodzę do domu i widzę, jak światło bije w chłodne ściany i uwydatnia barwy dywanów, odcienie moreli i bordo, zdumiewające topazowe złota.

Nazajutrz wieczorem przyznałem się Marian, co zrobiłem, a może następnego wieczoru, co zrobiłem z Donną w Mojave Springs. Uważałem, że muszę się przyznać. Byłem jej to winien. Przyznałem się dla naszego dobra, dla dobra małżeństwa. Leżała w łóżku i czytała, kiedy jej powiedziałem. Z udręką zastanawiałem się, kiedy najlepiej będzie powiedzieć, i nagle powiedziałem ni stąd, ni zowąd, bez namysłu. Nie powtórzyłem jej, co mówiłem Donnie, i nie wyjaśniłem, skąd Donna wzięła się w hotelu, a Marian nie spytała. Z koszulą w rękę stałem obok fotela i wydawało mi się, że dobrze to zniosła. Rozumiała, że był to oderwany epizod z obcą kobietą, hotel, przelotna sprawa, skończona raz na zawsze. Powiedziałem jej, że nie mogłem tego przemilczeć, że trudno mi jest mówić o tej historii, ale jeszcze trudniej byłoby zataić prawdę, a Marian słuchała, kiwając głową. Chyba całkiem nieźle to zniosła. Nie prosiła, żebym jej powie-

dział cokolwiek ponad to, co już powiedziałem. W pokoju panowała atmosfera taktu, wrażliwości na uczucia partnera. Stałem obok fotela i czekałem, aż Marian przewróci kartkę, to będę mógł się rozebrać i położyć do łóżka.

A w pierwszą wolną sobotę, w pierwszą sobotę, kiedy nie poszedłem do biura, pojechaliśmy z dziećmi na południe zwiedzić jakieś starożytne ruiny.

Wzięliśmy krem od słońca, czapki i wodę do picia, bo Marian chciała, żebyśmy ją wzięli, skoro wybieramy się na prawie zupełnie pustynię, w taki straszny skwar.

Lainie stała za przednim siedzeniem i czasem wpychała się łokciami między mnie a Marian, wychylając się w stronę przedniej szyby, i ze sporym refleksem krytykowała głupie manewry innych kierowców. Gniewały ją tak, że studziło to mój własny gniew, a także irytację Marian, i oboje zaczynaliśmy wynajdywać usprawiedliwienia dla głupich i niebezpiecznych posunięć, na które zwracała nam uwagę.

Jeff był o dwa lata młodszy, miał siódmy rok i lubił wtulać się w kąt tylnego siedzenia, zwijać się w kłębek i wiercić, zsuwać ku podłodze w astralnym oderwaniu od wszystkiego wokół, używać własnego ciała jako wehikułu snów na jawie.

Nawet jeśli rzeczywiście nie był to karabin, to co ten facet robił przy autostradzie, na trawiastym nasypie, czemu tam siedział z metalowym szczudłem w poprzek ud, o kilka metrów od aut, które pędziły jak szalone?

Starożytne ruiny miały ponad sześćset lat: jedna większa budowla, tu i ówdzie widoczne szczątki, a obok ślad po jakimś murze. Stojąc w przedpołudniowym upale, słuchaliśmy przez parę minut, co mówi przewodniczka, zanim rozleźliśmy się pojedynczo, chociaż właściwie nie było tam nic więcej do oglądania.

Przeczytałem tabliczkę informacyjną, a potem patrzyłem, jak Jeff usiłuje podejść susła. Był bez czapki, ale nic nie powiedziałem, tylko pomyślałem: „Nie mów potem, szczeniaku, żeśmy cię nie ostrzegali”. Zaraz jednak zmiękłem, zawołałem go i dałem mu kluczyki do auta. Trud, jaki sobie zadałem, żeby zmięknąć, żeby jednak złagodnieć i ulec, kochać go wraz z całą jego niedbałą rozlazłością - był to okrutny wysiłek i chociaż problem wydawał się drobny, drobny i chwilowy, zdumiewająco wiele

mnie kosztował. Ale zawołałem chłopca, dałem mu komplet kluczyków - wiedziałem, że ucieszy go ten pomysł - i kazałem wziąć czapkę, zamknąć wóz i przynieść kluczyki z powrotem, a on poszedł, szczęśliwy jak nigdy.

Pomału wróciłem do głównego zabytku, stanąłem w kilkunastoosobowej grupie turystów i chwilę posłuchałem przewodniczki, masywnej kobiety, która drapała się w łokieć. Powiedziała, że nikt nie wie, do jakich celów służyła ta budowla, wysoka na dwa piętra, z ledwie widocznym śladem napisu blisko szczytu. Bardziej niż starożytne ruiny interesował mnie daszek ochronny. Przewodniczka twierdziła, że osiedle to porzucono mniej więcej sto lat po wybudowaniu, bez wyraźnego powodu opuszczono główny gmach wraz z przyległościami: był to jeden z tych tajemniczych przypadków, kiedy znika nagle cały lud. Ale ja złapałem się na tym, że uważnie oglądam daszek ochronny, zawieszony na wysokich, skośnych, chyba dwudziestometrowych słupach, i ażurowy szkielet, który go podtrzymuje.

Lainie podeszła i stanęła przy mnie, opierając się o moje udo, jakby się miała przewrócić: znaczyło to, że jest znudzona bez szans ratunku.

Przewodniczka wymieniła kilka możliwych powodów zniknięcia mieszkańców pustynnego osiedla. Wspomniała o powodzi, suszy, obcym najeździe, ale sama powiedziała, że są to tylko hipotezy, a tak naprawdę nikt nie ma pojęcia, jaka była przyczyna.

Przypomniał mi się Jesse Detwiler, archeolog od śmieci, i zadałem sobie pytanie, czy nie twierdziłby, jakoby ludzie ci porzucili swoją siedzibę, bo wyrugowały ich z niej odpadki, bo nie mieli już gdzie żyć ani oddychać, otoczeni rosnącym zwałem własnego chłamu, i dosyć miła wydała mi się myśl, że istotnie tak było, a my niby to stoimy tu w obliczu jednej z romantycznych zagadek pustyni, gdy tymczasem odpowiedź sama się narzuca.

Zbyt szybko upodabniałem się do Simsa, który na każdym kroku widział śmieci, albo przynajmniej dopatrywał się ich udziału w każdej sytuacji.

Kazałem Lainie poszukać brata i sprawdzić, co zrobił z kluczami od auta. Ruszyliśmy potem w drogę powrotną, niczym

garstka obdartych pielgrzymów, którym nie udało się zobaczyć, jak posąg płacze.

Minęło ledwie dziesięć minut, odkąd wsiedliśmy do wozu, gdy Marian się rozplakała. To ona prowadziła, a teraz z rozjaśnioną nagle twarzą zaczęła cicho płakać. Lainie, która stała na swoim zwykłym stanowisku tuż za naszymi plecami, cofnęła się, usiadła przy oknie i splotła dłonie na złączonych udach. Jeff zainteresował się krajobrazem.

- Chcesz, żebym poprowadził? - spytałem.

Pokręciła głową.

- Daj mi poprowadzić, poprowadzę - powiedziałem. Znowu pokręciła głową: chciała sama prowadzić, tak wołała.

Jechaliśmy boczną drogą, przy której rosły kaktusy *saguaro* i kwiaty polne, kaktusy pokarbowane, podziobane przez gnieźdzące się w tej okolicy ptaki, a potem dotarliśmy do autostrady i wśliznęli się w strumień aut, mknących jak wichura.

Żadnych nazwisk, żadnych spóźnionych żalów, które wracają echem. Zgodnie z kodeksem przygodnego seksu. Ale powiedziałem jej, jak się nazywam, i to już nie było przygodne, prawda? Nad całym epizodem w przedziwny sposób dominowało moje pragnienie, żeby dotrzeć do tej kobiety, zaprzec jej oddech, tak -pozbawić ją tchu. Donna miała w sobie coś, co rozwiązało mi język. Skrucha przyszła dopiero później, kiedy poczułem obok Marian, śpiącą w ciemnościach.

Ilekróć czuliśmy do siebie niechęć (przeważnie po jakimś wyjściowym wieczorze), jechaliśmy do domu i po raz nie wiedzieć który każde z nas miało serdecznie dosyć twarzy i głosu partnera, nawet samej intonacji, nawet gestów w ich najdrobniejszych niuansach, bo widzieliśmy je już tysiąc razy i teraz każdy z nich mówi nam o wiele za dużo, chociaż taki jest skąpy, mówi akurat wszystko, co najgorsze - otóż ilekróć Marian i ja wpadaliśmy w taki stan, składaliśmy go na karb tego, że wyczerpał się nasz sens, siła napędowa przymierza. Wieczór poza domem zawsze był kuszeniem losu. Ale tak naprawdę niczego jeszcze nie wyczerpaliśmy - pozostały nam rzeczy nie roztrwonione, nie wypowiedziane, zawieszona, i tu właśnie Marian czuła niedosyt.

Marian w tym swoim nobliwym mieście, wychowana w at-

mosferze bezpieczeństwa, chroniona przed rojnością ulicznego życia i właśnie dlatego przeświadczona, że coś ją ominęło -uprzywilejowana, a zarazem upośledzona: bardzo amerykańskie uczucie. Oglądając telewizję, wzdrygała się na widok zbrodni popełnianych w sąsiedztwie: oto ciało na ulicy, lament krewnych, podejrzany zgina się wpół, żeby ukryć twarz... Nie mogła patrzeć nawet na to, jak tajniak kładzie rękę na głowie podejrzanego, zginając mu kark przy wsiadaniu do cywilnego auta. Wszystko to był gwałt, uszczerbek dla duszy. Ale łaknęła moich opowieści, moich spraw, możliwie najdzikszych.

Co się tyczyło przeszłości, byłem egoistą, skrytym sobkiem. Nie wiedziałem, jak wprowadzić Marian w tamte lata. A milczenie to chyba stan, który akceptujemy jako sąd wydany na nasze zbrodnie.

Powiedziała, że chodzi o jej matkę, że równo przed dwoma laty umarła jej matka, a ja powtórzyłem to dzieciom i wtedy trochę się uspokoiły. Sięgnąłem ręką za siebie i wziąłem od Lainie sztabkę gumy do żucia. Równo przed dwoma laty, no i Marian oczywiście wiedziała o rocznicy, a my nie, nie wiedziałem, nie pamiętałem, więc mi ulżyło i dzieciom też, bo teraz był przynajmniej jakiś powód, a nie jedna z tych sytuacji, kiedy rodzice dziwacznie się zachowują, a dzieci uczą się przybierać maski bez wyrazu.

Promieniała i lśniła, pałała blaskiem swojego płaczu i chyba się uśmiechała, a w uśmiechu tym był bolesny grymas, lecz zarazem prawdziwy uśmiech, i matka też gdzieś obecna.

Po pewnym czasie dzieci zaczęły śpiewać.

Odetchnąłem z ulgą, cholernie mi ulżyło, a już myślałem, że to przeze mnie albo że ona ciągle tak płacze, no bo skąd mam, do diabła, wiedzieć, co się dzieje, kiedy jestem poza domem.

A dzieci śpiewały: „Na daszku rzędem sobie stoi dziewięćdziesiąt dziewięć piwa flaszek. Jak jedna spadnie, to jeszcze łatwiej dziewięćdziesiąt osiem utrzyma daszek. Na daszku rzędem sobie stoi dziewięćdziesiąt osiem piwa flaszek”.

Spoglądała to na mnie, to na szosę, dzieci dalej śpiewały, odliczając wstecz aż do jednej flaszk, a Marian prowadziła wóz -płakała i prowadziła.

Manx Martin 2

Dozorca kuśtyka w jego stronę. Nie zdążył zrobić pięciu kroków po ulicy, a już cieć kuśtyka w jego stronę z domu o parę numerów dalej i tak przy tym zawija biodrem, że pół chodnika zajmuje.

- Szukałem cię - mówi dozorca.

Manx Martin stoi z założonymi rękami, na razie nawet się nie fatyguje, żeby przechylić głowę, bo jeszcze trochę za wcześnie na okazywanie wyższości.

- Widziałeś łopaty?

- Jakie łopaty? - pyta Manx.

- Te, co zginęły z sutereny.

- Co i rusz coś ginie. Ledwo żem kupił nowe skarpetki, zaraz wsiąkły z prania.

- Dzisiaj rano dwie łopaty do śniegu, te z gospodarczego, stały pod ścianą.

- A co, ma padać śnieg? - dziwi się Manx.

I patrzy w niebo. Myślisz, że się zanosi na śnieżycę? Coś mi nie wygląda. Zapowiadają śnieg?

- W południe już ich nie było, same wyszły. A ja chodzę i rozpytuję się po całej ulicy.

- Lepiej uważaj, kogo się pytasz. Bo niektórzy to są strasznie urażliwi w tym temacie.

- Pytam się ciebie, bo coś niecoś o tobie słyszałem.

Dozorca mimo chłodu ma na sobie cienką koszulę. Manx czuje w powietrzu zmianę pory roku, jad wilgoci i ostry wiatr, a cieć jakby nigdy nic stoi z podwiniętymi rękawami, posunięty w latach, szczerinę na brodzie lekko mu przyprószyła siwizna.

- Ktoś mi powiedział bez ceregieli - ciągnie. - Pogadaj z tym kleptomanem.
- I mówisz mi to w oczy.
- Mówię, co słyszałem.
- Od kogo żeś słyszał?
 - I jeszcze ci powiem, że te łopaty warte są sporo pieniędzy. To moje narzędzia, potrzebne mi do roboty. Te sztychy, kapujesz. Spróbowałbyś odgarniać śnieg szuflą od węgla.

Manx zaskoczony jest tupetem dozorca, trochę zbity z tropu. A dozorca się uparł. Przecież to kamienicznik powinien się martwić. Po co cięć ma robić za detektywa? Niech kamienicznik sięgnie do kieszeni i kupi nowe. Takie pełne ma te kieszenie, że brzęczący bilon obciera mu kolana.

Ktoś stoi na rogu ulicy i wygłasza kazanie do wiatru.

Manx zaskoczony jest też tym, jakie potężne przedramiona ma dozorca. Okrzepły od tego całego mocowania się z pojemnikami na śmieci, od turlania ich kaniem po chodniku.

- Tyś się chyba wziął za nie swoją robotę - powiada Manx.
 - Bo akuratnie u ciebie na dzielnicy nie kradną łopat, tylko okradają domy. Co chwila włamanie.
- Ja tylko powtarzam, co słyszałem.
- A ja ci mówię, czym żeś powinien się zająć. Rygle na drzwi pozakładać.
- Jak się upewnię, że to ty wzięłeś te łopaty, pójdę do właściciela i wylądujesz na bruku, bracie.

Straszny waźniak jak na kuternogę.

- Bo on mnie wierzy.

Większość dozorców w tej dzielnicy dryfuje z miejsca na miejsce, z osiedla na osiedle, pojawiają się i szybko znikają, bo coś im depcze po piętach. A ten tutaj okopał się jak piechota.

- My dwaj nie mamy już ze sobą nic więcej do gadania - mówi dozorca. - Jak przyjdiesz pod moje drzwi z łopatą w każdej grabie, to posłucham, co masz do powiedzenia.

Manx przekrzywia głowę i mruży oczy, że niby się na czymś mocno skupia. Usiłuje onieśmielić tamtego spojrzeniem, osadzić go.

Ale dozorca rusza naprzód i mija Manksa. Ten napiera, próbując zatrzymać ciecia, ale kaleka pcha się do przodu, lezie niezdarnie, każdy krok to akrobacja i mozół, a Manx znowu

jest zbity z pantaląku, bo właśnie miał wygłosić jakieś doniosłe oświadczenie.

Idzie w stronę Amsterdam Avenue. Trzej chłopcy mijają go biegiem, pędzą jak ogień z piekła, a przed zakładem szewskim stoi Franzo Cooper w garniturze i krawacie.

- Kto umarł? Ale żeś się wystroił, Franzo.

Mówiąc to, ogląda się za siebie, chce jeszcze raz rzucić okiem na dozorcę, sam nie bardzo wie po co - może po to, żeby posłać mu promień zła.

- Widziałeś mojego brata? - pyta Franzo.

Na głowie ma kapelusz z piórkami za wstążką, a buty lśnią mu jak wojskowemu. Ten neonowy się nie świeci.

- Idę do Tally'ego.

- Jak go zobaczysz, weź mu powiedz, że potrzebny mi jego wóz.

- Kto umarł, Franzo?

- Muszę pojechać do Jersey zobaczyć się z kobitą. Bo inaczej skonam. A ty co porabiasz?

- Nic specjalnego.

- Umieram z miłości, stary. Powiedz, niech tu podjedzie tą swoją kupą złomu. Opłaci mu się.

Po drodze szkoła kosmetyczek, szewc, pokoje umeblowane, a nad drzwiami szewca neon w kształcie buta z cholewą, ale ciemny i zimny - widzi Manx, i trochę go to dołuje, psuje mu nastrój.

Na rogu zatrzymują się auta, po chwili jadą dalej, suną w noc, a przed burdelem stoi facet i wygłasza kazanie. Trzy, cztery osoby przystają, po minucie łapią wątek, stoją tak jeszcze z minutę i idą swoją drogą, dwie albo trzy inne podchodzą, chwilę słuchają i odchodzą, a obok przejeżdżają samochody, czekają na zielone i jadą dalej.

- Podobniez tylko owady przetrwają - mówi kaznodzieja.

Jest to starzec ze zgłodniałą głową, oplecioną żyłkami na skroniach. Ręce wylażą mu z rękawów marynarki, które tak się skurczyły, że widać gołą skórę wysoko nad przegubami. Podkreśla własne słowa gestami długich, płaskich palców, a nogawki spięte ma spinkami jak do jazdy na rowerze.

Trzej chłopcy przebiegają, jakby przed czymś dawali dyla.

- Tak mówią uczone ludzie, a ja im wierzę, bo przecież się

na tym znają. Ze wszystkich bożych stworzeń na ziemi tylko owadów nie zabije promieniowanie. Uczone ludzie prowadzą badania nad karaluchem w każdej sekundzie jego życia. Obserwują go, kiedy śpi. Jak wychodzi ze szpary w ścianie, to już od świtu czeka na niego człowiek z lupą. A ja wierzę tym, co mówią, że owady wciąż tu będą, kiedy bomby atomowe rozwalą domy, wymordują ludzi, pozabiją ptaki i zwierzęta, wykastrują psy i koty, że już nie będą mogły mieć małych. Wierzę im od początku do końca, w tę i nazad. Ale ja też mam dla nich nowinę. Wiem coś, czego oni jeszcze nie wiedzą. Wszyscy to wiemy, jak tu teraz stoimy, bo jesteśmy weterani tych stron. Czy trzeba nam mówić, że owady przetrwają wybuch? Czy nie wiemy tego od dnia narodzin? Mówię do was. Nikt tu nie potrzebuje naukowych dowodów, że owady będą ostatnie żywe stworzenia. Już prawie tak jest. My przecież cały czas umieramy, a karakany ciągle wdrapują się na ściany i wylażą ze szpar.

Manx spogląda za siebie. Chciałby jeszcze tylko raz rzucić okiem na dozorcę, odświeżyć w pamięci urazę.

Ludzie przystają, żeby się zorientować, o czym mówi uliczny kaznodzieja; sześć czy siedem osób stoi na wietrze. Manx patrzy na starca w spodniach z mankietami - jak od munduru, który wymyśliłby chłopiec bawiący się w wojsko. Starzec z bezwłosą głową, pożyłkowaną i jakby zrobioną z papieru, ma chyba delikatną czaszkę. Z zainteresowaniem słucha go mężczyzna w czarnym berecie, znaczy się w takiej francuskiej czapce, i dwie kobity w strojach sióstr, siostra jak jej tam, z tego kościoła, co go urządzili w zwykłym domu, moje uszanowanie, miny mają zmarszczone, a na głowach chustki.

- Nikt nie zna dnia ani godziny.

Dwaj mężczyźni w garniturach i ich eleganckie żony, panowie chcą posłuchać, ale panie mówią: nie, piękne dzięki - taka gadka o karaluchach to nie dla nich.

- Ruskie zrucili bombę atomową na drugim końcu świata. Macie radio nastawione na wiadomości? No to ja wam mówię, jaka jest najnowsza wiadomość. Prosto z drugiego końca świata. A wy sobie stoicie i powiadacie: a co mi do tego. Stara sprawa, powiadacie. Sprawa generałów i dyplomatów. Ale już teraz, w tej samej minucie, kiedy ja do was mówię, a wy słuchacie, urzędniki planują zbudować pod całym miastem schrony od

bomb. W tych schronach pod ulicami przechowują się dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. I zgadnijcie, co opuścili w dzisiejszych wiadomościach? Musicie dopiero stanąć na wietrze, żeby ode mnie się dowiedzieć. No więc każdy jeden człowiek, co schowa się w schronach, jak z nieba sypną się bomby, będzie biały. Tak, do was mówię. Bo pod Harlemem nie zamierają budować ani jednego schronu. No właśnie. Budują schrony na Upper East Side. Budują schrony na południowym odcinku Szóstej Alei. Czterdziesta Druga Ulica też ma być chroniona. Czemu nie? Tak samo Queens, no jasne. Wall Street schroni się głęboko i suchutko. A wy niby co macie zrobić, jak z nieba polecą atomówki? Jechać autobusem do śródmieścia?

Manx szczyrzy zęby w niewyraźnym uśmiechu.

Stoi dziewczyna z chłopakiem i mówi:

- To jakiś jagitator, chodźmy stąd.

Manx docenia wywód kaznodziej, ale trochę mu się to wszystko wydaje dalekie. Wywód jest, owszem, w porządku, bo mnoży przez miliony wszystkie te drobne przymusy i zakazy, które Manx codziennie dźwiga na grzbiecie.

- To jagitator, chodźmy stąd - powtarza dziewczyna.

Ale Manx musi na co dzień jakoś żyć właśnie z tymi przymusami i zakazami, a nie z wiadomościami ze świata, z kronik filmowych z kogutem, który pieje w kinie o parę domów dalej.

Mężczyzna wciąż mówi, przemawia dumnie, przygięty trochę jak bicz, z głową podobną do wysiedzianego jaja, całą w żyłkach, przebiegają trzej chłopcy, a on twarz ma tak obnażoną, że człowiek czuje się, jakby znał go całe życie, i ciasno spięte nogawki, a obok przebiegają chłopcy.

- Facet, gdzie podział rower?

Chłopak tej dziewczyny stoi w czapce zsuniętej na oczy, nie rusza się z miejsca, a dziewczyna powtarza:

- To jagitator, chodźmy stąd.

Kaznodzieja kręci głową, próbując podchwycić czyjeś spojrzanie.

- Niektórzy mówią: przestańcie płacić czynsz. Ja wam nie każę przestać płacić czynszu. Ani wysadzić w powietrze gaz i elektrykę, prąd i światło. Niektórzy mówią: do rzeki z kamienicznikami. Ja wcale nie mówię, żeby z nimi do rzeki albo pod

mur. Ja wam tylko radzę: wyjmijcie z kieszeni tego dolara, co w niej leży ściślo złożony, bo go oszczędzacie na to czy tamto. Rozwińcie go i obejrzcie od spodu, tam gdzie oni zapisują swoje tajne komunikaty. Te swoje łacińskie słowa i rzymskie cyfry.

Wyjmuje z kieszeni banknot złożony w kilkoro, rozwija go, jakby pokazywał sztuczkę, i macha nim słuchaczom przed oczami.

- Widzicie to oko, co wisi nad piramidą. Co robi piramida na amerykańskich pieniądzech? Widzicie tę cyfrę u dołu piramidy. Właśnie tak przesyłają sobie masonskie szyfry. To są wolnomularze, ichnie hasła i uściski rąk. A ten promień światła to różokrzyżowcy. Banknot cały jest posiatkowany i pogryzmołony, z wierzchu i spodu, a w tych siatkach i gryzmołach zawarte są wiadomości. To nie żadne banialuki ani gotowany makaron. Oni tu przepowiadają dzień i godzinę. Dają sobie nawzajem znać, kiedy nadejdzie pora. Nie znajdziecie odpowiedzi w Biblii ani w Karcie Praw. Do was mówię. Powiadam wam: historia zapi sana jest na najzwyczajszym papierku w waszej kieszeni.

Chwyta banknot za brzegi i rozsuwa łokcie, pokazując wszystkim prawdziwe oblicze pieniądza.

- Badam go od piętnastu lat. Zabieram ze sobą do wychodka, jak idę zrobić higienę. Rozpracowałem już te cyfry i litery na wszystkie strony, oglądam go pod światło, czytam pod wodą i z każdym jednym dniem jestem bliższy złamania szyfru.

Przyciąga banknot do piersi, składa go pięć razy na pół, żeby zajmował mniej miejsca niż znaczek pocztowy, i chowa do kieszeni.

- To dlatego obserwują mnie tym okiem znad czubka piramidy. Cały czas obserwują i śledzą.

Manx koniecznie musi się napić. Spiesznie rusza na północ Amsterdam Avenue, mijając po drodze sklep z radiami i telewizorami, w którym włączony odbiornik migocze na wystawie, a parę osób stoi przed nią na zimnie i patrzy w ekran. Manx widzi, że z odległości kilkudziesięciu metrów biegną ku niemu jacyś faceci, znaczy się dorośli mężczyźni, dudnią butami po chodniku, po żelaznych pokrywach włazów do piwnic, brzęczą tym żelastwem, są coraz bliżej, w biegu lekko się podśmiewają, jakby zawstydzeni, widocznie gdzieś w bocznej uliczce grali

w kości, aż rozgoniła ich policja, i teraz biegiem mijają Manksa, brzęcząc pokrywami włazów, oglądając się za siebie: biegną, podśmiewają się i spoglądają wstecz.

Manx prawie ma ochotę zawrócić i pobiec z nimi. Widzi komizm sytuacji. O trzy przecznice dalej spotkają się w jakiejś sieni, roześmiani, zdyszani, zasapani, czując, że są starzy a głupi, a potem znajdą sobie inne miejsce, żeby zagrać partyjkę, u fryzjera na zapleczu albo u któregoś z nich w domu, jeżeli żony akuratnie nie ma.

Ale żona akuratnie jest.

Bo ja to mam taką żonę, co nie może na mnie patrzeć, choćbym był o dwadzieścia kilometrów od niej, i nie da mi odetchnąć, żeby zaraz nie przygadać, a w głowie po cichu jeszcze więcej przygaduje, no i akuratnie jest w domu.

Z okna na parterze wygląda pies.

Tak, czarni mężczyźni biegną ulicą. Manx też tak biegł w czterdziestym trzecim, jak się zaczęły rozruchy, i pewnie miał taką samą minę, świadom, że dał się wciągnąć w coś, czego nie powinien robić, ale i tak robi, przebiegł obok Orkina, u którego Ivie kupiła płaszcz z wystawy, płaszcz z manekina, tani, bo z wyprzedazy, Manksa zdrowo to zeźliło, a wszystkie manekiny Orkina leżały na chodniku, torsy poniewierały się w rynsztoku, głowy bez ciał, szczupłe szyje i jasne włosy, manekiny bez rąk jak sławne posągi. Przypomina mu się teraz ta wielka, rozbita witryna i manekiny w samych podwiązkach, nogi manekinów w pończochach z podwiązkami, chłopcy w smokingach, po ulicach biegali mężczyźni, a chłopca może dwunastoletniego w cylindrze i wyszabrowanym smokingu policjant prowadził do suki, cholernie śmiesznie to wyglądało, cylinder, poły smokinga i nogawki wlekące się po chodniku - nawet gliniarz rozbijając się uśmiechał.

Mijając cztery ostatnie przecznice, odwraca głowę, żeby uchronić twarz przed wiatrem, który tak zacina od Hudsonu, że Manx idzie jak spłoszony koń.

Ale wszystko się zmienia, gdy tylko człowiek wejdzie do baru. Ciepły gwar, swobodne oddechy, wesole tyłki na stołkach. U Tally'ego gwarniej dziś wieczór niż zwykle, więcej gości, niż przeważnie bywa w środku tygodnia, kiedy w interesach robi się obsuwka, większy dziś szum w powietrzu - i nagle Man-

ksowi coś się przypomina. W sali słysząc jakiś szczególny ton, znamieny szmer, więc Manx poklepuje połą kurtki, czuje piłkę w kieszeni i raptem rozumie, że wszyscy mówią o meczu.

Za bufetem stoi Phil, brat Tally'ego, w gładkiej koszuli i kolorowych szelkach, Manx na migi pyta go, gdzie - a Phil kiwa głową w stronę najdalszego kąta, w którym siedzi Antoine Cooper, przed sobą na stole ma kieliszek, a za plecami oparte o ścianę dwie łopaty z długimi styliskami.

Manx siada naprzeciwko Antoine'a, bokiem na krześle, żeby uniknąć widoku łopat.

- Widziałem, jak Franzo stał w ciemnej ulicy.
- Wiem. Chce wziąć mój wóz. Ale mu nie dam.
- Co pijesz?
 - Chce zaliczyć jedną taką lalę, ale lepiej dla niego, żeby ją omijał. Wierz mi. Już ją przerabiałem.

Manx rozgląda się po sali, chłonie uszami gwar, słyszy, jak z gromadnego śmiechu strzela urwane zdanie, i w końcu postanawia nie wspominać o łopatach. Jest zdruzgotany ich widokiem. Nie powinno ich tu być, w żadnym razie, kształcie, postaci ani formie. Ale postanawia, że póki co o nich nie wspomni.

- O co poszło w tych rozruchach w czterdziestym trzecim? Próbuję sobie przypomnieć, od czego się zaczęły. Tyle ludzi wtedy posadzili, że zapchali wszystkie cele we wszystkich aresztach i w końcu musieli roztworzyć zbrojownię.
- W czterdziestym trzecim. Stary, przecież ja byłem wtedy we woju.
- Pokrwawieni faceci nieśli swoje wyszabrowane fanty, a ci ich prowadzili pod bronią. Zamkli ich w zbrojowni na Park Avenue.
- Myśmy wtedy mieli nasze własne rozruchy - mówi Antoine.

Manx idzie do bufetu i każe sobie podać małego seagrama: lubi pić żyto z niskiej szklaneczki z jedną tylko kostką lodu.

- Co tu w ogóle jest grane? - pyta Phil.
- Podobnie był dzisiaj mecz.
- Cholera, duża sprawa.

Manx wraca ze szklanką do stolika, jedną ręką trzyma ją zwyczajnie, palcami za ścianki, a drugą podpira denko od spodu jak jakąś kościelną błyskotkę.

- A ta kostka lodu to głównie dla wyglądu.
- Co u chłopaków? - pyta Antoine.
 - U chłopaków? Chłopaki rozjechali się po całym świecie -mówi Manx. - Randall jest gdzieś na Południu, biwakuje, znaczy się ma ćwiczenia polowe. No a Vernon.
 - Wiem, gdzie jest Vernon.
 - Na pierwszej linii, tyle ci powiem. A po drugiej stronie frontu ćwierć miliona wojska. Chińczyki.
 - W której jest dywizji?
 - W której dywizji.
 - W Korei stacjonuje druga dywizja piechoty.
 - Nie wiem, w której dywizji.
 - Nie słuchasz wiadomości z wojny?
 - Co ty właściwie pijesz?
 - Ja tam lubię wiedzieć, co się dzieje na wojnie. Śledzić, jak sztab układa strategię.
 - Chińczyki dmuchają w rogi i w gwizdki, to ich cała strategia. Atakują chmarą.
 - To brandy, stareńki. Dzisiaj piję importowane.
 - Jakaś chyba mocniejsza - mówi Manx.
 - Tylko w szkle tak wygląda. Ale gładko wchodzi.
 - Atakują chmarą. To ich cała strategia.
 - Pomódl się czasem. Tak się należy.
 - Jasne, Antoine. Co i rusz klękam przy łóżku.
 - Dobry byłeś dla swoich dzieci.
 - Jasne, Antoine. One też się mną zajmą na stare lata.
 - Masz robotę?
 - Przyjdą mnie odwiedzić w domu starców. Podadzą flaszkę przez bramę.
 - Dobry dla nich byłeś. Jak na warunki.
 - Na Rosie to można liczyć. Ekstra dziewczucha. Ona jedna człowieka uszanuje.
 - Znajdź sobie robotę. Zaraz ci się zmieni usposobienie. Ostatnio chodzisz jak po kruchym lodzie.
 - Teraz akuratnie zwalniają z roboty, nie przyjmują. Tylko zwalniają.
 - Powinieneś się nająć do zamiejskowych przewodzących.
 - W urodziny przyniesą mi tort - mówi Manx.
 - Zamiejskowe przewodzący to jest to. Mój kuzyn w Ala-

barnie, konkretnie w Birmingham, ma pełno roboty przy wożeniu mebli i różnych takich z miasta do miasta.

- Zastanowię się.
- Żółte słodkie ziemniaki z Birmingham.
- Wpiszę to na listę spraw do przemyślenia.
 - Najzwyklejsze jarzyny, jakie żeś w życiu widział - trochę śpiewnie ciągnie Antoine.

Manx czuje, że dłużej już się nie powstrzyma. Ale nie patrzy na Antoine'a, tylko w drugi koniec sali, na jeden z kinkietów, tych staroświeckich lamp, które wiszą przyczepione do ściany, a oprawka żarówki wygląda jak świeca ociekająca woskiem.

- Kurwa, stary, trzymasz te łopaty całkiem na widoku - mówi Manx.

Antoine ma smukłą głowę o gładko przyczesanych włosach i szczupłą szyję. Stale coś knuje i obmyśla, w młodości nazywali go Wąż, a teraz musi aż się obrócić całym tułowiem w stronę ściany, żeby ustalić, o jakie to mianowicie przedmioty chodzi. Ach, tak, o te dwie, do odgarniania śniegu z werandy po gwiazdce.

Obraca się z powrotem do Manksa i poufnie garbiąc się nad kieliszkiem, pyta:

- FBI chyba jeszcze nie rozeszło za nimi listu gończego po trzech stanach? Jak myślisz?
- Myślę, że powinny leżeć w twoim wozie, tak jak żeśmy się umówili.
- Chodzi o to, że musisz wyżej mierzyć. Bo z takich drobiazgów to żaden zysk.
- Z góry się umówiliśmy, Antoine.
 - O co tu się spierać? Ty masz rację, a ja nie. Ale musisz wyżej mierzyć.

Popijają w milczeniu, a Manx chciałby wyjść, ale nie rusza się z krzesła. Chciałby wziąć swoje łopaty i wyjść, ale dalej siedzi, bo jak już wstanie i zabierze łopaty spod ściany, to będzie musiał przejść przez całą salę z dwiema wielkimi łopatami do odgarniania śniegu, w początkach października, i nawet nie bardzo ma dokąd je zanieść, więc ta myśl, ta wizja nie pozwala mu ruszyć dupy.

Zamiast wstać, Manx wyjmuje z kieszeni piłkę, kładzie ją na stole i czeka, aż Antoine w wolnej chwili raczy ją zauważyć.

- Mój chłopak przyniósł ją ze stadionu, mój najmłodszy. Powiada, że to ta od zwycięskiego homera.
- Mówisz o dzisiejszym meczu?
- Aha - przytakuje Manx.
- Widziałem, jak ludzie na całej Siódmej Alei darli mordy. Przyciskali klaksony i darli się przez okna. Więc mówię do Williego Mabreya. Znasz go, nie? No więc mówię: widać otwierają sejfy. Widać banki otwierają sejfy. Kto pierwszy, ten lepszy. Chodźmy się upomnieć o swoją działkę, mówię.
- Mój najmłodszy. Przyniósł ją do domu. To ta piłka, którą ten, jak mu tam, strzelił w trybuny. To ona wygrała mecz. Zdobyła proporzec.

Manx jest skrępowany, nie utożsamia się z tym, co mówi, słowa wydobywają mu się z ust i brzmią fałszywie jak wtedy, kiedy kłamstwo zawisa w powietrzu, niezależnie kto ma rację, a człowiekowi się zdaje, że za nic nie odpowiada.

Chciałby zabrać piłkę ze stołu i schować do kieszeni.

- To ta piłka, którą ten, jak mu tam? Co ty mi właściwie chcesz powiedzieć?
- Że może być coś niecoś warta.
- A ja ci mówię: wyżej mierz. Taka piłka to detaliczny szczegół, niczego nie udowodnisz. A zresztą komu byś ją chciał sprzedać?
- Klubowi. Będą ją chcieli mieć na pokaz. Wstawią do gabloty.
- Daj obejrzeć. Cała umorusana.

Manx czuje, że wcale nie chce dać mu piłki do ręki. Bo Antoine tylko spojrzy na piłkę i zaraz powie coś dołującego, aż Manksa szlag trafi i złapią skurcze, a i bez tego jest taki spięty, że mu się zołądek burzy.

Sięga po piłkę i chowa ją do kieszeni.

Antoine rozpięta się na krześle, podnosi ręce i zwraca je wnętrzem dłoni do Manksa, z tym swoim wężowym uśmiechem, chłodnym i wrednym.

- Wiesz co, może i uda ci się gdzieś ją opylić. Ale raczej nie kupisz za to kanapy od Ludwiga Baumana - mówi. - Ani mebli do jadalnego.

Manx idzie do baru, żeby się spokojnie napić. Po chwili podchodzi do niego Phil i trochę gadają. W knajpie zrobiło się

tymczasem spokojniej, tylko poważni pijacy zostali i rozmawiają o meczu. Phil to rzetelny facet, wielki jak stodoła, patrzy człowiekowi prosto w oczy. Mówi coś o meczu, a Manx uważnie słucha, w nadziei, że złapie punkt zaczepienia, jakiś trop. Dogdgersi na ten rok są skończeni. Gryzą ziemię. A Giantsi grają na mistrzostwach świata - od jutra, a właściwie od dziś - poprawia się Phil, spoglądając na zegarek, bo jest już po północy.

- Z kim grają o mistrzostwo?
- Z Jankesami, a z kim?
- Znaczą się będą mistrzostwa Nowego Jorku.
 - Nowojorskie derby. A ludzie już teraz ustawiają się w kolejce po bilety. Słyszałem przez radio. Będą tak czekać całą noc. Ze śpiworami i w ogóle. Sam bym chętnie poszedł.
- Całą noc? - pyta Manx.
 - Giantsi wygrali w takim stylu, że ludzie teraz zrobią wszystko, byle tylko zobaczyć dalszy ciąg.

Mankowski w to graj. Ludzie zrobią wszystko. Mówi Philowi, żeby sobie nalał jednego, ale wie, że barman odmówi, bo zawsze odmawia, więc Manx sam czuje się trochę wężowo, widać się zaraził od Antoine'a.

Wraca do stolika, lekko powłócząc nogami.

- Wystawiasz własnego brata.
- Wiem - odpowiada Antoine.
- On chce wóz tylko na jedną noc.
 - Niech mi dziękuje. Bo ta kobita, co ją chce zaliczyć, to kawał fałszywej suki.
 - Niech sam się przekona. Młody jest, chce trochę sobie pożyć.
 - Widzisz, ty nie jesteś zazdrosny. Coś ci wytłumaczę. Bo ja to jestem straszny zazdrośnik. I to w pełnym sensie. Wszyscy są zazdrośni - stwierdza Antoine. - Tylko że to słowo gównem znaczy, póki mu nie nadasz pełnego sensu. Kątekstu. Możesz na ten przykład powiedzieć, że z zazdrości wariujesz albo że ci się we łbie mąci. Więc jak mówię zazdrosny, to musisz sobie wyobrazić oczy przekrwione jak u byka.
 - Przecież już ześ z nią skończył. Co ci zależy? Franco to dobry chłopak. Niech się uczy.
 - Powiedz lepiej, niech sam się przekona. Bo uczyć to on się nie chce.

Lecz Antoine trochę chyba jednak zmiękł. Pochyla się nad stołem, rozsuwając łokcie, aż podbródkiem prawie dotyka kieliszka z brandy.

- Taaa, cholernie go lubię. Franzo to porządny chłopak, z kościami. Tylko z wozem mam trochę niezręczną sytuację.
- Co, owinął ci się na latarni?
- Znasz Williego Mabreya?
- Chyba nie - mówi Manx.
 - Willie i ja gadaliśmy o moim wozie. Jak by tu na szybko coś nieoś zarażić. Nie żebym tak w pełnym sensie był bez grosza. Ale nie obraziłbym się, jakby mi wpadło coś naprędce. -Antoine upił łyżeczek brandy. - A teraz piję za pierwszą zaliczkę. Gładko wchodzi. Krem *de la* krem.
- Zaliczkę? Niby za co?
 - Jakieś półtora miesiąca temu Willie otworzył restaurację. Nieźle mu idzie. Tylko problem ze śmieci. Miasto chce zlecić wywózkę prywatnym firmom. Ale póki co wywożą je miejskie służby, a specjalny przepis określa, o jakiej porze dnia czy nocy restauracja ma prawo wystawić śmieci na ulicę. Bo nie mogą się poniewierać całą noc.
- Byłby smród.
 - Smród i robactwo się złązi. A znów jak trzymać śmieci w lokalu, to dochodzi do tego, że szczury gadają do klientów.
- Więc się najależ.
- Ze swoim wozem.
- To mi przypomina - mówi Manx. - Nie podrzuciłbyś mnie?
- Gdzie tylko zechcesz - odpowiada Antoine.

Dopijają, wstają i otrząsają się tak jakby, strząsają z siebie błogi klimat i nastrój oberży, na nowo się budzą, żeby stawić czoło niewiadomemu, które czeka na dworze, na niespokojnej, spłoszonej wiatrem ulicy.

Antoine wkłada kurtkę, rusza ramionami, żeby się w nią lepiej wpasować, i zapina suwak aż pod brodę. Dla pewności maca się po jajach, ustawia je gwoli wygody i symetrii, dokładnie w pepku świata. Manx też już jest w kurtce, bo w ogóle jej nie zdejmował, ma ją na sobie, odkąd rano wyszedł z domu: pił w niej, jadł w niej kolację, zmył talerz, a teraz zaciąga suwak do samego podbródka i zapada się w nią jak w łupinę, w skorupę, trochę już za lekką jak na tę porę roku.

Wychodząc, machają Philowi na pożegnanie. Idą do najbliższej przecznicy, tam gdzie stoi auto. Manx podchodzi od prawej, chwyta za klamkę, ale nagle nieruchomieje i zagląda przez szybę.

- Wsiadaj, stary - mówi Antoine. - Im szybciej wsiądziesz, tym szybciej ruszymy. Gdzie chcesz jechać?

Manx dalej patrzy. Spogląda przez szybę na tylne siedzenie i widzi, że całe zavalone jest odpadkami. Wywęszył je, zanim doszli do auta, ale nie jest to w końcu taki znów niespotykany odór, więc pomyślał, że zwyczajnie zalatuje skądś z zaułka albo z jakiejś pustej parceli. A teraz widzi, że to samochód Antoine'a tak śmierdzi, wóz Antoine'a wyładowany całymi hałdami dojrzałych resztek.

- O rany! Ale gówniana sprawa! Niezupełnie cię wykumałem. No bo myślałem sobie.

- Wsiadaj, facet. Zimno jak skurwysyn.

W aucie leżą śmieci w papierowych torbach i tekturowych pudłach. Między przednim a tylnym siedzeniem stoją dwa metalowe pojemniki, normalne uliczne blaszaki przepisowych rozmiarów, wcisnięte na siłę, więc spod pogiętych pokryw aż się przelewa. Manx widzi śmieci ułożone na półce pod tylną szybą. Widzi wyładowaną odpadkami skrzynkę po brzoskwiniach, ustawioną wprost na przednim siedzeniu, a zawieszista woń naciera, że można by ją pić.

- Myślałem, że dopiero jedziesz po te jego śmieci, żeby je gdzieś wywieźć.

- Tu właśnie je przywiozłem. Właśnie tu. Załadowałem bagażnik, zanim skończyli kolację. Potem napchałem środek, zacząłem od tylnego siedzenia, a skończyłem na przednim. Weź przesun tę skrzynkę i wsiadaj.

Manx otwiera drzwiczki, stawia skrzynkę po brzoskwiniach na podłodze i siada, usiłując jakoś pomieścić stopy po obu stronach skrzynki.

- Gdzie chcesz jechać? - pyta Antoine.

- Niedaleko. Byłe gazem. Koło Sto Pięćdziesiątej Piątej. Gdzie wiesz to świństwo?

- Do Bronksu. Gdzieś pod mostem Whitestone leży cała góra śmieci. Wywalę towar, i gazu.

- Bądź tak dobry i teraz zaraz daj do dechy - mówi Manx. -Bo my tu gadu-gadu, a ja zaraz wykituję.
- Spoko. Zawiozę cię, gdzie ci po drodze.
Antoine rusza. Jedzie spokojnie, niewzruszenie, puszczając wóz Broadwayem na północ jak zatrutą strzałę.
Manx uświadamia sobie, że to dlatego łopaty nie leżały w samochodzie, chociaż właśnie w nim kazał Antoine'owi je schować. Nie było na nie miejsca.
A potem dociera do niego, że zostawili je w knajpie. Równie dobre miejsce jak każde inne. Tylko że rano już ich tam nie będzie. Czyli postawmy krzyżyk na tym małym skoku.
Na koniec sobie uświadamia, że przez całą noc Antoine kazał mu wyżej mierzyć. A sam prowadzi desoto pełnego resztek żarcia.
- Wysadź mnie o tu, zaraz jak ten dom.
- Zawiozę cię akuratnie, gdzie żeś chciał.
 - Wystarczy, jak mnie wysadzisz na Broadwayu - mówi Manx.
- Smród go wykańcza, wrywa z hermetycznego błogostanu, studzi niespieszny żar whiskey popijanej przez cały dzień.
Śmieci podrygują i kłębią się, żyją własnym życiem jak kipiąca roślinna groźba, która wydziera się z puszek i pudeł, hałaśliwa i wzburzona, a może to po prostu robactwo tak się wierci, bo od szybkiej jazdy ma mdłości.
- Tu będzie w sam raz - mówi Manx. - O tu, na rogu.
- Nie powiesz mi, gdzie jedziesz?
 - Za to ja ci powiem, jak masz jechać, żeby zrzucić te śmieci pod Whitestone'em. Jedziesz za rzekę, wjeżdżasz w Sto Sześćdziesiątą Pierwszą, ona, zdaje mi się, jest dwukierunkowa, i wiesz je na Bruckner Boulevard, to będzie dla ciebie w sam raz.
- Antoine patrzy na niego. Manx wysiadł już z auta i stoi na chodniku, a Antoine na niego patrzy, z niewzruszoną miną siedząc za kółkiem. Mierzy go przeciągłym, leniwym, węzowym spojrzaniem.
- Albo może zrucę je byle gdzie na ulicy.
- Tak też myślałem. Tego właśnie żem się spodziewał.
 - Póki miasto śpi - ciągnie Antoine. - Jak seksy pójda jeść zupę.
- Manx patrzy w ślad za odjeżdżającym samochodem. Potem

idzie na wschód, czując pustkę ulic o północy i wiatr zacinający od Hudsonu. Jastrząb na jego plecach. Ostry wiatr smaga rozrzucone śmieci, aż śmigają po jezdni.

A może to Antoine już zaczął zwałkę.

Mankowski marzy się tabletki „Alka-Seltzer”, która powoli spada na dno szklanki z zimną wodą i puszcza bąbelki.

Schodząc po długiej rampie na prawo od Polo Grounds, rozgląda się za ludźmi stojącymi w kolejce albo skulonymi na chodniku, z kocami i jedzeniem, wypatruje całonocnych staczy, mężczyzn i chłopców, którzy koniecznie chcą kupić bilet, mała latów, którym koniki płacą, żeby stali na zimnie w ogonku po bilety, a jutro zdesperowani kibice będą je sobie wyrwać, płacąc niebawale ceny.

Wszędzie martwa cisza. Manx czuje w gardle nieświeży kwas, tę nerwową niestrawność po zbyt dużej porcji alkoholu na pustym żołądku, chociaż wie przecież, że zjadł kolację, pamięta pełny talerz, który zostawiła mu Ivie, w ustach ma jeszcze smak klopsa i jarzyn, ale w brzuchu rwie go i skręca, jakby miał tam zupełną pustkę.

Zszedł już na Ósmą Aleję i krąży po obwodzie stadionu, szukając śladów ludzkiego życia. Wszędzie kamienna, zimna cisza.

Co robi piramida na amerykańskim banknocie? Dobre pytanie.

Widzi tylko psa, zaszczutego, co tyle już oberwał kopniaków, że nie odróżnia ich od pieszczoł. Manx nie rozumie, jak Phil mógł się pomylić. To rzetelny facet. Jak mówi, że kibice całą noc będą stać w kolejce po bilety, a ty idziesz, człowieku, pod stadion, rozglądasz się i wszędzie wszystko jak wymarłe, to zaczynasz się zastanawiać, kto ci kręci głowę.

Szczerze mówiąc, ten interes z przeprowadzkami i składowaniem to czysto dorywcza sprawa. Dzwonią do Manksa, znaczy się jest robota. Nie dzwonią, znaczy się nie ma.

Widzi samochód na czerwonym świetle i podchodzi, szurając nogami - jak zwykle, kiedy go życie przytłacza. Facet za kierownicą na widok Manksa zamyka okno, biały facet z miną, która mówi: jeszcze nie dojrzałem do umarcia. Manx macha rękami. Podnosi je, że nic nic, ja się tylko chciałem o coś zapytać. A tamten nogę na gaz, i już go nie ma, chociaż światło dalej czerwone, drze gumy, że proszę siadać.

Ryk silnika niknie w nocnej ciszy i powraca głęboki spokój. Stary stadion wznosi się nad aleją, stwarzając swoją własną, niezmierną ciszę, inną niż cisza ulicy i rzeki. Do dziś dnia dzieci pływają latem w rzece Harlem, kawał drogi na północ, tam gdzie wypływa ona z Hudsonu; jego własni chłopcy też dawniej skakali z mola, szeroko rozkładając ręce - Manx widzi przez chwilę, jak wiszą w powietrzu.

I tak mu żal, że aż się bebechy przewracają.

Odrobinę go ssie. Jest zdołowany, podłamany i szczerze, po ludzku zniesmaczony, chciałby się tylko położyć i zasnąć. Czuje się trochę, jakby go ktoś robił w konia. Chciałby zarobić u kogoś parę groszy.

Jest jedna szansa na dziesięć milionów, że w klubie sportowym w ogóle go wpuszczą za próg. Musi znaleźć dzianych kibiców. Do tego wozu podszedł przecież tylko, żeby się zapytać, gdzie oni są. A facio za kółkiem zaraz z taką miną: uprzejmie proszę nie posiekać mnie na kawałki.

Spogląda na drugą stronę Sto Pięćdziesiątej Piątej, na południe, tam gdzie czynszówki, i widzi, że pod neonem „Moc Modlitwy” stoi kobita i czeka na klienta.

Słyszysz zza rzeki jakieś odgłosy.

Po co komu te wszystkie tajne szyfry na amerykańskim dolarze, jak nie po to, żeby człowieka nie dopuścić do ludzi, którzy wiedzą, co jest grane?

Coś jednak słyszy. Gotów już jest wracać do domu, bo przecież i tak nie ma gdzie iść, tylko do domu, chyba żeby znalazł jakiś bar, i wie, że musi zejść do metra i czekać na pustej stacji, aż przyjedzie pociąg, jeszcze jedna podłamka, stać na długim peronie i czekać może z pół godziny, lecz raptem słyszy zza rzeki jakieś dźwięki, dalekie, ale czytelne, tak jak czasem głos wyraźnie się niesie nocą po wodzie.

Manx staje przy wjeździe na most i nasłuchuje. Mężczyźni śpiewają, słychać wielogłosowy chór, niektóre głosy zostają w tyle za innymi, niesforne i nierówne. Manx zna tę piosenkę.

Śpiewają: Brykał pod nim kary konik.

I jeszcze: A on piórko w czapkę wpiął.

I dalej: Mówił na nią: makaronik.

Manx słyszy śmiech zza rzeki i zaczyna wreszcie rozumieć. To nie barman się pomylił. Phil nie mówił przecież, że ludzie

staną w ogonku przy Polo Grounds. Nie powiedział, który stadion. To tylko Manx źle rozumiał. Bo kolejka ustawia się przy Yankee Stadium, zaraz za rzeką. Giantsi mają grać z Jankesami na ich stadionie, a głosy niosą się tak wyraźnie, jakby ktoś szeptał Mankowskiemu prosto w ucho.

Manx słyszy, że jakaś grupa pokrzykuje: „Hej, hej, Wil-lie!” No tak, to kibice Giantsów śpiewają na cześć Williego Maysa.

Potem słyszy, jak fani Jankesów odpowiadają im starą pieśnią o Piorunującym Joem DiMaggio, chyba jeszcze przedwojenną -tą, którą było słycać z każdego radia w całym kraju, „bądź po naszej stronie”, a ich głosy są rozchukane i dobroniuszne, więc Manx odzyskuje humor i trzepie się po kieszeni kurtki, w której schowaną ma piłkę, czując wnętrzem dłoni idealną krągłość i twardość namacalnego przedmiotu.

Przechodzi przez most obrotowy i słyszy na ulicach głosy tamtych, a potem wreszcie ich spostrzega. Idą przez miejski park na stadion, przez trawniki i alejki, schodzą ze stacji kolejki nadziemnej, długie szeregi mężczyzn i chłopców biorą kolejne zakręty na wysokich schodach, śmiejąc się i śpiewając.

Manx widzi na dachu stadionu łopoczące flagi, a wysoko na zewnątrz murze transparent, który obwieszcza mistrzostwa. Widzi ognie płonące na chodniku, ogniska rozpalone w dwustulitrowych beczkach, i aż głupieje ze zdumienia wobec tej masy ludzi, którzy późną nocą wyszli kupić bilety. Lekko rozdziawia usta i głupkowato wytrzeszcza oczy. Rusza w stronę tłumu, przyciągany jakąś siłą, szczerze uradowany, że jest wśród tamtych, a oni niosą jedzenie i krzesła, plecione krzeselka plażowe, które łatwo się składa, kilkunastu krótko ostrzyżonych studentów ze śpiworami przytroczonymi do pleców przechodzi, podając sobie z ręki do ręki termosy, z których wznosi się para, jeśli odkręcić korek, termosy z mocną kawą, żeby budziła i grzała.

Widzi, jak ojcowie z synami stoją, grzejąc się przy ogniskach, mrowie ludzi, kto by ich zliczył, a wśród nich policja konna, zwierzętom z nozdrzy bucha para, aż Manksa ogarnia rzadkie uniesienie, pragnienie uczestnictwa, więc daje się ciągnąć dalej, z cokolwiek opadniętą szczęką, bo to wspaniały widok, tamci drą się na całe gardło, śpiewając bojowe pieśni, chodzą w tę

i z powrotem po ulicy, rozchuckani i rozbawieni, wszyscy ci kibice maszerujący do kas biletowych o drugiej albo trzeciej nad ranem, czy która tam zresztą jest godzina.

Manx ma na ręku zegarek, który stanął przed półtora miesiącem. Zajmie się tą kwestią, jak tylko życie znów mu się ureguluje.

Blues lachociąga

LATO 1974

Lato upływało na dachach, koktajl albo kolacja, trójkątny ogródek ze stolikiem z kutego żelaza na giętych nogach, które oblaźła zaraza rdzy, i czy to stare francuskie róże pną się po blaszanym kominie, w kolorze znanym jako dziewiczy rumieniec, albo znów długi taras, posadzka z łupku, brzoźki w miedzianych wannach i śmiech kilkunastu osób, znikomy i delikatny pośród nocy, gdy tak frunie znad chłodnika w stronę przeszklonych świetlików, kopoł i cystern, lub też pospieszny lunch, stary znajomy, krzesła plażowe i potrawy kupione na wynos u Chińczyka, a lwie paszcze w słońcu pachną masłem.

Klara Sax spędzała to lato na płaskich dachach. Nad kratownicą rozgorączkowanych ulic odnalazła ukryte miasto. Dziesięć milionów głów podryguje ponad przybojem taksówek, które suną gęsiego, a w każdej głowie inne fale mózgowie, owszem, ulica obfituje w idiosynkrazje, w ludzkie wiraje, ale dopiero z dachów wyraźnie widać to zjawisko, utrwalone w kamieniu i mosiądzu. Patrząc w niebo poprzecinane rojem wentylatorów i anten, dostrzegała czasem nieoczekiwany kaprys, niewytłumaczalny gest, który wyodrębniał się spośród reszty. Anioły o motyliach skrzydłach pod gzymsem na Bleecker Street. Albo na dachu biurowca zagadkowy biały domek oszalowany deskami. Tu i ówdzie głowy w stylu art deco, trochę jak z Wyspy Wielkanocnej, przytwierdzone do narożników wieżowca gdzieś w środku Manhattanu. Dodawały jej otuchy wszystkie te wiszące detale, dziesiątki szczegółów bez podpisu autora, a w oddali widać było stalowe liny mostów, czasem też niebo huczało złudną zapowiedzią letniej burzy.

Miała pięćdziesiąt cztery lata - niech ta liczba załomocze ci w głowie: pięćdziesięcioczworoletnia kobieta, między jednym a drugim przedsięwzięciem, niewidoczna ludzkim okiem, pragnąca znowu pracować, stwarzać, kształtować, zmieniać i budować.

Przy World Trade Center wciąż jeszcze trwały prace, ale gmach górował już nad miastem swoimi bliźniaczymi wieżami, na których szczytach pochylały się dźwigi, a po zewnętrznych ścianach wjeżdżali windami robotnicy. Widziała go prawie wszędzie. Jedząc, popijając wino, podchodząc do poręczy albo murku, zazwyczaj napotykała wzrokiem ten masyw spiętrzony na wąskim końcu wyspy, a kiedyś stanął obok niej mężczyzna, wczesny wieczór, koktajl na dachu galerii - mężczyzna koło sześćdziesiątki, jak przypuszczała, tęgi, z obwisłym podgardlem, ale zarazem na swój sposób zgrabny, pewny siebie, opanowany, ze szlifem, zamożny Europejczyk.

- Dla mnie zawsze jest to jeden budynek, a nie dwa - powiedziała. - Chociaż wyraźnie widać dwie wieże. Ale to jedna całość, prawda?
- Okropna, a jednak chyba nie sposób na nią nie patrzeć.
- Tak, nie sposób.

Na chwilę wyczerpały im się pomysły, więc zamilkli, stojąc przy murku i wspólnie chłonąc złowrogi widok, skrępowani, jak jej się wydawało, bo sądy estetyczne brzmią powierzchownie, kiedy wymienia je się z kimś obcym, aż w końcu wyczuła coś jakby szelest, permutację w jego zachowaniu, intencjonalną zapowiedź nowego tematu, który zamierzał poruszyć z powagą i stanowczością, i wreszcie oświadczył, wciąż patrząc w stronę wież, a właściwie szepnął:

- Wie pani, podobają mi się pani prace.
- Tak?
- Bardzo współczujące.

W niektóre noce panowała taka wilgoć, że nie dawało się zamknąć drzwi. Trzeba było dociskać je barkiem. Mosty rozciągały się, płyty chodnikowe pękały, na ulicach leżały śmieci i trzeba było pertraktować z drzwiami, zanim raczyły się zamknąć.

Uwielbiała te elektryczne noce, kiedy w powietrzu wisiał ra-

diowy szum i błyskawice miękko pulsowały potężnymi, nieformnymi akcentami, można było nieomal odczytać wzór ich rytmu, powolny i protoplazmatyczny, a czasem parasol Cinzano przymocowany do stołu gdzieś na wyższym tarasie - nie wiesz, skąd ten huk jakby wystrzałów, póki nie zobaczysz pasiastego parasola, którego rąbek łopocze na wietrze.

Klara była szczęśliwa, ale ostrożnie, skrycie. Czuła się uprzywilejowana, jej najnowsze prace zdobyły sobie niezłą renomę, a i ze zdrowiem znów było nieźle po serii ataków bólu w kręgosłupie i bezsennych nocach, po krótkiej depresji rozjaśniło jej się w głowie, po okresie rozrzutności zrobiła się dla odmiany oszczędna, więcej bywała wśród ludzi, widywała się ze znajomymi, stawała przy murkach, po cichu szczęśliwa, i wyglądała lepiej niż kiedykolwiek od lat - wszyscy to potwierdzali.

Nixon akurat stracił urząd, ale mniej się tym cieszyła niż jej znajomi. Przypominał jej ojca, który też był mężczyzną o staroganim umyśle, upozowanego nawet w sposobie chodzenia, w postawie fizycznej, chwilami zgorzkniałego i dalekiego, o zgarbionej sylwetce nieudacznika - głowa, ręce i nic więcej.

Stojąc przy murkach, zastanawiała się, kto wyrzeźbił kamienie, nadał kształt najsubtelniejszym niuansom detali, szewronom i rozetom, urnom na balustradach, klasycznym girlandom owoców, konsolom z wolutami podtrzymującym balkony, i dochodziła do wniosku, że zrobili to pewnie imigranci, najprawdopodobniej włoscy kamieniarze, zapomniani, bezimienni artyści z początków stulecia, pogrzebani w niebie.

Nie przywykła do tego, że ludzie ją rozpoznają. Owszem, rozpoznawano ją w pewnych sytuacjach, ale rzadko, i zawsze czuła się wtedy, jakby ktoś zdejmował z niej miarę w ciasnym pokoiku wśród luster. Na ogół dostrzegali ją jedynie przyjaciele. Zazwyczaj była niewidzialna, niewidoczna ludzkim okiem, więc nie zauważali jej klienci supermarketu z tej samej ulicy, i to nie tylko młodzież, która pośpiesznie mija niewyraźną postać w przejściu między półkami, zamazany kształt wieku średniego, lecz w ogóle ludzie - no, niech będzie: w ogóle mężczyźni -którzy w najlepszym razie przyznawali jej status okazji.

Nie martwiło jej to. Nie czuła się samotna ani nie kochana. Owszem, była nie kochana w paru głębszych znaczeniach tego

słowa, ale jej to nie przeszkadzało, bo miała już dość miłości głębszej, bolesnej, pozostawiającej niezniszczalne echa, dość jątrzących małżeństw, w których tylko z trudem można było sobie wypracować solidną samotność. Nauka niewidzialności, motywowana jedynie ciekawością, dawała jej hartującą samowiedzę.

Tamtego lata często odwiedzał ją Miles Lightman. Sprawiał na niej wrażenie człowieka, który jada z brudnych naczyń, ale zaczęła się do niego przyzwyczajać, wręcz przywiązywać - był typem kinetycznym, wolnym od refleksji, nie udawał, nie znał się na przemyślnych podstępach, które niszczą tyle pączkujących miłości.

Nosiła długie spódnice z falbanami, dżinsowe spódnice obszyte kwiecistym rąbkiem.

Stała na dachu fabryczki, który udostępniono na ten wieczór małemu teatrowi, żeby mógł zrobić kwestę, a wokół niej pięćdziesiąt osób popijało letnie wino z plastikowych szklanek i potwarzało: „Potrzebny nam jest teatr”.

Stojąc niedaleko murku, rozmawiała z nieznajomą kobietą i nagle sobie uświadomiła, że dom, na który patrzy, mniej więcej o dziesięć przecznic dalej na północ, starawy wieżowiec z masywnym brzuścem i wierzchołkiem ozdobionym mozaikami, to gmach Freda F. Frencha.

Usiłowała słuchać, co mówi nieznajoma, ale nie mogła się skupić, bo to nazwisko rozpałiło jej umysł jednym z głębokich, ostrych rozbłysków, które czają się przez czterdzieści lat, nim wreszcie się zdarzą.

Fred F. French. Koniecznie musiała opowiedzieć Milesowi tę śmieszna i pieprzna historię, chciała dać się w nią wciągnąć bez reszty, wydobyć ją na światło, poddać obróbce i opatrzeć mnóstwem szczegółów. Rochelle, szalona na punkcie chłopców, i ten napalony szczeniak na tylnym siedzeniu, a ona sama oczywiście też w tej historii występowała, Klara Sachs bez iksa, chciała opowiedzieć, jak wtedy chodziła i mówiła, jakie wszystko było prawdziwe i ona także była prawdziwa - w gestach, które zdążyła już zapomnieć.

Z wysokich okien swojego loftu widziała skosy i stopnie schodków przeciwpożarowych, był to jej główny widok, ciemne konstrukcje z metalu przecinające się warstwa na warstwie nad

uliczkami na tyłach domów, i zastanawiała się, czy potrafi coś wyczytać z tych linii.

Lofty były może niebezpieczne - myślała - ale wcale nie z powodu ryzyka pożaru: przestronne, podparte filarami, pełne wspomnień, wspaniałe. Musiała uważać, żeby do jej pracy nie wkradła się pycha. Musiała zadawać sobie pytanie: „Czy zrobiłabyś ten kawałek prawdziwiej, gdybyś pracowała na jakimś ciasnym poddaszu?” Starła się dostosować swoje prace do wymiarów ludzkiej figury, chociaż nie były figuratywne. Unikała pysznego „ja”, bohaterstwa, wyżyn i ogromu.

Na tym polegała elokwencja dachów. Podziwiał, ale nie naśladował.

Akurat przyjechała do miasta jej córka, więc przeszły się po dzielnicy żeliwnych domów, zjadły lunch w Greenwich Village, zrobiły parę sprawunków i było im ze sobą trudno. Z Teresą zawsze było trudno, wydawała się jakaś wyzuta, nijaka, i tak jakby pielęgnowała ten stan - miała nadwagę, była rozmyślnie nieładna i każdym gestem zdawała się mówić: „Tatusz kocha mnie właśnie taką, jaka jestem, a matka nie, moja matka uważa, że mogę być lepsza, bardziej rozgarnięta, i znać lepszych, bardziej rozgarniętych ludzi”.

Usłyszała strzały, spojrzała w górę, zobaczyła parasol Cinza-no i zrozumiała, że to falbanki tak łopoczą, targane wiatrem nad rzeki.

Teresa miała dwadzieścia pięć lat, ale była jakby bez wieku, bezkształtna, a Klara podczas całej jej wizyty najbardziej się męczyła, kiedy siedziały w łofcie i rozmawiały czy też przeczekiwały chwile milczenia albo gdy się okazało, że córka słodzi herbatę, a w domu nie ma cukru.

- Powinnaś odwiedzić tatę - oświadczyła Teresa.

Stwierdzenie wypowiedziane prowokacyjnym tonem, wygłoszone jak surowa ocena, która nie ma nic wspólnego z przejazdową metrem do Bronksu.

- To nie jest dobry pomysł. Zapewniam cię.
- W głowie mi się nie mieści, że mieszkacie w tym samym mieście i nigdy, ani razu.
- Wierz mi, równie dobrze mogłabym mieszkać na tej samej ulicy. Nie o to chodzi, gdzie mieszkamy, rozumiesz? Nic by nam to nie dało i oboje dobrze o tym wiemy.

Pomija milczeniem fakt, że Teresa też dobrze o tym wie.

- Niby dlaczego miałyby wam to coś dać? Czemu z wszystkiego musi być jakaś korzyść?
- Teresa, minęło tyle lat. Po co nam to?

Znowu milczenie, słychać tylko brzęk herbacianej zastawy, a z ulicy warkot ciężarówek przy rampach załadowniczych, które stoją wzdłuż jezdni, warkot ciężarówek o pogiętych metalowych burtach, bez nazw spedytorów.

- Nie masz nawet słodziku?

Klara patrzyła przez okna na schodki przeciwpożarowe, które biegly po plecach domów, cóż za nagromadzenie lśniącego żelaza, zgrzybiałej rdzy i luszczących się cegieł.

- W jakiej on jest formie? - spytała.
- Co? Owszem, w nie najgorszej. Nie chce się przeprowadzić do nowego domu. Ten, w którym mieszka, to już prawie karykatura.

Na każdym kroku napotykały stosy czarnych worków ze śmieciami. Od siedmiu dni trwał strajk i doszło przez ten czas do paru brutalnych incydentów, a kierowcę jednej prywatnej śmieciarki pobito prawie na śmierć. Teresa ani słowem nie wspominała o śmieciach, chociaż w niektórych miejscach leżało nawet i pięćdziesiąt worków, bo przecież mieszkała w Vermont, więc cóż mogła powiedzieć? Ale wygrywała śmieci przeciw matce. Stawały się kolejnym zarzutem, telepatycznym komunikatem, sto worków na jednym rogu w pełni lata buchało bujną wonią, która spowijała człowieka od stóp do głów, napierając jak front atmosferyczny.

Kiedy wróciły do loftu, Teresa powiedziała:

- Po całych dniach słucha oper. Przez całe lato, póki nie zacznie się szkoła. Namawia ciocię Laurę, żeby się do niego przeprowadziła. A ona robi się już, sama nie wiem, nie żeby zaraz stara, tyle że ma lekką trzęsionkę, ale chyba wolałaby mieszkać sama.

Klara słyszała w głosie córki charakterystyczne zaciąganie, po staremu maltretowane samogłoski, i ze zdziwieniem słuchała z tak bliska tych dźwięków dawnej dzielnicy, i to z ust własnego dziecka, które mówiło wręcz jakby z przesadną niedbałością, z ostentacyjnie maruderskim akcentem, z tą modulacją i dykcją, którymi jej rodzice zdołali się nie zarazić - trafne określenie,

nie zarazić - jak gdyby młoda kobieta czuła, że musi cofnąć się za jeszcze jedną linię graniczną, zejść o jedną warstwę głębiej w życie ulic, czyniąc w ten sposób swoiste wyznanie stałości i wiary.

Od lat w swojej pracy stopniowo rezygnowała z barw. Przez pewien czas posługiwała się farbami bitumicznymi i zwykłymi do ścian. Lubiła mieszać kolory w muszlach małży, które kilkanaście lat wcześniej przywiozła z Maine. Teraz jednak zostało jej mniej kolorów do mieszania. Czuła, że dobrze zrobi, rezygnując z nich.

W drodze do supermarketu przeszła obok jeszcze jednej nowej galerii, bo nagle pojawiły się galerie i sklepy, ale grunt, że budynkom o żeliwnych fasadach nie groziła rozbiórka - starym fabrykom, w których imigrantki robiły guziki i szyły garnitury, kobiety i dziewczyny pracowały po osiemnaście godzin na dobę. W supermarkecie kupiła pudełko cukru w kostkach, nim zapomni, a potem minie dziesięć miesięcy i znowu przyjedzie Teresa.

Sztuka, która gloryfikuje bieżącą chwilę, sztuka amerykańska, zrób to teraz, pierdol przeszłość. Klara nie potrafiła włączyć się w ten nurt. Mogła z szacunkiem patrzeć na jego owoce, poniekąd nawet z zawiścią, ale sama nie była w stanie przyłożyć ręki do tego, żeby stworzyć jakieś wściekle „teraz”, wykonać błyskotliwie branżerski gest, który będzie deklaracją niezależności.

Powiedziała przez telefon swojej przyjaciółce, a zarazem agentce, Esther Winship, która w każdej chwili gotowa była doradzić malarzowi lub rzeźbiarzowi, narzucić chwiejnemu artyście rozsądną strategię, wyraźny plan działania, chociaż tak naprawdę sama potrzebowała pomocy, Esther w tych jej dyrektorskich strojach posażnych, w sznurach pereł i spodniach z tenisu, Esther, która traciła kolejnych malarzy, zносиła szykany swojego kamienicznika z północnej dzielnicy i użalała się nad sobą, otóż tej właśnie Esther powiedziała Klara przez telefon:

- Słuchaj, zacznę znowu pracować, jeżeli mnie zaprosisz na wieś.

- Mniejsza o wieś. Pojedź ze mną do Bronksu.

- A co takiego jest w Bronksie?

- Jeden chłopak maluje sprejem. Obsmarowuje wagony, tu nele metra, całe pociągi, wagon za wagonem. Chcę podpisać

z nim kontrakt i wystawić jego prace. Ale najpierw muszę go znaleźć.

- W jaki sposób chcesz go wystawić?
- Dam mu ścianę - oznajmiła Esther.

Klara musiała przyznać, że spodobał jej się ten ton. Mógł zaopowiadać dalsze oświadczenia w podobnym stylu: „Dam mu dom, dam mu cały kwartał domów”. Zresztą Esther to właśnie chciała zasugerować. Człowiek dłużej żyje i lepiej sypia, jeśli umie coś takiego powiedzieć. „Dam mu cały pociąg, sto wagonów”.

- Dlaczego nie możesz go znaleźć bez mojej pomocy?
 - Nie wiem, jak się nazywa. Znam tylko jego ksywkę. Kosmita Sto Pięćdziesiąt Siedem.
- Jakbym gdzieś to słyszała - powiedziała Klara.
 - Widziałas jego podpis. Wszyscy go widzieli. Cholera, ten chłopak to prawdziwy mistrz.

Zachwycały ją cysterny, na które patrzyła z dachów, wszędzie było ich pełno, tkwiły na dachach jak na grzędach: drewno zbrązowiałe ze starości, od góry nakryte czymś w rodzaju chińskich kapeluszy. Często budowano je od razu na miejscu, tak jak się robi beczkę, łącząc fugowane klepki metalowymi obręczami, no i oczywiście te bliźniacze wieże w oddali, monstrialny przykład produkcji masowej, identyczne wyroby turlają się z taśmy i lądują w twoim supermarkecie, opatrzone metkami z aktualną ceną.

Miles był od niej młodszy o jakieś osiem czy dziewięć lat, a wyglądał jeszcze młodziej; wyzwolony z wszelkiej odpowiedzialności, z wszelkiego uwikłania w rzeczywistość, wydawał jej się nie tyle człowiekiem, ile niezmiennie miłym, nieważkim stanem - kimś, kto akurat przypadkiem przechodzi i prawie zawsze się spóźnia, ale też prawie nigdy nie ma to znaczenia.

Przeważnie chodził w dżinsach i wysokich butach z jaszczurczej skóry, miał brzydką cerę i piękny, haczykowany nos, włosy nosił gładko zaczesane do góry, zajmował półtora pokoju na Upper West Side, mieszkanko zawałone szpulami filmu i innymi rzeczami zbieranymi przez całe życie, i wciąż jeszcze trzymał te rupiecie w pudłach, nie rozpakowane - były to po prostu rzeczy, wiecie, zwykły bagaż, który człowiek wlecze za sobą i nie wyrzuca, bo dobrze mu w takiej umysłowej graciarni.

Pracował dorywczo u pewnego dystrybutora, bywał także producentem albo współproducentem filmów dokumentalnych, rozmawiał przez telefon i wszystko to rzucało akurat tyle skośnie padającego światła, że cały ten bezowocny proces dawało się raz po raz powtarzać. Miles organizował też pokazy klubu filmowego. Oglądał dosłownie wszystko, zbierał plakaty filmowe i programy przeglądów, recytował z pamięci filmografie najbardziej zapoznanych reżyserów, bo im mniej sławna postać, tym cenniejsza wiedza. W jego branży zawsze był to punkt honoru.

Tamtego lata usiłował zgromadzić fundusze na nakręcenie dokumentu o kobiecie, która zarażała się chorobami i dolegliwościami sławnych ludzi. Za sprawą przedziwnego typu neurohipnozy (jeśli tak się to nazywa) owa mieszkanka Normal w stanie Illinois - a właśnie adres sprawiał, że budziła nieodpartą fascynację - zaczynała zdradzać objawy każdej przypadłości, z powodu której cierpiała akurat Elizabeth Taylor, John Wayne, Jackie Onassis, dosłownie każda gwiazda, poczynając od jakby grypowego znużenia, a kończąc na erupcjach skórnych wywołanych przez *herpes simplex* lub wyniszczonym wyglądem ofiary raka.

Były to współczesne stygmaty. Przypadek tej kobiety badali lekarze finansowani przez prasę brukową. Miles chciał zatytułować swój film, gdyby mu się rzeczywiście udało go nakręcić, zgrabnie i prosto: *Normal Illinois*.

Włosy swobodnie opadały jej po bokach twarzy, mniej lub bardziej puszczone samopas, u dołu jak gdyby uręczone, wyraźnie posiwiałe przy przedziałku na czubku. Oczy miała szeroko rozstawione, nieco wylupiaсте, a brwi lekkim skosem rozbiegały się ku skroniom. Sprawiała wrażenie osoby nieśmiałej - właściwie nie tyle nieśmiałej, ile nieprzystępnej, więc gdybyś ją zobaczył tamtego lata, samą na jakimś dachu, zawahałbyś się, czy można do niej podejść i pogadać o niczym.

Było to lato dalekich błyskawic i czerwonego wina, ciemnych win z Bordeaux w kolorze lwiej krwi, Klara zaś stała na dachach i tarasach, zastanawiając się, jakim cudem wszystkie te rzeczy tak dawno już istnieją, a ona nie miała dotąd o nich pojęcia.

Zachwycała ją rzeźba w kształcie dwupłatowca, stojąca na

dachu gdzieś w południowej dzielnicy: mógł to być stary samolot pocztowy, naturalnej wielkości, z pasem startowym i światłami. I piramida w schodki, wieńcząca pewien budynek na Wall Street, iglica Chryslera z mechanicznie uformowanej stali, południowa fasada hotelu „Pierre”, przywodząca na myśl wyskandowane dachy Paryża, tyle że w wielokrotnie wydłużonej postaci, strzelająca wersetami ku niebu.

Zdała sobie sprawę, jak rzadko dostrzega się to, co stoi tuż przed nami, jaką nowością w młynie miejskiego życia są najprostsze doznania, kiedy można przebiec spojrzeniem odmierzoną przestrzeń, nie rozpraszać uwagi, którą zwykle pochłaniają szyldy, światła na przejściach dla pieszych, taksówki i rusztowania, a nawet nasz własny zapaćkany umysł, nieustannie porządkujący dane, i energia ludzkiego pośpiechu, wytwarzana przez ludzi idących na lunch, autobusy, gońców na rowerach, sumę świadomości, która pędzi wąwozami Manhattanu i sprawia, że nie zauważamy turkusowych kafelków z terakoty na fasadzie domu po drugiej stronie ulicy ani skrzydlatej bestii wyrzeźbionej nad nadprożem.

Klara prowadziła dialogi z własnym ciałem - zamierzając wstać z fotela, przypominała sobie najpierw, dokąd chce pójść, na przykład do kuchni po łyżkę, i jaką właściwie trzeba w tym celu przebyć drogę. Zawsze musiała osadzić swoje ciało w danej sytuacji, wyraźnie sobie uświadomić, gdzie jest, a czasem spojrzeć wstecz, jak gdyby spodziewała się zobaczyć samą siebie, wciąż jeszcze siedzącą w fotelu.

Usta miała pełne, trochę zanadto zasznurowane, złożone w ciup, lekko skośne, dobre do wypowiedania kwestii na stronie, a jej głos obfitował w interesujące zmiany tonu, zapadliska, zagłębienia i ochryple podprądy.

„Ja i moja przyjaciółka Rochelle, która nauczyła mnie palić”.

Wyszła z paroma osobami na dach wysokiego domu obsadzony drzewkami owocowymi i pięknym jasiem, wszyscy razem popijali i patrzyli, jak jakaś kobieta truchta po bieżni na szczycie biurowca, i cieszył ich ten widok, sportsmenka w błyszczącym dresie, średniowieczne wieżyczki w oddali, a hen, za nimi kominy i wreszcie rzeka, jedwabista, tuż przed Brooklynem.

Klara miała smukłą szyję i nosiła łańcuszek z północnoafry-

kańskim amuletem, talizmanem chroniącym przed niełaską losu - prezent, który dał jej drugi mąż, Jason, już po rozwodzie.

Miles miał fantazyjną talię włoskich kart i nauczył Klarę gry zwanej scopa. Grywali w nią nocami, kiedy już zjedli kolację gdzieś na mieście i odbyli sesję w łóżku Klary, pod wysokimi oknami jej loftu, za którymi przecinały się skosem stopnie schodków przeciwpożarowych, zstępując w głąb zaułków wielopłanową perspektywą.

Spytał ją, po co jej te deski podłogowe spiętrzone w najdalszym kącie. Deski, juta, zwoje sznurów.

Dawny uczeń gromadził dla niej materiały. Przez kilka lat prowadziła kurs rzeźby i teraz jeden z młodych uczestników chodził po opuszczonych budynkach, stoczniach, zakładach szklarskich, przeczesał przedmieścia, wstępował do warsztatów samochodowych i kręgielni, a kiedyś przyniósł tuzin starych poduszek z hotelu przeznaczonego do rozbiórki, zszarzałych pod przelotnym dotykiem niezliczonych głów - smutne i niesamowite przedmioty, jeśli trzymać je w domu.

- Nie przeszkadza ci, że pracujesz i żyjesz pod jednym dachem?
- Nie widzę różnicy - odparła.
- Ale czy nie musisz czasem się oderwać? Tyle tu różnych rzeczy. Nie ma przed nimi ucieczki. Wszędzie ich pełno, przypominają ci o pracy, a ty, chcąc nie chcąc, bez przerwy na nie patrzysz.
- Przecież leżę tu z człowiekiem, którego własne mieszkanie.
- Wiem, ale ja w nim nie pracuję. Najwyżej rozmawiam przez telefon. Nie robię nic więcej, co by wiązało się z pracą. Aha, przygotowujemy projekcję, która cię zainteresuje. W przyszłym tygodniu. Zadzwoń do ciebie.
- Dobrze. Kino.

Uwielbiała pływać, prawie codziennie chodziła na pływalnię i przecinała wodę niewidzialnymi gestami, zatracając się w kolejnych nawrotach, kojących rundach przez cały basen, monotonych i odświeżających jak lekcje odklepywane z pamięci na podstawówce: coś, co usztywnia w nas poczucie tożsamości.

- Latem tak jakoś jest, że człowiek czuje się, jakby miał całe miasto dla siebie.

- Chętnie pojechałabym na parę dni do Sagaponack. Ale Esther chce, żebym jej pokazała Bronx, zanim mnie tam zaprosi.

W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że gra, w którą grywa z Milesem kosztowną talią kart z wysmuklonymi waletami i królowymi, złowrogo minimalistycznymi figurami, otóż stopniowo zrozumiała, że w scope nieraz grywali chłopcy na schodkach domu, w którym mieszkała za czasów małżeństwa z Albertem, trafiali się wśród nich jego uczniowie, chłopcy pana Bronziniego, ale oczywiście grali zwyczajnymi kartami o oślich rogach i nazywali tę grę „zmiotka”.

- A co takiego jest w Bronksie? - spytał Miles.

- Esther chce tam znaleźć jednego chłopaka, który maluje sprejem.

- Raczej pisze.

- Tak, i te jego napisy widzi się dosłownie na każdym kroku.

- Powiedz mi, jak go znajdziesz - poprosił Miles.

- Po co?

- Mam pomysł, żeby nakręcić film, dzień i noc chodząc z kamerą za chłopakiem, do sklepów z farbami, na torowiska, do wagonów.

- Ktoś musiał już chyba zrobić takie kino, nawet jeżeli jeszcze nie zrobił.

- Nie, nikt go nie zrobił - odparł Miles.

- A co z tą kobietą z Normal w Illinois?

- Robimy postępy, na razie staramy się o dofinansowanie. Akurat teraz jest chora.

- Jasne, że jest chora. Przecież to jej główne zajęcie, nie?

- Tym razem zachorowała naprawdę. Niezależnie od wpływów zewnętrznych - powiedział.

Ale pływanie lepiej jej robiło, kiedy była pochłonięta jakimś projektem. W okresach bezczynności o wiele mniej lubiła basen. Pływanie utwierdzało ją w rygorze pracy, było interwałem dopełniającym oktawę.

Ilekróć Esther udzielała rad, a Klara dawała im posłuch, powinien niby w tym brzmieć ton wzajemnie protekcyjny, bo ta pierwsza lubiła przemawiać władczo, a druga odpowiadała z nieco nonszalancką swadą. Lecz tak naprawdę to Klara zawsze chętnie słuchała, co Esther ma do powiedzenia, cokolwiek to

było. Agentce zdarzało się wprawdzie wygadywać zupełnie zbędne bzdury, ale Klarze potrzebna była świadomość, że ktoś na świecie przygotowuje dla niej przestrzeń i czas, wymawia jej imię i powtarza zabłąkane peany z różnych szemranych źródeł.

Nie zawsze to pomagało. Komplementy wydawały jej się blade i niepewne, słabo wyćwiczone, a kiedy spotykała się z krytyką w prasie lub wśród poufnie krążących pogłosek i ni-by-nowin, musiała tłumić w sobie poczucie, że tamci mogą jednak mieć rację, bo przecież jej prace są płytkie, ostrożne i blahe.

„Tu się toczy darwinowska walka o byt” - brzmiało jedno z ulubionych powiedzonek Esther, która raz po raz przytaczała je z radością, wiedząc, że przeraża ono ludzi pokroju Klary.

A Klarę zachwycały deski spiętrzone w kącie. Brązowe prążkowane drewno, w kolorze nasyczonego brązu, jaki miały stojące na dachach wieże z klepek, cysterny napełnione wodą, w większości bezbronne wobec żywiołów, ale w niektórych przypadkach obudowane skomplikowanymi, świątynnymi konstrukcjami, zdobnymi w lancetowate łuki i wspaniałe, orle ornamenty.

Ludzie nie mówili już „ale odlot”. Zaczęli natomiast mówić „zapomnij”, a Klara zastanawiała się, czy może z tego wyciągnąć jakąś naukę.

Zobaczyła w telewizji Acey Greene, swoją całkiem nową przyjaciółkę, młodą i utalentowaną, kiedy późną nocą lokalna telewizja kablowa przeprowadzała z nią wywiad. Acey świetnie wyglądała - ależ świetnie wyglądasz, myślała Klara. Ze skromnym afro, w podartym smokingu i czerwonej muszce.

Zadzwoił Miles i spotkali się w południowej dzielnicy, na starym lofcie, w którym dawniej wyrabiano żagle. Klub filmowy Milesa prezentował same rarytasy, na ogół z tych czy innych powodów nie do pokazania w zwykłym kinie, a projekcje odbywały się tu, to tam - gdziekolwiek Milesowi udało się załatwić salę.

Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób przyszło obejrzeć film Roberta Franka *Blues lachociąga*, o trasie grupy Rolling Stones po Stanach.

Klara siedziała w ciemnościach i jadła łyżeczką jogurt z kartonu. Uświadomiła sobie, że od pewnego czasu na każdym kroku widuje usta Micka Jaggera. Może tak właśnie wyglądał teraz

znak firmowy Zachodu - lubieżnie odęte wargi, które podążają za tobą, kiedy idziesz ulicą. Owszem, lubiła patrzeć, jak Jagger tańczy i przybiera szatańskie pozy, ale usta były dla niej czymś osobnym, jakby je w ostatniej chwili dodano dla efektu.

- Te usta pochłonęły chyba wszystko, co ludzie zjedli przez ostatnie dziesięć lat - powiedziała do Acey, która siedziała obok.

Zachwycało ją rozmyte błękitne światło tego filmu, światło jakby zmierzchu, światło w tunelach, sugerujące jakąś wątpliwą rzeczywistość - nie tyle wątpliwą, bo bez trudu można było uwierzyć w to, co się widzi, ile wywrotową, demoralizującą i destruktywną: piękny błękit tuneli.

- Traktuj je jak karykaturę - odparła Acey.

Ludzie wciągali kokę za kulisami albo w tunelach, siedzieli w pokoju, spali w samolocie, wszystko jakby na krawędzi czasu, urwane zdania, papieros w czyichś ustach, ludzie jeszcze odrętwiali, Klarze podobał się ten pobieźny dźwięk, sposób, w jaki dźwięk w dokumencie, w takim przelotnym filmie, odbija się od glazury, od ścian z pustaków w garderobach i w tunelach prowadzących na stadion.

Ktoś mówi: „On mnie często kręci w niekorzystnych ujęciach”.

I stwierdziła, że te jego usta to rzeczywiście absolutna karykatura, satyra, coś w rodzaju gadającego odbytu z kontrkulturowych komiksów lat sześćdziesiątych, i że wszystkie drwiny i urągania, na jakie sobie dotąd pozwoliliśmy, wszystkie nie dokończone zdania, które wybelkotaliśmy, wydobyły się mniej więcej z tego właśnie otworu w ciebie.

- Widziałam ich w San Francisco - powiedziała Acey. - Ta sama trasa, na pewno ta sama, sprzed dwóch lat.

Telewizor wyrzucany z balkonu hotelu.

Wywiady bełkotliwe i zamazane, najprostsze z żarliwych, wielokrotnie przeciwczonych pytań zagubione, rozważane i znów zagubione, cała trasa to seria nie dokończonych zdań, mężczyzna i kobieta pierdolą się w samolocie, słynne usta przeżuwiają kęs jedzenia, usta sztuczne, przyklepione, podczas koncertu Mick w świetle stroboskopów i reflektorów, niczym jakaś wieloustna kobieta de Kooninga, ssie trzymany w rękę mikrofon.

W tunelach falanga okiem kamery. Ludzie siedzą, dwie osoby razem skulone śpią albo trwają w narkotycznym transie, a może

niepostrzeżenie umarły, nie kończąca się hałaśliwa nuda trasy -tunele i pasy startowe.

- Poszłam na koncert - powiedziała Acey - i jeden ochroniarz, może go gdzieś tu poznam na filmie, czarny facet w kożusie z napisem „Stones Security”, to znaczy miał napisane zupełnie co innego, ale mniej więcej w tym sensie.

Klarę zachwycało niebieskie światło tuneli i te sekwencje, kiedy nic się nie działo, wszyscy mieli kamery i kręcili to, że nic się nie dzieje, i ten dźwięk ginący w kafelkach sufitu.

Ktoś mówi: „Nienawidzę tych skurwieli, co są jakby pomiędzy”.

Ktoś pyta: „W którym stanie jesteśmy?”

Dwoje bełkoczących ćpunów na łóżku, mężczyzna i kobieta, z równym skupieniem patrzą spod zmrużonych powiek na igłę wbity skosem w jej przedramię.

Ktoś pyta: „Co cię napadło, żeby to kręcić?”

Ktoś inny odpowiada: „Wcale nie miałem zamiaru”.

Aaa, w Indianie.

Samo jakoś tak wyszło.

Mick z opadniętą szczęką stoi w pokoju. Bułgocze, pryska śliną, liżąc porcję lodów w wafłowym rożku. Sekwencje z koncertów toną w czerwonym żelu, ciała jarzą się bioluminescencją, właśnie za to wszyscy kochamy rock - pomyślała Klara - za ten podświetlony nimb wznioślejszego konania.

W telewizji ekscedryna, wyraźnie skuteczniejsza od zwykłej aspiryny.

- No i leżę za mną - ciągnęła Acey - długim tunelem i cze koladko, mówi, czekaj, mam tu takie coś, koniecznie muszę ci pokazać. Hej, czekoladko! No więc się obejrzałam, tak, wiem, trzeba być kompletną idiotką, a on jeszcze co prawda go nie wyjął, ale dotykał ręką.

Dwaj biali w pokoju i jeden z nich mówi z czarnym akcentem: „Pokazać braciom ich kulturową spuściznę”. Drugi wbija sobie igłę w rękę, a drugi dodaje, wciąż tym czarnym głosem: „Grób Nieznanego Ćpuna, róg Sto Trzydziestej Siódmej i Lenox Avenue, od góry do dołu zbudowany z używanych igieł”.

Ktoś mówi: „Zabrali mi dziecko, bo jechałam na kwasie”.

„Gdzie mój klucz do pokoju?”

Tunele, pasy startowe, rozmyte błękitne światło, a potem najeżdż na scenę, głośny biały blask i prehistoryczny ryk.

„Obciągnęłaś mu?”

„Nie, tylko z nim sobie zrobiłam zdjęcie”.

Mówi: „Państwo przychodzi i zabiera mi dziecko”.

Naga kobieta pieści się na łóżku w pokoju hotelowym, masuje sobie cipę, a potem liże dłoń. Acey przerywa opowieść i wzdycha: „Mmmm”.

Cały ten branzlerski, monotonny, podniebny erotikon.

Ciekawe - pomyślała Klara - że tylko ta jedna kobieta nie sprawia wrażenia dziewczynki. Ciekawe - pomyślała - że wszystkie kobiety w tym filmie są albo stają się dziewczynkami. Mężczyźni i kobiety robią dokładnie to samo, ćpają, rzną się, fotografują, ale mężczyźni pozostają mężczyznami, a z kobiet robią się dziewczynki, może oprócz tej jednej, która masuje sobie cipę i liże dłoń, mówiąc coś, czego nie słyhać, bo w takim filmie dźwięk jest głównie po to, żeby się gubił gdzieś po kątach.

Wszystko mi jedno - to tylko San Diego.

Acey opowiadała swoją historijkę, jednocześnie szukając na ekranie jej bohatera.

- I wiesz, chciałam powiedzieć coś takiego, żeby mu wybić z głowy wszystkie zachcianki. Hej, czekoladko. Ale byliśmy sami w tym wielkim tunelu, huk odbijał się od ścian, gdzieś nad nami koncert właśnie wchodził na pełne obroty, a on mi mówi: hej, czekoladko, mówi mi, czekoladko, hej, *brown sugar*.
- Ten sam koncert, który teraz oglądamy? - spytała Klara.
- Nie wiem, czy ten sam wieczór, ale ta sama trasa, to samo miasto, ta sama pierdolona kapela wymizerowanych chujków z milionami w kieszeni i z murzyńską obstawą.

Tamto lato upływało na dachach, powietrze pełne było bohaterów, zakurzone niebo płonęło blaskiem burz. Podłuzni bogowie wparci w ciasne kąty i dwójka faraonów siedzących po bokach klimatyzatora. Klarę zachwycały usyrenione kolumny na południowym odcinku Piątej i różne inne dziwactwa, tajemnicze postaci, których nie potrafiła przypisać do żadnego konkretnego mitu, zwłaszcza na południu wyspy, na dachach co starszych banków, na balustradach i uskokach - sterczące nad ulicami wyrocznie w szatach albo nieodgadnione oblicza mężczyzn w hełmach, prawodawców czy wojowników, trudno powiedzieć.

I właśnie tam na jakimś dachu w pewną niedzielę, kiedy ulice były gorące i martwe, znów pojawił się pan Europejczyk, z którym już raz rozmawiała, patrząc na nie ukończoną kratownicę World Trade Center.

Tak, dzień dobry, znowu się spotykamy.

Wyjaśnił jej, że postaci, które ją zastanowiły, te o obrzędowej prezencji, z twarzami ukrytymi w cieniu opływowych kasków, to tak zwani Tytani Finansów. Ich zaszepienie było całkiem na miejscu, jak gdyby oceniali, czy kryzys bardzo się odbił na życiu widocznych w dole ulic - bo Klara domyślała się, że budynek ten wzniesiono mniej więcej w tamtym właśnie okresie.

- Mogłoby się tak nazywać jakieś tajne bractwo.

- Niewykluczone - zgodził się. - Ale bankowość chyba zawsze jest tajna.

Łatwo było jej w to uwierzyć wobec otaczającej ich masy granitu i piaskowca, a także nowszych wieżowców, o wnętrzach szczelnie skrytych za kurtynami z reflektynowego szkła i anodyzowanego aluminium, mieszczących biura wyzute akurat w tym dniu z wszelkich śladów ludzkiego życia, może oprócz podziemi, w których papier przewijał się przez maszyny do mikrofilmowania, miliard czeków na sekundę.

Nazywał się Carlo Strasser. Mieszkał na Park Avenue i kolekcjonował dzieła sztuki z niezdarną namiętnością amatora, jak sam to określił. Miał też stary wiejski dom nieopodal Arles, do którego jeździł, żeby pomyśleć.

No więc oczywiście spytała:

- I o czym pan tak myśli?

A on na to:

- O pieniądzach.

Roześmiała się.

- Czasem zastanawiam się, czym one właściwie są - powiedziała.

- Tak, właśnie, no tak. Oto jest pytanie. Zdradzę pani swój pogląd. Stają się czymś bardzo ezoterycznym. Nic, tylko fale i szyfry. Inteligencja wyższego rzędu. Przemieszcza się z prędkością światła.

Był dobrze ubrany, zadbany, miał prezencję i maniery, więc w swoich dzinsach i starych sandałach czuła się trochę niechluj-

nie, ale nie aż tak, żeby ją to żenowało. Utwierdzał ją w jej gustach, rozmawiała z nim bez najmniejszego skrepowania.

Znad zatoki dobiegło wycie syren mgłowych, więc umilkli na chwilę, żeby posłuchać dźwięku, który miał w sobie coś z rytuału nabożnej grozy, przetaczał się i odbijał w wąskich uliczkach, zderzał sam ze sobą i niczym utwór organowy roz-dymał powietrze i płoszył gołębie, aż wyfruwały stadem z wież zegarowych.

Mężczyzna pytał ją o malarzy, a ona robiła coś, co jej się prawie nigdy nie zdarzało - objaśniała, przeprowadzała szczegółową analizę, chociaż starała się tego unikać nawet wtedy, kiedy jeszcze uczyła. Słyszała własny głos, tłumaczący z zapałem i świeżą odkrywczością, więc zrozumiała, że widocznie dotychczas sama przed sobą ukrywała te wyjaśnienia.

- Louise powiedziała mi raz, Louise Nevelson, że kiedy pa trzy na kawał płótna czy drewna, jest on biały, czysty, dziewiczy, i choćby nie wiedzieć jak wyraźny zostawiła na nim ślad, po kryła go nie wiedzieć iloma kreskami, barwami i obrazami, wszystko i tak sprowadza się do tego, żeby przywrócić mu ten dziewiczy stan. I to właśnie jest wspnianie i przerażające.

Klara nie potrafiła odnieść tej wypowiedzi do swoich prac, lecz i tak chętnie ją sobie powtarzała - podobała jej się myśl, że sławną artystkę przeraża własne dzieło.

- Mam jedną małą Nevelson - rzekł mężczyzna. - Malutką. Kupiłem ją wiele lat temu, a teraz podsunęła mi pani powód, żeby spojrzeć na tę pracę innym okiem, i zrobię to z przyjemnością.
- Przychodziłam do niej do pracowni i pokazywała mi jakąś czarną rzeźbę, rzeźbę w drewnie pomalowaną na czarno, a kiedy mówiłam coś o jej kolorze i tworzywie, patrzyła na nią i stwierdzała: Przecież wcale nie jest czarna ani drewniana. Jej zdaniem rzeczywistość jest płytka, słaba i ulotna. Bardzo się co do tego różnimy.

Potem przyszedł Miles, a Carlo Strasser usunął się z wdziękiem i dołączył do grupki ośmiu czy dziewięciu osób stojących wokół stołu, na którym wystawiono sery, owoce i wino - lwiokrwiste bordo, śliwki damaszki i granatowoczarne noce, a grzmot pioruna brzmiał sucho i sztucznie.

Stojąc w czyjejś kuchni, krojąc cytrynę, zdała sobie sprawę, że nóż zaraz się omsknie i ją skaleczy, i tak też się stało.

Była to jedna z tych mikrosekund - długich, powolnych, niosących ze sobą nuklearny ładunek informacji, a Klara wiedziała, co się zaraz stanie, ale dalej kroila, no i stało się: zacięła się w palec i patrzyła, jak krew sączy się ze szczeliny pozostawionej przez ostrze i spływa nierówną strużką po knykciu.

Patrzyła, jak ludzie się opalają, bez reszty oddani sprawie, górując nad tym, co robią: kobieta rozwalona na murku, z kocem, z dzbankiem mrożonej herbaty, z dziecinną szklanką w kwiatki, z książką w miękkiej okładce, z której Klara usiłowała odczytać tytuł. Nie szli na żadne ustępstwa wobec kamiennych murków, dachów pokrytych lepikiem, zdyszanych smolistych powierzchni, każde z nich inscenizowało własny spektakl, który stwierdzał: oto jestem, a po litej ścianie wieżowca pnie się w górę pusty pomost zmywacza okien. Widziała ceglana fasadę zarumienioną koralowym światłem, nieomal nim płonąca, i cegły ukazywały jej się w postaci objawionej, jak tylko światło objawia zjawiska - i nagle jest to cegła obdarzona pięknem tak intensywnym, że Klara nigdy dotąd nie zdołała go zauważyć. O, znowu ta staruszka siedzi na pleconym krześle wśród porzrzucanych gazet niedzielnych, widok jakże znajomy i dodający otuchy: starsza pani pod brodą ma odblaskową kryzę do opalania i z poświęceniem wystawia twarz ku słońcu, a jej głowa, podana jak na talerzu, stopniowo brunatnieje niczym mumia w głębinach letniego dnia.

Patrząc, jak krew wyślizguje się z nacięcia, spostrzegła załamki i papilarne spirale na swoim palcu, usłyszała muzykę z sąsiedniego pokoju, to Jack, mąż Esther, puszcza jeden z tych swoich starych singli z bigbandami ery swingu, które wyganiają jej gości na dach.

Śmieci leżały na dole, zwalone na stos w identycznych workach z czarnego plastiku, a kiedy, idąc do domu, mijala rozległe zwalisko, które zasłaniało hydrant przeciwpożarowy i częściowo znak na przystanku autobusowym, zobaczyła, że wszyscy zgodnie ich nie dostrzegają.

Na kolację podawaną na dachu w północnej dzielnicy Miles Lightman przyszedł spóźniony, z pudełkiem czarnych papiero-

sów dla Klary - były damskiej długości, najłagodniejsze z łagodnych i wolno się paliły - i z torebką marihuany, na którą lubił mówić „chwast”: podслуchał to w jakimś barze w Harlemie może przed dwudziestoma laty.

Stali na dachu nowego budynku, który miał czterdzieści pięter i przytłaczał swoim ogromem jezioro w parku, gdy tak stali przez chwilę, patrząc na biegaczy widocznych wśród nocy. Biegacze, dość nawet liczni, w wąłym świetle latarń zaliczali kolejne rundy wokół jeziora, a Miles pomyślał, że wyglądają jak pierzchający tłum w japońskim horrorze. Pierzchające tłumy były jego pasją. Chciał opracować album zdjęć na ten temat. Gromadził fotosy z mało znanych filmów, pokazujące, jak tłumy Azjatów pierzchają, spoglądając ku górze, tam gdzie mający jakaś zgroza.

Stali na dachu, ze wzrokiem utkwionym w dwuwymiarowe sylwetki budynków po drugiej stronie parku, noszących nazwy godne transatlantyków. Beresford, Majestic i Eldorado. Ansonia i San Remo.

W pierzchającym tłumie nie mogło zabraknąć matki z dzieckiem na ręku, kobiety o piersiach rozsadzających bluzkę oraz mężczyzny, który wznosił ręce, żeby się nimi zasłonić przed czymś strasznym, co zagrażało mu z nieba.

Miles patrzył na biegaczy okrążających jezioro i w końcu wymyślił nazwę dla czterdziestopiętrowego gmachu, który górował nad parkiem, tak wysoki i masywny, że stwarzał własny mikroklimat, a od zstępujących prądów powietrza przechodnie prawie się wywracali.

Pomyślał, że należałoby go nazwać Wieżą Godzilli.

Na ogół to kobiety kierują odbudową zaprzepaszczonych karier. Kiedy słyszymy o pisarzu, który powraca z niebytu, lub o tkliwie ekshumowanym malarzu, przeważnie dzieje się tak dzięki nadzwyczajnemu zainteresowaniu kobiet, nawet jeśli artysta jest mężczyzną. Zwykle bywa to raczej kobieta, ale nawet w przypadku mężczyzn zapomniane żywoty to nasza specjalność - powiedziała Klara.

Rozmawiała z Acey Greene. Acey oczywiście nie potrzebowała żadnych akcji ratunkowych. Młoda, bystra, ambitna i w ogóle, interesująco słodko-wredna, bawiła się kontrastami,

prowadząc w ten sposób ironiczny dialog z samą sobą, a był to chwyt, który pomagał jej sprostać perspektywom sławy.

Wychowała się w Chicago, w nauczycielskiej rodzinie. Zaczęła robić szkice piórkami i tuszem, a potem zachodnioindyjskie kolaże, właściwie w najbardziej oklepanym guście, jak sama przyznawała, miała też przygodę seksualną z członkiem Blackstone Rangers, całkiem sporego gangu ulicznego, aż spakowała walizkę i pojechała do Los Angeles, gdzie wyszła za profesora socjologii, zapisała się do szkoły sztuk pięknych, rozwiodła się i wreszcie odnalazła swoją malarską karmę.

Kiedy Klara po raz pierwszy zobaczyła jej prace, zaczęła je wychwalać na prawo i lewo. Pochwały te dotarły do Acey, która wciąż jeszcze mieszkała na zachodnim wybrzeżu. W końcu jednak przywędrowała śladem swoich obrazów na wschód. Zatrzymała się w Chelsea Hotel i wynajęła z kimś do spółki pracownię w Brooklynie.

- A ty? - zapytała.
 - Ja musiałam zrobić karierę, nim mogłam się zaniepokoić, że ją zaprzepaszczę. Nie przyszło mi to łatwo. Płacę do tej pory.
 - Życiem rodzinnym - domyśliła się Acey.
 - Tak, rozbiłam rodzinę. Odeszłam, wróciłam, wzięłam na jakiś czas córkę do siebie. Lepiej jej było u ojca, doskonale to rozumiałam, ale zżerała mnie rozłąka. Było mi bardzo ciężko. Oczywiście wszyscy cierpieliśmy. Odwiedzała mnie w weekendy, i nie tylko. Ojciec przywoził ją metrem i zostawiał pod drzwiami, bo nie chciał mnie widzieć na oczy.
 - A co by mu się stało?
 - Potem przyjeżdżał po nią, a mnie nie wolno było zejść aż do zewnętrznych drzwi. Odprowadzałam ją tylko na parter. Mieszkałam w ruderze, daleko na południu wyspy, no i uzgodniliśmy, że mam odprowadzać małą na parter, a dalej już sama pójdzie, bo inaczej jej ojciec mógłby mnie zobaczyć. Co by mu się stało? Nie wiem, pewnie nastąpiłby jakiś kataklizm.
 - Ale rozmawialiście przez telefon.
 - Owszem. Monosylabami. Jak szpiedzy przekazujący sobie szyfrem komunikaty. To był ohydny czas. Ale kiedy Teresa podrosła, te rozmowy ustały. Odtąd same się umawiałyśmy. Albert znikł raz na zawsze.
- A ona?

- Nie zniechęcała mnie. To zresztą nie byłoby jeszcze najgorsze. Obawiam się, że nienawidzi samej siebie. Była przecież jednym z elementów naszego fiaska. Nie mówmy o tym.
- Pójdziemy na spacer.
- Przez most. Szłaś tak już kiedyś?
- Jestem tu nowa, proszę pani. Zapomniałaś.

Najlepsze prace Acey należały do cyklu poświęconego gangowi Blackstone Rangers. Chicagowskie zimy, młodzi ludzie w bluzach z kapturami, ponurzy i leniwie brutalni, stali zgarbieni przed zakratowanymi oknami albo siedzieli na zapadniętej kanapie w śniegu, a zdaniem Klary obrazy te tylko pod jednym względem były w pełni nowoczesne: bohaterowie sprawiali wrażenie, że ich sfotografowano, niby to upozowanych lub przyłapanych znieścaka - czasem byli sztucznie wyniośli, na tle masywu bloków komunalnych, albo mężczyzna z przymkniętymi powiekami, w wełnianej czapce i poliestrowej kurtce, jakby nadmuchanej, trzyma automat z bananowym magazynkiem. Widać, jak Acey zadaje kłam fotograficznej powierzchni, nieuchwytnie zawieszając cały obraz na łuku magazynka.

Ludzie na dachu, goście Esther zbiegli przed swingowym bigbandem z gramofonu w mieszkaniu piętro niżej, a po chwili dołącza do nich mąż gospodyni, Jack, bo jest jednym z tych facetów, którzy rozplywają się w kałużę, jeśli zostawić ich samych na dwadzieścia sekund.

Zachwyciła ją świątynka po drugiej stronie ulicy, fasada najwyższego piętra z szeregiem okien we wnękach między kanelowanymi kolumnami, i czyżby ktoś naprawę tam mieszkał?

Było jej dobrze. Czowała, że szczęście dla odmiany jej sprzyja. Dobrze sypiała, nie wydawała za dużo i znowu widywała się ze znajomymi.

- Co ona czyta? - spytał ktoś, mając na myśli kobietę, która leżała na murku z dzieciinną szklaneczką i z książką w miękkiej oprawie.
- Stąd wygląda jak kryminal - stwierdził Jack Marshall. - Kupa moralnej zgnilizny, i tyle. Latem ludzie czytają takie rzeczy.

Ten wysoki, rumiany agent prasowy z Broadwayu był wieczny o krok od tego, żeby paść trupem. Znacnie takich. Dużo pałą i piją, w ogóle nie sypiają, mają serca w fatalnym stanie

i kaszłą, aż im flegma kipi w gardle, a największa frajda ze znajomości z nimi - myślała Klara - polega na zgadywaniu, kiedy klapną twarzą w talerz z zupą.

Miała zabandażowany palec i czekała, aż przyjdzie Miles i przyniesie jej papierosy, bo polegała na nim bardziej niż na sobie.

Tymczasem wysępiła jednego od Jacka.

A ludzie na ulicy, kiedy to właściwie Klara zaczęła zauważać, że ludzie gadają do siebie, mówią na głos, tylu ich, ni stąd, ni zowąd, miotają groźby albo idąc, gestykulują, więc ulice nabierają faktury późnego średniowiecza, co być może znaczy, że znowu musimy nauczyć się żyć wśród szaleńców.

- Ktoś ci zrobił kuku w palec, Klara.
- Nie dam ci go pocałować. Idź sobie.
- Wcale nie chcę całować. Chcę polizać - odparł Jack.
 - Czy ktoś tam mieszka, strasznie mnie ciekawi ta budowla po drugiej stronie ulicy.
- Ta grecka świątynka? To chyba jakieś biuro.
- Bardzo bym chciała w nim pracować.
- Import-eksport.
- Dałabym sobie radę z jednym i z drugim.
- Ja też. Ale chcę polizać - rzekł Jack.

Acey miała owalną twarz, wysokie czoło, włosy o leciuteńko cynamonowym odcieniu. Jeśli ktoś na nią patrzył, jeśli siedziała w autobusie pod oknem naprzeciwko i co dwa przystanki ktoś na nią zerkał, najbardziej zapewne zwracały uwagę jej usta -mocne, inteligentne, lekko skrzywione w wyrazie, który można by pewnie nazwać szydyczym, chociaż nieustannie zmieniał się i wahał, tak że każdy uśmiech Acey wydawał się niespodziewanym darem, nieoczekiwaną nowiną.

- Ja nie musiałam odchodzić od męża, żeby malować - powiedziała do Klary. - Musiałam od niego odejść, bo już nie chciałam z nim być.
- Co wam przeszkadzało?
- Jest mężczyzną - wyjaśniła Acey.

W połowie mostu Klara zauważyła, że młodsza kobieta obserwuje każdy ludzki ruch, rowerzystów i biegaczy, patrzy, co mają na sobie i kim są, widzi tę pokazową osobowość, którą

wspólnie tworzą. Inaczej niż w Chicago - powiedziała Acey -bo tam nad jeziorem wszystko ocieka spontanicznym potem, ludzie biegają, jakby chcieli wypluć płuca, byle tylko strząsnąć z siebie film, w który ich wtrąca biuro i praca, nienormalny całun materii. Tu natomiast tkwią właśnie w filmie, w ostro rysującej się na niebie panoramie miasta, a Acey najwidoczniej gotowa była się do nich przyłączyć.

- A teraz jesteś tutaj. Może na zawsze. Czyli to poczucie, że zaczynasz od początku, musi być podwójnie silne.
 - Pewnie już dawno zaczęłam. Chociaż w zasadzie nie wiedział o tym nikt prócz mnie.
 - Boisz się konsekwencji?
 - Zerwania? Było nieuniknione. Gdyby do niego nie doszło, dopiero bym się bała.
 - A co z twoim mężem?
 - A co ma być? - spytała Acey.
 - Nie wiem. Co o nim powiesz? Wie, że masz kochanki?
 - Ciągłe wygaduje na lesby. Powiedziałam mu. James, kotku, mówię, przyślę ci zdjęcia z miejsca akcji.
 - Ostra jesteś - stwierdziła Klara.
 - Gangsterowa. Lala gangu. Tak o mnie mówili w Los Angeles. Kiedy namalowałam Blackstone Rangers, pamiętasz. Ta mieszczka, co się podlizuje czarnuchom.
 - To i tak uprzejmie. O mnie mówili „Smieciara”.
- Roześmiały się i przeszły na brooklyńską stronę, tam gdzie Acey miała atelier w starym magazynie przy wjeździe na most. Nie chciała przedwcześnie pokazywać swoich najnowszych obrazów, więc tylko przeszły się po pracowni. Na ścianie wisiał kalendarz z Marilyn Monroe, sławna wczesna fotka znana jako Miss Złote Sny, nagie ciało sfotografowane z wysoka, upozowane na aksamitnym, krwistoczerwonym prześcieradle.
- Nie mogła tu chyba trafić przypadkiem, co?
 - Niech ci będzie, czasem patrzę na to zdjęcie - przyznała Acey.
- I myślisz o nim.
 - Stopniowo je rozpracowuję na własny użytek, po troszeczku.
 - Ciekawe. Ale słyszałam, że robisz teraz coś zupełnie nowego.

- Naprawdę? A co właściwie słyszałaś?

Klara machnęła ręką w stronę najdalszej ściany, tam gdzie płótna stały na niskiej półce albo wisiały na sztalugach - niektóre, jak już wcześniej zauważyła, z paskami kolorowego bry-stolu przyklejonymi skoczem jako wzorzec koloru.

- Słyszałam, że malujesz cykl o Czarnych Panterach. Acey błysnęła tym swoim wzgardliwym uśmiechem, nie spiesznym i kunsztownym.

- Naprawdę? A wiesz, że ja też tak słyszałam.

Podobno czasy malarstwa już minęły - myślała Klara - a tu nagle młoda kobieta maluje, aż się kurzy, czarna kobieta maluje czarnych mężczyzn, wielkodusznie, ale nie bez krytycznego rygoru. Zawadiacka arogancja gangów, kultura nacechowana nieomal książęcą wyniosłością, lecz oczywiście ze znamionami niekłamanej groźby, i tę właśnie kulturę badała Acey na sposób iście chirurgiczny, analizując detale, szukając śladów samotnika, młodzieńca zdystansowanego wobec własnej ponurej pozy.

Wróciły pieszo przez most.

- Dalej tak na ciebie mówią? Śmieciara?

- Teraz już nie tak często. Wtedy było nas więcej. Zbieraliśmy szmelc i ratowaliśmy go, tworząc sztukę. Co zresztą brzmi szlachetniej, niż w rzeczywistości wyglądało. Był to po prostu sposób, żeby uważniej się czemuś przyjrzeć. Właściwie wciąż to robisz, tylko może gdzieś głębiej.

- Ja bym w coś takiego nie poszła. Może zraża mnie potrzeba kontekstu. Wiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak.

- Bo ja to rozumiem, do pewnego stopnia. Wynosisz swój obiekt z zakurzonej, brudnej pracowni i ustawiasz go w muzeum, wśród białych ścian i klasycznego malarstwa, i on w tym kontekście nabiera siły, staje się czymś na kształt argumentu. A co to właściwie jest? Szyby okienne ze starej fabryki i worki z juty. Cała sprawa robi się bardzo, czy ja wiem, filozoficzna.

Kiedy przeszły na drugi brzeg, Acey chciała jeszcze trochę pospacerować, ale Klara była już prawie na ostatnich nogach. Patrzyły na stare żaglowce zacumowane przy South Street. Klara starała się uwolnić od uczucia lekkiej urazy, cichego rozczarowania, które ogarnęło ją z opóźnieniem, wywołane tym, że Acey

tak zdawkowo i lekceważąco wyrażała się o jej pracy. Najpierw odwlekła tę reakcję, a potem usiłowała ją stłumić.

- Byłam typową dziewczynką - powiedziała Acey. - Zawsze chciałam jak najprędzej dorosnąć. A teraz wygląda na to, że już tu jestem, oficjalnie. To miasto tyka mi nad uchem jak zegar. Przeraża mnie, ale jestem gotowa.

Klara najbardziej w niej podziwiała pozorną łatwość podejścia, zachwycającą niedbałość, z jaką Acey kładła farbę. Nasycone podkłady i piękne, cieliste brązy, naskórkowe muśnięcia we wszelkich nienazwanych odcieniach, wiele różnych szarości, sinych albo podniebnie dymnych, bo w Chicago zawsze jest zima, a członkowie gangu należą do swojego terytorium, do białych cegieł i oblodzonych okien, i z tego punktu widzenia mogliby być braćmi tych ludzi o oliwkowej cerze, których napotyka się w wypełnionym freskami półmroku jakiegoś kościoła w Umbrii: Acey miała spokojne, posępne oko piętnastowiecznego artysty.

Rozmawiała przez telefon z Esther Winship.

- O Boże, dlaczego? - spytała Esther.
- Bo tak jest prościej i szybciej.
- Ale ja nie jechałam metrem od trzydziestu lat.
- Tym lepiej. Będę miała poczucie wyższości.

Wsiadły do pociągu do Dyre Avenue, na zewnątrz i w środku spryskany sprejem. Klarze wydały się te graffiti pospieszne i przygnębiające. Nie podobał jej się sam pomysł zabazgrywania pociągów. Był w nim pewien egotyczny romantyzm, zniszczone marzenie ubogich chłopców o tandetnej sławie.

- Myślałam, że będzie potwornie gorąco - rzekła Esther. - Że się uduszę na tej ławce.

Powiedziała to ponurym szeptem, bo jeszcze by ktoś usłyszał i powziął urazę. W metrze słowa niosą ze sobą ładunek znaczeń, którego gdzie indziej im brak.

- To się nazywa klimatyzacja - również szeptem wyjaśniła Klara.
- Po prostu brak mi słów.

Esther chętnie przybierała ton idiotki, która nie nadąza za światem. Zamykało ją to w bezpieczniejszym układzie odniesień.

Na drugim przystanku w Bronksie wsiadli nowi pasażerowie,

a kiedy na sąsiedni peron wjechał pociąg w stronę Manhattanu, Klara poczuła szturchnięcie w żebra. To Esther dźgnęła ją łokciem, żeby zwrócić jej uwagę, bo ten drugi pociąg był właśnie dziełem Kosmity, wszystkie wagony obmalowane od góry do dołu, podpisane pseudonimem i numerem ulicy. Klara musiała przyznać, że chłopak potrafi zrobić wrażenie. Pociąg wjechał na starą, obskurną stację niczym heraldyczna dżungla cudów. Litery i cyfry dosłownie eksplodowały widzowi prosto w twarz, a wszystkie jakoś się łączyły, poprzewijane sobą nawzajem i zasupłane, wylupiastookie humanoidy z komiksów splatały się i rozplatały, rozgrzane i spocone, porwane namiętym tańcem -metaliczne srebro, błękit, wściekła czerwień i kilka różnych neowych zieleni.

- To on, to on, to on - szepnęła Esther przez zęby.

Rzeczywiście był to jego pociąg, ale samego malarza nie udało im się znaleźć. Szukały adresu, który Esther dostała od autora reportażu o sprejowcach. Kosmita nie powiedział mu, jak się naprawdę nazywa ani gdzie mieszka - zdradził tylko swój wiek: szesnaście lat. Adres pochodził od chłopaka, który twierdził, że pracuje w załodze Kosmity, zaczęły więc szukać tego ' domu, przemierzając teren pełen wypalonych budynków, całe kwartały zrujnowane przez podpalaczy, a w oddali widać było wciąż jeszcze płonące kamienice. Przystanąły, żeby popatrzeć. Z trzech, czterech domów wzbijał się leniwy dym. Ani śladu wozów strażackich czy podnieconych grup za barykadami. Tylko kilku przechodniów, tak jakby zaprzątniętych codziennością. Patrzyły w milczeniu, czując między sobą a tamtymi nieprzekraczalną przepaść. Nie umiały osadzić tej sytuacji w żadnym kontekście. Przypominała kronikę filmową z jakiejś warcholskiej wojny w dalekiej prowincji, której generałowie gotują wątroby rywali i przechowują je w plastikowych torebkach. Coś absolutnie niesamowitego przez swoją kompletną odmienność.

- To tutaj dawniej mieszkałaś? - spytała wreszcie Esther.
- Nie. Niecałe dwa kilometry dalej na północ.
- Mimo wszystko będę musiała okazywać ci więcej szacunku.
- Dziękuję, Esther. Ale wtedy jeszcze tak tu nie było.
 - Mimo to muszę się postarać, żeby zdobyć się wobec ciebie na większą uprzejmość.
- Owszem, postaraj się - rzekła Klara.

Wiedziały, że nie powinny za długo tak stać, a kiedy dotarły na Sto Pięćdziesiątą Siódmą i zaczęły szukać adresu młodego człowieka, okazało się, że takiego numeru po prostu nie ma.

Zajrzały do kilku sklepików i próbowały dowiedzieć się czegoś w kantorach, w których spieniężano czeki.

- Kosmaty, co za Kosmaty? - pytali ludzie. - Jaki Moskit? Tu nie ma żadnych Moskitów.

A one na to:

- Nie, nie, nie, nie. Kosmita. Kosmita *uno cinco siete*. - Pokazywały gestami malowanie sprejem i mówiły: - Graffiti, graffiti.

Esther miała na sobie kurtkę safari, jak korespondentka sieci telewizyjnej szukająca buntowników pośród dymiących wzgórz, no i właściwie trudno było mieć o to do niej pretensję.

- Wyglądasz dzisiaj trochę jak Chinka - stwierdził Miles.

- Jason mówił na mnie „Żółtek”.

Powiedziała to tym swoim głosikiem. Zawsze jej się zdawało, że jest mała i głos też ma mały. Ludzie rośli, a ona malała, stawała się mniej lub bardziej niewidzialna. Gdyby nie było z nią Milesa, ile minęłoby czasu, zanim kelner zechciałby ją obsłużyć?

- Jason. To ja znam jakiegoś Jasona?

- Mój drugi mąż. Jason Vanover.

Jedli frutti di mare w lokalu na Mulberry Street, do którego Miles lubił przychodzić, bo kiedyś zabito tam gangstera, dostał parę kul w głowę od facetów z konkurencyjnej rodziny, a może ze swojej własnej albo z innego miasta.

- Co chwila wspominasz o jakichś ludziach, których nie znam i nigdy o nich nie słyszałem, a ty o nich mówisz - powiedział - w taki sposób, jakbym powinien wiedzieć, o kim mowa, chociaż tak naprawdę niby skąd miałbym.

- To prawda, rzeczywiście tak mówię.

- Ludzie mijają mnie jak rozmyte plamy.

- Mnie się po prostu wydaje, że skoro kogoś znam, to ten, do kogo mówię, siłą rzeczy też musi znać tę osobę, bo tak wynika z jakiejś ludzkiej arytmetyki - odparła.

Miles był przeziębiony, stale się przeziębiał!, nikt już na to nie zwracał uwagi, rozumiało się samo przez się, że ma napady kaszlu i lekko zmętniałe oczy, ale ci, co go znali, w ogóle nie

zauważali tych objawów - naturalnie kojarzyły się z nieregularnym, chorym trybem życia, niedojadaniem, podróżami i spaniem z doskoku.

Rozejrział się za pewnym typem sylwetek - krzepkich mężczyzn w garniturach, którzy mogliby mieć powiązania.

- Z krótszymi włosami byłam jeszcze bardziej podobna do Chinki - powiedziała Klara.

- Co on robił w życiu?

- Był specjalistą od analiz rynkowych, ryzykantem narażającym własne i cudze pieniądze, no i żeglarzem, nieraz całymi tygodniami pływaliśmy jachtem. To akurat najlepiej nam się udało w małżeństwie. Kiedy byliśmy razem na keczu, wszystko się układało. Ten jego kecz nazywał się „Finansjera”.

- Ty i żagle?

- Wiedzieliśmy, że musimy współpracować. Pomieścić się w ciasnocie. Zmieniać się przy sterze, w kambuzie, na kłocie, odkładać sprzęt na miejsce, zwijać liny, pilnować porządku. Ja i żagle, żebyś wiedział. Byliśmy zdyscyplinowani. Szanowaliśmy łódkę i żywioty. Całkiem niezłe nam się układało w małżeństwie, póki byliśmy na jachcie.

Pieszko wrócili do loftu. Na środku jezdni stał wózek z supermarketu, auta omijały go, a z cienia rampy załadowniczej wychynał jakiś mężczyzna, mamrocząc błagalną modlitwę do Jezusa.

Wypalili skręta i obejrzeni w wiadomościach migawkę, w której Nixon machał ręką.

- Acey opowiedziała mi, jak poszła na imprezę i spytała jednego faceta, czego mężczyźni tak naprawdę chcą od kobiet, a on jej na to: Żeby nam obciągały, a ona: Przecież mogą wam obciążać faceci.

- Za pół roku Acey zrobi się taka sławna, że nie pożyje - stwierdził Miles. - Zabiją ją przy wyjściu z dyskoteki.

Czas, kiedy pora będzie znów zająć się pracą, jeszcze nie nadszedł, ale był bliski. Coś w jej skórze sprężyło się do nerwowego susa, budziła się potrzeba formowania i kształtowania, tyle że głębsza - pragnienie tak całkowite, że Klara nieraz czuła przed nim obawę, siedząc samotnie w lofcie.

- No właśnie, przy wyjściu z dyskoteki - powiedziała. - A ty potem będziesz chciał, żebym tam z tobą poszła tańczyć.

Matka zabrała ją do śródmieścia, ją i Rochelle, jej najlepszą przyjaciółkę, i zjadły lunch niedaleko Times Square, w barze samoobsługowym, w którym okno od ulicy zdobił witraż, a mleko tryskało z pyska ryby z brązu. Patrzyły, jak tłumy widzów wchodziły do teatrów, żeby obejrzeć popołudniówkę, a matka Klary głośno oceniała kapelusze pań. Oglądały wystawy co lepszych sklepów. Zwiedzały eleganckie hotele i biurowce, matka Klary wprowadzała dziewczynki do środka i pokazywała boazerie i grawiury w hallach oraz rzeźbione drewno drzwi do wind. Stały przed wieżowcem na Piątej Alei, mógł być jakiś rok 1934 i Japończycy właśnie okopali się w Mandzurii, a one pobiegły wzrokiem wzwyż po fasadzie i przeszły przez wybluszczony hall gmachu Freda F. Frencha. Klarę i Rochelle mocno zaintrygowała ta nazwa, bo kimże, na miłość boską, mógł być Fred F. French, a matka Klary, chociaż wiedziała tyle różnych rzeczy, pracowała w biurze opieki społecznej i studiowała psychologię dziecięcą, śledziła światowe wydarzenia i niepokoiła się sytuacją w Chinach, chociaż systematycznie planowała te wspólne wypadki, o tożsamości Freda F. Frencha nie miała najmniejszego pojęcia, co zaintrygowało dziewczynki jeszcze bardziej, zaintrygowało i ubawiło, bo miały trzynaście i czternaście lat, więc bawiło je wszystko. Do domu wracały kolejką nadziemną z Trzeciej Alei i mknąc z łoskotem na północ przez Manhattan i Bronx, zaglądały z okien wagonu w okna czynszówek po obu stronach torów, setki ludzkich żywotów migały im przed oczami jak film, piętnaście metrów nad poziomem ulicy, i Rochelle zobaczyła, że rozczochrany mężczyzna w podkoszulku wychyla się przez okno, i: „Może to właśnie jest Fred F. French - powiedziała. - Miał serię pecha, hi, hi, hi, no i tyle” - rzekła Klara do Milesa - leżeli u niej w łóżku i grali w karty, a ciąg dalszy nastąpił dopiero trzy albo cztery lata później, kiedy dziewczyny wyszły ze szkolnej potańcówki z dwoma chłopcami, którzy nawet nie chodzili do tego samego liceum, byli intruzami z północy stanu, i we czworo wśliznęli się do czyjegoes zaparkowanego auta w ciemnym końcu ulicy, wypalili kilka papierosów, gadali, obściskiwali się, obłapiali i kleili. Klara i jeden chłopiec przytulali się na przednim siedzeniu, a Rochelle wzięła sobie tego drugiego na przestronne tylne. Szalona na punkcie chłopców Rochelle pokazowo całowała się z językiem i zsuwała

z siedzenia, aż się kurzyło z tapicerki, a zamglona mina dziewczyny rozpraszala współników z przedniej części wozu, aż przewalili swoje i już tylko się przyglądali. Było akurat dość widno, żeby się przyglądać.

A Rochelle posunęła się do samych granic tego, na co może pójść dziewczyna, nawet taka szalona chłopaciara jak ona. Jej chłopak zamienił się tymczasem w obłąkany kłębek kończyn, a Rochelle swoją zawile zradziecką miną, zamgloną, zabójczą i chłodną, zdawała się mówić Klarze, że ich przyjaźń, najlepsza i najgłębsza, jaką można sobie wyobrazić, wejdzie niebawem w dziwną i niepokojącą fazę, w komplikację złożoną z mężczyzn, seksu i osobistych potrzeb. W aucie migały dłonie i kolana, działo się to, co zwykle dzieje się na tylnych siedzeniach, przechylone ciała i co kto ma na sobie odzieży, łapczywe crescendo seksu w ciemnościach. Klara usłyszała, jak strzela gumka od majtek. I chyba także to, że palec chłopca naprawdę wniknął w mięsistą kieszonkę między nogami Rochelle, usłyszała palpa-cyjne, morskie ssanie, wilgoć, ślinotok długich, oszalamiających pocałunków, cały ten cyrk, kiedy w usta włązi ci kosmyk jego włosów i nie możesz go namierzyć, a potem ogarnęła ją raptowna i gorzka świadomość, że Rochelle już kiedyś to robiła, posunęła się równie daleko, a nawet dalej, i jakże zaszokowana była Klara, widząc w oczach najlepszej przyjaciółki tyle doświadczenia, wciąż jednak patrzyła, klinicznie zauroczona, patrzyła i słuchała - jakże rażący wydaje się sekret, jeśli jest cudzy.

Teraz już wiedziała, co ludzie nazywają doświadczeniem, rozumiała ton, jakim wymawiali to słowo, pojęła, że doświadczenie przybiera postać nie seksu, lecz wiedzy, którą posiada nie ona, Klara, tylko jej przyjaciółka - i aż ją skreśliło w środku, poczuła się jak głupie szczenię.

Usłyszała, że Rochelle mruczy coś, jakby: „Pora wyjąć gumkę z portfela, Bob”, a może powiedziała Rob, lecz chłopak zamiast bladego, elastycznego futerału wyjął swój własny żywy narząd, sztywny, pulsujący i ultrafioletowy - oto on, nagle porozpinany i wypuszczony na świat, w takiej mniej więcej konfiguracji, jaką Klara zawsze sobie wyobrażała, ale gorący i prawdziwy, żyjący własnym życiem, nie przykuty do swojego gospodarza, nosiciela, użytkownika, Rochelle była jednak zdenerwowana, bo chłopiec

nie miał gumki, a Klara też się denerwowała, bo Japończycy mogli najechać Chiny.

Miles przekładał karty i słuchał.

A w najbardziej przełomowym momencie Rochelle Abramowicz ponad ramieniem chłopaka spojrzała w oczy Klarze Sachs i rzekła z namysłem:

- Jak ci się zdaje, co znaczy „F”? Klara spytała:
- Jakże znowu „F”? A na to Rochelle:
- Fred Fiutas French.

Był to zgrabny tekst, może najlepszy, jaki się w takich okolicznościach udał. komukolwiek na świecie, wtedy czy dziś, i znowu poczuły, że są przyjaciółkami. Zaczęły pękać, jak to się mówi, ze śmiechu, właściwie rozpadły się na czynniki pierwsze, na atomy i cząsteczki, dwie dziewczyny w gangsterskim packardzie niesione wiatrem w przyszłość, a Klara stała na dachu, popijając letnie wino i słuchając, jak ludzie mówią: „Potrzebny nam jest teatr”, i wiedziała, że opowie tę anegdotę Milesowi, i jeszcze to, że nigdy nie znajdzie takiej przyjaciółki jak Rochelle, ani zresztą takiej matki, jaką miała, i spojrzała ponad murkami i balustradami w stronę starego wieżowca z masywnym brzuścem i rdzawymi boazeriami, dziesięć przecznic na północ, i pomyślała, jakie to cudowne, jaki to przypadkowy cud, że nasunęło jej się wspomnienie szybujące na tej samej wysokości, na której wieżowiec w śródmieściu wieńczy fajansowa mozaika - stare słońce ze szprychami, co przynosi szczęście.

2

Poeci dawnych narodów zamieszkujących te strony snuli opowieści o wietrze.

Matt Shay siedział w swoim boksie, wydzielonym z betonowej przestrzeni mniej więcej rozmiarów boiska do koszykówki, gdzieś pod gipsowymi wzgórzami na południu Nowego Meksyku.

Brał udział w operacji „Kieszon”.

Niektórzy z jej uczestników nie mieli pewności, czy pracują

dla przemysłu zbrojeniowego. Zaangażowani byli w proces badawczy i nie wiedzieli dokładnie, do czego posłużą ich odkrycia, symulacje, uzyskane lub przewidywane wyniki. Jest to jeden z podskórnych wątków wszelkiej działalności systemowej, gdy cała praca tworzy powiązania na poziomach i w punktach geograficznych mocno oddalonych od samych badaczy, którzy trują się przy biurkach i eksperymentują w laboratoriach.

Matt zajmował się dawniej analizą skutków, rozpracowując makabryczną matematykę kraksy nuklearnej bądź konfliktu na ograniczonej skale. Źródłem danych były autentyczne zdarzenia. Choćby ta sprawa, kiedy w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym coś spadło na Albuquerque: bomba termojądrowa o monstrualnym tonażu, zrzucona przez pomyłkę z B-36 - no dobra, nie ma ludzi nieomylnych - tak że wylądowała na polu w granicach miasta. Konwencjonalne materiały wybuchowe eksplodowały, ale nie pakiet nuklearny. Incydent ten trzymano w tajemnicy jeszcze po upływie siedemnastu lat, gdy Matty siedział w swoim boksie i czytał przewodnik dla turystów.

Już pięć miesięcy tkwił w „Kieszeni” i niewątpliwie pracował dla zbrojeniówki, ale zajmował się łagodniejszą stroną zagadnienia, głównie mechanizmami zabezpieczającymi. Siedział z twarzą wklejoną w monitor i nie był pewien, co właściwie o tym wszystkim sądzi. Dawniej chciał przecież zajmować się bronią, bo to by mu nadało ostrzejszy kontur, tożsamość, poczucie, że szlifuje własną sylwetkę, nieco lepiej poznaje samego siebie - tajną instalację na pustyni.

Nazwa operacji „Kieszeń” pochodziła od zwierzątka znanego jako goffer kieszonkowy, które żyje w tunelach, zaciekle ryjąc je pod zmarszczonymi wydrami.

Wydmowe pola, alkaliczne równiny, biel, cały ten biały, morskodenny świat, w oddali smugi białej mgielki, mumia dziecka sprzed sześciu tysięcy lat znaleziona w jaskini nieopodal White City, owszem, i te zwierzęta, które w ciągu wielu eonów wyblakły i w końcu zbieleły, mysz niegdyś brązowa dostosowała się maścią do gipsowych zasp, żeby umknąć przed wzrokiem drapieżców.

Z Gór Organowych wiał wiatr, rozpędzał się do osiemdzie-

sięciu kilometrów na godzinę, nadając wydmom nowe kształty, a niebu dziwny, niebezpieczny odcień szarości, jakby obłąkanej bieli.

A mężczyźni i kobiety z „Kieszeni”, głównie jednak mężczyźni, i to na ogół samotni, wśród nich tylko kilka małżeństw z dziećmi - albinosami, jak żartem mawiano - mieszkali w bliźniakach na skraju poligonu i słuchali wiatru, o którym mędrzy niegdysiejszych narodów opowiadali, budując metafory i systemy filozoficzne, a on przeczesywał wydmom grzbiety, wiał zaś czasem z niezmienną mocą przez wiele dni.

Zajmujesz się falami akustycznymi? Szacujesz skutki, jakie może mieć podmuch dla samolotu, który zrzucił bombę? Opracowujesz jej atomowy rdzeń i marzysz o dziewczynie z Georgii, tej, co ci włożyła rękę w spodnie w kinie samochodowym niedaleko mokradeł? Pragniesz ujrzeć kulę ognistą, autentyczny wybuch próbny - dziś oczywiście eksplozje w atmosferze są zabronione, ale żałujesz, że nie widziałeś jednego z tych potwornych wybuchów, od których wyparował cały atol, dawno temu, wtedy kiedy.

Jadł lunch w podziemnej jadalni z Erikiem Demingiem, wysokim, rozlazłym facetem tuż po trzydziestce, młodszym o parę lat, jednym z bombomózgowców.

Eric miał spadziste ramiona, ubranie na nim wisiało. Lubił jeść rękami - frytki, czemu nie, ale on jadł w ten sposób także sałatę, buraki, gotowany ryż, ziarna kukurydzy - wszystko, co dawało się pojedynczo chwycić palcami i podnosić do ust.

- Kiedy Janet przyjeżdża?
- Niedługo. Ustalamy szczegóły - odparł Matt.
 - Pokażesz nam ją? Nie widzieliśmy tu kobiety przybyłej ze świata.
- Przecież ciągle jeździsz do Alamo gordo.
 - To jeszcze nie świat. Człowiek musi przejechać półtora tysiąca kilometrów, nim dotrze do świata. Sam wiesz, że tak jest. W tym stanie, Matty.
- Ona tu nie przyjedzie.
 - Dobra, ale zdajesz sobie sprawę, jaki procent ludzi w tym stanie ma prawo wstępu? Czy nie dlatego tak lubimy tu być?

- Spotkamy się gdzieś na zachód stąd i pojedziemy z namiotem. Bardzo, bardzo daleko. Jeżeli da się namówić. Na razie wcale się nie pali.

Eric zatrudniony był w laboratorium, w strefie, do której Matt nie miał przepustki. Dawniej pracował przy materiałach radioaktywnych, zamkniętych w hermetycznej komorze rękawicowej. Wkładał rękawice ochronne, a na nie jeszcze jedną parę przypinaną do rękawów, kilka warstw odzieży impregnowanej z dawkomierzami osobistymi, wykrywaczami radiacji, i zajmował się składnikami bomby: inicjatorami neutronowymi, detektorami, elementami podkrytycznymi, trzewnym żarem wewnątrz głowicy bojowej.

Teraz pracował nad czymś innym, a Matt nie wiedział nad czym. Eric nosił plaketkę z żółtymi brzegami - znak wtajemniczonych - rozsiewał zdumiewające plotki.

Bombomózgowcy kochali swoją pracę, ale niekoniecznie musieli być zwolennikami bomby, takimi, co to mają chroniczny wzwód, podnieceni myślą o megazgonach. Byli zakręceni na punkcie detali. Nabożną cześć budziła w nich wewnętrzna muzyka bombowej technologii. Matt bacznie im się przyglądał. Chadzał do nich na imprezy i uczył się ich języka. Emanowali poświatą zapalnych lat sześćdziesiątych, gotowością do poświęcenia się jakiemuś natręctwu.

Myśleli, że manewruje, bo chce się przenieść do ich działu, stać się jednym z nich, nosić zaszyfowaną plaketkę, elektronicznie czujną przepustkę, która przeprowadzi go przez ostatnią bramę i tunel do strefy projektowania bomb.

Ale Matty zerkał ukradkiem ku magazynom mieszczącym się na powierzchni, ku śpiworom i kopulastym namiotom, bo chciał wyjechać i trochę pomyśleć.

Miał wątpliwości, czy służy słusznej sprawie.

Kawałek na południe szosą numer siedemdziesiąt, pod tablicą POLIGON RAKIETOWY, w miejscu, które na twojej mapie jest białą plamą, stali protestujący, siedem czy osiem osób, czasem tylko dwie albo trzy, z rozpiętym między drewnianymi drążkami transparentem „Tu Się Zaczyna Trzecia Wojna Światowa”, a pra-

cownicy bazy naigrawali się z nich albo tylko podśmiewali, jednym pochlebiała treść transparentu, inni współczuli manifestantom, targanym wiatrem brzydalom.

Matt cieszył się na ich widok. W pewnym sensie liczył na to, że ich zobaczy. Z czasem istotna stała się dla niego świadomość, że tam są, czworo, pięcioro, sześcioro, zwykle więcej kobiet niż mężczyzn, albo tylko dwie ponure postaci czepiają się drążków i nigdy nie powiedzą ani słowa, kiedy obok przejeżdżają wojskowe pojazdy lub ciężarówki z jakimś sprzętem na platformach, nakrytymi plandeką, czy wreszcie cywilni pracownicy i budowlańcy, którzy nieraz pokażą im obelżywie wyprostowany palec.

Białe plamy na twojej mapie obejmują teren bazy lotniczej, bazy wojsk lądowych, poligon raketowy, ogromny obszar ciągnący się ku północnemu zachodowi, zwany Jornada del Muerto, a także równinę między wydhami, białą jak na mapie, białą na papierze tak samo jak w żywej rzeczywistości, z paroma niskimi, ogrodzonymi budynkami, obok których stały cysterny z propanem na potrzeby podziemnej operacji prowadzonej w „Kieszeni”, tam gdzie wymyślano i projektowano broń.

Musieli z zabójczą dokładnością przestrzegać terminów. Zawsze trzeba było zdążyć na jakiś termin. Bombomózgowcy uskarżali się na to. Obdarzeni wyższego rzędu wrażliwością, osiągnęli rozumowe panowanie nad sobą i wolni byli od ambiwalencji moralnej, od roztrząsania skutków, od udręki psychicznej i temu podobnej sentymentalnej sraczkii. Sami najlepiej rozumieci twarde reguły konfliktu i nienawidzili nacisków, którym poddawała ich panosząca się na powierzchni ziemi biurokracja.

Ale terminy były nieubłagane. Co chwila trzeba było z czymś zdążyć na czas. Panował wojenny pośpiech, chociaż bez wojny.

- Znasz już najnowszy sekret? - spytał Eric.

O zachodzie słońca spacerowali za bliźniakami, zupełnie sami na piaszczystej równinie, ale Eric wciąż się rozglądał, czy ktoś nie podsłuchuje, oczywiście tylko tak się wygłupiał, z przesadą szepcząc kącikiem ust, i ta jego dyskrecja doprowadziłaby do

rozpaczy nawet fachowca od czytania z ruchów warg, zwerbowanego, żeby przeanalizował filmy z inwigilacji.

- To stara sprawa, która dopiero teraz wypływa - powiedział - w postaci bardzo nikłych pogłosek.
 - Jaka stara sprawa?
 - Pracowników poligonu w Nevadzie, z czasów prób naziemnych.
 - No więc?
 - I ludzi z miejscowości, w których stronę wiał wiatr. Nawiasem mówiąc, istnieje dla nich specjalne określenie, oddające sedno ich kondycji.
 - Jakie?
 - Nawietrzni - rzekł Eric.

Niespiesznym krokiem mijali niskie kępy mietelnika, zmierzając w stronę parkanu z siatki pod prądem.
 - No więc co z tymi ludźmi? - spytał Matt.
 - Nikt nie ma o tym wiedzieć. Sprawa właściwie i tak już wyszła na jaw, a jednak.
 - Co?
 - Tajna. Nie mówi się o niej. Wyciszona.
 - A na czym polega sekret?
 - Szpiczaki mnogie. Niewydolność nerek. Albo człowiek budzi się rano o dziesięć centymetrów niższy.
 - Sugerujesz, że to skutki opadu radioaktywnego.
 - Albo nagle zaczyna rzygać i rzyga tak dzień w dzień przez siedem, osiem tygodni.
 - Ale przecież z czymś takim z góry musimy się liczyć, prawda? Zdarza się czasem błąd w rachunkach. To niebezpieczne zajęcie, wiesz?
- Ericowi najwidoczniej sprawiła przyjemność ta odpowiedź. Albo inaczej: chyba takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał, chyba dodała mu animuszu. Akurat mijali wielką, paraboliczną wydmy, w gęstym, ciągnącym upale, w którym powietrze wydawało się fizyczną przeszkodą.
- I te małe przysiółki, w których stronę wiał wiatr z poligonu. Prawie wszystkie tamtejsze dzieci noszą peruki - szepnął Eric.
- Od chemioterapii?
 - No. A czasem rodzi się dzieciak, któremu brak jakiejś kończyny czy czegoś. Albo zdrowa kobieta idzie umyć głowę i całe

włosy zostają jej w rękach. Oszalająca brunetka, a za chwilę łysa jak kolano.

- Gdzie?

- Podobno głównie na południu Utah, bo właśnie w tamtą stronę wiał wiatr. Ale gdzie indziej też. Gruźlica. Plaga wielkich czerwonych wrzodów, jak w Starym Testamencie. Rozległe czerwone zaognienia i wysypka. Albo ludzie wykastują pełne garście krwi. Człowiek kaszle w złożone dłonie, a potem widzi w nich radioaktywną krew, dobre pół litra.

Idąc wzdłuż parkanu pod prądem, minęli przestrożę, którą wypisał sprejem ktoś spośród protestujących, a może jakiś apokryf, chytrze zatrudniony w „Kieszoni”.

- Wierzysz w te wszystkie historie?
- Nie - przyznał Eric.
- No to po co je rozsiewasz?
- Bo lubię ten ton. Chyba jasne, nie?
- I ostrość.
- Ostrość. Jad. Egzystencjalne żądło.

Matty miał sześć lat, kiedy jego ojciec wyszedł po papierosy.

Gdy minęło osiem dni, a ojciec nie wrócił, nie zadzwonił ani nie przysłał wiadomości przez koleżkę, chłopiec wziął cały bilon, jaki znalazł w mieszkaniu, i ruszył przed siebie.

W tę akurat stronę nigdy przedtem nie chodził bez opieki dalej niż do kolejki nadziemnej na Trzeciej Alei, ale tym razem przekroczył granicę. Przeszedł przez Trzecią w miejscu, gdzie długim korytarzem poniżej poziomu ulicy jeździły z przedmieść pociągi na Grand Central. Te same, w które pewnego dnia Nicky miał rzucać kamieniami. Stać przy balustradzie na oczach wszystkich i rzucać kamieniami w pociągi przejeżdżające dokładnie pod nim.

Potem wszedł długimi schodami na górę, w ulicę koło Grand Concourse. Nieraz już chadzał po tych schodach z matką, żeby pójść do kina i wstąpić do pobliskiej lodziarni na koktajl mleczny z lodami, a teraz sam na nie się wdrapał, zmierzając w stronę Concourse, tam gdzie było kino „Raj” należące do sieci Loewa, schody miały sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt stopni, a dookoła stały domy na stalowych szczudłach, jakby się nagle znalazł w zupełnie innym kraju.

A teraz widzi siebie z tej oddali, spośród białych piasków, jak stoi po drugiej stronie ulicy i patrzy na imponującą, pseudowłoską fasadę „Raju”.

Widzi, jak zadziera głowę i patrzy na zegar, na balustradę okalającą dach, na ozdobną kamienną kopułę.

Widzi, że kupuje bilet, ledwie sięgając do okienka, a potem wsunął monety przez otwór i patrzył, jak kasjerka uderza w specjalny dzwyzdel, żeby w szparze pokazał się bilet.

Wszedł do foyer. Poczul, że ogarnia go fala ciepła unosząca się z puszystego dywanu niczym pogodny spokój głaskanego psa. W marmurowych basenach pływały złote rybki. Spojrzał na szklane żyrandole z wytrawionymi wzorami. W górze widać było kilka wystających balkonów, na których wisiały obrazy w złożonych ramach. Pomyślał, że to tysiąc razy świętsze miejsce niż kościół.

Siedzi w swojej połówce bliźniaka przy poligonie raketowym i widzi, jak wdrapuje się na schody wykładane miękkim chodnikiem, bo chce siedzieć wysoko, blisko sufitu.

Zobaczył biletera, który stał, trzymając na wysokości paska latarkę. Miał na ramionach galony oraz rząd mosiężnych guzików biegnący skosem przez pierś i raz po raz błyskał latarką, włączając ją i wyłączając, bo lubił słuchać jak pstryka. Matty bał się, że bileter zabroni mu siedzieć na balkonie, bo balkon jest tylko dla dorosłych, żeby mogli palić, albo dla chłopaków i dziewczyn, co chcą się obściskać. Ale bileter dalej sobie pstrykał, więc Matty spokojnie go minął.

Wdrapał się aż do najwyższych rzędów, pod sam sufit, tam gdzie mrugały i wędrowały gwiazdy. Całe niebo wędrowało po suficie, gwiazdy, konstelacje i mgliście błękitne chmury. Matka chciała, żeby Matty został ministrantem, kiedy podrośnie, ale kino było jeszcze bardziej imponujące niż kościół.

Widzi to wszystko okiem dorosłego, który nigdy nie zapalił papierosa, ledwie umie prowadzić samochód, nie gra już w szachy i kocha pielęgniarzkę z Bostonu.

Widzi siebie na balkonie „Raju”. Światło padające z ekranu to wzmagalo się, to słabło, zależnie od rodzaju sceny. Spoglądał na najbliższą ścianę, a potem na przeciwną, i wśród nagłych rozbłysków i skoków światła gmach ukazywał mu cały swój przytłaczający ogrom, łuki, portyki, posągi, urny i marmurowe

popiersia, pnącza przewijające się między tralkami, bohaterów na piedestałach, z długimi mieczami, kolumny o kształtach postaci w powłóczystych szatach, na obu ścianach tłoczyły się anatomie i budowle, zbyt wiele, aby można było wszystkie ogarnąć, na frontonach stali aniołowie w aureolach, a on siedział i czekał na ojca, czekał, aż widmo albo dusza ojca wreszcie się zjawi.

Zdjął okulary, włożył okulary. Znowu je zdjął, przetań jasną szmatką, usiadł przed monitorem i mrugając oczami, spojrzął na wykaz danych o systemie zbrojenia, czyli podzespole wysyłającym sygnały, które wprowadzają broń w stan gotowości bojowej albo zabezpieczają pierwotnie lub wtórnie. Usłyszał daleki huk z pustyni, falę podmuchową prędkości macha, i podnieciło go to, poruszyło. Zawsze tak reagował - obojętne, jak często słyszał ten dźwięk i w jakiej odległości od źródła. W niektóre ranki budził go ryk samolotów przelatujących akurat nad bliźniakami, a czasem, nim zapadła noc, stawał przed swoją kwaterą i wpatrywał się w zdyscyplinowane smugi kondensacyjne pół tuzina maszyn lecących zwartym szykiem, chociaż same odrzutowce dawno już znikły, ale tym, co go napawało podziwem i poruszało, był opór aerodynamiczny i szok akustyczny, a potem echo odbite od gór, jakby samoloty rozdierały jeden ze szwów spajających świat.

Byli tam ludzie, którzy nie wiedzieli, dokąd trafią i do czego posłużą owoce ich pracy. Nie wiedzieli, którądy ich kombinacje liczb i symboli wejdą w cykl przyrody. Teoretycznie mogło się to stać w mgnieniu oka.

Wszystko łączyło się w jakimś nie ujawnionym punkcie w głębi systemów. Stąd swego rodzaju elitarny niepokój.

Było to jednak w pewnym sensie wspaniałe misterium, powód do zdumienia, że krótkie równanie, które próbnie napisałeś na komputerze, może zmienić bieg wielu żywotów, przyspieszyć krążenie krwi w żyłach kobiety jadącej tramwajem wiele tysięcy kilometrów od ciebie, no i jak byś nazwał ten rodzaj związku?

Matt nie lubił prowadzić auta. Prowadził zaledwie od pół roku i wiedział, że nigdy nie poczuje się naturalnie za kierownicą. Mógł co najwyżej udawać kierowcę. Pożyczył od jednego

z bombomózgowców wóz z napędem na cztery koła i jeździł nim, trzymając na kolanach broszurę z instrukcją. Drogi, znaki drogowe, inne auta sprawiały, że czuł się fałszywie, demaskowały zbrodnię, jaką popełniał, prowadząc.

Chciał jednak poćwiczyć przed wycieczką z Janet, więc jeździł w wolne dni; znaki drogowe wskazywały podjazd na rampę dla ciężarówek, którym wysiadły hamulce, ostrzegały przed niebezpiecznymi wiatrami bocznymi, był też napis JEZUS NASZYM PANEM, hen, w oddali widniały smugi białawej mgiełki, w których rozpoznawał już piach z morskiego dna, żółta tablica obwieszczała ZAKAZ WJAZDU KIEDY DROGA ZALANA, a poprzeczki linii wysokiego napięcia, mknących na złamanie karku aż do Meksyku, rzucały smukłe cienie.

Pewnego dnia, wracając z przejażdżki, zobaczył, że manifestanci jak zwykle stoją w niewłaściwym miejscu. Powinni byli stać przy trzeciej bramie bazy lotniczej, tej bez oznaczeń, bo właśnie tamtędy wjeżdżali i wyjeżdżali naukowcy z „Kieszeni”, najbardziej podatni na protest, i mało brakowało, a byłby im poradził, żeby się przenieśli ze swoją akcją kawałek dalej.

Matt miał lekko żydowski wygląd, może też odrobinę latynoski. Nim skończył dwadzieścia lat, podnosił ciężary, żeby przemodelować to miękkie, wątłe ciało, dotychczasową przystawkę do komputerowej głowy. Póki mieszkał w Bronksie, ludzie mówili, że wygląda jak wszystko po trochu. Meksykanin, Włoch, a nawet Japończyk, bo jego najzyczliwszy uśmiech sprawiał wrażenie ceremonialnego grymasu. Policyjny portret pamięciowy sporządzony na podstawie siedmiu różnych opisów -oto cały Matt. Na zawsze zachował w sobie coś z późnych lat pięćdziesiątych, kiedy studiował w City College i był pracowitym krótkowidzem, bystrym i ubogim, który jeździł metrem na wykłady.

Siedział w jadalni z Erikiem Demingiem. Eric wziął w dwa palce nitkę makaronu i wolno spuścił ją sobie do gardła, po którym przebiegły jakby wężowe skurcze.

- Zgoda - powiedział Matt. - Musimy zawczasu uwzględnić możliwość, że coś takiego się zdarzy. Nie jesteśmy naiwni. Błędy

są częścią procesu. Wiatr nagle zmienia kierunek i opad leci, gdzie nie powinien. Albo wybuch i fala uderzeniowa mają większą siłę, niż się ktokolwiek spodziewał.

- Spokojne lata pięćdziesiąte. Wszyscy ubierali się i mówili identycznie. Nic, tylko kuchnie, auta i telewizory. Mamo, gdzie pepsodent? Byliśmy przy tym, więc wiemy, prawda?
- To ty wiesz. Ja nie wiem - odparł Matt.
- Byłeś przy tym. Obaj byliśmy.
- To tyś przy tym był. Ja byłem przy czym innym.
 - Tata pod łącznikiem myje samochód. A tu, na końcu świata, żołnierze zajmowali pozycje w okopach, szykując się do nuklearnych manewrów. Ogniste kule przelatywały im tuż nad głowami.
- Chcesz powiedzieć, że byli za blisko.
 - Tak słyszałem. Patrzysz na własną rękę i widzisz przez nią na wylot. Masz zamiast niej rentgen ręki. Widzisz na wylot przez mundur i skórę. To światło jest takie białe. Widzisz krew, kości i całą resztę. Mało tego. Widzisz to wszystko z zamkniętymi oczami. Nie musisz ich otwierać. Widzisz przez zamknięte powieki. Ha!
- Czy ktoś oficjalnie przyznał, że tak było?
 - Po kilku latach budzisz się rano i wszystkie narządy wewnętrzne masz sklezione w jedną wielką galaretowatą bryłę.
 - A dostali odszkodowanie?
 - Nie wiem - rzekł Eric.
 - To już nie należy do twoich zadań plotkarza.

Eric wetknął zakrzywiony palec w szpinak Matty'ego i poniósł strzępiastą grudkę do ust.

- Kogo interesują plotki o biurokratycznych drobnostkach? Rzecz w tym - powiedział - że zdarzyło się to na oczach ludzi, ale do dziś trzymane jest w ścisłej tajemnicy. Tak przynajmniej słyszałem. Ale ja akurat nie wierzę w tę historyjkę. Z wież od palano potężne ładunki, z samolotów upuszczano niebezpieczne urządzenia, wojsko wysyłano zbyt blisko miejsca eksplozji i po zwalano, żeby wiatr zaniósł opad do Utah, gdzie teraz rodzą się dzieci z pęcherzami odwróconymi tyłem naprzód.

Matt starał się polubić Erica. Facet był bystry, przyjacielski, obdarzony czymś nieco podobnym do charyzmy w stylu niezgrabnego fizycznie drągala. Ale patrząc na niego, trudno było

nieraz dojść, jakie właściwie powodują nim motywy, gubiły się bowiem w dośrodkowych prądach jego uśmiechu. Człowiek widział cienie grające wokół ust i zastanawiał się, czy nie pada ofiarą podstęp.

- Wiesz o tej szkole niedaleko stąd. To już nie plotka, tylko fakt. Byłem tam i widziałem. Szkoła podstawowa i schron przeciwbombowe w Abo. Prawdziwe miejsce pod ziemią.
- Takie jak nasze.
- My nie jesteśmy prawdziwi - zaprotestował Eric. - Te dzieci są jeszcze małe. Dopiero w podstawówce. Mają jeszcze szansę być prawdziwe. Wysłano mnie do nich, żebym wygłosił pogadankę.
- Jako bombomózcowiec.
- Jako prostolinijszy młodszy pracownik kompleksu przemysłu zbrojeniowego. Pogadanka miała być formą rozrywki w przerwie śniadaniowej.
- I co im powiedziałaś?
- Na skraju miasta jest zbiornik z wodą, a na nim świeżo wymalowany napis: MISTRZ STANU! I rzędy schludnych domków. A potem natrafiasz na szkołę, tyle że ledwo ją widać. Najpierw są tylko takie jakby przyczepy mieszkalne i parę boisk do koszykówki, ale w końcu zauważasz wejście, otwierasz stalowe drzwi, schodzisz po schodach, dookoła pełno betonu i stali, światło też trochę niesamowite. Klasy, łóżka, konserwy, kostnica. Nie zdarza się, żeby ktoś wybił okno. To jedna z cech charakterystycznych. Bo okien oczywiście tam nie ma. Ale rzecz w tym. No, w czym rzecz, Matty?
- Nie wiem. Powiedz.
- Rzecz w tym, czy urządzili to wszystko, żeby uchronić dzieci przed bombami sowieckimi czy raczej przed naszymi bombami i naszym opadem?
- Nie wiem. Jedno drugiego nie wyklucza. Co powiedziałaś dzieciom?
- Mówiłem językami - rzekł Eric. - No bo sam pomyśl. Stoję w podziemnej sali na północnym skraju wielkiej pustyni, budynek wyposażony jest w system filtrowania opadu i w całkowicie profesjonalną kostnicę, a nad tablicą wiszą prosiaczki i krowy narysowane kredkami. A tak przy okazji.
- Co?

- Mam u siebie w pokoju komplet szachów. Zagramy partyjkę?

„Kieszek” była jedną z tych miłych, zwartych społeczności, które potrafią zająć miejsce świata. Tworzyła świat, który stawał się osobisty i niezmiennie interesujący, ponieważ składało się na niego to, co robiłeś ty sam i ludzie tobie podobni, świat zamknięty, pełen wewnętrznych odniesień, a w dodatku robiliście to wszyscy razem w miejscu i języku niedostępnym dla osób postronnych.

Janet Urbaniak była dziewczyną Matta, wykwalifikowaną pielęgniarką. Chodzili ze sobą raz mniej, raz bardziej serio, na ogół bardziej, często tracili do siebie nawzajem cierpliwość, ale zawsze łączyła ich silna więź, tworzyli więc parę dobraną z wyroku gwiazd, wręcz urodzoną, żeby się spotkać i spierać.

Matt dzwonił do Janet, ilekroć miała wolny dzień, a ona opowiadała mu, gdzie była i co widziała albo kupiła, i z kim, i jak długo to trwało, a on słuchał, komentował i pytał o szczegóły.

Ostatnio pracowała na urazowym. Opowiadała mu, jak mijają jej tam noce, on jednak prawie nie wspominał o swojej pracy, a ona oczywiście rozumiała i nie próbowała drażnić.

Dwa razy na tydzień dzwoniła do jego matki, żeby się dowiedzieć, jak z jej zdrowiem, później telefonowała do Matta i zdawała mu raport, a potem sam Matt dzwonił do matki, bo chciał się upewnić, ustalić szczegóły tego czy tamtego bólu czy innej dolegliwości, i lubił wszystkie te rozmowy przez telefon -i własne, i te, które znał tylko ze streszczeń, bo miał dzięki nim jakieś życie poza „Kieszekiem”.

Jadąc pożyczonym dżipem, minął samotną manifestantkę, która usiłowała pionowo trzymać transparent w suchym wietrze, wijącym nieustępliwie nad równiną. Miał ochotę przystanąć i z nią porozmawiać. Pomóc jej z tym transparentem, zamienić parę słów. Chciał pokazać, że wyrozumiale odnosi się do jej poglądów, dać się przekonać niektórym argumentom, samemu też rzucić parę ostrych uwag, a potem zawieźć ją do jej banalnego pokoju na skraju tego czy tamtego miasta, z częściowym

widokiem na góry, i kochać się z nią łagodnie, z jękiem i z wzajemną wyrozumiałością w zmiętoszonej pościeli, ale tylko odrobinę zwolnił.

Usłyszał potem od kogoś, że manifestanci mieszkają we wraku szkolnego autobusu w górach Sacramento. Dosyć mu się to spodobało. Spodobała mu się ta idea, że ludzie rzucają wszystko, aby ruszyć w pogoń za jakąś ideą. Pomyślał o tym, jak Siostra Edgar w szóstej klasie opowiadała o świętych z pustyni, ze słupów, czyli o słupnikach, i wdrapała się na biurko, skrzyżowała nogi pod habitem i siedząc w lotosie jak jakaś święta na kolumnie gdzieś na Synaju, mówiła parę słów już to po łacinie, już to po hebrajsku, i przypomniał sobie, że tamto też mu się podobało - podobała mu się myśl o garstce nawiedzonych włóczędzów, którzy koczują po Zachodzie, nachodząc tamtejsze poligony raketowe i podziemne wyrzutnie.

Między innymi dlatego w ogóle tu przyjechał. Szukał pytań i przeszkód do pokonania. Szukał wiedzy o sobie, którą mógł zdobyć dzięki surowszemu trybowi życia, dzięki dobrowolnemu wytyczeniu granic.

Robiłeś magisterium z energii słonecznej? Pisałeś pracę o zasadzie inicjowania rozszczepienia jądrowego? Chodzisz co pół roku do dentysty na oględziny i polerowanie? Jesteś fizykiem i masz coś za złe matce? Jesteś zarządcą systemu i po kryjomu się onanizujesz, gdy twoja żona ogląda w telewizji powtórkę kolejnych odcinków *Miodowego miesiąca*? Czy cholernie byś chciał zobaczyć odpał z wieży wraz ze wszystkimi efektami specjalnymi, kiedy słońce wschodzi od strony dupy, a cienie drzew padają wspaniale - cały ten spektakl dematerializacji atomu, gdy chmura kondensacyjna w ułamku sekundy kładzie się na tarczy utworzonej przez wstrząs, pedantycznie umiejscowiona, i zaraz nadciąga wstrząs widomy, a biblijna wichura unosi kępy bylicy, piasek, kotły, koty, części samochodów, prezerwatywy i jadowite węże, i wszystko to frunie obok ciebie pustynnym świtem?

Eric wciąż zawracał mu głowę szachami. Ale Matt nie chciał grać w szachy. Nie mówił o szachach. Jego szachowa przygoda należała do dawnej, mrocznej i trudnej historii, raz na zawsze

wypartej z pamięci. Historii szachowego homunkulusa. Nikt nie wiedział o jego szachowej przygodzie. To i owo wiedziała Janet, i tylko Janet, nikt więcej, oprócz matki, brata i pana Bronzinie-go, z osób, które mogłyby jeszcze pamiętać.

- Nie rozumiesz - rzekł Eric, kiedy jechali dżipem.
- Rozsiewasz plotki, w które sam nie wierzysz. Co tu więcej jest do rozumienia? - odparł Matt.
- Musieli zamknąć drogi, bo chmura sunęła w stronę zamieszkanym okolic. Nerwiaki niedojrzałe. Oparzenia promieniami beta. Dwugłowe jagnięta. Albo całe stada owiec martwe na pastwisku. Albo budzisz się rano i zęby zaczynają ci wypadać z dziąseł, bezboleśnie i bezkrwawo.

Powiedzmy, dwa albo trzy zęby. Delikatnie wyrugowane, z cichuteńkim młaśnięciem - ciągnął Eric. - Zawijasz je w zimną, mokrą gazę, wskakujesz do auta i jedziesz do dentysty, w przekonaniu, że dentysta wstawi je z powrotem, bo przecież lekarze dokonują cudów z odciętymi kończynami, nie? A może wcale nie wstawi. Wyśle je do laboratorium w nowym ośrodku medycznym, wyposażonym w najnowocześniejszy sprzęt, który od jednego rzutu oka dowie się o tobie więcej, niż ty sam dałbyś radę wykombinować, choćbyś żył tysiąc lat.

Ale na pierwszym czerwonym świetle wyjmujesz zawiniątko z kieszeni i rozpakowujesz, żeby tylko zerknąć - ciągnął Eric - a tam nic, kupka proszku, zęby zupełnie się rozsypały. Te twarde, mocne, rzetelne narzędzia do gryzienia i żucia, do rozdzierania mięsa. A przecież potrafią przetrwać milion lat w pra-ludzkich szczękach, w czaszkach, które wykopujemy i badamy. Rozsypały ci się w kieszeni w drobny mak, w sześć skubanych minut.

Zadzwoił do Janet i chwilę z nią porozmawiał. Rozmawiał i słuchał. Im blabsze tematy, tym lepiej się czuł. Z satysfakcją poznawał szczegóły jej dnia, sprawy zaledwie przelotnie interesujące, które w jego samotnym zakochaniu dawały mu jednak poczucie, że jest uprzywilejowanym świadkiem.

Czasem mówiła o swojej pracy, o dyżurach na urazowym późną nocą, rzeczowo opowiadała o ciałach, które padają na świeżo umytą podłogę w korytarzu, i jak krewni włoką kogoś,

kto dostał nożem albo przedawkował, wuj i matka trzymają za głowę i nogi, a po bokach dziatwa, dwoje na każdą rękę.

Opisywała sceny jakby żywcem wzięte z obrazów europejskich mistrzów, tych od cudów i wojen.

Zachwycało go, że Janet ma do tych spraw tyle siły. Była drobna, oboje zresztą byli dość niscy, a ona w dodatku miała szczupłą sylwetkę, więc Matt lubił sobie wyobrazać, jak ubrana w strój pielęgniarki zanurza pięść w czyjejs klatce piersiowej i wyciąga kulę rewolwerową albo kurzą kość. Jej nieśmiałość nie przesłaniała krewkiego usposobienia i silnej woli. Często widywał i słyszał ich przejawy. Nieraz wchodziła się w niego z uporem, żeby dowieść swojej racji.

Uważał, że traktują rzecz cholernie serio, zbyt serio. Chcieli mieć rodzinę i siebie nawzajem, ale co pewien czas przytaczała ich złożoność tego przedsięwzięcia, plany, szanse, miasta, sama idea małżeństwa, dzieci, pracy zawodowej, i jeszcze to, jak trudno jest wszystko robić dobrze, więc dochodzili do porozumienia, targowali się i spierali, planowali i kłócili.

Oglądał zdjęcia satelitarne, zrobione z kosmosu przed rokiem lub dwoma, sztucznie zabarwione, żeby uwidocznić objawy erozji gleby, pęknięcia geologiczne i sto innych procesów i znamion. Ukazywały naprężenia, dryft, przemysłową dewastację, dane idące w miliardy bitów, ujęte w formę obrazu.

Widział, jak zdalne czujniki wydobywają z ziemi ukryte znaczenia. I że ławice i plamy olśniewających barw, komputerowe fukcje i pulsacje Rorschacha w nienazwanych odcieniach mogą wskazywać zmianę temperatury wód lub jedno z tych miejsc, do których udają się coraz rzadsze niedźwiedzie grizzly, aby żerować i się parzyć. Patrzył na wąskie smugi lido, bielejące jak obnażona kość. Odnajdywał całkiem spore miasta, wpiksło-wane w fałdy gór, i czarne jeziora wśród wysokich szczytów, kotły wyżłobione ruchem lodowców.

Nie mógł się oderwać.

Fotograficzna mozaika zdawała się ukazywać wtórne piękno ukryte w świecie, niewidoczne na co dzień, halucynacyjny melanz dokładności i ekstazy. Każda termiczna salwa barw była w istocie złożoną emocją, której nie potrafił umiejscowić ani nazwać.

Pomyślał o życiu toczącym się w domach, które objęto raportem z ulicy sfotografowanej z kosmosu.

I to właśnie będzie następna rzecz, jaką wykryją czujniki -pomyślał. Niewypowiedziane emocje mieszkańców tych pokojów.

A potem nieuchronnie pomyślał o Nicku.

Często miał ochęć zadzwonić do brata. Czuł, że chciałby z nim chyba porozmawiać o swojej pracy na poligonie. Mógłby dać Nickowi ogólne o niej pojęcie, uświadomić mu, że młodszy braciszek robi w życiu coś ważnego, ale nieraz się tym dęczy.

Pewnego dnia może się okazać, że montuje pakiet nuklearny, czyli zestaw elementów wybuchowych pocisku jądrowego -i stanie oboma nogami w krainie bombomózgowców.

Nie był pewien, czy sam sobie poradzi z tą sytuacją. Potrafiłby, gdyby musiał, a i Janet by mu pomogła, zajęłaby jasne stanowisko, z którym mógłby skonfrontować własne wątpliwości, chciał jednak porozmawiać z Nickiem. Chciał usłyszeć przez telefon głos brata, te lekko rozciągnięte akcenty, które niosą z sobą zasób skojarzeń gromadzonych dosłownie przez całe życie.

Nick miał w sobie jak gdyby europejską powagę. Był w pełni ukształtowany, zrobiony. Rozbity, na nowo wyobrażony, ujęty w mocny kształt i znów zrobiony. Bywał czasem ponury i powściągliwy, bynajmniej nie wylewny, ale może coś by doradził młodszemu braciszкови w kwestii moralnych i etycznych aspektów tego rodzaju pracy. Matt głównie pragnął dowodu zainteresowania. Było to dla niego ważniejsze aniżeli rzeczywista porada, zalecenie czy osąd, chociaż tego także potrzebował: osądzającego tonu brata.

Nie miał pojęcia, co brat by powiedział. Może to, że właśnie w ten sposób określasz się jako człowiek poważny, odpowiadając na trudne pytania i dokonując bolesnych wyborów, a jeśli wytrwasz, to w końcu wyjdiesz z tego silniejszy. Mógłby też jednak powiedzieć: „Zastanów się, durniu, jaki ślad odcisnie to na twojej duszy, kiedy tak jak ja zostaniesz ojcem. Pomyśl, jaką weźmiesz na siebie winę, wychowując dzieci w świecie, który stworzyłeś - obracając swój talent na tak żalony cel". To już

mówi ściszym głosem: „Bo któż lepiej ode mnie zna się na drażliwych sprawach broni, bracie?”

Lecz tego ostatniego zdania nigdy by nie dodał, prawda? A Matt w końcu do niego nie zadzwonił. Rzadko rozmawiali, a jeśli już, to o matce, albo dokuczali sobie z przyzwyczajenia, ale może jednak zadzwoni później, kiedy znowu znajdzie go ochota.

Gdy wiatr dął od strony gór, jego raptowne poddmuchy nadały wydmom coraz to nowe kształty, a jeśli ktoś akurat wyszedł z „Kieszeni” na powierzchnię i siedział w domu nad piwem i przekąską, widział na podwórku za domem swoje pranie na sznurku, zawisające poziomo, cały komplet: prześcieradła, chusteczki do nosa, bokserki, spodnie od piżamy, jak gdyby ludzie wszelkich możliwych wzrostów i sylwetek nie wytrzymali napięcia i puścili luzem swoje dusze, pozwalając im ulecieć ku gipsowym wzgórzom.

- Ale nie w tym rzecz - powiedział Eric. - Ciągle przeoczasz sed, sed, sedno sprawy.

W górach padał deszcz.

Eric udawał, że się jąka, ilekroć chciał urozmaicić rozmowę: przedrzeźniał w ten sposób samego siebie albo rozmówcę, chociaż w rzeczywistości ani jeden, ani drugi się nie jąkał, a może naśladował jakiegoś komika z nocnego klubu albo telewizyjnego przygłupka - Matt nie był pewien.

Wyrzał przez okno domku Erica. Na tle urwisk z piaskowca deszcz wisiał ścianą rozedrganego dymu. Eric siedział na kanapie zawiniętej w plastik, jakby dopiero co przyjechała ze sklepu, otoczony rozgardiaszem, który tworzyły czasopisma naukowe, miesięcznik o UFO, kolorowe tygodniki z supermarketu, kilka numerów „Playboya” i zagubione resztki jedzenia.

- Chociaż katastrofą dotknięte zostały ogromne obszary i wielka liczba ludzi, do dziś trzyma się ją w ścisłej tajemnicy.
- Tak ścisłej, że to wszystko może być nieprawda - odparł Matt.
- Wierzysz, że było, jak mówię?
- Wierzę, że popełniano błędy.

Eric się ucieszył. Na samym krańcu jego ciała rozciągniętego na kanapie pojawił się znajomy cień uśmiechu. Błysnął i znikł, jak fragment dialogu wewnętrznego, który toczył się równoległe do wypowiedzanych kwestii, nieuchwytnie ulotny.

- Ale sedno sprawy, tak po prostu.
- No, powiedz, Eric, w czym ono tkwi?

Eric wziął do ręki jakieś czasopismo i zaczął je od niechcenia kartkować, mówiąc tonem odrobinę zniecierpliwionym, przede wszystkim jednak - skoro przechodził wreszcie do sedna sprawy - lekko znużonym i znudzonym.

- Zrobili to celowo - oświadczył. - Wiedzieli, że próby są niebezpieczne, a jednak je przeprowadzili. Po detonacjach skierowali wojsko do punktu zero. Wysłali samoloty z żywą załogą, prosto przez napromieniowane chmury. Wstrzykiwali ludziom pluton, żeby zbadać, jak będzie krążył w organizmie. Robili to celowo, nie uprzedzając nikogo o ryzyku. Wystawili żołnierzy na działanie atomowego błysku i niektórym wydali filtry ochronne na oczy, a innym nie. Eksperymentowali na dzieciach, niemowlętach, płodach i chorych psychicznie. Nie powiedzieli Indianom Navaho, którzy pracowali w kopalniach uranu, jakie są zagrożenia. A okazało się, że spore. Ciachnęli więźniom jaja. Praktycznie biorąc, łapali człowieka za jaja i ciach, ciach, ładowali go rentgenami. Tak słyszałem. Wierzysz w tę historię?
- Jest strasznie, bo ja wiem.
- Oczywiście. Mocno niewiarygodna. Toteż sam w nią nie wierzę - powiedział Eric. - Ani na jedną dziesiątą sekundy.

Front deszczu nadciągnął! przez równinę, a wiatr się wzmógł. Poeci pustynnych narodów snuli opowieści o wietrze. Wiatr wierzga, wiruje, obraca człowiekiem i obala go na ziemię. Lecz zarazem szepcze tak cicho, że słyszysz go tylko najskrytszym jestestwem i w ten właśnie sposób prostujesz swoje ścieżki.

- Nigdy nie powiedzieli ofiarom eksperymentów, że są kró, kró, kró - rzekł Eric.
- Królikami doświadczałymi.
- Ja w to nie wierzę - oświadczył Eric. - Ale ty możesz być innego zdania.

Matt nie wiedział, jakiego jest zdania. Lecz cała ta historia nie wydawała mu się tak znów całkiem przesadzona. Służył

przecież w Wietnamie, a tam wszystko, czemu kiedykolwiek odmawiał wiary albo czego nie potrafił sobie wyobrazić, okazało się w końcu prawdą.

Aż wreszcie pewnego dnia zatrzymał się, żeby porozmawiać z tą kobietą, która stała sama pod transparentem. Zostawił wóz po drugiej stronie drogi i podszedł. Jeden drążek, a właściwie trzymetrowy drąg, obejmowała oburącz, tuląc się do niego całym ciałem; drugi tkwił w ziemi, umocowany u podstawy kamieniami, a sam transparent, płachta pomalowana sprejem, łopotał na wietrze między drążkami.

Matt stanął przed kobietą i zaczął mówić. Mówił tonem pocieszającym i banalnym, z lekkim przymusem, jak debiutant w barze dla samotnych. Zobaczył, że kobieta ma nadgarstek owinięty łańcuchem i przykuty kłódką do drążka. Przedtem nie dostrzegał tych akcesoriów i nagle wydały mu się dowodem nieco masochistycznego dramatyizmu. Albo fanatyizmu, czegoś irracjonalnego, jakby dobrowolnie brała na siebie rolę ofiary. Spojrzała na niego przelotnie. Skończył część zapoznawczą i mówił teraz o potrzebie gotowości i o tym, jak głupio byłoby ludzię się co do zamiarów drugiej strony.

Nie mówił „amerykański” ani „sowiecki”. Brzmiałoby to cokolwiek prowokacyjnie. Nie wspominał o NATO, o bloku wschodnim ani o Murze Berlińskim. Za wcześnie na takie pu-fałości.

Spojrzeła na niego tylko przelotnie. Nie wrogo, ale bardzo krótko. Była przesadnie schludna, miała w sobie coś z wyszoro-wanych powierzchni, dobrowolną rezygnację ze wszystkiego, co do człowieka normalną koleją rzeczy przyrasta i przywiera, a Matt pomyślał, że napiętnowana jest wiejskim ubóstwem.

Mówił jej o potrzebie równowagi między naszym arsenałem a uzbrojeniem tamtych, choćby w liczbach bezwzględnych miało to dojść do absurdu, bo widocznie tylko w ten sposób można zapobiec atakowi z jednej czy z drugiej strony.

Miała jasną cerę, twarz jakby wrytą i zastygłą, włosy proste jak sznurki, a on pomyślał, że jest autentyczna, imponująca i niedosiężna.

Stali przy płaskim, prostym odcinku szosy, w pięknym od-ludnym miejscu, a skoro już człowiek bierze się do takiej roboty,

czy nie musi być - pomyślał Matt - fanatykiem? Tu się zaczyna Trzecia Wojna Światowa. Czy nie tego właśnie oczekiwał od tych ludzi? Czy nie pragnął obecności świadków, religijnych i jakby porażonych słońcem?

Powiedział, że jest jak najbardziej gotów jej wysłuchać. Ale nie odezwała się do niego. Stała przykuta do drążka, patrząc w dal, tam gdzie biegła szosa. Nie mógł pogardzać jej arogancją, bo wcale nie była arogancka. Nie była też od niego bystrzejsza, bardziej poczytalna ani mniej winna. Tamci są uzbrojeni - powiedział - więc i my musimy się zbroić. Kobieta ścisnęła w dłoniach drążek i patrzyła w dal, niebieskooka, z wszczepionym raz na zawsze bolesnym grymasem, więc wrócił do auta i odjechał.

Pranie Erica skakało na sznurku. Zrywało się do lotu i nieruchomiał w strudze wiatru.

- Pamiętam, jak pracowałem przy pudle z rękawicami - powiedział Eric. - Robiłem w gorącym plutonie. Błędy zdarzały się nawet w wąskiej, ciasnej, hermetycznej przestrzeni pudła. Wierz mi. Pomimo wszystkich procedur zabezpieczających i arkuszy danych, mimo całego nadzoru ludzie popełniali zdumiewające błędy. Wsuwałem dłonie w rękawice i, o dziwo, przypominała mi się moja mama, ta wybitnie rozsądna pani, która do zmywania naczyń po kolacji wkładała gumowe rękawiczki, w tych sielankowych czasach, kiedy bombardowaliśmy swoich.
- Jutro wyjeżdżam - rzekł Matt.
- Zostaw mi kurtkę.

Matt chodził w lekkiej kurtce z tej miękkiej, ciepłej skóry, która przy dotknięciu na przemian marszczy się i rozprostowuje, a Eric często dawał wyraz pragnieniu, żeby ją mieć, bez względu na różnicę rozmiarów.

- Chyba wezmę ją ze sobą. Może się przydać w mniej wyczynowych momentach.
- Nawietrzeni twierdzą, że smakuje metalem. Otwierasz drzwi i wychodzisz po gazetę, którą chłopiec rzucił z roweru na werandę, i czujesz w powietrzu coś jakby metaliczny żwir, sól z metalowych opiłków. Przyjdiesz dzisiaj do nas na imprezę?
- Nie darowałbym sobie, gdybym nie przyszedł - odparł Matt.

- Rodzi ci się dziecko z oczami białymi jak mleko. Bez śladu źrenicy ani tęczówki. Nic, tylko wielka biała gałka. Dwie, jeżeli ci się poszczęści.

Eric wziął z kanapy numer „Playboya” i podniósł go za boczną krawędź, żeby rozwinęła się rozkładówka, obnażając w całej okazałości modelkę miesiąca.

- Dokąd właściwie jedziesz? - zapytał.
- Gdzieś daleko.
- Jeszcze dalej?
- Od pewnego czasu studiuje mapy.
- Ale żeby jeszcze dalej niż poligon?
- Tam, gdzie się kończy asfalt.
- Przecież ty jesteś chłopak z miasta, Matty.
 - Myślę, żeby może pojechać gdzieś do południowo-zachodniej Arizony.
- Jakbyś zginął, to kurtka moja.

Kiedy bombomózgowcy urządzali imprezę, nie można było liczyć, że wróci się z niej do świata, jaki zawsze się znało. Zeszlonočna prywatka zdawała się nakładać na cały krajobraz, gdy Matty jechał ku zachodowi szosą numer dziesięć przez miasteczko Deming - tak samo nazywał się Eric, oczywista; przypadek, ten to dopiero ma lepką rękę: twarze, miejsca i prowokacyjne uwagi wszystkie naraz przebiegały Matty'emu przez pamięć.

W nocy palił coś, co go unieruchomiło. I nie tylko unieruchomiło. Na ogół niczego nie zażywał, chyba że na przyjęciach, kiedy to w ramach towarzyskiej pantomimy pociągał z fajki o długim cybuchu i glinianej miseczce nabitej czymś o konsystencji trawy. Ale tym razem sztachnął się albo wyjątkowo wrednym haszyszem, albo zwykłym materiałem, który zaprawiono jakąś substancją psychozomimetyczną. I nie skończyło się na unieruchomieniu. Ktoś siedział naprzeciwko i mówił mu prosto w twarz grubym głosem, z komicznie filmowym akcentem, który najwyraźniej miał brzmieć z pruska.

- Nie sposób nie docenić zapału, z jakim państwo gotowe jest urzeczywistniać ogrom swoich własnych fantazji.

Mówił to oczywiście Eric. I chociaż Matt rozumiał jego słowa, nie potrafił wpasować ich w żartobliwy kontekst bezceremonial-

nych zagrań bombomózgowców. Nie tylko bowiem był unieruchomiony, ale nie potrafił też zebrać myśli. Otaczali go wrogowie. Nie tyle wrogowie, ile powiązania, cała sieć przedmiotów i ludzi. Właściwie nie ludzi, lecz postaci - przedmiotów i postaci, a także poziomów wiedzy absolutnie przed nim zamkniętych.

- *Zapału, z yakhim panstvo.*

- *Ne sposuv ne dotsenitsch zapału, z yakhim panstvo.*

Eric dalej mówił tym głupkowskim tonem, zahaczając o pudełka problemów i zasadę minimaksu, cały ten *kriegspiel*, o którym uczyli się w podstawówce, teorię gier i mapy konfliktów, - orzeł - wygrywam, reszka - przegrywasz, a Matty siedział, urąbany aż do całkowitego bezruchu.

Tkwiał wmurowany w fotel, z zastygłym umysłem, w pułapce grawitacji, świadom natury swego stanu, ale niezdolny wydobyć się z niego myślą. Odkształcał się pod ciężarem pomieszczenia, w którym siedział, nieufny wobec wszystkich i wszystkiego. Paranoja. Nareszcie pojął sens tego słowa, którym z taką łatwością żonglowano i szermowano, i owszem, wyczuwał tworzone w otaczającej go przestrzeni powiązania, wszystkie przedmioty, uformowane sylwetki, poziomy wiedzy - nie tyle wiedzy, ile podstępnych zamysłów. Nie, właściwie jeszcze coś innego: jakiś głębszy sens, który istniał wyłącznie po to, żeby Matty nie zdołał go przeniknąć.

- *Uzhetsivistnyatsch ogrom svoyh vlasnikh phantasyi.*

Eric wciąż mówił, mieszając palcem koktajl w szklance, a kiedy Matt rano jechał przez Deming, przyszło mu na myśl, że może to wcale nie miał być akcent pruski, tylko węgierski. Eric składał w ten sposób hołd pierwszej generacji bombomózgowców, emigrantom z Europy Środkowej, mężczyznom o krzaczastych brwiach i smutnych oczach, noszącym obszerne spodnie z zakładkami. W czasie wojny przybyli do Nowego Meksyku, żeby pracować naukowo - z dnia na dzień rozpleniły się przychypy mieszkalne i skromne domki, a ich mieszkańcy jadal miejscowe potrawy, raz na tydzień grywali w pokera, w sobotę chodzili potaćnić *square dances*, poza tym zaś pracowali nad tą bezimienną rzeczą, nad bombą, która miała wytyczyć nowe granice ludzkiego postrzegania i zgrozy.

Siedział w fotelu, wpatrując się w czyjś but.

Wiedział, że nie popadł w ten jakiś powierzchowny stan, na który ludzie chętnie się powołują, kiedy przypisują sobie paranoję. Nie przeżywał niczego, co by pochodziło z drugiej ręki. Była to najprawdziwsza z prawd, żywy fakt, odsłonięcie kart. A skoro używamy tych jędrnych monosylab, znaczy żarty się skończyły. Uczucie to wydawało się też dziwnie znajome, jakby jeszcze z paleolitu, z czasów jedzenia korzonków, utrwalone w tym węzowym mózgu, w którym przechowujemy wczesne doświadczenia.

Nie odrywał wzroku od buta tego kogoś, kto siedział tuż obok. Był to but z kwadratowym noskiem, z podeszwą grubszą z przodu niż z tyłu, okaz funkcjonalnego, rozsądnego, bezpłciowego obuwia na płaskim obcasie, w trochę jakby skandynawskim stylu, na który właśnie zapanowała moda, but nieśmiały, obojnaczy i kontrkulturowy, nie zagrażający środowisku naturalnemu ani ludzkości, a Matt zastanawiał się, czemu akurat od tego buta wieje taką grozą.

Eric zaczął się jąkać.

Matt nie wiedział, czyj to but. Sama myśl o skojarzeniu buta z tym kimś, kto ma go na nodze, sprawiała mu tyle trudu, obarczała tak przytłaczającym brzemieniem komplikacji, że mógł tylko pochylić głowę pod ciężarem pomieszczenia, w którym siedział. Może but wydawał się groźny, ponieważ wszystkie jego ukryte znaczenia, powiązania i sylwetki znajdowały się poza dostępnym Matty'emu obszarem poznania.

Może zresztą dlatego wyglądał tak groźnie, że był butem lewym, z lewej nogi, a z lewą stroną w oczywisty sposób wiąże się przecież wszystko, co niepomyślne, niefortunne, lewe - i oto przymiotnik ten upominał się o swoje złowrogie korzenie, jadalne bulwy i łodygi, czynił to zaś, posługując się czymś butem.

Eric nadal tam był i mówił już normalnie, chwilami tylko się jękając. Tkwił jak gdyby w innej ramie czasowej, wycięty i wmontowany, z raz po raz wyłączaną fonią, a cała postać często przemieszczała się względem tła - o, znowu jest, na drogowskazie do Deming, jego nazwisko wypłynęło prosto z miękkiego świtu, kiedy Matt jechał na zachód, zapuszczając się coraz głębiej w białe plamy na mapie, żeby poszukać w nich klucza do własnej przyszłości.

3

Posąg stojący w marmurowej niszy miał męskie uda i łydki, na przedramionach węzły mięśniów też jak u mężczyzny, ale w rzeczywistości była to biblijna Ewa o prężnych piersiach, z jabłkiem w dłoniach, z szerokimi ramionami piłkarskiego obrońcy.

Bo i czemu nie? Panowała tego wieczoru z lekka rozproszona atmosfera, jaka może otaczać zdarzenie pełne wzajemnie krzyżujących się odniesień. Klara przechadzała się po głównym foyer, wśród pierwszych gości i radosnego szumu, który wokół siebie robili, prawie sami mężczyźni - tak, to ciekawe. Ta wysmukła, gładka geometria, powierzchnie z brązu armatniego, lustra przysłonięte kotarami i długie girlandy żyrandoli, pałac w stylu art deco, nagniatana stal i chrom, klimat dopełnionej ery maszyn, i to w dosyć nawet subtelnym tonie, wszystko z wyjątkiem fresku.

Krążącemu po foyer tłumowi fresk nadzwyczaj się podobał. Rozległa wizja mistyczna, dwadzieścia metrów na trzynaście, z motywem w stylu *Zaginionego horyzontu*, usytuowana nad schodami i wygięta w łagodny łuk, tak że przedstawione na obrazie szczytate szczyty odbijały się w wyniosłych lustrach, a efekt zakłęcia padał na znaczną część foyer. Bursztynowe mgły, starzec w opończy i z kosturem, stadko flamingów oblane czerwonałą poświatą - wszystko to razem tworzyło wizję tak skapaną w kiczu, że nawet kupno widokówki z jej reprodukcją mogło okazać się zabójcze.

Tak, to właśnie był Radio City Music Hall, który Klara ostatnio odwiedziła w wieku lat zapewne trzynastu, mniej więcej rok po otwarciu: było to wtedy najbardziej pokazowe wnętrze w kraju. Pamiętała ściany strzelające wwyż i schody wyłożone dywanami. Pamiętała gotowalnię, tak, na parterze, z wejściem z głównego hallu.

Patrzyła, jak Miles Lightman przemyka się przez tłum, robiąc po drodze parę piruetów, żeby lekko wylupiastymi oczami chłonąć dookolną panoramę, pełne trzysta sześćdziesiąt stopni.

- Dokąd myśmę właściwie trafili, do sali modelek u Bloomingdale'a?
- Po prostu wylądowaliśmy w trzydziestym drugim roku.

- Trudno się połapać, co?
- *Jazz modernę* - rzekła Klara.
- Nigdy tu jeszcze nie byłem, masz pojęcie?

Zdziwiła się, że specjalnie się na tę okazję wystroił. Wiele osób przyszło wystrojonych i Miles także - o tyle, o ile w ogóle potrafi się wystroić. Miał na sobie te swoje znoszone buty z cholewami i dżinsy, ale włożył też koszulę w lamparci wzór i beżowy krawat, a na wierzch czarną sztruksową marynarkę o edwardiańskim szyku.

Patrzyli, jak jakiś mężczyzna schodzi po głównych schodach i na wysokości fresku zaczyna udawać, że coś mu nagle dolega. Miles przyniósł Klarze papierosy. Czekać na rozpoczęcie seansu, opowiedział jej nieco więcej o filmie, który mieli niebawem obejrzeć.

Był to legendarny, zaginiony film Sergiusza Eisensteina, zatytułowany *Unterwelt*, odnaleziony niedawno we wschodnich Niemczech i z pietyzmem odrestaurowany, a następnie sprowadzony do Nowego Jorku pod egidą koła filmowego Mileasa, które odniosło tym samym spory sukces. Po okresie manewrów, walk frakcyjnych i zażartych targów Miles i jego koledzy zdołali dojść do porozumienia z kilkoma rockowymi impresariami, w wyniku czego postanowiono wspólnie sfinansować ten jednorazowy pokaz, z akompaniamentem orkiestry, w sali na blisko sześć tysięcy widzów.

- Jak myślisz, skąd ten tłum? - spytała Klara. - Roi się od pedałów.
- Chyba będziesz musiała sama rozstrzygnąć, jak już zobaczysz film. Powiem ci tylko, że dawno temu rozeszły się pogłoski, jakoby Eisenstein zrobił jakieś kino na mocny temat, ale taśmę przez dziesiątki lat ukrywano, bo w pewnym sensie jest to historia o ludziach, którzy mieszkają w ciemnościach, a rząd czy też rządy, enerdownski i sowiecki, aż do dziś nie chciały puścić tego filmu w obieg.

Powstawał zapewne w połowie lat trzydziestych, fragment po fragmencie, w tajemnicy, w okresie, gdy Eisenstein przechodził ostrą depresję, rzekomo beczynny, nagabywany przez innych reżyserów sowieckich, żeby porzucił swoje teorie i koncepcje. Zarzucano mu ekscentryzm, uleganie mitom, polityczną nieroz-

wagę i brak więzi z ludem. Zaczęły krążyć plotki, że go rozstrzelano.

Esther Winship przyszła, wymachując torebką, i oświadczyła:

- Nie muszę nawet oglądać tego filmu. Z góry jestem zachwycona. Cudowne to foyer. Zapomniałam, że w ogóle istnieje. Miles, wyglądasz jak wspólny zlot modsów i rockersów.
- Gdzie Jack? - spytała Klara.
- A gdzie ma być? Czy to od twojej koszuli, czy raczej od krawata kręci mi się w głowie?
- Miła jesteś, Esther.
- Popija w barze za rogiem - wyjaśniła.

Tłum ożywiała pewna ambiwalencja. Wszyscy niezależnie od swoich predykcji seksualnych przyszli, żeby delektować się sprzecznościami. Na przykład kontrastem między filmem a salą, w której go wyświetlano - tym, że dzieło uznanego mistrza światowego kina prezentuje się w kiczowatej siedzibie rewii Rockettes i potężnego Wurlitzera. Samemu gmachowi też nie można było jednak odmówić imponującej foremności. Mimo całej przesady i pychy wręcz oszałamiał swoim widokiem: od zewnątrz zdobiły go tarcze z emaliowanego mosiądzu, w hallu przy kasach wisiały zgrabne gablotki, schody o poręczach z niklowanego brązu wznosiły się we foyer, które przypominało bezdźwięczny, zatopiony salon transatlantyku. Z drugiej zaś strony film - na pewno utkwi wam to w pamięci - będzie mocno manieryczny, choćby zarazem osiągał nie wiedzieć jaką głębię powagi. Taką przynajmniej macie nadzieję. Bo czy w *Iwanie Groźnym* nie było scen tak komicznie przerysowanych, przy bezsprzecznie znakomitym montażu, że oglądało je się ze śmiechem i z zapartym tchem - mniej więcej jednocześnie?

- Prawie nikomu nie udało się jeszcze obejrzeć tego filmu - rzekł Miles. - Widzieliśmy go tylko my czworo z naszego koła, paru organizatorów, trochę grubych ryb z teatru, i już prawie nikt więcej po tej stronie żelaznej kurtyny.

Miles znał Eisensteina na wrywki. Wiedział o nim więcej, niż ludzkie zdrowie wytrzyma. Sekwencję strzałów z *Potiomkina* znał na blachę. Zabójcza kadencja czarnych butów. Białe kurtki żołnierzy. Matka wątlym gestem chwyta się za talię. Tylny kółka dzieciennego wózka wyjeżdżają z kadru.

Ale w sprawie tego akurat filmu sporo było niewiadomych.

Gdzie go nakręcono. I w jaki sposób - bo przecież Eisenstein nie miał oficjalnego poparcia. I czemu zrezygnował z dźwięku. Przypuszczano, że zrobił ten film w Meksyku. Kilometry taśmy, jakie nakręcił jawnie do swojego meksykańskiego eposu, posłużyły zgodnie z tą teorią za kamuflaż dla pewnego wyrotowego przedsięwzięcia, którego owocem był ten oto film.

- Właściwie nie widziałam ani jednego z jego filmów - oświadczyła Esther. - Ale wiecie co, raz z nim rozmawiałam.

Miles wolno obrócił głowę, żeby przyjrzeć się agentce Klary.

- Znałaś Eisensteina?

Jego spojrzenie mówiło, że widzi ją teraz w zupełnie nowym świetle.

- Tylko przez chwilę.

- Gdzie go spotkałaś?

- Tu. Byłam oczywiście bardzo młoda. Tu, w Nowym Jorku. Zdaje się, że tuż przedtem skończyłam dwadzieścia lat. A on pozował do portretu znajomemu moich rodziców, więc poszłam z nimi do pracowni.

- Musimy o tym pogadać - rzekł Miles.

- Niestety, chyba nie mam nic do dodania. Prosił, żebym mówiła mu „Siergiej”.

- I co jeszcze?

- Pił mnóstwo mleka. Twierdził, że to całe jego śniadanie.

- Co jeszcze? - spytał Miles.

- Nawet przyniósł ze sobą butelkę, mleko w butelce. Podałam mu szklankę, a on mi podziękował.

- Co jeszcze? - nalegał Miles.

Nikt też nie wiedział, skąd wziął się tytuł. Eisenstein znał niemiecki i mógł mieć powód, żeby opatrzyć film tytułem w tym właśnie języku. Zapewne jednak tytuł przylgnął do filmu, gdy ten przez długie lata spoczywał gdzieś w katakumbach wschodniego Berlina.

- Pamiętam, że wyglądał trochę jak gnom.

- I co jeszcze?

- Miał wielką głowę. Bardzo wysokie czoło. Mleko sprzedawali wtedy w butelkach, pamiętacie?

Film ten stał się czymś, co obowiązkowo trzeba zobaczyć. Zaczęła tworzyć się wokół niego miła, ostra histeria, bilety sprzedawano po szokujących cenach, zaczęto je nawet podrabiać,

a ludzie czym prędzej wracali z Martha's Vineyard, z Pines i z Cape Cod, żeby sobie załatwić wejście.

Rany boskie, przecież to tylko film, w dodatku niemy, pewnie o nim nawet nie słyszeliście, póki niedzielny „Times” nie zamieścił artykułu. Lecz tak właśnie narasta aberracja behawioralna, kiedy już ruszy z miejsca, i przeradza się w rozpasaną panikę.

- Ale czy my w ogóle wysiedzimy do końca? - spytała Es-ther.
- Czy to nie będzie jedna z tych imprez, do których musimy podchodzić czołobitnie, bo przecież obcujemy z prawdziwą wielkością, ale tak naprawdę to wszyscy tylko czekamy, kiedy wreszcie otworzą się drzwi, to wyskoczymy pierwsi i złaپیemy taksówkę.
- Masz na myśli teatr - powiedział Miles. - A dziś wieczór oglądamy film.

Zjawił się Jack Marshall, mąż Esther, z fistaszkowym chuchem, i wszyscy razem weszli do sali.

Teraz już Klara poznała ją, nagle taką swojską, dotyk pluszu i matczyną przytulność, miała wrażenie, że gdzieś nad nią unosi się matka, w tej przestrzeni kojąco macicznej i obłej, którą tworzyło łukowe zwieńczenie kurtyny tryskające promieniami aż na sufit, na wysokość jakichś ośmiu pięter w najwyższym punkcie, i puszyste fotele w rzędach rytmicznych niczym szczeble, i schody dla chóru, łagodzące formę bocznych ścian, i ten wyżynny ogrom, który wydawał się całkiem dopuszczalny, zaspokajał jedyną waszą tego typu słabostkę, przytłaczając wszystkich obecnych, aż maleli i dziecinnieli, kręcili głowami i zadzierali je, a nad tłumem szybowało dawno nie odczuwane zdumienie i zachwyt, bynajmniej nie ostatnie tego rodzaju emocje, jakich publiczność miała wspólnie zaznać w ów wieczór.

Okazało się, że program ma swoje tempo i motyw przewodni, zaczął się zaś muzyką do sceny pościgowej, zza kulis dobiegały blaszane dźwięki fortepianu, dobrze wszystkim znany podkład w stylu ragtime'u, jaki niegdyś towarzyszył niemy filmom. Potem na sali zgasty światła, z wolna podniosła się wielka, poruszana motorkiem kurtyna, odsłaniając orkiestrę. Szmer na widowni. Tuż po tym, jak muzycy zaczęli grać, całym zespołem ruszyli z miejsca, zgrabnie sunąc na platformie ku proscenium. Cudownie zabawny i dziwaczny widok. W muzyce wyczuwało

się teraz nawisłą groźbę, zabrzmiała seria akordów zmniejszonych, może zaraz nastąpi chwila grozy - i rzeczywiście, orkiestra wyjechała na przedscenie i dość dramatycznie runęła do fosy, znikając w niej, falanga odmieńców w smokingach dała nurka jakby windą, który to manewr, nie pozbawiony komicznej brawury, powitały oklaski.

Muzycy znikli, ale nie ucichli. Grali teraz muzykę patriotyczną, wiązkę znanych marszów z warkotem werbli i suzafonami, a kurtyna zsunęła się do połowy, dla odmiany w formacie flagi, rozgwieżdżona i prążkowana barwną powodzią, i ledwie widzowie zaczęli się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi, na scenę wyszły tancerki z zespołu Rockettes, cóż za smakowity szok - czy ktoś wiedział, że w programie jest rewia?

Wymaszerowały ubrane w szarżynę z West Point, salutując -trzydzieści sześć kobiet przeistoczonych we wzajemnie wymienne części maszyny, dobrane według wzrostu, kształtów, rasy i typu, w pióropuszkach, z cycuszkami w falbankach, z twarzami namaślonymi bożonarodzeniową różowością, ale dziwna rzecz, na szyjach mają sadomasochistyczne obroże - salutują i wierzgają nogami w mechanicznym unisono: Klarze bardzo się to podobało i reszcie widzów też. Nagle zwierzały szyki, stepowały, oblewane opalizującymi łukami światła, z idealną symetrią, w precyzyjnym ordynku, aby raptem rozpostrzeć się wachlarzem wśród kalejdoskopowych salw, i wreszcie Klara posłała pytanie do Milesa, od którego oddzielali ją Esther i Jack:

- Skąd wiemy, że to naprawdę Rockettes, a nie przebrani faceci?

Owo groteskowe podejrzenie nasunęło się pewnie wielu widzom, bo czy to prawdopodobne, żeby prawdziwe Rockettes tańczyły w niewolniczych obrożach, w tym pulsującym, seksualnym rytmie? Chociaż właściwie nie ma w tym chyba nic nieprawdopodobnego, pewnie często tak występują. Głowy byście nie dali, co? A jeśli to naprawdę one, macie przed sobą trzy tuziny kobiet w zwartym kadeckim szyku, czyli kobiety przebrane za mężczyzn, a nie na odwrot - ale tak czy owak trans-westytyzm.

Klara stwierdziła, że znikła tymczasem kurtyna w formie flagi. A kiedy kamera wideo z nadscenia rzuciła jednoczesny obraz tancerek na ekran w głębi sceny, zrozumiała, wszyscy zrozu-

mieliście, jak można zrekonfigurować tłum, zwabić go w pętle i serpentyny metodycznej geometrii. Wyglądało to oczywiście zabawnie, bo te sztafpowe manewry były tak nienagannie zharmonizowane, tak bardzo serio, ich dynamiczne zestroję tak wyraźnie trąciły latami trzydziestymi, a przecież właśnie wtedy nakręcono ten film, prawda?

Rockettes rozbiegły się w szereg i jednym zręcznym pociągnięciem, gestem rewolwerowca dobywającego broni, zdarły z siebie spodnie zapinane na rzepy, po czym ruszyły do ostatniego ekscytującego kankana i błyskając nogami, wywołały na widowni parę serii braw. Z rozwierzanego szeregu przeformowały się w gwiazdę, wyraźnie widoczną na ekranie nad ich głowami, ujętą / góry, poczerwieniała od świateł rampy. Maszerowały w miejscu, a orkiestra uroczyście wyłoniła się z fosi i zagrała, cóż to takiego, jakby z rosyjska - pomyślała Klara. Dziwny to był widok ta czerwona gwiazda o takiej politycz-no-militarnej doniosłości, rzucona na scenę posępna pieczęć Sowietów, i to właśnie tu, w Music Hallu, który tyle już widział imprez wielkanocnych i filmów o Lassie.

Tancerki stały w głębi sceny, pobladłe, rażone światłem gigantycznych punktowców umieszczonych za plecami widzów, pod sufitem. Kurtyna zaczęła opadać, zasłoniła obraz tancerek na ekranie i wreszcie sam żywy zespół. Muzyka zabrzmiała łzawo, koronkowo, podniesiono kurtynę i ukazał się ogromny, lekko wklęsły ekran z jednym jedynym słowem: *Unterwelt*, który po chwili złożył się jak tryptyk, dostosowując się rozmiarem do małego, bardziej kwadratowego kadru starego filmu, a kabina projekcyjna chlusnęła obrazami, łaciatymi i poplamionymi ze starości.

Z początku film wydawał się oczywiście dziwaczny, pełen trudno uchwytnych odniesień i barokowych zjaw, niełatwy w odbiorze - ale przecież tego właśnie chcieliście.

Przesadnie skomponowane zbliżenia, pompatyczna gestykulacja, monstualne, koślawe cienie wlokące się za aktorami, a w każdym kadrze coś, co warto by dokładniej zbadać, ustawienie kamery, kształty, płaszczyzny i skonstrastowane ujęcia, wrażenie rytmicznej sprzeczności, wszystko polegało na przestrzeniach i natężeniach, na tempie, masie i akcentach.

U Eisensteina kąt nachylenia kamery ma charakter dialek-

tyczny. Wszczyzna się i prowadzi debaty, po ekranie przemykają rozmaite teorie, aby natychmiast się rozprysnąć - mnóstwo przeciwności i konfliktów.

Film, który oglądacie, opowiada chyba o szalonym naukowcu. Naukowiec szasta się w kadrze, ubrany w wyrazistą czerń i biel, w wielowarstwowe szaty, wymachując miotaczem promieni atomowych. W podziemnej przestrzeni po topornie urządzonych pomieszczeniach krążą jakieś postaci, ofiary lub więźniowie, a może króliki doświadczalne. Na chwilę ukazuje się twarz jednego z więźniów, mocno zniekształcona, raczej zabawna niż wstrząsająca. Więzień ma stożkową głowę, cofniętą szczękę i wydatne wargi dżdżownicy, jest to jednak dżdżownica po ludzku patetyczna.

W scenie rozrzutnej, głupiej, niewyważonej, a zarazem imponującej technicznie, naukowiec strzela z miotacza promieni ofiarę, ta zaś zaczyna świecić w ciemnościach, podryguje i tańczy, a potem rzuca dość blade spojrzenie na własną rękę, która pomału topnieje.

Pojawiają się inne ofiary, ze zniekształconą muskulaturą i kośćcem, z oczami jak szparki, powłócząc kikutami nog.

Klarze przypomniały się radioaktywne potwory z japońskich filmów science fiction, więc pochyliła się i spojrzała na Milesa, który był znawcą tej formy.

Czy Eisenstein przeczuł nuklearne zagrożenie, czy też rozwój japońskiego kina?

Przypomniały jej się prehistoryczne zmutowane gady wyłaniające się ze szlamu i owady z aberracjami chromosomów, wyłazące z piasku pustyni nieopodal jakiegoś poligonu doświadczalnego, mrówki wielkości mikrobusów: takie właśnie filmy wyświetlano w samochodowych kinach lat pięćdziesiątych, chłopak i dziewczyna szarpią się nawzajem za klamerki i sprzączki, a po ekranie przewija się sekwencja wybuchu bombowego, na horyzoncie pojawiają się gigantyczne pijawki i skorpiony, radioaktywne i żądne pomsty, no i oczywiście pierzcha tłum, bo te potwory nie tylko są potomstwem bomby, ale w ostatecznym rozrachunku zajmują jej miejsce, więc mobilizują się wojska, tłumy pierzchają, a syreny wyją jak syreny.

Stworzenia Eisensteina były w pełni ludzkie, co trochę komplikowało zabawę. Pomykały i przemykały wśród cieni, skakały

garbatymi susami, wlokąc za sobą ręce, a wy przecież zawsze potraficie sobie wmówić, że wolno się śmiać z kalek i mutantów, jeśli wszyscy inni też się śmieją, żeby odreagować awersję, a tu oprócz wykrzywionych twarzy, wyszukanych gestów i tego dziwnego efektu wyblyszczonych ust, który znacie, boście go widzieli u męskich gwiazdorów niemego kina, była jeszcze muzyka, też szyta grubymi nićmi - sekcje smyczków jak z egzaltowanego melodramatu.

Czasem pojawiał się napis po rosyjsku, bez przekładu - co zresztą nikomu nie przeszkadzało, raczej wzmagало wrażenie oszałamiającego, kompletnego zamętu.

- Wy też dostajecie klaustrofobii? - spytał Jack.

Bo film rzeczywiście był tak zupełnie podporządkowany punktowi widzenia więźniów, że Klara zaczęła się wiercić w fotelu.

- Założę się, że dalibyście sto dolarów, żeby móc teraz stać na deszczu i palić papierosa - rzekł Jack.

- A czy pada?

- Co za różnica?

Trudno było śledzić fabułę. Fabuła właściwie nie istniała. Nic, tylko samotność, jałowość, ludzie tropieni, rażeni promieniami z miotacza, a wszystko to w jakiejś podziemnej rozpadlinie. Ani śladu solidarności klasowej w duchu sowieckiej tradycji. Żadnych scen z udziałem tłumu, żadnych motywów społecznych - mas w roli bohatera, kolosalnych ruchów tłumów, pracowicie zorganizowanych i skadrowanych, więc Klara była zawiedziona. Uwielbiała wojskową architekturę ogromnych organizmów w ruchu, wojsk i motłochów z innych filmów Eisensteina, a tutaj czuła, że znalazła się w jakimś dwuznacznym filmobrazie, gdzieś między modelem sowieckim a Hollywoodem z jego nieboskłonem miłości, seksu, zbrodni i indywidualnego bohaterstwa, pejzażu, luksusu i wykwintnych toalet.

Wystarczy wspomnieć inny *Underworld*, film gangsterski z tyśiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku, wielki przebój kasowy.

- Należy mi się jakaś nagroda za tę męczarnię - powiedziała Esther.

Przyznaj, że się nudzisz. Klara próbowała się podeprzeć przykładem Milesa. Miles bowiem trwał w ekstatycznym uniesieniu,

z tą przezrystą uległością, do której jest zdolny, umie zatracić się w spojrzeniu i wyobraźni filmu, dać się wciągnąć i oczarować bez reszty - jakąś częścią siebie poddaje się czarowi, nawet jeśli film mu się nie podoba. Ale ten akurat mu się podobał, wiedziała o tym. Był niedosiężny, fragmentaryczny, nakręcony tanim kosztem, podobno osobisty, i trzymał widza w wyczekiwaniu, chociaż tak się włókł.

Jak i kiedy odsłoni karty?

Zastanawiała się, czemu film jest niemy. Może nakręcono go wcześniej, niż sądzili znawcy przedmiotu. Ale bardziej prawdopodobne wydało jej się, że Eisenstein wiedział, iż łatwiej mu będzie zrobić go w tajemnicy, jeśli zrezygnuje z dźwięku. Może zresztą cisza sprzyjała rozwijaniu tych akurat wątków.

A wymowa polityczna? Klara pomyślała, że film ten może być gestem protestu przeciwko socrealizmowi, przeciwko partyjnemu zamówieniu na sztukę, która popiera sprawę Sowietów. Czy Eisenstein wszczął potajemny bunt? Miles twierdził, że jego wcześniejsze dzieła spotkały się z potępieniem, a on sam na pozór skapitulował. Czym jednak był ten mroczny film, ten dziwny, ciemny, rozwlekły ciąg obrazów, jeśli nie głosem oburzenia i niezależności?

Albo jeszcze lepiej. Czy film ten nie zwiastuje fali terroru, która zwróciła się przeciw rosyjskim artystom w późnych latach trzydziestych? Tajna policja. Aresztowania, tortury, zniknięcia, egzekucje.

Szalony naukowiec mierzy z miotacza.

Jakaś postać stoi pod ścianą i całe jej ciało blednie, bieleje.

Naukowiec uśmiecha się zaciśniętymi ustami.

Mężczyzna trafiony promieniem, przeszyty bólem ulega przemianie: dolna warga skapuje mu z twarzy, a z boku szyi pojawia się narośl, promienny, zmienny w czasie czerniak.

Naukowiec podchodzi i dotyka policzka ofiary.

Raptem ekran szerniał. Był już zresztą najwyższy czas, żeby nastąpiła przerwa, więc Klara postanowiła zabrać Esther na zwiedzanie gotowalni, bo było ich przecież wiele, na kilku piętrach, naprawdę wartych obejrzenia - freski, rzeźby, meble, rzeczy, które ujrzała niegdyś oczami swojej matki, nagle wyzwolone w przestrzeni, niezależne od pamięci.

Miles poszedł do prywatnej salki na trzecim balkonie, żeby

się narodzić z kolegami z klubu filmowego. Dwie kobiety zostawiły Jacka na krześle w głównym foyer na parterze, w ogromnej sali długości prawie siedemdziesięciu metrów, wyłożonej dywanem, i weszły do najbliższej gotowalni.

- Mam pytanie - powiedziała Esther.

Klara zapaliła papierosa. Esther, która rzuciła palenie, wysepiła od niej jednego, też zapaliła, zaciągnęła się i spojrzała w przestrzeń, żeby się skupić na tym rozkosznym wrażeniu, uchronić je przed wszelką dystrakcją.

Usłyszały jakiś łoskot. Poczwały drżenie pod stopami, a Klara wpatrzyła się w białą jak pergamin ścianę, nasłuchując.

Potem zaciągnęła się i powiedziała:

- W porządku, koleżanko. To tylko metro. Linia IND z transportem ludzkich dusz przedziera się pod Szóstą Aleją.

Weszły na balkon i z hallu przelotnie zajrzały do męskich palarni, wykończonych orzechem i świńską skórą, po czym Klara spytała:

- No więc co mam ci powiedzieć?

- Czy musimy siedzieć do końca?

- Miles zadał sobie sporo trudu. A zresztą chcę zobaczyć, co się w końcu stanie.

- A co się może stać?

- Nie wiem. Ale to ciekawy film, jeśli tylko co pewien czas spoglądasz na ekran.

- Ma taki szczególny ton - rzekła Esther. - No i te zdjęcia. Wymiana spojrzeń. Wszystko oczywiście strasznie zawoalowane. I to, jak uczony.

- Dotknął ofiary.

- Co wiesz o Eisensteinie?

- To ty się z nim kolegowałaś, a nie ja - odparła Klara.

Obeszły gotowalnię, wróciły na dół i odnalazły Jacka, który tam siedział, a pod nim turkotał kolejny pociąg.

Był to akurat jego pociąg, Kosmity, jeden z kilkunastu kawałków, które już wpuścił w system, zrobionych na całość, i właśnie tego wieczoru sam nim jechał, pod wodociągami i rurami kanalizacyjnymi, pod gazem, parą i prądem, między kanałami burzowymi a kablami telefonicznymi, na każdym przystanku przechodził z wagonu do wagonu i obcinał wsiadających

pasażerów, te ich twarze przywdziewane specjalnie na okoliczność jazdy metrem, a drzwi zawsze dzwoniły bim-bom, nim zatrzęsnęły się z łoskotem.

Ismael Muñoz, mroczny i posepny, patrzył, jak ludzie wsiadają do metra. Ismael z rzadką szczecinką na policzkach czytał z ich warg i twarzy, w nadziei, że usłyszy jakiś pochwalny komentarz. Brawo, facet ożywia metro! To był akurat jego najnowszy kawałek, więc Ismael jechał nim na północ, osobowym do Washington Heights, a wszystkie wagony znał ten jego zupełnie własny neonowy błysk, litery w kolorowych obwódkach, zachodzące na siebie, i efekty trójwymiarowe, dziki styl, czyli że z własnego imienia i numeru ulicy budujesz coś w rodzaju alfabetycznego miasta, w którym barwy zwierają się i zlewają, litery się łączą, odlot, stary, wszystko aż skacze i wrzeszczy -nawet zacieki są zamierzone, namalowane superostro, żeby pokazać, jak litery się poca, jak żyją, oddychają, jedzą i śpią, jak tańczą i grają na saksie.

Nie był to żaden wrzut niżej okien, ale cały pociąg zamalowany na maksa, razem z oknami i wszystkim, literami i cyframi większymi od człowieka.

K o s m i t a 157.

Ismael miał szesnaście lat, ani za stary, ani za młody, i postanowił wykosić wszystkich artystów metra w całym mieście.

Nikt nie miał szansy go przeskoczyć.

Siedział w tej swojej kurtce khaki, z oczami w nieustannym ruchu, czekając, aż usłyszy coś, co go podbuduje.

Wiedział, że robi się sławny. Miał już naśladowców, paru małych dupodajków próbowało go przeskoczyć na jego własnym terenie. Jednego dorwał patrol od demolki i kazali mu zmywać graffiti ze ścian stacji jakąś mieszkanką z sokiem pomarańczowym, bo zawarty w nim kwas wżera się w farbę.

Niech ma za to, że ze mnie zrzyna, *chulo* jeden.

Siedział z tą swoją pociągłą twarzą i krzywymi zębami, ze stroskaną głową starca, i na każdym przystanku badawczo wpatrywał się w ludzi z peronu. Na widok pociągu robili miny, ale odjazd. Po niektórych znać szok, bo przecież oglądają piekło na kółkach, chociaż większość przytakuje wzrokiem, a ich twarze się otwierają. Przyglądał się pasażerom, którzy szurając nogami, wsiadali do wagonu, jedni z parasolami w rękach, inni

z ukrytą bronią, a papierki od gumy do żucia, numery telefonów, pogniecione klineksy i klucze od domów zawinięte w chustkę do nosa tworzyły jeden wielki zgmiot wokół ciał tych Mulatów, bo w metrze mieszają się rasy.

Jadąc pociągiem, który opisał na ful, czuł się jak nieznanymi bohater tej linii metra. Nagle objawia się w komiksowej aureoli. Hej, ludzie, Kosmita jest wśród nas!

Raz jakiś facet z peronu sfotografował jeden jego wąski wrzut, na oko chyba cudzoziemiec, więc Ismael chyłkiem przysunął się i stanął w otwartych drzwiach, żeby też być na zdjęciu, bez wiedzy fotografa. Czyli tamten fotografował pracę i zarazem autora, chociaż nie miał pojęcia, wyglądał trochę jak ze Szwecji czy skądś.

We wrzutach Kosmity chodziło głównie o to, żeby litery i cyfry opowiadały o życiu gorszych ulic.

Przy Columbus Circle przesiadł się na Broadway, bo miał sprawę do załatwienia przy końcowym przystanku. Wsiadł do pociągu, który wewnątrz i zewnątrz zbombił Ileśtam, trzynastoletni autor, co jak wściekły opisywał auta policyjne, karawany, śmieciarki, schodził ze swoimi atlasowymi krylonami do tuneli, żeby malować ściany i górne pomosty, strzelał perony, schody, turnikietki i ławki, zbombiłby swoją młodszą siostrę, gdyby akurat przechodziła. Nie żeby zaraz jakiś król stylu, skąd, ale był wśród sprejowców legendą, bo tyle w to wkładał energii, a jego podpis oglądały miliony, aż wreszcie dwa tygodnie temu, ze szczerym żalem przypomniał sobie Ismael, jak mu o tym opowiedziano, teraz znów tak samo cały się zapadł i oklapł, ogarnięty najgłębszym smutkiem towarzysza broni - no więc dwa tygodnie temu Ileśtam idzie po torach pod centrum Brooklynu i wpada pod pociąg.

Ludzie przesuwali się w wagonie, spieszyli w stronę wolnych miejsc, patrzyli na reklamy rozwieszane nad głowami pasażerów z przeciwka, a wszystko to bez jakiegokolwiek ruchu gałek ocznych, wykrywalnego choćby najczulszymi przyrządami.

Ismael dawniej też chodził po torach, ilekroć użalał się nad sobą. To już stare dzieje. Włamywał się przez klapę awaryjną w chodniku, zląził po drabince do tunelu i normalnie szedł na spacer, żeby trochę pobyć samemu, nie spuszczał z oka trzeciej szyny, nasłuchiwał, czy nie nadjeżdża pociąg, i po drodze za-

wierał znajomości z ludźmi, którzy mieszkali w kablowniach albo na górnych pomostach, i właśnie tam zobaczył kiedyś, może z pięć lat temu, nabazgrane sprejem pod Ósmą Aleją: *Ptak żyje*. Zaczął się wtedy zastanawiać nad sztuką graffiti, i któż to podjął trud i ryzyko, żeby przejść się tunelem i zrobić wrzut na ścianie, ile lat minęło od tamtej pory i co to właściwie za Ptak i niby dlaczego żyje?

Ten facet, co sięgnął ręką, mówiąc: „Pozwól”.

Jechał skrajem Manhattanu na północ do Bronksu. Żadna sztuka zbombić peron czy ścianę. Trzeba strzelić pociąg. Bo one pędzą z rykiem szturczykami alejami wszystkie takie same, ale strzelasz któryś i odtąd jest twój, widzą go ludzie w całym systemie, a ty wciskasz im się do głów i robisz z oczu demol.

Drzwi dzwoniły bim-bom, nim zatrzasnęły się z łoskotem.

Zobaczył chudego Murzyna, który stał na końcu wagonu i wszystko olewał, oho, odstawia narodziny coolu, więc Ismael pomyślał, że tajniak. I zaraz przyczaił się w sobie, żeby nie rzucić się w oczy, bo czuł, że już go namierzają. Z Ratusza były naciski, raz na zawsze wykończyć graffiti, uziemić załogi z getta i ich naśladowców, białych małolatów z lepszych rodzin, więc autorzy mieli się na baczości i nie ryzykowali.

Nie bał się aresztowania, tylko dalszych komplikacji. Aresztowanie przysporzyłoby mu sławy. Może nawet trafiłby na łamy „New York Post”. Ale sprawy rodzinne też są ważne. Nie żeby nie chciał zostać ojcem. Podobała mu się myśl o ojcostwie i rodzinie. Ale po drodze tyle jeszcze przeszkód.

Kiedy jako mały chłopiec łąził tunelami, wypytywał ludzi o Ptaka i w końcu się dowiedział, że to był Charlie Parker, Bird. Gigant jazzu. Ismael gadał z facetami, którzy mieszkali na pomostach roboczych albo w nieczynnym tunelu dla pociągów towarowych pod West Side, mieli tam łóżka, krzesła i wózki z supermarketów, wieczorem wkładali kaptcie, przeważnie zwykli ludzie, zmywali naczynia i wynosili śmieci, i właśnie oni opowiedzieli mu o bopie, bebopie, i że Bird zmarł, jak miał trzydzieści cztery lata. A pewnego dnia Ismael, może trzynastoletni, stoi po ścianą i sika, a jakiś facet podchodzi i staje za nim, sięga ręką, wierzcie albo nie, mówi: pozwól, i łapie Is-maela, który dalej sika, za chuja.'

Zmarł, jak miał trzydzieści cztery lata, znaczy Bird, w tunelach to już się liczy za sędziwą starość.

Wiedział, że robi się sławny, bo miał naśladowców, to po pierwsze, a po drugie, bo inni pisarze - z nielicznymi wyjątkami - widać go szanowali, skoro nie przejeżdżali jego wrzutów, no i jakieś dwie kobiety przyjechały go szukać w Bronksie.

Tylko że, widzicie, tak właśnie radziła mu teraz własna głowa. Przyczaj się, zniknij. Nie daj, żeby twoje nazwisko albo zdjęcie trafiło do gazet. Nie podpadnij policji kolejowej. Bo kobieta, z którą kiedyś żył, zaszła w ciążę od stóp do głów. Dawniej mieszkali we czwórce z jej matką i z matki facetem na przychodne i nie żeby Ismael Muñoz nie chciał zostać ojcem. Tylko że akurat teraz nie pora na osobiste uwikłania.

Podobno pytały się w minimarketach, te dwie kobiety z galerii. Wstępowały do sklepików, do kościoła, do straży pożarnej - wyobraził sobie, jak wchodzi do remizy, żeby się spytać o grafitti, a tam dwudziestu facetów w gumiakach wsuwa pizzę rozmaitości.

Siedział w pociągu jadącym pod Broadwayem i słuchał, co mu radzi własna głowa.

Ludzie z galerii przeczesywali Bronx, szukając Kosmity, Momzo Topsis, Snak-Bara i Rymopisa, całej tej szamańskiej załogi.

Zapomnij, facet. Wcale nie wykluczał, że cały ten galeryjny interes to zwykła policyjna podpucha, żeby wywabić pisarzy z tuneli i torowisk, niech się ujawnią, po nazwisku i z twarzy.

Tamten gość potrzywał go za chuja, a w końcu mu obciągnął, kiedyś tam, parę dni później, a może tygodni, tak właśnie zrobił. A potem Ismael dość nawet często schodził do tuneli, ilekroć użalał się nad sobą, przelał przez płot koło obwodnicy biegnącej wzdłuż West Side, przez otwór w kracie zamykającej wyjście awaryjne i na dół wąskimi schodkami do tunelu dla pociągów towarowych, którego mieszkańcy mieli półki z książkami, przynajmniej niektórzy, i choinki na gwiazdkę, między sobą używali skróconych imion i szyfrowanych przydomków, ksywek takich jak te, które miały z czasem przyjąć się wśród sprejowców, i prawdę mówiąc, jeszcze i dziś nieraz tam schodzi rznąć się z facetami, bo jednych nałogów człowiek się pozbywa, a innymi uczy się podpierać.

Pociąg minął City College i ostro skręcił na wschód.

Robili to na chybcika, po ciemku. Albo szli do kablowni i korzystali z prześcieradeł i ręczników. Ludzie trzymali tam zwierzaki dla przyjemności, rozwieszali w poprzek tunelu sznury z praniem i kradli rządowi prąd.

Bop, bebop. A Bird zmarł, jak miał trzydzieści cztery lata.

Ismael siedział oklapnięty w tych swoich ciuchach khaki, ze wzrokiem utkwionym między własnymi stopami, i czasem spoglądał na stopy pasażerów z przeciwka, na te pokiereszowane, wykoślawione buty, które wcale nie wyglądały jak coś, co ludzie kupują i noszą, już raczej jak trwałe organy, części ciała, nieodłączne od mężczyzn i kobiet siedzących w metrze, bo metro ma to do siebie, że na stałe cię zapieczętowuje w kamieniu chwili.

Pociąg wjechał do Bronksu, a po czterech dalszych przystankach Ismael wysiadł na końcu trasy, gdzie czekała na niego wierna załoga.

Było ich trzech, mieli dwanaście, jedenaście i znów dwanaście lat, przez cały dzień ściągali farbę ze sklepów, bo sam Ismael dawno już wyrósł z takich zabaw jak drobne kradzieże.

Weszli na strome wzgórze przy Dwieście Czerdziestej Drugiej.

- No i gdzie ten deszcz? - spytał Ismael.

- Nic nie pada - odpowiedzieli.

- Od rana słyszę z radia, że ma lać. No to, myślę, dziś w nocy mamy wolne. Dziesięć do jednego, że nici z roboty.

- Nic nie pada - powtórzyli. - Dwie, trzy krople.

Mieli puszki z farbą w aerozolu, w trzech płóciennych workach. Szkice Ismaela w żółtej tekturowej teczce. Brzoskwinie i winogrona w papierowej torbie wsuniętej w plastikową. I tę francuską wodę mineralną, którą lubił pić przy pracy, też zdobytą w ciągu tego dnia wypełnionego złodziejaskowaniem: perrier, w ładnych zielonych butelkach. Ismael uważał, że w miarę możliwości trzeba równać do elity. Mieli specjalne końcówki do zakładania na puszki z farbą. I wytrychy, żeby otwierać wagony, w razie gdyby Ismael chciał pracować wewnątrz, ale akurat nie miał zamiaru.

W jego załodze byli oczywiście sami obiecujący nowicjusze. Młodzi autorzy, nadzieja przyszłości. Ściągali materiały dla mi-

strza. Stali na obczajce, kiedy malował. Splatali ręce, tworząc pod nim żywe rusztowanie, jeśli chciał sięgnąć do górnej partii wagonu.

Wzdłuż ulicy biegł płot z siatki, zwieńczony zwojami taśmy tnącej. Załoga stanęła przy jego zachodnim końcu, tam gdzie pędy sumaka zasłaniały szparę w płocie. Chłopcy rozchyłili przeciętą siatkę i przytrzymali ją, a Ismael przecisnął się przez otwór i jednym susem wylądował na pobliskim dachu. Bo za płotem stały szeregami szopy na narzędzia, z dachami jak zęby piły. Wszyscy czterej poszli na ostatni dach i zjechali po rynnach na drewniany pomost na wysokości torów - umieliby to już zrobić przez sen - i zaczęli szukać odpowiedniego pociągu, na którym można by zostawić autograf.

Wiedzieli, że nikt im nie przeszkodzi. Zbyt wiele było pociągów, zbyt wielu pisarzy. Miasto nie dałoby rady opłacić tylu strażników, ilu trzeba by, żeby całą noc patrolować torowiska i bocznice.

Pod jedną z latarń zobaczyli Rymopisa. Ten czarny facio w kufi, w takiej jakby mycce, był jednym ze starszych pisarzy i niesamowicie malował wagony od okien w dół dzikim stylem, musiał to przyznać nawet Ismael; litery ozdobione były wierszami miłosnymi i westchnieniami złamanego serca.

Przywitali się ceremonialnie, z uszanowaniem, precyzyjnymi, drobiazgowo zrytualizowanymi uściskami dłoni i hasłami, ponawiali o tym i owym, a potem Rymopis opowiedział, że widział niedawno sześć swoich wagonów pod przyszcicem ze żrącego kwasu na wielkim torowisku jakieś dwa kilometry na południe stąd. Bo nad szynami zainstalowali tryskacze i przepuszczają pod nimi wagony. Cała jego darmowa robota o drugiej nad ranem, całe to wariackie sprejowanie w parę minut szlag trafił. Stary, co tam sok pomarańczowy. Tamci wynaleźli nowe zabójstwo na graffiti, jakieś niesamowite gówno z laboratoriów CIA.

Tak jak wtedy, kiedy strącasz z półki czyjeś zdjęcie i ten ktoś umiera. Tylko że tym razem ty sam jesteś na zdjęciu.

No bo niektórzy autorzy wkładali w swoje wrzuty aż tyle serca.

Bocznica miała kilkanaście torów. Ismael i jego załoga poszli na sam koniec, na ostatni tor, obok boiska, na którym Irlandczycy

grywali w ten swój futbol. Wybrali pociąg starego typu, z płaskimi ścianami, o wiele wygodniejszy do malowania niż te falbanki, co właśnie wchodziły na rynek.

Załoga ustawiła puszkę, a Ismael wziął się do pracy. Niedawno zaczął używać żółtego rustoleum we wściekle kanarkowym odcieniu; chłopcy zakładali na puszkę różne końcówki, żeby mógł zmieniać szerokość i gęstość kolejnych smug.

- Widzieliśmy Lourdes - powiedzieli mu.

Było to imię kobiety, z którą żył jakiś czas temu, dwa lata starszej od niego, tak mniej więcej, a teraz może i o jakieś dziesięć kilo cięższej.

- A kto was się pytał, kogo żeście widzieli?

- Mówi, że chce z tobą pogadać.

- *Maricón*, kto się pytał? Może ja się pytałem?

Ismael rzadko wybuchał gniewem. Nie leżało to w jego naturze. Miał skłonność do zadumy głowę starszego gminy, który pod płócienną markizą gra w domino, podczas gdy o parę domów dalej stoją wozy strażackie z włączonymi silnikami, ale jeśli chłopcy z załogi chcą zrobić wypełnienie, kiedy on już zaznaczy szkic i wycieniuje kolory, to niech się lepiej nauczą, jak się zachować na torowisku.

- No, gdzie mój perrier, co? Chcecie pracować z Ismaelem Muñozem, to mu dajcie perriera i nie zwracajcie głowy wia domościami, wszystko jedno od kogo.

Całą noc pracowali bez niepotrzebnego gadania. Podawali mu puszkę z farbami. Najpierw potrząsali puszką, a stukot kulek był właściwie na torowisku jedynym dźwiękiem prócz samego spreju, prócz wilgotnego syku rozpylanej farby, która rozpełzała się po starych żelaznych ścianach wagonów.

Ten facet, co sięgnął ręką, mówiąc: pozwól.

Kosmita 157. Podsumuj cyfry, wyjdzie trzynaście. Ale on naprawdę mieszka na tej ulicy, a przynajmniej dawniej mieszkał, bo teraz pomieszkuje w wielu miejscach, więc 157 to rzeczywiście część ksywki, pod którą ludzie go znają, a pech jest przejawem pychy, po prostu niezawodnym, ale sam pomyśl, pociąg wyjedzie z tuneli i pomknie po estakadach - pomyśl, że twój podpis w pełnym blasku dnia przetoczy się przez pogorzelska, na których żeś się urodził i wychował.

Załoga potrząsała puszkami, stukotały kulki.

Ismael stał na krawędzi drzwi jednego pociągu i przechylny w stronę sąsiedniego malował go od okien wzwyż.

Sunąc dłonią po zardzewiałej rurze poręczy, schodził z łupkowych schodów, które kruszyły się pod jego ciężarem, i wyczuwał klimat tunelu w danym dniu. Mógł to być klimat koki - Ismael nigdy nic nie brał - albo klimat amfy, który ciągnął przez tunel, kiedy ktoś kupił większą działkę i rozdał innym, albo klimat choroby psychicznej, częsty przypadek. I zawsze klimat szczurów wędrownych, bo były ich tam stada, całe hordy, niewyczerpane źródło opowieści, jakie są wielkie i nieustraszone, jak zjadają ciała ludzi, którzy umierają w tunelach, i jak nimi z kolei żywi się szczurołap, co mieszka na poziomie szóstym pod dworcem Grand Central, zabija, piecze i zjada co tydzień jednego szczura - mówiono o nich „króliki pociągowe”.

Czyli żeby wałnąć fresk na cały pociąg, potrzebna jest cała jedna noc i część drugiej, bez opierdalania się ani bicia piany.

I jeszcze ten klimat, kim się jest we własnej głowie dzień po dniu - coś, w czym nie czuł żadnej wspólnoty z nikim na powierzchni, na poziomie ulic, a nocą zasypiał w łóżku kuchyňa albo w piwnicznym magazynie jakiegoś sklepiku, w którym znali Ismaela Muñoza i dawali mu należne miejsce, i słyszał, jak drzwi dzwonią bim-bom, i widział tego faceta ze Sztokholmu, znaczy ze Szwecji, co fotografował jego rzecz.

Lubił śledzić wyraz oczu pasażerów, którzy stali na peronie, bo chciał zobaczyć, jak reagują na jego dzieło.

Litery i cyfry Ismaela opowiadały o życiu w czynszówkach, dobrym i złym, przeważnie jednak dobrym. Pionowe linie N to mogli być handlarze narkotyków pilnujący długiej, skośnej porcji szklistego produktu, uczennice na zjeździe przy piaskownicy albo dwaj chłopcy na pustej posesji, a między nimi po przekątnej kij do baseballu.

Nikt nie miał szans go przeskoczyć. Był królem artystów w całym mieście.

Mieli dziesiątki puszek pod ręką, według planu, więc tylko mówił, jaki kolor, a oni potrząsali puszką i aerozol stukał.

- Gdzie mój perrier? - spytał Ismael.

Ale musisz stać na peronie i patrzeć się, jak nadjeżdża, bo inaczej nie wykumasz, co czuje pisarz, kiedy piątka z rykiem zaszuwa szczurzymi alejami i jeb, wypada z tunelu, turkocze po

estakadach i nagle jest, widać go, Kosmita śmiga po niebie przez samo serce Bronksu, nad całą tą wypaloną, przerdzewiałą krainą, tak przemawia sztuka gorszych ulic, aż od czasów Birda, i już nie możesz nas nie zauważać, nie możesz nie wiedzieć, kim jesteśmy, notorycznie sławni, Momzo Tops, Rymopis i ja, zdobyliśmy szczyt, nie nam nie wstyd, a pociąg turkocze nad zaśmieconymi ulicami, mija martwe oczodoły pustych kamienic, w których dalej mieszkają ludzie, chociaż ich nie widzisz, ale musisz wiedzieć nasze autografy, komiksowych ludków i kolorowe rymy wierszy, ta sztuka nie umie wytrwać w bezruchu, w nocy i za dnia łązi ci po oczach, rozmigotana, pulsująca sztuka slumsów i wysypisk błyska ci w twarz barwami, bo to ja jestem twój film, pojebańcu".

Przez wąskie gardło drzwi weszli z foyer i rozproszyli się po sali, wracając na miejsca; fala podekscytowanego oczekiwania, którą czuło się wczesnym wieczorem, w znacznej mierze już opadła, więc szybko, rzeczowo zasiedli w fotelach i rozpoczęła się druga część projekcji.

Klara rozejrzała się za Milesem, ale się nie pojawił. Widocznie wyczuł zniecierpliwienie swoich gości i postanowił zostać piętro wyżej, w prywatnej kabinie dla koneserów.

- Czy to znaczy, że okazaliśmy się niegodni? - spytała Esther.

Jesteście chyba świadkami ucieczki. Jakież postaci pną się pod górę wrytymi w ziemi tunelami, ku czarnej, deszczowej nocy. Długa sekwencja samych sylwetek, a niekiedy zbliżenia, oczy wpatrzone w ciemność.

Wtem snop światła z punktowca przemknął po fosie orkiestry i spoczął na bocznej kurtynie, która zasłaniała część północnej ściany, nieco wyżej niż scena i o kilka metrów od niej. Pół sekundy wcześniej odgadliście, co za chwilę ujrzycie, i bezsprzecznie wam to poprawiło humor. Kurtyna rozsunęła się i podkowiasta konsola ostatnich wielkich organów teatralnych, jakie ocalały w Nowym Jorku, potężnego wurlitzera, zaślniła, wyluskana z mroków sali.

Siwy, drobny organista zdawał się lewitować w swojej alko- wie, zwrócony plecami do widzów, czarodziejsko znikomy, i raptem nadepnął gromowy pedał, akurat gdy na ekranie jedna

z postaci cofnęła się i skuliła przed groźącym z góry niebezpieczeństwem, po sali zaś przebiegł śmiech.

Więźniowie pięli się dalej, ponuro stłoczeni.

Organista uderzył kilka nut, które zabrzmiały jakoś niesamowicie swojsko. W takich razach natrętnie przypomina wam się radio przy łóżku, kuchenne zapachy i linoleum zmarszczone pod lodówką. Był to marsz, dziarski - oto właściwe określenie, który tworzył ironiczny kontrapunkt z sylwetkami wypełniającymi pierwszy plan ekranu, z postaciami wspinającymi się z tępą, zdyscyplinowaną uległością, a Klara odbierała tę muzykę całą skórą, wręcz czuła jej smak językiem, ale nie mogła sobie przypomnieć tytułu ani kompozytora.

Szturchnęła w ramię poczciwego Jacka.

- Co on gra?
- Prokofiewa.
 - Prokofiewa. No jasne. Przecież Prokofiew pisał muzykę do filmów Eisensteina. Ale co to za marsz?
 - Ten od coś tam, coś tam trzech pomarańczy. Słyszałaś go z tysiąc razy.
- No tak, oczywiście. Ale czemu tysiąc razy?
 - Bo to był sygnał starego programu radiowego. Słuchacie nas dzięki mydłu „Lava”. Pamiętasz to mydło?
- Tak, tak, oczywiście.
 - Lava, Lava, La-la-va - w sakramentalnej synchronizacji z organami zanucił Jack.
 - No tak, jasne. Już wszystko rozumiem. Ale programu nie pamiętam - powiedziała Klara.

Jack dalej śpiewał, świetnie się przy tym bawił, reszta publiczności też śpiewała, spoglądając to na ekran, to na konsolę, pogrążona w radiowych wspomnieniach, przynajmniej ci z was, którzy wystarczająco dawno się urodzili, a gdzieś za kulisami, na dwunastu poddaszach ogromne piszczałki rozbrzmiewały muzyką - piszczałki, wiatrownice, zawory i miechy przenosiły ten szlachetnie staroświecki temat, zapożyczony z rosyjskiej opery, z powrotem w przeszłość.

Jack przestał śpiewać i przybrał epicki ton doświadczonego konferansjera, który zapowiada audycję:

- FBI w czas pokoju i na wojnie - rzekł dźwięcznie.

Jednak miło mieć przyjaciół. Klara przypomniała sobie, jak

dzieci sąsiadów pod koniec wojny sumiennie słuchały tego programu. Nieomal miała wrażenie, że słyszy głos aktora, który grał agenta operacyjnego FBI.

Kurtyna zasłoniła organistę, akurat gdy wyszło słońce, a Esther powiedziała:

- Nareszcie.

Tak, film wydobył się na powierzchnię, w pejzaż zszokowany światłem, przenikliwy i prześwietlony. Zbiegli więźniowie suną po równinie, niektórzy wciąż jeszcze w kapturach, ci najbardziej okaleczeni, a w oddali płoną ognie, horyzont pulsuje dymem i popiołem.

Zastanawiacie się, czy nakręcił te sceny w Meksyku, a może w Kazachstanie, kiedy pojechał tam kręcić *Iwana Groźnego* - później, już w czasie wojny?

Wiele dalekich ujęć, niebo i równina, przedzielonych sylwetkami z pierwszego planu, których głowy i torsy zasłaniają pejzaż: właśnie przez takie ekscesy formalne reżyser naraził się aparatowi.

Orkiestra, byt chwilowo utajony, skądś spod fosy grała zrazu cicho, łagodnie kontrastując z przejmującą wizją.

Przyglądasz się twarzom ofiar, kiedy zdejmują kaptury. Oto cyklop. Mężczyzna z wywichniętą szczęką. Mężczyzna-jaszczur. Kobieta z fałdą skórą zamiast nosa i ust.

Salę wypełnia seria wymownych pasaży granych largo.

Publiczność zastygła. Ujrzełicie wszystko w innym świetle. Jeśli montaż podporządkowany był jakiegokolwiek polityce, miała ona odtąd bardziej osobisty wydźwięk - takie wątki, jak promieniowanie jądrowe, nieodpowiedzialna nauka czy wreszcie terror państwowy, ustąpiły miejsca tematowi niezależnego artysty, poddanego surowej dyscyplinie i sowietyzacji.

Ci ludzie o zeszepeconych twarzach istnieli poza wymiarem narodowości, wyrwani z kontekstu historii. Eisenstein stosował zazwyczaj metodę natychmiastowego charakteryzowania postaci, tak zwaną typizację, tu jednak porządek ten występował w postaci jakby rozmyślonej autoparodii, celowo zburzony. Zewnętrzne rysy tych mężczyzn i kobiet nic wam bowiem nie mówiły o ich przynależności klasowej ani o misji społecznej. Cała typizacja sprowadzała się do tego, że są to ludzie prześladowani, okaleczeni, niewygodny sekret otaczającego ich społeczeństwa.

A oto specjalny patrol rusza w pościg, szereg jeźdźców przeczesuje równinę. Udaje im się schwytać część zbiegów, zakuwają ich w kajdany i prowadzą z powrotem tę ponurą, stłoczoną procesję, gęsiego, w nogę: przypominało to znużone, bezmyślne wariacje na temat wcześniejszych popisów estradowych, więc Klara uświadomiła sobie *ex post*, że występ Rockettes był zapowiedzią tego marszu, ale żarty się skończyły, strażnicy ściągają więźniom z głów ostatnie kaptury, obnażając twarze, a ujęcia wpadają w pewien rytm, na przemian z dala i w zbliżeniu, raz pejzaż, raz twarz, fale hipnotycznych powtórzeń, muzyka zaś opisuje coś jakby przeznaczenie, bydlęcy los, który dudni tołumbasem przez kolejne dziesięciolecia.

Klara poruszona była pięknem i surowością tych scen. Przy każdym brutalnym rozkapturzeniu wylaniał się czyjś charakter, ukryte w oczach życie, wzorzysty zasób doświadczeń, i po sali rozniosło się zrozumienie, przekazywane z rządu do rządu dzięki tej tajemniczej telemetrii, której sztukę zna tłum. A może wcale nie tak znów tajemniczej.

Ten film mówi o Nas i o Tamtych, prawda?

Tamci mogą powiedzieć, kim są, a wy musicie kłamać. Tamci kontrolują język, a wy musicie improwizować i udawać. Tamci wytyczają granice waszego istnienia. Kiczowate elementy programu, choreografia i chwilami także muzyka, sprawiały teraz wrażenie podstępnych ataków na dominującą kulturę.

Usiłujecie sobie wyobrazić Eisensteina w podziemnych kręgach biseksualnego Berlina sprzed czterdziestu pięciu lat: kopolasta głowa i przykrótkie kończyny, włosy sterczą mu kępkami jak u błazna, ma burżujskie skrupuły oraz dar sublimacji, i oto siedzi w Kit Kacie czy w innym Bow Wow, w obskurnych, ogrzewanych piwnicach, nie do pomyślenia w Moskwie, i wymienia hollywoodzkie plotki z mężczyznami ubranymi po kobiecemu.

Przepadam za Judy Garland - powiedział kiedyś.

Ale wcale nie chcecie być zbyt snobistycznie poinformowani, co? Był istnym dynamem pomysłów i ambitnych planów, nie wiadomo jednak, czy miał w sobie dość seksualnej determinacji, żeby naprawdę połączyć się z mężczyzną lub z kobietą.

Spójrzcie na te postaci w dalekim ujęciu na niskiej, przydomionej linii równiny.

Eisenstein w sumie chce wam tylko pokazać sprzeczności istnienia. Patrząc na te twarze z ekranu, widzicie masakrę pragnień, wewnętrzne rozdarcia ludzi i systemów, i to, jak sprzeczne siły zderzają się i szczepiają ze sobą, wymuszając ten nagły odskok od jednostajności, po którym zostaje niezatarty ślad.

Dociera do was, że orkiestra już jakiś czas temu umilkła. Zdjęto wszystkie kaptury, członkowie ekspedycji bez końca brną przed siebie równym krokiem, a za nimi wściekle psy o zaropiałych ślepiach. I znów słyszycie tę melodię, powraca znajomy marsz Prokofiewa, już nie w karykaturalnej wersji organów, lecz w pełnej orkiestracji, nastrojonej na zupełnie inny ton, znikły zabawne skojarzenia z radiem, już tylko baczność i režim, FBI w czas pokoju i na wojnie, we dnie i w nocy, wasza osobista kohorta stróżów prawa w białych kołnierzykach.

Marsz brzmiał tylko przez półtorej minuty, lecz jakże mrocznie i mocno, ileż wyroczości w przetaczającej się blasze, a potem długa cisza, biały ekran i wreszcie twarz, która w całej serii wielokrotnych ekspozycji przeobraża się, pozbywa torbieli i narośli, zaszyte oko znów się otwiera, a wszystko to, owszem, strasznie kliwe, lecz zarazem cudowne - sekwencja poza właściwym nurtem fabuły, wyraziste i widzialne pragnienie, które łączyło was bezpośrednio z mózgiem filmu, a ten człowiek zrzuca tymczasem piętna i szramy, tak jakby młodził i blednął, aż na samym końcu jego twarz rozplywa się w krajobrazie.

Orkiestra zaczęła wyłaniać się z fosy, grając dla odmiany Szostakowicza, tego akurat jesteście pewni, jakże przestronnie i niebieśnie, lirycznie krążąc, ptasiokrążąc nad rozległą równiną.

A potem wszystko się skończyło. Nie tyle nawet skończyło się, ile zamarło. Taki pejzaż, na pierwszym planie psy, w oddali szereg postaci nachylonych w kierunku marszu. Klara została na miejscu, zresztą nikt z was nie wstał, i miała dziwne poczucie straty, jak w dzieciństwie, ilekroć w środku dnia wychodziliście z kina, a tu na ulicach ożywienie i natrętna jasność, wszystkie powierzchnie pałające i ostre, ludzie w krzykliwych, nie dopasowanych ubraniach.

Wrócił Miles i wszyscy razem poszli do baru, który znał Jack. Bo Jack znał wszystkie śródmiejskie bary, wiedział, gdzie dają najlepsze befsztyki, a gdzie sernik, gdzie można zjeść taką zupełną cebulową, że człowiek czuje się jak w paryskich Halach,

i opowiadał zabawne anegdoty o swoich początkach w dzielnicy teatralnej, kiedy zachwalał w prasie spektakle z całej ulicy, ale Klara nie słuchała.

Film odcisnął się w jej umyśle zrywami i zygzakami. Czowała, że ma go na sobie zamiast spódnicy i bluzki. Słyszała śmiech Esther, ale tak, jakby śmiał się ktoś o trzy pokoje dalej. Miles zaczął coś opowiadać i chciał, żeby mu trochę pomogła, nie umiała jednak uporządkować szczegółów. Uśmiechała się i popijała wino. Dialog tamtych trojga toczył się gdzieś daleko od niej. Ukazywały jej się oderwane fragmenty. Widziała napiętnowane twarze w rozległym krajobrazie. Film zewsząd ją spowijał, gdy tak siedziała w knajpce pod ścianami białych neonów, pulsujących w skwarze Broadwayu.

4

W miastach tworzysz język peryfraz i taktu, tysiąca drobnych aluzji, niuansów lśniących polerowanym brązem. A potem odchodzisz na puszcę i rozłazisz się w szwach, bełkoczesz, jesz kapelusze grzybów, które powodują implozję mózgu, obdarzają cię nadprzyrodzoną świadomością i napawają trwogą, przemieniają w azteckiego ptaka.

Matt Shay siedział w poczekalni na lotnisku w Tucson i słuchał, jak kolejne komunikaty odbijają się echem od ścian.

Myślał o paranoidalnym epizodzie, który przeżył zeszłej nocy na imprezie u bombomózgowców. Przelotnie zamajaczył mu wtedy potworny system powiązań, w ramach którego nie da się odróżnić dwóch rozmaitych *rzeczy, zupy w puszcze* od bomby podłożonej w samochodzie, bo jedną i drugą zrobili ci sami ludzie w identyczny sposób i obie mają w końcu ten sam punkt odniesienia.

W Nowym Jorku trwał strajk śmieciarzy.

Wywoływano przez megafon mężczyznę, o którym wiadomo było tylko, że ma na imię Jack.

Jakaś kobieta z cudzoziemskim akcentem powiedziała do kogoś, kto siedział obok:

- Ja zakochała w nim od pierwsze tak zwane wejście, tego dnia, jak pomalował mi ściany.

Mężczyzna na wózku inwalidzkim jadł meksykański naleśnik z farszem.

Siedział i czekał, aż zapowiedzą samolot Janet. Zastanawiał się, czy to odpowiedni moment, żeby zadzwonić do brata. Nick mieszkał w Phoenix, pracował jako bliżej nie określony konsultant, a raz na tydzień uczył łaciny w szkole pomaturalnej.

Po śmierci Nicka zespół metafizyków przebada czarną skrzynkę, osobisty rejestrator danych z przebiegu lotu, tak zaprojektowany, żeby mogli się z niego dowiedzieć, jak funkcjonował umysł denata, czemu denat robił to, co robił, i co o tym wszystkim sądził, ale nie ma żadnej gwarancji, że znajdą choćby najbardziej znikomą poszlakę.

Recytuje łacińskie epigramaty studentom szkoły biznesu w miejscu zwanym Paradise Valley.

Matt zdjął okulary i podmuchał na nie, składając usta w elipsę jak do szeptu, a potem przetaił chusteczką zaparowane szkła i obejrzał je pod światło.

Ilekróć wszechobecny głos prosił kogoś, żeby podniósł białą słuchawkę telefonu dla pasażerów, pewna mała dziewczynka zaciskała dłoń i mówiła coś w piąstkę.

Włożył okulary. Janet wyszła zza barierki, a on roześmiał się na jej widok. Roześmiał się ze szczerzej i zdrowej radości, z ulgi, że wreszcie doleciała, a także z cielesną nadzieją, no i na myśl, że ich wspólna wycieczka okaże się zupełnym niewypałem, głównie zaś roześmiał się dlatego, że nie mógł inaczej. Po całodiennej jeździe autem był oszołomiony i nie miał siły powstrzymać się od śmiechu.

Janet szła w jego stronę żwawym krokiem, z tym nieco zwicniętym uśmiechem, który znaczył, że sama nie bardzo wie, co tu robi.

- Kapitan mówił, że jest trzydzieści osiem w cieniu.
- Mam zadzwonić do Nicka?
- Po co? W Bostonie było dwadzieścia trzy.
 - Mieszka raptem kawałek stąd. Głupio byłoby nie zadzwonić.
 - W Nowym Jorku strajkują śmieciarze - powiedziała Janet.

Był oszołomiony od jazdy samochodem, a ona odrętwiała po tych kilku godzinach w zamknięciu, ogłuszona hukami sil-

ników. Wyszli na parking i wcisnęli jej torby do dzipa. Był wyładowany po sam dach, wyglądał jak karykatura konsumpcji, wypchany sprzętem turystycznym, ubraniami, książkami i innym bagażem.

- Powiedz mi jeszcze raz, dokąd właściwie jedziemy - poprosiła.

Przenocowali na skraju rezerwatu indiańskiego, w starym domku z niewypalanej cegły; kilkunastoletnia recepcjonistka chrupała prażoną kukurydzą, a z łóżka widzieli białą kopułę jakiegoś obserwatorium.

Pokój był ładny, z belkami pod stropem, umeblowany w paskudnym podmiejskim stylu, a ich ogarnęło onieśmienie, bo dawno nie widzieli się ani nie dotykali i Janet musiała się oswoić. W ogóle spali ze sobą dopiero kilka razy i zawsze z góry to planowali. Nie mieli wypracowanego systemu porozumień, ustalonego tempa ani znaczących spojrzeń, całego niemego protokołu pragnień i napomknień, gdy ciała lekko ocierają się o siebie w windzie. W ceglany domku nie było windy. A Janet w obcym pokoju czuła się trochę nieswojo. Bo przecież nie była to naprawdę ona, co?

Inną kobietę mogłaby właśnie nęcić anonimowość. Randka z mężczyzną w pokoju, w którym spotkało się już tysiąc mężczyzn i kobiet. Szansa, żeby zerwać z osobistą przeszłością, wyzbyć się własnej twarzy w akcie motelowego wyuzdania. Nie zatrzymali się jednak w motelu i przynajmniej to należało docenić.

Była zdenerwowana, kiedy tak w dzinsach i staniku stała przy oknie. Jak na razie dotarli dopiero do stadium stanika. I wtedy przerwała, żeby porozmawiać, ujawnić uczucia. Nie była jakoś specjalnie złaknięta seksu. To znaczy, owszem, była, głównie jednak - powiedziała - dręczy ją ogólna niepewność, bo nie czuje się swobodnie, spotykając się z mężczyzną w miejscu, które samo przez się narzuca konkretne oczekiwania: obce łóżko na pełnym odludziu. Miała utrwalony obraz własnej osoby i obawiała się rzeczy, które wydawały się nieodpowiednie. Po pierwsze, w pokoju było niezbyt czysto. Po drugie, ta dziewczyna na dole, z zezem czy z bielmem w oku, wszystko jedno. Mówiła mu to szczerze, tym swoim nieco piskliwym głosikiem,

a on leżał w łóżku i słuchał, czekając, aż kobieta przyjmie do wiadomości, że przeleciała przez pół kontynentu i wylądowała w dość przypadkowym pokoju, odgradzona od wszystkiego, co znajome.

Słuchał i czekał, a w końcu zrozumiał, że część z tych rzeczy, które mówi Janet, on też mógłby o sobie powiedzieć. Zrozumiał to jakby cichaczem, jak zwykle, gdy człowiek nagle pojmuje coś, co w gruncie rzeczy zawsze wiedział.

Kobieta stała przy oknie. Ponad jej ramieniem widział kopułę obserwatorium na szczycie góry, skapaną w ostatnich promieniach słońca.

Przed stu laty chodzili po tej pustyni pokutnicy, odmawiając modlitwy i poszcząc, chłoscząc się biczami konopnymi albo uplecionymi z włókien juki, lub po prostu bacikami zwanymi *la cuerda*, sporządzonymi z ciasno zasuplanej wełny.

Janet nie umiała patrzeć na pustynię. Czuła do niej chyba jakąś niejasną, osobistą niechęć. Pustynia była zbyt wielka, zbyt pusta, miała czelność istnieć naprawdę.

Po drodze rozmawiali.

- Wy tłumacz mi jeszcze raz, po co tam jedziemy.
- Bo to jest rezerwat przyrody i poligon wojskowy.
- Czyli jak nie przyroda nas zabije, to wojsko.
- Wyciągnął rękę i położył dłoń na udzie kobiety.
- Chcemy pobyć trochę sami - powiedział.
- Mogliśmy być sami w Bostonie.
- Tam nie ma długorogów. Chcemy zobaczyć je w dziczy.
- I co wtedy zrobimy?

- Ucieszymy się. Rzadko sieje widuje. No i jedziemy bardzo daleko. Będziemy szczęśliwi i zadowoleni. To piękne zwierzęta, które nigdy nikomu się nie pokazują.

Przysunęła się do niego. Nie lubiła publicznego okazywania uczuć, a chociaż jechali pustą drogą, to jednak nie siedzieli przecież u niej w mieszkaniu, prawda? Nawet nie w zajeździe, przy drzwiach zamkniętych na klucz i zasłoniętych firankach, bo w końcu wpadła na to, żeby je zasłaniać, ale i tak przysunęła się troszkę bliżej i powiedziała mu, że gdyby zgadła, iż będzie ją głaskał po udzie, raczej by nie włożyła grubych, szorstkich dzinsów, co?

Matt pomyślał, że chyba nigdy w życiu nie zaznał takiego szczęścia. Był szczęśliwy, kiedy oparła się o niego, a może jeszcze szczęśliwszy, gdy czytała mu na głos coś z tego małego księgozbioru, który zgromadził, szykując się do wycieczki.

Zobaczyli jastrzębie rozlokowane na słupach z przewodami elektrycznymi, a Janet sprawdziła w atlasie ptaków i powiedziała, że to pustulki - czyli nie jastrzębie, tylko sokoły, a on poczuł się jeszcze szczęśliwszy.

Krajobraz też go uszczęśliwiał. Takiemu urodzonemu mieszczuchowi jak Matt rzucał wyzwanie, lecz zarazem urzeczywistniał jakąś na poły wysnioną wizję, inność Zachodu, tę dziwną, wielką sprawę, której częścią był naród i niezmierzone przestrzenie, męstwo i historia, to, kim się jest, w co się wierzy i jakie filmy oglądało się w wieku dorastania.

Po pewnym czasie Matt powiedział Janet, żeby przestała patrzeć w książkę i spojrziała na krajobraz, ten jednak składał się wyłącznie z pustych przestrzeni i z dróg tchnących samotnością, więc bardzo ją to denerwowało.

Kiedy Nick wrócił z Minnesoty, Matty mówił na niego „jezuita”.

Dawno już wyrósł z katechizmu, ze ślepej wiary, lubił więc pokpiwać z upozowanej nienaganności brata, z jego prób analitycznego wglądu. Niezależnie od tego, co Nick przeżył w poprawczaku i jak zręcznie przerobiły go później klechy w swojej północnej twierdzy, wykuwając w nim intelekt i lśniącą duszę, brat i tak miał przywilej dokuczać mu i drwić.

Matka też mówiła o Nicku „jezuita”, ale tak, żeby nie słyszał.

Napełnili bak, kupili węgiel drzewny, prowiant i wodę w butelkach. Na drugim końcu miasta odnaleźli biuro dyrektora rezerwatu; Matt wszedł, dostał przepustkę i podpisał dokument stwierdzający, iż zrzeka się wszelkich roszczeń. Był to tak zwany formularz niewinności, chodziło w nim zaś głównie o to, że jeśli zginą i/lub odniosą obrażenia w trakcie ćwiczeń w ostrym strzelaniu, zaplanowanych na czas ich pobytu w rezerwacie, a potem któremuś z nich dwojga, obojgu i/lub ich ocalałym spadkobiercom choćby na minutę przyjdzie do głowy, żeby starać

się o odszkodowanie, pomysł ten będzie najbardziej ucieśną z dziecinnych mrzonek.

W sumie dosyć uczciwe postawienie sprawy. Pozwolono im wjechać na teren rezerwatu, jednocześnie informując, że za trzy dni rozpoczną się manewry z użyciem rakiet powietrze-powietrze. Przyjazny ogień. Wprowadzało to do ich rozkładu jazdy element napięcia.

Sumiennie opowiedział wszystko Janet. Powtórzył jej, że nie wolno im dotykać ani przywłaszczać sobie przedmiotów o przeznaczeniu wojskowym, które znajdują w rezerwacie: beczek po paliwie, pojemników po wypalonych racach, celów holowanych, pocisków wyposażonych w prawdziwe głowy bojowe lub ich atrapy. Powiedział, że na terenie rezerwatu nie ma żadnych siedzib ludzkich. Ani benzyny, żywności, dachu nad głową czy innych udogodnień. Miała prawo z góry wiedzieć. Uprowadził ją, że nie znajdują tam też dróg z twardą nawierzchnią i wody bieżącej.

Nie powiedział jej natomiast, czemu go tak podniecają te widoki. Nie wspominał ani słowem, bo sam nie rozumiał tego nagiego dreszczu, tego spłaszczenia perspektywy, o jakie przyprowadzała go świadomość, że niebawem zapanuje w dalekie pustkowia za Sonorą, tam gdzie przyroda i ciężka broń toczyły dialog, który był czymś w rodzaju procesu nerwowego, odziorowanego w świecie, pustym łaknieniem wydobytym z pnia mózgu czy skądinąd, a zamalowanym słowami, niebem i grzechotniczą pustynią.

- No to już - powiedziała Janet. - Start, start, start.
- Brawo, to rozumiem.
- Jak mamy jechać, to jedźmy.
- To mi się podoba.

Pojechali na południe przez białą plamę na mapie, w stronę wjazdu do rezerwatu, a Matt przypomniał sobie, co mu o tej części Arizony powiedział Eric Deming, plotkę, historijkę jak z serialu *Strefa zmierzchu*, o tak zwanych wrażliwcach, o mężczyznach i kobietach obdarzonych zdolnościami parapsychofizycznymi - telepatami, jasnowidzami, zginaczami metalu.

Nieopodal granicy z Meksykiem mieścił się tajny ośrodek, w którym wrażliwców poddawano próbom i eksperymentom,

z nadzieją, że uformowani w specjalne oddziały zdołają może zablokować wrogie sieci komputerowe i systemy uzbrojenia, a kto wie, czy nie uda im się odczytać zamiarów ministra obrony, gdy szofer będzie go wioził limuzyną przez środek Moskwy.

Tak naprawdę to panował pogląd, że Rosjanie mocno nas już w tej dziedzinie wyprzedzili - twierdził Eric - bo tacy z nich przecież uduchowieni mistycy, a my rozpaczliwie usiłujemy ich dogonić.

- Oczywiście chodzi tu jeszcze o coś więcej - powiedziała Janet.
- O co?
- O coś prócz owiec. Nie jedziemy przecież taki kawał tylko po to, żeby zobaczyć owce.
- Długorogi. Owszem, chcemy być sami. Żeby porozmawiać. Bez przeszkód. Dłużej. Ustalić to i owo.
- Co na przykład?
- Sama wiesz co.
- No co?
- Czy chcemy się pobrać? Mieć dzieci, bobasy? A może jeszcze z tym poczekamy? Zamieszkamy tu, tam czy gdzieś pomiędzy?
- I co jeszcze? - spytała. - Bo wiem, że na tym sprawa się nie kończy.

Matt wierzył w historię o zamkniętej bazie, w której wrażliwcy szlifują swoje paranormalne umiejętności. Przekaz myśli i zdalne widzenie. Bo i dlaczego nie miałyby wierzyć? Nieraz przecież odczytał myśli przeciwnika, kiedy jako dziesięciolatek przesuwiał pionki po szachownicy. To właśnie była nadprzyrodzona podszewka wyścigu zbrojeń. Cuda i wizje. Rozstrzygającą, wymarzoną bronią okazuje się dojrzała dama z Decatur, która umie precyzyjnie określić pozycje sowieckich okrętów podwodnych przy Wschodnim Wybrzeżu.

Nierzeczywistość. Oto co go niepokoiło. Między innymi o tym właśnie chciał porozmawiać z Janet.

Grzbiety górskie jak okręty, ogromne skalne okręty mierzące dziobami w niebo, wzgórza jak hałdy śmieci. Cały ten teren sprawiał wrażenie otwartej formacji, chropawej i poharatanej. Nieomal widać było, gdzie nastąpiło wyniesienie, a gdzie osia-

danie. Czuli się jak w krainie dinozaurów. Widzieli góry białe, a obok nich cieliste, i zwały szklatego żużlu, które z bliska także okazywały się górami.

Musieli zmitrężyć mnóstwo czasu, żeby gdziekolwiek dojechać. Była tylko jedna droga, jeden szlak, na którym grzęźli w piachu, a potem wpadali w koleiny i rozpadliska. Słońce prażyło gęstym rojem. Niektóre odcinki drogi stały pod wodą i wtedy zjeżdżali na pobocze, delikatnie manewrując, żeby ominąć akacje *palo verde* i opuncje *cholla*.

Matt sprawdził wszystkie te nazwy. Co chwila zaglądał do atlasów. Trzymał ich kilka na kolanach, prowadząc wóz, prosił Janet, żeby sprawdzała nazewnictwo, albo w ogóle oddawał jej kierownicę, bo wolał poczytać.

Maskę i przednią szybę pokrywała warstewka kurzu, a słońce było tuż-tuż, płonęło z takim uporem i mocą, że Matt ledwo się powstrzymywał, żeby nie wybuchnąć śmiechem przerażonego kutafona.

- Wiem, że nie możesz mi opowiedzieć o swojej pracy.
- To i owo mogę. Opracowuję tak zwane mechanizmy zabezpieczające. Dawkowniki czasu, baterie, przełączniki, urządzenia wykonawcze. Zamki elektromechaniczne. Bez końca przeprowadzam testy komputerowe. Piję neskę i oglądam na monitorze szczegółowe przekroje ogromnych upłetwionych rakiet. A potem jacyś faceci w Kalifornii, Nevadzie czy jeszcze gdzieś tam wezmą głowicę bojową i strzelą nią w pancerną tarczę z prędkością dwóch i pół tysiąca kilometrów na godzinę.
- Żeby sprawdzić twoje obliczenia.
- Bęc. Oczywiście nie tylko moje. Ale tak, owszem, chodzi o sprawdzian.
- Dzięki tobie broń jest bezpieczniejsza. W transporcie i w użyciu.
- Zgadza się.
- No więc w czym problem? Przecież to nie przestępstwo.
- Zgoda, ale tak czy owak ta praca ma związek z uzbrojeniem. Sam tego chciałem. Gotów byłem nawet jeszcze bardziej się zaangażować. A teraz mam wątpliwości.
- To ważna praca, Matthew. Potrzebujemy do niej najlepszych ludzi.

Obozowali zaledwie kilka metrów od drogi. Matty rozpalili ogień z węgla drzewnego i podgrzali na patelni konserwową wieprzowinę z fasolą. Włożyli swetry i usiedli na kocu.

- A czym byś się zajął, gdybyś odszedł? - spytała.

- Nie bardzo wiem. Może bym zrobił doktorat. Znam trochę osób, które pracują w trustach mózgów. Pogadałbym z nimi. Wybadał.

Spojrzała na niego kwaśno. Nie spodobało jej się określenie „trust mózgów”, no i nic dziwnego. Bierność, miękkość, średni wiek, wieża z kości słoniowej. Ludzie szeleszczący papierami na redutach strategii społecznej. Raporty sytuacyjne, wybór linii postępowania, sondaże statystyczne.

Wziął latarkę i odprowadził Janet na bok, żeby mogła się wysuszyć. Książec był prawie w pełni. Matt stanął i czekał, a ona spuściła dzinsy i przykucnęła, prawie jednym płynnym ruchem, spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Był to trochę świński uśmiezek, jak u umorusanej dziewczynki w zafajdanych majtadałach - oj, czy już kiedyś tego nie robiliśmy, w jednym z poprzednich żywotów? Matty powiódł wokół latarką i zaczął cicho, śpiewnie wymieniać nazwy krzewów i innych roślin, a Janet psipsiała do wtóru. Śmiała się, sikając przerywanymi, raz po raz wstrzymywanymi stróżkami. Usłyszeli cośjakby wycie kojota, a potem kobieta wciągnęła przyciasne dzinsy, nie przestając się śmiać.

Ustawili kopulasty namiot, wleźli do śpiworów w kształcie mumii, z przytulną flanelową podszewką, i nagle zdali sobie sprawę, że to nie żaden kojot, tylko z czyjegoś tranzystora wyje Wolfman Jack - prezenter, którego głos kieruje na pustynię jakaś piracka radiostacja zza południowej granicy.

Nie pyskuj mi tu, mała, dziś w nocy balujemy. Wolfman puszcza ci Little Richarda prosto w ucho, chcesz czy nie chcesz, niech ci przypomni te chwalebne dni, kiedy nosił ondulowaną plerezę, i szklany garnitur. Richard obejdzie się bez pralni. Starczy mu windex do mycia okien.

Śpiwór miał elastyczne paski, dzięki którym można było obrócić się na bok, jeśli kto wolał, a kiedy Little Richard zaczął falsetem te swoje glissanda, Matty poczuł się, jakby leżał w łóżku w Bronksie, jakby wciąż jeszcze był piętnastolatkiem, zdolnym prehandlować starą, dziedziczną po bracie rękawicę ła-

pacza za trzy albo cztery single z rozchełstany rock and roilem, żeby ich słuchać w czasie nieobecności matki.

Janet mówiła na niego Matthew. Separowała go w ten sposób od rodzinnej sagi, od przyciążkiego Matactwa, jakiego wymagała rola młodszego braciszka, porzuconego syna, szachowego geniusza i tak dalej, co tam jeszcze wpadło do domowej zupy.

Opowiedział jej, jak to Nick wierzył, że ich ojca wywieziono na bagna i zastrzelono; z czasem tak się utwierdził w tym przekonaniu, że nie był zdolny uwierzyć w żadną inną wersję, inny spisek. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby zarazić się nieufnością otoczenia. Musiał bronić swoich wyobrażeń o losie Jimmy'ego. Popelnione na Jimmym morderstwo było czymś osobnym i czystym, nie skalanym przez inne potajemne przymierza i przestępstwa, inne podejrzenia. Niech cała kultura bawi się tanimi teoriami spisków. Nick miał swój nienaruszalny epos -coś, czego nie trzeba faszerować domysłami i pogłoskami.

Matty oczywiście uważał, że brat ulega emocjonalnym urojeniom. Lecz gdy Janet zbyt ochoczo mu przytaknęła, przekreślając wersję Nicka, szybko ją zgasił. Zaczął bronić brata. Opowiedział jej, jak to z początku sam myślał, że ojciec nie żyje. Że wcale nie jest zbiegiem, nieudacznikiem, żalonym słabeuszem, który dał w długą, tylko po prostu nie żyje - gdzieś w nieprzeobrażonej przestrzeni. I chociaż Matty był wtedy jeszcze mały. Chociaż wykonał ten smętnie śmieszny, wariacki numer, kiedy poszedł do „Raju” Loewa, pragnąc zobaczyć, jak dusza wiernego, nieobecnego ojca sunie po gwiazdzistym suficie. Chociaż nie potrafił wówczas przeprowadzić racjonalnego rozumowania, to jednak poprosił ją teraz, rozważ sam ten epizod, wyprawę chłopca do kina przez obce dzielnice, w pojedynkę, w wieku sześciu lat. Zdarzenie może czerpać moc ze swojego nierozstrzygalnego sedna, ze wszystkich okrutnych i nieuchwytnych elementów, które nie trzymają się kupy, a wtedy człowiek wyprawia dziwne rzeczy, opowiada sobie bajeczki i konstruuje wiarygodne światy.

Kto, do cholery, dał Janet prawo wyśmiewać się z jego brata?

W oddali widać było smugi szram, głębokie koryta rzek okresowych i zagajniki wysokich kaktusów na południowych zboczach gór.

Droga wiodła przez biały piach, czerwoną ziemię, splekane, wyschnięte błoto, odwodnione i spieczone słońcem, raptem przeszła w zielony mineralny pył, potem znów zrobiła się piaszczysta i wreszcie przeistoczyła się w kamieniste rumowisko.

Janet lubiła prowadzić wóz agresywnie, bez względu na rodzaj terenu. Dżip szarpał i podskakiwał, chwilami niebezpiecznie się przechylając, a kiedy w gęstych zaroślach droga się zwężiła, Janet musiała poprosić Matta, żeby schował rękę, którą trzymał zwieszoną z okna, bo jeszcze go pokaleczą kolce akacji.

- Moim zdaniem nie powinieneś rzucać tej pracy pod wpływem wyrzutów sumienia. Sumienie jest obosieczne - powie działa. - Istnieje coś takiego jak obowiązki, zobowiązania. Jeżeli nie zechcesz jej dalej wykonywać, na twoje miejsce może przyjść ktoś, kto będzie miał niższe kwalifikacje.
- Jak myślisz, ile jest stopni?
- Mniejsza o stopnie. Tak czy owak, za gorąco, żeby tu być. Przeszedłeś specjalne szkolenie i coś umiesz.
- W pewnym momencie będziemy musieli zdecydować, czy mamy zrobić w tył zwrot i wrócić tą samą drogą, którą przyjechaliśmy.
- Albo?
- Albo jechać dalej w głąb krainy owiec i wyjechać z rezerwatu gdzieś w północno-zachodnim sektorze, nim się zaczną ćwiczenia.

Po dziesięciu minutach zobaczyli w oddali jakieś obiekty, więc skierował na nie lornetkę. Wyglądały jak czołgi i dżipy, było tam też parę ciężarówek, ale wszystko jakieś kruche, nieważkie i prowizoryczne, z kanciastymi konturami i tandetnym połyskiem - pozorowane cele strzeleckie.

- Chcę być z tobą - powiedziała Janet. - Wiesz, jak zależy mi na domu i rodzinie. Chcę mieć dziecko. Zawsze chciałam tego wszystkiego. Potrzebuję bezpieczeństwa, Matthew.

Sięgnął ręką i pobawił się kosmykiem włosów na karku kobiety.

- Potrzebujesz bezpieczeństwa. I to mówi osoba, która przez

pół nocy opatruje rannych - odparł. - Ciała w szoku. Jeden nagły przypadek po drugim.

- Nie ma w tym nic niebezpiecznego. Niczym mi ta praca nie grozi. To akurat robię najlepiej i dalej chcę robić. Ty też powinieneś zajmować się tym, co ci najlepiej idzie. Właśnie stąd płynie bezpieczeństwo.
- Jeżeli zostanie na tej posadzie, jak mamy być razem?
- Będziemy razem. Jakoś to sobie ułożymy.

Powietrze napięło się jak żagiel, światło nabrało ostrości chloru i nagle lunął deszcz. Przesłali cokolwiek widzieć, więc zatrzymali wóz na wzniesieniu. Źródło burzy mieściło się jakby trzy metry nad nimi. Siedzieli, czekali i rozmawiali.

Wszystko mógł jej powiedzieć. Czuł się z nią bezgranicznie swobodnie. Znała go, zanim się urodził. Potrafiła dokończyć myśl, którą ledwie zaczął. Nie miała w sobie żadnych stref cienia, żadnych zamknięć ani masek, które mogą fascynować, owszem, ale nie kogoś takiego jak ja - myślał.

Słyszeli ptaki, które wyśpiewywały własne imiona: lelki i fibi. Kiedy po deszczu znów buchnął skwar, Matt zaczął omiatać niebo lornetką, wypatrując drapieżników. Wisiały w płonącym powietrzu, z ogonami rozłożonymi w wachlarze dostojnie szymbowały na wysokościach, a on po omacku poszukiwał atlasu, bo zobaczył, że jakiś duży, ciemny ptak siedzi na gnieździe w rozwidleniu wysokiego *saguaro*.

Był to orzeł przedni, niedorosły okaz; Matt oddał Janet lornetkę i zaraz znów ją odebrał, a gadał przy tym jak najęty. Gadał, śmiał się i zaglądał do książek. Zwracał się nie tyle do Janet, ile do orła. Parokrotnie sprawdzał w atlasie, żeby na użytek samego ptaka potwierdzić, iż jest to orzeł, orlątko, z lekkim połyskiem na skrzydłach i z miodowozłocistą plamą na karku.

Janet jakoś to nie wciągnęło. Spojrzała na nią i dostrzegł w jej oczach niezbyt zrozumiałe błaganie. Prosiła go o coś, ale nie wiedział o co. Skierował lornetkę z powrotem w stronę ptaka. Dla niej ptak był tym samym, co pstryknięcie pilotem. Włączało się telewizor w pokoju pielęgniarek i ukazywały się głowy żyraf podrygujące nad sawanną. Jej rezerwatem przyrody był zagrożony pokój z kilkoma kanapami i fotelami, w którym trajkotała z personelem z nocnej zmiany o cenach kawy, o niebezpiecz-

nych ulicach i o tym poparzonym, co cuchnie nie do opisania: dawało jej to punkt oparcia, niezbędne do życia schronienie.

Ale w spojrzeniu, które posłała Mattowi, nie chodziło o jej potrzeby ani o to, gdzie by wolała być. Chciała tylko, żeby zrozumiał pewną prawdę o sobie samym.

Przy każdej porażce umierał w głębi piersi, w tej swojej drobnej klatce piersiowej o ptasich kościach. W wieku jedenastu lat był już właściwie martwy. Całe szczęście, że w końcu się uwolnił od tych drewnianych wieżyczek. Ile lat musiało minąć, żeby wreszcie odchorował szachy?

Z powrotem wciągnął go mecz Fischer-Spasski, a i to tylko na krótko, przed dwoma laty, w Islandii, w połowie drogi między Waszyngtonem a Moskwą, gdzie Bobby i Borys rozegrali dwadzieścia jeden partii, ekscytujący spektakl w letnim teatrze, rozpisany na czerń i biel.

Matt czytał gazety i oglądał telewizję. Kibicował Bobby'emu, niezgrabnemu, nieokrzesanemu dryblasowi tuż przed trzydziestką. Doskonale rozumiał jego publiczne wybuchy furii, chamskie żądania, nieapetyczne próbki, które Bobby nieustannie demonstrował, a potem jawną urazę przy każdej przegranej.

Chociaż ostateczne zwycięstwo Amerykanina nie było dla Matta żadnym zadośćuczynieniem za jego własną nadąsaną młodość, to przynajmniej wyparło szachy z nienormalnie introwertycznej sfery prywatnych migren we wspólną wszystkim zewnętrzność, w codzienny młyn ścierających się stanów i materialnych sił.

Trzeba naprędce sklecić neologizm, żeby opisać ten proces. Ekstrakcja ego. Oto co szachy zrobiły Mattowi. Niech więc nasz Bobby wygaduje, co chce. Przecież on tylko obnażał to, co zawsze kryło się za przestrzenną estetyką i formującym umysł rygorem gry, za intuicyjnymi przeblyskami jasnowiedzenia -samoświat bólu i utraty.

Opowiedział jej o wydrążonych górach w Nowym Meksyku. Przechowywano w nich broń atomową. Opowiedział jej o wydrylowanej górze w Kolorado, w której na ogromnych ekranach można obejrzeć trajektorię pocisku wystrzelonego z bazy na Syberii. Wiedział to i owo o Obieckie, o tak zwanej Instalacji

zbudowanej rękami więźniów w odległej części ZSRR, i o tym też opowiedział Janet - o centrum projektowania bomb.

Miejsca te chętnie odwiedzali uczeni, którzy pragnęli zaspokoić jakąś elementarną potrzebę. A może szli po prostu za głosem patriotycznego obowiązku lub podejmowali to typowe wyzwanie, które sprawia, że posłuszny mu człowiek dokonuje czegoś poważnego w fizyce i w matematyce? Według Matta ludzie ci wyruszyli pod wpływem impulsu, prawie brawurowo, na poszukiwanie jakiegoś wyższego stanu.

- Mówisz o tym jak o Bogu - zauważyła Janet.

Opowiedział jej o „Kieszeni”, co tylko mógł. Był to zaledwie przytulny, skromny zakamarek w ogromnym ukrytym systemie. Przesłankę istnienia tego systemu stanowiła śmierć zagrażająca z nieba. Matt opowiedział Janet o siatkach awaryjnych, o podziemnych schronach, które wykuto w górach Wirginii i Marylandu, żeby w razie poważniejszej wojny przywódcy mogli dalej rządzić krajem. Opowiedział jej o katastrofach w Związku Radzieckim, zacytował pogłoski o wybuchach i pożarach w elektrowniach atomowych i przyznał, że czuje ekscytujący dreszcz na myśl o zniszczeniach, jakie dokonują się wśród pustkowi na terytorium wroga, i o jego rychłej hańbie.

Mówisz o tym jak o Bogu. Lub o jakimś bardziej bezlitosnym wariacie Onegoż. Idź na pustynię albo w tundrę i wyczekuj wizjonerskiego błysku, masy krytycznej, która sprowadzi na ziemię hinduskie niebiosa, Kali, Sziwę i wszystkie pomniejsze bóstwa, strojące grymasy.

- Może za długo byłem katolikiem. Należało się urwać, kiedy skończyłem dziesięć lat.

Pomyślał o wrażliwcach sposobiących się do wojny telepatycznej i o pokutnikach, o mężczyznach w czarnych kapturach, którzy wlekli przez pustynię ciężkie drewniane krzyże, przed stu, a może przed pięćdziesięcioma laty, i smagali się biczami z sizału i z konopi, i tak dalej w stylu Siostry Edgar, wymawiając zamysłone słowa - chaotyczny bełkot świętych wędrowców.

- Nie wiem, w jakim sensie byłeś katolikiem. Już ci mówiłam, co sądzę o sumieniu - rzekła Janet.

- Na tym rzecz się nie kończy. Głównie chodzi o to, że czuję się, jakbym tkwił w czymś nierzeczywistym. Kiedy człowiek ma halucynacje, bierze fałszywy obraz za rzeczywistość. A

tu

na odwrót. Wszystko jak najprawdziwsze. Praca, broń, nad polami lucerny wznoszą się rakiety. Wszystko rzeczywiste. A mnie się coraz bardziej wydaje, że to oczywisty fałsz. Komuś coś się śni, a ja tkwię w tym śnie.

Janet mogło to trochę zirytować. Mogła uznać, że Matthew cacka się ze sobą, mówi nieprzekonująco albo nie na temat.

- Niedawno słyszałem - powiedział - że w latach pięćdziesiątych przeprowadzono taki eksperyment. Sto świń ubrano w specjalnie dopasowane kurtki polowe piechoty i rozmieszczono je w pewnej odległości od miejsca eksplozji, w odmierzonych odstępach. Dla dokładności powiedzmy, że świń było sto jedenaście, tak przynajmniej słyszałem. A potem dokonano wybuchu. Następnie zbadano mundury na upieczonych świniach, żeby ocenić termiczne właściwości tkaniny. Bo to właśnie było celem eksperymentu.

Janet nic nie odpowiedziała, bo niezależnie od celu eksperymentu i całej tej opowieści czuła wyłącznie furję.

- Wyobraź sobie. Białe świnie rasy Chester. Wielkie, tłuste świntuchy z kłapciastymi uszami. Ubrane w mundury khaki z suwakami, szwami i całą resztą, regulaminowo zasznurowane. A głos z megafonów odlicza. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem.

Powiedziała mu, żeby cofnął rękę zza okna.

- Czy właśnie wtedy historia zamieniła się w fikcję? - spytał.

Spojrzała na niego przelotnie.

- Tak naprawdę pytasz mnie o coś innego - stwierdziła.

- A o co?

- Podejrzewam, że wcale nie o to. Tak naprawdę pytasz chyba o znacznie drobniejszą sprawę, bez związku z umundurowanymi świniami. W rzeczywistości mówisz o czymś całkiem innym.

Nie patrzył na nią.

- No więc o czym mówię, Janet?

- To ty mi powiedz - odparła.

Milczał, utkwivszy spojrzenie w koleiny. Akacje dźwięcznie smagały przednią szybę i drzwiczki. Oboje wpatrywali się w drogę.

Mniej więcej dwieście metrów przed nimi ukazała się betonowa budowla podobna do bunkra, posmużona piaskiem, z wąskimi oknami, o ścianach porośniętych pnączami w rodzaju jeżyn.

Słońce prawie już zachodziło, postanowili więc zanocować w tym miejscu. Budowla miała oczywiście nieodparty urok, chociaż była tylko nieustępliwą ruiną, szczelnie opancerzoną przed światem. Stała samotnie na tle gór, nasycona przekornym liryzmem zawieruszonych przedmiotów, jak kino samochodowe na prerii, zamknięte od lat, z wykoślawionymi słupkami do słuchawek, z ogromnym ekranem ślepo zwróconym ku łanom kukuzydzy. Tego rodzaju ludzki szmelc dodaje krajobrazowi głębi, napawa go jeszcze większym smutkiem i samotnością, wpisując na margines naszej reakcji pewien nieokreślony, smutny, subiektywny żal - nie tyle żal, ile poczucie specyficznej estetyki czasu, świadomość, jak dziwna, niewzruszona i piękna może być bryła betonu, w której ktoś przelotnie zamieszkał, aby ją zaraz porzucić, dusza pustkowi, nosząca na sobie podpisy przejezdnych mężczyzn i kobiet.

- Wolę spać tam w środku - oświadczyła Janet - niż znowu rozstawiać namiot.

Dwoje betonowych drzwi było hermetycznie zamkniętych, a wąskie okna znajdowały się zbyt wysoko, ale zaszli od tyłu, znaleźli otwór na wysokości pasa i wleźli do środka. Przez tyle godzin trzęśli się w dziupie, slalomując po kamiennych rumowiskach i po piachu, że teraz bunkier wydał im się dość przytulny. Stół, krzesła, na ścianach kalendarze z gołymi dziewczynami, parę półek, a na nich konserwy, przybory kuchenne, zapalki i stare czasopisma.

Matt przypuszczał, że bunkier zbudowano jako kwaterę dla obserwatorów na czas ćwiczeń, dla paru speców od ciężkiego sprzętu, których przywieziono helikopterem, żeby sprawdzali dokładność trafień, a potem pozbiali cele holowane i może też zaznaczyli położenie niewypałów.

Kiedy wyszli z powrotem na dwór, rozpałił ognisko z węgla drzewnego i zjedli szybko, nie rozmawiając, a resztki i niedojadki zgarnęli do plastikowej torby i upchnęli w dziupie, bo nie mieli innego pomysłu.

Zanieśli śpiwory do bunkra i rozebrali się przy świetle księżyca. Janet usiadła na nylonowym pokrowcu, z jedną nogą wyprostowaną, a drugą zgiętą, i wolno przechyliła się w tył, jakby w przerwie śniadaniowej opalała się na schodach biblioteki. Podszedł i też się położył, czując bijące od niej słońce, osad głę-

bokiego żaru, który przenosił się na jego dłonie i usta, i to, jak ich ciała przekazują sobie nawzajem wspomnienie całego dnia i tej krainy, a upał i wietrzny kurz kładzie się ciężarem na oddechach, ponownie smakowany, muskany czubkami palców, dotykany i wączany.

Lecz sam akt był melancholijny i trochę dziwny - owszem, miał w sobie spokój, słodycz i miłość, ale zarazem pewną dziwność i lekką rezygnację, a potem długo leżeli razem, nic nie mówiąc.

- Chyba rano powinniśmy zawrócić.
 - Czemu? - spytała. - Zajechaliśmy tak daleko.
 - Chyba widzieliśmy już mniej więcej wszystko, co tu jest do oglądania.
 - Nie widziałeś jeszcze długorogów.
 - Nie muszę ich oglądać. Ani widłorogów. Bo tam dalej żyją też widłorogi, takie antylopy.
 - Ledwo ledwo zobaczyłeś orła.
 - Owszem, widziałem go.
 - Z daleka, ledwo widziałeś, jak siedział na gnieździe - powiedziała Janet.
 - Orzeł był wspaniały. Bez zarzutu.
- Janet zasnęła, ale on jakoś nie mógł.

Przyznał się sobie w końcu, że czekał, aż kobieta zacznie go namawiać do rzucenia posady. O to właśnie przez cały czas ją pytał. Czy nie powiesz mi wreszcie, że nie powinienem dłużej zajmować się tą pracą, ze względu na ciebie, na nasze przyszłe dziecko i dom, który kiedyś kupimy?

Ale Janet nie spełniła tych oczekiwań.

Chciał jej wpoić przekonanie - zrozumiał to w końcu - że się poświęca, porzucając „Kieszę” dla żony i dziecka. Chciał, żeby zażądała: „Przyjedź do Bostonu i ożeń się ze mną”.

Ale ona tego nie powiedziała.

Nie był stworzony do takiej pracy. Chciał ją rzucić, ale nie sam. Wolał, żeby wyręczyła go Janet.

Ale ona tego nie zrobiła. I od początku wiedziała, o co mu naprawdę chodzi. I nie miała cierpliwości do jego arii o tym co nierzeczywiste. Cokolwiek knujemy, powiedziałyby, tamci zawsze knują coś gorszego.

Od czasu do czasu nacierał wiatr ze wschodu. Matt słyszał,

jak przy dziapie myszkuje jakieś zwierzę, szukając resztek pożywienia.

Nie, nie był maniakiem broni. Ale nie o to szło. Chciał, żeby czuła się odpowiedzialna, a nawet winna, że zmieniła bieg jego życia. Dałoby mu to w przyszłości ogromną przewagę.

W Wojskowej Szkole Wywiadu uczył się w podwójnym wymiarze godzin, otoczony w każdej nerwowej minucie przez analityków działań bojowych, językoznawców, facetów z kontrwywiadu, którzy węszyli, czy ktoś aby się nie narkotyzuje, agentów na stażu, obarczonych symulowanymi misjami - po jednym tajniaku na każdą funkcję cielesną.

Wysłano go do Wietnamu, do Phu Bai, i ledwo wszedł na teren koszar, zobaczył na ścianie szopy, w której się mieścił magazyn, rozkwitły napis sprejem. *Om mani padme hum*. Wiedział, że to jakaś mantra, coś, co hipisi śpiewają w Central Parku, ale czyżby stanowiła zarazem motto Sto Trzydziestej Pierwszej Kompanii Powietrznej?

Od tej pory zaczął mieć kłopoty z sygnałem na wejściu.

Siedząc w blaszanym baraku o półkolistym przekroju, prze-wijał przez przeglądarkę filmy z lotów zwiadowczych, nie kończące się serie obrazów wessanych przez kamery podkadłubowe. Miał za zadanie odzyskać zagubione informacje, wydobyć ze zdjęcia najdrobniejszą ich cząstkę i rozpoznać w niej ciężarówkę, którą szlakiem Ho Chi Minha prowadzi mężczyzna palący francuskiego papierosa.

Rzucił tubylczemu kundlowi *frisbee* i patrzył, jak zwierzę podskakuje, robiąc w powietrzu piruet.

Krażyły pogłoski o potajemnej wojnie, o niezliczonych tonach bomb zrzuconych z B-52. Laos, Chaos, Kambodża. Tylko że tony bomb wcale nie były niezliczone: wręcz przeciwnie, rachowano je sumiennie, bo właśnie w ten sposób dochrapujemy się belek na pagonach - obliczając ilość produktu.

Matt był specem piątej kategorii, z żołdem sierżanta, ale mniejszą władzą. Nie narzekał.

Narzekał za to na ataki rakietowe i salwy z moździerzy, spadające łukiem z nieba zasnutego deszczem.

Bo właśnie nadeszły deszcze i wyły syreny, a on biegał do

najbliższego schronu z worków piasku przełożonych złomem budowlanym, z płynącym przez środek odkrytym ściekiem.

Potem nadeszły upały i heroina, więc na błotnistej uliczce koszar znajdowało się czasem ciała leżące twarzą w dół, ofiary hery.

W blaszaku ktoś powiesił zdjęcie Nixona stojącego między dwoma mężczyznami, skądś jakby znajomymi, ale nie do przypomnienia, i zaczęły krążyć plotki o substancji, którą przechowywano w czarnych beczkach na skraju koszar.

W wersji filmowej nastąpiłaby stopklatka z psem zawieszonym w pół skoku, gotowym chwycić zębami plastikowy krążek. Park w letni dzień gdzieś w Ameryce - ironiczny podtekst tego ujęcia, na tle zjadliwego wrzasku sprzężonej gitary elektrycznej.

Tak to bywa, kiedy część sygnału wyjściowego powraca na wejściu systemu.

No właśnie, ktoś przyczepił do ściany kartkę z czasopisma, a Matt nie bardzo wiedział, co to za dwaj faceci stoją po bokach prezydenta, w każdym razie nie politycy ani dyrektorzy korporacji. Jeden był kędzierzawy, przystojny i uśmiechnięty. Drugi miał smutne spojrzenie, kinol jak klakson i ołowiane oblicze imigranta w pożyczonym garniturze.

Matt przewijał film przez przeglądarkę. Ilekroć znajdował na taśmie kropkę, próbował ustalić, co to takiego: ciężarówka, przydrożny bar, wjazd do tunelu, stanowisko cekaemu czy rodzina na pikniku, piekąc kotlety.

Było gorąco i monotonnie, przez cały czas lądowały i startowały samoloty, helikoptery bojowe, transportowce, średnie bombowce, tankowce, myśliwce, dyrektorskie odrzutowce, mały różowy piper z instruktorem i stażystą na pokładzie i wreszcie specjalnie przerobione samoloty towarowe, z których rozpylano nad dżunglą herbicyd przechowywany w czarnych beczkach oznaczonych pomarańczowymi paskami.

Krążyły plotki, jakoby jednocześnie gdzieś obok trwały całe osobne wojny, kawałek drogi na wschód, a może na zachód?

Beczki wyglądały jak puszki mrożonego soku pomarańczowego, powiększone za sprawą oszalałego szczepu DNA. A substancja z tych beczek - głosiła plotka - zawierała składnik rakotwórczy.

Matt słyszał plotki i moździerz, czuł monsunowy upał i słyszał powszechny w tej wojnie slogan.

Nie trzeźwiej, facet.

Sam chciał przyjechać do Wietnamu. Długo się wahał, co sądzić o tej wojnie, ale uważał, że to jego obowiązek, forma rozrachunku z samym sobą - trzymać się normy, dać dowód odwagi, odpowiedzieć, gdy ojczyzna wzywa. Zadziało tu jednak coś jeszcze, jakaś starsza, krążąca w żyłach siła zwana rodziną.

Nie mógł uciec przed poczuciem odpowiedzialności. Musiał stawić mu czoło. Nie chciał się wymigać, wykpić, wykaraskać tanim kosztem, psim śwędem, ukradkiem, zdezerterować, odmówić, scykorzyć, wziąć ogon pod siebie, czmychnąć do Kanady, Szwecji czy do San Francisco tak jak jego stary.

Ilekoć znajdował na filmie kropkę, przekładał ją na język liter, cyfr, współrzędnych, siatek i całych systemów wiedzy.

Om mani padme hum.

Tak naprawdę to pies wcale nie skoczył, tylko patrzył, jak *frisbee* przelatuje obok, i miał przy tym lekko wzgardliwą minę.

Każda kropka była wizualną mantrą, przedmiotem bez własności - prócz położenia w przestrzeni.

Klejnot w sercu lotosu.

Leżał w śpiworze, ale nie spał. Zapragnął towarzystwa, więc obudził Janet. Wysunął rękę ze śpiwora i potrząsnął kobietą, aż się zbudziła.

- Chcę tego samego co ty - powiedział.
- Dobrze, Matthew.
 - Chcę żyć z tobą w otoczeniu znajomych rzeczy. Cały jestem podekscytowany, jak o tym myślę. Najchętniej zacząłbym od razu.
 - Zaczekaj. Zostań tam, gdzie jesteś. Przepracuj jeszcze rok na tej posiadzie. Zobacz, co się przez ten czas wydarzy - odparła.
 - Chcę wymyślać przezwiska dla naszych dzieci. Wiesz, o co mi chodzi? Chcę, żebyśmy mieli swoje otoczenie. Chcę mieć fotografie, srebra, rzeczy, które ktoś kiedyś po nas odziedziczy. Chcę rozmawiać o tym, co zjemy na kolację. Lubisz pieczone małże? Prawie nigdy jeszcze nie rozmawialiśmy o jedzeniu.
 - Zostań tam, gdzie jesteś - powtórzyła. - Nic nie rób w pośpiechu.

- Cały jestem podekscytowany. Szkoda, że tyle czasu musi jeszcze minąć, zanim stąd wyjedziemy. Najchętniej już bym usiadł za kierownicą.
- Śpij - rzekła.
- Tyle jest do omówienia.

Zasnęła przed upływem minuty. Matt leżał, nie mogąc zapamiętać nad gonitwą myśli. W końcu zrozumiał, że nie zaśnie, i postanowił popatrzeć, jak słońce wschodzi nad pustynią.

Włożył spodnie i sweter, poszedł jakieś pięćdziesiąt metrów za bunkier i dopiero wtedy wyłączył latarkę.

Usiadł na piasku i czekał.

Przypomniał sobie, jak się czuł, kiedy siedział w fotelu na imprezie u bombomózgowców, uwięziony w polu grawitacji, a w głowie bzycały mu podejrzenia.

Pomyślał o fotografii Nixona i zadał sobie pytanie, czy państwo zaraziło się paranoją jednostki, czy raczej na odwrót.

Przypomniał sobie, jak się czuł, kiedy przewijał film w przeglądarce i zastanawiał się, w którym punkcie kropki układają się w jedną całość.

Bo prędzej czy później wszystko układa się w całość, a może tylko tak się wydaje, albo wydaje się tylko dlatego, że się rzeczywiście układa.

Siedząc przy przeglądarce, wyglądał jak karykatura tradycyjnej postaci z piwnicznej izby, samotnego wynalazcy, pochylonego nad stołem laboratoryjnym, montującego ze sworzni, sprężyn i drutów jakieś ekscentryczne urządzenie, prototyp żarówki, która zmieni świat.

I ten węgierski akcent w głosie Erica Deminga, który w zatłoczonym pokoju mówił mu prosto w twarz.

Kropki na filmie mogły być ciężarówkami jadącymi drogą dostawczą, najnowszymi modelami aut zjeżdżającymi z taśmy albo prezerwatywami podobnymi do palców gumowej rękawiczki.

No i ktoś w blaszaku musiał mu w końcu powiedzieć, co to za jedni. Z obu stron Nixona stali dwaj zawodnicy, weterani, duet zwycięzcy z przegranym, dożywotnio zrośnięci w biodrze.

Z zamkniętymi oczami siedział na piasku, wdychając woń

mokrej żywicy uboczki, a potem wyczuł, że skądś za chwilę tryśnie pierwszy promień słońca.

Ludzie chowają się w suterenach. Uciekają do bunkrów i tuneli, a rakiety staczają się z taśmy produkcyjnej, wszystkie jednakowe, i zaczynają rozjaśniać niebo.

I jak odróżnisz sok pomarańczowy od oranżowego defoliantu, skoro ten sam potężny system łączy je na poziomach niedostępnych twojemu pojmowaniu?

I jak stwierdzisz, czy to prawda, skoro cały jesteś już przywalony systemem, gotów odnieść się do wszystkiego z połowiczną wiarą, bo to jedyna inteligentna reakcja?

Ludzie chowają się w ciemnych, zawilgłych miejscach, tam gdzie rosną grzyby, szybko wyłaniając się z ziemi.

Kropki, które zaznaczał specjalnym ołówkiem, przybierały postać komputerowych bitów w Da Nang, późnych niedzielnych śniadań w Sajgonie i rozkazów dziennych w Tajlandii - domyślał się - a może na Guamie.

Kiedy zmieniasz choćby jedną drobną cząstkę, cały system natychmiast adaptuje się do tej zmiany.

Ktoś musiał mu powiedzieć ich nazwiska. Po bokach Prezydenta stali Thomson i Branca, Bobby i Ralph, bohater i kozioł ofiarny, binarnie nierozłączni aż po grób.

Grzyb z mięsistym kapeluszem o własnościach trujących lub magicznych. Gdzieś na Syberii szamani jedli kapelusze i rodzili się na nowo. Cóż widzieli, ogarnięci transem? Chmurę w kształcie grzyba?

Tkwiał w „Kieszeni” już wtedy, kiedy po całych nocach przewijał film w przeglądarce, czekając, aż spadnie deszcz pocisków z moździerz. Chrupały jak płatki kukurydziane w ustach dzieci z telewizji.

I jak odróżnisz strzykawkę od raket, skoro stałeś się tak elastyczny, gotów do wszystkiego odnieść się z połowiczną wiarą i wyrzec się jakichkolwiek przeświadczeń?

I skąd możesz wiedzieć, czy obraz ten istniał przed wynalezieniem bomby? Mógł przecież istnieć cały podziemny świat obrazów znanych jedynie plemiennym kapłanom, pośrednikom między rzeczywistością widzialną a światem duchów, którzy łąkali magiczne grzyby i widzieli chmurę ognistą, wcześniejszą niż obraz na filmie szkoleniowym armii amerykańskiej.

Jeśli obserwować ją z bezpiecznej odległości - twierdzi narrator - eksplozja ta przedstawia sobą jeden z najpiękniejszych widoków, jakie oglądał człowiek.

W pewnym sensie już wtedy tkwił w „Kieszeni”, ale nie wniakał myślą w głąb systemu, aż tam, gdzie jego żmudne, miałkie zachody w końcu owocowały. Tysiącetonowymi bombami, które gromadnie wysypywały się z przegród kadłubowych B-52 jak upłętzione bobki i ryły kraterzy w szlaku wiodącym przez dżunglę.

Ale tamci byli naszymi wrogami, więc pies ich trącał.

I dalej są wrogami, a jeśli nie oni, to kto inny, i otwierając oczy, zobaczył, że niebo dziwnie szarzeje, przybiera barwy obłąkanej babuni.

Dawniej idee przybywały z dołu. Dziś wiszą ci nad głową, łącząc wszystkie bez wyjątku sprawy i siatki.

Binarne układy: czarne-białe, tak-nie, zero-jeden, bohater-koziół.

I ci dwaj mężczyźni, którzy stoją po bokach Prezydenta na zdjęciu przyczepionym do ściany blaszaka. Wysoki przystojniak i imigrant o krzaczastych brwiach. Równie dobrze mogliby to być Oppenheimer i Teller: wysmarowani olejkami do opalania, cytując sobie nawzajem fragmenty świętych ksiąg Hindusów.

„Om” wcale nie rymuje się z „bomb”. Tylko tak wygląda.

Śmierć i magia - oto czym jest grzyb. Albo śmierć i żywot nieśmiertelny. Psylocybina, związek otrzymywany z pewnego meksykańskiego grzyba, może przeobrazić twoją duszę w substancję rozszczepialną, zdaniem uczonych badających to zjawisko.

Są wszędzie naraz i łączą się nieskończoną liczbą powiązań, a ty do najbardziej niewiarygodnych rzeczy odnosisz się z choćby połowiczną wiarą, bo byłbyś głupi, gdybyś nie wierzył.

Wszelka technologia ma związek z bombą.

Z otwartymi oczami siedział na piasku i nagle zdał sobie sprawę, że słońce wschodzi za jego plecami. Co to mogło znaczyć?

Że usiadł zwrócony nie w tę stronę, co trzeba.

Matt prowadził, a Janet drzemała obok niego, raz po raz zapadała w drzemkę, a potem budziła się, kiedy dżip podskakiwał na wyboju, i wkrótce znów zasypiała.

Czuł się dobrze, przytomnie, prowadząc wóz myślał, zauważał wszystko po drodze i rozpoznawał rośliny bez pomocy atlasu.

Słońce wciąż jeszcze wisiało bardzo nisko, a droga prowadziła prosto w jego tarczę i dopiero za jakiś czas miała stopniowo skręcić na północ.

Widział, że z kamienistej staje się piaszczysta.

Widział równoległe do drogi koryta wyschniętych strumieni z zamulonym rumowiskiem piaskowca na dnie.

Usłyszał trzepot gołębi karolińskich, gdy wyfrunęły z krzaka.

Zobaczył małą trąbę powietrzną, która w miejscu, gdzie teren się spłaszczał, zataczała powolne spirale.

Nastąpiła chwila dziwnie naładowanej ciszy.

A potem runął na nich ryk, z tak bliska, że Mattowi krew zastężyła w żyłach, a Janet złapała go za rękę. Nie, najpierw osunęła się na niego, pchnięta w bok impetem huku, płaskiego, trzaskającego łoskotu, i dopiero później spróbowała chwycić go za przedramię, chybiła i wreszcie chwyciła. Siedział z głową wciągniętą w ramiona, jakby wbitą młotem. Dżip zjechał na pobocze, ale Matt oswobodził rękę, w którą wczepiała się Janet, i skierował wóz z powrotem na drogę. Uświadomił sobie, że drugą rękę, zgiętą w obronnym geście, trzyma tuż nad głową.

Huk rozprysnął się nad nimi i przeplynał, nieomal zabierając ich ze sobą. Janet patrzyła na Matta, z ustami ułożonymi w małą, równą, melancholijną elipsę.

Matt z napiętą uwagą chłonał nowinę. Porządkował fakty. Patrzył w stronę gór, gotów się ucieszyć. I nagle ujrzał ten podwójny błysk, w ostatniej chwili, nim znikły dwa srebrnoskóre phantomy F-4, które wzniosły się do szczytowego punktu trajektorii, zanim spłaszczyły tor lotu - w ten spokojny ranek przyszła im ochota przelecieć się nad pustynią.

Ucieszył się, słysząc echo odbite od łańcuchów górskich, szczytkowy grzmot, którego zew niósł się z Małych Gór Ajo, aby przez góry Growler, Granitowe i Mohawki dotrzeć do miasteczek i przydrożnych restauracji. Tak, Matt uwielbiał te chwile, kiedy moc wyłania się z samolubieźnej tajni i staje się rykiem na niebie. Wyobraził sobie, jak fale dźwięków lecą nad ziemią i z pluskiem płyną w przyszłość, przez tygodnie i miesiące, przez cały kontynent, aż zostaje z nich tylko najdelikatniejsza kołysanka w bezpiecznym pokoiku, w którym matka karmi pier-

się, a mężczyzna, uczony badacz, stoi z ręką nad głową, nie z obawy przed pękającym tynkiem i latającym w powietrzu szkłem, on po prostu spuszcza roletę - niebo mroczniejsze, z kuchni czuć pikantny aromat, gdzieś w domu gra muzyka.

Wtem jednak przeżył szok jak po dawce sterydów, dostał gęsiej skórki, kolczasty dreszcz przeszedł go od stóp do głów, gdy tak siedzieli w małym dżipie, cali drżący. Jeszcze nie dojrzeli do tego, żeby rozmawiać. Niech minie chwila, nim się pozbierają, oniemiała po przemarszu mocy i impetu, które ludzie skradli wielkiej przyrodzie, naginając niebiosa do własnych metod.

5

Najpierw był pusty pokój. Po chwili ktoś wszedł i zaczął nakrywać stół, zdejmować z niego czasopisma i albumy, a ustawiać salaterki, kamionki i kwiaty w wazonach, potem znów położył kilka albumów, ale tylko te, które mogły sobie rościć pretensje do swoistego przepychu. Przyszło kilkoro pierwszych gości i wywiązała się urywana rozmowa, momentami trochę niezręczna, bo nie wszyscy nawzajem się znali. Aż wreszcie pokój z wolna wypełnił się ludźmi i rozmowy potoczyły się bardziej wartko, a twarze zrzuciły z siebie wierzchnie warstwy. Klara rozmawiała z kimś w kącie, czując niejasno, że stopniowo bierze górę życzliwość, komizm i gościnność, i czy nie jest to jedna z tych rzeczy, nad którymi nigdy się nie zastanawiasz, chociaż mogłyby ci się wydać zdumiewające, gdybyś jednak pomyślał, że poszczególne elementy nawiązanego kontaktu, ruchy oczu i machnięcia dłoni, uśmiechy rozpoznania, nadrabianie zaległości, które napędza dialogi we wczesnej fazie - że wszystko to staje się energią krążącą wśród gości, jakby anioł robił obchód, i z jej to natchnienia biorą się opowieści, plotki, flirty i źle zrozumiane uwagi, w zasadzie tworzywo ludzkich dziejów, chociaż ludzie nie piją już tak jak dawniej, więc nie można powiedzieć, że to dzięki dżinowi są weseli i naturalni. Zachęca ich głównie przykład innych.

Lato upływało na dachach, lato dalekich błyskawic, więc Klara patrzyła, jak chmury burzowe bieleją w rozbłysku elektrycznej palby. Możliwy deszcz - ostrzegali meteorologowie,

ale rzadko padało. Czekala, az przyjdzie Miles i przyniesie jej papierosy, i myslala, jakie to szczescie byc zywa, nigdy jeszcze tak tego nie doceniala, chociaz denerwowala sie pracą, z której wciaż nic nie wychodzilo.

W kacie pokoju rozmawiala z mężczyzna, który narzekal, ze ludzie w malych mieszkaniach trzymaja duze psy, a kiedy goście zaczeli sie rozchodzic, wjechala windą na dach i jakaś mloda kobieta powiedziala: „Dostalam semioblędu” - dostalam semioblędu; a pewien malarz, znajomy Klary, mial na szyi wspanialy krawat, a ona pomyslala, ze psy w malych mieszkaniach to jeden z tych tematów, których nigdy sie nie porusza, a potem nagle wszyscy zaczynaja, całkiem znienacka psi temat wylewa sie drzwiami i oknami - powinno sie czy moze jednak nie powinno - tylko po to, zeby pewnego dnia z bezlitosną raptownością przestać, i odtąd znów nikt nie mówi o psach, o rzadkich syberyjskich rasach w kawalerkach bez wind.

Patrzyla na kobieta, która truchtala po bieźni na dachu biurowca, na biegaczke w błyszczącym dresie, o zachodzie słońca, z dalekimi kominami w tle. Troje czy czworo ludzi z kieliszkami stalo przy murku okalającym dach, patrzac z taką samą przyjemnością, a kobieta zaliczala kolejne okrażenia, samotna, trzydzieści pięter nad ziemią, piękny widok, jej lekki krok i gasnący dzień, który plonął, odbity w szklanych taflach, a dalej kominy elektrowni nad rzeką, buchające przepysznymi bukietami trucizn.

Szli we dwoje przez Times Square i Miles zatrzymal ją, zeby razem popatrzec na szpanerski samochod, zaparkowany w niedozwolonym miejscu przed salonem z automatami do gry i obsługą w topllessach, alfonsauto polakierowane na kilka odcieni różu, z zelaznymi kratami w bocznych oknach: właściciel mial widać wielkomiejskie poczucie humoru. Turyści robili sobie zdjecia, kolejno pozujac przed pojazdem, na zmianę ustawiając sie do fotografii i pstrykając, a ogoleni na zero krisznowcy z dzwonekami w rękach, mlodzi i bladzi w pomarańczowych szatach i adidasach z cholewką, poboźnie skakali w miejscu.

Acey Greene miala ten swój babciny greps, głównie wokalny. Zwracala sie wtedy do Klary jak do dziecka. Karçaco. Och, dziecinko, proszę cię, nie bądź taka niemądra.

Siedziały w barze w SoHo.

- To niemożliwe - powiedziała Klara. - Żadnej kobiecie nie przyjdzie do głowy, żeby wyjść za kogoś takiego jak Miles.
- Zresztą i tak nie chciałabyś za niego wyjść, choćby ci to jednak przyszło do głowy.
- Przyznaj, że ma parę zalet.
- Owszem, parę - zgodziła się Acey.
 - Nie, jest super, serio. Ale trzeba być wariatką, żeby chcieć z nim budować coś trwałego czy chociaż trochę wiążącego. To niewykonalne, i z jego, i z twojego punktu widzenia.
- Już samo słowo „pożycie”.
- No właśnie - rzekła Klara. - Już samo słowo.
 - Tak w ogóle to moim zdaniem zachowuje się odrobinę wymijająco.
 - Jest jeszcze odrobinę niegotów - stwierdziła Klara, a im dłużej mówiła o jego nieodpowiedzialności, tym był jej droższy. - Widzisz, we wszystkim może się czaić spisek. - Wybuchnęła śmiechem. - Miles zaczyna czuć się osaczony i przyjmuje postawę obronną, wycofuje się w siebie. Ale to nie problem. Między nim a mną nie ma żadnych problemów. Wspaniale się dogadujemy.

Raz po raz coś jej leciało z rąk. Upuściła kubek i kawa zalała w kuchni cały blat. Nie mogła znaleźć kotletów cielęcych, które dopiero co kupiła. Potem zaczęła szukać zapasowego klucza do drzwi na dole. Mógł leżeć w jednym z dwóch miejsc, nigdzie indziej na świecie, ale nie było go tu ani tam, a ona stała pod ścianą loftu, patrząc w wysokie okna na drugim końcu, i zastanawiała się, czy ze schodków przeciwpożarowych, z tych ciemnych krech, które przecinają się warstwami w bocznych zaułkach, mogłaby dowiedzieć się czegoś o swojej pracy.

- Gruszki na wierzbie, dziecinko - skwitowała Acey, kiedy tak siedziały w tym barze.

Przez pewien czas używała zwykłych farb, takich jak do kaloryferów. Lubiła chropowate powierzchnie, farbę łuszczącą się z metalu, framugi kitowanych okien, wszystkie te gruntowane faktury, lepkie kredy i pokosty, które miesza się i wsmarowuje, „wszmirza” w zniszczoną deskę. Musiały minąć lata, nim zrozumiała, co z tym wszystkim ma wspólnego jej życie, robotnicze

dziedzictwo, szczerbate płyty chodnikowe, właściwie piękne, z błękitnego łupku, spękane i granulowane na rogach, i dachy kryte papą, no i oczywiście schodki przeciwpożarowe, malowane na zielono, a potem na czarno, i to, jak spływające z nich krople i strużki wsiąkają w pamięć, i aluminiowa emalia na gwizdzących grzejnikach, i farba, którą ojciec przynosił do domu, żeby odmalować kuchenne krzesła, krzesło do góry nogami na gazecie, pajęczasty rozprysk białej farby na zadrukowanej stronicy, zachlapana stronica na starym linoleum.

U Esther i Jacka trzymała w ręku kieliszek wina i słuchała, jak Jack mówi tym swoim przyjaznym głosem, który brzmi jak papier ścierny. Lubiła jego głos i żarty. Stary, rumiany, szpakowaty Jack, o dziwo wciąż jeszcze żywy, wymachuje papierosem i w każdej chwili może zapomnieć, jak masz na imię. Uwielbiał opowiadać dziarskie anegdoty, Esther ich nie znosiła, ale Klara owszem, bo takie kawały lubi się choćby wbrew sobie, wyświechtane szpasy o głupio szablonowych postaciach mówiących całą gamą dialektów, zarazem jednak sprytne, ponieważ liczą na współdziałanie słuchacza - w kawałach Jacka nic nigdy się nie zmieniało.

W pewnym momencie uświadomiła sobie, że kładzie farbę głównie po to, żeby ją potem zdrapać, zedrzeć jakimś kuchennym narzędziem, bo lubi tę żyłkowaną powierzchnię, która potem zostaje.

A jeszcze zasięg jej przedsięwzięć, ta jej ambicyjka, coś, co uważała za obecny w swojej pracy pociąg do ciasnoty, rodzinności, wybitnie skromny zamysł. Dopiero zaczynała się zastanawiać, czy rzeczywiście chce sobie zapewnić życie pozbawione laurów, takie jakie wiódł jej ojciec.

Albert opowiadał jej tym swoim lekko dydaktycznym tonem, że Włosi, których znał z lat dorastania w Harlemie i w Bronksie, jego kalabryjscy przodkowie, na ogół obawiali się pewnych rodzajów osiągnięć, bo jako imigranci potrzebowali ochrony przed zimną ręką obcej kultury, musieli więc mieć synów, córki, siostry i całą resztę, komuż bowiem innemu mogliby zaufać z tą swoją łamaną angielszczyzną i dziesiątkami tysięcy wykorzenionych legend, a kiedyś wrócił do domu, trzynastoletni syn, i zobaczył, że rodzice siedzą skuleni na kanapie, pogrążeni w jednym z tych

swoich boleściowych południowych nastrojów, matka ma oczy podkrążone, spustoszone, zdradzone, ojciec bezradny i zgarbiony, czterdziestolatek, który w mgnieniu oka umiał podwoić swój wiek, przystępując do jakiejś spółdzielni smutku, i oboje patrzą na szkolne świadectwo Alberta, dopiero co przyszło pocztą, a on pomyślał, że pewnie wszystko oblał, zawalił, wylali go, same tróje w najlepszym razie i żałobne pały, a tu akurat na odwrót, no właśnie, same szóstki, a do marginesów przyklejone złote gwiazdki, i młody Bronzini w końcu zrozumiał naturę ich udręki: że nie chcą go utracić, sklepikarz i sklepikarzowa nie chcą stracić syna, którego porwie ten promienny, wielki świat, zaczynający się w jakimś płynnym punkcie zaledwie o parę ulic dalej. Klara nie wyobrażała sobie, że potrafiłaby chociaż w odległy sposób zarazić się tym stanem ducha - nie wyobrażała sobie, póki nie usiadła sama w łofcie, wiedząc, jak ostrożnie podchodzi do pewnych osiągnięć, nie cudzych, lecz własnych - nieufnie i trochę wstydliwie. Chciała być lojalna wobec przeszłości, choćby - a raczej zwłaszcza gdyby - musiała dopuścić do głosu ojcowskie rozczarowania, zjednoczyć się z licznymi drobnymi niepowodzeniami, które zgromadził niczym splotałe pamiętki. Pomyślała o jego bębnach ze slajdami z Wielkiego Kanionu i ogromnego Zachodu, o niedosiężnych przestrzeniach, które wsuwał do stereoskopu, i wyraźnie przypomniała sobie zdjęcie zwiadowcy z plemienia Hopi, upozowanego na krawędzi skały, gdy w trójwymiarowej dali majaczyła Kolorowa Pustynia, a może Zion Park, i jeszcze pomyślała, że jej własna znikomość, niezauważalność jest dokładnie tym losem, który sama sobie przeznaczyła.

Acey piła tequilę, a Klara swoją zwykłą, banalną dawkę białego wina, bo lubiła białe po południu, w te dni, kiedy pozwalała sobie na kieliszek przed szóstą czy coś koło tego, a potem czerwone do kolacji, zresztą martwe popołudnie w ciemnym barze to jeszcze nie najgorsze, co może człowieka spotkać.

- Co takiego robisz ostatnio, o czym powinnam wiedzieć?
- spytała Acey. - W związku z pracą.
- Jadę do Sagaponack, żeby się ukryć.
- Ukryć się. Tam się przecież nie ukryjesz. To tu się ukrywasz.

- Zależy przed czym.
- Weź się do pracy. Po prostu weź się do pracy. Po co tu siedzisz? - spytała Acey. - Od samego patrzenia na mnie nie przejdziesz do historii.

Panowała taka wilgoć, że trzeba było dociskać drzwi ramieniem, bo inaczej by się nie domknęły. Słyszała strzały z czyjegós tarasu, a potem zobaczyła pasiasty parasol Cinzano i zrozumiała, że ten huk to tylko łopot płótna na wietrze.

Mówiła o swoich malarskich początkach, o tym, jak próbowała malować, i że pod wieloma względami było to małe piekielko, ale teraz tamte czasy zaczynają jej się niekiedy wydawać przesycone duchem późnej bohemy i jakby w pastelowej obwódce - póki nie zmusi się, żeby przypomnieć je sobie z większym rygiorem.

- Mężczyźni traktowali nas, to znaczy malarze, spójrzmy prawdzie w oczy, ci z wielkimi nazwiskami, traktowali nas jak małe głuptaski, których artyzm kończy się na dobrych chęciach. Wieczne studentki, w podkolanówkach, sama wiesz. I to w najlepszym razie - dodała. - A skoro już mowa o pracy.
- No?
- Parę dni temu publicznie cię pochwaliłam. Rozmawiałam z kobietą, która pisze artykuł o młodszych artystach. Powiedziałam jej, kogo warto mieć na oku. A w zamian za to.
- Zresztą nie pierwszy raz, i zapewniam cię, że to dla mnie bardzo ważne.
- Cicho bądź. W zamian - ciągnęła Klara - należy mi się od ciebie ustna prapremiera, bo skoro już muszę tu siedzieć i zazdrościć komuś, kto pracuje, to mi przynajmniej opowiedz, co robisz.

Usta Acey wykrzywił ten wzdorczywy grymas, lekkie uniesienie wargi. Spojrzała na Klarę, dopiła tequilę i wydała z siebie jak gdyby spieczone westchnienie.

- No dobra. Pamiętasz ten kalendarz z Marilyn Monroe, który widziałas u mnie w pracowni.
- Oczywiście.
- I wiesz, jak to jest, kiedy zaczynasz robotę i czasem musisz najpierw przejść przez całą serię nieporozumień.
- Zawsze tak zaczynam.
- No więc myślałam, pracowałam, szkicowałam, robiłam ma-

te formaty olejami i duże węglem, aż wreszcie zdałam sobie sprawę, że wcale nie jest mi potrzebna Marilyn, tylko jej podrobka. Niech wygląda sztucznie. Nie żadna Monroe, tylko Mansfield. Wydęte usta i totalne cyce, nic więcej. No, przecież to było oczywiste, a tyle mi, kurwa, zajęło czasu.

- Czy ja kiedyś w ogóle widziałam jakiś film z Jayne Mansfield?
- Nikt ich nie widział. Mniejsza o to. Nie sposób było ją pomieścić w filmie - odparła Acey. - Istniał zresztą cały tłum rozmaitych Marilyn. Z jednej strony takich jak ona nigdy nie jest za dużo. A znów z drugiej, kiedy Marilyn umarła, razem z nią natychmiast umarły te wszystkie seksowyy. Jakby nagle obłożone filozoficznym zakazem istnienia. Jayne przeżyła Marilyn raptem o pięć lat, z czego przez mniej więcej cztery i pół była ciężko zdołowana, splukana, pobita przez męża numer ileś tam i w końcu nie zostało jej nic prócz filmów o męskiej dominacji i ostrego chłania.
- Zmieniasz barwy. Nagle bierzesz się za białe kobiety -powiedziała Klara.
- Jayne była białym wielorybem. Musiałam się uwolnić od całej masy zasranych wzniosłości, nim dotarłam z tą robotą tu, gdzie jestem. I jeszcze robię różne takie rzeczy z kolorami, spytam cię, co o nich sądzisz.
- W każdej chwili.
- Bo tylko tobie ufam.
- Prawienie fałszywych komplementów to ciężka praca -odparła Klara. - Więc ich nie prawię.

Tamtego lata Nixon machał ręką w telewizji, ścisnął Ike'a za nadgarstek w migawkach z lat pięćdziesiątych albo podrywał rękę do góry, nad głowę, ruchem nagłym, dziwnym z punktu widzenia neurologii, lub siedząc w helikopterze startującym z trawnika, machał na pożegnanie, z wyprostowanymi rękami, z palcami rozstawionymi w smutne, podwójne V, a znowu w migawkach z późnych lat sześćdziesiątych brawurowo rozkładał ręce w skrzydlatym geście zwycięstwa, nienawistnego, gadziego triumfu - patrzcie, skurwysyny, nie umarłem, jeszcze wierzęgam.

Miles wyciągnął ją do Bloomingdale'a, żeby mu pomogła

kupić prezent dla matki, bo staruszka mieszka gdzieś pod Toledo, okutana pogodnym smutkiem, i na pewno strasznie się podnieci i ciut zawstydzi, kiedy dostanie coś z tego sławnego sklepu. Przeszli przez ogromną salę pełną lustrzanych powierzchni, przysadzistych buteleczek i czepliwego aromatu stu buzujących esencji i wreszcie Klara znalazła coś odpowiedniego, batikową bluzkę i niby-perskie pantofle domowe, więc ruszyli do wyjścia przez dział odzieży męskiej, tu i ówdzie muśnięty akcentem jesieni, z wieloma stołami i wystawami, z rzędami szyneli i ciepłych podpinek na wieszakach, gdy wtem Miles powiedział:

- Czekaj.

O co chodzi - pomyślała, a on położył jej rękę na ramieniu -czekaj, patrz, nie mów nic. I wtedy zobaczyła: ośmiu, może dziewięciu czarnych chłopców przemykało wśród garniturów i ręcznie dzianych swetrów, teraz mogło ich już być dwunastu, głównie nastolatków, chociaż niektórzy mieli najwyżej dziesięć lat. Klara zauważyła, że spod ściany nadchodzi strażnik wezwany przez krótkofalówkę, a ci najmniejsi starają się przekraść niepostrzeżenie między wszystkimi tymi zwierciadłami, wyglądali trochę komicznie, kiedy ukradkiem, bacznie się rozglądali, poruszając tylko gałkami ocznymi, i musieli w końcu poczuć napór, ciężar spojrzeń, pod których obstrzałem się znaleźli. Jeden z powściąganym pośpiechem złapał kurtkę, drugi coś powiedział i nagle wszyscy ruszyli do akcji, spadając całą hałastrą na jedno stoisko. Chwyтали łup i uciekali, kurtki sfruwały z wieszaków, wieszaki spadały na podłogę, a oni łapali, co popadło, niektórzy po dwie, trzy kurtki, inni tylko jedną, albo dwaj porywali tę samą kurtkę, a potem rozbiegli się do wyjść. Szybkim krokiem nadchodzili dwaj strażnicy, a trzeci czatował w półprzysiadzie przy głównych drzwiach. Klienci znieruchomieli i czujnie stali w neutralnych strefach. Jednego chłopca strażnik przygwoździł do ziemi. Klara czuła, że kilku innych rozbiega się po sklepie, zygzakiem, chyłkiem, a wszystkie kurtki trzepoczą rękawami.

- Skóra - rzekł Miles z najszczerzą radością w głosie.

- Przyjeżdżają metrem na Pięćdziesiątą Dziewiątą, wchodzą po schodach prosto do sklepu, opanowują jeden dział i łapią, co im wpadnie w ręce, a potem dają w długą, w dziesięć stron naraz - dodał.

- Ochroniarzom udaje się złapać dwóch, najwyżej trzech -powiedział jeszcze.
- Zauważ, nie zainteresowały ich te długie, impregnowane puchówki, nie wzięli niczego ciepłego, nic z kapturem, żadnych kamizelek puchowych. Tylko skórę. Wzięli skórę - zakończył melodyjnym z podziwu tonem.

Acey pochyliła się nad pustą szklanką.

- Ile miał lat?
 - Nie wiem. Siedemnaście, osiemnaście. Chyba wołałam nie wiedzieć.
- Siedemnastolatek to już mężczyzna.
 - Uczyłam dzieci rysunku, dorywczó. I ja też miałam dziecko, dwu- czy trzyletnie, co samo w sobie było dostatecznie przerażające, a matka mojego męża nie wstawała z łóżka, chociaż może już wtedy nawet nie żyła, no i oczywiście był jeszcze mój mąż.
 - A ten młodociany przestępca w swoich, jak im tam... czy oni wtedy nosili te spodnie, te jakieś rurki? Zaczął cię podrywać.
 - Sama nie wiem, kto tu kogo poderwał. Wiem tylko, że nagle znaleźliśmy się w wolnym pokoju, tuż obok miejsca, w którym dopiero co umarła moja teściowa.

Acey komicznie wytrzeszczyła oczy i rozdziawiła usta.

- Może masz rację. Siedemnastolatek to już mężczyzna - ciągnęła Klara. - Bo co jak co, ale na pewno nie była to inicjacja seksualna. Cienia tkliwości. I nie bardzo potrzebował nauczyć cielki. A ty masz rację, że był młodocianym przestępcą. Tylko że to za słabe określenie na to, co on potem w końcu zrobił.

Przebiegła wzrokiem po gzymsach Park Avenue w stronę dworca New York Central i spojrzała na jego łuki, pod którymi przejeżdżały sznury aut, na ogromny zegar i wierzchołek w blasku reflektorów, ostatnio nie najlepiej sypiała, a ktoś stanął obok i popatrzył na to samo co ona, więc weszła do środka, żeby zobaczyć, jak Nixon macha ręką.

Mieszkanie Esther Winship urządzone było z powściągliwym przepychem, same beże, złamane biele, wielkie solidne kanapy, z tych, co to nie uginają się pod człowiekiem, rozległe połacie jasnobrązowych dywanów o głębokim puchu i prawie żadnych

obrazów - nieliczne, które Esther raczyła powiesić, same skromnie usuwały się w cień, a mieszkanie miało w sobie tyle osobowości, napięcia i tupetu, że Jack właściwie w nim nikł.

- Wiesz, nie zrezygnowałam - powiedziała Esther. - Wysłałam agentów w teren.
- Po co?
- Żeby znaleźli Kosmitę.
- Myślałam, że już zapomnieliśmy o tej sprawie. A zresztą ktoś już chyba zrobił jakąś wystawę graffiti?
- Ale bez Kosmity.
- Dla mnie to i lepiej, żebyś go nie znalazła.
- Czemu, kotku?
- Bo podpisiesz z nim kontrakt, a mnie puścisz kantem.

Spodobało się to Esther. Zaśmiała się tym swoim śmiechem jakby sprzed dwóch tysięcy lat, słonym i ochryplym. A Klara sama się sobie dziwiła, że ma właśnie taki stosunek do sprejowców. Przecież to Esther powinna potępiać obsmarowane pociągi - zeszecone, brzydkie jak wozy śmieciarskie. Esther w tych swoich nienaganych kostiumach, upudrowana, z dyskretnie podzwaniającą biżuterią. Esther - pomyślała Klara, nie po raz pierwszy zresztą - jej agentka, przyjaciółka i wróg.

- To oczywiście kompletny nonsens.
- Daj mi tylko znać, kiedy jedziemy - poprosiła Klara.
- Do mnie?
- Bo chcę wydać na poczcie dyspozycję, żeby trzymali dla mnie listy.
- Jesteś zaproszona, przecież wiesz. Jedziemy wszyscy razem. Oficjalnie potwierdzam. Od piątku za tydzień.
- Uwielbiam chodzić na pocztę w tej sprawie - powiedziała Klara.

A ona z kolei powinna bronić sprejowców, nieustraszonych chłopców, którzy wstrzykują kolor i ikrę w sejsmiczny rozmarz poniedziałkowych godzin szczytu.

Możliwość opadów - zapowiadano w komunikatach meteorologicznych, lecz jakoś nie padało. Śmieci leżały na ulicy w identycznych workach z czarnego plastiku i już z nich wypęzały, zaczynały wypalać sobie drogę na zewnątrz, a ona niby to rozglądała się za szczurami, ale trochę tak, jakby jednak wołała ich nie zobaczyć, kiedy w drodze na pływalnię mija-

ła taki wzgórek. Najpierw pływała prawie codziennie, potem rzadziej i wreszcie już tylko raz na tydzień, bo pływanie miało rozładować napięcie związane z pracą, ułatwić powrót do równoważnych rytmów, do milej, łagodnej monotonii tego, co z człowieka zostaje po długim okresie pracy i odosobnienia.

Było to lato śliwek damaszek, soczystych i niebieskawych, a Klara zachwycała się cysternami z wodą, gdy o zmierzchu zawisały na kolumnach i szczydłach, niby detale miasta zbudowanego przez cieślów, akurat te, które miały najmniejszą szansę przetrwać, dybie i klepki, drewno stare i posmużone, masywne i delikatne zarazem, ujęte w obręcze.

Na dachu, w ogródku z tandetną kopią marmuru z Akropolu, męskim posągami bez rąk, głowy i prawie całej nogi, ze zmaltretowanym kutasem i z ptasim gównem na lewej piersi, i właściwie dlaczego jest taki seksowny, zastanawiała się Klara - otóż właśnie tam po raz trzeci w ciągu mniej więcej siedmiu tygodni zobaczyła tego mężczyznę, Carla Strassera, który po amatorsku kolekcjonował dzieła sztuki i coś tam jeszcze w życiu robił, w tych wspaniałych włoskich butach, z wiejskim domem - przypomniała sobie - niedaleko Arles.

Okazało się, że gospodarz już dawno chciał zaprosić ich razem na kolację. I że Carlo zajmuje się elektroniką, a ściślej mówiąc, półprzewodnikami, lata w interesach do Hongkongu i na Tajwan, a raz poleciał do Mexico City na mecz piłki nożnej.

- Właściwie powinienem być dziś w Dus-sel-dorfie - powiedział, zabawnie wymawiając nazwę miasta. - Ale pomyślałem sobie, że życie jest krótkie, wie pani, a ja i tak ostatnio za dużo latam samolotami, a zresztą.
- Zresztą w każdej chwili może pan sięgnąć po telefon.
- No właśnie, mogę sięgnąć po telefon. Po drugiej stronie ktoś zawsze jest.

Wokół nich na dachach kamieniczek widać było świetliki i wysokie wyloty przewodów wentylacyjnych, zwieńczone spiralnymi kołpakami, a także świeżo zainstalowane metalowe ogrodzenia, które sięgały aż za krawędź dachu, żeby odstręczyć włamywaczy alpinistów.

Późną nocą obudziła się u siebie w łofcie i zdawało jej się, że jest gdzie indziej - właściwie nie tyle gdzie indziej, ile

w cudzym mieszkaniu, bo chociaż miała ten loft od lat, zawsze budziła się z uczuciem, że leży w obcej, wciąż jeszcze śnionej przestrzeni. Wysokość i szerokość pomieszczenia, słupy i wysokie okna pochodziły z jakiegoś wczesnego snu, nie żeby zaraz koszmarnego, ze snu dziecka, które jest gdzieś na skraju pokoju albo śni mu się ten pokój, ale samo w nim nie jest - pokój od jednego końca surrealistycznie otwarty, bez ściany, i tam właśnie stoi dziecko lub zaczyna się sen, pokój, w którym przedmioty, sprzęty noszą nazwy krzesel, kotar i łóżek, ale są zarazem czymś zupełnie innym, nie popartym normalnymi rękojmiami, więc poruszyła się w łóżku i obudziła Milesa.

Poszli na targ rybny przy Fulton Street i Miles zrobił parę zdjęć, była czwarta rano, a on fotografował ogromne mieczniki rzucone rzędem na chodnik, cóż za epicki wymiar banicji, wspinała się stwory morskie osiadłe na mieliźnie nowojorskiej ulicy, a potem znaleźli całonocny bar i zjedli jajka na boczku, popijając kawą.

Miles chciał mówić o Acey Greene.

- Te jej pracki. Wiesz, co ona teraz robi, prawda? Cykl obrazów o Czarnych Panterach. Zwała czarnym facetom na głowę świeżą porcję gówna.

Nie przerywała mu.

- Przeceniasz ją o jakieś dwieście procent. Ona to robi wyłącznie na pokaz. Jest raptem o jedną kreskę nad totalnym gnojem. Przyjrzyj się jeszcze raz. Sama powierzchnia, a pod nią nic. Przecież ona się podlizuje, przypochlebia się białym, którzy snują fantazje na temat groźnych czarnuchów.

Klara zdała sobie sprawę, że chwalać prace Acey, przez cały czas czekała, aż ktoś zaoponuje. No i stało się. Ten moment utkwił jej w żołądku, skawalony z żółtkiem jajka i grzanką żytniego chleba.

- Znasz ten mechanizm. Wzięła od ciebie wszystko, co chciała. Pochwały, reklamę i całą resztę. A teraz kręci się koło innych ludzi.

Klara siedziała pogrążona w dziwnym, zadumanym milczeniu. Chciała, żeby mówił dalej. Powiedz wszystko, nawet jeśli to nieprawda. Czowała się okropnie małodusznie, ale po cichu przyznawała, że Miles może mieć trochę racji co do malarstwa

Acey. W sprawach sztuki zdarzały mu się pożyteczne przebliski intuicji. Łączyło ich między innymi oczywiście to, że stojąc przed którąś z prac Klary, kilkoma celnymi słowami i swoją ogólną uległością wobec oglądanego obiektu dowodził, jak bardzo rozumie sens jej działań.

- Jest zachwycona kapciami - powiedział.
 - Zachwycona kapciami. O czym my właściwie rozmawiamy. Aa, o twojej matce.
- Jest zachwycona kapciami.
- Jest zachwycona kapciami. To dobrze. Cieszę się.

A może było zupełnie inaczej. Może akurat co do malarstwa Acey kompletnie się mylił, ale to Klara chciała, żeby miał rację.

W Sagaponack rzuciła torbę w pokoju gościnnym i zaczęła odwiedzać okolicznych malarzy. Malowali w komórkach, w pracowniach o pobielonych ścianach, w odnowionych stodołach. Jeździła na ogół sama, autem pożyczonym od Esther, która wisiła przy telefonie, próbując się dogadać z kamienicznikami i prawnikami.

Wieczorem przy kolacji Jackowi zakręciło się w głowie, więc położył się na kanapie, a wszystko wokół niego toczyło się mniej więcej zwykłym trybem.

Stała na piasku i patrzyła, jak fale wyrzuszają się, nadciągają i otulają plażę.

Zadzzwoniła do Milesa, który leciał nazajutrz do Normal w Illinois.

Poznała rzeźbiarza z twarzą całą w spękanych naczynekach, Anglika, jego żona była umierająca, a Klara długo z nim rozmawiała, z przejściem mówili o tym, że własna sztuka obnaża ich warstwa po warstwie i dowodzi, jak bardzo do niej nie dorastają, i dodali sobie nawzajem otuchy, bo przekonali się, że takie sprawy można przeżywać wspólnie, choćby wydawały się jedyne i niepowtarzalne. I uściskali się, kiedy odjeżdżała.

- Wiesz, że ostatnio całkiem seksownie wyglądasz? - rzekła Esther.
- Kto tak twierdzi?
- Stary Jack.

Klara zazwyczaj miewała po pewnym czasie dość starego Jacka, potem zaś stawała w jego obronie, współczuła mu i przy-

znawała trochę racji, stwierdzała, że jest zabawny, a później znowu ją nużył, chwilami wydawał się wręcz żaloszny, ale był tak uroczo zakochany w Esther, mówił o tym całkiem otwarcie i nie dbał, kto usłyszy, opowiadał kelnerom i odźwiernym, jaka jest świetna w łóżku, a Esther wiedziała, że nie sposób go uciszyć, i pewnie zresztą wcale nie chciała, choćby nawet mogła. Oboje potrzebowali tego teatru publicznych wyznań, bo jakże by bez niego zachowali całą swoją jaskrawość?

Raz po raz coś jej leciało z rąk. Stojąc u kogoś na tarasie, upuściła kieliszek. Kiedy siedziała sama w aucie Esther, głośno wydawała sobie komendy, w lewo, w prawo, stop na czerwonym.

Miles powiedział przez telefon:

- Ludzi wcale tak znów bardzo nie dziwi, że kobieta choruje za każdym razem, kiedy w odległości półtora tysiąca kilometrów Henry Kissinger zapada na zdrowiu. My, pozbawieni tytułu do wielkości, musimy sprawiać sobie choroby, jak się da.

Zerwał się wiatr i nie chciał ustać, niósł z sobą lekki aromat końca lata, a Esther powiedziała:

- Trochę jak *tramontana*.

Klarze, o dziwo, przypomniał się Albert, chociaż właściwie nie było w tym skojarzeniu nic dziwnego - uwielbiał włoskie nazwy rozmaitych wiatrów wiejących z Alp i z południa, z afrykańskiego pobraża.

A tak szczerze, to prace angielskiego rzeźbiarza wcale jej się nie podobały, mimo braterstwa w złowieszczym zwątpieniu, które ich połączyło.

- Nie, serio, wyglądasz znakomicie - rzekła Esther.

Noce pełne powiewów i czyste. Cienie, szepty, podbródek mężczyzny, jego włosy, gest, jakim trzyma kieliszek z winem.

- Oczywiście Jack to dzieciak. Właśnie dlatego położył się na kanapie, kiedy parę dni temu nie najlepiej się poczuł.

- Chciał być z ludźmi.

- Jest wielkim dzieckiem, ale jeżeli mi umrze, to w ułamku sekundy się rozsypię.

Kochała ich oboje i powiedziała im to na odjeźdźnym, całkiem serio, bo takie rzeczy zawsze mówi się serio po czterech wietrznych dniach i nocach, smacznym jedzeniu i rozmowach

wśród kartoflanych pól, ciągnących się aż do wydm pod w kim, bystrym niebem.

Jakie to szczęście, że żyję - pomyślała i wracając pociąg niewidoczna ludzkim okiem, na przestronnym siedzeniu wy papierosa i cieszyła się na myśl o domu, gdzie będzie s w otoczeniu przedmiotów i powierzchni, dzięki którym wiek znów może poczuć się ze sobą swojsko.

Jej ojciec mawiał: „Najbardziej udana część każdej pot to powrót do domu”.

Ale czy oni kiedykolwiek wyjeżdżali? Jeżeli, to rzadko krótko, do wynajętego domku nad jeziorem, wspólnie z c rodziną, żeby nam, broń Boże, nie było ciasno - mawiała ma i wracamy szybko, zanim ktoś ukradnie kartkę, którą zos liśmy mleczarzowi.

Kiedyś matka Klary znalazła w jego marynarce wizytów oddawała garnitur do pralni i znalazła wizytówkę z nazwis ojca, ale bez nazwy firmy, a nazwisko pisane było Sax, oczywiście spytała go.

Powiedział jej, że to na wypadek podróży. Chciał mie< zytówkę, żeby móc ją dać komuś, kogo być może spotka w ciągu.

- Ja nie o to się ciebie pytam - odparła matka. - Niezale że taka podróż to jest akurat... sama wolę nie mówić co.
- No więc o co się pytasz?
- Pytam się o pisownię. Sachs to nie takie znowuz tr nazwisko - powiedziała matka.

A na to ojciec:

- Nie rozchodzi się o trudne czy łatwe.
- Co to takiego s-a-x? - spytała matka. - Co to w < jest? Znaczy się zmieniasz fach? Mamy odtąd w domu j; wego muzykanta?
- Drobiazg, mniejsza o to - rzekł ojciec.
- Wcale nie taki drobiazg - upierała się matka.
- Wymawia się tak samo - tłumaczył ojciec. - Mówię < drobiazg. Zmieniłem tylko pisownię, w razie jakbym pi kogoś w pociągu, kto jest przyzwyczajony do łatwych naz to zehw mu hvlo łatwiei wwmówić. Rn zauważ, że ludzie inti

- Sachs to też łatwe nazwisko - powiedziała matka. - Wcale nie trudne, chyba że tym twoim pociągiem jadą sami tacy, co mają trochę, dajmy na to, nie po kolei w głowie.

Matka Klary nazywała się z domu Soloveichik.

- Nazwisko nie jest ani łatwe, ani trudne - odparł ojciec.

-Rozchodzi się o litery. To całe c-h, zawracanie głowy i tyle.

- Jakie znowu zawracanie głowy? - spytała matka.

A wtedy ojciec wydał dźwięk, którego Klara nigdy nie miała zapomnieć. W późniejszych latach wiele razy myślała o tym dźwięku. Był szorstki, gardłowy, z głębi ust, metaliczny grzechot pełen urazy, i początkowo wydawało jej się, że ojciec zamówił tę wizytówkę, bo nie chciał, żeby go brano za Niemca, a potem stwierdziła, że kazał ją wydrukować, ponieważ chciał ukryć przed ludźmi swoje żydostwo.

Ludzie w pociągach. Biznesmeni z własnymi wizytówkami, przyborami do golenia i prywatnymi przedziałami w najważniejszych pociągach z Grand Central.

I czy to nie dziwne, że pragnął tak daleko odskoczyć od zgrzytu c-h i wlokącego się za nim wachlarza skojarzeń, od całej gardłowej historii i kultury, od ciężkich woni i akcentów z korytarza - przekreślić to wszystko na korzyść niewiadomego „x”, znaku Pana Anonima.

Zmiana ta wzbudziła w Klarze poczucie lojalności, właśnie dlatego, że nie miała żadnego praktycznego sensu, właśnie dlatego, że obnażała umysłowe meandry pewnego rodzaju udręki.

Jej ojciec wystawiał faktury w domu towarowym. Potem został agentem ubezpieczeniowym z przydziałem do najbardziej obskurnej części Bronksu. Obsługiwał dzielnicę czarnych, chińskie pralnie i wszelkiej maści imigrantów, tych, co dopiero niedawno wylądowali. Przez jakiś czas malował nazwy firm na przeszkłonych drzwiach, nakładając sobolowym pędzlem złotą farbę na szyby z mrożonego szkła: robił to dobrze, ale ze wstrętem.

„To tylko wizytówka - powiedział. - Nie poszedłem do sądziego, żeby zmienić nazwisko. Na moim nagrobku możesz ze sobie wyryć z normalną pisownią, jak ci się podoba”.

- Jakim cudem nic dotąd nie wiedziałam, że grasz na instrumencie? - spytała matka.

A kiedy Klara ostatecznie rozwiodła się z Albertem, zmieniła

nazwisko Bronzini z powrotem na Sachs, ale celowo pisała je przez „x”, chociaż tylko w życiu publicznym, jako wschodząca osobowość artystyczna; w ten właśnie sposób podpisywała swoje prace.

- No, może masz rację. Siedemnastolatek to już mężczyzna -zgodziła się Klara. - I nieraz się zastanawiałam, czy cała ta sprawa nie była przypadkiem ważniejsza, niż chciałam to sama przed sobą przyznać.
- Innymi słowy, czy pokazywała ci wyjście?
- Czy wskazywała drogę do wyjścia?
- O którym wołałaś wtedy nie myśleć.
Acey nie chciała już więcej pić, a Klara miała jeszcze pół kieliszka wina, ale dalej przegadywały popołudnie, jeden z tych martwych letnich dni w ciemnym i pustym barze.
- On zresztą też chyba nie przywiązywał do tego przesadnej wagi. Wydawał się zdumiewająco przytomny i zbalansowany. Mój drugi mąż był żeglarzem, ale nie miał takiego balansu, sama nie wiem, czemu w ogóle o to zahaczam.
Roześmiała się i upiła łyk.
- Pił martini z tanquerayem, mówię o Jasonie. Zabierał butelkę tanqueraya za każdym razem, kiedy jechaliśmy do Maine, chyba nawet kilka butelek. Mieliśmy prawo zapomnieć wermutu, ale nie dżinu, zresztą wermutu też nigdy nie zapominaliśmy, a ja uwielbiałam tam jeździć, chociaż chwilami zastanawiałam się całkiem chłodno.
- Jak to się stało.
- Jak to się mogło stać, że wyszłam za faceta, który mówi i myśli akurat to co ten?
- I pije martini - dodała Acey.
Potem rozmawiały o czym innym. Rozmawiały o pracy.
- Widzisz, Marilyn nie cierpiała być Marilyn. Ale Jayne to uwielbiała - powiedziała Acey. - Urodziła się do tej roli. Mieszkała w różowym pałacu ze sporym zoo. I jak to zwykle w tych sprawach bywa, ta królowa seksu za dychę robiła się coraz sławniejsza, aż stała się najczęściej fotografowaną kobietą świata.
- A jak umarła?
Acey pochyliła kark, aż jej się wydęło podgardle, i powiedziała głosem szeryfa z Południa:

- W strasznej kraksie samochodowej. Jak Jimmy Dean.
- I ty malujesz ją tuż po kraksie?
 - Nie. Moja Jayne ma być żywa i groźna. Obleśna, tleniona blondyna. Nieustanne wydzieliny ze wszystkich części ciała. Kobieta, z której leje się strumieniami. Atomowa Jayne.
 - Jak tylko dojrzejesz, żeby mi ją pokazać - zaoferowała się Klara, a słońce wychynęło zza pobliskiego domu i prażyło teraz ulicę.
 - Za dużo się martwisz - powiedziała Acey. - Zamartwiasz się pracą, która leży odłogiem, bo czujesz głęboką potrzebę usprawiedliwiania się. Podejrzewam, że bez przerwy coś w duchu usprawiedliwiasz. Martwisz się też o wszystko, co już zdążyłaś stworzyć, bo zważywszy, z czego zrezygnowałaś i co komu odebrałaś, i ile narobiłaś szkód, to prawdę powiedziawszy, dziecinko, potrzebne ci jest przekonanie, że twoje prace są dość dobre, żeby nimi usprawiedliwić te wszystkie straty.

Zapłacili rachunek.

Acey oparła dłonie na ramionach starszej kobiety i mocno ścisnęła, ni to twardym, ni to macierzyńskim gestem, a barman przyniósł im resztę.

W Sagaponack Esther ubierała się jak na safari i rozmawiała przez telefon.

Przy śniadaniu spytała Klarę:

- U kogo się strzyżesz? Czy już aresztowano tego sprawcę masowych morderstw, który obcina ci włosy?

W czymś domu Klara wdała się w rozmowę z pewną malarką -jak się okazało, znajomą z dawnych czasów, z pofabrycznych domów nad East River, koło przystani promu, bo mieszkała tam po rozwodzie, z prowizorycznym prysznicem i bez pieca, pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, i poznawała malarzy i rzeźbiarzy, którzy używali znalezionych materiałów, a ulica wybrukowana była starymi kamiennymi blokami, dawniej służyły może jako balast, i czasem zbierali się na dachu, troje czy czworo malarzy, czyjaś żona albo mąż, kilkoro dzieci i pies oddany komuś na przechowanie, a teraz obie wspominały, że Klara nigdy nie siadała na pochyłości dachu krytego papą, na tej jego części, która skosem wznosiła się ku krawędzi, bo krawędzie ją przerażały, i było trochę jak w podróży morskiej, czu-

li, że pracują nad czymś nowym, a dalej na północ, hen, za granią dachu, między dachem i wielkim mostem, piętrzyły się wielościennym masywem wieże śródmieścia. Wiatr dął dzień i noc, a Jack powiedział:

- Jestem prawie pewien, że znam tego faceta, no, jakżeż on się nazywa, to chyba ten, co był ożeniony z kobietą od papierowych toreb. Wybuchł wokół nich wielki skandal. Ta jego żona odziedziczyła fortunę zrobioną na papierowych torbach, a ja siedziałem akurat obok niej na jednej kolacji, to już będzie, mój Boże, dwadzieścia pięć lat od tamtej pory. Esther wie, o kim mówię. To był jeden z większych skandali. No, Esther, podpowiedz mi.

Jack miał to do siebie, że na trzeźwo bredził jak pijany, a potem, dla odmiany, kompletnie ubzdryngolony wysławiał się sensownie i dwornie.

W knajpce pod poziomem ulicy w Chinatown jedli szeroki makaron, bardzo smaczny, *chow fun*, a może *chow fon*, karta dań była czymś zachłapaną, bo trafili do lokalu ze stolami o plastikowych blatach, z zachłapanymi jadłospisami i bez wyszynku, a Miles dubał w zębach miętową wykałaczką.

- Mam ci do pokazania taki film, że mnie za niego znienawidzisz.
- Nie mówisz chyba o Normal - upewniła się.
- W Normal zrobiliśmy pewnie z jedenaście godzin filmu. Ta kobieta była nie do zdarcia, bo taka już się urodziła. Odbiera się ją jak jakieś prawo fizyki, ale wciąż jeszcze nie wiem, co właściwie nakręciliśmy. Może zupełnie gówno.
- A na razie.
- Tym drugim filmem, o którym teraz mówię, będziesz nie-mile wstrząśnięta, ale nie ma mowy, żebyś go nie obejrzała, bo po prostu musisz go obejrzyć, i już.

Uleżał Klarze na wiele sposobów, czasem subtelnie, a czasem nie, prowokował łagodne spory, chociaż wiedział, że nie może wyjść z nich zwycięsko, i pewnymi tematami zahaczał o jej mocne punkty, co niby powinno ją drażnić, ale jakoś nie drażniło, a poza tym był troskliwy, nosił przy sobie jej ulubione papierosy i rozmawiał z nią, pomagając przetrwać ten okres śpiączki twórczej, małej rozpacz.

Miał jak zwykle to swoje przeziębienie, głos trochę zbasowiony, oczy zmętniały od leków, a po wernisażu Acey poszli wszyscy do jakiejś dyskoteki i Klara patrzyła, jak Miles i Acey tańczą razem, wspaniale zgrani - o dziwo, bo przecież wcale za sobą nie przepadali, może zresztą nie było w tym nic dziwnego, światła migotały, a ściany drżały od muzyki.

Wciąż jeszcze trwało lato na dachach, a ona siedziała w gęstym cieniu winogronowej altany na dachu gdzieś w Chelsea, wśród sekwojowych słupów i krokwi oraz cedrowych kratki, ze starości zszarzały na kość.

Zbliżył się do niej pewien poeta, nadszedł z drugiego końca dachu po cienkiej warstwie łupku.

- Ktoś pisze imię „Marie” - powiedział.

Klara wyjrzała przez otwór z przodu altany, okolony szerokimi, zmarszczonymi liśćmi jakiejś krajowej odmiany winogron, i zobaczyła dym z samolotu, kaligrafujący na niebie to właśnie imię.

Na południowym skraju wyspy wznosiły się wieżowce World Trade Center; widziane pod tym kątem wyglądały jak wieże ' syjamskie, połączone w pasie dźwiękiem przeładunkowym.

Bardzo ją to podnosiło na duchu, że ktoś zbudował tę altanę, wtańczył tyle drewna i ziemi przez kilka pięter po wąskich schodach, umocował słupy i belki, a potem wyhodował pnącza w beczkach skróconych o połowę, w starych beczkach po whisky, pękatach i poplamionych, i oto siedziała wraz z trzema innymi osobami przy stole, jedząc chrupki kukurydziane i pijąc sangrię, to znaczy tamci pili sangrię, bo Klara wolała czyste wino.

Było to lato granatowoczarnych nocy, dwuznacznych grzmotów ze wschodu, ochrypłych i sztucznych, a w dole rozpościerała się kratownica miasta: facet ucina kochance głowę, wkłada ją do pudełka i wiezie metrem do Queens.

A nie zapominaj o pijanym poecie na żeliwnej ławce i o tej dziwnej kobiecie, która go obsesyjnie fotografowała.

Klara patrzyła, jak dym z samolotu rzędzie i się rozwiewa. Po gzymsie na drugim końcu dachu przeszedł kot, bezpieczni dachowiec rodem z zaułków i ogródków za domami, i sama nie wiedziała, czemu tak jest, bo nigdy się tego nie wie, ale w chwilę

tę była jakoś zamieszana jej matka, czymś rozgniewana, i sąsiad w specjalnym bucie na koturnie, w bucie ortopedycznym -przedmioty, kształty, masy, wspomnienia, cały splot wzajemnie nie dopasowanych kondycji.

Nawet zatrute powietrze układa się w kobiece imię.

Miles zaprowadził ją do pracowni znajomego twórcy wideo. Właściwie nie do pracowni, ale do zwykłego mieszkania zastawionego sprzętem i telewizorami, w którym gospodarz żył i pracował. Zaczęli się schodzić ludzie. Niektórzy przyszedli już wcześniej, inni stopniowo się schodzili, a w powietrzu unosiła się pikantna smuga, korzenny aromat marihuany wspólnie zwijanej i palonej, także coś z klimatu projekcji o północy, tyle że w mniej luźnym towarzystwie: uczestnicy mieli oczka trochę jak paciorki i byli czujni wobec własnych oczekiwań.

Większość siedziała na podłodze. W jednym pokoju było parę składanych krzeseł i kanapa, a część gości stała grupkami po kątach, ale głównie obsiedli podłogę, całą w plamach od coli i w nieprawdopodobnym syfie. Wszędzie piętrzyły się telewizory poustawiane jak klocki jeden na drugim, pojedyncze odbiorniki stały na stolikach telewizyjnych, a obok leżały egzemplarze „TV Guide'u”, były też tak zwane królicze uszy, czyli anteny w kształcie litery „V”, i kilka starych konsol z mahoniu, ekrany wszelkich możliwych rozmiarów, od najmniejszych „oczek” z importu aż po imponujące bóstwo domowe o obliczu jak spora scena.

A w innym pokoju cała ściana, telewizyjny mur, może ze sto identycznych aparatów od podłogi do sufitu.

Miles stanął w kącie z Klarą, która na długo przedtem, nim dotarli na miejsce, zaczęła się dystansować wobec imprezy, bo w pewnym momencie uprzedził ją, co nastąpi, ale i tak musiała sama zobaczyć, mimo całej rezerwy.

A była to impreza rzadka i dziwna: projekcja pirackiej kopii amatorskiego filmu kręconego ósemką, który trwał mniej więcej dwadzieścia sekund. No, może odrobinę dłużej. Znany był jako *Kronika Zaciukasa* i prawie nikt spoza kręgów rządowych jeszcze go nie widział.

Oczywiście całe zdarzenie nosiło specyficzne piętno, miało osobliwie intensywny posmak. Lecz chociaż obecni czuli się

wybrańcami losu, doznawali zarazem swoiście płynnego lęku, jakby odbierali odczyty barometryczne z lat sześćdziesiątych, o wyraźnie psychodelicznej wibracji.

W jednym pokoju projekcja już się zaczęła, w innych jeszcze nie; film co chwila rozmywał się i skakał, nierówny i wyboisty, amatorskie filmidelfo skręcone ósemką, ulicą nadjechała limuzyna rozmazana w odbłaskach słońca, głowa na moment wyskoczyła poza kadr i szybko wróciła, i zaraz ten impet wystrzału, który go zabił, niespodziewany strzał w głowę, i wszyscy westchnęli, potem tak samo w sąsiednim pokoju, a po pięciu sekundach w tym na końcu mieszkania, za każdym razem identyczny wydech, jak kolejne wybuchy niedowierzania, jakaś kobieta siedząca na podłodze raptownie odwróciła się tyłem i zasłoniła twarz, bo przecież to było coś zupełnie nowego, przez tyle lat trzymane w tajemnicy, ten słynny strzał w głowę, więc musieli teraz pomału zasymilować wstrząs - pomijając już fakt, że zastrzelono nie kogo innego, tylko Prezydenta; wykraczając poza zewnętrzne granice tego faktu, musieli zasymilować wstrząs, jakim dla ludzkiej głowy jest zderzenie z rozpędzonym, śmiercionośnie zaprojektowanym pociskiem, a rozprysk tkanek i czaszki niósł ze sobą straszliwe objawienie.

O kurwa, o Boże, strzał padł z przodu, no nie?

I to była ta druga sprawa, wszystkie sprawy zawarte w sekwencji, która zaczynała się od klatki trzysta trzynastej, i przecież z góry było wiadomo - stwierdził potem Miles - że gdzieś w tej intrydze musi się pojawić trzynastka.

Znowu miewała bóle pleców i sypiała na raty, a czasem bolało ją, kiedy siedziała w fotelu. Radzono jej zapisać się na jogę. Doradzano herbatki ziołowe i holistyczne masaże.

Poszła odwiedzić w szpitalu Jacka Marshalla, bo właśnie wracał do zdrowia po operacji serca, poszła tam razem z Esther, której się wydawało, że taka wizyta to obyczaj staroświecki jak Egipt faraonów, więc trzeba zrobić sobie twarz i statecznie się upozować, przynieść książki, łamigłówek, kwiaty i przyprowadzić księdza, żeby wyrecytował stosowne frazesy.

Esther chyba nie wiedziała, co się dzieje w szpitalach, skoro szła jakby skulona, z daleka omijając drzwi sal, w których leżeli chorzy, bo się bała, że coś w przelocie zobaczy albo czymś się

zarazi, wszystko traktowała osobiście, jako zamach na jej dystans wobec takich spraw.

Jack powiedział, że cewnik to najwstrętniejsze słowo w ludzkim języku.

Radzono jej jeść pełnoziarnisty chleb, brać ciepłe kąpiele i polecieć do Finlandii, bo tam mieszka pewien specjalista od dolnego odcinka kręgosłupa.

Oczywiście wybrała się na wernisaż Acey, do nowej, modnej galerii w północnej części Manhattanu, wczesną jesienią; Acey fantastycznie wyglądała w białym lnianym kostiumie z przepaską na czole wyszywaną cekinami, a na obrazach sprośnie atakowały widza same piersi i sercowate dupy, części ciała kobiety, której obcisłe suknie, pełne usta i cyce jak donice nabierały poniekąd politycznego sensu.

Nie ma w tym nic kojącego, pomyślała Klara. Bo jeśli kobiety cierpią na przypadłość zwaną brakiem pełni i jedne potrafią z niej się wyleczyć, a inne nie, to te obrazy były jej sztandarem, delectowały się nią, pchały ją widzowi przed oczy. Podstawę też Acey stanowiła kompozycja i perspektywa, dziwna cielesność, ten masywny, asymetrycznie ustawiony tyłek, wszelkie przesunięcia względem osi, stosunek piersi do ciała, ruch, jakim Jayne wydobywała się ze swojego jaguara, gdy cała była zachłanną przesadą, a jej kolana i wypukłe krocze wyrwały się z opakowania.

Wszystko sprowadzało się do liniatury sił. Oto kobieta, która żyła poza zakresem biurokratycznych wymagań męskiego pożądania - tam gdzie nie mogły jej osiągnąć żadne drobiazgowce ceremonie ani niewyżyte dłonie.

Acey używała złamanych kolorów, cielistych odcieni, nic z popartu, dużo piaskowego i bursztynowego z dodatkiem pięknego palonego różu, tej smugi jakby spieczonej słońcem, która biegła górą każdego obrazu, trochę smutna i wystrzępiona, wszystko zresztą lekko zamazane i przesunięte, jak spod kolorowego kseroksu, i to był właśnie ten znamieny akcent: macie tu zmałpowaną Jayne, zreprodukowaną boginię, tym silniejszą, że wtórną.

Poszli do dyskoteki i Klara patrzyła, jak Miles i Acey tańczą, razem wyglądali absolutnie wspaniale, więc oczywiście była

trochę zazdrosna, a pół minuty później patrzyła zazdrośnie, a raczej zawistnie, jak Acey tańczy z kobietą.

Patrzyła, jak gną się i migoczą w rozbłyskach światła, ogarnięta podziwem, a jednocześnie zawiścią, zauroczona ich widokiem; ta druga kobieta w dżinsach i plecionych sandałach, pewnie córka dyplomaty - pomyślała Klara - z włosami zwisającymi w spiralnych puklach, a w każdym swoim fizycznym rysie obie były tak bezgranicznie swobodne; obdarzone wdziękiem ulotnego rozpasania, szukały nawzajem swoich oczu w gorące stroboskopów i Klarę aż zakłuło, kiedy sobie uświadomiła, co czuje.

Wzlot Acey, jej nazwisko w powietrzu, zuchwały talent, poczucie wolności, tupet i to, że chce wszystkiego naraz i chyba wszystko zdobędzie, jej prązkowany taniec wśród reflektorów, z fruującymi połamami rozpiętej marynarki, przy muzyce, od której dygocą ściany.

Esther, o dziwo, wcale nie żartowała. Rzeczywiście sprawdziła księdza z kaplicy jakiegoś aktora, chociaż Jack od czterdziestu lat nie był w kościele, oprócz pasterki, na którą uczęszczał z nabożną, rzec by można, pilnością.

Siedzieli i rozmawiali o piosenkach z musicali wystawianych na Broadwayu. Jack nie miał siły śpiewać ani żartować. Leżał jak ogromny rozplaszczony polec zbitej cielęciny. Esther trzymała go za rękę, póki nie musiała wyjść na papierosa. Po przerwie znowu zaczęła palić, zresztą ksiądz wyszedł razem z nią, a Klara poprawiła Jackowi poduszkę.

Kiedy z końcem wieczoru uściskała Acey - rzeczywiście kończyła już wieczór, bo zamiast muzyki w dyskotecę puszczano dźwiękowy zawał mózgu, więc musiała szybko się ewakuować, otóż kiedy uściskała Acey, zapewniając ją, że wystawa jest wspaniała, i życząc wszystkiego naj-naj-naj, czuła subtelność odcieni i połowiczną prawdziwość własnych słów; to okropne: z ociąganiem okazywać przyjaźń komuś bliskiemu.

Postanowiła, że polecą z Milesem do Los Angeles. Skończyły mu się pieniądze na Normal w Illinois i właśnie próbował wydobyc fundusze od jakiegoś izraelskiego gangstera z L.A. A może byli to dwaj różni ludzie, Klara nie miała pewności, jeden

z Izraela, a drugi gangster, w każdym razie postanowiła lecieć. Wcale jej tam nie ciągnęło, ale pomyślała, że jednak polecą, bo miała w głowie tyle nie dokończonych spraw, czy jak tam zresztą określić ten stan ducha, sama nie była pewna.

I pijany poeta na żelaznej ławce, gość z Rumunii na dachu, a nikomu nie znana kobieta wystrzelała siedem rolek filmu i wyszła bez słowa.

W ciągu trzech dni, które tam spędziła. Przyleciała w drobnej, chwilowej sprawie, więc niby nie było ważne, co widzi i słyszy, ale w ciągu tych trzech dni ktoś w pewnym momencie wspomniął o Wieżach z Watts, a ona stwierdziła, że chyba powinna je zobaczyć, bo wiedziała o nich od lat i nieraz myślała, że może, jeśli znajdzie na to czas, a potem zapomniała.

A znów w innym momencie z Nowego Jorku zadzwonił, no ktoś by - ktoś, kto koniecznie chciał jej przeczytać recenzje z wystawy Acey, pierwsze, jakie się ukazały, fatalne, jadowite i ponure, więc Klara zadzwoniła do paru osób i dowiedziała się kiedyś, że po mieście krążą jeszcze bardziej miażdżące opinie.

Wszyscy ci ludzie mówili z hamowanym podnieceniem, tonem zdyszanego dokumentu, przy którym człowiek kodyfikuje własną satysfakcję wedle sformalizowanych pauz.

Czekali, aż odpowie tym samym tonem. Cholernie podle się poczuła. Czekali, aż ucieszysz się tak jak oni, na zawołanie, zgodnie z protokołem.

Było to przedostatniego dnia. A w ostatnim dniu pojechała obejrzeć Wieże z Watts. Miles ją tam podrzucił i obiecał wrócić po nią za godzinę. Nawet sobie nie wyobrażała. Nie przypuszczała, że praca do tego stopnia unurzana w potoczności może mieć tak epicki wymiar. Wiedziała tylko, że wieże te budował pewien imigrant, w pojedynkę, przez wiele lat, tak długo, że nie sposób ogarnąć myślą, z wszystkiego, co zdołał uciuć czy wyszabrować.

Obeszła całą budowlę, dotykając jej tu i ówdzie, pocierając dłońmi lśniące powierzchnie. Zachwyciły ją desenie słomianek z juty odcisnięte w cemencie. Okruchy zielonego szkła i denka od butelek urozmaicające fakturę pewnego łuku. I jedna z wyższych wież, ta z ornamentem wirujących atomów. I południowy mur, uukrzony kamykami i muszlami małży.

Nie wiedziała, co to właściwie jest. Lunapark, kompleks świątynny i sama nie wiedziała, co jeszcze. Bazar w Delhi i może włoski festyn uliczny. Miejsce naszpikowane epifaniami, ot co.

Przechodziły koty, wszędzie było ich pełno, spały w słońcu albo łąsiły się, żeby je pogłaskać po łebku, przybłądy z rozgrzanych ulic, koty z getta, a Klara czuła we własnym ciele coś jakby elektrostatyczny szum, widząc kolumny inkrustowane tłuczonym szkłem, odłamkami wyrzuconych lusterek i szaloną mozaiką kafelków, no i ten łuk nad głównym wejściem, cały z puszek po canada dry.

Czuła w sobie ten szum, głębię ducha, rozkosz bliską bezradności. Tak jak w dzieciństwie, kiedy wybuchając przemożnym śmiechem, osuwasz się na ramię najlepszej koleżanki. Aż osłabła od tej masy doznań, od patrzenia i czucia. Dotykała i naciskała. Spojrzała w górę przez rozpory najwyższej wieży. Ten człowiek był tak wspaniale niezależny, a może raczej walczył o dar niezależności, i wreszcie poczuła, że ma dość. Mogła już odejść. Godzina to było aż nazbyt długo, więc Klara stanęła przy wejściu, cała rozwibrowana, i czekała na Milesa.

W nocy sięgnęła po telefon i zaczęła szukać Acey, przez godzinę dzwoniła tu i tam, budząc ludzi, aż przyszedł Miles, a raczej przywłókł się, i na stojąco ściągnął te swoje wysokie buty, idealnie płynnym ruchem ręki, dwukrotnie powtórzonym.

- Patrz, masz skarpetki w kolorze dywanu - powiedziała. - To chyba znak, że pora stąd wyjechać.

Opowiedział jej, jak spędził popołudnie - nad basenem bez wody, a skoro już o tym mowa, był tam facet, który opisał, jak upozorował własne samobójstwo przez utopienie i zdołał potem bez problemów zniknąć.

- Gadasz jak najęty - stwierdziła.

A na to Yankel, ten dziany gość z Izraela: „Niektórzy pozorują własną śmierć, a ja pozoruję własne życie”.

Znów zadzwoniła do Nowego Jorku, ale Acey gdzieś wyszła albo po prostu nie chciała rozmawiać.

Za to Miles chciał. Zmęczony, na ostatnich nogach, a zarazem podkrecony, rozregulowany od kofeiny, jazdy autostradą i czego się tam jeszcze nawdychał z gatunku zakazanych substancji. I po trzech dniach różnych innych zajęć na obrzeżach branży. Sie-

dzieli w pożyczonym mieszkaniu, Miles musiał nazajutrz wcześniej wstać, żeby polecieć do Normal, i między jego znuzeniem a roziskrzonymi końcówkami nerwów rozpościerała się przestrzeń, którą dobitnie wypełnili seksem. Kochali się raz i drugi, rozmawiali i znowu się kochali. Było im wspaniale, przynajmniej jej, bo co właściwie przeżywa Miles, nie bardzo wiedziała. Żarliwy, z lekką gorączką i z tym swoim wrodzonym, zwykłym przebiegiem, kiedy mówił, to przemawiał z płaszczyzny polifonicznej, stromej i rozpaczliwej, a kiedy jebał, robił to mocno i wyniośle - nie tyle wyniośle, ile bez zakorzenienia, jakby nonszalancko, w tym sensie, że nie istniało wtedy nic poza samym aktem, oboje żyli dla kolejnych pchnięć, dla nosowego pomruku, i wreszcie zasnął, a potem zasnęła i Klara, a rano ledwo zdążyli złapać samoloty.

Z powietrza, jak też to wyglądało? Rozległy, rozpostarty Zachód, niecka i łańcuch górski, prawie dawało się określić skład mineralny, łupkowe nieużytki - rodzaj niezmiernego, nieubłaganego piękna, wobec którego człowiek nabierał lekkiej pokory, bo nie znał języka przyrody, nazw formacji i górskich fałd.

Jej ojciec i ten jego zwiadowca z plemienia Hopi, a może Navaho - slajdy ze zwiadowcą w przepasce na głowie, uchwyconym na samej krawędzi kanionu. Siedział w kuchni i przesuwał je, pstrykając trzymanym w ręku przełącznikiem. Specjalizował się w slajdach z ogromnego Zachodu. Nazywał go ogromnym Zachodem i rzeczywiście był to ogrom, jest zresztą do tej pory, porobił te trójwymiarowe slajdy, jadąc na mule szlakiem w dół kanionu, a tu znów Kanion Przywdziewa Aksamitną Opończę Zmierzchu, i rzeczywiście przywdziewał, ten jego absolutnie niedosiężny Zachód, a ojciec siedział w kuchni, bo tam było lepsze światło.

Nie znała Zachodu i nigdy nad nim nie leciała w tak bezchmurny dzień. Wydawał się miody, nietknięty, miał w sobie dziwną obcość światów, jakich nigdy nie widzieliśmy, oglądany z góry nie należał do nas, zbyt potoczyście nowy i obcy -jeszcześmy go nie zasiedlili.

Klara przypominała sobie, kim jest. Odsunęła się od okna i znowu stała się rzeźbiarką, artystką, chociaż nie zawsze była

o tym przekonana: chwilami wierzyła ludziom, którzy odmawiali jej tego tytułu.

Pomyślała o swojej pracy, o rozchwianym rytmie kitu okiennego i śmieci, o brzęku tanich rymów, o rdzy i o watolinowej wyściółce. Pragnęła odnaleźć w sobie zapał, który kazałby jej znów zająć się pracą. Gdyby tak mogła wybiec z lotniska, złapać taksówkę i popędzić do domu. Potrzebne jej było wrażenie, że ten proces znowu się zaczyna, że nagle budzi się to uczucie godne wiary, ta świeżość, życie wzbierające na dnie oczodołów.

Dzwoniła tu i ówdzie, szukając Acey, i po kilku dniach wreszcie ją dopadła - rozgoryczoną, spiętą i nierozmowną. Jakoś jednak zdołała do niej przemówić. Miała wprawę. Tysiąc razy rozmawiała w ten sposób z Teresą, swoją uparcie nieszczęśliwą córką.

Wieczorem zjadły razem kolację i znowu porozmawiały. Klara panowała nad sytuacją. Schlebiała i zachęcała. Miała w tym wprawę. Pragnęła pomóc i rzeczywiście pomagała.

Kelner stał i wyliczał potrawy dnia. O parę domów dalej wybuchł pożar, chociaż mógł to też być fałszywy alarm, z którejś ciężarówki raptem buchnął elektronicznie wzmocniony głos, wchłaniając wszystko wokół siebie, z każdym dniem coraz wcześniej się ściemniało, a ulice zaczęły nabierać średniowiecznej faktury: dziwne kobiety w powłóczystych szatach, okutane chustami jak Tuareżki, mieszkaly we wrakach samochodów, czujne i milczące, inne tańczyły w metrze i dostawały za to bilon, jeszcze zaś inne nadawały własne audycje, których można było słuchać bez radia, bo szły za tobą przez nieustającą, natchnioną katastrofę zwaną Nowym Jorkiem.

Po pewnym czasie część widzów wstała i zaczęła krążyć po mieszkaniu. Nie wyszli, nie wyszedł prawie nikt. Film wielokrotnie się powtarzał, a oni chodzili po pokojach, ruszyli się z kątów i zaczęli zwiedzać inne pokoje albo stawali przed ścianą telewizorów. Byli jak turyści wędrujący po salach małej prywatnej kolekcji, Muzeum Zaciukasa, ze stałą wystawą, jednym jedynym eksponatem, dwudziestoma kilkoma sekundami amatorskiego filmu puszczonego w kółko na okrągło.

Film szedł bez przerwy, ukazując ludzi sprawujących w państwie władzę, rozmazanych w odbłaskach słońca, gdy ze swoimi

dufnymi żonami jechali autem, a obraz trząsał się, jakby go nakręcono u cioci na urodzinach.

Inni siedzieli na podłodze i podawali sobie skręta albo po prostu patrzyli, z wytrenowanym nabożeństwem - o, jedzie wóz, o, pada strzał, zdumieni, że w kulturze istnieją siły, za którymi oni sami nie nadążają wyobraźnią, a ich najodurzeńsze zgrozy wydają się przez kontrast daremne i tanie.

Na niektórych ekranach film wyświetlał się w normalnym tempie, na innych w zwolnionym, a limuzyna jechała przez Elm Street, mijała zjazd na autostradę, głowa wyskakiwała z kadru, aby wnet znów się pojawić, i znienacka padał strzał.

Na każdym ekranie widać było inny fragment sekwencji Zaciukasa, toteż spojrzenie widza mogło skakać od klatki dwieście trzydziestej dziewiętej wstecz do sto osiemdziesiątej piątej, aż do strzału w głowę i znów do początkowych klatek, a na ścianie z telewizorów ekrany i kadry układały się we wzory. Ściana ta była czymś w rodzaju planszy, którą przecinały skosy, piony i inne linie, poprzeplatane taroty losu wpisanego w żywioły, chwilami ekrany synchronizowały się po przekątnych, tworząc literę „X”, lecz niezależnie od całej tej matematyki zawsze szło sto kadrów naraz, o, jedzie wóz, o, pada strzał, a chociaż kamera nie objęła tego akurat detalu, Klara była pewna, że nad składnicą księgarską jest sztyld Hertza - widywała go na zdjęciach i dopiero teraz, przypomniawszy sobie o nim, pomyślała, że to jeszcze jedna przelotna dziwność, jakkolwiek błaha: znak firmowy wypożyczalni samochodów zawisły ponuro nad procesją aut.

Dwoje ludzi stało w szafie ściennej z otwartymi drzwiami, byli chyba czymś narąbani i niezbyt rzucali się w oczy, kiedy tak z dystansem się pieprzyli. Klara zauważyła ich przypadkiem, bo akurat tamtędy przechodziła.

Wiedziała, że przy kolacji Miles opowie jej o potajemnym manipulowaniu historią, a przynajmniej o próbach takiej manipulacji, albo że eksperci nie zdołali sporządzić czytelnej kopii filmu, coś w tym stylu. Tymczasem jednak film był przemożnie jawny, rażący i niewyszukany, bez reszty zanurzony w byciu sobą, byciu filmem. Toczyło się w nim swojego rodzaju wewnętrzne życie, nie związane z tym, co nazywamy zjawiskami. Zdawał się stawiać pewną tezę o naturze filmu jako takiego.

Trasa limuzyny przez Elm Street, ruch taśmy w kamerze, jakaś współprzeżywalna ciemność - oto śmierć, która wylaniała się jak gdyby ze strumiennego rumowiska głębokich warstw umysłu, z trwającej w nim nocy, a film dzięki jakiemuś emulsyjnemu trickowi ukazywał widmo świadomości. Tak przynajmniej myślała Klara. Zastanawiała się, czy ten amatorski film nie jest aby prymitywnym, żywym odzwierciedleniem techniki pracy umysłu, rozwijającej się w nim swoistej fabuły ze śmiercią jako pointą, bo wydawał się tak skądś znajomy -jak coś, co mogliśmy już widzieć, nie tyle widzieć, ile znać, model tych nocy, kiedy spoufalamy się z własnym umieraniem.

Ktoś podał jej skręta, a ona mu go po chwili oddała.

Ekran jednej z wielkich konsol podzielony był na cztery części i we wszystkich widać było moment, gdy pada strzał.

- To przekracza granice języka - powiedział Miles, a w jego własnym języku znaczyło to mniej więcej tyle co „odlot”, „w pale się nie mieści” albo jakieś inne dawne wyrażenie, a tu tymczasem oglądano po latach epizod z wczesnych lat sześćdziesiątych, który wyznaczał teraz konceptualny kres, niosąc ze sobą cały obłęd, jaki unosił się w powietrzu tamtej epoki, a ludzie stali i gadali, ci dwoje w szafie pieprzyli się przy otwartych drzwiach, z dystansem, swąd trawy stopniowo gęstniał, a ludzie mówili: „Chodźmy coś zjeść” i różne inne rzeczy, jakie zwykle się mówi, kiedy zdarzenie dobiega końca.

Film trwał nieprzerwanie, mężczyzna po czterdziestce w garniturze i krawacie, na wszystkich ekranach akcja toczyła się teraz w zwolnionym tempie, jechał samochodem ze swoją dufną żoną, a film zyskiwał wymiar elegii, przewijał się coraz wolniej, wyhamowywał, była w tym nawet jakaś wielkość, monarsze lśnienie limuzyny i mord dokonany na bohaterze wywodzącym się z najbardziej zamierzchłych legend - wielkość, królewskość, makabryczna mgła z tkanek i okrucich czaszki, tak potężnie spowolniona, na Elm Street, no więc zjedli coś i poszli do loftu, a potem przez kilka godzin grali w karty i nie rozmawiali o Za-ciukasie.

Wzięła ślub z Carlem Strasserem w jego mieszkaniu na Park Avenue w obecności sędziego pokoju i dwudziestu pięciu przyjaciół młodej pary. Przyleciała córka Carla, najmłodsza z trójki

jego dzieci, piękna chuda piętnastolatka, która mieszkała z matką w Brukseli. Był typowy jesienny dzień w Nowym Jorku. Córka Klary też przyjechała, spóźniona mniej więcej o pół godziny, ale ożywiona i promienna, bez śladu ponuractwa - uściskała każdego, kto się nawinął, a po ceremonii tańczyła z Jackiem Marshalllem.

Był to jeden z tych jesiennych dni, napiętych jak żagiel. Panna młoda miała na sobie starą brokatową kamizelkę odziedziczoną po matce i po jakiejś wcześniejszej właścicielce, dalekiej kuzynce lub ciotecznej babce, i może nawet po dawniejszych pokoleniach, jeszcze sprzed Ameryki. Ludzie jedli tam, gdzie akurat znaleźli dla siebie miejsce, jedli na stojąco albo sztywno siadali na krzesłach w hallu, a tańce nie trwały zbyt długo, bo przyjęcie z założenia miało być krótkie.

Po wyjściu gości postanowili wybrać się na spacer we czworo, nowożeńcy z córkami; po całej nocy ostrych wiatrów powietrze było wypłukane do czysta, a światło tak precyzyjne, że w parku wszystkie odległości wydawały się skrócone. Zaczęły się gromadzić chmury, pogodne cumulusy dryfowały ze wzniesionymi alfastonami. Był to jeden z tych dni w Central Parku, które cechuje wydestylowana percepcja, oszczędność, wszystkie linie są mocne i niezbędne, a dereniom i sumakom zaczynały się przebarwiać liście i nic się nie marnowało ani nie przechodziło nie zauważone.

Jak miło znów być rodziną, choćby prowizoryczną i niepełną, w której rodzice podzielili się dziećmi, a dzieci mają ścisły rozkład jazdy i kto wie, kiedy następnym razem wszyscy się spotkają. Córka Carla mówiła zwięźłą, skuteczną angielszczyzną. Na spacerze uparcie szła obok ojca, wpatrzona w dłoń, którą machał, wskazując rozmaite widoki. Sponad wierzchołków drzew wyzierały gmachy Piątej Alei, nieprzerwana beżowa fasada, a po zachodniej stronie parku widzieli mansardy i świątynne zwieńczenia domów; Klara wyobrażała sobie, jak gwizdzą odźwierni, przemykają taksówki - zachwycał ją krzykliwy, żółty lakier nowojorskich taksówek.

Był to jeden z tych dni świetlistych i wyważonych, kiedy we wszystkim, co widzisz, zawiera się pełne spektrum zamysłu. Trzymała Teresę za rękę i rozmawiała z nią o wizytach tu i ówdzie, składały sobie obietnice i czyniły postanowienia, to i owo

odnotowywały w pamięci. I jak miło, jak dziwnie jest iść tak parami na krzyż, mąż z żoną, matka z córką, aż nagle zobaczyła, że Carlo lekko utyka, i z rozbawieniem pomyślała: „Dotąd nie zwróciłam na to uwagi” - pozwoliła sobie na tę chwilę rozbawienia, no bo co, do diabła, przecież to tylko małżeństwo.

Szli za mężczyzną, który prowadził wilczarza, imponujące psisko prosto z reklamy wódki.

Roześmiała się bez powodu. Może istotnie bez, a może dlatego, że zauważyła utykający chód męża. Tamci troje pomyśleli, że śmieje się z ulgą, ulegając nastrojowi tego rozwirowanego dnia, więc dobrotliwie się uśmiechnęli. Sądzieli, że śmieje się, bo już nie musi dowiadywać się o spóźnione samoloty, wysłuchiwać narzekań wynajętego kucharza i szukać odpowiednich wazonów na te cholerne kwiaty. Pomyśleli, że wreszcie się odprężyła na spacerze. I śmieje się ze znużoną ulgą. Wydawało im się, że przeniknęli tę tajemnicę, co to znaczy żyć w jej skórze.

Lepsze życie wśród lepszych rzeczy dzięki chemii

Wybrane fragmenty publiczne i prywatne z
lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych

3 listopada 1952

Patrzyłeś na wzgórza, takie faliste, a ich widok nasuwał ci pytanie, kim jesteś i jak trafiłeś w to miejsce. Miały z twoim życiem nie więcej związku niż fotografia wzgórz, starych, falistych wzgórz nad rzeką, w kalendarzu powieszonym na ścianie u kogoś w kuchni.

Czułem, że gdzieś tam jest rzeka, wiatr niósł z sobą jakąś rzeźkość, a ja głęboko oddychałem, bo przecież wyjechałem na wieś, co podobno jest zdrowe.

Staatsburg leżał o sto dwadzieścia kilometrów od domu, dalej, niż kiedykolwiek w życiu odjechałem; zadomowiłem się w dormitorium, chodziłem na lekcje, żeby skończyć liceum, a wszystkie popołudnia spędzałem w starej stodole, w której urządzono prowizoryczną salę gimnastyczną, z ringiem bokserskim w jednym końcu, z tablicą do koszykówki w drugim.

Popelniasz swoje zbrodnie w mieście i wysyłają cię na wieś, żebyś głęboko oddychał i szerzej spojrzał na własne życie.

Grałem w kosza z chłopakami z ulicznego gangu, zwanego The Alhambras - od nazwy pewnego kina w Harlemie. Mówili, że kiblują u białych. Każdy zaliczył internat z obostrzonym rygiorem i kilka różnych poprawczaków, więc wychowali się na kryminalnym alfabecie, a teraz razem galopowaliśmy w tę

i z powrotem po podłodze w zakurzonej stodole, żeby wypocić osad swoich wykroczeń.

Wszyscy byliśmy małolatami, poniżej osiemnastki. Siedziałem za przestępstwo piątej klasy, zabójstwo bez premedytacji, wyrok złagodzony, bo pierwotnie zarzucano mi morderstwo, i razem z innymi rozgrywałem kolejne mecze do jednego kosza: dawaliśmy z siebie wszystko, braliśmy głębokie, zdrowe wdechy, a czasem trochę się poszturchiwaliśmy.

Mogłeś się z kimś pobić i zaraz o tym zapomnieć, zostawić sprawę pod koszem albo na ringu, bo tyle już razy psychicznie się schłostałeś za winy popełnione na ulicach miasta, za każdy wybryk wściekłości czy chandry, każde niesłychane odchylenie, że może w końcu osiągnąłeś wczesną dojrzałość w kwestii nieprzebaczenia - zrozumiałeś, że trzeba to robić selektywnie.

Kiedy trafiłem do zakładu, chciałem, żeby wszystko miało sens. Starannie ścieliłem łóżko, wyrównywałem rogi pościeli i sensownie układałem w szafce ubranie.

Ledwo trafiłem do zakładu, natychmiast stałem się wiernym wyznawcą systemu. Chodziłem do pracy z ekipami, które naprawiały drogi, i nikt nie harował z takim zapałem jak ja, bez reszty oddany monotonnemu rozbijaniu asfaltu, cały zażawiony i zakichany od alergenów z komosy.

Wierzyłem w surową logikę poprawy. Co wieczór odrabiałem lekcje; głośno tupiąc, biegałem po starej sali gimnastycznej i waliłem piłką w tablicę, niech szlag trafi zły początek, krwawy start, i gotów byłem sprostać temu wszystkiemu, ubijając młotem twardą nawierzchnię na wiejskiej drodze w miętowej mgielce pełni lata, czując, jak pomału wycieka ze mnie martwa dusza, jak substancja osadowa, z której jestem zrobiony, rozwiewa się w powietrzu roztańczonym od owadów i pyłków.

Jesienią wzgórza nabrały barw i znaczyły w twoim życiu mniej więcej tyle, ile wiersz z kalendarza, cztery wersy o falistych wzgórzach, wyrecytowane angielszczyzną Ronalda Colmana.

W Staatsburgu nasłuchałem się o jamie, bo tak brzmi jedna z dziewięćdziesięciu dziewięciu nazw heroiny, ale nikomu się nie przyznałem, że na myśl o igłach i narkotykach nogi się pode mną uginają.

W Staatsburgu psycholożka chciała ze mną rozmawiać o tym, jak go zastrzeliłem. Myślała, że tędy wiedzie droga do mojego

wybawienia. „Nic z tego, stara - powiedziałem. - Pogadajmy o pogodzie". Nie dałem jej do ręki niczego, co mogłaby wygrać na moją korzyść.

Nie chciałem, żeby się ze mną cackali. Przyjechałem odsiedzieć wyrok, półtora roku do trzech, i od systemu oczekiwałem wyłącznie metody i regularności. Kiedy w kuchni wybuchł pożar, byłem rozczarowany. Odczułem to jako osobistą zniewagę. Nie rozumiałem, czemu dobrze wyszkolony personel w ogóle dopuścił do tego wypadku. Kiedy trzech chłopcy nawiali ciężarówką piekarza, trzech piętnastolatków, młodszych Uliczników, jak czasem mawiano o Alhambrach, uznałem, że to straszliwy, jak by powiedzieć, upadek, dno, oni tam skuleni w skrzyni ciężarówki „Silvercup", a ja tu wstrząśnięty bezmiarem zaniedbań.

W sali gimnastycznej graliśmy tego dnia na jeden kosz, jak zwykle bojowo, atakując strzelca, robiąc zwody z rozstawionymi łokciami, ale nie było tego napięcia co zawsze, gra parę razy utknęła w miejscu, żeby zawodnicy mogli pogadać o ucieczce. Żartowali, pękali ze śmiechu, ale ja czułem, że to z nas samych zażartowano. Widać niewiele byliśmy warci, skoro system, który miał nas więzić, raz po raz nawalał.

Przez całą zimę odgarniałem śnieg i czytałem książki. Linijki druku, alfabetyczne znaki, pchnięcia łopatą, kiedy odśnieżałem alejkę, linearny układ słów na stronicy, pchnięcia łopatą, monotonne ćwiczenia w podręcznikach, powieści, które czytałem, słowniki, które znajdowałem w małej bibliotece, natura i kształt książek, jednostajne pchnięcia łopatą w głębokim śniegu - z tych wszystkich rzeczy zacząłem budować osobę.

Lecz nim spadł pierwszy śnieg, a ziemia zamarzła, urządzili nam pole golfowe. Minigolf, zupełna nowość. W pewien listopadowy dzień, miły i pogodny, wyładowali sprzęt na polu niedaleko jadalni. Zameczki i rampy ze sklejki. Akurat tyle szmelcu, ile trzeba na dziewięć dołków. Małe koła młyńskie, mostki i co tam jeszcze. Z dziwnym niedowierzaniem patrzyłem, jak całość nabiera kształtów. Czułem się oszukany, zdradzony. Ciężki przecież na mnie poważny zarzut, zabiłem człowieka, jakkolwiek by to nazwać, niezależnie od biurokratycznej etykiety unicestwiłem żywą istotę i tu właśnie było moje miejsce, w zamknięciu na odludziu, ale ci, co mnie zamknęli, igrali sobie z moim umysłem.

22 października 1962

Klub mieścił się w zachodniej części Hollywoodu, nazywał się „Troubadur”, mężczyzna wszedł na scenę, odkręcił od staty tytu mikrofon i pomachał nim nad głowami widzów, jakby ich błogosławił, i może istotnie czuli, że akurat tej nocy potrzebne im jest błogosławieństwo, skoro jakieś sześć godzin wcześniej Prezydent wygłosił orędzie do narodu, o czwartej czasu strefy Pacyfiku, w sprawie nie cierpiącej zwłoki, państwowej wagi.

Mężczyzna przyglądał się widzom i głaskał się po podbródki stojąc w niedbalej, luzackiej pozie, w skrojonym po europejsku garniturze marengo, bez poduszek na ramionach i z wąskim kłapami, krawat też miał wąski, ciemny, dziany, no i tę nowo jorsko-lewautyńską prezencję - tak, tak, był to właśnie ten osła wiony, chory komik, Lenny Bruce, i wszyscy czekali, aż im powie, co czują.

Bo Rosjanie zainstalowali na Kubie rakiety. A ponure prze mówienie prezydenta Kennedy'ego wciąż jeszcze przegradzało salę czymś na kształt akustycznego muru. Zdolność do ataku atomowego. Proporcjonalny odwet. Dźwięczne, staranne sfor mułowania. Ta akurat publiczność przywykła do innych rodza jów strachu. Bezrobotni aktorzy i muzycy, scenarzyści, którzy właśnie przerabiali dziewięćdziesiątą drugą wersję brudnopisu agenci z egzemą, pożywne blondyny o wyplazowanych ciałach kurwiące się pod okiem wrednych, wężowo śliskich alfonsów Lenny z głupawym śmieszkiem patrzył na tę zbieraninę, jakby przenikał wzrokiem aż do tandetnego, nugatowego jądra jej ko lektywnej duszy. I zawsze kilku piśmiennych ćpunów. Może jeszcze parę turystek z fryzurami jak pszczele ule, zabłąkanych tu przypadkiem w towarzystwie mężów, którzy na co dzień handlują oblicówką. I koniecznie jeden aktor z nazwiskiem tu dzież tryprem i drugi, zdegradowany do oper mydlanych. Całe to grono potrzebowało pomocy Lenny'ego, żeby się podłączyć do totalnie globalnego procesu, który trwał gdzieś tam, gdzie bombowce strategiczne rozpędzają się z hukiem po nawierzchni ze smołowanego tłucznia, a polarisy wychodzą w morze i nagie w dół, w dół, w dół, dialog ze wszystkich filmów o okrętach podwodnych, jakie dotychczas nakręcono, i wszystko to co prawda autentycznie się dzieje, ale jednocześnie wydaje się tym

ludziom wybitnie nierzeczywiste - jakby armie tytanów i atlasów szykowały się, żeby dać ognia.

Lenny przygląda im się, czekając, aż chwila nabierze znaczenia i wieszczego sensu. Niełatwo zgadnąć, co powie, póki nie zacznie mówić, wysuwając dolną wargę, władczym tonem.

- Dobry wieczór, współobywatele.

I tekst ten natychmiast wydaje się *ex post* nieuchronny, bo przecież tak właśnie zaczął swoje przemówienie Prezydent, więc po sali przebiega śmieszek, ale Lenny zabija dowcip, zanim go rozwinął. Nie ma zamiaru parodiować Kennedy'ego.

Przechylił się do tyłu, jeszcze bardziej dystansując się wobec wypowiedzianych przed chwilą słów. Dym wzniósł się nad słuchaczami i zawisł w smudze światła z miniaturowego punktowca, a Lenny znów się odezwał, tym razem swoim własnym głosem, pełnym giętych samogłosek i wysokich nosowych brzmień.

- W pewnym sensie całkiem mi to pasuje. Być na krawędzi. Odjazd, stary. Gadajcie sobie, ile chcecie, o życiu na samej granicy. Dobra, wiem, w sobotę wieczór palicie czasem trochę trawencji. Żeby coś zaliczyć. A któreś nocy przypadkiem przejechaliście przez Watts i dotąd nie możecie przestać o tym gadać. Aż wam włosy między nogami stanęły dęba. Murzyni w płaskich kapelutkach. Nie, tak, z tą tutaj sprawą, zaraz wam opowiem, co znaczy granica. Póki mieszkasz, gdzie chcesz, to jeszcze nie jest żadna granica. Dopiero jak cię gdzieś zapakują wbrew twojej woli. Ta sytuacja jest nieskończenie głębsza i bardziej elektryzująca niż wszystkie wasze pomysły na życie. Wiecie, co to jest? Dwudziestu sześciu facetów po Harvardzie de cyduje o waszym losie.

Błyskawicznie obrócił się w stronę kulis i wskazał palcem rzekomo majaczący tam cień, a nad stłoczonymi głowami pękła bańka śmiechu.

- To są faceci z prywatnych klubów i tajnych stowarzyszeń, kapewu? Podają sobie ręce na powitanie sposobem wtajemniczonych i te skomplikowane gesty zajmują im bite trzy minuty. Ominiesz jeden palec i całe życie masz spierdalone. Musisz się wypisać z ekskluzywnego klubu w plenerze, pożegnać z kupowaniem akcji po dogodnych cenach i z czasami dla dyrektorów, patrzeć, jak żona rozplywa się we mgłę ukradkowego chłania. Musisz wiedzieć, o co biega, żeby być na bieżąco. Ci

faceci noszą bokserki we wzory geometryczne z planami dróg ewakuacji, które im wyznaczono, w razie jakby zaczęły fruwać rakiety.

Lenny był przystojniakiem o ciemnych włosach i ciężkich powiekach, trochę przypominającym bilardzistę kanciarza, dopuszczonego z czasem do głębszych, podlegszych kombinacji. Jego brwi tworzyły kosmopolityczny łuk, który w zestawieniu z ogólnie szwindlarskim wyglądem jawnie prowokował: jeżeli kupujesz tę popelinę, którą ci wciskam, to już nie mój problem, ty popaprańcu.

- Wyobraźcie sobie - powiedział i strzeliwszy palcami, wypuścił dzinna z butelki. - Dwudziestu sześciu facetów w garni turach od Clarka Kenta szykuje się, żeby zjechać do luksusowego bunkra, prawie kilometr pod Białym Domem, a wnętrzarz, pedał jeden, ostatni raz sprawdza, czy wszystko gra. Na przykład ściany w kolorze brzoskwini: fantastiko. Żyrandol znalazłem w małym opactewku pod Paryżem. Bo u mnie w schronie nie ma miejsca na żaden szajs w stylu Statler Hiltona.

I nawet ci z obecnych, którzy już nieraz słyszeli stare grepsy Lenny'ego i znali całe jego wokalne pasmo, nieustanne przeskoki, modulacje i fałszywe tożsamości, fontanny podziemnych wyrażeń i napięć, poczuli lekkiego kopa farmakologicznego, kiedy przybrał ton projektanta:

- Dywany bajeczne, owoc pracy niewolniczej w najczystszym perskim stylu. Łukowe okna, owszem, wiem, jesteśmy dwanaście pięter pod ziemią, ale nie mogłem się oprzeć tej tkaninie na firanki, więc mordy w kubeł. Stół w jadalni, mahoń z Południa, poszło na niego jedenaście butelek lemon pledge. A pośrodku własny projekt tego faceta, szczytowe osiągnięcie. Z góry mięsa krabów wyrzeźbione postaci... Tym to już na pewno będą zachwyceni, takie to przecież mocne i poruszające... tak, tak, Kennedy i Chruszczow toczą zapaśniczą walkę na go lasa. W skali jeden do jednego.

Lenny skręcił się w biodrach i ugiął kolano, robiąc pauzę, żeby publiczność wyobraziła sobie opisywaną scenę.

- No dobra, nie mogę całą noc tak stać i podziwiać. Lada chwila tu zjadą. Prezydent, Sekretarz Stanu, Szefostwo Połączonych Sztabów, ten facet, tamten facet, i jeszcze jeden, co zna tajne szyfry wyrzutni atomowych, nawiasem mówiąc, to Ży-

dzisko przyuczone do korzystania z kibla, więc nic się nie pomięcha. Zaraz, zaraz, co by tu jeszcze? Sztućce i talerze na miejscach, kieliszki też. Miętowe czekoladki na potem, niech no pomyślę... Podać im mokkę czy *café noir*!

Powtórzył powitalną kwestię, jakby sprawdzał, czy brzmi i w ogóle pasuje.

- Dobry wieczór, współobywatele.

Na sali poruszenie, wskrzeszone oczekiwania - może i chcieli, żeby dalej pociągnął greps z Prezydentem, ale znów skreślił go lekceważącym machnięciem ręki i dalej stał jakby z lekkim szumem w biodrach, z tym nieznacznym kołysaniem, które zdawało się napędzać kolejną myśl. I nagle przeraźliwym fałsetem:

- Wszyscy umrzemy!

Tu już zupełnie pękł. Ze śmiechu zgiął się wpół i zaczął machać tuż nad deskami sceny mikrofonem jak licznikiem Geigera.

- No więc Rusek, kawał byka, groźnie się gapi na JFK, stoją pyta w pychę, a Jack nie wie, jak podejść do gościa. Bo niby co mu powie? Przerznąłem więcej debiutantek niż ty? Ma do czy nienia z byłym górnikiem, z facetem, który za parę kopiejek na bosaka pasał bydło. Powszechnie wiadomo, że nieraz wsadzał świni piętę w dupę, żeby użyźnić swój warzywnik. Więc co Jack ma mu powiedzieć? Że raz w windzie Białego Domu zbranzłowała go sekretarka? Przecież ten facet w czasie uroczystości państwowych sra przy otwartych drzwiach. Obcuje płcio wo z pucharami, które wygrał w kręgle.

W „Troubadurze” siedziało się głównie na składanych krzesłach, więc gdy jakaś większa grupa wśród publiczności wybuchła śmiechem, jękliwie rzęziły szczeble i zawiasy. A słuchacze myśleli: „Z tym kryzysem to chyba nie może być całkiem serio, skoro tak się zarykujemy w klubie przy Santa Monica Boulevard”.

- Wszyscy umrzemy!

Lenny uwielbia postęzystencjalny wydźwięk tego tekstu. W jego obłąkańczym wrzasku publiczność słyszy, jak ginie sama idea niepowtarzalności i wolnego wyboru, a miejsce ludzkiej odrębności zajmuje ciężka, hurtowa dewastacja. Najgłośniej śmieją się jego najwierniejsi zwolennicy, usatysfakcjonowani

w swojej próżności kibiców. Lenny spała się razem z nimi. Lenny we wszystkich wcieleniach. Prześladowanego ćpuna. Anty-hipokryty. Satyryka, co dłubie w nosie. Lenny'ego hip-kapusia. Lenny'ego kupermachera, który w hotelowym hallu zawsze wypatrzy ładną laskę. Lenny'ego, który jest pomstą Pana.

- Bezsilni. Oni właśnie w ten sposób przypominają nam o naszej zasadniczej kondycji, kapewu? Raz po raz majstrują kryzys. Czy ten najnowszy przebiega w poziomie? Mocarstwo przeciw mocarstwu. A może w pionie, między górą a dołem? - Chyba zgubił wątek. - Stany Zjednoczone organizują blokadę morską. No i super, gites, ekstra. Słyszeliście, co powiedział? - Tu Lenny przemówił basem głowy państwa. - Wszelkiego rodzaju zaczepny sprzęt wojskowy przewożony na Kubę zatrzyma na morzu amerykańska flota. - Szturchnął palcem urojony paproch na klapie marynarki, sygnalizując zmianę tonu, jakiś nowy kawałek. - A jedna kobieta siedzi gdzieś w Centralii i słucha tego przemówienia. Słyszy o najwyższym zagrożeniu. Słyszy o otchłani zniszczenia. Przez cały dzień wydaje mielone kotleciki w szkolnej stołówce, wraca do domu kompletnie wyczerpana i włącza telewizor, a tu Prezydent Stanów Zjednoczonych mówi: otchłań zniszczenia. A ona siedzi w tym swoim białym uniformie ze stołówki, na bosaka, i dłubie sobie między palcami stóp. Ma na imię Bitty. Myśli: I po to zdjęli z programu Lawrence'a Welka, żeby ten milioner z irlandzkich katolików mógł gadać o otchłani zniszczenia. I zaraz puka się w czoło: Hej, chwileczkę, przecież to tytuł filmu, no nie? Jasne, jednego z tych ostrych, cynicznych dramatów kryminalnych w posępnych barwach czerni i bieli. Oglądnęłam go w gronie Matek Dzieci z Dystrofią Mięśni gdzieś w środkowym Kansas. Przemówienie wlecze się bez końca, Bitty usiłuje ogarnąć cały ogrom... a tu Prezydent mówi coś o nadzwyczaj szybkim narastaniu. O sowieckich rakietach na Kubie. Ale Bitty ma wrażenie, że mowa jest o tłustym brudzie w jej kuchence gazowej. No bo rzeczywiście, to narastanie tłuszczu zaczyna mnie już wkurzać, stary. Bitty kupiła nowy proszek do czyszczenia kuchenek i chce go zaraz wypróbować. Działa o pięćdziesiąt dwa procent szybciej niż najsilniejszy kwas przemysłowy. Chciałaby się skupić na przemówieniu Prezydenta, ale każde jego słowo brzmi, jakby zachwalał środek odstraszący owady albo aerozol do gardła. Więc Bitty

gdzieś w Emporii czy Centralii wstaje z krzesła, idzie do telefonu i wykręca numer DeeAnn, swojej przyjaciółki. DeeAnn to miejscowa znawczyni zagadnień kina. Recenzuje filmy w gazecie pracowników stołówki, w „Tygodniku Mielonym”. No i Bitty pyta ją przez telefon: Kto grał w tym filmie, o którym Prezydent właśnie mówi w telewizorze? A na to DeeAnn: Akurat teraz filmy ci w głowie?

Lenny lekko przykucnął i rozłożył ręce jak skrzydła, rozdziawiając usta niczym szczelinę pełną roześmianej trwogi.

- Wszyscy umrzemy!

Od zapału, jaki włożył w tę kwestię, słuchaczom aż się zrobiło trochę nieswojo, zwłaszcza że wygłosił ją tonem DeeAnn, którym można by z piętnastu metrów stłuc pisuar. Po godzinie przebrzmiały wszystkie grepsy, skatologiczne dygresje, improwizowane głosy, ale to jedno zdanie pozostało w pamięci słuchaczy, kiedy szli do swoich aut i jechali do domów w Westwood, w Brentwood czy gdzie indziej, albo przez pół nocy jeździli autostradami, bo wiedzieli, że i tak nie zasną, a gdzież można by lepiej wyobrazić sobie ten błysk i rozprysk, gdzież mogli się udać, żeby zawczasu przeciwzyć kres historii lub wręcz go zobaczyć: taki przecież był sens autostrad, teraz i zawsze, a oni od początku to wiedzieli na jakimś niezgruntowanym, podświadomym poziomie. Jeździli więc przez pół nocy i najpierw ogarnęło ich zaszępienie, potem gniew, następnie rezygnacja i wreszcie zwykły strach, dosłownie trzęsionka, skurcz w piersi na myśl, jak niewiele trzeba, żeby się ziściło - była to pierwsza noc na ziemi, kiedy Niewyobrażalne wypęzło zza horyzontu i przyczaiło się po zwierzęcemu, a oni jeździli, bez przerwy słysząc ten lamentliwy, nieomylnie żydowski głos, powtarzający zdanie, z którego przed zaledwie paroma godzinami, o dziwo, pękali ze śmiechu.

12 lipca 1953

Był to gest bez przeszłości.

Ująłeś broń, wycelowaleś i zobaczyłeś, jak na twarz wypęła mu zaciekawiony uśmiech. Ale zaraz potem znalazłeś się w nieznanym kraju. Uśmiech pełen podłej skruchy, cwany jak cholera. Ale kiedy nacisnąłeś spust. Chodził ciężko, z oporem. Więc

kiedy już go wdusiłeś, znalazłeś się całkiem gdzie indziej i odtąd chłonałeś cały ten huk i ruch, gest, sposób, w jaki tamten wzdrygnął się i upadł, chociaż „wzdrygnął się” to właściwie nietrafne określenie - był to ruch, którego jako świadek nie potrafiłeś zrozumieć ani opisać.

W Staatsburgu niejaka doktor Lindblad siedziała w gabinecie, a ja przychodziłem do niej na regularne wizyty, puk-puk, i kiedy zgłębiała kwestię tamtego strzału, usiłowałem podejrzeć, jakie ma nogi.

Zapomnij na chwilę, że to ty go zastrześliłeś.

Nie możesz precyzyjnie opisać tego ruchu, bo odbywał się na poziomie rzeczywistości, którego wcześniej nie przećwiczyłeś, tamten człowiek też zresztą nie. Luźny wymach ręki, prawa ręka nagle smaga powietrze, wyrwana z zawiasów, jak oszalała część maszyny, i całym ciałem wstrząsa spazm, arytmiczny podskok, coś spoza granic wszelkiego doświadczenia.

Nie zapominaj, że siedział na krześle. Krzesło przewróciło się trochę jak człowiek. Runęło na ścianę tak dramatycznie, że mogło być wariantem człowieka.

No i oczywiście twój własny szok, trauma wywołana percepcją - jak możesz stwierdzić, co się właściwie dzieje, jeśli sam jesteś w szoku?

- Myślisz, że chciałbyś mieć kiedyś rodzinę? - spytała doktor Lindblad.
- Nie wiem. Nie zastanawiałem się. Nie - odparłem. - Chyba bym nie chciał. Dzieci? Nie chcę mieć dzieci. Nie chcę być ojcem.
- A to dlaczego?
- Dlaczego. Nie wiem. Po tym, co zrobiłem? Chyba nie powinienem być ojcem. Jak pani myśli?
- A co ty właściwie zrobiłeś, Nick?

Uśmiechnąłem się do niej. Lubiłem doktor Lindblad. Nie była ładna, ale za to dobrze zbudowana. Ci z gangu, czyli Ulicznicy, też ją lubili, bo słuchała, co mają do opowiedzenia, i powstrzymywała się od ocen. Znajdowała delikatne, pokrętnie sposoby na wściekłość, wstyd i ponure wymówki tych chłopców. Nie próbowała moderować ich fatalizmu. Toczyli wojnę ze społeczeństwem i po co w ogóle udawać, że jest inaczej. Ja tam nic jej nie opowiadałem, ale lubiłem chodzić do jej gabinetu, wachać

wosk do mebli, czytać tytuły książek i odgadywać zarys piersi pęczniejących pod tą czy tamtą z jej obcisłych bluzek. Jeden Ulicznik wyjrzał przez okno jadalni i powiedział:

- Stary, to jakiś film Disneya. - Miał na myśli pole do mini-golfa. - A my jesteśmy te krasnoludki, co niby mają w nim grać.

Od poprawczaka oczekiwałem konsekwencji i twardości. Próbowali mnie sądzić jak dorosłego, chociaż skończyłem dopiero siedemnaście lat, a ja przyznawałem im rację, że mój czyn niezależnie od wszelkich niuansów rzeczywiście miał w sobie coś z zinnokrwistej zbrodni. Kiedy sędzia oddalił ten wniosek oskarżyciela, postanowili oskarżyć mnie o zabójstwo, a ja znowu pomyślałem: czemu nie, wzięwszy pod uwagę brawurę mojego postępu, ale adwokat, niejaki Imperato, facet z ziemistą cerą, obwisłymi policzkami i teczką, z której złaźiła skóra, zaproponował ugodę, więc postawili mi łżejszy zarzut, i oto w łagodny letni poranek, kilka dni przed zwolnieniem, stałem i nagle zobaczyłem, że ktoś dokładnie obsmarował wszystkie szańce i wiatraki na polu golfowym, wypisał na nich imiona i ksywki członków gangu, chwala niech będzie Alhambrom, i teraz koleśie gapili się, wytykali palcami te malunki i ze śmiechu gięli się w pół, a ja pomyślałem, że chyba już pora zacząć się żegnać z każdym po kolei, chociaż sumienie mnie gryzie.

Bo byłeś strzelcem, a zarazem świadkiem, i możesz rozgraniczyć te dwie role. Świadek był bezradny, nie mógł powstrzymać strzelca. Nie mógł zapobiec strzałowi, nie miał sposobu, no i wreszcie nie wiedział, jak spojrzeć na tę całą sytuację. Wszystko rozgrywało się zbyt głęboko, chociaż dostępne było jego oczom, twoim oczom. Okropny, jakby spastyczny zryw, jęklliwe rozpasanie, powierzenie życia i oddechu tej zapalczącej głębi gestu, kiedy człowiek i krzesło polecili w przeciwne strony.

- Jest to skrajny gest - mogła powiedzieć doktor Lindblad - ponieważ w tej właśnie chwili gaśnie umysł. Następuje kres świadomości. Więc ciało wpada w amok i pokazuje ci, co dzieje się z umysłem. Jak ból człowieka targa jego ciałem. Tak właśnie zachowuje się świadomość. Tak właśnie szamocze się i miota, kiedy koniec następuje nagle i gwałtownie, a umysł jest nie przygotowany.

Ja zaś mogłem spytać:

- Mówisz o umyśle tamtego, o jego nagłym końcu, czy o moim?

Ale ona nic takiego nie powiedziała, a ja nie spytałem, bo w ogóle byłem małowówny. Bardziej rozmowni byli Ulicznicy. Mówili jej, że są ze społeczeństwem w stanie wojny totalnej. Mówili jej, że będzie tak zawsze, póki nie zginą. Społeczeństwo życzyło im śmierci. A oni mieli za dużo rozumu, żeby tego nie wiedzieć. Mówili jej, że jak wyjdą na wolność, to wrócą na ulicę, która w sumie jest tylko innym wydziałem systemu karnego, i *vice versa*, wrócą i będą robić to, co zawsze -tak jej mówili. Będą handlować herą, będą kraść, będą górą, będą nosić spluwy i prowadzić działania wojenne.

Książka pasuje do dłoni, pasuje do osoby. To, jak trzymasz książkę w ręce i przewracasz kartki, dłoń i oko, jednostajne ruchy, kiedy grabisz zwir na wiejskiej drodze nagrzanej słońcem, znaki na stronicy, i to, że każda kartka jest identyczna z następną, a zarazem zupełnie inna, zawarte w książkach ludzkie żywoty, zielenienie wzgórz, starych falistych wzgórz, na widok których czułeś, że stajesz się kim innym.

Doktor Lindblad usiłowała pracować nad moją duszą. Wierzyła w moje zbawienie. Brała pod lupę wszystkie siły z mojej przeszłości i dawała mi książki do czytania, no więc je czytałem, przedstawiała różne koncepcje tego, co się stało, a ja się nad nimi zastanawiałem. Ale nie byłem pewien, czy w ogóle jest do przyjęcia sam ten pomysł, że mam jakąś przeszłość. Często używała tego słowa, a ja nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, że cała szarpanina i nuda tamtych lat, na przemian nuda, fajne chwile, jasne punkty i zasrane, monotonne noce - nie rozumiałem, jakim cudem ta zamazana smuga w moim nocnym umyśle mogłaby mieć jakąkolwiek formę i spójność. Może istniała jakaś przeszłość w kartotece pani doktor, ale ja pamiętałem tylko, że stałem oparty o ścianę w wąskiej uliczce, zaliczając ileś tam karnych lat czekania, na ogół bezcelowego.

Ale coś przecież czułeś, prawda? Choćby tę dziwną fascynację, kiedy upadł, umierając, z tym wariackim zamachem ręki, bez żadnej pozy, że aż nie wiedziałeś, jak na to spojrzeć.

Powiedziała mi, że kiedy zastrzeliłem George'a Manzę, trzecią osobą w pokoju był mój ojciec. Kompletnie mnie zaskoczyła, więc prawie się roześmiałem - wiecie, jak to czasem człowiek

nerwowym prychnięciem wciąga powietrze w nozdrza. Według niej między tymi dwoma faktami istniał jakiś związek, czyli że sześć lat po zniknięciu Jimmy'ego zastrzeliłem faceta, który go nie znał wcale albo prawie, a może tylko parę razy widział na ulicy, i to właśnie ogniwo chciała przeanalizować.

- Masz za sobą pewną przeszłość - twierdziła - i jesteś wobec niej odpowiedzialny.
- Jak to odpowiedzialny?
- Jesteś wobec niej odpowiedzialny. Odpowiadasz za nią. Masz obowiązek ją zrozumieć. Winien jej jesteś niepodzielną uwagę.

I dalej mówiła o przeszłości, siedząc w tej swojej obcisłej bluzce. Ale ja widziałem tylko mężczyznę, który obłąkańczo machnął ręką i jego ciało skręciło się w jedną stronę, a krzesło poleciało w drugą. Widziałem tylko obelżywe chamstwo wąskich uliczek, z każdą chwilą coraz węższych, coraz bardziej zapadniętych w siebie, i tępą, smętną jednakowość dni.

A potem przyszli i powiedzieli, że dostanę przedterminowe zwolnienie, ni stąd, ni zowąd, w taki sobie letni dzień. Wcale nie byłem pewien, czy mnie to cieszy. Powiedzieli, że wysyłają mnie do jezuitów, gdzieś na zimowy koniec świata, nad jezioro w Minnesocie.

2

8 października 1957

Demingowie spędzali to popołudnie u siebie, zajęci różnymi robotkami w swoim półpoziomym domu na przedmieściu, długim, niskim, dwubarwnym domku w kolonialnym stylu, z panoramicznym oknem, łącznikiem i oszalowaniem w jaskrawym kolorze.

W kuchni Erica robiła na kolację mus z kurczaka w galarecie. Trzy miarki rosółu z kury albo trzy kostki bulionu rozpuszczone w trzech miarkach wrzątku. Dwie paczki galaretki cytrynowej. Łyżeczka soli. Jedna ósma łyżeczki *cayenne*. Trzy łyżki octu. Miarka z czubem sztucznej bitej śmietany. Dwie trzecie miarki majonezu. Dwie miarki gotowanej kury pokrajanej w drobną kostkę. Dwie miarki drobno siekanego selera. Dwie łyżki siekanej papryczki.

Zagotować, wlać do miksera i nastawić go najpierw na niskie, a potem na wysokie obroty. Wymieszać przyprawioną i schłodzoną żelatynę z pokrojonym kurczakiem. Przełożyć łyżką do brytfanny trzydzieści na piętnaście centymetrów. Schłodzić, aż stężeje. Wyjąć z formy. Przybrać kruchą sałatą i nadziewanymi oliwkami (według gustu). Starcza na sześć porcji sałatki na przystawkę.

Po opróżnieniu butelki nie używać jej do przechowywania innych płynów.

W głowie się nie mieści, co Erica wyczyniała z galaretką. Choćby teraz, kiedy przygotowywała mus z kurczaka do końcowego chłodzenia, w dwukolorowym kelvinatorze stało dziewięć pucharków z deserem na najbliższe trzy wieczory. Każdy pucharek przechylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni, oparty o ściankę lodówki albo o jakiś inny przedmiot. Tym sposobem, odziedziczonym po babce i matce, Erica może przyrządzać desery w rozmaitych wariantach, z ukośnych kolorowych warstw, łącząc kilka różnych smaków. I tak na przykład leje do pucharka galaretkę z jeżyn, lekko podstudzoną. Ustawia pucharek w lodówce pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Kiedy żelatyna schłodzi się i zupełnie zastygnie, Erica dodaje warstwę galaretki limonowej, potem może pomarańczowej i wreszcie truskawkowej albo truskawkowo-bananowej. Otrzymuje w końcu dziewięć deserów w kolorowe paski, każda porcja inna, a wszystkie wabią jaskrawością.

Przyrządzenie galaretek właściwie najbardziej poprawiało jej nastrój, który tego akurat dnia był dziwnie ponury - sama nie wiedziała, dlaczego.

Z okna kuchni widziała trawnik, zadbane i przystrzyżony, otoczony niskim żywopłotem, ale otwarty i dostępny. Drzewa na skraju trawnika były nowe, tak jak wszystko w tej dzielnicy. Wzdłuż krętych uliczek rosły młode drzewka i małe, świeżo posadzone bukszpany, a wszędzie panował klimat otwartości, miało się wrażenie, że już na pierwszy rzut oka widać wszystko, co jest do oglądania, bo nic nie jest zasłonięte, zagrodzone ani chronione przed prążącymi spojrzeniami.

Nic nie było zasłonięte ani utajone - prócz młodego Erica, który siedział w swoim pokoju za firankami ze sztucznego włókna i branzłował się w prezerwatywę. Lubił używać do tego właś-

nie przerwatyw ze względu na ich gładki, metaliczny połysk, lśniły bowiem tak samo, jak jego ulubione narzędzie zagłady, „Honest John”, rakieta ziemia-ziemia z głowicą o ładunku do czterdziestu kiloton.

Unikać kontaktu z oczami, otwartymi ranami i cieknącymi wrzodami.

Siedział rozwalony w fotelu hamakowym, myśląc sobie, że nikt na świecie by nie zgadł, co on tu robi, a już zwłaszcza, że z przerwatywą. Nikt nigdy by się nie domyślił, nie dowiedział, nie wyobraził sobie ani nie skojarzył. Ale - myślał Eric - jeżeli któregoś dnia człowiek umrze i nagle się okaże, że wszystko, co w życiu robił na osobności, staje się w życiu pozagrobowym rzeczą powszechnie wiadomą. Wszyscy automatycznie dowiadują się o wszystkim, co w życiu zrobił, kiedy wydawało mu się, że jest dokładnie, chytrze i bezpiecznie ukryty.

Długotrwałe działanie słońca może spowodować pęknięcie.

Na rakiiecie „Honest John” instaluje się podkładki cieplne, żeby przed wystrzeleniem podgrzać paliwo stałe. Następnie podkładki się usuwa i wystrzeliwuje się pocisk z przewodnicy szynowej, tej masywnej beli, na zielonej łące gdzieś w Wolnym Świecie. Potem rakieta w nieomylnym locie, pożerając precyzyjnie obliczone kęsy matematycznej przestrzeni, taka święta, ze słonecznym grottem, zmienia trajektorię i nurkuje ku ziemi, a nad słupem dymu i ryku rozpościera się aureolą kula ognista jak bezimienne, pozbawione twarzy nie wiadomo co. Eric aż miał ochotę przejść na katolicyzm.

No i za parę dni będzie jeszcze mogła zrobić z resztek musu z kurczaka trzy porcje sałatki.

Pod łącznikiem jej mąż Rick woskował karoserię dwukolorowego kabrioletu fordą fairlane'a, nowiutkiego jak okoliczne domy i drzewa, z białymi oponami i z aerodynamicznymi paskami chromu, które podczas jazdy aż sypały iskry.

W muszłobezowej szafce nad kuchenką Erica trzymała wszystkie swoje foremki do galaretek: rowkowane, koliste z otworem w środku, kilka rozmiarów foremek w kształcie korony, notatki i wykresy, opisy technik formowania oraz druczki zamówień na szczególnie ozdobne foremki: zamierzała je wypełnić i przy pierwszej sposobności wysłać pocztą.

W razie połknięcia natychmiast spowodować wymioty.

Eric masował sobie fiuta sumiennie, serio, metodycznie. Prezerwatywa była nieprzyjemna w dotyku, jeszcze nie zdążył z nią się oswoić, głupio gumiała i odstręczająca. Na podłodze między jego stopami leżało zdjęcie Jayne Mansfield, której z dekoltu sukni obszytej cekinami wylażyły zderzaki. Miał ochotę wciskać fiuta między jej piersi, póki by nie chlusnęło. Ale kiedy byłoby już po wszystkim, wcale by sobie nie poszedł, jakby nigdy nic. Porozmawiałby z jej piersiami. Byłby czuły i kochający. Zwierzyłby im się ze swoich tęsknot, nadziei i marzeń.

Jednej foremki, tej w kształcie pocisku kierowanego, Erica nigdy nie używała, bo czuła się z nią w rękę jakoś nieswojo.

Twarz na zdjęciu składała się głównie z uszminek ust i obficie umalowanych rzęs, i oto w pewnej fazie swoich zabiegów Eric przestał się koncentrować na pompatycznych piersiach, poświęcił natomiast uwagę fizjonomii Jayne, jej brwiom, rzęsom i ustom złożonym w ciup. Piersi były prawdziwe, natomiast twarz sklecono z tysiąca termoplastycznych detali. I w miarę rozwoju erotycznej percepcji chłopca właśnie te maseczki woskowe, kredki, błyszczki i kremy stały się w końcu łagodnymi i wilgotnymi katalizatorami wyzwolenia.

Celowe użycie wbrew receptce przez rozmyślne wdychanie zawartości może zagrozić zdrowiu lub życiu.

Erica miała na sobie obfitą niebieską spódnicę i żółtą bluzkę, akurat w barwach rodzinnego forda.

Rick dalej stał pod łącznikiem i zamszową ściereczką przecierał chromowe części karoserii. Mógłby tak do końca życia. Oglądając w chromowej listwie własne odbicie z wykrzywionymi oczami i wodogłowiem, czuć jakiś ułamek mocy auta, konie mechaniczne, warkot decybeli z podwójnej rury wydechowej, prężność sprzęgła systemu Ford-O-Matic. Jego wóz miał tę sprytną cechę, że owszem, statecznie jeździło się nim do dentysty, a czasem z Andersonami na tak zwaną zjazdkę, czyli wspólny wypad raz naszym, raz ich autem, albo woziko Erica na kiermasz naukowy, ale gdzieś pod tymi zwykłymi, rodzinnymi pożytkami czaiła się moc maszyny, rwącej z odkrytym dachem przez krajobraz.

Niebezpieczeństwo. Zawartość pod ciśnieniem.

Do ulubionych wyrazów Eriki należał „łącznik”. Była w tym słowie łączność, łąka i to, że jest się osobą współczesną i ma

się coś, czego inni nie mają. Erica uwielbiała też słowo „jędrnia”. Kelvinator miał przyjemną, pojemną jędrnię, a ona lubiła komunikować swoim mężczyznom, że to czy tamto leży w jędrni. Nie w lodówce, tylko właśnie w jędrni. „Rick, marchewki są w jędrni”. Na Old Farm Road, w domach z zapadniętymi werandami i nie strzyżonymi trawnikami, tam gdzie baptyści z Duck River modlą się w przysadzistym budynku, który stoi wśród zielska przy drodze do wysypiska śmieci, ludzie nie wiedzą, co to takiego „jędrnia”; zamiast lodówek mają archaiczne chłodziarki albo i lodówki, ale bez jędrni, a jeśli nawet kupili lodówkę z jędrnią, to nie wiedzą, do czego ona służy ani jak się nazywa, więc wkładają do niej faski masła zamiast sałaty, jajka zamiast marchewek.

Mąż Eriki wrócił spod łącznika.

- Marchewki są w jędrni, Rick.

Lubił pochrupać surową marchewkę, kiedy już nawoskował i wypolerował samochód.

Stanął i spojrzął na owalną bryłę, białą jak stront, która leżała na warstwie sałaty w brytfannie pośrodku stołu.

- A co to takiego?

- Galareta z musu z kurczaka. Sama zrobiłam.

- Pycha - powiedział.

Czasem nazywała tę potrawę galaretą z musu z kurczaka, a kiedy indziej musem z kurczaka w galarecie. Był to jeden z tysięcy dowodów, że galareta jest poręczna w użyciu. Nawet jej nazwa dawała się wstawić w dowolne miejsce, na początek, koniec albo w środek. Działała automatycznie, za naciśnięciem guzika, tak jak wiele innych nowoczesnych urządzeń, jak cały świat, który stawał otworem, gdy nacisnęło się guzik.

Może spowodować odbarwienie moczu lub kału.

Eric przekradł się do łazienki, sunąc pod ścianą, z oślizgłą prezerwatywą w garści. Wyplukał gumkę w umywalce, a potem wetknął w nią środkowy palec, wycelował nim w stronę ust i zaczął chuchać, żeby wyschła. Wyobraził sobie, jak w filmowej wersji jego życia wszystko wyświeśla się na panoramicznym ekranie, wszystkie potajemne sprawy, których w minionych latach na osobności się dopuścił, a teraz już nie żyje i wszystko to udostępniono publiczności, więc każdy spośród jego zmarłych krewnych, kolegów, nauczycieli i pastorów może popatrzeć, jak

Eric stoi z palcem w ustach albo prawie, a na palcu ma prezerwatywę i rytmicznie dyszy, żeby ją wysuszyć.

Usłyszał, że matka go woła.

Musiał ją umyć i znowu wykorzystać, bo miał tylko tę jedną, pożyczoną od kolegi, Danny'ego Andersona, który podwędził ją ojcu ze schowka pod kilkoma parami skarpet zwiniętych w kulę. Danny przysięgał, że ani razu jej nie wykorzystał, ale nie sposób było stwierdzić to z całą pewnością, póki obaj chłopcy nie umrą i Eric nie obejrzy filmu.

Chować przed dziećmi. Grozi uduszeniem.

Eric schował prezerwatywę w swoim pokoju, wciskając ją do pudełka z talią kart. Długo wpatrywał się w zdjęcie Jayne Mansfield, zanim je wsunął do atlasu świata, który leżał na biurku. Zauważył, że piersi Jayne nie wyglądają aż tak autentycznie, jak mu się zdawało w stanie wzmożonej uciążliwości emocjonalnej, z fiutem w łapie. Coś przypominały, ale co? I nagle skojarzył. Gumowe bufory cadillaca.

Wszedł do kuchni i otworzył lodówkę - ot tak, żeby sprawdzić, co tam słychać. Jaskrawe kolory, nazwy produktów i znaki firmowe, cały wachlarz znajomych kształtów, blaszany połysk rzeczy owiniętych folią, ogólnie dobrotliwe lśnienie, niespodzianka dla oczu, jak gdyby na półkach i w przegródkach trwało małe święto, świat nie tknięty zepsuciem, wiecznie odnawialny. Było tam jednak coś jeszcze, coś z lekka niepokojącego. Może wibracja. Może budził to uczucie strumień informacyjny, zakodowany w tej nie kończącej się, zmotoryzowanej wibracji. Otwierasz białe drzwi, wielkie jak odrzwia krypty, i czujesz chłodny powiew pracującej maszynarii, która z prądu wytwarza energię i dniem i nocą poprzez nadludzkie przestrzenie porozumiewa się z innymi podobnymi maszynami - Eric czuł, że jest poza nawiasem tych dialogów, że jeszcze się do nich nie dostroił, i trochę go to zbijało z tropu.

Tyle że oczywiście ich kelvinator nie był biały. Przynajmniej nie z zewnątrz. Był w kolorach różu kamei i perłowego świtu.

Eric zajrzał do środka. Na widok dziewięciu przechylonych pucharków lekko mu się zakręciło w głowie. Przechylone desery w galarecie trochę go czasem dezorientowały. Czuł się wtedy,

jakby jakaś moc ze sfery science fiction wdarła się do domu i wykoślawiła niektóre rzeczy, oszczędzając pozostałe.

Kiedy usiedli do kolacji, Rick pokrajał mus i porozdzielał porcje. Pili mrożoną herbatę, a na krawędź każdej szklanki nadziany był plasterek cytryny - jeden z tych niewymuszonych dodatków, w których celowała Erica.

- Coś robił całe popołudnie? - spytał Rick syna. - Dużo wam zadali?
- Widziałem, jak żeś woskował auto, tato.
- Mam pomysł. Po kolacji weźmiemy lornetkę i pojedziemy na Old Farm Road, to może uda nam się go zobaczyć.
- Co zobaczysz? - spytała Erica.
- Nowy księżyc. Niby co inne? Tego satelitę, co go właśnie wystrzelili. Podobnie go widać w pogodne noce.

Erica dopiero w tym momencie zrozumiała, czemu cały dzień upływa jej w jakimś złowieszczym cieniu, odkąd otworzyła oczy i spojrzała na ściany koloru żółci mikado w grynszpanowe ciapki. Tak, wszystko przez tego satelitę, co przed paroma dniami wszedł na orbitę. Rick interesował się nim naukowo i chciał, żeby Eric też się zaciekawił. Równie zaskoczony i zaniepokojony jak Erica, gotów był jednak stanąć na łące i spróbować namierzyć lornetką przelatujący górą obiekt. Erikę ogarnęło jakieś poplątane rozczarowanie. Satelita był TAMTYCH, a nie NASZ. Ze zdumiewającą prędkością mknął nad biegunem północnym, piszcząc pip, pip, pip, a w pewnych porach leciał podobno tuż nad nami. Nie rozumiała, jak to się mogło stać. Czy należało oczekiwać dalszych niespodzianek, o których nikt nam dotąd nie mówił? Czy TAMCI mają jędrnie i łączniki? Niełatwo było oswoić się z tą nowiną.

- No jak, Eric? - spytał Rick. - Masz chęć się przejechać?
- Ja-ja-jasne, ta-tato.

Przy stole zapanowało ponure milczenie, zagłuszając lęk Eriki przed sputnikiem. Kobieta czuła, że jest jakiś związek między napadami jąkania, które miewał Eric, a jego samotnym przesiadywaniem w pokoju. Za dużo kuje, myślał Rick. No i miał rację, ale Erica wolała zbyt dokładnie sobie nie wyobrazić tego kucia.

Nie przekłuiwać ani nie spać.

Chłopiec potrafił siedzieć w saloniku przed telewizorem

w szafkowej obudowie, pasującej do słoików sosnowej boazerii, i z góry odgadywać dialogi z wszystkich programów. Wiadomości, mecze, komedie. Wiernie naśladował głos każdego sprawozdawcy czy aktora, prawie słowo w słowo, nuta w nutę, i nigdy się przy tym nie jękał.

Wszystkie inne dzieci jadły herbatniki „Oreo”. Eric jadł hydroksy - ze względu na nazwę, która kojarzyła mu się z paliwem raketowym.

Erica nie mogła znaleźć jednej rękawiczki kuchennej - a miała ich wiele par - i łudziła się, że Eric pożyczył ją, bo znowu mu zadano do domu doświadczenie chemiczne. Ale bała się spytać. I nie bardzo chciała odzyskać zgubę.

Poprzedniego dnia zanurzył hydroksa w mleku i trzymając nad szklanką ociekające ciasteczko, powiedział grubym głosem:

- Parco dopsze, żeśmy wszczelili ruski ksienżyc w amerikansko nebo.

A potem ugryzł kęs i połknął.

Mężczyźni pojechali szukać orbitującego satelity. Erica sprzątnęła ze stołu, włożyła gumopodobne rękawice i zaczęła zmywać. Rick już nieraz pokpiwał z tych jej rękawic. W kuchni stała oczywiście automatyczna zmywarka. Ale Erica uważała, że jako gospodyni powinna w pierw wszystko ręcznie obmyć i opłukać, bo jeśli nie usunie każdej ociupiny z zębów widelców i z dna garnków, zanim włączy zmywarkę, to takie organiczne paskudztwo może wrócić rano, żeby straszyc człowieka.

Oczy przemyć wodą i natychmiast wezwać lekarza.

Rękawice chroniły ją przed ukropem i przed dotykiem resztek jedzenia. Kochała swoje rękawice. Były, praktycznie biorąc, niezniszczalne, z tego samego materiału co blaty kuchenne i lampy telewizyjne, elektryczna izolacja w suterenie i wulkanizowane opony auta. Były dla niej ważne, chociaż lepkie, a zarazem suche w dotyku - co aż się prosi o wrodzoną sprzeczność.

Ważne było dla niej całe otoczenie. Przedmioty i słowa. Słowa, w które można było wierzyć i kierować się nimi w życiu.

Łącznik

Jędrnia

Narożnik

Zjazdka

Wieczorki brydżowe

Wykładzina

Kiedy skończyła sprzątać w kuchni, postanowiła przejechać odkurzaczem dywan w saloniku, lecz zdała sobie sprawę, że to jej tylko do reszty popsuje humor. Niedawno kupiła nowy odkurzacze w kształcie satelity i uwielbiała jeździć nim po pokoju, bo tak cicho mruczał, nasuwał takie futurystyczne, optymistyczne skojarzenia, ale przez ten cały sputnik zmuszona była spojrzeć na niego melancholijnie jak na nieporęczny przedmiot o nieczystym sumieniu.

Krzesa składane
Kanapowe poduszki
Półki do spizarki

Parawan
Sokowirówka
Papier do pieczenia

Pomyślała, że podniesie ją to na duchu, jeśli przygotuje coś na sobotni podwieczorek parafialny, żeby go trochę ożywić.

Nie używać w pomieszczeniach zamkniętych.

Postanowiła przyrządzić pół tuzina kompotierek sałatki *antipasto* w galarecie. Sześć paczek żelatyny o smaku cytrynowym. Sześć łyżeczek soli. Sześć miarek wrzątku. Sześć łyżek octu. Dwanaście miarek lodu w kostkach. Trzy miarki drobno pokrojonego salami. Dwie miarki drobno pokrojonego sera szwajcarskiego. Półtorej miarki siekanego selera. Półtorej miarki siekanej cebuli. Dwanaście łyżek dojrzałych oliwek w plasterkach.

Przypomniała sobie, jak mniej więcej przed pół rokiem wróciła do domu i zastała Erica z głową w salaterce *antipasto*. Rzekomo próbował wyjść sałatkę od wewnątrz, żeby sprawdzić pewną swoją teorię naukową. Wytłumaczenie to było tak zwariowane i nieprzekonujące, że aż w jakiś dziwaczny sposób wiarygodne. Ale Erica nie uwierzyła. Sama już nie wiedziała, w co wierzyć. Czy Eric zaspokajał ciekawość seksualną? Bawił się, że niby galaretka to jakiś kobiecy narząd do lizania? I wbrew naturze oddawał się stymulacji oralnej? Całe usta i język miał w zgalaretowacialej mazi. Erica patrzyła na niego. Do większości ludzi umiała znaleźć podejście. Była komunikatywna. Ale żeby chociaż porozmawiać z własnym synem, musiała wkładać rękawiczki.

Wzięła się do roboty w kuchni, nasłuchując, czy nie rozlegną się kojące odgłosy, które zwykle zwiastowały powrót mężczyzny: trzask drzwiczek auta spod łącznika, masywny stukot, gdy pre-

czyjnie dopasowane części mechanizmu obróćą się na zawiasach i szczelnie zamkną.

14 sierpnia 1964

Ten czarny z charyzmą stał przed kościołem i przemawiał do tłumu.

W śródmieściu młodzi biali opierali się o ceglane ściany i zaparkowane auta, ostrzyżeni na jeża młodzi ludzie w drelichach albo džinsach, inni siedzieli na krawężniku, wśród nich starsi, przeważnie z twardym, słonym uśmiechem patrzyli spod zmrużonych powiek, jak z dworca autobusowego wyrusza pochód.

Za ceglanymi dormitoriami i boiskami kampusu kilku czarnych opierało się o auto zaparkowane przed koślawym drewnianym domem w uliczce odchodzącej od Lynch Street. Mężczyzna z laską. Mężczyzna w niebieskich szelkach. Mężczyzna w krawacie, białej koszuli i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Paru młodszych siedziało na błotnikach i rozmawiało z kobietą, która na schodkach werandy jadła brzoskwinie.

- Zewsząd nas przepędzali, więc nauczyliśmy się biegać - powiedział charyzmatyczny mówca.

Do miasta wkraczali uczestnicy marszu, niosąc chlebaki i wymalowane hasła. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, część ruszyła w stronę kampusu. Wzdłuż ich trasy tu i ówdzie stali policjanci w białych koszulach, niektórzy palili, na pozór ignorując maszerujących, ci zaś szli dwiema kolumnami w luźnym szyku, zmierzając tam, skąd dobiegał głos mówcy.

- Przepędzali nas, więc tak się wywicziliśmy w bieganiu, że już nie potrzebowaliśmy ich zachęty - dodał młody mówca.

Na dworcu Greyhonda część uczestników marszu oddzieliła się od reszty i zaczęła siadać na podłodze w poczekalni dla białych.

Ale weranda nie miała właściwie schodków. Tylko parę pustaków opartych o ceglaną podmurówkę, na których siedziała kobieta.

Do tłumu przed kościołem dołączyli studenci, słuchając mówcy, a kilku obiboków przestało grać w bilard u Coopera, wyszło na dwór i stanęło, przyglądając się tłumowi.

Kobiety i mężczyźni maszerowali ulicami śródmieścia, a biali

siedzieli na krawężniku i przyglądali im się z przyklejonym jakby na zawsze uśmiechem.

Czterech policjantów z drogówki stało przed dworcem autobusowym, opierając się o służbowy wóz, i gawędziło od niechcienia; karabiny trzymali wparte kolbami w biodra, lufą do góry.

- Ale właśnie wtedy, kiedy nabraliśmy olimpijskiej formy, niektórzy z nas postanowili usiąść.

Kobieta dokończyła brzoskwinie i teraz trzymała pestkę w dłoni, a kiedy jeden z mężczyzn, którzy opierali się o błotnik, powiedział coś soczystego, przewrotnego czy sprytnego, lekceważącym gestem rzuciła mu ją do stóp.

Ktoś poprawił mikrofon na statywie i głos mówcy sięgnął dalej, aż do gwardzistów, którzy wysiadali z ciężarówek na końcu zatarasowanej ulicy.

Na dworcu autobusowym jakaś czarna kobieta stała i patrzyła. Przyjechała z północy, zrobiła całą tę trasę autobusami, a teraz naturalną koleją rzeczy znalazła się w poczekalni i zamierzała usiąść na podłodze. Patrzyła, jak miejscowi policjanci chodzą wśród demonstrantów, podnoszą młodego mężczyznę za rękę i nogę i nim się połapią, przez chwilę ciągną go w przeciwną stronę: dwaj gliniarze w koszulach z krótkim rękawem niosą chłopaka, w ogóle na niego nie patrząc, a on nie stawia oporu, tylko wisi w mocnym uścisku ich dłoni i daje się wynieść na ulicę.

- W społeczeństwie panuje przekonanie - mówił ten z charyzmą - że czarni powinni nauczyć się chętnie umierać.

Gwardziści ustawili się w szyku i zaczęli nakładać bagnety na lufy, a dowódca w bezowym letnim mundurze i pilśniowym kapeluszu z szerokim rondem i wgniecionym na krzyż denkiem stanął nieopodal i rozglądał się, czy nie nadjeżdża samochód pancerny.

Głos z mikrofonu niósł się nad głowami zgromadzonych uczestników marszu, studentów i mieszkańców miasta.

Kobieta siedziała na podłodze dworca, czekając, aż policjanci dojdą do niej, wyniosą ją i ciężarówką zawiozą do więzienia. Była to niejaka Rose Meriweather Martin, potocznie zwana Rosie, taksatorka ubezpieczeniowa z Nowego Jorku.

- Ciekawe, że to wcale nie biali tak mówią, tylko sami Mu-

rzyni. Czyli jak chcą nas zabić, to nauczmy się chętnie umierać. A raczej mówili. Bo teraz ni cholery już tak nie mówimy.

Przez miasto jechał samochód pancerny, z kuloodpornymi szybami w oknach i strzelnicami, a siedzący wewnątrz mężczyźni mieli pistolety maszynowe i miotacze gazu łzawiącego.

Młodzi biali zaczęli odsuwać się od ścian i zaparkowanych aut. Wstali z krawężnika, otrzepali spodnie, poszli na koniec ulicy i stanęli, już nie interesując się maszerującymi albo interesując się inaczej.

Kobieta na werandzie zobaczyła, że w ciemnościach biegnący młodzi ludzie, obiboki albo studenci, w biegu oglądając się za siebie; mężczyźni, którzy dotąd opierali się o zaparkowany wóz, też ich dostrzegli, ale nie zesztynieli, nie odezwali się ani nie odeszli. Był to ich wóz, ich ulica, więc musieli rozejrzeć się w sytuacji.

- Nie mówię wam, żebyście nie stawiali oporu - powiedział ten młody czarny. - Nie mówię, że każdy ma się zwinąć w embriona i niech mu przystawią do głowy rewolwer z odwiedzionym kurkiem. Zaraz wam wytłumaczę, o co mi chodzi.

Biali nie patrzyli już na maszerujących jak na ludzi, którzy przybyli do miasta, żeby agitować i burzyć spokój. Już nie. Przestali czytać hasła o prawie do głosu i rajdach wolności. Przestali szczerzyć zęby na widok białych zakonnic, które maszerowały ramię w ramię z czarnymi pastorami. Interesowała ich teraz panterka, długa na siedem i pół metra, z pałającymi szperaczami.

- I nie mówię, że macie kochać te pały, którymi was łożą. Patrzyli, jak przejeżdża, a niektórzy ruszyli jej śladem, nie zbyt zdecydowani.

Gwardziści w przydziałowych hełmach zaczęli wkładać maski gazowe; ci sprzed dworca mieli hełmy białe, żebrowane, podobne do kasków, jakich używają budowlańcy.

Rosie Martin patrzyła, jak miejscowi policjanci nadchodzą parami, zgarniają demonstrantów i wynoszą ich do ciężarówek bez bud.

Czarni z rozwianymi połami koszul w biegu oglądali się za siebie, a kobieta siedząca na schodkach werandy mogła wyczuć w powietrzu woń spalenizny.

Maski gazowe były pękate, z okularami jak wybałuszone ślepia i rozdętymi rurami. Gwardziści niczym wielkookie owady

wkraczali na tonący w blasku reflektorów teren przy kampusie uczelni dla czarnych. Maski miały ustniki z klapkami i filtry, które sterczały z lewej strony jak puszki kompotu ananasowego.

Przed dworcem jakiś mężczyzna leżał z rozkrzyżowanymi rękami i nogami, a policjanci go obmacywali.

Innego wrywano sobie z rąk: dwaj gwardziści ciągnęli za rękę i nogę czarnego chłopaka w pasiastej koszuli, a jeden z uczestników marszu trzymał go za drugą nogę i usiłował wciągnąć z powrotem w tłum przed kościołem Mount Calvary.

Ktoś rzucił butelkę, a kobieta siedząca na schodkach werandy usłyszała z ulicy brzęk tłuczonego szkła. Wstała i zaczęła wpatrywać się w ciemność, zastanawiając się, co tam się dzieje. Słyszała głosy, kroki ludzi, którzy biegli w jedną stronę, a potem zwracali.

- Zaraz wam wytłumaczę, o co mi chodzi. O to, że mimo wszelkich widocznych oznak nie ma najmniejszego powodu do żałowania. Bo jak widzicie czarnych i białych razem, to wiadomo, że łączy ich wspólny wysiłek, który zmierza ku poprawie. Tak powiedziane jest w konstytucji.

Pękła kolejna butelka.

A na dworcu Rosie Martin zobaczyła, że wloką za drzwi kobietę, twarzą do ziemi, głową naprzód.

Gwardziści wdarli się w tłum przed kościołem, trzymając przed sobą karabiny z bagnietami podniesione lufą do góry, a w ślad za nimi nadsięgnął gaz.

Na dworcu jakiś policjant zaczął pałować ludzi po rękach i nogach. Rosie spokojnie mu się przyglądała, licząc, ile jeszcze osób siedzących na podłodze dzieli go od niej.

- Puszczają gaz, a ja wciąż gadam - powiedział charyzmatyczny mówca. - Będę gadał, póki mi nie nawali krtań. Czarni lubią sobie ponawiać.

Uczestnicy marszu usiedli, rozproszyli się, część weszła do kościoła, inni pobiegli w przeciwną stronę, a niektórych gwardziści wlekli po ziemi w kierunku zatarasowanej ulicy.

Na dworcu policjanci z wyjętymi pałkami chodzili pochyleni wśród demonstrantów, ci zaś siedzieli, garbiąc się i osłaniając głowy rękami.

Po ulicach przetaczały się kłęby gazu, który piekł ludzi w oczy, aż czuli, jakby żar wysysał im je z czaszek. Wszędzie

zaroilo się od biegnących mężczyzn i kobiet. Gaz dalej walił, a oni zapuszczali się w boczne zaułki, po omacku, wstrzymując oddechy, spazmatycznie kaszląc, a niektórzy postanowili schronić się w kościele, ruszyli więc w jego stronę, zataczając się, na wpół oślepieni.

Rosie wiedziała, że zawiozą ją do więzienia ciężarówką bez budy, używaną zwykle do wywozu śmieci, zamkną w zatłoczonej celi i dadzą materac cuchnący szczyną, bo od wielu dni krążyły takie właśnie pogłoski.

Czarni biegli ciemnymi ulicami, a ci, którzy dotychczas opierali się o samochód, też wreszcie trochę się ruszyli. Ten w niebieskich szelkach wszedł do drewnianego domu, ten w słomkowym kapeluszu wsiadł do auta, zamknął okna i zaraz znów wysiadł, a pozostali zsunęli się z błotników i poszli na werandę, tam gdzie stała ta kobieta i patrzyła w głąb ulicy.

Kobiety chciały mieć w więzieniu te same warunki co mężczyźni. Wyraźnie stawiano tę sprawę.

Gwardziści o owadziach głowach gromadą otaczali pancerkę i zaglądali w ciemne zaułki, szukając studentów, którzy rzucali kamieniami, albo mężczyzn, co wyszli z barów i knajp z szafami grającymi i wciąż jeszcze trzymali w rękach puszkę colta 45. Wszyscy słyszeli słowa mowy:

- Jesteśmy z nimi jak ogień i woda: my się do nich nie palimy, a oni nas olewają.

Policjanci wywlekli Rosie tyłkiem po ziemi na ulicę, zakręcili nią w miejscu i zostawili. Zobaczyła zapory z drewnianych koźłów i radiowozy, ludzi kłębiących się i szamoczących, fotografów, którzy błyskali jednorazowymi fleszami, i poczuła coś jakby pierwszy posmak gazu.

Ludzie przedzierali się przez szeregi gwardzistów i zataczając się, biegli do kościoła.

Zobaczyła jednonogiego mężczyznę chodzącego o kulach, znajomą postać z ostatnich kilku tygodni, które spędziła, jeżdżąc autobusami i maszerując przez granice stanowe. I drugiego, którego bito. Zobaczyła, jak policjant bije pałką szczupłego mężczyznę, zadaje mu trzy, cztery ciosy, przerywa na chwilę i znowu wali, a ten bity błyska białkami oczu.

Kobieta na werandzie poczuła, że powietrze ją piecze, więc weszła do domu, a za nią tych kilku mężczyzn. Młodzi męż-

czyżni biegiem mijali dom, studenci i uczestnicy marszu. Jeden przystanął tylko na chwilę, żeby rzucić za siebie butelkę, i pobiegł dalej.

Gaz nazywał się CS i prawie natychmiast ludzi odurzał, a w miejscach, gdzie skóra była wilgotna, zaczynało ich piec.

Rosie poczuła woń gazu i jego smak w ustach, zanim go zobaczyła. Jeden policjant wykręcił rękę jakiemuś mężczyźnie i przycisnął go twarzą do bagażnika radiowozu, a drugi stał obok, trzymając oba karabiny, własny i kolegi, który obezwładniał demonstranta.

Do kościoła napływali ludzie w ucieczce przed gazem, który przewalał się przez boczne uliczki odchodzące od Lynch Street w miasteczku Jackson w Missouri w tę parną letnią noc, kiedy grały radia, a dzieci stały w oknach wąskich drewnianych ruder i patrzyły, jak mężczyźni biegają przez mrok.

Rosie poderwała się do biegu. Zobaczyła, że policjant metodycznie tłucze tego mężczyznę, robiąc pauzę po każdym trzech, czterech ciosach, i pobiegła w ich stronę.

Gaz emanował swoistym blaskiem, nocną poświatą, a mężczyźni w owadzych maskach wyszli z gazowej chmury, żywi i świecący.

Ten, co zamknął okna auta, sześćdziesięciolatek w białej koszuli i słomkowym kapeluszu, ruszył do domu ścieżką przy niebrukowanej ulicy, a kiedy poczuł smak gazu, zastonił twarz kapeluszem i niechcący kopnął rzuconą wcześniej przez kogoś butelkę po coli, która nie stłukła się i leżała w przydrożnym pyłe.

Rosie widziała, jak policjant wali mężczyznę po głowie i rękach, zadaje mu trzy, cztery ciosy pałąką i przerywa, więc przebiegła się między drewnianymi kozłami i pobiegła prosto ku tym dwóm, czując, że jest szybka, lekka i nic jej nie powstrzyma.

Gaz toczył się po mieście falami i przyplływami, zapuszczał w boczne uliczki i wnikał w zamknięte przestrzenie.

Nie miała pojęcia, co zrobi, kiedy do nich dobiegnie, czyli za jakieś cztery sekundy.

19 grudnia 1961

Charles Wainwright rozmawiał przez telefon z klientem z Omaha, uspokajając, ugłaskując, składając obietnice, których nie mógł dotrzymać. Miał wobec tej rozmowy pewien dystans, a oczy lekko mu pływały, bo po długim, obficie zakrapianym lunchu czuł w sobie przyjemną miękkość.

Słyszał własny głos, który mówił:

- Tak z marszu powiem ci, Dwayne, że jak chodzi o termin, to będziemy mogli zaprezentować tę kampanię za cztery i pół tygodnia. Minimum cztery. Dopiero co przekazaliśmy to zlecenie naszemu najlepszemu projektantowi. Przy boskiej interwencji może uda się nam w trzy tygodnie. Nawiasem mówiąc, Pan Bóg wynajmuje mieszkanie w Nowym Jorku, bo to miasto ma rozmach. Serio, ten grafik dostał kilka poważnych nagród, a teraz właśnie siedzi u siebie w pokoju i robi szkice.

W tej samej chwili Pasqualini, wspomniany grafik, zajrzał przez uchylone drzwi.

- Co to jest śmierć? - spytał.

Wainwright uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

- Sygnał od natury, że masz przystopować.

Charlie raptownie poderwał głowę na znak, że pęka ze śmiechu, a Pasqualini ruszył dalej korytarzem, żeby opowiedzieć ten kawał paru innym starszym agentom, równym rangą Charliemu, facetom w koszulach z różkami kołnierzyków przypiętymi na guziczki, z chromowymi uśmiechami, amatorom czystego ginu z małymi cebulkami, którzy mówili „dzięki” zamiast „dziękuję”.

W gruncie rzeczy Charlie uważał, że to idealny dowcip dla tego środowiska. Przecież w „Timesie” co rano nekrologi i reklamy ukazywały się zwykle na sąsiednich stronicach.

Charles Wainwright był szefem działu zleceń w firmie Parmelee Lockhart & Keown, średniej agencji z gmachu Freda F. Frencha na Piątej Alei w Nowym Jorku.

Firma ta napotkała ostatnimi czasy szereg przeciwności. A ilekroć traciła kolejne zlecenie, w korytarzach wykładanych dywanami cichł gwar. Ludzie czekali w kolejce do wózka z kawą, trzymając w dłoniach kubki aromatycznego napoju. Ich żarty miały gorzki posmak. Kierownicy rozmawiali przez telefon za zamkniętymi drzwiami. Makieciarze siedzieli w swoim boksie

przy wyłączonym radiu i przygaszonych lampach. Tekściarze robili sobie trzygodzinne przerwy na lunch i wracali totalnie ubzdrygnieni. Siedzieli w swoich przegródkach i wgapiali się w przypięte do korkowej tablicy okólniki, zastanawiając się, po co w ogóle się sprzedawali, skoro tak kiepsko wyszli na tej sprzedajności.

Charlie musiał czasem kogoś wylać. Kiedyś wylał trzy osoby w ciągu jednego dnia, dwie przed lunchem i jedną po. W jednym tygodniu wylał dwóch facetów, wysokiego i niskiego. Jak Pata i Pataszona. Wylał mężczyznę świeżo po zawale i kobietę, która dopiero co umarła. Nie wiedział, że Maxine nie żyje, więc musiał wylać winną temu nieporozumieniu sekretarkę.

- Jak chcesz, Dwayne, żebyśmy tu na miejscu dokonali prezentacji - powiedział w słuchawkę - to ci zamówię stolik w „Four Seasons” i będziesz mógł się popodwalać do mojej angielskiej sekretarki. Albo wyślę ci projekt do Omaha. Bardzo to ekscytujące, kiedy człowiek... Nie, serio, Dwayne, jak ty właściwie spędzasz niedziele? Chodzisz do parku popatrzeć na armatę?

Był to tekst z płyty Lenny'ego Bruce'a, ale Charlie nie czuł się w obowiązku ujawnić źródła. Lubił Dwayne'a Sturmera, porządnego faceta jak na szefa działu reklamy. A zlecenie było całkiem, całkiem, z filii ogromnego przedsiębiorstwa chemicznego, która produkowała nawozy do użyźniania trawników. Szczególnie twórcza frakcja w PL&K chciała urządzić kampanię pod hasłem „Zbomb swój klomb”. Była to dyskretna aluzja do faktu, że nawozy te z dodatkiem oleju napędowego w razie podpalenia powodowały dość hałaśliwe zamieszanie.

Przez uchylone drzwi zjrzał młody tekściarz, Swayze.

- Miałem wczoraj randkę z włoską modelką.

Charlie uśmiechnął się i czekał na dalszy ciąg. Chłopak dla większego efektu zawiesił głos.

- Wjechałem jej fiatem w pizzę.

To właśnie Charlie ukręcił kark projektowi „Zbomb swój klomb” w fazie wstępnej. Twórcza frakcja chciała wykorzystać George'a Metesky'ego jako rzecznika - pomysł tak samobójczy, że Charlie znalazł w nim nawet pewien urok. George Metesky był Szalonym Bombardierem z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, znanym z tego, że spowodował serię wybu-

chów w paru sławnych obiektach Nowego Jorku. Twórcza frakcja chciała go odnaleźć w więzieniu stanowym czy w domu bez klamek i oprzeć całą kampanię na jego niedysyjszych, opiewanych wyczynach, angażując go, żeby osobiście zachwalał reklamowany produkt.

Zbomb swój klomb nitroteksem.

Madison Avenue coraz bardziej młodziła, a Charlie miał czterdzieści sześć lat. Już prawie dojrzał, żeby go splawiono na lodowej krze razem z jego dziurkowanymi angielskimi półbutami ręcznej roboty i zegarkiem „Patek Philippe”. Wciąż jednak dostawał korzystne zlecenia i miał gabinet w słonecznym narożnym pokoju z kanapą krytą marszczoną skórą. Na ścianach ryciny, przedstawiające wyścigi konne z przeszkodami i wyfrączone lordziątka polujące z gończymi. Malowany kuferek marynarski, który wypatrzył w jakimś londyńskim sklepie. I jeden detal, zdradzający, że Charlie to w gruncie rzeczy swój chłop: coś w rodzaju baseballowego relikwiarza, trzy populistyczne pamiątki zgromadzone w najdalszym końcu pokoju.

Po pierwsze, litografia wydana w ograniczonym nakładzie z okazji dziesiątej rocznicy, zatytułowana *Strzał, który rozległ się na cały świat*. Składały się na nią między innymi zdjęcia z Polo Grounds, Ralph Branca rzuca, Bobby Thomson bierze zamach, koledzy Thomsona stoją bezładną grupą, czekając, żeby go powitać przy bazie domowej.

Po drugie, zdjęcie Thomsona i Branki, jak stoją na polu golfowym z Dwightem D. Eisenhowerem, wszyscy trzej mają w rękach drewniane kije, a na obrzeżach kadru majaczą sylwetki paru agentów tajnych służb: żona Charliego znalazła tę fotografię w sklepie ze starzyzną gdzieś w Vermoncie.

Po trzecie, wybrudzona piłka do baseballu, w delikatnej równowadze na brzeżku kubka do kawy stojącego na komodzie z dokumentami. Kupiona od faceta, który twierdził, że właśnie tę, a nie inną rzucił Branca, a Thomson bohatercko trafił.

Weszła jego sekretarka, Sandy, w sukience w mondrianowskie wzory i białych butach.

- Dwayne, właśnie weszła moja sekretarka. Ma na nogach białe buty. Jest zboczona na punkcie stóp i umiera z ochoty, żeby cię poznać.

Lubił naigrawać się z Dwayne'a, który był starym kawalerem,

straszliwie nieśmiałym, zwalistym jegomościem o cielistej cerze, w pasiastym jak pizama garniturze z tergalu i butach wielkości chińskich kanonierek.

Sandy rzuciła mu parę sprawozdań na tackę z otrzymaną pocztą. Słuchał, co mówi Dwayne o cenach reklam i kosztach w przeliczeniu na tysiąc. Sandy wyszła z gabinetu, a on patrzył, jak niecznie kręci pośladkami z nadrukiem żółtych równoległo-boków.

Chcieli ubrać George'a Metesky'ego w perukę, przyprowadzić mu wasy i włożyć okulary, żeby wyglądał jak Einstein.

Ach, te twórcze pomysły i ich wysublimowane formy unicestwienia. Co trzecia kampania osnuta była na motywach zbrojeniowych. Agencja wciąż jeszcze nie doszła do siebie po kampanii Equinox Oil. Kulminacją tego bardzo kosztownego przedsięwzięcia stanowił jednominutowy film nakręcony w Jornada del Muerto, w najdalszym zakątku Nowego Meksyku. Było to miejsce, w którym dokonano pierwszej na świecie próby atomowej. Biała plama na mapie. Teren całkowicie zamknięty dla osób postronnych. Charlie myślał, że pomysł wspaniale chwyci. Włać dwóm autom do baków najlepszą benzynę. Jednemu equinox, drugiemu paliwo wiodącej firmy spośród konkurencji. Puścić oba wozy przez tę jałową pustynię. Skręcić reklamówkę z helikopterów, z dźwigów, z wózka, w zwolnionym tempie, ze stop-klatkami, z całą najnowszą techniką. Biały samochód przeciwno czarnemu. Czytelna aluzja. USA kontra ZSRR. Wygrywa ten, który pierwszy dojedzie do Trinity, czyli do pomnika ustawionego w miejscu wybuchu pierwszej bomby. Mamy zezwolenie Departamentu Energii, Departamentu Obrony, Komisji do spraw Energii Atomowej, Zarządu Parków Narodowych. Kręcimy. Trwa to wiele tygodni. W przeliczeniu na sekundę kosztuje więcej niż jakiś hollywoodzki epos. Ale chwyci, kotku. Suche zarośla. Skwar falujący nad ziemią i krowie czaszki. Burze piaskowe. Ujęcia z góry - jeden wóz się oddala, drugi go dogania. Głos zza kadru przemawia pompatycznie zimnowojennym tonem. Któremu najpierw skończy się benzyna? Który dojedzie do mety? Kilometry na litr. Ogromnej wagi kwestia konsumencka. Oczywiście białe auto przetrzymało czarne i pierwsze dojechało do pomnika. No i wreszcie nadajemy tę reklamę. Faszujemy nią program TV. Myśleliśmy, że może ambasada so-

wiecka wniesie skargę. Tylko na to czekaliśmy. Darmowy rozgłos. A tu co się dzieje? Owszem, są skargi. Ale nie ze strony żadnego zagranicznego rządu. Odzywa się Krajowe Zrzeszenie na rzecz Popierania Ludności Kolorowej. I Liga Miejska. Odzywa się Kongres Równości Rasowej. Bo biały wóz wygrał z czarnym. Huragan protestów. Groźba bojkotu wszystkich wyrobów Equinoksu. Wycofujemy reklamę. Kręcimy ją od nowa, na własny koszt. Dwa auta. Oba białe. Jedno z wymalowaną na dachu literą A. Drugie z literą B. Nauczka. Unikać dwuznacznych metafor.

- Koszt w przeliczeniu na tysiąc, Dwayne, to przeceniany chwyt, wymyślony, żeby ukryć przed nami prawdę o sytuacji. -Poczekaj, aż Dwayne spyta, jaka jest ta prawda. - Prawda jest tylko jedna. Światem rządzi ten, kto ma akurat władzę nad twoimi gałkami ocznymi.

Kiedy skończył się mecz, przez kilka dni chodziło po mieście pewnie ze dwudziestu paru chłopca - kanciarzy, fancıarzy, frajerów i łotrów - a każdy twierdził, że to on ma tę piłkę nad piłkami. A Charlie gorąco pragnął, żeby autentyczna była właśnie ta, co leży u niego na komodzie.

Tak, ta właśnie piłka baseballowa, której posiadanie pasowało go na swojego chłopca, niewolnego od pewnych słabostek -mimo stalowego poluru. Strzygł się na faszystę u Spadavecchii z Mediolanu, a właściwie u jego uczniów, bo sam Gianni miewał czasem nadmiar klientów. Nosił pasiaste koszule z białymi kołnierzykami albo białe z niebieskimi. Garnitury szył sobie na miarę, tak bezwzględnie dopasowane, że od jednego pierdu pękł-by szew. Grywał w squash i w piłkę ręczną, stosował regulaminową gimnastykę Kanadyjskich Sił Powietrznych, smarował twarz i ciało kremami samoopalającymi i przez całą zimę siedział pod kwarcówką. Swój chłopca o duszy kombi, chociaż niedawno zafundował sobie to fikuśne mg, idealne do jazdy po podnóżach wzgórz Berkshire w okolicy letniego domku.

Sentymentalny, łzawy białas.

Tak, szczerze pragnął powierzyć baseballówkę swojemu synowi Chuckiemu. Charlesowi juniorowi. Chuckie dawno już wyrósł z gumy balonowej, zawałił ogólniak i był teraz wątlm, nieharmonijnym chłopcem o oczach jak pociski dum-dum, który potrafił nienawidzić na odległość. Oblał wszystko w Exeter, wy-

walili go z Choate, rzucił Andover. Nie przejmował się, i już. Ale Charlie przejmował się i bolał nad jego losem. Jak mógł ofiarować przedmiot brzemenny tyloma uczuciami, pomimo dwuznaczności pulsującej w korkowym sercu piłki, temu rozlazłemu, krnąbrnemu, podstarzałemu szczeniakowi, który był banitą we własnym życiu?

Wracając do działu plastycznego, Pasqualini znów zajrzał przez szparę w drzwiach.

- Jak mówisz na Murzyna, który ma metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i waży sto trzydzieści kilo, jeżeli go spotkasz w ciemnej ulicy?

Charlie blade się uśmiechnął, bo ostrożnie podchodził do najnowszej fali kawałów o równouprawieniu, i pytając uniósł głowę.

- Szanowny panie.

Raz wylał kobietę w ciąży. A kiedy indziej krewnego holenderskiej rodziny panującej. Katolika, protestanta i Żyda, w krótkich odstępach. Wylał faceta, który podczas rejsu firmowym statkiem wpadł do wody, a znów innego wylał za to, że idąc na spotkanie z klientem, wziął ze sobą broń.

- Trwają badania, Dwayne, nad tak zwanymi wylądowaniami siatkówki. Potajemnie fotografuje się klientki supermarketów. Ukryte na półkach wysoko czule kamery rejestrują stany pobudzenia w oku wewnętrznym, ruchy oka znacznie subtelniejsze i bardziej znamienne niż zwykłe mrugnięcie, i okazuje się, że kobiety dostają ocznej wariacji na widok pewnych barw, opa kowań i wzorów. Dostają istnych orgazmów oka, mózgu i układu nerwowego. A jak wykorzystujemy wyniki tych badań? To proste. Ustalamy korelację między stanami wysoko pobudzenia wymi a konkretnymi towarami, które je wywołały, i zgodnie z tymi ustaleniami projektujemy nasze produkty i opakowania. A jak już złapiemy klienta za gały, zyskujemy pełnię władzy nad całym procesem marketingu.

Sandy wróciła i zaczęła bezgłośnie, samymi ruchami ust przekazywać mu jakąś skomplikowaną wiadomość.

Ale gdyby Charlie naprawdę wierzył w autentyczność piłki, czy zostawiałby ją na widoku, bez dozoru, chociaż sprzątacze mogło przecież zachcieć się wziąć ją do domu dla syna, bo sama za mało zarabia, żeby mu kupić baseballówkę, a jak nie sprzą-

taczce, to posłańcowi z kawiarni za rogiem - wyobraził sobie smagłego samca, który w nieruchawe popołudnie sunie korytarzami, z kawą bez śmietanki i podpiekaną bułką w papierowej torbie, patrząc, co by tu podwędzić.

- Chciałaby z nami pogadać, Dwayne. Tak, moja sekretarka. Mówiłem ci, jak ona pisze na maszynie? Lubi siedzieć z jedną nogą podwinętą pod siebie. Nim zaczęła siadać na własnej stopie, w minutę pisała jakieś dwadzieścia pięć słów. A teraz pisze dwieście.

Charliego fascynowały pewne dziwactwa i osobliwości, na które Sandy pozwalała sobie w pracy. Miała tę specyficznie angielską cechę, że wyglądała wspaniale świeżo i schludnie, choć zarazem dawała powody do -domysłów, iż bieliznę ma w kiepskim stanie, a kąpie się wyłącznie pod presją swoich współlokatorek, Fiony i Georginy.

Charlie nie przerywał rozmowy z klientem z Omaha, jednocześnie rozszyfrowując niemy komunikat sekretarki.

- Mówi nam, że musi dzisiaj wcześniej wyjść, Dwayne. Ostatnio dość często wychodzi przed końcem pracy. I podejrzam nie długo nie wraca z lunchu. Wiemy, co się za tym kryje, prawda? Romans z żonkosiem.

Sandy opuściła ręce, wstrząśnięta jego bezczelnością. Arogancją, efronterią, pieprzonym tupetem Amerykanina z Nowego Jorku. Charlie posłał jej ten swój uśmiech Richarda Widmarka. Nie miał po co trzymać jej w biurze przez resztę popołudnia, ale poprosił, żeby przed wyjściem zamówiła mu sok pomarańczowy.

Chciał trafić zlecenie na reklamę Minute Maid. Bez przerwy myślał o soku pomarańczowym. Patrzył na niego, pił go, snuł o nim fantazje. Wiedział, jak należy reklamować taki sok. Żadna tam Floryda. Żadne tam zaszrane witaminy. Trzeba postawić na apetyczność, na nęcący wygląd, jest to bowiem napitek piękny i pokaźny, a kobiece gałki oczne osiągają wysoki poziom wzbudzenia na widok jaskrawopomarańczowych puszek w lodówce, lśniących od szronu. Trzeba wyeksponować mięsz. Pokazać sok chlupoczący w szklance. Pokazać pianę na górnej wardze fertycznej gospodyni domowej, jakby dyskretny ślad, że przed śniadaniem ciągnęła druta. Oczywiście w koncentracji nie ma mięszu. A w soku z kartonów są go zaledwie symboliczne ilo-

ści. Ale można zasugerować, można domniemywać, można obiecać konsumentowi, że skosztuje cytrusowych drobinek prawdziwego miąższu ze szklanki soku podobnej pucharowi napelnionemu po brzegi smakowitym koloidem, który przypomina cudowny pomarańczowy smog. Pokazać. Sfotografować z uczuciem i mikroskopowo. Skoro puszka czy paczka potrafi wywołać wizualny orgazm, zawarty wewnątrz produkt też tego dokona. Charlie za niczym tak nie przepadał, jak za szklanką soku pomarańczowego w leniwy niedzielny ranek na wsi, ze szczodrą kroplą wódki.

Chciał trafić zlecenie od Smirnoffa. W kulturze pojawił się ostatnimi czasy element rosyjskiego szyku. Jewtuszenko w tych swoich džinsach kupionych na czarnym rynku. I rosyjskie czapy, które tej zimy jakoś wcześniej wypłynęły, wciąż jeszcze u szczytu mody w Nowym Jorku i Chicago. Astrachańskie. Człowiek budzi się rano, a tu nagle co trzeci facet zarabiający tyle a tyle chodzi w rosyjskiej czapce z baranka.

- No i poszła sobie, Dwayne, przyjacielu. Zabrał nam ją jakiś świntuch z działu tekstów. Założę się, o co chcesz. Tekściarze mają w jej oczach posępny urok, bo w każdej chwili grozi im, że wylecą na bruk.

W coraz gęściejszym zmierzchu szybowwały jęki wywnętrzających się autobusów. W biurach paliły się już światła, a w korytarzach słychać było, jak maszynistki stukają w kwadratowe klawisze selectrików IBM. Żłobiona kulka dotykała taśmy, taśma dotykała papieru najwyższej jakości, zrobionego z przetworzonych szmat tak samo jak wyszczuplone koszule szefów maszynistek. Co szesnaście sekund któraś maszynistka trafiała nie w ten klawisz i minoderyjnie klęła pod nosem.

Żonaci tekściarze na randkach z sekretarkami (własnymi albo innych tekściarzy lub z wysokimi, pełnymi gracji sekretarkami szefów kampanii, elokwentnymi dziewczynami w białych butach) odbywali tkliwą musztrę miłości w porze lunchu - tak zwaną obiadupkę, czyli popołudniówkę - u sekretarek w ich przytulnych mieszkankach, uderzająco podobnych rozmiarami do boksów, w których pracowali, tyle że urządzonych bardziej wzruszająco i wrażliwie - na ścianach w kolorze zgaszonej bieli wisiały plakaty z widokami Madrytu albo reprodukcje koni Marina Mariniego lub homarów Bernarda Buffeta. Większe miesz-

kania sekretarki wynajmowały wspólnie z koleżankami, co komplikowało harmonogram i budziło w tekściarzach tęsknotę, żeby poufnie zerknąć na którąś z tych koleżanek, powiedzmy, bosonogą, w lekko rozchyłonym płaszczu kąpielowym, kiedy wraca spod prysznicza po zarwanej nocy i nieudanej randce, mieszkania prawie zawsze położone w bezsłonecznych zadnich partiach domów z białej cegły między Osiemdziesiątą a Dziewięćdziesiątą Ulicą na wschodzie wyspy, bez portierów, z małymi windami, których stan techniczny sprawdzał co dwa lata niejaki A. Bear, jeśli wierzyć najnowszym wpisom w raporcie z inspekcji na tabliczce przyśrubowanej do ściany windy.

Tak, owszem, Charlie też oddawał się niekiedy takim erotycznym figlom, z tą czy tamtą samotną młodą kobietą, zatrudnioną w dziale produkcji lub na jakimś innym tego rodzaju poziomie statku bazy, gdzieś na międzypokładzie, samotną i w rzeczy samej wcale nie zawsze taką znowu młodą. Ale czy te interludia istotnie sprawiały mu przyjemność? Czy nie były raczej smutną rozrywką, którą się katował pośród demaskatorskiego bezmiaru rozkładanej kanapy, zajmującej po rozłożeniu cały pokój, tak że Charlie musiał leżeć po pościeli, kiedy szedł się wysikać? A przecież rozkosznie się kochał z własną żoną w antycznym łożu o rzeźbionych dębowych kolumnkach, więc cóż ty najlepszego wyprawiasz, Charlie, po co walisz tę nadaną biurwę z prasowego? Była to przedziwna pokuta za jakiś nawyk behawioralny albo rys jestestwa, nazbyt przejrzysty, aby ten reklamiarz zdołał go zgłębić.

- Oto twoje zadanie, Dwayne. Musisz wczuć się w tajemniczy prąd, który płynie nocą, łącząc miliony ludzi na całym masywie kontynentu i skłaniając ich, żeby zaraz z samego rana kupili ten, a nie inny produkt. Muszą go mieć, a ty musisz być gotów ich obsłużyć, kiedy się pojawią.
- Fabrycznie opakowane towary i środki przeciwbólowe. Tylko dzięki nim ten kraj jeszcze funkcjonuje.

W drzwiach stanął smagły samiec.

- Pan zamówiły sok pomarańcza?

Charlie wyłowił pieniądze z kieszeni i zapłacił. Z szuflady biurka wyjął buteleczkę, a z buteleczki tabletkę forte przeciw nadkwasocie i połknął ją, popijając wodnistym, niezbyt świeżym

sokiem bez odrobiny mięszu, żeby chociaż trochę złagodzić kwaśne przyzływy zgagi.

Opowiedział Dwayne'owi świński kawał i poczuł, że facet różowieje na tej swojej prerii. Nie miał już nic więcej do roboty, tylko wyjść. Przeszedł przez quasi-szykowny hall w stylu babilońskiego art deco, skoczył za róg do szwedzkiej masażystki, która przez dziesięć minut obrabiała ciosami karate jego obolałe łądzwie. Potem skręcił do sklepu Brooks Brothers i kupił dwie koszule do tenisa, bo czy może być większa frajda niż spontaniczny sprawunek? Pognał przez Madison Avenue, żeby odwiedzić „Men's Bar” w hotelu „Biltmore”, jednym potężnym haustem pochłonał cutty sark z lodem i natychmiast znów znalazł się za drzwiami, aby śmiałym poślizgiem przebyć ogromną halę Grand Central, z piłką Bobby'ego Thomsona wciśniętą w kieszeń palta od Burberry'ego. Paltot ten drogi był mu jak brat i szczególnie pasował do garnituru, który Charlie akurat włożył tego dnia; z łupkoszarego tweedu uszył mu go na miarę specjalista od kłap, obsługujący ludzi z kręgów przestępczości zorganizowanej. A piłkę zabrał z biura, bo uznał, że już nie jest tam bezpieczna, pragnął zaś, żeby syn dalej ją przechował, z lepszą czy gorszą intencją, z miłości czy dla pieniędzy, autentyk czy falsyfikat, ale błagam, Chuckie, nie zawieźdź mnie, mogę przecież paść trupem, podając komuś przy kolacji półmisek faszerowanych pieczarek, a ten jedyny przedmiot chcę ci dać, weź go, przechowuj, hołub; wielkimi krokami przebiegł przez bramkę biletera w samą porę, żeby jeszcze złapać pociąg, dokonując w ten sposób największego wyczynu w całej ewolucji człowieka, i pomknął do restauracyjnego, pełnego ludzi mniej lub bardziej w tym samym typie co on, Charlie, z dokładnością do kilku iat, paru siwych włosów i detali najniegodziwszych snów.

Ostatni ekspres do Westport.

3

11 stycznia 1955

O papieżu krążyły różne historie. Doniesienia, swojego rodzaju podziemne pogłoski, takie, co to potrafią przewędrować cały kraj, z parafii do parafii. Papież Pius miewał mistyczne

wizje. Tak niosła wieść gminna. Był świadkiem całej serii nadprzyrodzonych zdarzeń, głuchą nocą coś mu się ukazywało. Tak twierdzili ludzie, czy ja wiem, zakonnice, stare damy w nocie nowenny, może także zasobni parafianie, różowi i zdrowi, oficerowie Rycerzy Kolumba. Ludzie słyszą taką opowieść i czują, jak coś im się obraca w duszach, ze starego, kochanego, śpiewnego życia przeskakują do całkiem odmiennej interpretacji.

Na lekcji jeden z uczniów wspomniał o tych pogłoskach Ojcu Paulusowi podczas dyskusji zatrącającej o taumatologii, czyli naukę o cudach.

Stary ksiądz spojrział w okno.

- Jakbyś do trzeciej rano doił czerwone wińsko, też miałbyś wizje.

Po kilku godzinach zgłosiłem się do gabinetu Ojca. Musiałem w tym celu przejść trzysta metrów pod naporem białej nawałnicy. Rąbek wełnianej czapki spuściłem na uszy i uniesionym przedramieniem osłaniałem się przed zacinającym śniegiem z deszczem, przed całą twardą fizycznością śnieżnych burz i otwartych przestrzeni, przed rzeczywistością masywu lądowego zwanego Ameryką Północną - czymś, czego nigdy dotąd nie zaznałem.

Ojciec odezwał się, zanim zdjąłem kurtkę.

- Właśnie wtedy, kiedy mi sztywnieją włosy w nozdrzach. Właśnie wtedy mam ochotę przejść na emeryturę i wyjechać do południowej Francji.
- Śnieg na dziedzińcu.
- Tak, wiem.
- Zasypało ławki.
- Owszem - przytaknął.
 - Szedłem tu zaraz za oknem i nagle zdałem sobie sprawę, że idę po ławce.
 - Tak. Siadaj, Shay, i powiedz, jak ci leci. Rozwój młodzieńca. Tak brzmi tytuł dzisiejszej sesji.
- Pożyczyłem buty. Spodobała mi się ta odpowiedź.
- Pasują?
- Nie.

To spodobało mi się jeszcze bardziej. Ilekroć pytał o stan mojego umysłu i duszy, co rzadko mu się zdarzało, ja zaś nie-

zmiennie sprowadzałem rzecz na płaszczyznę praktyczną, sądził chyba, że wymyślam przyziemną odpowiedź, powodowany jakimś męskim instynktem, podczas gdy w rzeczywistości byłem po prostu skołowany i wiecznie usiłowałem sklecić z paru słów stosowną całość.

- Co czytasz? Wyrecytowałem listę lektur.
- Rozumiesz, o co chodzi w tych książkach?
- Nie - przyznałem.

Znów się uśmiechnął. Miał chyba już dość utalentowanych chłopców. Napracował się nad wybitnymi i chciał dla odmiany porozmawiać z innego typu odmieńcami, którzy narobili kłopotów sobie i innym.

- Chwilami może tak. Jak czegoś nie rozumiem, uczę się na pamięć.

Trzymał łokieć na biurku, a teraz podparł głowę skośnie przechyloną dłonią. Tym razem bez uśmiechu.

- Chyba nie po to założyliśmy tę szkołę?
- Uczę się jak wariat, Ojciec.
- Ale nie możesz opanować pamięciowo idei, tak jak uczysz się końcówek łacińskich czasowników.

Dłonie miał drobne, bez plam. Paru innych klechów chodziło we flanelowych koszulach i grubych swetrach, ale Ojciec Paulus nie ulegał wpływowi klimatu, geografii ani panującej w ośrodku Voyageur atmosferze szczególnej swobody. Nosił czarny garnitur z koloratką, a strój ten budził mój szacunek i dodawał mi otuchy.

- Chodzi nam między innymi o to, żeby wypuszczać stąd poważnych mężczyzn. A cóż to za stworzenie, poważny mężczyzna? Niełatwo powiedzieć. W sumie jest to ktoś, kto rozwija w sobie pewną głębię, nazwijmy ją tak, przestrzenność, w której przejawia się poszanowanie dla odmiennych sposobów myślenia i wierzeń. Poszerzmy więc główne kanały wewnętrzne człowieka. I skierujmy dorastającego mężczyznę na drogę siły etycznej, dzięki której nabędzie on stanowczości, dokładnie zobaczy, kim jest, Shay, i jaką ma przyjąć postawę wobec świata.

Zawsze się bałeś, że rozczarujesz Ojca, że nie dorośniesz do poziomu debaty. Że wypadniesz mdło, gdy będzie oczekiwał bardziej ożywionej wymiany, a nawet ostrego pogrywania, lu-

zackiego cwaniactwa. Mdło i niemrawo, kiedy będzie się spoziewał niezależności i otwartej dyskusji.

- Moje własne życie, przynaję... no właśnie, wysłuchasz mojej spowiedzi, Shay, czemu nie? Któż byłby dla mnie lepszym spowiednikiem niż ty? Musiałem przeżyć aż tyle lat, zanim zrozumiałem, że nie jestem poważnym mężczyzną. Nadmiar ironii, za dużo próżności, a za mało... czego? Nie wiem, wielu rzeczy. I widzisz, zupełny brak furii. Albo najwyżej mała furyj-ka, jak od wrośniętego paznokcia u nogi, małostkowa frustracja. Prędzej czy później człowiek rozoznaje się w tych sprawach. Czy kierujesz się zasadami? Czy też szukasz wymówek, żeby usprawiedliwić swoje złe postępowanie? To moja spowiedź, a nie twoja, więc nie musisz odpowiadać. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Kiedyś, owszem, będziesz musiał. W głębi duszy dowiesz się, w jakim stopniu sprostałeś męskiemu powołaniu.

- Brak furii. Co to znaczy?

- Brak furii. Furia i przemoc mogą być w duszy czynnikami twórczego napięcia. Mogą pomóc człowiekowi osiągnąć pełnię tożsamości. Mężczyzna ma szansę strząsnąć z siebie trywialność na przykład w ten sposób, że da innemu mężczyźnie w zęby.

Widać jakoś dziwnie na niego spojrzalem.

- Chyba w to nie wątpisz, co? Nie lubię przemocy. Boję się jej jak diabli, chociaż wydaje mi się ona siłą, która poszerza granice osobowości. Moim zdaniem zdolność człowieka do działania wbrew własnym gwałtownym skłonnościom może się stać załączkiem cnoty, dowodem charakteru i powściągliwości.

- Więc co Ojciec robi? Wali w mordę czy opiera się pokusie?

- Celną uwagę. Nie umiem na nią odpowiedzieć. To ty znasz odpowiedź - odparł. - Ale jak mężczyzna może być poważny, jeśli w pełni nie doświadczy apetytów i namiętności właściwych swojej rasie, choćby po to, żeby je pohamować albo skierować na jakiś użyteczny tor?

„Któż byłby dla mnie lepszym spowiednikiem niż ty?” Tak powiedział, prawda? Ktoś, kto zaliczył poprawczak. Ktoś, kto zna odpowiedź. Oczywiście nie znałem nawet namiastki odpowiedzi i zastanawiałem się, czemu Ojciec uważa, że to, co zrobiłem, napiętnowało mnie jakąś szczególną wiedzą.

- Spotkałeś się kiedyś ze słowem „zachcenie”? Ma miły to-mistyczny wydźwięk. Oznacza całkowity odpyływ woli. Błahą

zachciankę, skłonność. Widzisz, jeżeli masz słabą wolę, życie upływa ci w najpłytszych zakolach i zakrętach twoich zajęć. I co, pomału coś się wyjaśnia?

- Przecież to Ojca spowiedź.

Jego gabinet mieścił się w starym baraku, którego belkowanie chwiało się i skrzypiało pod naporem wichury.

- Tomasz z Akwinu twierdził, że nawyk umacniają wyłącznie czyny żarliwe, nie zaś zwykła repetycja. Żarliwość wiedzie do doskonałości moralnej. Żarliwa i wytrwała wola. Jest ona elementem powagi. Stałość. Jest jednym z elementów. Poczucie kierunku. Dobrowolnie wybrany cel. Powiedz, że bredzę. Zyskasz mój szacunek.

Znajdowaliśmy się niecałe pięćdziesiąt kilometrów na południe od granicy z Kanadą, w bezładnym obozowisku, które składało się głównie z baraków tudzież innych drewnianych budynków i mogło nawet pamiętać misjonarskie korzenie zakonu -tyle że rolę tubylców w tym przypadku graliśmy oczywiście my. Biedne, ale obiecujące wyrostki z miasta; paru słabeuszy odznaczających się fotograficzną pamięcią, nieco uszarganych; błyskotliwi, ale niezrównoważeni; chronicznie nieprzystosowani; i tacy, co mieli się przystosować z państwowego nakazu; garstka Latynosów z jezuickiego ośrodka w Wenezueli, bystrych młodzieńców o kosmopolitycznym sposobie bycia, którzy tu na północy odmrażali sobie fiuty; i kilku wiejskich chłopców z bliskiej okolicy, bardziej nieśmiałych niż pożyczone garnitury.

- Chwilami wydaje mi się, że ta nasza tutejsza edukacja mogłaby raczej posłużyć jakiemuś pięćdziesięciolatkowi, który ma wrażenie, że przy pierwszym podejściu do życia trafił kulą w płot. Za dużo abstrakcyjnych idei. Gdziekolwiek spojrzysz, wiekiste prawdy. Już lepiej by wam zrobiło, gdybyście zamiast tego przyjrzeni się własnym butom i ponazywali ich części. Zwłaszcza tobie, Shay, skoro pochodzisz stamtąd, skąd pochodzisz.

Jakby się przy tych słowach ożywił. Przechylił się przez biurko i zapatrzył - właśnie tak - na moje buty.

- Paskudne, co?

- Owszem, paskudne.

- Wymień nazwy poszczególnych części. No, dalej. Nie je-

stes'my tu aż tacy wyrafinowani, tacy wyrobieni intelektualnie, żebyśmy nie mogli przepyttać ucznia twarzą w twarz.

- Wymienić nazwy części - powiedziałem. - Dobrze. Sznurowadła.

- Sznurowadła. Po jednym na każdy but. Dalej.

Podniosłem stopę i niezgrabnie ją przekręciłem.

- Podeszwa i obcas.

- Tak, dalej.

Postawiłem stopę z powrotem na podłodze i spojrzałem na but. Niewiele więcej mi mówił niż zamknięte pudełko z tektury.

- Dalej, chłopcze.

- Chyba nie bardzo jest tu co nazywać? Przód i wierzch.

- Przód i wierzch. Płakać się chce.

- Zaokrąglona *część* przednia.

- Ależ ty jesteś elokwentny. Chyba na chwilę ci przerwę, żeby ochłonąć. Jak się nazywa ta klapka pod sznurowadłami?

- Język.

- No więc?

- Znałem to słowo. Tylko że nie zauważyłem klapki.

Demonstracyjnie przewiesił się przez biurko, z lekka dygocząc, jakby w ciężkiej męczarni.

- Nie zauważyłeś, bo nie umiesz patrzeć. A nie umiesz patrzeć, bo nie znasz nazw.

Wystawił podbródek w pozie wyniosłej nagany, gestem w przeważającej mierze teatralnym, oderwał się od blatu, klapnął siedzeniem na krzesło obrotowe, znów na mnie spojrzał, a potem zrobił energiczny ćwierćobrót i podniósł prawą nogę dość wysoko, żeby oprzeć stopę, czyli zarazem but, pionowo o kant biurka.

Zwykły, codzienny but duchownego.

- No dobra - powiedział. - Znamy już podeszwę i obcas.

- Tak.

- Zidentyfikowaliśmy też język i sznurowadło.

- Zgadza się - przytaknąłem.

Przeciagnał palcem po skórzanym pasku, który biegł wzdłuż górnej krawędzi buta i skręcał w dół pod sznurowadło.

- Co to jest? - spytałem.

- Ty mi powiedz. Co to takiego?

- Nie wiem.

- Mankiet.
- Aha, mankiet.
- Mankiet. A to sztywne nad obcasem. Nazywa się zakładka.
- Zakładka.
 - Ta część w połowie drogi między mankiem a tym paskiem nad podszewą. Nazywa się napiętek.
- Napiętek - powtórzyłem.
- Pasek nad podszewą. Wypustka. Powtórz, chłopcze.
- Wypustka.
 - Widzisz, jak ukrywają się rzeczy codzienne. Ponieważ nie znamy ich nazw. Jak nazywa się ta część z przodu, która osłania podbicie?
- Nie wiem.
 - Nie wiesz. To jest przyszw. -
Przyszw.
- Powtórz.
 - Przyszw. Ta część z przodu, która osłania podbicie. Myślałem, że nie mam się uczyć na pamięć.
 - Nie wkuwaj na pamięć idei. I nie bierz nas zbyt serio, kiedy mówimy, że nauka pamięciowa to tępe kucie, musztra. Mężczyzna rozwija się między innymi właśnie dzięki musztrze. A przez co przeciągasz sznurowadło?
 - To akurat powinienem wiedzieć.
 - No jasne, że wiesz. Dziurki po obu stronach języka i nad nim.
 - Nie pamiętam. Oczko.
 - Może jednak daruję ci życie.
 - Oczka.
 - Tak. A metalowe osłonki na obu końcach sznurowadła. Pstryknął w jedną z nich środkowym palcem.
 - Tego nie zgadnę nawet za milion lat.
 - Skuwka.
 - Nawet za milion lat.
 - Szpica, czyli skuwka.
 - Skuwka - powtórzyłem.
 - A to metalowe kółeczko, co wzmacnia krawędź oczka, przez które przechodzi skuwka. Przerabiamy teraz fizykę mowy ludzkiej, Shay.
 - To małe kółeczko.

- Widzisz je?
- Tak.
- Nazywa się przelotka.
- O rany!
- Przelotka. Naucz się tych nazw, poznaj je i pokochaj.
- Zaraz zwariuję.
 - To szczyt wiedzy tajemnej. A kiedy zanoszę but do naprawy i szewc zakłada go na coś w rodzaju prawidła. Jak się nazywa ten drewniany klocek w kształcie stopy?
- Nie wiem.
- Kopyto.
- Głowa mi pęka.
 - Codzienne drobiazgi tworzą skarbnicę najbardziej lekceważonej wiedzy. Te nazwy są niezbędne dla twojego rozwoju. Rzeczy egzotyczne. Gdyby nie były ważne, nie używalibyśmy tego przepysznego greckiego słowa. Powtórz
 - zażądał.
- Egzotyczne.
 - Niezwykłe słowo, które sugeruje głębię i rozległość tego, co powszednie.

Biała koloratka wisiała mu pod jabłkiem Adama, skórę na szyi miał luźną, powroźną. Wyglądał, jakby starość zaszła go zniecka, spóźniona, i teraz nadrabiała straty.

Włożyłem kurtkę.

- Chciałem ci przynieść coś do czytania - powiedział.

Ale dłonie miał wciąż jeszcze młode, powleczone miękką, kredową skórą o niemowlęcym rumieńcu. Na stole w rogu pokoju stała szachownica z figurami w pozycjach wyjściowych.

- Przyjdź jutro do Upper Red, to wygrzebię dla ciebie tę książkę.

Upper Red to była nazwa kwatery ciała pedagogicznego. Budynki Voyageura nosiły nazwy okolicznych jezior, miasteczek, rzek, lasów. Nie dawano im imion świętych, teologów ani jezuickich męczenników. Według Paulusa z jezuitami w tyłu miejscach na świecie obchodzono się tak bezpardonowo za ich próby nawracania i reformowania - w Japonii ścinano im głowy, na afrykańskim przylądku Horn wypruwano wnętrzności, w Ameryce Północnej zjadano żywcem, w Syjamie krzyżowano, w Anglii rozdzierano koźmi, na Madagaskarze topiono w oceanie - że założyciele naszego małego eksperymentalnego ko-

ledzu postanowili darować pejzażowi co krwawsze emblematy z dziejów zakonu.

- A tak przy okazji, Shay.
- Słucham.
- Czy ja dobrze widziałem, że wczoraj stałeś w tej grupce, co podpisywała petycję z poparciem dla senatora McCarthy'ego?
- Tak, byłem tam, Ojcze.
- I podpisałeś petycję.
- Nie widziałem w tym nic złego - odparłem. Skinął głową, nie patrząc na mnie.
- Wiesz, czemu Senat go potępił?
- Inni też podpisywali - powiedziałem. - Kilku z Ameryki Południowej - dodałem z lekką desperacją, bo zdawałem sobie sprawę, jak głupio to brzmi, ale nie wiedzieć czemu wydawało mi się, że właśnie w ten sposób zdołam się usprawiedliwić.
- Więc i ty podpisałeś. Inni srali, Ojcze. No to i ja się zesrałem.

Roztropnie kiwał głową, nie patrząc na mnie, więc w końcu odwróciłem się i wyszedłem.

Przez pewien czas chodziłem w tę i z powrotem po dziedzińcu, chociaż trwała zamieć. Potem wróciłem do swojego pokoju i zrzuciłem kurtkę. Chciałem posprawdzać w słownikach te wszystkie wyrazy. Zdjąłem buty i wyjąłem czapkę nad umywalką. Chciałem sprawdzać słowa. Chciałem znaleźć w słowniku „zachcenie” i „egzoteryczne”, żeby raz na zawsze wykuć na pamięć te kurewstwa, razem z pisownią i całą resztą, wymówić je sylaba po sylabie - wypowiedzieć, udźwięcznić, wyrecytować, wyklepać te słowa, cokolwiek są warte.

Bo nie ma na świecie innego sposobu, żeby uciec przed tym wszystkim, co cię stworzyło.

24 października 1962

Przyjechali w deszcz, sami młodzi ludzie prócz felietonistów z „Chronicie” i z „Examinera” oraz paru siwobrodych poetów z księgarni „City Lights”, i czekali, aż Lenny Bruce wyjdzie na scenę.

W Basin Street West w głębi sceny wznosiła się ściana z podrabianego kamienia polnego. Miała niby tworzyć ciepłą atmo-

sferkę, ale wyglądała jak kupa brzydkich, brzuchatych głazów, więc klub przypominał loch albo bunkier.

Siedzieli i czekali na Lenny'ego, jazzmani z lekka tracący trawką, kilka monosylabicznych kociaków ubranych w egzystencjalną czerń, schludni studenci o potajemnie zboczonych gustach, cała redakcja pisemka „Polyester Wok”, pięć prawych duszyczek, których gniew na świat przygasał w obliczu zdarzeń ostatnich kilku dni.

Lenny pojawił się nagle, bez zapowiedzi wśliznął się w krąg światła z punktowca i zaczął mówić, zanim choćby zdjął mikrofon ze statywu.

- Ewakuują Norfolk w Wirginii. Słyszeliście o tym? Norfolk. Ogromną bazę marynarki wojennej, z której wypływały okręty, niszczyciele i krążowniki, żeby utrzymywać blokadę. Ewakuują się rodziny i wszyscy prócz najbardziej niezbędnego personelu. Pytanie tylko - obrócił głowę w bok, żeby spojrzeć na widzów z ukosa, chytrze, jakby ich wpuszczał w maliny - kto się wprowadzi na ich miejsce. No właśnie. Szlag trafi dzielnicę. Bo do tych domów wtargnie cały niepożądany element czarnej maści w promieniu pięciuset kilometrów, więc ceny nieruchomości spadną na łeb na szyję, a marynarka wojenna powie: kurwa, stary, mniejsza o ruskie łodzie podwodne i frachtowce, wyce lujmy nasze działa w stronę Norfolkku.

Był tej nocy jakby trochę opuchnięty, z twarzą białą jak ptyś, a jego mowa gestów wzbogaciła się o nadprogramowe dygotki.

- Nieruchomości decydują o wszystkim. Człowieka określa geografia. Jak jesteś katolik z Nowego Jorku, to jesteś Żyd. Jak jesteś Żyd z Butte w Montanie, to jesteś czysto gojski miszung. Coś na kształt kartofli w proszku. Zresztą o to właśnie biega w tym całym kryzysie. O błyskawiczne puree z ziemniaków. O całą technologię rzeczy błyskawicznych, robionych naprędce, stary, bo już nie starcza nam koncentracji, żeby stoczyć normalną długą wojnę, a w wersji filmowej Rod Steiger gra Chruszczowa jako głowę państwa prosto z Actor's Studio. Macie pojęcie, jaki jest głęboki, jaki nie zrozumiany, idealnie podrobił akcent, no i ta ogolona głaca, odstawia ataki szału i wrzeszczy, pokazuje motywację - samotny chłopak z kopalni węgla brutalnie pnie się na szczyt, ale tak naprawdę szuka tylko dowcipnej kobiety, która mu się odszczeknie i czasem go rozśmieszy. To nie żaden

ćwok - pół człowiek, pół kielbasa. Steiger robi z niego posepnego, wrażliwego samotnika, obarczonego całą meszuga rosyjskiej historii. Widzimy delikatną, kobiecą stronę jego natury, kiedy w szafie na płaszczu romansuje z amerykańską podwójną agentką, którą gra ostrzyżona po męsku Kim Novak.

Lenny zmieniał głos, naśladował różne akcenty. Nie miał solidnej podbudowy technicznej, ale miksował całe kultury, strefy geograficzne i krzyżujące się odniesienia, żeby uzmysłowić słuchaczom, ile nakłada warstw imitacji.

Wśród publiczności było trochę beatników, a właściwie epigonów ruchu, mężczyzn w starych kraciatych kurtkach roboli, autentycznych z wczesnych lat pięćdziesiątych, facetów o cokolwiek dalekim spojrzeniu, wciąż jednak wyczulonych na znaki cudów, których widownią jest wszechświat, a wśród nich siedziała kobieta w bluzie z patchworku, z dzieckiem w nosidełku, zapewne pierwszym i ostatnim niemowlęciem, jakie kiedykolwiek widziano na występie Lenny'ego, ale działo się to przecież w San Francisco, w owym doniosłym tygodniu.

- Kennedy ma publiczne wystąpienie i zaraz słyhać, jak ludzie mówią: Widziałem jego włosy! Albo: Widziałem jego zęby! Widowisko jest tak oszałamiające, że nie ogarniają całości. Widziałem jego włosy! Wielbią święte relikwie, chociaż facet jeszcze żyje.

Kanon beatników stwierdzał, że bomba jest owocem chorób Ameryki. Beatnicy solidaryzowali się wprawdzie z Lennym w jego atakach na hipokryzję i tym podobne, współczuli mu, ilekroć aresztowano go za narkotyki albo wytaczano mu proces o obrazę moralności, ale raczej nie robiły na nich wrażenia rosyjskie akcenty i inne etniczne zagrywki i grepsy, które tryskały z niego jak woda sodowa ze starej rozlewni w Canarsie. Cień bomby wisiał nad całym pejzażem beatników. Zawsze tak było. Beatnicy nie potrzebowali kryzysu raketowego, żeby wreszcie pomyśleć o bombie. Bomba była dla nich najbardziej poręcznym argumentem, świadczącym o moralnej zgniliznie Ameryki, grzesznej krainy kominów fabrycznych i zrobotyzowanych korporacji, zniewolonej przez „Time'a” i J. Edgara Hoovera, gdzie w tysiącach przydrożnych barów na jazzowej prerii chronią się przed ulewą ludzie zgarbieni nad filiżankami kawy, skryci trockiści i smutne nimfomanki z buddyjskimi cipkami - a Len-

ny właśnie to wszystko ośmieszał. Był estradowcem, wygarniturzonym i zadbanym, zblazowanym i zdemoralizowanym komikiem z zakładu pogrzebowego, a bomba stanowiła element makabrycznej kampanii reklamowej, która wymknęła się spod kontroli.

Tego wieczoru miał na sobie ciemną kurtkę ze stójką, coś a la Nehru, która aż się prosiła, żeby ją wyprać i wyprasować, i narzucony na ramiona biały płaszcz, bo go zapomniał zdjąć, a może zamierzał wyjść w pośpiechu.

Zaczął snuć jakieś impresjonistyczne brednie. Trudno było za nim nadążyć. Coś o sprawach sądowych, adwokatach i sędziach. Jakby człowiek słuchał kogoś, kto myśli, że mówi do kogo innego.

Nagle przerwał i rzekł:

- Kochajcie mnie. Po to tu jestem. Dzisiaj i każdej innej nocy. Jak przestaniecie mnie kochać, umrę.

Nie był to żaden numer ani greps. Numer zaczął się zaraz potem. Lenny wymyślił go, siedząc w plastikowej toalecie dla karzełków, w samolocie z Los Angeles, kiedy tuż przy jego prawym oku mrugał czerwono podświetlony napis: „Wróć na miejsce. Wróć na miejsce”.

- Na niebie nad Hawanę ukazuje się archanioł Gabriel. Ochroniarze budzą Castro, a on im mówi: weźcie, nie zwracajcie mi głowy, a oni mu na to, że przybył boży posłaniec, więc wsiada w helikopter, i fru. Anioł ma na sobie białą szatę i płonącą trąbę w ręku, a Castro ze zdumieniem widzi, że Gabriel jest czarny. Super, myśli, nareszcie jakiś gramotny Murzyn, możemy serio ponawiać, bez jaj. Mówi do anioła: ja tam nie wierzę w Boga, ale weź mi powiedz, po czyjej stronie stoisz w tym kryzysie. A na to anioł: powiem krótko-węzłowato. Po tej, która ma baseball i jazz. No to właśnie my mamy baseball i jazz, powiada Castro. Po naszymu to się nazywa muzyka afrokubańska. Spodobalaby ci się, stary. Swinguje jak cholera. Nie będziesz mnie uczył, skurwysynu. Grałem z Birdem, nie myśl sobie. Taaa, za starych dobrych czasów dzemowaliśmy u Minton. Znaczy chcesz wiedzieć, po czyjej jestem stronie. Po tej, która ma mamę i szarlotkę. *No problema*, cieszy się Castro. Rosjanie mają i mamę, i szarlotkę. Ichnia szarlotka nazywa się *jabłocziej piróg*. Cwaniak z ciebie, mówi anioł, ale ja jestem po tej stronie, co ma Kaczora Donalda, Myszkę Miki i mafię.

A niech to szlag, klnie Castro, że też musieliśmy wykopać mafię z Kuby. Ale dlaczego jesteś po stronie mafii? A bo Pan Jezus ma słabość do gangsterów. Jak to, dziwi się Castro. A co myślisz, facet, pyta się anioł. Przecież sam jest Włochem. Zaraz, zaraz, mówi Castro. Jezus Włoch? No a co, nie jest? - dziwi się Gabe. I już ma trochę niepewną minę. Zaczyna wytrząsać ślinę z ust-nika trąby, jak zwykle, kiedy traci pewność siebie. Jest bardzo drażliwy na punkcie swojego wykształcenia. W końcu mówi lekko defensywnym tonem: wszyscy papieże to makaroniarze. Wiadoma rzecz, stary. Bo Jezus był makaroniarz. Italiano od urodzenia. Przyuważ, Jim, jaką ma cerę. Jezus żył na Środkowym Wschodzie, mówi Castro. Chyba ci odbiło, odpowiada Gabriel, co ty mi za kit sprzedajesz. Przecież facio jest z Neapolu. Gada rękami. Jak chcesz wiedzieć, to Jezus był Żydem. Wiem, że był Żydem, zgadza się Gabriel - włoskim Żydem. We Włoszech też są Żydzi, może nie? A na to Castro: za jakie grzechy muszę słuchać tych bzdurow? Masz ostrego świra, koleś. A anioł mu mówi: będziesz mi tu wciskał, że całe życie wierzyłem, że Jezus zmienił wodę w wino na włoskim weselu, a to wcale nieprawda? Lenny odstawił ten numer z lekkim roztargnieniem, chwilami szwankowała mu dykcja, ale przecież zawsze tak mówił, bo to należało do luzackiego sznytu - coś w rodzaju zaświatowej fugi z narkotycznym napędem.

- Widziałem jego włosy! Widziałem jego zęby!

A potem przypomniał sobie tekst, który zdążył już pokochać. Skulił się, przyczął, naciągnął płaszcz na głowę i prawie połknął mikrofon.

- Wszyscy umrzemy!

Tak, kochał tę kwestię, uwielbiał ją wykrzykiwać, cudownie go odświeżała, oczyszczała z lęku, a zarazem obwieszczała ten lęk: w tym słabym, chorym, tchórzliwym, bezsilnym, a zarazem w jakiś sposób szlachetnym okrzyku, przeciągłym, głośnym i przejmującym wysokim krzyku bólu i męki brzmiała nuta rozkosznego wyzwania.

Jego głos przeszył widzów niesamowitym dreszczem ekscytacji. Odczuli ten okrzyk wręcz fizycznie. Drgnął im we krwi i wszystkich połączył. Był to bunt psyche, zawrodożenie jaźni wydobyte z otchłani ich własnych dusz, z tego rozpaczliwego,

głęboko zagrzebanego punktu, w którym każdy człowiek domaga się uznania swoich prymitywnych praw i pragnień.

Raptem wpada na nowy pomysł i natychmiast nim strzela, jak bokser, który tak celnie bije prostym, że aż się z radości uśmiecha.

- Ale może część z nas jest bardziej bezsilna od reszty. Bo to biała bomba, kapewu. - Tu zmienia ton, zaciąga jak prostak z Południa. - To nasza bomba, niczyja inna. Moskwy i Waszyngtonu. Weź pan to pod uwagę. Biali mają tę bombę w garści.

Jest zachwycony własnym pomysłem.

- Patrzysz na Watts. Patrzysz na Harlem. I mówisz: nie przyperdalajcie się do naszych cii, bo zrucimy atomówkę. Lepiej niech świat się skończy, niż żeby się rasy mieszały.

W niedbałej, jazzowej pozie pstryka palcami.

- Prędzej wszystkich pozabijamy, niż podzielimy się swoimi kobitami.

I właśnie wtedy zapadła ciemność. Po prostu. Zgasł punktowiec, światła w barze, lampki z napisem WYJŚCIE - zgasło wszystko. W mroku majaczyła sylwetka Lenny'ego, który jakby eksperymentalnie ruszył w stronę wielkich metalowych drzwi wychodzących prosto na ulicę, a klienci z pierwszych rzędów usłyszeli być może, jak mruczy: „Wróć na miejsce. Wróć na miejsce”.

Szmer na widowni, parę głów odwróciło się, parę osób wstało z wahaniem. Czy myśleli, że może to już, bomba, eksplozja w powietrzu? Przecież całkiem niedawno od pulsacji elektromagnetycznej wywołanej próbnym wybuchem na Pacyfiku po liniach przesyłowych w Honolulu przebiegły potężne prądy, aż na całej wyspie pogasły światła i włączyły się alarmy przeciw włamywaczom.

Światła się zapaliły. Punktowiec prażył pustą scenę. Mur z kamienia polnego nigdy nie wyglądał bardziej nago i fałszywie. Lenny stał jakieś półtora metra od wyjścia. Ruszył wolnym krokiem w stronę sceny, udając kogoś, kto ukradkiem wraca do pokoju, z ulgą, spieszony, a oni czekali, aż powie coś, co wynagrodzi im tę długą chwilę napięcia, sprawi, że zatrzęsą się ze śmiechu, ale kiedy dotarł wreszcie na proscenium, podniósł dynadający mikrofon i przytknął go do ust, z głośników popłynęły piski i trzaski, znowu wszystko zgasło, do wszystkich siatkówek

na sali przyłgnęło wspomnienie woskowej twarzy Lenny'ego z cieniem przerażonego uśmiešku, a niemowlę się rozplakało. Kiedy znów zapaliły się światła, po upływie dwudziestosekundowej wieczności, scena była pusta, metalowe drzwi uchylone, występ najwyraźniej dobiegł końca.

14 czerwca 1957

Czasem tygodniami prawie nie sypialiśmy. Spędzaliśmy razem każdą godzinę dnia i nocy przez trzy, cztery tygodnie, wiele z tego czasu, a właściwie większość spędzaliśmy w jej aucie, jedliśmy tam i spali, kochaliśmy się, budzili, rozglądali po okolicy i stwierdzali, że jest jeszcze ciemno albo widno, to zależy, aż wreszcie z tego czy innego powodu, logicznego lub nie, przestawialiśmy jeździć i życie na tyle zwalniało tempo, że wszystko mogło się dziać normalnie w pokojach, ale tylko do chwili, gdy znów była pora ruszać, więc podjeżdżała tym swoim hałaśliwym mercem z pięćdziesiątego roku, z obniżonym zawieszeniem i lekko podkręconym napędem, no i znowu mknęliśmy na zachód.

- Nie mów mi, co ci się śniło - powiedziałem.
- Ale przecież musisz posłuchać.
- Wcale nie chcę słuchać.
 - Ach, ty draniu, właśnie że musisz - odparła Amy - bo wszystko, co się dzieje, ma się przytrafiać nam oboju.
 - Nie wiesz, że nikt nie chce wysłuchiwać cudzych snów, nie chce wiedzieć, co się śni innym ludziom?
- Ach, ty draniu, jakich cudzych? Jakim innym ludziom?
- Patrz na szosę.
- Była umowa, że dzielimy się każdą najdrobniejszą myślą.
- Patrz na szosę. Prowadź wóz - powiedziałem.

A kiedyś wysadziłem ją w Santa Fe, bo miała tam jakichś przyjaciół rodziny, a sam pojechałem dalej autem i nie włączałem radia ani nie czytałem gazet, a tydzień później dogoniła mnie, spotkaliśmy się w barze dla górników w Bisbee w Arizonie i poflirtowaliśmy przy partii oszukiwanego pokera, a potem pięliśmy się pod górę stromymi, wąskimi uliczkami i czuliśmy coś tak mocno, a każde z nas wiedziało, że to drugie czuje się identycznie, aż myśleliśmy, że twarze buchną nam żywym płomieniem.

- Śniły mi się góry. Czyste miejsce gdzieś wysoko, nad jeziorem.
- Nie wiesz, że sny są ciekawe tylko dla tego, komu się śniły?
- Wydaje ci się, że taki jesteś oblatany. Straszny z ciebie mądrała jak na cudzoziemca.
- Prowadź wóz.
- Który nauczył się angielskiego dopiero po wyjeździe z Nowego Jorku.

Amy była wysoka, kompetentna i dobrze wyglądała w dżinsach. Radziła sobie z wieloma rzeczami, wiele rzeczy umiała robić i nawet jej uroda miała w sobie coś z kompetencji, ze śmiałej zaradności, jawna i przejrzystość, ze szczyptą blaknących piegów i sprośnym uśmiechem.

A raz wylądowaliśmy w Yankton w Dakocie Południowej, na początku lata, kiedy widzowie akurat wychodzili z kina, które też nazywało się Dakota, miało fasadę wyłożoną kolorowymi kafelkami i podobiznę Audie Murphy nad wejściem, a młodzi ludzie z Yankton wsiedli do aut i zaczęli jeździć w tę i z powrotem główną ulicą, a my razem z nimi, prawie zasypiając, a potem wstępowaliśmy do kin samochodowych, rozmawialiśmy o życiu, jechaliśmy przez prerię, rozmawialiśmy o filmach, przejeżdżaliśmy przez myjnie i nawzajem czytaliśmy sobie na głos wiersze, a mydliny spływały po szybach.

Jej wóz był czarny, jakby zamaskowany, więc czuliśmy się jak wędrowne widma, dżinny, które mogą niepostrzeżenie sikać w wiejski piach. Nie chciała mi powiedzieć, że samochód dostała od ojca. W nagrodę za dyplom. Ale ja i tak wiedziałem to od jednego z jej braci, tak jak wiedziałem, że mnie rzuci u kresu naszej podróży.

- Wiesz, co jest w tobie ciekawego? Chcesz niby się dzielić każdą najdrobniejszą myślą. Ale ciekawe w tobie jest to - powiedziałem - że zapomnisz wszystko, co mówiliśmy i robiliśmy, i każdą naszą wspólną myśl, jak tylko.
- Nie.
- Jak tylko.
- Właśnie że nie.
- Jak tylko się rozstaniemy. Bo wiesz, kto ty jesteś? Praktyczna, uparta, dosyć wyrachowana kobieta, która wszystko pla-

nuje o dziesięć lat naprzód i potrafi dokładnie ocenić każdą mijającą minutę.

- Jako co?

- Jako coś, co wysysasz do ostatniej kropli, żeby rano móc o tym zapomnieć.

A raz zatrzymaliśmy się przy jakiejś stajni i próbowała nauczyć mnie jeździć konno, ale ja tylko wsiadłem, zaraz zeskoczyłem i już więcej nie chciałem wsiąść, więc pojechała z indiańskim przewodnikiem między chłodne wzgórza.

- A co w tym złego? - spytała.

- Ja tylko mówię.

- W tym, że wysysam każdą minutę. Co w tym złego?

- Tylko mówię.

- A i tak ci wszystkiego nie powiedziałam. Więc nie rób mi wyrzutów - odparła.

- Powiedziałaś mi już wszystko, i to po dwa razy.

- Ale z ciebie drań.

- Powiedz mi to, czego jeszcze nie słyszałem. No, jazda. Spróbuj mną wstrząsnąć. Bo na razie wcale nie jestem wstrząśnięty.

Dużo rzeczy umiała zrobić i naprawić, chętnie opowiadała o rodzinie Brookhiserów, o dziadkach, o żonach pionierów, poszukiwaczach złota i o całym rozproszonym potomstwie tego starego, czerstwego rodu.

A raz zatrzymaliśmy się u jej najstarszego brata, architekta, i spaliśmy w osobnych pokojach. Wyglądało na to, że wszędzie ma braci. Ten akurat mieszkał niedaleko Yumy w krzywym domu, który sam zbudował z podkładów kolejowych i klepanej blachy. Amy wpadła w ekstazę, patrząc z ukosa na ten otynkowany dom, celowo przechylony dla większego efektu.

Od tej ciągłej jazdy byliśmy bliscy obłądu i przemierzając jeden z największych stanów, przez pół drogi prawie bez przerwy sobie dogadywaliśmy, przeżywaliśmy skondensowaną w kilku tygodniach alchemię wielu lat brutalnego małżeństwa, w powietrzu brzęk wiecznych niedopasowań i jeszcze to przekonanie, że nie powinniśmy spać, skoro możemy przez ten czas mówić sobie jakieś straszne i ważne rzeczy.

A kiedyś na drodze bez asfaltu, gdzieś koło Ruby w Arizonie, spotkaliśmy czterech jeźdźców, którzy pędzili byka, garbatego,

zdmiewająco ogromnego, prawie nierzeczywistego, więc za-
trzymał się, nie tylko z ciekawości i z obawy, że zwierzę
zaatakuje samochód w ruchu, lecz i przez jakieś dziwne, po-
gańskie uszanowanie wobec zwierzęcia budzącego taki nabożny
lęk, długorogiego buhaja, a kowboje pomachali nam i pognali go
rdzawą wiejską drogą.

- Czasem dostaję takich cichych napadów - powiedziała.
- Znienawidziłbyś mnie, jakbym ci się przyznała do tych
wściekłych klębowisk seksu, zazdrości i złości, kiedy życzę
komuś bliskiemu, żeby zaznał najgorszego bólu i umarł
powolną śmiercią.
- Opowiedz mi.
- Nie opowiem. Nawet tobie. Zwłaszcza tobie.
- Chcę, żebyś jni opowiedziała.
- Nie, chyba że mnie zmusisz - odparła.

Robiła czasem takie taneczne uniki. Miała pewien własny
rytuał, odruch, i nie było w nim nieśmiałości, tylko lisia czujność:
im bardziej mnie chciała, tym bardziej się odsuwała, oddalała
tanecznym ruchem, z błyszczącymi oczami, nadstawiając bark,
kiedy próbowałem się zbliżyć. Potrafiła się znarować nawet w
trakcie samego aktu, prawie udając, że robimy wcale nie to, tylko
coś całkiem innego, czy ja wiem, może trzymamy się za ręce na
szkolnym korytarzu, a czasem po prostu mnie odrzucała, mówiąc:
„Nie, nie pozwolę”, albo: „Nie, nie dam”, choćbyśmy właśnie się
pierdolili, rozciągnięci na tylnym siedzeniu.

Myślałem, że nasze twarze buchną ogniem i ulotnią się, kiedy
nocą w połowie czerwca wspinaliśmy się na schodki wąskich
uliczek Bisbee w Arizonie, wstrząśnięci miłością, trochę jak-
byśmy sami się wykasowali, po piwie z kanapką w ciemnym
barze pełnym górników z kopalni miedzi i ich psów o sercach
toczonych przez nitkowce. Nie przypuszczałem, że można poczuć
coś takiego, a potem czuć to wspólnie, dwie głowy prawie
urwane, opustoszałe umysły, dwoje ludzi straconych dla wszyst-
kiego prócz miłości.

- Wiem, co robisz - powiedziała. - Nie śpisz, tylko patrzysz,
jak ja śpię.
- A kiedy ty w ogóle sypiasz?
- Za dużo chcesz. Najchętniej cały byś we mnie wlał. Wcis-
nąłbyś się za swoim chujem. Czyby mi przyszło do głowy?
- Prowadź wóz.

- Ale czyby mi przyszło do głowy?
- Nie patrz na mnie, jak prowadzisz.
 - Czyby mi przyszło do głowy, że poznam faceta, który będzie próbował wleźć za mną do toalety?
- Prowadź wóz.
 - Na stacji benzynowej chciałeś wcisnąć się za mną do ubikacji. Właśnie sobie przypominałam. Prawie mi wyleciało z głowy. Bałeś się coś przegapić.

A raz przejeżdżaliśmy przez Bakersfield w Kalifornii i wóz się przegrzał, więc wstąpiliśmy po wodę do osiedla przyczep mieszkalnych - nie miałem bladego pojęcia, że coś takiego istnieje. Całe rzędy przyczep, których lokatorzy przy czterdziestu stopniach w cieniu piekła hot dogi. Kobieta w kostiumie kąpielowym prasowała ciuchy na desce wystawionej przed przyczepę, a dzieci w samych majtkach jeździły na trójkołowych rowerkach. Nie wyobrażałem sobie, że coś takiego w ogóle może istnieć, nie przyszłoby mi do głowy, nigdy do mnie nie dotarło, że są ludzie, którzy na stałe mieszkają w przyczepach. Amy nie bez powodu nazywała mnie cudzoziemcem z Nowego Jorku.

Jechałem do Pało Alto jako początkujący redaktor podręczników, członek zespołu, który postanowił zmienić atmosferę szkolnych klas, nadać jej charakter otwarty, płynny, nonszalancki i kalifornijski, Amy zaś jechała na północ, do Seattle albo do Portland, sama nie była pewna, a może z powrotem do Denver, mając w kieszeni magisterium z geologii i trochę profesjonalnych koneksji, które trzymała w tajemnicy.

- Nie wiem, co ja tu w ogóle z tobą robię. W ogóle nic o tobie nie wiem. Tyle czasu i tyle gadania i właściwie nie wiem o tobie nic - powiedziała - prócz tego, że zawsze potrafisz doprowadzić mnie do szału.
- No i dobrze. To ci służy. Szał jest zdrowy dla ciał - odparłem. - Tak przynajmniej twierdzi moja matka Irlandka.
- Więc masz matkę. To już coś.
- No, szalej! Wściekaj się! - rzuciłem.

Nie lubiłem, kiedy na mnie patrzyła, prowadząc wóz, ale czasem na nią spoglądałem, prowokując, żeby odwzajemniła to spojrzenie.

- Niech wszystko, co się dzieje, przydarza się nam obojgu - rzekła.

- Ja też tego chcę - oświadczyłem, akurat wtedy całkiem serio.

Mój wzrok zaczął jej ciążyć, więc spojrzała na mnie, a właśnie jechaliśmy pustą szosą, przy której lawendowe hałdy odpadów wystawały nad dachy starych szop kopalń, a spojrzenie to było tak intymne i dogłębne, tak skąpane we wszystkim, cośmy dotąd robili, że stało się czymś w rodzaju szalonego wyzwania, próbą nerwów, jak wyścig aut z metą o krok od przepaści - kto z dwojga kochanków pierwszy umknie przed wzrokiem partnera i spojrzy przed siebie, żeby sprawdzić, czy wozu nie zniosło na pas prowadzący na wschód, po którym nadjeżdża błyskooka furgonetka, pół sekundy od olśniewającej śmierci.

- I kto tu jest dziwny? - spytałem.

- Nie śpisz, tylko patrzysz, jak śpię. Wiem, że patrzysz. Czuję przez sen.

- Kto tu jest dziwny, ja czy ty?

- Poszedłeś za mną do damskiej toalety.

- Nie, zaraz, czekaj. Czujesz przez sen, jak na ciebie patrzę, i jeszcze twierdzisz, że jestem dziwny? Kto tu właściwie jest dziwny? - spytałem.

A czasem dystansowałeś się wobec najbardziej nawet stromeego oddechu i czułeś coś na kształt białego cienia, jakbyś wślizgiwał się w równoległą osobę, w kogoś, kto utkany był ze światła umysłu i zdawał się przemawiać w twoim imieniu.

Albo mówiła:

- Nie zmusisz mnie - sunąc dłonią w górę po szwie mojego rozporoka, kiedy usiłowałem prowadzić auto.

A raz zostałem sam na dzień i noc i nie słuchałem radia ani nie czytałem gazety, tylko godzinami jeździłem w kółko bez celu, aż wreszcie stanąłem, zaparkowałem wóz i przeszedłem się po placu do pikników, gdzie wśród drzew o białej korze i pojemników na resztki jedzenia siedział na ławce mężczyzna, chyba trochę obłąkany, gdzieś pod Fresno, ale może po prostu głęboko się zamyślił albo zatroskał, mnie w każdym razie ogarnął smutek, którego nie potrafiłem dokładnie umiejscowić, może mój własny, a może płynący z tych rodzin z jedzonkiem na papierowych talerzykach, z nieszczęśliwego mężczyzny, który oklapł na ławce, z samego tego miejsca, z ławki, ze śmietników bez pokryw.

Kupiłem pocztówkę, bo chciałem wysłać jej parę słów, kiedy nasze drogi się rozejdą, widokówkę ze zdjęciem stołu do pikników wśród drzew, i wsunąłem ją między kartki książki, którą miałem w torbie, żeby tam leżała, aż znajdę chwilę czasu i wy myślę, co właściwie chcę napisać do Amy.

4

28 listopada 1966

Pierwszy mężczyzna stał przy oknie swojego imponującego apartamentu w hotelu „Waldorf”. Patrzył, jak żółte taksówki pogrążają się we wrażliwym zmierzchu, w tym szczególnym, rozrzuconym świetle, które konająco pada na Park Avenue w porze, zanim ludzie wyjdą z biur i odtąd znów będą mężami i żonami, a także wszystkim innym, co ujmuje się w mamrotane słowa i czym ludziom zdarza się bywać, gdy wieczory stają się szybkie i szeptane.

Drugi mężczyzna z nogą założoną na nogę siedział na kanapie i przeglądał raporty Biura.

- Oczywiście zapakowałeś maski - powiedział Edgar.

Drugi potakująco skinął głową, lecz gest ten przeszedł nie zauważony.

- Maski, Junior.
- Tak, mamy je. Akurat przeglądam meldunek ochrony, trochę, prawdę rzekłszy, irytujący.
- Nie chcę o nim słyszeć. Włóż go do jakiejś teczki. Nie psuj mi humoru.
- Protest. Dziś wieczór przed „Plażą”.
- A przeciwko czemu te skurwysyny protestują? Raczej objaśnić
 - rzekł Edgar tonem, który z biegiem lat doprowadził do doskonałości, powściągliwie ubawionym, grawerowanym jedenastoma rodzajami ironii.
- Chyba przeciwko wojnie.
- Wojnie.
- Ano tak - potwierdził drugi.

Zatrzymali się w „Waldorfie”, bo tam właśnie najchętniej stawał J. Edgar Hoover, ilekroć odwiedzał Nowy Jork, ale przyjęcie - bal, feta, wydarzenie towarzyskie sezonu, dziesięciolecia,

półwiecza niewątpliwie - otóż przyjęcie odbywało się w sali balowej hotelu „Plaża”.

Edgar zmienił temat, choć tylko w myśli. Powiódł wzrokiem wzdłuż Park Avenue na północ, w stronę Harlemu, tam gdzie wybrzuszała się ziemia. Może to głębokie, ulotne światło napało go taką nostalgią, a może zgiełk, dobiegający z dołu stłumiony ryk klaksonów taksówek, w którym z tej bezpiecznej odległości można było usłyszeć przedziwną, ludzką radość, ciche trąbki i bucuki, niosące z sobą jak gdyby odświętny ton.

- Gdzie byłeś, kiedy Thomson strzelił homera? - spytał Edgar.

- Co proszę?

- Gdzie byłeś? --

Słucham?

- Mniejsza z tym, Junior. Tak mi tylko przyszło do głowy.

Clyde Tolson, zwany Juniorem, był w Biurze najwierniejszym spośród przybocznych Edgara, jego najdroższym przyjacielem i nieodłącznym towarzyszem.

Oczywiście posunęli się w latach. Clyde przeżył ich o pięć mniej niż Edgar, ale nie był już taki ostry jak dawniej, jego ekspresowa pamięć straciła co nieco ze swojej błyskotliwości. Edgar miał perkaty nos i krępą sylwetkę, a brwi jak skrzydła nietoperzy, natomiast Clyde był dość wysokim mężczyzną o pociągłej twarzy, obdarzonym czymś w rodzaju wdzięku, w sumie raczej dobrotliwym, rozmownym jegomościem - i tu także różnił się od szefa, ten bowiem uważał, że człowiek zdradza się każdym słowem, ilekroć rozewrze jadaczkę, żeby coś powiedzieć.

Edgar trzymał w dłoni szklaneczkę szkockiej. Obejrzał szkło pod światło, sprawdzając, czy nie brudne, powąchał i upił łyżek, a wędzone opary zapiekły go w język. Darmowy apartament, kojący alkohol, obecność Juniora w pokoju, przyjęcie, o którym wszyscy mówili już od miesiący, sławne na długo przedtem, nim się choćby zaczęło, uciążliwe stany ostrej dezorientacji, bezsenność, niezdolność do jakiegokolwiek funkcjonowania -tak, Edgar naprawdę świetnie się czuł tego wieczoru.

Rozmowny czy nie, lubił czasem zabalować. Uwielbiał zwłaszcza sławnych ludzi, a w hotelu „Plaża” miało być tej nocy pod dostatkiem ssaczycych uroków. Osobistości, polot i stylowy dowcip. W przysadzistym ciele Dyrektora wciąż jeszcze

kulił się wąty uczeń i ten samotny kryptozkrab budził się do dziarskiego życia w obecności estradowców i wszelkiego rodzaju chodzących posągów - małych gwiazd, piłkarzy, bokserów, a nawet koni i psów z Hollywoodu.

Sławni ludzie byli duchami sprawczymi, które dodawały pikanterii klimatowi epoki. Sam Edgar też mógł co prawda rościć sobie pretensje do sławy i wysokiej pozycji, odczuwał jednak analne trzepotanie, kiedy gawędził z autentyczną znakomitością.

- No tak, oczywiście, jeszcze i to - rzekł Clyde.

Edgar nie obejrzał się, żeby sprawdzić, co czyta drugi. Wpastrywał się w dywan. Dywany w „Waldorfie”, grube i puszyste, stanowiły wymarzone łęgowiska dla wszelakich bakterii. Każdy, kto choć trochę się znał na współczesnej sztuce wojennej, wiedział, że broń, w której wykorzystuje się bakterie chorobotwórcze, może być dokładnie tak samo niszcząca jak bomby o mocy wielu megaton. W pewnym sensie jeszcze gorsza, bo wrazenie, że podlega się infiltracji, samo w sobie jest rodzajem śmierci.

- Wiedziałem, że popełniamy błąd, kiedy podaliśmy do publicznej wiadomości, jakie mamy sposoby na ludzi ze świata zorganizowanej zbrodni - powiedział Clyde.

- Które sposoby?

- Przetwarzanie ich śmieci.

- Taka wiadomość podnosi nakład.

- I zachęca do małpowania. I oto mamy sytuację, która dla rzecznika prasowego jest koszmarem. Mianowicie tak zwana partyzantka śmieciarska zamierza się dobrać... no, zgadnij, Szeffie, do czyich śmieci?

- Błagam, daj mi się spokojnie napić. Pod koniec dnia człowiek ma ochotę na coś mocniejszego.

- Twoich - dokończył Clyde.

Edgar nie wierzył własnym uszom.

- Wiadomość z poufnego źródła. - Clyde potrząsnął przez czytana właśnie kartką, żeby zwrócić uwagę Szeffa. - Ekipa miejskich partyzantów planuje skok na śmietnik przy 4936 Thirtieth Place w waszyngtońskiej dzielnicy Northwest.

Koniec świata do sześcianu.

- A kiedyż to?

- W każdej chwili.

- Wystawiłeś wartowników?
- W cywilnych autach. Ale nawet jeśli aresztujemy tamtych, i tak znajdą sposób, żeby zrobić z twoich śmieci publiczne widowisko.
- Przeszanę je wyrzucać.
- Prędzej czy później będziesz musiał.
- No to wyrzucę i wezmę pod klucz.
- Jak w takim razie wywiezie je śmieciarka?

Ilekoć agenci FBI wykradali nocą domowe śmieci jakiegoś gangstera, na ich miejsce dla rozproszenia podejrzeń podrzucali śmieci rzekome - aromatyczne resztki żywności, puszki po *anchois*, używane tampony, które przygotowywał wydział laboratoryjny. Natomiast te autentyczne dawali do analizy sądowym ekspertom od hazardu, grafologii, strzępków papieru, pogniecionych fotografii, plam z jedzenia, plam krwi i wszelkich znanych podkategorii sycylijskich bazgrołów.

- Albo zróbmy tak - zaproponował Edgar. - Wystawmy podobione śmieci. Nieciekawą mieszankę. Coś, co nie wywoła sensacji.
- Wobec tych ludzi nic nie dadzą konwencjonalne metody, nawet najsprytniejsze, bo to, co oni robią, urąga naszym wyobrażeniom o zwykłej konfrontacji. I choćbyśmy nie wiem jak strzegli domu, prędzej czy później wykradną jakiś kubek.

Edgar przeszedł do innego okna. Musiał, jak to się mówi, zmienić powietrze.

- Poufne źródło donosi, że mają zamiar pojechać z twoimi śmieciami w trasę. Wynająć sale w co większych miastach. Za angażować lewicujących socjologów, żeby przeanalizowali każdy śmieć po kolei. Ściągnąć hipisów, niech się w śmieciach nago wytarzają. Niech z nimi spółkują, o ile się da. Niech poeci opiewają je w wierszach. I wreszcie w ostatnim mieście trasy planują twoje śmieci zjeść.

Edgar widział fragment wschodniej fasady odległego o kilkanaście przecznic hotelu „Płaza”.

- I wydalili je - dokończył Clyde. - Publicznie.

Wspaniały łupkowy dach, szczytowe ściany, mansardy i miedziane kalenice. Jakie to dziwne, że coś tak oczywistego jak wyrzucanie śmieci może nagle stać się powodem do najpoważniejszego niepokoju.

- Poufne źródło twierdzi, że nakręca z trasy film dokumentalny i go rozpowszechnią.
- Mamy na tych gerylasów jakieś teczki?
- Tak.
- A czy grube? - spytał Edgar.

W dorzeczu nieustannie mieszających się wód paranoi i władzy teczka stanowiła główne narzędzie. Edgar miał wielu dozgonnych wrogów, a sposobem na nich było zapewnianie grubych teczek. Zdjęcia, raporty z obserwacji, szczegółowe imputacje, nazwiska zamieszanych w sprawę, rozmowy spisane z taśm-nasłuch z telefonów, z pluskiew, z włamań. Teczka była głębszą formą prawdy, transcendentną wobec faktów i rzeczywistości. Z chwilą gdy umieszczano się w niej jakiś detal - nieostrą fotografię, nie potwierdzoną pogłoskę - zyskiwał on powszechnie obowiązującą prawdziwość. Była to prawda nie poparta żadnym autorytetem i właśnie dlatego niepodważalna. Z teczki wyciekały faktoidy, które następnie przepelzały przez horyzont, pożerając ludzkie ciała i umysły. Teczka była wszystkim, życie niczym. Zemsta Edgara w samej swojej istocie polegała na tym, że każdemu ze swoich wrogów przearanżowywał życie, rozmowy, związki z ludźmi, nawet wspomnienia, i obarczał ich odpowiedzialnością za szczegóły tego, co sam stworzył.

- Zaaresztujemy ich i oskarżymy - rzekł Clyde. - Nic więcej nie możemy zrobić.

Edgar z uśmiechem odwrócił się od okna.

- W tej akurat sprawie potrafiłbym chyba sympatyzować z mafią.

Clyde się uśmiechnął.

- Zawsze byłeś po trosze gangsterem - powiedział. Obaj się roześmiali.
- Pamiętasz, jak chodziliśmy z peemami - rzekł Edgar.
- Na pokaz dla fotografów. Znowu wybuchnęli śmiechem.
- Stałeś u mojego boku, w bohaterskiej pozie.
- Edgar i Clyde - powiedział Clyde.
- Clyde i Edgar - powiedział Edgar.

Kiedy nurt żądzy władzy spotykał się w człowieku z przyływem paranoi, teczka sprawiała dubeltową satysfakcję. Za jednym zamachem zaspokajało się oba popędy.

- Lubilem lata trzydzieste - stwierdził Edgar. - A sześćdziesiątych nie lubię. Ani trochę.

Biuurko w głębi pokoju było poniekąd w stylu lat trzydziestych, wyposażone dokładnie według wskazówek Edgara. Dwa pióra, czarne obsadki. Dwie buteleczki atramentu Skrip Perma-nent Royal Blue No. 52. Sześć zaokrąglonych ołówków Eberharda Fabera No. 2. Dwa bloki białego gładkiego papieru o wymiarach piętnaście na dwadzieścia cztery centymetry, oprawione w płótno. Nowiutka sześćdziesięciowatowa żarówka w lampie stojącej. Dyrektor nie życzył sobie wdychać kurzu ze starych żarówek, które przedtem oświetlały coś, co czytali ludzie zupełnie mu nieznanymi: gazety, przewodniki, biblie Gideon Society, literaturę erotyczną, wywrotową, podziemną i w ogóle literaturę -cokolwiek ludzie czytują w hotelach, w samotności, kartkując i dysząc.

Clyde spojrział na zegarek. Najpierw kolacja we dwóch, sam na sam, jak zwykle od kilkudziesięciu lat - a potem krótka przejażdżka do hotelu „Plaża”.

Miał się tam odbyć Czarno-Biały Bal. Zgromadzenie pięciuset półbogów, wszyscy w maskach, tylko za zaproszeniami, mężczyźni obowiązują smoking z czarną maską, kobiety - suknia wieczorowa z białą maseczką.

Przyjęcie fundował pisarz Truman Capote na cześć Katharine Graham, właścicielki wydawnictwa, a wytworzone przez gości faktoidy nie mogły nie przerzucić mostu nad i tak coraz węższą szczeliną między dziennikarstwem a fikcją.

Edgara początkowo nie zaproszono. Nie było jednak trudno załatwić zaproszenie. Edgar szepnął słówko Clyde'owi. Clyde szepnął słówko komuś z najbliższego otoczenia Capote'a. Część osób z grona organizatorów imprezy miała oczywiście swoje teczki, każdy był skatalogowany i skartotekowany po uszy, a nikt się nie kwapił obrazić Dyrektora.

Clyde podniósł słuchawkę telefonu, który zadzwonił na biurku. Windą wjeżdżała projektantka masek, żeby zrobić przymiarke.

Edgar zauważył, że Clyde ma na szyi krawat we wzór przypominający rozmyte krople. Te nieregularne figury skojarzyły mu się z pantofelkami, złowrogimi organizmami wyposażonymi w przelyki oraz brudki odżywcze. U siebie w domu miał w ła-

zience sedes na specjalnym podwyższeniu, żeby odgrodzić się od przypodłogowych form życia. A w Biurze kazał ludziom ze swoich laboratoriów urządzić czystą salę o bezprecedensowym standardzie higieny. Biały pokój z personelem złożonym z techników ubranych na biało, w miarę możliwości białej rasy, pracujących w środowisku absolutnie wolnym od jakichkolwiek zanieczyszczeń, kurzu, bakterii i tym podobnych, w padającym z góry świetle wielkich białych lamp, w pomieszczeniu, w którym Edgar mógłby czasem trochę pobyć, gdyby poczuł się zagrożony przez dookolne siły.

Do pokoju weszła Tanya Berenger w sukience maxi i koczakach z lumpeksu, niegdyś znana projektantka odzieży, starieńka już i zapuszczona. Wynajmowała pokój w smętym hoteliku niedaleko Times Square, jednym z tych, w których recepcjonista siedzi za kratą i je kanapkę z ozorem. Trzy lub cztery razy do roku ktoś ruszał jej tropem i zamawiał maski na specjalne okazje, a zresztą i tak miała dość stałą pracę, bo projektowała sadomasochistyczne akcesoria dla pewnego prywatnego klubu w Greenwich Village.

Obaj mężczyźni - jak zwykle, gdy przebywali w jednym pokoju z kobietą, nieznaną, bez świadków, nie otoczeni atmosferą radosnej towarzyskości - no cóż, usztywnili się i nastroszyli, jak gdyby zaskoczył ich uzbrojony intruz.

Clyde nie odstępował Edgara, przeczuwając, że po projektantce można się spodziewać jakiegoś wyskoku. Jej obfity makijaż wyglądał jak farba wylana z puszk i zapieczona na twarzy. Clyde zauważył, że jedna kieszonka sukienki odrobinę obwisa i zaczyna się odpruwać.

Kobieta zwróciła się do Edgara z jakby melancholijną czułością.

- Wie pan, mój drogi, że dopiero po konsultacji mogę panu dać do włożenia moją maskę. Muszę własnoręcznie dotknąć żywej głowy. Już i tak fatalnie, że tworzyłam ten swój *objet* według pisemnych wskazówek, jak jakiś hydraulik, co zakłada zlew.

Mówiła z europejskim akcentem, pokancerowanym i przepalonym od wieloletniego mieszkania w Nowym Jorku. Jej włosy miały retuszowany połysk wypchanej wrony na patyku.

Oczywiście Clyde'a uprzedzono, kim jest Tanya Berenger.

Owszem, miała swoją teczkę, i to jeszcze jaką! W rozmaitych okresach zarzucano jej, że jest lesbijką, socjalistką, komunistką, narkomanką, rozwódką, Żydówką, katoliczką, Murzynką, imigrantką i niezamężną matką.

Czyli reprezentowała, z grubsza biorąc, wszystko, do czego Edgar odnosił się nieufnie i z obawą. Robiła jednak wspaniałe maski, więc Clyde czym prędzej ją zaangażował.

Pospieszył do sypialni Szefa i wrócił z maską.

Tanya ujęła ją oburącz i spojrzała na Edgara, a potem na maskę, jakby porównywała, Dyrektor zaś poczuł dziwny skurcz w piersi, zastanawiając się, czy aby jest godzien.

Podniosła *objet* na wysokość żrenic, dwadzieścia pięć centymetrów od własnej twarzy, i przez dziurki na oczy spojrzała w stronę Edgara.

On z kolei patrzył na maskę, jakby była obdarzona własnym życiem, własną tożsamością, którą mógłby pożyczyć, jeśli starczy mu ikry, na jedną hulankę o północy.

Czarna maska ze lśniącej skóry, ze sterzczącymi po bokach rączkami w kształcie kierownicy motocykla i z rozszanymi wokół oczu cekinami.

- Włoży ją pan czy tylko z nią porozmawia? - spytała Tanya. Nie był jednak całkiem gotów.

- Jak myślisz, Junior, chcę ją włożyć?

- Bądź dzielny.

- Skóra - powiedziała Tanya. - To taki prawdziwy materiał, wie pan? Jakby się nosiło cudzą twarz.

Dopasowała maskę do głowy Edgara: pasek z miękką wkładką niezbyt go uciskał, a skóra w zetknięciu z jego własną wydawała się żywa.

A potem Tanya wzięła go za ramiona i wolno obróciła przodem do lustra, które wisiało nad biurkiem.

Clyde wyjął mu z ręki szklaneczkę whiskey.

Maska go odmieniła. Po raz pierwszy od lat nie miał wrażenia, że zamieszkuje stare, niewyrośnięte, racuchowate ciało z ogromną, brylastą głową.

- Mogę na pana mówić Edgar, dobrze? Mogę panu powie dzieć, jak pana widzę? Jako dojrzałego, ostrożnego mężczyznę, z którego rwie się na wolność seksowny rozrabiaka z moto-

cyklem. A przez te cekiny wszystko robi się trochę zwariowane, wie pan?

Czul się po prostu śmietankowo, rozmarzony i odurzony.

Tanya lekko poprawiła mu maskę, a chociaż wzdrygał się pod jej ręką, przeszły go rozkoszne ciarki. Była podstępna i zepsuta, a on czuł się przy niej, jakby rodzona babka prawiła mu świństwa do ucha.

- Dla mnie to pan jest brutal na motorze, który wjeżdża do miasta, żeby zostać hersztem sadystów i nekrofilii.

Clyde przyglądał się, kulturalnie spanikowany, jak z kieszeni Tanyi wyłazi karaluch i wolno pełźnie w dół po jej boku. Tylko w hiszpańskim Harlemie spotykało się takie wielkie, z czułkami niczym anteny do odbioru BBC.

- Cudownie pasuje, kochany. Masz pełną sylwetkę, ale kości policzkowe dzikusa. Strasznie bym chciała zrobić ci maskę na całą twarz, wiesz? Podkreślić akcenty i cienie.

Clyde delikatnie wziął ją pod rękę, zasłaniając przed Edgarem tę stronę, po której łąził karaluch.

- A wiesz co? Dzisiejszy bal to dla ciebie idealne tło. Bo chyba sam jesteś bardzo czarno-biały. Więc będziesz dokładnie w stylu, nie?

Po jej wyjściu mężczyźni zajęli się praktycznymi przygotowaniami. Clyde zarezerwował stolik w restauracji i wyjął oba stroje wieczorowe. Edgar położył maskę na stole i poszedł się wykąpać.

Po kąpieli włożył biały puszysty płaszcz kąpielowy, stanął przy oknie i dopił whiskey. Usłyszał, że ponad uliczny zgiełek wznosi się jakaś przenikliwa nuta. Nowy Jork nie był już tak łaskawy jak dawniej, gdy w knajpach i prywatnych klubach przesiadywały pełne werwy, urocze kobiety w towarzystwie dobrze urodzonych, dowcipnych nierobów.

- Ten hałas, Junior. Słyszysz?

Do pokoju wszedł Clyde w spodniach i koszuli, ze szczotką do butów w ręku.

- Owszem, coś tam słychać.

- Czy to możliwe?

- Tak, to mogą być ci demonstranci spod „Plazy”.

- Wiatr.

- Tak, wiatr niesie dźwięk w naszą stronę.

Usłyszeli twardą, rytmiczną salwę gniewnych sloganów, i jeszcze raz, głośniejsz; ucichły na moment, gdy wiatr zmienił kierunek, a potem znów zabrzmiały.

- Wiesz, czego chcą, prawda? - spytał Edgar.

Przez całe to stargane stulecie wojen światowych i innych aktów masowej przemocy jakiś ukryty głos przemawiał wśród huku armat i działek przeciwlotniczych, a chwilami dostatecznie się wzmagał, żeby zmieszać się z bitewną wrzawą. Toczyła się walka między państwem a tajnymi grupami rebeliantów, zrodzonych z państwa - anarchistów, terrorystów, skrytobójców i rewolucjonistów o obłąkanym spojrzeniu, którzy usiłowali spowodować apokaliptyczną przemianę. No i oczywiście co pewien czas im się udawało. Zadaniem państwa było trwać z pasją, zaciskać uchwyt i nie oddawać władzy nad najbardziej niszczycielską z istniejących mocy. Odkąd zaś pojawiła się broń atomowa, moc tę zaczęto całkowicie utożsamiać z państwem. Chmura w kształcie grzyba stała się bóstwem Unicestwienia i Zniszczenia. Państwo miało w ręku narzędzia apokalipsy. Lecz Edgar, stojąc przy oknie, słyszał pradawne larum. I myślał sobie, że może znów nadchodzi czas wywrotowych idei, odradzania się band buntowników, długowłosych mężczyzn i kobiet, niechlujnych, pierdolących się na prawo i lewo, którzy zmierzają ku zbrojnemu i zorganizowanemu oporowi, usiłując obalić państwo i spowodować kres istniejącego ładu.

- Chcą zyskać moc, która pozwoli im wstrząsnąć światem.

Znowu śnią stary bolszewicki sen, a stoją za tym komuniści. Bo chyba wiesz, gdzie się to wszystko zaczyna?

- To głównie szczeniakieria, która kładzie się na ulicy i macha kwiatami policjantom - odparł Clyde. - Wietnam jest wojną, rzeczywistością. A to tutaj to film ze scenariuszem i aktorami grającymi swoje role. Amerykańska młodzież nie chce tego, co myśmy osiągnęli. Chce filmów i muzyki.

Niech sobie Junior układa swoje zgrabne wizje. Nie rozumie, że gdy człowiek patrzy na wroga z pobłażaniem, przyczynia się do własnego upadku.

- To wszystko zaczyna się w najtajniejszym ludzkim jestwie - podjął Edgar. - Kto raz ulegnie chaotycznym porywom seksu, najchętniej widziałby, jak puszczają wszystkie hamulce.

Własne luzactwo bierze za koncepcję polityczną, a w rzeczywistości.

Nie dokończył. Pewne myśli musiały pozostać nie wypowiedziane, nawet w cichości ducha. Na tej właśnie regule opierał się jego związek z Clyde'em. Przemilczeć główny temat. Niech uczucia pozostaną nie odczute, chwilowe zapędy nie zrealizowane. Jakie dziwne i głupie wydałoby się to młodym ludziom, którzy uganiali się po ulicach, zajmowali w sześcioro jeden pokój, we trójkę jedno łóżko, wielu innym osobom zresztą też -smutne i niespotykane.

Clyde wrócił do swoich obowiązków, zostawiając Szefa samego przy oknie.

Edgar widział coś szlachetnego w nieustannej wspólnotcie, która nie poddaje się niższym popędom. Zakładał, że Clyde też tak uważa. Ale Clyde był przecież tym drugim i może po prostu maszerował za Edgarem wszędzie, gdzie ten go prowadził albo wstrzymywał.

Wiatr przynosił strzępy okrzyków z ulicy. Clyde brał prysznic. Edgar odwrócił się, żeby sprawdzić, gdzie tamten zostawił maskę, nieoczekiwanie ujrzał własne odbicie w lustrze po drugiej stronie pokoju i spłoszył się na widok osobnika w białym płaszczu kąpielowym i miękkich kapciach.

Oczywiście był to on sam, ale w postaci niemowlaka z nie-naturalnie wielką głową, bezpłciowego i tak absolutnie nowo narodzonego, że w istocie niezemskiego.

Wypieszczony kurdupel matki Hoover.

Przeszedł przez pokój i wziął maskę do ręki. Zauważył, że sterzące po bokach stylizowane wypustki to po prostu skórzane spirale, wycięte w taki sposób, żeby wzorzyście wykwitwały ze skroni.

Usłyszał, że Clyde wychodzi spod prysznicza.

Kiedy byli młodszy i razem wyjeżdżali na urlop albo służbowo, zawsze brali w hotelu wspólny apartament lub sąsiednie pokoje, a drzwi między nimi zostawiali otwarte, żeby rozmawiać do późnej nocy, każdy w swoim łóżku. Edgarowi udawało się czasem ustawić lustro pod odpowiednim kątem - na przykład w jakimś starym zajeździe brał antyczne tremo i po prostu przesuwiał je po podłodze w inne miejsce albo przy goleniu otwierał apteczkę akurat tak, że lustro chwytało odbłask z łóżka w sąsied-

nim pokoju, czy wreszcie na biurku podpierał czymś ręczne lusterko i w przelocie, mimochodem, ukradkiem zerkał, jak Junior ubiera się, rozbiera albo kąpie, a cała ta wymyślna aranżacja miała taki charakter, żeby epizod wydał się zupełnie przypadkowy, jeśli podglądany zorientuje się, że jest pod obserwacją, i to przypadkowy nie tylko z punktu widzenia podglądanego, lecz i samego Edgara: żeby przez jego pole widzenia niby to naturalną kolejną rzeczy przemknęła postać Juniora, smukłe, męskie ciało - w pilnej podróży służbowej, w klubie golfowym lub podczas wyścigów konnych na zachód do Del Mar, kiedy obaj byli znacznie młodszy.

Junior pomału już łysiał, miał nos jak kartofel i chodził zgarbiony. Ale właściwie zawsze się garbił, bo nie chciał wydawać się wyższy od Szefa.

Edgar był u siebie w sypialni, za zamkniętymi drzwiami. Siedemdziesięcioletni nagus w ozdobionej cekinami masce motocyklisty i w kapturze na wełnianej podszewce stał przed lustrem i słuchał głosów z ulicy.

9 stycznia 1967

Po skończonym dniu pracy Janet Urbaniak wkładała buty do biegania. Kompleks szpitalny, w którym miała wykłady i odbywała praktykę, dzieliły od jej kompleksu mieszkalnego cztery opustoszałe kwartały. Był to obszar ponury, zarośnięty zielskiem, nigdy nie odgarniany śnieg posepniał tam od spalin autobusów, dziurkowany i pozłacany psim moczem, a po drodze zazwyczaj czaiło się paru osobników w zielonych drelichach - ostatni marduszy batalionu wyniszczonych mężczyzn.

Po pracy Janet zdejmowała lekkie, niezobowiązujące czółenka i wyjmowała z szafki buty do biegania - solidne, miękko wyściełane trampki, elastyczne i budzące zaufanie, z podszewkami wyposażonymi w specjalną wkładkę amortyzującą wstrząsy. Potem szła do wyjścia, razem z drugą uczennicą szkoły pielęgniarskiej stawała przed szpitalem i obie czekały, aż zmieni się światło i zielona fala otworzy drogę przez wyludnioną połąkę czterech kwartałów, rodzaj bezlitosnego bulwaru, jednego z tych, jakie napotyka się w dzielnicach, w których architektura jest czujna, spięta, i zawsze panuje nastrój godziny policyjnej.

Janet stała i czekała w gęstym, niesamowitym zmierzchu. A potem zapalało się zielone światło i jej koleżanka wołała: „Start, start, start!”, więc zrywała się do biegu, w nadziei, że po drodze nic jej nie zatrzyma, byle tylko światła sprzyjały, w parę sekund osiągała maksymalną prędkość, starając się omijać łachy lodu, a póki nie dobiegła na miejsce, koleżanka patrzyła w ślad za nią.

W niektóre wieczory, prawie we wszystkie wieczory, trzeba uważać na mężczyzn. Przecież właśnie z ich powodu się biegnie. Widzą, jak zbliżasz się w tych sprężystych, niebiesko-białych butach, i zawsze mają coś do powiedzenia, jakieś gesty do wykonania albo chcą tylko na ciebie spojrzeć, a czasem nie mają nic do ciebie, jesteś zjawą, cieniem - stoją grupką przy płocie z siatki lub na skraju pustej parceli i nigdy nie wiesz, czy lepiej ich ominąć szerokim, obronnym łukiem, czy raczej pobiec dalej po prostej, bo ta pierwsza taktyka może ich obrazić, a druga zachęcić do poufałości, a nawet ubliżyć im swoim brakiem pretensji, w pewne zaś wieczory trzeba uważać na śnieg.

Na śnieg, deszcz, śmieci i bezpańskie psy.

Ale nie biegniesz z powodu psów. Na ich widok tylko zwalniasz kroku i idziesz spacerkiem. Biegniesz z powodu wałęsających się mężczyzn i tych, których nie widać, ale wiadomo, że są w sieniach albo we wrakach samochodów. Chcesz, żeby myśleli, że biegniesz dla czystej rozkoszy biegania, ty i wszystkie inne dziewczyny, wieczorna procesja uczennic, które przecinają sprintem cztery przecznice.

Niech myślą, że ot, tak sobie biegacie, zaliczając kolejne minuty.

Janet mknęła przed siebie, głęboko oddychając, skoncentrowana na śniegu i na tym, żeby światło było wciąż zielone, rozglądała się, czy jacyś mężczyźni nie stoją oparci o mur albo nie wysiadają z auta, bo na trasie biegu stało zwykle kilka wraków, w których zimą toczyło się klubowe życie.

Cztery przecznice, kawał drogi pod przegowanym niebem północy. Dobiegając do drzwi swojego domu, miała w ręku przygotowane klucze, wchodziła do środka i wjeżdżała windą, chociaż gdzieś w sobie wcale jeszcze nie przestała biec, wyjmowała klucze do mieszkania, a gdy wchodziła do saloniku, zamk-

nąwszy za sobą drzwi na dwa spusty, po piętnastu sekundach dzwonił telefon. Dopiero wtedy przestawało jej łomotać serce.

Telefon był zwykłym środkiem ostrożności: jakaś inna uczennica dzwoniła ze szpitala, żeby sprawdzić, czy Janet dotarła bez przygód. Miała jedenaście minut na pokonanie trasy od drzwi do drzwi, wliczając jazdę windą i przekręcanie kluczy w zamkach. Cała grupa uczennic szkoły pielęgniarskiej mieszkała w tym samym kompleksie, a system kontroli przewidywał regularną zamianę ról. Janet przebiegała cztery przecznice i meldowała się przez telefon, po czym zgodnie z grafiką kontrolowała bieg następnej kobiety.

Same wymyśliły to wszystko i powiesiły grafik na tablicy. A potem zmieniały buty i czekały na zielone.

29 listopada 1966

Ten drugi postanowił, że należy się spóźnić. W tego rodzaju trudnych okolicznościach Clyde Tolson lubił wykonywać właśnie takie gesty niezłomnej determinacji.

Był to dowód charakteru. A kiedy jest się człowiekiem, któremu inni przypisują już to obowiązkowość, już to uległość, już to służalczość, już to niewolniczą poddańczość i lizusowskie skorumpowanie, poczynając od superlatywów, a kończąc na mniej zaszczytnych określeniach, trzeba czasem popisać się osobowością.

Ale najpierw Clyde musiał przekonać Szefa, że jeśli przegapi parę godzin przyjęcia, nie będzie tego żałował przez wszystkie schyłkowe lata swojego dyrektoriatu.

Tajne patrole FBI rozstawione przed hotelem „Plaża” doniosły, że demonstranci zachowują się coraz głośniej, a goście przybywający na bal obrzucani są przekleństwami w formie rymowanych kupletów, znieważani nieprzyzwoitymi gestami i znakami, opluwani z bliska, czasem zaś muszą zrobić unik przed jakimś latającym obiektem.

Clyde uważał - a Edgar w końcu przyznał mu słuszność - że nie wolno dopuścić, aby Dyrektor wplątał się w sytuację, w której mogłaby ucierpieć powaga urzędu.

Była więc północ, kiedy obaj mężczyźni przejechali swoim kuloodpornym czarnym cadillakiem przez opustoszałe ulice mia-

sta. Zdążyli bez pośpiechu zjeść kolację, żartując z kelnerem od win, a potem przy barze podelektować się kieliszkiem brandy w gronie starych znajomych, J. Edgar Hoover spotykał ich bowiem na każdym kroku: jedni należeli do kręgu lojalnych stronników, inni mieli swoje teczki, niektórzy byli dozgonnymi wrogami, nic jeszcze o tym nie wiedząc, a teraz Edgar i Clyde, w dość błogich nastrojach pomimo doniesień z terenu, rozpierali się na miękkim tylnym siedzeniu, oczywiście w czarnych muszkach i maskach, niby uprzejmy, prężny pogromca zbrodniarzy z niedzielnych komiksów, który za dnia jest wysokiej rangi biurokrata, a nocą przemienia się w śmiałego Maskmana i w wieczorowym stroju krąży po ulicach, towarzyszy mu zaś najbardziej zaufany człowiek, prawa ręka.

Szofer włączył telefon wewnętrzny i zameldował, że jedzie za nimi jakieś auto.

Clyde obejrzał się, żeby to sprawdzić, a Dyrektor osunął się na siedzeniu, kryjąc głowę poniżej dolnej krawędzi okien.

- Mały volkswagen garbus - powiedział Clyde. - Od góry do dołu jaskrawo wymalowany. Psychodelicznie. W wielkie kolorowe spirale i smugi. Twarzy kierowcy nie widać.

Cadillac wolno mijał hotel „Plaża”. Znikły już reflektory, rozeszła się dziennikarska sfera, nie było śladu po tłumie gapiów zwabionych wiadomością o wydarzeniu towarzyskim. Pozostało zaledwie paru demonstrantów, teraz już zobojętniałych młodych ludzi w tych brudnych łachach, które wiążą w supły i wrzucają do farby, i policjanci miejscy, jeszcze bardziej bezczynni - widać po nich, że dźwigają wiekuiste brzemie obfitego, pospiesznie przełkniętego posiłku, który leży im teraz w żołądkach i odrabia nadgodziny.

Ciemna limuzyna wyposażona w rozpylacz Arpege'a z odświeżaczem pomieszczeń okrążała kwartał domów, a Clyde sprawdzał, jaka jest sytuacja przy innych wejściach.

Na północnych schodach było pusto, więc zastukał w szybę, a szofer podjechał do krawężnika i obaj mężczyźni wysiedli, lecz nagle limuzynie zajechał drogę volkswagen, wyturłali się z niego jacyś ludzie, troje, czworo, co, aż sześcioro? Jakby z wozu cyrkowego wysypywali się klauni, chyba z siedem osób wypadło na chodnik, wbiegło po schodach i stanęło szpalerem przed drzwiami.

Wszyscy mieli maski, twarze azjatyckich dzieci, niektóre zbryzgane krwią, inne z zamkniętymi, jakby zaszytymi oczami, i zaczęli krzyczeć, kiedy Hoover i Tolson ruszyli schodami na górę.

Pierwszy był niezdarny i powolny, więc drugi wziął go pod rękę, żeby mu pomóc, i razem powlekli się ku wejściu.

- Elitarne szumowiny! - usłyszeli. A potem: - Za każdy mokasyn od Gucciego jedno martwe dziecko z Azji!

Clyde nie był pewien, czy protestujący ich rozpoznali. Czy maska Edgara wystarczająco osłaniała jego starą, sękatą facjatę, znaną z prasy i telewizji?

Słyszeli motta, obelgi i terminologię techniczną.

Krok za krokiem gramolili się na górę, patrząc prosto przed siebie, wiosłując wolnymi rękami w powietrzu, a tamci jazgotali i syczełi.

- Wietnam! Kochaj go albo rzuć!

- Biali mordercy w czarnych muszkach!

Przy wejściu stała młoda kobieta w masce przedstawiającej zmiażdżoną twarz dziecka. Powiedziała coś cicho do Edgara, zastąpiła mu drogę i beznamiętnym tonem szepnęła:

- Nie znikniemy, dziadygo, póki nie wylądujesz na wysypisku razem ze swoimi śmieciami.

- Się idzie - rzekł Clyde, niczym kelner z ciężką tacą, a po kilku minutach, kiedy już wstąpili do męskiej toalety, żeby wziąć się w garść, Dyrektor i jego przyboczny gotowi byli przyłączyć się do zabawy.

Ale najpierw Edgar spytał:

- Co to za jedni?

- Trochę się domyślam. Kомуś to zleceć.

- Słyszałeś, co powiedziała? Chyba mają powiązania z gerylasami od śmieci.

- Popraw maskę - rzekł Clyde.

- Chętnie bym popatrzył, jak masakrują ich oprawcy, możliwie najwolniej. Tygodniami, miesiącami, i żeby głosy nagrano na taśmę.

Przeszli korytarzem do sali balowej. Zdążyli już w życiu przejść przez pięćset korytarzy, udając się na tę czy inną uroczystość, tę czy inną jubileuszową kolację, któryś z rytualnych

holdów składanych dziesięcioleciom, jakie Edgar przepracował w Biurze, ale nigdy jeszcze czegoś takiego nie słyszeli.

Był to stłumiony ryk, ni to turkot, ni to brzęczenie zmieszane z dzwoneczkami żyrandoli, z muzyką marzycielsko rozkołysaną w tańcu i z ludzkim śpiewem samouwielbienia - wabik, ponęta życia, którego główną cechą jest oddalenie od codziennego mozołu, od przypadłości tego świata.

- Taśmy z okrzykami bólu i jękami - dodał Edgar. - Pusz czałbym je sobie na dobranoc.

Ruszyli na przełaj przez salę balową, zaczęli po niej krążyć, na każdym kroku dostrzegając żywe znakomitości. Sala była wysoka, w kolorach bieli i bladego złota, ujęta w rzędy greckich kolumn, od których odbijał się brawurowy, bursztynowy blask tysiąca świec.

Łabędzie szyje kobiet w atlasowych sukniach o wzorzystym splocie. Maski od Halstona, Adolfa i Saint Laurenta. Matka i siostra jednego z amerykańskich prezydentów, córka innego. Krusi, drobni mężczyźni pyszniący się bogactwem. Utytułowani przedstawiciele elit, maharadża i maharani, baronowa jakaś tam w masce naszywanej koralikami. Zapijaczni poeci, sławni i agresywni. Twarde, inteligentne, stylowe kobiety, redaktorki żurnali i projektantki odzieży. Fryzury od Kennetha - kunsztownie potargane, rozwiane, szesane z czoła albo ułożone w pierścionki.

- Widziałeś?

- Ta stara bogata wdowa.

- W masce ze sklepu z tanioczą.

- Obszytej perłami.

Tu i ówdzie podali komuś rękę, z wdziękiem, tego i owego spośród gości zaszczytili komplementem, a Clyde dobrze wiedział, jak czuje się Dyrektor, kiedy zadaje się z ludźmi z najtrudniej dostępnych sfer, z namaszczonymi i predestynowanymi, emanującymi aurą inkaskich królów, lecz także z utalentowanymi, oryginalnymi, z takimi, co tylko sobie wszystko zawdzięczają, z pięknymi od urodzenia, napędzanymi własnym „ja”, nieustępliwymi w targach, z naznaczonymi astralną promiennością jak i reszta towarzystwa, a nawet z bezwzględnyymi i zewszierzęconymi.

Tak, Edgarowi z podniecenia aż zwilgotniała skóra.

Przystanął, żeby pogadać z Frankiem Sinatrą i jego żoną aktorką, młodą nimfą ostrzyżoną po chłopięcemu, w motylej masce.

- Jedgar, stary koniu. Nie widziałem cię od.
- Tak, wiem.
- *Tempus* fugituje, co nie, koleś?
 - Owszem, leci - przyznał Edgar. - Przedstaw mnie swojej uroczej.

Sinatra miał już teczkę. Wiele innych osób obecnych w sali balowej też je miało. Clyde przypuszczał, że nikt z gości nie jest większym mistrzem w swoim fachu niż Edgar. Ale po Szeffie nie było tego widać. Pracował w półmroku, manipulując i niosąc zniszczenie. Chodził w małej, bladej, niechętnej glorii urzędnika. Nie dla niego jawny, pewny siebie popis, nie będzie butnie maszerował, jak niektórzy spośród tych kosmicznych junaków.

Na scenie, pod uniesioną kurtyną, zmieniały się dwa zespoły. Elegancka biała orkiestra i czarna grupa soulowa. Wszyscy muzycy w maskach.

Ludzie zachwycali się skórzaną maską Edgara. Sami mu to mówili. Kobieta w strusich piórach musnęła językiem rączki kierownicy. Inna powiedziała na niego „harlejowiec”. Pewien dramaturg-pedzio przewrócił oczami.

Znaleźli swój stolik i rozgościli się przy nim na pewien czas, sącząc szampana i pogryzając zakąski. Clyde wymieniał nazwiska ludzi, którzy mijali ich w tańcu, a Edgar komentował życiorysy, kariery i osobiste upodobania każdego. Wszelkie anegdotyczne detale, jakich nie zdołał sobie przypomnieć, szybko podpowiadał mu Clyde.

Przeszedł Andy Warhol w masce, która była fotografią jego własnej twarzy.

Jakaś kobieta zaprosiła Edgara do tańca, a on zacerwienił się i zapalił papierosa.

Lord i Lady jacyś tam trzymali swoje maski na kijkach.

Jakaś kobieta miała na głowie seksowny czepiec zakonny.

Jakiś mężczyzna miał na głowie katowski kaptur.

Edgar mówił szybko, staccato, tym swoim starym głosem, niby sprawozdawca radiowy podający serię sensacyjnych wiadomości. Clyde z przyjemnością patrzył, jak ożywiony jest Szeff. Zauważyli parę osób, które znali ze względów zawodowych,

kilka twarzy ze sfer rządowych dawnych i obecnych, mężczyzn, którzy piastowali delikatne, arcyważne stanowiska, i w końcu Clyde poczuł, jak cała sala pulsuje od krzyżujących się zainteresowań i apetytów. Władza polityczna gładko mieszała się ze sztuką i literaturą. Historycy o sklepionych czaszkach kumali się z elitą towarzyską i światem mody. Dyplomaci tańczyli z gwiazdami filmowymi, nobliści opowiadali kumpelskie anegdoty potentatom od transportu, a półświatek z Broadwayu i branża plotkarska spoufalały się z zagranicznymi korespondentami.

Nastroj chwili miał w sobie nieco wymuszoną doniosłość. Straszne widoki - myślał Clyde - znaczyło to bowiem, że dalej trwać będą czasy Kennedy'ego. Czasy, w których uzasadnione dotąd podziały zaczęły tracić znaczenie. Czasy, w których okazał się możliwy pewnego rodzaju płynny ruch, a seks, narkotyki i brzydkie wyrazy pomału eliminowały rozwarstwienie społeczne.

- Uważam, że powinienes zatańczyć - powiedział Edgar. Clyde spojrział na niego. - Czemu nie? Przecież jesteśmy na przyjęciu. Znajdź sobie odpowiednią damę i zrób z nią rundę po parkiecie.
- Facet chyba mówi serio.
- A potem wróc i powtórz mi, o czym rozmawialiście.
- Myślisz, że pamiętam chociaż jeden taniec?
 - Dawniej był z ciebie świetny tancerz. Dalej, Junior. Popisz się. Jesteśmy na przyjęciu.

Na parkiecie goście tańczący twista wyglądali, jakby w kanciastej pantomimie grali świeżo rozmrożonych nieboszczyków, którym na jeden dzień pozwolono wrócić. Niebawem na estradę znów wyszła biała orkiestra, po czym zabrzmiały fokstroty i walce. Clyde obserwował wolno tasującą się masę ostrożnych tancerzy, którzy ledwo się dotykali w obawie o fryzurę, biżuterię, suknie, maski; nieustannie wyczuleni na inne znakomitości, obracali ku nim głowy, błyskając oczami ze swoich wspaniałych, czarno-białych namordników.

- Tak, odsłoń karty - rzekł Edgar z krzywym uśmiechem.

A więc o to szło. Na rauszu i skwaszony. Dobrze - pomyślał Clyde. Skoro tej nocy rozluźniają się stare zakazy, czemu nie zrobić rundy po parkiecie?

Podszedł do kobiety nie tylko zamaskowanej, ale jakby żywcem wziętej ze średniowiecza, w zawoju na głowie, w długiej, prostej opończy przewiązanej w talii szarfą, w obcisłym staniku z przepaską wysoko unoszącą piersi.

Uśmiechnęła się do niego, a on spytał:

- Czy można?

Była wysoka, z jasną cerą, nie umalowana, a o balu i panującej na nim pompie mówiła bez odrobiny nabożeństwa. Zrównoważona młoda dama w typie, który mógłby się spodobać Edgarowi, więc i Clyde znalazł w niej upodobanie.

Miała maskę kruka.

Swoją skromną maseczkę Clyde schował już tymczasem do kieszeni.

- Mówimy sobie po imieniu - spytał - czy przestrzegamy ścisłych reguł anonimowości?

- To tu obowiązują jakieś reguły? Nic o tym nie wiedziałam.

- Ustanowimy własne - odparł, zdumiony tonem z lekka seksownych przekomarzań, który sam narzucił.

Prowadził ją raz w gęściejszą, raz w rzadszą cizbę par, widmowo dryfujących w takt starej ballady z lat jego młodości.

Miewał dawniej przyjaciółki. Ale kiedy Szeff zaczął się umizgać do innych kandydatów na faworytów - młodych i krzepkich agentów, potencjalnie przydatnych raczej w życiu towarzyskim aniżeli w Biurze, Clyde zrozumiał, że czas poddać się pragnieniu Edgara, któremu potrzebna była stała, bezwarunkowa przyjaźń, partnerstwo dusz, słów i niezmiennego rytmu dnia. Dokonując tego wyboru, zaspokajał zresztą własną głęboką potrzebę ochrony, miejsca po bezpiecznej stronie warownego muru.

Dzięki sprawowanej władzy lepiej na nim leżały garnitury.

Zobaczył, że Edgar fotografuje się z jakąś grupą w drugim końcu sali. Rozpoznał większość tych ludzi i zauważył, jak skwapliwie Szeff kokosi się wśród nich.

Co do władzy samego Edgara, to zawsze miała ona dwa oblicza. Sprawował oczywiście władzę z tytułu zajmowanego stanowiska. Pewien rodzaj władzy dawały mu też jednak hamulce, które sam sobie nakładał. Surowym posunięciom Dyrektora w przedziwny sposób dawało legitymację jego życie prywatne, niewzruszony rygor celibatu. Clyde wierzył, że Edgar posiadał swoją monokratyczną władzę za cenę dni i nocy samo-

zaparcia, tłumienia niedopuszczalnych impulsów. Był konsekwentny. Każdy oficjalny sekret Biura krwawo się rodził z własnej duszy Edgara.

To właśnie czyniło go wielkim człowiekiem.

Wewnętrzna schizma. Natura jego własnej żądz i wytrwałych wysiłki, żeby demaskować homoseksualistów ze sfer rządowych. Sekret żądz i uparte wzbranianie się przed nią. Edgar, wielki niezłomnością swoich przekonań. Wielki ostrością swoich sądów, tradycyjnym wychowaniem i wczesnoamerykańską prawością, wielki swym wykrętym strachem i mrocznym wstydem, wielki, smutny i żaloszny swą trwogą przed kontaktem fizycznym, wielki tyśiącem innych udręć, nazbyt głębokich, aby dało je się nazwać.

Clyde byłby spełnił każde żądanie Szefa.

Ukląkłby.

Schylił się.

Wypiął.

Sięgnął ręką za siebie.

Ale Szef pragnął tylko jego towarzystwa i lojalności aż po ostatnią przytomną sekundę przedśmiertnego tchnienia.

Clyde zobaczył drugiego, a potem trzeciego mężczyznę w katowskim kapturze. I postać owiniętą białym całunem.

- A ten człowiek, który ustawia się do fotografii - powiedziała młoda kobieta. - Siedział pan z nim przy jednym stoliku.
- Pan Hoover.
- Tak, pan Hoover.
- A obok niego, zaraz, zaraz. Żona sławnego poety. Mąż sławnej aktorki. Dwaj kompozytorzy w stanie wolnym. Miliarder z podwójnym podbródkiem. - Clyde zdał sobie sprawę, że się popisuje. - I giełdciarz-żeglarz, niech no pomyśle, Jason Vanover. I jego żona, mierna malarka, jak jej tam. Sax, Wax, coś w tym stylu.
- A pan nazywa się Tolson - odgadła kobieta.

Jaka bystra - pomyślał Clyde, którego rzadko rozpoznawano przy publicznych okazjach, więc z jednej strony trochę go to polectało, a z drugiej odrobinę zaniepokoiło.

Tańczyli przytuleni do siebie policzkami.

Zobaczył jeszcze jedną kobietę w sukni stylizowanej na średniowiecze, nieco szczelniej spowitą i zakapturzoną, i po-

myślał - nie, nie o tym obrazie, w którym Edgar tak chorobliwie się lubował, wcale nie o makabrycznej panoramie Bruegla (Edgar miał całą kolekcję pocztówek, stronic wyciętych z gazet, oprawionych reprodukcji i powiększonych detali, którą wypełnił i obwiesił świetlicę w suterenie swojego domu. Kazał też Clyde'owi pogadać z urzędowymi osobistościami z Madrytu o bezcennym oryginale, czyby nie mógł go dostać jako dar dla amerykańskiego ludu od hiszpańskiego narodu wdzięcznego za to, że chroni go swym puklerzem wojskowa potęga Stanów Zjednoczonych. Ale kiedy w początkach roku podczas rutynowego tankowania pewien B-52 zderzył się z samolotem cysterną i na wybrzeże Hiszpanii spadły cztery bomby wodorowe, z których wydostały się substancje radioaktywne, Clyde musiał zaniechać wszczętych już rozmów). Nie, nie o Brueglu. Kobieta w stroju mniszki skojarzyła mu się nie z kim innym, tylko z tym ekscentrycznym, chorym, zaćpanym komikiem - z Lennym Bruce'em. Nie, Lenny'ego Bruce'a nie było na Czarno-Białym Balu. Lenny Bruce już wtedy nie żył. Zmarł kilka miesięcy wcześniej w swoim domu w Los Angeles z powodu ostrego zatrucia morfiną: leżał nago na podłodze w ubikacji, z zeszytowanymi kończynami, z nosa ciekł mu śluz, oczy miał szklane i szeroko otwarte, a w przedramieniu tkwiła igła ze strzykawką.

Policyjne zdjęcie obrzmiałego ciała miało format dwadzieścia cztery na trzydzieści centymetrów - też można by je zatytułować *Triumf śmierci* - i spoczywało w prywatnym archiwum Dyrektora. Czemu? Zgroza, dreszcz, piekielny posmak religijnej, jakby średniowiecznej pomsty. I zaledwie w parę godzin po znalezieniu zwłok zrobił się szum w wiadomych kręgach. Kapewu. Lenny zginął, zabiły go szemrane sity na usługach rządu.

Lynda Bird Johnson minęła ich w tańcu z agentem tajnych służb.

Clyde'a nie dziwiły te pogłoski. Czuł, jaką paranoją zionie całe dziesięciolecie. I nagle zastanowił się nad kobietą, którą trzymał w ramionach. Czy rzeczywiście do niej podszedł, czy raczej sama nieznacznie stanęła mu na drodze?

Mężczyzna w masce szkieletu i z kobietą w mniszej oponczy. Stali na brzegu estrady.

- Zna pani moje nazwisko - rzekł Clyde - ale ja, niestety, nie mam pojęcia...

- Co zresztą nieczęsto się zdarza, prawda? Ale zdawało mi się, że na tym balu zaleca się tajność.

Tańczyli w takt melodii rewiowych z lat czterdziestych. Kobieta trochę mocniej przycisnęła się do niego i zaczęła rytmicznie dyszeć mu w ucho.

- Widział pan kiedyś tyle osób - szepnęła - zebranych w jednym miejscu po to, żeby wspólnie napawać się własnym bogactwem, potęgą i ohydą? Jeżeli rozejrzemy się po sali - szepnęła dalej - zobaczymy dyrektorów, fotografów mody, przedstawicieli rządu, przemysłowców, pisarzy, bankierów, akademików, świńskie mordy arystokratów na wygnaniu, i widząc zgorzkniałe, pomarszczone ciało kogokolwiek z nich, zajrzemy w duszę jego sąsiada i z tej jednej duszyczki dowiemy się wszystkiego o wszystkich. Bo wszyscy są częścią tego samego kurewstwa - szepnęła. - Nie sądzi pan?

Kimkolwiek była, jej słowa niemal odebrały mu mowę.

- Tego samego - powtórzył. - Czyli?

- Państwa, narodu, korporacji, struktury władzy, systemu, układu.

Taka młoda, gibka i trywialna. Poczuł, jak elektryczne napięcie jej ud i piersi przenika przez jego garnitur.

- Jeżeli mnie pan pocałuje - dodała - wepchnę panu język w gardło tak głęboko.

- No?

- Że przebiję serce.

A potem stało się wszystko naraz. Postaci o twarzach kruków i te w kościotrupich maskach. Postaci w białych całunach. Mnisi, mniszki, kaci. Więc oczywiście zrozumiał, że kobieta, z którą tańczy, jest z tego samego towarzystwa.

Stanęli na parkiecie w straceńczym szyku, uciszając muzykę i przepędzając gości pod ściany. Salą zawładnęła maskarada milczących figur, zaraza, gejzer chorobotwórczy, więc Clyde rozejrzał się za Edgarem.

Kobieta gdzieś się wymknęła. A potem wszystkie te postaci ruszyły po parkiecie, udrapowane, zamaskowane, spowite, zakapturzone. Jakim cudem zdołały tak zręcznie się zgromadzić?

I jak w ogóle dostały się na bal?

Clyde rozejrzał się za starym Edgarem.

Kat i mniszka wykonali *pas de deux*, kilka prostych kroków

w kole, stopniowo dołączyli do nich inni, mężczyźni-szkielety z kobietami-krukami, i w końcu zatańczyli wdzięczną pawanę, dworną, trupią i powolną, z towarzyszeniem gestów tak wyra-
chowanych, jakby byli nie tylko tancerzami, lecz zarazem akto-
rami, a Clyde zauważył, że wśród tego grona jedwabście sunie
jego młoda partnerka.

Wepchnę język w gardło tak głęboko.

Goście patrzyli jak w transie, pięćset czterdzieści osób wedle
dokładnego rachunku, plus muzycy, kelnerzy i wszelaki personel,
a także ochroniarze strzegący biżuterii dam, wszyscy podziwiali
widowisko inne niż to, które sami w sumie tworzyli -z
uszanowaniem, w milczeniu i lekkim oszołomieniu.

Że przebiję serce.

Kiedy skończyli, stanęli całą trupą w szeregu i zdjęli nakrycia
głowy oraz maski. Nic nie mówiąc, otworzyli usta i zwrócili na
gości puste spojrzenia. Przez bardzo długą chwilę w kolumnowej
sali trwała rozdziawiona cisza.

Wyszli gęsiego.

Po kilku minutach Clyde odnalazł Szefa i obaj poszli do
męskiej toalety, żeby wziąć się w garść.

- Miło ci się tańczyło, Junior?
- Chyba wiem, co to za jedni.
 - Czy aby nie powiedziałeś tego, kiedy ostatnio tu wstąpi-
liśmy?
 - Grupa mało widoczna i jeszcze mniej znana. Ich robota to
głównie demonstracje na kampusach. Nikt, dziwna rzecz.
- Co takiego? - warknął Szef.
 - Nikt w Wydziale Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie umie
powiedzieć, jak się nazywają. Znani są z tego, że urządzają
akcje protestacyjne i grają wtedy wszystkie role, nawet poli-
cjantów. Obróć się.
 - Ustal powiązania. Bo wszystko to jakoś ze sobą się wiąże.
Protesty przeciwko wojnie, złodzieje śmieci, zespoły
rockowe, rozwiążność, narkotyki, włosy.
 - Masz łupież na marynarce - powiedział Clyde.

Mężczyźni wchodzili i wychodzili, wnosząc i wynosząc
z glazurowanego pomieszczenia monotony, nadąsany szmer.
Rozpinali rozporki i sikali. Polewali moczem spiętrzone bryłki

lodu, garniowane dzwonkami cytryny. Rozpinali i zapinali sukienki. Sikali, strzäsali ostatnie krople i zapinali rozporoki.

Edgar stał przed lustrami, wciąż w masce, a Clyde, patrząc na niego, pomyślał o ogrodzie ukrytym za domem Dyrektora, odgrodzonym parkanem przed wzrokiem sąsiadów, o ogrodzie, do którego nigdy nie wpuszczano gości, a w którym posągi nagich młodzieńców wyrastały z fontann lub stały okryte splotami pnączy płonących jesienią. Nie tyle podnieta, ile natchnienie - uważał Clyde. Właśnie w tego rodzaju męskiej postaci wyobrażał sobie Edgar swojego wyidealizowanego sobowtóra. Na co dzień jego rolę odgrywał Clyde. Przynajmniej dawniej, w czasach, gdy Edgar ukradkiem przechylał lustro, żeby patrzeć z łóżka, jak w sąsiednim pokoju Junior robi pompki.

To było w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, w Miami Beach. A teraz jest rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty szósty w Nowym Jorku, my zaś żyjemy w zamęcie i szoku.

Dał się tej dziewczynie czarować, kusić, i sprawiało mu to przyjemność, a potem był zawiedziony, kiedy wymknęła się przed obiecany pocałunkiem, dał się wystrychnąć na dudka w najstarszy ze znanych sposobów tej ekstremistce, tej zachwycającej, doskonale opanowanej, nieczulej suce kusicielce.

Zanim wrócili na salę, połowa gości wyszła. Inni odczekali trochę, żeby ich odejścia nie kojarzono bezpośrednio z niedawnym spektaklem, protestem czy jak go tam nazwać - z tą karykaturą ich grzecznego, wymuskanego wieczoru.

Szykowna orkiestra zagrała jeszcze parę całkiem tanecznych melodii, ale nikt nie miał ochoty tańczyć. Edgar i Clyde siedzieli, popijając z mężczyzną o ziemistej cerze, w przydymionych okularach, i jego przesadnie zamaskowaną żoną (atłasowe skrzydła, kogucie pióra, całość wysadzana brylancikami).

Może ktoś z mafii - pomyślał Clyde.

Edgar nie chciał się do nikogo odzywać. Siedział, pił i nie nawidził. Jego oczy miały połysk Rzeczy Ostatecznych. Clyde znał ten ich wyraz. Znaczył on, że Dyrektor rozmyśla o swojej trumnie. Szczegółowo planując własny pochówek, doznawał mrocznego ukojenia. Trumna wyściełana ołowiem, ważąca ponad pół tony. Żeby chroniła ciało przed robactwem, zarazkami, nomikami, kornikami i wandalami. Skoro zamierzają ukraść jego śmieci, to czemu nie trupa? Z ołowianą wyściółką, tak, dla

ochrony przed wojną nuklearną, przed Zniszczeniem i Rozkładem, skutkami opadu radioaktywnego.

A kiedy umrze - obojętne, w jakich okolicznościach - cały ten element, który brzydzi się teraz jego nieograniczoną władzą, zwróci nagle swoją nieufność gdzie indziej i zacznie rozpuszczać pogłoski, jakoby sam Dyrektor padł ofiarą przewrotnego mordu, uknutego i popełnionego przez niewiadome siły ukryte w ogromnej i wielowarstwowej pajęczynie państwa.

I tym sposobem Szeff wzbudzi wreszcie odrobinę współczucia - starzec uspiony w wyniku zawilego spisku, którego skuteczność i zwodniczość wzbudzi powszechny podziw, chociaż wiara w jego istnienie będzie tylko połowiczna. Sam Clyde gotów był już połowicznie weń uwierzyć.

Drogi Edgarze, z bożą pomocą przeżyj jeszcze dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat.

Może skończą się tymczasem lata sześćdziesiąte.

Kobieta w krzykliwej masce spytała:

- Myślisz, że ta hołota jeszcze czeka na dworze, żeby mnie znowu udreńczyć?
- Już prawie czwarta - odparł jej mąż. - Muszą przecież kiedyś iść spać.

O czwartej rano tamci, owszem, czekali na dworze. Clyde i Edgar patrzyli z hallu, jak ostatni uczestnicy przyjęcia z ociąganiem wychodzą, a demonstranci witają ich chrapliwymi okrzykami, znowu w tych swoich maskach z twarzami dzieci.

Po upływie kolejnej godziny nareszcie się to skończyło. Edgar i Clyde wyszli głównymi drzwiami i ruszyli po schodach do swojego cadillaca, a wiatr pędził ulicami rozproszone śmieci, plon całej doby w wielkim nadmorskim mieście.

Pancerna limuzyna wolno toczyła się z powrotem do „Waldorfa”.

Tak, Dyrektor wzbudzi wreszcie nieco współczucia w tych samych ludziach, którzy teraz stroją sobie żarty z nich obu. Sprośne żarty o ciotach. Ale Edgar i Clyde nie byli parą starych pedryli, goniących resztkami. Byli mężczyznami sprawującymi suwerenną władzę. A Edgar nie miał zamiaru wypuścić ziemskich spraw spod kontroli - teraz ani nigdy.

Clyde zobaczył garbusa.

Zerknął na Edgara, który siedział oniemiały, w ponurym za-

myśleniu, wciąż jeszcze w tej swojej masce z cekinami. Od kolacji nie zdjął jej ani na chwilę. Twardy, zimny, małowówny, targany skrytą furią płynącą z jakiegoś nie ukojonego bólu, chodził w skórzanej masce, bo przynajmniej na pewien czas uwalniała go od brzemienia kontroli.

A kiedy Clyde zobaczył garbusa, tego małego, ciasnego volks-wagena, całego w płomiennych esach-floresach i spiralach, postanowił nic nie mówić Edgarowi. Garbus jechał trzydzieści metrów za nimi i wyglądał jak karaluch pociągnięty błyszczącym lakierem, powolny, bezsenny, uparty.

Nic nie powiedział Szefowi, bo tyłu doznali tej nocy wstrząsów i zmartwień, że chciał wziąć na siebie tę ostatnią, złowieszczą chwilę. Był przecież Juniorem, teraz i zawsze, skwapliwie, nieuchronnie, pomimo całego zmęczenia i otępienia dożywotnim towarzyszem i wiernym „drugim”.

5

25 października 1962

Był czwartek. Po raz pierwszy odczuli całą grozę sytuacji w poniedziałek wieczorem, kiedy Prezydent przemówił do narodu w radiu i telewizji. We wtorek poinformowano ich, że sowieckie okręty płyną w stronę Kuby, wioząc rakiety i głowice, żeby powiększyć liczbę tych, które już wcześniej zainstalowano na wyspie. W środę panowało napięcie. Bo właśnie w środę dowiedzieli się, że wprowadziliśmy blokadę morską, a czternaście sowieckich okrętów zbliża się do linii demarkacyjnej.

A teraz był czwartek. I w ten czwartkowy wieczór, gdy bombowce strategiczne z głowicami termojądrowymi okrążyły Morze Śródziemne, latały arktycznymi szlakami nad Grenlandią lub trzymały się zachodnich granic Ameryki Północnej, ludzie w drodze z pracy do domu słuchali radia albo czytali gazety.

A późniejszym wieczorem, kiedy z rozległego, rozwichrzonego nieba nad jeziorem ciemność zaczęła osnuwać ziemię, wyszły na miasto nocne marki, chyłkiem mijając bary i knajpy, mieszając się z tłumem turystów i uczestników zjazdów, którzy też byli ciekawi życia. W bocznych uliczkach schodzili z drogi taksówkom polującym na klienta, omijali miejsca, gdzie targo-

wano się o cenę występku, aż dotarli na Rush Street, do lokalu „Mister Kelly”, jednego z najsłynniejszych, jakie znała skoczna chicagowska noc.

Lenny Bruce wyszedł niedbałym krokiem z garderoby na pierwszym piętrze, z lekko zmętniałym wzrokiem przeszedł przez kuchnię i drzwi wahadłowe, a potem dał krok w bok na scenę.

- Dziś wieczór na widowni to normalnie ludzkie zoo - po wiedział kelner z tacą.

W kwadrans po rozpoczęciu występu Lenny wyjął z kieszeni przerwytywę, wystawił język stulony w kształt korytka i spróbował naciągnąć na niego kondom. Potem usiłował mówić przez gumę, czy też z jej środka. W końcu złapał ją kciukiem i palcem wskazującym i zamajtał nią, trzymając w wyciągniętej ręce, jakby demonstrował okaz martwej meduzy, u której odruchy na tyle jeszcze działają, że może zadać ostatni spazmatyczny cios.

- W dwudziestu trzech stanach narażam się na aresztowanie, publicznie machając tym urządzeniem. Myślicie pewnie: no tak, oczywiście w strefie biblijnej. Otóż tam akurat nic mi nie grozi, bo oni nie wiedzą, co to jest. Owijają sobie chuje folią gospo darczą marki „Saran”.

Zamachał rękami jak kaznodzieja wołający: „Alleluja!” i zatoczył się do tyłu.

- Przysięgamy, „Time” o tym pisał. Bierze się pudełko saranu i odrywa dłuższy albo krótszy kawałek, zależy jak kto jest wyposażony.

Słowo „wyposażony” wzbudziło żywszą reakcję niż „saran” czy „Time”.

- Klops do odgrzania.

Parsknął tym swoim luzackim śmiechem, zginając się wpół niczym chasyd pogrążony w poważnej modlitwie. Parę osób na widowni - dwie, trzy, cztery - skurczyło się i zapadło w fotele.

- Folia „Saran”. Ta nazwa ma kosmiczne brzmienie. Wyobraźcie sobie miasteczko gdzieś w Ameryce. Gospodyni domowa rozwiesza pranie na sznurze. Na szkolnym boisku spokojnie się bawią białe i czarne dzieci. Na parapetach kuchennych studzą się szarlotki. Nagle grobowa cisza. Ludzie zastygają w pół ruchu. Pies imieniem Skipper chowa się pod schodkami werandy. A po tem oślepiający błysk. Wizyta z kosmosu. Stwory z planety Sa-

ran. Bardzo chude i jakby przezroczyste. Oświadczają przywódcom ziemskiej cywilizacji: weźcie ten nowy materiał, któryśmy niedawno wynaleźli, i wypróbujcie na sobie, bo my się, prawdę rzekłszy, boimy.

Z wolna zaczęły mu opadać ciężkie powieki, zanim zmienił scenę.

- To dowiedziony fakt, że parobcy i kowboje biorą ze sobą na randkę po kawałku saranu. Całe zespoły socjologów badają to zjawisko w terenie. Że nie wspomnę o agentach, którzy reklamują Dow Chemical, czyli producenta tej folii, i chcą lan sować swój wyrób jako opakowanie żywności, a jednocześnie zlewór, jeśli tylko zdołają wymyślić należycie dyplomatyczny język. Reklamarskie grube ryby z Madison Avenue. Odstawmy scenkę z prowincjonalnym lekarzem, miłym staruszkiem w białym kitlu. Siedzi w swoim rustykalnym gabinecie i ściągając saran z kanapki z kurczakiem, którą żona zapakowała mu na drugie śniadanie, z roztargnieniem owija sobie folią palec. Mówi o świeżości i bezpieczeństwie. Może wtrąca słówko o przeludnieniu. Reklamiarze aż się podpalają, tak im się podoba ten pomysł. Zróbmy z niego gwóźdź programu, plepleple. Bo to prawie bodziec podprogowy, kapewu?

Lenny obraca się na pięcie i palcem wskazuje jakiegoś widmowego konfederata, który stoi za kulisami. W rzeczywistości nie ma tam żadnych kulis - tylko ściany i drzwi.

Znowu próbował wciągnąć kondom na język.

- Nie lekceważcie potęgi ludzkiej mowy. Ja tam zawsze noszę przy sobie gumkę, bo nie chcę zapłodnić jakiejś przypadkowej dziewczyny przez to, że z nią chwilę ponawijam. Jakaś niewinna małolata pyta, którądy do State Street. A tu trach! - i niepokałane poczęcie gotowe.

W środku sali zrobiło się małe zamieszanie - może ktoś postanowił wyjść, a może to po prostu talerze na tacy jakiegoś kelnera narobiły hałasu. Teoretycznie kelnerzy w trakcie występów powinni sprawować się cicho, ale na sali zgromadziła się zgraja wygłodzonych łakomczuchów, którzy z wielkim hałasem opychali się stekami, żeberkami z grilla, ogonami homarów, makaronem i kurzymi wątróbkami, dość pospiesznie pałaszując specjalność zakładu, „sałatkę zielonej bogini”.

- Kochajcie mnie bez względu na wszystko, bo inaczej umrę - powiedział Lenny. - Oto warunek naszych zaręczyn.

U Kelly'ego był tego wieczoru nadkomplet, grubo ponad prawnie dozwolone sto sześćdziesiąt osób; ludzie siedzieli i stali, a przy wyjściu ewakuacyjnym tłoczyli się, ustawieni dziesięcioma rzędami. Zachowywali się hałaśliwie, darli się i ryczeli jak spłoszone bydło - służbowo podróżujący mężczyźni, którym pulsowały rozdęte żyły na skroniach, cała wycieczka bileterek z Dalekiego Zachodu - i wszyscy trochę liczyli się z tym, że odnajdą się w jednym z numerów Lenny'ego, a spójrzcie na tych masywnie zbudowanych facetów w obszernych garniturach, z romboidalnie rżniętymi szafirami czystej wody na małych palcach: przybyli prosto z gangsterskich przedmieść, a szerokie klapy ich marynarek wyglądają jak semafony, kiedy zawieje wiatr. Przy następnym stoliku przedsiębiorcy budowlani ssą kubańskie cygara - kawalerski wieczór, poszli w miasto. Wyrafinowane kobiety podniecają się dziwnym wnętrzem mężczyzny popisującego się na scenie. Paru pulchnych wykładowców uniwersyteckich, którzy są natchnieniem całej humanistycznej enklawy, ma ochotę zdrowo się uśmieć. I jeszcze Hugh Hefner, a wokół niego grono modelek „Playboya”: to kandydatki na rozkładówkę, które dostały urlop z Dworu - wysokie, młode, jasnowłose, o tak nieskazitelnej cerze, jakby je polakierowa-no z rozpylacza. Hef siedzi z tym swoim świńsko-ojcowskim uśmieszkiem, przynitowanym do fajki z wrzośca.

Ktoś wychodzi z sali - to oczywiście zwykła rzecz na występach Lenny'ego Bruce'a. Dwie kobiety i mężczyzna, wszyscy trzej urażeni widokiem faceta, który wsadza język w trojana.

Lenny zauważył ich i skoncentrował się na kobiecie idącej w ariergardzie. Grubokościstej, powiedzmy, i wysportowanej.

- Patrzcie, kto bierze dupę w troki. Wiecie, co to za jedna, prawda? Znacie ją z listów gończych. Przełożona pielęgniarce Josefa Mengele. Przyjechała tu z Argentyny na tanią wycieczkę. - Krótka pauza. - Zwiedza zagrody dla bydła rzeźnego, więzienia i kostnice. - Znowu chwila pauzy. - Kiedy jeszcze była czynna zawodowo, miała ksywkę „Attyla królowa Hunów”.

Kto jeszcze był na sali? Komicy z zespołu Second City przyszli wielbić superdegenerata. Recenzenci jazzowi i ludzie z kręgów teatralnych. Opaśli politycy z różańcowymi żonami, prze-

konani, że Lenny to włoski zapiewajło, którego prawdziwe nazwisko ma jedenaście sylab i zawiera w sobie ciężką klątwę.

Kto jeszcze? Tu i ówdzie siedzieli gliniarze z obyczajówki okręgu Cook, wyposażeni w notesy i magnetofony, wysysając każde niepraworządne słowo.

Lenny dalej pastwił się nad wychodzącymi.

- Dajcie im przejść, dajcie przejść. Za dziesięć minut mają samolot do Buenos Aires. Eichmann Air. Stewardesy noszą pi żamy w paski.

Takie właśnie warunki dyktował Lenny swoim słuchaczom. Komu nie podobały się jego numery, ten zaraz stawał się mawowym mordercą. A może Matką Polio za rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty drugi albo postacią z tej oto krótkiej improwizacji na temat migającego napisu z samolotowej toalety, który był jedną z najnowszych obsesji Lenny'ego.

Wróć na miejsce. Wróć na miejsce. Wróć na miejsce.

Kiedyś w Nowym Jorku z jego występu wyszło sześćdziesiąt osób naraz. Cała wycieczka z autokaru Grey Lane wstała i uciekła. Angelo, *maitre d'hotel*, spojrział na Lenny'ego i spytał: „Musisz tak bluzgać? Kto nam zwróci za napiwki, ty chuju?”

Lenny lizał kondom i pocierał go palcami. Międlił go, związał, rozciągał i puszczał.

- Akurat zdałem sobie sprawę, że czuję się, jakbym trzymał w ręku cały dwudziesty wiek.

Przerwał i zadumał się, jakby szukał czegoś w pamięci. Roztargnionym gestem schował gumkę do kieszeni. Miał na sobie tę samą kurtkę á la Nehru co przedtem w San Francisco, swój kostium hinduskiego męża stanu, teraz już zmiętą i pozagnia-taną, jakby ją wyciągnął z rynsztoka, do którego ktoś ją cisnął, zwinąwszy w kłębek. I duży medal na łańcuszku, stały dodatek do kurtki. Każdy, kto ją nosił, w nagrodę dostawał odznakę.

Tak, pomału przypominał sobie jakąś ciężką, gęstą sprawę. Chociaż przez cały ubiegły tydzień przejmował się kryzysem raketowym, choć w Basin Street West nagle zgasły światła, a ze wszystkich powierzchni tworzących krajobraz, z całej sieci informacyjnej, począwszy od ekranów TV w poczekalniach lotnisk aż po ślepych gazeciarzy, którzy na rogach ulic sprzedawali szmatławce, nieustannie docierały komunikaty, Lenny mimo głę-

bokiego niepokoju jakoś zapomniał o konfrontacji nuklearnej.

- Lepiej w to uwierzcie. Ich okręty zbliżają się do naszej blokady.

Skinął głową, pogładził zamię na policzku, pomachał palcami i spojrzął na gęstwą głów, z której w nisko snującym się dymie parował autonomiczny pomruk.

- Wszyscy umrzemy!

Powtórzył to cztery razy, namiętym dyszkantem, z podniesionymi rękami.

- I już zaczynacie to odczuwać jako osobistą zniewagę - podjął. - No bo jak oni śmieli dopuścić do wybuchu wojny akurat w sam weekend, co za niewygodna! A przecież wszystko mieliście zaplanowane. Piątek wieczór. Seans ze znajomymi, ambitnymi znawcami kina artystycznego. Poważny szwedzki film w małej salce koło uniwersytetu. Ursula Andress naga do pasa, z zarżniętym cielęciem przewieszonym przez ramię. So bota rano. Zaraz, zaraz. Pralnia, poczta, sprawunki, odebrać buty, uśpić kota, zadzwonić do mamy w rodzinnym French Lick - tak, u mnie w porządku, a co u ciebie, plepleple, mam dziś wieczorem fantastyczną randkę z bardzo miłą dziewczyną, Ray theon, jest mormonką, oni nie piją kranowy ani nie grają na saksofonach.

Znienacka przerwał i pochylił się, patrząc prosto w twarz siedzącemu tuż przy scenie potentatowi od nieruchomości -facetowi o wydętych policzkach trębacza, który gra przedzawałowe solo.

- Cpun skun makaroniarz pepik asfalt.

Zdanie bez kontekstu, prócz tego, który wszędzie się ciągnął za Lennym. Prócz kultury, do której należał, i jej dwuznaczni-ków. Znowu rozejrzał się po sali. Tak jakby potrzebował twarzy w pewnym konkretnym typie, żeby ją uraczyć swoją biblią.

Jeden z profesorków uśmiechnął się zachęcająco, a Lenny nie kazał mu długo czekać:

- Jeb trep w łeb, pedale, strzelmy sobie po dziale.

Brzmiało to właściwie dość ekscytująco. Wielu obecnych nigdy jeszcze nie słyszało takich słów ze sceny, zwłaszcza z ust faceta w hinduskiej kurtce, miały więc dziwnie prawdziwy ton, jakby rozkielznany, rozhamowany.

Po tym fajerwerku Lenny zasunął uczony kawałek na motywach niemieckiego słowa *Sprachgefühl*, oznaczającego „wyczuwanie języka”, czyli smykałkę do idiomów, które są na czasie: dokształca się z takich rzeczy w hotelach i samolotach, no i u siebie w domu, kiedy nad Los Angeles szarzej zadymoniony świt, a on czeka na kobietę albo na handlarza z kolejną działką.

W środku jego komentarza na sali zaczęła się bijatyka. Przy wyjściu ewakuacyjnym. Pięciu byków utworzyło kłębowski pięści i szturchańców. Lenny podjudzał ich, znieważał ich matki, aż w końcu wyturlali się za drzwi.

I znowu przypomniał sobie o kryzysie.

- No więc wstępujesz po swoją lałę na jej metę, tam gdzie mieszka z sześcioma innymi mormonkami. To dopiero siksowny cyrk! Wszystkie mają dziwne, błyszczące oczy, a włosy w nadludzkim kolorze blond. Reprezentują kolejny etap ewolucji, jeszcze wyższy niż pływaczki olimpijskie. Sam próg science fiction, stary. Wyglądają jak ludzie, ale to kosmitki, które tylko czekają na sygnał, żeby zawładnąć Ziemią. Uważają, że woda z kranu to spisek rządu. Cysternami sprowadzają sobie wodę z Utah. Raytheon jest nawet dosyć ładna, ale ubiera się tak sztywniacko, że aż ci się jaja kurczą. Patrzysz na te dziewczyny i oplakujesz utracony czar damskiej bielizny. Cały ten zhitleryzowany system pasów i uprzęży. Legalny wentyl bezpieczeństwa dla twoich potajemnych ciągot faszystowskich. Ale ciziom już się znudził. Ten oślizgły sprzęt, dla którego opłaca się toczyć wojny. Zabierasz ją do murzyńskiej knajpki niedaleko aresztu dla kobiet. Zamawia kanapkę z salcesonem. Oho, lubi czarną kuchnię. Robi ci się bosko. Myślisz, jak to będzie, kiedy już ją doholujesz do siebie. Flaszka wata 69. Bibułka „Zig Zag”. Torebeczka trawy z wysokich Andów. Nastrój coraz gorętszy. Na adapterze cool jazz. Puścimy Milesa, tak, coś z okresu niebieskich smutków. Jak Miles jej nie zmiękczy, znaczy, że to ostra łesba. Myślisz o tych wszystkich uniwersaliach, o których mężczyźni zawsze myśleli i między sobą rozmawiali. Wleźć jej w majtki. Wlałeś? Dała ci? Zaliczyłeś ją? Jak daleko zaszedłeś? Jak daleko się posunęła? Łatwa jest? Dobrze się wali? Udał ci się numer? Ile numerów? Od metra? Spiła się jak bela? Jakby mówili o tkaninach. Rozmowa kupców bławatnych. Ta to dopiero się pruje! Nic tylko rżnąć. Dialog ze szwalni. Jakby mówili

o robocie na akord. Ale z niego rwacz. Ale z niej numer. Odstawić numer. Poszła w odstawkę. Nie sposób odróżnić kobiety od tkanin, które ma na sobie.

Oto Lenny w wersji pierwotnie chrześcijańskiej wygłasza kazanie do pustynnej hołoty.

- Łapiesz taksówkę, w środku gra radio. Chruszczow napisał list do Kennedy'ego. Proponuje spotkanie na szczycie. Kto to w ogóle jest ten jakiś Chruszczow? Wiracha w źle uszytym garniaku. Ale ciebie nie obchodzi jego szczytowanie, tylko swoje własne. W tym kryzysie raketowym najważniejsze są seksualne gratki, których on nastrocza. Holujesz Raytheon do siebie na chatę i wmawiasz jej, że świat lada chwila szlag trafi, a ona, o dziwo, daje się przekonać i już po paru minutach stoi goła w twoim salonie, cała z owali i pętli, jak kaligrafia Palmera, a włosy ma tak niesamowicie blond, że kto wie, czy nie jest radioaktywna.

Raptownie przerzucił się na improwizowane kawałki. Cokolwiek śmignęło mu przez mózgowicę. Zaczynał jakiś numer i po paru sekundach miał go dosyć. Robił psychoanalizę, snuł osobiste wspomnienia, naśladował różne głosy i akcenty, babcine pojękiwania, odgrywał sceny z filmów o życiu więziennym, a na zakończenie wałnął monolog z dziwnie uproszczoną składnią, bez spójników, czadował bez trzymanki, swobodną formą, bliższą muzyce niż mowie, odstawiał gadany jazz, w którym z każdego slangowego zwrotu powstaje cały pasujący do niego żargon, jak wtedy, kiedy muzycy dialogują po cztery takty każdy, kapela w trasie, wewnętrzny riff sidemana, a gdy słuchacze wreszcie się rozeszli, zabrali ze sobą tę rapową mozaikę do lokali ze striptizem, barów i nocnych jadłodajni, wszędzie tam, gdzie zbierają się nocne marki, wzięli prywatny hard bop Len-ny'ego, ponieśli jego gadkę między ludzi, którzy jechali przez rozległą chicagowską noc.

2 lipca 1959

Zatrzymaliśmy wóz kilkadziesiąt metrów przed mostem i przesiadliśmy się do taksówki. Kiedy podałem taksjarszowi adres, spojrzął na mnie, a potem na nią, i krótko kiwnął głową. Uprzedzano mnie, że przed granicą lepiej wziąć taksówkę, bo

jadąc własnym autem, człowiek naraża się na straszne opóźnienie, kiedy w drodze powrotnej na stronę amerykańską celnicy zaczynają szukać broni i narkotyków.

Miasto w burzowej poświacie pałało dziwnie elektryczną jasnością. Tynkowane na niebiesko i zielono sklepy z ceramiką na wystawach - ceramiką, miedzią, kilimami, szkłem.

- Chyba zaczynam się rozmyślać - powiedziałem.
- Proszę cię, przestań.
- A może namyślać. Dotąd właściwie serio się nie zastanowiłem. Dopiero teraz.

Amy umiała zmieścić w swoich przejrzyście piwnych oczach sporą dozę wyrzutu.

- Z góry uznałem, że tak trzeba - dodałem. - Powinniśmy byli więcej o tym porozmawiać.

Spojrzała na mnie jak ktoś, kto chce ci uświadomić, ile trudu go to kosztuje, żeby się nad tobą nie litować. Wyjechaliśmy z miasta między brązowe wzgórza i lunął rześisty deszcz. Kiedy po jakichś sześciu minutach szofer zahamował przed sporym domem ukrytym za drzewami, słońce prażyło, a ziemia parowała.

Kobieta, która wpuściła nas do środka, spojrzała na Amy i powiedziała dosyć kategoriycznym tonem:

- Pani nazwisko proszę.
- Amy Brookhiser.
- Dobrze, proszę za mną.

No i tak się to stało. Poszła za tą kobietą, która była pielęgniarką, żoną, rejestratorką albo wszystkim po trochu. Pomyślałem, że mogliśmy powiedzieć sobie parę słów dla dodania otuchy, a przynajmniej ja mogłem coś powiedzieć, nawet gdyby ona się nie odezwała, chociaż nie wiedziałem, co właściwie miałbym do powiedzenia, ale one odchodziły już korytarzem i skręcały w lewo, a ja wciąż stałem, trzymając nasze torby z bagażem na jedną noc.

No dobrze. Odstawiłem je na podłogę, wszedłem do saloniku czy też poczekalni i usiadłem na kanapie. Nie było co czytać, żadnych czasopism. Do czytania miałem tylko ściany wymalowane w sentencje i okultystyczne symbole - niespodzianka. Koła, szewrony, strzałki, ptaki, mnócho mistycznego kitu, który uśiłowalem jakoś ogarnąć. Kilka graficznych sentencji, słów uło-

zonych w kształt trójkątów i wysokich palm, a może drzew życia - sentencji po angielsku, o wędrówce duszy i oku Boga, a na wszystkich czterech ścianach i na suficie mistyczne oczy i karzące dłonie.

Próbowałem oswoić się z tą niespodzianką, zastanawiając się, co to wszystko znaczy i czemu nikt mnie nie uprzedził, i właśnie wtedy wszedł lekarz. Kolega z pracy w Palo Alto dał mi jego namiary, więc zadzwoniłem i umówiłem się, a poza tym jeszcze dwaj inni faceci, z którymi rozmawiałem, zapewniali, że to bezpieczne miejsce, bezpieczne, czyste, pełen profesjonalizm, ale nikt nie wspominał o ścianach.

Patrzył jakby gdzieś w bok.

- Tak - powiedział.
- Doktor Swearingen? - spytałem, Nie patrzył na mnie.
- Chyba wszystko w porządku - rzekł.
- Płacę teraz? - upewniłem się.

Brzmiało to jak rozmowa prowadzona od końca.

Z zasznurowanymi ustami namyślał się nad moim pytaniem, a ja czekałem z dłonią przy portfelu.

Był Amerykaninem wysokim i pochylonym, dziwnie bladym i chyba głęboko zatopionym we własnym wnętrzu. Ubrany był w biały kitel, miał prawie dwa metry wzrostu i trudnił się przyrywaniem ciąży - zdaniem moich rozmówców robił to z poczucia obowiązku i z miłosierdzia - i od rana się nie ogolił.

Zapłaciłem dwieście dolarów gotówką, a on powiedział:

- Należy się spodziewać lekkich krwawień.

Może chciał w ten sposób zatuzszować transakcję. Zaraz potem odszedł korytarzem.

Siedziałem wśród obrazków i słów. Nie wiedziałem, jak to wszystko przemyśleć. Jak nazwać. Amy może wiedziała, ale niewiele się odzywała. Chciała tylko jak najszybciej załatwić sprawę.

Gotów byłem się poświęcić, wziąć na siebie odpowiedzialność. Tak sobie mówiłem. Chciałem połączyć się z czymś silnym - z żoną, myślałem, i z dzieckiem.

Ale ten układ nie miał w sobie żadnej siły. Był beznadziejny, słaby, do niczego. Nie wytrzymałobyśmy razem ani miesiąca. Niespokojnie, chaotycznie szukaliśmy, ucieliśmy sobie tylko

przelotny romans, który trwał z przerwami już dwa lata - wyłącznie dlatego, że mieszkaliśmy w dwóch różnych miastach, oboje święcie przywiązani do ryzyka, a ona była mi mniej potrzebna niż cokolwiek na świecie.

I ogarnął cię dziwny, cienisty żal, prawda? Kiedy tak siedziałeś w poczekalni, ogarnął cię smutek ocieniony dystansem i próbowałeś wmyślić się w środek nie przeżytego życia tego dziecka.

O parę pokojów dalej ktoś coś gotował, i to mnie wytręcało z równowagi. Aromat potraw i lekki szmer krzątaniny, dźwięk otwieranych drzwiczek od szafek - wszystko to wytręcało mnie z równowagi, rozpraszało i trochę złościło.

Amy miała dwadzieścia sześć lat, brakowało jej paru tygodni do dwudziestych siódmych urodzin, a mieszkała i pracowała w Wichita. Ja miałem dwadzieścia cztery, mieszkalem z grubsza o pół kontynentu dalej i wiedziałem, że ona prawie nienawidzi nas obojga za to, co się stało.

Kiedy wyszła, uświadomiłem sobie, że nie kazałem taksówkarzowi po nas wstąpić, więc poczekaliśmy chwilę, aż kobieta zadzwoni i taksówka przyjedzie.

Dali jej miejscowe znieczulenie, bo akurat na to pozwalała ich sprzęt, więc w drodze do granicy wcale nie była odurzona, tylko siedziała wychylona przed siebie, wczepiona oburącz w oparcie przedniego fotela, i nie chciała rozmawiać.

Celnicy sprawdzili, czy w taksówce niczego nie przemycamy, szybko przejrzeni nam bagaż i już po paru minutach siedzieliśmy w naszym wynajętym aucie.

Wyjechałem z Del Rio na wschód, szosą numer dziewięćdziesiąt. Amy trochę się przespała, a po przebudzeniu chciało jej się pić. Furgonetka przed nami, jedyny prócz nas pojazd na szosie, wpadła w poślizg i obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni - ot tak, po prostu - skacząc i sypiąc piaskiem z pobocza, a ja zwolniłem, żebyśmy mogli obiektywnie jej się przyjrzeć.

- Pomieniała kieronki - cicho rzekła Amy. - Tak by powiedział mój stary dziadek Parker. Wóz jak nic pomieniał kieronki.

Mówiła zmęczonym, cichym głosem, a ja wolno minąłem furgonetkę, która już znowu stała zwrócona we właściwą stronę; w szoferce dwóch nastolatków pomału brało się w garść, wymieniając głupkowate uśmiechy. Zacząłem się rozglądać za ja-

kimś barem, w którym Amy mogłaby się napić czegoś chłodnego i zdrowego, zanim dojedziemy na lotnisko.

27 października 1962

Hotel nazywał się „The Waves”, „Fale”, bo i czemu nie? Stał przecież na Ocean Drive, w gminie Miami Beach.

Mali, bogaci, zagniewani mężczyźni wysiadali z wynajętych kabrioletów, a z nimi wystrojone żony, nabożnie opalone na kolor liści tytoniu.

Zepsuta, oblatana, wprowadzona szczeniakieria z północnych miast przelotnie pokazywała barmanom lewe legitymacje. Studiowała na okolicznych uczelniach dla playboyów i koniecznie chciała obejrzyć występ w głównej sali.

Przeszedł cały kontyngent Kubańczyków, zmierzając do hotelowej kawiarni, wszyscy obuci, odziani, tropikalnie szykowni - kobiety spowite bielą, urodzone tancerki, mężczyźni w ciemnych okularach, czujni. Wyglądali jak ochroniarze jakiegoś *jefe* tuż przed upadkiem.

W kawiarni latynoska orkiestra grała mamby i czacze, siedziało tam też trochę seksbomb z Long Island, które szukały drugich mężów. Podróżowały parami albo nawet z rodzoną siostrą, jak łowczyni i jej nosicielka broni, jedna rozwiedziona, druga samotna - tu na randkę z ortodontą, tam z jakimś szemranym biznesmenem. Mówi, że jest dyrektorem w branży zaopatrzenia hoteli w pościel? Ale kiedy do niego dzwonię? Mam prosić Marty'ego? A na imię mu Fred?

Oczy podkreślone czernią, wyskubane brwi, umalowane rzęsy, migotanie koralowych paznokci z akrylu, harmonijnie dobrane odcienie szminki i różu. Te kobiety zawsze należały do ścisłego grona wtajemniczonych, a niektóre wołały nocny klub od kawiarni, bo chciały podelektować się Lennym Bruce'em.

Najpierw śmiech, potem tańce.

Do sali zwanej El Patio przenikały z kawiarni rytmy mambo. Lenny ze zdumieniem spostrzegł w tłumie kilkoro starców z łaskami opartymi o krzesła, ale postanowił nie naigrawać się z kalek. Nie żeby ostrożniał albo miękł. Nie, tej nocy było po prostu miejsce tylko na jeden temat, sedno egzystencji Lenny'ego.

- Od Kuby dzieli nas niecałe trzysta dwadzieścia kilometrów.

Wiem, że o tym wiecie. Tak samo jak ja. Mimo to muszę wam powiedzieć. Te rakiety są akurat za moim prawym ramieniem, kapewu. Mają zasięg tysiąca kilometrów, z naszego punktu widzenia aż za duży, ale i tak mnie ta liczba niepokoi, bo 1000 wygląda jak odwrócone CCCP, więc czuję się, jakbyśmy przeszli na cyrylicę, chociaż jeszcze nawet nie zdążyliśmy przegrać wojny.

Stał, kiwając głową, skołowany trochę jak po locie międzykontynentalnym, odrobinę sparanoizowany, po nieco przesadnej dawce medykamentów, z przygaszonym głosem, z oczami zmatowiałymi od księżycowego mroku.

- I wcale nas nie zabiją za to, że jesteśmy Żydami. Na tym właśnie dowcip polega. Zabiją nas, bo jesteśmy Amerykanami. I co wy na to?

Też mi początek rozrywkowego wieczoru! Długa chwila grobowej ciszy. A potem Lenny zrobił w lewo zwrot, przez moment stał w pozie greckiego dyskobola, aż wyciągnął się całym tułowiem do przodu i huknął pięścią w podłogę.

Jakiś student parsknął śmiechem.

- Najbardziej podobają mi się imiona naszych obrońców. Zwróć uwagę, Jim.

Z bocznej kieszeni zeszmaczonej kurtki wyjął wycinki z gazet. Bełkotliwie przeczytał kilka linijek, zrobił parę uwag w stylu Morta Sahlisha, upuścił jeden wycinek i kopnął go, po czym rzekł tym swoim transylwańskim głosem:

- No więc ci faceci decydują o naszym losie. Dniami i nocami chodzą z posiedzenia na posiedzenie, jedno bardziej urozyste od drugiego. Białe koszule, spinki do mankietów, krawaty w paski. Ale cała rzecz w ich imionach. Adlai Stevenson. Adlai. Mdli człowieka aż po czubki butów od Capezio, nie? Imię takie ekskluzywne, że aż bezpłatowe. Urodził się nam taki nadzwyczajny chłopczyk, że lepiej niech nikt nie zna jego płci. Bo w sumie być chłopcem czy dziewczynką to takie, kurwa, pospolite, kapewu? A jak ktoś inny ośmieli się użyć tego imienia w promieniu ośmiu tysięcy kilometrów od naszego Adlaia, naślemy płatnego mordercę. Na winnego i całe potomstwo jego. Do ostatniego pokolenia. Bo to nasza sprawa rodzinna. Tak już, widzicie, jest. *La cosa nostra*. Tylko że oni wcale nie muszą

tego załatwiać przez wymuszenie czy morderstwo. Wystarczająco imiona, których nikt inny za nic w świecie by nie wymyślił.

Rozwódki zaśmiały się. Na sali siedziały szumowiny z psich wyścigów. Muzycy, którzy mieli akurat wolny wieczór. Bilardziści i bezrobotne tancerki. Dwa stoliki obsadzone przez agentów biur podróży na wycieczce z Toronto - myśleli, że Lenny jest szkockim komikiem i parodiuje rodzinę królewską.

- No dobra, uwaga. Dean Rusk. Dean. Urodzony po to, żeby przewodzić, doradzać i pouczać. Urodzony po to, żeby wyłysieć. Nie, owszem, mądry, ale też twardy i cwany. Uważajcie na facetów z jednosylabowymi imionami i nazwiskami. To nieugięte skurwysyny. A teraz mój faworyt, no. Wiecie, który, no nie?

Jakaś starszka się roześmiała.

- Zgadza się. McGeorge Bundy. McGeorge. Jak z takim imieniem można w ogóle przetrwać dzieciństwo? A może przy narodzinach przedstawili mu imię i nazwisko? Pomyłka w szpitalu? Ale gdzie tam. Zrobili to z premedytacją. Napiętnowali go znamieniem wielkości. Zresztą jego babka miała na imię McMary.

Starszka była zachwycona.

Lenny bez pośpiechu przeglądał paski gazetowego papieru, mamrocząc pod nosem.

- Tak, nie, o, jeszcze jeden. Roswell Gilpatric. Roswell. Serio, nie żartuję. Patrzcie, o tu, widać ich w sali posiedzeń rządowych. Utrwaleni na filmie. Sekretarze, asystenci sekretarzy, podsekretarze, zastępcy podsekretarzy, doradcy do spraw Rosji. Alexis Johnson. Alex. Bromley Smith. Bromley. Llewellyn Thompson. Llewellyn. Przez cztery „el”. Trzeba mieć jaja, kiciu. Powiem wam, że w sekrecie podziwiam tych facetów. Bo oni rozumieją logikę życiowej drogi wolnej od sentymentów. W. Averell Harriman. Averell. Facet ma swój prywatny zjazd z głównej autostrady stanu Nowy Jork. A my tymczasem się dzimy o rzut kamieniem od Kuby. Tych gości tu nie ciągnie, ale nas owszem. Bo bomba atomowa to coś ze Starego Testamentu. Żydowska biblia do kwadratu. Czujemy się swojsko wobec tego sądu, tej kary, która wisi nad nami. Choroba i nie szczęście. Mów do nas, kochanie.

Ale paranoja i poczucie tragedii mogły mieć u Lenny'ego

bardziej bezpośrednio źródło. Na lotnisku dostał cynk, że policja z okręgu Dade porożadzała na widowni żydowskich detektywów. Tak, tajniacy znający jidysz zasadzili się, żeby wyciązić każdą niegodziwą sylabę, jaką wymówi w języku teściowej.

- Chcecie nazwisk? Zaraz wam podam nazwiska. Ja na przykład nazywam się Leonard Alfred Schneider. A co zrobiłem, kiedy przezwalałem się Lenny Bruce? Krok w stronę niewidzialnego średniactwa. Niczym się od pana nie różnię, panie szanowny. Nie wkurzaj mnie, facet, i nie ubliżaj moim przodkom. Jestem Lenny, jakich wielu. Taki sobie zwykły Bruce. Ale po mazańcy tak nie robią. McGeorge, Roswell, Adlai. Unikają choćby najlżejszego skalania tłumnym średniactwem. Genialna umię jętność. Nieważne, do jakiego chodzą kościoła. Ich kościołem jest własne nazwisko. Nie są tacy jak Leonard Alfred Schneider. Mało tego: nie są nawet tacy jak Lenny Bruce. I szczerze mówiąc, nie mam im za złe.

Powiedział to cichym, gawędziarskim, lekko nosowym tonem i nie spodziewał się, że wywoła aż taką salwę śmiechu. Schował wycinki, którymi dotąd wymachiwał. Latynoska muzyka zadudniła w ściany, a do Lenny'ego zaczął coś gadać agresywny widz, jakiś pijak ze zwiniętym w rulon kuponem wyścigów, ale Lenny tylko zdjął ze statywu mikrofon i pobłogosławił nim gościa.

Potem sparodiował królową angielską w chwili, gdy zamawia przez telefon chińskie dania na wynos.

Agenci biura podróży byli zachwyceni.

- Jeżeli ci Roswell albo Bromley na imię, to znaczy, że ojca też masz z prawdziwego zdarzenia. Tylko najbardziej odpowie działni rodzice nadają dzieciom takie imiona. Ojciec małego Roswella to nie jest jeden z tych facetów, co wpadają dwa razy w roku i na odchodnym dają chłopcu nowoczesną zabawkę. Masz tu, synku, coś dla pogłębienia więzi między nami. Oglądasz cacko: sztuczny rzyg z gumy. Weź, chłopcze, połóż to mamie na łóżku. - Lenny pstryknął palcami i zatoczył barkiem. - Tak się akurat składa, że Biuro Obrony Cywilnej gromadzi gumowe rzygi w schronach atomowych po całym kraju. Dostali amoku, stary. Bo muszą te schrony zbudować i wyposażić. W zestawy sanitarne, w podręczne apteczki. Fenobarbital na uspokojenie. Penicylina, czy ja wiem, na wysypkę po bombardowaniu. Kiedy od promieniowania jesteś taki chory, że już nie masz siły wy-

miotować, dają ci gumowy rzyg dla podniesienia morale. Konflikt atomowy spowoduje masowe zniszczenia. - Lenny spojrzął na zegarek. - Ale potem zacznie się odbudowa. Cały ten szmelc z okresu zimnej wojny wart będzie majątek jako fikuśne suwe-niry. Te żółto-czarne tabliczki, które od dawna widujecie na każdym kroku, ale tak naprawdę zauważacie dopiero od sześciu dni: Schron Przeciwatomowy. Rarytasy dla kolekcjonerów. Wszystko, co zgromadzono w składach i pralniach z oznaczeniem „schron”. Beczki z wodą do picia. Słone krakersy. Kojąca pomadka do ust, dla ochrony przed nuklearnym błyskiem. Tekturowe ubikacje, które robią jednocześnie za salaterki. Nawiasem mówiąc - powiedział.

Kelner upuścił tacę z napojami.

- Ludzie z naszej marynarki wojennej weszli wczoraj na pokład statku, który dotarł do linii demarkacyjnej. Pierwsza taka inspekcja. Zbrojny patrol. Sytuacja napięta, i to jeszcze jak! A tu się okazuje, że statek wcale nie wiezie rakiet. Tylko części do traktorów i papier toaletowy. No i sami widzicie, jak zwykła codzienność upomina się o swoje. To właśnie jest tajny sens tego całego tygodnia. Tajna historia, która nigdy się nie pojawia w pisemnych relacjach z epoki ani w publicznych wypowiedziach ludzi sprawujących władzę. Te piękne bomby i rakiety. Samoloty i łodzie podwodne. Widzieliście kiedyś coś równie wspaniałego? Dla broni rezerwuje się najlepsze technologie i najbardziej poetyckie nazwy. A tymczasem jakiś wieśniak z Kuby, stary niechluj, czeka na gaźnik do swojego zdezelowanego traktora. I podciera się sałatą. Ci na gorze napominają go, że musi być cierpliwy, póki jakoś nie ułożą stosunków między światowymi potęgami. - Lenny zgiął kolano i zrobił półobrót. -Pamiętacie, jak do was mówiła mama, kiedy siedzieliście na nocniczku. No zrób, złociutki. No, zrób dla mamusi. - Zawirował, obracając się na pięcie. - A wy, gliniarze do zadań specjalnych. Obecni tu językoznawcy. Jest coś, co powinniście wiedzieć. Słowo „cmok” w znaczeniu „heroina”? Pochodzi z jidysz, od *shmek*. Wiecie to, eksperci? Niuch, cuch, coś jak szczypta tabaki. Kapewu, facet jedzie na shmeku za dwieście dolców miesięcznie. Jak następnym razem zgarniesz ćpuna, który okaże się twoim współwynawcą (studenci witają to słowo szczekli-wym śmiechem), i wsadzisz mu w dupę palec w gumowej rę-

kawicy, żeby sprawdzić, co za działkę tam schował, wiedząc, przyjacielu, że to *shmek* tak pachnie. *Shmek*, czyli codzienność.

Detektywi jakoś się nie śmiali.

Po sali powiał wiatr od morza, orkiestra grała czaczę. Jakaś kobieta chciała usiąść, ale minęła się z krzesłem. Przy drugim końcu baru pojawili się tancerze, tłumnie wylewali się z kawiarni, raz-dwa cza-cza-cza, a Lenny zatoczył barkami i skręcił się w biodrach. Agenci z biura podróży zrobili głosowanie i postanowili zamówić jeszcze jedną kolejkę. Muzyka przebijała ścianę jak pierdy po meksykańskich naleśnikach, a kilka studentek wstało i między gęsto obsadzonymi stolikami zatańczyło w miejscu. Grupa, która pierwsza zaczęła tańczyć, w bokserkim półprzysiadzie sunęła teraz wzdłuż baru, w pastelowych spódnicach i białych guayaberach, a tymczasem rakiety doświadczalne w Kalifornii przeprogramowywano na cele w ZSRR.

Lenny chwycił mikrofon i zawołał:

- Wszyscy umrzemy!

Ludzie śmiali się, bliscy płaczu. Za jego przewodem podjęli chóralną pieśń. Dźwięki czaczy wlewały się do sali, tancerze poruszali się w ich takt przepięknie zrównoważonymi parami, a słuchacze wstali od stolików i zaczęli tańczyć w miejscu, bokując powietrze. Raz-dwa cza-cza-cza. Zrzucali buty, wylewało im się ze szklanek. Lenny monologował po hiszpańsku, wszyscy byli zachwyceni, śmiali się, bliscy płaczu, a pewien student Wydziału Organizacji Garderoby łyknął jednym haustem szklankę czystej szkockiej, o rzut kamieniem od Kuby.

Jest bajecznie, jest cudownie, jesteście w Miami.

6

18 października 1967

Marian Bowman rozmawiała z matką. Siedziały w salonie domu matki, to znaczy rodziców - tego, w którym się wychowała. W większości pokojów stały bukiety łyszczca, także w wazonach na stolikach w hallu, rozgałęzione pęki drobnych białych kwiatków; matka Marion z sobie tylko znanych powodów lubiła tę roślinę samą, bez większych aranżacji, jakie zazwyczaj jej towarzyszą, i wstawiała ją do wazonów, kiedy żółkły

wiązy, czerwone dęby płonęły barwą w piękny jesienny dzień w Madison w stanie Wisconsin, a studenci uganiali się po ulicach jak szaleni.

- Więc masz swoje sekrety.
- On nie jest żadnym sekretem - odparła Marian.
 - Znasz go już tyle czasu, a ja dopiero teraz się dowiaduję. To się nazywa sekret.
 - W sensie formalnym rzeczywiście poznałam go dość dawno.
- A teraz jak go znasz?
 - Najpierw uśmiechnęła się matka, a potem córka.
 - Nieformalnie - powiedziała Marian. - I nie robię z niego sekretu. Nie bardzo było o czym mówić, i tyle.
 - Zawsze jest o czym mówić. Co ja takiego wyczuwam w tym związku? Chyba jesteś bardzo niepewna. Masz tę skłonność. Zawsze ją miałaś. Żeby postępować wbrew własnym wątpliwościom. Bo... właściwie nie wiem, dlaczego tak robisz.

Wyraźniej usłyszały teraz głosy wydzierające się z kolumn stereo ustawionych w oknach domków o spiczastych dachach przy Mifflin Street.

- Nie zdawałam sobie sprawy. Rzeczywiście widać po mnie, że mam wątpliwości?
- Tak. I najwyraźniej czekasz, aż je zauważę. I go skrytykuję.
- To kompletnie... Nie, nie, nie, nie - słabo zaprotestowała Marian.
- Sama nie umiesz zdobyć się na krytykę. Uważasz, że powinnam cię wyręczyć.
- Masz takie wrażenie.
- Nie wrażenie, tylko pewność.
 - A jak już go skrytykujesz? Czy powiem: dziękuję ci, mamo, żeś mnie ustrzegła przed losem gorszym niż.
- Oczywiście, że nie. Zaczнеш go bronić. Ujmiesz się za nim.
 - Córka ujmuje się za swoim mężczyzną. A ty co, wywnioskowałaś to wszystko z krótkiej i błahej rozmowy, w której nic ci właściwie o nim nie powiedziałam?
 - Powiedz mi, że nie mam racji - odparła matka - a ja dołożę wszelkich starań, żeby ci uwierzyć.

Kiedy odwróciła się w stronę okna, widać było po niej lekkie

rozdrażnienie. A tamci uganiaли się po ulicach. Pewnie rzucali cegłami i podpalali. Słychać było głos z megafonu zmieszany z muzyką, która wydzierala się z kolumn.

- Mówią na to „sezon rozruchów”.
- Czyby mi dawniej przyszło do głowy - powiedziała Marian - że Chicago przez kontrast wyda się spokojne i przyzwoite?
- Właściwie nie wiem, czy to sezon rozruchów. Może po prostu uliczna balanga, a policja próbuje nie dopuścić, żeby się rozprzestrzeniła. Chociaż nie, to nie może być to. Uliczne balangi urządzają wiosną.
- Przyjadę na Święto Dziękczynienia, jeżeli załatwisz, żeby przestali tak hałasować.
- Czy on jest żonaty? - spytała matka.

I natychmiast pożałowała. W grymasie, który wykrzywił jej usta, Marian dostrzegła skrucę. Tak, był to rzadki kiks. Podważał wszystko, co powiedziała wcześniej - zupełnie bezmyślna gafa, kiks, błąd taktyczny, aż pani Bowman zbladła na twarzy. Bo jeśli był żonaty, to po pierwsze, czemu Marian od razu o tym nie wspomniała, a po drugie, po co by w ogóle o nim opowiadała?

- Nie, oczywiście, że nie.
- Oczywiście. Przecież wiem - odparła matka.

Marian poszła na górę w lepszym nastroju. Lubiła swój dawny pokój. Lubiła odwiedzać rodzinne miasto, bo były w nim takie ciche ulice, przynajmniej teoretycznie, domy z werandami zabezpieczonymi siatką przeciw owadom, deptaki wysadzone wiązami, budynki uniwersyteckie, no i dlatego, że miała tu swój pokój, zachowany dla niej bez zmian, nieduży, nieszczególny, niewymyślny, a jednak pokój, na który nikt inny nie umiał spojrzeć jej oczami, zawierający sporą dozę tego, co mieści się w słowie „dom”.

Zaczęła pakować rzeczy do zabrania w drogę powrotną, wyjęła z szafy trochę zimowych ciuchów, a potem przerwała tylko na chwilę, żeby włączyć radio. Złapała na UKF stację WIBA, „Ręce Do Góry”, bo chciała wiedzieć, co się właściwie dzieje w mieście, ot tak, z poirytowanej ciekawości, no i dlatego, że hałas narastał.

Było jeszcze za wcześnie na pakowanie, ale jednak zaczęła. Dom to miejsce, w którym nie mogą cię nie przyjąć, jak mówi

poeta, a może powiedział to ojciec Marian, parafrazując poetę, ale dom to zarazem miejsce, w którym nie możesz się doczekać, żeby czym prędzej wyrwać z niego w cholerę.

W Chicago miała pracę, której nienawidziła. Nie, to za mocne słowo: po prostu przejęła od innych pewne gesty niezadowolenia, bo wyglądało na to, że tak wypada. Skończyła dwadzieścia pięć lat i nie widziała przed sobą żadnej przyszłości na urzędniczej posadzie w biurze maklerskim. Ale praca ta w pewnym sensie jej służyła, bo zmuszała do dyscypliny, zaangażowania i porządku, a zresztą nie istniało nic innego, w czym chciałaby akurat teraz spróbować sił.

W radio mówili: „Dzień Dow, Dzień Dow, Dzień Dow, Dzień Dow”.

Grzebiąc w komódce, znalazła kilka starych swetrów, które mogły jeszcze ująć w tłoku, i parę kolorowych czapek z wełny, głupio śmiesznych.

W całym pokoju tylko komódka zasługiwała na więcej niż przelotną uwagę, choćby nie miało się osobistych powodów, żeby jej się przyglądać - dębowa, z wysokim, podrapanym lustrem, które obracało się na łożyskach w zgrabnej trójlistnej ramie.

W radio mówili: „Gliny Świnie, Gliny Świnie, Gliny Świnie, Świnie, Świnie”.

Zaczęła sobie uświadamiać, że hałas z ulicy, a przynajmniej muzykę i głosy wydzierające się z kolumn rozłokowanych w oknach akademika nadaje stacja, na którą nastawiła radio.

Pakowała się i słuchała.

W radio mówili: „Okólnik Rektoratu numer sto dwadzieścia dwa upoważnia władze do użycia siły przeciw studentom. Okólnik Rektoratu numer sto dwadzieścia dwa upoważnia władze do użycia siły przeciw studentom”.

Zaczęła sobie uświadamiać, że na kampusach w całym kraju trwa Tydzień Wietnamski. A tutaj, w Madison, był Dzień Dow Chemical: protestowano przeciwko firmie, której werbownicy działali na terenie uczelni, a która wytwarzała między innymi nowy, ulepszony rodzaj napalmu z dodatkiem polistyrenu, żeby galaretowata substancja mocniej przywierała do ludzkiej skóry.

„Okólnik Rektoratu numer sto dwadzieścia dwa upoważnia władze do użycia siły przeciw studentom”.

Nic dziwnego, pomyślała. Bo sądząc po odgłosach, studenci demolowali cały kampus, i wyglądało na to, że... parę godzin wcześniej, kiedy na Linden Street powiewały flagi Vietcongu, a uszmińkowani na biało mimowicie szamotali się z policją na Bascom Hill - no, jak to właściwie wyglądało?

Radiostacja transmitowała Dzień Dow Chemical i najwyraźniej brała w nim czynny udział.

W radio mówili: „Gliny Świnie, Gliny Świnie, Gliny Świnie, Świnie, Świnie”.

Widocznie w nocy wydarzyło się coś, co poszerzyło sferę rzeczy, które są do pomyślenia.

Zaczęła sobie uświadamiać, że rozruchy, jeśli nie było to nic innego, wzmaga i ubarwia radiowa symulacja rozruchów, radiowy montaż strzałów z broni palnej, wrzasków, syren, klaksonów i raz po raz wtrącanych komunikatów, autentycznych, ale chwilami może żelganych.

Znalazła stary płaszcz, chociaż wydawało jej się, że go zgubiła - jak można zgubić płaszcz, dziwili się wszyscy - przed pięcioma laty nad jeziorem.

Poprzedniego wieczoru matka podała schab, a ojciec mruknął: „Kawał świni”, tak jakoś wcale nie żartem, chociaż kiedy Marian parsknęła śmiechem, on sam też się roześmiał, z lekką goryczą.

W radio powiedzieli: „Za chwilę nadamy komunikat o SAZON-ie”.

Miała niby chodzić na kurs wieczorowy, ale jakoś nie chodziła, miała się uczyć o akcjach, obligacjach i innych instrumentach materialnego bogactwa, dzięki którym bogactwo to można jeszcze bardziej pomnażać, ale się nie uczyła, no bo nie, i już, ale miała zamiar zacząć, i to niebawem, bo zdawała sobie sprawę, że potrzebuje wpływów otoczenia jako przeciwwagi dla własnych skłonności.

Chciała zadzwonić do Nicka, ale wiedziała, że go nie zastanie.

Radio nadawało huk wystrzałów z taśmy, kraksy samochodowe, szorstkie dialogi ze starych filmów wojennych.

Matka zarzucała Marian niedbalstwo i obojętność. Twierdziła, że brak jej ambicji.

„Okólnik Rektoratu numer sto dwadzieścia dwa upoważnia władze do użycia siły przeciw studentom. Okólnik Rektoratu

numer sto dwadzieścia dwa upoważnia władze do użycia siły przeciw studentom".

Słuchała, bo działa się to tuż obok, ale co pewien czas wyłączała się, błędziła myślami: forma samoobrony. W całej tej sytuacji było coś nużącego. Jej męcząca natarczywość sprawiała, że Marian miała ochotę się wyłączyć.

Pakowała się, myśląc o tym, żeby jednak zadzwonić, chociaż wiedziała, że go tam nie ma, zostawić wiadomość u kogoś w szkolnym sekretariacie, błyskotliwą i seksowną, a jemu wcale by się to nie spodobało, ale mimo wszystko nie była pewna, czy tak nie zrobi.

Mgłście pamiętała, że SAZON to akronim od „saletra amonowa z olejem napędowym”.

Odłożyła swetry z powrotem do szafy. Postanowiła je zabrać, kiedy przyjedzie na Święto Dziękczynienia, jeśli uzna, że są jej potrzebne, i nie zmieni zdania co do tego, że jeszcze ujdą w tłoku, bo właśnie zaczynała mieć wątpliwości.

W radio powiedzieli: „Kafka minus «f» równa się kaka”. Tak mówimy o wydalinach, o nawozie, o wydalinach i o materiałach wybuchowych, o SAZON-ie, o bombie, która wyłazi z dupy wiejskiej świni.

„Gliny Świnie, Gliny Świnie, Gliny Świnie, Świnie, Świnie”.

Wyrzebała z kieszeni walizki paczkę papierosów. Otworzyła okno i zapaliła. Do pokoju chlusnął hałas, głosy gliniarzy przez megafon, komunikaty z ostatniej chwili, rock, a ona wyłączyła radio i usiadła przy oknie, paląc.

Parę godzin wcześniej na Babcock Drive widziała wielobarwnego volkswagena garbusa z pomalowanymi twarzami w oknach.

Dym wydmuchiwała za okno, bo matka miała podobno alergię, chociaż i bez alergii wołałaby, żeby Marian nie paliła, a tamci zdejmowali paski i owijali nimi pięści.

Jakiś werbownik z Dow Chemical utknął w gmachu Wydziału Handlu i słuchał petard, jeśli to istotnie petardy strzelały za drzwiami pokoju sto cztery, w którym rozmawiał przez biurko z kandydatem.

Przy dolnym odcinku State Street płonęły sterty śmieci.

Krążyły pogłoski o grupie zwanej Terminal Theater, która sama nie przyznawała, że istnieje, a jakaś studentka na pierw-

szym piętrze werandy przy Mifflin Street podkręciła radio, kiedy zobaczyła maszerujący ulicą dwuszereg policjantów w hełmach i z tarczami.

Niedaleko Library Mail ludzie z San Francisco Mime Troupe, jeśli to rzeczywiście byli oni, raz po raz wdzierali się jak kamikaze w szeregi policji, z ubielonymi twarzami, z fletniami Pana w rękach, przebrani za ulicznych muzykantów, w dziwacznych, nie dopasowanych kostiumach z połowy epoki wiktoriańskiej, w czapkach do krykieta; kilkanaście młodych osób po policyjnej stronie frontu przedrzeźniało gesty gliniarzy, a gliniarze wlekli ich do suk i pałowali.

Wszędzie słuchano radia, dialogu między tym, co rzeczywiste, a tym, co utkane, zmiksowane, przetworzone i odegrane, z głośników buchał heavy metal, a jakaś kobieta na antenie przyciszonym, seksownym tonem czytała ulotki dodawane do produktów Dow Chemical.

Policja zaczęła strzelać gazem łzawiącym, a studenci puścili się biegiem w jego stronę - z sowizdrzalskiej ciekawości, a może dlatego, że pachniał kwiatami jabłoni, dacie wiarę, szybko działający gaz stosowany w Wietnamie.

Zwykły Rozsądek, Niezwykła Chemia. Kobieta w studio parokrotnie odczytała miękko, seksownym tonem ten chwytliwy slogan reklamowy Dow Chemical.

W trzech gmachach zaplanowano serię rozmów kwalifikacyjnych z werbownikami DC, ale w Handlowym trwał strajk siedzący i tam właśnie utknął wspomniany werbownik, a w papierowej torbie stygł mu hamburger.

Dwa oddziały policji utworzyły klin.

- No więc co zamierza pan robić od tej chwili aż do dnia, w którym dostanie pan dyplom? - spytał werbownik kandydata.
- Ktoś tam miał ze sobą żywego szczura - odparł chłopak.
- Trzymajmy się lepiej tematu - rzekł werbownik. - Dla własnego, że tak powiem, spokoju ducha.

A może biegli w stronę gazu, bo myśleli, że moralna siła ich argumentacji zneutralizuje działanie chemikaliów.

Tych z San Francisco Mime Troupe wcale nie miało być na Library Mail. I to właśnie było ciekawe.

Różne grupy stowarzyszone zaczęły tu i ówdzie coś podpalać, wybijając szyby, małe grupki o takich nazwach jak Dziewiątka

z Mudville; ich członkowie mieli twarze przewiązane chustami nasączonymi sodą kuchenną i białkiem, bo medycyna ludowa zalecała tę mieszankę jako środek przeciw gazowi.

Dym wzbijał się białymi serpentynami z pocisków, które spadały na szeroki trawnik przed Bascom Hall. Studenci biegli teraz w przeciwnym kierunku, wzburzoną tłumem, niektórzy zasłaniaли usta tekturowymi szklankami, inni powyciągali chusteczki do nosa, jeszcze inni nonszalancko spacerowali po chodniku między patrolami policjantów w hełmach, w gęstniejącym dymie, który zaczynała toczyć się wezbranymi falami w stronę kolumn zdobiących fasadę gmachu, a jakiś chłopak z gitarą opartą bokiem na głowie stał pod światłami na skrzyżowaniu i patrzył.

W radio seksowny głos powtarzał teraz slogan Du Ponta. „Lepsze Życie Wśród Lepszych Rzeczy... Dzięki Chemii”. Spikerka delektowała się pauzą. Przeciągała ją, przejękiwała. Cały tekst aż do pauzy recytowała pospiesznie, podekscytowanym tonem, a potem urywała, wydawała powolny jęk i wreszcie kończyła slogan, zaspokojona, zwiotczała, wyjęczana do syta, aby po chwili zacząć od początku.

Ci z San Francisco Mime Troupe mieli być przed starym Gmachem Chemii. Ciekawa sprawa. Mieli rozdawać powielony Okólnik Rektoratu numer sto dwadzieścia dwa przed Starą Chemią, no i tam właśnie byli, wykrzykując chórem, że Okólnik Rektoratu numer sto dwadzieścia dwa upoważnia władze do użycia siły przeciw studentom. Ciekawa sprawa, bo skoro tak, to widocznie ci z białymi twarzami na Library Mail należeli do zespołu Terminal Theater, legendarnej, faktoidalnej grupy, której sama nazwa była przedmiotem domysłów, a może aspektem jej marginalnej egzystencji.

I wszędzie rock and roli, zygzakowate skowyty sprzężeń z kolumn w oknach zalewały kampus i sąsiednie ulice.

Policjanci szli teraz na całego, z wyciągniętymi pałkami, bez rozkazu albo wbrew rozkazom, to nieuniknione, rozhlukani i na haju.

Czekając, aż ktoś ich oswobodzi, werbownik i student rozmawiali o wykładach i profesorach, i właśnie wtedy wtargnęła do gmachu jakaś grupa stowarzyszona, uzbrojona w czerwone okrągłe petardy, gazurki i wielkie baterie do latarek, wywołując efekt salwy mózdzierzy.

Radio doniosło, że Lyndon Johnson wisi głową w dół na linie holowniczej podczepionej do helikoptera i kołysze się na wietrze nad Laboratorium Cząstekkształtnych, właśnie tu, w Madison, goluteńki, porwany przez nie wiadomo kogo.

Radio doniosło, że można samemu zrobić napalm, dodając do jednej części płynnego detergentu „Joy” dwie części benzenu albo jedną część benzyny. Energicznie potrząsnąć.

Jaskrawy volkswagen jeździł po ulicach, a Marian zamknęła okno i włączyła radio, poszła do ubikacji i w muszli splukała niedopałek.

Zaczęła sobie uświadamiać, że ktoś opanował radiostację, jakiś osobnik albo grupa, i gdy pomału zapadał zmierzch, spiker uzurpator objaśniał, jak zrobić bombę z nawozu. Jak kupić azotan-tanio, w torbach albo na wagę, w sklepie dla rolników, dodać olej napędowy i podpalić mieszankę.

Chwila szumów i krótka cisza. Potem radio znów zaczęło normalnie nadawać.

A cóż to?

Śpiewana liturgia na trzy głosy, kapłan powtarza wciąż ten sam tekst, a dwaj ministranci odpowiadają w ustalony sposób.

Lepsze życie wśród lepszych rzeczy.

Dzięki chemii.

Lepsze życie wśród lepszych rzeczy.

Dzięki chemii.

Lepsze życie wśród lepszych rzeczy.

Dzięki chemii.

Zgasła radio.

Kiedy ojciec wrócił do domu, matka podzieliła się z nim nowiną, a potem wszyscy troje usiedli do kolacji - okoń gotowany na parze, łyszczec w wazonie - i pan Bowman spytał:

- Kto on jest?

Śmieszne pytanie, pomyślała Marian, i może sam ojciec też to czuł. Co mu miała powiedzieć? Mogła wytłumaczyć, kim Nick nie jest. Zajęłoby to sporo czasu. A kim jest? Mogła powiedzieć, że panem od angielskiego w szkole średniej w Arizonie. I niewiele ponadto, bo mało jej się zwierzał.

Matka mówiła o połamanych kościach demonstrantów, o studentach z ranami głów, spalowanych, zagazowanych, krwawiących.

- Wiesz, ile dla mnie znaczą obrażenia studentów? - spytał ojciec. - Do czego je mogę porównać? Bo chcę im oddać sprawiedliwość. Są jak życie i śmierć muchy na ścianie w wiosce gdzieś w Chinach. Tyle właśnie mnie obchodzą.

Miał suchy uśmiech, którego nikt nie lubił oglądać.

- Czyli raczej nie możesz być buddystą. Bo buddyści, jeżeli ich dobrze rozumiem... - zaczęła matka, ale zaraz pozwoliła tej myśli ulecieć pod sufit.

Późnym wieczorem Marian usiadła u siebie w pokoju i wykreśliła numer Nicka. Opowiedziała mu cały swój dzień. Niewiele miała do opowiadania, bo pominęła demonstrację. Była stęskniona, w posępnym, księżycowym nastroju, i nie chciała się rozpraszać.

A potem oznajmiła mu, że chce wyjść za mąż. Chce za niego wyjść i mieszkać z nim wszystko jedno gdzie, gdziekolwiek sam zechce, nie mieć dzieci ani przyjaciół i nigdy nie jadać kolacji z jej rodzicami.

Po drugiej stronie zapadła cisza, której nie potrafiła rozszyfrować. Telefoniczna cisza bywa nieczytelna, ponura, głęboka, a czasem niepokojąca. Nie łagodzi jej wyraz oczu, nie ma nawet umykającego spojrzenia, kiedy rozmówca się zastanawia. Jest w niej tylko głęboka dal między wami.

Dokończyli rozmowę kulawo, niezręcznie, a Marian była wściekła jak cholera, zła na niego i na siebie, głównie jednak na siebie, stwierdziła, i postanowiła znowu wziąć się ostro do roboty, popracować nad higieniczną perfekcją, wymodelować się, przeistoczyć w kogoś bardziej prężnego.

Otworzyła okno, zapaliła papierosa i potem siedziała, wydmuchując smugi dymu w chłodne nocne powietrze.

6 lutego 1953

Matka nie życzyła sobie, żeby grał w karty na rogu, nawet z chłopcami ze szkoły katolickiej, więc poczekała, aż wszedł na górę, i mu zabroniła.

Grał w *sett' e mezz'*, na drobne pieniądze. Siedział na szerokim schodku przed sklepem spożywczym, czując pod sobą lodowaty kamień; zapamiętywał kolejne karty z ręki rozdającego

i wygrywał każdą lewą, bo zawsze umiał przewidzieć, kiedy pojawi się figura warta pół punktu, ale matka zabroniła mu grać.

Lecz zanim to nastąpiło, siedział i marzył, zapamiętując karty i licytując. Doszedł do siedmiu i pół, czyli do najlepszego z możliwych wyników, odsłonił swoją zakrytą kartę i powiedział: *Sett' e mezz*.

Ale kiedy nadciągnęła ciemność i otoczyła graczy, musiał przerwać, żeby pójść do rzeźnika po mięso, które matka kupiła parę godzin wcześniej.

Rzeźnik był dla niego łaskawszy, odkąd Nick wyjechał z miasta. Spytał, czy Matty dorósł już na tyle, że mu staje, a kiedy chłopiec odparł, że ma prawie trzynaście lat, rzeźnik powiedział: *Salut'*.

A potem wyjaśnił, że musi dowiadywać się od ludzi, jak to jest, kiedy im staje, bo zdążył już zapomnieć; mniej więcej tak samo mówił do Nicka, kiedy to Nick chodził po mięso, więc Matty fajnie się poczuł w jego sklepie, który cuchnął trocinami i krwią.

Gdy wracał z mięsem do domu, jakaś kobieta wyszła z piekarni i skubnęła go palcami, złapała za policzek, jakby przekreślała klucz, ale z czułością, i kazała pozdrowić matkę.

Kiedy wrócił na swoją ulicę, chłopcy przed spożywczym dalej grali w karty, po ciemku, niektórzy dawniej mu dokuczali, że gra w szachy albo że nie ma ojca, więc dołączył na kilka rozdań, bo przecież mięso nie zdąży chyba się zepsuć na takim zimnie, i zapamiętywał schodzące karty.

Potem wszedł na górę, a matka kazała mu skończyć z tym hazardem. Nawet jeśli to tylko na drobne pieniądze. Powiedziała, że to robi złe wrażenie i że od rzemyczka do koziczka, a później coraz gorsze towarzystwo, i że nie chciała nic mówić przy tamtych chłopcach, obojętne, czy są ze szkoły katolickiej, czy nie, a on stał z mięsem w rękach i słuchał.

Zostali tylko we dwoje, więc chciał być posłuszny. Czuł całą powagę sytuacji, wymiar pustki po zniknięciu Nicka, ale na schodkach i rogach ulic zawsze jacyś chłopcy grali w karty, a on nie był pewien, czy odmówi, kiedy go zaproszą. I wcale nie dlatego, że potrafił zapamiętać figury. Nie był taki wyrachowany. Szło tu o coś całkiem innego. Został kimś w rodzaju

bohatera, odkąd jego brat wyjechał po tym, co zrobił, więc chcieli go poznać nawet chłopcy mieszkający o parę ulic dalej. Właśnie dlatego myślał, że może trudno mu będzie posłuchać matki, kiedy tak stał, czując przez papier wypukłości baranich kotletów.

1 grudnia 1969

Nie da się prowadzić wojny bez pomocy akronimów. Według Louisa T. Bakeya jest to jeden z aksjomatów nowoczesnej sztuki wojskowej.

A skąd się biorą te skondensowane wyrazy?

Z odległych poziomów ewolucji, z komputerowego uniwersum techników i bombomozgowców - okularników na bocianich nogach, którzy zajmują się tak wielowarstwowymi i zawile połączonymi systemami, że wynikłe z nich kompozycje słów trzeba rozbić na atomy, zaprojektować od nowa, odchudzić i wydrukować zgrabną czcionką.

Lecz i wśród zwykłych mundurowych powstają akronimy, prawda? Przynajmniej czasem. Oto widzimy, jak kolega Louis siedzi przypięty, wciśnięty w fotel do katapultowania, twarzą w stronę ogona, na dolnym pokładzie przedniej części kadłuba, i sprawdza wykaz czynności kontrolnych. I jak załogi w koszarach rozsiadanych po całym świecie czekają w pogotowiu, aż zatrąbią klaksony. Widzimy facetów z obsługi naziemnej, gdy ładują bomby i tankują paliwo. Wszyscy ci ludzie, którzy konserwują maszyny bojowe albo nimi latają, znają je jak własną pachę, więc wymyślają akronimy z jajem.

I dlatego stojący na rampie bombowiec wysokościowy z sześciuosobową załogą (wliczając w to Louisa), wielki, masywny samolot o skośnych skrzydłach, który ma niebawem wzbic się w powietrze, otóż ten właśnie B-52 dziesiątkom tysięcy mężczyzn w lotnictwie wojskowym znany jest jako GBUR, czyli Gruby Brzydki Upierdliwy Ruchacz.

W kabinie obaj piloci po raz drugi ustawili zegarki. Członkowie załogi na swoich stanowiskach zaliczali zwykłą stugłową procedurę: strzelec pokładowy samotnie unosił się w wieżycze ogonowej na końcu przełazu, elektronik siedział wbity wabinę w tylnej części górnego pokładu, a na dole, w ciasnej czarnej

dziurze, Louis Bakey ziewnął przeciągle i spojrzawszy na panele, przełączniki i monitory, które więziły go w niemal totalnie zmonopolizowanej strefie awionicznego żargonu, lekko szturchnął nawigatora, wklonowanego tuż obok.

- Wiesz co, Chuckman, cipa mi w głowie.
- Też żeś wybrał chwilę na takie myśli.
- Nic nie wybierałem. Same przyszły.
- Przecież nie wyjdziemy z tej rury przez najbliższe.
 - I to właśnie jest piękne, chociaż popierdolone. Że myśli same przychodzą. Same z siebie, nie wołane.
 - Nie licząc odprawy po powrocie. Dwanaście godzin, Louisman.
- Czyli radzisz mi.
- Odłożyć to myślenie na później.
 - Na później - powtórzył Louis. - Trzymać je na małym ogniu.
- No właśnie.
- Najpierw ich zbombimy.
- A potem wyruchamy - dokończył nawigator.

Akronim brzmiał grubiańsko, lecz malunek zdobiący fragment kadłuba tuż przed oknami kabiny pilota nie miał w sobie nic brzydkiego. Przedstawiał wysoką, młodą, długonogą blondynkę, jedną z tych, co dopingują reprezentację szkoły, w kusej spódniczce i staniku; stała z rękami na biodrach, w rozkroku, z wyzywającą miną, i widać było, że chciałaby być seksowna, ale nie jest pewna, czy wie, jak to się robi: w sumie pierwsza lepsza dziewczyna z sąsiedztwa. Tuż nad szeregiem symboli lotów bojowych w liczbie trzydziestu ośmiu widniało jej imię odręcznym pismem.

Long Tall Sally.

Pilot wyprowadził maszynę na pas, a wieża dała prawo startu.

- Pięć, cztery, trzy - powiedział drugi pilot.

Pierwszy ustawił wszystkie osiem manetek w pozycji „cała naprzód”.

- Jeden, zero, jazda - rzekł drugi.

Kiedy samolot z łoskotem minął radiolatarnię numer siedem, oznaczającą siedem tysięcy stóp pasa startowego, drugi pilot powiedział, czując, że przez tę ogromną gburowatą masę, która go otacza, zęby wyłażą mu z dziąseł, bo prawie dwieście pięć-

dziesiąt ton Grubego Brzydkiego Upierdliwego Ruchastwa mo-
zownie wznosi się ponad bagienną trawę, no więc drugi pilot
powiedział:

- Gotów.

Ciemny korpus zamajaczył jak zjawa spośród mgieł, długie
skrzydła wygięły się, klapy wysunęły, koła oderwały się od ziemi
i maszyna wzbila się w powietrze, wlokąc za sobą czarny
alkoholowy dym, a jej gromowy ryk wstrząsnął równiną.

W swojej dziurze nawigator, Charles Wainwright junior, dla
kolegów Chuckie, nie spuszczał z oka iluś tam liczników, prze-
łączników, wyłączników; przed nim, nad nim i obok niego -z
przeciwniej strony niż ta, którą zajmował bombardier Louis Bakey
- migotał taki rój przyrządów pomiarowych, że każdemu
starczyłoby na całe życie.

Chuckie patrzył na przełączniki i dokuczał kumpłowi, nama-
wiając go, żeby się ożenił z jakąś przyzwoitą kobietą, której bliski
byłby kościół.

- Odczep się - odparł Louis. - Niepotrzebna mi żona. Nie-
potrzebny mi kościół. To ty ich potrzebujesz.
- Louis, ja już miałem żonę.
- Której żeś nie docenił własnym rozumem.
- Musiałem przejść przez swój niezręczny okres. Dopiąć to i
owo - rzekł Chuckie.

Latali w jednej załodze od czasów Grenlandii, gdzie prze-
dzierali się przez arktyczne miraże i wichury o mocy pięćdzie-
sięciu węzłów. Na tym tle ich obecne loty z ładunkami bomb
wydawały się dziwnie monotonne, a przynajmniej rozgrywały się
na innym poziomie rzeczywistości, łatwiej poddającej się
projekcjom niż film.

- Wiem, czego ci trzeba - powiedział Louis. - Kobiety, która
zgodzi się wysłuchać całej twojej historii spierdolonych szans.
Musisz zwalić ten bagaż na kark komuś niewinnemu. Potrzebna
ci urocza młoda osóbką, urodzona specjalnie po to, żeby cię
zrozumieć. Jak ta na dziobie naszej maszyny, czarująca lala.

Ostatnie dwa słowa wymówił wzgardliwie, z czarnym akcen-
tem. Nic dziwnego, skoro był wzgardliwym czarnuchem. Czająca
lola. Nie, żeby był całkiem pozbawiony strony duchowej, która
mocno przemawiała do Chuckiego. Wystarczało posłuchać jego
opowieści o pierwszych próbach atomowych nad Nevadą. Dzie-

siatki razy opowiadał te historie przez wszystkie lata, jakie spędzili w koszarach na grenlandzkim pustkowiu, w Goose Bay i w paru innych dalekich bazach SAC w kontynentalnej części USA.

- Chyba nie powinieneś z niej szydzić.
 - Szydzić. Dobrze sobie - odparł Louis. - Prawdę powiedziawszy, wolę szydzić niż wziąć ją na szydło. Za chuda jak na mój gust. I jeszcze ma cudze imię.
- Co znaczy cudze?
- Ale nuda! Stale i wciąż człowiek musi kogoś pouczać.
- Co to znaczy, Louis? Jak to cudze?
- Long Tali Sally.
- Była przecież taka piosenka.
- Dobrze, że chociaż tyle wie. Rany Boga!
 - Myślisz, że nie znam Little Richarda? Że nie słyszałem tych jego „au-au-au”?
 - Czyli jednak warto chłopakowi darować życie - stwierdził Louis. - Ale chodzi o to.
 - Chowałem jego płyty przed rodzicami. *Oh baby woo baby*. Miałem trzynaście lat.
 - Stary Murzyn się wzruszył, Chuckman. Ale chodzi o to, że Long Tali Sally z piosenki i Long Tali Sally u nas na dziobie to nie ten sam gatunek.
 - Dlaczego? Przyjrzyj się. Jest wysoka, szczupła, ma świetne nogi i wygląda, jakby miała na imię Sally. *Woo*. Dziś w nocy balujemy.
 - Dziś w nocy balujemy. Zgadza się - przytaknął Louis. - Tylko że tej Sally z numeru Little Richarda nigdy nie zobaczysz w kinie samochodowym, jak siedzi w aucie i migdali się z jakimś takim chłoptasiem jak ty.
- A niby dlaczego?
- Bo jest czarna i ostra.

Chuckie popatrzył na radar i raz jeszcze przeliczył trasę samolotu nad kilkoma tysiącami mil wypukłego morza i atoli porośniętych drzewami mango.
- Jak to czarna?
 - Bo w piosence prócz tych wszystkich jęków i wzdychów jest i treść, tylko że one ją zamazują.

- Ta piosenka ma już pewnie trzynaście, czternaście, może piętnaście lat?
- Mniej więcej - przytaknął Louis.
- A ja pierwsze słyszę, żeby ktoś się upomniał o prawdziwy kolor skóry głównej bohaterki, tak?

Pilot powiedział lekkim tonem przez telefon pokładowy:

- Ciekawe, czy tam w dole to Manila. Piękny widok, Chuck.

Był to wcale nie śmieszny przytyk pod adresem tych dwóch z dolnego pokładu, którzy tkwili w kabinie bez okien i nie dość, że pozbawieni byli jakiegokolwiek widoku, to jeszcze siedzieli tyłem do kierunku lotu, mało tego: musieliby się katapultować, gdyby maszynę drasnął wrogi SAM, czyli pocisk ziemia-powietrze.

Jeszcze jeden złowrogi akronim, wymyślony po to, żeby zabijał.

- Nawigator do pilota - rzekł Chuckie.

Dostroił oscyloskop i zalecił minimalny skręt, uzgadniając rzeczywistą trasę samolotu z tą, którą wcześniej nakreślił. A potem powiedział:

- Louis, ta dziewczyna przynosi nam szczęście. Prawie czterdzieści lotów bez poważniejszego wypadku. Nie nadużywaj jej dobrej woli. To prawdziwa Long Tali Sally. Innej nie ma.

Kiedy Louis się podpalał, zaczynał trajkotać staccato, z rozwlekłym zaśpiewem, przechodząc na poirytowany falset, który potrafił nastroić na wysokie C i tak trzymać.

- A piosenka. Masz ty w ogóle pojęcie, o czym ona jest? Kobita w bocznej uliczce. Razem z nią stary wuj John. Zbudowana jak trzeba. Wuj John trafił do nieba. *Yes baby woo baby*. Dziś w nocy balujemy.

Lecieli pół kilometra nad Południowym Morzem Chińskim, w szyku trójkowym, w sumie piętnaście trójek, a każda dźwigała ponad trzysta bomb, które miały zostawić po sobie strefę zniszczenia, tak zwaną piaskownicę; Chuckie w jakiejś części mózgu dostawał hopla od tej zwariowanej rozmowy z kolegą Louisem, a znów inną, bliższą część ogarniał smutek i uczucie urazy, że kumpel tak źle się odnosi do dziewczyny wymalowanej na dziobie samolotu.

- Ten numer napisała czarna kobita z Apaloosa w Missisipi. Richard tylko go trochę podszlifował. Możesz mi wierzyć, bracie,

że ta Sally z piosenki to nie żadna chuda blondaska, co się migdali na tylnym siedzeniu. Reprezentuje wyższą klasę rozrywki.

Smutek i uraza. Myśli Chuckiego pobiegły w stronę Grenlandii, tam gdzie poprzednio stacjonował; było to całkiem niezłe miejsce na rekonwalescencję po rozpadzie małżeństwa. Jego ludzkie frustracje rozmywały się w lodowatych mgłach, w porywistych zaświatach zajaśnień, zakłóceń łączności radiowej, nieubłaganych wichur, totalnego mrozu, przedmiotów, które nie rzucały cienia, oraz licznych niewytłumaczalnych wskazań kompasów i radarów; a jeszcze ten GBUR, co się rozbił na lodowcu, mając na pokładzie uzbrojone głowice nuklearne, a jeszcze te anomalie, wobec których paraliż ogarniał ludzkie oko, umysł i nawet przyrządy, aż w końcu Chuckie uwrażliwił się na widmową piankę jakiejś wyższej, nawiedzonej świadomości. A może Grenlandia była po prostu subtelnym fragmentem gry wojennej, którą prowadzono w ciepłym pokoju jakiegoś instytutu obronności, przy kawie o smaku orzechowym i rogalikach.

Louis rozmawiał z pilotem tym ich bombowym żargonem, czyli widać pora, żeby Chuckie zaczął zwracać uwagę.

Miał za sobą jeden rozwód, dwa wydalenia ze szkoły, jedną z niej ucieczkę, wiele zerwań z rodzicami, trzykrotne oskarżenie o drobne kradzieże, raz wylądował na pogotowiu po przedawkowaniu barbituranów, raz eksperymentalnie pochlastał sobie nadgarstki, po wielekroć leżał we własnych wymiotach przed jakimś barem (zarzut okradania sklepów usunięto z kartoteki dzięki interwencji wpływowych przyjaciół taty).

- Little Richard i tak śpiewa głównie dla białych - mruknął do Louisa.

- Ale Long Tall Sally jest czarna. Żebyś to sobie zapamiętał.

Wspaniałego, zmarłego już taty. Po śmierci okazał się całkiem w porządku. Ale za życia był tak sztywniacko rodzicielski -nic, tylko puste komendy i fałszywy autorytet - że Chuckie podejrzewał go o brak zaangażowania w sprawę. Nie, nie obarczał rodziców winą za wszystkie swoje porażki. Sam dosyć ich na siebie ściągnął. Ilekroć jednak myślał o ojcu, żałował utraty jedynej rzeczy, jaką chciał zachować, żeby podtrzymać z nim więź. Była to piłka baseballowa, którą ojciec dał mu jako dowód

zaufania, dar, znak pokoju, gest rozpaczliwej miłości i duchowe przesłanie.

Piłkę tę Chuckie właściwie po prostu zawieruszył. A może ściągnęła ją żona, kiedy się rozeszli. Albo sam niechcący wyrzucił ją ze śmieciami.

Ot, jeden z tych roztargnionych epizodów, które zdawały się cechować wewnętrzną naturę epoki.

Obok niego Louis siedział na swoim miejscu, mając wokół siebie przycisk wyrzutnika bombowego, główny panel sterowania bombami, wskaźnik danych o bombardowaniu, nocnik i kubek elektryczny. Wszystko, czego człowiekowi potrzeba, żeby zaznać pełni życia wśród chmur.

- Szalony Bombardier do pilota - rzekł Louis. - Spuszczam szybką serią. Sto dwadzieścia sekund do zrzutu.

Bobby Thomson i Ralph Branca byli dla Chuckiego nikim. Mętnie zapamiętane nazwiska z rozchwianego dzieciństwa, nic więcej. Wspomnienie samej piłki i tej nocy, kiedy ojciec ją kupił - też mętne, rozchwiane i niewyraźne.

- Trzy stopnie w prawo - rzekł Louis do pilota, ziewając przez łyż. - Tak trzymać. Drzwi bombowe otwarte. Sprawdzam. Sześćdziesiąt sekund do zrzutu.

Tyle lotów, tyle identycznych bomb. Chuckie uwielbiał niegdyś te loty z bombami, ale już mu przeszło. Gorzką, poniekąd sadystyczną, naburmuszoną rozkosz sprawiało mu dawniej to, że odgrywa się za swoje życie, wyżywa na krajobrazie i tubylcach. Był dumnym członkiem skrzydła bombowców, które zrzucało z luków miliony ton trotylu. Bomby spadały z furkotem na NVA i ARVN, bez różnicy, bo gdy żołnierze po obu stronach są do siebie tak bardzo podobni, a ich akronimy składają się z mniej więcej tych samych liter, trzeba bombardować obie strony, żeby uzyskać zadowalające wyniki. Bomby spadały też na Vietcong, na Viet Minh, na Francuzów, Laotańczyków, Kambodżan, na Pathet Lao, na Czerwonych Khmerów, na plemiona górskie, na Hmongów, maoistów, taoistów, buddystów, mnichów, mniszki, wieśniaków uprawiających ryż, wieśniaków hodujących świnie, na protestujących studentów, na tych, co demonstrowali przeciwko wojnie, na dzieci kwiaty, na Siódemkę z Chicago, na Ósemkę z Chicago, na Dziewiątkę z Catonsville, bo wszyscy oni w gruncie rzeczy reprezentowali wrogie siły.

Louis dalej mruczał.

- Lot ustalony. Regulacja automatyczna. Ton słyszalny. Dzie sięć sekund, dziewięć, osiem, siedem.

Tym razem wieźli półtonówki, smukłe i bezpłodne, w sumie sto osiem bomb posłusznych sennemu skinieniu Louisa mierzyło w szlak Ho Chi Minha, a plan lotu opierał się na bzdurnych odczytach interpretatorów obrazu, którzy dniami i nocami wgapiali się w mikroskopijne plamki na prawie identycznych kadrach filmów z lotów zwiadowczych; Chuckie przypuszczał, że te filmy nieustannie suną im przed oczami, tak mniej więcej, jak bomby nieustannie lecą z B-52.

Louis dalej mruczał.

- Sześć, pięć, cztery.

A Chuckiemu przypomniała się Ballada Louisa Bakeya, którą bombardier gotów był niezmordowanie powtarzać, a nawigator za każdym razem pragnął, żeby nigdy się nie skończyła, brzmiała bowiem jak jakiś wspaniały *negro spiritual*, aż człowiekowi mrowie przebiegało po twarzy z uszanowania i nabożnego lęku.

O tym, jak Louis wymaszerowuje ze szkoły bombardierów i trafia do załogi B-52, który osiem i pół kilometra nad poligonem w Nevadzie symuluje zrzut bomby atomowej o mocy pięćdziesięciu kiloton.

Zauważcie, że tylko symuluje, a tymczasem z wyrzutni wieżowej umieszczonej dokładnie pod samolotem naprawdę odpala się ładunek tej właśnie mocy.

Bo chodzi o to, żeby sprawdzić, jak zachowa się samolot i załoga, jak metal i ludzkie ciała zareagują na błysk, wybuch, wstrząs, całe to widowisko i w ogóle.

A jeśli chłopcy wyjdą mniej więcej bez szwanku, to może pozwolimy im kiedyś zrzucić prawdziwą atomówkę.

Cały samolot zaciemniony. W oknach grube zasłony oklejone folią. Załoga trzyma poduszki na oczach. Nylonowe poduszcзки, których intrygująca woń przypomina Louisowi damską bieliznę.

Lekarz ochotnik siedzi na zapasowym fotelu, a z ust zwisa mu dziesięciocentymetrowy sznurek zakończony tekturką od torebki z herbatą. Połknął resztę sznurka, na którego drugim końcu klisza rentgenowska pokryta aluminiową galaretką dynda gdzieś pod przelykiem, żeby zmierzyć siłę promieniowania przechodzącego przez ciało.

Louis symuluje odliczanie i czeka na błysk. Silny, nieśmiertelny młodzieniec wysłany ze szlachetną misją.

- Trzy, dwa, jeden.

A wtedy cały świat zaczyna świecić. W ciało wnika światłość jak dotyk Boga. Louis widzi kości własnych dłoni przez zamknięte powieki i przez grubą poduszkę, którą przyciska do twarzy.

Kręcę głową i widzę, jak całe szkielety tańczą w rozbłysku. Nawigator, nawigator szkoleniowiec i strzelec, smętny dupek. Jesteśmy martwi i fruujemy.

Jezu Chryste, pomyślałem. Jak rany, dałbym głowę, że jesteśmy w niebie. Pot leje mi się po twarzy, z przerywaczy bucha dym, a wybuch podrzuca nas o parę kilosów w górę, mimo naszych najszczerzych chęci.

Myślałem, że lecę przez sam środek Sądu Ostatecznego, z twarzą wciśniętą w nylonowe piersi jakiejś kobiety.

A kiedy trafiła nas fala uderzeniowa, poleciliśmy jeszcze o kilometr do góry, bo ta potężna maszyna fruwała jak liść w wietrzną noc.

A przez zamknięte oczy wciąż widziałem latających nieboszczyków, szkielety z pischczelami przyłączonymi do kości udowych, i słyszałem słowo Pana.

Wydawało mi się, że skoro jestem czarny, to trudno będzie mnie przejrzeć na wylot. A tymczasem widziałem wszystko przez skórę, aż do kości. Bo błysk miał taką siłę, że szlag trafił międzyrasowe niuanse.

Przed Bogiem wszyscy tacy sami, więc niech to będzie nauka.

A medyk siedzi ze sznurkiem zwisającym z ust i przytrzymuje ręką tekturkę, żeby jej nie połknąć, a ja przez jego skórę, kości, żebra i resztę widzę kliszę, która świeci jak wschód słońca na pustyni.

Kiedy już można bezpiecznie odłożyć poduszkę i otworzyć oczy, Louis rzeczywiście ją odkłada, a potem idzie do kabiny pilotów, żeby pomóc drugiemu pilotowi zdjąć z okien zasłonki termiczne, i widzą nad sobą żywą, białą chmurę w kształcie grzyba, która kipi, gada i sypie iskry jak jakaś wszechmocna zasrana wizja.

Wybałuszyłem oczy i tak mi już zostało, nigdy do końca nie udało mi się ich zamknąć. Bo zobaczyłem to, co zobaczyłem. Ten grzyb nad nami, taki wielki, szeroki i wysoki. Strzelał i dy-

szał jak nic innego na świecie. A kiedy przelatywaliśmy tuż obok ogonka, wydymał się, szumiał, gadał i wypychał chmurę do góry, prosto w stratosferę.

Kość udowa połączona z biodrową.

Po kilku latach zapomniałem pisania. Jak próbuję się podpisać, ręka mi się trzęsie i skacze. Sikam w zwolnionym tempie. A lewym okiem widzę to, co powinienem widzieć prawym.

Tak brzmiała Ballada Louisa Bakeya, którą w bazach smaganych wiatrem opowiedział tysiącowi lotników przez krótkie dni i długie lata nieustannego pogotowia, w mrocznym i stoickim sercu zimnowojennych zim.

- Bomby poszły - obojętnie rzekł Louis.

Ale Chuckie nie czuł już tej co niegdyś wrednej, zajadłej radości. Nie chciał już więcej zabijać żołnierzy VC. I dziwnie się przejmował losem krajobrazu. Miał dość zabijania lasu i drzew w tym lesie, dość zabijania ptaków żyjących wśród gałęzi, dość zabijania owadów, które przez cały swój karmiczny żywot gnieźdzą się w ptasich lotkach.

Samolot wszedł w ostry wiraż.

- Powiedz, Louisman, budzisz się czasem w środku nocy?
- Odczep się.
 - I nie przychodzi ci wtedy do głowy, że musi chyba istnieć jakiś bardziej owocny sposób spędzania czasu.
- Tak właśnie myślą sobie teraz ci na dole.
 - Niż spuszczenie bomb na ludzi, którzy nigdy nie powiedzieli ci złego słowa.
 - I mieszkają w tunelach. Powiem ci, co oni sobie myślą. Mieszkają w tunelach, które wykopali głęboko pod ziemią, a my siedzimy w Grubym Brzydkim Upierdliwym Ruchaczu i grzmocimy w nich, aż gówno pryska. No więc myślą sobie, że chyba musi istnieć jakiś bardziej owocny sposób spędzania czasu.

Ostatnio podczas tych rutynowych wypadów Chuckie parokrotnie wyobrażał sobie, że się katapultuje. Sprawdzić ochraniacze nóg i paski wokół kostek, pociągnąć za kółko, i łubudu. Wystrzeliłoby go w zadymione niebo. Poszybowałby nad Golden Gate Park, jak w komedii filmowej, w której jasnowłosa Sally w minispódniczce podnosi głowę znad jakiegoś Frantza Fanona czy Herberta Marcuse'a - dwóch autorów, których Chuckie-mu trudno było znaleźć w PX na terenie bazy - i widzi, że

na wierzchołkach drzew lada chwila wylądował spadochron w grochy.

Nie, nigdy nie kibicował, ale przyjemnie było mieć w domu tę piłkę - taką miłą, poobijaną, z wypukłymi szwami, męską i starą, kawałek prywatnej historii, który o wiele więcej dla niego znaczył niż gęsto zaludnione kroniki baseballu.

Samolot zawrócił w stronę wyspy Guam, której nazwa prawie rymuje się z „bomb”, ale Chuckie myślał o Grenlandii, o jej bezcienistej białej paszczy, o zwodniczym świetle, o pejzażach nie zamkniętych horyzontem. O kontynencie, który nigdy nie przestał być zaledwie pogłoską, nawet dla tych, co na nim stajonowali, zwłaszcza dla tych - nie potwierdzoną wiadomością, trochę jak własne życie Chuckiego.

I wreszcie z nieba na ziemię. Po wylądowaniu usłyszał gorący zgrzyt kół i poczuł, jak spadochron hamujący otwiera się z głośnym cmoknięciem i spowalnia ruch maszyny. Wiedział, że samochód prowadzenia nadążnego jedzie po pasie, ale oczywiście go nie widział, bo musiał spędzić jeszcze parę minut w tej ciemnej dziurze, wśród swoich akronimów.

- Chce mi się cipy, Chuckman - oświadczył Louis - i to już. Ale kobita musi szanować mnie i to, co robię.
- I co sobą przedstawiasz.
- I co sobą przedstawiam. Brawo, synu. Jednak udało mi się coś niecoś ci wytłumaczyć.

Przodem jechało auto, a ci z obsługi naziemnej biegli już w stronę samolotu, wlokąc szlauchy, rury i kable urządzeń pomiarowych, gotowi przeprowadzić kontrolę według listy długiej jak jedenaście rozwlekłych powieści o wojnie i pokoju.

- Bo jak mnie nie szanuje - ciągnął Louis - to robi mi się w środku pusto, kiedy już jest po zabawie.
- Znam to uczucie.
- Za każdym razem takie samo.
- Najpierw ich ruchamy.
- A potem bombimy - rzekł Louis.

Potężna maszyna znów miała niebawem ociężałe przetoczyć się po pasie, utuczona bombami, z jękiem wszystkich nitów przy starcie wzwyż, w górę, w dal: zabójcza moc na niebie.

9 listopada 1965

Był to jeden z lokali, do jakich potrafi przypadkiem zabłądzić ktoś, kto nie zna dzielnicy, cmentarny bar pod wjazdem na most, i można by go na pierwszy rzut oka pomylić z jednym z tych barów z Ósmej Alei, otwartych chyba na okrągło, o nazwach takich jak „Red Rose”, „White Rose” czy „Blarney Stone”, barów, które odwiedzają hydraulicy, krawcy, amatorzy wyścigów konnych przychodzący prosto z toru albo ci, co cierpią na bezsenność i przychodzą prosto znikąd, kanapka i piwo, a może seta i piwo, ale w rzeczywistości należał do zupełnie innej kategorii, właściwie spoza czasu, a nazywał się „Frankie's Tropical Bar”, na Lower East Side, i kogóż to ja spotykam, ledwo wszedłem drzwiami: Jeremiaś Sullivan we własnej osobie, tak a propos cmentarzy, bo nie najlepiej wyglądał.

- Czy mnie oczy mylą?
- Cześć, Jerry - powiedziałem.
- Nick Shay? Skąd się tu wziąłeś, do diabła?
- Cześć, Jerry - powtórzyłem. - Gdzie my w ogóle jesteśmy?
 - Ja wiem, gdzie jestem. Ale gdzie ty jesteś, do diabła? Czasem coś o tobie słyszę. Kalifornia, Arizona. Widziałem twoją matkę trzy, cztery lata temu. Ile to już? Piętnaście lat?
 - Przyjechałem do miasta na tydzień - odparłem. - Prowadzę badania dla jednej firmy ze Środkowego Zachodu. A ty?
 - Nie bądź taki opanowany. Prawie, kurwa, piętnaście lat. Co pijesz?
- A ty?
- Nie pytaj - rzekł.
- No to ja to samo.

Rozejrzał się za barmanem, ale ten gdzieś sobie poszedł. Przy drugim końcu baru siedział facet z obandażowaną głową i usiłował trafić monetą do kieliszka. Niedaleko od miejsca, w którym stał Jerry, siedziały na stołkach dwie kobiety, dwie miejscowe dziwy, należało przypuszczać, ale wcale nie były miłe, gadatliwe ani zainteresowane cudzymi rozmowami: po prostu dwie prastare, zużyte adeptki tej sztuki.

Wymieniliśmy dane o czystych faktach, takich jak miejsce

zamieszkania i praca, a potem Jerry przedstawił mi rozbudowane raporty o ludziach, z którymi się wychowaliśmy; pewnie czekał z tymi wiadomościami na taką właśnie okazję. Spodnie od garnituru obwisały mu pod wydatnym brzuchem, a rozluźniony węzeł krawata zjechał do połowy gorsu.

- Jesteś żonaty, Nick?
- Nie.
- A chodzisz z jakąś fajną dziewczyną?
 - Nie. Poznałem niedawno w Chicago kobietę. Ale nie, nic z tego. Ja nie z tych, co się żenią. Nie widzę siebie w małżeństwie. Jakoś mi nie po drodze. Nawet o tym nie myślę.
 - W najdzikszych marzeniach. A ja mam żonę. I dwoje dzieci. Pokazałbym ci zdjęcia, ale przecież wcale nie chcesz ich oglądać.

Przyszedł barman i dostałem koktajl - likier miętowy z brandy i z lodem - przelewający się przez brzeg szklanki. Było późne popołudnie, słońce już słabło, ścianę za barem ozdobił nie dokończony fresk z palmą, a na belce pod sufitem wisiało prawdziwe sombrero. Jerry powiedział, że dawniej był to klub jazzowy, który prawie natychmiast splajtował, ale chociaż właściciel zrezygnował z muzyki i zmieniła się klientela, on, Jerry, dalej tu zachodzi. Między pracą a domem musi godzinę побыć sam i pomyśleć.

Jakby zgodzi. Wcale nie chciałem oglądać zdjęć.

- Mam trzydzieści lat - powiedział. - Kiedy mój ojciec skończył trzydzieści pięć, wyglądał jak stary dziad.
- Tak ci się tylko zdawało. Byłeś w pierwszej klasie. Oni wszyscy wtedy wyglądali jak stare dziady.
- Nie, naprawdę był stary. Zniszczony. Fajnie, że się spotkaliśmy, Nick. Nieraz o tobie myślę. I zaglądam do naszej starej dzielnicy. Dawniej taki tam był tłok, a dzisiaj pustki.

Kończyliśmy razem podstawówkę u zakonnicek, potem Jerry poszedł do katolickiego liceum, a ja przerzuciłem się na publiczne i odtąd rzadko się widywaliśmy, na przykład w hallu kina, kiedy kupowaliśmy colę, on ze swoimi kumplami, ja z moimi, i czuliśmy wtedy dziwny dystans, nie wrogi, ale głęboki, który brał się trochę stąd, że chodziliśmy do różnych szkół, z odmiennych nawyków i praktyk, lecz także z nie dających się pogodzić sposobów bycia, przyjaciół, przyszłości.

- Cholernie dawno cię tu nie było. Cholernie dawno. Może byś się zastanowił nad powrotem - powiedział.
- Miałbym tu mieszkać? Daj spokój. Nie. Podoba mi się tam, gdzie teraz siedzę.
- Tam? A niby co tam takiego jest?
- Wszystko, o czym nigdy nie słyszałeś.
- Skoro nigdy o nich nie słyszałem, to chyba nie takie to znowu cuda? - spytał.

Przeżywaliśmy go dawniej Skoczny Jerry, bo nieustannie podrygiwał i zezował - zauważyłem zresztą, że mu to zostało. Przybyły okulary, a na palcu sygnet z godłem szkoły.

Nie wspominałem o jezuitach. Zanadto by się zaciekał. Trzymałby mnie godzinami. Opowiedziałem mu za to o swojej pracy, o tym pomyśle, żeby zmienić tradycyjne szkolne metody, i że odwiedzam szkoły w gettach i peryferyjnych dzielnicach, tutaj i w Filadelfii, jako wolny strzelec, luźno związany z zakładem badań behawioralnych z Evanston w Illinois.

- No i uczysz.
- Owszem, dawniej uczyłem. Kiedyś pewnie do tego wrócę - odparłem. - Prędzej czy później. W szkołach średnich. Wychowanie obywatelskie i angielski. Ale chciałbym uczyć łaciny.

To też go zanadto zaciekało. Powinno rozbawić do rozpuku, ale nie rozbawiło, bo było zanadto ciekawe. Przez pewien czas wyglądało na to, że Jerry wykieruje się na księdza, takie krążyły słuchy, a może wstąpi do Irlandzkiego Bractwa Chrześcijan, więc z kompletnie zdezorientowaną miną usiłował porównać Nicky'ego, którego dawniej znał, z tym, o którym miał później się dowiedzieć, że uczy w szkole łaciny.

- Byłeś u matki?
- Pojechałem tam wczoraj - odparłem.
- Dalej mieszka pod sześćset jedenastym?
- Tak.
- Lubię czasem tam wracać - powiedział. - Przegryźć coś na Arthur Avenue. Zabrać dzieci do zoo.
- Jak zwiedzać, to teraz albo nigdy. Cała dzielnica pomału znika.
- Dawniej był tam taki tłok. A może to tylko ja tak pamiętam? Letnie noce. Coś fantastycznego. Wspaniale, żeśmy się spotkali, Nick. Wypiję jeszcze jednego. Ty też się napij.

Chciałem dopić i wyjść, albo nawet wyjść, nie dopijając. Jeżeli pozwolisz, żeby takie przypadkowe spotkanie trwało pięć minut dłużej, niż jest warte, masz popsutą całą noc i potem dzień.

Co chwila poprawiał okulary.

Jakiś mężczyzna siedział sam przy stoliku i wygłaszał jęklivy, smętny monolog o tym, że wszędzie za nim łążą, zapisują jego najskrytsze myśli, nasyłają ślepych szpicli z psami przewodnikami, z ołówkami i z miseczkami, w autobusach i w metrze tak samo.

- Idź do domu, Jerry, i pobaw się z dziećmi. Jak skończysz pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat, będziesz mógł przyjść tu i po myśleć o przeszłości.

Ale on nie chciał iść do domu. Wolał recytować dzieje stu połączonych dusz, ulicznego roju, który buczał mu w głowie. Dzieje zmarłych, pożenionych, tych, co przeprowadzili się do Jersey, chłopaka, który miał pięć siostr i wyspecjalizował się we włamaniach do sejfów, asa piłki ręcznej, który został masażystą kręgarzem, nadętej blondyny z piątej klasy, co wyszła za boksera z Puerto Rico.

- Powinniśmy tam pojechać, Nick. Powaga. Metrem byłibyśmy za czterdzieści pięć minut. Możemy zjeść kolację u Maria. Zadzwoń w parę miejsc. Ściągnę chłopaków. Ucieszą się. Przyjdą się z nami spotkać. Powaga, stary. No, pij i lecimy.

W jego głosie brzmiała nuta naglącej logiki. Mówił jakby zza podwójnej gardy, lekko zagniewany i już dosyć upity, upojony własnym pomysłem, a jednocześnie na zapas trochę zły, bo liczył się z tym, że może nie dostrzec piękna i nieuchronności wypadu do Bronksu, że może mnie nie porwać romantyzm wspominków, więc zawczasu oswajał się z perspektywą gorzkiej urazy.

- No chodź, serio, pojedziemy metrem. Zobaczymy się z Lofaro. I z innymi starymi kumplami. Ucieszą się, że przyjechałeś, Nick.

Nie chciałem go odrzącać, żeby nie wyszło, że się trzymam na uboczu albo jestem ponad. Jerry wiedział, że siedziałem w poprawczaku, po czym w zasadzie wypadłem poza nawias nowin i plotek, a tu nagle paradyję w tweedowej marynarce, lubię swoją pracę, dobrze wyglądam, przestałem palić, piję też nie za wiele, znam kobiety o seksownym głosie, który brzmi

jak wiolonczela, i zapewne regularnie ją rżnę, a on co, miły chłopiec z katolickiej rodziny, cały sflaczały i zatęchły, nienawidzi wracać do domu, ma żonę w Jackson Heights i dwoje małych dzieci, przypala jednego papierosa od drugiego, pije do utraty przytomności i zbiera reklamy dla radiostacji z samego końca skali, a wszystko dlatego, że nigdy nie zabił człowieka.

- Musimy tam pojechać - upierał się Jerry. - Złapiemy ta ksówkę, ja funduję.

Niejaki Jorge zaczął rozmawiać z barmanem. Miał przepaskę na głowie i chyba był rozstrojony seksualnie. Właściwie nie myślałem o tych ludziach jako o bywalcach, tylko jako o lokatorach. Nasunęło mi się akurat to słowo, z późnej łaciny, oznaczające kogoś wyraźnie umiejscowionego, bo wydawali się na stałe ulokowani: dusze w potrzasku, wyrrywające się na wolność. I w końcu zacząłem rozumieć, czemu Jerry przychodzi do tej knajpy: żeby przestać się nad sobą litować, odłożyć na bok dokuczliwe troski codzienności, побыć z ludźmi, którzy będą do niego mówili czymś w rodzaju paranoicznego chorału gregoriańskiego, słowotokiem pozbawionym zwykłego sensu i ścisłego metrum, dobywającym się jednak z głębszych warstw aniżeli te, które miał odwagę usłyszeć we własnych słowach.

Światła przygasły i zamigotały.

Jerry mówił do mnie, a kobieta, która siedziała z Jorgem, tłumaczyła barmanowi, jaka jest optymalna temperatura piwa, i właśnie wtedy światła przygasły, zamigotały i po chwili zgasły zupełnie.

- Tak mnie raptem naszło - mówił Jerry. - Wykonam parę telefonów. Ściągnę chłopaków. Niech przyjdzie ten, jak mu tam, Allie. W tego rodzaju sytuacji, przyjacielu, nie masz prawa od mówić.

I wtedy zgasły światła.

Mężczyzna przy drugim końcu baru już nie próbował trafić monetą do kieliszka.

- Czy to światło wysiadło? - spytał ktoś. Jerry i ja popijaliśmy swoje koktajle.
- Wiecie co? - powiedział barman.

W męskiej toalecie ktoś zaczął coś mówić, dość głośno, żebyśmy słyszeli.

- Chyba zgasło w całym kwartale.

- Czy to światło wysiadło? - raz jeszcze spytał pierwszy głos.
- Widać coś naprawiają i zrobili zwarcie - rzekł barman. -A mnie jak raz świece wyszły.

Głos z toalety przemawiał coraz głośniejszy, z rosnącym wzburzeniem.

Jedna stara kobieta powiedziała coś do drugiej; dotychczas obie milczały.

Jerry i ja sączyliśmy swoje koktajle.

- Ale wiecie co? - rzekł barman.

Jorge mówił teraz po hiszpańsku.

Barman nisko się pochylił, wyjął skądś zza baru latarkę i wklonił ją między dwie butelki na półce pod freskiem.

Kobieta, która siedziała z Jorgem, też mówiła po hiszpańsku, ale kiępsko, zwracając się do mężczyzny w toalecie.

Barman podszedł do drzwi.

- Zdawało mi się, że Allie zginął w Korei.
- To nie on, to Viggiano. W Korei.
- Myślałem, że wszedł na minę.
- To Mike. To on wszedł na minę. Viggiano.

Obie stare kobiety znowu milczały, oswojone już z ciemnością popijały w milczeniu.

- Chcesz powiedzieć, że przez tyle lat.
- Nosileś w pamięci nie tę ofiarę wojny, którą powinienes.
- Wojna się, owszem, zgadza, tylko facet nie ten.
 - Chodźmy na dwór - zaproponował. - Chcę zobaczyć, co się dzieje.
- Nie muszę już więcej żałować Alliego.
 - Chyba zgasło w całym kwartale. Allie sprzedaje ryby ze straganu swojego ojca na targu. Znajdziemy go. Zadzwoń do niego.

Wzięliśmy szklanki i wyszliśmy na chodnik. Ciemność zapadła nad całym kwartałem, nad całą dzielnicą. Było po piątej, dawno po zachodzie, światła na skrzyżowaniach też zgasły, a my słyszeliśmy, jak pulsują klaksony aut przy wjeździe na most, nad nami i dalej na zachód.

Ludzie wychodzili ze sklepów i z mieszkań, od ślusarza, ze spożywczego i z kantoru, w którym spieniężano czek, stawali i rozmawiali. Patrząc wzdłuż rzędu czynszówek na wschód, wi-

dzieliśmy rzekę, wąskie migoczące pasemko, które wprowadzało w to wszystko pewną miękkość, wizualny szept w tle za ciemnymi, masywnymi konturami pierwszego planu.

- Czy w Brooklynie też zgasło? Chyba tak.
- Zdecydowanie tak.

Ludzie rozmawiali, a co pewien czas spoglądali w górę. Patrzyli w niebo nad środkiem wyspy albo usiłowali zobaczyć jej południowy kraniec, oczywiście zasłonięty przez gęsto stłoczone domy, ale zawsze kierowali wzrok w górę, ku niebu, wskazywali coś palcami i rozmawiali.

Wróciłem do środka i postawiłem szklankę na barze. Obok położyłem pieniądze. Ktoś dalej siedział w toalecie i ze wzburzeniem perorował po hiszpańsku, mówił coś o swojej lub czyjejś matce, a ja pomyślałem, że widać nie może znaleźć papieru albo zasuwki i że będą musieli się nim zająć lokatorzy.

Stałem w drzwiach i popatrzyłem, jak Jerry rozmawia z barmanem i trzema czy czterema innymi facetami, na ulicy, dwadzieścia metrów ode mnie; raz po raz oświetlani reflektorami przejeżdżających aut, wydawali się ożywieni, pobudzeni doniosłością sytuacji, ogromem zamieszanych w nią sił, więc rozmawiali i wskazywali to i owo palcami.

Ruszyłem ulicą w przeciwną stronę. W połowie drugiego kwartału przeciąłem jezdnię, przeszedłem przez luk pod mostem i trafiłem w miejsce, gdzie walało się pełno śmieci, stały wraki samochodów i piętrzyły się stopy szmelcu, który zostawiły ekipy budowlane, a z północnego końca tunelu widać było sylwetki wieżowców śródmieścia, wyraźne i płaskie na tle pasiastego nieba, i usłyszałem narastający ryk klaksonów, dinozaurze konanie aut unieruchomionych w godzinie szczytu, zewsząd słychać było ich zewy i odzwy, więc wyszedłem drugim końcem, jedne samochody ledwo pelzły, inne stały jak wryte, a ich reflektory dzięki pierwiastkowi zwanemu barem znaczyły rzekami światła stacje mojej wędrówki przez ulice.

29 października 1962

Znowu był w Nowym Jorku, w kolebce świadomości, miał występ o północy w Carnegie Hall, wobec prawie trzech tysięcy osób stał na ogromnej scenie, wpatrując się ponad fotelami par-

teru i dwoma piętrami łóż w jaskółkę, na której słuchacze stali w przejściach i tłoczyli się przy drzwiach ewakuacyjnych. Lenny Bruce na żywo.

- Nowy Jork, Nowy Jork. Powtarzamy to dwa razy. Raz, żeby wywabić ludzi z Kansas. A drugi raz nad ich grobem.

Słuchacze ociężałe poruszyli się w fotelach.

- Nowy Jork, Nowy Jork. Jak ksiądz, kiedy odstawia swój numer po łacinie. *Mumbo jumbo, mumbo jumbo*. Też powtarza to dwa razy, bo mówi o gównie, szczytach i korupcji, więc chce mieć pewność, że rozumiecie.

Na sali byli jego ludzie, impresariowie z Brill Building, koledzy komicy, którzy obsługiwali toalety w całym New Jersey, aktorzy, niedoszli aktorzy, aktorzy-kelnerzy i taksówkarze zrzeszeni w stowarzyszeniu aktorów. A także łysiejący mieszkańcy Upper West Side, z kosmatymi bokobrodami, w widomy sposób udręczeni, a z nimi ich kobiety - kędzierzawe, przemądrzałe, pełnej budowy, o wydatnych ustach i szerokich, bogatych, prawdziwych twarzach, wybuchały beczelnym śmiechem.

Lenny ubrany był w biały, szczupły, starannie odprasowany garnitur i fioletową alfonserską koszulę z wykładanym kołnierzem, jak ktoś, kto próbuje sobie przypomnieć, że jest niezniszczalny.

Była północ, rzęsista ulewa, ale stawili się w komplecie, muzycy i folkowcy, autorzy drukujący w czasopismach dla jajo-głowych, trochę ludzi o zniszczonych, kredowych twarzach, z ukrytymi pod ubraniem zrostami od igieł, a obok nich sporo osób odcieleśnionych tuż po wypaleniu porcji DMT, szybko działającej superużywki z laboratoriów NASA, która ma nas przetransportować na Księżyc i z powrotem, niezależnie od naszej woli.

Spojrzał w górę, w dół i na boki.

- Co za zwariowany, makabrycznie nerwowy tydzień. Wszyscy jesteście wypompowani. Brakowało paru minut, żeby nas zmiołła kula ognista. Ale za to teraz, teraz, teraz.

Omijając wzrokiem smukłe kolumny, spojrzał w głąb trzeciego balkonu, a potem jeszcze wyżej, na wychylone za balustradę tuż pod sufitem twarze, na młodych ludzi, którzy pałali słabym blaskiem w świetle przelewającym się z punktowców umieszczonych wysoko na bocznych ścianach.

- Wcale nie umrzemy!

Zatańczy! w miejscu jak Murzyn z rewii, szeroko otwierając usta, podnosząc rękę, rozcapierzając palce, i na chwilę tak zastygł, roześmiany.

- Tak, uratowali nas. Cała ta elita w garniturach z tenisu i czarnych prążkowanych podkolanówkach, bo jakby nosili krótsze skarpetki, to jeszcze byśmy zobaczyli obrzydliwy kawałek białego cielska spod mankietu spodni, kiedy facet w telewizji założy nogę na nogę. Ten pasek białej skóry to takie delikatne miejsce, kapewu. Mężczyźni na stanowiskach mają zwykle łysie nogi, więc w głębi duszy czują się słabi i zniewieściali, toteż noszą podkolanówki. Właśnie dlatego podwiązki to ryzykowny wynalazek. Nie, no tak, uratowali nas. Oni sami. Rosjanie zgadzają się usunąć rakiety i przerwać budowę baz raketowych na Kubie. Chruszczow rzyga w talerz z latkesami. Dla relaksu bierze gorące kąpiele. W wannie wygląda jak plastikowa torebka z kukurydzą, bliska wrzenia.

Na sali byli nastoletni fanatycy Lenny'ego, chłopcy z Brooklynu i z Queens, którzy umieli słowo w słowo powtórzyć każdy jego numer, wyczony na pamięć z płyt, ale z jeszcze większym nabożeństwem wkuwali je z trudno dostępnych taśm, które po kryjomu nagrywali handlarze kupczący wszelaką kontrabandą. I chłopaki z Bronksu, ci, co latają po Grand Concourse do Ascot na każdy zagraniczny film, z nadzieją, że mignie im kawałek cycka: Lenny był w ich oczach niedoścignionym wirtuozem, potężnym mistrzem coolu, głosicielem niecodziennych prawd.

- Uratowali nas ci faceci w okularach z rogowymi oprawka mi, rozsądnie ostrzyżeni. Przy tym kryzysie raketowym przydało im się doświadczenie wyniesione z tysiąca uroczystych bankietów. Stary, wszystko się rozstrzyga właśnie na bankietach. Są szczytowym osiągnięciem cywilizacji Zachodu. Bankiety, a nie sztuka z obskurnych muzeów ani książki z bibliotek, w których uliczni włóczędzy plugawią ubikacje. To wszystko nieważne. Boiska Eton też nieważne. Liczy się, kto przy kim siedzi w czasie kolacji. I właśnie w tym punkcie wygraliśmy. Bo ci faceci zaciśnęli zęby i wytrwali. Bo się sprawdzili w najokrutniejszym ze wszystkich środowisk. Tam gdzie grają potężne siły i dokończają się przełomowe wydarzenia. Na bankietach w Bostonie, Waszyngtonie i Nowym Jorku, kapewu? Matka mówiła wam:

nawiązuj znajomości, złociutki. Mówiła to z niepokojem, z odrobiną tajonej trwogi. Albowiem wiedziała. Nawiązuj znajomości, bo bez nich zginiesz. I właśnie dlatego zwyciężyliśmy. Bo tym ludziom nadano odpowiednie imiona i wychowano ich z myślą o takiej chwili. Tak, przeszli sprawdzian na tysiącu dydaktycznych bankietów. Od najwcześniejszej młodości. Sadzano ich obok dorosłych, kompletnie obcych ludzi, i kazano prowadzić rozmowę. Po prostu sadyzm, powiedzieć dziecku coś takiego: prowadź rozmowę. Niektórzy nie dali rady. Załamali się i posłano ich do technikum leśnego. Palili potem korzonki i liście, zapuścili zarost. Wdali się w zawile stosunki ze zwierzętami. Ale inni. Tak, inni. Inni branzlowali się w takt pieśni marszowych, żenili z dalekimi kuzynkami, rośli duzi i władczy. Wpływowych mężczyzn poznaje się po tym, że ich żony grają w brydża przy zasłoniętych firankach. Bo od słońca dostają migreny. Kiedy mówią, miętoszą w palcach chusteczki do nosa. Przypomnij sobie, jak ciocia Tova siedziała, międląc chusteczkę. Stój prosto, mówiła. Rozmawiaj. Postaraj się. Zrób to dla mnie, złociutki.

Przez całą długą noc, za długo, bite trzy godziny non stop, za długo, no bo właśnie ma być za długo, przecież dopiero co wyszli cało z kryzysu i nie chcą znać umiaru, i jeszcze dlatego za długo, że Lenny po prostu nie może przestać; patrząc wzwyż spod zwieńczenia sceny, widzi ozdobny plafon i rzędy złożonych łóż, i wie, że jest w świątyni Casalsa, Heifetza, Toscaniniego, i ta myśl daje mu kopa, jakby sobie huknął w żyłę; i wreszcie dlatego za długo, że przez cały zeszły tydzień miał cykora i dopiero teraz mu ulżyło, czuje, że żyje, więc gotów jest skowyczeć aż do rana.

Na sali byli disc jockeye, którzy prowadzili nocne audycje jazzowe, wtrącając przydymione insynuacje. Rozmaite znakomitości siedziały tu i ówdzie na parterze, o którym w programie pisano *parterre*. Nie brakowało też par mieszanej rasy, popisujących się wytrenowaną nonszalancją. Ludzi znudzonych zwykłą komedią. Ludzi, którzy chcieli być prowokowani i atakowani, chcieli usłyszeć, że ich najlepsze intencje demaskuje się jako liberalne pogaduszki przy stole.

Lenny odkręcił mikrofon od statywu i pobłogosławił obecnych.

- Opowiem wam coś, czego nikt jeszcze nie słyszał. Numer tygodnia. Prezydent zadzwonił do papieża. - Pełne nadziei poruszenie na sali zniechęca Lenny'ego. Nie, dziś wieczór nie ma nastroju na papieży. - No właśnie, przez cały tydzień po kryjomu się porozumiewali. Tak zwany rozdział kościoła od państwa to pieprzenie w bambus. Katolichy i tak trzymają sztamę. - Pa papież sami przez się są śmieszni: nie potrzebują Lenny'ego, żeby uszlachetnił ich grepsy. - Papież ma łodzie podwodne, kapewu? Daj tylko cynk, Johnny, zaraz wyślę. Rozniesiemy skurczysynów w drobny mak. Wasza Świątobliwość mnie za skoczył. Naprawdę masz własną flotę łodzi podwodnych, stary?

Lenny stracił zainteresowanie. Przerzucił się na kazania i upomnienia, rozwlekł dywagacje o patriotyzmie, komunizmie, podatku dochodowym i kobietach, które wkładają sobie papierosy do cip i wydmuchują idealnie równe kółka. A ilekroć mówił coś śmiesznego albo błyskał wnikliwością i na sali zrywały się oklaski, prosił: Nie, przestańcie - dajcie mi lecieć solo.

- Zawsze wiedziałem. Od dzieciństwa. Jestem równie zepsuty jak oni. Przecież tu się wychowałem. Policjanci to szwindlarze i ja też. Politycy kłamią, a ja kłamię jeszcze gorzej. Chętnie bym się zabił w telewizji, żeby ludzie, zasypiając, mieli przed oczami twarz martwego grzesznika.

Widzieli lowelasa o łózkowym spojrzeniu. Widzieli i słyszeli figlarza o nosowym głosie, chłopca, który próbuje rozśmieszyć własną matkę. Słyszeli rozgorączkowanego gadułę w pogoni za własnymi porwanymi pomysłami. Widzieli urąbanego obiboka, do reszty oklapniętego i rozkojarzonego. Słyszeli bojownika o wolność świńskich słów, socjofilozofa, samozwańczego prawnika, samokrytycznego Żyda, chrześcijańskiego moralistę i komentatora problemów rasowych.

- Wczoraj wieczorem przyleciałem z Miami i pojechałem ta ksówką prosto do Apollo Theater, żeby razem ze znajomymi posłuchać nocnego koncertu, bo uwielbiam tę metę, a po koncercie wychodzimy, ja z walizką i z torbą pełną ubrań, jest późno, zimno i nie możemy znaleźć taryfy, bo one nie jeżdżą do Harlemu, więc zaczynamy się błąkać, kapewu, i trafiamy na staruszka, który stoi na rogu i rapuje dla trzech osób. Ma chyba ze sto lat i wygłasza kazanie do trzech smętnych dusz, całkiem jak Hyde Park Corner, tylko w negatywie.

Zrobił dość wierną imitację głosu ulicznego kaznodziei, co było dość zaskakujące, prawdę mówiąc w fatalnym guście, bo chociaż wystartował w tej branży jako parodysta, przedrzeźniając Cagneya i Bogarta z niemieckim akcentem, a potem często aktualizował ten numer, odstawiając współczesne typy wszelkiej maści, to przecież komikowi w tych czasach nie wypadało naśladować murzyńskiego głosu, prawda?

- No więc stary trzyma za brzegi banknot dolarowy. Jeszcze starszy niż on sam. Patrzy znad górnej krawędzi i mówi: legalna waluta. I dodaje: sam bym, prawdę rzekłszy, tak jej nie nazwał. Wszyscy znamy z kronik filmowych, powiada, te maszyny, co drukują pieniądze, bez przerwy, tak jak się kapsluje flaszki z coli, tyle że błyskawicznie, drukują, drukują, drukują i drukują bez końca, ale ja się pytam, gdzie się podziewa ta cała forsa. Bo ja żem jej nigdy nie widział. A wyście widzieli?

Naśladując kaznodzieję, Lenny stał lekko zgarbiony pod ogromną, udrapowaną kurtyną, w białym garniturze o nieco włoskim kroju i kiczowatych sztybletach, czarnych z pedalskimi pętelkami z tyłu.

- I mówi: nikt nie zna dnia ani godziny. Stoi w tym ciemnym, skurczonym ubraniu, portki ma spięte rowerowymi klipsami. Zrozumcie mnie dobrze, kiedy wam powiem, że chciałem mu oddać wszystko, co mam. Nie z litości, z filantropii ani z żadnego staromodnego chrześcijańskiego zasraństwa. Po prostu z szacunku. Z wdzięczności, że mogłem go zobaczyć i usłyszeć akurat tam i wtedy. Bo tu jest Nowy Jork, Nowy Jork, powtarzamy dwa razy, bo to jesteśmy w połowie My, a w połowie Oni, o każdej godzinie, kapewu, w klipsach rowerowych. Facet jest aktorem i odstawia swój numer, który szlifował kilka dziesiąt lat, a ja stoję i słucham i w jakiś przedziwny sposób słyszę samego siebie, no nie, albo widzę, wyobrażam sobie, jak miałem dziesięć czy dwanaście lat i słuchałem takiego głosu jak głos tego staruszka. Bo to właśnie jego głos i jego tydzień. Dzień i godzina. A on trzyma w palcach dolara. Kiedy wybije godzina, mówi, świat podzieli się na tych, co umią odczytać przesłanie, i na tych, co nie umią.

Długa pauza. Cisza na sali. Lenny tak jakby pogrążył się w zadumie, w pomysłach, a słuchacze mogli się poczuć trochę nieswojo, bo wyglądało na to, że nie przestanie naśladować

starego Murzyna. Jak gdyby ten starczy głos skrzyżował się z jego własnym. Jak gdyby krzyżówki głosów były nieuchronne, czy o nich wiemy, czy nie, czy nam się to podoba, czy nie, i może stary Murzyn też czasem mówił głosem Lenny'ego, w samotności, bezwiednie, w swoim pokoju, na jakimś poziomie świadomości słyszał w głowie te kose skale, napór i impet subtelnej muzyki Lenny'ego, a znów Lenny naśladował głos starca, mówił po starczemu, nieuchronnie.

- A potem spojrział na nas, w bok, tam gdzie staliśmy. Było nas czworo, czarny facet, biały facet i dwie białe kobiety, tylko że jedna cały czas stała na jezdni i rozglądała się za taksówką. Spojrział na nas przelotnie. Ledwie zauważył. I tym krótkim spojrzeniem tak jakby wysondował, kim jesteśmy. Odwrócił się z powrotem do tamtych słuchaczy, do tej zabłąkanej trójki ludzi ulicy, tych odpadków straconego świata, straconego kraju, który istnieje tu, w Ameryce. I znów zarapował, a oni słuchali.

Lenny jeszcze przez jakiś czas mówił tym podrabianym głosem, a kiedy skończył, musiał znowu zrobić pauzę, żeby pomału wrócić na scenę, do sali i publiczności.

- Chciałem mu oddać swoją torbę pełną garniturów, walizkę pełną narkotyków, dom w Hollywood Hills. Słuchaliśmy najwyżej osiem, dziewięć minut. Nawet nie tyle. Podjechała taryfa, zabraliśmy się i więcej tam nie wrócę, bo... sam nie wiem, dlaczego. Nie wrócę, i już. Dołujące klimaty. Życie tego faceta, jego rap. Lepiej bym opowiadał kawały o Polaku i żarówce.

Śmiech, nareszcie.

- Albo o chińskim kelnerze.

I rzeczywiście opowiedział. Salwa śmiechu. Odstawił wiązanekę fragmentów filmów, publiczność była zachwycona. A potem kawałki z czasów, kiedy jeszcze nosił sportową dwurzę-dówkę, zamszowe buty i łaskoczący wąsik mineciara. Ludzie się śmiali, on się dąsał. Odklepywał te stare numery z należycie kąśliwą ironią, ale brzmiały przez to jeszcze śmieszniej i tym bardziej go przygnębiały. Ludzie się śmiali, a on krwawił. Czuł się okropnie. Niby powinien być szczęśliwy i odrodzony, ale wcale taki nie był. Wszyscy przeżyli piekielny tydzień, a on w stanie postępującego rozprężenia przebrnął przez cztery występy w klubach od morza do morza i było po sprawie, nic mu nie groziło, występował przed publicznością i właściwie powi-

nien w kółko powtarzać: „Wcale nie umrzemy. Wcale nie umrzemy. Wcale nie umrzemy”, prowadząc chóralny śpiew, mantrę szczerze, a zarazem na niby radosną, bo my tu w Nowym Jorku, Nowym Jorku zawsze chcemy upiec dwie pieczenie.

Póki myślał, że wszyscy umrą, raz po raz wyśpiewywał ten wers o śmierci.

Ale było po sprawie. Zdążył o niej zapomnieć. Istniały przecież głębsze, trudniej uchwytnie kwestie. Wszystko, nic, on sam.

- Przyszedłem tu dzisiaj, żeby mnie kochano jak nikogo przede mną. Kochajcie mnie tak, jak jeszcze nigdy nikogo. W skwar i w słotę.

Jego oczy miały bezbronny, błagalny wyraz.

- Bardziej niż rodziców, dziecko, kochanka. Chcę się obmyć w rzekach miłości.

Wróć na miejsce. Wróć na miejsce. Wróć na miejsce.

Stare numery psuły mu humor. A śmiech był jeszcze gorszy niż żarty. Śmiech gasił go i odbierał mu ducha. Lenny mniej więcej pół zdania przerzucił się na kawałek, który wymyślił, nim zaczęło się to całe rakietowe zasaństwo, wykombinował go, siedząc na kiblu w Los Angeles, bo właśnie w takich okolicznościach zwykle nasuwały mu się najlepsze pomysły.

Właściwie już trochę wcześniej tego samego wieczoru mimochodem zahaczył o ten temat. Reakcja ludzi zdawała się świadczyć, że są zainteresowani i zbici z tropu.

Postanowił na miejscu rozwinąć wątek.

No więc pewna niepiśmienna dziewczina o smutnym wejrzeniu mieszka w burdelu w slumsach San Juan. Obdarzona jest szczególnym talentem, który nie ma nic wspólnego z seksem jako takim. To właściwie salonowa sztuczka. Mężczyźni płacą połowę tygodniowej gaży, żeby wepchnąć się całym tłumem do pustego pokoju w suterenie, kiedy to niewinne dziewczę o gładkiej cerze zadziera kieckę, spuszcza majtki, bierze od burdelmamy zapalonego papierosa i wtyka go sobie filtrem w pizdę. Facetom gały wychodzą na wierzch. Ten papieros to kent king size z mikrocząsteczkowym filtrem. Panienska napina mięśnie sromowe czy jak im tam i robi, powiedzmy, dopochwowy wdech, a potem wyjmuje papierosa i puszcza serię wspaniałych kółek.

Mężczyźni wzdychają. Idealnie okrągłe kółka unoszą się nad jej jedwabistą kępką, wciąż jeszcze dosyć delikatną i rzadką.

Publiczność Lenny'ego nie westchnęła tak jak mężczyźni w opisywanym burdelu, ale na sali powiało lekkim niepokojem, który podkreślały rozbrzmiewające tu i ówdzie nerwowe śmieški.

Jedni interpretują dar dziewczyny w kontekście religijnym. Uważają, że to omen, znak z niebios, zapowiedź rychłego końca świata. Bóg wybrał tę biedną, niepiśmienną, niedożywną sierotę, żeby przekazać ludzkości głębokie przesłanie. Bo czy nie jest do pomyślenia, że każde takie „O” wydobywające się z jej łona to w istocie grecka litera, która znaczy Koniec? Inni -dziennikarze, uczeni, kapłani - przychodzą do burdelu, żeby na własne oczy zobaczyć niezwykle zjawisko, i twierdzą, że te kółka jednak nie mają nic wspólnego z grecką omegą. To zwykłe obwarzanki, choć trzeba przyznać, że pięknie wyrobione. A oni uwierzą w cuda, dopiero gdy sierota zacznie puszczać prawdziwe greckie omegi, takie podkówki, kapewu, z zawijasami po obu stronach szpary.

Oto styl Lenny'ego Bruce'a. Właśnie po coś takiego tu przyszli, nie? Kto inny robi takie numery? Jeśli budzą wstręt, tym lepiej. Jeśli cię osobiście urażają, wstań i wyjdź razem z tym swoim mężem, co pasjami rozwiązuje krzyżówki.

Aż tu pewnego wieczoru przychodzi ten Amerykanin, bogaty wdowiec, który akurat przyjechał się poszłajać z kumplami, a dziewczyna patrzy mu prosto w oczy, dumnie, *con dignidad*. Wsadza sobie w pizdę koniuszek filtra i puszcza kółko w kółku, a w tym drugim trzecie, całkiem malutkie. Milioner zaszokowany jest wulgarnym widowiskiem, ale w głębi duszy zaintrygowany, więc ku własnemu zdumieniu wraca tam co wieczór, już bez kumpi, i wkrótce zakochuje się w dziewczynie, tak, w jej przejrzystych oczach, w dołczkach kolan, w słodkiej, jedwabistej kępcie. Postanowiwszy wyrwać ją z tego ohydneho życia, praktycznie biorąc kupuje ją od burdelmamy za kolosalną sumę i zabiera do swojego pałacu na wzgórzu z widokiem na rzekę Hudson, sprowadza cały zespół lekarzy, gubernatorów, psychologów i specjalistów od żywienia, a potem patrzy, jak dziewczyna rozwija się intelektualnie i wyrasta na zdrową młodą ko-

bietę, która włada czterema językami i wykazuje pewien talent do gry na oboju.

Tu Lenny zrobił pauzę, zaznaczając, że finał, pointa, wymagałby nawrotu do pierwotnego stanu: dziewczyna powinna zrobić coś, co dowiedzie, że jeden stary, szokujący nawyk jest silniejszy niż cywilizujące wpływy, jakkolwiek liczne.

A potem powiedział:

- Nie, tak, zaraz. Jest akurat na odwrót. To nie dziewczyna cofa się w rozwoju, tylko mężczyzna. Kapewu? Jest jednym z tych gości, którzy sami podważają sens wszystkiego, co robią. Zaczyna sobie zadawać pytania. Była zdeprawowanym dzieckiem czy raczej artystką? Przynętą na pedofilów czy świętą? Innymi słowy, czy aby nie popełnił straszliwego błędu, sprawa dzając ją tutaj, kształcąc i raz na zawsze zabraniając jej papie rosów? Wspomina deliryczne noce w San Juan. - Nazwę miasta Lenny wymówił z autentycznym gardłowym warkotem. - Tak, te noce w suterenie śmierdzącego lupanaru, w którym występował. Przyznaj, durniu. Zniszczyłeś dziwną, prostacką, piękną i niesamowitą perwersję, zastępując ją nudnym obojem. Na którym, nawiasem mówiąc, dziewczyna gra nieustannie. To zresztą i tak tylko przeszczepiony kent king size, w wersji znormalizowanej i koncertowej.

Lenny stał bokiem do publiczności, z mikrofonem w ręku, i głaskał się po szczęce.

- Facetowi marzy się, żeby znów zobaczyć, jak kółka dymu wylatują jej z cipy, szpary. Najpierw papieros między patyki waty nogami. A potem wznoszące się kółka. Kiedy ją kupił od burdelmamy, była już bliska tego, żeby je przepieścić, tworząc symbol Trójcy Przenajświętszej, Ojca, Syna i Ducha Świętego, a może znak firmowy piwa „Ballantine”: Czystość, Aromat i Smak. Tak czy owak, wyobrażacie sobie, jak by się na ten widok podpałił.

Z namysłem spojrzął w stronę kulis.

- Biorą bezdymny ślub na falistym trawniku. W noc poślubną panna młoda, wciąż jeszcze dziewica, stoi w ażurowej koszuli nocnej przy zachodnim oknie. Mąż wchodzi w marynarce smokingowej narzuconej na piżamę, a w ręku trzyma cygarniczkę z papierosem, nie zapalonym kentem king size.

Ale nie był pewien, jak zakończyć.

- Wyjmuje papierosa z cygarniczki i podaje go żonie, spoglądając przelotnie na cienisty wzgórek pod jej nocną koszulą. Ona cofa się, wstrząśnięta. Tyś chyba oszalał, mówi. Powtarza to kolejno w czterech językach. Prawie wszystko zawsze mówi w czterech językach po kolei i już go to zaczyna wkurzać.

Potem Lenny'emu wpadł do głowy lepszy pomysł, głębszy, bardziej prowokujący.

- Zaraz, słuchajcie, to nie tak. Milioner jest mitem, prawda? Wprowadziliśmy go do tej historyjki, bo potrzebny nam był bogaty, słaby dobroczyńca, powiedzmy, szacowny palant, co lubi się okłamywać, a na samym końcu okazuje się, że jest zepsuty do szpiku kości. Zmyśliliśmy go. Tym razem przyznajmy, jak było naprawdę.

Wyczuł ich rozczarowanie. Chcieli nocy poślubnej, nocnej koszuli, buduaru, nonszalancko okrutnego zakończenia, jak w tej jego historyjce o chłopcu wychowanym przez wilki, którego znaleziono wśród dziczy, nakarmiono, ogładzono, wykształcono, a kiedy już skończył z odznaczeniem Massachusetts Institute of Technology, tydzień później zginął, goniąc po ulicy samochód.

- Powiedzmy prawdę - rzekł Lenny. - Nikt nie uratował dziewczyny przed życiem w perwersji. Sama uciekła z bajzlu. Uskładała skąpe napiwki od klientów i poleciała do Nowego Jorku najtańszą, najbardziej zapluskwioną linią, żeby odszukać matkę, która w rzeczywistości wcale nie umarła. To był tylko jeszcze jeden łatwy mit.

Kurwa, psuł im całą zabawę. Czuł, jak sala stygnie aż po górne rzędy, gdzie na najtańszych miejscach jego nastoletni fani przewieszeni przez balustradę oczekiwali kulminacyjnej ohydy, jakiegoś epickiego, chorego finału.

- I nigdy nie pracowała w burdelu - dodał Lenny. - Nigdy nie spuszczała pantalonów ani nie wydmuchiwała kólek z cipy. Żeby tak prawdę powiedzieć, w ogóle nie mieszkała w San Juan.

Uwielbiał wymawiać tę nazwę: San Juan. I dalej demontował całą historyjkę. Czuł, że są zdezorientowani, i nie mógł mieć im za złe.

- Nadajmy jej ludzkie rysy. Jest równie prawdziwa jak my. Przejedźcie się metrem do Południowego Bronksu, ona właśnie tam mieszka ze swoją matką ćpunką, która jest w ciągu i nie może przestać brać. Mała akurat na tyle podrosła, że faceci

zaczęli ją zauważać. Matka raz jest, raz jej nie ma. Znika i wraca. Telekomunikacja wyłącza telefon. Czasem zagląda właściciel domu. Albo wsuwa pod drzwi zawiadomienia o eksmisji, bo we własnej osobie nigdy się go nie widuje. Jest korporacją „Nieruchomości XYZ”, ze skrytką pocztową na Grenlandii. Dziewczyna chowa się po pustych parcelach, w labiryncie bocznych uliczek, bo matka znowu znikła, a mała się boi, że kamienicznik każe ją aresztować. Nadajmy jej ludzkie rysy. Nadajmy jej imię. Ale w końcu nie nadał jej imienia. Żadne nie przyszło mu do głowy. Żadne prawdziwe. Zamiast tego znów zaczął opowiadać stare kawały. Opowiedział kawał o teściowej i wszyscy się śmiali, bo to rzeczywiście zabawna anegdota. Opowiedział kawał o matce Żydówce, jeszcze lepszy, byli zachwyceni, śmiali się, a on pomału wracał do formy, brał na warsztat rasę, seks, religię, śmieszny i obelżywy Lenny, i wreszcie noc dobiegła końca wśród huczących fal śmiechu i braw, gromkich okrzyków chłopców z górnych rzędów, a on stał jeszcze przez chwilę na wielkiej scenie w tym swoim głupim białym garniturze, drobny i skruszony, nim się odwrócił i wyszedł za kulisy.

9 listopada 1965

Po kilku godzinach wciąż jeszcze szedłem. Minąłem swój hotel, nijaki budynek niedaleko Times Square, w którym dano by mi świecę i wskazano drzwi na klatkę schodową, ale chciałem iść dalej, chociaż musiałbym wejść tylko na czwarte piętro, wołałem iść przez noc i patrzeć.

Widziałem taksówki ze znakiem „koniec zmiany”, które ludzie i tak zajmowali, po prostu otwierali drzwiczki i wsiadali, bo taksówka tkwiła w korku i nie mogła uciec; postawiłem kołnierz marynarki i szedłem dalej na wschód, a potem minąłem ogromny tłum przed główną biblioteką i po chwili zdałem sobie sprawę, że to przystanek autobusowy - sześćset, siedemset osób na przystanku, co najmniej tyle, zbitych w gęsty, dosyć w sumie zdyscyplinowany tłum, który szczelnie wypełniał cały chodnik i nawet schody biblioteki, ostry wiatr wiał Piątą Aleją, a oni czekali na autobus.

Nie miałem płaszcza. Mój płaszcz został w Evanston w Illinois. Kuląc się w samej marynarce, widziałem ludzi idących po

moście Queensboro, zajmujących cały most: szli ósemkami, może dziewiątkami, ustawieni w czworoboki chyba po pięćdziesiąt rzędów w każdym, za nimi wlokły się samochody, a w następnej przerwie między autami maszerował kolejny czworobok i w ten sposób wszyscy zmierzali do domu, do Queens.

Właśnie wtedy zrozumiałem, o co chodzi, i poczułem ukłucie żalu.

Wstąpiłem na kolację do restauracji przy Siedemdziesiątej którejś, w środku paliły się świece, a mnie dano stolik z trzema innymi osobami, bo taki był tego wieczoru zwyczaj. Rozmawiało się oczywiście tylko o jednej sprawie, przynajmniej na początku, i wszyscy zastanawialiśmy się, jaki zasięg ma awaria i czy to może sabotaż, a ktoś powiedział, redaktor z muszką pod brodą powiedział, że taki właśnie tytuł nosił wczesny film Hitchcocka z Sylią Sidney, i przypomniał nam resztę obsady, po prostu nie mógł się powstrzymać - film, który zaczyna się od tego, że gasną światła. Zrezygnowaliśmy z kawy i deseru, żeby szybciej zwolnić stolik, bo ludzie czekali w kolejce, a potem wypiliśmy coś w sąsiednim barze i pomyślałem, że Jerry miał rację, Jerry Sullivan, i właśnie wtedy ukłął mnie żal, lekkie poczucie winy - powinniśmy byli wybrać się tej nocy do Bronksu, Jerry i ja, nawet nie starać się zawładnąć taksówką, tylko przejść całą drogę pieszo, popęlić to wysoce uczuciowe wariatwo, urządzić wyprawę przez miasto ogarnięte ciemnością i chłodem.

Ale potem stwierdziłem, że byłaby to jednak głupota, zawracanie głowy - po drodze by nam się odechciało albo wdałibyśmy się w bijatykę z jakimiś szabrownikami czy innymi rozrabiakami, a może po prostu byśmy się zmęczyli, przynajmniej Jerry mógłby się zmęczyć, i co wtedy?

Jakiś mężczyzna kierował ruchem, wymachując czasopismem zwiniętym w rulon, dość gruby w pasie, ale żwawy, coraz przykucał i sunął w lansadach z miejsca na miejsce, próbując rozładować główny korek przy Osiemdziesiątej Szóstej; gdy trąbiły na niego klaksony, tylko wzruszał ramionami i zastępował sto semaforów, rozrzutnie gestykulując; miał na sobie płaszcz z aksamitnym kołnierzem, jego lśniąca batuta migotała, a ludzie przystawali, żeby popatrzeć; jego popis budził intensywne, gorące uczucia, sumienny i zręczny, choć niewolny od teatralnych koronek, toteż wiadomość o nim niosła się wśród przechodniów.

Ale równie wspaniale - myślałem - pięknie byłoby iść na północ przez Manhattan aż do Bronksu, ot tak, żeby zrobić gest, uczcić pamięć, pokonać całą trasę aż do starej dzielnicy, właśnie dzisiejszej nocy, kiedy świat się wali, tylko co byśmy zrobili, dotarłszy na miejsce o drugiej nad ranem?

Ludzie szli, słuchając tranzystorów, bo niektóre radiostacje miały pomocnicze zasilanie, a mężczyźni z chustami na głowach sprzedawali latarki i świece, w oknach tysięcy mieszkań płonęły tysiące świec, ludzie stali w kolejce po nie przed sklepem z tanioczą i na co drugim rogu czekali w długich ogonkach przed budkami telefonicznymi.

Szlag trafił sieć energetyczną. Czyli co? Zawalił się cały system połączeń. A może był za słabo połączony. Sylvia Sidney po ciemku.

Z niektórych punktów obserwacyjnych miasto wyglądało jak nawiedzona, dwuwymiarowa makieta, tajemnicza i pełna zakamarków, pozbawiona neonowej osobowości. Widać było niebo. Wieżowce po drugiej stronie parku spłaszczyły się w coś na kształt nocnego aksamitu, trawione we wzory, strupieszale, odarte z elektrostatycznego szumu, którym pulsują wysokie noce.

Usłyszałem łoskot bębnow, ale nie staccato pałeczek, tylko płaskie, miękkie dźwięki instrumentów uderzanych dłońmi, dobiegające z parku.

Byłem obcy w tej dzielnicy. Znałem Manhattan tylko powierzchownie, wrywkowo, więc czułem się trochę wyizolowany, okolica przerażała mnie tym, że taka była wtajemniczona, przerażała swoim nonszalanckim bombastem, stylem myślenia i bycia, który bywa trudniejszy do wyuczenia niż jakiś dialekt z Transwalu. Wszyscy wiedzieli te same siedem rzeczy. Ale mogły minąć lata, nim człowiek opanowałby je według listy, a przez ten czas zmieniałyby się ich liczba albo wręcz cała lista.

Z parku przy Dziewięćdziesiątej wymaszerowali hipisi ze świecami, fletami, bębnami i tamburynami, mniej więcej pięćdziesiąt monotonna śpiewających osób - mężczyzna z igłą wbity w wywalony język, kobieta z węzem wokół szyi - a nad nimi mgielka cierpkiego dymu, który trącił jakimś sympatycznym występkiem; obok szły dzieci, w nosidełkach na plecach i w chustach przewieszonych przez pierś spały niemowlęta. Maszerujący powtarzali śpiewnym pomrukiem jedną dźwięczną sy-

labe, która brzmiała trochę jak „bomb”, wibracja w brzemienym tonie modlitwy, powtarzana raz po raz, bez końca, ale przecież nie śpiewaliby żadnego złowieszczonego słowa, z tymi niemowlakami na piersiach i plecach.

A może Jerry miał jednak rację. Nie miałem prawa mu odmówić. To był wspaniały pomysł, żeby wybrać się do Bronksu. Czuję się winny, że tak się wymknąłem, sprzeniewierzając się pięknej idei.

Patrzyłem, jak maszerujący idą na południe wzdłuż parku. Ulice ciemniały, w miarę jak ubywało aut i reflektorów, zapadał dziwny spokój w obwódce lęku. Ile tysięcy, setek tysięcy utknęło w metrze albo w zatłoczonych windach i teraz czeka. Wiecznie podmywające rzeczywistość przeczucie paraliżu - wpisanego przecież w samą definicję tego miasta uruchamianego naciskaniem guzików - który wszystko zamrozi, a my zostaniemy bezradni w szczurzookiej ciemności i dopiero zaczniemy się zastanawiać, tak jak ja teraz, co właściwie napędza całą tę maszynę.

Szedłem na wschód Dziewięćdziesiątą Szóstą. Coraz większa pustka i martwota, sklepy pozamykane, przystanki opustoszałe, w budkach telefonicznych nikogo. Znikła gdzieś natarczywa osobowość, a wraz z nią zawrót głowy, miasto przestało wirować w tanecznych piruetach, a na środkowym pasie zahamowało jakieś auto, anonimowy sedan jadący w przeciwną stronę, kierowca wystawił głowę na porywisty wiatr i coś do mnie zawołał.

- Co? - spytałem.

- Pan gdzie? Zawiozę. Tanio.

Spojrzałem na niego. Jednak dobrze, że urwałem się Jerry'emu. To by było samobójstwo. Jedno wielkie gówno. Nie dałbym rady słuchać tego całego srania w banie. Wsiadłem do auta i podałem kierowcy adres hotelu. Chciałem zadzwonić z pokoju do Marian, jeżeli telefony działają, do Marian Bowman, powiedzieć jej, co tu się dzieje, i spytać, co oni tam o tym wiedzą.

W tablicy rozdzielczej zionęła dziura po radiu. Ale spytałem kierowcę, czy słyszał jakieś wiadomości.

- Wszędzie zgasło. Całe Maine. Boston, Massachusetts. Pen-

sylwania, moja siostra tam mieszka. Ontario w Kanadzie. Wielka awaria.

Usiadłem wygodnie i patrzyłem, jak ulice suną za oknem. Patrzyłem na to, co dawało się zobaczyć przy księżycu.

Po trzech latach pobraliśmy się. Nasza córka urodziła się w 1970, w roku, w którym grupka radykałów wysadziła w powietrze Wojskowy Ośrodek Badań Matematycznych na Uniwersytecie Stanu Wisconsin w nobliwym mieście Marian, podpalając pełen samochód nawozu i oleju napędowego. Jeden zabity, pięciu rannych.

Po kolejnych dwóch latach urodził nam się syn. Dzieci. Wydawało mi się to bardzo odległe, kiedy tak siedziałem w aucie tego Rumuna czy Greka. Małżeństwo, odległa sprawa. Ojcostwo jako niewyraźny żal gdzieś wśród kuchennych woni z innego kraju. Przyszłe dziesięciolecia właściwie nie odstręczające, ale odległe, a może jednak odstręczające, na tym widmowym Manhattanie, gdy na ulicach zostało tylko paru maruderów, a gęsta ciemność miała fizycznie wymierną masę.

Wyglądając przez zakurzone okno tego Greka, dostrzegłem przeszłość, widziałem ją nieustannie, ale nie umiałem przywołać wizji przyszłości, nawet w uproszczonej, komiksowej wersji nie potrafiłem ujrzeć tej potężnej, słonecznej niedzieli świata.

Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu.

I ogrom tej nocy. Stojąc na chodniku niedaleko Times Square, czuło się, jak noc się rozrasta, gdy o kilometr dalej wyła syrena.

Spojrzałem na świece ustawione rzędem na biurku recepcjonisty. Hall był pusty, blask świec padał wysoko na ściany. Recepcjonista wyszedł z jakiegoś pokoiku.

- Zaprowadziłbym pana na górę, ale szczerze mówiąc.
- Nie ma potrzeby.
- Zaprowadziłem już tyłu, że nie policzę.
- Wezmę tylko świecę.

Recepcjonista miał w ręku latarkę. Mówiąc, gestykulował, a smuga światła skakała po ciasnym hallu.

- Coś sobie zrobiłem w plecy od tego łożenia po schodach - dodał. - Ale w razie jakby ktoś wszedł i nie miał zapalki, to pozapalałem świece, pan weźmie.

Wziąłem świecę i wszedłem na czwarte. W pokoju od razu

podszedłem do okna, żeby zobaczyć, jak z tej wysokości wygląda noc.

Nie zadzwoniłem do Marian. Czułem się samotny - brak mi lepszego określenia, ale rzeczywiście była to samotność, nie innego, stan, do którego starałem się nigdy nie przyznawać, umiałem zresztą złapać wobec niego dystans, lecz czasem nawet ten sposób zawodził, a nie zadzwoniłem do niej, bo nie chciałem się ugiąć: wołałem patrzeć, jak gęstnieje noc.

Manx Martin 3

Idzie wzdłuż łukowatej podstawy muru otaczającego stadion, pod niebiesko-białymi flagami, i szuka frajera.

Idzie przez tłum - wielkie, ruchliwe rojowisko, łokcie i ramiona, nagle wylaniające się twarze, oko w oko, a ze stacji kolejki nadziemnej wciąż nadchodzą nowi, mężczyźni i chłopcy, rozmawiając i pokrzykując, i już teraz ustawia się ogonek po bilety na tanią trybunę, chociaż furtki otworzą się dopiero o dziewiątej rano, jeszcze wiele godzin czekania, a oni nadchodzą ze stacji metra i tłumnie nadciągają z pobliskich ulic, więc Manx też idzie jeszcze kawałek, porwany nurtem doznań, bo flagi powiewają, godła zdobią wysoki mur, a w drugiej kolejce, tej po miejsca stojące, faceci jedzą i piją, niektórzy siedzą na składanych krzesłach przykrytych kocami, a Manx idzie przez chmury dymu z cygar i widzi, jak tu i ówdzie błyskają piersiówki z zakrętkami na łańcuszkach.

I co dalej? Ma poszukać jakiegoś cwaniury z Harlemu, kibica Giantsów, który w euforii po wygranym meczu gotów będzie wydać parę dolarów na pamiątkowy autentyk?

Nic z tego - myśli Manx. Żaden czarny nie uwierzy ani jednemu jego słowu. Pomyśli, że głupek próbuje wykręcić drobny szwindel. Każdy czarny spojrzy na niego z góry, bezczelnie, jak zawsze, kiedy podejrzewa, że ktoś uknuł przeciwko niemu jakieś świństwo.

Nie. Trzeba postawić na białych. Jedyne sposoby. Zresztą i tak są tu głównie biali, więc nawet statystycznie większa szansa.

Radosny pomruk. Ulica aż szumi i mruży. Słychać jednostajny zgiełk rozmów, piosenek i okrzyków, które wznoszą ludzie ogarnięci dobrym nastrojem.

Manx podchodzi do dwóch mężczyzn. Impulsywnie, bo i czemu nie, no i dlatego, że nie chce stać całą noc, wpatrując się w twarze i kalkulując, uda się czy się nie uda, chociaż tak właśnie powinien zrobić i dobrze o tym wie, dokładnie tak sobie zaplanował, ale najstaranniej ułożone plany mają, jak to się mówi, we zwyczaju się zawalać.

Ściska ręką piłkę. Trzyma rękę na wierzchu i przez sztruks ściska nią piłkę, którą ma w kieszeni kurtki.

Porwany dobrym nastrojem. Wzbierającą obecnością dwóch grup kibiców, Giantsów i Jankesów - a oba te kluby są tegorocznymi zwycięzcami, więc wokoło trwa radosny, zapraszający ryk, który podnosi Manksa na duchu i dodaje mu odwagi.

Manx podchodzi do dwóch mężczyzn stojących w kolejce przed jedną z kas. Przepraszam. Może panów zainteresuje. Mówi do nich. Opowiada o piłce, że to właśnie ją facet posłał w trybuny, właśnie nią wygrał mecz, a im dłużej gada, tym mniej wiarygodne wydają mu się własne słowa. Już nawet nie wierzy, że sam to mówi. Jego głos brzmi jak szum dmuchanego materaca po wyciągnięciu zatyczki.

Obaj mężczyźni tak jakby się cofnęli, chociaż to pewnie nie tyle prawdziwy, fizyczny ruch, ile sama chęć wykonania takiego manewru, którą Manx widzi w ich oczach.

- Mówię, jak jest. Myślcie, co chcecie - powiada. - Ale na stadionie za rzeką stało się dokładnie to, co mówię. - Zdaje sobie sprawę, że chce już tylko odzyskać nieco szacunku dla siebie, mniejsza o transakcję.
- Nie, chyba nie - odpowiada jeden z tych dwóch. - Nie interesuje mnie. A ciebie?
- Nie, mnie też nie - mówi drugi.

Manx wyjmuje piłkę z kieszeni. Nie bardzo wie, po co, bo przecież nie udowadnia w ten sposób niczego prócz faktu, że owszem, ma piłkę, ma przynajmniej jakąś piłkę, i trzyma ją w ręku trochę tak, jak wieczorem trzymał ją jego syn Cotter, obejmuje jedną dłonią i obraca drugą, patrząc twardo, wyzywająco.

W końcu odchodzi, czując ich spojrzenia, widząc głupkowate uśmiešky tak wyraźnie, że mógłby je narysować ołówkiem, coraz bardziej kuli się w sobie, lekko mu się jeżą włosy na karku i z każdym krokiem coraz bardziej się kurczy.

Odchodzi kawalek.

Zawsze chciał sobie kupić piersiówkę, płaską, żeby się wygodnie mieściła w kieszeni, z zakrętką na łańcuszku.

Wtyka piłkę z powrotem w kieszeń i mijając drewniane zapory, podchodzi do furtki numer cztery.

Przyłóżą tu tacy i wydaje im się, że świat do nich należy.

Przypomina sobie, że obiecał napisać synowi usprawiedliwienie do szkoły, bo mały miał czterdzieści stopni gorączki, co zresztą obaj trzymają w sekrecie przed matką chłopca. Nie gorączkę, tylko usprawiedliwienie. Gorączka jest zmyślona.

Chwilę stoi i patrzy. A potem wpada na pomysł. Patrzy, myśląc sobie: taka kupa ludzi, a ja mam coś, co każdy jeden chciałby mieć, ale kto mi uwierzy w bajeczkę wziętą z powietrza? I nagle wie, co powinien zrobić. Nasuwa mu się pomysł. Prosto z tłumy. Powinien szukać ojców z synami.

Namówić jakiegoś faceta, żeby ją kupił dla swojego chłopaka.

Odwołać się do czegoś, do ojcowskiej ambicji, trafić gościa w słaby punkt, polechtać, żeby chciał się popisać, zaimponować chłopcu, naznaczyć tę noc jakimś nadzwyczajnym gestem.

I rzeczywiście nie brak mężczyzn, którzy zabrali ze sobą synów na tę wyprawę, wokół stadionu widać sporo chłopców, bo ojciec chce, żeby syn przeżył takie czuwanie, całonocne czekanie na moment, kiedy będzie już można kupić bilety na mistrzostwa świata.

Nawet jeżeli facet nie uwierzy w historyjkę Manksa, to uwierzy w nią chłopiec, no nie? Manx już sobie wyobraża, jak ojciec i naciągacz spiskują, żeby chłopiec uwierzył w autentyzm piłki.

Tak to trzeba kompinować, żeby ubić interes.

Manx zaczyna się przechadzać wzdłuż kolejki, przygląda się kandydatom, którzy stoją w ogonku pod wysokim murem, wpatruje się w twarze i ocenia nastroje, nie chce zanadto się spieszyć, idzie wzdłuż muru na zachód i wreszcie czuje, że chyba znalazł to, czego szukał: chłopiec ma może z jedenaście lat, a mężczyzna wyciąga z torby kanapkę i żaden z nich nie wie, że Manx jest tuż-tuż.

Robi wstęp, co zresztą sprawia mu najwięcej trudu, objaśnia szczegóły, spogląda to na mężczyznę, to na chłopca, usiłując wciągnąć obu w sprawę, i chyba nieźle mu idzie, mężczyzna

rozdiera kanapkę na dwoje, połowę oddaje chłopcu i zaczynają jeść, patrząc na Manksa.

Słuchają i żują, a on próbuje rozszyfrować ich miny. Ma jednak kłopot z personaliami zawodników, którzy odegrali główną rolę w finale meczu, bo po prostu nie zna tych wszystkich nazwisk, twarzy, numerów - detali, które kibice znają od dzieciństwa aż do śmierci, więc opowieść wlecze się i grzęźnie, aż w końcu Manx wyjmuje z kieszeni piłkę, żeby zwiększyć swoje szanse.

Mężczyzna mówi z pełnymi ustami:

- Czyli powiadasz pan. Znaczy się twierdzisz. Krótko mówiąc.

Zza jego zębów widać białe mięso wymieszane z sałatą.

- No właśnie. Zgadza się - odpowiada Manx i sam słyszy, że mówi to prawie fałsetem, który ma nadać jego słowom ra dosny, optymistyczny ton.

Ale tamten nie patrzy na piłkę, tylko na Manksa.

- A ja mam niby tu stać.

Manx zaczyna rozumieć, kiedy tak patrzy na niego z bliska, że facet jest kierowcą autobusu, kanalarzem albo murarzem.

- I słuchać tego pieprzenia w bambus. Żuje i mówi jednocześnie.

- Bierz dupę w troki, koleś, nim zawołam gliniarza. Manx chowa piłkę z powrotem do kieszeni.

- Takie skurwysyny jak ty siedzą za kratkami i czekają, aż dołączysz.

Przy własnym dzieciaku tak się wyraża.

Chłopiec jest głodny, wciąga sałatę jak kosiarka do trawy.

Stoją i jedzą, patrząc na Manksa, a syn to wykapany ojciec, krępy w sobie i pełny na twarzy, aż Manx ma ochotę go przestrec, żeby może lepiej nie dorastał.

Wydaje im się, że świat do nich należy.

Przez bitą godzinę węszy wśród czekających, robi trzy rundy dookoła stadionu, zagaduje to tego, to tamtego, próbuje wyczuć każdego z osobna, zobaczyć, co z tego wyjdzie, a wychodzi niewiele; Manx daje sobie jeszcze pięć minut według zegara na murze od południowo-zachodniego końca, a potem następne pięć minut, postanawiając, że jeśli przez ten czas nie znajdzie odpowiedniego faceta z miłym synkiem na holu, to da za wygraną

i wróci się do domu, ale jeszcze minutę, i jeszcze jedną, włóczy się w tłumie, robi daremne podchody, a po jakiejś godzinie rozmawia z ojcem i synem, którzy przycupnęli na wysokości odkrytej trybuny przy końcu bardzo długiej kolejki, mały ma śpiwór, a ojciec budrysówkę, i oto Manx pomału dochodzi do nazwisk.

- No więc przyznają bez bicia.
 - Chwileczkę. Twierdzi pan, że piłka, która jest podobno w pańskim posiadaniu.
 - No właśnie, właśnie, właśnie. Tylko że nie wiem, jak się nazywa ten zawodnik, rozumie pan, nic nie ściemniam.
- Ma pan na myśli Bobby'ego Thomsona?
- Aha. Właśnie jego. No, zara mi ulżyło.

Manx wierzy, że z tym facetem może być szczerzy, no nie? Odsłonić swoje słabe punkty. Nie jest kibicem i nie powinien tego ukrywać. A jednocześnie - gdzieś głębiej w sobie - myśli, że jest to strategia, która ma szansę zadziałać, podstęp, plan: obnaż swoje słabości, a klient połknie twoją bajeczkę.

- Ja tam uważam, że w interesach trzeba wykladać karty na stół. I jeszcze coś panu powiem. Jutro przed wejściem do klubu stawi się najróżniejsza hołota. Każdy jeden z piłką w garści powie, że to właśnie on ma tromfa.
- A tymczasem pan twierdzi - mówi tamten.
 - Że tromf jest o, tu - kończy Manx, sięga do kieszeni i wyjmuje piłkę.

Mężczyzna się uśmiecha. Siedzi w kucki pod murem, a obok niego przykucnął Manx, trzymając piłkę w dłoni, którą dla śmiechu wprawił w lekkie drzenie, i patrzy na tamtego twardo, z udawanym natężeniem - obaj wiedzą, że to tylko na pokaz, dla efektu, więc klient wyciąga rękę po piłkę: jest ubawiony, ale jeszcze powątpiewa, tym gestem zaś sygnalizuje, że owszem, chwilowo bierze wszystko za dobrą monetę.

Lecz Manx nie oddaje mu piłki.

Chłopiec siedzi w śpiworze, walcząc ze snem.

- O, patrzcie, smoła - mówi Manx, pokazując plamkę mężczyźnie, a potem chłopcu. - Chyba lepiej zetrzeć, nie ma tu nic do roboty.

Ostentacyjnie ślini kciuk i próbuje zetrzeć nieznaczną smużkę smoły, bo widać Cotter kozłował piłką, kiedy szedł ulicą, ale

udaje mu się tylko ją rozmazać, więc w duchu zastanawia się, po co w ogóle ta kosmetyka.

- A tak przy okazji - mówi mężczyzna, może po to, żeby ulżyć Mankowski w jego zażenowaniu. - Na imię mi Charlie.
- A mnie Manx. A chłopcu? Jak masz na imię, synu?
- Powiedz mu.
- Nie - odpowiada chłopiec.
 - Wyszczekany łobuziak - stwierdza Manx. - Ile też lat może mieć taki wyszczekany sukinkotek?
- Osiem - mówi mężczyzna.
 - Osiem. Wyobraź pan sobie, mieć osiem lat. Iść pierwszy raz w życiu na mecz o mistrzostwo i zobaczyć wszystkich tych sławnych zawodników. Zapamięta do końca życia.
- Na imię mu Chuckie.

Manx spogląda na Chuckiego. Chłopak wolałby być w domu, spać w miękkim, ciepłym łóżku pod ścianą, na której wiszą rysunki z psami. Mniejsza o to. Nie o terażniejszość się rozchodzi, tylko o przyszłość. Tata chce zafundować chłopcu wspomnienie.

- Mieć osiem lat na stadionie Yankee. Najślawniejszym w kraju.

Manx wkłada ojcu chłopca piłkę w dłoń.

- Ale skoro jutro przed drzwiami klubu stanie dziesięć osób z piłkami - pyta Charlie - to jak ja ludzi przekonam? Jak przekonam samego siebie, że to właśnie jest piłka Bobby'ego Thomsona? Jak to komukolwiek udowodnię?

Manx siedzi w kucki, jakby grał w kości na ulicy.

- Postawmy sprawę w ten sposób - mówi, nie uchylając się przed odpowiedzią na pytanie, bo spodziewał się go, odkąd przeszedł przez most z Harlemu na drugą stronę. - Prędzej uwierzą mnie czy panu? Komu uwierzą? Postaw się pan w sytuacji swoich znajomych, kolegów z pracy. Popatrz się pan na mnie, a potem na siebie. Komu prędzej uwierzą?

Manx wie, że logika tego wyводу nijak się nie ma do kwestii prawdziwych dziejów piłki. Ale chyba może liczyć na to, że facet dostrzeże podskórny wątek, ukryte rozumowanie.

- Co do mnie, to osobiście wierzę - mówi - bo rodzony syn mi zapodał, co to za piłka. A on w żaden sposób nie skłamię swojemu staremu w takiej sprawie. Owszem, umi kłamać. Kła-

mie, jak się rozchodzi o szkołę. Urwie się na wagary i skłamię. Albo jak nie pójdzie do dentysty.

- Ale tutaj chodzi o baseball - uczynnie podpowiada Charlie.
 - No właśnie. Ale muszę się przyznać, że najspierw ja też nie wierzyłem. Tak jak pan. Tak jak każdy. Miałem różne wątpliwości. Ale potem chłopak mi opowiedział.
- I poczuł pan, że to prawda.
- Aha. Poczułem. Usłyszałem w jego głosie.
- I zobaczył pan.
 - Na własne oczy. Przecież by mi w takiej sprawie nie nakłamał. To dobry chłopak, jak się rozchodzi o coś ważnego.
- A baseball to ważna rzecz.

Współdziałanie tamtego podnosi na duchu Manksa, bo nie chciałby przeżyć kolejnej porażki. Ale nie chce też myśleć o Charliem jako o frajerze, jeleniu w budrysówce, który daje się nabrać na tani numer. Akurat w tym przypadku to nie żaden numer, tylko szczerza prawda, ale co za różnica? Mankowski zdarzało się wygadywać wierutne łągarstwa, które o wiele łatwiej schodziły mu z języka niż wszystko, co mógłby powiedzieć o tym małym kulistym fenomenie.

A tamten przygląda się piłce.

Manx postanawia zamilknąć na piętnaście sekund. Niech sytuacja nabierze powagi. Niech klient zakocha się w oferowanym towarze.

- Oho, zielona plamka, coś jakby smużka zielonej farby przy samym szwie, między szwem a znakiem firmowym - zauważyła Charlie - a wiem z całą pewnością, bo ktoś w radiu powiedział, że piłka uderzyła w filar, kiedy poszła w trybuny. I wiem też doskonale, że filary na Polo Grounds są zielone.

Manx lekko podryguje, siedząc w kucki. Jest zachwycony odkryciem, którego właśnie dokonał Charlie. Tak jakby sam potrzebował dowodu, jakby stwierdzenie klienta stanowiło potrzebny Mankowski dowód uczciwości Cottera, który tym samym z małego pyskacza, co przeskakuje przez turnikiety, zamienia się nareszcie w uczciwego, porządnego, obowiązkowego chłopca.

Klient odrywa wzrok od piłki i spogląda na Manksa. Jak gdyby mówił: Chcę wierzyć. A Manx nie ma pojęcia, co by tu powiedzieć, za nic w świecie, choćby miał to dosłownie życiem

przyplącić, nijak nie wymyśli, jak by tu zagadać, żeby gość zrobił ostatni brakujący krok i zgodził się ubić interes.

Charlie bierze to na siebie, wygłasza parę dość przekonujących tekstów; zwracając się dla odmiany do syna, mówi coś o firmie, która produkuje takie piłki, odczytuje wydrukowane na piłce nazwisko prezesa ligi, omawia inne kwestie i detale, najwidoczniej wszystko się zgadza, ale chłopiec jest senny, zmarznięty i nie sposób mu zaimponować, więc Manx rozgląda się, czy nie nadchodzi sprzedawca gorącej czekolady, bo nigdy nie zaszkodzi wykazać odrobinę troski.

- Coś słabo dzisiaj handlują.
- Zjadł już zupy.
- Jakbym ja handlował na ten przykład czekoladą, tobym tu , przyszedł całą paką. Zagonił do roboty żonę i dzieciaki.
- Zjadł trochę gorącej zupy z termosu. Niczego mu nie potrzeba.

Ale Chuckie odpowiada:

- Właśnie że potrzeba.
- Tylko nie zaśnij. Masz przeżyć tę noc przytomnie.

Manx rozumie, że Charlie mówi to raczej do niego niż do chłopca. Ojciec i syn stwarzają wyłącznie pozory. Chłopak właściwie nawet pozorów nie stwarza. Przestał słuchać ojca gdzieś w fazie pieluszek.

Chuckie wślizguje się do śpiwora z tą buntowniczą miną, którą przybierają dzieci, skoro tylko zrozumieją, że nie są niczyją własnością.

- Masz zapamiętać wszystko, co się tu dzisiaj w nocy wydarzy - mówi Charlie.

Ale chłopiec już dał nurka, nawet głowę schował w fałdach flaneli.

- Jest pan ojcem, więc na pewno zna pan te sprawy - powiada Charlie.
- Książkę mógłbym napisać.
- Jakie to jednak pod każdym względem niebezpieczne zajęcie wychowywać dziecko.
- Z jednej strony trwa bez końca, nim taki dorośnie. A znów z drugiej ani się człowiek obejrzy.
- Ja mam tylko tego jednego.
- A ja czwórkę.

- Czwórkę - powtarza Charlie z miną wyrażającą podziw, współczucie i odrobinę zdumienia, a także coś, co Manx nie bardzo potrafi określić: może po prostu wrażenie, że żyją w dwóch zupełnie różnych światach i nie ma to bezpośrednio nic wspólnego z liczbą dzieci.

Na krawężniku w beczce po benzynie płonie ogień, więc Manx podchodzi do niej, chwytając ręką zardzewiałe żelastwo i wlecze je w stronę czekających w kolejce kibiców, nie zważając na gorąco. Ponieważ czuje, że metal parzy go w dłoń, piecze jak piekło z obrazka w książce, lecz kibicom imponuje ten gest, uśmiechają się od ucha do ucha, bo tego rodzaju zagranie trafnie podkreśla nastrój nocy, i Charlie także jest zachwycony.

I nie tylko żyją inaczej, ale też rozumują i postępują. A Manx nie bardzo wie, czy powinni się tym martwić. Gotów jest zrobić < to, czego akurat będzie wymagała sytuacja.

- Jakie miejsca myśli pan trafić?

- Na odkrytej trybunie. Najchętniej kupiłbym miejscówki, ale dawno się skończyły. Została tylko odkryta trybuna i miejsca stojące, a Chuckie nigdy mi nie daruje, jeżeli mu każę stać przez cały mecz.

- Po nocy przespanej na chodniku? Trudno mu się dziwić.

Charlie znów się uśmiecha i łobuzersko klepie Manksa w kolano. Potem oddaje mu piłkę, ale tylko dlatego, że sięga po coś do kieszeni kurtki. Okazuje się, że to piersiówka, srebrzyste cacko z zakrętką na łańcuszku jak u wojskowej manierki, tyle że płaska, mała, droga, łatwo ją wsunąć w kieszeń, żeby w jakimś gorszym dniu trochę się podreperować.

- A co my tu mamy? - pyta Manx.

- Zgaduj pan, od pierwszego podejścia.

- Może sok pomarańczowy.

- Za wcześniej na śniadanie.

- No to pikantna herbata z dawnych Indii.

- Za późno na podwieczorek - odpowiada Charlie.

Nieźle się bawią, jeden oparty łędwiami o mur, drugi w kucki jak przy grze w kości; wzdórek we flanelowym śpiworze kompletnie tymczasem znieruchomiał i albo się dąsa, albo śpi.

- Czyń pan honory - mówi Charlie, oddając piersiówkę w ręce Manksa, który za to rzuca mu piłkę i w tej krótkiej, niewy-

rażnej wymianie jest jakaś dziwna głębia, znak, kontrakt bez związku z omawianą transakcją, więc Manx wpada w jeszcze lepszy humor.

Zdejmuje zakrętkę i puszcza ją luzem, a potem z miną konesera wacha zawartość.

- Czuć, że to coś mocniejszego.
- Irlandzka whiskey - precyzuje Charlie.
- Kochamy Irlandczyków, no nie?
- Wnieśli trwały wkład - mówi Charlie.
- Dobrze powiedziane, przyjacielu.

Uśmiechają się porozumiewawczo. Manx przechyla głowę i pociągnąwszy z umiarem, w granicach uprzejmości, oddaje piersiówkę Charlesowi.

Tak się teraz do niego zwraca, kurtuazyjnie, jak to wśród dżentelmenów popijających w klubie.

I czeka, aż Charles się napije. Chwila pięknej prawdy. Manx dotknął ustami szyjki piersiówki i teraz czeka, aż Charles zrobi to samo.

Krótką chwilą głębokiego, fachowego wyczekiwania.

Nawet nie wyciera szyjki. Po prostu przechyla piersiówkę i pije, zbyt łączywie, a potem wynurza się z zażawionymi oczami, zachłyśnięty, ale szczęśliwy. Obaj są zresztą szczęśliwi, bawią się jak książęta.

- Nie w tę dziurkę - z trudem wyjaśnia Charlie.
- Zdarza się najlepszym.
- Ryzyko zawodowe - mówi Charlie, dysząc.

I podaje piersiówkę Mankowi. Ten pociąga haust godny polarnika i natychmiast czuje skutki, jeszcze jak: irlandzka whiskey przewietrza mu główne przewody w głowie i piersi.

Przez chwilę piersiówka przechodzi z rąk do rąk.

- Trzech chłopaków i dziewczyna - mówi Manx. - Lepszej córki ze świecą szukać.
- Ile ma lat?
- Ile lat - powtarza Manx.

Czuje, że jego oczy przybierają wymijający wyraz.

- Może dwa razy starsza niż twój chłopak. Bo twój ma osiem, tak? Wyobraź sobie, mieć osiem lat.

Piersiówka przechodzi z rąk do rąk.

- Będę szczery - mówi Charles. - Tak jak ty byłeś szczery

ze mną. W zamian powinienem ci przynajmniej powiedzieć, co myślę.

Kolejka składa się z ludzi pogrążonych we śnie albo w sennym, skulonym oczekiwaniu, rozmowy już się wyczerpały, głowy opadły, tu i ówdzie żarzą się papierosy, większość czekających śpi pod kocami, grubymi kurtkami albo po prostu drzemie, mrużąc oczy, czasem słysząc kaszel, jęk czy latynoską muzykę z radia, ale nie za głośno, niektórzy otrząsają się ze snu i znów zapadają w drzemkę, przy zaporze gliniarz na koniu, a Manx lekko zmienia pozycję, żeby poobserwować bezruch wysokiego gniadego zwierzęcia, bezruch martwy, inny niż u ludzi, kiedy się nie ruszają, inny także niż u psów lub rybek w akwarium, nie spokojny ani niewzruszony, ale nieruchomy na swój sposób, wspaniały i silny bezruch zwierzęcia o lśniących bokach.

- Będę szczerzy - mówi Charles - bo jaki by to wszystko miało sens, gdybyśmy nie byli szczerzy?
- Wal, stary.
- Nie wiem, czy mówisz mi prawdę. Ale rzeczywiście wygląda na to, że właśnie taka piłka mogła być w użyciu podczas meczu o mistrzostwo Krajowej Ligi w pięćdziesiątym pierwszym. To przynajmniej jeden fakt, który przemawia na twoją korzyść, względnie błahy, bo przecież są piłki i piłki.
- Ale z ciebie piłka.
Piersiówka przechodzi z rąk do rąk.
- A znów drugi taki fakt, już istotniejszy, to, że **patrzę na** ciebie i nie wydaje mi się, że mam przed sobą szwindlarza albo kłamcę.

Krótką pauza.

- Pierwsze słyszę - odpowiada Manx.

Wybuchają śmiechem, milkną i znowu się śmieją. Jest to jeden z tych żartów, których echo trwa przez dziesięć czy dwadzieścia sekund, odbijając się po okolicy, tak że jeden podtekst przechodzi w drugi i pozostaje już tylko dobić targu.

- Ile? - pyta Charlie.

Manx spogląda gdzieś w bok. Obmyślając plany i strategie, nie zapuścił się aż tak daleko i teraz nie wie, ile zażądać. Ale nagle się spina. Za jego plecami koń jakby pociągnął nosem.

- Sam zdecyduj - mówi i natychmiast czuje, że go w niejasny sposób oszukano.

Charlie oburącz przyciska piłkę do podbródka.

- Widzisz, nie wiem, co właściwie kupuję- mówi. - Musimy to brać pod uwagę. Jasne, ryzyko nabywcy i tak dalej. Ale taki towar to przecież sprawa sercowa.

Kierownika, chyba nie chcesz mnie wyrolować, co?

- Zależy wyłącznie od ciebie. Bo wierzę, że postąpisz, jak się należy. Przecież się znasz na baseballu. Jesteś kibic. A ja chcę, żeby ta piłka trafiła w ręce kibica - mówi Manx.

Sam czuje, że umyka spojrzeniem gdzieś ku wnętrzu i że w piersi go ścisną.

Charles. Charles nagle się zdecydował. Kiedy padło słowo „pieniądze”, na chwilę zrobiło się drętwo, no nie? Ale Charles nagle wstaje, sunąc plecami po murze, i w pośpiechu wywraca kieszenie, cały zaaferowany.

Manx przechyla piersiówkę i pije.

Charles wyciąga banknoty z dwóch, trzech kieszeni, rozprostowuje piątkę i wygładza jednodolarówkę. Manx spogląda na mężczyzn w kolejce, którym kiwają się głowy, a z ust bucha para i rozchodzi się w chłodnym powietrzu, na śpiących i śniących późną nocą.

A oto ostateczna suma. Dycha, dwie piątki, jeszcze jedna dycha, dwie jednodolarówki, ćwiartka, dwie dziesięciocentówki i pięciocentówka jak pchełka.

Chłopak wystawia nagle głowę ze śpiwora.

- Weź tę całą forszę, bo to wszystko, co mam - oświadcza Charlie. - Weź nawet drobne. Oddam ci nawet bilon. Bo pieniądze na bilety mam tu. - Wali się w pierś. - A kluczyki od wozu tu. - Klepie się po udzie. - I chcę ci oddać każdego centa nadwyżki.

W porząsiu - stwierdza w duchu Manx. Stara się nie mrugać oczami przy liczeniu forsy. Myśli o tym, że to więcej, niżby dostał za te łopaty do odgarniania śniegu, które ściągnął z komórki w swojej kamienicy. Dużo więcej. Cholerna różnica na korzyść.

Ze śpiwora wystaje mała rozgniewana główka.

- Ja chcę do domu - mówi Chuckie.

Manx bierze pieniądze. Liże kciuk i zaczyna liczyć tak, żeby chłopiec widział. Mówi coś do małego, bo sam jest w dobrym nastroju i chce go chociaż trochę rozśmieszyć.

A potem do Charliego:

- Kupiłeś pamiątkę z wielkiego meczu. Trzeba to opić, stary.

Piersiówka przechodzi z rąk do rąk i jest to w ciągu tej długiej nocy i świtu jedyny epizod, który tak jakby wciągnął Chu-ckiego: widok dwóch facetów chlających prosto z gwinta.

Ilekoć otwierają usta, żeby wypuścić nimi alkoholowy opar, wzdychają prawie z bólem; oczy mają zmrużone, zaróżowione.

Charles unosi jedwabiste brwi.

- No więc kupiłem piłkę i co mam z nią teraz zrobić?

Manx przejmuje piersiówkę.

- Pokaż ją wszystkim. Opowiedz znajomym i sąsiadom.

A potem włóż ją do kredensu, między odświętny serwis. Wi działasz, jak ludzie wariowali na ulicach. To większe wydarzenie niż niejedna wojna, jaką oglądałem.

Manx nie ma pojęcia, co właściwie chce przez to powiedzieć. Jego głosem zaczęła już przemawiać irlandzka whiskey. Manx widzi, że Charlie trochę się łamie. Pewnie z fazy połowicznej wiary przechodzi w fazę niedowierzania. Czuje, że go wystawiono, zrobiono na szaro. Jakiś drań z ulicy wyłudził od niego uczciwie zarobione pieniądze, opowiedziawszy niebawą historię, którą wstyd będzie powtórzyć znajomym.

Nabywca, jak to mówią, sam podejmuje ryzyko.

Manx usiłuje sobie przypomnieć słowo, które oznacza wzrost wartości towaru z upływem lat. Lecz irlandzka whiskey nie tylko mówi, ale i myśli, a zresztą to chyba nie jest najlepszy moment, żeby Charlesa pocieszać. Brzmiałoby fałszywie, nie?

Spoglądają po sobie. Charles ma piłkę i piersiówkę, a Manx pieniądze. No i fajnie. Jest to jeden z tych przypadków, kiedy po zawartej transakcji nastroje zniżkują. Normalka. Chłopiec śpi, ponad krawędzią śpiwora widać górną część jego twarzy, a Manx zastanawia się, czy mały cokolwiek z tego wszystkiego zapamięta, czy też niewyraźna sylwetka mężczyzny siedzącego w kucki, jedna z postaci tworzących tę noc, zdążyła już całkiem się pogрузić w sennych odmętach umysłu dziecka.

Charles patrzy na Manksa i posyła mu wieloznaczny uśmiech, który wyraża między innymi utopioną życzliwość.

Bez słowa podają sobie ręce, po czym Manx wstaje i odchodzi; lekko bolą go łydki, natomiast lewa dłoń, którą ciągnął

beczkę z płonącym ogniem, boli całkiem serio, boleśnie do-
skwiera. Po powrocie do domu posmarować masłem.

Mija ciała skulone, zwinięte w kłębek, i dymiące grille, na
których ten i ów spośród czekających przyrządzał sobie posiłek,
mija policjanta na wysokim koniu, idzie z powrotem przez most i
wychodzi na Broadway, a na niebie od wschodu widać coś jakby
leciuteńką smużkę światła.

Przychodzi mu na myśl. Przychodzi mu na myśl całe mnóstwo
rzeczy, choć wszystkie razem przyćmiewa alkohol, ale głównie
przychodzi mu na myśl, że nie ma ochoty stać na pustym peronie
pod ziemią i czekać, aż przyjedzie pociąg.

Idzie Broadwayem na południe i zaczyna się zastanawiać,
czemu facet dał mu wszystkie drobne z kieszeni. Nie było naj-
mniejszej potrzeby, żeby bilon przechodził z rąk do rąk. Może
mówił prawdę, że ze szczerego serca chce oddać, co tylko ma przy
sobie, koszulę z grzbietu, ale mogło też być inaczej: dwaj goście
zawarli uczciwą transakcję, a jeden z nich zrobił z niej jałmużnę.

Idzie, chce iść, ale niekoniecznie mu zależy, żeby kiedykolwiek
dojść do domu. Musi przemyśleć tę kwestię, że przecież ma
prawo rozstrzygać sprawy pieniężne w związku z każdym
przedmiotem, jaki znajdzie się w posiadaniu jego rodziny, której
mimo wszystko wciąż jeszcze jest głową.

Kiedy jest bez grosza, czuje się winny. Jak tylko zdobędzie
trochę gotówki, poczucie winy ogarnia go ze zdwojoną mocą.

Bezwstydnie szcza w zaułku.

A potem przychodzi mu na myśl, że mógłby wsiąść w grey-
hounda i wyjechać, dosiąść tego chudego psa i ruszyć w słodką
dal. Bo rodzeni synowie czasem mu się stawiają, z buntem w
oczach.

Napisze Cotterowi usprawiedliwienie. Żeby wytłumaczyć nie-
obecność w szkole. Dlatego bo miał czterdzieści stopni gorączki.

Powinno chłopakowi poprawić humor.

Przychodzi mu też na myśl, że zbliża się do narożnika, na
którym uliczny kaznodzieja przemawiał wieczorem, a może ze-
szłej nocy, ale nagle sobie uświadamia, że wcale nie, pomyłka,
jest jeszcze o dziesięć przecznic na północ od tego miejsca. Potem
jednak o tym zapomina i zaczyna się rozglądać za kaznodzieją.
Kaznodziei oczywiście nie ma, poszedł tam, dokąd

zawsze odchodzi, nie wiadomo gdzie, a zresztą to i tak nie jego róg, na ulicy żadnego ruchu, tylko parę aut, auta prowadzone przez tajemniczych kierowców wylaniają się z mroku, żywe jak owady o każdej porze nocy.

Trzydzieści dwa dolary plus drobne.

Manx czuje znajome ukłucie: zdradzono go. Wyprowadzono w pole. Wykołowano do imentu. Piłka będzie procentować -oto słowo, którego mu brakowało. A gotówka z każdą minutą traci na wartości.

Zagłada do sieni, szukając karności, żeby mu oddać pieniądze. Pozbyć się ich. Chce wpechnąć staremu forszę w zanadrze i mieć ją nareszcie ze łba. Oddać ją komuś, kto się nią interesuje z naukowego punktu widzenia.

A gówno, koleś.

To jego szmal i nie ma zamiaru go oddawać. Pojedzie gdzieś autokarem. Albo wynajmie pokój na jakiejś nędznej ulicy kilometr od domu. Znajdzie sobie kobitę, która czasem na niego spojrzy, kiedy będzie wodzić wzrokiem po pokoju.

Znowu zapomina, gdzie jest. Idzie, chce iść, w głowie za-wczasu układa tekst usprawiedliwienia.

Proszę usprawiedliwić wczorajszą nieobecność syna.

Skądś zza rogu dobiega turkot i zgrzyt śmieciarki. Jeżdżą auta, pod jezdnią mkną pociągi, i nikt prócz Manksa nie idzie piechotą.

Koleżka Charles będzie się śmiał w rękaw, że tak wykiwał koleżkę Manksa. Powie swojemu chłopcu: „Zrobiliśmy tego głupka w balona”.

Dość płaska, żeby wygodnie mieściła się w kieszeni, z zakrętką na łańcuszku.

Przychodzi na swoją ulicę i mija warsztat szewski, a potem szkołę kosmetyczek.

Ręka go boli w miejscu, którym dotknął rozżarzonego metalu.

Zaczyna się rozwidniać, kiedy Manx staje przed swoim domem. Wchodzi do sieni i gramoli się po schodach, a każdy krok trwa cały rok, tak mu się przynajmniej zdaje, więc nim wreszcie dotrze na swoje piętro, będzie miał osiemdziesiąt lat. Wchodzi do mieszkania cicho jak cień, jak dwuoka cisza, i wolno przekrada się przez kuchnię.

W sypialni zaczyna dzwonić budzik.

Manx siada przy kuchennym stole i czeka. Ivie wychodzi w koszuli nocnej i w kapciach, od razu widzi, że w ogóle się nie kładł, więc przygląda mu się badawczo, bez pośpiechu.

- Co to jest? - pyta.
- Trzeba posmarować masłem.
- Cała w bąblach. Nie podoba mi się.
- Powierzchnowe oparzenie, i tyle.
 - To dzisiaj była noc przed wyborami, czy jak? Zdawało mi się, że tylko przed wyborami pali się ogniska. Wcale mi się ta ręka nie podoba.
- Idź się ubierz. Sam się zajmnę ręką.
 - Tylko nie żadnym masłem. To staroświeckie bzdury - mówi kobieta. - Bardziej by ci zaszkodziło, niż pomogło.

Wyjmuje owoce z salaterki, napełnia ją zimną wodą i sięga do lodówki po tackę z kostkami lodu.

- Jak to nie pomoże, zaprowadzimy cię na pogotowie.
- Obejdę się bez pogotowia.

Ivie wrzuca do wody dziesięć, dwanaście kostek lodu i siada obok Manksa. Trzyma go za rękę zanurzoną w wodzie i przygląda mu się badawczo, bez pośpiechu. Jeśli ma jakieś pytania, odkłada je na później.

Ból może pomału ustępuje, a może nie. Woda jest taka zimna, że Manx czuje tylko ten ziąb. Próbuje wyjąć rękę z salaterki, ale Ivie mocno ją trzyma, przyciskając dłonią od góry, więc mężczyzna spogląda gdzieś w bok, zanadto zmęczony, żeby się z nią szarpać.

- To pomaga tylko na świeże oparzenia - mówi kobieta.
 - Jeżeli żeś się dawno sparzył, będziemy musieli poprosić na pogotowiu, żeby ci zaopatrzyli.
- A ja ci mówię: nie potrzeba mi żadnego pogotowia.

Siedzą tak jeszcze przez chwilę. Ivie wciska jego dłoń w topniejący lód, a potem musi się ubrać i iść do pracy. Manx zostaje przy stole, patrzy na własną rękę zanurzoną w wodzie i czeka, aż syn się zbudzi.

Aranżacja w szarości i czerni

JESIEŃ 1951 - LATO 1952

Dla Bronziniego chodzenie było sztuką. Prawie codziennie po lekcjach pozwalał samej trasie spaceru wyłonić wiązanekę dźwięków, kształtów i ruchów, pozwalał głosom brzmieć i aromatom rozwijać się na rozmaite sposoby, co dzień inne, ale nie zanadto inne. Przystawał, żeby pogawędzić z karciarzami w klubie osiedlowym, i patrzył, jak na targu jakaś kobieta kupuje flandrę. Obierał mandarynkę i zastanawiał się, czemu szklista płastuga na warstwie sypkiego lodu, wygarnięta siecią z mrocznego morza, potrafi wydać się istotą tak wymowną i pokrewną. W jej wylupiastych oczach martwota była siłą. Taka intensywna pustka. Przyszło mu na myśl, że pewien wyświechtany filmowy greps - dwa różne duple jednego ujęcia - komicznie ucieleśnia chwilę pozostałą po minionym życiu.

Patrzył, jak chłopiec w fartuchu zawija rybę w doniosły nagłówek.

Nawet w tej zwartej dzielnicy były ulice godne ponownego odwiedzenia i ludzie zajęci ciekawą pracą, zatrudnieni na dniówkę, malarze w zachłapanych kombinezonach albo robotnicy uzbrojeni w ciężkie młoty: mógł z nimi zamienić parę słów, z tymi Sycylijczykami, którzy rozbijali płyty chodnikowe, a kamienny pył wgrzyzał im się w twarze. Im gorzej płatna praca -uważał Bronzini - im cięższa robota, tym bardziej imponujące przedstawia sobą widowisko. Albo na przykład kelner pałacy papierosa, kiedy chwilowo nie ma ruchu w interesie, jeden z tych szybko starzejących się, wiecznie zmęczonych mężczyzn. Kel-

nerzy wiedli męczące życie, każdy miał trzy etaty, bóle krzyża i chore stopy. Męczyli się bardziej niż mężczyźni z czerwonymi chustami na szyjach, którzy machali ciężkimi młotami. Pałac i kaszłac, zwierzali się Bronziniemu, jacy są zmęczeni, raz po raz odkasływali, a potem wybierali miejsce na chodniku, żeby w nie trafić flegmą.

Zjadł ostatnią cząstkę mandarynki i wyszedł z targu, trzymając w dłoni spiralną skórkę. Szedł wolno na północ, mimochodem spoglądając w wystawy sklepowe. W szczeciniastych wąsach miał srebrne punkciki, wciąż jeszcze na tyle rzadkie, że można je było policzyć, a na nosie okulary w drucianej oprawce i z takimiż rączkami, bo w wieku trzydziestu ośmiu lat - tak przynajmniej twierdziła jego żona - próbował sobie wmówić, że jest starszy, że zaspokoił już wszystkie apetyty, a całą burzliwość udało się wreszcie zapiąć na guziki i okiełznać.

Usłyszał jakieś głosy i spojrzął w boczną uliczkę pełną bawiących się dzieci. Tablica na słupku obwieszczala, że jest to teren zabaw, niedostępny dla aut osobowych i ciężarówek dostawczych. Rosnąca liczba samochodów, głód awansu, moc rozgrzanych koni mechanicznych, pęd srebrzystego chromu - wszystko to razem, jak przewidywał Bronzini, miało wzmóc presję, żeby usunąć dzieci z ulic, aż nawet te wydzielone place zabaw odejdą w przeszłość.

Wyobraził sobie porysowany kredą prostokąt asfaltu, równiutko wycięty z chodnika, starannie zapakowany i wysłany do jakiegoś muzeum w Kalifornii, gdzie dzielić będzie ściszony blask słońca z marmurowymi rzeźbami starożytnych. *Rysunek uliczny, gra w klasy, kreda na asfalcie chodnikowym, Bronx 1951.* Ale dzieci wcale nie mówią, że grają w klasy, prawda? W tej dzielnicy mówi się na to „kratka”, a może „kredka”. Mówi się „koźle, koźle”, a nie „Johnny na kucyku”. I chowanka - trzeba doliczyć piątkami do stu, a potem ruszyć na zwiady w zaułki, wspinać się po słupach, na których wiszą sznury z praniem, przełazić przez parkany w głębi podwórek i zaglądać do pojemników z węglem, czy nie chowa się tam ktoś z uczestników zabawy.

Bronzini stał i patrzył.

Dziewczynki grały w guziki i skakały przez podwójną skankę. Chłopcy grali w boxball, kulki i *ringolievio*. Pięciu chłopców wokół kręgu podzielonego na trójkąty, każdy z jedną stopą

w trójkącie oznaczonym nazwą jakiegoś kraju. Chiny, Rosja, Afryka, Francja, Meksyk. Gracz, na którego mówią „ono”, stoi w środku, z piłką w ręku, i wolno wygłasza ostrzeżenie: „Wy-powiadam wojnę państwu...”

Bronzini nie miał samochodu, nie umiał nawet prowadzić, nigdy zresztą nie chciał go mieć, nie potrzebował, nie przyjąłby, choćby ktoś dał mu auto w prezencie. Jak człowiek przestaje chodzić - uważał - zaraz umiera.

George Kelner stał, paląc papierosa, przed służbowym wejściem do restauracji, w której pracował. Wyglądał jak głowa zatknięta na tyczkę, nie skończył jeszcze czterdziestu lat, ale miał w sobie coś nieswieżego, pewien brak spontaniczności, skierowane do wewnątrz napięcie, które trzymało go z dala od ludzi. Szczupłe ciało w białej koszuli z czarną kamizelką i czarnych spodniach, a ponad tym uniformem twarz ptasia, jakby ktoś z niej wyssał część krwi.

Bronzini podszedł do George'a i stanął obok. Przez dłuższą chwilę milczeli, połączeni dziwną solidarnością dwóch nieznamomych, którzy patrzą, jak dom się pali.

Trzej chłopcy i dziewczynka pod ścianą jednego z budynków grali w rzekę: każde dziecko zajmowało strefę, którą wyznaczały szpary między płytami chodnika. Jedno rzucało piłkę, tak że odbijała się skośnie od ziemi, a potem od ściany i wpadała w strefę innego gracza.

Czekanie należy do obowiązków kelnera, ale u George'a całe życie wydawało się zawieszona w jakimś straszliwym wyczekiwaniu. Na co właściwie czekał? Zagadka ta prowokowała Bronzinięgo. Lubił wyciągać tego milczącego mężczyznę na zwierzenia, brać go na spytki, uświadamiać mu, że jego wybór życia bez przyjacieli nie będzie tak łatwo respektowany.

A potem drugi gracz wbijał piłkę w cudzą strefę, uderzając mocno albo lekko, podcinając od dołu, żeby zawirowała, i tak dalej, w górę i w dół rzeki.

- Te gry mają to do siebie - powiedział Bronzini - że są strasznie ważne, póki się w nie gra. Angażują całą pomysłowość. Całą energię. Ale jak dziecko podrośnie trochę i przestanie grać, zupełnie wylatują mu z głowy.

Co prawda w dzieciństwie grywał tylko sporadycznie, bo zdarzało mu się obłożnie chorować, cóż za okropne określenie,

leczyć z astmy, przechodzić kolejne nawroty przeziębień, angin i koklusz.

- Pamiętam, jak gromadziliśmy różne rupiecie. A potem się nimi bawiliśmy. Wydłubowaliśmy korek z kapsli od butelek. Nawet nie pamiętam po co. Korek, gumki od weków, puszki, pół łyżwy, stare linoleum, które cięliśmy na kawałki do strzelania z procy. Proce były niebezpieczne.

Mimoходом spojrział na zegarek.

- Korek, powiadasz - rzekł George.
- Co z nim robiliśmy?
 - Budowaliśmy klatki na muchy. Brało się dwa płaskie kawałki korka. I proste szpilki, które się walały po podłodze u krawcowej.
 - O Boże, racja - powiedział Bronzini.
 - Wbijaliśmy szpilki w dwa krążki z korka. Dolny to była podłoga, a górny sufit. Szpilki to pręty klatki.
 - I czekaliśmy, aż mucha gdzieś usiądzie.
 - Końska. Stulało się palce i wolno sunęło ręką po ścianie, jak najbliższej muchy.
 - A potem wsadzaliśmy muchę do klatki.
 - Wsadzaliśmy ją do klatki. I wbijaliśmy jeszcze parę szpilek - rzekł George - żeby uszczelnić.
 - I co dalej? Nie pamiętam.
 - Patrzyliśmy się, jak bzyczy.
 - Patrzyliśmy, jak bzyczy. Bardzo pouczające.
 - Bzyczała, póki nie zdechła. Jak za długo to trwało, ktoś zapalał zapalną i przystawiał ją do klatki.
 - Boże, przecież to straszne - powiedział Bronzini.

Ale w gruncie rzeczy był zachwycony. Udało mu się wciągnąć George'a w rozmowę. O tym, jak dzieci przystosowują się do warunków, jak wykorzystują krawężniki, schodki i kłapy włazów w chodniku. Jak biorą ten ospowaty świat i delikatnie go wywracają na lewą stronę, robiąc z niego coś przemyślanego, poddanego regułom i gładkiego, a potem przez resztę życia usiłują powtórzyć ten proces.

Po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko, George Fryzjer zamykał drzwi swojego zakładu. Z otwartych drzwi niesły się ledwie dosłyszalnie głosy z włoskiej radiostacji. Bronzini widział, że do środka wszedł woźny z liceum, a George odstawił

miotłę, wziął z szuflady świeży ręcznik i rozpostarł go, aż płótno wzduło się jak żagiel, w samą porę, akurat gdy mężczyzna zasiadł w fotelu.

- Może słyszałeś, Albert. Umarł ten garbus, co rzeźbił w mydle.
- Cofamy się o parę lat.
- Rzeźbił w mydle gołe kobiety. Jak z podręcznika anatomii. Ten garbus, co przesiadywał przed spożywczym.
- Attilio. Jak mu się dało kostkę mydła, zawsze coś wyrzeźbił.
- I ten, jak mu tam, też umarł. Ten, co grał w miękki baseball i zawsze rzucał młynkiem. W czasie wojny oberwał szrapnelem i został mu odłamek w samym sercu. Dopiero teraz go zabił.
- Jackie jakiś tam. Ty i on.
- Pracowaliśmy razem na plaży. Ale prawie go nie znałem.

George był dawniej na plaży lodziarzem. Bronzini nieraz widywał, jak brnie przez piach, na ramieniu zawieszoną ma ciężką metalową chłodziarkę, a na głowie kolebie mu się korkowy hełm. Do tego biała koszula i białe płócienne spodnie, a któregoś dnia kogoś złapał kurcz, kiedy George sprzedawał lizaki w sektorze dziesiątym.

- Pamiątasz tego topielca? - spytał Bronzini.

Na ulicy dwaj chłopcy grali w *salugi*. Jednej z uczennic katolickiej szkoły, dziewczynce w niebieskim fartuszk i białej bluzce, zabrali książkę i zaczęli ją sobie podawać jak piłkę. Dziewczynka biegała od jednego do drugiego, a oni rzucali książką nad jej głowę i za plecami. Książka obłożona była w grubym, brązowym papier pakowy. Bronzini nie wątpił, że mała sama ją tak obłożyła, zaginając i podwijając włóknisty papier, a potem niebieskim atramentem wypisała drukowanymi literami swoje imię i nazwisko, klasę i przedmiot. *Salugi!* - krzyczeli chłopcy, dziwne słowo, może zniekształcone z włoskiego *saluto*, drwiące pozdrowienie - siemasz, mamy twoją czapkę, no chodź, spróbuj ją odebrać. Do zabawy przyłączył się trzeci chłopiec i odtąd dziewczynka biegała w trójkącie, machając rękami, w pogoni za fruującą książką.

A może doraźnie ukute słowo z języka hindi, perskiego czy northumbryjskiego, które jakoś przesączyło się przez stulecia. Tyle rzeczy można by wiedzieć, a on umrze i już ich się nie dowie.

- Jak tam chłopak? - spytał George. - Słyszę o nim takie rzeczy, że sam już nie wiem, dobre czy złe.
- Rozwija się. Jednego dnia jestem zadowolony, drugiego rwę włosy z głowy.
- Szanuję szachistów. Jak sobie pomyślę, ile chłopak ma lat.
- Właśnie o tym staram się nie zapominać, George.
 - Podobno wygrywa z doświadczonymi szachistami. Może to dobrze, a może źle. Nie żebym się na tym znał. Ale czasem sobie myślę, że może powinien się bawić na ulicy z resztą dzieciaków.
- Ulica jeszcze nie dojrzała do Matty'ego.
- Powinieneś mu uświadomić, że są i inne rzeczy.
 - Owszem, nobi inne rzeczy prócz grania w szachy. Płacze i wrzeszczy.

George nie uśmiechnął się. Trzymał się na uboczu, pogrążał z powrotem w swoim zwykłym zasepieniu i wysysał ostatnie blade wapory z papierosa. O jedno sztachnięcie za dużo. W końcu upuścił niedopałek i przydeptał go czubkiem znoszonego buta, samym koniuszkiem umundurowanego George'a, pobrużdżo-nym i pozalaamywanym w poprzek podbicia.

- Pora, żebym się pokazał w knajpie. Trzymaj się, Albert.
- Jeszcze kiedyś pogadamy - odparł Bronzini.

Przeszedł przez jezdnię, żeby pomachać ręką George'owi Fryzjerowi. Myślał o tym, jak dzieci przystosowują się, wykorzystując ściany z cegieł, słupy latarni i hydranty przeciwpożarowe. Patrzył, jak jakaś dziewczynka przywiązuje koniec skakanki do kraty w oknie i każe młodszemu braciszкови kręcić drugim końcem. A potem staje w połowie długości i skacze. Bez historii, bez przyszłości. Patrzył, jak jakiś chłopiec gra sam ze sobą w piłkę ręczną, strzelając tak, że nikt by nie odbił. Tenisowa piłka obdarta aż do gołej różowej gumy odskakuje od cegieł fasady. Pełnia tej chwili na placu zabaw. Nie sposób sobie wyobrazić, że kiedykolwiek przekroczysz kreskę, którą matka zrobiła ołówkiem na ścianie w kuchni, żeby zaznaczyć, ile masz wzrostu.

Fryzjer też mu machnął. Bronzini wyszedł na róg ulicy, mijając mężczyznę, który z bagażnika zdezelowanego auta wyładowywał wielkie płaskie puszki bułgarskiego owczego sera. Znów ruszył na północ, niosąc w dłoni aromat słodkiej skórki. Zdał sobie sprawę, że wciąż jeszcze trzyma w ręce skórkę man-

darynki. Skojarzyła mu się z Marokiem. Nigdy tam nie był, w ogóle zresztą niewiele podróżował, nie bardzo więc rozumiał, czemu najłżejszy powiew tego owocu przywodzi mu na myśl czerwonawy piaszczysty pejzaż, lśniący bezmiar.

- Koźle, koźle, ile rogów sterczy?

Usłyszał ten dźwięczny okrzyk, rzucając skórkę w stronę pudeł spiętrzonych przy wejściu do piwnicy. Wskakują kolegom na plecy. Zwykle największy tłuścioch służy za poduszkę: opiera się o ścianę albo o słup, podczas gdy chłopcy z jednej drużyny stają pochyleni, każdy z głową między nogami poprzednika, a przeciwnicy biorą rozbieg i z dzikim okrzykiem kolejno lądują im na plecach. Pochyleni chwieją się pod ciężarem, a przywódca jeźdźców podnosi wyprostowane palce i pyta: „Ile rogów sterczy?” Bronzini usiłował sobie przypomnieć, czy najbardziej pulchnego chłopca, pucółowate, poniewierane popychadło, któremu ścieka po brodzie koktajl mleczny z kogłem-mogłem, oficjalnie nazywa się poduchą czy ropuchą? Chłopcy z Bronksu nie wiedzą, co to ropucha - stwierdził w końcu. Więc grubasowi nadadzą przezwisko wywodzące się od matczynych poszewek wypchanych puchem.

Dwadzieścia po czwartej. Do spotkania zostało dziesięć minut, ale Bronzini wiedział, że nawet jeśli przyjdzie po ustalonej porze, i tak się nie spóźni, bo Ojciec Paulus z całą pewnością zjawi się jeszcze później. Zazdrościł nałogowym spóźnialskim beztroski, z jaką każą na siebie czekać. Skąd biorą odwagę, żeby się spóźnić, raz po raz ciskać nam w twarz to obcesowe wyzwanie? W witrynie wisiała głową w dół koza i cztery króliki, zawieszzone za zadnie nogi, mniej wzruszająco martwe niż przedtem flądra na targu - bezmyślne, obmierzłe futro, które nie ma nic do przekazania. Zazdrość i podziw zarazem. Spóźnialscy pewnie buntują się w ten sposób przeciw najbardziej małostkowym uroszczeniom czasu i sumienia.

W drzwiach sklepu mięsnego stanął rzeźnik, rumiany i zachrypnięty, hałaśliwy, plugawy, szczęśliwy w tym swoim brudnym fartuchu - człowiek, który żył pośpiesznie, jakby coś w jego wnętrzu rwało się na świat, łomocząc o zebra.

- Już cię w ogóle nie widuję, Albert.

- Przecież właśnie mnie widzisz. Owszem, widzisz mnie co chwila. W zeszłym tygodniu kupiłem mięso na pieczeń.

- Nie wspominaj mi o zeszłym tygodniu. Co znaczy zeszły tydzień?

Rzeźnik zagadywał przechodniów. Potrafił zawołać przez całą jezdnię, żeby ubliżyć jakiemuś mężczyźnie albo znaczącą insynuacją zaczepić kobietę. Chrapliwy, zaśliniony głos jak z piaszczarki. Inne kobiety krzywiły się z rozbawieniem i niesmakiem.

- Czym karmisz tego swojego geniusza?

- Nie jest mój - odparł Bronzini.

- Masz szczęście. Jakby to był mój dzieciak, wziąłbym go i wywiózł w szczerze pole i zostawił gdzieś na zboczu wzgórza. Ale poczekałbym z tym, aż zrobi się sam środek zimy.

- Raz na tydzień pozwalamy mu schrupać kredkę.

- Daj temu małemu popaprańcowi trochę *capozella*. Zaraz mu jaja urosną.

Rzeźnik wskazał gestem jagnię wiszące w witrynie. Bronzini wyobraził sobie świeżo upieczoną głowę na talerzu przed Matym. Dwie gorące głowy oko w oko. On, Albert, każe chłopcu zjeść mózg, oczy i główne zwoje nerwowe. Albo nigdy więcej sachów.

- Przybędzie mu grafitu w ołówku.

Rzeźnik stał przy narożniku witryny, całkiem na miejscu wśród dyndających zwierząt, z rękami założonymi na piersi, w rozkroku. Bronzini widział w tej scenie pewną stosowność i równowagę. Krzepka gracia rzeźnika - wystarczy spojrzeć, jak facet okrawa kotlety, wręcz stworzony do tego, żeby stać przy rzeźnickim pieńku, nurzać się w drżących mięśniach i jusze -ma smykałkę i dryg, jakby właśnie po to się urodził, aż wytrze-wione stworzenia zyskują pewien sens.

Bronzini pomyślał, że samemu rzeźnikowi serce i płuca powinny zwisać na zewnątrz, jak u świętego, uwidaczniając jego intymną więź z cierpiącym światem.

- Trzymaj się, Albert.

- Zajrzę jutro.

- Pozdrów ode mnie swoją kobitę.

Bronzini znów spojrział na zegarek i wstąpił do sklepu ze słodyczami po gazetę. Usiłował się spóźnić, ale wiedział, że nie potrafi. Coś kazało mu przyjść do cukierni nie tylko punktualnie, lecz około dwóch i pół minuty przed czasem, czyli w sumie

musiał czekać na księdza mniej więcej dwadzieścia minut. Usiadł przy stoliku w mrocznej salce i rozłożył „Timesa” na pokancerowanej emalii blatu.

Dziewczyna przyniosła kawę i szklanę wody.

Zdumiała go pierwsza strona, zdominowana przez dwa nagłówki, każdy w poprzek trzech kolumn. Po lewej Giantsi zdobywają porzecz, wygrywając z Dodgersami dzięki dramatycznemu homerowi w dziewiątej zmianie. Natomiast po prawej, w lustrzanej symetrii, czcionką tego samego kroju i wielkości, w tej samej liczbie wersów ZSRR dokonuje wybuchu bomby atomowej - bubum! - ale szczegółów nie ujawniono.

Nie rozumiał, czemu „Times” przeniósł informację o meczu z rubryki sportowej na pierwszą stronę obok tak ważnej i złowrogiej wiadomości. Zaczął czytać relację z sowieckiego eksperymentu. Nie mógł się opędzić przed wizją, która natarczywie wdzierала mu się do mózgu, przed obrazem chmury - nie chmury, grzyba - nie grzyba: przed wrażeniem, że niepewnie, po omacku szuka języka, którym można by w adekwatny sposób opisać tę masę widoczną w powietrzu. Nagle, w pośpiechu nadszedł ksiądz, Andrew Paulus S.J., niskiej, zgrabnej budowy, z głową wychyloną do przodu i z uśmiechem lśniącym od śliny.

Książki i foldery zsuwały mu się z biodra, zdołał jednak wystawić pęk wyszorowanych palców, które Albert schwycił oburącz i zaczął ścisnąć i potrząsać, lekko podnosząc się z krzesła. Nastąpiła chwila niezręcznych ceremonii - krzyżujące się powitania, ignorowane pytania, upuszczona książka i wyścig, żeby ją podnieść - nim obaj mężczyźni usiedli przy stoliku, a całą literaturę odłożono na bok. Ksiądz westchnął ciężko. Nosił koloratkę przymocowaną do czegoś w rodzaju śliniaczka, tak zwanego paterną, i ciemną marynarkę z kwadratowymi kieszeniami. Wyglądał jak szef George'a Kelnera wystrojony w czerń i biel.

- Ile się spóźniłem?

- Ani trochę.

- Prowadzę seminarium na temat wiedzy. Wspaniała zabawa, tylko że tracę poczucie czasu.

- Ależ skąd, przyszedł ksiądz nawet odrobinę za wcześniej - zapewnił Bronzini.

- O tym, skąd wiemy to, co wiemy.

Trzeba było uważnie się przyjrzeć Andrew Paulusowi, żeby dostrzec oznaki starzenia. Bez zmarszczek, dziwnie promienny, z dziwnym, jakby ceramicznym połyskiem, który nadawał jego cerze różową świeżość. Włosy ciemnoblonde, na czole przycięte w grzywkę, w chłapięce loki nierównej długości. Bronzini zadał sobie pytanie, czy tak właśnie czas obchodzi się z mężczyznami, jeśli wyrzekną się zniewalającego dotyku kobiety i jej miłości. Na zawsze pozostają dziećmi, zakonserwowani w czystym, chłodnym świetle. Choć z drugiej strony na każdym kroku spotykało się proboszczów o kaprawych oczach i niepewnych ruchach, którzy przemawiali z ambon starym, monotonnym szeptem. Pomyślał, że jezuita jest nie tyle młodzieńczy, ile bez wieku. Musi być o jakieś trzydzieści lat starszy od Alberta, ale nigdy mu nie zdrzży powieka, a wśród zarostu nie widać ani żdźbła siwizny.

- Miał Ojciec w ręku gazetę?
 - Błagam, za dobrze się znamy. Masz mi mówić „Andy”. Tak, zapuściłem żurawia w czyjeś „Daily News”. Piszą o tym jako o Strzale, Który Rozległ Się Na Cały Świat.
 - Ciekawe, jak właściwie ustaliliśmy, że nastąpił wybuch. Widocznie tuż za granicą ich obszaru powietrznego latają nasze samoloty z aparaturą do pomiarów promieniowania. A może mamy dobrze ulokowanych agentów.
 - Nie, nie, nie, nie. Rozmawiamy przecież o homerze. To właśnie bohaterki strzał Bobby'ego Thomsona tak ochrzciła na użytek potomności brukowa prasa.

Bronzini potrzebował chwili, żeby się oswoić z tą wiadomością.

- Więc to ma być ten Strzał, Który Rozległ Się Na Cały Świat? Czyżby reszta świata aż tak się nim interesowała? Przecież to tylko baseball. Co do mnie, ledwo zauważyłem. Nie bardzo zdawałem sobie sprawę, że w ogóle jest jakiś mecz. I żeby aż na cały świat? Mało brakowało, a byłbym zupełnie przeoczyl.
- Możemy uznać, że slogan dotyczy raptowności uderzenia kijem w piłkę i równie wielkiej szybkości, z jaką w dzisiejszych czasach przekazuje się taką nowinę. Nasi żołnierze na Grenlandii i w Japonii z pewnością słyszeli, jak sprawozdawca wojskowej radiostacji obwieścił to decydujące zagranie. Ale oczywiście

masz rację. Nie mówi się o tym w budapeszteńskich kawiarniach. Chociaż akurat nieszczyśny Ralph Branca jest w połowie Węgrem. Obaj zresztą są synami imigrantów. Branca i Thomson. Zdaje się, że Bobby urodził się jeszcze w Szkocji. No i widzisz, czemu nasze zwycięstwa i porażki z reguły odbijają się echem daleko poza granicami kraju.

- Czyli interesujesz się baseballlem.
- Już dawno nie. Ale dzisiejsze sprawozdania, owszem, pochłonąłem. Z jakichś powodów to zdarzenie wdarło się z całym impetem w wyobraźnię ogółu. Od rana w powietrzu wyczuwa się jakby równomierną wibrację.
- Ja tam na baseball w ogóle nie zwracam uwagi - przyznał Bronzini.

W duchu zaczął sobie robić wyrzuty. Znowu przyszła ta ponura dziewczyna w wiotkiej bluzce i rozdeptanych czółenkach. Tylko cztery stoliki, pozostałe trzy wolne. Banalny wystrój, w powietrzu zastygła gęstość, powiew rodzinnych woni, nawet córka niezadowolona - wszystko to w sumie tworzyło pewien motyw, brak malowniczości, który, jak sądził Albert, ksiądz mógł zauważyć i pochwalić.

- Ale baseball nie jest tą grą, którą mamy tu omawiać - powiedział Paulus.

W innych lokalach z uznaniem i ostentacją, przy akompaniamencie jęków i okrzyków wybierał z gablotki ciastko, dziś jednak był jakby przygaszony, wskazał więc tylko palcem migdałowe *biscotti* i kazał dziewczynie podać kawę. Potem wyprostował się na krzesło, wparł łokcie w blat i rozwijając tę żartobliwą pantomimę, oburącz ujął głowę: gracz z napięciem wpatrzony w szachownicę.

- Zabieram go do klubów szachowych - rzekł Bronzini - tak jak ostatnio ustaliliśmy. Potrzebne mu to, jeżeli ma się pra widlowo rozwijać. Silniejsi przeciwnicy w zorganizowanym kontekście. Ale radzi sobie gorzej, niż się spodziewałem. Parę razy oberwał.

- A co robicie, kiedy nie gra? -

Studiujemy i ćwiczymy.

- Ile czasu na to poświęcacie?

- Zwykle trzy dni w tygodniu. Po parę godzin przy każdej wizycie.

- To po prostu śmieszne. Mów dalej.
- Nie chcę zmuszać chłopca, bo jeszcze mu się przeje.
- Mów dalej - powtórzył Paulus.
 - W końcu jestem przecież tylko sąsiadem. Nie mogę z nadto naciskać. Szachy nie mają tu dłuższej tradycji. Pewnego dnia zjawił się jakby znikąd. Czary-mary. Chłopiec z innej planety, wiesz?
- Ale chyba nie zna ruchów od urodzenia?
 - Zasad nauczył go ojciec. Bukmacher. Podobno umiał zapamiętać wszystkie liczby. Zakłady, typy, drużyny, konie. Zapamiętywał całą dzienną rozpiskę. Tak przynajmniej o nim mówiono. Wystarczyło, że spojrzął na program wyścigów z przewidzianymi na ten dzień gonitwami, porannymi typowaniami, nazwiskami dżokejów i tak dalej. W parę minut umiał zapamiętać dane całej serii gonitw.
- A potem znikł.
- Tak. Jakieś pięć lat temu.
 - A chłopiec ma teraz jedenaście, czyli tatuś dał mu ledwie podstawy.
 - I od tamtej pory w miarę swoich skromnych możliwości, a i to z przerwami, pełnię rolę mentora.

Ksiądz podniósł rękę w uspokajającym geście, który oznajmiał, że dalsze wyjaśnienia są zbędne. Dziewczyna przyniosła mocną czarną kawę, szklankę wody i talerz herbatników.

- Jego matka jest Irlandką katolickiego wyznania. Ma jeszcze jednego syna. Był kiedyś moim uczniem. Tylko przez jeden semestr. Chyba zdolny, ale leniwy i bez motywacji. Skończył szesnaście lat i w każdej chwili może rzucić szkołę, jeśli zechce. To akurat mówię w imieniu matki. Pyta, czy nie poświęciłbyś mu godziny. Mógłbyś opowiedzieć chłopcu o Fordham. Wytłu maczyć, co koledź miałby do zaproponowania komuś takiemu jak on. Co mają do zaproponowania jezuici. Nasze dwie szkoły, Andy, dokładnie naprzeciwko siebie, a takie dalekie. Niektórzy moi uczniowie nawet nie wiedzą, zupełnie nie zdają sobie sprawy, że za tymi drzewami czai się uniwersytet.

- Część moich studentów ma ten sam problem.

Bronzini nie omieszkał się roześmiać.

- Ale cóż by to była za szkoda, gdyby taki chłopak wylądował w jakimś magazynie albo w warsztacie samochodowym.

- Przedłożyłeś prośbę, Albercie. Masz prawo uważać, że wypełniłeś zadanie.
- Zanurz *biscotto*. Śmiało. Zanurz, zanurz, zanurz. Te herbatniki w prostej linii pochodzą od ciastek z miodem i migdałami, które pieczono zawinięte w liście i jedzono podczas rzymskich świąt płodności.
- Myślę, że obowiązek przedłużania gatunku będzie musiał spocząć na innych. Nie, żeby miał coś przeciwko okazjonalnym kontaktom.

Bronzini pochyłony ku niemu:

- A tak całkiem serio. Czy kiedykolwiek żałowałaś?
- Czego? Że się nie ożeniłem?

Bronzini kiwa głową, z natężeniem patrząc przez okulary.

- Wcale nie chcę się żenić. - Teraz z kolei ksiądz się pochylił, zbliżając ramiona i podbródek do blatu. - Chcę tylko rznąć - wyznał elektrycznym szeptem.

Bronzini zaszokowany, oczarowany.

- Ten czasownik jest tak zdumiewająco, wywrotowo trafny. Ale odmienianie go przez osoby to kiepska rozrywka. Chciałbym zerznąć gwiazdę filmową, Albercie. Największą, najbardziej zło-cistowłosą i cycatą boginię, jaką potrafi wyprodukować Holly wood. Chcę ją zerznąć w sposób najgorszy z możliwych, w każdym znaczeniu.

Zębata główka ogarnięta butnym samozachwyceniem zawisła nad blatem stołu. Bronzini poczuł się usatysfakcjonowany. Poprzednio parę razy zabrał księdza do sklepów i patrząc, jak gość kosztuje jesiennej, różowej szynki parmeńskiej, pokrajanej w cienkie, przezroczyste plasterki, wtrącał uwagi na temat pasztetu ze świńską krwią oraz solonych filetów z dorsza. Gościowi wyraźnie podobała się europejska faktura ulic i widok ludzi robiących różne rzeczy dawnym, powolnym, sumiennym sposobem, rzeczy przeniesione stamtąd, przesycone regułami użytkowania. To jedyna sztuka, jaką opanowałem po mistrzowsku, Ojczy - chodzenie tymi ulicami, tak aby zmysły same chłoneły wszystko, co tu jest zawsze i stale. Zaprowadził też jezuitę prosto w kwaśny odór kurzego targu i popchnąwszy go w stronę starej wagi, która zwisała z sufitu, a na szali leżał związany ptak, wyjaśnił, że drobiarz bierze dwadzieścia centów ekstra za zabicie i wypatroszenie kury - proszę zmówić coś po łacinie, Ojczy —

i poczuł, jak ksiądz się wzdryga, kiedy neapolitańczyk, żylasty mężczyzna w koszuli obsypanej piórami, z kamienną twarzą ukreślił ptakowi szyję.

- Gdybym nie był takim nudnym żonkosiem, moglibyśmy się tu zasiedzieć do późnej nocy, opowiadając sobie historyjki.
- Twoje prawdziwe, moje zmyślone.

Wyznanie księdza, śmieszne i smutne, upewniło Alberta, że został pasowany na uprzywilejowanego zausznika, choć może jeszcze nie na zaufanego przyjaciela. Z przyjemnością grał rolę przewodnika po skomplikowanych warstwach rzeczywistości, które ich otaczały, po fabularnych miniaturach ukrytych w każdym geście lub słowie, zaczynał już się jednak obawiać, że Andy nigdy nie zareaguje niczym żywszym niż zaciekawione uznanie.

- A w młodości?
- Czy byłem kiedyś zakochany? Kiedy miałem siedem czy osiem lat, poraziło mnie rozdzierające uczucie. Miłość w najczystszej postaci, Albercie. Nim się zaczęła nawała hormonów. Nie pamiętam imienia tej dziewczynki.
- Wiem, dokąd powinniśmy pójść na spacer. Na jednej ulicy tu niedaleko urządzono plac zabaw. Myślę, że chętnie byś chwilę pobyl wśród dzieci. To już ginący obyczaj, żeby dzieciom dawano się bawić na ulicach miasta. Dopijemy kawę i pójdziemy. Jeszcze po pół filiżanki.

Dał znak dziewczynie.

- Znasz ten słynny stary obraz, Albercie? Dzieci przy zabawie. Na placu targowym bawią się ich dziesiątki. Obraz ma około czterystu lat i jest to prawdziwy szok, kiedy człowiek rozpoznaje wiele zabaw z własnego dzieciństwa. A i dziś dzieci w nie się bawią.
- Uważasz, że jestem pesymistą.
- Dzieci zawsze znajdą sposób. Schodzą, rzec by można, z drogi czasowi i temu spustoszeniu, które sieje postęp. Chyba funkcjonują w zupełnie innym układzie czasowym. Wyobraź sobie, że stoisz wśród drzew i strącasz kamieniami najdorodniejsze kasztany. Podobno rosną w górnych partiach korony. Rzucasz kamieniami przez cały dzień, jeśli zajdzie potrzeba, a potem najlepszy kasztan zabierasz do domu i moczysz w słonej wodzie.

- Myśmy używali octu.
- No to w occie.
- My Włosi - uściślił Albert.
 - Moczysz go, aż stwardnieje i nabierze wartości bojowej. Wiercisz w nim dziurę szpikulcem i przewlekasz przez nią mocne sznurowadło, dość długie, żeby dało się dwa czy trzy razy owinąć wokół dłoni. Wyraźnie to wszystko pamiętam. Oczywiście zawiązujesz węzeł, bo inaczej kasztan zsunąłby się ze sznurowadła. Jeszcze lepszy byłby rzemyk.
- I zaczyna się zabawa.
 - Tak, kasztan dynda ci w rękę, a ja walę w niego swoim; machając sznurowadłem, wprawiam go w ruch wirującego derwisza. Ale najważniejsze jest polowanie na kasztan, moczenie, nakład czasu. W tamtej epoce czas, jaki dziś znamy, jeszcze nie istniał.
 - Co roku o tej porze łąziłem po zoo i zbierałem z ziemi kasztany - powiedział Bronzini.
- Brąziaki.
- Tak, brąziaki.
- Czas - rzekł ksiądz.

W drugim końcu sali dziewczyna łała do filiżanek kawę z ekspresu. Ojciec Paulus czekał, aż przysunie mu po stole filiżankę, a on zanurzy twarz w aromatycznym obłoku pary.

A potem powiedział:

- Czas, Albercie. Prawdę mówiąc, obaj musicie być gotowi zapłacić znacznie wyższą cenę. Dni i godziny. Całe dni nad szachownicą. Dni i tygodnie.

Bronzini uznał, że nareszcie może powiedzieć, co naprawdę myśli.

- A jeśli nie chcę zapłacić tej ceny? A ty chcesz? Nie chcę albo nie mogę. Jeśli ta rola mnie przerasta. Jeśli nie potrafię jej sprostać. A ty potrafisz, Andy?

Ksiądz spojrział na węzeł krawata, który Albert miał zawiązany na szyi.

- Myślałem, że chcesz mnie spytać o zdanie.
- Owszem.
 - Proszę cię. Sądzisz, że mogłoby mi chociaż przemknąć przez myśl, czy nie wziąć tego chłopca pod kuratelę? Proszę cię, Albercie. Mam własne życie, chociaż może niewiele warte.

- Jest Ojciec znacznie bardziej zaawansowany niż ja. Grywał w turniejach. Rozumie psychologię gry.

Paulus wyprostował się na krześle, jakby formalnie przенosił debatę na bardziej obiektywny poziom.

- Szczerze mówiąc, teorie na temat psychologii szachów nic a nic mnie nie obchodzą. Cała rzecz w ustawieniu, sytuacjach i pamięci. I pragnieniu zwycięstwa. Psychologia tkwi w gracz, a nie w grze. Gracz musi lubić poczucie zagrożenia. Musi mieć instynkt zabójcy. Musi być dumny, arogancki, agresywny, wyniosły i władczy. Skrajnie samowolny, Albercie. Musi być uo sobieniem wszystkich grzechów oprócz cielesnych.

Skarcony i zgaszony, Albert czuł jednak, że mu się należało. Ksiądz krytykował oczywiście pobłażliwość Bronzinię, a nie opieszalność chłopca. Ganił nauczyciela za niefrasobliwe, swobodne tempo, które ten narzucił.

- Ma szansę zostać mistrzem.

- Słuchaj, gotów jestem przyjść na parę turniejów. Trochę tobą pokieruję, jeżeli zdołam. Ale nie chcę go uczyć. Za żadne skarby.

Teraz dla odmiany przyszła babcia, niosąc otwartą butelkę anyżówki z szyjką oskorupiałą u góry. Kiedy Bronzini spytał ją o samopoczucie, zakolysała głową. Likier zarezerwowany był dla wybranych klientów, mijało sporo czasu, nim ktoś zasłużył na ten poczęstunek. Staruszka nalala do każdej filiżaneczki popielatą kroplę, a ksiądz lekko się zarumienił, jak zwykle w bliskości ludzi wyraźnie odmiennych. Ich nieznanne życie zbijało go z tropu, aż zaczynał sztywno się uśmiechać, a na policzki wypełzał mu oficjalny rumieniec poszanowania.

Babcia wyszła, nie odezwawszy się ani słowem. Patrzyli, jak sunie w stronę mrocznego pokoju na zapleczu, powolna niczym księżyc.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć w sprawie starszego brata
-rzekł Paulus.

- Mniejsza z tym. Spytałem, bo jego matka o to prosiła.
Wszystko jakoś się ułoży.

- W głowach kilku z nas pomału wykluwa się pewien pomysł.
Nowy rodzaj kolegium. Bliższy kontakt, minimum reguł.
Może będziemy uczyć łaciny jako języka żywego. I matematyki jako formy artystycznej w rodzaju poezji czy muzyki. Będziemy

uczyć przedmiotów, o jakich ludzie nawet by nie pomyśleli, że muszą je poznać. A wszystko to gdzieś na odludziu. Z myślą o chłopcach szczególnego typu. W szczególnych warunkach - powiedział Paulus. - Chłopak musi mieć w sobie coś. Albo mieć coś na sumieniu. Grunt, żeby był niezwykły.

Kiedy wstali i ksiądz zaczął zbierać swoje książki, Bronzini wziął jego filiżankę i szybko przechylając głowę, wysączył resztkę kawy - fusy przesycone anyżówką.

Podali sobie ręce i przez chwilę niezobowiązująco się umawiali na następny raz, a potem Ojciec Paulus ruszył w stronę pobliskich budynków koledżu Fordham, Albert zaś ponieważ przypomniał sobie własną propozycję, żeby odwiedzić ulicę, na której urządzono plac zabaw. Szkoda. Gdyby tam poszli, spotkanie mogłoby się zakończyć na cieplejszej nucie.

Ale kiedy mijał tę uliczkę, była już prawie pusta. Paru chłopców grało jeszcze w *ringolievio*, bezładnie i w zwolnionym tempie, tłusty niezdara utknął w jamie, ten, co zawsze da się złapać, wiecznie w roli „ono”, nieco obojnacza, maślana bryła, chłopiec, który co chwila schyla się, żeby podciągnąć opadającą skarpetę, i obrywa szybkiego kopniaka od żartownisiów i sadystów.

Czy właśnie na tym polega rola „ono”? Kogoś wykastrowanego, bezpłciowego, pozbawionego osobowości?

Już ciemno. Kolejny dzień zabaw dobiegł końca, albo prawie dobiegł: odchodząc aleją, Bronzini słyszał za plecami głosy chłopców. A kiedy zabawy naprawdę się kończą, padamy pastwą własnego plugawego nastoletstwa. Jak trudno goi się ta rana, to wyrastanie z dzieciństwa, lecz taka zarazem jest piękna - myślał Albert - czysta i niepowtarzalna. Zostaje tylko strup, ledwie widoczny, zakrzepła wydzielina.

Ringolievio coca-cola raz dwa trzy.

Lekki zapach pieroga i hot dogów z baru pod kręgielnią. Albert przeszedł przez jezdnię i znalazł się w parku Mussoliniego, jak go nazywały dzieci: na ławkach siedziało jeszcze paru starców, każdy ze zwiniętym w rulon „II Progresso” - inspektorzy od świeżego powietrza, emeryci, zobojętniali, w każdym razie beczcylni, palili, rozmawiali i co jakiś czas wydmuchiwali nosy na jezdnię; pochyleni nad krawężnikiem, ściskali kciukiem i palcem wskazującym starą *shnozzola* i strzykali włóknistą strugą.

Albert miał ochotę jeszcze trochę zamarudzić, ale nie widział nikogo znajomego, więc dołączył do niewielkiej armii robotników wracających z pracy, którzy właśnie wyszli z za rogu, od strony Trzeciej Alei, z autobusów i kolejki nadziemnej.

Czas wreszcie iść do domu.

Rosemary Shay siedziała i wyszywała. Na dwóch niewielkich kozłach leżała rama skrzyta w narożnikach czterema śrubami z nakrętkami motylkowymi. Tkanina przypięta była do brzegów ramy. Rosemary igłą z drewnianym trzonkiem przyszywała do tkaniny koraliki, według drukowanego wzoru - zielonkawe paciorki nawleczone rzędkiem na miękką nić.

Słyszała, że Nick robi coś przy kuchennym stole.

- Idź po mięso - powiedziała.

Wyszywając, słuchała, jak chłopiec robi coś w kuchni, nie wiadomo co. Sądząc po odgłosach, chyba pisał, ale raczej nie było to odrabianie lekcji.

- Z góry zapłacone - dodała. - I niedługo zamykają. Więc zbieraj się do wyjścia.

Robiła te swoje wyszywanki, płatne od sztuki. Swetry, sukienki i bluzki. Czasem całe komplety posażne, robota na boku, tak jak dawniej pracował Jimmy.

Wyszywała, słuchając, co robi Nick. W końcu wyszedł. A wtedy poszła i spojrzała na kartkę, którą zostawił na stole. Niezrozumiała bazgranina. Strzałki, gryzmoły, cyfry, kółka z cyframi w środku, numer telefonu z centrali Merian, litery opatrzone cyframi, jakieś proste dodawania i dzielenia, a wszystko razem nerwowo nabazgrane na kartce.

Przy pracy słuchała radia. Zarabiała też oficjalną pensję, którą zgłaszała w urzędzie podatkowym, za to, że przyjmowała telefony do miejscowego adwokata i przepisywała na maszynie -głównie testamenty, akty darowizn i dzierżaw, a także formularze imigracyjne, no i słuchała, jak chlebobdawca opowiada kawały. Opowiadał jej wszystkie najnowsze, a prócz nich miał w zapasie tysiąc starych, i lubił śpiewać po włosku *The Dark-town Strutters Bali*, właściwie odruchowo, tak jak się oddycha albo żuje gumę.

Lubiła tę posadę ze względu na kontakt z ludźmi i dość ela-

styczne godziny pracy. A pieniądze były oczywiście kwestią życia i śmierci.

Bronzini szedł w stronę Tremont Avenue, mijając po drodze kamienice ze schodkami przed wejściami i z drabinkami przeciwpożarowymi, a potem szereg prywatnych domów, niektóre z różanym krzewem w ogródku albo z rozłożystym drzewem, małe drewniane domki, które pomалу zaczynała już obrastać innego rodzaju roślinność - chuderlawe, skrzydlate anteny.

Rozmyślał o „onym”. Było to jedno z pytań, którymi rozkosznie się dręczył. Inny gracz trafia cię albo poklepuje i odtąd jesteś „ono”. Co to właściwie oznacza? Oprócz kastracji. Jesteś bezimienny i przeklęty. Stajesz się złą istotą, której imię jest zbyt potężne, aby wolno było je wymówić. A może to po prostu gwarowe „chono”? Chono, mała, za budkę.

Jakaś kobieta stuknęła monetą w szybę, wołając dziecko na kolację.

W słowie tym zawiera się straszliwa moc, wyodrębniająca cię spośród reszty dzieci. Uciekasz, nie chcesz dać się poklepać, napiętnować. Lecz gdy już przedzierzgniesz się w „ono”, w bezimiennie coś, ni to chłopca, ni to dziewczynkę, inni muszą się ciebie bać. Stajesz się na swojej ulicy mroczną siłą i sam też czujesz się trochę demonicznie, kiedy ścigasz pozostałych uczestników zabawy, żeby ich tknąć kościstą dłonią, zarazić swoim piętnem, klątwą. W miarę możliwości wymawiaj te sylaby wolno. Niech zabrzmiać jak szept śmierci.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów do domu. Idzie ulicą, na której ubyłoby Włochów, a zamiast nich zaczynają pojawiać się Żydzi. Podchodzi bliżej i widzi w oknie na parterze swoją matkę w specjalnym łóżku z wezglowiem podniesionym korbą, z siwymi włosami, które lśnią w miękkim świetle.

Ach, jaki prosty jest baseball. Trafiasz zawodnika przeciwnej drużyny, a on schodzi z boiska, i już. Zupełnie co innego niż stać się „onym”. Jakież widmowy geniusz zawiera się w tym słowie, cała ta dziwaczna część dzieciństwa, która widzi świat przez pryzmat rymów i nonsensownych wyrazów, ponad chowaniem, szukaniem i udawaniem dostrzega coś starego i zawilg-łego, jakąś średniowieczną trwożę - myślał Bronzini - a może coś jeszcze dawniejszego, co pelza pod skórą o północy.

Młody człowiek zapalił zapałkę jedną ręką. Nauczył się tego, kiedy tylko zaczął palić, mniej więcej przed rokiem, chociaż teraz wydawało mu się, że od urodzenia pali te old goldsy: najpierw oddzielał jedną zapałkę, zamykając za nią wieczko książeczki, a potem zapałkę odginał, ciągnąc ją w dół, w stronę draski, i kciukiem popychał główkę. Następnie przytykał płonąca zapałkę do papierosa, osłaniając ją dłonią wraz z całą książeczką, do której wciąż jeszcze była przytwierdzona. Zapalał, gasił płomień potrząśnięciem ręki i idąc na drobne ustępstwo, drugą ręką odrywał od książeczki zużyta zapałkę i posyłał ją do zapalczanego piekła.

Trzeba znać takie zbędne grepsy, żeby przyszanować na ulicy.

Gdy profesor od nauk ścisłych niktą wśród zmierzchu, odchodząc na południe, jego dawny uczeń Shay, słaba trójka plus z podstaw chemii, szedł w przeciwnym kierunku tą samą ulicą, do dzielnicy handlowej, głęboko zaciągając się papierosem, a w głowie kołatały mu liczby.

Od wczorajszego meczu wszędzie widział trzynastkę. Mecz, chóralne „hura!”, a on skulony nad radiem, gotów zarzygać dach własnymi bebechami. A dzisiaj przez cały dzień na każdym kroku same trzynastki. Musiał sięgnąć po ołówek, żeby je wszystkie zapisać.

Branca ma na koszulce trzynastkę.

Branca wygrał w tym roku trzynaście meczów.

Kiedy Giantsi wystartowali w rozgrywkach o proporzec, byli o trzynaście i pół meczu za Dodgersami.

Miesiąc i dzień wczorajszego meczu. Dziesiąty trzeci. Dodaj cyfry, wyjdzie trzynastka.

Giantsi wygrali w tym roku dziewięćdziesiąt osiem meczów i przegrali pięćdziesiąt dziewięć, wliczając w to finały. Dziewięć osiem pięć dziewięć. Dodaj cyfry, odwróć wynik i zobacz, co ci wyszło, zasrańcu.

Godzina decydującego biegu. Trzecia pięćdziesiąt osiem. Dodaj cyfry z liczby minut. Trzynaście.

Numer telefonu, pod który dzwonili ludzie, pytając o wyniki kolejnych zmian. ME 7-1212. „M” to trzynasta litera alfabetu. Dodaj wszystkie pięć cyfr - i po staremu wyjdzie ci trzynastka.

Weź nazwisko „Branca” (tu już Nickowi naprawdę zaczęło odbijać). Weź nazwisko „Branca” i przyporządkuj każdej literze cyfrę według pozycji tej litery w alfabecie. Właśnie w tym momencie przyszło mu na myśl, że jest tak samo szurnięty jak jego brat, który rozwiązywał zadania szachowe, obliczał prawdopodobieństwa, czy co tam zresztą szczeniak wyprawiał. Weź nazwisko „Branca”. „B” to dwójka. „R” to osiemnastka. I tak dalej. W sumie trzydzieści dziewięć. A co to takiego trzydzieści dziewięć? Liczba ta podzielona przez dzień miesiąca, w którym odbył się mecz, daje trzynastkę.

Thomson gra z numerem dwadzieścia trzy. Odejmij miesiąc, w którym rozegrano mecz, i sam wiesz, co ci wyjdzie.

Dwaj faceci popychali samochód, który nie chciał ruszyć. Mało brakowało, a Nick podszedłby, żeby im pomóc, ale się rozmyślił. Zerwał już z baseballlem - tak przynajmniej uważał. Zerwał ostatnią wątlą nić, jaka łączyła go z cudzym życiem. Zobaczył starca, który przebierał się za księdza, chociaż niezupełnie: czasem wkładał sutannę i domowe papucie, a kiedy indziej żebrowaną czarną czapkę, jaką noszą księża, kiedy chcą błogosławić tym pierdolonym tłumom, i podniszczone codzienne ubranie.

Wszedł do mięsnego. Dzwonek nad drzwiami zadzwęczał. Przy pieńku stał rzeźnik, kuzyn Joe, i rąbał schab.

- Ty. Patrz, kto przyszedł - rzekł drugi rzeźnik. Powiedział to mimochodem, do nikogo w szczególności. Kuzyn Joe podniósł głowę.
 - Patrz, kto przyszedł - powtórzył. - Co słysząc, Nicky?
 - On lubi, żeby na niego mówić Nick - poprawił go drugi rzeźnik. - Nie wiesz?
 - Przecież znam go, odkąd skończył cztery lata, od cherlawego knypka. Jak dawno tu przychodzisz, Nicky?
- Nick się uśmiechnął. Wiedział, że jest tylko nieruchomym obiektem, bandą, od której odbijają się ich strzały.
- Widziałem go z tą jego dziewczyną. Z Loretą - powiedział drugi rzeźnik.
 - Myślisz, że ona mu daje?
 - Na pewno. Poznać po jego minie, kiedy razem przechodzą.
 - Opowiedz mi o tym, Nicky. Popraw mi humor - poprosił rzeźnik. - Bo tak nisko upadłem, że muszę się pytać innych ludzi, co oni takiego robią, a ja już nie.

- Podejrzewam, że z niego jest zwykły piździarz. Wschodzący.
 - To prawda, Nicky?
Nickowi z każdą chwilą polepszał się nastrój.
 - Podejrzewam, że baby tyle mu dają, że dla reszty facetów nic nie zostaje - stwierdził drugi rzeźnik, Antone, ledwie widoczny za gablotką.
 - Popraw mi humor, Nicky. Stoję tu cały dzień i patrzę, jak przechodzą. Duże baby, małe baby, dziewczyny z Roosevelta, dziewczyny od Tomasza z Akwinu. I wiesz, co mi chodzi po głowie. Gdzie jest ta moja?
 - Nicky ją zarwał. I wszystkie moje też.
 - To do niego podobne.
 - A wiesz dlaczego, Joe?
 - Dlatego bo robi coś, czego nie powinien.
 - Jak tędy przechodzi, to zawsze z tym piździm uśmieszkim. Który może znaczyć tylko jedno. Że chłopak chodzi do lodziarni przy rozjeździe.
 - *Sboccato* - radośnie powiedział rzeźnik. Karcąc Antone'a, zachrypiął z głębi gardła: - Nie świntusz.
- Nick podszedł do drzwi, otworzył i poczekał, aż minie je przechodząca kobieta, a potem pstryknął niedopałkiem w stronę krawężnika.
- Kto jest lepszy od niego? - spytał Antone.
 - Chodzisz do szkoły, Nicky?
- Zdarza mu się. No, kto jest lepszy od niego? - powtórzył Antone. - Dałbym sobie uciąć prawą grabę.
- Antone wyjął z gablotki torbę. Były w niej kotlety, kurze piersi i świeży boczek. Podał ją górą Nickowi.
- Kto jest lepszy od ciebie? - spytał.
 - Trzymaj się - rzekł kuzyn Joe.
- Prawą grabę dałbym sobie uciąć. Popatrz no się na tego chłopaka.
- W powietrzu wisiał smak krwi i trocin.
- Pozdrów matkę, dobra?
 - I pamiętaj, trzymaj się ciepło.
 - Trzymaj się - powiedział rzeźnik.

Rozpromieniony Bronzini leżał w ogromnej wannie, w żelaznym zabytku na lwich łapach, po szyję w wodzie.

Wokół niego musowały kryształki soli.

Jego żona Klara stała oparta o framugę drzwi, a ich dwuletnia córeczka czepiała się jej nogi, powtarzając słowa, które tatuś dyktował z odmětów.

- Mandarynka - powiedział Albert.

Było to szczęście zgodne z planem ewolucji, która dała mu początek w jaskiniach, w lepiankach na trawiastej równinie. *Mamele* i nasza piękna *bambina*. A jego własna matka, upiornie chora, ale nareszcie blisko, szemrząca; w domu czuło się jej silną, śmiertelną obecność. I Albert w gorącej kąpeli, po powrocie z łowów, znowu w podstawowej komórce.

Opowiedział pokrótce o spotkaniu z Ojcem Paulusem. Apatyczna Klara parę razy chciała chyba coś wtrącić, bo jej ciało zaczęło jakby dokądsz pełznąć, nagle niecierpliwe i sceptyczne.

- Imponujący mężczyzna. Następnym razem wezmę cię ze sobą. Albo zaproszę go do nas.
- On wcale nie chce tu przychodzić.
- Doktoryzował się z filozofii w Yale. Zrobił magisterium *magna cum laude* na wydziale teologii jakiegoś ośrodka jezuitów w Europie. Chyba w Louvain. - Wymówił to słowo, nadając mu uprzywilejowane brzmienie. - W Fordham prowadzi katedrę nauk humanistycznych.
- Ale nie ma ochoty pomóc ci prowadzić tego chłopca.
- Owszem, pomoże. Obiecał przyjść na turniej. Mandarynka - rzekł do dziecka i uniósł ręce nad wodę.

Klara dźwignęła dziewczynkę nad zawinięty brzeg wanny, a Albert usiadł i wziął małą pod pachy, tak że zawisła wyprostowana i zaczęła dreptać w miejscu, ledwie dotykając powierzchni wody stopami w białych skarpetkach, śmiejąc się i wzburzając drobne fale. Poczul się jak matka foka, tak, matka, a nie jakiś zachrypnięty, kaszlący byk czy jak tam zwą te focze samce - będzie musiał sprawdzić w książce.

- Znasz ten stary obraz - spytał - na którym dzieci, jest ich chyba kilkadziesiąt, bawią się na miejskim rynku?
- Nie kilkadziesiąt, tylko kilkaset. W każdym razie co najmniej dwieście. Tak, to Bruegel. Jest w nim coś chorego. Czemu pytasz?
- Tak się jakoś o nim zgadało.
- ,- Nie wiem, co mówi o tym obrazie historia sztuki. Ale dla

mnie mało się on różni od innego słynnego Bruegla, pejzażu, przez który maszerują wojska zmarłych. Te dzieci są tłuste, niedorozwinięte i jest w nich coś złowrogiego. Jakaś groźba, obłęd. *Kinderspielen*. Wyglądają jak karły zajęte czymś okropnym.

Dziewczynka wierzyła, a on trzymał ją tuż nad powierzchnią i co pewien czas troszkę opuszczał, żeby mogła się pochłapać, śmiejąc się, kiedy woda pryskała mu w twarz.

- Tłuste i niedorozwinięte. Słyszysz, malutka? Prawdę mówiąc, robi się dosyć ciężka, prawda? No, no. Prawda, kiciu?

Prędzej czy później codzienna litania delikatnych pytań i lakonicznych odpowiedzi.

- A moja matka?

- Odpoczywa.

- Lekarz był?

- Nie.

- Kiedy przyjdzie?

- Jutro.

- Jutro. A pani Ketchel zajrzała?

- Zajrzała i poszła.

Dziewczynka dreptała po wodzie, aż wreszcie podniósł ją wysoko i oddał Klarze. Kobieta szybkim ruchem przeniosła małą nad koniec wanny i zdołała jej ściągnąć mokre skarpetki mniej więcej sekundę po lądowaniu. Jedno z tysiąca codziennych starć na śmierć i życie między matką a dzieckiem. Zawodzenie, zgięte członki i fizyczny napór kobiety. A wszystko to w zwięzłej mgłę, która oszołomiła Alberta, aż wychylił się z wanny i zobaczył leżące na kafelku dwie nasiąknięte wodą skarpeteczki, widomy dowód.

Jego matka cierpiała na chorobę nerwowo-mięśniową, miastenię, toteż wiele czasu spędzała, leżąc bezradnie, ze zwiotczalymi powiekami; ręce miała tak słabe, że ledwo nimi ruszała, formułując jedynie coraz bardziej spowolnione sylaby z mowy gestów, teraz już rozbite na osobne morfemy, i chyba podwójnie widziała.

Ostatni raz powtórzył ten wyraz dziecku, gdy Klara wyprowadzała je z łazienki.

Ściągnął do siebie matkę, przewyciężywszy jej własny fatalizm i praktyczne obawy żony. Być synem to znaczy opiekować się rodzicami. Choroba, dramat coraz bardziej zawodnego

ciała, nadszyci, nadciągająca śmierć nadawały jej wyraz świętości, niewzruszoną mimikę ikony, surowe, zapatrzone, emaliowane piękno. Albert, który unikał wszelkich form zorganizowanego kultu, a Boga uważał za zbiorową halucynację, godzinami siedział i wpatrywał się w matkę, czesał ją, zbierał klinexami rzadki kał, kiedy dostawała rozwolnienia, mówił do niej po włosku, tak jak się nauczył w dzieciństwie, i czuł, że dom, mieszkanie przeniknięte jest uszanowaniem, pradawnym, smutnym, ciężkim i imponującym - powiewem zaświetów, odkąd pojawiła się matka.

Sole przestały musować, więc leżał przez chwilę w zupełnej ciszy. Czuł, jak błogostan zaczyna się ulatniać. Może to wieczór miał w sobie coś, co wywoływało ten przejściowy smutek. Słyszał, jak Klara w kuchni przygotowuje kolację. Pewne sprawy musiał trzymać na dystans. Jej nastroje, jej wątpliwości. Pomyślał o własnej sytuacji. O sprawach, którym musi stawić czoło. O swojej niefrasobliwości, roztargnieniu, etacie w szkole, ukradkowym popijaniu.

I wreszcie sobie uświadomił, zniecka. Mandarynka. Ta chwila po południu, gdy stojąc na targu, obierał owoc z luźnej skórki i zjadał słodkie cząstki o lekko piekącym soku, i zapach, który zdawał się tchnąć esencją, nie wiedzieć czemu, Maroka. A teraz zrozumiał, niepodważalnie. Mandarynka, *tangerine*. Tanger, Tangier. Port, z którego po raz pierwszy przywieziono te owoce do Europy.

I zaraz mu lepiej, piękne dzięki.

Język omotany zmysłami. Z piaszczystoskwarnej jaskrawości prosto w zdziwaczałe umysły, takie jak jego własny, prosto w dotyk, smak i woń. Postanowił jeszcze trochę poleżeć w kąpielu, żeby całkiem nim zawładnęła, rozluźniła i ukołysała, zanim włoży ubranie i wejdzie w te skomplikowane pudełka, w których ludziorzom upływa życie.

Nic nie pasuje do ciała tak idealnie jak woda.

2

Potem mieli pójść po wóz, ale jeszcze trochę posiedzieli na schodkach przed sześćset jedenastym, czekając, aż noc zgęstnieje.

Juju nie usiadł, póki nie rozłożył na schodku chusteczki do nosa. Opowiadał o najnowszych modelach aut, prosto z taśmy, ten ma tyle a tyle koni mechanicznych, tamten dobrze się prowadzi, mówił to żarliwie, z przejęciem.

- Gadasz, jakbyś miał za chwilę sięgnąć do portfela - rzekł Nick. - A tymczasem obaj wiemy.

Scarfo stał na rogu jakieś dziesięć metrów od nich i jadł oblane czerwonym syropem jabłko na patyku; dorosły facet, trzymając je z dala od siebie, pochylał się, żeby ugryźć.

- Tam w środku jest tylko kondon.

Patrzyli, jak ludzie wracają z pracy. Nick siedział zgarbiony na żelaznej poręczy tuż nad głową Juju. Było zimno, a ludzie zasuwali do domu, urzędnicy, kierowcy autobusów, szwaczki, windziarze.

Nick przyglądał im się i palił.

- To ty - powiedział.

- O co ci chodzi?

- Góra dwa lata. To ty - powtórzył Nick. - A może i wcześniej.

- Praca jak praca. Każdy ma jakąś pracę. Co byś chciał, żeby robili?

- Powiem ci, co myślę.

- Zostaw macha.

Patrzyli, jak Scarfo rozmawia z szewcem, trzymając w wyprostowanej ręce jabłko na patyku.

- Wszystko jest lepsze niż to, co oni robią. Tak uważam.

- Pracują. Co ci przeszkadza?

Nick patrzył i palił: sekretarki, monterzy, kasjerzy z banków, gońcy, maszynistki, stenografistki.

- Nie chodzi mi o pracę, tylko o normowany czas - wyjaśnił Nick. - Codziennie chodzą na tę samą godzinę. Podbijają kartę, wsiadają do metra. Chodzi o tę jazdę metrem.

Wszyscy w kupie. I tak samo w kupie wracają potem do domu.

- Ty jesteś na to za dobry.

- Za dobry, za kiepski, co za różnica?

Kiedy Nick ostatni raz zaciągał się papierosem, trzymał niedopałek kciukiem i palcem wskazującym, zgiąwszy środkowy, żeby móc w każdej chwili nim pstryknąć, i w końcu wziął ostat-

niego macha i pstryknął petem do rynsztoka, jednym płynnym ruchem.

- Dziękuję - rzekł Juju.
- Za co?
 - Wołałbyś przez dwadzieścia tygodni w roku brać zasiłek, niż mieć stałą robotę i przyzwoicie zarabiać?
 - Powiem ci, co bym wołał. Wołałbym, żeby ta w zielonym płaszczu zrobiła mi loda.
- Która?
- Ta w zielonym płaszczu.
- Gdzie?
- Po tamtej stronie ulicy - powiedział Nick.
- Podoba ci się?
- Przecież nie mówię, że zaraz chcę się z **nią** żenić.
- Nie mogłeś mi zostawić macha?
- A co? Prosiłeś?
 - Strasznie niska - stwierdził Juju.
 - ' To dobrze. Może mi obciągnąć na stojaka.
- Nie obetrze sobie kolan.
- Bóg dobrze wie, po co robi niskich ludzi.

Scarfo miał na sobie schludne spodnie z zakładkami i porządne buty. Jedząc jabłko, cały się wyginał, żeby syrop nie nakapał mu na ubranie. Rozmawiał z szewcem, który stał przed nim, przysadzisty i nijaki.

- Masz forszę na benzynę? - spytał Juju.
- Nie musimy kupować. Żeby dojechać tam, gdzie jedziemy?
- A gdzie jedziemy?
- Na bilard - odparł Nick.

Patrzyli, jak szewc się namyśla. Jakby człowiek patrzył na srającego buldoga.

Tłum wracający z pracy stopniowo rzedł, aż zostali tylko nieliczni maruderzy. Był wieczór przed Świętem Dziękczynienia i wypadało czuć się jakoś szczególnie, no bo przecież jutro święto, wolny dzień, trzeba się przygotować do uczty z krewnymi, którzy przyjdą z wizytą, ale Nick miał wolne już od paru tygodni, bo rzucił szkołę, a w pobliżu nie mieszkali żadni krewni, za co zresztą należało dziękować losowi.

Puknął Juju w ramię. Poszli na Quarry Road, kawał zachwaszonego pejzażu, który odwiedzali głównie spacerowicze z psa-

mi. Tam właśnie pod wysokim kamiennym murem otaczającym szpital dla nieuleczalnie chorych czekał chevrolet rocznik 46.

Byli za młodzi, żeby zdawać na prawo jazdy, ale to nie miało znaczenia, bo wóz i tak ukradli.

Jakieś trzy tygodnie wcześniej zobaczyli o zmroku, że stoi zaparkowany niedaleko zoo, z kluczykiem w stacyjce, i Nick wsiadł pod wpływem impulsu, jednego z odruchów tak raptownych, że człowiek ulega im, zanim zdąży choćby rzucić sobie wyzwanie, i zapuścił silnik. Juju przyglądał się przez sekundę i zaraz wskoczył. Był z nimi Vito Nietoperz i on też dołączył. Do późnej nocy jeździli po mieście i wciąż jeszcze był to żart, wyskok, zrzucili się na benzynę i znowu trochę pojeździli, po czym zostawili auto przy pustej parceli, a Nick wziął kluczyki. Nazajutrz stało tam nadal. Zdjęli tablice rejestracyjne z auta wujka Vito, które na zimę dostało chorobowe, i zrobili podmianę, a potem jeździli głównie nocami, bo ryzykanctwo ustąpiło miejsca odpowiedzialnemu poczuciu własności, i tylko na krótkich trasach, bo wydawało się, że tak będzie bezpieczniej, a oni nie mieli dość pieniędzy na benzynę, zresztą i tak nie było dokąd jechać.

Juju przekręcił kluczyk w stacyjce i przez chwilę siedzieli, słuchając, jak silnik pulsuje.

- Widzisz, coś narobił z tą wykładziną - powiedział Nick.
-Dopiero trzy tygodnie, a już ją zniszczyłeś. Tak szuracie butami, że faktura się zdziera. Ty i ta twoja dziewczyna. Bierz ją na tylne siedzenie, zwierzaku.
- Na tylnym ciasno.
- *Animale.*
- Tu z przodu więcej miejsca.

Juju i Gloria, jego dziewczyna, spędzali na przednim siedzeniu całe godziny, migdałąc się do późna w noc, dłonie młodego człowieka wypuszczały się na zwiady, ale sprawczyniami nieszczęścia były stopy, które wbijali w podłogę, targani daremną namiętnością, aż z wykładziny ścierały się rowki.

- Wytlumacz Glorii, niech ci uprzejmie da, to na dłuższą metę auto mniej ucierpi. Oszczędzicie sobie tej całej męki, a tak to tylko wyżywacie się na umeblowaniu.
- Aha, na umeblowaniu.

- Niech da dupy albo niech da spokój. Powiedz jej to grzecznie. Bo nie stać nas, żeby niszczyła naszą własność.

Juju wrzucił jedynekę, minęli dwie przecznice, które dzieliły ich od sali bilardowej, i zaparkowali z dala od latarni. Wysiedli, obejrzelni wóz, przeszli na drugą stronę ulicy i wspięli się po długich, prostych schodach ze stalowymi okuciami na krawędziach, a potem przez wysokie metalowe drzwi weszli prosto w rzadki dym wypełniający przestronną salę, w której samotna, niewyraźna postać stała zgarbiona nad stołem, a w półmroku wirowała biała biała.

Jakaś kobieta zastukała monetą w okno, więc Klara spojrzała w jej stronę. Kobieta pomachała ręką, pani, jak ją tam zwał, a Klara uśmiechnęła się i czym prędzej wróciła do przerwanych zajęć. Spodziewała się gościa, a nie zdążyła się przygotować.

Wstąpiła po parę rzeczy do spożywczego, a potem weszła po schodach od frontu i zobaczyła, że matka Alberta siedzi w oknie na łóżku z podniesionym wezgłowiem; w białej koszuli szpitalnej, zwrócona twarzą w stronę ulicy, z medalikiem na szyi, wyglądała trochę jak objawienie, a trochę jak ktoś, kto objawienia wyczekuje.

Klarę korciło, żeby opatrzyć tę uderzającą scenę tytułem wziętym z jakiejś galerii malarstwa renesansu; starała się oprzeć jej niegodziwej pokusie, choć z drugiej strony staruszka rzeczywiście była wystawiona na pokaz.

Tego popołudnia przy matce Alberta dyżurowała pani Ketchel. Dzieckiem zajmowała się dziewczyna z tej samej kamienicy, sprawna i solidna.

Klara trochę posprzątała, ale tylko pobieżnie, a potem stanęła w wolnym pokoju i spojrzała na szkic, który wisiał na sztalugach, studium przedstawiające tenże pokój. Już od pewnego czasu szkicowała własną pracownię. Futrynę drzwi, boazerię, spiętrzone w kącie walizki.

Kiedy Rochelle zadzwoniła do drzwi, Klara stała w kuchni i paliła papierosa.

- Więc tu wylądowałaś, Klara.
- Zanadto się nie przyglądaj. Nie posprzątałam.
- Dla starych przyjaciół się nie sprząta. Siedziały w salonie przy kawie i ciasteczkach.

- - Więc tu wylądowałaś.
- Dokładnie, ile to będzie, sześć przecznic od ulicy, na której się wychowywałam?
 - Dziwne uczucie, kiedy się wraca na stare śmieci. Wszyscy tacy brzydzą. Słowo daję, nigdy nie zauważyłam.

Prawdziwa Rochelle. Klara taką właśnie chciała ją zobaczyć, ale nie była pewna, czy to jeszcze możliwe.

- Masz nowe mieszkanie - powiedziała.
- Na Riverside Drive. Sama nie wiem, jakim cudem tak mi się poszczęściło.
- Wyglądasz bardzo, jak by to powiedzieć, parysko. Może to fryzura albo ciuchy. Jak myślisz?
- Kiedy raz się z tym zacznie, nie sposób przestać. To jak choroba - odparła Rochelle. - A ty wciąż jesteś smukłą jak witka. Niczego ludziom tak nie zazdrozczę.

Jej mąż był przedsiębiorcą budowlanym. Mówiła o nim „Harry od Placów”. Latali na Florydę, na Bermudy i razem kupowali dla Rochelle bieliznę na Piątej Alei.

- Więc tu wylądowałaś, Klara. I uczysz rysunku.
- W dzielnicowym ośrodku. Przychodzą do mnie dzieci, jedne wierzgają, inne się drą. Niektóre są bardzo chętne, uwielbiają rysować.
- Czyli masz satysfakcję.
- Czasem, tak, czasem sprawia mi to przyjemność.
- Sprawia ci przyjemność. To dobrze. A Albert. On też jest nauczycielem. Wszyscy są teraz nauczycielami. Jedna połowa świata uczy drugą.
- Albert jest prawdziwym nauczycielem. Zawodowym.
- Ta staruszka to jego matka?
- Tak naprawdę to bardzo silna kobieta, nawet w tym stanie. Pod wieloma względami zasługuje na podziw. Nie daje sobie w kaszę dmuchać, nikomu.
- Jest umierająca?
- Tak.
- Dacie jej umrzeć w domu?
- Tak.
- Zawsze byłaś w tych sprawach **tolerancyjna**. Masz **kochankę**, Klara?

- Ledwie minęło dziesięć minut, odkąd weszłaś do mojego — domu. Powiem ci: nie, nie mam.
- A chcesz spytać, czy ja się zabawiam na boku?
 - Wiem, co powinnam powiedzieć. Musiałabyś oszaleć, żeby się zabawiać na boku. Rzykować, że stracisz to wszystko? Harry'ego, mieszkanie, bieliznę? Chociaż właściwie.
 - Tylko parę razy. Muszę czymś sobie wypełnić popołudnie, bo inaczej nie wiem, po co żyję.

Rochelle miała ochotę obejrzyć jej prace. W wolnym pokoju stało opartych o ścianę kilka małych płócien, więc poszły tam i popatrzyły. Rochelle tak bardzo chciała powiedzieć coś trafnego, że pod tą presją aż jej się skurczyła szyja.

- Harry chce kupować dzieła sztuki.
 - Powiedz mu, żeby sobie wziął doradcę.
 - Powiem mu, powołując się na ciebie.
- Klara pokazała jej trochę pastel.
- Albert to uroczy, miły człowiek, prawda? Podoba mu się, że malujesz?
 - Myśli, że się w ten sposób relaksuję.
 - Więc mówisz, że sprawia ci to przyjemność. Przychodzisz do tego pokoju i malujesz. Wyobrażam sobie, jak to robisz, Klara. Stoisz tu i myślisz, odmierzasz pędzlem proporcje. Próbujesz raz tak, raz siak. Kiedyś pozwoliłam windziarzowi po-czochrąć się o moje udo, na Florydzie.

Wypiły jeszcze po filiżance kawy i poszły na górę zobaczyć dziecko Klary. Mała bawiła się na podłodze łąmigłówką. Spędziły tam pół godziny, rozmawiając z opiekunką i patrząc, jak dziewczynka tworzy własny świat, ignorując gotowy wzór z łąmigłówki.

- Klara, powiedz mi wreszcie, że powinnam urodzić dziecko.
- Jesteś ostatnią osobą, której bym coś takiego powiedziała.
 - Dziękuję ci. Będziemy się przyjaźnić do końca. Uściskaj mnie, wrócę do domu szczęśliwa.

Zeszły na dół i jeszcze chwilę stały na schodkach przed domem, rozmawiając. Trzej mężczyźni pchali samochód, żeby silnik zapalił. Prószył lekki śnieżek.

- Mówisz, że ona nie daje sobie w kaszę dmuchać, matka Alberta. Zaprowadź mnie do jej łoża śmierci, zanim będzie za późno. Może powie mi coś, co powinnam wiedzieć.

Klara po wyjściu Rochelle poszła do wolnego pokoju i odstawiała obrazy pod ścianę, a potem przyjrzała się szkiecom. Drzwi, klamka, ściany, framuga okienna.

Odesłała panią Ketchel do domu i sama posiedziała przy matce Alberta, a kiedy się ściemniło, poszła do kuchni przygotować coś na kolację. Ale przedtem zapaliła lampę przy łóżku, żeby Albert widział matkę, wchodząc po schodach.

Samotnym bilardzistą był George Manza, George Kelner. Grał sam ze sobą w głębi sali. Nie miał zwyczaju zadawać się ze stałymi bywalcami, a poza tym był prawdziwym mistrzem. Rzadko pojawiał się ktoś, kto dorównywał mu poziomem.

Nick stał przy stole, przy którym grano w remika, ale obserwował George'a w akcji. Kelner grał szóstką na bandę, pięknie rozgrywał jedynekę, a potem tak strzelał *masse*, że Nick nawet po fakcie ledwo potrafił sobie uzmysłwić, jak właściwie potoczyły się bile.

Kiedyś - prawie przed rokiem - George nieoczekiwanie podszedł do Nicka i poprosił go, żeby wybrał się z nim do urzędu zatrudnienia. Musiał wypełnić jakieś druki, bo inaczej nie dostawałby zasiłku przez następne dwadzieścia tygodni, i co prawda nie powiedział tego wprost, ale Nick zrozumiał, że George potrzebuje kogoś, kto pomoże mu przeczytać formularze i wpisać wszystkie dane. Rozumiał też, czemu mężczyzna w tym wieku woli nie prosić o przysługę nikogo z rówieśników. Poszli do urzędu, wypełnili druki i George nie był ani trochę zakłopotany, a od tamtej pory zawsze znajdował dla Nicka parę słów, jakąś radę, pozdrów matkę, skończ szkołę.

Ktoś mówi:

- Co to ma być, tydzień ruchania kumpli?

Za bufetem pod telewizorem stał Mike Macher, niski mężczyzna z kwadratową szczęką, zawsze mniej więcej o dzień spóźniony z goleniem. Salon bilardowy to była działalność uboczna, Mike głównie zajmował się bukmacherką. Czasem pozwalał Nickowi i jego kumplom pograć w bilard przy zgaszonej lampie nad stołem. Grając bez światła, nie musieli płacić.

Ściągnął Nicka spojrzeniem i przechylił głowę, a kiedy Nick podszedł, Mike coś do niego powiedział.

- Co?

- To się nazywa grubsza kradzież. Znasz takie wyrażenie?
- O co ci chodzi?

Mike przechylił się przez bufet, mówiąc półgłosem:

- Myślisz, że ludzie nie gadają? Co cię napadło? Zdawało mi się, że masz łeb na karku. Juju to piździmóźdzek, akurat po nim nie spodziewałem się niczego lepszego. Ale tobie się dziwię.
- Mike, ten wóz to kawał złomu. Naprawdę nie wyobrażam sobie, że właściciel miał zamiar jeszcze nim jeździć. Zostawił kluczyki w stacyjce, żeby ktoś go zabrał. Taką brykę wyprowadza się do lasu i rozstrzeliwuje. Więc myśmy mu tylko oszczędzili fatygi.
- Będziesz się śmiał, jak cię zgarną na komendę. Już widzę minę twojej matki, Nicky.

Podszedł pies i obwąchał buty Nicka. Był to kundel przybłąda, którego Mike Macher przygarnął pewnego dnia. Ktoś nazwał go Mike Huncwot.

- No dobra. Pomyślę, co z nim zrobimy.
 - Pozbądź się go. To jedyne, co możesz zrobić.
 - Nie będzie mi już potrzebny. Idę do pracy. W każdej **chwili** będę mógł złapać taksówkę.
 - Mądry z ciebie facet. Wdałeś się w ojca.
- Nick nie był pewien, czy rad to słyszy.
- Twój ojciec lubił ustawić się w kącie, a potem całkiem usunąć na margines. Zawsze był na marginesie. Nie żebym tak znów dobrze go znał. Robiliśmy w tym samym fachu, ale on w śródmieściu, a ja tutaj, a zresztą twój stary zawsze trzymał dystans. Jakby był całkiem gdzie indziej, nawet kiedy stał tuż obok.
 - Coś zrobię.
 - Zastanów się, co zrobić.
 - Lada chwila będę miał robotę. Zerwałem z tym zbrodniczym życiem, Mike.

Teraz już przy dwóch innych stołach grano w bilard, a kiedy Juju zaczął układać bile na trzecim, Nick podszedł, żeby rozegrać partię.

- Mike wie - powiedział.
- Co? Wie?
 - Chyba wszyscy wiedzą. Jak mogliby nie wiedzieć? Nawet ten pierdolony pies wie.

- No to zesrał nam się fart - stwierdził Juju. - Wetkniemy kluczyk z powrotem do stacyjki, pójdziemy sobie, i już.
 - Dobry pomysł. Daj mi kluczyki. Ja to załatwię - rzekł Nick.
- W połowie partii poszedł do telefonu, który wisiał na przeciwległej ścianie, i zadzwonił do Loretty. George Kelner zobaczył go i podniósł kij, a Nick w odpowiedzi uchylił wymagowanego kapelusza.
- Loretta. Co robisz?
 - Przymierzam te buty, które kupiłam.
 - Te buty.
 - Które kupiłam. Przecież byłeś wtedy ze mną.
 - Trzy dni temu.
 - Ale dalej je przymierzam. I co z tego?
 - Jesteś sama?
 - Z matką.
 - Nie jesteś sama?
 - Mówię ci, że z matką.
 - Jest teraz w domu?
 - Mieszka tu. To jej dom. Ma prawo.
 - Ja tylko myślałem, że jakbyś była sama.
 - Jest tu moja matka.
 - To mógłbym wstąpić.
 - Ona dalej tu jest. Była, kiedy spytałeś się pierwszy raz, i cały czas jest.
 - No to spotkaj się ze mną przy aucie. Zaparkowałem na przeciwko Mike'a.
 - Mam się z tobą spotkać przy aucie? O tej porze?
 - Gdzieś pojedziemy.
 - A co ja powiem w domu? Mamo, idę po mleko.
 - - Jutro nie idziesz do szkoły. Nie musisz wcześniej wstawać.
 - Muszę wstać, żeby pomóc upiec indyka. Przyjdą do nas dwadzieścia dwie osoby. Wstają pół do siódmej. Może jak wszyscy sobie pójda. Jutro wieczorem.
 - Przyjdź w tych nowych butach.
- Podszedł do George'a i przez chwilę patrzył, jak Kelner rozgrywa. Miał mączystą cerę i puste oczy, a rozmawiając z Nickiem, celował nosem prosto w białą bilę.
- Co to ja słyszę, że już nie chodzisz do szkoły?

- Już nie, już nie. Strata czasu, nie uważasz?
- Skończ szkołę.
- Skończ szkołę. Dobra, George.
- Pracujesz?
- Będę miał dorywczą robotę.
- Jaką?
- Przy lodach w chłodni. Pakowanie i rozpakowywanie.
- Pod kontrolą związków?
 - Jakich związków? Związki chcą, żeby pakowacze lodów po każdym dwudziestu minutach pracy mieli dwadzieścia minut przerwy. Bo inaczej odmrożą sobie fiuty. Więc firma bierze do roboty takich frajerów jak ja.

George władował czwórkę tak zamasyście, że o mało nie wbił kija w sufit. Był to ciekawy widok, kiedy taki milczek jak George zaczynał się nagle popisywać przy stole.

- Potrzebujesz zarobić parę groszy.
- Zgadza się.
 - I nie zastanawiasz się, co słuszne, a co nie, ani że ryzykujesz własne zdrowie.
- Zgadza się.
 - Przecież oni ci zapłacą jak ostatniemu srajdkowi. Ile ci płacą?
- Jak srajdkowi.
 - I będą cię trzymać w chłodni dłużej, niż to bezpieczne. Pogadam z jednym znajomym. Może ci załatwię coś lepszego. Naharujesz się jak wół, ale przynajmniej nie w rękawiczkach.

Vito Nietoperz zastąpił Nicka przy drugim stole. Nick podszedł tam i zaczął przyglądać się grze, paląc papierosa i wytykając błędy.

- Wszyscy wiedzą - powiedział.
 - Będziemy musieli gdzieś go zostawić, i już - stwierdził Vito.
 - Więcej go nie ruszymy. Dzisiaj w nocy zdejmę tablice wujka. Jak zobaczą wóz bez tablic, to go odholują. I kłopot z głowy.
 - Żadna nigdy ci nie da, Vito. Ani tobie. Ten wóz to wasza jedyna szansa.
 - Wolę umrzeć święty we własnej trumnie niż iść do więzienia z dziesięciu tysiącami tizzoonów.

- Daj mi kluczyki. Już powiedziałem Juju. Daj mi kluczyki. Wszystko załatwię.
- Oddaj mi tablice wujka Tommy'ego, to może ci dam kluczyki.
- Sam sobie weź te swoje pierdolone tablice. Ja biorę kluczyki.
- Bierzesz *u'gazz'*. Nic innego nie bierzesz.
- Ty złamasie. Dawaj kluczyki.
- *U'gazz'*- W porzo?
 - Widzisz ten kij? Ten kij, co go trzymasz w ręku? Ten kij, co go trzymasz?
- Ja tylko mówię, Nicky.
- Ty pizdolizie. Dawaj kluczyki.

Mówił do Vita, bo co prawda wiedział, że kluczyki ma Juju, ale nie chciał go stawiać w sytuacji, która narażałaby na szwank jego dumę czy pozycję. Natomiast Vito w tych grubych patrzalkach, z ustami grubymi jak u ryby... Miał mokre usta, bo co chwila je oblizywał.

- Jak nie dostanę kluczyków, to wiesz, co się stanie z tym kijem? Z tym, co go masz w ręku. Możesz jeden raz zgadywać, gdzie ci go wsadzę.

George Kelner zapłacił i wyszedł, a niebawem weszli karciarze, mrugając oczami łzawiącymi w dymie, pokerzyści od wysokich stawek, którzy grywali do czwartej, piątej rano, żetony leżały zsypane do kubka, a przy drzwiach siedział niejaki Walls.

Mówiono o nim, że nosi trzydziestkęósemkę gdzieś w okolicach biodra.

Czterej gracze przyszli już wcześniej i stali teraz przy bufecie, rozmawiając z Mikiem, a po pewnym czasie zjawili się jeszcze dwaj, lampy nad stołami bilardowymi zaczęły gasnąć i bilardziści pomалу się rozeszli.

Ktoś śpiewa czystym tenorem:

- Noc błękitniejsza niż aksamit.

Walls siedział przy drzwiach, inny niż wszyscy, wąska twarz i długa szczeka, krótko przystryżone włosy, a Nick patrzył na niego, stojąc przy bufecie, aż Walls poczuł to spojrzenie i też na niego popatrzył, lekko unosząc brwi. Jakby pytał: „Masz mi coś do powiedzenia?”

Nick uśmiechnął się i wzruszył ramionami, biorąc drobne, którymi Mikę wydał mu resztę.

- Trzymaj się - rzucił Mikę.

Vito pożyczył od niego mały scyzoryk, który Mikę nosił na łańcuszku z kluczami, i trzech złodzieje zeszli na dół, żeby zdjąć tablice.

Mikę Huncwot poszedł z nimi.

Nick patrzył, jak pracują, i wytykał błędy w obranej metodzie. Wysikał się na ścianę szpitala, co bardzo zainteresowało psa, a potem wrócił do auta, z którego tamci wciąż jeszcze nie zdążyli zdjąć tablic, i zaczął komentować bez żadnych zahamowań.

- Ty - powiedział Vito. - Nie bądź taki *scucciament'*. Dobra?

- Daj mi kluczyki - rzekł Nick.

- Jeszcze nie skończyliśmy.

- Ty to nigdy nie skończysz. Bo jesteś chodzący zlewór w ludzkiej postaci. Jesteś zlewór i ożenisz się z jakąś ścierą, jak będziesz miał dwadzieścia jeden lat, Vito. Niech cię Bóg błogosławi. Powaga. Ciebie i twoje uroczę dzieci.

Kiedy wreszcie zdjęli tablice, Juju oddał mu kluczyki. Nicky miał odtąd samochód tylko dla siebie, zieloną kupę złomu bez dokumentów, z prawie pustym bakiem.

Powiedział, że odprowadzi psa do Mike'a, i tamci dwaj poszli każdy swoją drogą, a Nick z psem u nogi przeszedł przez jezdnię.

Ruszył na górę, mówiąc coś do psa, a kiedy był już w trzech czwartych schodów, wysokie drzwi zaskrzypiały i stanął w nich niejaki Walls z ręką pod połą marynarki.

Nick uśmiechnął się do niego.

- Spaceruję z psem - powiedział.

Walls cofnął się, żeby pies mógł wejść. Zaraz potem znów stanął w uchylonych drzwiach.

- Myślałem, że zwykle spacerujesz z jojo.

- A właśnie że z psem - odparł Nick. - A z jojo chyba już wyrosłem.

Walls lekko się uśmiechnął. Nick podszedł bliżej i zajrzał przez szparę, w nadziei, że Mikę go zauważy i zaprosi do środka, żeby mógł trochę poprzyglądać się grze.

Walls pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać, a Nick

skinął potakująco i zszedł na dół. Wsiadł do auta, zapuścił silnik i pojechał tam, gdzie je znaleźli, dwie przecznice dalej. Wysiadł, obszedł wóz dookoła, sprawdzając to i owo, po czym wrócił na schodki przed swoim domem, usiadł zgarbiony na żelaznej balustradzie i przed pójściem na górę wypalił jeszcze jednego, ostatniego już papierosa.

3

Facet z kołem do ostrzenia przyszedł i poszedł. Matty miał nasłuchiwać jego dzwonka, a potem zejść na dół z nożami, które przygotowała na stole w kuchni: noże do naostrzenia i pieniądze na zapłatę, wszystko naszykowane.

Wracając do domu, zobaczyła, że na rogu stoją inspektorzy od świeżego powietrza, przeważnie starsi mężczyźni, którzy sterczeli na dworze nawet w zimne dni, byle tylko słońce świeciło, i teraz też stali, buchając parą z ust, stopniowo przesuwając się wraz z łukiem słońca, a kiedy weszła na górę, noże leżały na stole, tępe, obok pieniądze w banknotach i bilonie, trzydzieści pięć centów za ostrze, nietknięte i nie wydane, a w salonie Matty siedział nad szachownicą, czekając na pana Bronziniego.

Rosemary zdjęła kapelusz i płaszcz, bez słowa. Poszła do sypialni, w której stała rama oparta na kozłach, włączyła radio i zaczęła wyszywać.

O facecie od ostrzenia wiedziała tyle, że pochodzi z tego samego regionu co rodzina Jimmy'ego, z okolic miasta Campobasso, w górach, gdzie chłopców od małego uczy się ostrzyć noże.

Wszystkie całego swetra zajmowało jej dwie godziny. Słuchała radia, ale nieuważnie, sami wiecie - jednym uchem wpuszczała, drugim wypuszczała. Prowadziła igłę wśród nici tkaniny i myślała o historyjkach Jimmy'ego. Dawniej walczyła ze sobą, żeby o nim nie myśleć, ale to się przecież nie mogło udać, prawda? Zastąpił w jej głowie radio.

- Co z tymi nożami? - spytała.

W sąsiednim pokoju przez długi czas panowała cisza, aż wreszcie Matty odpowiedział:

- Nie przyszedł. Nie słyszałem dzwonka.

- Zawsze przychodzi we wtorki - odparła matka. - Nigdy żadnego nie opuścił, odkąd tu mieszkamy. Chyba że akurat wypadnie Boże Narodzenie, ale tak normalnie to jest tu w każdy wtorek.

Czekała na odpowiedź. Czowała, jak chłopiec z urazą ulega, drobna skulona postać włoczona w całkowity bezruch.

- A może się mylę, że dzisiaj jest wtorek? - spytała, żeby mu dać ostatniego prztyczka.

Zobaczyła, jak z dachu po drugiej stronie ulicy zrywają się gołębie, wybuchają fajerwerkami, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt ptaków, a potem nad gzymsem kołysz się długa tyczka, taka długa i wiotka, że gnie się pod własnym ciężarem.

Pan Bronzini zapukał do drzwi, a Matty go wpuścił.

Włoszki z tej samej kamienicy, a prawie wszystkie mieszkające tam kobiety były Włoszkami, mówiły na nią Rose. Myślały, że tak ma na imię, chociaż może tylko jedna myślała, a inne podsłuchiwały, ona zaś nigdy nie wyprowadziła ich z błędu, bo... no bo nie, i już.

Przywitać się, zawracanie głowy. Od razu zaczęli rozmawiać o jakimś ruchu, manewrze sprzed paru dni. Pan Bronzini czasem zapominał nawet zdjęć płaszcz, zanim usiadł przy szachownicy.

Jimmy mówił *carte blank*.

Chłopiec, który hodował gołębie, stał schowany za gzymsem i machając tyczką, kierował lotem ptaków.

Ci dwaj nad szachownicą zapadli w długą, milczącą zadumę, a potem nagle zaczęli gadać, pytlować obaj naraz.

Naszywała paciorki na tkaninę.

Nie chciała stać się tematem łzawej opowieści, bo wtedy ludzie się litują i trzeba iść przez życie, wlokąc za sobą brzemię wielkie jak dom.

Jimmy mawiał: „Masz tu pieniądze. Daję ci *carte blank*, na co je wydasz. Nie chcę nawet o tym słyszeć” - mówił.

Usłyszała, że jakaś kobieta na klatce schodowej drze się na swojego syna. Stoi z głową wychyloną przez szparę w drzwiach i drze się na chłopca, który galopuje schodami w dół.

- Robię sos! - ryknęła kobieta.

Jakim cudem tyle się śmialiśmy? Jakim cudem przychodzili ludzie, mieli puste kieszenie, obolałe plecy i nieudane małżeństwa, ale już po dwudziestu minutach wszyscy się śmialiśmy?

Stworzyli legendę, że zapamiętywał wszystkie zakłady. Ale to nieprawda. Do dziś opowiadają sobie o jego pamięci, o tym, jak chodził po manufakturach i przyjmował zakłady od krojczych, zamiataczy i sprzedawców, zapamiętując wszystkie liczby. Ale to nieprawda. Miał poutykane w ubraniu karteluski z zanotowanymi zakładami.

Rosemary słyszała, jak kobiety mówią, że robią sos, mówią to mężowi albo dziecku, i rozumiała doniosłość tych komunikatów. Znaczyły: „Nie śmieję się spóźnić”. Znaczyły: „Mówię serio, więc zwróć uwagę”. Było to specjalne wezwanie, przypomnienie rodzinnej powinności. Owszem, rozkosze swojskiego jadła, cała historia jedzenia, spożywania, czosnkowy smak i chuch. Ale była też powinność, zobowiązanie. Rodzina zobowiązuje wszystkich swoich członków do stawiennictwa dziś wieczór. Życie rodzinne było bowiem dla tych ludzi sztuką, a stół kolacyjny odgrywał rolę sceny, na której sztuka ta znajdowała swój wyraz.

Mówiły:

- Robię sos.

Mówiły:

- Kto jest lepszy ode mnie?

Obeszło się bez przemocy. Nigdy by nie uwierzyła, że zabrali go autem. Wyszedł po papierosy i ruszył przed siebie.

Nie chciała, żeby własne dzieci widziały, jak powłóczy nogami, obwisa, za dużo rozmyśla, zasępią, zagniewana, pusta.

Ukryć, ukryć. Ale nie było to łatwe.

Radziły jej zmienić fryzurę. Kobiety z kamienicy. Twierdziły, że jej uczesanie trąci myszką.

Nie, nie była pusta. Przeważnie spięta, i tyle, słyszała w sobie głos, którego dotąd nie знаła, swój własny, tylko że napięty, gniewny i monotematyczny.

Słuchała, co w salonie mówi pan Bronzini. Mówił o prawdzie pozycji. Radio nadawało dramat w odcinkach pod tytułem *Promienne horyzonty* albo *Promienne jutro*, może zresztą *Bardziej promienne dni*, a on tłumaczył Matty'emu, że każda pozycja ma swoją prawdę. Szukamy głębokiej prawdy, nie płytkiej. Szukamy pozycji, której warto bronić do śmierci.

Ta strawa, ten rodzinny posiłek, ten mięsny sos parkoczący w wielkim garze z kielbasą, żeberkami, cebulą i czosnkiem był

znamieniem ich lojalności, więzi i dobrobytu, aromat zaś niósł się po korytarzach, żeby Rosemary mogła go wyczuć, wchodząc po schodach: zrazy zawijane, klopsiki, bazylia - w smaku tym była ironia, która sprawiała ból.

Jimmy wracał do domu i się rozbierał, a wtedy z ubrania wypadały mu kawałki papieru, karteluszek, szyfrowane zakłady, nagryzmołone jego prywatnym kodem nazwiska ludzi, imiona koni, nazwy drużyn, typowania i sumy pieniędzy.

Mówiły:

- Zaraz zobaczysz.

Jakim cudem potrafiła się śmiać całą noc z jego historyjek o dniu spędzonym w dzielnicy odzieżowej albo o tym, jak poszedł do sławnej restauracji Tootsa Shora, już poza swoją dzielnicą, do sławnego Tootsa Shora, wykraczając poza swój rewir, ale Toots Shor przyjął go i polubił, dał mu nawet robotę, a grał wysoko, bardzo wysoko, więc Jimmy jeździł czasem na Pięćdziesiątą Pierwszą Zachodnią i przyjmował skromne zakłady od Tootsa Shora, potężnego, masywnego mężczyzny z twarzą jak kraksa uliczna, a potem opowiadał jej o zamożnych obibokach przy długim barze, którzy pili do czwartej rano.

- Robię sos - mówiły.

Żona pana Imperato, adwokata, u którego Rosemary oficjalnie pracowała, dzwoniła parę razy na tydzień i mówiła: „Pani mu powie, że robię sos”.

Wyszywała po kryjomu przed urzędem skarbowym. Gołębie wzlatywały coraz wyżej, zataczając kręgi, a długa tyczka kołysała się nad gzymsem.

Niektóre kobiety mają w życiu tylko jednego mężczyznę i właśnie on, ten skurwysyn, był jej jedynym.

Pan Imperato lubił stroić sobie żarty z naszych sławnych przodków. Abraham Lignin i James Marilyn Monroe.

W cieplejsze dni Matty siedział nad szachownicą w samej białiznie, taki niby maleńki, wątutki i blady, ale wbijał w figury spojrzenie tak twarde i prażące, że Rosemary wcale by się nie zdziwiła, gdyby w jego ciele tkwił całkiem kto inny - ktoś nasłany, żeby opętał chłopca.

Sęk w tym, rzecz w tym, że póki był w domu, wcale nie wokół niego kręciło się życie rodziny. To ona była osią, nieruchomym centrum, całą siłą. A odkąd znikł, nie potrafiła już

poczuć własnej niewzruszoności, a zwłaszcza tego, że jest środkiem czegoś. To Jimmy tkwił teraz w środku wszystkiego. Na tym właśnie polegał szkopał, dziwność sytuacji. Jimmy był rytmem serca, brakującym rytmem serca.

Była to obietnica, a zarazem przypomnienie powinności. „Pani mu powie, że robię sos”.

- Zaraz zobaczysz - mówiły.

Była to groźba pod adresem syna albo córki, niegrzecznego dziecka. „Popraw się. Zmień. Bo jak nie, to zaraz zobaczysz”.

Mówiły: „Kto jest lepszy ode mnie?”

Była to deklaracja doniosłości drobnych uciech. Posiłek, płaszcz z kołnierzem ze sztucznego futra, krzesło ustawione w upalny dzień na wprost elektrycznego wiatraka.

Obyło się bez przemocy. Drobna sprawa, słaby mężczyzna wyszedł z domu. Nic wielkiego. Żadnych facetów z bronią w garści, którzy przywiązują komuś do kostek nóg płyty chodnikowe i pakują mu kulę w łeb. Drobiazg, słabość, nic więcej.

Jeśli czuło się samą duszę jakiegoś doznania, zyskiwało się prawo, żeby pytać: „Kto jest lepszy ode mnie?”

Jimmy znał trochę ten dialekt. *Abruzzese*. Schodził z nożami na dół, rozmawiał ze szlifierzem i sprawiało mu przyjemność, że mówi dialektem. Rozmawiali, kiedy tamten ostrzył noże, chociaż Jimmy nigdy tak nie rozmawiał z mężczyznami, których częściej spotykał, przybyłymi albo pochodzącymi z tego samego regionu. Rozmawiał z tym od noży, bo widywał go rzadko i tak właśnie wolał.

Mówiły na nią Rose. Większość z nich była pewna siebie, miała siłę i tupet, osobowość i donośny głos - nie wszystkie, ale większość.

Robiła te swoje wyszywanki płatne od sztuki, po cichu, tak jak Jimmy przyjmował zakłady.

Jak raz zasnął, to i spał. Nigdy nie wstawał w nocy. Wypijał kawę i spał aż do rana. Chyba nie czuł zimna. Chodził boso po zimnej podłodze, sypiał w samych majtkach w te zimowe noce, kiedy nad ranem słyszała wreszcie, jak ciepło gwizdże w rurach - sygnal, że pora wstawać na mszę.

Ktoś postawił poważną sumę na konia imieniem Terra Firma, więc Jimmy zaczął się niepokoić, kiedy się okazało, że właśnie ten koń wygrał.

Słuchała, jak Matty analizuje ustawienie. Czasem przerywali grę i rozmawiali o ruchach.

Nigdy się nie chełpił. Późną nocą opowiadał jej półgłosem sprytnie historyjki.

Ukryć, ukryć. Ale nie było to łatwe.

Baseballista Charlie Dressen grywał na wyścigach. Jimmy przyjmował od niego zakłady. I od Tootsa Shora. Zostawił siedemset dolarów w płaszczu, który zaniósł potem do pralni. Ten płaszcz był jego prywatnym bankiem - skąd niby miała wiedzieć, zaniósł go do pralni, a kiedy Jimmy powiedział jej o pieniądzach, poszła się upomnieć, ale tamci się zdziwili: „Jakie pieniądze, proszę pani?” Płaszcz miał wewnętrzną kieszeń, o której nie wiedziała. „Jakie pieniądze, proszę pani?”

Naszywała koraliki igłą z drewnianym trzonkiem, według wzoru wydrukowanego na tkaninie.

„Ale jakim cudem tyle się śmialiśmy? Jakim cudem poszliśmy na tańce w tę noc siedemset dolarów, śmialiśmy się i pili?”

Nie był żadnym szalawilą, nigdy nie szedł na jakieś wariackie ryzyko, ale zdarzył się ten czarny koń i Jimmy poczuł presję, że musi wypłacić wygraną.

- Kto jest lepszy ode mnie - mówiły.

Ona nie potrafiła tak powiedzieć; częściowo przesądzała o tym jej osobowość, częściowo zaś to, że nie miała już z życia tej zwyczajnej radości co dawniej. Nie umiała poczuć się uprzywilejowana ani zakłęta.

Zamiast życia została jej pustka po Jimmym. Głos rozbrzmiewający w jej głowie nie był tym samym, który słyszała, zanim Jimmy odszedł.

„Ale jakim cudem zjedliśmy kolację w niemieckiej knajpie na Osiedziesiątej Szóstej i poszliśmy tańczyć w „Corso”, kawałek dalej przy tej samej ulicy, biedniejsi o siedemset dolarów?”

Było jej teraz mniej, a za to więcej innych ludzi. Stawała się innymi ludźmi. Może dlatego mówiły na nią Rose.

Nick chodził szkolnymi korytarzami. Było tuż przed Bożym Narodzeniem i ci z katolickiej szkoły mieli już wolne, Matty miał wolne, dzielnica handlowa udekorowana była lampkami i wieńcami, o piątej rano kupcy wystawiali na ulicę choinki, z daleka czuło się, jak pachną, sprzedawano węgorki na Wigilię,

świerki i jodły balsamiczne stały rzędem pod ścianami, sprowadzone z północy stanu, a chłopcy wyładowywali skrzynki kalifornijskich winogron dla klientów, którzy robili domowe wino. Więc kiedy Nick chodził korytarzami, paląc papierosa, z jednej z klas wyszedł Remo w obcisłych spodniach i kurtce z demobilu, której nigdy nie zdejmował.

- Co tu robisz?
- Spaceruję - odparł Nick.
- Dlaczego nie po dwórce?
- A wychodziłeś na dwór? Kurewski mróz. A ty co tu robisz?
- Jak to? Przecież ja tu chodzę do szkoły. A ty co tu robisz?
- Spaceruję - odparł Nick.
- Dostałem zwolnienie do lekarza.
- Prędeż do pielęgniarki. Przecież to ją chciałbyś podejrzeć.
- Zostaw mi macha - poprosił Remo.
- Gdzie są zajęcia z gospodarstwa domowego?
 - Nie wiem. Może na końcu tamtego korytarza. Podobno pracujesz.
- W fabryce lodów.
- Płacą przyzwoicie?
- Daj spokój.
- Stała robota?
 - Trzeba się spręzać. Tak jak w porcie - rzekł Nick i zaraz poczuł się mężczyzną. - Facet mówi: ty, ty, ty i ty. Reszta do domu.

Remo był wyraźnie pod wrażeniem.

- Najesz się chociaż tego towaru?
- Właściwie to jak chcesz wiedzieć.
- Co?
 - Kradniemy go i sprzedajemy na lewo. Ale musimy się związać.

Remo nie wiedział, czy ma w to wierzyć. Sięgnął po niedopałek papierosa Nicka, a kiedy Nick mu go oddał, dwa razy zachłannie się sztachnął i zaraz upuścił peta, przydeptał go, wydmuchnął dym i wszedł do gabinetu lekarskiego.

Kiedy zadzwonił dzwonek i wszyscy wyszli z klas, Nick wypatrzył w tłumie Lorette i Glorię. We troje wyszli na Fordham Road.

- Ojciec Alliego wygrał w totka - powiedziała Gloria.

- Wiem. Słyszałem.
- Mówią, że postawił pięć dolarów. Wierzysz w to?
- Tak było. Wiem z całą pewnością - rzekł Nick.

Jeden starszy koleś, niejaki Jasper, znany rwacz, siedział w kabriolecie Forda z dachem złożonym mimo zimna, z zapuszczonym silnikiem, i słuchał radia. Obie dziewczyny umilkły; mijając go, zapadły we wspólne milczenie, za obopólną zgodą, wymieniając niewysłowione myśli o Jasperze.

- Kto stawia pięć dolarów? - zdziwiła się Loretta. - Ludzie stawiają pięćdziesiąt centów. Dolara, jak im się wydaje, że będą mieli zupełnie wyjątkowy fart.
- Ale jemu się przyśniło - odparł Nick.
- Przyśniło mu się. Niby co mu się przyśniło?
- A co się miało przyśnić? Szczęśliwa liczba. Co innego?
- Za pięć dolarów - rzekła Loretta - to musiał być bardzo przekonujący sen.
- W technicolorze - wtrąciła Gloria.
- Kiedy mi się śni jakaś liczba, zawsze myślę, że to data mojej śmierci - powiedziała Loretta. - A ten facet dał gangsterowi pięć dolarów.
- Zaraz gangsterowi. Jakiemu gangsterowi? Dał tę forszę Anette Esposito.
- Co to za jedna?
- Chodzi do katolickiej szkoły. Do szkoły mojego brata - wyjaśnił Nick. - Zbiera zakłady w imieniu swojego ojca. Codziennie robi obchód.
- W szkolnym mundurku - dodała Gloria.
- Klienci lubią mieć do gońca zaufanie.

Minęli hamburgernię „White Castle”, w której małolaty jadły mielonkę z trocinami, a potem Gloria przeszła przez jezdnię i weszła do swojej kamienicy.

- Gdzie twoje radio? Bez przerwy je ze sobą nosiłeś - powiedziała Loretta.
- Miałem radio w aucie. Innego nie potrzebowałem.
- Bardzo dobrze się stało.
- Uważasz, że bardzo dobrze się stało.
- Odetchnęłam z ulgą - przyznała Loretta. - To auto, mój Boże! Co w nim normalnie działało? Nie mówiąc już o tym, że je ukradliście.

- A nie było nam miło w tym aucie?
- W kinie samochodowym, owszem. Ale nie wtedy, kiedy parkowaliśmy w ciemnych ulicach. Jak przestępcy.
- Przecież byliśmy przestępcami.

Roześmiała się. Po bokach siekaczy miała dwa asymetryczne zęby, które zdaniem Nicka dodawały seksu jej uśmiechowi.

Skręcili na wschód i Nick zobaczył śmieciarkę, a przy niej ojca Juju, który był śmieciarzem, a teraz zeskoczył ze śmieciarki, przeszedł w poprzek chodnika, otworzył pojemnik ze śmieciami, przywłókł go do wozu i obrócił do góry dnem, wysypując zawartość do kruszarki.

- Widzisz tego gościa? To ojciec Juju - rzekł Nick z nutą dumy.

Podziwiał zgrabność ruchów śmieciarza, długi, płynny ruch ciała między wejściem do piwnicy a śmieciarką, i to, jak mężczyzna przetaszczył pojemnik w poprzek chodnika, samymi przedramionami, i że miał prawo hałasować, kiedy ciągnął pojemnik i uruchamiał kruszarkę, a potem szarpnął pojemnikiem do góry i wysypał wszystko ruchem wyprowadzonym głównie z barków, a na samym początku odrzucił pokrywę gestem trochę wzgardliwym, ale zarazem pełnym gracji, nabytym dzięki samej naturze tej pracy.

A na koniec pchnął pojemnik z powrotem w stronę parkanu z kutego żelaza, który odgradzał schodki do suterenu. Jeszcze jeden przywilej związany z tą robotą, pomyślał Nicky.

Dotarli do domu Loretty i weszli do środka.

Dziewczyna stanęła w sieni i odwróciła się, podając Nickowi usta, więc je pocałował, przyciskając ją do skrzynek na listy; książki, które trzymała oburącz, ślizgały się między ich ciałami jak żywe.

- Kto jest w domu? - spytał.
- Wszyscy.

Przyciskając ją do skrzynek, słyszał, jak przy każdym jej ruchu spódnica zahacza o szpary w blasze, przez które można zajrzeć, czy jest poczta.

- Dalej jesteś zadowolona, że nie mam auta?
- I tak jest biały dzień.
- Moglibyśmy stanąć na parkingu przy Orchard Beach. Sami wśród mew.

Pocałowała go.

- No to ukradnij drugie auto - powiedziała niewyraźnie.

Całując ją, uniósł powieki i zobaczył, że ona też na niego patrzy tymi ogromnymi, piwnymi oczami, w których widać siedem różnych myśli naraz. Wiedziała, że przed nią miał inne dziewczyny, że brały mu do ręki, do ust, pełen zestaw, że im wkładał i wyjmował, wkładał i nieruchomiał, na oklep, z gumą, cały repertuar, i wiedziała, co to były za dziewczyny, z Washington Avenue, z Valentine Avenue, jedna z Kingsbridge Road, bo ktoś powiedział komuś, kto dopilnował, żeby wiadomość do niej dotarła, a Nick wiedział, że ona wie, bo Gloria coś powiedziała do Juju, jak w jednym z tych radiowych seriali, których słuchała jego matka, kiedy wyszywała.

- Zobaczymy się jutro?

- Jutro pracuję.

- Wszyscy są w domu. Co ci mam powiedzieć?

- Muszę pracować. Co ci mam powiedzieć?

- Kiedy ostatnio myślisz głowę?

Przespacerował się jeszcze kawałek i w końcu pod wpływem impulsu skręcił do zoo, wszedł wielką bramą z brązu, mijając lwy morskie; wiał zimny, nieubłagany wiatr, prawie nie było widać ludzi. Tęsknił za swoim zdezelowanym chevroletem, bez tablic, bez ubezpieczenia, bez prawa jazdy, ze zrypaną skrzynią biegów, z drzwiami po prawej, które przy każdym skręcie w lewo otwierały się niespodziewanie, tak że musiał jeździć tylko nocą, chyłkiem, po kryjomu, przeważnie sam, pałac, przy radiu, z którego raz po raz uciekała fala.

Był o coś zły, ale nie z powodu auta ani dziewczyny, tylko czegoś całkiem innego, co nawet we śnie chodziło mu po głowie.

Łaził tak pół godziny, a potem stanął przy sadzawce dzikich ptaków. Kiedyś jeszcze w podstawówce przyszedł do zoo z chłopakiem, który nazywał się Martin Mannion, w taki sam dzień jak ten, zimowy i pusty, no i Martin Mannion przelażł przez płot na wybieg bizona, stanął i zaczął machać bizonowi kurtką przed nosem, a to ogromne włochate zwierzę z pięciocentówki tylko na niego obojętnie popatrzyło, więc tak się wściekł, że wyjął fiuta i się wysikał.

Zaczynało się ściemniać. Stanął tuż nad sadzawką i zapalił kolejnego papierosa, zwrócony tyłem do wiatru.

- Mów mi Alan, powiada.
- Mów mi Alan.
- No to się pytam: Co znaczy Alan? A on, że tak ma na imię.
- Tak ma na imię.
 - Patrę się na niego i mówię: Jak to może być twoje imię? Przecież już masz imię.
- Gdzie się podział Alfonse?
 - Gdzie się podział Alfonse, pytam się. Przez szesnaście lat miałeś na imię Alfonse. Twój dziadek też był Alfonse.
- Oba dziadki.
 - Oba mieli na imię Alfonse. I co się nagle stało? A on mi na to: Nie jestem nimi.
- Nędzny zezowaty kurdupel.
- Nie jestem nimi, powiada.
- Król gnojków, i tyle.
- Mów mi Alan, powiada.
- Nie jestem nimi.
- Myślałem, że krzyż mu przetrącę.
- Nie jestem nimi.
- Więc się pytam: No to kto ty jesteś?
- Jest król gnojków, i tyle.
- Pytam się go: Kto ty jesteś, *stunat'*, jak nie jesteś nimi?

Giulio Belisario, Juju, nigdy nie widział nieboszczyka, nawet podczas nocnego czuwania, i ciekaw był, co to za przeżycie.

- I kto teraz umrze - spytał Nicky - żeby zaspokoić twoją ciekawość?
- Przegapiłem babcię, bo akurat dostałem odry.
 - Rozglądałem się, ale jakoś nie widzę ochotników. Słyszałeś o ojcu Alliego?
- Co?
- Nie słyszałeś?
- Że co? Umarł?
- Wygrał w totka.
- Właśnie chciałem powiedzieć.
- Kupuje buicka. Jednego dnia handluje rybami. A na drugi.
 - Właśnie chciałem powiedzieć. Nie dalej jak wczoraj widziałem go na targu. No to jakim cudem miałby umrzeć?

- A ile to roboty? - spytał Nicky.
- Ja tylko mówię.
 - Jednego dnia sprzedaje *scungilli*. A już na drugi - całuj mnie w dupę.
- Kto jest lepszy od niego? - rzekł Juju.
- Jadę swoim dupiastym buickiem. Z drogi, ćwoki.

Rozmawiali w spożywczym pod sześćsetjedenastką, w kamienicy, w której mieszkał Nicky. Żona sklepikarza, czyli żona Donata, bo tylko pod tym imieniem ją znali, tolerowała ich obecność z sympatii do matki Nicky'ego. Przed sklepem stało pięciu starszych kolesiów, a jeden z nich, Scarfo, skakał w dal, bo tamci czterej go podpuścili. Chciał się starać o pracę w wydziale oczyszczania, a oni wytłumaczyli mu, że na teście będzie musiał skoczyć metr osiemdziesiąt bez rozbiegu, więc teraz skakał, licząc szpary między płytami chodnikowymi, w najlepszym płaszczu i spodniach z zakładkami, żeby sprawdzić, czy da radę.

Dwaj młodzi stali w sklepie i przyglądali się, paląc papierosy.

- Widziałem twojego ojca - powiedział Nicky.
- Akurat wywozi z naszej dzielnicy, dorywczwa fucha.
- Znajduje coś czasem w śmieciach?
 - A co miałyby znajdować? Coś takiego, żeby przynieść do domu? Daj spokój.
- Mógłby znaleźć coś wartościowego.
- Matka dostałaby białej gorączki. Daj spokój.

Żona Donata dała im po plasterku salami i dalej patrzyli, jak Scarfo trenuje skok w dal.

Matty, ten niedonoszek o żywych oczach, zagryzł mankiet koszuli i spojrzął nad szachownicą na pana Bronzinię, który uśmiechał się krzywo.

- Zabiłeś mnie - powiedział Albert.
- Wszystko zobaczyłem.
 - Przyszedłeś, zobaczyłeś i tak dalej. I zabiłeś mnie.

Wiedział, że Matty uwielbia, kiedy tak się do niego mówi. Chłopiec uwielbiał wygrywać w szachy, a potem słuchać, jak pokonany oświadcza, że jest trupem. Bo rzeczywiście było już po nim, kaput, i to Matty go zmiażdżył. Matka chłopca stała w drzwiach i patrzyła.

- W ilu ruchach? Nie, nie mów - rzekł Albert. - Chcę za chować resztkę szacunku dla siebie.

Matty i jego matka byli zachwyceni.

- Zaczyna rozumować kategoriami systemów - zwrócił się Albert do kobiety. - To chyba znak, że znowu zaczną się dziać dobre rzeczy.

Dorośli wypili po filiżance herbaty, a Matt dalej siedział przy szachownicy, mały bożek unoszący się nad pionkami i wieżami. Ostatnio znów parę razy przegrał, między innymi poniósł druzgocącą porażkę w Manhattan Chess Club, co było ogromnym rozczarowaniem, bo na ten akurat turniej przyszedł Ojciec Paulus.

Przyszedł, zobaczył, niewiele powiedział i wyszedł.

Po pewnym czasie Albert poszedł na Arthur Avenue i spostrzegł, że sprzedawca kasztanów pcha swój piecyk na kółkach, komiksowe urządzenie ze zgiętym blaszanym kominem, z którego buchał dym. Do piecyka z jednej strony przymocowany był okrągły koszyk po owocach, a w nim surowe kasztany i bataty.

Kupił trochę kasztanów zawiniętych w papier i przez chwilę przerzucał je z ręki do ręki, bo były cholernie gorące, a potem skrzył w boczną uliczkę i wszedł do fryzjera.

George Fryzjer zaprowadził go do pokoju na zapleczu. Usiedli przy małym stoliku i zaczęli jeść kasztany, popijając drobnymi łyżkami nie znanej Cabotom ani Lodgesom żytniej whiskey „Oid Mr. Boston”, której smak wykrzywił im usta.

Albert wiedział co prawda, że George ma gdzieś żonę i mały domek, a także zamężną córkę, która z nimi nie mieszka, ale nie sposób było sobie wyobrazić tego człowieka gdzie indziej niż w jego fryzjerni. Zażywny, łysy, bez większej indywidualności, był nierozzerwalnie związany z dwoma masywnymi, porcelanowymi fotelami, z zaparzaczką na ręczniki, z sufitem z wytłaczanej blachy, z marmurową półką pod lustrem, z kolorowo przeszklonymi szafkami, z brzytwą o kościanej ręczce i ze skórzanym pasem do ostrzenia, z rogowymi grzebieniami, z nożyczkami i maszynkami do strzyżenia, z kubkiem, pędzlem, mydłem do golenia, z wonią toników, brylantyn i talków.

George Fryzjer wiedział, kim jest.

- Biaggio wygrał w totka - powiedział.

- Kto? Biaggio?

- Wygrał w totka. Sześćset do jednego.
- Biaggio z rybnego targu?
- Wygrał w totka - powtórzył George.

Kiedy kasztany się skończyły, znów nalał do szklanek i przez chwilę popijali w milczeniu, myśląc o tym, że ktoś wygrał w totka.

- A jak tam kobieta? - spytał George.
- Kobieta.
- Tak, jak tam małżeństwo?

Radio nastawione było na włoską stację i spiker żegnał się ze słuchaczami, raz po raz wykrzykując: *Baci a tutti!* co Albert pochwalał, zdecydowanie tak, niesiony krzepiącą falą whiskey.

- To taki szeroki temat.
- Oczywiście. I co jeszcze powiesz?
- Niezmiernie rozległy.
- Ponad siły, ponad siły - rzekł fryzjer.
- Jedno tylko mogę powiedzieć.
- Nic więcej powiedzieć się nie da.
 - Każde małżeństwo, dosłownie każde. **Nie tylko twoje czy moje.**
- No właśnie.
- Jak by to ująć, George? *Un po' complicato.*
- Oczywiście. Co tu można dodać?
- Co nowego?
- Co nowego? - powtórzył fryzjer.

Albert polizał palce przysypane cukrem pudrem z kasztanów. Wstąpiła jakaś kobieta z dzieckiem i George wyszedł do frontowej salki, Albert zaś opróżnił szklankę i ruszył za nim, bo nie chciał nadużywać gościnności.

Porozmawiał z kobietą przez ten czas, kiedy George ustawiał dla chłopca specjalne siedzonko. Potem włożył kapelusz, płaszcz i wyszedł. Przystanął w parku Mussoliniego i chwilę pogadał ze starcami. Przeszedł fałszywy ksiądz, Benedetti, w kraciastej kurtce i czarnym birecie, z brewiarzem w ręku. Poruszał ustami, jakby się modlił, ale brewiarz trzymał zamknięty, tuż przy piersi.

Albert stwierdził, że musi usiąść. Poczul lekki zawrót głowy, jak Umbriago, ten burmistrz z piosenki, więc usiadł na ławce i poczekał, aż mu przejdzie.

Pozostali mężczyźni stopniowo się rozeszli. Słońce pomalu wsuwało się za masyw szpitala dla nieuleczalnie chorych, więc ochłodziło się, w powietrzu przemykały zimne porywy, a mężczyzn zanosło do klubu osiedlowego, do sklepu z cukierkami albo do domu.

Przejechał samochód holowniczy, pędząc na złamanie karku, żeby dotrzeć na miejsce kraksy przed konkurencją.

Albert siedział na ławce i czekał, aż mu się rozjaśni w głowie. Grunt to siedzieć i czekać, mieć cierpliwość. Ważne jest też, żeby nie zwymiotować. Raz po raz widuje się mężczyzn, którzy stoją pochyleni nad krawężnikiem i wymiotują. Albert nie chciał myśleć o sobie jako o jednym z nich.

Siedział i czuł się całkiem dobrze, już trochę mniej mu się kręciło w głowie, w ogóle było niezłe. *Baci a tutti* - pomyślał. Wszystkim ludziom na ulicy, tak, ucałowania, a w wyobraźni przemknęły mu rozmazane twarze piekarzy, babć, zamiataczy ulic, a nawet księży prawdziwych i rzekomych.

Dzieci mówiły na to: puścić pawcia. Chyba puszczyć pawcia, Johnny.

Zatrzymał się jakiś samochód i Albert usłyszał ochrypły głos rzeźnika, który zawołał:

- Albert, *che succeset!*
- Jak się masz, Joe. Wesołych świąt.
- Pada śnieg. Idź do domu.
- Nic mi nie jest, spokojna głowa.
- Podwieźć cię?
- Jedź, jedź, wesołych świąt, nic mi nie jest, do widzenia.

Usłyszał, że mniej więcej o przecznicy dalej pociąg wjeżdża na stację. Usłyszał, jak gwizdze, biorąc zakręt, i z turkotem wtacza się na peron, gdy tak siedział, smagany przenikliwie wyjąłym wiatrem, i czekał, aż mu się całkiem rozjaśni w głowie.

4

Przez tysiąc identycznie zasranych wieczorów grał w remika pukanego z niejakim Fontana w sklepie ojca Fontany ze sprzętem hydraulicznym, po dziesięć umownych centów za punkt, albo rozgrywał partię bilardu i zjadał kawałek pizzy w klubie

„Half Moon” z Juju i z Patsym, te wieczory zawsze kończyły się głębokim dołkiem, jakimś rozczarowaniem; kiedyś ze sklepiku ze słodyczami zadzwonił do Loretty, powiedział jej, że trzyma się za chuja, i wsłuchał się w ciszę po drugiej stronie, wiedząc, że dziewczyna siedzi w pokoju z matką, braćmi, dziadkiem i z kim tam jeszcze, a czasem schodził na dół i w samotności wypalał papierosa, stał późną nocą przed drzwiami sklepu Donata i poplukał okruchami tytoniu na wiatr.

Nareszcie trochę zarabiał. Większość oddawał matce, ale coś mu przynajmniej zostawało w kieszeni, miał już przecież prawie siedemnaście lat, a czasem chodził do kina i siadał na balkonie z Alliem i z Rayem, dwoma kolesiami, którzy dogadywali w trakcie filmu, ale po iluś tam seansach wyszło na to, że gadając do ekranu, można tylko powtarzać w kółko identyczne zasnóstwa jak te, które już się powiedziało tysiąc razy.

Klara stała w pokoju, w wolnym pokoju, w tym pokoju, który malowała centymetr po centymetrze, stała przy sztalugach i pracowała.

Tak, Albert uważał, że malowanie ją relaksuje. Uważał, że to odoczynek po wszystkich innych rzeczach, jakie robiła.

Przerwała, kiedy przyszła pora odebrać dziecko. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zostawiła małą. Na górze, u tej dziewczyny co zawsze, czy po drugiej stronie ulicy, u kobiety, której mąż szył rabinom płaszcz.

Podobno malarz powinien mieć swoją kreskę. Klara uważała, że ma tylko gryzmoł.

Poszła na górę, zabrała dziecko i wróciła na dół, mówiąc coś w rodzaju: „Luli, luli, dziewczyneczko”. Ale Teresa wcale nie chciała luli. Idziemy śpiu, spatuchny. Ale Teresa wyraźnie jej uzmysłowiła, że trzeba będzie z tym chwilę poczekać. Bez ogródek mówiła „tak” lub „nie”. Była otwartą raną tęsknoty, pragnienia i stanowczej odmowy.

Klara usiadła przy łóżku i zaczęła do niej przemawiać. Potem przeszła do wolnego pokoju, stanęła przy sztalugach i popatrzyła na to, co zrobiła. Czyli co właściwie? Stwierdziła, że woli nie wiedzieć.

Zajrzała do dziecka i zobaczyła, że zasnęło. Potem zajrzała

do matki Alberta. Pani Ketchel, która dyżurowała przy staruszce, właśnie wkładała płaszcz. Wkładała go chyba z każdym dniem trochę wcześniej. Technicznie biorąc, dni stawały się coraz dłuższe, więc może pani Ketchel w nawale innych zajęć, którymi je wypełniała, nie mogła już tak przesiadywać przy matce Alberta.

Klara uważała, że dziewczynka podobna jest do babki. Żałobny wyraz oczu - myślała. Ale to chyba niemożliwe u takiego małego dziecka, prawda? Jakaś mroczność, posępne przecucie nieszczęścia. Ale to przecież tylko przywidzenie, co? Doszukiwała się znaków i omenów.

Siedziała przy matce Alberta w jej pokoju. Staruszka nie spała, więc obróciła głowę, żeby spojrzeć na Klarę, i ten nie dokończony ruch zupełnie ją wyczerpał, ale przecież i tak zostało z niej już tylko wyczerpanie, chociaż to też właściwie nieprawda. Jej gesty zachowały jeszcze moc. Niepewne, lecz mocne. Widać w nich było silny charakter kobiety, która lekkim machnięciem ręki potrafiła odprawić z kwitkiem całe populacje.

Gesty te nie odnosiły się do żadnych spraw praktycznych. Obejmowały zakresem znaczeń całkiem odmienną sferę. Przeciągnięcie dłonią pod brodą. Wydęte usta. Przymknięcie oczu i równoczesne zadarcie głowy.

Do Alberta. „Kiedy przyjdzie pora umrzeć, umrę”.

Do przyjaciół, którzy przy niej czuwali. „Bóg nie wie wszystkiego. Wie tylko to, co musi wiedzieć”.

Do Alberta. „Czemu koniecznie chcesz rozmawiać o ojcu, chociaż dla mnie jego imię oznacza tylko straconą szansę?”

Do Alberta. „Uważaj. Tyle ci powiem”.

Do Klary. „Idź i zajmij się własnym życiem. Nie jestem warta twojego czasu i uwagi”.

O tym ostatnim geście, ruchu dłoni i oka, obie wiedziały, że jest nieszczerzy.

Klara nie mówiła Albertowi, że czuwanie przy jego matce ma na nią czasem dziwnie kojący wpływ. Z czworga rodziców zostało im już tylko jedno, umierające. Puszczając staruszce płyty Perry'ego Como. Przynosiła jej dziecko, żeby babka mogła dotknąć dłoni i twarzy wnuczki. Staruszka niedowidziała albo widziała podwójnie, ale kładąc dłoń na twarzy dziewczynki, dokonywała jak gdyby cudu retrospekcji.

Skóra jej brązowiła, włosy coraz bardziej białeły, dłonie

miała całe w piegach i plamach, ale zachowała jeszcze w sobie jakąś siłę, coś, czego Albert jak gdyby się obawiał, jakiś osąd, spopielające przeświadczenie.

Jeden z jej gestów zdawał się wyrażać rozpacz zbyt bezdenną, aby można ją było ująć w słowa.

Klara siedziała i trochę do niej mówiła. Okno trzymała uchylone, żeby wywietrzyć stęchliznę, powolny rozkład. Słyszała z daleka wycie straży pożarnej i patrzyła, jak gaśnie światło dnia.

Czasem wpadała z wizytą siostra Alberta, Laura, niezdolna pogodzić się z nieuchronną śmiercią matki, przerażona, uzależniona, zdradzona; Klara wyobrażała sobie, że gdy nadejdzie chwila, szwagierka zechce rzucić się za trumną do grobu.

Dziwne to było uczucie: słuchać Perry'ego Como z nieznaną, umierającą kobietą, i wszystko dookoła też było dziwne, to krzesło, ta lampa, ten dom i ta ulica, dziwnie było się zastanawiać, jak do tego doszło.

Albert po powrocie zastał ją w kuchni.

- Jak tam ona?
- Śpi.
- Jadła coś?
- Ugotowałam troszkę zupy.
- Zjadła ją?
 - Trochę zjadła, trochę wylała. Twoja córka zaraziła się przeziębieniem od opiekunki.
- Przepłoszę je - oświadczył.

Usłyszała, jak opowiada Teresie te same nonsensowne bajeczki, które opowiadano mu w dzieciństwie, z postaciami o śmiesznych, rymowanych imionach; niektóre słowa wymawiał dla efektu ze szczególną emfazą, krągłym, melodyjnym tonem, ale zamknęła drzwi kuchni, żeby już nie słuchać.

Ten bajkowy, żartobliwy ton zbyt wiele miał w sobie z Alberta, cały aż falował muzyką ilustracyjną i wymyślną fabułą. Postawiła kolację na stole i zawołała męża po imieniu.

Przy kolacji rozmawiali o błahostkach. W wolnym pokoju wypaliła ostatniego papierosa przed snem, patrząc w ścianę. Rozgniotła niedopałek o lustro w łazience, spuściła go w sedesie i poszła do łóżka.

Pierwszy, ten w ciemnej czapce, wbiegł na plac zabaw. Nick łomotał tymczasem drugiego, ślizgając się tak jak i on na oblodzonej powierzchni.

Nigdy go przedtem nie widział i właśnie dlatego spuszczał mu łomot. W końcu tamten padł na kolana, a może sam się poślizgnął, a wtedy Nick spojrział w stronę placu zabaw. Juju gonił tego pierwszego, ale poślizgnął się i upadł, zadzierając nogę. Przez chwilę siedział na ziemi, patrząc, jak ścigany biegnie w stronę schodków prowadzących na niższy poziom. Plac zabaw cały pogrążony był w bieli i ciszy, puste huśtawki zawisły w powietrzu, a ich siedzenia pokrył śnieg trzycentymetrową warstwą.

Ten drugi klęczał, jakby zawstydzony, że tak wylądował. Nick przykucnął, wycelował i walnął go sierpem. Wiedział, że to już właściwie zbędne, ale dotąd zadał mu tylko parę lekkich ciosów w twarz, a miał ochotę solidnie go rąbnąć. Nie chciał przegapić okazji, żeby komuś solidnie przyładować. Trafił go krótkim sierpem tuż pod okiem, aż koleś zatoczył się i padł na wznak, chwytając się oburącz za twarz, a Nick zaraz poczuł się lepiej.

Juju wyszedł z placu zabaw i podniósł zamarznięte psie gówno, które leżało na śniegu. Nie miał rękawiczek. Podniósł gówno i rozmazał je tamtemu po głowie, wsmarował we włosy i w uszy.

- Masz, fajfusie, to dla ciebie - powiedział.

Umył ręce w śniegu i obaj poszli do Mike'a zagrać w bilard.

Matty wiązał sobie na szyi niebieski krawat. Chłopcy ze szkoły katolickiej nosili białe koszule z niebieskimi krawatami. Przez dłuższy czas musiała mu go wiązać matka. Marynarki też sam włożyć nie umiał, nie wiedział, jak ją trzymać, żeby właściwa ręka trafiła we właściwy rękaw, czasem musiał nawet kłaść marynarkę płasko na podłodze, siadał przed nią plecami i dopiero wtedy dopasowywał rękę do rękawa, trochę jakby układał się na wznak w marynarce.

Wyobraźcie sobie, co mówił Nicky, oglądając to widowisko.

Ale Matty miał już ten okres za sobą. W zasadzie wyrósł z napadów furii i z tych zamilknięć, którymi karał matkę, ilekroć był na nią zły, minęły też czasy, kiedy zamykał się w łazience i próbował się udusić kotarą od prysznicza.

Wyrósł z napadów furii, bo nie grał w szachy. Pan Bronzini

twierdził, że to urlop naukowy. Jeszcze jedno przemądrzałe wyrażenie pana Bronziniego, które trzeba przeliterować, wyjaśnić, a potem wcielić w życie. Matty miał na to własne określenie: rzyg.

Nie mógł znieść porażek. Były zbyt okropne. Przy każdej ogarniała go fizyczna słabość i potężny gniew. Biegał po mieszkaniu, zataczając się i wymachując rękami. Brat dawał mu w główkę raz a dobrze i to go jeszcze bardziej wściekało. Był za mały i za lekki, żeby pomieścić w sobie całą tę furję. Już nawet nie płakał. Pod wpływem porażki cały się trząsł. Z trudem chwycił powietrze. Nie pojmował, czemu ktoś tak drobny, młody i nieprzygotowany musi kucać na drodze, którą nadciąga monstrum zwane porażką.

Zawiązał krawat i poszedł do szkoły. Najpierw zawiesił sobie na szyi nowy numerek, przewidziany na okoliczność ataku atomowego, czyli krążek z nazwiskiem ucznia i nazwą szkoły, a potem włożył krawat i poszedł na lekcje, przecinając po drodze pięć przecznicy.

Siedział w rzędzie tuż przy szatni i był jednym z trzech dyżurnych, którzy w ustalonych momentach odsuwali i zasuwali jej drzwi. Pracowali w zgodnym rytmie, z poświstem i hukiem. Takie im wyznaczono zadanie.

Catherine Conway została wyznaczona do trzepania gąbek, więc w każdy piątek trzepała je nad boiskiem, stojąc w tylnych drzwiach, a oczy piekły ją od kredowego pyłu.

Richardowi Stasiakowi przydzielono otwieranie i zamykanie okien. Brał specjalny kij z hakiem na końcu i zaczął ten hak o uszko u góry okna, a potem pchał albo pociągał. Był mocno zbudowany i wysoki, więc logiczne, że dostał akurat to zadanie.

Siedzieli w ławkach, czterdziestka chłopców i dziewczynek z szóstej klasy, dzień był szarobury, plecy proste, stopy razem, i patrzyli na Siostrę Edgar.

Siostra grasowała między biurkiem a tablicą, szeleszcząc monochromatyczną bawełną, migając wyszorowanymi dłońmi. Recytowała pytania z Katechizmu z Baltimore, a uczniowie odpowiadali krystalicznym unisono.

Matty wierzył w Katechizm z Baltimore. Były w nim wszystkie pytania i wszystkie odpowiedzi, była miłość, nienawiść, pojęcie i mycie cudzych stóp, były bicze, ciernie i zmartwych-

wstania, byli aniołowie, pasterze, złodzieje i Żydzi, i była hosanna na wysokości.

Nie wiedział, co znaczy hosanna na wysokości, i bał się spytać. Wszyscy się bali. Bali się od tygodnia - odkąd Siostra walnęła głową Michaela Kalenki w tablicę, kiedy lakonicznie odpowiedział na łatwe pytanie. Akurat przerabiali „Stworzenie” i „Upadek człowieka”, lekcję piątą w Katechizmie z Baltimore, i Siostra wskazała obrazek w książce przedstawiający mężczyznę i kobietę, którzy stali mniej lub bardziej rozebrani pod jabłonią, a wokół gałęzi owijał się wąż, po czym wywołała Michaela Kalenkę i kazała mu powiedzieć, co to za jedni, najłatwiejsze pytanie, jakie w życiu zadała, a Michael Kalenka wstał, spojrzął na ilustrację i ciężko się zamyślił, aż w końcu Siostra podpowiedziała:

- Pierwsi rodzice nas wszystkich.

A Michael Kalenka pomyślał jeszcze trochę, wyszczerzył zęby w uśmiechu i rzekł:

- Tarzan i Jane.

Siostra rzuciła się na niego i zgarnęła go pod skrzydlate poły habitu. Znikł z oczu reszcie klasy, a potem nagle pchnęła go w stronę tablicy, głową naprzód. Zderzenie było mocne i niewątpliwe. Rozległ się dźwięk tak prawdziwy, łoskot, a potem przeciągły pomruk, gdy cała tablica zawibrowała, że uczniowie oklapnęli w ławkach i siedzieli, wytrzeszczając oczy, jakby stopnieli. Nagłym podmuchem wytrąceni ze sztywnych póz. Michael Kalenka stał pod tablicą, oszołomiony, podobny do szmacianej lalki, onieśmielony, skruszony, uśmiechnięty, przede wszystkim jednak oszołomiony, z rękami z gałganków, cały obwisły.

Siostra przepytывała ich z katechizmu, a oni odpowiadali chórem. Matty lubił to odpytywanie. Słuchanie z góry ustalonych pytań i recytowanie prawidłowych odpowiedzi było w każdym szkolnym dniu największą przyjemnością.

Siostra znała katechizm na pamięć i Matty też uczył się na pamięć tego, co zadawała do domu, bo miał teraz więcej czasu na odrabianie lekcji, a zresztą w skrytości ducha szanował Siostrę Edgar, którą w całej szkole nazywano Siostrą Kostuchą, bo miała ostre rysy twarzy i białą cerę, a jej chude dłonie sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili gotowe były zaaplikować ko-

muś dotknięcie zza grobu - zimnego, kościstego berka, po którym delikwent już na zawsze zamienia się w „ono”.

Podobało mu się, że każda odpowiedź zaczyna się od powtórzonego pytania.

- Co dokładnie mamy na myśli, kiedy mówimy, że Chrystus zstąpi na ziemię, aby sądzić żywych i umarłych? - pytała Siostra.
- Kiedy mówimy, że Chrystus zstąpi na ziemię, aby sądzić żywych i umarłych - chórem odpowiadała klasa - mamy na myśli dokładnie to, że w ostatnim dniu Pan Nasz przyjdzie sądzić wszystkich ludzi, jacy od początku świata żyli na ziemi.

Potem Siostra kazała im wyjąć spod koszul i bluzek numerki, bo chciała je zobaczyć. Chciała sprawdzić, czy je mają na szyjach. Numerki nosiło się, żeby ratownikom łatwiej było zidentyfikować dzieci zabląkane, zaginione, ranne, okaleczone, zmasakrowane, nieprzytomne albo zabite w pierwszych godzinach po wybuchu wojny atomowej.

Siostra przeszła się między rzędami ławek i pochylając się, czytała wszystkie numerki po kolei. Z bliska pachniała pralnią, krochmalem, żelazkiem z nawilżaczem, paznokcie miała wypo-lerowane na szklisty połysk lawy, paciorki różańca, który wisiał u jej pasa niczym łańcuszek z kluczami przy pasku bikiniarza, świeciły i migotały, a kiedy z szelestem nachylała się nad uczniami, zaczynała pachnieć jeszcze bardziej poufale: proszkiem do zębów, środkami czyszczącymi i pokutą wyszorowanej skóry.

- Biada dziecku, które przyszło bez numerka albo ma cudzy - powiedziała.

W innych klasach zdarzało się, że chłopiec i dziewczynka zamieniali się numerkami na dowód atomowej czułości.

Po skończonej inspekcji Siostra ku zdumieniu klasy nic nie powiedziała. Uczniowie spodziewali się próbnego alarmu, komendy: „Kryj się!”, którą ćwiczyli, zanim pojawiły się numerki. Odkąd zawisły im na szyjach, z ich własnymi nazwiskami wypisanymi na cienkiej blaszce, trening ten nie był już abstrakcyjną wprawką, lecz czymś stale obecnym, tak jak wojna atomowa.

Ale Siostra wróciła do katechizmu, do pytań i odpowiedzi, i przerwała dopiero wtedy, kiedy Anette Esposito z ósmej klasy przyszła z kartką od dyrektora. Siostra przeczytała kartkę, spojrzała na Anette Esposito i spytała:

- Co to ma znaczyć?

W pierwszej chwili nikt nie zrozumiał pytania. A potem wszyscy sobie uświadomili, że Siostra patrzy na biust Anette Esposito, na jej piersi sterczące pod niebieskim swetrem.

- Co to w ogóle jest? Zrób coś z nimi. Żebym ich więcej nie widziała, jak tu jeszcze kiedyś przyjdiesz.

Uczniowie obsunęli się w ławkach jak widzowie w kinie, cokolwiek podekscytowani demaskacją Anette Esposito jako wybryku natury. Oczy mieli rozbiegane, błyszczące. Gryźli się w knykcie i wydawali ciche, wilgotne, gardłowe odgłosy. Kiedy Anette Esposito wyszła za drzwi - nie bez dumy zresztą, lekko nadąsana, z wypiętą piersią - strzeliły ku niej wszystkie spojrzenia, utkwione, rzecz jasna, w piersiach, które nie były wszak częstym obiektem kontemplacji szóstoklasistów.

Siostra nie zarządziła próbnego alarmu. Zrobiła za to lekcję kaligrafii, własnoręcznie demonstrując na tablicy potoczystą kursywę. Zademonstrowała skos i pętlę, z naciskiem podkreśliła, że nie należy wykraczać poza linie na papierze, kazała dzieciom wziąć wieczne pióra i odtwarzać w powietrzu ruchy jej dłoni, co też uczniowie zrobili, wyginając nadgarstki, w zgodnym rytmie kreśląc pętle, i wypisali wielkie T jak tornado, przypominające łódkę w czasie sztormu.

Matty siedział i jak zakłęty pisał w powietrzu starym parke-rem swojego brata, zielonym piórem wiecznym w jaśniejsze smugi, ze skuwką w kształcie strzały, ale mina mu zrzedła, kiedy po dzwonku na pauzę obiadową Siostra wyciągnęła w jego stronę zakrzywiony palec.

- Matthew Shay.

Własne nazwisko usłyszane z jej ust oszołomiło go.

- Zgłoś się do mnie, zanim wyjdiesz z klasy.

Wraz z dwoma pozostałymi dyżurnymi rozsunął drzwi szatni, wyjął swój płaszcz i poczekał, aż klasa się opróżni, a potem stawiał się przy biurku Siostry.

Miała niebieskie oczy o napiętym wyrazie, wąskie wargi, nos z małym garbkiem u góry.

- Wczoraj na dziedzińcu. Z kilkoma innymi. Oglądaliście jakieś czasopismo, głowa przy głowie.

Groza tego sam na sam z Siostrą Edgar.

- Chciałabym usłyszeć. Po pierwsze. Tytuł czasopisma.

Oparła się o róg biurka, od niechcienia machając różańcem, tak że wielki krucyfiks z wypiętym w łuk ciałem Chrystusa zataczał w powietrzu chwiejne kręgi.

- Po drugie. Streszczenie zawartości.

Matty'emu przemknęły przez głowę dwie odpowiedzi.

30. Czasopismo o filmowym świecie.

31. Portrety Rity Hayworth i Lany Turner na całą stronę. No i to, że Serce Maria Lanzy Przeszło Bić. Artykuły o gwiazdach, o jakich nigdy nie słyszał. Reklamy francuskiej bielizny nocnej i majtadansów.

A jeśli Siostra spyta go o to wszystko?

Przyglądała mu się uważnie, wyczekująco. Trzymał ręce za plecami, żeby ukryć obgryzione paznokcie i strzępy martwej skóry na czubkach palców.

Czy będzie musiał wyjaśnić, że majtadanse to damska bielizna z wyhaftowaną na nogawce parą tańczącą fokstrotą?

A jeśli to czasopismo objęte jest zakazem Legionu Przyzwoitości, a ona spyta, czyje? Choć nigdy by przecież nie użyła tak niechlujnie uproszczonej składni.

- Matthew. Tak?

Postawiony wobec wyboru, czy okłamać Siostrę Edgar, czy raczej sypanąć koleżkę, musiałby zacząć sypać, natychmiast i bez wyrzutów sumienia. A ostatnie stronicze czasopisma, wypełnione reklamami kremów do pielęgnacji biustu i różnych sposobów na poprawienie zarysu piersi?

„Matthew. Tak?” Wbrew pozorom nie było to pytanie, lecz wezwanie, nagłące żądanie prawdy, i tylko prawdy. Powiedział jej zatem, jak się nazywało czasopismo, z czym zdjęciem na okładce i co było w środku, ale trzymał się raczej romansów i złamanych serc gwiazd filmowych, a Siostra słuchała z zaciękwioną, zadowoloną miną.

Zaskoczyło go to i ośmieliło, przestał więc się wahać i opisał hollywoodzkie domy niektórych gwiazd, a Siostra podpuszczała go, zadając niewinne pytania, usiłując zamaskować własną ciekawość wyglądem przez okno. Nabierał coraz większej pewności siebie i elokwencji, mówił szybko i prawie bez kontroli, zmyślając, ilekroć nie potrafił sobie przypomnieć szczegółów jakiegoś artykułu albo fotografii, ogarnięty desperackim uniesieniem, a Siostra zachłannie słuchała.

Sporo wiedziała o gwiazdach. Co im najbardziej smakuje i jakie owady najdotkliwiej je kęsa, i że na potańcówkach w liceum podierały ściany. Znała ich dogłębną pospolitość, którą kamuflowały operacje plastyczne i tragedie małżeńskie. Wyglądając przez okno, zadawała Matty'emu podchwytliwe pytania, tu i ówdzie wtrącając własne uwagi.

Potrafił ustawić się obok tej sceny, słysząc własny głos, patrząc, jak mały chłopczyk swobodnie papie w towarzystwie zakapturzonej zakonnicy. Zachował jednak resztkę czujności. Tak czy owak, była to przecież ona, Siostra Edgar, w habitcie z kapturem. Jej suknie onieśmiały go. Cała była sukniami. Była ścianą do czysta wypranych sukien. Kobieta usuknioną.

Po pauzie Richard Stasiak zrobił na dziadzińcu coś niesamowitego. Matty "był przy tym, lecz nie od razu zdał sobie sprawę, co właściwie zobaczył. Otóż Richard Stasiak nosił bieliznę tak lichą, łaskoczącą i przetartą, że rozpiął rozporek, wsadził rękę i jednym ruchem wyciągnął całe majtki, wyszarpnął z rozporka ten łańchman i rzucił nim w Mary Feeley, która odskoczyła do tyłu, zasłaniając dłońmi usta, jakby ujrzała coś, o czym lepiej nie mówić.

A potem wszyscy razem wrócili do klasy.

Nick co rano dawał się podwieźć do lodziarni jednemu z pakowaczy; marzył, czekając po ciemku na rogu ulicy, a potem jechał na samo zadupie Bronksu, tam gdzie jedna rzeka skręca w drugą, a lodziarnia wznosi się wśród zielska jak pigmejskie więzienie nad Zambezi, ale było to i tak lepsze niż jazda metrem, w mozolnym ścisisku, w godzinie szczytu.

Po pracy ktoś go podrzucił w poblize zoo; poszedł stamtąd na zachód, mijając szkołę swojego brata, a po drodze widział, jak jeden facet popycha swoim autem drugie, w którym siedzi sześciu facetów. Dotarł do domu, skręcił przy sklepie spożywczym Donata, przeszedł trzydzieści metrów wąską uliczką i skręcił w przerwę między domami, z której kilka betonowych schodków wiodło prosto w płataninę zaułków, łączących pięć czy sześć ciasno słoczonych budynków.

Zaułki te nazywano podwórkiem.

Domy jeden tuż przy drugim, sznury z praniem, skośne promienie słońca, kępy zielska, kilka niedoszłych ogródków, bez-

listne bożodrzewy i wreszcie schodki przeciwpożarowe, które tworzyły na ścianach i chodnikach drabiniaste wzory.

Nick schylał się pod nadprożami i przechodził przez wąskie przesmyki. Napotykał drzwi zamknięte na kłódkę, drzwi uchylone. Podziemne korytarze łączyły ze sobą pomieszczenia gospodarcze, wnęki z pojemnikami na śmieci, dawne piwnice węglowe przerobione na kotłownie, a także składy, w których miejscowi kupcy trzymali towar. Wszędzie unosił się zapach ni to śmieci, ni to wilgotnego kamienia, wstrętne woń pleśni i gęsty chłód, wrażenie, że wszystko, co kiedykolwiek w tych miejscach się zdarzyło, dotąd wisi w powietrzu, nasiąknięte i przesycone grzybem, wilgocią, fusami z kawy i ścierkami do podłogi moczonymi w wielkich zlewach.

Jedna połowa dzieciństwa upłynęła mu na ulicach, a druga na podwórku, z niewielkim udziałem dachów i schodków przeciwpożarowych.

Minął kotłownię i otworzył drzwi na końcu korytarza. George Kelner siedział w niewielkim składziku, o którym mawiał, że mieszka w nim, kiedy nie mieszka w domu. Zobaczył, że Nick stoi w drzwiach, i skinieniem głowy zaprosił go do środka. Miał umowę z dozorcą. W pokoju stała leżanka, stół, pułapka na szczury, kilka krzeseł, rozmaite puszki z farbami i sprzęt hydrauliczny, a pod sufitem wisiało parę żarówek. Nick był prawie pewien, że w ramach układu z ciciem George'a odwiedza kobietę, której on płaci za seks, a dozorca udostępnia mu pokój w zamian za udział w tych przyjemnościach, czyli od czasu do czasu kobieta obsługuje dozorcę, a George jej za to płaci.

- Tak też myślałem, że tu jesteś.

- Owszem, jestem - rzekł George.

- W tych sprawach mam szósty zmysł. - Widzisz przez ściany. George pchnął na środek stołu talię kart, a Nick usiadł.

- To tylko szósty zmysł. Ściany dopiero ćwiczę.

- A czy ten twój zmysł powiedział ci, co się stało w salonie bilardowym pośrodku nocy?

George był dożywotnim starym kawalerem, pracował na dwóch posadach, mieszkał ze swoją osiemdziesięcioletnią babką i nieraz całymi dniami grał w bilard, jeśli akurat nie pracował. Kiedy nie robił żadnej z tych rzeczy, Nick mógł go zastać w tym

właśnie pokoju, a wtedy brali karty i grali w briscołę, której nazwę w dialekcie wymawiano „briskola”, w tę grę starców, ot tak, dla zabicia czasu, i wcale nie był to jeszcze najgorszy sposób, bo George Kelner miał w sobie coś, co Nicka ciekawiło.

- Kiedy, dzisiaj w nocy?
- Tak, dzisiaj. Był napad.
- Napad na salon bilardowy?
 - Trzej faceci z pistoletami - powiedział George i zanucił coś jakby melodię z filmu.
- Trzej faceci z pistoletami. Byłeś tam?
 - O szóstej poszedłem popracować w restauracji, wróciłem o jedenastej, zagrałem partię i jazda do domu. Napad był dużo później. Obrobili pokerzystów.
- Obrobili pokerzystów?
- Będziesz powtarzał każde słowo?
- W pale się nie mieści.
- Mieli maski z pończoch.
- Maski z pończoch. Co to takiego?
- Damskie pończochy, nylony.
- Na twarzach? - spytał Nick.
- Nie, na nogach. *Madonn'*, myślałem, że to bystry chłopak.
- W pale się nie mieści. Na twarzach.
- Na twarzach. Żeby nie było poznać.
 - Damskie pończochy. Trzej faceci. A gdzie był ten, jak mu tam? Ten facet przy drzwiach, podobno uzbrojony i niebezpieczny. Gdzie był ten jakiś Walls?
- Nie pokazał się.
- Walls się nie pokazał. Ciekawe.
 - Oczyszcili stolik, że proszę siadać. Potem po kolei oskubali graczy, kazali im wyrzucić kieszenie. I Mike'a Machera, który miał przy sobie nie wiadomo jaką forszę, z całego dnia. Z bilardu i z zakładów.
- Ile?
 - Wszystko. Podobnież więcej niż dwanaście tysięcy. Tak mówią ludzie. Kto wie, ile tego było?
- Dwanaście tysięcy.
- Trzej faceci uzbrojeni w pistolety. *Pistolas*. George zakręcił palcami na wysokości paska, jak meksykański

bandyta popisujący się pistoletami, a nieczęsto bywał w tak lekkim nastroju.

Nick potasował i rozdał.

- Chciałem kupić piwo - powiedział.
- Kto sprzedaje piwo małolatowi?
 - Powiedziałem żonie Donata, że mam dziewiętnaście lat. A ona na to: Co ty sobie myślisz, że jestem *shunat'* czy co?
- Ale i tak sprzedaje ci piwo.
- Żebyś wiedział.
- Na złość.
- Komu?
- Światu - wyjaśnił George.
 - Maski z pończoch. W pale się nie mieści.

Pograli trochę w karty, a potem George przechylił się, otworzył szufladę na końcu stołu i po omacku poszukał papierosów, nie odrywając oczu od kart.

- Trzymasz tam kondony?
- Mniejsza o to, co tam trzymam.
 - Co to za jedna? Możesz mi zaufać. Przed kim miałbym się wygadać? Czy to ta, z którą cię widziałem kiedyś w parku, w łódce na jeziorze?
 - Jeżeli widziałeś mnie publicznie z kobietą, znaczy, że to nie ta, co tu przychodzi. A zresztą wcale mnie nie widziałeś w łódce, cwaniaku.
- Serio pytam, George.
- O co?
- Urządzasz kumpli?

George spojrział na niego beznamiętnie z głębi pustych oczu.

- To kobieta, nie żadna dziewczynka. Nie dla ciebie. Dobijam do czterdziestki, Nicky. Ty możesz dostać swoje za darmo.

Może to właśnie interesowało Nicka. Fakt, że George był najbardziej samotnym człowiekiem, jakiego w życiu znał. Samotność tkwiła w jego chodzie, w głosie, w postawie, widać ją było w tym, że w pokoju, nawet w sali bilardowej wypełnionej zgiefkliwym dysonansem miotanych obelg i chrapliwego śmiechu kąt George'a wyróżniał się, choćby George grał z partnerem, a nie sam ze sobą. Wlokła się za nim wszędzie i wydawało się, że właściwie mu nie przeszkadza. To właśnie było ciekawe.

Może żył tak z wyboru, a może nie, w każdym razie sprawiał wrażenie, jakby mu z tym było dobrze.

- A skoro już mowa o kupowaniu piwa.
- No? - spytał Nick.
 - Ta twoja zasrana praca, dla której moim zdaniem niepotrzebnie żeś rzucił szkołę.
- No więc co z tą zasaną pracą?
 - Rozmawiałem z jednym takim. Więcej możesz zarobić na ciężarówce. Nie piwo, tylko 7-up. Dostawy do sklepów i supermarketów.
- Aż mnie wykrzywia, jak piję to świństwo.
 - Wykrzywisz się, i to jeszcze jak. Będziesz wyladowywał skrzynki z pełnymi butelkami, a potem załadowywał z pustymi. To z ciebie zrobi mężczyznę.
- W jaki sposób?
 - Bo to ciężka harówka. Latem można skonać. Przepracowałem tak jedno lato. Nie mogłem, kurwa, uwierzyć. Przez pierwsze dwa dni schudłem dziesięć kilo.

Nick wcale nie uważał, że koniecznie trzeba przez całe życie mieć jedną pracę, założyć rodzinę i dom, żeby codziennie o szóstej wjeżdżała na stół kolacja, więc interesował go George, starszy facet, który jakoś przetrwał utratę tych wszystkich rzeczy -nie tyle utratę, ile fakt, że nigdy ich nie miał. Grał w karty, grał w bilard, rznął dupy, miał parę dolarów w kieszeni i nie za wiele czasu na myślenie. Chuj z wami, umrę sam. Tak w głębi duszy mówił sobie George.

- Płacą przyzwoicie?
 - Lepiej, niż teraz zarabiasz. To bardziej stała praca. I bezpieczniejsza, tyle że przez pierwszy tydzień dostaniesz czterech przepuklin. A latem wylewu. Zrobi z ciebie mężczyznę, Nicky.
 - Jestem wdzięczny.
 - Nie musisz nic mówić. Może cię przyjmą, a może nie.
 - Chcę, żebyś wiedział. Jestem wdzięczny.
 - Raz tylko na ciebie spojrzą i pomyślą: temu facetowi tylko dupy w głowie. Znajdźmy lepiej jakiegoś Polaczka.
- Nickowi się to podobało. Pograli jeszcze trochę i nagle poczuł, że George dziwnie mu się przygląda, mierzy go spojrzeniem.
- Myślisz, że w tej szufladzie trzymam kondony?

- Nie wiem.
- Chcesz zobaczyć, co w niej trzymam?
- Nie wiem, George. Dobra, czemu nie?
- Nie. Coś mi się nie zdaje, żebyś chciał.
- Jasne, że chcę. Czemu nie?
- Nie. To byłby gruby błąd. Wygadasz się.
- Nie wygadam. Niby przed kim?

No i fajnie. George trochę się zabawiał jego kosztem, chociaż ani na chwilę nie zmienił miny. Zraniony, spięty, zmęczony, podłysiały, z długimi palcami splamionymi papierosową smołą.

- Bo ja ci ufam, Nicky.

Sięgnął do szuflady i wyjął pudełko zapalek z dużymi główkami siarki i łyżkę.

- Dawniej na te drewniane zapaliki mówiliśmy „lucyfery”.

Łyżka była zwyczajna, zmatowiała od spodu, poplamiona jak palce George'a, tyle że ciemniejsza i żyłkowana.

- Patrzę, co robisz - powiedział Nick.
- Jesteś ciekaw?
- Jestem.

George znów sięgnął do szuflady i wyciągnął kawałek gumowej rurki jakby z gabinetu lekarskiego, pewnie do zatrzymywania krwotoków. Rzucił ją na stół obok zapalek i spojrzal na Nicka.

- Wciąż patrzę.
- Patrzysz się?
- Patrzę.

George sięgnął do szuflady, tym razem wyjął zakurzoną strzykawkę z igłą do zastrzyków podskórnych i podniósł ją na wysokość oczu Nicky'ego.

- Patrzysz się? No to się patrz.

Nick potrzebował całej minuty, żeby zrozumieć. Była to dla niego zupełna nowość. Narkotyki. Kto w tej dzielnicy je brał? Poczul się jak ostatni głupek, zbity z tropu i nagle strasznie młody.

- Ty to bierzesz?

George wyjął z kieszeni na piersi saszetkę z klapką u góry. Pomachał nią w powietrzu, nim ją wrzucił z powrotem do kieszeni.

- *Eroina* - wyjaśnił.

Nick naprawdę poczuł się jak skończony głupek. Jakby w ciemnej ulicy dostał po łbie. Bęc! O mało nie złapał się ręką za potylicę.

- Pokaż - powiedział.

George wyjął torebkę i podał mu ją. Nick podniósł klapkę i powąchał proszek.

- Co tam wąchasz? Ona nie pachnie.

Nick oddał torebkę.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Bierzesz to świństwo.

George podwinął lewy rękaw. Skórę miał całą poznaczoną kropkami i kreskami blizn, a w zgięciu łokcia ciemną plamę, zaropiały kłęb uszkodzonych naczyń krwionośnych, istne pobożowisko.

Podniósł strzykawkę do góry, z wyraźną satysfakcją.

- Pytałeś, czy urządzam kumpli? A jak byś chciał się urządzić?

- Weź się odczep.

- Wprowadzimy cię powolutku. Na początek kujniemy w skórę. Po co zaraz w żyłę.

- Brzydę się igieł, George. Zabierz ode mnie to paskudztwo.

- Naciskasz pompkę, widzisz?

- Obejdzcie się.

- No, jazda. Założymy ci pasek.

George podniósł gumową rurkę, a Nick poczuł, że musi wstać i się odsunąć. Mężczyźnie sprawiło to wyraźną przyjemność.

- Dlaczego? - spytał Nick.

- Dlaczego, dlaczego. Tak samo, jak ty chcesz zerznąć jakąś dupę. Dlatego.

Od lat dzieci bawiły się na podwórku w chowanego, grano w kości na drobne pieniądze, a czasem w upalny dzień starsi faceci odszpuntowywali baryłkę i stojąc w cieniu, wypijali parę piw, podczas gdy kobiety wychylały się z okien, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i skarcić mężczyzn, że tak przeklinają.

- Potrafisz wbić sobie tę igłę w rękę? Stary, dla mnie to jak śmierć.

George się uśmiechnął. Był uszczęśliwiony. Zgarnął sprzęt

z powrotem do szuflady, zapalił papierosa i otoczył się chmurą dymu.

Porozmawiali o napadzie, a po pewnym czasie wrócili do normalnego tonu rozmowy.

- Muszę lecieć - powiedział Nick.
- Trzymaj się.
- Zobaczymy się u Mike'a.
- Trzymaj się - powtórzył George.

Nick skręcił w półmroku korytarza, wydostał się na mały dziedziniec z pojemnikami na śmieci ustawionymi rzędem pod ścianą, wspiął się na tylne schody i przez ciężkie metalowe drzwi wszedł do swojej kamienicy.

George nieźle utarł mu nosa. Dał mu lekcję poważnych spraw.

Stało się to pod koniec dnia, kiedy nikt się nie spodziewał. Tak to oczywiście zaplanowała. Stało się szybko, brutalnie i zniecka.

Siostra odwróciła się od tablicy, na której rysowała diagram zdania złożonego, konstrukcję z kredy tak zawiłą i rozrośniętą, że w końcu podobną do fasady domu ze schodkami przeciwpożarowymi, jednego z tych, w których mieszkała większość uczniów.

Zrobiła pauzę dość długą, żeby zaczęli coś przeczuwać, ale za krótką, żeby zgadli.

A potem zawołała:

- Kryj się! Kryj się! Kryj się!

Pod wpływem szoku na dłuższą chwilę zrobił im się mętlik w głowach. Niemrawi, zaszokowani, ociężali, tępi, zaczęli się zsuwać z ławek, strącając książki i zderzając się ze sobą, a potem czmychnęli pod trzy wyznaczone ściany, zgodnie z instrukcją, kicając w kucki, jakby mieli nogi w workach na kartofle.

Czwartej ściany, tej z oknami, kazano im unikać.

Matty zobaczył, że Francis X. Cavanaugh zawadza jajkami o kant biurka. Poczul w łędźwiach empatyczny dreszcz.

Placzliwy głos Siostry niósł się po sali: kryj się, kryj się, padnij, a dzieci przepychały się i czołobitnie klękały, z głowami przy podłodze, z zamkniętymi oczami, zasłaniając dłońmi twarze przed atomowym błyskiem.

Minęło wiele czasu, nim wreszcie rozmieścili się pod ścianami, uspokoiły i znieruchomiały.

Matty trzymał głowę tuż przy dolnej partii tych drzwi szatni, do których ze swojej ławki miał najbliżej. Lubił próbne alarmy. Wymagały działania w zgodnym rytmie, które bardzo mu odpowiadało. Właściwie niezbyt się różniły od wspólnego z dwoma innymi dyżurnymi otwierania i zamykania drzwi szatni albo chóralnego recytowania odpowiedzi, kiedy Siostra przepytowała z katechizmu. Jedność z innymi dodawała mu otuchy. Przytulnie i bezpiecznie było na podłodze, w pozycji mniej lub bardziej identycznej z resztą klasy. Po wstępnej fali zaskoczenia i dezorientacji wszyscy się uspokoili. Tak właśnie nakazywała pierwsza zasada postępowania w razie ataku atomowego. Tylko spokój. Nie podniecaj się i nie podniecaj innych. Zasada druga: niczego nie dotykaj.

Podczas próbnych alarmów czuł się dziwnie na miejscu. Powstawała wtedy wspólnota idealnie zgranych sobowtórów, wszyscy głowami w dół, łokcie pod brzuchem, pupy w górę. Chłopiec o przerośniętym mózgu, znawca trzydziestu dwóch figur i miliona trylionów kombinacji, lubił wtulać się w wyznaczoną przegródkę, słuchając, jak Siostra powtarza wszystkie przestrogi i komendy głosem, który wznosił się i opadał niby syrena w zdoplerowanej mgle jeszcze jednego nijakiego dnia.

Tylko spokój.

Niczego nie dotykaj.

Nie podnoś słuchawki, jeśli dzwoni telefon.

Wyjmij z kontaktu wtyczkę opiekacza.

Nie prowadź pojazdów mechanicznych.

Miej przy sobie chusteczkę do zasłaniania ust.

Kiedy tak trwali w modlitewnej pozycji, nie sposób było powiedzieć, kim są i skąd. Wiernymi ze starej Samarkandy, kłaniającymi się przed swoim ajatollahem. Liczyło się wyłącznie pokorne błaganie, adoracja obłoku wszechmocy - czterdzieści z cicha pulsujących ciał rzędem pod ścianami.

Kazała im wrócić na miejsca. Wstali, podnieśli upuszczone książki i nieco skruszeni wśliznęli się w ławki, patrząc na Siostrę Edgar, żeby odczytać z jej miny, czy powinni się czuć jak ostatni durnie, czy tylko przedostatni.

Nigdy nie kończ zdania na „się” i nigdy nie zaczynaj od „więc”.

Siostra nie była zadowolona z ich popisu. Pochyliła się nad biurkiem, opierając o drewniany blat dłonie tak mocno zaciśnięte, że widzieli, jak krew odpływa z knykcii.

Czekali, aż im każe jeszcze raz powtórzyć to samo.

5

- Hej, Bobby.
- Jestem zajęty.
- Hej, Bobby.
- Jestem zajęty.
- Hej, Bobby. Chcemy ci coś powiedzieć.
- Chyba wyraźnie mówię, że jestem zajęty.
- Juju chce ci coś powiedzieć. Hej, Bobby. **Słuchaj.**
- Zjeżdżajcie stąd, dobra?
- Hej, Bobby.
- Spierdalać mi stąd.
- Hej, Bobby.
- Nie widzicie, że mam robotę?
- Hej, Bobby. Juju chce ci powiedzieć tylko jedną rzecz.
- Co?
- Hej, Bobby.
- No dobra. Co?
- Tylko jedną rzecz.
- No dobra. Co?
- Nasraj sobie w garść i ściśnij - powiedział Nick.

Nie wiedziała, jak to nazwać - lekkość, powiew, w każdym razie coś, co niosło z sobą zmianę, kwiaty drzew lub wonny deszcz, a ona stała na schodkach i patrzyła, jak po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna odłupuje rdzę ze swoich schodków przeciwpożarowych na trzecim piętrze.

Przed spożywczy o dwa numery dalej zajęchała ciężarówka. Syn sklepiarza wyszedł, otworzył z kłódki metalową klapę w chodniku, i podniósł oba jej skrzydła. Mężczyźni zaczęli wyładowywać skrzynki z napojem: starszy woził je do sklepu na

ręcznym wózku, a młodszy brał za uchwyty i przez właz w chodniku znosił do piwnicy.

Klara zapaliła papierosa i pomyślała, że trzeba będzie pójść w drugą stronę ulicy po dziecko, którego w ten akurat dzień, czyli w środę, pilnowała żona krawca, trzeba odebrać małą, bo już prawie pora.

Młodszy mężczyzna za trzecim czy czwartym kursem do piwnicy przywędrował pod jej schodki.

- Nie miałaby pani ochoty zostawić mi macha? Spojrzała na niego, oswajając się z pytaniem, które jej zadał.
- Głupio mi, że proszę - powiedział.

Spojrzała na niego, taksując wzrokiem wilgotną koszulę, wystrzępione farmerki i to, jak trzymał skrzynkę na wysokości brzucha, a rękawy miał podwinięte, tak że widać było żylaste przedramiona.

- Jeden mach - dodał - może przesądzić o życiu albo śmierci.
- W którą stronę? - spytała.

Uśmiechnął się i umknął oczami. A potem znów spojrzał na nią i rzekł:

- Czy to ważne, kiedy człowiekowi chce się palić?

Wyciągnęła rękę z papierosem, ale chłopak nie odstawił skrzynki, żeby go wziąć, tylko wszedł o dwa schodki wyżej i spojrzał Klarze prosto w oczy, musiała więc wsunąć mu papierosa między wargi albo wycofać propozycję.

Nie od razu zdecydowała. Najpierw sama się zaciągnęła i spytała:

- Nie boisz się, że przez to nie urośniesz?

Sześć czy siedem dni później wyszła z mieszkania i zamknęła drzwi. Ktoś stał na schodkach, zaglądając do sieni. Doskonale wiedziała, kto to taki i po co przyszedł, zrobiła więc gest, który mógł być zwykłym wzruszeniem ramion albo zachętą. Potem wsunęła klucz z powrotem w dziurkę i otworzyła dopiero co zamknięte drzwi.

Poszedł za nią do wolnego pokoju, a kiedy się odwróciła, stał tuż-tuż. Był wysoki i silny, więc podniósł ją i oparł o ścianę. Zrzuciła buty, złapała go pełną garścią za włosy i oderwała jego twarz od własnej, żeby mu się przyjrzeć.

Kiedy rozebrali się prawie do naga, stanęli i popatrzyli na siebie. W pokoju nie było łóżka ani kanapy, a oni ledwie się

dotykali, właściwie to on dotknął jej ramienia, ale strąciła jego dłoń. Czekwała, aż ogarnie ją szaleństwo, jakoś jednak nie nadciągało. Chłopak położył na jej ramieniu dłoń, ale ją strąciła. Wzruszył ramionami i roześmiał się, jakby pytał, co jest grane. Oparła mu rękę na piersi. Samym dotykiem potrafiła uciszyć jego śmiech.

- Czy ja ciebie skądś znam? - spytała. - Kim jesteś? Nie żeby mnie to chociaż trochę obchodziło.

Miał ciemne włosy i smagłą cerę, był dobrze zbudowany. Znowu pchnął ją na ścianę. Odgarnęła włosy z twarzy. Póki trzymam go w tym pokoju - pomyślała - nikt nie ma prawa powiedzieć, że odbywa się tu jakieś szaleństwo. To tylko wolny pokój, jej pracownia. Co prawda nie było całkiem naturalne, że stoi w tym pokoju naga, boso na gołej, zimnej podłodze, ale poza tym nie działo się nic tak znów strasznie dziwnego.

Czuła jego dłonie na całym ciele. Pachniał papierosami i czymś jeszcze, jakąś dziwną cielesną stęchlizną zmieszaną z potem. Całowali się długo, jakby godzinami. Wydawało się, że całe godziny trwają te długie, mokre pocałunki, w które zapadała się, daleka, pusta, czując na piersi szorstki uchwyt jego dłoni, aż w nagłym odruchu praktycyzmu, ach, racja - odepchnęła go, poszła do szafy ściennej w przedpokoju i wyjęła zapasowy materac do dziecinnego łóżeczka, żydowską spuściznę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

Wróciła do wolnego pokoju i podała chłopakowi materac, zwinięty w rulon i związany sznurkiem. Postawił go pionowo i zaczął udawać, że z nim kopuluje, wywieszając język.

Dopiero teraz zauważyła, jak wygląda pokój. Chłopak rozsuwał sznurek, rzucił materacyk na podłogę, ukląkł i czekał. Pokój był piękny w tym świetle, posmużony cieniami, cały w liniach i lukach, jasno-mroczny, a Klara podeszła do chłopca, oczywiście nieufna, i gestem pokazała mu, żeby usiadł na piętach.

Nie wiedziała, co się stanie z sekundy na sekundę, i opierała się, chociaż już się do niego przyciskała, gryząc i głaszcząc, przyszyły jej na myśl słowa „głaskać”, „chuj”, gdy tak lekko się wzbraniała przed każdym jego gestem, czując bijący od niego zapach pracy i sutereny, cierpkich izb w pajęczynach kurzu.

Rzucili się na siebie zachłannie, hałaśliwie i wilgotnie, chwytając powietrze, jak pije się wodę, głęboko i jakby z mlaskaniem,

haustami. Chłopak był obiektem, który należało zwiedzić. Z przyjemnością przerywała co jakiś czas i patrzyła, a raczej nagle umykała spojrzeniem, albo prowadziła jego rękę czy też szła do kuchni po wodę, wracała i wylewała mu trochę na pierś, na to ciało nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do materaca, podawała mu szklankę i patrząc, jak chłopak pije, myślała, że przecież nie dzieje się nic wyraźnie szalonego, poza tym, że jest naga w swojej pracowni.

Potem znów się na siebie rzucili, wszędzie naraz, oplatani sobą nawzajem, i wszystko było powtórnie nowe, a Klara zamknęła oczy, żeby zobaczyć siebie z nim razem, i prawie jej się to udało, udawało jej się w bezdennym czasie, ciała skrócone, obrócone i przesunięte w tę i w przeciwną stronę, zbieżne tak lub owak, niby plecociętno kochankowie u Picassa.

Kiedy poszedł szukać ubikacji, pomyślała, że wreszcie poczuje się dziwnie, szaleńczo i obłądnie, ale tylko usiadła na materacu i zapaliła papierosa.

- My mamy trzynastocalowego.
- Trzynastocalowego.
- Nazywa się, jak mu tam. Admirał.
- Admirał. Znaczy się lepszy niż Captain?
- Jasny obraz. Nic nie śnieży.
 - Trzynastocalowego. Co znaczy trzynastocalowy? Chcesz trzynastocalowego? To weź się wypnij.
- Ty, gdzie twoje wojsko?
- Weź się wypnij, mówię. Ja ci dam nic nie śnieży.
- Ty, gdzie twoje wojsko?
- Ten twój cały Admirał. Ja ci zaraz dam Motorolę.
 - Cała twoja rodzina nie uskładałaby się na trzynaście cali, choćbyście zawołali dziadka i jego małpę.

Bronzini stał oko w oko ze swoją klasą, z czterdziestoma czterema stoickimi duszami z kierunku ścisłego. Przeważnie szesnastolatki, kilkoro starszych, nawet osiemnastoletnich, co większych głębów, niewydarzeńców, którzy na jakimś etapie długiej wspinaczki wysokogórskiej po wiedzę zostali w tyle.

Stał za biurkiem na podwyższeniu, mówiąc do ścian, do sufitu, do okien w przeciwległej ścianie. Mówił do spalin autobuso-

wych na Fordham Road i do uniwersytetu ukrytego za drzewami po drugiej stronie, tam gdzie magistranci z college'u nosili bakałarskie togi, a na kapitelach kamiennych słupów, które wyznaczały południową granicę kampusu, wykuto nazwiska absolwentów poległych w pierwszej wojnie światowej. *Universitas Fordhamensis*.

- Nie możemy wyraźnie zobaczyć świata, póki nie zrozumiemy porządku przyrody. Musimy liczyć, mierzyć, przeprowadzać doświadczenia. To właśnie jest naukowe podejście. Nauka. Obserwacja i opis zjawisk. Zjawiska. Rzeczy postrzegalne zmysłowo. Pory roku mają swój sens. W pewnym momencie mróz folguje, przybywa dnia. Co roku o tej samej porze. Na poprzedniej lekcji mówiliśmy o różnicy między równonocą a przesileniem i nie wątpię, że pamięta pani, panno Innocenti, na czym ona polega. Planety poruszają się w zorganizowany sposób. Po trafimy przewidzieć ich wędrówkę po niebie. I zachwycić się jej matematycznością. Elipsoidalną trasą planet wokół słońca. Elipsa. Lekko spłaszczony okrąg. Dostrzegamy tu formę i ład, prawa przyrody w całej ich wspaniałej harmonii. Pomyślcie o rytmie fal. O narodzinach dzieci. Kiedy kobieta gotowa jest urodzić, Applebaum, patrz przed siebie, mówimy, że nadchodzi jej pora. Proces rodzenia jest widowym przykładem precyzji, z jaką działa przyroda. Kobieta przechodzi przez kolejne stadia. Płód rośnie i się rozwija. Możemy przewidzieć, możemy z grubszą powieść, że dziecko urodzi się w tym czy w przyszłym tygodniu. Nadchodzi jego pora, panno Innocenti, podczas gdy pani żuje gumę z prędkością kilometra na minutę. Aby kobieta donosiła płód, potrzeba dziewięciu miesięcy. Dwa kilogramy sześćset siedemdziesiąt cztery gramy. Do zrozumienia świata potrzeba nam liczb. Rozumujemy kategoriami liczbowymi. Kategoriami dziesięcioleci. Ponieważ niezbędna jest nam zasada porządkująca, słyszysz, Alfonse Catanzaro, dzięki której mniej więcej się połapiemy, o co chodzi.

Jakiś głos z ostatnich ławek zapisał:

- On każe na siebie mówić Alan!

Po klasie przebiegł podmuch rozbawienia, jak wiatr czeszący trawę na wydmie. Bronzini nie miał większych kłopotów z utrzymaniem dyscypliny. Uczniowie czuli, że nie chce wdawać się w otwartą konfrontację, a jego łagodnie zadumane wykłady, cza-

sem odległe dygresyjne, traktowali jako sposób wymigiwania się od wyznaczonych zadań, w sumie dość podobny do uników, które sami robili.

Jakaś dziewczynka spod okna zaczęła przedrzeźniać lalusio-watego chłopca:

- Nie mówcie na mnie Alfonse, tylko Alan. Ja chcę zostać aktorem filmowym.

Wywołało to jeszcze wyraźniejszy szmer radości, a Bronzi-niemu zrobiło się żal chłopca, chuderlawego Alfonse, ale nie zbeształ uczniów, lecz mówił dalej, zagadując tę chwilową we-sołość. Alfonse, ten biedny cherlak napiętnowany tragicznym trądzikiem, pryszczami jak winogrona.

- Potrzebne- nam są liczby, litery, mapy, wykresy. Do zrozu-mienia struktury materii potrzebne nam są naukowe wzory. E równa się MC kwadrat.

Napisał to równanie na tablicy.

- Jak to się dzieje, że parę kresek kredą, parę małych zyg-zaków potrafi zmienić bieg ludzkiej historii? Energia, masa, prędkość światła. Protony, neutrony, elektrony. Jak mały jest atom? Powiem wam. Gdyby ludzie byli rozmiarów atomu - pomyśl o tym, Gagliardi - cała ludność kuli ziemskiej zmieści-łaby się na łebku od szpilki. Że nie wspomnę o ogromnych zasobach energii, które zawiera w sobie materia. Materia. Coś, co ma masę - ciało stałe, ciekłe, lotne. Że nie wspomnę, co się dzieje, kiedy rozszczepiamy atom i energię tę wyzwalamy. Ener-gia. Zdolność układu fizycznego do wykonania pracy. Interesuje mnie, jakim sposobem kilka znaków na tabliczce albo na kartce, parę czarnych kresek na białym tle albo białych na czarnym, może przekazać tyle danych i nieść z sobą tak druzgocące im-plikacje. Że nie wspomnę o energii zgromadzonej w atomie. A jaka energia tkwi w tym równaniu? Oto prawdziwa moc. Działanie umysłu. To, jak umysł rozpoznaje, analizuje i przed-stawia. Ileż w tym piękna i mocy. Jakich cudów wyobraźni trzeba, żeby złożone siły natury, wszystkie niewidzialne działa-nia magiczne wewnątrz atomu sprowadzić do postaci zamaszys tych znaków na tablicy. Atom. Jednostka materii traktowana jako źródło energii jądrowej. Grecy w piątym wieku przed naszą-erą sformułowali koncepcję atomu. Tak, panno Innocenti, zanim wyprodukowano gumę do żucia „Era”. Mały, maleńki, tyci. Coś

w czymś, co tkwi jeszcze w czymś innym. Nisko, niżej, najniżej. Głęboko, głębiej, najgłębiej. Na następną lekcję rozdział siódmy. Przygotujcie się do ustnej odpowiedzi.

Rozległo się ledwie dosłyszalne stęknienie.

- Będzie to szczyt publicznej kompromitacji - dodał Bron-zini.

Wyszli tłumnie z klasy na jeden z długich korytarzy, gdzie cztery tysiące uczniów zaczynały już się kłębić wśród harmidru hormonów, hejnału wyzwolenia.

Trwała jeszcze zima, ale w powietrzu tego akurat dnia unosiła się jakaś miękkość, rytmiczna fikcja wczesnej wiosny, rozkoszna oszustka, gdy Albert ruszył swoją zwykłą trasą, zaglądając do sklepów i klubów osiedlowych.

Zjadł ciastko posypane nasionami sosny i spytał o syna sprzedawczyni, artylerzystę odbywającego służbę w Korei. Przyglądził kciukiem wąsy i z rozbawieniem wysłuchał skwapliwych utyskiwań różowookiego mężczyzny, który głośno dawał upust najbardziej małostkowym skargom, co chwila popluwając.

W masarni porozmawiał z dwiema świeżej daty imigrantkami z Kalabrii, kobietą oraz jej nieodłączną córką, które skojarzyły mu się z jego własną matką i siostrą - zagłębiając się w tunel pamięci, przypomniał sobie, jak dziewczyna dosłownie wisiała na matce.

A teraz matka leży na cmentarzu w Queens, na rozległej łące pełnej kamieni i krzyży, wśród tysięcy dusz bytujących poza rozlazłą codziennością, wśród suwerennego ludu, który się nie skarży.

W jednym sklepie kupił mięso, w innym rybę i skierował się stronę domu. Myślał o tym, jak każdego lata w dniu świętego patrona ulicami przechodzi orkiestra kościelna, grając kawalki, od których ciężko się robi na sercu, a w otwartych oknach czynszówek pojawiają się twarze kobiet. Muzycy mieli zwyczaj wolno kroczyć pewną willową ulicą i przystawać przed drewnianym domem z werandą od frontu i różaną pergolą, w którym mieszkał importer oliwy. Kiedy przestawali grać, rodzina zapraszała ich do środka, wchodzili więc, w identycznych czarnych spodniach i białych koszulach, niosąc instrumenty. Taki dawny, dostojny obyczaj, starsi mężczyźni, otyły puzonista, młody człowiek, którego wydrążał tołumbas zawieszony na pasie biegną-

cym przez pierś - wszyscy razem wstępowali do cienistego domu na kieliszek czerwonego, szurając nogami.

Juju wcale nie chciał za nim wejść, ale nie miał wyboru. Skoro Nick wszedł, to i Juju musiał.

Chciał zobaczyć nieboszczyka i Nick postanowił mu pokazać. Stali w przedsionku domu pogrzebowego niedaleko Trzeciej Alei, obok dwudziestu, trzydziestu mężczyzn, którzy palili i rozmawiali.

- Może to nie jest dobry pomysł - rzekł Juju.
- Tylko pamiętaj, nie śmieć się.
- A co mam się śmiać?
 - Okaż trochę szacunku - powiedział Nick. - Niech myślą, że należymy do rodziny.

Popchnął go i razem weszli do głównej sali. Kobiety odmawiały różaniec, siedząc na drewnianych krzesłach, a na kanapach pod ścianami młodsze dziwnie wyglądały w tych czarnych sukniach, hermetycznie zabezpieczone przed wiedzą, wśród nich kilka małych dziewczynek, poważnych i bladych.

Podeszli do trumny i zajrzeli. Leżał w niej starzec o szeroko rozchylonych nozdrzach, o dłoniach stolarza, a może murarza, z szorstkimi, pozadzieranymi palcami miedzianej barwy.

- Masz tu swojego trupa. Napatrz się. Uklękli przy trumnie.
- Nie najgorzej wygląda - stwierdził Juju.
- Chyba mu wyskubali brwi.
- Myślałem, że będzie inaczej.
- Jak inaczej?
 - Nie wiem. Myślałem, że będzie biały - odparł Juju. - **Że** całą twarz będzie miał białą jak kreda.
- Zawsze robią makijaż i w ogóle porządek.
- Biały i sztywny, myślałem.
- A co, nie jest sztywny?
- Wygląda prawie jakby spał. Tyle że w garniturze.
- Więc jesteś rozczarowany.
- Tak, troszkę.
 - Może powiedz to głośniej - rzekł Nick - żeby nas wywlekli na ulicę i zatłukli na śmierć.
- Kiepski miałeś pomysł.

- Powinniśmy przynieść kopertę - powiedział Nick.
- Kiepski pomysł miałeś. A co w tej kopercie?
 - Skoro jesteśmy z rodziny - wyjaśnił Nick. - Talon na mszę albo pieniądze.
 - Myślałem, że z kopertą przychodzi się na ślub. A nie jak ktoś umiera.
 - Koperta zawsze jest potrzebna. W każdych okolicznościach.
- Kiepski miałeś pomysł. Ja już mogę iść.
 - Za wcześniej. Zmów pacierz. Niech widzą, że się modlisz. Okaż trochę szacunku - powiedział Nick. - Tym kobietom w czerni. Bo jak nie okazemy szacunku, to nas rozedrą na kawałki.

W kącie sali bilardowej niejaki Stevie odchrząknął, aż mu podeszła do ust perlowszara flegma, tak zwana ostryga, i splunął nią do butelki coca-coli, którą popijał.

- Prosiłem: daj łyka, a ty mi taki numer? - powiedział Juju.
 - Przecież nie mówię nie.
 - Ale taki numer? Napluć w colę?
 - Chciałeś łyka. No to masz. Choćby dwa łyki.
- Stevie jeszcze raz odchrząknął, splunął przez szyjkę drugą ostrygą i podał mu butelkę.
- Ale żeby taki numer? Odcharknąłeś tym świństwem, bo myślisz, że nikt normalny się nie napije, jak we flaszcze pływa takie wielkie coś.
 - Chciałeś łyka. No to masz. Weź łyka. Weź, ile chcesz.
 - Zaczy dajesz mi całą swoją colę. Ile chcę. Bylebym tylko miał dosyć narąbane w głowie, żeby się napić tego syfu.
 - Co moje, to twoje - odparł Stevie.

Juju uśmiechnął się obłudnie i jakby szyderczo. A potem wypił wszystko jednym długim haustem. Lekko beknął bąbelkami i rzucił butelkę Steviemu.

Nick patrzył z podziwem.

Późniejszym wieczorem wyprowadził na spacer Mike'a Huncwota. Ruszył wzdłuż muru otaczającego szpital, skręcił na wschód i poszedł pustymi ulicami. Stał naprzeciw domu, w którym mieszkała ta kobieta. W pokoju od frontu stało łóżko bez pościeli, puste łóżko z podniesionym wezglowiem, łatwo

widoczne, tuż na prawo od schodków, przy częściowo zasuniętych firankach, w padającym z bliska świetle lampy, a on patrzył, paląc papierosa.

Kiedy wrócił z psem, po schodkach z sali bilardowej schodzili dwaj mężczyźni. Miał wrażenie, że jednego z nich widywał przy stole pokerzystów. Zeszli na dół dość hałaśliwie, aż pies się cofnął.

Mike był sam, siedział za ladą i robił rozliczenie.

- Gdzieś go zabrał, do męskiego na Grand Central?

Nick kiwnął kciukiem w stronę mężczyzn, którzy przed chwilą wyszli.

- Czy ja ich znam?

- Nie wiem-. A co, znasz ich?

- Jakaś poważna sprawa, nie?

- Właściwie mogę ci powiedzieć - rzekł Mike. - Bo prędzej czy później i tak usłyszysz.

- O czym?

- Pamiętasz tego faceta, który w czasie gry zawsze siedział przy drzwiach?

- Jasne. Walls.

- Nie było go tu w noc napadu.

- Od razu pomyślałem, że to ciekawe.

- Nie ty jeden. A paru ludziom, którzy tu byli tamtej nocy, wydawało się, że jeden z tych trzech bandziorów.

- Czekaj. Przyszli w maskach, prawda?

- To mógł być Walls. Maski nic mu nie pomogła. No i oczywiście od tamtej pory nikt go nie widział. Więc możesz sobie wyobrazić, jak to ciekawi różne osoby, gdzie też on się podziewa. Nie mówiąc już o tym, że dwaj z tych graczy są bardzo blisko związani - powiedział Mike - z organizacją.

- Aha, z organizacją. I co dalej?

- Ktoś Wallsa przyuważał.

- Ktoś go przyuważał. Znaleźli go.

- Takie już jego zasrane szczęście. W sklepie spożywczym jednego Portorykańczyka jakieś półtora kilometra stąd.

- A co on robi w sklepie u Portorykańczyka?

- Kupuje zielonego banana. Niby skąd mam wiedzieć?

Nick się roześmiał. Wiadomość podekscytowała go. Wręcz ucieszyła, chociaż lubił Wallsa, a nawet podziwiał za kilka słów,

które zamienili przy tej jednej jedynej okazji. Znaleźli go i zabili. Postanowił zapamiętać, że zaraz z samego rana ma kupić gazetę. Taka historia musiała przecież trafić do gazet.

- Wziął i twoją forszę - powiedział. - Nie tylko to, co leżało na stole.

Mike wszedł na krzesło, żeby wyłączyć telewizor, który chodził bez fonii.

- Ani mi w głowie świętować - odparł. - Taka sprawa tylko niepotrzebnie zwraca uwagę. Mam na utrzymaniu komisariat, bo muszę gliniarzom smarować łapy, żeby mi budy nie zamkli. Sam napad to już była fatalna wpadka. A taka afera jak teraz ściąga mi na kark detektywów z wydziału zabójstw i prasę.
- Jak to zrobili?
- A jak mieli zrobić? Zastrzelili, i tyle. Bum bum.
- Wiem. Ale jak? Ilu ich było? I z jakiej broni? Fotografia zwłok zalanych strugami krwi, z głową dla przy zwoitości nakrytą ręcznikiem.
- Zastrzelili kogoś prócz niego? Uciekli jednym autem czy dwoma?
- Nie wiem. Nie pytałem się.
- A Walls? Miał przy sobie broń, jak do niego strzelali?
- Nie wiem - powtórzył Mike.
- Trafili go w głowę czy gdzie?
- Nicky. Wystarczy. Idź do domu i się prześpij.

Poszli do kina w śródmieściu, a potem łazili po Times Square, patrząc na ludzi, najrozmaitszych, trochę z wyższością, a trochę z kompleksem ciemniaka.

Kiedy w nocy wracali do domu kolejką nadziemną, Juju i Ray siedzieli obok siebie, a Nick usiadł naprzeciwko i wyciągnął się na długiej ławce z wikliny.

- Wiesz co, tak sobie myślę - powiedział Juju. - Nie trzeba było tam wchodzić. To nie w porządku. Zgoda, można się wygłupiać, czemu nie? Ale ten numer lepiej było sobie odpuścić.
- Sumienie cię żre - odparł Nick.
- Facet leży w trumnie. No to niech leży. Jakby to był jakiś palant, co całe życie siedział na dupie, to co innego. Ale to robociarz. I leży w trumnie.

Nick przybrał pozycję nieboszczyka przygotowanego do po-
grzebu.

- Sumienie cię żre - powtórzył. - Idź do kościoła i się wy-
spowiadaj. Zaraz ci ulży.

Ray Lofaro nie miał pojęcia, o czym rozmawiają. Juju nie
powiedział mu dla zasady, a Nick nie chciał sobie zwracać
głowy.

Jechali osobowym, który niemiłosiernie się włókł.

Mijali pogrążone w ciemnościach kamienice dolnego Bron-ksu,
tysiące uspiomych mieszkańców w łóżkach, aż Nick wstał i zaczął
demolować wiklinową plecionkę - najpierw rękami, co nie było
łatwe, a potem wgniół ją obcasem i wyrwał rękami pojedyncze
pasma.

Jakiś mężczyzna z drugiego końca wagonu wstał i przeszedł do
sąsiedniego, a Nick popatrzył za nim, zastanawiając się, czy to
zniewaga, czy może niekoniecznie.

Kopnął jeszcze parę razy, z większej odległości, starając się
kantem obcasa wgnieść oparcie. Potem szarpał oburącz, wyr-
wając kawałki wikliny, aż się rozlegały przeciągłe, suche trzaski.

Jego kumple nie zabierali głosu.

Wysiadł o jeden przystanek wcześniej niż zazwyczaj, a oni
patrzyli, jak wychodzi z wagonu. Podszedł do domu tej kobiety.
Stanął po drugiej stronie ulicy i zapalił papierosa, patrząc na dom.
W pokoju od frontu świeciło się, ale łóżko znikło.

Wiedział, że panu Bronziniemu niedawno umarła matka. Usły-
szał to od własnej matki. I po paru dniach skojarzył, że to właśnie
ta staruszka zawsze leżała w tym łóżku, że to mieszkanie pana
Bronziniego, a kobieta, którą tam zerznął, jest panią Bronzini.

Stwierdził, że to bez większego znaczenia. Parokrotnie mijal
ten dom za dnia i nigdy jej nie zobaczył. Raz czy dwa przystanął
na schodkach i zapalił, ale nie wyszła. Ostatnio zaczął wystawać
w ciemnościach i patrzeć na jej dom, przeważnie po północy, w te
identycznie zasrane noce, zabijając czas, póki nie przyjdzie pora
kłaść się spać.

Miał siedemnaście lat i parę miesięcy. Niebawem czekało go
wojsko, pewnie w sumie nie najgorsza rzecz. Jego kumpel Allie
został już powołany, przeszedł podstawowe szkolenie i niedługo

poleci do Korei, gdzie zamierza przerznąć wszystkie najładniejsze baby, a drugi sort zostawić Nickowi i reszcie.

Stał i palił. Patrzył na jej dom i myślał o tysiącu różnych spraw, przytomnych, szalonych, głupich, i wciąż myślał o tej kobiecie.

6

Niecały kwartał od wejścia do szkoły zaczynała się pusta parcela, zdziczałe pustkowie, którego grunt w pewnym miejscu wznosił się wyżej, zawalone głazami, zachwaszczone, poprzegradzane szczątkami murów; tu i ówdzie widać było ślady starych, przefermentowanych śmieci, papierowe torby rzucone z sąsiednich domów; właśnie na tej parceli mali chłopcy ciskali w siebie kamieniami, starsi w wieczornym chłodzie piekli słodkie kartofle, a niejaki Skeezer zjadł żywcem konika polnego, niejedna zresztą dzielnica miała swoją własną legendę o chłopcu, któremu ciekł po brodzie sok z pasikonika, ale prawdziwość tej akurat historyjki mogło potwierdzić kilku starszych, wiarygodnych świadków; parcela była też tłem akcji innych, bardziej mrocznych opowieści, na przykład o mężczyźnie, który co noc sypiał w rowie, i o tym, jak faceci z drugiego salonu bilardowego, tego u Majora, kiedyś latem późną nocą zaciągnęli w ruiny dziewczynę i ustawili się w kolejce do rżnięcia, i co to była za dziewczyna, a czy chętna - wiele różnych historii opowiadano sobie o placu.

Bo ten kawał ziemi nazywano placem, tak jak na boczny zaułek mówiono „podwórko”, i to tam Matty'emu ktoś poharatał dłoń w grze w karty, zwanej „strzały w knykcie”.

Matty wrócił do domu, wszedł do pokoju matki, która właśnie wyszywała, i podsunął jej pod nos skaleczoną rękę.

- Co to takiego?
- A jak myślisz?
- Myślę, że to krew.
- No to widocznie krew.
- Więc idź i przemyj.
- Nie jesteś ciekawa, jak to się stało?
- No, jak?

- Nieważne - odparł.

Usiadł w saloniku i zaczął oglądać skaleczenia i zadrapania, błotniste strużki zaschniętej krwi. Czuł przy tym rozkoszny żal nad sobą, wręcz fascynację, zwierzęce przywiązanie: mało brakowało, a byłby polizał. Lecz gdy do pokoju wszedł brat, wcześniej niż zwykle, Matty chciał schować zranioną dłoń.

- Co to?
- Nic.
- Pokaż, palancie.
- Muszę tylko przemyć.
- Musisz zajodynować. Pokaż.
- Obejdzie się bez jodyny - odparł z cichym uporem. Wyciągnął rękę, a jednocześnie odwrócił od niej spojrzenie, jak gdyby z poczucia taktu.
- Trzeba mu to polać jodyną - rzekł Nick do matki.
- Czyżby już wrócił tragarz od 7-up?
- Jodyną, jodyną.

Matty skulił się na krześle, kiedy brat oglądał jego **dłoń**. Sam Nick miał dłonie brudne i pokancerowane, dużo większe, o pięć, sześć lat - prawie męskie, całe w bąblach, po wewnętrznej stronie pokaleczone odłamkami szkła.

- Jak to się stało? Dałeś w zęby jakiejś dziewczynce?
 - Grałem w karty na placu.
 - To ty chodzisz na plac?
 - Tylko z brzegu.
 - Matka wie, że tam chodzisz?
 - Głęboko się nie zapuszczam.
 - Myślisz, że to dobry pomysł, żebyś tam chodził?
 - A ty jak myślisz?
 - Myślę, że chodź, ale uważaj. Przychodzą tam chłopaki z różnych ulic. Nie wiedzą, że jesteś moim bratem.
- Nick trzymał go za rękę i oglądał ją.
- Teraz już nie boli tak jak przedtem.
 - Grałeś w strzałę w knykcie.
 - Aha.
 - I na końcu parę kart zostało ci w **ręku, a ten, co wygrał**, uderzył cię ile razy?
 - Mogłem sam wybrać.
 - Jeszcze pamiętam te wybory.

- Dziewięć strzałów skrobanych bokiem talii albo cztery skrobane i jeden zabójczy całą talią z góry na dół.
- Szerszym końcem. Prosto w knykcie, z całej siły.
- Aha - przytaknął Matty.

Nick trzymał go za rękę. Wiele razy w życiu dał mu po głowie, wymierzył środkowym palcem cios bolesny jak trafienie z procy. Wiele razy ściągał go z fotela, na którym sam chciał usiąść. Raz nawet wywiesił go na chwilę za okno, bo zobaczył, jak Matty wyciera smark o krawędź drzwi. Wiele razy dawał mu kopa w tyłek bez powodu, tylko dlatego, że akurat przechodził przez ten sam pokój.

- Chyba naprawdę trzeba będzie zajodynować.
- Nie potrzebuję jodyny - szepnął Matty.

Popatrzył na swoją dłoń w dłoni Nicka. Starszy brat pachniał pracą, upałem i ostrym salami, pikantnym, wyrazistym **salami**, które jadł przy robocie.

Weszła matka i spojrzała na skaleczoną dłoń.

- Merbromin - orzekła.

Nick odebrał jej dłoń Matty'ego.

- Jodyna - powiedział.
- Najpierw ma umyć rękę chłodną wodą z mydłem, **Matthew**, słuchasz, co mówię? Potem osuszyć ręcznikiem.
- A na koniec zajodynować.
- Nie chcę jodyny - rzekł Matty. - Wolę merbromin.
- A właśnie że jodyna. Jest mocniejsza, lepsza, bardziej **pali i** piecze.
- Merbromin - powtórzył Matty.
- Wżera się w ranę, oczyszcza i wypala.
- Merbromin - powtórzył Matty.

Ale nie chciał, żeby brat puścił jego dłoń, **jeszcze przez** chwilę niech jej nie puszcza.

Klara stała na dachu i patrzyła, jak ciemne chmury piętrzą się, niebieskawe i ostro zarysowane, niczym zwiastuny burzy na jakimś odległym wybrzeżu, niebo zbyt bujne i dzikie, żeby mogło akurat tędy przeciągać.

Niedaleko niej dziecko bawiło się z dzieckiem sąsiadki na kocu.

Zdjęła pranie i włożyła je do kosza, ale jeszcze nie była

gotowa zejść. Wiatr wznosił się, a ona widziała, jak na dachach wszystkich okolicznych domów kobiety odpinają od rozkołysanych sznurów suszące się ciuchy, zgięte w pół przemykają pod wyдутymi prześcieradłami, i słyszała, jak inne sąsiadki ciągną za linki rozpięte nad zaułkiem od okna do słupa, jak ciągną za stare sznury, które skrzeczą śpiewnie, sunąc przez rowki w obręczach tyłu zardzewiałych kółek.

Brakowało jej matki Alberta. Dziwnie się czuła, wchodząc do pokoju od frontu, który był teraz pusty i nieswój, bo najpierw opustoszało łóżko, a potem i ono znikło, została tylko podłoga, domagająca się zapelnienia.

I dziwne, że początkowo żadne z nich dwojga nie chciało rozstać się z tym łóżkiem. Tygodniami trzymali je w domu, z wezłowień podciągniętym jak za dnia, w porze, kiedy staruszka lubiła siedzieć z zamkniętymi oczami i czuć słońce na twarzy.

Biel jej koszuli nocnej, włosów i białej pościeli, pościel wzdymająca się na dachach i kobiety, które ugniatały ją, żeby zmieściła się w koszach.

Spadły pierwsze krople, grube i rozpryskliwe.

Całkiem niedawno wyszła na dach tak jak teraz, trochę jakby w ucieczce przed własnym życiem, i zobaczyła, że ten młody człowiek stoi pod latarnią po drugiej stronie ulicy i pali papierosa.

Rzadko o nim myślała, a jeśli już, to wyobrażała go sobie w ruchu, wspominała podrapane dłonie, które sunęły po jej ciele, brud wżarty w palce, obrót barku i to, jak spoglądał na nią znad zaciśniętej pięści.

Kiedy zobaczyła, że stoi pod latarnią i patrzy na jej dom, zrobiło jej się przyjemnie. A potem zastanowiła się chwilę i już nie była taka zadowolona. Więcej go tam jednak nie zobaczyła.

Dzieci nie chciały wracać do domu, ale nadciągała ulewa.

Był w pewien sposób łatwy w obejściu, naturalny - wcale nie daleki ani zupełnie obcy. Z początku wydawało jej się, że miło będzie nazywać go w myślach Młodym Człowiekiem, jak bohatera powieści o dorastaniu, ale myśląc o nim, zawsze widziała go w ruchu, bezimiennego, bez żadnej literatury, rodzaj mętnej plamy, wirującej tuż nad jej prawym ramieniem - esencję, którą jej mózg skondensował z całej tej rozkoszy i wilgoci.

Wyjrzała za gzyms i zobaczyła na schodkach przed domem po drugiej stronie ulicy trzy dziewczynki grające w ciupy: każda miała swój schodek, a ta, która akurat grała, siedziała bez ruchu, zgarbiona, i tylko jej ręka sunęła gorączkowo wśród rozrzuconych ciup; Klara słyszała, jak wywołują trójki, całuski i bloki, aż w końcu wybucha spór, metaliczny i wyrazisty.

Nie chciała nic więcej, chciała mniej. Właśnie tego nie potrafił zrozumieć jej mąż. Samotności, dystansu, czasu, pracy. Czegoś odległego, co było jej potrzebne, żeby mogła oddychać.

Zaniosła kosz z praniem do drzwi i wstawiła go tuż za próg. Okoliczne dachy prawie już opustoszały, skowyt linek nad za-
ułkami też ucichł. Nawet z tej wysokości słyszała dźwięk monety, którą jakaś kobieta stuknęła w okno, wzywając do domu dziecko pochłonięte zabawą.

A potem na dobre lunęło. Klara podniosła córeczkę z ziemi, koc zgarnęła pod pachę, drugą dziewczynkę wzięła za rękę i ze śmiechem pobiegły po dachu, pod mknącym niebem.

Przy kolacji powiedziała mu, że dotąd postępowała samolubnie.

- To chyba nie może być prawda - odparł.

Rozdarł na dwoje kawał spieczonego chleba, gestem tak rytualnym, z taką głębią niezawodnego nawyku, że nie wyobrażała sobie, jak zdołałby przebrnąć przez cały posiłek, przez wszystkie zakręty, pauzy i ruchy rąk, jeśli by pominął ten ozdobnik.

- Malarstwo to strata czasu. Nic mi nie wychodzi. Wolny pokój oddamy Teresie.

- Cierpliwości - odparł. - A zresztą co właściwie miałyby ci wyjść? Maluj dla samej satysfakcji, z dnia na dzień. Dla wypełnienia czasu.

Miała niewielką reprodukcję słynnej *Matki* Whistlera, którą powiesiła w kącie wolnego pokoju, bo uważała, że za mało uwagi poświęca temu obrazowi, a lubiła jego formalne wyważenie, wiernie, zgaszone kolory i uderzającą nowoczesność, z jaką autor przedstawił siedzącą kobietę w czepcu na głowie, w obfitej ciemnej sukni, postać wyjętą z rodzimej epoki i przeniesioną w abstrakcyjne układy dwudziestego wieku, na długo przedtem, nim dojrzała do tej podróży, takie przynajmniej sprawiała wrażenie; ale Klara lubiła też patrzeć na wskroś, pomijając

komponenty tonalne, wyższą teorię barw, może nawet teorię farby jako takiej - patrzeć w głąb obrazu i widzieć matkę, kobietę, samą matkę, anegdotyczny aspekt kobiety w fotelu, zamysłonej i niesłuchanie interesującej, tak po kwakersku poprawnej i nieruchomej, pozornie dalekiej, lecz tylko dlatego, że pogrążona była - sądziła Klara - we wspomnieniach, uwikłana w trans pamięci, silna i elegijna obecność pomimo doktrynalnych priorytetów malarza, czyli syna.

- Nie, urządzmy jakoś ten pokój. To byłoby dla mnie teraz odpowiednie zadanie. Jakoś go urządź, żeby przynajmniej dało się w nim mieszkać.
- Musimy przecież urządzać pokój od frontu - powiedział Albert.
- Tak, bo to wciąż jeszcze ziemia niczyja. No więc zrobię pokój od frontu. A potem zabiorę się do tego wolnego.
- Ja też spróbuję trochę bardziej się przyłożyć. Postaram się o katedrę nauk ścisłych. A latem dokądś wyjedziemy. Do Hiszpanii albo do Włoch. Gdzie tylko zechcesz.

Lubiła patrzeć, jak Albert je, bez reszty pochłonięty kosztowaniem smaków, krojeniem i smarowaniem, dokładnym przeżuwaniem kęsów; co pewien czas bezpretensjonalnie zastyga, trzymając kieliszek wina trzy centymetry od ust, czeka, delektuje się, czując ziemię pod stopami i naszą z nią więź, oto cały Albert nad talerzem z porcją kałamarnicy - ziemia, morze i to, jak Albert patrzy na jedzenie, chłonąc zawartość talerza, nim choćby sięgnie po widelec.

- Do Hiszpanii - powiedziała. - Madryt. Prado. - Parsknęła chłodnym, głuchym śmiechem, jak zwykle, kiedy pastwiła się nad sobą. - Chcę patrzeć na obrazy do upadłego.

A potem zobaczyła go na ulicy z kolegą, kiedy skręcał w stronę sklepu z ciuchami z demobilu, przystanąła i zastygła w bezruchu, stojąc mu na drodze, a on prawie się z nią zderzył, zanim ją poznał, zatrzymał się i okazał ledwie cień zdziwienia, jego kolega też przystanął, a Klara ominęła ich i przeszła na drugą stronę.

Nazajutrz stał pod latarnią, kiedy wyrzała przez okno. Akurat wieszala w pokoju od frontu nowe firanki, a on stał pod latarnią i palił. Przejechała między nimi ciężarówka poczty kolejowej.

Podniósł głowę i zobaczył Klarę. Pstryknął niedopałkiem do rynsztoka i przeszedł przez jezdnię.

Klára rzuciła materac na podłogę. Nick patrzył na kobietę, a potem ściągnął koszulę przez głowę. Potem znów spojrzął na Klarę. Stała z pochyloną głową, jakby usiłowała coś sobie przypomnieć, a po chwili odpięła guzik z boku spódnicy.

Pocałunki zostawiała jakby nie dokończone, interesująco i trochę zagadkowo, inaczej niż poprzednio, kiedy całowali się niemal do późnej starości. A teraz odsuwała się i uciekała oczami, ledwie zaczęło mu się wydawać, że pocałunek rozgrzał ją i zmiękczył; odrywała się od niego raptownie, z dziwną, prawie zranioną miną, a on zdumiewał się, że jest tak zupełnie inna, niż ją zapamiętał z poprzedniego razu, cerę ma może trochę bledszą, nieważkie, bezkrwiste dłonie, te białe kształty przepływające w powietrzu, oczy lekko wytrzeszczone, jakby dostrzegały rzeczy, o których istnieniu nie wiedział.

Ale oczy te umykały gdzieś w bok i to akurat pamiętał z poprzedniego spotkania, tak samo jak ten kosi uśmiech, lekko zadarty kącik ust. Niektóre detale pozostały bez zmian. Te same cycki, dupa, cycki i kępa, no i język zrolowany przy pocałunkach.

Spojrzenia, których sensu nie umiał rozszyfrować.

I ten drugi uśmiech, kiedy uśmiechała się do siebie na myśl o nich dwojgu razem, a może z innego powodu, jakby trzy dni po fackie, idąc między półkami w supermarkecie, myślała o tym, co robili we dwoje, ale jeszcze nie minęły żadne trzy dni, wszystko działo się dopiero teraz, a ona trzymała go za jaja, lekko ściskając.

Naga kobieta to był niesamowity widok.

Nigdy takiej nie widział, w pełnym świetle - nie jakaś tam półnagość, podbrzusza zasłonięte plażowym kocem albo seks w ciemnym aucie. Całe nagie ciało w biały dzień, stojące, leżące, od przodu, od tyłu, jawne, widome i znów inne, kiedy szła przez pokój, zwrócona raz tą, raz inną stroną, czasem ku niemu, zmieniona w ruchu, pewniejsza siebie niż on, bez śladu niezdarności, harmonijna, i nic jej się nie trzęsło. Umiała być naga. Wyglądała, jakby od małego wychowała się nago w tym pokoju, chuda dziewczynka, bo właśnie taka pewnie była w la-

tach dziewczęcych, chuda w pewien szczególny sposób, z wystającym brzuszkiem, wstydząca się własnych stóp, lecz zdążyła już wyrosnąć z całego tego wstydu i błędnych proporcji, no i oczywiście małżeństwo, przyzwyczajenie, że ktoś ją widzi, nie miała żadnych łuków ani zakosów, ale dobrze wyglądała nago, a kiedy się pierdolili, przywierała do niego niby jakieś stworzenie walczące o światło, olbrzymia, mokra, papierzasta ćma.

Podniósł z podłogi jej pończochę i wciągnął sobie na głowę. Uśmiechnęła się, uciekła oczami i chyba chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Wepchnął głowę w pończochę tak głęboko, że patrzył teraz na Klarę mniej więcej przez piętę. Udał, że wyciąga rewolwer z kabury zawieszanej pod pachą i celuje w kobietę.

- Ręce do góry - powiedział. - Pieniądze albo życie.
- Trudno serio traktować tę groźbę, zważywszy, jak wyglądasz.
- Hej! Pani szanowna. Przecież to się tak właśnie robi.
- Napady?
- No. Ale ci faceci widać bardzo potrzebują forsy, skoro coś takiego wkładają na twarz.
- Ta akurat jest używana. Oni chyba nie wkładają używanych, co?
- Raczej nie są wybredni. Wkładają, co się nawinie.
- Trzeba przyznać, że rzeczywiście wyglądasz jak nie ten sam.
- Poznałabyś mnie, jakbyś wróciła do domu, a ja bym tu stał w tej masce?
- Nie. Ale bez maski też bym cię nie poznała.

Ściągnął maskę i usiadł na materacu. Poszła po szklankę wody, a on patrzył, jak kobieta wychodzi z pokoju i prawie wcale jej się nie trzęsie dupa, założył sobie pończochę na chuja, ale zaraz cisnął ją precz.

Ciepły, stęchły, jakby lekko zmęczony zapach, wspomnienie nylonowej woni wciąż czepiało się jego twarzy, zapach smutny, zmęczony, z całego dnia, jej własny, a jemu bliski, i jeszcze to, że wiedział o niej coś, co czyniło ją mniej obcą.

A jednak była obca. Była czymś, o czym nie ma się ochoty opowiedzieć kumplom, i to właśnie wydawało się dziwne i obce. I czymś, o czym nie trzeba było mówić samemu sobie, że dzieje

się naprawdę. Po prostu się działo, i już. Bęc, i zdarzyło się, a na ścianie wisi ta pierdolona *Matka* Whistlera. Patrzył, jak kobieta wraca do pokoju.

- Wiesz - powiedział - mój brat, jak był mały, to gdzieś podpatrzył jakąś dziewczynkę przy sikaniu, całkiem małą, pewnie córkę kogoś z sąsiadów, no więc zobaczył, jak spuszcza majtki, gramoli się na kibel i sika, a mój brat patrzy na to, a potem idzie do pokoju, w którym siedzi pełno dorosłych, tak mi przynajmniej ktoś później opowiadał, czeka, aż przestaną gadać, a kiedy wreszcie przestali i spojrzeli na niego, mówi: A Mary Feeley nie ma ptaszka.

Podawała mu szklankę. Było to jedno z najdłuższych przemówień, jakie w życiu wygłosił, nie licząc kawałów, które czasem opowiadał. Sięgnęła po jego spodnie zwinięte w kłębek na podłodze i zaczęła obmacywać kieszenie, szukając papierosów.

Siedzieli na materacu, dotykając się kolanami, palili i popijali z jednej szklanki.

- Wiesz, dlaczego palę old goldsy? Nie powiedziałbym tego byle komu.
- Pieprzysz. Dlaczego?
- Bo ta firma sponsorowała radiowe transmisje z meczów Dodgersów. Old Gold. Tytani tytoniu. Kibicowałem za Dodger-sami. Dawno temu. Ale już przestałem.
- Robisz mi zaszczyt, że zdradzasz taki wielki sekret.
- A żebyś wiedziała. Teraz ty musisz mi zdradzić jakiś swój. Wszystko jedno, wielki czy mały.
- Jak masz na imię?
- Nick.
- Nick, nie możesz tu więcej przychodzić. To kompletne wariactwo. Nigdy więcej, dobrze? Cośmy zrobili, tośmy zrobili, a teraz pora przestać.
- Możemy to robić gdzie indziej - powiedział.
- Nigdzie indziej. Nie. Nie sędzę.

Mniejsza zresztą o ciało. Nigdy nie patrzył kobiecie w twarz z tak bliska. I wydaje mu się, że umie wyczytać z tej twarzy, kim jest kobieta, co jada i jak sypia, odgaduje to z jej wymijającego uśmiechu i nie uczesanych włosów, z kosmyka spadającego na prawe oko, i nagle ta twarz staje się wszystkim, czym jest kobieta, a czego on nie potrafi ująć w słowa.

- Nick Shay - dodał nieco kąśliwie, z odrobiną mściwości, no bo oczywiście wiedziała o lekcjach szachów i musiała skojarzyć, że to nazwisko Matty'ego, czyli Nick jest jego starszym" bratem, więc poczułaby niebezpieczne zacieśnianie się sieci.

Ale najwyraźniej ni cholery jej to nie obeszło. Jego nie obchodziło, że zarwał żonę komuś znajomemu, a jej było wszystko jedno, czym on jest bratem.

- No to ja - powiedział.

- Tak. Chyba już czas.

Podniósł spodnie z podłogi i się ubrał, a ona dalej siedziała nago na materacu, lekko przechylona w bok, ze złączonymi, zgiętymi nogami, opędzając się przed dymem ręką, w której trzymała papierosa, i nawet mu nie przyszło do głowy obejrzeć się za siebie.

7

Rosemary siedziała w biurze adwokata nad piekarnią, układając dokumenty w starym sekretarzyku, kiedy wszedł jej szef, pan Imperato, wróciwszy z sądu karnego, w którym spędził ranek, co mu się nieczęsto zdarzało. Był niezgulowany, ale po mistrzowsku opowiadał kawały, wręcz dostawał przy tym skrzydeł. Był łysy, płatusowaty, niedbale ubrany, w sprawach zawodowych bywał roztargniony, ale kiedy miał opowiedzieć kawał, słyszał muzykę sfer. Nigdy nie przeinaczył pointy, starannie odmierzał każdą pauzę. Naśladował rozmaite głosy i akcenty, męskie, kobiece, gadających ptaków, bezbłędnie, i aż mu się oczy iskrzyły.

- Pachnie chleb - powiedział.

- Tak to już niestety jest, kiedy ma się pod podłogą piekarnię.

Ciągle kupuję chleb. Moi chłopcy nie nadążają.

- A co pani kupiła?

- Coś na kolację.

- Proszę pokazać. Okrągły czy podłużny?

- Pamięta pan, co pan ostatnio zrobił z moim chlebem. To chleb na kolację. Proszę dać spokój.

Przed czterema czy pięcioma laty pan Imperato wynajął w imieniu Rosemary prywatnego detektywa, zlecając mu odna-

lezenie Jimmy'ego. Była to największa tajemnica jej życia, którą znali tylko adwokat i agent. Kiedy poszukiwania zakończyły się fiaskiem, pan Imperato sam zapłacił detektywowi i zaproponował Rosemary, żeby odpracowała dług w jego biurze. Została u niego na stałe, a on ani razu nie potrącił jej z pensji, bo twierdził, że musi mieć komu opowiadać kawały.

- Kupię nam większy wiatrak.
- Bardzo się przyda - odparła.
 - Kupiłem już jeden do domu. Dzieci czasem przed nim siadają. Telewizor wysiadł. Mówię do Anny. Dzieciaki gapią się w wiatrak.
- Nie chcę mieć w domu telewizora.
- Musi pani - powiedział.
- Kiedy nie chcę.
- Ale pani dzieci chcą.
 - Matty rzeczywiście chce. Chodzi do sąsiada piętro wyżej i ogląda zapasy.
 - Ja też w miarę możliwości staram się nigdy ich nie przegapić. Musi pani mieć telewizor. Dzieciom jest niezbędny. To jedyna naprawdę nieodzowna rzecz.

Kiedy wróciła z chlebem do domu, minęła swoje piętro i poszła dalej po wydeptanych stopniach, patrząc na pranie, które suszyło się za brudnymi oknami klatki schodowej, bo miała coś do omówienia z panią Graziani z ostatniego piętra.

Carmela nastawiła maszynkę, zaparzyła kawę i obie usiadły w kuchni.

- Jak ty możesz dzień w dzień drapać się po tych schodach?
 - Trzy, cztery razy dziennie - odparła Carmela. - Znam każdy schodek po imieniu. Zdążyłam je już ochrzcić.
- A Mickey czuje się lepiej po tej swojej operacji?
 - Bo ja wiem, czy tak znowu lepiej. Jaki był, taki jest. Nie wiem, czy to można nazwać poprawą. Ach, ci mężczyźni. Nic, tylko by siedzieli w pokoju i grali w karty, potrafia grać siedemnaście godzin bez przerwy. Rzną w karty do upadłego.
 - Ale on się naprawdę najadł strachu. Skoro jeszcze może grać w karty, no to brawo. Przecież wydawało się, że jest zgubiony.
 - Chyba nie dałabym rady go zgubić, choćbym wyjechała do Chin - odparła gospodyni.

Rosemary zazwyczaj poprawiał się nastrój po wizycie u Carmeli, która wiodła nieustanny spór z mężczyznami, nie tylko z własnym mężem i ze smutnym synem imieniem Cosmo, ale z wszystkimi mężczyznami na świecie, a chociaż Rosemary zgadzała się z nią raptem w dwóch procentach, to i tak czuła się jakby czyściejsza, obmyta jak po spowiedzi, ilekroć wypita z Carmelą filiżankę kawy.

- Chciałam się ciebie spytać. Słyszałaś o tej kobiecie spod sześćset siódmego? O tej babci?
- Nie ma czego słuchać - odparła Carmela.
I pokazała na migi, przeciągnawszy dłonią pod brodą, że nie musimy traktować serio tej historyjki. Jej gest oznaczał: to nic. Był mocno lekceważący, o ile Rosemary dobrze rozumiała ten kod.
- Więc nie wydaję ci się.
 - Jakbym myślała, że coś w tym jest, pierwsza bym tam poszła i czekała, aż on znów się ukaże, a potem na czworakach dziękowałabym Bogu za cud.

Odmawiając różaniec w suterenie wąskiego domu krytego dachówką, w którym mieszkały dwie rodziny i dwoje dziadków, kobieta spod sześćset siódmego podniosła głowę znad paciorków i zobaczyła, że w drzwiach stoi święty, sam święty Antoni, a Rosemary musiała w tej sprawie zasięgnąć czyjegoes zdania, żeby wyczuć, jaką dozę wiary powinna zaryzykować.

Carmela wsypała sobie do kawy cztery łyżeczki cukru.

- Wiesz, co ci powiem, Rose? *Domani mattin'*. Czyli jutro rano on na pewno znówu się zjawi, tym razem z aniołem dmącym w trąbę.

Rosemary była zawiedziona. Carmela pomimo nieustannie wyrażanego sceptycyzmu często przychodziła na poranne msze, a Rosemary chciała, żeby sąsiadka potraktowała tę historię bardziej serio albo chociaż przyznała jaką taką wiarygodność babci, która przecież godzinami się modli wraz z innymi staruszkami, siedzą w żałobnych strojach i odmawiają tajemnice.

Carmela po raz nie wiadomo już który kazała jej zacząć wychodzić z domu i widywać się z ludźmi.

- Jesteś jeszcze młoda, Rose.
- Już nie taka młoda.
- Nie sprzeciwiaj mi się. Musisz mniej przesiadywać w do-

mu, a więcej szukać przyjaciół. Całe życie poświęcasz synom. A ten twój Nicky, wołałabym nie mówić.

- No to nie mów.
- Wołałabym nie mówić, Rose.
- To nie mów.
 - Ten chłopak ma wypisane na twarzy, ja już sama nie wiem co. Nie udawaj, że nie rozumiesz.
- Ciężko pracuje. Oddaje mi pieniądze bez słowa skargi.
- Ten drugi. Sama nie wiem.
- Skoro nie wiesz, Carmela.
 - Sama nie wiem, Rose. Ten drugi. Ale Nicky'ego mam na oku. Bacznie mu się przyglądam.
 - Zabawne, bo wiesz, co ci powiem? Ja mu się wcale nie przyglądam. Wstaje bladym świtem. Idzie do pracy. Oddaje mi pieniądze. Oddaje mi wypłatę w kopercie. I nie słyszę ani słowa skargi.
- Matka zawsze dowiaduje się ostatnia.
 - Nicky szybko dorósł. To już mężczyzna. Ma więcej odpowiedzialności niż niejeden dziesięć lat starszy. Błyskawicznie dorósł ten chłopak.
- Przykro mi, Rose. Ale ja bym mu się przyglądała.

Syn Carmeli przez rok uczył się na specjalnym kursie wypłatać koszyki, przez drugi chodził na naukę czytania do szkoły dla opóźnionych. Aż tu w trzecim roku spadł ze schodów i długo potem wracał do zdrowia, leżąc w łóżku, do którego podawano mu co dzień trzy posiłki, a teraz mieszkał u dziadków na prowincji.

A ona jeszcze mi mówi, że martwi się o mojego.

Nie, nie była to jedna z wielu kojących wizyt u sąsiadki z ostatniego piętra, a przez kilka kolejnych dni, ciepłych dni i chłodnych wieczorów, gdy polewaczka spryskiwała ulice, aż brud i pach spływał rynsztokami... Rosemary przez wiele dni przechodziła obok wąskiego domu pod sześćset siódmym i myślała o Bettinie - staruszce, która odmawiała z przyjaciółkami różaniec w suterenie, pięć tajemnic radosnych w poniedziałki i czwartki, pięć tajemnic bolesnych we wtorki i piątki, pięć tajemnic chwalebnych i tak dalej, chociaż z drugiej strony te kobiety pewnie jednak nie przestrzegały ustalonego porządku, nie, to nie byłoby w ich stylu, bo takie jak one przywdziewały

mnisze szaty na uroczystość świętego Antoniego, kobiety i dzieci wkładały brązowe habity i szły boso, a nad nimi kolebała się święta figura, w sumie zdumiewający, dziwny, imponujący widok - uważała Rosemary - więc takie kobiety raczej nie modliły się według planu.

Nie śmiała zapukać do drzwi, ale lubiła sobie wyobrazić, jak siedzą wokół stołu i przesuwiają w palcach paciorki, duże od *Ojciec Nasz* i małe od *Zdrowaś Mario*.

Jej samej nie starczało czasu na codzienne odmawianie różańca. Miała własne paciorki do odrobienia. Miała ramę z tkaniną przypiętą do krawędzi i igłę z drewnianym trzonkiem, którą naszywała na tkaninę opalizujące koraliki do ozdabiania sukienek, i właściwie nigdy nie zastanawiała się, kto w tej sukience będzie chodził.

Nie śmiała porozmawiać z babcią, która zresztą i tak nie znała angielskiego. Trzydzieści pięć lat w tym kraju i ani trzech słów po angielsku. Było to jednak poniekąd świadectwo jej wiary, znak tego, co się naprawdę liczy. Otóż naprawdę liczyły się tajemnice, a nie język, w którym je się odmawia.

Inspektorzy od świeżego powietrza prawie codziennie stali na rogu, trzech, czterech, pięciu mężczyzn, a Rosemary mijała wąski dom i myślała o tym, co się tam rzekomo wydarzyło.

Wiara potrzebuje czasem znaku. Miewasz czasem ochotę przestać nad nią pracować i po prostu skąpać się w wiejącym wietrze, który sam wszystko ci mówi.

- Może przez jedną ósmą sekundy zdawało jej się, że na nią cmoknąłem. Albo klasnąłem językiem.
- A potem?
- Potem zrozumiała, że mam w ustach resztki jedzenia i wydłubuję je spomiędzy zębów. Normalnie, czubkiem języka. Ale spojrzała na mnie, zobaczyła, że to ja, i postanowiła się obrazić.
- Ja ją właściwie rozumiem.
- Ty ją rozumiesz?
- Rozumiem ją, bo nawet jak jej nie ubliżyłeś, to przecież mogłeś.
- Nie ubliżyłem jej. Ale mogłem. Tak mówisz.
- Znam cię dwadzieścia lat. I wiem, że mogłeś.
- Nie bardzo rozumiem. Nie ubliżyłem jej. Ale mogłem.

- No właśnie. Bo to by było do ciebie podobne.
- Przecież wcale jej nie ubliżyłem.
- Ale mogłeś.
- Chociaż tylko wydłubywałem resztki jedzenia.
- Chociaż Jezus chodził po wodzie. Bo przecież mogłeś.
- Więc do tego chcesz doprowadzić.
- Niby do czego?
 - Do sytuacji, że będę musiał coś powiedzieć. A wiesz, co mam do powiedzenia? Tobie i twojej siostrze. Wam obu.
- Uważaj.
 - Powiem wam to bardzo wyraźnie. Tobie, ale przede wszystkim twojej siostrze.
- Uważaj, Anthony.
- Wyjebię cię w samo serce, ty jebizdo.
- Popelniasz straszny błąd, Anthony.
- Ciebie i twoją siostrę. Wyjebię was w samo serce.
- Którego znam dwadzieścia lat.
- I waszą matkę na dodatek.
 - Któremu się zdaje, że będę słuchał tych bluzgów od takiego palanta jak on.
- I waszą matkę - powtórzył.

Przeszedł jakiś chłopak z zawieszoną u paska rękawicą baseballową, jedząc lody w waflach.

Po drugiej stronie ulicy stał wąsaty doker o potężnej głowie, imigrant świeżej daty, który przyплыł na statku jakiś rok temu i teraz pracuje w portach w Jersey, silny jak byk.

Dwaj faceci pchali puste auto.

Nick stał przed spożywczym, jadł bułkę z serem i wędliną, a w papierowej torbie ukrywał butelkę piwa, którą sprzedała mu żona Donata.

Inspektorzy od świeżego powietrza.

Sammy Bones, który podczas jednego meczu na Polo Grounds wybiegł na boisko, żeby się pokazać w telewizorze, tylko że akurat nikt ze znajomych nie oglądał transmisji, więc Sammy jest od tamtej pory strasznie *arrabbiato*, zły jak wściekły pies.

Dziewczyna w stroju od konfirmacji, biała sukienka, pończochy i buty, z czerwonymi wstążkami we włosach, niesie białe kwiaty w szeleszczącym czerwonym celofanie.

Podszedł Juju, wyjął Nickowi bułkę z ręki i zajrzał do środka.

Staruszek na schodkach po drugiej stronie ulicy, który starannie rozkłada na najwyższym schodku chusteczkę do nosa, a potem siada i nabija fajkę tytoniem papierosowym i kawałkami pokruszonego cygara „DeNobili”, tego wiekuiściego makaroniarskiego śmierzdelstwa, i wszystkim, co tylko znajdzie, a co żadną miarą nie powinno znaleźć się w fajce.

- Ty z tymi ciężarami to serio?
 - Trenuję wyciskanie na leżąco, a jak krzyknę, to matka łapie sztangę. Wyciskanie horyzontalne - rzekł Juju nieco snobistycznym tonem.
 - Ile gryzów masz zamiar wziąć z mojej bułki?
 - Przerabiam cały program. Wpadnij kiedyś.
 - Przecież ja pracuję. Przez cały dzień dźwigam 7-up.
 - To nie żaden program - odparł Juju.
 - Wolałbym skonać niż podnosić ciężary.
 - To tylko dowód, że się nie znasz na rzeczy.
 - Wolałbym się wykrwawić z tysiąca ran.
 - Dowód twojej ignorancji.
 - To już wolę zostać ignorantem. Patrz. Ta w żółtej bluzce. Taka szczupła, a nosi czwórkę.
 - A co, mierzyłeś?
 - Co znaczy mierzyłem? Mam wyrobione oko.
 - Z tej odległości nie odróżnisz czwórki od trójki.
 - Wolałbym zjeść owczy żołądek niż podnosić ciężary -oświadczył Nick.

Z okna pod sześćset dziesiątym spokojnie wyglądała żona dozorczy zwana Siostrą Kąty. Mniej więcej raz na miesiąc upijała się do nieprzytomności i zaczynała wrzeszczeć, a dzieci chórem wołały: „Śpiewaj, Siostrzo Kąty!”

- Sprzedaje ci piwo w niedzielę? Jeszcze przed pierwszą?
- Jakie piwo? Przecież to słodowe.

Chłopiec w białym ubranku z czerwonym krawatem i z czerwoną opaską na ramieniu, z gładko ulizanymi włosami, usiłuje wyrwać się matce, która zamierza się torebką, celując w jego głowę.

- Jakie imię dali ci na bierzmowaniu?
- Nie twój zasrany interes - odparł Juju.

Najpierw zaduch długich schodów i metaliczny smak w powietrzu, gęsty, daleki gwar męskich głosów w ruchliwą noc, wezbrany wir błotnistych głosów, dym w sali i mecz piłkarski w telewizorze, jeden z graczy lekko smaruje kredą czubek kija, wygląda jak żołnierz z jakiejś dawnej, ekscentrycznej wojny, i te piękne numerowane bile, zielone sukno, marzycielski trucht strzelca w stronę bramki, nieustanny klekot zderzających się bil, stukot kija, bile, bandy, klaskanie łuz, ilekroć do którejś wpada bila.

Tej nocy Nick zagrał partię z George'em Kelnerem. Kiedy George miał wolne w restauracji, pracował na parkingu przy wyścigach i potem opowiadał o autach, które parkował, że daje gaz do dechy i hamuje z piskiem opon, brzmiało to jak świńskie kawały, chrom, tapicerka i prowadzenie, nic tylko cyce i dupa.

Od czasu epizodu z igłą Nick miał się trochę na baczności przed George'em. Czuł się jakby odsunięty, mniej swobodny niż przedtem, ale George nigdy nie napomknął o tamtym incydencie i chyba wręcz o nim zapomniął.

Nick miał jednak wrażenie, że stracił w jego oczach, bo dał się wtedy zaszokować i zbić z tropu.

Podniósł głowę znad bil, które ustawiał. W wyrazie twarzy George'a było coś, co kazało Nickowi podążyć za jego wzrokiem na drugi koniec sali.

- Kto to?
- Nie wiesz?

Mike stał przy bufecie i rozmawiał z jakimś mężczyzną, masywnym, w zbyt obcisłej, dwukolorowej marynarce i w koszuli z wykładanym kołnierzykiem.

- Strzelaj - powiedział George.

Nick postanowił trafić siódemką do bocznej łuzy.

- To Mario Badalato - rzekł George. Nick strzelił.
- Nieźle - pochwalił George. - Znasz to nazwisko? Nick nie był pewien, ale przecząco pokręcił głową.
- Z biegiem lat zaczęło się ludziom kojarzyć z określonym stylem życia.

Nick przeszedł do drugiego końca stołu, pochylony, obmyślając kolejny strzał.

- Rozumiesz, co mówię? Ojcowie, wujowie, kuzyni, bracia.

- Określony styl życia.
 - Nie dasz rady władować czwórki. Trafiaj, co chcesz, tylko nie czwórkę - ostrzegł George. - Ludzie, którzy prowadzą takie życie.
- To życie - powtórzył Nick.
- *Malavita*. Jak raz w nie wejdą, to już na dobre.

Nick zerknął w stronę mężczyzny, o którym rozmawiali, koło czterdziestki, grubego i nabitego, ale bez żadnych wałków tłuszczu ani obwisłości, mężczyzny o twardym, nabitym ciele, zbudowanym na cudzym pechu, na mechanizmie, który sprawia, że nieszczęście jednego człowieka wzmacnia kogoś innego na drugim końcu miasta.
- Póki co obstawiaj dwójkę. Czwórki nie trafisz, Nick.
- Dwójkę.
- *Madonn'*, mam ci wysłać ozdobne zaproszenie, czy co?
- To życie - powiedział Nick.
 - Określone życie. Podszewka zwykłych spraw. Tak zorganizowane, że pod niektórymi względami jest bardziej z sensem, rozumiesz mnie? Bardziej niż to zasrane życie reszty ludzi, czyli nasze.

Nick dalej wpatrywał się w stół.
- Więc to jest facet, który Wallsa... no wiesz: posłał do zamrażarki?
- Co ja o tym wiem? Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć, nie chcę nawet dłużej o tym rozmawiać.
- Dobra, nie było rozmowy.
- Strzelaj - rzekł George.

Mario Badalato. Może jednak znał skądś to nazwisko. Rozebrali parę partii, George podpowiadał Nickowi strzały, a facet przy sąsiednim stole podśpiewywał na melodię popularnej piosenki:
- Niestety, już od wtorku. Mam szminkę przy rozporku. Bo mi obciągnęła na chybcika.
- Pogoda taka, że prawie można by iść na plażę, George.
- I to cię cieszy? Nienawidzę plaży. Dawniej tam robiłem.
 - Tylko mi nie mów, że byłeś ratownikiem. Współczuję tonącym dzieciom.
- Cwaniaku. Sprzedawałem lody. Dawno temu. Upał trzy-

dzieści parę stopni, a ja z chłodziarką na plecach, ważyła chyba z pół tony.

- Na plaży do dziś są tacy lodziarze.
- Musieliśmy nosić hełmy korkowe. Jak w Afryce.
- Dziś też je noszą.
 - W życiu nie chcę widzieć na oczy żadnej plaży. Celuj w dziewiątkę. Patrz. Piękne ustawienie.

George musiał już wracać do restauracji. Przy jednym stole grano w remika, więc Nick powstał chwilę, przyglądając się, a kiedy go to znudziło, zawołał psa i wziął go na spacer.

Stał w parku Mussoliniego, a pies drapał gołą ziemię. Nick spojrział na samochód holowniczy, który robił co najmniej sto na godzinę, kierowca okrążył rondo jak jeździec na rodeo, w przechyle, gotów do skoku. Podeszedł niejaki Grasso, chodzili kiedyś razem na prace ręczne, i wskazał palcem dwóch facetów kawałek dalej po drugiej stronie ulicy, przed barem szybkiej obsługi: stali przy okienku i coś jedli, czarni, obaj w kurtkach z godłem ulubionej drużyny.

- Wyszli z kręgielni. Podeszli do okienka i coś tam zamówili.
- Widziałeś ich kiedyś?
- Tu? Nigdy.

Kiedy tamci odstawili na ladę tekturowe szklanki i poszli w stronę Trzeciej Alei, Nick i Grasso ruszyli ich śladem, a za nimi pies. Dwaj czarni wiedzieli, że ktoś im depcze po piętach. Nie obejrzeni się za siebie, ale Nick poznał, że wiedzą, bo przestali rozmawiać i szli trochę jakby sztywniejszym krokiem.

- Co tam pisze na tych kurtkach?
- Chyba Jastrzębie.
- Słyszałeś o nich kiedyś? - spytał Nick.
 - Nigdy. Jastrzębie? Co za, kurwa, Jastrzębie? Zresztą to chyba wcale nie drużyna, tylko banda.

Minęli dom pogrzebowy i przeszli jeszcze półtora kwartału Trzecią Aleją, poprzecinaną ażurowymi cieniami elewacji kolejki nadziemnej, a potem tamci dwaj zatrzymali się i odwrócili.

Nick i Grasso podeszli do nich.

- Jastrzębie? Co znaczy Jastrzębie? - spytał Grasso.

Nie odpowiedzieli. Jeden był gotów, drugi jeszcze się wahał.

- Wy, Jastrzębie, gdzieś niedaleko mieszkacie? Bo chyba ni gdy tu nie widziałem żadnych Jastrzębi.

Nie odpowiedzieli.

Pies podszedł do nich i zaczął jednemu obwąchiwać buty, marszcząc nos.

- Wiecie co, lepiej jest trzymać się swojej dzielnicy, szczególnie w nocy - rzekł Grasso. - W dzień też, ale szczególnie w nocy, bo jeszcze ludzie coś sobie pomyślą.

Górą przejechał pociąg, stukocząc głośnym staccato, więc poczekali, aż ich minie. Ale tamci dwaj uparcie milczeli.

- Dalej nie wiem, co znaczy Jastrzębie. Uprzejmie się zapytałem. Ale nikt mi nie powiedział.

Auta zwalniały, biorąc zakręty pod filarami kolejki. Mikę Huncwot wciąż obwąchiwał but, aż facet szurnął nogą, lekko nią targnął, więc pies się cofnął, a Nick podszedł i wałnął gościa.

Jakieś auto zatrzymało się w połowie zakrętu.

Nick podszedł i go wałnął, zdrowo, ale nie za mocno przyłożył mu w skroń, bo tamten tak się akurat schylił, próbując zrobić unik, a wóz nagle się zatrzymał i wysiadło czterech facetów, zostawiając szeroko otwarte drzwi, i to na środku ulicy.

Byli to faceci z drugiego salonu bilardowego, Turek i jego pierdoleni kumple, więc jeden czarny zaczął uciekać, ale drugi stał w miejscu, łypiąc wściekle, a sześciu białych z brązowym psem prawie całkiem go otaczało.

Nick lekko się uśmiechnął do Turka.

- Kopnął mojego psa - wyjaśnił.

Nie uciekł właśnie ten, co oberwał, i teraz wściekłym spojrzeniem prażył Nicka, który tylko wzruszył ramionami i się uśmiechnął, więc tamten odwrócił się i wolno odszedł, a ci czterej odetchnęli, podciągnęli spodnie i wsiedli z powrotem do auta. Drzwi zatrzasnęły się i wóz odjechał.

- Jebany Turek - powiedział Grasso.

- No.

- Wydaje mu się, że rządzi światem, zasraniec.

- No - powtórzył Nick.

- Skąd wzięłeś to zwierzę?

- Mikę trzyma go u siebie.

- W życiu nie widziałem takiego wstrętnego.

- Nick zamarkował cios w głowę i wrócili na widne ulice, ścigani łoskotem kolejki nadziemnej.

Jakiś miesiąc później ten facet znów zjawił się w sali bilar-dowej. Kiedyś w nocy on i Mike stali przy ladzie i jedli z cy-nowych talerzy zapiekany makaron.

Mike mignął lampą nad stołem, przy którym grał Nick.

Chłopak podniósł głowę, a Mike powiedział:

- Chodź no tu.

Nick podszedł wystudiowanie powolnym krokiem, jakby miał za chwilę poznać przyszłego teścia.

- Mario chce ci powiedzieć coś ważnego. Znał twojego ojca zaraz po wojnie. W czasie wojny i zaraz po.

Badalato stał tyłem do sali, więc Nick obszedł bufet i stanął za nim, obok Mike'a, twarzą do Maria.

Obaj mężczyźni mieli przy talerzach szklanki z winem, którego Nick nigdy przedtem w tym lokalu nie widział, i podawali sobie z ręki do ręki naczynie z mieloną czerwoną papryką; jedli na stojąco, a za każdą porcją rurek na widelcu ciągnęły się długie pasma mozzarella.

- Znałem twojego ojca, Jimmy'ego. Lubiłem go.

Nick nie mógł nie pojąć doniosłego znaczenia tej chwili -faktu, że mężczyzna prowadzący określony tryb życia zechciał rozmawiać z nim o ojcu.

- Mike mówił mi o tobie. Przychodzi tu syn Jimmy'ego, mówi. Jimmy'ego Costanzy. Ja na to: dawno nie słyszane na zwisko. Lubiłem Jimmy'ego, mówię do Mike'a.

I znaczenia tego mężczyzny samego w sobie, mężczyzny o masywnych dłoniach, ciemnych brwiach, gęstych włosach i nosie lekko spłaszczonym jak u boksera.

- I mówię. Co to ja ci powiedziałem, Mike? Jimmy miał jeden swój talent. Jak nikt umiał trzymać się w cieniu.

Nick nie mógł nie docenić wagi tej chwili. Miał się jednak zarazem na baczności, wahał się, chciał powiedzieć coś całkiem błahego, bo każda wzmianka o ojcu stawiała go w stan pogotowia.

- O ile dobrze zrozumiałem, co mi powiedział Mike, uwa-żasz, że twój ojciec nie miał wyboru. Że odszedł, zniknął nie z własnej woli. Ktoś wsadził go do auta. Jesteś jego synem i wierzysz, że tak właśnie było. I że gdzieś go wywieźli. Ale jedno ci powiem.

Badalato pociągnął łyceczka wina z niskiej, kanciastej szklanki.

- Nikt nie mógł nic mu zrobić bez mojej wiedzy. To jedno ci powiem. Wiedziałbym o tym. Bo w takich razach nawet jak nie wiem z góry, co zresztą nie ma prawa się zdarzyć, ale choćby się nawet zdarzyło, to się dowiaduję po fakcie. Więc donieśli by mi. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie mogło się coś takiego zdarzyć, żebym się o tym prędzej czy później nie do wiedział.

Od ciepłego zapachu jedzenia Nick poczuł głód. Chcąc nie chcąc, zaczął się zastanawiać, jakim cudem jedzenie dotarło z restauracji gorące, że aż para bucha.

- Lubilem twojego ojca. Nie wydaje mi się, żeby miał po ważnych wrogów. Był winien pieniądze, no i co z tego? Jak ktoś jest ci coś dłużny, to się dogadujecie. Są różne proste sposoby, jak to w interesach, tak samo jak Mike prowadzi swój interes, a kto inny pasmanterię. Kupujesz garnitur, płacisz tyle a tyle z góry, tyle a tyle w miesięcznych ratach. Kupujesz wóz i tak dalej.

Mężczyzna patrzył na Nicka. Mówił bez wywyższania się i lekceważenia. Szczerze chciał się porozumieć, wyłożyć swój pogląd.

- Jimmy nie miał możliwości aż tak się narazić ludziom, żeby za wszelką cenę chcieli coś mu zrobić. Bez obrazy, ale on był po prostu płotka. Prowadził interes na bardzo małą skalę. Przyj mował zakłady od drobnych graczy. Zwykle na całkiem skromne sumy. I nic więcej. Od zamiataczy z fabryk i tak dalej. Musisz zrozumieć. Jimmy nie miał takiej pozycji, żeby poważni ludzie mogli mu grozić.

Nick patrzył, jak mężczyzna niesie do ust porcję makaronu. Nie potrafił się oprzeć uczuciu wdzięczności. Badalato stał i mówił do niego. Fatygował się, żeby powiedzieć mu coś, co mogło rozstrzygnąć nurtującą go kwestię.

- Jestem panu bardzo wdzięczny - rzekł Nick.

- Lubilem Jimmy'ego. A wiem z doświadczenia, co znaczy stracić ojca w dzieciństwie. Mój dostał raka.

- Fatyguje się pan. Jestem bardzo wdzięczny.

- Daj spokój. Idź dokończ partię.

Nick podczas całej tej rozmowy trzymał w ręku kij. Wskazał nim lampę nad stołem.

- Mikę, obiecaj, że nie policzysz mi za ten czas, kiedy jedliście rurki.

Spodobała im się ta odzywka. Wrócił do stołu i dokończył partię ze Steviem i z Rayem. Pytali, o czym rozmawiał z facetami przy bufecie.

Miał ochotę głupio zażartować, ale w końcu nic nie powiedział.

Był szczerze wdzięczny za czas, który poświęcił mu Badalato, ale nie uważał, że musi uznać logikę jego wywodu. Po namyśle stwierdził, że wcale go nie przekonała.

Na dole mężczyźni grywali w karty, w bezika, i pili wino domowej roboty, w pokoju pod warsztatem szewca, z wejściem Z mrocznego korytarza, który prowadził na podwórko.

Bronzini przyglądał się grze, czasem dołączał, kiedy ktoś wstawał od stołu, na ogół jednak tylko kibicował i nie wtrącał się, poprzestając na tym, że może się delektować towarzystwem i skosztować wina, czasem dobrego, a czasem przefermentowanego, bardziej zdanego do przyprawiania sałatek.

Chciał się czym prędzej zestarzeć - twierdziła Klara. Bo niby po co przesiadywał z tą uliczną starszyzną, choć niektórzy byli od niego prawie dwa razy starsi, i spędzał całe popołudnia na sporach i jałowej gadaninie.

Na dworze w głębokim, powolnym upale koty spały w cieniu, a ludzie przemykali pod ścianami domów, jeśli w ogóle wychodzili, oszołomieni nieoczekiwanym skwarem.

W suterenie było sucho i cicho, panował tam kamienny chłód i cisza przerywana tylko głosami grających, a Bronzini lubił te głosy, donośne, szorstkie, śmieszne, często potężnie zadufane w sobie, bo wszyscy ci mężczyźni byli urodzonymi mówcami, aktorami, deklamatorami, mistrzami zniewag dążącymi do choćby chwilowej transcendencji.

John Ciec pierdnął, jakby krowa ryknęła.

Opowiedział im, jakie śmieci wywoził, kiedy przez krótki czas był odźwiernym w śródmieściu, w wielkim bloku mieszkalnym - windy, portierzy, pranie chemiczne z dostawą do domu, taksówki na prawo i lewo.

Mannaggia l'America.

W tym cholernym kraju są śmieci zdadne do jedzenia, smaczniejsze niż jedzenie na stołach w innych krajach. Tutejszymi śmieciami można umeblować dom i nakarmić dzieci.

Grali i obstawiali, cmokając ze zdumienia, że dostatnie szaleństwo każe ludziom wyrzucać ubrania, które dałoby się jeszcze ponosić.

Albert opowiedział im o starożytnych Majach. Otóż Majowie, chowając swoich zmarłych, nie dawali im na drogę błyszczącej biżuterii, niczego wartościowego. Same stare, uszkodzone graty. Wkładali zmarłym do grobów popękane wazony, wyszczerbione kubki i zaśniedziałe bransolety. Przy okazji pogrzebu w wygodny sposób pozbywali się śmieci.

Karciarzom spodobała się ta historyjka. Poczuli się ufetowani. Brak szacunku dla zmarłych był miłym, okrutnym, satysfakcjonującym tematem żartów, zwłaszcza wśród mężczyzn w pewnym wieku. Żart kosztem zmarłych to był piękny żart. Z jajami.

Albert czuł się w ich gronie odgradzony od świata najbezpieczniej jak można: klaskanie kart, teatralne gesty mężczyzn podbijających stawkę, wino, które wsączało mu się w krwiociąg... I wreszcie zrozumiał, czemu te zmarnowane popołudnia pod warsztatem szewskim mają w sobie coś znajomego.

Jak dzieciństwo - pomyślał. Te dni, które przeleżał chory w łóżku, na wysepce z prześcieradeł i poduszek, wśród książek, figur szachowych, nieraz rozkosznie schorowany, płonący gorączką, która kazała mu zwracać się ku wnętrzu, obłany morzem potu, śniący sny w rozmytych kolorach, samotny, ale nie żeby zaraz nieszczęśliwy, w pokoju zastępującym cały świat, w bezpiecznym zakątku wyobraźni.

Drukarz Liguori nie pił już wina, bo miał chorą wątrobę. Opowiadał, jak dawniej przychodzili pod dom uliczni muzykanci, skrzypek i trębacz, a ludzie zawijali monety w papier i rzucali je z okien.

Quanta sold'?

Jego żona pytała: „Ile będzie mnie kosztowało słuchanie, jak ten *cafone* rzępoli na skrzypkach?” Ale przestali przychodzić. Mieli chore wątroby albo pół żołądka na dwóch, a może hałas uliczny - powiedział Albert - zagłuszał muzykę.

Rozmawiali przeważnie po angielsku, ale przechodzili na dia-

łekt, ilekroć jakąś myśl trzeba było popchnąć czy szturchnąć, żeby wskoczyła w bardziej swojskie miejsce. Dziwne, że Albert, który ledwie dobiegał czterdziestki, czuł w sobie tę starczość, zwłaszcza tu, gdy ich głosy wiodły go ku najwcześniejszym wspomnieniom, te same niewyraźne słowa, opuszczone samogłoski, powszednia mowa - czyli angielszczyzna była dla niego językiem teraźniejszości, a włoski zabierał go w podróż wstecz, choćby sama intonacja, język niewyczerpanie naznaczony przeszłością.

Kogoś eksmitowano z mieszkania, wystawiono na ulicę krzesła, stoły, łóżko, zaraz za rogiem - łóżko, powiedział John, ten cięć. Rama, sprężyny, materac, poduszki, wszystko na chodniku.

Porca miseria.

Co za nędza, bezdenne poniżenie ducha. Człowiek siedzi jak muzeum ubóstwa. Ludzie przechodzą i patrzą. Łóżko, talerze i szklanki, walizka z ubraniami, para starych butów w papierowej torbie. Wyobraź sobie, buty. A oni przechodzą i patrzą. Ktoś mówi to, kto inny tamto, ktoś siada na krzesle, ktoś z samochodu wytyka palcem. Powinni ze wstydu odwracać wzrok. Czyjeś buty na chodniku!

Zawsze mówiło się o dzielnicy i o tym, kto z niej się wynosi, a kto wprowadza, pojawia gdzieś na obrzeżach. *Tizzoon*. Albert wolałby, żeby nie używali tego słowa. Pochodziło z dialektu południa, zniekształcone, przekręcone, obelżywe, od *tizzo*, przypuszczał, czyli głównia lub żarzący się węgiel, rozszerzone na sferę ludzką w określeniu *tizzone d"mferno*, łajdak, łotr. Lecz w ich ustach sugerowało coś piekielnego, jakąś diabelskość, która sprawiała, że w pewnym sensie było jeszcze mniej cenzuralne niż „czarnuch”. Ale oni, rzecz jasna, nie przejmowali się cenzuralnością, bo byli imigrantami albo synami imigrantów, członkami jednej z hord, które zakłócają społeczeństwu sen, raz po raz nadciągają i osiedlają się. *Tizzoon*. Kamuflowali to słowo. Mrużyli oczy i ledwo poruszali ustami. Ale wymawiali je, nie przejmując się cenzurą, z lekkim sykiem, aż Albert żałował, że słyszy.

Spadafora opowiedział im o pralce, która działa zupełnie automatycznie, więc kobieta tylko ustawia programator i wychodzi z domu, a maszyna pierze, płucze, odwirowuje, suszy, sama się wylączy - wszystko automatycznie.

Kręcili głowami i syczeli, mamrocząc zdawkowe przekleństwa, zdumieni, że los pozwolił im trafić do tego kraju, zadziwieni i skołowani, kombinowali, jak by tu zakwestionować codziennie objawiające się cuda.

Wino tym razem nie bardzo dawało się pić. Szewc Guido sam je zrobił, ale i tak nie była to dobra pogoda na picie wina, a zresztą Albert starał się pracować nad sobą. Chciał być suchą, mądrą duszą na modłę Heraklita, mniej niechlujną i chwiejną, bardziej skłoną do wnikania w sedno zawitych spraw.

Zachciało mu się łać, więc cięć powiedział, że może siknąć do zlewu, i wytłumaczył, jak tam trafić przez labirynt korytarzy.

Albert minął jakieś magazyny i puste pojemniki na śmieci. Wyszedł na dziedziniec, zobaczył drzwi, które opisał mu ciec, i wszedł do sąsiedniego domu.

Przez długi czas pragnął wierzyć, że żona lokuje w nim jakieś ambicje. Ale nie był już tego taki pewien. Myślał, że chciałaby, aby starał się o awans, o stanowisko wicedyrektora, wdał się w podchody, w grę, kupił samochód, kupił dom. Zdawało mu się, że jeśli czasem bywa zagniewana i daleka, to dlatego, że ambicje te pozostają nie spełnione. Ale teraz nie był już pewien.

Szedł przez piwniczne korytarze pod rzędami miedzianych rur. Odnalazł pomieszczenie gospodarcze i wysikał się do zlewu. Za plecami miał dzieciństwo, w głosach matki i ojca, czujnych, podejrzliwych, czasem wystraszonych, i w tych sykach, które wydawali rodzice, żeby okazać nieufność otaczającemu ich nieznanemu światu.

Zza zakrętu usłyszał radio i postanowił pójść za dźwiękiem, za muzyką, słodyczą, smyczkami, z jasnością w głowie, z pustym pęcherzem, wiecznie towarzyski Albert, ciekaw, kogo też za chwilę napotka.

Skręcił za róg i stanął obok stołu bez jednej nogi, który ktoś wyrzucił.

George Manza, George Kelner siedział na krześle w nędznym pokoiku. Wyglądał dziwnie. Nie drzemał ani nie był zamyślony, tylko jakiś dziwny. Nie spał, ale trwał w odrętwieniu. I miał w sobie coś takiego, że Albert go nie zagadnął.

Stał w drzwiach i patrzył.

Pokój był zapuszczony i nijaki. Można by pewnie spędzić w nim sporo czasu, nie dostrzegając wyraźnie, co właściwie

w sobie mieści. Wypełniała go zbieranina przedmiotów zgubionych, znalezionych, rozmaitych, nijakie, spłowiałe barwy, rzeczy, które trzymano w nim nie z myślą o jakimś zastosowaniu, lecz dlatego, że gdzieś przecież trzeba było je podziąć.

George siedział bokiem do drzwi, lekko zgarbiony, i oddychał przez nos, pomału, z przewlekłymi pauzami między jednym a drugim oddechem, a w każdym zawierało się całe życie w miniaturze.

Albert patrzył przez szparę w drzwiach uchylonych na dieścieć, dwanaście centymetrów, ale widział wszystko, co było do zobaczenia. Sam zresztą nie bardzo rozumiał, co właściwie widzi.

George patrzył martwym wzrokiem przed siebie, prosto w ścianę. Był w pewnym sensie tak obnażony, że Albert poczuł się jak podglądacz. Nie widział go od kilku miesięcy albo i dłużej, a Kelner zmienił się przez ten czas, schudł, skurczył się, wyglądał wręcz ascetycznie, gdy tak siedział pod radiem stojącym na półce, z którego grała muzyka pozbawiona jakiegokolwiek związku z postacią siedzącego mężczyzny, aż Alberta naszła ochota, żeby to radio zgasić.

Pozostał jednak w mrocznym korytarzu. Oglądał coś, co do-tychczas pozostawało w ukryciu i nie dałoby się wypowiedzieć nawet szeptem, ukryte pod maską nieprzystępnego, małow- nego mężczyzny, z którym niełatwo się zaprzyjaźnić. Poczuł się winny, że zagląda do pokoju George'a, a potem, że się wycofuje, ale w końcu odszedł bezszelestnie i zawrócił w stronę światła żarówki wiszącej pod sufitem.

Po drodze źle skręcił, trafiając w jakiś węższy korytarzyk, w którym rury biegły poziomo po ścianach, a skądś ciągnął kloaczny odór. Przeszedł po kracie ścieku, czując całą głębię tego fetoru, smętnego ludzkiego szamba, i dopiero po dłuższej chwili znalazł drzwi prowadzące na dwór.

Mike Macher miał ten swój szczególny, kwiecisty gest -zamaszysty, rzymski ruch dłoni trzymanej równolegle do ziemi, jakby znak pochówku lub podpis *finis* pod jakąś istotną sprawą.

Tej nocy Albert i Klara kochali się przy księżycu. Słodko, swobodnie i bez końca, miłością wyzwoloną z czasu, aż poczuł,

że odnaleźli życie duchowe, które uchroni ich przed wszelką ludzką skazą. W kącie szumiał wiatraczek, a radio stojące gdzieś na schodkach przeciwpożarowych grało jakąś arię.

Nie był pewien, kim jest kobieta, która leży obok niego w ciemnościach, mogli jednak wspólnie przezwyciężyć tę niepewność.

8

Na dachach, na plażach z papy, smarowały ręce i nogi olejkami i siadały na kocach, w szortach albo w dżinsach podwiniętych do kolan, potem smarowały twarze i słuchały muzyki z tranzystora, póki żar nie stał się całkiem nieznośny, a wtedy i tak zostawały jeszcze trochę.

Dziewczyny śpiewały przeboje tygodnia, wtórując radiu, od dołu do góry listy, przez wszystkie czterdzieści pozycji, i miały perfekcyjnie opanowane każde słowo, pauzę, zwód i skręt, każdą intonację, ale oczywiście śpiewały tylko te piosenki, które lubiły.

Papa miękła i zaczynała dymić, żar lał się z nieba, zielone muszki przyklejały im się do skóry, a po drugiej stronie ulicy gołębiarz wyprawiał swoje ptaki w spiralny lot, machając bambusową tyczką, czasem też ręcznikiem, i gwizdał jak policjant kierujący ruchem, a jego stado mieszało się w powietrzu ze stadem rywala z dachu oddalonego o trzy przecznice, kłębił się stugolebny tumult i zamęt, młodsze ptaki odlatywały z obcymi, a rywal z tamtego dachu chwycił je i nieraz nawet zabijał, unieszkodliwiał zgodnie z regułami gry, a dziewczyny po pewnym czasie musiały jednak zejść, bo słońce prażyło nie do wytrzymania, więc zwijały koce, śpiewając piosenki.

Jechali na plażę autobusem, do którego co chwila wpychali się nowi pasażerowie, aż wreszcie Nick utknął gdzieś z tyłu z Gloria zamiast z Loretą. Stali, trzymając się pasków, i na każdym zakręcie czy przystanku ich ciała nieuniknienie się stykały, tyle że oczywiście mogli uniknąć tych zetknięć, które Nick znosił z kamienną twarzą, a Gloria uśmiechała się, i podróż trwała bez końca.

Na plaży sektorem podrywów był sektor trzynasty, ale oni położyli koc w pierwszym wolnym miejscu, jakie znaleźli, bo przyjechali razem, a na plaży panował nie mniejszy tłok niż w autobusie.

Jacyś faceci siedzieli na ramionach innych facetów i ci, co robili za jeźdźców, mocowali się w płytkiej wodzie.

Koce, a na nich radia, jedzenie, parasole z wypożyczalni, zapiaszczone ciała w ścisku, karciarze, marynarskie czapki, olejek.

Loretta wyszła z wody, a on rzucił jej ręcznik, jeden na cztery osoby, i patrzył, jak dziewczyna stoi nad kocem wśród bezkresu piaszczystej krainy koców; plaża w kształcie podkowy ciągnęła się w obie strony ku kamiennym falochronom, a on patrzył, jak Loretta wytrząsa wodę z włosów i wyciera uszy, wpychając do nich palcem róg ręcznika.

Jakiś facet stanął na rękach i przewrócił się na cudzy koc, prowokując karzące spojrzenia i słowa, a właściciele koca zaczęli otrząpywać się z piasku.

Juju wstał, żeby się nasmarować olejkiem.

- No właśnie, pokaż im się - powiedziała Gloria.
- Sztangista - dodała Loretta.
- Pokaż im, jakie masz przedramiona, Juju.
 - Dziwne, że na plaży można wyprawiać rzeczy - zauważyła Loretta - za które człowieka obrzuciliby kamieniami, jakby je robił gdzieś na rogu ulicy.
 - Napnij bicepsy, ludzie patrzą - podjudzała Gloria.

Między kocami przechodził lodziarz, cały na biało, z twarzą zaróżowioną od słońca w zenicie, a kto kupił podwójną porcję, ten nigdy nie zdążył zjeść drugiej połówki, zanim roztopiła mu się w ręku.

Nick skoczył do wody, dał głębokiego nurka i poczuł wstrząs, jakby go miało rozerwać, kiedy się wreszcie wynurzył z napiętymi płucami, z oczami piekącymi od soli - hartujący przeskok z żywiołu w żywioł.

Kobiety zdejmowały mokre kąpielówki dzieciom owiniętym ręcznikami, a potem ubierały dzieci, poczynając od majtek, wciąż zawinięte w ręczniki, coś jakby węzowe popisy magii na pustyni.

Loretta spała z twarzą na kocu, z zapiaszczonymi plecami,

a on leżał obok, podparty łokciem, i delikatnie dmuchał na jej ramię.

W drodze powrotnej mieli dla siebie całe tylne siedzenie, tuż nad silnikiem, od którego buchał żar, i drzemali, kładąc sobie nawzajem głowy na ramionach, z twarzami wysuszonymi słońcem, z lekkim pieczeniem w oczach, zmęczeni, głodni, szczęśliwi, a pod nimi autobus czekał żarem.

- Stał w ciemnej sieni i patrzył na nią.
- Jesteś zła, Gloria.
 - Wcale nie jestem zła. To ty jesteś zły.
 - Strasznie zła.
 - Jak ja jestem zła, to co powiedziec o tobie?
 - Gloria, chodź no tu, Gloria.
 - Czego chcesz?
 - Chodź no tu na chwilę.
 - Po co chodź? Na co chodź?
 - Jesteś pizda, Gloria.
 - Czego chcesz?
 - Jesteś pizda, Gloria.
 - Powiedz coś miłego, Nicky.
- Uśmiechała się. On nie.
- Taka jesteś zła. Strasznie zła.
 - Ja jestem zła? Kto tu właściwie jest zły?
- Z uśmiechem kołysała się w biodrach, a on opierał na nich ręce.
- Jesteś ostatnia pizda. Totalna i skończona.
 - Spróbuj dla odmiany powiedziec coś miłego - poprosiła.

Nick wyszedł przez właz w chodniku, niosąc ostatnią skrzynkę pustych flaszek, i wsunął ją z boku na ciężarówkę. Potem usiadł w szoferce obok kierowcy, któremu pot przemoczył na wylot koszulę, aż znikły barwy, pochłonięte monotonną szarością.

- Wszystko wszystkim.
- Jedźmy.

- Wszystko wszystkim, ale co za dużo, to niezdrowo - powiedział kierowca, który miał na imię Muzz.
- No dalej, jazda.
- Wstałem rano i myślę. W pale się nie mieści. No więc mówię sobie.
- Jedź, jedź, bo zaraz skonam.
- Wzięłeś sól w tabletkach? Weź.
Kiedy stanęli na światłach, od tyłu potrąciło ich jakieś auto. Muzz spojrzął w boczne lusterko.
- Walnąłeś mnie w zderzak, chuju. Tamten kierowca coś mu odpowiedział.
- Walnąłeś mnie w zderzak, chuju.
Tamten znowu powiedział parę słów.
- Co ty sobie w ogóle myślisz? - spytał Muzz.
Winowajca powiedział coś w przednią szybę.
- Spytaj go - doradził Nick - skąd wziął prawo jazdy. Muzz wychylił głowę przez okno, ale nie obrócił jej w stronę auta, które stało za nimi.
- Skąd żeś wziął prawo jazdy, żeby prowadzić tego gruchota? Tamten znowu powiedział coś do przedniej szyby.
- Spytaj go, czy je kupił u Searsa Roebucka, czy gdzie - podsunął Nick.
Muzz pochylił się tuż nad lusterkiem.
- Kupiłeś je u Searsa Roebucka, chuju?
Zmieniło się światło i zaczęły trąbić klaksony.
- Wścieknij się - podpuszczał go Nick. - Powiedz, że mu łyżkę do opon wsadzisz w dupę.
Muzz z twarzą przy lusterku starannie wymawiał obelgi, prosto w szkło. Rowkiem u dołu pleców pot spływał mu w spodnie. Z tyłu trąbiły klaksony.

Szkoła opustoszała. Siostra chodziła czasem korytarzami, zaglądając do klas. Inne siostry wyjechały na lato do głównej siedziby zakonu, w odwiedziny do krewnych albo na studia doktoranckie, żeby przechadzać się po ścieżkach kampusu, mijając się w cieniu drzew z ateistami i lewicowcami.

Wobec tych milczących sal i zmartwiałych korytarzy Siostra Edgar nie zawsze była pewna, kim jest. Kilka innych zakonnic

przyjeżdżało i wyjeżdżało na przemian. Woźny Miguel, Filipińczyk, szorował podłogi w korytarzach, chociaż od wielu dni nikt ich nie deptał, a Siostra oczywiście pochwałała ten zwyczaj, bo przecież niczego nie da się wyczyścić z tak nieskończoną drobiazgowością, żeby natychmiast nie trzeba było zaczynać czyszczenia od początku.

U siebie w pokoju siedziała sama, w prostej koszuli, i czytała *Kruka*. Powtarzała tę lekturę wielokrotnie, ucząc się poematu na pamięć. Chciała go wyrecytować swojej klasie na rozpoczęcie roku szkolnego. Autor był jej imiennikiem, fakt, a jego mroczny, rozkrakany utwór pozwalał jej odczuć, że mimo nieobecności chłopców i dziewczynek wciąż jest z Edgarów, ma konkretny kontur, formę, własny głos.

W szafie leżał stos czasopism filmowych. Obrazek z Jezusem stał oparty o lichtarz. Nad umywalką wisiało dawniej lustro, ale je zdjęła, bo własny widok wprawiał ją w zakłopotanie, ilekroć zdejmowała czepiec. Włosy, szyja, ramiona, cała twarz -wszystko to zostawiła za sobą, aby wstąpić do zakonu. A tu nagle szok, obnażone ciało. Zminimalizowany byt o krótko przystrzyżonych włosach i kościstych ramionach. Musiała się wystrzegać tego widoku, jeszcze bardziej rażącego niż puste klasy latem.

Uczyła się na pamięć kolejnych wersów, wkuwała rytmy i re-freny. Chodziła po pokoju, budując cały system gestów i modulacji. Szóstą klasę oddano w jej ręce, a ona chciała dzieci trochę nastraszyć. Była w tym roku ich wychowawczynią i prowadziła lekcje z ośmiu przedmiotów. Raz na dwa tygodnie przychodziła nauczycielka rysunku, podobnie jak pani od muzyki ze swoim kamertonem i owocową wonią perfum. Resztą zajmowała się Siostra.

Stawiała nawet stopnie ze Stanu Zdrowia, biorąc pod uwagę opuszczone dni i spóźnienia, licząc, jak często które dziecko pyta, czy może iść do ubikacji, ile brudu i błocka utknęło mu za paznokciami i wżarło się w zagłębienia dłoni.

Chciała też nauczyć dzieci strachu. Było to potajemne sedno jej programu zajęć, który postanowiła zainaugurować poematem, i omenem, samotnością i śmiercią, żeby zadrżeli w tym pierwszym dniu po wakacjach.

Chodziła po pokoju, przemierzała puste korytarze i uczyła

się na pamięć kolejnych wersów. Wkrótce wrócą w tych swoich granatowo-białych mundurkach, ze schludnymi kajetami, z atramentem w wiecznych piórach, machając teczkami trzymanymi miękką piąstką, a wtedy ustawi ich pod ścianami według wzrostu, usadzi według alfabetu i zacznie sprawdzać czystość dłoni i paznokci, w razie potrzeby waląc linijką po łapach.

Będą wiedzieli, kim jest, i ona też będzie wiedziała.

A potem wyrecytuje im poemat, mierząc zakrzywionym palcem prosto w ich serca. Stanie się poematem, a jednocześnie krukiem o haczykowatym nosie, ptakiem, który wyfrunie z podniebnej nieskończoności i pikując, spadnie na nich zmienacka.

Kobiety z górnych pięter nie mogły w te letnie wieczory zmywać naczyń, bo odkręcono hydrant i dzieci tańczyły w wachlarzu rozpylonej wody, która w związku z tym nie docierała rurami na samą górę, ponieważ było za słabe ciśnienie.

Wszystko pchało się na powietrze, w noc, z okien wychylały się głowy, w oknach przy zgaszonym świetle kobiety jadły brzoskwinie, śmiejąc się po ciemku na górnych piętrach, kobiety czekały, aż poczują powiew, a mężczyźni w podkoszulkach siedzieli z tranzystorami na schodkach przed wejściem i słuchali transmisji radiowej meczu, który rozgrywano w przewiewnym Clevelandzie.

Dzieci biegały, spocone, bez bluzek, chłopiec z gołymi zębami sterczącymi dwuszeregiem. Inne stały w kolejce do furgonetki Bungalow Bar, z której przez tylne drzwi sprzedawano koktajle mleczne i pomarańczowe lizaki, a jeden chłopak miał na języku atramentową plamę, bo zawsze taki się trafi. Ciemny granat Watermana. Co on, pije to świństwo?

Kobiety na werandzie prywatnego domu siedzą po ciemku i gadają.

Starsze dzieci na wypożyczonych rowerach, dziesięć centów za godzinę, z niektórymi chłopcami jeżdżą dziewczynki, siedząc bokiem na ramie, a chłopcy wjeżdżają w tryskającą wodę i wszyscy się cieszą, ci ze schodków i z okien, piszczące dziewczynki na rowerach i mniejsze dzieci, które się rozstępują, przepuszczając rowery, wszyscy razem uradowani, nawet ten chłopczyk w pożyczonych od brata kąpielówkach, co trzyma przy

urze hydrantu puszkę po kawie, żeby strumień rozpostarł się w wachlarz, trysnął niczym gejzer wżwyz i na boki.

Młodzi mężczyźni staną potem na rogach ulic i będą palić przy stopniowo gasnących światłach, nawijając bez sensu, a tu i ówdzie ludzie ułożą się do snu na schodkach przeciwpożarowych, bo na dworze jest lekki przewiew. *Finalmente*. Leciuteńki powiew, który wszystko zmienia.

Nick siedział, czytając jakieś czasopismo, a od przeciwległej ściany odbijał się głuchy stukot, który niósł się nad ośmioma torami.

- Co słyszeć, Nicky?
- Hej, Jack. P.odobno się ożeniłeś.
- Zdecydowałem się i nie żałuję.
- Żona puszcza cię do kręgielni?
- Nigdzie indziej - odparł Jack.

Przy końcu przejścia przykucnął Lonzo, zapewne jedyny czarny, jakiego regularnie widywano w promieniu pięciu czy sześciu kwartałów. Był w nieokreślonym wieku - trudno powiedzieć, czy miał dwadzieścia pięć, czy czterdzieści pięć lat - i prawie co wieczór pracował, ustawiając kręgle: czarny mężczyzna o bezszelestnym chodzie i delikatnych rysach, jakby lekko rozstrojony. Lonzo był trochę *stunat'*, a bywalcy kręgielni uważali, żeby go aby szorstko nie potraktować, bo nosił te same ciuchy przez wiele dni i nocy, chyba nie miał stałego miejsca do spania, a czasem włókł za sobą smrodek whiskey, kiedy tym swoim bezszelestnym krokiem mijał ladę, idąc w stronę torów.

Podszedł Juju i usiadł obok Nicka.

- Co słyszeć?
 - Teraz twoja kolej - powiedział Nicky. - Już widzę, jak się żenisz i rodzi ci się trójka dzieciaków. Zapuszczasz brzuch i lysiejesz.
- Chodź, zagramy w kręgle.
 - Daj spokój. To nie mój sport. Żona raz na tydzień puści cię do kręgielni.
- Ludzie się żenią i mają dzieci. Normalka, nie?
- Dla mnie kręgle są jak podnoszenie ciężarów.
- Zrób mi uprzejmość.
- Coś, w czym wolę być kiepski niż dobry.

- Ale zrób mi tę jedną małą uprzejmość.
- Bo jak człowiek jest w tym dobry, to znaczy, że coś z **nim** nie tak.
- Umówmy się, że nic nie powiedziałem, dobra?
- Wolalbym się wykrwawić z tysiąca ran.
- Za każdym razem, jak obejrzysz film z Charliem Chanem. A skoro już tak się zgadało, czy ty mi aby nie wiesz **pięciu** dolicz, odkąd żeśmy ostatnio grali w kręgle?
- Cofam słowo - oświadczył Nick.
- Jak to?
- Bo wcale nie starałem się wygrać. Bo wygrana w kręgle ubliża mojej godności. Wygraj ze mną w bilard, to ci oddam tę piątkę. A jak nie, to *u'gazz!* Cofam słowo.

Bywalcy nieustannie sobie dogadywali, zaczepiali dziewczyny, które czasem wstępowały do kręgielni, i zawsze trochę krzywo patrzyli na obcych. Ale uważali, żeby mieć cierpliwość dla Lonza, tego Murzyna bez wieku, chociaż ustawiał kręgle za wolno albo niezręcznie. Miał w sobie coś z ptaka, przycupnięty przy końcu torów, białooki wśród fruwającego drewna.

Juju znalazł partnera do gry, a Nick po chwili odłożył czasopismo i wyszedł.

- Hej. Tylko się trzymaj, dobra?
- I ty się trzymaj, Jack.
- Trzymaj się.
- Trzymaj się - powtórzył Nick.

Było już ciemno i cicho, kiedy szedł pod górę wąską uliczką w stronę domu, ale nagle pod wpływem impulsu skręcił w furtkę i zszedł po paru schodkach na podwórko.

Na zewnątrz nie paliło się światło, więc po omacku poszukał drzwi. Pachniało mokrym kamieniem, bo dozorca splukał szlauchem posadzkę. Wszedł do środka, minął kotłownię i stanął przed drzwiami na końcu korytarza.

Wciąż jeszcze robiło mu się nieswojo na myśl o pokoju w suiterenie, o igle, gumowej rurce i łyżce, ale ten lęk stopniowo odchodził w spłowiata przeszłość, na wpół zagubiony w gmatwaniu tysiąca spraw.

George oczywiście siedział w pokoju i stawał pasjansa.

- Tak też myślałem, że cię tu zastanę.

- Tu na dole chłodniej.
- Tak właśnie myślałem - powtórzył Nick.
George zgarnął karty, stuknął talią o blat i potasował. Nick usiadł naprzeciwko, a Kelner rozdał po trzy, wyciągnął atutowego trefla i zaczęli grać.
- Z kartami tak już niestety jest, że kiedy grasz na pieniądze - powiedział George - i godzinami koncentrujesz się na liczbach i kolorach, bo rzniesz w pokera do samego rana, to potem wracasz do domu i, kurwa, nie możesz usnąć.
- Mózg wchodzi na wysokie obroty.
- Ni cholery nie możesz, kurwa, usnąć.
- Mózg zaszuwa jak na wyścigach.
- Ale my tu sobie rozgrywamy towarzyską partyjkę briscoli. Może za parę godzin dam radę usnąć.
- Zawsze masz trudności z zasypianiem?
- Owszem, mam. Z czuwaniem też.
Roześmiali się i grali dalej. Przez godzinę grali, gadali o niczym i wypalili każdy po kilka papierosów, a niedopałki wrzucali do starej butelki po piwie.
- Coś ci pokażę. Znalazłem parę dni temu - rzekł George - wozie, który parkowałem na wyścigach. Wyślizgnęło się spod siedzenia, kiedy wziąłem szybki zakręt.
- Te twoje zakręty.
- I tak jestem ostrożny. W porównaniu z większością facetów.
- Masz szacunek dla aut, które parkujesz.
- Mniej dla właścicieli. Ale dla aut zdecydowanie tak.
Roześmiali się. George sięgnął za siebie i podniósł coś z dolnej półki, zza puszek z farbą i rolek linoleum.
- Był to obrzynek, strzelba z lufą tak upiłowaną, że z nakładki wystawało tylko kilka centymetrów, a kolbę przycięto na kształt kolby rewolweru.
- Co? Znalazłeś to?
- Nie chciałem zostawiać w wozie, bo jeszcze by ktoś nieodpowiedzialny.
- Pokaż - powiedział Nick.
Sięgnął nad stołem po broń. Lekko podrzucił ją w rękach, a potem wstał, żeby ująć ją w bardziej naturalny sposób.
- O strzelbach wiem tę jedną rzecz - oświadczył George - że strzela się z nich bez przymykania oka.

- Obrzynki są zabronione, prawda?
- To też wiem. Obciąłeś lufę, znaczy po kryjomu nosisz broń.
- Wygląda na stary grat.
 - Stary, zardzewiały, zużyty - przytaknął George. - Właściwie kawał złomu.

Nick przybrał efektowną pozę, jakby trzymał piracki pistolet albo starą skałkówkę - jeżeli to właściwa nazwa - z Kentucky. Bardziej naturalnie niż jedną ręką trzymało się oburącz, podpierając lewą dłonią przód broni, żeby pewniej wycelować.

Zważył obrzynek w rękach i wymierzył. Spostrzegł zaciekawiony uśmiech na twarzy George'a. Celował prosto w niego. Stał w odległości kilku metrów, George siedział na krześle, a on trzymał broń na wysokości pasa, trochę nad biodrem, czyli mierzył w głowę.

W oczach George'a pojawił się lekki błysk. Rzadki u niego objaw. Ten błysk w oku. I zaciekawiony uśmiech, który przemknął mu po wargach. Cholernie cwany uśmieszek, trochę skruszony, jakby facet jadł żabę.

- Nabita?
- Nie - odparł George.

I jeszcze trochę szerzej się uśmiechnął. Fajnie się razem bawili. George miał minę żywą i promienną jak nigdy. Bo ciekawiło go to, co robili we dwóch.

Nick nacisnął spust.

Trwało to dłuższą chwilę, bite ćwierć sekundy, bo zardzewiały cyngiel stawiał opór, więc Nick zdążył zrozumieć sens uśmiechu.

A potem padł strzał, w pokoju rozległ się huk i chociaż ciało i krzesło runęły na podłogę, w pamięci Nicka trwał papilarnie odcisnięty portret George'a.

Ton, jakim tamten odpowiedział „nie” na pytanie, czy nabita.

Kiedy spytał, czy broń jest nabita, tamten powiedział „nie”, a uśmiechał się oczywiście na myśl o ryzyku, o wyzwaniu wpisany w to, co robili.

Poczuł, że spust ustępuje, padł strzał, a on został z tą wątlą myślą, że przecież wcale tego nie zrobił.

Ale najpierw wycelował w głowę i spytał, czy broń nabita.

A potem poczuł, że spust ustępuje, i usłyszał huk wystrzału, a tamten człowiek i jego krzesło polecieły w dwie przeciwne strony.

I ton, jakim tamten zaprzeczył, kiedy on spytał, czy nabita.

Spytał, czy nabita, tamten zaprzeczył, a on ma w rękach broń, z której najwidoczniej przed chwilą padł strzał.

Nacisnął oporny spust i zrozumiał sens uśmiechu.

Ale najpierw stanął upozowany z bronią, wycelował i spytał, czy nabita.

A potem w pokoju rozległ się huk, a on stał z tą wątplą myślą, że przecież tego nie zrobił.

Ale najpierw nacisnął oporny spust i zrozumiał sens uśmiechu, w którym czaiło się wyzwanie.

Czemu powiedział „nie”, skoro była nabita?

Ale po co celował w głowę?

Wycelował w głowę i spytał, czy nabita.

A potem poczuł, że spust ustępuje, i przejrzał na wylot chytrość uśmiechu.

Stał nad ciałem, które leżało rozkrzyżowane na podłodze pokoju zbryzganego krwią - nie, żeby wyraźnie widział sam pokój - i wydawało mu się, że z twarzy leżącego, która wyglądała jak popiół, jak fizjonomiczne szczątki niegdysiejszej głowy, dobiega ssący syk.

Ale najpierw raz jeszcze odtworzył sobie całą sekwencję i wyszła mu identycznie jak przy poprzedniej próbie.

Kiedy zabierali go do radiowozu, na schodkach przed domami stali ludzie, niektórzy w szlafrokach, w wielu oknach widać było wychylone głowy, blade twarze i oniemiałe usta, a przy radiowozie stała grupa młodych mężczyzn - jednych znał dobrze, innych tylko przelotnie - którzy przyglądali mu się uważnie i z powagą, myśląc, że oto na ich oczach dokonuje się historyczne wydarzenie, na ich własnych, zapadłych, pospolitych ulicach.

EPILOG

Das Kapital

Kapitał wypala z kultury niuanse. Zagraniczne inwestycje, globalne rynki, wykup konkurencji przez korporacje, przepływ danych w sieci międzynarodowych mediów, kojący wpływ elektronicznych pieniędzy i cyberprzestrzennego seksu, pieniądze nie tkniętych ludzką ręką i komputerowo bezpiecznego seksu, rosnąca zbieżność konsumenckich pożądań - nie to, że ludzie koniecznie pożądają tych samych rzeczy, ale chcą mieć wszyscy ten sam wachlarz wyboru.

Siedzimy w pubie „Football Hooligan”. Przyglądam się facetowi przy sąsiednim stoliku, czekając, aż się odwróci w moją stronę, to się upewnię, czy istotnie tak niesamowicie kogoś przypomina.

Rozmawiam z Brianem Glassikiem, moim starym kumplem Brianem, który ma taką minę, jakby uważnie słuchał moich słów, zagłuszanych muzyką. Grają tu tak zwanego kult rocka, głośno, owszem, zwłaszcza jednak przeszywająco i monotennie, jakby na lodowatej częstotliwości, a Brian siedzi ze spuszczoną głową, kiwając nią co pewien czas, może na znak zgody, a może ze zmęczenia - trudno powiedzieć.

Pewne sprawy blakną i nikną, rozpadają się państwa, taśmy montażowe skracają się i nawiązują współpracę z taśmami montażowymi z innych krajów. Widocznie pożądanie tego właśnie się domaga: metody produkcji, która służyć będzie kulturowym i osobistym potrzebom, nie zaś zimnowojennym ideologiom masowego uniformizmu. A system udaje, że jest tym żądaniom posłuszny, coraz bardziej elastyczny i pomysłowy, mniej przy-

wiązany do sztywnych kategorii. Lecz w miarę jak pożądanie się specjalizuje, staje się jedwabiste i poufałe, siła zbieżnych rynków wytwarza błyskawiczny kapitał, który z prędkością światła przekracza horyzonty i wszędzie zaprowadza pewien rodzaj ukradkowej jednakowości, spiłowuje detale, wywierając wpływ na wszystko, począwszy od architektury poprzez styl spędzania wolnego czasu aż po sposób, w jaki ludzie jedzą, śpią i śnią.

Tu akurat jedzą przyrządzane naprędce potrawy mniejszości narodowych, piją pięciogwiazdkowy koniak, tańczą stłoczeni na parkiecie, a niektórzy padają i półprzytomnych trzeba odciągać pod ściany.

Muszę się pochylać tuż nad stołem, żeby dalej mówić do Briana, który tak jakby zapadał się w swój kieliszek, ale nie kiwam głową tak jak on, chociaż przykład mógłby być zaraźliwy. Owszem, głównie cytuję Wiktora Malcewa, z którym rozmawiałem parę godzin wcześniej, dyrektora przedsiębiorstwa handlowego, są to jednak cytaty godne przytoczenia, bo Wiktor prze-myślał te sprawy w gęstym peletonie wszelakich przemian, jakie społeczeństwo w ogóle potrafi przejść i przetrwać.

Brian mruczy, że lokal go przeraża. Patrzę na estradę, na której stoi pięciu czy sześciu chłopców, rozczochranych gamoni ubranych w panterki, nagich od pasa w górę, z przypiętymi do piersi ładunkami wybuchowymi; to pewnie studenci, którzy podszycują się pod terrorystów kamikaze.

Ale Brian twierdzi, że przeraża go wcale nie muzyka, nie zespół ani jego kostiumy. I chyba wiem, o co mu chodzi. O poczucie wykorzenienia, zmiany etykietki. No bo jakież to przypadek zrządził, że tego rodzaju klub mieści się na czterdziestym pierwszym piętrze nowego biurowca pełnego biur maklerskich, firm handlujących oprogramowaniem komputerowym, przedsiębiorstw importowych i zagranicznych banków, w którym prywatni strażnicy wynajęci przez rozmaite firmy patrolują korytarze i czasem dochodzi między nimi do strzelaniny, a facet przy sąsiednim stoliku, z łysym ciemieniem, oczami jak szparki i sterczącą bródką, który wreszcie zwraca się w naszą stronę, niewątpliwie jest zawodowym sobowtórem Lenina?

Zjeżdżamy windą i z bagażem w rękach wychodzimy na uli-

cę. Nie udaje nam się znaleźć taksówki, ale podjeżdża karetka pogotowia i kierowca wychyla głowę przez okno.

- Jechać lotnisko? - pyta.

Wsiadamy od tyłu i Brian zasypia na składanych noszach. Jakies dwadzieścia minut później widzę przez szybę w tylnych drzwiach ogromną tablicę reklamową klubu ze striptizem.

INTERAKTYWNA SONIA

Taniec nago na infostradzie

Kiedy przyjeżdżamy na Szeriemietiewo, kierowca oczywiście żąda dolarów. Budzę Briana, wchodzimy do poczekalni i odnajdujemy naszego handlowca. Mówi, że nie ma szczególnego pośpiechu, bo i tak jesteśmy nie na tym lotnisku.

- A gdzie powinniśmy być, Wiktorze?

- Żaden problem. Załatwiłem. Byliście w klub?

- Bardzo interesujące miejsce - odpowiadam. - Był tam Lenin.

- Marks i Trocki też są - mówi. - Wielkie wariactwo.

Oto co myślałem, kiedy już wylądowaliśmy na wojskowym lotnisku i wsiedliśmy do przerobionego transportowca, który zaczął podskakiwać na pasie startowym i chwiejnie wzbił się w mgłę. A także potem, gdy wzniósł się na wysokość przelotu, aja wstałem, znalazłem wąskie okienko w drzwiach awaryjnych za lewym skrzydłem i przycisnąłem do niego twarz, żeby mniej więcej wyrobić sobie pojęcie o tym wschodnim bezmiarze, o nieskończonych pasmach długości geograficznej, o łukach rzutów kartograficznych ciągnących się aż za Ural i przez całą Nizinę Syberyjską - pojęcie zrodzone, rzecz jasna, głównie z mojej własnej wyobraźni, na podstawie skrawka ziemi, który w zapadającym zmierzchu udało mi się zobaczyć w kadrze ograniczonym ramą okienka.

A oto co pomyślałem, kiedy znowu usiadłem.

Pomyślałem, że dawniej przywódcom narodów marzyły się ogromne imperia ziemskie - ekspansja, aneksja, ruchy wojsk, jednostki pancerne przemierzające monstualnymi pojazdami równinę, forsowny marsz języków i apetytów, kopanie maso-

wych grobów. Przywódcy pragnęli rzucić swój cień na rozległe terytoria.

A teraz chcą -

Objaśniam to rozmowom Brianowi Glassicowi, który siedzi naprzeciwko, pod drugą burtą samolotu. Siedzimy na równoległych ławkach, jak spadochroniarze czekający, aż znajdą się nad strefą zrzutu.

- A teraz chcą czipów komputerowych - mówi Brian.

- Właśnie. Dziękuję.

- Tak, to prawda, że geografia zintrowierciła się i zmminiaturowała - wtrąca Wiktor Malcew. - Ale groby masowe mamy chyba do tych pór.

Wiktor siedzi obok Briana - drobna postać w skórzanym płaszczu. Żeby rozmawiać, musimy przekrzykiwać monotony łośkot, który rozbrzmiewa w wydrażonym wnętrzu ogromnego transportowca. Wiktor mówi nam, że samolot ten pierwotnie zaprojektowano, żeby przewozić nim jednocześnie wojsko i towary. W powietrzu dyndają druty, z wręgi sterczą jakieś ustrojstwa. Transportowiec ma formę pustego cylindra, w środku nic, tylko żebra, skrzela i dygoczące części.

- To samolot twojej firmy, Wiktorze?

- Kupywam go dziś rano - odpowiada.

- I będziesz nim woził materiały.

- Wyporzadzimy go jak trzeba.

Jego przedsiębiorstwo handlowe nazywa się „Czajka” i chce nas zaprosić do współdziałania w planowanym interesie. Lecimy na daleki poligon w Kazachstanie, żeby obejrzyć podziemny wybuch jądrowy. Bo „Czajka” handluje właśnie takim towarem. Sprzedaje wybuchy jądrowe za gotówkę. My mamy dostarczać najbardziej niebezpieczne odpady, jakie zdołamy znaleźć, a oni je za nas zniszczą. Zależnie od stopnia zagrożenia klient - korporacja, rząd albo gmina - zapłaci od trzystu do tysiąca dwustu dolarów za kilo. „Czajka” ma powiązania z kompleksem zbrojeniowym Wspólnoty, z laboratoriami projektowania bomb i z transportem. Gotowi są przejąć odpady w dowolnej części świata, przewieźć je do Kazachstanu, spuścić pod ziemię i skroplić. A nam odpała procent za pośrednictwo.

Samolot wchodzi w strefę burzy.

- W Phoenix - mówię do Wiktora - są obawy, czy dysponujecie wystarczającym kapitałem operacyjnym. Bo wiesz, Wiktorze, kupno sprzętu, którym da się bezpiecznie przewieźć takie wysoce wrażliwe materiały, może wymagać oszałamiających wydatków.
 - Tak tak tak tak. Jesteśmy kompetentni. - Uruchamia to słowo ze swego rodzaju defensywną swadą, jakby podsumowywało ono wszystkie niedociągnięcia, które dotychczas psuły mu szyki. - A rubli mamy całych gór, też, śmiem twierdzić, dosyć oszałamiających. Nie czytałeś „Financial Times”? Przyślę ci.
- Brian leży na boku, w płaszczu i w rękawiczkach.
- Zapomniałem - mówi. - Dokąd my właściwie lecimy? Wołam głośno, żeby mnie usłyszał po drugiej stronie dyszącego korpusu samolotu:
 - Na Kazachski Poligon!
 - Dobra, ale gdzie to jest?
- Krzyczę:
- Dokąd lecimy, Wiktorze?
 - W bardzo ważne miejsce, co go nie pokazywa mapa. Koło Semipałatyńsk. Biała plama. Żaden problem. Wyjdą nas spotkać.
 - Żaden problem! - wołam do Briana.
 - Dziękuję wam. Obudźcie mnie, jak wylądujemy - odpowiada.
- Patrzę na niego uważnie. Jest zimno, jesteśmy śmiertelnie zmęczeni, a ja patrzę na Briana. Wiedza o tym, co on robi od pewnego czasu, świadomość, że z premedytacją nadużywa zaufania... chcę czuć, kiedy Brian śpi, przyglądać mu się, ostrzyć klingę swoich emocji i czekać na odpowiedni moment.
- Wiktor wyjmuje z torby butelkę chivas regal, aja bezgłośnie biję brawo. Idzie na pokład załogi po szklanki, ale piloci nie mają ich albo nie chcą pożyczyć. Grzebię w swojej torbie, znajduję płyn do płukania ust, zdejmuję zakrętkę i chwiejnie ruszam pod przeciwną burtę, po drodze wytrząsając spiralnie rowkowane, plastikowe naczynko. Wiktor nalewa w nie szkockiej, a ja wracam na miejsce.
- Nie mamy pasów bezpieczeństwa, a tu trzęsie coraz gorzej. Butelkę z płynem do ust upchnąłem na sztorc w ciasno upakowanej torbie, żeby się nie wylał. Jesteśmy sami, tylko we trzech,

nie licząc tego czy też tych, którzy prowadzą maszynę, i chyba czujemy się trochę opuszczeni w tej ogromnej rurze, raczej jak ludzie siedzący późną nocą w obskurnej poczekalni anizeli szczęściarze podróżujący dobrowolnie wybranym samolotem. Popijam chivas z zakrętki, słuchając, jak dygocze otaczająca nas konstrukcja, minimalne żebrowanie, rodzaj kośćca wewnętrznego, który wydaje wszelkie możliwe jęki z psalterza lotów załogowych. Szkocka ma lekki posmak miętowej płukanki.

- Co robiłeś przed „Czajką”?
- Dwadzieścia lat uczył historii. Potem już nie. Szukam nowe życie.
- W amerykańskich miastach jest teraz wielu takich ludzi jak ty. Rosjan, Ukraińców. Wiesz, co tam robią?
- Jeżdżą taksówkę - odpowiada.

Jego oczy skaczą moim naprzeciw, chytrze, w chwilowej komunii, która pozwala mu upewnić się, że zdają sobie sprawę, jak uprzywilejowaną ma sytuację.

Pije z butelki.

Widzę samolot jakby z bezpiecznego stanowiska na niebie. Jest szybkim kształtem mknącym przez mrok - bo byłem pewien, że tymczasem się ściemniło. Jest mroczną metalową bryłą, która pędzi przez deszcz i wiatr, jak w szybkiej scenie ze starego czarno-białego filmu na podkładzie naglającej muzyki.

Wiktor pyta, czy widziałem kiedyś wybuch atomowy. Nie. Ciekawe - mówi -jak broń odzwierciedla duszę swojego twórcy. Sowietom zawsze zależało na jak największej mocy, na pomnażaniu arsenałów. Musieli sobie udowadniać, że są mocarstwem. Waga rzutu. Co to takiego? Dokładnie nie wiemy, ale jesteśmy zgodni, że określenie to przywodzi na myśl miotaną masę, wołę zbiorowości ciśniętą w przestrzeń. Sowieckie rakiety dalekiego zasięgu miały większą wagę rzutu. Musieli sobie poprawiać samopoczucie za pomocą liczb, ciężaru i masy.

- A USA? - pytam.

Błyska w moją stronę oczami wesołymi jak karnawałowe lampiony. To właśnie Stany - twierdzi Wiktor - zaprojektowały bombę neutronową. Mnóstwo rozbitych neutronów i bardzo słaby podmuch. Idealne narzędzie kapitalizmu. Zabija ludzi, a oszczędza ich własność.

Patrzę, jak Brian śpi.

- Teraz wy też macie swoje narzędzia kapitalizmu. Prawda, Wiktorze?
- Mówisz, że moja firma?
- Podobno macie całą prywatną armię, chociaż niedużą.
- I jednostkę wywiadu. Żeby uchronić nasz stan posiadania.
- I napędzić strachu konkurencji.

Mówi mi, że sam wymyślił nazwę firmy. Słowo *czajka* znaczy mewa i stanowi poetycką aluzję do faktu, że przedsiębiorstwo zajmuje się głównie odpadami. Wiktorowi podoba się wizja mew, które spadają z góry na stopy śmieci i lecą śladem statku, czekając, aż na jego dziobie błysnie wyrzucany balast. To zresztą ładniejsza nazwa aniżeli „Szczer” albo „Świnia”.

Patrzę na Briana. To lepsze niż sen. Nie chcę zasnąć, póki się nie napatrzę. Odbylem z nim podróż z Arizony do Rosji, ramię w ramię przez wszystkie strefy czasowe, czytaliśmy te same czasopisma i zamienialiśmy się kąskami jedzenia z pojemniczków ze zdzieranym wieczkiem - ja mu deser, on mi rzodkiewki, bo w przeciwieństwie do niego jestem w formie, ze Sky Harbor na Szeriemietiewo, przez tyle godzin, oceanów i połąci lądu podzielonego na działki, tyle domów i żywotów tam w dole... może po prostu dlatego, że siedzieliśmy obok siebie, postanowiłem odłożyć na później chwilę konfrontacji. Bardzo niezręcznie jest oskarżać o coś człowieka, który siedzi w sąsiednim fotelu. Chciałem znaleźć się z nim twarzą w twarz w zaciszu jakiegoś pokoju.

Widzę, jak mkniemy przez mrok.

Mówię Wiktorowi, że między bronią a śmieciami zachodzi ciekawy związek. Nie wiem dokładnie jaki. Wiktor uśmiecha się, podciąga stopy i opiera je na ławce, kucając w pozie maskary z gzymsu jakiejś katedry. Stwierdza, że śmieci i broń łączyć może mistyczne bliźniactwo. Podoba mu się ten pomysł. Mówi, że śmieci są bliźniakiem o diabelskim rodowodzie. Tworzą bowiem tajną historię czy też subhistorię, bo przecież archeolodzy wykopują ślady dziejów wczesnych kultur, stopy wszelakich gnatów i połamanych narzędzi, dosłownie spod ziemi.

Przez tyle dziesięcioleci - powiada Wiktor - nieustannie my-

śleliśmy o broni, a nigdy o jej mrocznym, coraz bardziej mnożącym się produkcie ubocznym.

- A w tym przypadku - mówię. - W naszym przypadku, w naszych czasach. Nasza własna wydalina wraca, żeby nas pochłonać.

Ale my jej nie wykopujemy - mówi Wiktor. Usiłujemy ją pogrzebać. To jednak może nie wystarczyć. I właśnie stąd wzięliśmy pomysł. Zabić diabła. Uśmiecha się ze swojej iglicznej grzędy. Fuzja dwóch nurtów historycznych - broni i odpadów. Skażone odpady nuklearne niszczymy za pomocą wybuchów jądrowych.

Przechodzę w poprzek kadłuba, żeby jeszcze raz nalał mi do zakrętki.

- Przecież to się samo nasuwa - mówi.

Widzę, że Brian ma otwarte oczy.

Z ręką wyciągniętą dla złapania równowagi wracam na miejsce, ostrożnie siadam, odczekuję, jednym haustem wychylam szkocką i przez chwilę mrugam.

Patrzę na Briana.

- Wiesz, Brian - mówię - we wczesnym modelu bomby, tak jak ja to rozumiem, materiał rozszczepialny trzeba było instalować w pewien szczególny sposób. Sparzyć jedną część z drugą. Żeby nastąpiła reakcja łańcuchowa, najważniejsza w całym procesie. Według jednego z projektów element męski wpasowywał się w żeński. Cylinder wsuwa się w otwór w kuli. Wstrze-liwiają go w sam środek. Bardzo to sugestywne. Właściwie nie ma ucieczki. Chuje i pizdy na każdym kroku.

Widzę, jak nasz samolot mknie przez wiatr i deszcz.

Bo wiedziałem już ponad wszelką wątpliwość, byłem absolutnie pewien, że Brian i Marian, których imiona tak ładnie współbrzmia, dobry kumpel od czasu do czasu, otóż wiedziałem, że on i moja żona są współnikami w dogłębnej zdradzie. Lekko obłąkany po tym długim locie, potrafiłem nieomal cieszyć się sytuacją, w której się znaleźliśmy. Byłem tak rozdarty między sprzeczne strefy czasu, oszołomiony zmęczeniem i olśnieniem, tak głęboko pogrążony w fetorze fałszu przyjaciela, że zacząłem monolog bez najmniejszych pauz, maniacki i na rauszu; prze-krzykując huk maszyny, belkotałem i insynuowałem, czyniłem

podstępne insynuacje, sprytnie aluzje. Bo wiedziałem już wszystko, i oto lecieliśmy jednym samolotem, a on nie miał gdzie uciec przed naszymi pogaduszkami.

Przy bramie dostajemy znaczki do przypięcia, półprzejryste paski wskazujące stopień napromieniowania ciała w danym okresie. I może właśnie dlatego pejzaż wydaje się taki dziwny. Te małe plakietki do pomiaru radiacji wprowadzają element zagrożenia w monotonię skąpo porośniętej równiny, która faluje aż do przytłaczającego nieba.

Brian mówi, że brama wygląda jak wejście do parku narodowego.

Wiktor mówi: „Nie zdziwcie się, jak tu kiedyś przyjadą turyści”.

Samochodu nie prowadzi Kazach, tylko Rosjanin. Ubrany jest w wyprasowany mundur polowy, a oprócz dwóch znaczków przypiętych do koszuli ma pod ręką licznik Geigera. W oddali widzimy mężczyzn w białych maskach i luźnych butach z cholewami, którzy spychaczami przegarniają ziemię, a potem wjeżdżamy na wzgórze i rozpościera się przed nami rozległa równina upstrzona śladami niedawnych prób podziemnych, podziurawiona rozmaitej średnicy zapadliskami, dość jednak foremnymi: te otwory z jaśniejszą obwódką powstały, kiedy grunt wstrząśnięty wybuchem osunął się z powrotem w wylupioną ziemię.

Szofer mówi nam, że teren ten nazywany jest poligonem. Dodaje jeszcze parę informacji, a Wiktor jedne z nich tłumaczy, inne przemilcza.

Jadąc dalej, widzimy miejsca dawnych prób, tych nadziemnych, i czuje się tu jakąś dziwność, nieswojość, którą próbuję umiejscowić. Widzimy ocalałe przęsło wiaduktu kolejowego, rzeźbiony kawał metalu osmalonego na brąz, podpartego betonowymi filarami. Wyczuwa się grobową powagę, obecność starych sekretów, które wzięły w łeb, okazały się niewarte zachodu. Widzimy przysadzistą, szarą podstawę wieży odpalowej, której większą część już przed kilkadziesiątoma laty zniszczyły eksplozje, aż pozostał tylko betonowy blok ze śladami spojeń, wznoszący się zaledwie dwa metry ponad krótką trawę, wciąż jeszcze jakby dziwnie oszołomiony, ze sterczącymi szynami. Wszystkie

te napromieniowane obiekty emanują poczuciem winy - zniszczone słupy i dwuteowniki porzucone na pastwę wiatru, przedmioty wytworzone i ukształtowane przez ludzi, stare plany, które spaliły na panewce.

Jedziemy w milczeniu.

Wokół bunkra kamerzystów pochłapanego żółtą farbą, która oznacza skażenie, piętrzą się zgarnięte spychaczem zwały ziemi. Dziwne jest to miejsce, jakby zamrożone, widomy dowód, jak krótką mamy pamięć, gdy tak rejestrujemy szczegóły. W oddali widzimy szczątki domów, doświadczalnych budynków, które wybuch zdmuchnął z fundamentów wraz z zamkniętymi w środku ludźmi - nie, nie, to tylko manekiny - i z różnymi produktami na półkach, umieszczonymi tam może czterdzieści lat wcześniej - same amerykańskie wyroby, twierdzi szofer.

A Wiktor dodaje, że KGB pocztywało sobie za punkt honoru wierne odtwarzanie domowych warunków.

I jakie to dziwne, znowu ta dziwność, coraz większa, gdy człowieka ogarnia nostalgia na widok przedmiotów, które stoją na półkach w ocalałych domach - Old Dutch Cleanser i Rinso White, niemal już zapomniane godła dawnego życia, Ipana, Oxy-dol, Chase & Sanborn, zachowane w nienaruszonym stanie tu, na końcu świata, pod mongolską granicą, i czy ktokolwiek pamięta, po co w ogóle to wszystko robiliśmy?

- Słuchaj, Wiktorze, czy ktokolwiek pamięta, po co w ogóle to wszystko robiliśmy? - pytam.
- Owszem, dla rywalizacji. Wyście wygrały, myśmy przegrały. No, powiedz, jakie to uczucie. Wielki mi zwycięzca.

Brian siedzi obok mnie i śpi.

Widzimy zardzewiały czołg z żółtymi śladami pędzla na wieżycze. Napotykam drogę, które raptem się urywają, a ich asfalt przebijają chwasty.

Samochód zajżdza na miejsce próbnego wybuchu, naszego wybuchu. Jest to lekkie wzniesienie, oczyszczone z chaszczy i prawie idealnie zniwelowane. Nie miałem najmniejszego zamiaru wysiąść pierwszy, przez chwilę nikt inny też się zresztą nie ruszał. W odległości kilkudziesięciu metrów stoją ćwiczebne wieże strażackie, a na płaskim wzniesieniu około dziesięciu przyczep wyładowanych sprzętem do analizy wybuchu.

Szofer otwiera drzwiczki po swojej stronie i wszyscy wysiadamy.

Z monotonnym, mozolnym pomrukiem nadciąga wiatr. W pobliżu stoi paru techników i wojskowych, zajętych rozmową. Wiktor zapala papierosa i podchodzi do nich. W tym swoim długim skórzanym płaszczu wygląda, jakby niechcący tu zabłądził. Za drogą widzimy urwiska, a na nich białe szramy od wcześniejszych detonacji. Co chwila zerkam na szofera, wypatrując znaków i omenów.

Wiktor wraca i wskazuje palcem narożnik oczyszczonego terenu - miejsce, gdzie wiją się grube kable, odchodzące od kilku urządzeń ustawionych na kwadracie jaśniejszej ziemi. Oświadcza, że to właśnie jest punkt zero. Stoimy na wietrze i kiwamy głowami.

Wiktor mówi, że wybuch nastąpi w warstwie granitu mniej więcej kilometr pod ziemią. Wokół ustrojstwa nuklearnego niskiej mocy ułożono odpady z reaktora i rdzenie przestarzałych głowic. Specjalnie wywiercony otwór łączący powierzchnię ziemi z komorą wybuchu szczelnie zaczopowano, żeby nie wydobyło się z niego promieniowanie.

Szofer liże palec i przeciera nim ubrudzony rękaw. Sprawdzam, czy ja też nie mam czegoś na rękawie. Potem kierowca wraca do auta, a my za nim.

Wieżie nas do kompleksu bunkrów. Zastajemy tam czterdzieści parę osób. Są wśród nich generałowie w szamerowanych czapkach, spekulanci od uranu, jakaś para z Bundesbanku. Zostajemy im przedstawieni. Poznajemy wielu biurokratów o potężnych torsach i identycznych głowach. Przemysłowców, projektantów bomb, oficjalnych obserwatorów, którzy przybyli, żeby śledzić przebieg próbnego wybuchu. Wszyscy mamy przypięte znaczki mierzące siłę napromieniowania. Idę za Wiktorem do sali konferencyjnej, w której na stole stoją wazy i półmiski pełne parującego jedzenia. Zawieram znajomość z dyrektorami „Czajki” i wyższymi urzędnikami kilku ministerstw Wspólnoty. Wyczuwa się falę oczekiwania. Smagli młodzieńcy w okrągłych czapczkach podają szklanki wódki z pieprzem w miseczkach z kruszonym lodem. Rozmawiam z jednym z weteranów poligonu, naukowcem od broni, który właśnie szuka pracy. Jakiś

Rosjanin opowiada kawał grupce zwalistych mężczyzn, a ja stoję na jej obrzeżach i nagle ze zdumieniem słyszę, że w wartkiej narracji pojawia się Speedy Gonzalez. Rozglądam się za Briannem. Chcę, żeby też to przeżył. Umundurowany kawalarz stoi, wznosząc ku niebu środkowy palec, i w miarę zbliżania się do pointy coraz bardziej czerwienieje na twarzy. Z samą pointą radzi sobie znakomicie, a gdy tak ją wygłasza po rosyjsku, zwracając się do własnego palca, przypominają mi się jej słowa -oczywiście w wersji angielskiej, po tylu latach. Zbici w gromadkę mężczyzn kołyszają się i kiwają głowami, prychając z przytępienia.

W chłodzonych salaterkach pulsuje kawior. Na sali są geolodzy, specjaliści, od teorii gier, energetycy i pewien dziennikarz, który ma podpisany kontrakt na książkę. Widzę handlarzy odpadów i kapitalistów ryzykantów, pirożki i jagnię z rożna. Pewni handlarze broni - twierdzi Wiktor - chcą złożyć ofertę zakupu niedbale zinwentaryzowanych zapasów plutonu zdolnego do produkcji głowic, który dryfuje gdzieś na peryferiach branży.

- A czy taki wybuch - pytam - nie jest przypadkiem zakazany w świetle międzynarodowych porozumień?
- Zakazany, nie zakazany. Jesteśmy wyjątek. Poligon zamknięto lokalnym dekretem. Ale my jesteśmy wyjątek. Trzeba przeprowadzić próbny pokaz. Odpadów plutonów tak przybywa, że można wariować. We skali światowej kto to policzy? Chyba z tysiąc dwieście ton.
- Więcej.
- Więcej. Dobra. Musi jakoś zniknąć.

Jedzenie wprawia mnie we wspaniałą nastrój. Jem wszystko, co mi wpadnie w ręce. Mięso, ryby, jajka - apetyt mam ogromny. Wódka wygląda cudownie, z tą swoją świetlistą, rubinową miękkością, która maskuje pikantną kąśliwość. Opycham się do granic możliwości, czuję się odnowiony, dogłębnie zdrow i kontent, nasycony proteinami, i patrzę, jak Wiktor stowarzysza się z nuklearną wierchuszka. Wśród tych masywnych ciał wydaje się trochę zagubiony. Będzie musiał dopiero się przystosować do środowiska, w którym szwindel i przewal wychynęły ze spekulacyjnych cieniów czarnego rynku i stworzyły najzupełniej jawną

gospodarkę, opartą na szabrownictwie i korupcji. Nie jestem pewien, czy zdoła zapomnieć wszystko to, co zapomnieć musi, żeby odnieść w tym świecie sukces.

Moja rozmówczyni ma przyklejony w kąciку ust okruszek ciasta. Jedzenie ratuje nas przed fatalizmem pejzażu, przed myślą o licznikach promieniowania, które nam przypięto. I o tym właśnie rozmawiamy. Jak miło, że nie odnotowany zapis zabłąkanej przyjemności może rzucić wyzwanie niedostępnej przestrzni, która nas otacza, poskromić siły, za sprawą których nawet zwykły wdech niesie z sobą ryzyko.

Idę poszukać Briana Glassica. Kompleks bunkrów ma kilka różnych poziomów, a spora jego część jest, jak widzę, niedostępna dla gości - opieczętowana i pod strażą. Zaglądam do pokoiów z mapami na ścianach, sypialni, gabinetów lekarskich, przechodzę betonowymi korytarzami i często muszę schylać głowę w niskich drzwiach. Pewien ekonomista z ONZ szuka toalety. Zagłębiam się w jakiś luk; trzymając się żelaznej poręczy, schodzę po stopniach zbrojonych ćwiekami i wreszcie znajduję go w małym pokoiku: znowu śpi.

Krzesło, leżanka i zlew. Przyniosłem ze sobą talerz jedzenia. Nie dla niego, tylko dla siebie. Siadam i patrząc, jak śpi, zaczynam jeść. Ma na sobie budrysówkę z szorstkiego lodenu, z kapturem, zapinaną na drewniane kołki, w tyrolskim stylu. Bardzo pasuje ta kurtka do jego staroświeckiej twarzy, wąskiej i chłopięcej, którą mógłbym pewnie zmiażdżyć pięcioma energicznymi ciosami. Z niejaką satysfakcją wyobrażam sobie tę scenę. Wymierzyć mocny cios. Ale przecież już nie robimy takich rzeczy, prawda? Mamy to za sobą. Pięć ciosów w różo-wawą twarz z płowiejącą grzywką. Ale tylko siedzę i patrzę, i powiem wam, że wcale nie jestem pewien, czy rzeczywiście chcę go uderzyć.

Brian myślał, że jestem wcielonym samospelnieniem. Może zresztą miał rację. Ale jednocześnie trwałem w cichym oddzieleniu od wszystkiego, co w jego pojęciu mogło stanowić solidne tworzywo domu, pracy i odpowiedzialnej rzeczywistości. Kiedy się dowiedziałem o nim i o Marian, moja reakcja miała w sobie coś ze stoickiej uległości. Ich imiona ładnie współbrzmiały, byli w tym samym wieku, a mnie taki obrót zdarzeń uwalniał od

falszywej roli męża i ojca, wyższego urzędnika korporacji. Bo nawet ta moja posada jest protezą. Czy przez moment czułem się wolny, przywrócony sobie, usłyszawszy o ich romansie? Patrzę, jak śpi, i myślę, ile satysfakcji sprawiłoby mi zadanie dziesięciu solidnych ciosów w tę jego uczniacką buźkę. Ale przez moment z satysfakcją myślałem też, żeby machnąć ręką, zostawić im wszystko, dzieci z obu małżeństw, wnuczátko, niech wezmą oba domy, wszystkie auta, niech Brian weźmie obie żony, jeśli chce. I tak nic z tych rzeczy nigdy nie było moje, ja tylko wypełniałem formularze.

Nie muszę wstawać z krzesła, żeby kopnąć w bok leżanki. Akurat sięgam nogą, więc ją wyciągam i kopię.

Potem patrzę, jak Brian się budzi.

- Więc to tak. Najszybszy kochanek *iin Meyhiko*.
- Jak to?
- Stary kawał. Nie znasz?
- Jezu, właśnie mi się śniło. Co to takiego mi się śniło?
 - Facet boi się o żonę, bo w okolicy grasuje sławny amant. Co, nie znasz tego kawału? O Speedym Gonzalezie. Stary numer. Musiało minąć kilkadziesiąt lat, żeby dotarł stamtąd aż tu.
- Skąd aż tu?
- Chuj cię jebał. Właśnie stamtąd. Znowu kopię leżankę.
- Co jest? - pyta.
- Jak dawno, Brian?
- Co jak dawno?
- Ty i Marian.
- O co ci chodzi?
- O co mi chodzi?

Kopię leżankę. Brian siada, zasłania twarz **dłońmi i wybucha** żalonym śmiechem.

- Trochę rozmawialiśmy. Nic więcej.
- Tylko mi nie mów, że nie mam racji.
 - No dobrze, czasem się sobie z czegoś zwierzałyśmy. Powstała w ten sposób między nami pewna bliskość, ale nie na długo.
 - Pałę cygaro i piję brandy. Więc nie mów, że nie mam racji. Spogląda na mnie. Nie mam cygara i piję wódkę.

- Właśnie teraz? Czy to odpowiednia pora, żeby omawiać tę sprawę? Tutaj? Nie możemy *znaleźć* bardziej stosowne...

- Wszystko mi opowiedziała.

Umyka spojrzeniem.

- Jestem gotów wykazać w tej kwestii wiele otwartości, ale uważam, że musimy się zastanowić, czy to odpowiednia chwila - mówi.

Pochyliam się z talerzem w lewej ręce, a prawą daję mu w łeb. Daję mu po łbie otwartą dłoń, skoro mamy być w tej sprawie otwarci, trafiam napiętkiem w skroń, zadając ledwie symboliczny cios, który natychmiast poprawia mi humor. To jeszcze lepsze niż jedzenie. Lepsze niż mięso, ryby, jajka, ikra i wódka. Dobrze mi z tym, że go uderzyłem. Chyba nam obu ulżyło.

Gdy tylko oswoił się z myślą, że oberwał, znów na mnie spogląda. Wiem, kogo widzi, kiedy na mnie patrzy. Kogoś, kto jest od niego roślejszy, bardziej gotów do akcji, i zagradza mu drogę do drzwi. Taki właśnie komunikat bżyka w powietrzu. Nie żadne słowa ani życiorysy, moralna wyższość czy niższość, żadne manewry, blefy czy kontrblefy, którymi można by udzier-gać tę chwilę. Liczy się siła fizyczna. Liczy się to, które ciało złamie się pod naporem drugiego. Nie, żeby tak naprawdę miał powód do obaw. Chociaż może jednak ma.

- Kiedy mówisz, że wszystko ci powiedziała.

- Tak, wszystko. Długo o tym rozmawialiśmy. Kilka dni, z przerwami. Powiedziała mi mnóstwo rzeczy. A potem wsiadłem do służbowego wozu, przyjechałem na lotnisko i cię spotkałem.

Uśmiecha się do mnie.

- Pierdolone baby. Ni chuja nie można im ufać.

Trafiam go płaską dłońią w ucho. Głowa odskakuje mu w bok wręcz imponująco. Uderzyłem go lekko. Ledwie symbolicznie, więc ten ruch głową jest mocno na wyrost.

- Licz się ze słowami, jak o niej mówisz, Brian.

Spuszcza wzrok, usiłując wzbudzić współczucie. Oto on, głodny, spragniony, rozbity psychicznie po długiej podróży, zaniedbany, uwięziony, poszturchiwany w podziemnej celi. Ale nie wydaje mi się, żeby miał istotny powód do obaw.

- Powiedziała ci o heroinie?
- Wszystko mi powiedziała.
- Tylko raz, przysięgam. Bałem się jak cholera. Wyciąga rękę, bierze coś z mojego talerza i je. Obserwuję go. Z pochyloną głową ściąga mi z talerza jedzenie, zjada i znowu ściąga, a ja mu pozwalam.
- Przepraszam cię, Nick. Zabij mnie. Serio, proszę cię. Ale muszę ci powiedzieć, że to nie trwało długo. I że nie zawsze byłem... jak mam to sformułować, żeby znowu nie oberwać?
- Sama mi powiedziała.
- Nie zawsze byłem chętny.
- Patrzę, jak je.
- To ja się ociągałem, to ja się bałem, że się dowiesz. A po nieważ się nie dowiedziałeś, sama ci powiedziała.

Sięga ręką do talerza i je ze spuszczoną głową. Pozwalam, żeby podszedł do zlewu i ochlapał sobie twarz. Bomba bombą -mówi - ale ci ludzie to okropni nudziarze. Wracamy do pokoju zjedzeniem. Goście podzielili się na kilka grup i piją kawę albo herbatę, niektórzy brandy, a ci, co stoją, jedzą deser z talerzyków trzymany tuż pod brodą.

Nagle czujemy, że ziemia drży, grzmi pod stopami. Tapnięcie bawelny strzelniczej, daleki wstrząs czy też wydzwig, a zarazem ściśle umiejscowione doznanie, głuchy odgłos rozlegający się w ciełe. Ktoś mówi „da”, a może „ja”. Ludzie kolejno ruszają do wyjścia; schylając się pod niskimi nadprożami, przechodzą z pokoju do pokoju, starając się nie okazywać zbytnej skwapliwości; słysząc serię szemrzących westchnień, po czym gromadzimy się na dworze i spoglądamy w stronę punktu zero, chociaż właściwie nie ma na co patrzeć - prócz bezmiaru kazachskiego stepu.

Stoimy i patrzymy, parę osób rzuca półgłosem krótkie uwagi, a na wietrze powiewa wyczekiwanie. Oczywiście nie ma żadnej wstępującej masy chmur, nie przetaczają się fale dźwięku. Nad punktem zero wznosi się coś jakby obłok kurzu, lecz może to też być zwykła popołudniowa mgła; niektórzy wskazują ją palcami i pokrótce komentują, ale wszyscy jesteśmy jacyś zgaszeni, w grupie panuje nie wyrażone słowami przygnębienie, więc wracamy do środka.

Noc spędzamy w Semipałatyńsku, pijąc letnie piwo i jedząc pasztet z koniny, a rano Wiktor Malcew postanawia, że przed odlotem do Moskwy powinniśmy coś jeszcze zobaczyć.

Zawozi nas do „Muzeum Poczwarek”, jak je nazywa. Stanowi ono część Instytutu Medycyny. Widzę, że Brian zaczyna się wzdragać, zostaje nawet trochę w tyle, chociaż jeszcze nie zdążyliśmy wejść do sali muzealnej - długiego, niskiego pomieszczenia, w którym stoją gabloty, a w nich słoje z płodami. Wiktor najwidoczniej lubi pogłębiać doznania. Niektóre okazy zakonserwowano w słojach po przetworach Heinza. Jeden ma dwie głowy. Drugi jedną głowę, dwa razy większą niż reszta ciała. Trzeciemu normalna głowa wyrasta z niewłaściwego miejsca, z prawego ramienia.

W milczeniu przyglądamy się słojom. Wolno idziemy od gabloty do gabloty, bo sama okazja narzuca uroczyste tempo, więc nic nie mówimy, patrząc tylko na słoje, nigdy na ściany, okna ani na siebie nawzajem. A potem Wiktor zaczyna mówić, ale nie o słojach. Mówi o latach, kiedy przeprowadzano próbne wybuchy. Patrzymy na słoje, słuchamy głosu Wiktora i wolno mijamy kolejne gabloty. Na poligonie leżącym na południowy zachód od miasta dokonano w sumie pięciuset wybuchów jądrowych, a nawet gdy zaniechano prób atmosferycznych, szyby, które wykopano dla celów podziemnych detonacji, były za płytkie, żeby zapobiec wydobywaniu się niebezpiecznych dawek promieniowania.

Mówiąc to, Wiktor patrzy na mnie.

A potem cyklop. Oko pośrodku, uszy niżej podbródka, ust brak. Briana też brak. Odnajdujemy go na dworze: stoi przy taksówce i przez chmurę dymu z kominów fabrycznych patrzy na przecinające step niskie góry. Ale nie jedziemy taksówką do hotelu po bagaż, a stamtąd na lotnisko. Wiktor każe taksówkarzowi jechać na przedmieście, do kliniki chorób popromiennych, więc jedziemy tam, chociaż nam to nie w smak (Brianowi i mnie), ale nie stawiamy oporu, zbyt sparaliżowani wspomnieniem słoików po przetworach, żeby jawnie się sprzeciwić.

Wieżę nas, mówiąc najprościej, z wiatrem. Co nie znaczy, że w latach częstych wybuchów wiatr wiał w stronę kliniki. Klinika zapewne jeszcze wtedy nie istniała, wiatr zaś wiał

w stronę ludzi, czyli wieśniaków, którzy są teraz jej pacjentami, w stronę ich wnuków i prawnuków, a Wiktor prowadzi nas do środka i tym razem nie jesteśmy już w muzeum.

Mówi, że był tu cztery razy. Trudno rozszyfrować jego ton. Za każdym razem, kiedy przyjeżdża na poligon, wstępuje też do kliniki. Z jednej strony kupczy wybuchami jądrowymi - chociaż na pewno mniej niebezpiecznymi niż te dawne - a z drugiej odwiedza klinikę, może po to, żeby podnieść sobie poprzeczkę albo utwierdzić się w przekonaniu, że nie jest ślepy na skutki. Ślepe są ofiary. Oto chłopiec z oczami zarośniętymi skórą, któremu z obu brwi sterczą gąbczaste, mięsiste grudy, dziwnie podobne do grzybich kapeluszy. Oto łyse dzieci, które stoją rzędem pod ścianą i czekają w samej bieliźnie, aż lekarz je zbada. Oto mężczyzna, który ma pod brodą narośl żyjącą własnym życiem, embrioniczną i pulsującą. Oto karlica w bawełnianej koszulce, której rąbek wlecze się po ziemi, a na piersi widnieje slogan Hamburskiego Festiwalu Gejów i Lesbijek. Oto wesóły kretyń, który z założonymi rękami spaceruje po korytarzach. Oto kobieta, której rysy nie pozostawiają nic do życzenia, ale wygląda, jakby brakowało jej połowy twarzy, więc wszystko musi się zmieścić w przechylonym łuku, zawisłym niby księżyc w nowiu nad jej ramionami.

Ma na sobie taką samą koszulkę jak karlica, więc Wiktor wyjaśnia, że to chybiony zakup z importu. Miejscowy przedsiębiorca nabył dziesięć tysięcy koszulek, nie wiedząc, że są to nadwyżki z gejowsko-lesbijskiego święta, które odbyło się w Europie. Zupełny obłęd - twierdzi Wiktor - sprowadzić takie koszulki do kraju coraz bardziej owładniętego przez islam.

Ale to przecież tylko dalszy ciąg tej samej surrealności, która zaczęła się na czterdziestym pierwszym piętrze moskiewskiego wieżowca.

U pacjentów kliniki występują różne rodzaje zniekształceń, białaczki, raka tarczycy, nieczynne układy odpornościowe. Lekarze znają Wiktora, więc pozwalają nam krążyć po oddziałach. Wiktor rozmawia z pacjentami i z pielęgniarkami. Mówi, że w klinice zdarzają się nieznane choroby. I słowa również nieznane, albo znane dopiero od niedawna. Przez wiele lat słowo „promieniowanie” było zakazane. Nikt nie miał prawa go wy-

mówić w żadnym ze szpitali wokół poligonu. Lekarze wymawiali je tylko we własnych domach, w rozmowach z żonami, mężami lub przyjaciółmi, jeśli w ogóle. A wieśniacy wcale go nie używali, bo nie wiedzieli, że istnieje.

W niektórych pokojach wiszą na ścianach dywany. Starcy z krymkami na głowach siedzą bez ruchu w brudnych korytarzach.

Stajemy w drzwiach stołówki i patrzymy, jak kilkoro młodych ludzi je obiad. Wypadły im włosy, paznokcie i zęby, a teraz są w klinice na obserwacji. Rozglądam się za Brianem.

- Wszędzie nic, tylko choroby. I jeszcze coś ci powiem -mówi Wiktor. - Oni winią nas. Twierdzą, że to wyrachowane. Kazachy tak wierzą.
- Kogo winią?
- Rosjan. Twierdzą, że staraliśmy się wymordować całą ludność. Armia Czerwona nie zawsze ewakuowała wieś przed eksperymentem. Ludzie widzą błysk, a potem jak wielka chmura wspina się na niebo. Nie wiedzą, co to. Armia Czerwona eksplodowała bombę wodorową, wiesz, bardzo wielkiej mocy, a stu wieśniaków zostawiała na miejscu, żeby zobaczyć, czym skutkuje dla ludzi.
- Wierzysz w to?
- Wierzę wszystko. Wszystko prawda. Przy każdej próbie atomowej setki miast i wsi naraża na promieniowanie. Ministerstwo Zdrowia mówi: dobra, znowu podniesiemy limit. A jak go znowu przekroczą: dobra, znowu podnosimy.

Domyślam się, że Wiktor mówi głównie do siebie. Ale i do mnie. Oddziaływanie tych twarzy i ciał jest przemożne. Zaczynam czuć, że coś ze mnie wycieka - jakaś dawna oporność, umiejętność przeciwstawiania się. Rozglądam się za Brianem. Ale Brian nie chce patrzeć, jak bezzębni ludzie jedzą obiad. Jest gdzieś na dworze.

Wiktor i ja chodzimy po korytarzach.

- Jak już sobie wyobrażą bombę, rozpiszą równania, zobaczą, że da się zbudować - mówi Wiktor - to budują, testują na amerykańskiej pustyni, spuszcza ją na Japonczyki, ale co tylko sobie na samym początku wyobrażą, nieodwołalnie się spełnia. W co tylko potrafisz uwierzyć, to i się spełni.

Zaczynam w nim dostrzegać mocno nieprawdopodobną postać, smukłego, smagłego faceta z włosami ufarbowanymi dla zamaskowania siwizny, który w tym długim, gładkim płaszczu chciałby chyba wyglądać trochę jak gangster. Na pozór czuje się całkiem u siebie w tych dzikich, sprywatyzowanych czasach, w maratonie wyświechtanych scenariuszy. W scenariuszu szybkiego wzbogacenia. W scenariuszu wąskiego kręgu, w scenariuszu miażdżenia słabych. W zalewie surowego kapitału. W scenariuszu wymuszeń i morderstw. Ale do terażniejszości odnosi się z ironią i wahaniem. Zbyt wiele ma za sobą lat powolnie rosnącego sceptycyzmu. Chyba się nieźle wpakował.

- Ciekawa sprawa - mówi. - Jedna kobieta na Ukrainie twierdzi, że jest drugi 'Chrystus. Wyznawcy ją ukrzyżują, a potem zmartwychwsta. Bardzo poważna osoba. Piętnastu tysięcy wyznawców. Dasz wiarę? Wykształceni ludzie, wyglądają bardzo normalnie. Ja tam nie wiem. Żeby po komunizmie coś takiego?
- Może po Czarnobylu.
- Ja tam nie wiem - powtarza.

Nie wiedział i ja też nie wiedziałem. Wyszliśmy na porośniętą kępami trawy dziedziniec, którego przeciwległy skraj łączył się z rozległą, bezdrzewną równiną, sięgającą podnóża gór. Na gołej ziemi bawiły się dzieci, chłopcy i dziewczynki, w sumie sześcioro jednorękich, każde miało tylko prawą, a lewy rękaw zawiązany poniżej łokcia. Był tam też ten chłopiec bez oczu, siedział w kucki, przodem do uczestników zabawy, jak gdyby z uwagą śledził ich wysiłki. Miedzianoskóry, w ubraniu chyba chińskim, w butach z dziurami nad wypustką, z których wystawały wielkie palce; Wiktor twierdził, że to czternastolatek, tylko wygląda na dziewięć albo dziesięć lat, ale wcale nie opóźniony w rozwoju, z trochę za dużą głową, z rakowatymi guzami na twarzy i czole, z gąbczastymi naroślami powyżej oczodołów.

Dzieci bawiły się w ojca Wirgiliusza. Jeden chłopiec pada i wstaje. Więc zaraz wszystkie padają i wstają.

Niezwykłą głębię nadawał bieżącej chwili ten kontrast: twarze na tle krajobrazu, niezmierną otwartość, rozległość pastwisk i podzielonego nieba, w którym zawiera się wszystko, co jest poza nami, wprost nieznośnie. Patrzyłem, jak chłopiec siedzi w kucki, skulony, z założonymi rękami, opierając łokcie na ko-

łanach. Wszystkie zakazane słowa, sekrety skrywane w podziemiach wśród białych ścian, na wpół zapomniane scenariusze -wszystko to wydostało się na zewnątrz, niedostrzegalnie wsącza się w ziemię i w powietrze, w zwoje kostnego szpiku.

Chłopiec siedział w kucki pod ogromnym, rozłupanym niebem. Miał nisko osadzone uszy, spadziste czoło. Niebo było rozłupane po przekątnej, podzielone między zgaszony błękit, miękki odcień łupku, trochę jak głowa czubatej sójki, i dziwną żółć, która nie była właściwie żółta, rozpaczliwą połąć żółci ciągnącą się ku wschodowi, dymnozłotą plamę, a dzieci z rękawami zawiązanymi na supeł padały szeregami.

Większość naszych tęsknot pozostaje niezaspokojona. Takie oto melancholijne implikacje niesie z sobą słowo „tęsknota” -pragnienie czegoś, co przepadło, uciekło, w każdym razie jest niedosiężne.

I gdy tak w Phoenix przelatuje rok za rokiem, wsiadam czasem do auta, mijam uszykowane na mapie litery i uliczkami noszącymi nazwy indiańskich plemion ruszam na południe, przejeżdżam obok sklepu z materiałami do krycia dachów, obok zakładu piaskowania i salonu prezerwatyw, a wszystkie one pomalowane są teraz farbami o aromacie lodów; i wreszcie dostrzegam imponującą stalową kratownicę przetwórci odpadów przy przecznicy odchodzącej od Lower Buckeye Road, gdzie nad zwałowiskiem śmieci skrzą się kacyki, a samoloty wyłaniają się długim szeregiem z zamglonych gór, nim podchodząc do lądowania, ustawiają się w szyku.

Marian i ja jesteśmy sobie teraz bliżsi, zżyci jak nigdy dotąd. Ząbkowane krawędzie z czasem się starły. Jeździmy do Tucson w odwiedzinach do córki i wnuczki. Urządzamy dom, wstawiamy coraz więcej regałów na książki i kupujemy nowe dywany, żeby nimi przykryć stare, a o zmierzchu spacerujemy nad kanałem melioracyjnym i opowiadamy sobie historyjki z przeszłości.

W wieżowcu z brązu stoję przy oknie, przyglądam się wzgórzom i graniom, na ulicy upał, ponad czterdzieści stopni, a ja zawsze w garniturze, nawet jeśli wpadam tylko po pocztę, i słuchając ćwierćtonowego szumu komputerów, czuję w sobie spokojną siłę, bo w końcu jednak moje na wierzchu, jestem wy-

grany, wszedłem słaby, a wyszedłem silny, więc tym swoim gangsterskim tonem mówię coś do windziarza, żeby go zabawić.

W domu sortujemy śmieci według ogólnych zaleceń. Płuczemy puste puszki, opróżniamy butelki i wkładamy je do odpowiednich pojemników. Osobno cyna, osobno aluminium. Papierowe torebki umieszczamy w wielkiej papierowej torbie, spłaszczamy je i wsuwamy do tej dużej, przeznaczonej specjalnie na ten cel. Gazety składamy na kupkę, ale nie związujemy ich sznurkiem.

Po korytarzach chadzają długie widma. Kiedy moja matka umarła, poczułem, że się rozpościeram, wolno i trwale, w czasie. Poczułem, jak się nasycam jej prawdą, przeniknięty nią niby wodą, barwą lub światłem. Pomyślałem, że weszła w najgłębsze miejsce, jakie mogłem przed nią otworzyć, i jest teraz ożywym bytem, a jeśli cokolwiek przetrwa dłużej niż moje ostatnie tchnienie, to właśnie ona; że dzięki niej jestem większy, bo wzmacnia we mnie poczucie tego, na czym polega człowieczeństwo. Jest teraz częścią mnie, totalną i kojącą. I bez cienia smutku stwierdzam, że musiała umrzeć, zanim zdołałem ją w pełni poznać. W stwierdzeniu tym uznaję po prostu potęgę rzeczy, które następują później.

Na wysypiskach w Chicago trwa handel śmieciami. W Dallas produkuje się syntetyczne fekalia. Możesz sprzedać własne jądra pewnej rosyjskiej firmie, która da ci cztery tysiące dolarów, po czym chirurgicznie usunie rzeczony narząd, zmiażdży je i wy-preparuje z nich najbardziej życiodajne składniki, a otrzymaną substancję o konsystencji syropu sprzedaje jako odmładzający, upiększający krem, z niesamowitym zyskiem.

Wynosimy telewizor z chłodnego pokoju w głębi domu, z dawnego pokoju Lainie, naszej córki, który jest teraz dawnym pokojem mojej matki, tym z nawilżaczem powietrza, odnowionym lustrem i dobrym, twardym, zdrowym łóżkiem, i instalujemy tam półki na książki.

W Waste Containment funkcjonuję ostatnio jako swego rodzaju *director emeritus*. Owszem, przychodzę czasem do biura, głównie jednak podróżuję i wygłaszam odczyty. Odwiedzam uczelnie i instytuty badawcze, w których zapowiadają mnie jako analityka odpadów. Mówię słuchaczom o tym, jak na miejscu

opuszczonych baz wojskowych urząda się zwałowiska, o systemie bunkrów pod pewną górą w Nevadzie, w których da się, być może, przechować przez dziesięć tysięcy lat tysiące stalowych kanistrów wypełnionych radioaktywnymi odpadami. Potem jemy lunch. Nie wiadomo, czy odpady - siedemdziesiąt tysięcy ton zużytego paliwa - wybuchną, czy nie, a ja latam do Londynu i Zurychu na konferencje w śniegu z deszczem.

Przestawiam książki na starych półkach, dobieram je i komponuję w podgrupy, żeby ustawić na nowych, a potem stoję i patrzę. Stoję w salonie i patrzę. Albo chodzę po domu, patrząc na nasze rzeczy, i czuję, że do każdej przywiera jakaś dziwna śmiertelność. Im bardziej wyszukana i rzadsza jest rzecz, tym dotkliwsze ogarnia mnie na jej widok osamotnienie, i nie wiem, czym je tłumaczyć.

Marian po pięćdziesiątce jest szczupłą, opalona i już nie taka nerwowa, to oczywiście, a do mijającej chwili podchodzi z trochę większym umiarem. Mijająca chwila nagle straciła znaczenie. Wybieramy się na przejażdżki po pustyni i czasem opowiadam jej o sprawach, o których nie wiedziała, albo wiedziała tylko bezwiednie, tak jak człowiek wie, że jest senny lub smutny.

Ilekoć w jakimś dokumencie napotykam jego nazwisko, na chwilę mnie zatyka: to nazwisko wypisane nierównym drukiem na jakimś papierze z pieczęcią, James Nicholas Costanza, wykłuła pieczęć nadaje oficjalny wygląd dokumentowi, który leży w zakurzonej dolnej szufladzie, a ja przeżywam moment dezorientacji, nim sobie uprzytomnię, kto zacz.

Co pewien czas jeżdżę tam i widzę, jak kacyki skrzą się nad zwałowiskiem, kiedy już minę ulice o nazwach indiańskich plemion, a czasem zabieram ze sobą wnuczkę, jeśli akurat jest u nas z wizytą, i patrzymy na zielono-szarą kratownicę przetwórci odpadów, na samoloty podchodzące w szyku do lądowania, na efekciarskie rośliny pustynne, które przelewają się przez pastelowe mury nad parkingiem.

Latam do Zurychu i do Lizbony, żeby wymieniać poglądy i składać propozycje, a cały ten rozpaczliwy kryzys, nieustępliwy napór śmieci wydaje się trochę nierzeczywisty, jakby naprawdę istniał tylko w raportach czytanych podczas konferencji i w gazetach. Bo poza tym jest dziwnie nienamacalny, chociaż

od tej zwalistej, rozłożystej masy, od fizycznej, pulsującej materii wieje grozą.

Wszyscy są wszędzie naraz, jak mawia Jeff; wciąż jeszcze z nami mieszka, wciąż mówi z tym swoim głupawym, niepewnym uśmiechem z lat dojrzewania, który sprawia, że prawie każda jego odzywka brzmi jak śliska aluzja do jakiegoś sekretu naszego syna.

W Dallas produkują syntetyczne fekalia. Opracowano tam znakomitą metodę wytwarzania sztucznych odchodów ludzkich do testowania pieluszek i innych typów odzieży ochronnej. Produktem końcowym jest sucha mieszanka skrobi, włókien, żywic, żelatyn i poliwinyli. Dla otrzymania pożądanej konsystencji dodaje się wody. Substancja zazwyczaj ma kolor brązowy.

Nostra aetate - jak mawiają papieże. W naszych czasach.

Wyszedł po papierosy i nie wrócił. Palił lucky striki. Reklamowano je sloganem: „Zapal lucky'ego, pora zakurzyć”. Bądź luzny - pal lucky. Jeszcze jeden slogan.

Jeff ima się dorywczych prac, czasem kelneruje w jakiejś jadłodajni, i godzinami przesiaduje przy komputerze. Regularnie podłącza się do działu internetu poświęconego cudom. Mówi nam, że jest wiele doniesień o ludziach, którzy tłumnie ciągną do kopalń uranu, żeby się leczyć. Przylatują z Europy, Kanady i Australii, o kulach i na wózkach, i siadają w tunelu pod łańcuchem górskim w Montanie, gdzie emisja radonu wieleset razy przekracza dawkę oficjalnie uznaną za bezpieczną. Próbuje się leczyć z artretyzmu, cukrzycy, ślepoty i raka. Zdarzają się doniesienia o kalekich psach, które odzyskały władzę w łapach. Jeff mówi nam o tym i nieśmiało się uśmiecha, bo bawia go te historie, co zresztą niekoniecznie przeszkadza mu w nie wierzyć.

Chłodny pokój na tyłach domu, który dawniej zajmowała moja matka, kazaliśmy zabudować regałami na książki, a sami wiecie, jak niepostrzeżenie mija czas, kiedy się robi w książkach porządek, ustawia się je i przestawia, mija nietknięty, gdy się je pomysłowo dobiera i miesza, a potem stoi się w pokoju i patrzy.

Powiem wam, za czym tęsknię: za czasami chaosu, kiedy o nic nie dbałem - ni cholery, ni chuja, ni czorta.

Matt zjawił się na pogrzebie, przyleciał w przeddzień wieczorem z dwójkiem dzieci, które strasznie się zdziwiły, kiedy

potem załamał się nad grobem. Były zaszokowane, bo zawsze dotąd widziały w nim ojca, a nie syna, więc umknęły oczami, a potem ukradkiem zerknęły i zaraz znowu zrobiły unik, bo rzucił mi się na szyję, szlochając, a one zobaczyły, że obejmują go jedną ręką, i potrzebowały chwili, żeby się oswoić z tym szokującym widokiem, jakim był dla nich własny ojciec w roli czyjegoś brata i syna.

Wciąż jeszcze stwierdzam u siebie te specyficznie biurowe stany ducha, kiedy człowiek ma na sobie świeży garnitur i czuje, jak wokół niego falują połączone instalacje. Bo zewsząd słychać pomruk komputerów i faksów. Bo telefony komórkowe tkwią w łądownarkach zainstalowanych przy każdym biurku, bo działa poczta głosowa, elektroniczna i w sumie powstaje wrażenie ładu i dyscypliny, wzmagane przez samo biuro i przez wieżowiec z brązu, w którym ono się mieści, i przez wszystkie punkty styczne, migoczące gdzieś w powietrzu.

Z pudełek po płatkach śniadaniowych usuwamy papier impregnowany, nim wystawimy je na ulicę, do wywiezienia. Ulice są ciemne i puste. Osobno zbieramy szkło bezbarwne, a osobno kolorowe, i naprawdę zdumiewa ta cisza, bezruch tak dawny i zakorzeniony, o randze lokalnego zabytku, śmieci z podwórka, papierowe torby zgniecione na płask, godzina po zachodzie słońca, kiedy cały świat pauzuje, a człowiek na sekundę zapomina, gdzie jest.

A oni w kopalniach siedzą na drewnianych ławkach, wdychają powietrze nasycone radonem, moczą nogi w zabójczej radonowej wodzie, modlą się, skandują i śpiewają wzniosłe hymny, a może w niewielkich chórkach zwykle piosenki, jakie ludzie zawsze śpiewali, robiąc coś całą grupą.

Ilekcroć wybieramy się autem gdzieś dalej, na dłuższy wypad, mijamy osiedle dla rentierów, jedziemy długą prostą autostradą, przy której na kablach elektrycznych w równych odstępach siedzą pustułki, a ja czasem smaruję ręce i twarz płynem do opalania, w powietrzu czuć zapach plaży, czuć upał i plażę, owłosione przedramię oblepia mi śliska mgiełka, a tubka cmoka i stuka, kiedy nic już w niej nie ma - otóż w takich razach przypominają mi się zdarzenia z dawnych lat.

Nikt już nie mówi o Mordercy z Teksaskich Szos. Nigdy nie

słyszysz się tego hasła, które dawniej nieustannie wisiało w powietrzu, w każdej chwili miało się je na końcu języka, w każdej chwili mogło się pojawić w radiowym paśmie i wywołać przelotne podniecenie na pasiastych autostradach, ale zabójstwa najwyraźniej ustały, a hasło poszło w niepamięć. Czasem jednak myślę o tym człowieku i zastanawiam się, czy on jeszcze gdzieś tam krąży, jeździ autem i patrzy, bo wcale nie przestał, tylko czeka.

Kiedy jej coś opowiadam, słucha z napiętą, krystaliczną uwagą, czujna, nieruchoma, i mam wrażenie, że z góry wie, co powiem. Opowiadam jej, że byłem w domu poprawczym, wyjaśniam, za co tam trafiłem, i mam wrażenie, że już dawno to wie, chociaż nieświadomie. Patrzy na mnie, jakbym miał siedemnaście lat. Widzi siedemnastolatka, którym byłem. Chadzamy na długie spacerunki nad kanałem melioracyjnym. Wszystkie aluzje i napomknienia, wszystko, czego się o mnie domyślała w początkach naszego wspólnego życia, nareszcie się teraz dopełnia. Jeśli nie dla mnie, to dla niej. Bo ja przecież nie wiem, co się stało, prawda?

Składamy gazety na kupkę, ale nie związujemy ich sznurkiem, chociaż zawsze człowieka korci.

Wpisuje siedemnaście znaków, a potem *.com miraculum*. I cuda przewijają się po ekranie. Pewnego wieczoru przy kolacji opowiada nam o cudzie, który zdarzył się w Bronksie. Bronx onieśmiela Jeffa, wpędza go w nieśmiałość i w poczucie winy. Naszemu synowi wydaje się, że jest to część amerykańskiego gułagu, miejsce tak odległe od jego własnych doświadczeń, że niepodobna, aby ci, co stamtąd wyszli, chcieli spędzić chociaż chwilę w jednym pokoju z kimś takim jak on. Oto jednak siedzimy przy stole, jedząc wspólny posiłek, i Jeff opowiada nam o cudzie, który zdarzył się przed kilkoma laty i nadal jest przedmiotem dyskusji, przynajmniej w sieci, w Internecie. Mała dziewczynka padła ofiarą straszliwej zbrodni. Jej ciało znaleziono na pustej parceli w grubej warstwie śmieci. Zidentyfikowano ją i pochowano. Uwieczniono na pobliskiej ścianie w postaci graffiti. I wtedy zaczęły się cudowne objawienia, a po nich napór tłumów, wiara i niewiara. Głównie chyba jednak wiara. Zadajemy mu parę pytań, ale ostrożnie się obchodzi z ta-

kimi tematami. Onieśmiałają go. Nie czuje się upoważniony, żeby opowiadać taką mocną historię, pełną cierpienia, wiary i jawnych uczuć, zdarzenie z Bronksu. Uspokajam go, że przecież żadne inne miejsce na świecie lepiej się nie nadaje do studiowania cudów.

Na ulicy jest prawie czterdzieści stopni, równe czterdzieści, jeśli nie więcej, a ja jadę na lotnisko, żeby polecieć do Lizbony i Madrytu, albo stoję w salonie i patrzę na książki.

Jeff się czai. Zwiedza sieć, ale sam niczego nie nadaje. Odbiera fale i promienie. Wyposaża swój komputer w coraz to nowe elementy i funkcje, a potem siedzi nad rozrastającą się masą kompatybilnego sprzętu. Prawdziwym cudem jest sama sieć, siatka, w której wszyscy są wszędzie naraz, a on także kryje się wśród nich, niewidzialny.

Sekrety, które zaczęliśmy w końcu dzielić, późna wymiana wspomnień z dzieciństwa i z innych wściekłych czasów, i jeszcze coś, innego rodzaju mocny uchwyt, inny kierunek, nie wstecz, ale wprzód - to, że tkwimy w uścisku przedmiotów, które wiążą nas z pewnymi omenami. W przedmiotach wypełniających nasze ściany i półki czuję chyba nieobecność Marian. Jest coś posępnego w rzeczach, które zgromadziliśmy i posiadamy, w domowym majątku ruchomym, w samym słowie „majątek” - lakierowana skrzynia w alkowie też tchnie swoistym smutkiem, podobnie jak kobierce na ścianach, rozmaite rękodzieła i kosztowności; na ich widok ogarnia mnie poczucie osamotnienia, straty, tym silniejsze i dziwniejsze, jeśli dany przedmiot jest względnie rzadkim okazem, a ja przyglądam mu się po zachodzie słońca, wśród cichego bezruchu, który zdaje się trwać w nieskończoność.

Spacerujemy wzdłuż kanału melioracyjnego, mijając drzewa o pniach pobielonych wapnem dla ochrony przed słońcem.

Ziemia rozstała się, a on wszedł w czeluść. Chyba nie tylko my tak to odczuliśmy, ale i sam Jimmy. Pewnie się stoczył. Nie sądzę, żeby chciał jeszcze raz zaczynać od początku, rozpocząć nowe życie czy choćby uciec. Myślę, że chciał się stoczyć. Żył z dnia na dzień, krok za krokiem, nie zastanawiając się, co z nami będzie, jak matka da sobie radę, jacy duzi urośniemy i ile będziemy mieli oleju w głowach. Moim zdaniem nie po-

święcił tym myślom ani minuty. Pewnie po prostu się stoczył. Co w niczym nie umniejsza klęski, którą przez to ponieśliśmy.

I właśnie kiedy przedstawiałem książki na półkach, wpadła mi w ręce piłka. Patrzę na nią, mocno ją ściskam i odkładam z powrotem na półkę, wtykam między książkę przechyloną i drugą, ustawioną prosto: kosztowny, piękny przedmiot, który trochę ukrywam - może dlatego, że często zapominam, po co właściwie go kupiłem. Czasem wiem to z całą pewnością, ale nie zawsze; piękny przedmiot umazany czymś zielonym tuż obok znaku firmowego Spaldinga, zbrązowiały przez prawie pięćdziesiąt lat kontaktu z ziemią i ludzkim potem, półwiecze chemicznych przemian, a ja go odkładam z powrotem na półkę i zapominam o nim aż do następnego razu.

Był jeszcze jeden slogan: L.S./C.W.T. - Lucky Strike, Czyli Wyborny Tytoń. Lucky Strike, a obok w cudzysłowie: „specjalnie wędzony”.

Samoloty skrzą się w powietrzu, nadlatując od południa, spomiędzy gór, połyskują w mgiełce, gdy długim szeregiem podchodzą do lądowania, a ja widzę na końcu drogi stalową kratownicę przetwórci odpadów. Parkuję pod zboczem tarasowych ogrodów, z których przez pastelowe mury przelewa się bugenwilla. Jest ze mną moja wnuczka Sunny, już prawie sześciolatnia, w ogromnej hali przetwórczej stoimy razem na pomoście i obserwujemy całą operację. Blacha, papier, różne rodzaje plastiku, styropian. Suną po przenośnikach taśmowych, czterysta ton dziennie jedzie po śmieciarskich taśmach montażowych, na których wszystko się sortuje, prasuje i paczkuje, aż powstają czworoboczne klocki, nowy produkt, związane drutem, gospodarnie spiętrzone, gotowe zalać rynek. Sunny uwielbia to miejsce, podobnie jak inne dzieci, które przychodzą tu z rodzicami albo z nauczycielami, żeby stać na pomoście i zwiedzać zakład. Światło z okien w dachu sięga podłogi hali, padając na wysokie maszyny, emanujące wieszczą poświatą. Możliwe, że darzymy poszanowaniem śmieci, odkupicielską moc rzeczy, które zużywamy i wyrzucamy. Patrzcie, jak do nas wracają, opromienione dzielnym starzeniem. Z okien rozpościera się widok na potężną, rozległą pustynię i bezmiar nieba. Zwałowisko po drugiej stronie drogi jest już zamknięte, wypełnione do granic możliwości,

ale z przykrywającej je wielkiej lawy ziemnej wciąż sący się gaz, metan, więc na ziemię i niebo nakłada się chybotliwe falowanie, które uwydatnia tutejszą aurę świętego dzieła, jak gdyby w wijącym się powietrzu unosiła się baśń o widmowej cywilizacji, migotanie pustynnych ruin. Dzieci uwielbiają maszyny, prasy do belowania, kosze samowyladowcze i długie transportery, rodzice zaś patrzą w okna i widzą przez metanową mgiełkę, jak samoloty wylatują z gór i ustawiają się w szyku do lądowania, a przed halą stoją dwie kolumny ciężarówek, które przywożą nie sortowany chłam, plugastwo z samych bebeczków naszego życia, i przywracają go światu w postaci bel, równo powiązanych jednostek, przysadzistych bloków gotowego produktu, nieskazitelnych, gazety do gazet, blacha do blachy, i wszystkim nam robi się lepiej, kiedy stąd wyjeżdżamy.

Piję starą grappę i słucham jazzu. Porządkuję książki na nowych półkach; stojąc w salonie, patrzę na dywany i kobierce na ścianach i wiem, że korytarzami chadzają widma. Ale nie tymi, nie w tym domu. Wszystkie są tam, dawno temu, w kolejarskich pokojach u wąskiego końca nocy, a ja tu na pustyni stoję bezradny i patrzę na książki.

Tęsknię za dniami chaosu. Niech wrócą te dni, kiedy byłem żywy na ziemi, falowałem w ogniu własnej skóry, na nic niebaczny i prawdziwy. Tępo muskularny, gniewny i prawdziwy. Za tym właśnie tęsknię, za zerwaniem pokoju, za dniami zamętu, kiedy chodziłem prawdziwymi ulicami, działałem bez namysłu i przez cały czas czułem gniew i gotowość, dla innych byłem groźbą, a dla siebie odległą tajemnicą.

[http://blk.www/dd.com/miraculum](http://blk.www.dd.com/miraculum)

Ma na imię Esmeralda. Żyje jak dzikie zwierzątko w sercu getta, w plastrze południowego Bronksu zwanym Ścianą, penetruje puste parcele, szukając wyrzuconych ubrań, wyciąga nadpsute owoce z worków śmieci na tyłach sklepów spożywczych, a czasem widuje się ją, gdy biegnie między drzewami i kępami zielska - cień na walących się ścianach zburzonych budynków, bez potknięcia, taktowna biegaczka mknie wdzięcznym, swobodnym krokiem jakiegoś stworzenia z leśnych mitów.

Od pewnego czasu szukają jej zakonnice.

Siostra Grace, ta młodsza, postanowiła wytropić i schwytać dziewczynkę, żeby ją zawieźć do agencji pomocy społecznej albo do swojego klasztoru w środku Bronksu, w bezpieczne miejsce - zbadać, należycie nakarmić, zapisać do szkoły.

Siostra Edgar dostrzega promienną grację dziewczynki, wyjątek wśród nieskończonej udręki Ściany, a nawet źródło osobistej nadziei, bodziec dla starej, wypróbowanej wiary. Całe niebo drży, kiedy jakaś dusza huśta się na wietrze: uchronić ją przed niebezpieczeństwem, zaprowadzić tam, gdzie świece, popioły i palmy, gdzie wiara w mistyczne ciało.

Zakonnice dostarczają żywność mieszkańcom Ściany i pobliskich okolic, astmatycznym dzieciom i dorosłym cierpiącym na drepanocytozę, chorym na AIDS i niemowlętom uzależnionym od kokainy, i codziennie, dwa razy, trzy lub cztery razy na dzień przejeżdżają furgonetką obok ściany pamięci. Jest to pięciopiętrowa ściana boczna kamienicy zamieszkałej przez dzikich lokatorów, na której grafficiarze malują sprejem anioła, ilekroć jakieś dziecko z tej okolicy umrze od choroby albo poniewierki.

Gracie mówi, prowadzi furgonetkę i krzyczy przez okno na psy fajdające na ulicy. Chodzi w spódnicy i wiatrówce, zawsze ma przy sobie pojemnik z gazem. Stara Edgar o chudych goleniach, siedząc obok niej, czuje aurę ulic i przenosi się myślą w inne stulecie. Nosi pas i welon, nawet nie umiałaby się ubierać inaczej i w ogóle by jej tu nie było, gdyby wszystkie dzieci cieszyły się dobrym zdrowiem, a psy przestrzegały mieszczańskiego decorum.

- Czasem się zastanawiam - mówi Grace.
- Nad czym?
- Nieważne, Siostrze. Mniejsza z tym.
 - Zastanawiasz się, czy to, co robimy, ma jakiegokolwiek znaczenie. Nie możesz zrozumieć, czemu ostatnie dziesięć lat tego wieku pod niektórymi względami wygląda gorzej od pierwszego. Jak całkiem inne stulecie w całkiem innym kraju.
- Jestem osobą pozytywną - oświadcza Gracie.

Edgar ma ten swój śmiech o wysokiej częstotliwości, wędrujący w czasie i przestrzeni, właściwie jakby chichot, przenikliwy i zawilgły - przypuszcza, że psy go słyszą.

- Wiem, że osiągnięcie pozytywnego stanu umysłu - mówi -

wymaga przestrzegania mozolnej procedury. Cud, że zostaje ci jeszcze dość siły, żeby prowadzić wóz.

Gracie szlag trafia na te słowa, więc łąje starszą siostrę, ale z szacunkiem, gdy furgonetka podjeżdża do złomowiska Ismaela Munoz.

Góra aut zgniecionych w jedną masę, rozbitych i zwalonych na stos, zgiętych wpół, siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt zażenowanych wraków. Zakonnice odruchowo rozglądają się za Esmeraldą, która zapewne nocuje w którymś z nich. Parkują furgonetkę i wchodzi do na wpół zrujnowanej kamienicy, wchodząc po walących się schodach na drugie piętro, do kwatery głównej Ismaela.

Edgar spodziewa się, że Ismael będzie błądy i wychudzony, wyraźnie wątpy. Podejrzewa, że Muhoz ma AIDS. Czuje to. Zawsze przeczuwa jakieś okropieństwa. Stoi, przyglądając mu się z pewnej odległości. Ten sympatyczny wrak człowieka w tropikalnej koszuli, z niechlujną brodą, jest dziś ożywiony, bo zdołał zainstalować w kamienicy urządzenie, które produkuje dosyć elektryczności, żeby telewizor działał.

- Patrzcie, siostry - mówi.

Widzą, że mały Juano siedzi na unieruchomionym rowerze i pedałuje co sił w nogach. Rower podłączony jest do generatora z czasów drugiej wojny światowej, który Ismael tanio kupił z demobilu. Generator pulsuje w suterenie, odchodzące od niego kable biegną na górę do telewizora, a rzęzący pas napędowy łączy rower z odbiornikiem. Kiedy chłopiec pedałuje, generator zasila telewizor - zasłużony, sfatygowany aparat, który dwaj inni chłopcy wykopali na wysypisku z warstwy geologicznej urządzeń rozrywkowych.

Gracie jest zachwycona i zaraz siada razem z grafficiarzami, którzy w ośmiu czy dziewięciu oglądają kanał notowań giełdowych.

- I co wy na to? - pyta Ismael. - Udało mi się? A to dopiero początek. Mam ambitne plany.

Edgar oczywiście nie pochwała tej nowinki. Jej misja polega właśnie na niepochwalanu. Jednym ze srogich dobrodziejstw Ściany, odciętej od sieci normalnych usług, był dotychczas brak telewizji. A teraz nagle się pojawiła. Naciskasz guzik, i wszyst-

ko, co przez całe wieki pozostawało przed tobą ukryte, wdziera się do choćby i najdalszego pokoju. Epidemia wizji. Żadna nisza nie uchroni się przed skanerem. Macica, dno oceanu, zagubione komnaty ludzkiego mózgu. A co zobaczysz, to ci się udzieli. W przelotnym spojrzeniu zawarty jest zarazek.

- Wiecie, siostry - ciągnie Ismael - niedługo mam zamiar wskoczyć w Internet. Zalekramować te moje wraki. W skali globalnej. Złom dla uciemionych państw, co sobie chcą zorganizować wojo.

Obraz na ekranie miga i skacze. Widać dyskoidalną głowę mężczyzny w białej koszuli z niebieskim kołnierzykiem, a może w niebieskiej z białym - kolor dość często ucieka. Mężczyzna mówi o wskaźniku złożonym, dołem ekranu płyną dwa pasma cyfr i liter, niebieskie i białe, załoga siedzi i patrzy, a chłopak na rowerze pochyla się i zawzięcie pedałuje, pompuje jak wściekły, podczas gdy nazwy firm i ceny suną w dwóch przeciwległych kierunkach, a emisje czynne mrugają.

- Niektórzy mają osobistego boga - mówi Ismael. - A ja chcę skołować komputer osobisty. No bo co za różnica, no nie?

Ismael lubi się przekomarzać z zakonnicami. Edgar uważnie mu się przygląda. Podziwia ścianę z graffiti, na której w rzędach wymalowanych aniołów niebieskie oznaczają chłopców, a różowe - dziewczynki, ale ma się na baczności przed organizatorem tej akcji i usiłuje zrozumieć, czemu właściwie czuje się zawiedziona, widząc, że Ismael jest w dobrym humorze i najwidoczniej nic mu nie dolega.

Czyżby chciała, żeby śmiertelnie zachorował? Czy jej zdaniem należy mu się kara za homoseksualizm?

Wszyscy prócz niej patrzą w telewizor. Bo Siostra patrzy na Ismaela. Ani śladu bladeści, utraty wagi, zmian chorobowych skóry czy innych dostrzegalnych objawów. Tylko szczerbaty uśmiech, owoc wieloletnich zaniedbań stomatologicznych.

Czemu chciałaby zobaczyć, jak Ismael cierpi? Jest on przecież jedną z twórczych sił w obrębie Ściany, na swoim złomowisku zarabia pieniądze i robi z nich mniej lub bardziej altruistyczny użytek, uczy tę swoją załogę zbłąkanych dzieci, wśród których trafiają się porzucone, a kilka dziewczynek jest w ciąży. Mali uciekinierzy i wyrzutki nabierają dzięki niemu poczucia odpo-

wiedzialności i uczą się cenić siebie. I jeszcze pomaga zakonnicom karmić głodnych.

Edgar wpatruje się w niego, szukając symptomów, wczesnych znamion choroby. A potem ukradkiem zerka w okno, w nadziei, że zobaczy nieuchwytną dziewczynkę. Już parę razy widziała ją z tego okna, prawie zawsze w biegu. Bieganie to główne zajęcie tej małej. Jej piękno, a zarazem rękojmia bezpieczeństwa, melodyjna nadzieja, osobliwie cenna sprawność, obrzęd oczyszczenia, przemierzająca świat ulotna zawieja boskiego listowia.

Wchodzą dwaj charyzmatycy, żeby pooglądać telewizję. To ci z ostatniego piętra, co prowadzą jedyny kościół w obrębie Ściany, kongregację zielonoświątkowców, którzy pragną otrzymać dar Ducha Świętego, nakładają dłonie, wykrzykują słowa, prorokują - odstawiają superodlotowy cyrk, aż Edgar ma ochotę uciec i się schować.

Oni, rzecz jasna, też trochę krzywo na nią patrzą.

Ismael wyznacza czterech z załogi, żeby poszli z zakonnicami i rozdali żywność w dzielnicy. Ale załoga zapaściła korzenie. Każą Juanowi szybciej pedałować, bo tylko wtedy można zmienić kanał, a oni chcą kreskówek i filmów, czegoś lepszego do oglądania niż jakaś tam głowa.

- Dawaj, stary, gazu, gazu!

Rowerzysta pochyla się jeszcze niżej i pompuje, obraz przez moment pływa, ale potem jednym skokiem wraca na ekran krągła twarz prezentera i ruchome rządki cen. Ismael stoi, roześmiany. Uwielbia język zakupów i sprzedaży, widok liter zbitych w grona, które oznaczają ogromne korporacje z własnymi odrzutowcami, długimi limuzynami i flotami tankowców. Zaczyna ściągać dzieci z kanapy bez poduszek i z rozmachem popycha je w stronę drzwi, a reszta jego ludzi razem z zakręconymi charyzmatykami popędza małego Juano.

- Gazuj, gazuj, miszcu - mówią.

Chłopiec pedałuje, wysila się, podskakując na siodełku, ale po ekranie wciąż płyną cyfry. Elektronika lekko w górę, transport w dół, przemysł ciężki mniej więcej bez zmian.

Trzy tygodnie później Edgar siedzi w furgonetce i patrzy, jak jej towarzyszka wychodzi z budynku z czerwonej cegły, w którym mieści się klasztor - kaczy chód, krótkie nogi, kwadratowy korpus. Gracie z odwróconą twarzą okrąża przód wozu i otwiera drzwiczki po stronie kierowcy.

Wsiada i mocno chwyta kierownicę, patrząc prosto przed siebie.

- Był telefon z komendy niedaleko Ściany.

Wyciąga rękę i zamyka drzwiczki. Znowu wczepia się w kierownicę.

- Ktoś zgwałcił Esmeraldę i zrzucił ją z dachu.

Przekręca kluczyk.

- Siedzę i myślę. Kogo mam zabić?

Przelotnie spogląda na Siostrę Edgar i wrzuca bieg.

- Bo tylko to jedno pytanie potrafię sobie zadać, nie wpadając w rozpacz.

Jadą na południe przez pobliskie ulice, między ceglаныmi czynszówkami, które osmala łagodne światło poranka. Czy Edgar przewidziała to nieszczęście? Ostatnio, owszem, czuła coś w kościach. A teraz czuje burzę, którą kipi Gracie, jej wściekłość i ból. Przed paroma dniami młodsza zakonnica zdołała podejść do dziewczynki i porozmawiać z nią z pewnej odległości, a potem rzuciła torbę z jedzeniem i odzieżą w kępę alkiermesu, w której stała Esmeralda. Milczą przez całą drogę, tylko starsza przepowiada sobie w myślach cykl pytań i odpowiedzi z Katechizmu z Baltimore. Siła tych ćwiczeń, stanowiących rodzaj niezniszczalnej modlitwy, bierze się z głosów towarzyszących głosowi Edgar, z chóru dzieci, które od kilkudziesięciu lat odpowiadają na pytania starannie odmierzonymi sylabami, tworząc fletniową, klarowną muzykę jej życia. Pytanie i odpowiedź. Jakież głębszy dialog mogłyby ułożyć prawe umysły? Sięga ręką w lewo, dłonią nakrywa opartą na kierownicy dłoń Gracie i zaraz cofa rękę, nim na zegarze z tablicy rozdzielczej mignie cyfrowa sekunda. Kto nas stworzył? Stworzył nas Bóg. W tych twarzach o przejrzystych oczach tyle wiary. Kim jest Bóg? Bóg jest Istotą Najwyższą, która wszystko stworzyła. Edgar czuje w rękach zmęczenie. Ręce ma ciężkie, martwe i dociera aż do lekcji dwunastej, gdy na skraju nieba pojawiają się bloki dla

biedoty, a okna ich górnych pięter są białe od słońca, które gra po szerokiej, ciemnej fasadzie z łamanego kamienia.

- Cały czas tam jest - po długim milczeniu mówi wreszcie Gracie.
- Co jest?
- Ten stukot w silniku. Słyszysz Siostra? Słyszysz Siostra?
- Nic nie słyszę.
- Ku-ku. Ku-ku.

I mijając biedabłoki, jedzie w stronę malowanej ściany.

Kiedy pod nią stają, anioł jest już gotowy. Skrzydlata postać w różowej bluzie, różowo-turkusowych spodniach i białych Nike Air Jordansach z wyeksponowanym znakiem firmowym: dziewczynka tyle się w życiu nauganiała, że namalowali ją w butach do biegania. Juano wisi jeszcze na linie spuszczonej z dachu za pomocą starego ręcznego kołowrotu, którym załoga wciąga auta na platformę ciężarówki. Na górze Ismael i inni przechylają się przez gzyms i krzyczą, usiłując podpowiedzieć prawidłową ortografię małemu, ten zaś kołysze się raz bliżej, raz dalej od ściany, i wychylając się, przeplata litery w stylu minionej ery dzikich graffiti.

Zakonnice stoją obok furgonetki i patrzą, jak chłopiec wykańcza ostatnie przekrecone słowo i zaraz inni w zacinającym wietrze ciągną go ku niebu.

Esmeralda Lopez
12 lata Wżenta do
Njeba

Kiedy wchodzi na drugie piętro, Ismael z rękami założonymi na piersi pali cygaro. Gracie chodzi w tę i z powrotem po pokoju. Jak gdyby nie wiedziała, od czego zacząć, jak oswoić się z niewysłowioną rzeczą wyrządzoną temu dziecku, które miały tak wielką nadzieję uratować. Chodzi po pokoju, zaciska pięści. Z odległości kilku przecznic słychać zdyszany jęk miejskiego autobusu.

- Ismael. Musisz się dowiedzieć, kto to zrobił.
- A bo ja tu rządzę? Policja jestem, czy co?
- Masz w tej dzielnicy kontakty jak nikt inny.

- W jakiej znowu dzielnicy? Dzielnica jest tam. Tu jest Ściana. Jedno, co mogę, to nauczyć tych kajtków trochę ortografii, żeby sprejowali bez błędów. Jak jeszcze sam pisałem, robiliśmy po ciemku wagony bez jednej literówki.
- A kto się przejmuje ortografią? - pyta Gracie.

Edgar się przejmowała, ale nie dziś i może już nigdy więcej. Czuje się słaba i zagubiona. Minęła wielka Trwoga, rozmontowano wielki cień - obiekt wystrzelony w niebo, nazwany imieniem greckiej bogini uwiecznionej na kraterze dzwonowym pięćset lat przed naszą erą. Wszystkie trwogi są teraz tutejsze. Hałas na chodniku tuż-tuż, zająkliwy grzechot serii puszcanych od niechcenia z przejeżdżającego auta, ktoś, kto porywa twoje dziecko. Zmartwychwstają pradawne lęki: oni ukradną mi dziecko, przyjdą do mojego domu, kiedy będę spał, i wytną mi serce, bo prowadzą dialog z Szatanem.

Edgar odmawia rozpaczliwą modlitwę.

Błagamy Cię, Panie, racz zesłać na nasze serca łaskę swoją.

Dziesięć lat odpustu, numer nie do przebiccia, jeżeli odmawia się to o świcie, w południe i o zmierzchu albo tuż po, możliwie najwcześniej.

Tym razem pedałuje jedna z dziewczynek, w skrócie zwana Willie, i nagle woła „Hej, chodźcie, patrzcie”, więc wszyscy stają przed telewizorem i patrzą, zdumieni. W wiadomościach jest doniesienie o morderstwie, o ich morderstwie, niesamowity reportaż na całe Stany w CNN - tragiczne życie i śmierć bezdomnego dziecka. Załogę aż zatkało na widok kroniki ze Ściany, dwie i pół sekundy filmu, a w nim dom, w którym mieszkają, fasada z aniołami namalowanymi sprejem, puste parcele zarośnięte chaszczami, a wśród nich nietoperze w jaskiniach i sowie siedliska. Gapią się i aż buzują, obdarzeni czymś w rodzaju wtórnej wizji, obrazem rzeczy znanych im na wylot, które teraz ukazują się w nowy sposób, i to całemu krajowi. Stoją, oczekując świadomością, że inni widzą to samo. A potem na ekranie pojawia się prezenterka. Więc mówią do Willamette: „Szybciej pedałuj, stara, bo obraz zaczyna blaknąć”, a włosy prezenterki koloru elektrycznej czerwieni rozmywają się wokół jej głowy, tworząc świetlisty pierścień, w którym wygląda jeszcze bardziej zdumiewająco, kiedy tak opowiada im o ich włas-

nym życiu tym swoim dziewiczym, dźwięcznym jak dzwon głosem, kobieta o tak uderzających rysach, że wiadomość sprawia wrażenie jej osobistego komunikatu, podczas gdy Willie wciąż pedałuje, ile tylko ma sił, a reszta dopinguje ją wytrwale.

Siostra nie patrzy razem z nimi. Nic już nie widzi aż do końca dnia, a także nazajutrz i jeszcze przez następne dwa lub trzy tygodnie. Widzi ludzkie serce wyłożone niczym świński mięsień na kamiennej płycie. Niczego więcej nie dostrzega. Czuje, że wchodzi w etap kryzysu, zaczyna jej się wydawać możliwe, że dzieło stworzenia to po prostu wytrysk ślepej materii, która tu i ówdzie trafia przypadkiem już to na szmaragdową planetę, już to na martwą gwiazdę, a po drodze tyle jej się marnuje w chaosie. Z życia Siostry znikł pogodny spokój nieogarnionego zamysłu, obecność autora i forma moralna; kiedy Gracie i załoga roznoszą po blokach jedzenie, Edgar czeka w furgonetce, milcząca mniszka; a gdy Gracie unieszkodliwia gazem szczura na krawężniku, Edgar ani mrugnie.

Nie jest to kwestia niewiary. Pojawia się wiara innego rodzaju, druga siła, niepewna, nieufna - wiara zasilana rzeczami, których boimy się nocą, a Edgar ma wrażenie, że pomału jej ulega.

KLAWISZEM RAZ

Sypia na dachach, kiedy nie jest za zimno, i właśnie na dachu zabitej deskami trzypiętrowej kamienicy ze schodkami przeciwpożarowymi w nienaruszonym stanie spostrzega ją mężczyzna, który włóczy się po dachach, sam na sam z własnymi myślami -mężczyzna, który czasem pojawia się na Ścianie i znowu znika, cichaczem, nie lubi, jak na niego patrzą, a jeśli zechcesz poznać jego nazwisko i dasz komendę „szukaj”, na ekranie wyświetli się napis *Poszukiwanie trwa*. Napotyka śpiącą dziewczynkę i czuje, jak wzbiera w nim znajomy gniew, i już wie, że będzie musiał coś zrobić, żeby z nią się porachować. Rzuca się na nią. Ona próbuje stawiać opór, ale bez krzyku. On bije ją czubkiem pięści, wali po głowie jak młotem. Szarp się, kurwo, to jeszcze gorzej oberwiesz. Chce ją przewrócić twarzą do dołu i jej wsadzić. Ona wrywa się i krzyczy szeptem, który tym bardziej go wkurwia, no bo co ona sobie wyobraża, że kim niby jest, a ekran

wyświetla *Poszukiwanie trwa*. Czy będzie się szarpała, czy nie, on tak czy owak ją uderzy, a bijąc, patrzy w bok, cichaczem. Nie patrz mi w oczy, pizdo. Ostatnią kobietą, na którą spojrzął, była matka. A kiedy już zrobi swoje, wbije się w nią i chluśnie, uderzy ją jeszcze ten jeden ostatni raz, mocno, ty kurwo, zawlecze na skraj dachu, przewiesi przez gzyms i spuści w dół. Zdychaj, suko. Potem wróci do swoich nocnych myśli. A ekran wyświetla *Poszukiwanie trwa*.

Zaczynają krążyć różne historyjki, nowina przenosi się z ulicy na ulicę, wędruje po kościołach i sklepach samoobsługowych, może troszkę przekręcona, tu i ówdzie przeinaczona, ale bez zasadniczych zniekształceń, więc jasne jest, że wszyscy mówią o jednym i tym samym zdarzeniu nie z tej ziemi. A niektórzy idą popatrzeć i potem opowiadają innym, wzniecając nadzieję, która zawsze rośnie, gdy coś przekracza przyrodzone granice.

Gromadzą się po zmroku na wygwizdowie między wjazdami na most, siedmioro czy ośmioro znęconych opowieścią jednej lub dwóch osób, potem trzydzieścioro zwabionych tym, co zasłyszały od siedmiorga, i wreszcie gęsty, cichy tłum, który rośnie, ale zachowuje się z niezmiennym uszanowaniem, dwie setki ludzi stłoczonych na wysepce dla pieszych na samym dole Bron-ksu, tam gdzie skręca łukiem obwodnica biegnąca z targu hurtowników, a w stronę cieśniny ciągną się torowiska, cała ta stara industrialna muskulatura, strapiona i w ruinie - rampy, z których strzelają wysokie zielska, spalarnia śmieci kaszląca trującymi wyziewami i stary most kolejowy łączący brzegi rzeki Harlem, z ażurową wieżą na każdym końcu, którą może trochę kołysać uporeczywy wiatr.

Przybywają i jeśli mają auta, to z każdego wysiada sześć albo i siedem osób, parkują je na stromiźnie wysokiego pobocza lub w bocznych uliczkach pod murami fabryk, wciskają się na betonową wysepkę między obwodnicą a bulwarem o dziurawej nawierzchni i wśród zimnych podmuchów wiatru ponad rzeką pojazdów ryczącą i rwącą jak co dzień wpatrują się w planszę reklamową, która unosi się w ciemnościach, w reklamę zawie-

szoną na rusztowaniu wysoko nad brzegiem rzeki, żeby wabiła otepiałe spojrzenia pasażerów pociągów, które bez przerwy jeżdżą z północnych przedmieść w sam gąszcz Manhattanu, w strefę pieniędzy i przesyty.

W refektarzu Edgar siedzi naprzeciw Gracie. Je, nie czując smaku, bo już przed laty uznała, że nie idzie o smak. Idzie o to, żeby opróżnić talerz.

- Nie, proszę - mówi Gracie. - Nie może Siostra.
- Chcę tylko zobaczyć.
- Nie, nie nie, nie.
- Zobaczyć na własne oczy.
 - Przecież to brukowa sensacja. Zabobon w stylu najgorszych pismaków. Coś okropnego. Zupełna, jak by to nazwać? Rezygnacja, wie Siostra? Proszę zachować zdrowy rozsądek. Niech Siostra z niego nie rezygnuje.
- Może właśnie ją widzą.
 - Wie Siostra, co to jest? Wieczne wiadomości. Lokalny dziennik o jedenastej, w którym w równych odstępach nadaje się różne groteskowe sensacje, żeby widz obejrzał całe pół godziny.
- Chyba jednak muszę tam pojechać - mówi Edgar.
 - To coś dla biedaków. Muszą się z tym zjawiskiem skonfrontować, osądzić je i zrozumieć, a my właśnie w takim kontekście powinniśmy widzieć całą sprawę. Biedakom potrzebne są wizje, jasne?
 - Coś mi się zdaje, że wywyższasz się nad tych, których kochasz - cicho odpowiada Edgar.
- Wcale nie.
 - Biedacy, powiadasz. A niby komu ukazują się święci? Czy prezesi banków bywają nawiedzani przez świętych i aniołów? Zjedz marchewkę.
 - To tylko wieczorne wiadomości. Ohydne wykorzystywanie dziecka, które zginęło straszną śmiercią z rąk mordercy.
 - Jakie znowu wykorzystywanie? Przecież nikt tu nikogo nie wykorzystuje - mówi Edgar. - Ludzie chodzą tam, żeby płakać, żeby wierzyć.
 - I właśnie dzięki temu wiadomość nabiera takiej mocy, że już nie potrzebuje telewizji ani gazet. Istnieje w ludzkiej per-

cepcji. Ludzie sami ją wymyślają, nadają jej taką moc, że wydaje się prawdziwa. Ta wiadomość obchodzi się bez mediów. Edgar je chleb.

- Jestem starsza niż papież. Nie przypuszczałam, że tak długo pożyję i w końcu będę starsza od papieża, więc chyba jednak muszę to zobaczyć.
- Obrazy kłamią - mówi Gracie.
- Chyba muszę tam się wybrać.
- Nie módlcie się do obrazów, módlcie się do świętych.
- Chyba nie mogą inaczej.
- Ależ to wykluczone. To szaleństwo. Proszę tam nie jechać.

Ale Edgar w końcu jedzie. Wkłada gumowe rękawiczki i zimową pelerynę, po czym rusza w stronę drzwi, żeby pojechać autobusem, a później metrem, więc Gracie nie może jej puścić samej. Biegnie do furgonetki, na szeroko rozstawionych zębach ma aparat, z którym w normalnych okolicznościach nigdy publicznie się nie pokazuje, no i jadą; mijając Ścianę, zapuszczają się w ciemne, puste ulice, aż w końcu silnik gaśnie i furgonetka staje z omdlewającym szeptem, a one piechotą przechodzą przez jedenaście ostatnich przecznic, Gracie uzbrojona w gaz i telefon komórkowy.

Nad miastem wisi szalony księżyc w pomarańczowym odcieniu marzanny.

Ludzie w ostrym blasku reflektorów przejeżdżających aut, skupieni setkami na wysepce, ich własne auta zaparkowane zygzakiem i zezem, niebezpiecznie blisko tych, które wciąż pędzą jezdnią. Zakonnice przebiegają przez bulwar i wciskają się na wysepkę, a ci, co już tam stoją, robią im miejsce, stłoczone ciała rozstępują się, żeby te dwie mogły swobodnie stanąć.

Podążają za wznieconymi spojrzeniami tłumu. Stoją i patrzą. Nierówno oświetlona plansza reklamowa miejscami tonie w mroku, kilka żarówek przepaliło się i nikt ich nie wymienił, ale wyraźnie widać główne elementy, potężną kaskadę soku pomarańczowego, lejącego się skosem z górnego prawego rogu do pucharu, który w lewym dolnym trzyma czyjaś dłoń - idealna w kształcie dłoni białej kobiety ze średnio zamożnego przedmieścia. Dalekie wierzby i mętny pejzaż z jeziorem określają społeczne usytuowanie. Ale spojrzenie widza przykuwa głównie

sok, gęsty, mięszy, z ochrowym rumieńcem, pasującym do księżycza w kolorze marzanny. I te pierwsze, dokładnie odrobione krople, które z lekkim rozbryzgiem powierzchniowym trafiają w dno pucharu, a każdą drobinę wyczelowano z dyscypliną godną najwybredniejszego malarza precyzjonisty. Cóż za hojne szafowanie wysiłkiem i techniką, zadbano tu o wszelkie finezje: w sumie dokładny odpowiednik - myśli Edgar - średniowiecznej architektury kościelnej. I te puszeki o objętości niedużej szklanki, ustawione rzędem u dołu planszy, sto identycznych puszek, których etykiety, barwy i czcionki tak są wszystkim znajome, że mają wręcz osobowość, dobrotliwy wdzięk pomarańczowo-czarnych ludzików.

Edgar nie wie, jak długo mają tak czekać i właściwie na co. W turkoczącym zmroku przejeżdżają ciężarówki z ziemiopłodami. Siostra wodzi wzrokiem po tłumie. Robotnicy, sklepikarze, może trochę włóczęgów i dzikich lokatorów, ale niewielu, a potem zauważa grupę w pierwszych rzędach, wpasowaną w łódczany kontur wysepki: to charyzmatycy z najwyższego piętra tej kamienicy w Ścianie, ubrani głównie w luźne białe szaty, kobiety jak baryły, patykowaci mężczyźni z dredami. Tłum jest cierpliwy, ale ona nie - spięta i pełna złych przeczuć, łapie się na tym, że przejmuje punkt widzenia Gracie na całą tę sprawę. Samoloty wylaniają się z ciemności i lecą za rzekę, w stronę lotniska, drąc powietrze dławionym hukiem. Zakonnice spostrzegają, że trzydzieści metrów od nich stoi Ismael Muñoz w otoczeniu swojej załogi; w przemykających smugach światła wygląda nieco upiornie, więc Edgar zmusza Gracie, żeby podchwyciła jej znaczące spojrzenie. Stoją i patrzą na planszę reklamową. Głupio się gapią na sok. Po dwudziestu minutach słychać szelest, coś jakby wiatr na granicy percepcji, i ludzie spoglądają ku północy, dzieci palcami wskazują północ, a Edgar wyciąga szyję, żeby zobaczyć, co też oni wszyscy tam widzą.

Pociąg.

Edgar czuje te słowa, zanim ujrzała sam obiekt. Czuje słowa, chociaż nikt ich nie wypowiedział. W ten to sposób tłum ogarnia fakty wspólną świadomością. A potem Siostra widzi, że zwykły pociąg podmiejski, srebrzysto-niebieski, nie tknięty sprejem,

gładko sunie w stronę mostu zwodzonego. Latarnie lokomotywy omiatają planszę reklamową, a z tłumu wydobywa się dźwięk, westchnienie, które wybucha szlochem, jękiem i wrzaskiem nieznanej, bolesnej ekstazy. Raptowne zawołanie, okrzyk odszpuntowanej wiary. Bo gdy światło latarni pociągu trafia w najciemniejszą część planszy, ponad zamglonym jeziorkiem ukazuje się czyjaś twarz, oblicze zamordowanej dziewczynki. Kilkanaście kobiet łapie się za głowy, pokrzykując i łkając, a w tłumie niesie się powiew ducha, boskie tchnienie.

Esmeralda.

Esmeralda.

Siostra jest w stanie fizycznego szoku. Owszem, widziała dziewczynkę, ale tylko przelotnie - zbyt krótko, żeby wchłonąć wizję, więc pragnie jej powrotu. Kobiety podnoszą niemowlęta, pokazując im planszę, płynący sok, niechaj je skąpie w chrestnym balsamie i olejku. Gracie mówi prosto w twarz Siostry Edgar, przekrzykując kakofonię głosów i aut:

- I co, podobna do niej?
- Tak.
- Jest Siostra pewna?
- Tak mi się zdaje - odpowiada Edgar.
 - Ale przecież Siostra zawsze widywała ją z daleka. A ja widziałam ją z bliska - mówi Gracie - i uważam, że to tylko efekt świetlny, a nie żadna postać. Nie twarz, tylko smuga światła.

Gracie z aparatem na zębach sepleni jak woda sodowa.

- To wina podkładu - mówi. - Techniczna skaza. Obraz spod spodu, ze starej reklamy, przebija przez nową.

Czyżby miała rację?

- Kiedy na nową reklamę pada dostatecznie silne światło, spod spodu prześwieca poprzednia - dodaje Gracie.

Głoski szczelinowe odbijają się od jej zębów wilgotnym echem.

Ale czy ma rację? Czy wiadomość uniezależniła się od agencji, które ją rozpowszechniają? Czy sama się wymyśla w ludzkich gałkach ocznych, w oczach prawdziwych, żywych ludzi?

Edgar uważnie wpatruje się w planszę. A jeśli pod spodem nie ma żadnej starej reklamy? Niby czemu pod reklamą soku

pomarańczowego miałyby być jakaś wcześniejsza warstwa? Przecież chyba zawsze się ją usuwa przed naklejeniem nowej.

- I co teraz? - pyta Gracie.

Stoją i czekają. Tym razem już po ośmiu, dziewięciu minutach nadjeżdża kolejny pociąg. Edgar przesuwając się, próbuje się przeprchnąć do pierwszego rzędu, delikatnie pomagając sobie łokciami, i ludzie ustępują jej z drogi, kiedy widzą tę zakonnice w welonie, w kompletnym habicie i ciemnej pelerynie, a za nią potulną przyboczną w płaszczu z lumpeksu i w chustce na głowie, z telefonem komórkowym w podniesionej ręce.

Widzą ją nagle i obejmują, a ona im pozwala. Jej obecność uwierzytelnia całe zdarzenie: oto przedstawicielka kościoła powszechnego, tego od sakramentów, tajnych kont bankowych i bajecznych zbiorów dzieł sztuki. I przy tym wszystkim wybrała ścieżkę ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Biorą ją w objęcia i ustępują z drogi, a ona przechodzi i dostaje się między charyzmatyków, ewangelików, którzy kołyszają się w miejscu, i właśnie wtedy światło latarni pociągu pada na planszę. Edgar widzi, jak twarz Esmeraldy zarysowuje się pod szczodrą tęczę soku, nad podmiejskim jeziorkiem, sprawiając wrażenie, że w scenie wymalowanej na planszy mieszka ktoś, jakiś ożywczy duch: żyje niecałą kruchą sekundę, mniej niż pół, i zaraz potem zostaje puste, ciemne miejsce.

Edgar czuje, że coś raptem pęka i spada na nią deszczem. Zwiastowanie najczystszej radości. Obejmuje Siostrę Gracie. Ściąga rękawiczki i podaje ludziom ręce, zamasyżuje potrząsając dłońmi zwalistych kobiet, które łyskają białkami, wznosząc oczy do nieba, i oburącz energicznie ściskają dłonie sąsiadek. Z ust wydobywają im się zmyślane słowa, transowe teksty, śpiew o sprawach spoza obszaru powszechnie znanych deliriów. Edgar bębni pięściami w pierś jakiegoś mężczyzny. Odnajduje w tłumie Ismaela i obejmuje go. Patrzy mu prosto w twarz, oddycha tym samym powietrzem co on i spowija go swoim świeżo wypranym habitem. Wszystko wydaje się bliskie, wystarczy sięgnąć ręką, spada na nią deszczem smutek, utrata, gloria, ponura litość starej matki i jakaś siła z głębokich warstw lamentu, dzięki której czuje się nierozzerwalnie związana z rozedrganymi charyzmatykami i żałobnikami, z tymi, co zdjęci nabożnym lękiem stoją w stru-

mieniu aut - na chwilę wyzbywa się imienia i nazwiska, zapomina o detalach swoich prywatnych dziejów, jest tylko odcie-leśnionym bytem w stanie ciekłym i rozlewa się pośród tłumu.

- Sama nie wiem - mówi Gracie.
- Oczywiście, że wiesz. Wiesz. Przecież ją widziałaś.
- Nie wiem. To był cień.
- Esmeralda na jeziorze.
- Sama już nie wiem, co widziałam.
- Wiesz. Oczywiście, że wiesz. To ją widziałaś. Czekają, aż przejadą jeszcze dwa pociągi. Na niebie pojawiają się reflektory lądowania, a za rzeką samoloty nieustannie zniżają się ku pasom startowym, co półtorej minuty kolejny lot, więc pogłos ich ryków zlewa się w jednostajny hałas, a powietrze cuchnie spalinami.

Czekają na jeszcze jeden pociąg.

I jak się to kończy, prędzej czy później, jak kończy się taka historia - wypala się, aż wreszcie tylko zapomniana, znużona garstka najwierniejszych kuli się na deszczu?

Nazajutrz nocą ściąga w to miejsce tysiąc osób. Parkują auta na bulwarze i usiłują precyzyjnie się, przepchać na wysepkę, ale większość musi stanąć na najwolniejszym pasie obwodnicy, nerwowa i czujna. Kobieta potrącona przez motocykl, wirując, pada na asfalt. Jakiegoś chłopca ciągnie sto metrów dalej, zawsze sto metrów, samochód, który nie ma zamiaru się zatrzymać. W ulicznym korku od auta do auta chodzą sprzedawcy kwiatów, lekkich napojów i żywych kociąt. Sprzedają też foliowane portreciki Esmeraldy, wydrukowane na kartkach z tekstem modlitwy. Sprzedają wiatraczki, które bez przerwy się obracają.

Następnej nocy przychodzi ta ćpunka, zaginiona matka Esmeraldy, i pada krzyżem na ziemię, kiedy na planszy pojawia się twarz dziewczynki. Zabiera ją karetka, za którą jedzie furgonetkami kilka ekip telewizyjnych. Dwaj mężczyźni biją się łyżkami do opon, tarasując drogę pojazdom na ślimaku. Kamerzyści kręcą to wszystko z helikopterów, a policjanci omotują cały teren pomarańczową taśmą ostrzegawczą, dokładnie w odcieniu żywego soku.

Nazajutrz wieczorem plansza jest pusta. Ależ robi to dziurę

w przestrzeni! Ludzie przychodzą, nie wiedząc, co powiedzieć, co myśleć, gdzie patrzeć i w co wierzyć. Została tylko biała plansza z dwoma samotnymi słowami: „Do Wynajęcia”, po których następuje wydrukowany gustowną czcionką numer telefonu.

Gdy o zmierzchu nadjeżdża pierwszy pociąg, światła jego latarni nie wywołują żadnej wizji.

No i co w końcu z tego wszystkiego pamiętasz, kiedy wszyscy rozeszli się do domów, a z ulic przemiatanych wiatrem od rzeki znikło rozmodlenie i nadzieja? Czy to wspomnienie jest rozrzedzone i gorzkie, czy zawstydzą cię swoim dogłębnym fałszem - bo przecież nie było nic prócz niuansów i sylwetki utkanej z pobożnych życzeń? A może jednak ocalała siła transcendencji, poczucie, że zdarzyło się coś, co przemaga moce natury, coś świętego, co pulsuje na gorącym horyzoncie, wizja, której pragniesz, bo potrzebujesz znaku, żeby oprzeć się własnym wątpliwościom?

Edgar czuje ból w stawach, ostre klucie w miejscach, gdzie kości łączą się ze sobą, stare ciało pogrąża się w znajomym bólu, boli ją we wszystkich zgięciach.

Lecz wciąż jeszcze mocno trzyma wyobraźnię tę ulotną twarz z oświetlonej planszy, swoją dziewiczą bliźniaczkę, a zarazem córkę. I pamięta zapach spalin odrzutowców. Ta woń jest kadzidłem towarzyszącym jej przeżyciu, dymem cedru i żywicy, substancją utrwalającą, która nie pozwala rozpaść się tamtej chwili, wszystkim chwilom, rytmicznie wyklaskiwanym, rozkołysanym uniesieniom, niewysłowionej bliskości, braterstwu w głębokiej wierze.

Nie ma już nic do zrobienia, pozostaje tylko umrzeć, toteż i umiera Siostra Alma Edgar, oblubienica Chrystusa, spokojnie odchodzi podczas snu, gdy pierwszy wątył śnieg kolejnej szarej zimy miękko prószy na nieznanne ulice, kłębi się w wirach kryształków, foremnych płatków - bładny śnieg, który znika, zanim, padając skosem, dotknie ziemi.

KLAWISZEM DWA

W welonie i w habcie była głównie twarzą albo twarzą i wyszorowanymi dłońmi. Ale tu, w cyberprzestrzeni, zrzuciła te wy-

prasowane tekstylia. Jest nie tyle naga, ile otwarta - dostępna wszelkim połączeniom, jakich można dokonać za pośrednictwem światowej sieci WWW.

Przestrzeń ani czas nie istnieje tam, a może tu - gdziekolwiek by umiejscowić sferę, w której się znalazła. Są tylko połączenia. Wszystko się łączy. Całą ludzką wiedzę zgromadzono i połączono siecią ogniw i hiperogniw, to łączy prowadzi do tamtego, ten fakt znajduje swój odnośnik w owym, uderzenie w klawisz, pstryk myszą, hasło - świat bez końca, amen.

Lecz ona wylądowała w cyberprzestrzeni, a nie w niebie, i czuje kleszcze systemów. Właśnie dlatego jest jej tak nieswojo. Otacza ją czyjaś obecność, byt domniemany, coś ogromnego i jaskrawego. Daje się wyczuć paranoja sieci, siatki. I to wieczne zagrożenie wirusem. Siostra wie wszystko o zakażeniach i niezbędnych środkach ostrożności. Tu jednak ma do czynienia z czymś innym - z poświatą, świetlistą, mknącą siłą, która zdaje się płynąć z miliarda odległych węzłów.

Kiedy dla kaprysu postanawiasz zajrzeć na stronę poświęconą bombie wodorowej, zaczyna rozumieć. Wszystko w twoim komputerze - plastik, silikon i mylar, każda operacja logiczna i funkcja przetwarzająca, pamięć, podzespoły i oprogramowanie, jedyńki i zera, triady zawarte w kropkach tworzących obraz na ekranie - znajduje tu swoją kulminację.

Najpierw brzask, wielka jutrzenna gloria wzbiera na kolorowym monitorze. Każda bomba termojądrowa, jaką kiedykolwiek przetestowano, komplet danych z każdego wybuchu, kryptonim, moc, poligon, Eniwetok, Lop Nor, Nowaja Ziemia, cudzoziemskość, inność tych dalekich populacji, o których każą myśleć nazwy miejsc, Mururoa, Kazachstan, Syberia, i kunsztowne girlandy niezwykłych detali, systemy odpału i środki transportu, równania, wykresy i schematyczne przekroje, wybuch po wybuchu przywoływany jednym pstrykiem, stukiem, Bravo, Romeo, Greenhouse Dog - a Siostra właściwie tkwi pośród nich.

Widzi błysk, termiczne tętno. Słyszy narastający łoskot, wielką wzbierającą siłę, która stacza się z szesnastobitowej płyty dźwiękowej. Stoi w tym błysku i czuje potęgę wybuchu. Widzi pióropusz pary. Widzi, jak wzbija się w niebo kula ognista,

przegrzana kula płonącego gazu, zdolna oślepić człowieka swoim pięknem, chrystokrwawymi barwami, którymi ocieka, słonecznymi złocistościami i czerwieniami. Widzi falę uderzeniową, słyszy wysokie wiatry i czuje potęgę fałszywej wiary, wiarę paranoi, a potem roztacza się wokół niej grzybiasta chmura, sproszkowana masa radioaktywnego gruzu, wznosi się na wysokość dwunastu, szesnastu, trzydziestu dwóch kilometrów, z kryzą na trzonie, z dymiącym platynowym kapeluszem.

Z jej oczu toczą się klejnoty i oto widzi Boga.

Nie, chwileczkę, przepraszam. Bomba, którą widzi, jest sowiecka, o największej mocy, jaką zna historia, eksplodowano ją nad Morzem Arktycznym w roku 1961 i teraz trwa w komputerze, którego używali jej projektanci, pięćdziesiąt osiem mega-ton - podsumuj cyfry, wyjdzie trzynastka.

Całe populacje mogą w mocarnym rozbłysku przeistoczyć się w szkielety - kości, kości łapci, śpiewają kobiety grube jak baryły. A Siostra zaczyna wyczuwać odnogi cienia wyrastające z nabożnej grozy, jaką budzi to główne zdarzenie. Czuje, jak przecinające się systemy pomagają nas rozodrzczyć, aż stajemy się niewyraźni, wysrani, potulni, miękcy w naszym monologu wewnętrznym, skorzy poddać się kształtowaniu, ulec - łatwe odwroty, połowiczne wiary.

Odpal po odpale, bomba po bombie, a pamiętaj, że są to bomby termojądrowe, w których przemocą dokonano fuzji atomów, a ilekroć wybuchają na ekranie, raz po raz, następuje kolejna fuzja. Żadnych kontaktów fizycznych, bardzo proszę, ale do zespolenia i tak dochodzi. Pstryk, stuk i oto z Siostrą łączy się drugi Edgar. Dziewiczy jak i ona, mniej lub bardziej bratni duch, a zarazem biologiczne przeciwieństwo, jej męska połowa, martwa już od tylu lat. Czy przez wszystkie te lata czekał, aż to się stanie? Agent z mordą buldoga, J. Edgar Hoover, upodlony święty Prawa, połączony wreszcie hiperogniwem z Siostrą Edgar w jeden oscylujący impuls, zaszyfrowaną informację.

Bo w końcu wszystko gdzieś się łączy.

Siostra i Brat. Fantazja w cyberprzestrzeni, sposób widzenia drugiej strony i uzgadniania rozbieżności, które mniej mają wspólnego z rodzajem męskim czy żeńskim, a więcej z rozbież-

nością jako taką, i oto wszystkie spory, wszystkie konflikty udaje się wyprogramować do zera.

Czy cyberprzestrzeń jest rzeczą w obrębie świata, czy też na odwrót? Które zawiera się w którym i jak to stwierdzić?

W księżycowym mleku strumienia danych pojawia się słowo. Widzisz, jak na twoim monitorze zajmuje miejsce odpałów z wież i eksplozji w powietrzu, detonacji ładunków wysokiej mocy, które umieszczono na okrętach albo podwieszono do balonów, a także wyczerpujących objaśnień, którymi opatrzone każdą bombę. Jedno jedyne, anielskie słowo. Możesz pstryknąć myszą, żeby je przeanalizować, zbadać jego pochodzenie, rozwój, najwcześniejsze z udokumentowanych zastosowań, wędrówkę z języka do języka, możesz je przywołać w wersji san-skryckiej, greckiej, hebrajskiej i arabskiej, w tysiącu języków i dialektów żywych i martwych, sprawdzić, ile razy pojawia się w literaturze, ruszyć w ślad za nim tunelami podziemnego świata, który tworzą jego pierwotne korzenie.

Przyspiesz, dopasuj, połącz.

Możesz na chwilę spojrzeć w okno, bo rozprasza cię zgiełk dzieci, które na podwórku sąsiada grają w wymyśloną naprędce grę, skrzyżowanie baseballu z piłką nożną, i mówią twoim głosem, albo dzieląc między siebie role koni i jeźdźców, urządzają wyścigi na zachwaszczonym trawniku, i słyszysz głos w zasadzie swój własny, pod szkliście lśniącym niebem, widzisz rzeczy zgromadzone w pokoju, poza ekranem, poza siecią, tkanę drewnianych słoików w blacie biurka, ożywionych światłem, zawieszony, żywy tembr przedmiotów, racje rzeczy przeznaczonych do oglądania i do jedzenia, ogryzek jabłka z wolną brązowiejącą na tacce z resztkami lunchu, gęste miary doświadczeń zawarte w przypadkowym spojrzeniu, mniszą świecę odbitą w pochyłości telefonu, godziny zaznaczone rzymskimi cyframi, połysk wosku, zygzak plecionego knota, wyszczerbiony brzeg kubka, w którym trzymasz żółte ołówki, każdy skosem w inną stronę, wielowarstwowe żywoty choćby najbliższej powierzchni, tafelkę masła topniejącą na okruszonej bułce, żółć żółtych ołówków, i próbujesz sobie wyobrazić, że to słowo z ekranu staje się rzeczą w świecie, że jakoś wyprowadza wszystkie swoje znaczenia, podteksty spokojów i błogości wprost na ulice, swój pojednaw-

czy szept, słowo, które nieustannie rozpościera się na zewnątrz, ton ugody bądź traktatu, ton spoczynku, wrażenie uśmierzającej ciszy, ton pozdrowienia i pożegnania, słowo, które wnosi roz-słonecznioną żarliwość pojedynczego przedmiotu w głąb ocie-kającego południa, racja wiążącego dotyku, ale to tylko sekwencja pulsów na mętnawym ekranie, która może najwyżej pogrążyć cię w zadumie - słowo, które rozsiewa tęsknotę po surowej rozległości miasta i dalej, przez śniące strumienie i sady aż do samotniczych wzgórz. Pax.